

Proof Copy ([10] w trakcie opracowywania)

Dr inż. Jan Pająk
”JAN PAJĄK W INTERNECIE”
(Wybór stron internetowych autoryzowanych przez Jana Pająk)
Tom 0
(Przebieg życia autora)
Wellington, Nowa Zelandia, 2011 rok,
ISBN 978-1-877458-25-5.

Copyright © 2011 by dr inż. Jan Pająk.

Wszystkie prawa zastrzeżone. Całość ani też żadna z części niniejszej publikacji nie może zostać skopiowana, zreprodukowana, przesłana, lub upowszechniona w jakikolwiek sposób (np. komputerowy, elektroniczny, mechaniczny, fotograficzny, nagrania telewizyjnego, itp.) bez uprzedniego otrzymania wyrażonej na piśmie zgody autora lub zgody osoby legalnie upoważnionej do działania w imieniu autora. Od uzyskiwania takiej pisemnej zgody na kopiowanie tej publikacji zwolnieni są tylko ci którzy zechcą wykonać jedną jej kopię wyłącznie dla użytku własnego nastawionego na podnoszenie swojej wiedzy i dotrzymają warunków że wykonanej kopii nie użyją dla jakiegokolwiek działalności przynoszącej dochód czy zawodowej, a także że skopiowaniu poddadzą cały wybrany tom lub całą publikację - włącznie ze stroną tytułową, streszczeniem, spisem treści i rysunków, wszystkimi rozdziałami, tablicami, rysunkami i załącznikami.

Do zarejestrowania w Bibliotece Narodowej Nowej Zelandii. Opublikowano w Nowej Zelandii prywatnym nakładem autora.

Data rozpoczęcia publikacji niniejszego wyboru stron internetowych: 11 lutego 2011 roku. Data najnowszej aktualizacji niniejszej wersji tej publikacji: 25 maja 2011 roku. (W przypadku dostępu do kilku egzemplarzy tej publikacji rekomendowane jest zapoznanie się z egzemplarzem o najnowszej dacie wydruku!)

Niniejsza publikacja zawiera wydruk najbardziej aktualnych stron internetowych jej autora. Z kolei owe strony są formą szybkiego raportowania naukowego z przebiegu badań autora. Stąd prezentacja wszelkich opublikowanych tu idei, teorii, wynalazków, rozwiązań, materiałów posiadających wartość dowodową lub dokumentacyjną, itp., dokonana została według standardów przyjętych dla publikacji (raportów) naukowych. Szczególna uwaga autora skupiona była na wymogu odtwarzalności i możliwie najpełniejszego udokumentowania źródeł, t.j. aby każdy naukowiec czy hobbysta pragnący zweryfikować lub pogłębić badania autora był w stanie dotrzeć do ich źródeł (jeśli nie noszą one poufnego charakteru), powtórzyć ich przebieg, oraz dojść do tych samych lub podobnych wyników.

Niniejsza publikacja posiada zwiazek tematyczny z najważniejszą monografią naukową jej autora której najnowsze wydanie [1/5] ma następujące dane bibliograficzne:

Pająk J.: "Zaawansowane napędy magnetyczne", Monografia, Wellington, Nowa Zelandia, 2007, ISBN 978-1-877458-01-9, w 18 tomach;

Adres autora ważny w 2011 roku - tj. w czasie podjęcia pisania tej publikacji:

Dr inż. Jan Pająk

P.O. Box 33250, Petone 5046, NEW ZEALAND

Tel. domowy: +(64) 56-94-820; email: janpajak@gmail.com

STRESZCZENIE publikacji [10p] "Jan Pająk w internecie", ISBN 978-1-877458-25-5:

Jedynie młodzi wiekiem ludzie lubią czytać "strony internetowe". Starsze generacje ciągle preferują czytanie książek. Tymczasem ja jestem autorem około 100 "stron internetowych" których treść zainteresowałaby także starszą generację. Aby więc i im umożliwić zapoznanie się z moimi stronami internetowymi, przygotowałem niniejszą formę książkową z tekstem najważniejszych ze swoich "stron internetowych". Uczyniłem to tym chętniej, że zdaję sobie doskonale sprawę iż taka forma książkowa ma wiele zastosowań praktycznych, z których są w stanie skorzystać wszystkie osoby zainteresowane moim dorobkiem naukowym. Przykładowo, książka pozwala na szybkie wyszukiwanie z użyciem komputerowych rozkazów "szukaj" wszystkiego co napisałem na temat określonego słowa kluczowego. Pozwala też na poznanie moich stron przez osoby mające trudności z dostępem do internetu. Umożliwia ona systematyczne przeglądnięcie ilustracji z moich stron pozostawianych razem w tomach 4, 5 i 6. Umożliwia włączenie mojego dorobku naukowego do biblioteki z książkami. Itd., itp. Niniejsza publikacja jest więc taką właśnie formą książkową moich najważniejszych "stron internetowych". Zawiera ona wybór tych z moich "stron internetowych" które ja uważam za najważniejsze i za najbardziej reprezentacyjne dla mojego dorobku naukowego i życiowego. Niniejszą książkę z owymi stronami daje się więc czytać zarówno z ekranu komputera - tak jak czytałoby się faktyczne "strony internetowe" jakie ona zawiera, jak i można ją sobie wydrukować i czytać w formie papierowej - tak jak czyta się zwykłą książkę. Przyjemnego czytania!

Powinienem tutaj też podkreślić, że każda moja "strona internetowa" włączona w obręb niniejszej publikacji jest także dostępna w internecie jako faktyczna "strona internetowa". Nazwa pod jaką jest ona dostępna w internecie jest podana także w numeracji stron z niniejszego opracowania. Nazwa ta umieszczona jest w nawiasie zaraz po numerze kolejnym strony w niniejszej publikacji, który to numer strony jest dodatkowo poprzedzony numerem podrozdziału do którego dana "strona internetowa" została włączona.

Strony internetowe są prawdopodobnie najbardziej "płynnymi" publikacjami. Są one zmieniane, udoskonalane, poszerzane, uzupełniane, itp., niemal bez przerwy. Stąd także i niniejsze opracowanie musi być aktualizowane niemal nieustannie - tak aby nadszły one za zmianami w stronach które publikuje. Dlatego z jednej strony NIE zalecałbym aby opracowanie to drukować, chyba że to absolutnie konieczne - wszakże wydruk ten wkrótce stanie się nieaktualny jako że niniejsze opracowanie ulegnie kolejnej aktualizacji. (Tj. rekomenduję że najlepiej jest je czytać wprost z ekranu swego komputera.) Z drugiej zaś strony, przy jego sprowadzaniu z internetu rekomendowałbym sprawdzić datę jego najbardziej ostatniej aktualizacji podaną na jego stronie tytułowej. Chodzi bowiem o to aby sprowadzić sobie z internetu ten egzemplarz niniejszego opracowania który nosi najbardziej niedawną datę aktualizacji.

Nazwy stron używane w tej publikacji są identyczne do nazw tychże stron używanych w internecie. To zaś oznacza, że strony o tych nazwach można sobie łatwo załadować do komputera i przeglądać. Aby więc te same strony przeglądać w internecie, owe nazwy należy poprzedzić aktualnym adresem serwera na jakim w danym okresie czasu strony te są wystawione (pamiętać bowiem należy że totalizm używa wyłącznie darmowych serwerów których adresy często się zmieniają). Przykładowo należy np. poprzedzić adresem <http://energia.sl.pl> czy adresem <http://totalizm.nazwa.pl> (oba z których używane były w 2011 roku). Po owym poprzedzeniu nazwy strony przez adres serwera, uzyskuje się sumaryczny "adres_serwera/nazwa_strony" - czyli adres internetowy pod którym dana "strona internetowa" daje się oglądać w fizycznym internecie. Jeśli więc przykładowo chcemy znaleźć w internecie stronę która w niniejszym opracowaniu występuje pod nazwą "totalizm_pl.htm", wówczas po poprzedzeniu tej nazwy adresem serwerów otrzymuje się że strona ta jest dostępna pod adresami internetowymi np. http://energia.sl.pl/totalizm_pl.htm lub np. http://totalizm.nazwa.pl/totalizm_pl.htm .

SPIS TREŚCI publikacji [10] "Jan Pająk w internecie", ISBN 978-1-877458-25-5.

(Spis ten zawiera alfabetyczny zestaw rozdziałów i podrozdziałów niniejszej publikacji [10] z podaniem nazw "stron opublikowanych" zawartych w owych podrozdziałach oraz z podaniem numeru i oznaczenie kolejnej strony w tej publikacji od której dany podrozdział został rozpoczęty. Spis ten pozwala więc na szybkie odnajdowanie położenia danego podrozdziału w obrębie tej publikacji [10] oraz na sprawdzenie jaką "stronę internetową" podrozdział ten zawiera.)

Str: Rozdział i opis strony:

- | | |
|---|--|
| 1 | Strona tytułowa |
| 2 | Streszczenie całej niniejszej publikacji |
| 3 | Spis treści całej niniejszej publikacji |
| 7 | Alfabetyczny wykaz stron internetowych autoryzowanych przez Jana Pająk |
| 9 | Uwagi pomocne przy korzystaniu z niniejszej publikacji |

<u>Strona</u>	<u>Rozdział</u>	<u>Podrozdział z daną stroną:</u>
---------------	-----------------	-----------------------------------

Tom 0: Przebieg życia autora

100-A A. AUTOBIOGRAFIE I PRZEBIEG EDUKACJI AUTORA

- | | |
|---------------------------|---|
| 101-A1-(jan_pajak_pl.htm) | A1. Skrócona autobiografia |
| 109-A2-(pajak_jan.htm) | A2. Pełna autobiografia |
| 152-A3-(klasa.htm) | A3. Nauka w szkole średniej (LO nr 1 w Miliczu) |
| 174-A4-(lo.htm) | A4. Szkoła średnia |
| 180-A5-(rok.htm) | A5. Studia na Politechnice Wrocławskiej |
| 225-A6-(pw.htm) | A6. Politechnika Wrocławska |

233-B B. RODZINNA WIOSKA AUTORA

- | | |
|-------------------------------|----|
| 234-B1-(wszewilki.htm) | B1 |
| 294-B2-(stawczyk.htm) | B2 |
| 327-B3-(wszewilki_jutra.htm) | B3 |
| 370-B4-(wszewilki_milicz.htm) | B4 |

423-C C. ULUBIONE MIASTA AUTORA

- | | |
|----------------------|----|
| 424-C1-(milicz.htm) | C1 |
| 465-C2-(malbork.htm) | C2 |
| 501-C3-(wroclaw.htm) | C3 |

533-D D. KRAJE POZNANE PRZEZ AUTORA

- | | |
|----------------------------------|----|
| 534-D1-(newzealand_pl.htm) | D1 |
| 587-D2-(newzealand_visit_pl.htm) | D2 |
| 638-D3-(korea_pl.htm) | D3 |
| 659-D4-(hosta_pl.htm) | D4 |

662-E E. CIEKAWOSTKI POZNANE NA ŚWIECIE

- | | |
|-------------------------|----|
| 663-E1-(fruit_pl.htm) | E1 |
| 710-E2-(healing_pl.htm) | E2 |

736-F F. PRACA ZAWODOWA AUTORA

- | | |
|---------------------|-------------------------------------|
| 737-F1-(job_pl.htm) | F1. Perypetie ze znalezieniem pracy |
|---------------------|-------------------------------------|

Tom 1: Produkty polskich idei przedemigracyjnych autora z lat 1972 do 1982

1000-G G. TABLICA CYKLICZNOŚCI I TEORIA ROZWOJU NAPĘDÓW
1001-G1-(propulsion_pl.htm) G1

1021-H H. MAGNOKRAFT I INNE WYNAZKI DRA JANA PAJĄK
1022-H1-(magnocraft_pl.htm) H1
1049-H2-(oscillatory_chamber_pl.htm) H2
1082-H3-(immortality_pl.htm) H3
1138-H4-(timevehicle_pl.htm) H4
1194-H5-(fe_cell_pl.htm) H5

1234-I I. WEHIKUŁY UFO, UFONAUCI, ORAZ INNE "SYMULACJE" BOGA
1235-I1-(ufo_proof_pl.htm) I1
-I2-(ufo_pl.htm) I2
-I3-(explain_pl.htm) I3
-I4-(evidence_pl.htm) I4
-I5-(cloud_ufo_pl.htm) I5
-I6-(tapanui_pl.htm) I6
-I7-(aliens_pl.htm) I7
-I8-(memorial_pl.htm) I8
-I9-(sabotages_pl.htm) I9

J. PRZEPOWIEDNIE I PRZYSZŁOŚĆ LUDZKOŚCI

-J1-(przepowiednie.htm) J1
-J2-(humanity_pl.htm) J2
-J3-(partia_totalizmu.htm) J3

K. POMOCE NAUKOWE

-K1-(all_in_one_pl.htm) K1
-K2-(keyboard_ru.htm) K2
-K3-(keyboard_gr.htm) K3

L. ROZRYWKI

-L1-(rubik_pl.htm) L1
-L2-(rubik_16_pl.htm) L2
-L3-(po_60_tce.htm) L3
-L4-(pigs_pl.htm) L4
-L5-(pigs_zdjecia.htm) L5

Tom 2: Twórcze produkty badań autora po emigracji z Polski - lata 1982 do 1992

2000-M M. KONCEPT DIPOLARNEJ GRAWITACJI
2001-M1-(dipolar_gravity_pl.htm) M1

-N N. BÓG - DOWODY ISTNIENIA BOGA, PISMA ŚWIĘTE
-N1-(god_proof_pl.htm) N1
-N2-(god_pl.htm) N2
-N3-(soul_proof_pl.htm) N3
-N4-(biblia.htm) N4
-N5-(sw_andrzej_bobola.htm) N5

O. FILOZOFIE TOTALIZMU I PASOŻYTNICTWA

-O1-(totalizm_pl.htm)	O1	
-O2-(parasitism_pl.htm)	O2	
-O3-(nirvana_pl.htm)		O3
-O4-(prawda.htm)	O4	

P. MORALNOŚĆ LUDZKA I ZASADY MORALNEGO ŻYCIA

-P1-(will_pl.htm)	P1
-P2-(morals_pl.htm)	P2
-P3-(evil_pl.htm)	P3
-P4-(karma_pl.htm)	P4

Q. KONFRONTACJA TEORII DRA JANA PAJAŃ I TWIERDZEŃ NAUKI

-Q1-(evolution_pl.htm)	Q1
-Q2-(telekinesis_pl.htm)	Q2
-Q3-(telepathy_pl.htm)	Q3
-Q4-(eco_cars_pl.htm)	Q4
-Q5-(tfz_pl.htm)	Q5

R. HISTORYCZNE WYNALEZKI I URZĄDZENIA BADANE PRZEZ AUTORA

-R1-(mozajski.htm)	R1	
-R2-(free_energy_pl.htm)	R2	
-R3-(boiler_pl.htm)	R3	
-R4-(telekinetyka.htm)	R4	
-R5-(artefact_pl.htm)		R5

Tom 3: Filozoficzna zmiana po 2007 roku i po odkryciu iż "UFO to symulacje Boga"

3000-S S. KARANIE PRZEZ BOGA - KATAKLIZMY, KATASTROFY, ITD.

3001-S1-(seismograph_pl.htm)	S1	
-S2-(day26_pl.htm)	S2	
-S3-(god_istnieje.htm)	S3	
-S4-(changelings_pl.htm)	S4	
-S5-(katrina_pl.htm)	S5	
-S6-(hurricane_pl.htm)	S6	
-S7-(landslips_pl.htm)	S7	
-S8-(tornado_pl.htm)	S8	
-S9-(predators_pl.htm)	S9	
-S10-(plague_pl.htm)	S10	
-S11-(bitwa_o_milicz.htm)	S11	
-S12-(wtc_pl.htm)	S12	
-S13-(shuttle_pl.htm)	S13	
-S14-(bandits_pl.htm)	S14	
-S15-(military_magnocraft_pl.htm)		S15
-S16-(katowice.htm)	S16	
-S17-(antichrist_pl.htm)	S17	

T. TRAKTATY WSPÓŁAUTORYZOWANE PRZEZ AUTORA

-T1-(tekst_3b.htm)	T1
(tekst_4b.htm)	
(tekst_4c.htm)	
(7_tekst.htm)	

(tekst_7_2.htm)
 (tekst_7b.htm)

U. MONOGRAFIE AUTORA

-U1-(tekst_1_5.htm) U1
 (tekst_1_4.htm)
 (tekst_1_3.htm)
 (tekst_2.htm)
 (tekst_5_4.htm)
 (tekst_6_2.htm)
 (tekst_8.htm)
 (tekst_8_2.htm)
 -U2-(tekst_10.htm) U2

V. STRONY ORGANIZACYJNE

-V1-(faq_pl.htm) V1
 -V2-(replicate_pl.htm) V2
 -V3-(skorowidz.htm) V3

Tom 4: (1-wsze ilustracje z [1/5]) -

czyli ilustracje do stron pochodzące z monografii [1/5]

4000-X X. 1-WSZE ILUSTRACJE Z [1/5]
 A-4001 z rozdziału A w [1/5]
 B-4002 z rozdziału B w [1/5]
 C-4003 z rozdziału C w [1/5]

... ltd., itp. - odnotuj że przed numerem każdej strony z tego tomu podany jest litera rozdziału w [1/5] z którego pochodzą ilustracje zaprezentowane na owej stronie.

Tom 5: (2gie ilustracje - z opracowań innych niż [1/5]) -

czyli ilustracje do stron zaczerpnięte z kolejnych monografii i traktatów pióra dra J. Pająk

5000 Y. 2-GIE ILUSTRACJE Z POZOSTAŁYCH MONOGRAFII I TRAKTATÓW
 5001-[1e] Monografia [1e]
 5002-[1/4] Monografia [1/4]
 5003-[2e] Monografia [2e]
 Monografia [2]
 Traktat [3b]
 Traktat [4b]
 Traktat [4c]
 Monografia [5/4]
 Monografia [6/2]
 Traktat [7/2]
 Traktat [7b]
 Monografia [8/2]
 Książka [9]

Tom 6 – niniejszy: (3cie ilustracje – w tym opracowaniu [10]) -

czyli ilustracje do stron publikowane tylko w niniejszym opracowaniu [10]

6000 Z. 3-CIE ILUSTRACJE Z [10]

A-6001

- A. Bóg i tematyka religijna
- B. Kościoły, świątynie, oraz obiekty kultu, cmentarze
- C. Budynki, architektura, miasta, zamki, podziemia
- D. Nadprzyrodzone istoty
- E. Wehikuly UFO i UFOnauci
- F. Wojna, bronie, zabijanie
- G. Wynalazki, urządzenia, schematy działania
- H. Zagadki, gry, zabawy
- I. Ludzie, festiwale, praktyki religijne, znaki na ciele
- J. Autor
- K. Rodzinne strony autora
- L. Członkowie rodziny autora
- M. Szkoły, koledzy ze szkoły, nauczyciele
- N. Uczelnia, koledzy ze studiów
- O. Miejsca pracy, koledzy i studenci z miejsc zatrudnienia
- P. Znajomi i przyjaciele autora oraz dobrze poznane osoby
- Q. Wyobrażenia, twórczość, świeckie dzieła artystyczne
- R. Miasta które autor odwiedził i poznał
- S. Kraje które autor odwiedził i poznał
- T. Historia
- U. Krajobrazy – np. Nowej Zelandii
- V. Natura i zjawiska natury
- W. Obiekty naturalne, np. kamienie
- X. Rosliny, np. drzewa, oraz ich niezwykłości
- Y. Zwierzęta
- Z. Dowolne inne tematy

ALFABETYCZNY WYKAZ "STRON INTERNETOWYCH" autoryzowanych przez dra inż Jana Pajak, ze wskazaniem podrozdziałów w których te "strony internetowe" zostały tu opublikowane. (Wykaz ten pozwala na szybkie odnajdowanie podrozdziału w którym opublikowana jest dana "strona internetowa" o znanej nam nazwie, zaś z połączeniu z poprzednim "spisem treści" - na szybkie znajdowanie tej strony w obrębie niniejszej publikacji [10].)

Nazwa strony	Podrozdział w Tomie numer
aliens_pl.htm	I7 w Tomie 1
all_in_one_pl.htm	K1 w Tomie 1
antichrist_pl.htm	S17 w Tomie 3
artefact_pl.htm	R5 w Tomie 2
ase_1_2007.htm	F3 w Tomie 0
bandits_pl.htm	S14 w Tomie 3
biblia.htm	N4 w Tomie 2
bitwa_o_milicz.htm	S11 w Tomie 3
boiler_pl.htm	R3 w Tomie 2
changelings_pl.htm	S4 w Tomie 3
cloud_ufo_pl.htm	I5 w Tomie 1
day26_pl.htm	S2 w Tomie 3
dipolar_gravity_pl.htm	M1 w Tomie 2
eco_cars_pl.htm	Q4 w Tomie 2
evidence_pl.htm	I4 w Tomie 1
evil_pl.htm	L3 w Tomie 2
evolution_pl.htm	Q1 w Tomie 2
explain_pl.htm	I3 w Tomie 1
faq_pl.htm	V1 w Tomie 3
fe_cell_pl.htm	H5 w Tomie 1
free_energy_pl.htm	R2 w Tomie 2
fruit_pl.htm	E1 w Tomie 0
god_istnieje.htm	S3 w Tomie 3
god_pl.htm	N2 w Tomie 2
god_proof_pl.htm	N1 w Tomie 2
healing_pl.htm	E2 w Tomie 0
hosta_pl.htm	D4 w Tomie 0
humanity_pl.htm	J2 w Tomie 1
hurricane_pl.htm	S6 w Tomie 3
immortality_pl.htm	H3 w Tomie 1
it_2007.htm	F2 w Tomie 0
jan_pajak_pl.htm	A1 w Tomie 0
job_pl.htm	F1 w Tomie 0
karma_pl.htm	L4 w Tomie 2
katowice.htm	S16 w Tomie 3
katrina_pl.htm	S5 w Tomie 3
keyboard_gr.htm	K3 w Tomie 1
keyboard_ru.htm	K2 w Tomie 1
klasa.htm	A3 w Tomie 0
korea_pl.htm	D3 w Tomie 0
landslips_pl.htm	S7 w Tomie 3
lo.htm	A4 w Tomie 0
magnocraft_pl.htm	H1 w Tomie 1
malbork.htm	C2 w Tomie 0

memorial_pl.htm	I8 w Tomie 1
milicz.htm	C1 w Tomie 0
military_magnocraft_pl.htm	S15 w Tomie 3
morals_pl.htm	L2 w Tomie 2
mozajski.htm	R1 w Tomie 2
newzealand_pl.htm	D1 w Tomie 0
newzealand_visit_pl.htm	D2 w Tomie 0
nirvana_pl.htm	O3 w Tomie 2
oscillatory_chamber_pl.htm	H2 w Tomie 1
pajak_jan.htm	A2 w Tomie 0
parasitism_pl.htm	O2 w Tomie 2
partia_totalizmu.htm	J3 w Tomie 1
pigs_pl.htm	L4 w Tomie 1
pigs_zdjecia.htm	L5 w Tomie 1
plague_pl.htm	S10 w Tomie 3
prawda.htm	O4 w Tomie 2
predators_pl.htm	S9 w Tomie 3
propulsion_pl.htm	G1 w Tomie 1
przepowiednie.htm	J1 w Tomie 1
pw.htm	A6 w Tomie 0
po_60_tce.htm	L3 w Tomie 1
replicate_pl.htm	V2 w Tomie 3
rok.htm	A5 w Tomie 1
rubik_16_pl.htm	L2 w Tomie 1
rubik_pl.htm	L1 w Tomie 1
sabotages_pl.htm	I9 w Tomie 1
seismograph_pl.htm	S1 w Tomie 3
soul_proof_pl.htm	N3 w Tomie 2
sw_andrzej_bobola.htm	N5 w Tomie 2
shuttle_pl.htm	S13 w Tomie 3
skorowidz.htm	V3 w Tomie 3
stawczyk.htm	B2 w Tomie 0
tapanui_pl.htm	I6 w Tomie 1
tekst_1_5.htm	U1 w Tomie 3
tekst_1_4.htm	
tekst_1_3.htm	
tekst_2.htm	
tekst_3b.htm	T1 w Tomie 3
tekst_4b.htm	
tekst_4c.htm	
tekst_5_4.htm	
tekst_6_2.htm	
7_tekst.htm	
tekst_7_2.htm	
tekst_7b.htm	
tekst_8.htm	
tekst_8_2.htm	
tekst_10.htm	U2 w Tomie 2
telekinesis_pl.htm	Q2 w Tomie 2
telekinetyka.htm	R4 w Tomie 2
telepathy_pl.htm	Q3 w Tomie 2
tfz_pl.htm	Q5 w Tomie 2
timevehicle_pl.htm	H4 w Tomie 1
tornado_pl.htm	S8 w Tomie 3

totalizm_pl.htm	O1 w Tomie 2
ufo_pl.htm	I2 w Tomie 1
ufo_proof_pl.htm	I1 w Tomie 1
will_pl.htm	L1 w Tomie 2
wroclaw.htm	C3 w Tomie 0
wzewilki.htm	B1 w Tomie 0
wzewilki_milicz.htm	B4 w Tomie 0
wzewilki_jutra.htm	B3 w Tomie 0
wtc_pl.htm	S12 w Tomie 3

UWAGI oraz instrukcje:

(1) Jedynie młodzi wiekiem ludzie lubią czytać "strony internetowe". Starsze generacje ciągle preferują czytanie książek. Tymczasem ja jestem autorem około 100 "stron internetowych" których treść zainteresowałaby także starszą generację. Aby więc i im umożliwić zapoznanie się z moimi stronami internetowymi, przygotowałem niniejszą formę książkową z tekstem najważniejszych ze swoich "stron internetowych". Uczyniłem to tym chętniej, że zdaję sobie doskonale sprawę iż taka forma książkowa ma wiele zastosowań praktycznych, z których są w stanie skorzystać wszystkie osoby zainteresowane moim dorobkiem naukowym. Przykładowo, książka pozwala na szybkie wyszukiwanie z użyciem komputerowych rozkazów "szukaj" wszystkiego co napisałem na temat określonego słowa kluczowego. Pozwala też na poznanie moich stron przez osoby mające trudności z dostępem do internetu. Umożliwia ona systematyczne przeglądnięcie ilustracji z moich stron pozostawianych razem w tomach 4, 5 i 6. Umożliwia włączenie mojego dorobku naukowego do biblioteki z książkami. Itd., itp. Niniejsza publikacja jest więc taką właśnie formą książkową moich najważniejszych "stron internetowych". Zawiera ona wybór tych z moich "stron internetowych" które ja uważam za najważniejsze i za najbardziej reprezentacyjne dla mojego dorobku naukowego i życiowego. Niniejszą książkę z owymi stronami daje się więc czytać zarówno z ekranu komputera - tak jak czytałoby się faktyczne "strony internetowe" jakie ona zawiera, jak i można ją sobie wydrukować i czytać w formie papierowej - tak jak czyta się zwykłą książkę. Przyjemnego czytania!

(2) Strony internetowe są prawdopodobnie najbardziej "płynnymi" publikacjami. Są one zmieniane, udoskonalane, poszerzane, uzupełniane, itp., niemal bez przerwy. Stąd także i niniejsze opracowanie musi być aktualizowane niemal nieustannie - tak aby nadążało ono za zmianami w stronach które publikuje. Dlatego z jednej strony NIE zalecałbym aby opracowanie to drukować, chyba że z jakich powodów jest to wymagane - wszakże wydruk ten wkrótce stanie się nieaktualny jako że niniejsze opracowanie ulegnie kolejnej aktualizacji. (Tj. rekomenduję że najlepiej jest je czytać wprost z ekranu swego komputera.) Z drugiej zaś strony, przy jego sprowadzaniu z internetu rekomendowałbym sprawdzić datę jego najbardziej ostaniej aktualizacji podaną na jego stronie tytułowej. Chodzi bowiem o to aby sprowadzić sobie z internetu ten egzemplarz niniejszego opracowania który nosi najbardziej niedawną datę aktualizacji.

(3) Powiniennem tutaj podkreślić, że każda moja "strona internetowa" włączona w obręb niniejszej publikacji jest także dostępna w internecie jako faktyczna "strona internetowa". Nazwa pod jaką jest ona dostępna w internecie jest podana także w numeracji stron z niniejszego opracowania. Nazwa ta umieszczona jest w nawiasie zaraz po numerze kolejnym strony w niniejszej publikacji, który to numer strony jest dodatkowo uzupełniony numerem podrozdziału do którego dana "strona internetowa" została włączona.

(4) Nazwy stron używane w tej publikacji są identyczne do nazw tychże stron używanych w internecie. To zaś oznacza, że strony o tych nazwach można też sobie łatwo załadować do komputera i przeglądać. Aby więc te same strony przeglądać w internecie, owe nazwy należy poprzedzić aktualnym adresem serwera na jakim w danym okresie czasu strony te są wystawione (pamiętać bowiem należy że totalizm używa wyłącznie darmowych serwerów których adresy często się zmieniają). Przykładowo należy np. poprzedzić adresem <http://energia.sl.pl> czy adresem <http://totalizm.nazwa.pl> (oba z których używane były w 2011 roku). Po owym poprzedzeniu nazwy strony przez adres serwera, uzyskuje się sumaryczny "adres_serwera/nazwa_strony" - czyli adres internetowy pod którym dana "strona internetowa" daje się oglądać w fizycznym internecie. Jeśli więc przykładowo chcemy znaleźć w internecie stronę która w niniejszym opracowaniu występuje pod nazwą "totalizm_pl.htm", wówczas po poprzedzeniu tej nazwy adresem serwerów otrzymuje się że strona ta jest dostępna pod adresami internetowymi np. http://energia.sl.pl/totalizm_pl.htm lub np. http://totalizm.nazwa.pl/totalizm_pl.htm .

(5) Ilustracje do poszczególnych stron internetowych zostały zebrane razem w

odrębne tomy z końca tej publikacji. Numer kolejny danej ilustracji oraz tom (tj. symbol jednej z moich monografii) w którym można ją znaleźć, dla każdej strony zostały podane w nawiasie okrągłym zaraz po numerze tej ilustracji na danej stronie. (Proszę donotować, że każda ilustracja na moich stronach internetowych nosi podwójny numer. Pierwsza część tego numeru to numer tej ilustracji na danej stronie, natomiast druga część podana w nawiasie okrągłym zawiera informację z której mojej publikacji dana ilustracja pochodzi, oraz jaki jest numer tej ilustracji w danej publikacji.) Warto tu też dodać, że najważniejsze z ilustracji pochodzą z mojej najnowszej monografii oznaczonej symbolem [1/5]. Dlatego niezależnie od ostatnich tomów niniejszej publikacji, te same ilustracje można też znaleźć w owej monografii [1/5] (a także w innych moich publikacjach podanych w nawiasach po numerze każdej ilustracji). Tylko ilustracje najmniej istotne dla mojego dorobku naukowego są pokazane na stronach internetowych, chociaż NIE zostały one równocześnie opublikowane w żadnym z moich opracowań papierowych (tj. typu książkowego). Czytelnik łatwo pozna te mało-istotne ilustracje, bowiem mają one tylko pojedynczy numer.

(6) Kiedy się czyta którąkolwiek stronę z niniejszej publikacji, wówczas dobrze jest jednocześnie otworzyć sobie tomy z ilustracjami i trzymać je otwarte w odrębnych okienkach "Windows". Podczas zaś czytania w tekście strony o jakiejś ilustracji, wystarczy potem tylko przerzucać swoją uwagę z okienka (strony) z tekstem na inne okienko z omawianą tam ilustracją. Przerzucania tej uwagi daje się wówczas szybko dokonywać z pomocą pojedynczych kliknięć myszą.

Rozdział A:**AUTOBIOGRAFIE I PRZEBIEG EDUKACJI AUTORA**

Niniejszy rozdział A zawiera strony prezentujące "autobiografie" oraz "przebieg edukacji" autora. Są one więc jakby streszczeniem tego co najważniejszego zaszło w życiu autora.

Autor przygotował aż dwie strony autobiograficzne. Krótsza z nich o nazwie "**jan_pajak_pl.htm**" początkowo była przeznaczona do witryn z wykładami dla studentów autora. Autor przestał ją jednak uzupełniać i poszerzać z chwilą kiedy utracił pracę wykładowcy i NIE mógł już znaleźć dla siebie następnej pracy. Dlatego do dzisiaj pozostaje ona krótka. Dłuższa strona autobiograficzna o nazwie "**pajak_jan.htm**" przeznaczona była do witryn z wynalazkami i z filozoficznymi prezentacjami autora, stąd była ona obszerniejsza. Oto owe strony:

Podrozdział A1:

Dr Jan Pajak: notka autobiograficzna (skrótowa)

#1. Przebieg mojego życia:

Urodziłem się w 1946 roku w maleńkiej wiosce jaka przez najdłuższy okres czasu nazywała się Wszewilki (wioska ta często zmieniała nazwę). Jest ona zlokalizowana w południowo-zachodnim obszarze Polski (tj. niedaleko do Niemiec i Czech). Mój ojciec był mechanikiem o tzw. "złoty rękach" - znaczy naprawiał wszystko co się popsuło w promieniu dziesiątków kilometrów od naszego domu, zaczynając od zegarków i zegarów, poprzez rowery i różne maszyny, a skończywszy na ogromnych silnikach gazowych jakie napędzały pompy w miejscowych wodociągach. (Faktycznie to był on nawet zatrudniony przez gazownię w Miliczu aby utrzymywał owe wodociągi miejskie w stanie działającym). Obecnie się zastanawiam, jak on właściwie mógł mnie tolerować, jako że cokolwiek zreperował jednego wieczora, natychmiast ja rozmontowywałem to następnego dnia kiedy on był w pracy, aby zobaczyć jak to działa. Oczywiście, nie zawsze też zdołałem potem to poskładać z powrotem tak aby działało jak powinno. (Szczególnie trudnymi do poskładania tak aby potem działały okazywały się małe zegarki. Po tym więc jak doświadczyłem kilkakrotnie jak mój ojciec reaguje na widok rozmontowanych zegarków które on naprawił jedynie noc wcześniej, z wolna nauczyłem się powstrzymywać swoją ciekawość dowiedzenia się co właściwie powoduje że owe zegarki tykają.) Moja matka była gospodynią domową - skromny geniusz matematyczny. Była ona w stanie liczyć w pamięci niemal tak samo szybko jak to czynią dzisiejsze komputery. Jej zdolności obliczeniowe zawsze szokowały sprzedawców w sklepach, dostarczając wiele uciechy mi i mojej siostrze z którą często towarzyszyliśmy mamie w wyprawach na zakupy. Moja edukacja podążała typowym kursem komunistycznej Polski. Najpierw (w 1953 roku) zacząłem uczęszczać do szkoły podstawowej w pobliskim Miliczu (w owym czasie mającym około 6000 mieszkańców). Ukończyłem ową podstawówkę w 1960 roku. Potem zacząłem uczęszczać do szkoły średniej (od 1960 do 1964), którą było Liceum Ogólnokształcące w Miliczu. Maturę zdałem w 1964 roku. Świadectwo maturalne upoważniało mnie do wstępu na wyższe uczelnie. Wybrałem studia na Politechnice Wrocławskiej, która w owym czasie była jedną z najbardziej renomowanych uczelni w Polsce. (Na bazie swojej obecnej znajomości poziomu nauczania w innych uniwersytetach świata, ja osobiście wierzę, że w owym czasie była ona najlepszą uczelnią w Polsce, a jednocześnie jedną z najlepszych uczelni na świecie.) Przypadało wówczas około 12 kandydatów na każde wolne miejsce z owej Politechniki, stąd jedynie zdanie egzaminów wstępnych okazało się ogromnym sukcesem. Studiowałem tam od 1964 roku do 1970 roku. Po otrzymaniu dyplomu owej politechniki, w 1970 roku zostałem przez nią zatrudniony najpierw jako asystent stażysta, potem jako asystent, dalej jako starszy asystent, zaś po obronie pracy doktorskiej w 1974 roku - jako adiunkt ("adiunkt" w Polsce jest odpowiednikiem dla tzw. "Reader" z angielskich uniwersytetów). Potem tornado zmian politycznych zmioło Polskę. Zostałem członkiem Solidarności, zaś kiedy Solidarność została utopiona, ja utonąłem wraz z nią. "Polowanie na czarownicę" zostało rozpoczęte. Jak to było z każdym byłem działaczem Solidarności, moje życie znalazło się wówczas w niebezpieczeństwie. Któregoś dnia byłem nawet ścigany i niemal postrzelony przez policję. Z pomocą dobrych przyjaciół zdołałem opuścić Polskę i wyemigrować do Nowej Zelandii - zanim reżymowi udało się mnie złapać i wysłać na Syberię. Wylądowałem w Nowej Zelandii w 1982 roku. Moja pierwsza praca była tam na Canterbury University w Christchurch. Potem pracowałem w Southland Polytechnic z Invercargill. Następnie na Otago University w Dunedin. Tuż przed tym kiedy pierwsze oznaki depresji ekonomicznej uderzyły Nową Zelandię, w 1990 roku straciłem pracę na Otago University. Przez następne 2 lata byłem bezrobotnym. W końcu, w 1992 roku zdecydowałem się opuścić Nową Zelandię oraz szukać chleba poza jej granicami. Podpisałem kontrakty na profesury uniwersyteckie najpierw na Eastern Mediterranean

University z miasta Famagusta na Północnym Cyprze, potem na University Malaya w Kuala Lumpur, Malezja, w końcu zaś na University of Malaysia Sarawak z miasta Kuching na tropikalnej Wyspie Borneo. Po tym jednak jak "Kryzys Azjatycki" obezwładnił także i Malezję, poczynając od 1999 roku udało mi się zabezpieczyć dla siebie pracę w Nowej Zelandii. Niestety nastąpiło to za słoną cenę. Wszakże rolniczo nastawiona Nowa Zelandia nie potrzebuje ludzi z moją ekspertyzą techniczną. Stąd oddawała mi wielką przysługę że wogóle miała jakieś zatrudnienie dla mnie. Wylądowałem więc na najniższej pozycji akademickiej jaka była dostępna na maleńskiej Aoraki Politechnice z miasteczka Timaru. Niestety, pod koniec 2000 roku zostałem zwolniony z nawet owej najniższej pozycji. Powodem zwolnienia jaki wówczas mi zakomunikowano, był raptowny i niespodziewany spadek liczby studentów na owej politechnice. Od dnia 12 lutego 2001 roku zacząłem pracować jako akademik (po angielsku: "academic staff member") w Wellington Institute of Technology zlokalizowanym na przedmieściu stolicy Nowej Zelandii, czyli w Petone pod Wellington - także będąc zatrudniony na najniższej pozycji akademickiej jaka była tam dostępna. W Wellington pracowałem aż do 22 lipca 2005 roku, kiedy to zwolniono mnie z pracy z wyjaśnieniem że liczba studentów tej uczelni raptownie spadła. Faktycznie też ów spadek był tak znaczny, że stał się łatwym do odnotowania nawet gołym okiem - od początku 2005 roku uczelnia ta stała się niemal zupełnie pusta. Po owej utracie, nigdy NIE zdołałem znaleźć już w Nowej Zelandii jakiegokolwiek następnej pracy. Okazało się również, że prawa Nowej Zelandii są celowo tak zaprojektowane, aby osobom w mojej sytuacji NIE przysługiwało tam prawo do otrzymania zasiłku dla bezrobotnych.

#2. Wykładanie w wielu zakątkach świata:

W Polsce lat 1970-tych używane było powiedzenie "życzę ci abyś żył w interesujących czasach". (Miało ono jakoby pochodzić z Chin, jednak ja spędziłem wiele czasu wśród Chińczyków i żaden z nich nigdy o nim nie słyszał.) Było ono grzeczną formą naubliżania komuś. Zamiast bowiem kogoś przeklinać, czy wysyłać go do piekła, Polacy w owych czasach zwykli grzecznie mu życzyć aby "żył w interesujących czasach". Otóż moje życie okazuje się być właśnie takim. Ja "żyję w interesujących czasach", a także mam "interesujące życie". Chociaż nigdy o nie się nie prosiłem, los dał mi okazję życia, zarabiania na siebie, oraz dokonywania badań naukowych pośród wielu interesujących ludzi i w wielu interesujących krajach świata, jakie są zlokalizowane w odległych obszarach naszej planety. Także moje życie okazało się pełne przygód, ciągłych zmian, wydarzeń, itp. I tak, przez okres nie krótszy od jednego roku żyłem, prowadziłem badania, oraz wykładałem w Polsce, Nowej Zelandii, Północnym Cyprze, lądowej Malezji, na malezyjskim Borneo, oraz ponownie w Nowej Zelandii (po powrocie do Nowej Zelandii w 1999 roku, filozoficznie i ekonomicznie okazała się ona być już zupełnie innym krajem, niż ten jaki opuściłem w 1992 roku w poszukiwaniu chleba). Ponadto wizytowałem naukowo Niemcy Wschodnie (przez 2 miesiące), Bułgarię (przez 1 miesiąc), oraz Czechosłowację (przez 2 tygodnie). Oczywiście, musimy tutaj pamiętać, że zarabianie na życie w jakimkolwiek kraju dostarcza całkowicie odmiennych doświadczeń niż zwykłe odwiedzenie tego kraju jako turysta.

* * *

Powyższe interesujące życie wędrownego wykładowcy jest uzupełniane równie interesującą pracą w przemyśle. Przez wiele lat byłem doradcą naukowym w największym polskim zakładzie produkującym komputery, mianowicie w MERA-ELWRO (to właśnie stamtąd wywodzi się moja ekspertyza komputerowa). Faktycznie, kiedy zaczynałem tam pracować, MERA-ELWRO była też największą fabryką komputerów we Wschodniej Europie. Niestety, potem zakład ten został zlikwidowany - nie mogę więc obecnie podać tutaj linku do jego strony internetowej. Jedyne co po nim przetrwało to miniaturowy zakład usługowy który nosi nieco podobną nazwę Elwro-System, jednak który wcale nie reprezentuje tradycji oryginalnego Mera-Elwro. Potem byłem konsultantem naukowym w ogromnej fabryce produkującej autobusy i ciężarówki, również zlokalizowanej w Polsce a nazywającej się wówczas POLMO-JELCZ. Zatrudniała ona wtedy około 12 000 pracowników. Faktycznie też, kiedy oglądam się teraz do tyłu, wówczas widzę że większość

mojego życia spędziłem na przenoszeniu się z miejsca na miejsce i na zmienianiu pracy (ale nie z własnej woli). Istnieje powiedzenie "zmiana jest przyprawą życia" (po angielsku: "variety is a spice of life"). Jednak jak wiele przypraw człowiek jest w stanie przełknąć. Zauważ że można zobaczyć powiększenie każdej fotografii z niniejszej strony internetowej, poprzez zwykłe kliknięcie na tą fotografię. Ponadto większość browserów jakie obecnie są w użyciu, włączając w to także popularny "Internet Explorer", pozwala także na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększać, a także drukować, za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

Fot. #2a (Z1 z [1/5]): Oto moje zdjęcie (tj. zdjęcie dra J. Pajaka). Wykonałem je w dniu 19 lipca 2004 roku dla dowodu osobistego. Odzwierciedla ono dosyć dobrze jak obecnie wyglądam.

Fot. #2b (J2 z [10]): Oto ja (Dr Jan Pajak) w tzw. "moście po niebie" (tj. "sky bridge") z 42 piętra KLCC. Sfotografowany 30 grudnia 2002 roku. Nazwa KLCC używana jest dla dwóch drapaczy chmur skonstruowanych jako "bliźniaki" (tj. "twin towers") w centrum Kuala Lumpur, Malezja. Są one jedynymi "bliźniakami" na świecie które ciągle stoją, a które należą do ekskluzywnego klubu najwyższych budynków świata. Ów "most po niebie" łączy ze sobą te dwa drapacze chmur na nieco mniej niż połowa ich wysokości. Pozycja owego "mostu po niebie" jaki łączy obie wieże jest lepiej widoczna na następującym zdjęciu pokazującym całe KLCC.

Fot. #2c (C3 z [10]): Oto jak wyglądają owe słynne wieże KLCC. Tak na marginesie, to KLCC jest jednym z cudów technicznych dzisiejszego świata. Dlatego jeśli ktoś jest już w Kuala Lumpur, lub gdzieś blisko tej metropolii, wówczas gorąco bym zachęcał aby odwiedzić te drapacze chmur i zobaczyć je na własne oczy.

#3. Powtarzalne wzloty i upadki:

Jeśli ktoś mógłby kiedykolwiek zostać rozgrzeszony za posiadanie fatalistycznego spojrzenia na życie, prawdopodobnie byłbym to ja. Wszakże całe moje życie składa się z niekończących się cykli wzlotów i upadków. Jakikolwiek obszar mojego życia nie byłby rozpatrywany, zawsze toczy się on zgodnie z tym samym wzorcem. Mianowicie, najpierw wolno i pracowicie buduję jakieś osiągnięcia w owym obszarze. Potem zaś przychodzi jakaś dziwna katastrofa która rujnuje mi wszystko, tak że zmuszony jestem zaczynać ponownie od samego początku, itd., itp. Faktycznie też wszystko to wygląda tak jakby niewidzialne "szatańskie istoty" zawsze podążały moimi śladami przez całe moje życie i upewniały się że wszystko co mozolnie buduję szybko ponownie się zawala. Rezultat jest taki, że jak dotychczas nigdy nie posiadałem własnego domu, że większość czasu cały mój dorobek życiowy musiał dawać się załadować do jednej walizki, że po wyemigrowaniu z Polski średni okres mojego zatrudnienia w tej samej instytucji nie przekracza 3 lat, a także że nigdy nie wiedziałem, ani nie wiem, co przytrafi mi się już jutro.

Aby dostarczyć tutaj przykład mechanizmu owych nieustannych wzlotów i upadków, przejrzyjmy wspólnie historię moich zatrudnień, które (jak wszystko inne w moim życiu) także im podlega. Najpierw miałem dającą dużo osobistej satysfakcji pracę naukowca przecierającego nowe szlaki na Politechnice Wrocławskiej (Polska). Szybko awansowałem po akademickiej drabinie, zaczynając pracę jako młodszy asystent, zaś w przeciągu 4 lat osiągając poziom adiunkta (tj. najwyższą pozycję którą bezpartyjni naukowcy mogli zajmować w komunistycznej Polsce). Potem, kiedy czasy zaczęły się stopniowo zmieniać, zaś możliwości dalszych promocji zwolna były wypracowywane, zmuszony zostałem do uciekania z Polski, jako że mojemu życiu zagroziło niebezpieczeństwo. W Nowej Zelandii ponownie więc zacząłem od samego początku. Początkowo byłem tzw. "Post-Doctoral

Fellow" na University of Canterbury, potem zostałem starszym wychowawcą (po angielsku Senior Tutor) na politechnice w Southland, potem zostałem "Senior Lecturer" na University of Otago. Kiedy jednak zaczęły się dla mnie otwierać szanse na osiągnięcie nawet wyższej pozycji w Nowej Zelandii, nagle zostałem wyrzucony z pracy (za badania eksplozji Tapanui) i zostałem bezrobotnym. Z czasem zmuszony też byłem uciekać z Nowej Zelandii dla znalezienia chleba. Podpisałem trzy kolejne kontrakty na pozycje profesora nadzwyczajnego (po angielsku: Associate Professor). Kiedy jednak w 1998 roku złożyłem podanie na pozycję profesora zwyczajnego, oraz właśnie miałem pozycję tą otrzymać, nagle tzw. "kryzys azjatycki" (po angielsku "Asian Crisis") uderzył, zaś możliwości dalszego zatrudnienia w kraju jaki faktycznie potrzebował kogoś z moim rodzajem ekspertyzy akademickiej natychmiast zniknęły. Wróciłem więc do Nowej Zelandii i zacząłem wszystko od początku od najniższej pozycji akademickiej jaka w owym czasie istniała w Nowej Zelandii.

W ten sposób, w obszarze zawodowym do dzisiaj już trzykrotnie wpinałem się do góry po drabinie akademickiej i trzykrotnie spadałem na samo dno. Oczywiście, nie jestem wykonany ze stali, dlatego każdy upadek odczuwam dosyć boleśnie. W moim pierwszym wspinaniu się po tej drabinie zdołałem dotrzeć do około jej połowy, zanim zniszczenie oryginalnej wersji "Solidarności" w Polsce zrzuciło mnie ponownie do początkowego poziomu. W drugim wspinaniu się osiągnąłem około ćwierć wysokości tej drabiny, zanim zostałem bezrobotnym w Nowej Zelandii. Trzecie wspinanie się po tej drabinie akademickiej wyniosło mnie niemal do jej szczytu, jednak trzeci upadek jaki po nim następował zepchnął mnie do obecnej najniższej pozycji całego mojego życia (tj. na bezrobociu). Stoję więc obecnie na poziomie zerowym owej drabiny akademickiej, patrzę w górę ze zgrozą, oraz filozoficznie deliberuję co powinienem uczynić dalej. Czy powinienem przewartościować swoje cele życiowe i filozofię, zapomnieć o zmaganiu, oraz w pokoju odczekiwać na emeryturę na obecnej najniższej pozycji mojego życia (tj. na bezrobociu). Czy też powinienem podleczyć rany z poprzednich upadków, odbudować swoją energię, zaś po rozpoczęciu ponownego wspinania się zaryzykować czwarty upadek w moim życiu. Co ty czytelniku uczyniłbyś na moim miejscu?

Na szczęście istnieje też dobra strona w owych wszystkich moich nieustannych wzlotach i upadkach. Jest nią moja ekspertyza, jaka nieustannie się powiększa. (Chociaż mój ojciec zwykł powiadać, że "uczymy się całe życie, a i tak umieramy głupcami".) Zaś owo podnoszenie się mojej ekspertyzy wcale nie podlega okresowym upadkom, jak tamte materialne aspekty życia to czynią. Stąd, jeśli kiedyś mam pozostawić na Ziemi jakiś ślad po sobie, najprawdopodobniej śladem tym będzie coś, co wynika z mojego niezwykłego przebiegu życia, jakiego bez przerwy doświadczam.

#4. Powtarzalne utraty wszystkiego co uprzednio posiadałem i osiągnąłem:

Każdy mój kolejny upadek życiowy miał też to następstwo, że traciłem też wówczas praktycznie wszystko co uprzednio posiadałem i osiągnąłem. Poza wiedzą i doświadczeniem, praktycznie niemal NIC innego nie wynosiłem z uprzedniego życia. Przykładowo, kiedy w 1990 roku utraciłem pracę w Nowej Zelandii, zaś upadek gospodarczy i raptowne zmiany grupowej moralności tego kraju uniemożliwiły mi znalezienie nowej pracy przez aż dwa następne lata - a nawet pozbawiały mnie prawa do zasiłku dla bezrobotnych, w swoją kolejną wędrówkę po świecie "za chlebem" ponownie wyjechałem z całym dorobkiem ograniczonym do jednej walizki - czyli z tak samo niemal pustymi rękami jak uprzednio wyjechałem z Polski (tj. po upadku "Solidarności" pod koniec 1981 roku). Z równie niemal pustymi rękami wyjechałem z Malezji w 1998 roku - zaraz po tym jak została ona uderzona słynnym "kryzysem azjatyckim" (notabene - jak tam twierdzono, podobno sztucznie zaindukowanym przez zachłanność i niemoralność tylko jednego fanansisty zachodniego). Doskonale więc rozumiem i podzielam ból oraz rozczarowanie wszystkich tych ludzi, którzy z jakiegoś powodu (np. trzęsienia ziemi, kataklizmu, pożaru, rewolucji, wojny, zachłanności i niemoralności innych ludzi, itp.) także tracą niemal cały swój uprzedni dorobek życiowy. Szczerze mówiąc, to całe moje życie wygląda tak jakby Bóg celowo mnie doświadcział wszelkimi możliwymi nieszczęściami które

dotykają innych ludzi - tak abym dokładnie wiedział jak inni się czują, potrafił z nimi się identyfikować, oraz miał motywację do energicznej walki o moralność i o lepszą ludzkość. Przykładowo, zaraz po wyemigrowaniu z wówczas niemal nie znającej przestępców Polski, nie miałem jeszcze przykrych doświadczeń z kieszonkowcami, stąd w początkowym okresie w miejscu swej pracy aż dwukrotnie moje nieostrożne nawyki doprowadziły iż ukradziono mi tam cały portfel ze sporymi sumami pieniędzy i z wszystkimi dokumentami. Z kolei w 1985 roku do mojego mieszkania w Invercargill włamało się dwóch młodocianych przestępców którzy zabrali z niego wszystko co było tam wartościowego, zaś zwandalizowali resztę moich rzeczy. (Takie włamania młodocianych są szeroko upowszechnione w Nowej Zelandii.) Wprawdzie milicja potem ich złapała, jednak w Nowej Zelandii młodociani przestępcy to "święte krowy" których nikt nie ośmiela się faktycznie ukarać. Dlatego pomimo ich złapania nie odzyskałem żadnego z ukradzionych mi rzeczy ani nie otrzymałem jakiegokolwiek odszkodowania. Z kolei w dniu 27 marca 2011 roku dwóch rosyjskich złodziei ukradło mój (wiernie mi służący przez niemal już ćwierć wieku) samochód Ford Laser - czyli jedyny relatywnie wartościowy obiekt którego w swym życiu się dorobiłem. Takie kradzieże samochodów są istną plagą Nowej Zelandii - ponownie więc Bóg najwyraźniej pozwolił mi poznać jak typowi obywatele czują się w tym oblaźłym przestępcami kraju. Powinienem tu też dodać, że w relatywnie młodym wieku utraciłem swoich rodziców. Stąd równie dobrze jest mi znany ból i żałoba które się odczuwa po utracie najbliższych. Potrafię więc szczerze się identyfikować z każdym kto utracił kogoś bardzo mu bliskiego. Oba rodzaje powyższych strat i tragedii osobistych, tj. zarówno moje powtarzalne utraty dorobku życiowego, jak i strata bliskich mi rodziców, otwały dla mnie filozoficzne zrozumienie wszystkiego co w życiu możemy utracić. Stąd obecnie na straty życiowe NIE patrzę wyłącznie jako na ból i tragedię osobistą, a widzę w nich także ową siłę motoryczną jaka uwalnia ukryte w nas potencjały (jeden z licznych takich potencjałów uświadamia nam angielskie powiedzenie "to co cię NIE zabije, uczyni cię silniejszym" - w oryginale angielskojęzycznym "what does not kill you, will make you stronger").

#5. Doświadczenie wielu odmiennych kultur:

Podczas mojej interesującej kariery zawodowej miałem okazję pracować w wielu odmiennych krajach, jakie reprezentują cały szereg odmiennych kultur. To z kolei pozwoliło mi zgromadzić prawdziwie wielokulturowe doświadczenia. Znacząca proporcja tych doświadczeń została osiągnięta w krajach Azjatyckich oraz w kulturach Orientu. Wszakże moje doświadczenie zawodowe obejmuje zatrudnienie na uniwersytetach (lub na innych uczelniach wyższych) Polski (przez 12 lat), Nowej Zelandii (przez 15 lat), Północnego Cypru - tj. Tureckiego (przez 1 rok), Malezji (przez 3 lata), oraz Malezyjskiej części Wyspy Borneo (przez 2 lata). Podczas owego zawodowego wędrowania po świecie zawsze starałem się brać udział we wszelkich wielorasowych obchodach i obrządkach, szczególnie w egzotycznej Malezji. W rezultacie, zdołałem zgromadzić ogromną pulę obserwacji na temat zwyczajów i kultur odmiennych narodów, ich postaw filozoficznych, zasad zachowania się, obszarów czułości, postępowania, wierzeń, religii, przesądów, zwyczajów, itp. Gromadziłem także przysłowia, mity, przesady, oraz zwyczaje ludowe najróżniejszych narodów. Faktycznie też druga książka jaką w 2003 roku razem z moim bratem zdołaliśmy opublikować w Polsce w dwóch językach pod tytułem "Przysłowia Wschodu oraz z innych stron świata - Proverbs of the Orient and from other corners of the world", Poznań (Adres wydawcy: "Wydawnictwo Poznańskie", Ul. Fredry 8, 61-701 Poznań), 2003 rok, ISBN 83-7177-273-4, 551 stron; zawiera kolekcję około 2700 przysłów zaprezentowanych w dwóch językach - mianowicie po angielsku i po polsku. Owe przysłowia zdołałem zakumulować podczas ostatnich 12 lat moich prac zawodowych w najróżniejszych krajach. Znacząca ich liczba wywodzi się z kultur Orientu i Azji, włączając w to: Japonię, Koreę, Chiny, Malezję, Dayaków z Borneo, oraz cały szereg innych.

Fot. #5 (1 z [9]): Oto jak wygląda okładka książki pióra Czesław Pajak i Jan Pajak: "Przysłowia Wschodu oraz z innych stron świata". Razem z moim bratem opublikowaliśmy

tą książkę w Polsce w 2003 roku. Zawiera ona około 2700 przysłów. Każde przysłowie jest zaprezentowane w dwóch wersjach językowych, mianowicie polskojęzycznej i angielskojęzycznej.

#6. Profesury w dwóch odmiennych dyscyplinach:

Prawdopodobnie nie istnieje wielu uczonych, którzy zdołali zgromadzić aż tak ogromny zasób doświadczenia zawodowego jaki ja zakumulowałem. Aby podać tutaj konkretny przykład, to zdołałem osiągnąć poziom akademicki profesora nadzwyczajnego (po angielsku: Associate Professor) w dwóch całkowicie odmiennych dyscyplinach zawodowych, mianowicie w naukach komputerowych oraz w inżynierii mechanicznej. Także mój doktorat (jestem przecież doktorem nauk technicznych) został wypracowany w owych dwóch dyscyplinach jednocześnie. Gdybym przygotował wykaz wszystkich przedmiotów jakie kiedykolwiek wykładałem w swoim życiu, niemal z całą pewnością wystarczyłoby to na stworzenie niewielkiej politechniki. Faktycznie też wierzę, że pracowałem na jednej takiej maleńkiej politechnice (mianowicie w Timaru, Nowa Zelandia) w jakiej całkowita ilość przedmiotów wykładanych była mniejsza od liczby przedmiotów jakie ja wykładałem w całym swoim życiu.

#7. Honory, stopnie, tytuły:

Typowy przebieg studiów na Politechnice Wrocławskiej jakie ja ukończyłem zajmuje 6 lat dla mojej specjalizacji. Po tym jak ukończyłem owe studia, otrzymałem dwa stopnie, mianowicie Magistra i Inżyniera (Mgr, inż.).

* * *

Podczas ostatniego roku studiów przyznano mi tzw. "Stypendium naukowe", jakie na Politechnice Wrocławskiej było zarezerwowane dla najbardziej wyróżniających się studentów. Owo stypendium posiadało wpisany w siebie warunek, że po zakończeniu studiów Politechnika Wrocławska rezerwuje sobie prawo do zatrudnienia mnie jako pracownika dydaktycznego. Stąd natychmiast po ukończeniu studiów zacząłem badania nad swoją pracą doktorską. Pracę tą ukończyłem już po 4 latach, broniąc swego doktoratu w dniu 6 czerwca 1974 roku. Doktorat dał mi tytuł naukowy "Doktora Nauk Technicznych". Przez następne 4 miesiące po obronie swego doktoratu byłem najmłodszym doktorem na Politechnice Wrocławskiej. Oczywiście, po obronie pracy doktorskiej ciągle kontynuowałem swoje badania i wykłady. W owym czasie moi studenci przyznali mi tytuł "wykładowcy roku". Tytuł ten otrzymałem od nich w dwóch kolejnych latach tuż przed wyemigrowaniem z Polski.

* * *

Niezależnie od doktoratu, posiadam także cały szereg innych tytułów i stopni, jakie wyglądają dosyć ładnie opisane w życiorysie. Jeden z nich jest wynikiem obowiązkowej w ówczesnej Polsce służby wojskowej. Początkowo zacząłem ową służbę jako saper. Z kolei głównym zajęciem saperów jest budowanie mostów, dróg, lotnisk, układanie pól minowych oraz późniejsze rozbrajanie ich, wysadzanie w powietrze wszelkich przeszkód na drodze, niszczenie starych bomb i pocisków, oraz wiele więcej. Kiedy dana armia atakuje, saperzy idą przed jej czołem, aby przygotować drogę dla ciężkiego sprzętu wojennego. (Stąd saperom zwykle się obrywa od obu walczących stron - są bici ogniem wroga jak i zasypywani "przyjacielskimi kulami" od swoich.) Saperzy są właśnie tymi wojskowymi o których popularne powiedzenie stwierdza, że jakoby "popołniają oni tylko jeden błąd w całym życiu". (Dzieje się tak ponieważ duża część ich obowiązków obejmuje rozbrajanie bomb, zaś niemal nikt nie przeżywa popełnienia błędu z bombą.) Stąd różni sarkastyczni saperzy dodawali do owego powiedzenia, że owym jedynym błędem jaki popełnili w życiu było zostanie saperami. To właśnie podczas służby w saperach poznałem prawdziwe znaczenie angielskiego przysłowia "kiedy praca jest warta wykonania, wówczas jest też warta aby wykonać ją dobrze" (po angielsku: "when a work is worth being done, it is worth being done well"). Było tak ponieważ w owym czasie wśród polskich saperów panowała długa tradycja, że jeśli dana jednostka żołnierzy zbudowała most, wówczas wszyscy żołnierze szli pod ów most kiedy pierwszy czołg po nim się przetaczał. (Ciekawe czy owa

tradycja przetrwała aż do dzisiejszych czasów demokracji i wolności wypowiedzenia się.) Osobiście wierzę, że niezapomniane uczucia jakich się doświadcza kiedy czołg przetacza się po moście jaki właśnie się zbudowało, jaki nie był jeszcze testowany, a pod jakim właśnie się stoi razem w innymi żołnierzami, okazałyby się bezcenne dla tych wszystkich młodych ludzi którzy nie są w stanie wykrzesać z siebie żadnych motywacji do działania.

W późniejszym stadium mojej służby wojskowej w Polskiej armii, moje wysokie zdolności techniczne zostały docenione i zostałem przeniesiony do "inżynierii uzbrojenia", znaczy do służby która działa jako wielko-skalowi zbrojmistrze, zajmując się naprawą i utrzymywaniem w ruchu wszelkiego sprzętu używanego przez innych żołnierzy (jak czołgi, działa, broń, środki transportowe, itp.). Podczas owej obowiązkowej służby wojskowej w polskiej armii zostałem promowany do stopnia oficerskiego, tak że w czasie opuszczania Polski byłem już podporucznikiem.

* * *

Poza Polską także dorobiłem się najróżniejszych zaszczytów poprzez studiowanie, badania, oraz promocje zawodowe. Dwa najbardziej istotne z nich były kiedy podczas swojej kariery zawodowej osiągnąłem poziom Profesora Nadzwyczajnego (po angielsku: Associate Professor) w dwóch odmiennych dyscyplinach. Stąd moje honory obejmują także między innymi tytuły byłego profesora nadzwyczajnego w inżynierii mechanicznej, oraz byłego profesora zwyczajnego w naukach komputerowych.

#8. Życie osobiste:

Motto: "Jeśli negować istnienie nadrzędnych boskich celów, to jak uzasadnić potrzebę aby utytułowany książę poślubił pospolitkę, zaś pospolita poślubił utytułowaną księżniczkę?"

Istnieje jeden honor jakiego dostąpiłem w swoim życiu, a jaki jest szczególnie miły mojemu sercu. Jest to moja żona. Jej ojciec był jednym z owych arystokratów z Orientu, który stracił swoją fortunę, jednak utrzymał tytuł. Stąd moja żona odziedziczyła rodowy tytuł "Szejka" od niego, jednak bez fortuny Szejka jaka by z tytułem tym się wiązała. (Dzięki Bogu, w przeciwnym wypadku ja nigdy nie miałbym możliwości aby ją poznać - wszakże księżniczki z majątkami nie chadzają tymi samymi co ja szlakami "piechurów". Nie wspominając już faktu, że wówczas moja żona zapewne byłaby rodzajem popsutej bogaczki, niemożliwej do współżycia ze "zwykłym śmiertelnikiem" - takim jak ja.) Kobiety obdarzone przez Boga rodowym tytułem Szejka - takim jak tytuł mojej żony, są ogromnym rarytasem na skalę światową. Prawdopodobnie wszystkich "żeńskich Szejków" z całego świata możnaby policzyć na palcach jednej ręki. Z całą też pewnością jest ich znacznie mniej na całym świecie, niż tylko w Europie jest np. królowych. Jest ich nawet mniej niż rodowych księżniczek w choćby tylko jednym zachodnio-europejskim kraju ciągle utrzymującym Monarchię. Jeśli zaś któraś orientalna kobieta obdarzona już zostaje przez Boga owym niezwykłym tytułem Szejka, wówczas jest ona faktycznie wybitną osobą. Przykładowo, całemu światu zapewne ogromnie imponują rozumne posunięcia żeńskiego Szejka o nazwisku Sheikh Hasina - po jej objęciu stanowiska głowy państwa Bangladesz. W dzisiejszych trudnych czasach nasze małżeństwo jest więc wysoce symboliczne. Udowadnia ono bowiem, że kultura Orientu może współistnieć z kulturą Europy na zasadach wzajemnej miłości, poszanowania i pokoju, oraz że każda z tych dwóch doniosłych kultur jest w stanie wzbogacać życie tej drugiej. W czasach mojego dzieciństwa starzy ludzie opowiadali dawne polskie wierzenie w tzw. "złoty róg". (Istnienie tego staropolskiego wierzenia jest utrwalone m.in. w klejnocie literackim Stanisława Wyspiańskiego o tytule "Wesele".) Zgodnie z nim, każda osoba raz w życiu otrzymuje od Boga ów "złoty róg" wypełniony najróżniejszymi wspaniałościami i dobrodziejstwami. Dla każdego jednak człowieka Bóg "maskuje" ten "złoty róg" pod czymś odmiennym, tak że wielu ludzi go NIE rozpoznaje i odrzuca po otrzymaniu. Kluczem więc do uzyskania szczęśliwego i spełnionego życia jest aby umieć rozpoznać kiedy i pod jaką postacią Bóg daje nam ów "złoty róg", oraz aby przyjąć go z wdzięcznością i podziękowaniem. Ja zdołałem rozpoznać swój "złoty róg" - którym okazała się być moja żona. Tak więc ów

honor jaki jest szczególnie miły mojemu sercu, to że jestem mężem pięknej kobiety która nie tylko nosi tytuł Szejka, ale również posiada klasę faktycznej księżniczki. Najzabawniejsze (a także wysoce romantyczne), jest to, że o fakcie iż moja żona jest orientálną arystokratką dowiedziałem się dopiero w dniu naszego ślubu - kiedy urzędniczka miała trudności ze zmieszczeniem jej oficjalnego nazwiska i tytułów w zaprojektowanej dla pospolitych ludzi rubryce aktu małżeństwa. Uprzednio bowiem znałem ją tylko jako ogromnie miłą kobietkę o porywającej osobowości z którą czas zawsze mija wysoce interesująco, tyle że która ma bardzo skomplikowane nazwisko jakie dla względów praktycznych należy maksymalnie upraszczać. Z kolei, że faktycznie żona ma w genach wrodzoną klasę i szlachetność orientálnej księżniczki, uświadomiłem sobie dopiero po kilku latach naszego małżeństwa. Najwyraźniej więc Bóg posłużył się jej przykładem aby mi uświadomić iż za staropolskim przysłowiem "trafiło mu się jak ślepej kurze ziarno" faktycznie kryje się mechanizm inteligentnego działania, celowości i nadrzędnej sprawiedliwości, a także by mi udowodnić, że aby być wysoce cenione, nagrody za prowadzenie moralnego życia wcale nie muszą mieć materialnego charakteru. Obecnie często się zastanawiam, jak mąż utytułowanego żeńskiego Szejka powinien być nazywany. Czy jest on Szejkanek (po angielsku: Sheikher), Szejkomość (po angielsku: Sheikhness), czy Szejkowski (po angielsku: Shaker)? A może jeszcze coś innego? Wszakże gdybym był mężem księżniczki z, powiedzmy, Anglii, zwracano by się zapewne do mnie "jego wielmożność", "jego wysokość", czy też "jego eminencja", nie zaś: "hej ty Pająk"!

Fot. #8 (J1 z [10]): "Oparciem niekonwencjonalnego mężczyzny jest niezwykła kobieta." Ja (dr inż. Jan Pająk) w Rzymie z moim żeńskim Szejkiem. (Kliknij na to zdjęcie jeśli zechcesz je powiększyć.)

Źródłem ogromnego komfortu jest dla mnie świadomość, że Bóg na tyle docenia moje wysiłki i oddanie poszukiwaniom prawdy, iż na współtowarzyszkę życia dał mi prawdziwą "Perłę Orientu" która jest faktyczną księżniczką nie tylko z urodzenia i z odziedziczonego tytułu, ale także ma klasę szlachetnej orientálnej księżniczki zakodowaną w sobie na stałe, tj. w swoich genach, charakterze, zachowaniu, kulturze, zwyczajach, naturze, smaku, itp.

Moje adresy kontaktowe podaje koniec strony [pajak_jan.htm](#) z pełną wersją tej autobiografii.

Data zapoczątkowania budowy tej strony internetowej: 25 maja 2004 roku.

Moje sytuacja odzwierciedlana treścią tej strony pozostaje bez zmiany od 2005 roku, chociaż sformułowanie tej strony było kosmetycznie udoskonalane w marcu 2011 roku. (Sprawdź pod adresami w menu nowsze wersje tej strony!)

Podrozdział A2:

Dr inż. Jan Pajak: notka autobiograficzna (pełna)

Tak się jakoś składa, że kiedykolwiek natykamy się na czyjś dorobek twórczy który albo nam imponuje, albo też nas obrusza, zwykle chcemy także poznać i życie autora tego dorobku. Ponieważ dzięki internetowi sporo ludzi ma okazję poznania mojego dorobku twórczego, poczuwam się do obowiązku aby pozwolić im także poznać co ważniejsze szczegóły z mojego życia. Niniejsza strona prezentuje właśnie owe szczegóły.

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Jakie są cele tej strony:

Jakiegokolwiek by nie były powody dla których czytelniku zabłądziłeś na niniejszą stronę, jednym z nich zapewne jest chęć poznania mojego życia. Dlatego głównym celem jaki sobie postawiłem formułując tą stronę, jest zaprezentowanie możliwie największej ilości informacji na temat mojego życia, w możliwie jak najmniejszej objętości.

Kiedykolwiek zestawii się ze sobą dowolne informacje, zawsze nieświadomie przekazuje się wraz z nimi jakieś uczucia, poglądy, idee, itp. W niektórych też przypadkach, zupełnie bez naszego zamiaru, owe nieświadome przekazy mogą u czytelnika zadominować nad informacją którą dany tekst zawiera. Dzieje się tak zresztą relatywnie często. Często bowiem my sami przyłapujemy się podczas czytania czyjśgo tekstu, że wzbudza on w nas uczucia które są drastycznie odmiennego rodzaju niż informacja w tekście tym zawarta. Oczywiście, każdy taki przypadek niezamierzonego indukowania u czytającego jakichś przekornych uczuć, poglądów, czy idei, niweluje obiektywizm w asymilacji przeczytanych informacji. Dlatego dodatkowym (trudniejszym) celem jaki ja też nałożyłem na treść tej strony, jest takie zestawienie informacji na temat mojego życia, aby owe nieświadome przekazy nie zagłuszały sobą informacji które staram się przekazać treścią pisaną. Znaczą, aby albo całkowicie te przekazy wyeliminować, lub chociaż znacząco je zminimalizować.

#A2. Historia tej strony - tj. jest to już trzecia wersja niniejszej notki biograficznej:

Motto: "Najrudniej jest pisać o sobie samym."

Wszystkie tzw. totalizyczne strony internetowe, włączając w to niniejszą stronę, są produktem moich hobbyistycznych badań naukowych. (Odnotuj, że nazwa totalizyczne strony internetowe wynika z faktu że strony te albo propagują wysoce moralną, pokojową, postępową, inspirującą, budującą i udoskonalającą filozofię codziennego życia zwaną totalizmem moralnym, albo też prezentują tematy których zarekomendowanie uwadze czytelnika jest postulowane właśnie przez ową filozofię totalizmu.) Jak też zostało to udokumentowane na niniejszej stronie, owe totalizyczne strony internetowe nie mają niemal nic wspólnego z moją działalnością zawodową ani z moimi miejscami pracy. Jako takie, strony te pisane były przez długi okres czasu, niektóre z nich datując się jeszcze z 1999 roku. Pisane też były w różnych miejscach świata. Z czasem powstało też ich dosyć sporo. Na samym początku, do każdej z takich nowo napisanych totalizycznych stron włączałem niewielką informację "o autorze". Informację taką ciągle jeszcze można znaleźć w punkcie #H2 strony totalizm_pl.htm - o filozofii totalizmu. Z czasem jednak, kiedy stron tych przybywało, doszedłem do wniosku, że zamiast za każdym razem dodawać punkt "o autorze", raczej stworzę jedną odrębną stronę autobiograficzną z opisami mojego życia, potem zaś z owych totalizycznych stron jedynie odeślę do niej zainteresowanych

czytelników. W taki oto sposób w 2004 roku powstało pierwsze sformułowanie niniejszej strony. (W owym 2004 roku istniało już ponad 100 odrębnych stron totalizycznych prezentujących około 50 odrębnych tematów. Stron tych było dużo, ponieważ każdy z tematów które one prezentowały był tłumaczony na co najmniej 2 języki, tj. polski i angielski, niektóre zaś tematy były tłumaczone aż na 6 odmiennych języków. Do dzisiaj opracowanych już zostało ponad 200 takich totalizycznych stron prezentujących około 90 tematów.)

Gdyby owej pierwszej wersji mojej autobiograficznej strony "o autorze" z 2004 roku usiłować nadać jakiś reprezentujący ją tytuł, wówczas można by ją zatytułować za każdym dorobkiem i ideą stoi zwykły człowiek. Strona owa streszczała bowiem moje życie. Odpowiadała ona mniej więcej treści części #B z niniejszej strony. Jednak w 2005 roku zaszły dosyć przykre dla mnie zmiany w moim życiu. Mianowicie, ponownie straciłem wówczas pracę. Z kolei sytuacja w kraju w którym mieszkałem zapowiadała że minie dużo czasu zanim znajdę następną. Na dodatek okazało się że zgodnie z prawami owego kraju nie kwalifikuję się na zasiłek dla bezrobotnych. Nie tylko więc zapowiadało się że długo nie będę miał pracy, ale na dodatek wyglądało na to że będę musiał żyć ze swoich oszczędności. Taka właśnie sytuacja braku zatrudnienia i braku źródła dochodu w mojej nowej ojczyźnie powracała do mnie jak zepsuty szeląg. Gdybym nie zdecydował się szukać chleba poza jej granicami, w mojej nowej ojczyźnie byłbym niemal tyle samo czasu bezrobotnym co byłem tam zatrudnionym. Dlatego w 2005 roku postanowiłem przeredagować niniejszą stronę. Owej drugiej, przeredagowanej jej wersji można nadać tytuł jeśli jakiś rodzaj negatywnych zdarzeń powtarzalnie wraca do nas w życiu jak przysłowiowy "zepsuty szeląg", wówczas przestaje on być przypadkiem, a staje się czyjąś ukrytą ingerencją w nasze życie z której to ingerencji należy zacząć zdawać sobie sprawę i powyciągać z niej właściwe wnioski. W owej drugiej przeredagowanej formie, z taką właśnie myślą przewodnią, strona ta dostępna była w internecie aż do czasu upowszechnienia zaprezentowanego tutaj jej trzeciego przeredagowywania, które dokonane zostało w marcu 2008 roku.

Jak wszystko co moralne, pokojowe i postępowe, także filozofia totalizmu oraz związane z nią idee upowszechniane przez totalizyczne strony, mają wielu wrogów. Podczas licznych dyskusji internetowych które prowadziłem z tymi wrogami w 2007 i na początku 2008 roku, zorientowałem się że jednym z istotniejszych źródeł amunicji którą owi wrogowie totalizmu i idei z totalizmem związanych używali dla obrzydzania tych idei u innych ludzi, było właśnie sformułowanie niniejszej strony z 2005 roku. Dlatego w marcu 2008 roku postanowiłem ponownie, po raz już trzeci, przeredagować niniejszą stronę. Owo najnowsze jej przeredagowanie, zaprezentowane tutaj, można zatytułować każde zdarzenie w naszym życiu posiada przyczyny które są odpowiedzialne za jego spowodowanie, oraz skutki które ono samo spowoduje.

W trakcie trzeciego przeredagowywania niniejszej strony w marcu 2008 roku, starałem się też przeredagować ujęcie opisów tej strony. Mianowicie, poprzednie dwie wersje tej strony pisane były w sposób jaki w środowisku akademickim typowo jest używany do formułowania autobiografii - tj. pisane jakby z punktu widzenia trzeciej osoby która analizuje nasze życie. Tymczasem obecna, trzecia wersja tej strony pisana jest z mojego własnego punktu widzenia - tj. prezentowana tak jak ja subiektywnie widzę swoimi oczami, odczuwam, wierzę i rozumiem poruszane tu sprawy.

Za każdym razem kiedy zmiana mojej sytuacji życiowej domagała się zmiany lub uaktualizowania niniejszej strony autobiograficznej, zawsze uświadamiałem też sobie że przeredagowanie tej strony przychodzi mi z ogromną trudnością. Wiele lat temu przypadkowo słyszałem jak ktoś prominentny twierdził coś w rodzaju, że "mówienie o sobie samym przychodzi mu łatwo stąd jest w stanie mówić o sobie samym całymi godzinami". W moim jednak przypadku jest zupełnie odwrotnie - mianowicie pisanie o sobie samym przychodzi mi z największą trudnością. Stąd w miarę kompletne opisanie mojego życia kosztuje mnie wiele wysiłku i zajmuje bardzo dużo czasu. Uważam jednak, że winny jestem czytelnikowi jakąś rzetelną i autoryzowaną przez siebie informację na swój własny temat. Stąd chociaż z wielkimi oporami i trudem, ciągle starałem się opracować tą stronę tak

sumiennie jak tylko zdołałem.

Część #B: Ogólny przebieg mojego życia:

#B1. Przebieg mojego życia:

Życie każdego człowieka podobno daje się streścić jednym słowem. W moim przypadku słowem tym zapewne byłaby "walka" albo "zmaganie się". Zmaganie mojego życia zaczęło się jeszcze na długo zanim miałem się urodzić. Jakaś "mroczna moc" najwyraźniej nie chciała abym pojawił się na tym świecie. Stąd życie obojga moich rodziców często ratowane musiało być cudem. Przykładowo, na króko przed wojną jakiś bandzior strzelał w głowę mego ojca z odległości zaledwie około dwóch metrów - i ciągle chybił. Natomiast podczas wojny mój ojciec wzięty został do niewoli i umieszczony w obozie pracy w Peenemunde - wyspie słynnej potem z jej pocisków V2 oraz ich wyrzutni. Oczywiście kiedy alianci zbombardowali Peenemunde, wcale nie rozgraniczali pomiędzy wyrzutniami, fabryką pocisków, a obozem więźniów. Ojciec potem opowiadał że nawet woda wówczas tam się paliła, zaś w całym Peenemunde nie dało się potem zobaczyć nawet jednej całej cegły. Jakimś jednak cudem mój ojciec wyszedł bez szwanku. Ponieważ niemal wszyscy zostali wtedy tam zabici zaś płoty obozu zniszczone, on sam opuścił obóz i wybrał się piechotą do domu. Niestety, nie doszedł daleko, bo zatrzymali go na moście przez Odrę. Na szczęście, zamiast z miejsca go rozstrzelać - jak to mieli w zwyczaju czynić z uciekinierami z obozów, zdecydowali się wy badać jakie powiązania ma on z aliantami skoro ci pozostawili go żywym podczas gdy wszyscy inni zostali wybici do nogi. Potem ojciec się skarżył że podczas tego śledztwa nie tylko dwóch w czarnych mundurach tak się zmęczyło okładaniem go pałkami, że aż musieli bić go na zmiany, ale że również nakazywali mu aby liczył w ichnim języku każde uderzenie jakie mu zaserwowali. Ponieważ jednak NIE doszukali się żadnej "konspiracji" w jego wyjściu z obozu, pozostawili go żywym i tylko odesłali ponownie na roboty. Z kolei moja matka na krótko po wojnie zanim zaszła w ciążę, skaleczyła obie swoje nogi na ściernisku i dostała w nich zakażenia czymś czego wówczas lekarze nie potrafili ani nazwać ani wyleczyć. Obecnie prawdopodobnie nazwano by to "flesh eating bacteria" (tj. "bakteria zjadająca ciało ludzkie"). Typowo ludzie od tego bardzo szybko umierają. Gdyby więc i moja matka wówczas umarła, ja nigdy bym nie otrzymał szansy aby się urodzić. Matka jednak jakoś przeżyła - chociaż owa bakteria zjadała stopniowo jej nogi praktycznie aż do końca jej życia. W ten sposób owa "mroczna moc" nie dopięła jednak swego i dane mi było się urodzić.

Urodziłem się w 1946 roku w maleńkiej wioseczce która przez najdłuższy okres czasu nazywała się Wszewilki. (Wioska ta często bowiem zmieniała swoją nazwę.) Na temat owej wioseczki napisałem nieco więcej w następnym punkcie tej strony. Po urodzeniu mieszkałem we Wszewilkach aż do 18 roku swojego życia, tj. od 1946 roku aż do 1964 roku, czyli aż do czasu kiedy wybrałem się na studia do pobliskiego miasta Wrocławia.

Mój ojciec był mechanikiem o tzw. "złoty rękach". Znaczący naprawiał on wszystko co się popsuło w promieniu dziesiątków kilometrów od naszego domu, zaczynając od zegarków i zegarów, poprzez rowery i różne maszyny, a skończywszy na ogromnych silnikach gazowych jakie napędzały pompy w miejscowych starych wodociągach. Faktycznie to był on nawet zatrudniony przez gazownię w pobliskim miasteczku Miliczu aby utrzymywał owe stare wodociągi miejskie w stanie działającym. Obecnie się zastanawiam, jak on właściwie mógł mnie tolerować, jako że cokolwiek zreperował jednego wieczora, natychmiast ja rozmontowywałem to następnego dnia kiedy on był w pracy, aby zobaczyć jak to działa. Oczywiście, nie zawsze też zdołałem potem to poskładać z powrotem tak aby działało jak powinno. (Szczególnie trudnymi do poskładania, tak aby potem działały, okazywały się małe zegarki. Po tym więc jak doświadczyłem kilkakrotnie jak mój ojciec reaguje na widok rozmontowanych zegarków które on naprawił jedynie noc wcześniej, zwolna nauczyłem się powstrzymywać swoją ciekawość dowiedzenia się co właściwie powoduje że owe zegarki tykają.) Owo praktyczne podejście

do wszystkiego od strony zasady działania i budowy wewnętrznej pozostało mi z dzieciństwa na całą resztę życia. Na wszystko też później patrzyłem właśnie z tego punktu widzenia - znaczy jak to jest skonstruowane, jak to działa, jak to daje się zbudować, itp. W swoich badaniach naukowych zawsze też byłem praktykiem, który fizycznie eksperymentuje, mierzy, buduje, wykonuje, docieka, itp., a nie który jedynie opowiada czy rysuje. Niestety, po wyemigrowaniu z Polski NIE było mi dane kontynuować tej praktycznej tradycji, bowiem się okazało że w innych krajach ludzie z mojego środowiska niczego sami NIE budują praktycznie, a jedynie o tym mówią czysto teoretycznie.

Moja matka była gospodynią domową - skromny geniusz matematyczny. Była ona w stanie liczyć w pamięci niemal tak samo szybko jak to czynią dzisiejsze komputery. Jej zdolności obliczeniowe zawsze szokowały sprzedawców w sklepach, dostarczając wiele uciechy mi i mojej siostrze z którą często towarzyszyliśmy mamie w wyprawach na zakupy.

Pierwsze lata mego życia dominowane były przez "zmaganie się", oraz przez niebezpieczeństwa. Moi rodzice byli bardzo biedni - tylko z trudnością jakoś przeżywali. Zaś na mnie jakby jakaś "mroczna moc" uparcie polowała. Tylko do czasu ukończenia szkoły podstawowej zapamiętałem siedem zdarzeń kiedy omal nie straciłem życia - włączając w to "przypadkowe" przestrzelenie mojej czapki na głowie z dubeltówki we wsi Cielcza w 1957 roku - opisany także w punkcie #H2 strony [god_proof_pl.htm](#) (ocalałem wtedy tylko dzięki koledze który przejął swoim ciałem niemal cały ładunek). Z kolei do chwili obecnej naliczyłem się już niemal trzydziestu takich przypadków. Najbardziej szokujący z nich miał miejsce 13 listopada 1990 roku, kiedy to pojechałem na spotkanie z moim przyjacielem, Gary Holden, mieszkającym w Aramoana. Na szczęście coś zmusiło mnie abym zawrócił w swej drodze - w przeciwnym wypadku z całą pewnością bym zginął w masakrze która wówczas zaczęła się właśnie w domu Gary'ego.

Moja edukacja podążała typowym kursem komunistycznej Polski. Najpierw (w 1953 roku) zacząłem uczęszczać do szkoły podstawowej w pobliskim miasteczku Miliczu (w owym czasie mającym około 6000 mieszkańców). Ukończyłem ową podstawówkę w 1960 roku. Potem zacząłem uczęszczać do szkoły średniej (od 1960 do 1964), którą było Liceum Ogólnokształcące w Miliczu. Maturę zdałem w 1964 roku. Świadectwo maturalne upoważniało mnie do wstępu na wyższe uczelnie. Wybrałem studia na Politechnice Wrocławskiej, która w owym czasie była jedną z najbardziej renomowanych uczelni w Polsce. (Na bazie swojej obecnej znajomości poziomu nauczania w innych uniwersytetach świata, ja osobiście wierzę, że w owym czasie była ona nie tylko najlepszą uczelnią w Polsce, ale jednocześnie i jedną z najlepszych uczelni na świecie.) Przypadało wówczas około 12 kandydatów na każde wolne miejsce z owej Politechniki, stąd jedynie zdanie egzaminów wstępnych okazało się ogromnym sukcesem. Studiowałem tam od 1964 roku do 1970 roku. Przez ostatni rok studiów otrzymywałem specjalne "stypendium naukowe" zarezerwowane tylko dla kilku najlepszych studentów. Stypendium to upoważniało do zostania zatrudnionym na uczelni po zakończeniu studiów.

Swoje dorosłe życie w socjalistycznej Polsce rozpocząłem w 1970 roku po otrzymaniu dyplomu politechniki wrocławskiej. Zostałem wówczas zatrudniony przez tą politechnikę najpierw jako asystent stażysta, potem jako asystent, dalej jako starszy asystent, zaś po obronie pracy doktorskiej w 1974 roku - jako adiunkt ("adiunkt" w Polsce jest odpowiednikiem dla tzw. "Reader" z angielskich uniwersytetów). Gdyby spróbować jakoś nazwać tamten okres w moim życiu, możnaby go tytułować "sukcesy zawodowe nie poparte poczuciem spełnienia". Szybko wspinałem się w hierarchii akademickiej. Studenci uwielbiali moje dobrze przygotowane i nowoczesne wykłady - w 1981 roku wybierając mnie nawet "wykładowcą roku". Z kolei przełożeni doceniali moją biegłość w najnowszej technice i wielodyscyplinarną ekspertyzę. W kraju szybko wyrobiłem sobie opinię jednego z najlepszych ekspertów w zakresie sterowania numerycznego, oprogramowania inżynierskiego, oraz komputeryzacji. Byłem autorem jedynego wówczas w całym kraju komputerowego języka do programowania obrabiarek sterowanych numerycznie. Moja wysoka ekspertyza w aż dwóch dyscyplinach (tj. w inżynierii mechanicznej i w informatyce) spowodowała że stałem się poszukiwanym specjalistą i wiele zakładów pracy ubiegało się o moje usługi. W sumie pracowałem więc na uczelni na pełnym etacie i równocześnie w

przemysle na pół etatu. Materialnie powodziło mi się też relatywnie dobrze jak na ówczesne warunki. Był to jedyny okres w moim życiu kiedy posiadałem duże, wygodne i nowoczesne mieszkanie z ładnym umeblowaniem, oraz z własnym gabinetem do pracy. Miałem też samochód Fiata 126p. Każde wakacje spędzałem na przyjemnych wczasach. Żyłem też w systemie politycznym który nie na darmo nazywany był "socjalizmem". W miarę swoich możliwości państwo zaspokajało w nim bowiem najważniejsze potrzeby narodu. Przykładowo, każdy miał gwarancję pracy i źródła utrzymania. Cała edukacja i służba zdrowia były za darmo otwarte dla każdego. Ich jakość ciągle była wówczas relatywnie wysoka. Państwo przyjmowało też na siebie odpowiedzialność za dostarczenie każdemu mieszkania, transportu publicznego, opieki nad dziećmi, oraz wypoczynku wakacyjnego. W rezultacie tego wszystkiego nie wiedziałem wówczas co to poczucie bycia niechcianym, własnej bezwartości i bezsilności, perspektywa bezrobocia w nieskończoność, czy braku pieniędzy na podstawowe potrzeby. Ani też mi, ani innym rodakom, nie były wówczas znane narkotyki, bezdomność, desperacka przestępczość, itp. Jednak system polityczny w którym żyłem stwarzał niepokoje innego rodzaju. Wynikały one głównie z dyktatorstwa i "rządów pięści", które ówczesny rząd praktykował wobec rządzonego przez siebie narodu. Przykładowo z okna mojej sypialni widać było brzegi ogromnego poligonu na którym stacjonowały wyrzutnie SSKi z głowicami atomowymi. (W dzisiejszych czasach też stoją tam nuklearne wyrzutnie, tyle że poustawiane dla odmiany przez państwo w które tamte SSKi były wycelowane.) Wszystkim w okolicy było więc wiadomym, że mieszkamy "na nuklearnej tarczy". Wszakże w przypadku jakiegokolwiek konfliktu, te wyrzutnie będą najpierw niszczone bombami atomowymi strony porzecznej. Mogło więc się zdarzyć że po czymś "zaswędzeniu palca" nasz dom zwyczajnie by został odparowany. Inne czynniki które też psuły ówczesne poczucie spełnienia życiowego, była tzw. "propaganda sukcesu", brak sprawiedliwości (szczególnie ustawianie rządzących "ponad prawem"), brak wolności prasy i wolności wypowiedzi, głuchota rządzących na petycje narodu oraz wynikająca z tej głuchoty postępująca demoralizacja polityczna. Najtrudniejsze do przełknięcia były jednak pogłębiające się pustki w sklepach. Z braku doświadczenia życiowego i z nieznaności innych ustrojów, w tamtych czasach wszyscy wierzyliśmy, że te problemy i napięcia wynikają z wad samego ustroju. Nie wiedzieliśmy wówczas jeszcze, że dokładnie takie same problemy mogą dawać się ludziom we znaki w praktycznie każdym ustroju - tyle tylko że wyzwalane tam będą nieco odmiennymi mechanizmami. Ponieważ każda akcja wyzwała odpowiadającą jej reakcję, w rezultacie owych "rządów pięści" i usterek ustroju jaki nas otaczał, w prawie całym narodzie którego byłem częścią zaczęło narastać życzenie transformacji z socjalizmu do innego, lepszego ustroju. Jednym zaś innym ustrojem który wówczas istniał, był kapitalizm.

W 1980 roku tornado zmian politycznych zaczęło zmiatać Polskę. Najpierw powstała "Solidarność". Potem niemal każdy patriotyczny Polak stał się jej członkiem. Ja byłem jednym z pierwszych jej członków. Potem nastął "stan wojenny" i wyniszczenie Solidarności. W owym czasie wszystkim dziwiło że po każdym spotkaniu z Lechem Wałęsą, wszyscy aktywiści Solidarności uczestniczący w owym spotkaniu zawsze zostawali aresztowani. Sprawa wyjaśniła się dopiero w 2008 roku, kiedy to dwaj polscy badacze historii, S. Cenckiewicz i P. Gontarczyk, opublikowali książkę "The Secret Police and Lech Wałęsa", 780 stron, w której ujawnili dokumentację iż przywódca Solidarności zaś późniejszy Prezydent Polski i laureat Nagrody Nobla faktycznie był kolaborantem tajnej policji i że to właśnie owa tajna komunistyczna policja awansowała go do wszystkich tych honorów. (Książka ta i jej konsekwencje omawiane były m.in. w artykule "Walesa fingered as a communist spy", tj. "Wałęsa wytknięty jako szpieg komunistów", ze strony A20 gazety The New Zealand Herald, wydanie z czwartku (Thursday), June 26, 2008.) Nic dziwnego że owa oryginalna Solidarność szybko została utopiona w zdradzie i intrygach. Kiedy zaś Solidarność została utopiona, ja utonąłem wraz z nią. "Polowanie na czarownice" zostało rozpoczęte w Polsce. Jak to było z każdym byłem działaczem Solidarności, moje życie znalazło się wówczas w niebezpieczeństwie. Któregoś dnia byłem nawet ścigany i niemal postrzelony przez policję. Z pomocą dobrych przyjaciół zdołałem opuścić Polskę i wyemigrować do Nowej Zelandii - zanim reżymowi udało się mnie na czymś złapać i wysłać

na Syberię. Wylądowałem w Nowej Zelandii w 1982 roku. W rok później byłem już jej tzw. "permanent resident", czyli osoba uprawniona tam do pracy zarobkowej. W 1985 roku zostałem obywatelem Nowej Zelandii.

Życie na emigracji w epoce dobrobytu oczywiście było nieporównanie łatwiejsze i przyjemniejsze niż w komunistycznej Polsce. W czasach mojego wyemigrowania z Polski, Nowa Zelandia była rządzona przez doskonałego przywódcę. Nazywał się on Sir Robert Muldoon (1921-1992) i był on Prime-Ministrem Nowej Zelandii od 1975 do 1984 roku. Nowa Zelandia przechodziła wówczas przez okres jednej z najlepszych sytuacji ekonomicznych i socjalnych w całej swojej historii. Początkowo więc bez trudu znajdowałem tam pracę. Przez pierwszy rok (tj. 1982) pobytu na emigracji zatrudniony byłem na Canterbury University ze słonecznego i pięknego miasta Christchurch. Miałem spore szczęście aby tam pracować, bowiem Christchurch moim zdaniem jest najpiękniejszym, klimatycznie najprzyjemniejszym, oraz najlepiej zlokalizowanym miastem w całej Nowej Zelandii. Z kolei przez następne cztery lata (tj. 1983 do 1987) pracowałem na Southland Polytechnic w Invercargill - tj. w najbardziej na południe wysuniętym dużym mieście świata. W owym czasie Nowa Zelandia była niemal rajem na Ziemi. Doskonałe rządy jej przywódcy powodowały, że praca była praktycznie dla każdego, w kraju rozwijał się przemysł, oraz istniało tam duże zapotrzebowanie na wysokich specjalistów z moim poziomem eksperyty. Rząd Muldoon'a budował tak dużo nowych fabryk, elektrowni, dróg, budynków publicznych, itp. - że później nawet po ponad ćwierć wieku rozsprzedawania, zamykania, zaniedbywania, biurokratyzowania, oraz zaduszania przez następne rządy, ciągle nie wszystkie z nich dały się zniszczyć, zbankrutować, lub wygonić z kraju. Ulice pełne były tam roześmianych, zadowolonych z życia, oraz szczęśliwych ludzi. Do Nowej Zelandii emigrowali ludzie z Europy, USA, Australii i z innych bogatych krajów świata, zaś emigracja odpływowa niemal tam nie istniała (przykładowo, Sir Robert Muldoon cytowany był w wielu publikacjach za swoje słynne wówczas powiedzenie, że "Nowozelandczycy którzy emigrują do Australii podnoszą poziom IQ w obu tych krajach"). Nowozelandzki dolar był wtedy równy dolarowi USA. Sklepy były pełne wszelkich nowoczesnych dóbr, większość których była wytwarzana na miejscu, zaś ludzie mieli pieniądze aby je kupować. Przestępczość niemal tam nie istniała - np. większość Nowozelandczyków wyjeżdżających na miasto zostawiała drzwi domów zapraszająco otwarte. Edukacja i opieka zdrowotna była za darmo dla każdego. Praktykowana też tam była prawdziwa wolność prasy oraz szczerą, rzeczową, bezbłędną i pozbawioną propagandy informacja rządowa.

W czasach kiedy jako uczestnik Solidarności narażałem swoje życie dla urzeczywistnienia systemu społecznego który byłby "lepszy" od socjalizmu, miałem dosyć klarowne wyobrażenie jak taki lepszy system powinien wyglądać. Po przybyciu do Nowej Zelandii z miłym dla siebie zaskoczeniem odkryłem, że rządy Sir Robert'a Muldoon faktycznie urzeczywistniały taki "idealny" moim własnym zdaniem system. Dlatego ja osobiście należę do niewielkiej liczebnie grupy tych co admirują wielkość i genialność owego wspaniałego męża stanu. Moim zdaniem, gdyby zamiast niewielką Nową Zelandią ten ogromnie zdolny przywódca rządził np. Stanami Zjednoczonymi lub Rosją, swoimi osiągnięciami przyćmiłby tam wszystkich największych przywódców świata, włączając w to Kennedy'ego i Piotra Wielkiego. Kiedyś zupełnie też nie mogło mi pomieścić się w głowie "dlaczego?" przywódca za którego rządów Nowa Zelandia była szczytem dobrobytu i rajem na Ziemi, w czasach swych rządów miał aż tak silną opozycję, zaś do dzisiaj ma aż tak niską opinię w oczach swoich własnych ziomków. W 2009 roku wypracowałem jednak odpowiedź na owo pytanie "dlaczego?", oraz wyjaśniłem tą odpowiedź w "części #G" strony internetowej [eco_cars_pl.htm](#) - o wynalazkach bezzanieczyszczeniowych samochodów. (Mianowicie, przeszkody i prześladowania dotyczące każdą twórczą osobę wprowadzającą postęp na Ziemi, wynikają z "prawa moralnego" które stwierdza że "każde moralne działanie ludzkie musi przełamywać się wzdłuż tzw. 'linii największego oporu', tj. oporu który jest najsilniejszy ze wszystkich możliwych rodzajów oporu jakie oponenci owej formy postępu są w stanie przeciwstawić danemu twórcy postępu".) Cokolwiek jednak sami Nowozelandczycy by nie twierdzili o moim zdaniem najlepszym przywódcy jakiego kiedykolwiek mieli, ja osobiście dziękuję Bogu że chociaż tylko przez okres 2 lat, ciągle

dana mi jednak była szansa aby doświadczyć życia w kraju pod jego rządami.

Niestety, w 1984 roku partia owego doskonałego przewodcy Nowej Zelandii została pokonana w wyborach. Jego wygłodzona opozycja dorwała się do władzy. Na kraj ten nadeszła więc era upadku ekonomicznego i bezrobocia. Z kolei życie w kraju który właśnie upada ekonomicznie przestaje być uciechą. W lutym 1988 roku, czyli w początkowym okresie władzy nowych rządzących, kiedy sytuacja w kraju nie stała się jeszcze krytyczna, zmieniłem pracę i przenieśliem się na Otago University. Uniwersytet ten był zlokalizowany w niewielkim, chronicznie zimnym, zachmurzonym i deszczowym Dunedin. Tuż przed tym kiedy pierwsze oznaki depresji ekonomicznej uderzyły Nową Zelandię, w 1990 roku straciłem jednak tą nową pracę. Przez następne 2 lata byłem bezrobotnym. Okazały się to być najbardziej przygnębiające i przepełnione niepewnością jutra dwa lata w całym moim dotychczasowym życiu. Proszę sobie wyobrazić jak ja wówczas się czułem. Żyłem wtedy samotnie w ciągle jeszcze dosyć obcym mi kraju. Miasto Dunedin okazało się być wiecznIE zimną, zachmurzoną i deszczową miejsciną którą Anglicy opisują zwrotem "one horse city" (tj. "miasto jednego konia"), w której nie ma żadnych rozrywek pod dachem zaś pogoda jest zbyt przygnębiająca aby czynić cokolwiek na wolnym powietrzu. Nie miałem tam ani pracy ani źródła dochodu. Przez niemal dwa lata nie otrzymywałem zasiłku dla bezrobotnych. W owym czasie praktycznie wszystko stało się też tam "user paid" (tj. "opłacane przez użytkownika") - znaczy nawet wizyta u lekarza czy w szpitalu wymagała znaczących funduszy. Moje oszczędności szybko topniały. Najbliższe życziwe mi dusze które mogły by mi pomóc gdybym wpadł w jakieś kłopoty znajdowały się na odwrotnej półkuli, czyli w Polsce. A na domiar złego wokół siebie obserwowałem zawzięte rozmontowywanie systemu społecznego dla którego zupełnie niedawno narażałem swe życie jako aktywista Solidarności. Nowa Zelandia przechodziła bowiem wówczas bardzo brutalną zamianę panującej tam poprzednio dbałości o człowieka, na istniejącą tam obecnie dbałość o dochód i o kapitał. Zaczęło się od sprzedaży asetów, czyli sprzedaży wszystkiego co poprzednio należało do rządu. Rozprzedane więc zostały fabryki, budynki, koleje państwowe, itp. Z tego co nie dało się sprzedać, np. elektrowni, sieci elektrycznej, czy telefonów, formowano przedsiębiorstwa na własnym rozrachunku. Za wszystko też zaczęto domagać się opłat, włączając w to nawet sprawy które stanowią tradycyjną odpowiedzialność rządu, takie jak opieka zdrowotna czy edukacja. Oczywiście, bez opieki państwa, większość fabryk zbankrutowała. Te zaś co przetrwały, z upływem czasu tak były trapiące podatkami, biurokracją i tzw. "red tape" (tj. nieprzyjaznymi prawami), że zaczęły przenosić się za granicę. Zaczęło się więc galopujące bezrobocie. Brak pieniędzy u ludzi spowodował że opustoszały i poupadały sklepy. Upadek sklepów w połączeniu z brakiem pieniędzy u ludzi spowodował upadek drobnego rzemiosła, wytwórczości, oraz usług. To z kolei zabiło wszelką kompetycję i współzawodnictwo. Niemal wszystko stało się czymś monopolem. Z kolei monopole mają ten brzydki zwyczaj że podnoszą one ceny bezzasadnie. Z kolei nieuzasadniony wzrost cen spowodował galopującą inflację. Wartość dolara nowozelandzkiego spadła do około 40 centów USA. Desperacja zakradła się wśród ludzi. Zaczął się lawinowy wzrost przestępczości. Ulice miast opustoszały. W wielu miejscach gdzie zaledwie kilka lat wcześniej wieczorami chodniki były przepełnione światłami, stolikami kawiarni, oraz spacerującymi, szczęśliwymi i zadowolonymi z życia ludźmi, straszyc wówczas zaczynały ciemne oczodoły zabitych deskami okien wystawowych. Wobec beznadziejności sytuacji wielu zaczęło szukać ucieczki w alkoholu i narkotykach. Aby nadal móc chwalić się sukcesem, wolność publikatorów została zerodowana zaś rzetelna informacja została zastąpiona "propagandą sukcesu" w stylu który znałem tak dobrze z czasów komunizmu. Przykładowo, zamiast za liczbę bezrobotnych podawać ilość ludzi którzy chcą pracować jednak brak dla nich pracy, propaganda ta zaczęła podawać ilość ludzi którym przyznano zasiłek dla bezrobotnych. Z kolei dostęp do owego zasiłku dla bezrobotnych dawał się już manipulować na papierze bez zmniejszenia liczby faktycznych bezrobotnych. Zaczęła też się masowa ucieczka (emigracja) ludności z Nowej Zelandii np. do Australii.

Wzmiankowania tutaj jest też warty tzw. szok kulturalny. Wszakże ów szok kulturalny jest jak "jet-leg" - tyle że oddziałuje on na nasze zwyczaje, nawyki, postawy i

filozofie zamiast na zegary biologiczne. Praktycznie też każdy emigrant przez niego przechodzi. Ponadto, podobnie do "jet-leg", im dalej od kraju urodzenia się emigruje, tym silniejszy ów szok kulturalny się staje. Z kolei niemal nie istnieją dwa kraje bardziej od siebie oddalone niż Polska i Nowa Zelandia. Na szczęście, szok kulturalny zmniejsza się z upływem czasu. Obecnie mogę być dumny że niemal go pokonałem. Jednak zawsze pozostają jakieś obszary, szczególnie w zakresie jedzenia, smaku, domów, oraz postaw życiowych, które nie chcą zaniknąć. Dla przykładu, praktycznie do teraz mam smak na owe dziesiątki odmiennych rodzajów polskich kiełbas, które nie tylko są nazywane odmiennie, ale także i smakują drastycznie inaczej. Ciągle mi też brakuje polskich suchych budynków które mają dobre ogrzewanie, w których ludzie nie czują się mokrzy i zmarznięci, które są dobrze zaizolowane termicznie aby utrzymywać tanio temperaturę 23 stopni, oraz które są budowane z cegieł i cementu, a nie z dykty. Ponadto jakoś nie mogę nawyknąć do ogromnej ilości sportu w telewizji i w codziennym życiu, do pustych chodników po 5 wieczorem, do uwypuklania ciała, do braku szacunku do osiągnięć intelektu, ani do tych ogłoszeń w TV które wmawiają oglądającym że najlepszy styl życia polega na NIE czynieniu niczego.

Po dwóch latach bezrobocia bez otrzymywania "doli", w 1992 roku ja sam też zdecydowałem się opuścić Nową Zelandię aby szukać zarobku poza jej granicami. Tak zaczęła się moja tułaczka po świecie w poszukiwaniu chleba. Kiedy miałem już zakupione bilety lotnicze, w końcu zaczęto wypłacać mi zasiłek dla bezrobotnych (tj. "dolę"). Zostałem więc postawiony w sytuacji, że po kilku tygodniach brania tego iluzorycznego zasiłku ("doli") musiałem z niego sam dobrowolnie zrezygnować. Zdecydowałem się bowiem, że już nie zmienię swoich planów tułaczki w poszukiwaniu chleba. (Gdybym zasiłek ten otrzymywał od samego początku, nigdy nie zdecydowałbym się na tą tułaczkę za chlebem.) Po opuszczeniu Nowej Zelandii podpisywałem aż trzy kolejne kontrakty na profesury uniwersyteckie. Pierwszym z nich był kontrakt z roku akademickiego 1992/3 na stanowisko Associate Professora w Eastern Mediterranean University z miasta Famagusta na Północnym Cyprze. Kontrakt ten dał mi okazję dla osobistego poznania i doświadczenia na sobie śródziemnomorskiej kultury, przyrody i chwalebnej historii. Mieszkałem bowiem przy brzegu pięknego morza, zaledwie kilka kilometrów od starożytnego miasta Salamis i historycznego miasta Famagusta (oba te miasta nadal otoczone są starymi murami). Następny trzyletni kontrakt podpisałem w 1993 roku na stanowisko Associate Professora w University Malaya w Kuala Lumpur, Malezja. Ten dał mi okazję do posmakowania wielkomiejskiego życia we wspaniałej metropolii w której samej mieszka niemal tyle ludzi co w całej Nowej Zelandii, która buszuje życiem, nigdy nie śpi, ma nieopisaną liczbę rozrywek i atrakcji do oglądania, oraz której poziom techniki i nowoczesności należy do najwyższych w świecie. Ostatnim był mój dwuletni kontrakt też na stanowisko Associate Professora który podpisałem w 1996 roku z University of Malaysia Sarawak z pięknego miasta Kuching w malezyjskiej prowincji Sarawak na tropikalnej wyspie Borneo. Ten kontrakt dał mi poznać jak wspaniała jest natura w tropiku, oraz jak serdeczni i przyjacielscy są ludzie żyjący blisko tej natury. Ludzie na Borneo byli aż tak przyjaźni i aż tak mili, oraz czynili moje życie aż tak przyjemnym, że gdybym mógł chętnie zostałem tam przez resztę swego życia. To tam też doświadczyłem wspaniałego zjawiska które opisałem na stronie nirvana_pl.htm - o totalizycznej nirwanie. Niestety, wkrótce po rozpoczęciu kontraktu na Borneo cały obszar południowo-wschodniej Azji objęty został tzw. "Kryzysem Azjatyckim". W jego wyniku wartość miejscowych pieniędzy spadła do jedynie około 30% ich początkowej wartości. Około dwie-trzecie moich zarobków z obu kontraktów w Malezji po prostu zniknęło wówczas jakby wyparowało. Na dodatek, kraje obezwładnione tym kryzysem nie mogły już sobie pozwolić na wynajmowanie zagranicznych profesorów. Stąd kiedy mój kontrakt na Borneo się zakończył, nie było już szans na podpisanie następnego.

W końcu 1998 roku powróciłem więc do Nowej Zelandii. Zaczął się dla mnie okres życia który jest doskonale opisany przez angielskie przysłowie żebrakowi nie wolno być grymaśnym (tj. "a beggar cannot be choosy"). Poczynając od 1999 roku ponownie udało mi się zabezpieczyć dla siebie pracę w Nowej Zelandii. Niestety nastąpiło to za słoną cenę. Wszakże rolniczo nastawiona Nowa Zelandia z wówczas niemal zupełnie już

zniszczonym przemysłem nie potrzebowała ludzi z moją ekspertyzą techniczną. Stąd oddawała mi wielką przysługę że wogóle miała jakieś zatrudnienie dla mnie. Wylądowałem więc na najniższej pozycji akademickiej jaka była dostępna na miniaturowej Aoraki Politechnice z maleńskiej miejsciny nowozelandzkiej zwanej Timaru. Politechnika ta była najmniejszą uczelnią w jakiej kiedykolwiek pracowałem. Niemniej praca na niej okazała się najbardziej stresującą. Uczelnia ta była aż tak mała, że ja sam w swojej uprzedniej karierze zawodowej wykładałem w sumie więcej odmiennych przedmiotów niż ich oferowano wszystkim studentom owej politechniki. Niestety, pod koniec 2000 roku zostałem zwolniony z nawet owej najniższej pozycji. Powodem zwolnienia jaki wówczas mi zakomunikowano, był raptowny i niespodziewany spadek liczby studentów na owej politechnice. Ja miałem jednak intuicyjne wrażenie, że dodatkowym powodem tego zwolnienia było odkrycie moich przełożonych iż poziom mojej ekspertyzy i kwalifikacji niepomiarowo przekracza wymogi pozycji którą zajmowałem, a to z kolei nappełniło ich obawą o ich własne pozycje. Odszedłem stamtąd z rodzajem ulgi, bowiem atmosfera pracy była tam najgorsza ze wszystkich miejsc w jakich pracowałem w całym swoim życiu. Z żadnej też innej uczelni, w krótkim przedziale tylko paru lat nie odeszło aż tylu co tam wykładowców. Od dnia 12 lutego 2001 roku zacząłem pracować jako akademik (po angielsku: "academic staff member") na Wellington Institute of Technology, zlokalizowanym na przedmieściu stolicy Nowej Zelandii, czyli w Petone pod Wellington - także będąc zatrudniony na najniższej pozycji akademickiej jaka była tam dostępna. Już w pierwszym roku pracy otrzymałem od kierownictwa uczelni zaszczytne wyróżnienie "team member of the year" (tj. jakby "najbardziej koleżeński pracownik roku"). W Wellington pracowałem aż do 23 września 2005 roku, kiedy to ponownie zwolniono mnie z pracy z wyjaśnieniem że liczba studentów tej uczelni raptownie spadła. Faktycznie też ów spadek był wówczas aż tak znaczny, że stał się łatwym do odnotowania nawet gołym okiem - od początku 2005 roku uczelnia ta stała się niemal zupełnie pusta. Z opowiadań innych kolegów dowiedziałem się także, że wyraźnie odludniły się też wówczas niemal wszystkie uczelnie Nowej Zelandii. Prawdopodobnie powody dla tego pustoszenia nowozelandzkich uczelni były kompleksowe i obejmowały szereg czynników, m.in. wysokie opłaty pobierane przez uczelnie od studentów, brak pracy dla ludzi z wysokim wykształceniem, niski poziom akademicki miejscowych uczelni który spowodował że niektóre kraje (np. Chiny) zaprzestały wysyłanie swoich stypendystów do tego kraju, itd., itp. Ja osobiście jednak wierzę, że najważniejszym z powodów tego opustoszenia uczelni stała się masowa emigracja odpływowa (tj. ucieczka ludności). Wszakże od czasów kiedy w Nowej Zelandii zaczął się upadek ekonomiczny, nastąpiły tam też czarne lata trwającej aż do dzisiaj coraz szybszej ucieczki za granicę młodych i ambitnych Nowozelandczyków. Ucieczka ta jest masowa, zaś jej uczestnicy to najbardziej ambitni, zdolni i zaradni młodzi ludzie, czyli poraktycznie "sól narodu". Przykładowo, ostatnio każdego roku ucieka do Australii niemal 1 procent całej populacji około cztero-milionowej Nowej Zealandii - po szczegóły patrz artykuł "28,000 a year leave for Aust." - tj. "28000 ludzi na rok ucieka do Australii", ze strony A1 nowozelandzkiej gazety The Press, wydanie z wtorku (Tuesday), February 5, 2008. Po tej ostatniej utracie pracy w 2005 roku, nadal nie traciłem nadziei że coś jednak znajdę. Stąd niemal cały czas poświęcałem na szukanie swojej następnej stałej pracy. Niestety, nawet do czasu kolejnego przeredagowywania tej strony w marcu 2008 roku, takiej stałej pracy nie udało mi się już znaleźć. Jedyne co przerwało moje nieustające bezrobocie, to krótkie, bo tylko 10 miesięczne, zaproszenie na pozycję pełnego profesora uniwersytetu w Korei Południowej. Koreańczycy okazali się najmilszym narodem jaki dotychczas poznałem w swoim życiu, zaś poziom ich technologii - najwyższym z jakim dotychczas praktycznie się zetknąłem. Równie fascynująca i warta poznania była też kultura i historia Korei. Dlatego ową krótką profesurę w Korei wspominam z taką samą przyjemnością i sentymentem jak pracę na przemiłym Borneo. Profesura w Korei początkowo miała potencjał aby zostać przedłużoną. Jednak wkrótce po jej rozpoczęciu rząd Korei uchwalił prawo, że wizytujący ten kraj zagraniczni profesorowie mogą być tam zatrudniani tylko jeśli ich wiek nie przekracza 60 lat. Ja zaś miałem wówczas już 61 lat. Na szczęście, owo wcześniejsze zaproszenie mnie na profesurę jeszcze przed uchwaleniem tego prawa zostało uhonorowane i pozwolono mi tam

pracować przez pełną długość 10 miesięcy.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że wobec coraz silniejszej depresji ekonomicznej która nadal panuje w Nowej Zelandii, moje bezzasiłkowe bezrobocie rozpoczęte w dniu 23 września 2005 roku będzie trwało aż do czasu kiedy stanę się uprawniony do otrzymywania emerytury. Pechowo, jakiś czas temu dla oszczędności rząd Nowej Zelandii wydłużył przechodzenie na emeryturę aż do wieku 65 lat. Nie mają tu też opcji "wcześniejszego odejścia na emeryturę", która to opcja istnieje w wielu innych krajach, np. w Malezji. Wszystko wskazuje więc na to że z uprzednich oszczędności przyjdzie mi żyć aż przez co najmniej 6 lat, czyli aż do 2011 roku. Podobnie bowiem jak podczas poprzedniego długiego okresu mojego bezrobocia z lat 1990 do 1992, obecnie także znalazły się jakieś przepisy (tym razem inne) według których zasiłek dla bezrobotnych też mi się nie należy. Z artykułu "Ease rules on dole for couples say economists" (The New Zealand Herald, Monday, June 29, 2009, str. A1) wynika że obecne przepisy tworzą sytuację, iż w Nowej Zelandii tylko około 32% bezrobotnych otrzymuje zasiłek-dolę (dla porównania w Australii dolę otrzymuje 99% bezrobotnych). To zaś z jednej strony powoduje że ponad dwie-trzecie populacji Nowej Zelandii musi się więc liczyć z sytuacją iż jeśli stracą pracę wówczas zasiłek dla bezrobotnych jakby wogóle dla nich NIE istniał. Z drugiej zaś strony to oznacza również, że aż kilka dotychczasowych rządów które "bezrobotnych" definiowały jako "ludzi którzy otrzymują zasiłek dla bezrobotnych", oficjalnie chwaliło się poziomem bezrobocia w Nowej Zelandii który nie reprezentował nawet jednej trzeciej faktycznego bezrobocia tego kraju. Nic też dziwnego że sytuacja zwykłych Nowozelandczyków pobudza refleksy w rodzaju tych wyrażonych w artykule "MPs cut everything in public service except own spending" (tj. "Posłowie na sejm powycinali wszystko z pomocy dla społeczeństwa oprócz wydatków na siebie") ze strony A1 gazety The New Zealand Herald, wydanie z piątku (Friday), June 26, 2009. Tak więc oto ponownie zmuszony jestem żyć z poprzednich oszczędności i to nie mając już nadziei na znalezienie jakiegokolwiek pracy. Na szczęście dla mnie, moją moralną podporą jest świadomość, że na przekór powtarzalnie trapiącego mnie bezrobocia, na przekór konieczności życia z dawnych oszczędności, oraz na przekór marnowania przez społeczeństwo mojej wiedzy, ekspertyzy, wynalazków, oraz wszechstronnej edukacji, ciągle raz w swoim życiu osiągnąłem poziom pełnego profesora na renomowanym uniwersytecie. Z kolei z zostaniem profesorem jest jak z zostaniem generałem - znaczy raz profesor, zawsze już profesor. Jedno jest więc teraz pewne, mianowicie że bez względu na to czy znajdę jeszcze jakąkolwiek następną pracę, ciągle mogę teraz mieć moralną satysfakcję, że chociaż bezrobotnym, nadal pozostaję byłym pełnym profesorem z renomowanego uniwersytetu.

Historie życiowe wszystkich ludzi jakich dotychczas badałem zawierają w sobie tzw. morał. Ów "morał" wynika z faktu, że Bóg celowo tak kształtuje życie każdej osoby, aby dla tych co poznają owo życie zawsze dostarczało ono jakiejś istotnej lekcji moralnej. Jeśli więc dobrze się przyglądnąć moim własnym losom i perypetiom życiowym, wyraźnie "morał" taki z nich również się wyłania. Widać go w uporze i w konsekwencji z jakimi "coś" powoduje, że gdziekolwiek bym się nie udał, cokolwiek bym nie zaczął czynić, jakieś postronne i niezależne ode mnie "mroczne moce" sprawiają że zawsze kończy się to przegraną i odebraniem mi wszelkich szans na zrealizowanie tego co w swoim życiu chciałbym osiągnąć. Taki koniec "przegranej bitwy" dla niemal wszystkich przedsięwzięć mojego życia jest wysoce wymowny. Szczególnie jeśli się zaakceptuje, że celem i misją tego życia mogło być zrealizowanie i wdrożenie przynajmniej kilku z owych przełomowych wynalazków i intelektualnych osiągnięć które opisałem w częściach #D do #H tej strony. Wszakże cokolwiek nas w życiu dotyka, zawsze ma to jakieś przyczyny. Przyczynami zaś owego pasma powtarzalnych upadków które mnie bez przerwy prześladują, może przecież być fakt, że gdybym w życiu natknął się na właściwy klimat intelektualny i na właściwe warunki badawcze, wówczas zapewne bym jednak zrealizował i urzeczywistnił sporą część z tego co opisałem w częściach #D i #E tej strony. Tymczasem realizacja tych wynalazków byłaby wysoce nie na rękę owym "mrocznym mocom". Dlatego nikogo nie powinno dziwić, że faktycznym morałem wynikającym z przebiegu mojego życia są wnioski które opisałem na stronie mozajski.htm.

#B2. Losy mojej rodziny, a historia wsi Wszewilki:

Maleńka wioseczka Wszewilki, w której ja się urodziłem w 1946 roku, jest częścią prastarej prowincji Polski nazywanej "Dolnym Śląskiem". Jednak przez spory okres czasu, bowiem od 1741 roku kiedy niemal cały Śląsk był aneksowany przez Prusy, aż do zakończenia drugiej wojny światowej w 1945 roku, cały Dolny Śląsk, włączając w to wioseczkę Wszewilki i jej okolice, były częścią Niemiec. Wioska Wszewilki leży trochę ponad 50 km na północ od miasta Wrocławia - które jest stolicą owej prowincji. Dolny Śląsk, jak czytelnik zapewne wie, leży w południowo-zachodniej części dzisiejszej Polski, niedaleko do Niemiec i do Czech.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej, niemal wszyscy mieszkańcy wsi Wszewilki w której ja się urodziłem, oraz innych okolicznych miejscowości, zostali wymienieni na nowych. Wszakże dawni obywatele niemieccy mieszkający na owych ziemiach niemal do końca wojny, uciekli w głąb Niemiec przed nacierającą Armią Radziecką. Po wojnie zaś zostali zastąpieni przez ludność napływową z obszaru Polski i z przedwojennej polskiej Ukrainy. W rezultacie tej całkowitej wymiany ludności, wiedza o historii i tradycji Wszewilek niemal całkowicie zaginęła. Dziwnym jednak obrotem losu, moja matka znalazła się wśród polskiej ludności napływającej na te ziemie z obszaru przedwojennej Polski. Zaś moja matka znała te okolice bardzo dobrze.

Wywodzenie się wielu pokoleń moich przodków po kądzieli z okolic Wszewilek, Stawczyka i Milicza powoduje, że z rodzinnych opowiadań ja poznałem wiele faktów na temat historii tych ziem. Prawdopodobnie jestem więc jednym z nielicznych nadal żyjących ludzi, którzy znają historię tych ziem z rodzinnej tradycji mówionej. To dlatego jako rodzaj patriotycznego obowiązku uważałem spisanie historycznych faktów które ciągle są mi znane. Te znane mi historyczne fakty dotyczące wsi Wszewilki spisałem na kilku totaliztycznych stronach internetowych, np. na stronach [wszewilki.htm](#) - o wsi Wszewilki, [stawczyk.htm](#) - o wsi Stawczyk koło wsi Wszewilki, [milicz.htm](#) - o miasteczku Miliczu, [bitwa_o_milicz.htm](#) - o bitwie w czasie wyzwolenia Milicza, oraz [sw_andrzej_bobola.htm](#) - o kościele Św. Andrzeja Boboli w Miliczu, [wszewilki_milicz.htm](#) - o zwiedzaniu wsi Wszewilki i miasta Milicza. Na jednej z owych totaliztycznych stron, mianowicie na stronie [wszewilki_jutra.htm](#) - o moich marzeniach na temat przyszłości wsi Wszewilki, ja nawet otwarcie marzę jak wspaniale by to było gdyby Wszewilki mogły kiedyś się zdobyć na odbudowanie swojego starego ryneczka który został celowo zniszczony około 1875 roku. A przynajmniej aby mogły odbudować sobie dawny kościółek który istniał przy owym ryneczku, a także zbudować nowe muzeum.

Fot. #1abc (G1 z [4b], O1 z [2], Z1 z [1/5]): Oto mój wygląd (tj. wygląd Dra inż. Jana Pajaka) w okresie czasu kiedy byłem najbardziej twórczy w tych obszarach badań które obecnie muszę kwalifikować jako moje "naukowe hobby". (Można kliknąć na wybrane zdjęcie aby zobaczyć je w powiększeniu.)

Fot. #1a-lewa (G1 z [4b]): Oto moje zdjęcie które wykonałem w Nowej Zelandii około 1985 roku (niestety dokładnej daty jego wykonania nie pamiętam) - znaczy w pobliżu czasu kiedy sformułowałem teorię wszystkiego zwaną Konceptem Dipolarnej Grawitacji, a także najbardziej moralną, postępową, pokojową, oraz spełniającą filozofię świata zwaną totalizm.

Fot. #1b-środkowa (O1 z [2]): Oto moje zdjęcie typu paszportowego które wykonałem latem 1991 roku. Kiedy to zdjęcie było wykonywane, ja właśnie znajdowałem się w środku mojego pierwszego długiego okresu bezrobocia bez pobierania "doli" (tj. bez zasiłku dla bezrobotnych) oraz konfrontowałem perspektywę opuszczenia Nowej Zelandii w poszukiwaniu zarobku i chleba. W czasach wykonania tego zdjęcia moje badania skupiały się na ideach telekinezy, telekinetycznych ogni, oraz telekinetycznych generatorów darmowej energii - po szczegóły patrz strony [free_energy_pl.htm](#) - a telekinetycznych generatorach darmowej energii, oraz [boiler_pl.htm](#) - o szokującej historii rewolucyjnej grzałki która bije wszelkie rekordy.

Fot. #1c-prawa (Z1 z [1/5]): Oto zdjęcie które wykonałem dla dowodu osobistego w dniu 19 lipca 2004 roku - znaczy około czasu kiedy przygotowałem pierwszą wersję niniejszej strony. (Dowodu tego jednak nie uzyskałem, ponieważ nie byłem wtedy w stanie wylegitymować się posiadaniem jakiegoś numeru PESEL.) Około czasu wykonywania powyższego zdjęcia prowadziłem dosyć szerokie badania na temat lekcji moralnych wynikających z historii techniki, a także na temat wypracowywania nowoczesnych zastosowań dla historycznych wynalazków technicznych - po przykłady patrz strony mozajski.htm - a pierwszym samolocie na świecie, lub seismograph_pl.htm - o aparacie do zdalnego wykrywania gotujących się trzęsień ziemi. Powyższe zdjęcie odzwierciedla relatywnie dobrze jak wyglądałam nawet obecnie.

* * *

Zauważ że można zobaczyć powiększenie każdej fotografii z niniejszej strony internetowej, poprzez zwykłe kliknięcie na tą fotografię. Ponadto większość browserów jakie obecnie są w użyciu, włączając w to także popularny "Internet Explorer", pozwala także na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększać, a także drukować, za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

Część #C: Przebieg mojej kariery zawodowej:

#C1. Wielodyscyplinarna praca zawodowa:

Mam przyjemność i honor należeć do owych nielicznych naukowców, którzy swoją pracę zawodową mogli poszerzyć aż na kilka odmiennych dyscyplin. Możliwość tego wielodyscyplinarnego poszerzenia mojego zawodu zawdzięczam zaś właśnie doskonałemu poziomowi nauczania na Politechnice Wrocławskiej którą ukończyłem. Jak wcześniej już to wyjaśniałem, według mojej własnej (tj. nieoficjalnej) oceny, poziom nauczania na Politechnice Wrocławskiej w czasach kiedy ja kończyłem tamtą uczelnię najprawdopodobniej był jednym z najwyższych na świecie. Na tamtej doskonałej edukacji kapitalizowałem też zresztą przez resztę życia. Pozwalała mi ona bowiem wykładać potem na zagranicznych uczelniach nie tylko inżynierię mechaniczną - w której byłem oryginalnie kształcony, oraz nie tylko nauki komputerowe i informatykę - które to dyscypliny poznałem dzięki mojej pracy magisterskiej i doktoratowi ze wspomaganego komputerowo projektowania maszyn (tj. z obszaru który obecnie nazywany jest CAD/CAM), ale także wykładać mechanikę teoretyczną, inżynierię elektroniczną, elektrotechnikę, historię techniki (inżynierię i społeczeństwo), a ostatnio nawet matematykę.

Moje wielodyscyplinarne zorientowanie zawodowe powodowało, że w swojej karierze wykładałem z równym powodzeniem w dwóch głównych dyscyplinach, oraz w kilku dodatkowych specjalizacjach. Z głównych dyscyplin wykładałem (1) inżynierię mechaniczną, oraz (2) nauki komputerowe. W inżynierii mechanicznej osiągnąłem poziom profesora nadzwyczajnego (po angielsku Associate Professor). W naukach komputerowych osiągnąłem poziom pełnego profesora (po angielsku Full Professor). Ponieważ każda z owych głównych dyscyplin reprezentowała jakby odmienny fragment mojego życia zawodowego, poniżej omówię każdą z nich w odrębnym punkcie.

#C2. Moja kariera zawodowa w inżynierii mechanicznej:

Moją karierę zawodową w inżynierii mechanicznej rozpoczęło zatrudnienie się w 1970 roku w charakterze asystenta stażysty na Politechnice Wrocławskiej. Po owym zatrudnieniu bardzo szybko wspinałem się w górę po drabinie akademickiej, zostając asystentem oraz starszym asystentem w przeciągu trzech następnych lat. Po obronie pracy doktorskiej w 1974 roku zostałem zatrudniony na pozycji adiunkta na tejże samej Politechnice Wrocławskiej. Równocześnie z pracą na uczelni w latach 1978 do końca 1981 pracowałem na pół etatu w Dziale Głównego Technologa Jelczańskich Zakładów Samochodowych Polmo-Jelcz jako konsultant naukowy. Owa praca w przemyśle dała mi doskonałe zrozumienie przemysłowych realiów inżynierii mechanicznej. Kiedy w 1982 roku

wyemigrowałem do Nowej Zelandii, początkowo byłem tam zatrudniony przez jeden rok na Canterbury University z Christchurch, jako tzw. "Post-Doctoral Fellow". Zatrudnienie to także było w specjalizacji "inżynieria mechaniczna". Pracę w tej specjalizacji przerwałem jednak w 1983 roku kiedy zatrudniłem się na Politechnice w Invercargill - co opiszę dokładniej w następnym punkcie tej strony. Do inżynierii mechanicznej powróciłem ponownie w 1993 roku, kiedy zatrudniony zostałem jako Associate Professor (tj. profesor nadzwyczajny) na University Malaya w Kuala Lumpur, Malazja. Po ukończeniu tamtego kontraktu, w 1996 roku przenieśliem się na dwuletni kontrakt Associate Professora na University of Malaysia Sarawak z miasta Kuching, z malazyjskiej prowincji Sarawak na tropikalnym Borneo. Tamten kontrakt profesorski zakończyłem w 1998 roku. Po owym terminie i kontrakcie nie pracowałem już więcej w inżynierii mechanicznej.

#C3. Moja kariera zawodowa w naukach komputerowych:

Doskonałym przygotowaniem do mojej pracy w naukach komputerowych była moja rozprawa dyplomowa oraz rozprawa doktorska. Obie bowiem były ściśle związane z komputerowym modelowaniem i programowaniem problematyki inżynierskiej.

W latach 1975 do 1977 zostałem też zatrudniony na pół etatu w obecnie już nieistniejącej fabryce komputerów zwanej Mera-Elwro. Pracę tą wykonywałem równocześnie z zatrudnieniem na Politechnice Wrocławskiej. Pracowałem tam wówczas jako doradca naukowy w Dziale Oprogramowania. Faktycznie, kiedy zaczynałem tam pracować, MERA-ELWRO była też największą fabryką komputerów we Wschodniej Europie. Niestety, po upadku komunizmu w Polsce zakład ten został zlikwidowany - nie mogę więc obecnie podać tutaj linku do jego strony internetowej. Jedyne co po nim przetrwało to miniaturowy zakład usługowy który nosi nieco podobną nazwę Elwro-System, jednak który wcale nie reprezentuje tradycji oryginalnego Mera-Elwro. Tamta półetatowa praca w przemyśle komputerowym dała mi doskonale zrozumienie komputerów i oprogramowania, na którym to zrozumieniu kapitalizowałem potem przez wiele lat jako wykładowca informatyki i nauk komputerowych.

Moja praca zawodowa wykładowcy nauk komputerowych zaczęła się praktycznie dopiero po wyemigrowaniu do Nowej Zelandii. Mianowicie, po zakończeniu jednorocznego stypendium po-doktorskiego z inżynierii mechanicznej na Canterbury University w Christchurch, w 1983 roku znalazłem stałą pracę na Southland Polytechnic z Invercargill, Nowa Zelandia. Była to moja pierwsza praca w dyscyplinie "nauki komputerowe" (zwanej też "informatyką"). Ponieważ zawsze miałem ambicje zostania profesorem na uniwersytecie, w 1988 roku sam zrezygnowałem z tamtej politechniki i podjąłem zatrudnienie jako tzw. "Senior Lecturer" w specjalności "inżynieria softwarowa" na Otago University w Dunedin, Nowa Zelandia. Jak już wcześniej pisałem, pracę tą straciłem w 1990 roku. Po niemal dwóch latach bezasiłkowego bezrobocia, w 1992 roku rozpocząłem jednoroczny kontrakt na stanowisku Associate Professora w Eastern Mediterranean University z miasta Famagusta na Północnym Cyprze. Po owym kontrakcie powróciłem ponownie do specjalizacji inżynieria mechaniczna, wykładając jako Associate Professor w Malezji i na tropikalnej wyspie Borneo. W 1998 roku powróciłem do Nowej Zelandii, zaś od lutego 1999 roku rozpocząłem pracę jako wykładowca programowania komputerów na maleńkiej Aoraki Politechnice z miasteczka Timaru. Niestety, pod koniec 2000 roku zostałem i stamtąd zwolniony. Od dnia 12 lutego 2001 roku zacząłem więc pracować jako akademik (po angielsku: "academic staff member") w Wellington Institute of Technology, z Petone pod Wellington, nadal w specjalizacji "nauki komputerowe". Po utraceniu i tego zatrudnienia w 2005 roku, w 2007 roku zostałem zaproszony na 10 miesięcy na stanowisko pełnego profesora przez University of Ajou z Suwon w Korei Południowej - o czym pisałem już wcześniej. Tamta krótkotrwała pozycja pełnego profesora w naukach komputerowych była moim ostatnim miejscem zatrudnienia, a jednocześnie najwyższą pozycją akademicką którą osiągnąłem w swoim życiu.

piętra KLCC w Kuala Lumpur, Malezja. Malezja jest mi bardzo bliska, ponieważ w latach 1993 do 1998 odbywałem tam dwa kontrakty profesorskie na University Malaya z Kuala Lumpur, potem zaś na University Malaysia Sarawak w Kuching na tropikalnej wyspie Borneo. Sfotografowany 30 grudnia 2002 roku. Nazwa KLCC używana jest dla dwóch drapaczy chmur skonstruowanych jako "bliźniaki" (tj. "twin towers") w centrum Kuala Lumpur, Malaysia. Są one jedynymi "bliźniakami" na świecie które ciągle stoją, a które należą do ekskluzywnego klubu najwyższych budynków świata. Ów "most po niebie" łączy ze sobą te dwa drapacze chmur na nieco mniej niż połowa ich wysokości. Pozycja owego "mostu po niebie" jaki łączy obie wieże jest lepiej widoczna na następującym zdjęciu pokazującym całe KLCC.

Fot. #3(C3 z [10]): Tak wyglądają owe bliźniacze wieże KLCC z Kuala Lumpur w Malezji. Zbudowane one zostały w okresie czasu kiedy ja odbywałem swój kontrakt profesorski w Malezji. Sa mi więc relatywnie bliskie i w pewnym sensie czuję się wobec nich jakbym uczestniczył w ich budowie. Obecnie są to jedyne w świecie bliźniacze wieże drapaczy chmur które nadal stają. Ich sława upowszechniła się już po świecie na tyle, że obecnie są one równie znane jak drapacze chmur WTC z Nowego Jorku. Słynny "most po niebie" widoczny jest na tym zdjęciu jak spina obie wieże w mniej niż połowie ich wysokości. Jak ów most wygląda w środku widoczne to jest na poprzednim "Fot. #2".

* * *

Tak na marginesie, to KLCC jest jednym z cudów technicznych dzisiejszego świata. (Inne cuda techniczne tego świata omawiam na stronie o Nowej Zelandii.) Dlatego jeśli ktoś jest już w tropikalnym Kuala Lumpur, lub gdzieś blisko tej metropolii, wówczas gorąco bym zachęcał aby odwiedzić te drapacze chmur i zobaczyć je na własne oczy.

Część #D: Moje hobby naukowe, oraz badawcze zainteresowania poza-zawodowe:

#D1. Dlaczego moje naukowe hobby oraz badawcze zainteresowania poza-zawodowe zmuszony jestem zdecydowanie separować od moich badań zawodowych:

Gdyby poklasyfikować hobby i zainteresowania poza-zawodowe innych naukowców, to daje się w nich wyróżnić dwie główne kategorie, mianowicie (1) te które są całkowicie odwrotne do zawodu naukowca (np. śpiewanie w chórze - jakiemu udzielał się jeden z moich nowozelandzkich przełożonych), oraz (2) te które są jakby przedłużeniem zawodu naukowca (np. prowadzenie hobbystycznych badań w tej samej lub w odmiennej dyscyplinie, niż dyscyplina badana zawodowo). Z moich obserwacji kolegów wynika, że w obu tych przypadkach typowi naukowcy mogą otwarcie dyskutować swoje hobby z kolegami i ze studentami. W przypadku zaś kiedy ich hobby jest bliskie ich specjalizacji naukowej, tak jak miało to miejsce np. z Albertem Einsteinem, często gro ich wykładów poświęcają oni omawianiu swego hobby.

W moim jednak przypadku sytuacja wygląda zupełnie odmiennie. Wprawdzie moje hobby jest faktycznie przedłużeniem moich zawodowych zainteresowań naukowych. Przykładowo, w ramach hobby rozpracowuję niektóre swoje własne wynalazki, takie jak magnokraft (czyli wehikuł o napędzie magnetycznym), czy ogniwo telekinetyczne (czyli jeden z generatorów energii przyszłości). Praktycznie też wszystkie z tych wynalazków są pokrewne do tematyki którą wykladałem w ramach zawodu jako wykładowca inżynierii mechanicznej. Jednak z wielu różnych powodów, o wynalazkach tych nie wolno mi otwarcie dyskutować ani ze swoimi kolegami, ani ze swoimi studentami. Nie wolno mi też ich badać ani budować w ramach zawodowej pracy naukowej. Na innym polu naukowym, jako swoje hobby naukowe rozpracowuję też m.in. cechy tzw. "przestrzeni czasowej" omawianej m.in. na totaliztycznych stronach o koncepcie Dipolarnej Grawitacji, czy o wehikułach czasu. Przestrzeń ta zaś jest zaawansowaną wersją tzw. "programowania zorientowanego obiektowo" (po angielsku "object-oriented programming") którego wykłady prowadzę w ramach mojego zawodu informatyka. Również jednak nie wolno mi dyskutować ze swoimi

studentami ani ze swoimi kolegami zarówno tematyki tej przestrzeni, jak i innych podobnych tematów które badam w ramach hobby a które posiadają związek z informatyką.

Wyrażając to innymi słowami, na przekór że moje hobby i zainteresowania poza-zawodowe są jakby przedłużeniem mojej pracy zawodowej i posiadają ścisły związek z tym co wykładam zawodowo, ciągle z wielu powodów (np. z powodu rodzaju atmosfery panującej w dzisiejszych instytucjach naukowych która to atmosfera zdecydowanie definiuje o czym wolno na uczelniach otwarcie mówić, a co należy wstydliwie ukrywać), zmuszony jestem wyraźnie rozgraniczać od siebie moje zainteresowania uczelniane od zainteresowań w ramach hobby naukowego. Dlaczego tak jest, ja sam mam trudność zrozumieć. Być może jednak że czytelnik sam to zdoła sobie wypracować na przykładach tematów które badam poza-zawodowo jako moje naukowe hobby. Najważniejsze z tych tematów opisuję bowiem poniżej. Ponadto, podobny do poniższego przegląd wyników jakie osiągnąłem w badaniach unikalnej tematyki której się poświęciłem, zawarłem także na kilku totalizacyjnych stronach internetowych, przykładowo w punktach #B1 i B2 strony job_pl.htm - opisującej marnotrawstwo ludzkiego potencjału twórczego, czy w punkcie #F1 strony humanity_pl.htm - zawierającej totalizyczne receptury na udoskonalanie świata.

#D2. Teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji - czyli najważniejszy z intelektualnych produktów mojego hobby:

W ramach swojego naukowego hobby wypracowałem relatywnie dużą liczbę najróżniejszych twórczych idei, włączając w to nowe teorie naukowe, nowe wynalazki, nowe trendy, itp. Gdyby ktoś mnie zapytał co uważam za swój najważniejszy dorobek hobbystyczny w owym natłoku twórczych idei, bez wahania bym wskazał na naukową teorię wszystkiego którą rozpracowałem w ramach swojego hobby, a którą nazwałem Konceptem Dipolarnej Grawitacji.

Naukowe fundamenty Konceptu Dipolarnej Grawitacji są bardzo proste. Mianowicie teoria ta opisuje jak wyglądałby wszechświat gdyby pole grawitacyjne okazało się być tzw. "polem dipolarnym" (tj. polem o dwóch odmiennych biegunach, takich jak bieguny N i S w polu magnetycznym), zamiast być tzw. "polem monopolarnym" za które grawitację uważa dotychczasowa oficjalna nauka ziemską (tj. nauka uważa grawitację za pole jednobiegunowe, takie jak jest np. pole elektryczne). Ciekawostką owego Konceptu Dipolarnej Grawitacji jest, że faktycznie to formalnie on też udowadnia że pole grawitacyjne jest polem dipolarnym, tj. takim polem jakim on je opisuje, a nie polem monopolarnym za jakie grawitację uważa dotychczasowa nauka ziemską.

Spektakularne znalezienie klucza do owej niezwyklej teorii która wyjaśnia praktycznie wszystko czego nadal nie wiemy, a stąd która zasługuje na miano się nazywać teorii wszystkiego, miało miejsce w 1985 roku. Teorię tą potem nazwałem Konceptem Dipolarnej Grawitacji. Mianowicie, po uświadomieniu sobie nieadekwatności obecnie wyznawanego (starego) konceptu monopolarnej grawitacji, starałem się znaleźć błąd w jego sformułowaniu, jaki powoduje, że jest on sprzeczny z naturalnym porządkiem rzeczy. Czytałem w tym celu wiele opracowań dotyczących grawitacji. Wielokrotnie przemyślałem też jej istniejące sformułowanie. Jednego niezwykle pogodnego popołudnia, wiosną 1985 roku (najprawdopodobniej było to w okresie nowozelandzkiej przerwy wakacyjnej w połowie sierpnia 1985 roku), spacerowałem po wyjątkowo pięknym wówczas parku w Invercargill - w owym czasie całym zapełnionym oceanem wiosennych kwiatów, z naturą budzącą się do życia oraz powietrzem wypełnionym rodzajem szczęśliwości. Nagle klucz do rozwiązania problemu grawitacji skrytyzował się w mojej głowie. Był to bardzo spektakularny moment w moim życiu, bowiem w owym majestatycznym dniu i niezwykle pięknym otoczeniu, uderzył on moją świadomość jak piorun i w mgnieniu oka wyrzucił do góry nogami całe moje dotychczasowe zrozumienie wszechświata. Kluczem do zrozumienia grawitacji okazał się fakt, że stary koncept monopolarnej grawitacji, uznawany przez dotychczasową naukę ortodoksyjną na Ziemi, przyjmuje "a priori" że grawitacja jest polem monopolarnym. Tymczasem koniecznym jest też rozważenie, czy przypadkiem grawitacja nie wykazuje charakteru pola dipolarnego (podobnego do charakteru pola magnetycznego). Po

znalezieniu tego klucza możliwe się stało rozpracowanie zrębów nowego "Konceptu Dipolarnej Grawitacji", którego jedna z najwcześniejszych prezentacji najpierw ukazała się w polskojęzycznej monografii [1] (tej właśnie, której wartość naukowa została zignorowana przez Radę Naukową Instytutu TBM Politechniki Wrocławskiej), zaś najnowsza prezentacja zawarta jest w rozdziałach H i I monografii [1/5].

#D3. Nowe kierunki rozwoju wyłaniające się z Konceptu Dipolarnej Grawitacji:

Koncept Dipolarnej Grawitacji okazał się dla mnie rodzajem naukowego stymulatora który zaindukował całą lawinę najróżniejszych odkryć, ustaleń, wyjaśnień i wynalazków. Wszakże tylko z obszaru nowych wyjaśnień naukowych, koncept ten dostarcza wyjaśnień do praktycznie wszystko czego dotychczasowa nauka ziemską NIE była w stanie wyjaśnić. Aby podać tutaj kilka przykładów zjawisk które on wyjaśnił, to należą do nich m.in.: telekineza, telepatia, nirwana, czy nawracalny upływ czasu. Koncept ten otworzył także ludzkości drzwi do nowych trendów filozoficznych - np. patrz opisy filozofii totalizmu i pasożytnictwa. Wskazał on również na możliwość urzeczywistnienia wcześniej nieznanymi technologiami (np. patrz tzw. telekinetyczne generatory darmowej energii), oraz wcześniej nieznanymi napędami (np. patrz tzw. telekinetyczny napęd wehikułów latających typu Magnokraft). Lista korzyści które on otwiera dla ludzkości praktycznie nie ma końca. Nie na darmo jego rozliczne zastosowania upoważniają aby go nazywać teorią wszystkiego.

Koncept Dipolarnej Grawitacji, a także jego rozliczne następstwa dla naszej cywilizacji, opisany został wyczerpująco aż na całym szeregu odrębnych stron internetowych totalizmu. Przykładowo, jego opisy zawarte są nie tylko na stronach o nim samym - czyli o Konceptie Dipolarnej Grawitacji, ale także na stronach o ludzkości, marnotrawstwie ludzkiego potencjału twórczego, wehikułach czasu, Magnokrafcie, telekinezie, telepatii, zniszczeniowych użyciach wehikułów UFO, totalizmie, pasożytnictwie, oraz nirwanie.

#D4. Koncept Dipolarnej Grawitacji jest też dostarczycielem fundamentów naukowych i filozoficznych dla zupełnie nowej "nauki totaliztycznej":

Z chwilą kiedy Koncept Dipolarnej Grawitacji został opracowany w 1985 roku, dostarczył on sobą fundamentów naukowych (zaś poprzez stworzenie filozofii totalizmu - również i fundamentów filozoficznych) dla zupełnie nowej "nauki totaliztycznej" która bada otaczającą nas rzeczywistość z całkiem odwrotnego podejścia "a priori" niż czyni to dotychczasowa stara oficjalna nauka ziemską. Więcej informacji na temat owej nowej nauki i jej podejścia do badań zawiera punkt #J2 poniżej na tej stronie. Z kolei więcej informacji na temat różnic pomiędzy fundamentami filozoficznymi i naukowymi owej nowej "nauki totaliztycznej" w porównaniu ze starą "ateistyczną nauką ortodoksyjną" prezentują punkty #F1.1 do #F2 na totaliztycznej stronie o nazwie god_istnieje.htm. Rekomenduję poszerzenie swoich horyzontów poprzez przeglądnięcie tamtych punktów.

#D5. Hobbystyczne ustalenia na tematy np. telepatycznych metod zdalnego wykrywania nadchodzących trzęsień ziemi, czy metod formowania tornad i huraganów - czyli szansa na opanowanie żywiołów wyniszczających ludzkość:

W piątek, dnia 11 listopada 1994 roku, podczas przerwy na lunch, zdecydowałem się uciec przed piętrzącymi się problemami i stresem zaczynającego się wkrótce drugiego semestru, poprzez zjedzenie miejscowego posiłku. Jednak danie nabyte w pobliskiej stołówce "Rumah Universiti", niestety tego dnia okazało się bardziej niejadalne niż zazwyczaj. Dla odwrócenia więc uwagi od utykającego w gardle posmaku, zająłem swój umysł moimi ulubionymi problemami mechanizmów działania wszechświata. Gdy więc tak bez entuzjazmu starałem się dobrać do końca posiłku (zgodnie z totalizmem, który wówczas już zdecydowanie wyznawałem, marnowanie jakiegokolwiek żywności w obecnej sytuacji naszej planety jest poważnym grzechem), niespodziewanie w mojej głowie poskładało się w jedną całość rozwiązanie dla zasad i mechanizmu telepatii. Bóg czasami wykazuje wysokie poczucie humoru i w tym przypadku znajomość telepatii zawdzięczać

będziemy beznadziejnemu gotowaniu jakiejś anonimowej kucharki. Podobnie jak to kiedyś stało się w odniesieniu do "magnokraftu" i "komory oscylacyjnej" (patrz podrozdział F2 w monografiach: [3], [3/2] i [1/2]; a także podrozdział F2 w monografii [1/5] i C2 w monografii [1/4]), tym razem dla telepatii również od dłuższego już czasu przemyślałem nad jej mechanizmem i stąd posiadałem już uprzednio zgromadzone w swej głowie wszystkie elementy wymaganej układanki (np. już w czasie swego pobytu na Cyprze ustaliłem, że sygnały telepatyczne muszą propagować się poprzez przeciw-materię, że ich wzbudzenie musi następować przez wibracje magnetyczne, że istnieje rodzaj uniwersalnego języka, w podrozdziałach I5.4 i JA3.1 monografii [1/5] nazywanego ULT - od "Universal Language of Thoughts", w którym wszystkie istoty żyjące z całego wszechświata mogą komunikować się ze sobą za pośrednictwem telepatii, itp.). Jedyną rzeczą jakiej wówczas ciągle nie wiedziałem, to fizyczna natura telepatii oraz mechanizm fizyczny na jakim zjawisko to bazuje. Dlatego też podczas owego pamiętnego lunchu szokująca myśl błysnęła w moim umyśle. Myśl ta stwierdzała, że "fale telepatyczne to po prostu dźwięko-podobne wibracje przeciw-materii, które podobnie jak dźwięki w naszym świecie posiadają swój ton, melodię, barwę, częstość, itp.; podczas gdy łączność telepatyczna jest to po prostu rozmowa następująca w uniwersalnym języku ULT z użyciem owych dźwięko-podobnych wibracji". (Zauważ, że zgodnie z Konceptem Dipolarnej Grawitacji, wszystkie rodzaje ruchów przeciw-materii, w naszym świecie manifestują się m.in. jako pole magnetyczne, dlatego fale telepatyczne mogą w przybliżeniu być też zdefiniowane jako "modulowane wibracje pola magnetycznego".) Po tym jak owa myśl przyszła mi do głowy, wszystko co poprzednio wiedziałem na temat telepatii zaczęło nabierać sensu i stało się zrozumiałe. Znalezione wówczas rozwiązanie dla mechanizmu rozprzestrzeniania się fal telepatycznych wkrótce zostało wyrażone na piśmie i opublikowane, początkowo dnia 9 stycznia 1996 roku w monografii [3] (patrz podrozdział D13 w [3]), w 1997 roku było ono powtórzone w monografii [3/2], zaś później (w 1998 roku) także opublikowane w monografiach [1/2] i [1/3]. W 2000 telepatia była podstawą dla sformułowania traktatu [7/2] - patrz podrozdział D2.1.1 w traktacie [7/2]. W monografii [1/5] telepatię opisano w podrozdziale H7.1.

Najbardziej bezpośrednie opisy telepatii oraz urządzeń telepatycznych zaprezentowane zostały na odrębnej stronie internetowej o telepatii. Ponadto telepatyczne urządzenie do zdalnego wykrywania nadchodzących trzęsień ziemi opisane jest na odrębnej stronie internetowej o seismografii Zhang Henga, a także w moim referacie na konferencję poświęconym temu aparatowi, który to referat jest dostępny w internecie pod adresem http://www-ist.massey.ac.nz/conferences/icst05/proceedings/ICST2005-Papers/ICST_112.pdf. Warto odnotować, że na przekór iż urządzenie to jest w stanie uratować tysiące istnień ludzkich oraz nieopisaną wartość mienia, oraz na przekór że jest ono relatywnie proste w budowie i zasadzie działania, faktycznie to nikt nie ma odwagi podjąć jego budowy tylko dlatego że działa ono na zasadzie odbioru i interpretowania fal telepatycznych.

Fot. #4 (1 z [9]): Oto jak wygląda okładka książki o przysłowiach którą napisałem razem z bratem w ramach swojego naukowego hobby zbierania przysłów, mądrości ludowej, wierzeń, oraz ciekawostek kulturalnych i religijnych narodów i krajów które odwiedzałem. Razem z moim bratem opublikowaliśmy tą książkę w Polsce w 2003 roku w dwóch językach pod tytułem "Przysłowia Wschodu oraz z innych stron świata - Proverbs of the Orient and from other corners of the world", Poznań (Adres wydawcy: "Wydawnictwo Poznańskie", Ul. Fredry 8, 61-701 Poznań), 2003 rok, ISBN 83-7177-273-4, 551 stron. Zawiera ona kolekcję około 2700 przysłów zaprezentowanych w dwóch językach - mianowicie po angielsku i po polsku. Owe przysłowia akumulowałem podczas 12 lat swoich wędrówek po najróżniejszych krajach świata w poszukiwaniu chleba. Znacząca ich liczba wywodzi się z kultur Orientu i Azji, włączając w to: Japonię, Koreę, Chiny, Malezję, Dayaków z Borneo, oraz cały szereg innych.

#D6. Moje hobbystyczne wynalazki:

W ramach swoich zainteresowań hobbystycznych wynalazłem cały szereg interesujących urządzeń. Niektóre z nich opiszę bardziej szczegółowo w dalszych częściach tej strony (np. patrz "część #E", "część #G", oraz "część #H" poniżej). Inne takie urządzenia zostały opisane na odrębnych stronach internetowych dostępnych tutaj poprzez Menu.

Część #E: Mój najważniejszy wynalazek techniczny, czyli magnokraft oraz liczne pokrewne mu urządzenia napędowe:

#E1. Wielostopniowy proces wiodący do wynalazku magnokraftu, komory oscylacyjnej, oraz innych pokrewnych urządzeń :

Dokonanie mojego najważniejszego wynalazku, czyli statku kosmicznego z napędem magnetycznym zwanego magnokraftem wcale nie nastąpiło jako jedno wydarzenie twórcze. Faktycznie bowiem owo wynalezienie było długim procesem, na który składało się wiele etapów. Opiszmy teraz najważniejsze z owych etapów.

#E2. Odkrycie tzw. "Tablicy Cykliczności" oraz sformułowanie Teorii Rozwoju Napędów:

Moje zanurzenie się w obecną problematykę, jakie w konsekwencji wiodło do hobbystycznego rozpracowania wszystkich tematów opisywanych na niniejszej i na innych moich stronach internetowych oraz monografiach, zainicjowane zostało odkryciem naukowym z początku 1972 roku, czyli sprzed ponad 35 lat temu. Jak to już opisałem w podrozdziale A19 monografii [1/5] i w następnym punkcie powyżej, odkryłem wówczas "Tablicę Cykliczności". Tablica ta była rodzajem "Tablicy Mendelejewa" (zwanej także "tablicą okresowości pierwiastków chemicznych"), tyle że opracowanej dla urządzeń napędowych zamiast dla pierwiastków chemicznych. Stąd, poprzez ustawienie porządku atrybutów urządzeń napędowych które już zostały wynalezione, moja tablica pozwalała na przewidzenie atrybutów urządzeń napędowych które ciągle oczekiwały na swoje wynalezienie. W ten sposób moja "Tablica Cykliczności" wskazywała mi które napędy ciągle oczekują na swego wynalazcę i pozwalała mi wypracować zasady działania tych napędów. Dzięki temu już wkrótce byłem w stanie wynaleźć cały szereg urządzeń napędowych, włączając w to magnokrafty i wehikuły czasu opisane w dalszej części tej strony.

Wkrótce po opracowaniu opublikowałem tę "Tablicę Cykliczności" w swoim artykule [1W4] o tytule "Teoria rozwoju napędów", z polskiego czasopisma "Astronautyka", numer 5/1976, strony 16-21. Tablica ta wyznaczyła punkt startowy dla całej mojej dzisiejszej wiedzy i działalności. Podążanie za jej wskazaniem kulminowało bowiem w 1980 roku opublikowaniem budowy i działania statku kosmicznego z napędem magnetycznym, nazywanego magnokraftem. Potem zaś, w dniu 3 stycznia 1984 roku - wynalezieniem "komory oscylacyjnej" (owa komora stanowi urządzenie napędowe dla owego magnokraftu). Faktycznie też odkrycia te i wynalazki zainicjowały naukowe zgłębianie tematyki, jaka w końcowym efekcie doprowadziła m.in. do sformułowania Konceptu Dipolarnej Grawitacji i filozofii totalizmu. Ponieważ "Tablica Cykliczności", magnokraft, oraz komora oscylacyjna, są już opisane dosyć szczegółowo w rozdziałach B, F i G monografii [1/5], ich omawianie nie będzie tutaj już powtarzane.

"Tablica Cykliczności" została zilustrowana, zaprezentowana i wyczerpująco opisana na kilku odrębnych stronach internetowych, włączając w to strony o Magnokrafcie i o Komorze Oscylacyjnej, a także częściowo strony o napędach, Konceptie Dipolarnej Grawitacji, nieśmiertelności, oraz o monografii [1/5] (w monografii [1/5] jest ona dokładnie opisana w rozdziale B z tomu 2).

#E3. Wynalazek magnokraftu - czyli "przeskok paradigmowy" w zasadach napędzania statków kosmicznych:

Jednym z następstw opracowania mojej pierwszej "tablicy cykliczności" było, iż postulowała ona niedalekie już zbudowanie na Ziemi całej nowej rodziny statków latających

o napędzie magnetycznym. Począwszy od 1972 roku zacząłem więc rozpracowywać te statki. Budowa i działanie pierwszego z nich opublikowanie zostały już w 1980 roku - patrz mój artykuł [2C2]. Wkrótce potem nazwałem go "magnokraftem". Historia monografii monografii [1/5] w dużej części jest właśnie historią magnokraftu (ta zaś w większej liczbie szczegółów opisana została w podrozdziale F2 i W4 monografii [1/5]).

Tablica cykliczności sugerowała jednak, że zbudowane zostaną aż trzy nowe statki magnetyczne. Wszystkie trzy nazwałem "magnokraftami". Pod względem wyglądu zewnętrznego są one niemal identyczne, jednak wykorzystują one trzy zupełnie odmienne zasady działania. (Z kolei owe trzy odmienne zasady działania powodują trzy różne kształty ich komór oscylacyjnych - patrz rysunki C1c i G3 w monografii [1/5].) Aby więc rozróżnić pomiędzy nimi, nazwałem je: (1) magnokraftem pierwszej generacji, albo po prostu magnokraftem (ten najprostszy z trzech magnokraftów, skrótowo opisany w podrozdziale C1 zaś dokładnie w całym rozdziale G monografii [1/5], używa napędu czysto magnetycznego, poruszając się na zasadzie magnetycznego przyciągania i dopychania; jego komory oscylacyjne są sześciennie, z kwadratowymi ściankami wlotowymi, jak te pokazane na rysunkach C1c i G3a z monografii [1/5]), (2) magnokraftem drugiej generacji, albo "wehikułem telekinetycznym" (ten bardziej zaawansowany wehikuł używa natychmiastowego napędu telekinetycznego opisywanego w podrozdziale LC1 monografii [1/5]; jego komory oscylacyjne posiadają ośmioboczne ścianki czołowe), oraz (3) magnokraftem trzeciej generacji, nazywanym także "wehikułem czasu" (ten najbardziej zaawansowany magnokraft używa zasady podróży w czasie opisywanej w rozdziale M monografii [1/5]; jego komory oscylacyjne posiadają szesnastoboczne ścianki czołowe). Magnokraft pierwszej generacji jest tym jaki zgodnie z tablicą cykliczności powinien być skompletowany na Ziemi do roku 2036. Opisany on został w podrozdziale C1 i w rozdziale G monografii [1/5]. Przyjmuje on kształt dysku, jaki w swoim centrum zawiera bardzo silne źródło odpychającego pola magnetycznego, nazywane "pędnikiem głównym", podczas gdy na obrzeżu zawiera pierścień "pędników bocznych" - patrz rysunek C1(b) w [1/5]. Kiedy dokonuje on lotu, jego pędnik główny odpycha się od pola magnetycznego Ziemi, Słońca, lub galaktyki, wytwarzając w ten sposób siłę nośną. Jednocześnie pędniki boczne przyciągają się do pola ziemskiego, słonecznego lub galaktycznego, w ten sposób wytwarzając siły stabilizujące. Pędniki boczne są też w stanie wytwarzać wirujące pole magnetyczne, podobnie jak to ma miejsce w silnikach elektrycznych podczas formowania wiru magnetycznego. Owo wirujące pole magnetyczne wytwarza magnetyczny odpowiednik dla Efektu Magnusa, napędzając w ten sposób magnokraft poziomą siłą napędową. Ponadto wir ten jonizuje powietrze, wywołując jego jarzenie się. Wir magnetyczny formuje też rodzaj wiru plazmowego jaki jest zdolny do odparowania skał i gleby. W ten sposób, kiedy magnokraft leci pod ziemią, odparowywuje on łatwo identyfikowalne szkliste tunele opisywane w podrozdziale G10.1.1 monografii [1/5] - patrz tam rysunki G31 i P6. (Właśnie taki wir plazmowy UFO spowodował też odparowanie WTC - jak to opisane w podrozdziale V8.1 monografii [1/5] oraz na odrębnej stronie o WTC.) Magnokraft może latać pojedynczo, lub też magnetycznie sprzęgać się z innymi wehikułami formując w ten sposób najróżniejsze konfiguracje latające - patrz rysunek F6 w [1/5]. Pierwsze opisy magnokraftu zostały opublikowane w artykule [2A4] "Budowa i działanie statków kosmicznych z napędem magnetycznym" jaki ukazał się w czasopiśmie "Przegląd Techniczny Innowacje", nr 16/1980, strony 21-23. Bardziej wyczerpujące opisy tego statku zawarte są praktycznie w niemal wszystkich monografiach i traktatach wylistowanych w rozdziale Y monografii [1/5], ze szczególnie wyczerpującym opisem w rozdziale G monografii [1/5].

Należy tutaj podkreślić, że ja stałem się pierwszym naukowcem na Ziemi, który wynalazł statek o zasadzie działania magnokraftu. Przed opublikowaniem mojego wynalazku, idea użycia napędu czysto magnetycznego była całkowicie odrzucana z powodu popularnego (aczkolwiek błędnego) poglądu, że napęd taki nie będzie w stanie zadziałać. Przykładowo, kiedyś wierzono (a niektóre osoby wierzą nawet i do dzisiaj), że napęd czysto magnetyczny powodował będzie tzw. efekt dźwigu magnetycznego (tj. że przelatujący statek z takim napędem jakoby ma unosić w powietrze wszelkie przedmioty ferromagnetyczne), a także że ludzie nie potrafią zbudować urządzenia zdolnego pokonać

tz. "jednorodności" ziemskiego pola magnetycznego. Dopiero ja wykazałem teoretycznie, że efekt dźwigu magnetycznego niwelowany będzie składową pulsującą pola statku (po szczegóły patrz podrozdział F7.3 i rysunek F12 w [1/5]). Natomiast bariera "jednorodności" pola ziemskiego pokonana będzie w rezultacie ogromnej tzw. "długości efektywnej" pola magnetycznego wytwarzanego przez komory oscylacyjne (po wyjaśnienia patrz podrozdział G5.3 monografii [1/5]). W następstwie owych panujących uprzednio błędnych poglądów, przed opracowaniem magnokraftu, z dwóch możliwych napędów polowych postulowany był jedynie napęd antygravitacyjny (patrz jego opisy w rozdziale HB monografii [1/5]). Jeśli zaś ktoś już postulował jakieś użycie pola magnetycznego do napędzania statków, zakładał on tylko jego pośrednie wykorzystywanie dla formowania jakiegoś drugorzędowego efektu napędowego lub dla generowania pola antygravitacyjnego. W ten sposób przykładowo w latach 1970-tych niejaki J. Pierre Petit z Francji wyjaśniał napęd UFO zjawiskiem magneto-hydro-dynamicznym wzbudzonym przez pole magnetyczne tych wehikułów. Natomiast kilka dalszych osób (m.in. słynny George Adamski), postulowało poprzednio, że napęd UFO zawiera jakieś urządzenia, które zamieniają pole magnetyczne na zjawisko antygravitacji. Stąd, zgodnie z tymi osobami, napęd UFO faktycznie był napędem antygravitacyjnym, zaś użycie pola magnetycznego sprowadzało się w nim tylko do roli pośredniego dostawcy energii. Dopiero moje teorie i badania ujawniły niezbitcie, że napęd czysto magnetyczny będzie działał, zaś jego zbudowanie na Ziemi jest realne i już obecnie technicznie możliwe.

Magnokraft opisany został wyczerpująco na kilku odrębnych stronach internetowych. Mianowicie jego opisy zawarte są na stronach o Magnokrafcie i o Komorze Oscylacyjnej, a także częściowo na stronach o napędach, koncepcie Dipolarnej Grawitacji, eksplozji Tapanui, nieśmiertelności, oraz o wehikułach czasu.

#E4. Wynalazek komory oscylacyjnej - czyli "przeskok paradigmowy" w zasadach akumulowania, przechowywania i transportu energii:

Aby magnokraft mógł się wznieść w przestrzeń kosmiczną i ulecieć do gwiazd, wydatek z jego pędników magnetycznych musiał przekraczać szczególną wartość progową, jaką ja nazwałem "strumieniem startu". Strumień ten stanowi magnetyczny odpowiednik dla tzw. "pierwszej prędkości kosmicznej". Wartość tego magnetycznego "strumienia startu" wyliczyłem i opublikowałem już w artykule [1W4]. Niestety, w chwili obecnej nie istnieje na Ziemi urządzenie do wytwarzania pól magnetycznych, jakiego wydatek byłby w stanie przekroczyć ów strumień startu. Stąd jednym z zarzutów, jaki "przeciwnicy" magnokraftu zaczęli wysuwać przeciwko temu statkowi, było twierdzenie, że nie jest możliwe opracowanie urządzenia technicznego, jakiego zasada działania pozwalałaby wytworzyć pole magnetyczne o wartości przekraczającej ów strumień startu. Aby więc udowodnić, że osoby te się mylą, postanowiłem osobiście wynaleźć takie urządzenie. Po wielu latach przemyśleń i poszukiwań wymaganej zasady jego działania, urządzenie to skrytykizowało się w mojej głowie nad rankiem 3 stycznia 1984 roku. Z uwagi na jego kształt, konstrukcję i zasadę działania nazwałem je "komorą oscylacyjną". Okoliczności i najważniejsze następstwa wynalezienia tej komory opisane są bardziej szczegółowo w podrozdziale F2 monografii [1/5] i w podrozdziale C2 monografii [1/3]. Pierwsze opublikowanie pełnej budowy i działania komory oscylacyjnej miało miejsce w monografii [8A4] o następującym tytule i danych bibliograficznych: Pajak Jan, "The Oscillatory Chamber - a breakthrough in the principles of magnetic field production", pierwsze wydanie nowozelandzkie, Invercargill, New Zealand, 31 stycznia 1985 roku, ISBN 0-9597698-2-X (copyright receipt C 7433, date 31.1.85). Niemniej niewielka wzmianka o tej komorze (jeden krótki rozdział) publikowana już była w monografii [4A4] wspomianej poprzednio. Dla moich badań wynalezienie komory oscylacyjnej posiadało przełomowe znaczenie, bowiem udowadniało ono, że istnieje zasada działania i realizujące tą zasadę urządzenie techniczne, jakie są w stanie wytworzyć wymagany magnetyczny "strumień startu", a stąd wznieść mój magnokraft w przestrzeń kosmiczną. Komora oscylacyjna ilustrowała więc, że idea magnokraftu jest całkiem realna i że statek ten już wkrótce może być urzeczywistniony przez naszą cywilizację - jeśli tylko ktoś podejmie realizację projektu jego budowy.

Z powyższego możemy podsumować, że "komora oscylacyjna" jest to urządzenie

(mojego wynalazku) do produkcji niezwykle silnych pól magnetycznych. Można więc powiedzieć, że jest ona rodzajem ogromnie potężnego "magnesu" (tj. magnesu tak potężnego, że komora ta sama jest w stanie odepchnąć się od pola Ziemi i ulecieć w przestrzeń, poprzez swe odpychające oddziaływanie z ziemskim polem magnetycznym). Jej działanie oparte zostało na całkowicie nowej zasadzie, nieznannej dotychczas na Ziemi, szczegółowo opisanej w rozdziale F monografii [1/5], a także opisanej w monografiach [1/4], [1/3], [1/2], [3/2], [3] i [2]. Komora ta zwykle posiada kształt przezroczystej kostki sześcienniej, pustej w środku. Wewnątrz ścianek bocznych tej kostki następują oscylacyjne wyładowania elektryczne, które zmuszają snopy iskier do rotowania po obwodzie kwadratu. Kwadratowy obieg tych iskier elektrycznych wytwarza silne pole magnetyczne. Pojedyncza komora oscylacyjna stanowi więc rodzaj niezwykle silnego magnesu, którego pole jest w stanie wznieść tą komorę w przestrzeń kosmiczną (wraz z dołączoną do niej konstrukcją statku kosmicznego), wyłącznie wskutek jej odpychającego oddziaływania z polem magnetycznym Ziemi, Słońca, lub Galaktyki. Aby takie wyniesienie się w przestrzeń było możliwe, wydatek komory musi przekraczać wartość stałej magnetycznej zwanej "strumień startu". Strumień ten zdefiniowany jest jako "najmniejsza wydajność jakiegoś źródła pola magnetycznego odniesiona do jednostki jego masy, która przy jego odpychającym zorientowaniu względem ziemskiego pola magnetycznego spowoduje pokonanie przyciągania grawitacyjnego i wyniesienie tego źródła pola w przestrzeń kosmiczną". Wartość "strumienia startu" w monografii [1/5] wyznaczono w podrozdziale G5.1. Jest ona także wyznaczona w monografiach [1/4], [1/3], [1/2] i [1]. Dla obszaru Polski wynosi ona $F_s=3.45$ [Wb/kg].

Budowa i działanie komory oscylacyjnej została też opisana wyczerpująco aż na kilku odrębnych stronach internetowych. Przykładowo, jej opisy zawarte są nie tylko na stronach o samej Komorze Oscylacyjnej, ale także na stronach o Magnokracji, napędach, zniszczeniowych użyciach wehikułów UFO, eksplozji Tapanui, nieśmiertelności, oraz o wehikulach czasu.

Część #F: Moje hobbyistyczne zainteresowanie zjawiskiem UFO:

#F1. Rola wynalazku magnokraftu jako pobudzacza moich zainteresowań manifestacjami UFO:

Po tym jak pierwsze opisy magnokraftu mojego wynalazku (omawianego w punkcie #E3 powyżej) zostały opublikowane, oraz po tym jak udokumentowały one naukowo, że zbudowanie magnokraftu będzie naturalną konsekwencją ewolucji ziemskiej techniki, wehikuł ten zaczął być bardzo sławny w Polsce. Pojawiły się liczne artykuły komentujące w różnych gazetach i czasopismach. Także szereg programów telewizyjnych zostało przygotowanych, jakie pokazywały obrazy, opisy, oraz dyskusje ekspertów o moim międzygwiazdnym statku kosmicznym. Jedną ideą, jaka powtarzalnie zaczęła się wyłaniać ze wszystkich tych dyskusji, to że magnokraft który ja wynalazłem i zaprojektowałem, jest bardzo podobny w wyglądzie i własnościach do tajemniczych statków które ludzie widują i opisują pod nazwą UFO. Aczkolwiek sugestie, że UFO są podobne do mojego magnokraftu, pochodziły nie odemnie samego, a od czytelników moich publikacji którzy widzieli UFO, ciągle zacząłem je uważnie badać. W wyniku tych badań szybko zgromadziłem ogromny materiał dowodowy który dokumentował że: (1) UFO są wehikulami, (2) wehikuły UFO faktycznie są ogromnie podobne do Magnokraftu mojej konstrukcji, (3) manifestowanie się UFO jest potwierdzane przez ogromną różnorodność obiektywnego materiału dowodowego, (4) na przekór niezwykłego zróżnicowania efektów które towarzyszą pojawianiu się wehikułów UFO, wszystkie te efekty wywodzą się od tego samego rodzaju wehikułów latających, oraz że (5) UFO generują dokładnie te same zjawiska które teoretycznie przewidywane były do wystąpienia podczas lotów mojego magnokraftu. Powyższe ustalenia moich wstępnych badań UFO nakłoniły mnie abym spróbował opracować formalny dowód naukowy, stwierdzający że wehikuły UFO to moje magnokrafty - tyle że już zbudowane przez kogoś innego.

#F2. Formalny dowód naukowy który zaszokował, mianowicie że magnokrafty które ja wynalazłem już latają - ludzie widują je pod nazwą UFO:

W wyniku moich hobbyistycznych badań nad manifestacjami UFO zaindukowanymi twierdzeniami ludzi że widzieli oni moje Magnokrafty w locie, w 1981 roku rozpracowałem i potem opublikowałem formalny dowód naukowy jaki stwierdzał że "UFO to już zbudowany przez kogoś magnokrafty". Dowód ten po raz pierwszy opublikowany został w artykule [3A4] "Konstrukcja prosto z nieba" z czasopisma Przegląd Techniczny Innowacje, nr 13/1981, strony 21-23. Najnowsza prezentacja tego dowodu zawarta jest w podrozdziale P2 z tomu 14 mojej monografii [1/5]. (Podsumowanie tego dowodu jest też opublikowane w internecie na totaliztycznej stronie ufo_proof_pl.htm.) Ów formalny dowód oparty został na bardzo starej i niezawodnej metodologii naukowej nazywanej "metoda dopasowywania atrybutów", jaka często jest używana do identyfikowania nieznanymi obiektów, w śledztwie kryminalnym, oraz w rozpoznaniu wojskowym. W jej zastosowaniu dla udowodnienia że "UFO to magnokrafty", metoda ta wyróżnia 12 klas atrybutów, jakie są unikalne dla magnokraftu (przykładowo jego wygląd zewnętrzny, obecność pędnika głównego i pędników bocznych, używanie sił magnetycznych dla celów napędowych, formowanie latających połączeń, latanie w trzech trybach działania, itp.). Następnie udowadnia on na przykładach obiektywnych dowodów fotograficznych UFO, że wszystkie te 12 klas atrybutów magnokraftu są także obecne i udokumentowane na autentycznych zdjęciach i obserwacjach UFO.

Formalny dowód naukowy że "UFO to magnokrafty" faktycznie reprezentuje sobą aż cały szereg innych dowodów formalnych, przykładowo dowodu że "UFO to wehikuły latające" (wszakże moje magnokrafty są wehikułami latającymi), że "UFO manifestują się obiektywnie, powtarzalnie i konsystentnie" (wszakże cały materiał dowodowy o UFO obiektywnie, powtarzalnie i konsystentnie pokrywa się z atrybutami mojego magnokraftu), a także że "UFO istnieją" (wszakże aby coś mogło się manifestować obiektywnie, powtarzalnie i konsystentnie, musi to faktycznie istnieć).

#F3. Postulat zamienności UFO i magnokraftów:

Formalne udowodnienie że "UFO to magnokrafty - tyle że już zbudowane przez kogoś kto jest bardziej niż ludzkość zaawansowany technicznie" doprowadziło z kolei do sformułowania tzw. "postulatu zamienności UFO i magnokraftów" - po szczegóły tego postulatu patrz punkt #D1 z totaliztycznej strony ufo_proof_pl.htm, lub patrz podrozdział P2.15 w monografii [1/5]. Generalnie rzecz biorąc postulat ten podaje, że każde poprawne równanie, zasada, czy ustalenie, wypracowane dla Magnokraftu rozciąga też swoją ważność na UFO, natomiast wszystkie fakty zaobserwowane na UFO muszą odnosić się również i do "Teorii Magnokraftu". Praktyczne wykorzystanie tego postulatu pozwala na szybsze rozwikłanie tajemnic UFO poprzez zastosowanie do nich wszelkich ustaleń dotyczących magnokraftu, a także na szybszy postęp w budowie magnokraftu, poprzez wykorzystywanie do niego już gotowych rozwiązań technicznych które zaobserwowane zostały przez nas na UFO.

"Postulat zamienności UFO i magnokraftów" posiada ogromne znaczenie naukowe. Wszakże ujawnia on że dotychczas ignorowane przez oficjalną naukę obserwacje UFO zawierają w sobie informacje które są w stanie przyspieszyć awans ludzkości na znacznie wyższy poziom rozwoju technicznego i naukowego.

#F4. Uchwała która akceptowała mój formalny dowód na istnienie UFO jako oficjalne wyjaśnienie dla budowy i działania UFO:

Formalny dowód naukowy że "UFO to Magnokrafty" (a stąd też że "UFO istnieją"), który miałem honor opracować, został potem zatwierdzony jako oficjalne wyjaśnienie dla technicznych aspektów UFO. Zatwierdzenia tego dokonano poprzez podjęcie specjalnej uchwały głosowanej jednomyślnie przez uczestników internetowej listy dyskusyjnej totalizmu którzy reprezentowali sobą praktycznie przekrój całego społeczeństwa Polski, włączając w to racjonalnie nastawionych UFOlogów. Treść owej

uchwały została opublikowana w internecie. Można z nią się zapoznać na całym szeregu stron totalizmu, np. na stronach ufo_pl.htm - o UFOonautach (patrz tam punkt #H2), ufo_proof_pl.htm - o formalnym dowodzie naukowym na istnienie UFO (patrz tam punkt #D2), antichrist_pl.htm - o Antychryście (patrz tam punkt #C6), timevehicle_pl.htm - o podróżach w czasie i o wehikułach czasu (patrz tam punkt #D2), czy explain_pl.htm - o naukowej interpretacji autentycznych zdjęć UFO (patrz tam punkt #J2).

#F5. Stopniowe odkrywanie coraz szerszego materiału dowodzącego odwiecznej ingerencji UFOonautów w ludzkie sprawy:

Po ustaleniu że materiał dowodowy na temat UFO ukrywa w sobie ważne informacje naukowe i techniczne, zacząłem systematycznie dokumentować i badać wszelkie kategorie tego materiału. Wkrótce też się przekonałem, że na Ziemi istnieje ogromne zatrzęsienie trwałych dowodów nieustannej działalności UFO. Dowody owe obejmują m.in.: (1) obserwacje i zdjęcia wehikułów UFO, (2) obserwacje i zdjęcia istot pilotujących wehikuły UFO, (3) miejsca eksplozji wehikułów UFO, (4) szczątki i odłamki wehikułów UFO, (5) miejsca lądowań wehikułów UFO, (6) zniszczenia powodowane przez załogantów UFO, oraz cały szereg innych rodzajów materiału dowodowego którego dokładniejszy opis zawarty jest w monografii [1/5].

#F6. Odkrycie że powinniśmy się interesować nieco bardziej powodem działalności wehikułów UFO na Ziemi:

W 1990 roku moje hobbyistyczne badania UFO sciągnęły spore kłopoty na moją głowę. Mianowicie, zostałem wówczas surowo ukarany za opublikowanie wyników swoich badań miejsca eksplozji UFO koło Tapanui w Nowej Zelandii. Nie pomogło mi wówczas że badania te były niemal moim obowiązkiem jako naukowca mieszkającego w pobliżu Tapanui, ani że były one ogromnie potrzebne bowiem Nowa Zelandia przelewała się najróżniejszymi zagadkami - podczas gdy lokalni naukowcy odmawiali ich przebadania. Jednak owo ukaranie przyniosło także i pozytywne wyniki. Zmusiło ono mnie bowiem do zadania sobie pytania "dlaczego wszelkie badania dotyczące UFO muszą być prowadzone w konspiracji". Badania te przecież nikogo nie krzywdzą, a ponadto biorąc pod uwagę kontrowersję jaka je otacza, są one ogromnie potrzebne naszej cywilizacji. Z czasów kiedy byłem aktywistą oryginalnej Solidarności, ciągle pamiętam podstawową zasadę, że kiedykolwiek zachodzi konieczność uciekania się do konspiracji, zawsze istnieje jakiś rodzaj okupanta który prześladuje owych ludzi zmuszonych do uciekania się do konspiracji. Stąd następnym moim pytaniem było: "kto jest owym niewidzialnym okupantem, jaki prześladuje wszystkich badaczy którzy dokonują rzeczowych badań UFO". Jak to doskonale już wiadomo, sukces badań naukowych głównie polega na zadawaniu właściwych pytań i potem znajdowaniu dla nich poprawnych odpowiedzi. W tym przypadku zapytanie "kto jest owym niewidzialnym okupantem" okazało się tym właściwym zapytaniem, które dostarczyło mi lawinowej odpowiedzi. Tak się stało, ponieważ poprawna odpowiedź na to pytanie brzmi owym niewidzialnym okupantem jaki prześladuje badania UFO, są sami UFOnauci, którzy wcale nie chcą aby ludzie dowiedzieli się o ich niszczyielskich działaniach na Ziemi i dlatego którzy za pośrednictwem swoich agentów - przez folklor ludowy zwanych podmieńcami, niszczą każdego kto bada ich zbyt dociekliwie. Tak samo jak owa odpowiedź szokuje, doskonale ona pasuje do wszelkich znaków zapytania dotyczących UFO. Wyjaśnia ona bowiem dlaczego istnieje tak wiele przeciwieństw i kontrowersji w naszym odbiorze zjawiska UFO, dlaczego ludzie reagują histerycznie na każdą wzmiankę słowa UFO, dlaczego istnieje cała ta oficjalna wrogość w odniesieniu do badań UFO, dlaczego każdy kto rzeczowo bada UFO zawsze dotknięty zostaje najróżniejszymi problemami i karami, dlaczego poprawne i racjonalne teorie i wyjaśnienia dotyczące UFO są zawsze krytykowane, podczas gdy najróżniejsze zwariowane teorie są rozmnażane w nieskończoność i upowszechniane bez najmniejszego oporu ani krytycyzmu, dlaczego wszelki materiał dowodowy jaki mógłby ujawnić sekretną okupację Ziemi przez UFOonautów zawsze znika zanim ktokolwiek ma czas aby go dokładnie przebadac, dlaczego istnieją dosłownie tysiące i tysiące autentycznych zdjęć

UFO dokumentujących z ogromną konsystencją i powtarzalnością istnienie tych samych statków międzygwiazdnych, jednak ciągle jacyś "luminarze nauki" uparcie stwierdzają że nie ma dowodów na istnienie UFO, itd., itp.

Fakt skrytej okupacji Ziemi przez szatańskich UFOonautów wyglądających identycznie jak ludzie najbardziej perspektywicznie wyjaśniony jest na stronie internetowej o pochodzeniu zła. Z kolei poszczególne następstwa tej skrytej i wysoce niszczycielskiej okupacji manifestujące się systematycznym wyniszczaniem naszej cywilizacji opisane jest na całym szeregu stron, przykładowo na stronach o UFOonautach, zniszczeniowych użyciach wehikułów UFO, dowodach działalności UFO na Ziemi, UFOonautach-podmieńcach, 26tym dniu, ludobójcach, WTC, obsuwiskach ziemi i błota, huraganach, tornadach, huraganie Katrina, Tapanui, Katowicach, itp.

#F7. Odkrycie że nawet Biblia ostrzega nas o skrytej okupacji Ziemi przez przewrotne i do kości złe istoty:

Po odkryciu skrytej okupacji Ziemi przez moralnie upadłych UFOonautów, ze szokiem odkryłem także, że nawet Biblia ostrzega nas iż Ziemia jest pod sekretnym panowaniem owych szatańskich istot. Tyle tylko że w Biblii istoty te NIE są nazywane "UFOonautami", a "diabłami", "smokami", "serpentami", itp. - po szczegóły patrz wyjaśnienia ze strony internetowej biblia.htm - o autoryzowaniu Biblii przez samego Boga.

#F8. Odkrycie że manifestacje wehikułów UFO faktycznie są tymczasowymi "symulacjami" realizowanymi dla osiągnięcia szeregu istotnych celów:

W 2007 roku zacząłem badać dziwne paradoksy i nienormalności które zawsze charakteryzują wszelkie manifestacje UFO. Ich przykładami mogą być: zaobserwowanie UFO przez ludzi powtarzane z częstością która przewyższa liczbę potwierdzeń dowolnej z powszechnie uznawanych teorii naukowych, połączone z jednoczesnym zachowaniem większości ludzi tak jakby NIE było najmniejszego dowodu na istnienie UFO, szybkie i tajemnicze znikanie lub unieważnianie każdego dowodu działalności UFO na Ziemi, wybiórcze ukazywanie się UFO niemal wyłącznie pojedynczym świadkom dowodzące jakby nadprzyrodzonej znajomości sytuacji ludzi, nieracjonalne i logicznie nieuzasadnione uprzedzenie zgodne i spontanicznie demonstrowane wobec badaczy UFO w praktycznie wszystkich krajach, systemach i instytucjach całego świata, obecność UFO w wielu religijnych sytuacjach, czy zbyt duża operatywność, efektywność, oraz precyzja UFOonautów aby mogła być ona urzeczywistniona przez fizykalne istoty o pasożytniczej filozofii "tumiwisistów" której praktykowanie demonstrowują UFOnauci. Wszystkie te paradoksy sugerują że UFOnauci faktycznie są jedynie fasadą, poza którą kryje się znacznie od UFOonautów precyzyjniejsza i potężniejsza moc - jaką my typowo utożsamiamy z samym Bogiem. W ten sposób owe badania z 2007 roku doprowadziły mnie do wniosku, że manifestacje UFO faktycznie są rodzajem tymczasowych "symulacji" z jakimi ludzie zostają konfrontowani przez samego Boga dla bardzo istotnych powodów. Więcej na temat mechanizmów i powodów dla owych tymczasowych symulacji UFO wyjaśnione zostało w tomie 6 monografii [8/2], a także częściowo na stronie soul_proof_pl.htm.

Gdyby więc ktoś zapytał mnie w chwili obecnej co to takiego wehikuły UFO, wówczas na bazie wiedzy zgromadzonej dotychczas ja bym zdefiniował je następująco: "wehikuły UFO są to maszyny latające których istnienie jest symulowane bezpośrednio przez samego Boga aby inspirować szybszy postęp ludzkiej wiedzy, zaś których zasymulowanie jest aż tak precyzyjne, aż tak wszechogarniające, oraz aż tak konsekwentne, że ludzie muszą je traktować tak jakby UFO faktycznie istniały w rzeczywistości".

Powyższe należy uzupełnić informacją, że "fakt iż okupacja Ziemi przez szatańskich UFOonautów wcale NIE jest rzeczywistą sytuacją, a jest jedynie symulacją stworzoną nam przez samego Boga, wcale NIE zwalnia nas od obowiązku zwalczania owej okupacji". Wszystkie symulacje Boga mają bowiem na celu postawienie ludzi przed "próbami" które owi ludzie muszą albo zdać albo też zawalić. Przez tak więc długo aż ludzie NIE zdadzą tej próby i nie znajdą rozwiązania dla zasymulowanej przez Boga okupacji

Ziemi przez szatańskich UFOonautów, okupacja ta będzie miała dokładnie takie same następstwa dla ludzkości jakby była prawdziwa, a na dodatek z upływem czasu jej konsekwencje dla ludzi będą się nasilały.

#F9. Powinienem tu dodać, że badania UFO są tylko moim hobby które pedantycznie oddzielam od pracy zawodowej:

W obecnym wieku szalejącego bezrobocia oraz dni roboczych coraz bardziej skracanych przez pracodawców lub przez rządy, dobrze jest mieć jakieś hobby. Teoretycznie rzecz biorąc każdy też ma prawo do posiadania swego hobby. Niestety, wszyscy doskonale wiemy że społeczeństwo nie każde hobby traktuje dzisiaj tak samo. Przykładowo, na przekór że wszyscy z nas woleliby zapewne mieć sąsiada którego hobby polega na naukowym badaniu UFO, niż sąsiada który np. podgląda innych ludzi, zabawia się nieletnimi, czy należy do motocyklowego gangu, ciągle typowi pracodawcy zdają się być wysoce nieufni wobec tematyki UFO i traktują z uprzedzeniem każdego kto interesuje się problematyką UFO. Dlatego w tym miejscu powinienem z naciskiem podkreślić, że wszystko co dociekam w związku z UFO jest jedynie moim prywatnym hobby, które NIE ma nic wspólnego z pracą zarobkową jaką czasami mam możliwość wykonywać. Od 1990 roku przyjąłem też żelazną zasadę, że swoje hobbystyczne badania prowadzę na własny koszt i w wyłącznie czasie przeznaczonym na odpoczynek, że pedantycznie oddzielam pracę od hobby, ani nawet NIE podejmuję żadnych dyskusji na temat mojego hobby w miejscach swego zatrudnienia.

Część #G: Moje hobbystyczne badania nad "zasadami generowania czystej energii z samo-odtworzących się i nieustających zjawisk natury":

#G1. Pochodzenie moich zainteresowań w energii:

Moje zainteresowania energią wywodzą się z czasów mojej rozprawy doktorskiej. Tematem tej rozprawy było bowiem "Analityczne badanie rozkładu temperatur we wrzecionach obrabiarek skrawających ze szczególnym uwzględnieniem wrzeciona tokarki". Jeśli więc ów naukowy tytuł przetłumaczyć na zwykły język codzienny, wówczas moja rozprawa doktorska była właśnie na temat energii cieplnej, a ściślej polegała ona na: (1) matematycznym zamodelowaniu rozptywu energii cieplnej w obrębie wrzeciona pracującej tokarki (model jaki w tym celu opracowałem bazował na tzw. "grafie termicznym" - który jest nieco podobny do "metody elementów skończonych"), (2) komputerowym zaprogramowaniu i symulowaniu rozptywu energii cieplnej z użyciem owego modelu matematycznego, (3) ustalenia dokładności modelu i symulacji komputerowej poprzez porównywanie wyników obliczeń numerycznych z wynikami faktycznych pomiarów skompletowanych na rzeczywistym wrzecionie tokarki, oraz (4) wypracowanie elementów Komputerowo Wspomaganej Projektowania (CAD) w którym komputerowa symulacja zjawisk cieplnych była tak optymalizowana aby dać możliwie najlepszą konstrukcję wrzeciona (z punktu widzenia wpływu zjawisk cieplnych na dokładność obróbki). Innymi słowy, moja praca doktorska miała charakter interdyscyplinarny i dotyczyła obszaru granicznego pomiędzy Inżynierią Mechaniczną, Naukami Komputerowymi, Naukami Ciepłymi (tj. elementami Fizyki i Termodynamiki), oraz Matematyką. Z powodu owego złożonego interdyscyplinarnego charakteru mojego doktoratu, dostarczył mi on między innymi doświadczeń typu "hands-on" i dogłębnego poznania praktycznie wszelkich tematów związanych z energią, szczególnie zaś poznania wiedzy z zakresu fizykalnych manifestacji energii, zasad tzw. "konwersji energii", metod i urządzeń do laboratoryjnego pomiaru energii, ciepła, temperatur, matematycznych i komputerowych modeli do symulacji zjawisk wywoływanych działaniem i zachowaniami energii (włączając w to "Metodę Elementów Skończonych" oraz "Metodę Grafu Termicznego") zasad generowania, przepływu, zamiany i przechowywania energii, praktycznych zastosowań symulacji komputerowej i CAD do projektowania maszyn i elementów maszyn, oraz cały szereg odmiennych spraw. Innymi słowy, wykonując swoją pracę doktorską poznałem dokładnie niemal całą tematykę energii,

doskonale zrozumiałem filozoficzną ideę energii, zdołałem też "wczuć" się i zrozumieć dokładnie samą energię i jej tajemnice. Ta zaś wiedza i "wyczucie" pozwoliła mi później na dokonywanie najróżniejszych odkryć i wynalazków związanych z energią.

#G2. Co znaczy że ja badam "zasady generowania czystej energii z samo-odtworzących się i nieustających zjawisk natury":

Moje hobbyistyczne zainteresowania badawcze energią można wyjaśnić jako usiłowania aby wypracować metody, zasady, oraz urządzenia które by generowały energię z samo-odtworzących się zjawisk natury jakie działają nieustająco przez tysiące lub nawet miliony lat. Chodzi bowiem o to, że wszelkie "brudne" sposoby generowania energii (np. ze skamienielinowych paliw, czy z reaktorów atomowych) muszą ulec zarzuceniu na jakimś tam etapie - jeśli nasza cywilizacja ma ocalić się od samozagłady. Z kolei wszystkie naturalne zjawiska które obecnie używane są do generowania "czystej" energii, faktycznie wykazują nieustanne i znaczące zmiany w intensywności i w mocy. Dla przykładu, "wiatraki" działają tylko kiedy panują silne wiatry, "energia słoneczna" pracuje tylko kiedy pojawia się słońce, "przyływy morza" są zależne od pozycji Księżyca, itd., itp. Jednak istnieją także odmienne zjawiska naturalne, które wykazują sobą wysoką stałość w swojej intensywności i sile. Mogą one być widziane jako odpowiedniki "wiatrów" wiejących silnie, nieustannie, oraz z tą samą mocą przez tysiące czy nawet przez miliony lat, albo jako słońca które świecą nieustannie przez wieki z zawsze tą samą intensywnością. Przykładami takich nieprzerwanych zjawisk mogą być: ruch obrotowy Ziemi, rotacja Księżyca wokół Ziemi, ziemskie pole magnetyczne, fale "hałasu kosmicznego", różnica temperatur pomiędzy powierzchnią Ziemi i próżnią kosmiczną (lub absolutnym zerem), różne zachowania cząsteczek elementarnych, oraz wiele więcej. Odmienne niż to jest z wykorzystaniem wiatrów czy energii słonecznej, te nieprzerwane naturalne zjawiska - jeśli nauczymy się jak pozyskiwać ich energię, dostarczyłyby nieprzerwanego i stałego wpływu energii jaki NIE zależałby od warunków pogodowych, pory dnia, pozycji księżyca, itp. Jedyny problem z nimi polega na tym że obecnie jeszcze NIE wiemy jak generować energię z owych nieprzerwanych zjawisk naturalnych. Jednak ludzka zdolność wynalazcza NIE zna granic. Stąd rozwój użytecznych metod, zasad i urządzeń do generacji energii z owych zjawisk jest przedmiotem moich badań hobbyistycznych - trwających już przez wiele lat. Jak dotąd wypracowałem już cały szereg takich metod i zasad.

Aby wskazać tutaj czytelnikowi rodzaj zasad jaki mam na myśli, opiszę teraz przykład takiej zasady. (W większej ilości szczegółów ten sam przykład opisany jest też w punkcie #F1 strony [free_energy_pl.htm](#).) Zgodnie z moimi analizami przykład ten będzie w stanie generować energię z ruchu obrotowego Ziemi. Oto jak będzie on działał. Możemy zbudować duże "koło zamachowe" które spełnia trzy łatwe warunki, mianowicie (1) jego "moment bezwładności" jest większy od "momentu tarcia" na jego łożyskach, (2) jest doskonale wyważone - tak że pole grawitacyjne Ziemi nie wpływa na jego pozycję kątową podczas obrotów, oraz (3) jest ono tak zamontowane w danej pozycji geograficznej że jego oś obrotu jest dokładnie równoległa do osi obrotu Ziemi. W takim przypadku owo koło zamachowe obracałoby się nieustannie z szybkością jednego obrotu na dobę (a ściślej, pozostawałoby ono nieruchome względem układu słonecznego, podczas gdy Ziemia rotowałaby wokół niego z szybkością jednego obrotu na dobę). Gdyby więc takie koło zamachowe zaopatrzyć w odpowiednią przekładnię, wówczas by generowało ono obrotową energię mechaniczną którą dawałoby się wykorzystać do kilku celów, np. do wytwarzania elektryczności lub do zademonstrowania sceptycznym ludziom że we wszechświecie istnieje również spora liczba ciągle niewykorzystanych zjawisk które wynalazcy również mogą użyć do generowania energii. Jeśli więc zdołamy znaleźć metody, zasady i urządzenia które będą w stanie generować wystarczające ilości energii z takich nieustających zjawisk naturalnych, wówczas byłyby one w stanie otworzyć ludzkości dostęp do źródeł bezzanieczyszczeniowej energii - znaczy energii która nie pochodzi ze spalania żadnych paliw a stąd która nie generuje jakiegokolwiek zanieczyszczeń.

#G3. Mój wynalazek telekinetycznych generatorów darmowej energii - czyli odmienne

podejście do zasady generowania energii:

Opisana wcześniej teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji ujawniła że we wszechświecie najbardziej naturalnym stanem jest właśnie nieustający beztarciowy ruch który panuje w odmiennym świecie zwanym "przeciw-światem". Dopiero po odpowiednich wysoce-zmyślnych transformacjach, ten nieustający ruch z przeciw-świata jest zamieniany na bezruch, inercję oraz tarcie naszego świata fizycznego - co dokładniej opisane zostało w punkcie #B1 totalizycznej strony [evolution_pl.htm](#) - o ewolucji, w punkcie #12 z "części I" strony internetowej [dipolar_gravity_pl.htm](#) - o Konceptcie Dipolarnej Grawitacji, oraz w punkcie #B12 totalizycznej strony [god_pl.htm](#) - o świeckim i naukowym zrozumieniu Boga.

Pechowo jednak dla ludzi, beztarciowy i nieustający ruch został niemal całkowicie wyeliminowany z naszego świata fizycznego. Jedyne zaś okazje przy których daje się on co łatwiej odnotować przez ludzi, z reguły są nieprzydatne do wykorzystania tego nieustającego ruchu w celach np. generowania energii. Wszakże do przypadków kiedy istnienie owego nieustającego beztarciowego ruchu ludziom już jest znane, należą np. ruchy elektronów w orbitach atomowych, tzw. "ruchy Browna", fale elektromagnetyczne, ruchy planet po orbitach, wirowanie planet i księżyców, oraz kilka dalszych zjawisk równie nieprzydatnych dla naszej dzisiejszej energetyki. Na przekór jednak że owe już poznane przypadki nieustającego, beztarciowego ruchu są dla nas nieprzydatne pod względem energetycznym, Koncept Dipolarnej Grawitacji ujawnia że istnieją dalsze podobne zjawiska, których nasza nauka ziemską jeszcze nie poznała. Jednym z takich zjawisk jest telekineza - czyli zjawisko będące dokładną odwrotnością tarcia. W sposób bowiem odwrotny jak tarcie spontanicznie konsumuje ruch aby produkować ciepło, telekineza konsumuje ciepło aby produkować spontaniczny ruch. Te ciągle przez ludzi nie poznane zjawiska mogą już zostać wykorzystane dla generowania energii. Jedną z zasad na jakich owo generowanie może następować są tzw. ogniwa telekinetyczne.

Zjawisko telekinezy obrazowo możnaby opisać jako "manipulowanie obiektami poprzez oddziaływanie na ich duchy". Ciekawą cechą owej telekinezy jest, że jej zrealizowanie nie wymaga dostaw energii. Stąd może być dokonywane np. nakazami czyjegoś umysłu. Ta niezwykła cecha telekinezy, w powiązaniu z faktem że telekinezę daje się też wyzwalać technicznie za pomocą odpowiednich urządzeń, prowadziła właśnie do wynalazku owych niezwykłych urządzeń technicznych zwanych telekinetycznymi generatorami darmowej energii.

Telekineza opisana jest relatywnie wyczerpująco aż na kilku totalizycznych stronach internetowych, przykładowo na stronach [dipolar_gravity_pl.htm](#) - o Konceptcie Dipolarnej Grawitacji, czy [telekinesis_pl.htm](#) - o zjawisku telekinezy. Z kolei telekinetyczne generatory darmowej energii opisane są na totalizycznych stronach internetowych [free_energy_pl.htm](#) - o telekinetycznych generatorach darmowej energii, [fe_cell_pl.htm](#) - o telekinetycznych ogniwach, czy [boiler_pl.htm](#) - o szokujących losach rewolucyjnej grzałki która bije wszelkie rekordy.

#G4. Czym więc się różni moje podejście "hobbysty" do generowania energii, od podejścia zawodowych (płatnych) naukowców:

Motto: "Prawdziwy postęp dostarcza zasad i zjawisk dla przyszłości, pozorowany postęp czerpie zasady i zjawiska z przeszłości."

Pod względem metody generowania energii moje podejście "hobbysty" jest identyczne do podejścia naukowców zatrudnionych i opłacanych za dokonywanie badań energii. Mianowicie, ja też staram się identyfikować zjawiska które pozwolą na generowanie wymaganych ilości i rodzajów energii, oraz wypracować zasady działania i konstrukcję urządzeń które pozyskają dla nas energię z owych zjawisk. Za to ogromne różnice istnieją w zakresie filozofii która wynika z unikalnej "kultury" jaką opłacani naukowcy są zobowiązani wyznawać. Mianowicie, płatni dzisiejsi naukowcy muszą wyznawać filozofię, że dotychczasowa nauka ludzka poznała już wszystkie istniejące zjawiska wszechświata i wszystkie możliwe zasady generowania energii. Stąd dzisiejsi naukowcy po wszelkie rozwiązania patrzą do tyłu - w przeszłość. Jeśli więc potrzeba wygenerować energię w

jakimś wysoce niedostępnym miejscu (tj. wymagane jest - po angielsku "energy harvesting") - przykładowo potrzeba zasilać energią jakieś czujniki umiejscowione w śmigle helikoptera, na czubku wysokiego masztu, na Antarktydzie, czy w kosmosie, wówczas rozwiązania poszukują oni w tym co już jest przez ludzi poznane, np. w efekcie piezoelektrycznym, w ogniwie fotooptycznym, w złączu termicznym, itp. Tymczasem ja w swoich poszukiwaniach wyznaję filozofię, że ludzie ciągle NIE poznali wszystkiego, a faktycznie to że ludzkość jest dopiero na samym początku swej drogi do wiedzy. Wymaganych zjawisk i rozwiązań ja poszukuję więc tam gdzie NIKT dotąd nie szukał - czyli w przyszłości (w tym w technologiach ujawnianych nam przez UFO). To dlatego ja badam takie nadal niepoznane zjawiska jak "techniczna telekineza" (czyli "odwrotność tarcia"), jak telepatia, jak grawitacja, ja energia cieplna elektronów, itp.

Część #H: Moje hobbyistyczne ustalenia na temat działania czasu i podróżowania przez czas:

#H1. Moje hobbyistyczne ustalenia na temat czasu oraz podróżowania w czasie:

Definicje. Pod owa nazwą "softwarowa interpretacja czasu" kryje się alternatywna do upowszechnianej przez oficjalną naukę zasada na jakiej teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji wyjaśnia działanie czasu. Zgodnie z tą zasadą, "czas jest to przepływ kontroli wykonawczej przez naturalne programy naszego życia". Dlatego czas musi mieć charakter dyskretny (tj. postępuje w małych skokach), jako że owa kontrola wykonawcza skacze właśnie od jednego rozkazu do następnego. Z kolei będąc taką kontrolą wykonawczą, czas może być cofany do tyłu lub przemieszczany do przodu, a także zwalniany lub przyspieszany.

Eksperymentalny dowód poprawności. Softwarowa interpretacja czasu jest na tyle precyzyjna, szczegółowa i prawdziwa, że pozwala ona zidentyfikować i wskazać dowody na swoją własną poprawność. Jednym z takich dowodów jest eksperyment umożliwiający wzrokowe przekonanie się że czas upływa w małych skokach. Ów skokowy upływ czasu widoczny jest gołym okiem w świetle dziennym jeśli ktoś przygląda się uważnie jakiemś wirującemu obiektowi (np. śmigle samolotu lub turbinie uruchamianego odrzutowca) który rozpędza się od zera do około 1800 obr/min. W pewnym momencie owego rozpędzania ów wirujący obiekt sprawi bowiem wrażenie jakby zaczął się obracać w kierunku przeciwnym do prawdziwego. Owo wrażenie powstaje, ponieważ kontrola wykonawcza czasu przesuwa się skokowo od jednego rozkazu naszego "programu życia" na inny rozkaz. Stąd my widzimy wirujący obiekt wcale NIE w sposób ciągły, a w krótkich skokach - co powoduje że obiekt ten widać tak jakby oświetlały go rytmiczne błyski lampy stroboskopowej. Dowód na dyskretny (skokowy) charakter czasu opisany jest dokładniej w punkcie #D1 strony [immortality_pl.htm](#) - o nieskończonym wydłużaniu naszego życia poprzez powtarzalne cofanie czasu do lat młodości po każdym dożyciu starości, w punkcie #A1 strony [timevehicle_pl.htm](#) - o wehikułach czasu, oraz w punkcie #D2 strony [god_proof_pl.htm](#) - o formalnych dowodach naukowych na istnienie Boga.

Historia. Esencja "softwarowej interpretacji czasu" wynikała bezpośrednio z Konceptu Dipolarnej Grawitacji. Stąd historycznie esencję tą zrozumiałem już z chwilą rozpracowania tego konceptu w 1985 roku. Jej szczegóły dopracowane jednak zostały w 1986 roku podczas poszerzania tablicy cykliczności o stwierdzenia wynikające z nowego Konceptu Dipolarnej Grawitacji. Z kolei jej dopracowanie umożliwiło poznanie mechanizmu takich zjawisk związanych z podróżami w czasie, jak "stan zawieszony filmu", "podróż w jedną stronę", "efekt dublowania czasu", itp. - po szczegóły patrz podrozdział M1 tej monografii, lub podrozdział N2.3 monografii [1/5]. Pierwsze prezentacje tych zjawisk zawarte były w moich publikacjach począwszy już od 1987 roku. Rozpracowanie podstawowych zjawisk związanych z podróżami w czasie prowadziło do stopniowego uświadomienia i rozpracowania atrybutów, możliwości i ograniczeń podróżowania w czasie. Z kolei uświadomienie sobie owych możliwości i atrybutów wiodło do rozpracowania tzw. "wehikułów czasu" i stopniowego gromadzenia informacji że takie wehikuły czasu już

obecnie używane są przez UFOonautów. Dokładne opisy wehikułów czasu zawarte są w rozdziale N z tomu 11 monografii [1/5]. Osądzając po liczbie i jakości wyników moich badań osiągniętych od 1985 roku - od kiedy to zrozumiałem dokładnie zasadę na jakiej działają wehikuly czasu, głęboko wierzę że gdybym od początku swych badań nad czasem otrzymał od innych ludzi wymaganą mi pomoc, do dzisiaj z całą pewnością bym już zbudował wehikuly czasu.

Zmarnowanie szansy na wieczne życie. Wehikuly czasu są ilustratywnym przykładem jak ogromnie marnotrawne są działania obecnej cywilizacji ludzkiej. Gdybym bowiem od pierwszej chwili kiedy rozpracowałem Koncept Dipolarnej Grawitacji, czyli od 1985 roku, otrzymywał od innych ludzi potrzebną mi pomoc o jaką bez przerwy apelowałem, wówczas do chwili obecnej już zbudowałbym wehikuly czasu. Wszakże minęło już ponad ćwierć wieku - znacznie więcej niż mi potrzeba aby urzeczywistnić te niezwykle wehikuly. Wehikuly czasu mają zaś to do siebie, że pozwalają one na pokonanie śmierci. Wszakże umożliwiają one aby każdy mieszkaniec ziemi po osiągnięciu wieku starczego powtarzalnie cofał się w czasie do lat swojej młodości. W ten sposób każdy człowiek mógłby żyć bez końca. Niestety, poprzez organizowanie nagonek na moją osobę i publicznego szydzenia z mojego Konceptu Dipolarnej Grawitacji - zamiast mi pomagać w urzeczywistnianiu cudownych urządzeń które z konceptu tego wynikają, ludzkość traci obecną szansę na zbudowanie wehikułów czasu. Kiedy zaś ja już odejdę w zaświaty, upłynąć będzie musiało co najmniej kilkaset lat, zanim ktoś inny będzie miał wymagany sposób myślenia i odwagę aby zabrać się za budowę moich "wehikułów czasu" zdolnych do pokonania śmierci.

Opisane w Biblii potwierdzenie że opracowana przeze mnie zasada pokonania śmierci i osiągnięcia nieśmiertelności poprzez cofanie się w czasie jest poprawna. W Biblijnej "Drugiej Księdze Królewskiej", 20:1-11, dokładnie opisana jest zasada na jakiej Bóg uratował od śmierci niejakiego Ezechiasza. W punkcie #D5 totalizycznej strony internetowej immortality_pl.htm wykazałem że owa opisana w Biblii zasada pokonywania śmierci poprzez cofanie czasu jest dokładnie zgodna z zasadą działania jaką wypracowałem dla moich wehikułów czasu. Innymi słowy Biblia potwierdza poprawność zasady działania moich wehikułów czasu.

Dalsze informacje. Wehikuly czasu oraz podróże w czasie opisane są relatywnie wyczerpująco aż na kilku odrębnych stronach internetowych, włączając w to strony timevehicle_pl.htm - o wehikułach czasu i immortality_pl.htm - o nieskończonym wydłużaniu naszego życia poprzez powtarzalne cofanie czasu do lat młodości po każdym dożyciu starości, a także strony dipolar_gravity_pl.htm - o Konceptcie Dipolarnej Grawitacji, god_proof_pl.htm - o formalnych dowodach naukowych na istnienie Boga (patrz tam punkt #D2), god_pl.htm - o świeckim i naukowym zrozumieniu Boga, oraz evolution_pl.htm - o procesie ewolucji.

Część #I: Moja wiedza o Bogu:

#I1. Pochodzenie mojej wiedzy że Bóg istnieje:

Muszę przyznać, że w zakresie wiary Bóg dał mi ogromnie zbalansowany start życiowy. Mianowicie, z powodu ateistycznych poglądów mojego ojca i religijnych poglądów mojej matki, w rodzinnym domu miałem okazję poznać dokładnie oba główne podejścia do wiary. Mój ojciec pod względem światopoglądu religijnego był ateistą. Stąd zaraził potem i mnie krytycznym spojrzeniem na instytucję kościoła, oraz świadomością braków, inercji intelektualnej, polityzacji, nieścistości i niedoskonałości w istniejących religiach i instytucjach religijnych. To dzięki jego ateistycznym poglądom i zwyczajowi alternatywnego widzenia każdego aspektu wiary, zaczynałem swe życie duchowe bez żadnych początkowych nawyków czy wypaczeń, jakie uniemożliwiłyby mi późniejsze zarówno odnotowanie, jak i kwestionowanie braków w dzisiejszych religijnych światopoglądach i sposobach życia.

Z kolei moja matka była ogromnie religijna. Bez zastrzeżeń akceptowała każde

stwierdzenie kościoła. W swoim życiu wykonywała też każde zalecenie religijne, bez względu na to jak wiele by ją to kosztowało. Jej wysoka religijność i bezkompromisowe zasady, wpoily w nas ogromny respekt dla moralnego życia i dla ludzi o prawym charakterze. Dzięki wysiłkom matki, zostałem wychowany jako Katolik i pozostałem praktykującym katolikiem aż do rozpoczęcia studiów wyższych.

Ateistyczne "pranie mózgu" jakie otrzymałem w trakcie studów, połączone z pamięcią ateizmu swego ojca, spowodowały że od początku okresu pełnoletności stałem się ateistą. Dzięki pogłębieniu tego ateistycznego widzenia świata przez ateistyczną propagandę którą faszerowano nas przez cały okres edukacji, pozostałem ateistą aż do 39 roku życia, czyli do 1985 roku. W 1985 roku opracowałem jednak swoją opisywaną już wcześniej teorię wszystkiego zwaną Konceptem Dipolarnej Grawitacji. Z kolei ów koncept wykrywa i naukowo dowodzi istnienie Boga poprzez wskazanie miejsca w którym Bóg się przed nami ukrywa (tj. poprzez wskazanie "przeciw-świata"), wskazanie myślącej substancji która jest siedliskiem inteligencji Boga (tj. poprzez wskazanie "przeciw-materii"), oraz poprzez wskazanie natury, cech, oraz pochodzenia Boga. Począwszy więc od 1985 roku, stałem się więcej niż wierzącym. Wszakże zawsze można przestać wierzyć, jednak nigdy nie przestaje się wiedzieć. Zaś właśnie od 1985 roku ja zacząłem WIEDZIEĆ O ISTNIENIU BOGA, a nie jedynie wierzyć w owo istnienie. Podstawowe składowe owej wiedzy o Bogu opiszę w dalszych punktach tej strony jakie nastąpią.

Moja wiedza na temat Boga jest źródłem nieopisanego ukojenia i spokoju ducha jaki odczuwam nieustannie począwszy od owego 1985 roku. Ponadto jest ona rodzajem zdecydowanego drogowskazu który nieustannie wskazuje mi jak dokładnie mam żyć i na co w życiu mam zwracać największą uwagę. Ja osobiście też wierzę, że to owa wiedza o Bogu jest jednym z podstawowych wymogów którego spełnienie w moim życiu dało mi owo nieustające poczucie szczęścia osobistego, zadowolenia z życia, oraz spełnienia życiowego, o którym piszę poniżej w części #K tej strony.

Gdybym miał zdefiniować swoje obecne stanowisko na temat Boga, religii, instytucji kościoła, itp., które bazuje na moich dotychczasowych badaniach, wówczas bym stwierdził, że wierzę głęboko iż Bóg domaga się od każdego z nas z osobna aby każdy z nas gromadził rzetelną wiedzę na Jego temat. Znaczący Bóg wymaga od nas powiększania naszej rzetelnej wiedzy świeckiej o Bogu, oraz potem surowo rozlicza nas z tego powiększania wiedzy i z czynienia dobrego użytku z owej wiedzy. Szczególnie istotne dla naukowca jak ja jest taka interpretacja wiedzy o Bogu any była ona zgodna, oraz aby zawierała w sobie, całkowicie naukowy i świecki światopogląd. (Znaczący, NIE wolno nam pozwolić aby jakiegokolwiek składowe naszej wiedzy o Bogu były albo przeciwstawne do rzeczywistości albo aby zaprzeczały jakimś dowiedziny już za poprawne odkryciom naukowym.) Z drugiej jednak strony, Bóg nakłada też na nas i na nasze codzienne życie najróżniejsze potrzeby kulturalne oraz tradycje związane z religią i z naszym życiem duchowym. Aby więc zaspokoić oba te wymagania nałożone na nasze życie duchowe, znaczący aby zaspokoić (a) potrzebę wiedzy o Bogu która jest rzetelna, akceptowalna, oraz zgodna z naukowym światopoglądem, oraz zaspokoić (b) duchowo indukowane potrzeby naszej kultury i tradycji, w dzisiejszych czasach nie wystarcza już tylko wierzyć w jakąś religię. Wszakże wszystkie religie (1) powstały bardzo dawno temu, (2) ich doktryny są już przestarzałe i skostniałe, (3) są podatne na wypaczenia spowodowane niedoskonałościami i ograniczeniami ludzi którzy nimi kierują, (4) wiedza i wyjaśnienia o Bogu jakie one oferują NIE nadążają już za dzisiejszymi poglądami naukowymi i za dzisiejszym wzrostem naszej świadomości, (5) niezależnie od bycia ideologiami i rodzajami "gałęzi wiedzy o Bogu", religie są jednocześnie instytucjami - stąd podobnie jak wszelkie inne instytucje, religie mają też swoje cele polityczne (np. zadominowanie nad innymi religiami) dla osiągnięcia których to celów często kompromisują one prawdę o Bogu. Dlatego moim zdaniem w zakresie wiary w Boga w obecnych czasach konieczne jest przyjęcie podejścia które filozofia totalizmu nazywa wiara plus totalizm. Owa "wiara plus totalizm" polega na tym, że w swoim życiu akceptuje się niezbędność i rolę bezstronnej (a) dyscypliny naukowej która dostarcza nam rzetelnej, akceptowalnej, oraz zgodnej z naukowym światopoglądem wiedzy naukowej o Bogu, oraz akceptuje się niezbędność i rolę tradycyjnej (b) instytucji kościoła i

religii, która to instytucja zaspokaja nasze potrzeby kulturalne i tradycje dotyczące Boga. W moim własnym przypadku praktykowanie owej "wiary plus totalizm" polega na tym, że "teoria wszystkiego" zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji wraz z wynikającą z tej teorii filozofią totalizmu, reprezentują ową bezstronną dyscyplinę naukową która zaspokaja moją potrzebę gromadzenia rzetelnej, akceptowalnej, oraz zgodnej z naukowym światopoglądem wiedzy o Bogu i czynienia właściwego użytku z tej wiedzy w codziennym życiu. Z kolei aktywne uczestniczenie w obrządkach religii chrześcijańskiej (katolicyzmu), w którą się urodziłem i z którą jestem związany przez tradycję od czasów dzieciństwa, jest ową tradycyjną instytucją która zaspokaja moje duchowo indukowane potrzeby kulturalne i tradycji.

#12. Ewolucja Boga i stworzenie człowieka:

Do podjęcia zagadnień ewolucji zmusiły mnie obecne spory pomiędzy tzw. "kreationistami" oraz "ewolucjonistami". Usiłując zabierać głos w tych sporach odkryłem, że żadna ze stron nie zważa na logiczną argumentację. Czyli faktycznie spory te prowadzone są tylko po to aby ukryć prawdę, a nie ją odnaleźć. Postanowiłem więc wy badać jaka to prawda jest tak straszna dla "podmieńców", że aż wymaga tak rozbudowanego ukrywania. Wynikiem zaś było odkrycie ewolucji Boga. Odkrycia tego dokonałem na początku 2007 roku.

Ewolucja Boga oraz proces stworzenia najpierw świata fizycznego, a później człowieka, opisane są relatywnie wyczerpująco aż na kilku odrębnych stronach internetowych, mianowicie w punkcie #B1 strony internetowej [evolution_pl.htm](#) - o ewolucji (stworzenie człowieka przez Boga jest tam omawiane w punkcie #B6.2), w punkcie #C2 strony internetowej [god_proof_pl.htm](#) - o naukowych dowodach na istnienie Boga, a także na stronach o Bogu (punkt #B3), mechanizmie czasu, oraz w "części I" odrębnej strony internetowej o Konceptie Dipolarnej Grawitacji.

#13. Pole moralne i prawa moralne:

Już w okresie swej szkoły średniej odnotowałem, że losami ludzkimi rządzą jakieś dziwne regularności. Regularności te nie mają prawa zaistnieć, jeśli naszym życiem - jak to powszechnie się uważa i twierdzi - rządzi głównie tzw. "przypadkowy zbieg okoliczności". Z regularności tych najbardziej wówczas w oczy rzucały mi się przypadki odwzajemniania negatywnych uczuć. Przykładowo, jeśli - jak to naturalnie czynią kilkunastoletnie osoby, spontanicznie i bez powodu kogoś nie lubiłem, zawsze się potem okazywało, że ten ktoś również spontanicznie i bez powodu mnie nie lubił. Regularności rządzące losami ludzkimi jeszcze wyraźniej się ujawniły podczas studiów na Politechnice Wrocławskiej, często zresztą stanowiąc przedmiot moich dyskusji z innymi studentami. Jedną z obserwacji z tamtego okresu dotyczyła równoczesności zaistnienia u obu zainteresowanych stron tak samo niesprzyjających okoliczności. Przykładowo, jeśli umówiłem się na randkę lub spotkanie, jednak w międzyczasie coś mi niespodziewanie wyskoczyło, tak że nie mogłem na nią się stawić, potem się okazywało, że również po drugiej stronie wystąpiły podobne niespodziewane przeszkody, tak że i ta druga strona nie mogła przybyć na ową randkę czy spotkanie (takie sytuacje stawały się szczególnie odnotowywalne, gdy na przekór niesprzyjających okoliczności stawałem na głowie i pomimo wszystko przybywałem na spotkanie, tylko po to aby stwierdzić, że druga strona nie była w stanie wywiązać się ze swoich obligacji). Ponieważ jednak nie wszyscy studenci dokonywali podobnych obserwacji, na owym etapie doszedłem do wniosku, że być może niektórzy ludzie przez szczególny "zbieg okoliczności" bardziej od innych dotykani są zdarzeniami wykazującymi regularność i logikę (nie wpadło mi wówczas do głowy, że wszyscy dotykani mogą nimi być w takim samym stopniu, jednak nie wszyscy posiadają wymaganą spostrzegawczość i zdolność zaobserwowania, że im się to przytrafia). Zmianę poglądów w tym zakresie spowodował dopiero kolega z pracy, referujemy do niego "Chimek". Podczas jednej z dyskusji biurowych stwierdził on, iż w swoim synie obserwuje postawy i zachowania wobec siebie samego, które są dokładnym odbiciem jego własnych postaw i zachowań w podobnym wieku wobec swojego ojca. To oświadczenie kolegi

dokładnie pokrywało się z moimi osobistymi spostrzeżeniami. Stąd okazało się owym przełomowym upewnieniem, że wszystko co ja odnotowywałem przytrafia się także innym ludziom, tyle tylko że większość innych ludzi posiada zbyt niską zdolność obserwacyjną, aby to odnotować. Z kolei owo upewnienie Chimka zainspirowało mnie do dokonywania systematycznych obserwacji w tym zakresie. Obserwacje te wydały owoce, kiedy odkryłem istnienie myślącej przeciw-materii oraz wszechświatowego intelektu (UI) - jak to opisano w podrozdziale W4 monografii [1/5]. Złożenie więc wszystkiego razem spowodowało wyklarowanie się idei praw moralnych. W 1985 roku jednoznacznie sformułowane zostało i opublikowane pierwsze z tych praw, które z uwagi na sposób w jaki działa, nazwane zostało "Prawem Bumerangu". Od chwili jego wyklarowania się, nieustannie zacząłem też poszukiwać innych praw moralnych, jak również prostych i łatwych do zapamiętania receptur na życie zgodne z ich stwierdzeniami. Jeszcze w 1985 roku poszukiwania te zaowocowały zaproponowaniem nowej filozofii zwanej "totalizm", zaś w 1996 roku - sformułowaniem mechaniki totaliztycznej opisanej w rozdziale JG monografii [1/5].

Pole moralne i prawa moralne opisane są dosyć wyczerpująco na kilku odrębnych stronach internetowych, mianowicie na stronie o moralności, a także na stronach o totalizmie, nirwanie i o koncepcie Dipolarnej Grawitacji.

#14. Formalny dowód naukowy na istnienie Boga:

Motto: "Skoro Bóg faktycznie istnieje trzeba być naiwnym lub głupcem aby zignorować ostrzeżenie iż 'Bóg nierychliwy ale sprawiedliwy' i wierzyć że tak modne w dzisiejszych czasach plucie na Boga oraz odwracanie się tyłem do Boga naprawdę ujdzie komuś bezkarnie."

Jednym z konkluzywnych osiągnięć mojego życia jest opracowanie i opublikowanie formalnego dowodu naukowego na fakt że Bóg rzeczywiście istnieje. Jak dotychczas nikt też ani nie obalił ani nawet nie podważył owego dowodu. Stąd formalnie dowód ten pozostaje w mocy.

Mawiają, że zadawanie właściwych pytań jest kluczem do wiedzy. Zamiast więc wyjaśniać tu czytelnikowi znaczenie i implikacje tego dowodu na istnienie Boga, pozwolę sobie zadać kilka pytań, na które proponuję czytelnikowi odpowiedzieć samemu zgodnie ze wskazaniem jego własnego sumienia. Oto owe pytania. Czy dowód na istnienie Boga jest ważny dla ludzi? Czy waga opracowania takiego dowodu powinna być podkreślona wyznaczeniem jakiejś międzynarodowej nagrody będącej moralnie nieskażonym odpowiednikiem niemoralnej nagrody Nobla? Czy fakt że ani żadna religia na Ziemi, ani nauka ziemską, nie starają się wyznaczyć takiej nagrody, nie oznacza przypadkiem że ci co kontrolują owe religie i naukę faktycznie to nie chcą aby istnienie Boga zostało udowodnione ponad wszelką wątpliwość? Jeśli na Ziemi istnieją moce zainteresowane w uniemożliwieniu ludziom poznania faktu istnienia Boga, to czy logicznie jest możliwym że istnienie takich mocy jest jednym z dowodów na fakt że nasza planeta jest jednak skrycie okupowana przez moralnie upadłych krewniaków ludzkości kiedyś zwanych "diabłami", "smokami", "serpentami", itd., zaś dzisiaj zwanych "UFOautami"? Jeśli nasza planeta jest jednak skrycie okupowana przez szatańskie istoty o wyglądzie identycznym do ludzi, to jak owa okupacja skończy się dla ludzkości?

Pełna prezentacja formalnego dowodu naukowego na istnienie Boga przeprowadzonego z użyciem metod logiki matematycznej zaprezentowana została w punkcie #B3 na stronie internetowej god_pl.htm - o naukowym i świeckim zrozumieniu Boga i w punkcie #G2 na stronie internetowej god_proof_pl.htm - o naukowych dowodach na istnienie Boga. Ponadto ten sam dowód wyjaśniony został oraz poszerzony na innych przykładach na całym szeregu totaliztycznych stron internetowych, np. na stronach o koncepcie Dipolarnej Grawitacji (patrz tam punkt #D3), nirwanie (punkt #C1.1), ewolucji (punkt #B6.2), oraz Biblii (item #B1). Dowód ten jest też skrótowo opisany na stronach internetowych o totalizmie oraz o telekinezie. Ponadto ten sam formalny dowód naukowy na istnienie Boga przeprowadzonego z użyciem metod logiki matematycznej opublikowany

został w podrozdziale I3.3.4 z tomu 5 mojej najnowszej monografii [1/5]. Z kolei bardzo podobny do niego dowód na istnienie Boga, tyle że przeprowadzony z użyciem metod adoptowanych z nauk fizycznych - opublikowany był w aż kilku moich monografiach, przykładowo w podrozdziałach I3.3.1 do I3.3.3 z tomu 5 monografii [1/5], a także w podrozdziale K3.3 z tomu 6 monografii [8].

#15. Dowód na istnienie nieśmiertelnej duszy:

Kolejnym moim osiągnięciem w sprawach duchowych jest wypracowanie naukowego dowodu na istnienie nieśmiertelnej duszy.

#16. Stan obecny mojej wiedzy na temat Boga:

Ja osobiście wierzę, że w obecnych czasach jestem jedynym świeckim naukowcem nastawionym do Boga pozytywnie i aprobująco, który bada Boga metodami naukowymi i świeckimi. Wszyscy inni obecni badacze Boga albo (1) mają podłoże religijne które wypacza ich bezstronność, albo (2) są ateistami nastawionymi do Boga negatywnie i głównie starającymi się wykazać nieistnienie Boga, albo też (3) wcale NIE są naukowcami o wymaganym poziomie wiedzy, doświadczenia i zdolności do używania najbardziej nowoczesnych metod naukowych, stąd wnioski do jakich dochodzą są często naiwne i dalekie od poziomu reszty dzisiejszej wiedzy. Co ciekawsze, wszystko wskazuje też na to że sam Bóg tak kieruje losami mojego życia abym mógł poświęcać się Jego badaniu oraz abym zbytnio się NIE rozpraszał na badanie czy czynienie czegokolwiek innego. Ponieważ zaś absolutnie NIE we wszechświecie NIE dzieje się jeśli NIE jest to zgodne z intencjami Boga, powyższe oznacza, że Bóg bardzo sobie życzy aby świeccy lecz pozytywnie do Boga nastawieni naukowcy ziemscy bezstronnie badali Boga i naukowo odkrywali prawdę na temat Boga.

Oczywiście długoletnie badania Boga, podobnie jak każde inne długoletnie wysiłki, wydają swoje owoce. Mogę więc obecnie już stwierdzić, że zdołałem ustalić kilka faktów na temat owej nadrzędnej istoty rozumnej wszechświata. Szokująco, wiele z owych faktów zupełnie NIE zgadza się z rzekomą wiedzą na temat Boga którą nam przekazują religie. Dlatego poniżej wylistuję te najważniejsze moje ustalenia na temat Boga, które stoją w drastycznej kolizji z tym co o Bogu uczą nas religie. Oto one:

1. Bóg wcale NIE jest osobą, a ogromnym myślącym i samoświadomym naturalnym programem. Wiele religii nam implikuje że Bóg ma formę człowieka. Tymczasem faktycznie Bóg jest ogromnym samoświadomym programem. Ów program tworzy wszystko co tylko istnieje w całym wszechświecie z rodzaju płynnego komputera (zwanego "przeciw-materia") który to płynny komputer Bóg programuje w wymagane postaci i manifestacje. Po więcej informacji patrz punkt #C2 na stronie internetowej [god_proof_pl.htm](#) - o naukowych dowodach na istnienie Boga, oraz punkty #A3, #B6 i #B12 na stronie internetowej [god_pl.htm](#) - o naukowym i świeckim zrozumieniu Boga.

2. Bóg stworzył człowieka dla określonego celu - którego główną częścią jest powiększanie wiedzy zarówno ludzkiej jak Boga i rozumnego wszechświata. Dlatego całe nasze życie jest jedną niekończącą się okazją do nauki, oraz jednym nieustającym pasmem egzaminów. Każdy kolejny egzamin życiowy Bóg zadaje nam w formie kolejnej "próby" którą albo zdajemy, albo też zawalamy. Przykład takiej "próby" którą już udało się relatywnie dobrze zidentyfikować i opisać, o której wiadomo że Bóg nas nieustannie niej poddaje, jest "próba na ateizm". Bóg tak doskonale ją obmyślił, że jeśli my ją zdajemy, wówczas korzyści są nasze i całej ludzkości. Jeśli zaś my ją oblewamy, wówczas korzyści odnosi tylko cała ludzkość (nasza jest jedynie strata) - po szczegóły patrz punkty #A2 i #C5 strony [will_pl.htm](#) - o utrzymywaniu wolnej woli indywidualnych ludzi i o sterowaniu całą cywilizacją ziemską. Niestety, osoby które oblewają "próbę na ateizm" spotyka specjalne potraktowanie opisane w punkcie #F3 strony [totalizm_pl.htm](#) - o totalizmie czyli najmoralniejszej filozofii świata. Warto odnotować że istnieją też dalsze części dla celu w którym Bóg stworzył ludzi, np. aby wychować sobie towarzyszy na jakich Bóg może polegać - tak jak to wyjaśniono na stronie [oul_proof_pl.htm](#) - o naukowych dowodach na istnienie nieśmiertelnej duszy, oraz że aby je osiągnąć Bóg zmuszony jest nas traktować

tak jak "stał którą się hartuje".

3. Aby stymulować i intensyfikować nasze poszukiwania wiedzy, a także aby łatwiej nas poddawać najróżniejszym próbom, Bóg tworzy niezliczone symulacje które pokazuje wybranym ludziom i którym nadaje formę nadprzyrodzonych istot, urządzeń jakie ludzie mają wkrótce opracować, obiektów które ludzkość ma dokładniej poznać, widzeń, itd., itp. "Symulacje" owe to nieistniejące w danym miejscu i czasie istoty lub obiekty, które Bóg tworzy tymczasowo tylko po to aby z nimi skonfrontować wybranego człowieka lub wybraną grupę ludzi. Faktycznie to okazuje się że praktycznie niemal wszystko co dzisiejsi ludzie opisują jako "niewyjaśnione", należy do owej kategorii "symulacji" tworzonych tymczasowo przez Boga. Aby podać tutaj kilka przykładów tego co Bóg najczęściej symuluje, to w dzisiejszych czasach obejmuje to: najróżniejsze zamaskowane indywidua które anonimowo wypowiadają się w Internecie, samego Szatana i jego diabły, duchy, Yeti, UFOonautów, wehikuly UFO, nieznanne zjawiska. Z kolei w dawnych czasach symulacje Boga obejmowały: aniołów, diabłów, najróżniejsze nadprzyrodzone istoty, sterowce, tzw. "rakiety-duchy", planety, słońca, itd., itp. (Szczerze mówiąc, to owe symulowane przez Boga "rakiety duchy", albo ghost-rockets - jak są one nazywane po angielsku, wkrótce po drugiej wojnie światowej, bo poczynając już od 1946 roku, np. w Skandynawii stanowiły aż rodzaj "plagi". Sporadycznie owe "rakiety duchy" pojawiają się nawet do dzisiaj. Dla przykładu, w środę dnia 10 listopada 2010 roku, w wiadomościach wieczornych na wszystkich kanałach telewizji nowozelandzkiej pokazany został krótki film takiej właśnie "rakiety-ducha", albo "ghost-rocket", która jakoby została wystrzelona gdzieś na Pacyfiku w pobliżu zachodnich wybrzeży USA. Ta rakietka-duch ta była bezgłówna, spektakularna, pozostawiała gigantyczną smugę pary kiedy wlatywała łukiem w górę, oraz była obserwowana i filmowana przez wielu Amerykanów. Ministerstwo obrony USA twierdziło jednak, że prawdopodobnie była ona optyczną iluzją bowiem NIE była ona widoczna na radarach, oraz że z całą pewnością żadna z amerykańskich jednostek wojskowych jej nie wystrzeliła. Więcej informacji na jej temat, włączając w to referencje do artykułów które ją opisywały oraz linki do widea które ją utrwaliły, podane zostało w punkcie #F2 strony o nazwie will_pl.htm.)

Cechą owych symulacji Boga jest, że dla ludzi symulacje te wcale NIE są odróżnialne od rzeczywistości. Przykładowo, istoty symulowane przez Boga (np. relatywnie często spotykane w obecnych czasach UFOnauci i Yeti) mają indywidualne osobowości i charaktery, tony głosu, przyzwyczajenia, dają się indywidualnie rozpoznać i spotkać powtórnie, itp. Jednak że są to symulacje, a nie rzeczywiście istniejące istoty czy obiekty, świadczy o tym fakt że NIE mają one swojej własnej tzw. "wolnej woli". Znaczący, na przekór że wyglądają, zachowują się, oraz formują ślady fizyczne swego istnienia - tak jakby faktycznie istniały, owe symulacje wykonują wyłącznie to co Bóg chce aby one wykonywały, oraz w sposób w jaki Bóg chce aby to wykonywały. W ten sposób Bóg ma absolutną i osobistą kontrolę nad następstwami ich działań. Tymczasem gdyby były to faktycznie istniejące istoty czy obiekty z własną "wolną wolą", wówczas Bóg NIE posiadałby tak ścisłej kontroli nad nimi. Wykonywałyby więc to co one by zechciały, a NIE to co leży właśnie w interesie Boga.

Warto też odnotować następstwa używania przez Boga owych częstych symulacji które dla ludzi są nieodróżnialne od rzeczywistości. Jednym z nich jest, że istnieją jakby dwa poziomy otaczające nas rzeczywistości, mianowicie faktycznie istniejąca rzeczywistość, a także owa rzeczywistość sporadycznie "symulowana" przez Boga.

4. Bóg ma wiele osobowości. My ludzie nawykliśmy sądzić, że każdy ma tylko jedną osobowość. Wszakże pamiętamy że jakiś nasz krewniak, znany zrzęda, jedyne co potrafił to zrzędzić, zaś nasz kolega dowcipniś, jedyne co potrafił to dowcipkować ze wszystkiego. Tymczasem liczba drastycznie odmiennych osobowości używanych przez Boga sięga około setki. Tyle że osobowości te są uformowane w jakby hierarchiczną strukturę. Wiele z tych osobowości wykazuje znaczące niedoskonałości, czasami wręcz szatańskość. Na wiele z nich natykamy się w życiu powtarzalnie i możemy je nawet rozpoznawać. Co ciekawsze, te odmiennie osobowości Boga jakby nawzajem ze sobą walczyły aby przejąć kontrolę nad naszym życiem. Stąd mamy okresy w życiu kiedy nad

nami się wyżywa jakaś sadystyczna osobowość, potem kontrolę nad naszym życiem przejmuje np. jakiś zartowniś, potem np. mamy okres wyraźnej pomocy i sukcesów, itd., itp. Mi owe odmiennie osobowości Boga walczące ze sobą o kontrolę nad naszym życiem, przypominają Panteon kłótliwych bogów greckich lub rzymskich, czy odmiennie inkarnacje boga hinduizmu. Ciekawe jednak, że nadrzędną w hierarchii owych niedoskonałych osobowości Boga jest rodzaj doskonałej, bezosobowościowej istoty która jakby stoi w cieniu i decyduje którymi niedoskonałymi osobowościami w jakim okresie życia mamy być potraktowani. Owa doskonała nadrzędna bezosobowościowa istota boska zdaje się też sprawiać kontrolę nad całością naszego życia - chociaż zawsze jakby działała ona z ukrycia i w sposób dla nas nieodnotowywalny.

5. Bóg wcale NIC nikomu NIE przebacza. Faktycznie gdyby Bóg cokolwiek przebaczał komukolwiek, wówczas łamałby tym zasadę uniwersalnej sprawiedliwości oraz swoją własną konsystencję. Dlatego za każdą "próbę" której Bog nas poddał zaś my ją zawalamy, a także za wszystko co paskudnego czynimy w swoim życiu, prędzej czy później przychodzi nam odpokutować. Niestety, aby tym bardziej mobilizować nas do poszukiwania wiedzy kiedy nadchodzi na nas czas pokuty, Bóg nigdy nas NIE informuje za co pokutujemy (czyli nam samym pozostawia docieknienie prawdy). Stąd wielu z nas sądzi, że paskudztwa uchodzą im bezkarnie, zaś kłopoty które ich dopadają faktycznie są im serwowane "za nic" i to tylko przez czysty przypadek. Temat że Bóg faktycznie NIE zna wybaczenia oraz że w rzeczywistym wszechświecie wcale NIE istnieje takie coś jak "odpuszczenie winy" wprowadzone przez niektóre religie dla celów politycznych, rozwinięty jest szerzej w porozdziałach JC12.2 i JC11.5 z tomu 7 monografii [1/5], a także w tomie 6 monografii [8/2].

Szersze opisy moich ustaleń wynikających z naukowych badań Boga, zawarte są na kilku odmiennych stronach totalizmu, np. na stronach god_pl.htm - o naukowym i świeckim zrozumieniu Boga, czy will_pl.htm - o utrzymywaniu wolnej woli indywidualnych ludzi i o sterowaniu całą cywilizacją ziemską.

Część #J: Moja filozofia życiowa zwana totalizmem moralnym:

#J1. Co to takiego filozofie totalizmu oraz pasożytnictwa:

Naukowy Koncept Dipolarej Grawitacji ujawnił najróżniejsze fakty, jakie poprzednio pozostawały nieodnotowalne dla instytucjonalnej nauki. M.in. obejmowały one formalny dowód naukowy potwierdzający istnienie wszechświatowego intelektu (Boga), który zaprojektował prawa, jakie rządzą naszym wszechświatem, uświadomienie istnienia praw moralnych, opisywanych w podrozdziale I4.1.1 monografii [1/5], oraz faktu że owe prawa moralne egzekwowane są na każdej osobie z iście żelazną konsekwencją - tj. bez żadnego wybaczenia czy litości jakie dla przyczyn politycznych zwodniczo oferowane były przez dotychczasowe religie. Tak więc z chwilą gdy naukowy Koncept Dipolarnej Grawitacji ujawnił, że losami intelektów muszą rządzić prawa moralne, narodziła się też potrzeba opracowania nowej filozofii, jaka wyjaśniłaby ludziom jak stosować w życiu te ciężko-uderzające każdego prawa moralne. W ten sposób narodziła się filozofia totalizmu. (Najnowsze sformułowanie filozofii totalizmu zaprezentowane jest w rozdziale JA monografii [1/5], podczas gdy poprzednie pełne wydanie totalizmu zawarte jest w rozdziale A monografii [8/2].) Filozofia totalizmu jest ogromnie prosta w użyciu. Zawiera ona bowiem tylko jedną zasadę postępowania która stwierdza cokolwiek czynisz w swoim życiu, zawsze czyń to w sposób pedantycznie moralny. Pierwsze sformułowanie totalizmu, oraz wybranie dla niego nazwy, miało miejsce już w 1985 roku. Formalny teorem fundujący totalizmu, oraz jego pierwsze rekomendacje, opublikowane jednak zostały dopiero w 1986 roku. Natomiast we wszystkich moich głównych monografiach filozofia ta prezentowana była już systematycznie począwszy od 1987 roku. Początkowo najważniejszą częścią totalizmu była kolekcja postać, jakie zaobserwowałem empirycznie i jakie zaprezentowałem jako pozytywne przeciwieństwa doktryn filozofii podążania po linii najmniejszego oporu intelektualnego (tj. doktryn "prymitywnego pasożytnictwa"). Jego najważniejsze opisy były

więc nieco podobne do treści podrozdziału JB6 w monografii [1/5] i podrozdziału I1 w monografii [8]. W wydaniu monografii [1a] z 1990 roku, totalizm obejmował sobą już 5 takich doktryn i odpowiadających im posłań totaliztycznych. W owym początkowym okresie filozofia ta zapewne nie trafiła do przekonania zbyt wielu czytelników. Niemniej uczuliła ona mnie samego na wszelkie manifestacje totaliztycznego postępowania oraz na oznaki postępowania pasożytniczego - czyli zgodnego z linią najmniejszego oporu intelektualnego. To z kolei uczuliło moje zdolności obserwacyjne i otwarło je na ustalenie większej liczby szczegółów.

Istnienie i działanie praw moralnych posiada tą konsekwencję, że poszczególni ludzie mają w życiu tylko dwa wyjścia. Mianowicie mogą albo wypełniać te prawa, albo też je chronicznie łamać. Ci co w swoich działaniach starają się wypełniać prawa moralne, np. poprzez wysłuchiwanie głosu własnego sumienia, faktycznie żyją w zgodzie z zasadami filozofii totalizmu - nawet jeśli tego faktu nie są świadomi. Filozofia totalizmu posiada bowiem tylko jedną zasadę, która stwierdza we wszystkim co czynisz zawsze pedantycznie wypełniaj prawa moralne. Zasadę tą daje się też wyrazić innymi słowami, mianowicie cokolwiek czynisz, czyń to zawsze w sposób pedantycznie moralny. Ci zaś ludzie którzy zagłuszają w sobie głos sumienia, a stąd chronicznie łamią prawa moralne i dokonują wszystko na niemoralny sposób, żyją według zasad filozofii będącej dokładną odwrotnością totalizmu. Ta odwrotność totalizmu nazywana jest filozofią pasożytnictwa. Zamienia ona bowiem swoich wyznawców w rodzaj inteligentnych pasożytów. Naczelną zasadą pasożytów jest każde prawo wypełniaj tylko jeśli zostałeś do tego jakoś przymuszony. Najbardziej zaawansowaną formę owego pasożytnictwa wyznają sekretni okupanci Ziemi, czyli UFO-nauci.

W moim własnym przypadku totalizm całkowicie odmienił moje życie. Jest on dla mnie bowiem rodzajem wehikułu, czy "białego konia", który unosi mnie w kierunku szczęśliwego i spełnionego życia. To właśnie dzięki totalizmowi, w obecnych czasach które faktycznie należą do najtrudniejszych w moim życiu, w rzeczywistości doświadczam okresu kiedy mam równocześnie nieproporcjonalnie wysokie poczucie szczęśliwego i spełnionego życia - tak jak to opisałem poniżej w części #K tej strony.

Filozofie totalizmu i pasożytnictwa wyjaśnione są relatywnie dobrze na dwóch odrębnych stronach internetowych o nazwach totalizm oraz pasożytnictwo.

#J2. Totalizm dostarcza fundamentów filozoficznych dla nowej nauki zwanej "nauką totaliztyczną" która bada rzeczywistość z podejścia "a priori" - czyli "od przyczyny do skutku" albo "od Boga jako nadrzędnej przyczyny wszystkiego do otaczającej nas rzeczywistości jako skutku działań Boga":

Jedna z prawd życiowych którą każdy z nas doświadczył już niezliczona ilość razy, stwierdza że "aby poznać całą prawdę na dowolny temat, konieczne jest poznanie tego tematu ze wszystkich możliwych punktów widzenia". Przykładowo, jadąc "do" jakiegoś miejsca poznajemy tylko co najwyżej połowę widoków z naszej drogi, bowiem dla poznania ich drugiej połowy musimy na drogę patrzeć też podczas przejazdu "z". Patrząc na kogoś od tyłu poznajemy co najwyżej połowę tej osoby, aby bowiem zobaczyć drugą połowę musimy popatrzeć na nią od przodu. Dowiadując się np. od "agresora" o jakimś zajściu poznajemy co najwyżej połowę prawdy, bowiem aby poznać całą prawdę musimy także wysłuchać jego "ofiary" oraz postronnych "świadków". Niemożność poznania wszystkiego od tylko jednego "świadka" jest aż tak istotna, że nawet Biblia z naciskiem nakazuje iż wszystkie osądy należy bazować na dwóch lub trzech niezależnych poświadczeniach - po szczegóły patrz punkt #C5 ze strony o nazwie biblia.htm.

Na przekór powszechnej znajomości powyższej prawdy życiowej (oraz na przekór nakazów Biblii), w najbardziej strategicznych dla naszej cywilizacji obszarach, tj. w nauce i edukacji, tolerujemy obecnie osądy które wywodzą się z tylko jednego źródła oraz z tylko jednego podejścia do badań. Mianowicie, cała dotychczasowa oficjalna nauka ziemską dokonuje swoich badań z tylko jednego podejścia które przez filozofów jest nazywane "a posteriori" czyli "od skutku do przyczyny" - takie zaś jedno podejście powoduje że nauka ta może poznać co najwyżej połowę prawdy na temat otaczającej nas

rzeczywistości. Aby bowiem poznać tą brakującą "drugą połowę prawdy", konieczne jest obiektywne przebadanie tej samej rzeczywistości także z odwrotnego podejścia zwanego "a priori" czyli "od przyczyny do skutków" albo "od Boga rozumianego jako najbardziej nadrzędna przyczyna do otaczającej nas rzeczywistości rozumianej jako skutek działań tegoż Boga". Niestety, aby w naszej cywilizacji istniała także instytucja która weryfikuje i poprawia błędy oficjalnej nauki wynikające z tego jej jednostronnego podejścia "a posteriori" do badań rzeczywistości, na Ziemi musiałaby istnieć jakaś oficjalnie uznawana i oficjalnie finansowana "konkurencyjna" nauka, która miałaby wymagane fundamenty naukowe i filozoficzne oraz która badałaby rzeczywistość równie obiektywnie i równie sprawdzonymi w działaniu metodami i narzędziami, tyle że praktykowałaby w swoich badaniach podejście "a priori".

Jak się okazuje taka nowa "konkurencyjna" nauka, badająca rzeczywistość z podejścia "a priori" istnieje już na Ziemi począwszy od 1985 roku. Jest nią tzw. "nauka totalizyczna" zainicjowana w 1985 roku opracowaniem Konceptu Dipolarnej Grawitacji oraz filozofii totalizmu które dostarczyły jej wymaganych fundamentów naukowych i filozoficznych jakie powodują że bada ona rzeczywistość właśnie z podejścia "a priori" czyli "od Boga rozumianego jako najbardziej nadrzędna przyczyna do otaczającej nas rzeczywistości rozumianej jako skutek działań Boga". Nauka ta ma też już swój własny dorobek naukowy - który, notabene, jest ogromny na przekór iż dokonuje ona swoich badań zupełnie bez żadnego finansowania. Wszakże do jej dorobku naukowego należą wszystkie totalizyczne strony powoływane z Menu niniejszej strony, a także należy jej wiodąca monografia [1/5]. "Nauka totalizyczna" jako pierwsza na Ziemi opracowała także formalny dowód naukowy że "Bóg faktycznie istnieje" - omawiany szerzej w punkcie #14 powyżej. Niestety, owa stara oficjalna nauka ziemską, często zwana także "ateistyczną nauką ortodoksyjną", już dawno rozpoznała że nowa "nauka totalizyczna" stwarza dla niej "konkurencję" - jaka w przyszłości może popsuć jej wygodne życie oraz zacząć ją rozliczać z tego co często błędnie stwierdza. Dlatego owa stara "ateistyczna nauka ortodoksyjna" od samego początku, tj. już od 1985 roku, nieustannie "rzuca kłody pod nogi" nowej "nauce totalizycznej", stara się ją zniszczyć i wyciszyć, odmawia jej głosu, oraz prześladowuje ją na wszelkie możliwe sposoby.

Trzęsienia ziemi, tsunami, powodzie, ulewy, susze, pożary, mrozy, zanieczyszczenie środowiska, wyniszczanie natury, nuklearne katastrofy, upadek ekonomiczny, szerząca się niemoralność, zachłanność i przestępczość, oraz wszelkie inne kataklizmy które obecnie szaleją na Ziemi, są rodzajem "otwieracza oczu" na faktyczny wpływ starej "ateistycznej nauki ortodoksyjnej" na naszą cywilizację. Wszakże wszystkie te wypaczenia i zwyrodnienia ludzkości plus rzekome "wybryki natury", faktycznie są spowodowane właśnie błędami popełnionymi przez ową starą oficjalną naukę, a ściślej są wynikiem poznania przez nią co najwyżej "połowy prawdy" na temat otaczającej nas rzeczywistości. Dlatego jeśli czytelniku, leży ci na sercu aby na Ziemi przywrócony został balans, prawda, moralność i pokój, powinienes się przyłączyć do głosów nawołujących aby zaprzestana została "nagonka" na nową "naukę totalizyczną", oraz aby ta nowa nauka zaczęła wreszcie otrzymywać te same prawa, tą samą uwagę i te same finanse na badania którymi dotychczas się cieszy tylko owa stara nauka tak rozpaczliwie bojąca się utracić swój absolutny "monopol na wiedzę".

Oficjalne ustanowienie na Ziemi i podjęcie oficjalnego finansowania badań i programów edukacyjnych nowej "totalizycznej nauki", a także szybkie zakończenie wysoce niebezpiecznego dla całej ludzkości "monopolu na wiedzę" dotychczasowej starej "ateistycznej nauki ortodoksyjnej", są tematami niewypowiedziane istotnymi dla całej naszej cywilizacji. Dlatego tematy te są omawiane i przypominane aż na całym szeregu totalizycznych stron internetowych, zaś czytelnicy są gorąco namawiani aby się z nimi dokładniej zapoznać. Ich analizy i prezentacje czytelnicy znajdą m.in. w: punktach #B1 i #K1 totalizycznej strony o nazwie tornado_pl.htm, punkcie #A2.6 ze strony o nazwie totalizm_pl.htm, punkcie #C1 ze strony o nazwie telekinetyka.htm, punktach #F1 do #F4 strony o nazwie god_istnieje.htm, punkcie #A4 ze strony o nazwie god_proof_pl.htm, punkcie #C5 strony o nazwie biblia.htm, czy podrozdziale H10 z tomu 4 monografii [1/5].

Część #K: Źródła mojego szczęścia osobistego, zadowolenia z życia, oraz poczucia spełnienia:

#K1. Z czego wynika moje szczęście osobiste, zadowolenie z życia, oraz poczucie spełnienia:

Jeśli przeanalizować moje życie osobiste, wówczas zgodnie z powszechnie przyjętymi standardami powinienem należeć do grupy owych najmniej szczęśliwych ludzi (czy tych wręcz nieszczęśliwych). Wszakże w stereotypowym rozumieniu powodzenia życiowego moje życie można kwalifikować jako "przebrane". Bez przerwy przecież tracę pracę i żyję głównie z oszczędności. Moja przyszłość nieustannie stoi pod znakiem zapytania. Z zakresu dóbr materialnych praktycznie w życiu nie dorobiłem się niczego. (Mam wprowadzić samochód Ford Laser z 1987 roku, który służy mi wiernie już od ponad 20 lat, jednak nie posiadam na własność ani mieszkania, ani domu, ani żadnej nieruchomości, ani nawet godziwych mebli czy narzędzi do budowy swoich wynalazków.) Moja "teoria wszystkiego" zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji, wraz z filozofią totalizmu, obie które uważam za najważniejsze osiągnięcia intelektualne mojego życia, nie tylko że są ignorowane lub odrzucane przez innych naukowców, ale wręcz wielu ludzi je wyszydza. W okresie całego mojego życia ani razu nie dano mi też szansy na urzeczywistnienie choćby najmniej istotnego z dużej liczby moich wynalazków technicznych. Stąd przykładowo tak ogromnie istotne moim zdaniem dla dobra całej ludzkości wynalazki, jak ogniwa telekinetyczne, magnokrafty, napędy osobiste, komory oscylacyjne, telepatyczne teleskopy i rzutniki, czy wehikuły czasu, nadal pozostają jedynie niesprawdzonymi ideami technicznymi - i to na przekór że wynalazłem je wystarczająco wcześniej aby w korzystnych warunkach móc praktycznie zrealizować je wszystkie. Choćby tylko z powyższych powodów, oraz pomijając owe tysiące innych przygnębiających incydentów i problemów które z powodu czyjejś celowo rozpętanej złej woli trapią mnie praktycznie bez przerwy, niemal każda inna osoba na moim miejscu prawdopodobnie byłaby wysoce nieszczęśliwą. Jednak w moim przypadku jest zupełnie inaczej.

Gdyby ktoś mnie zapytał do jakiej kategorii ludzi ja sam siebie zaliczam, zawsze odpowiedziałbym że do tych szczęśliwych, zadowolonych z życia i samospełnionych. Na przekór bowiem że w życiu wcale mi się nie przelewa, oraz że nieustannie kłopoty i troski wydreptały już wyraźną ścieżkę do moich drzwi, coś nieustannie utrzymuje mnie w stanie cichego szczęścia, zadowolenia z tego co posiadam, satysfakcji z tego co już osiągnąłem, samospełnienia, pozytywnego spojrzenia w przyszłość, spokoju sumienia, oraz przy innych poszukiwanych wartościach życiowych.

Filozofia totalizmu bardzo klarownie i jednoznacznie stwierdza, że szczęśliwym czyni nas wszystko co zwiększa w nas ilość energii moralnej, zaś nieszczęśliwym czyni nas wszystko co upuszcza z nas ową energię moralną. (Co to takiego owa "inteligentna energia moralna", jak celowo zwiększać w sobie ilość tej energii, oraz co najsilniej ją w nas rozprasza, wyjaśnia to punkt #E1 ze strony [dipolar_gravity_pl.htm](#) - o Konceptie Dipolarnej Grawitacji, punkt #D2 ze strony [nirvana_pl.htm](#) - o totalizycznej nirwanie, punkt #D6 ze strony [totalizm_pl.htm](#) - o filozofii totalizmu, oraz punkt #C4 strony [parasitism_pl.htm](#) - o filozofii pasożytnictwa - zaś podsumowuje to też częściowo punkt #K2 poniżej.) Ja zaś praktykuję totalizm w swoim życiu w sposób świadomy. Dlatego również w zamierzony i świadomy sposób zarówno powiększam w sobie ilość energii moralnej, jak i podtrzymuję uzależnione od tej energii poczucie własnej szczęśliwości.

Ja sam często analizuję i dociekam które składowe mojego światopoglądu są najważniejsze w owym generowaniu u mnie poczucia szczęścia i zadowolenie z życia, w sytuacji kiedy wielu innych ludzi postawionych w znacznie korzystniejszej niż moja sytuacji życiowej najwyraźniej czuje się nieszczęśliwymi. Według tych dociekań, moje szczęście osobiste, poczucie samospełnienia, oraz zadowolenie z życia najsilniej wynika z następujących czynników: (1) mojej wiedzy o Bogu oraz wynikających z tej wiedzy spokoju sumienia oraz klarownej znajomości kierunku w którym leży moralnie właściwe

postępowanie - znaczy postępowanie które będąc zgodne z działaniem praw moralnych nieustannie generuje u mnie energię moralną, (2) pewności istnienia szatańskich istot na Ziemi, które to istoty nieustannie szkodzą ludziom, oraz wynikające z tej pewności unikanie niepotrzebnego rozpraszenia energii moralnej (np. dzięki brakowi żalu do innych ludzi za doznane zło, czy łatwiejszemu pogodzeniu się z krzywdą i nieszczęściami które dotyczą zarówno mnie jak i moich bliskich), (3) praktycznego urzeczywistniania w moim życiu wskazań moralnej filozofii totalizmu, szczególnie zaś głównego zalecenia tej filozofii nakazującego aby nieustannie zwiększać swoją energię moralną poprzez dokonywanie wszystkiego w pedantycznie moralny sposób.

#K2. Moje poczucie szczęścia wcale NIE jest ślepe - stąd widzę zło panoszące się wokół, staram się ustalać jego pochodzenie, oraz w miarę swych możliwości walczę o wyeliminowanie tego zła:

W poprzednim punkcie wyjaśniłem, że w moim własnym (subiektywnym) odbiorze poziomu szczęścia osobistego, zadowolenia z życia, poczucia samo-spełnienia, oraz innych poszukiwanych wartości życiowych, ja swoje życie oceniam obecnie jako "szczęśliwe". W niniejszym punkcie postaram się więc wyjaśnić dokładniej co przez to rozumiem.

Życie, które podobnie jak moje własne, przez daną osobę może być określane zwrotem "szczęśliwe", musi cechować się na tyle wysokim poziomem poszukiwanych wartości życiowych, aby osoba ta subiektywnie oceniała te wartości jako bliskie najwyższego poziomu jaki tylko jest możliwy do osiągnięcia. Filozofia totalizmu opracowała wskaźnik ilościowy który precyzyjnie wyraża jaki jest u kogoś poziom osiągnięcia poszukiwanych wartości życiowych. Ów wskaźnik totalizmu nazywany jest "względny poziomem napełnienia energią moralną" (mi). Jego wartość kształtuje się u ludzi w zakresie od "mi = 0" do "mi = 1". Opisany jest on dokładniej w punkcie #D6 strony totalizm_pl.htm - o filozofii totalizmu, oraz w punkcie #C4 strony parasitism_pl.htm - o filozofii pasożytnictwa. Narazie jednak dzisiejsza nauka nie uznaje tego wskaźnika totalizmu. Dlatego w swoich badaniach nauka ta ciągle używa własnego wskaźnika. Ten naukowy "miernik szczęśliwości" sprowadza się do zadawania ludziom prostego pytania "jak w skali od 1 do 10, lub od 0% do 100%, oceniałbyś poziom własnej szczęśliwości lub zadowolenia z życia?" Przy takim naukowym mierniku "zadowolenia ze swojego własnego życia", ludzie opisujący własne życie jako "szczęśliwe" zwykle definiują wartość tego miernika na poziomie nie mniejszym niż jakieś 70% (lub nie mniejszym niż 7 w skali 0 do 10). To więc oznacza, że ów naukowy miernik szczęśliwości jest proporcjonalny do wartości totalizycznego "mi", osiągając 100% (lub 10 w skali od 0 do 10) u ludzi u których totalizyczne "mi = 0.5". W moim własnym przypadku, obecnie (tj. w marcu 2008) oceniałbym u siebie wartość takiego naukowego miernika na poziomie około 80%.

Ponieważ wiedzenie "szczęśliwego" życia jest celem praktycznie każdego człowieka na Ziemi, na temat poziomu szczęścia poszczególnych ludzi prowadzone są liczne badania naukowe. Wyniki jednej grupy takich badań podsumowane były w artykule "Happiness best in moderation" (tj. "Szczęście najlepsze w umiarkowaniu") opublikowanym na stronie A13 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z poniedziałku (Monday), March 17, 2008. W opisywanych tam badaniach wyraźnie rozgraniczane są od siebie dwie kategorie szczęśliwych ludzi. Jedna z owych kategorii, nazywana tam ludźmi "umiarkowanie szczęśliwymi" (po angielsku "moderately happy"), szacuje wartość w/w naukowego miernika swojego poziomu szczęśliwości właśnie na poziomie około 80% (czyli podobnie jak ja). Druga zaś grupa szacuje ten miernik na poziomie 100%. Opisywane tam badania ujawniły, że owi "umiarkowanie szczęśliwi" ludzie czerpią rozliczne korzyści ze swego szczęścia. Przykładowo, są zdrowsi, żyją wyraźnie dłużej, dotyka też ich mniej problemów życiowych. Natomiast ludzie "nadmiernie szczęśliwi", którzy w dzisiejszych czasach poziom swego szczęścia opisują jako 100% lub bliski 100%, w/g tych badań nie uzyskują niemal żadnych korzyści ze swego szczęścia. Znaczą, prześladują ich kłopoty ze zdrowiem tak samo jak wszystkich innych ludzi - w tym nawet tych nieszczęśliwych, ich życie wcale nie jest dłuższe, mają też wiele problemów życiowych.

Ja posądzam, że w swoich badaniach nad szczęściem i nad sposobami osiągania szczęścia poprzez praktykowanie filozofii totalizmu, zdołałem ustalić dlaczego owi nie znający totalizmu ludzie o poziomie szczęśliwości bliskim 100% nie uzyskują niemal żadnych korzyści ze swego szczęścia. Moim zdaniem przyczyna leży w realizmie i w otwarciu na dostrzeganie zła. Ludzie którzy bez praktykowania totalizmu i bez zamierzonego powiększania zasobów swojej energii moralnej (mi) ciągle są w stanie stwierdzić o sobie że są 100% szczęśliwi, muszą się jakoś zamknąć przed dostrzeganiem zła jakie nas dzisiaj otacza. Wszakże jeśli realistycznie widzi się ilość zła które dzisiaj panoszy się na Ziemi, po prostu nie daje się być szczęśliwym w 100%. Z kolei jeśli ktoś potrafi zamknąć się na widzenie zła, faktycznie zamyka się też przed realizmem i przed widzeniem świata takim jaki ów świat faktycznie jest. Nie trudno zaś wydedukować, że Bóg czy natura, które uformowały ludzi takimi jakimi jesteśmy, nie może wykazywać skłonności do tolerowania u kogoś braku realizmu i zamykania się przed dostrzeganiem życia takim jakim ono naprawdę jest. Wszakże takie tolerowanie prowadziłoby do wypaczania charakteru ludzi. Ów Bóg czy natura nie może więc też w żaden sposób wynagradzać tego braku realizmu i zamykania się przed rzeczywistością.

Ja swoją pozycję na skali szczęśliwości określiłbym jako "umiarkowanie szczęśliwy" (tj. szczęśliwy w około 80%, lub mający obecnie "mi = 0.4"). Muszę też tutaj podkreślić, że na przekór iż poczuwam się bardziej szczęśliwym niż większość przeciętnych ludzi których znam, ciągle dostrzegam zło jakie nas otacza. (Jak doskonale pamiętam, zło to dostrzegałem nawet w czasach kiedy przeżywałem totaliztyczną nirwanę, czyli kiedy moje "mi" wynosiło około "mi = 0.7".) Moje poczucie szczęścia osobistego wcale więc nie czyni mnie ślepym na krzywdę. Nie tylko też że dostrzegam zło panoszące się na Ziemi, ale w miarę swoich możliwości i sił staram się identyfikować jego źródła i przyczyny, oraz wkładać wszystkie dostępne mi środki w ich zwalczanie. Jako zaś broni w swoim zwalczaniu zła używam "słowa" ("miecza w ustach"). Znaczą piszę, demaskuję, wyjaśniam, przekonywuję, itp. - między innymi również i za pośrednictwem niniejszej strony. Ciekawe, że owa walka ze złem też jest źródłem określonego poczucia samo-spełnienia, celowości życia, dawania własnego wkładu dla dobra ludzkości, itp. - jako zaś taka też powiększa ona we mnie poczucie prowadzenia szczęśliwego i spełnionego życia.

Część #L: Podsumowanie, oraz informacje końcowe tej strony:

#L1. Podsumowanie tej strony:

"Moralność i prawda często muszą przebijać się po cierniowej drodze." Z kolei życie tych co poświęcili się służbie moralności, prawdy i przybliżania szczęścia dla innych ludzi, wcale nie jest usłane różami. Na przekór jednak ich trudnego życia, wiedzenie moralnego życia, promowanie prawdy, oraz poświęcenie się służbie dla dobra innych ludzi, jest nieodzownym warunkiem osiągnięcia szczęścia osobistego, zadowolenia z życia i poczucia spełnienia.

#L2. Jak dzięki stronie "skorowidz.htm" daje się znaleźć totaliztyczne opisy interesujących nas tematów:

Cały szereg tematów równie interesujących jak te z niniejszej strony, też omówionych zostało pod kątem unikalnym dla filozofii totalizmu. Wszystkie owe pokrewne tematy można odnaleźć i wywoływać za pośrednictwem skorowidza specjalnie przygotowanego aby ułatwiać ich odnajdowanie. Nazwa "skorowidz" oznacza wykaz, zwykle podawany na końcu książek, który pozwala na szybkie odnalezienie interesującego nas opisu czy tematu. Moje strony internetowe też mają taki właśnie "skorowidz" - tyle że dodatkowo zaopatrzoney w zielone linki które po kliknięciu na nie myślą natychmiast otwierają stronę z tematem jaki kogoś interesuje. Skorowidz ten znajduje się na stronie o nazwie skorowidz.htm. Można go też wywołać z "organizującej" części "Menu 1" każdej totaliztycznej strony. Radzę aby do niego zaglądnąć i zacząć z niego systematycznie korzystać - wszakże przybliży on setki totaliztycznych tematów które mogą zainteresować

każdego.

#L3. Dane kontaktowe autora tej strony:

Opisy wyników moich hobbyistycznych badań u sporej liczby czytelników indukują chęć skontaktowania się ze mną. Dlatego poniżej przytaczam swoje dane kontaktowe, tj. dane kontaktowe do dra inż. Jana Pajaka (a przez okres od 1 marca 2007 do 31 grudnia 2007 roku - Prof. dra inż. Jana Pajaka). Z uwagi jednak na fakt, że liczba czytelników którzy ze mną się kontaktują nieustannie wrasta, zaś doba zawsze ma tylko 24 godziny - co do których ja muszę podjąć decyzję czy mam je przeznaczyć na kontynuowanie swych badań czy też na odpowiadanie na korespondencję, przy każdym ze sposobów kontaktu podaję poniżej też rodzaj spraw w jakich ze sposobu tego należy korzystać.

(1) We wszelkich sprawach wymagających mojej odpowiedzi, przykładowo w sprawach ewentualnych zapytań, konsultowania, przedyskutowania jakiegoś tematu, itp., zalecam aby ze mną kontaktować się wyłącznie telefonicznie. (Szczególnie w dzisiejszych czasach - kiedy programy internetowe w rodzaju "Skype" czynią telefonowanie tanim i łatwym.) Przez telefon można bowiem otrzymać moją odpowiedź bez obciążania mnie obowiązkiem czasochłonnego pisania, redagowania i wysyłania - czyli szybko i bez kłopotu. Mój telefon domowy w Nowej Zelandii ma numer (+) 64-4 56-94-820, w którym (+) oznacza wyjście na centralę międzynarodową (w niektórych krajach może ono być inne niż "00"), 64 to numer Nowej Zelandii, 4 to numer Wellington (w obrębie Nowej Zelandii trzeba go wykręcać jako 04), zaś 56-94-820 to stacjonarny numer telefonu mojego mieszkania w Wellington. Proszę jednak pamiętać, że grzeczność nakazuje aby dzwonić do mnie w godzinach kiedy już NIE pracuję naukowo ani jeszcze NIE śpię, czyli między godzinami 19 a 22 czasu nowozelandzkiego. Po godzinie 22 wieczorem aż do godziny około 9 rano proszę NIE dzwonić do mnie bez wyjątkowo ważnej przyczyny (wszakże polski obyczaj nakazuje aby w owych godzinach bez istotnego powodu nie dzwoniło się do nikogo). Aby móc sobie łatwo wyliczyć godzinę która panuje u mnie w NZ, warto odnotować, że z powodu wprowadzania tzw. "czasu letniego" w obu krajach, w okresie polskiego lata czas w Nowej Zelandii jest o 10 godzin późniejszy niż czas w Polsce, zaś w okresie polskiej zimy czas w NZ jest aż o 12 godzin późniejszy niż czas w Polsce (tj. oficjalny czas NZ jest GMT+12, czyli kiedy zimą w Polsce jest np. 10 wieczorem, w NZ jest już 10 rano następnego dnia).

(2) Email lub list radzę wysyłać mi tylko w celu poinformowania mnie o czymś co NIE wymaga mojej odpowiedzi - przyjąłem bowiem zasadę że w "typowych przypadkach" NIE odpisuję na emaile ani na listy (wyjątkiem od tej zasady jest sytuacja wyjaśniona w następnym podpunkcie (3) poniżej). Oto moje aktualne adresy emailowe, uszeregowane w/g częstości mojego sprawdzania korespondencji przychodzącej na dany adres:

janpajak@gmail.com,
jpajak@poczta.wp.pl,
pajakjan@yahoo.co.nz,
totalizm@gmail.com.

Emaile warto mi wysyłać głównie w przypadkach dosyłania mi szczegółów które trudno przekazać poprawnie przez telefon, takich jak zdjęcia, adresy emailowe czy adresy stron internetowych, nazwiska, dane bibliograficzne książek i artykułów, cytaty z wybranych opracowań, itp. Ponadto przez email można też zapowiedzieć kiedy i w jakiej sprawie będzie się do mnie dzwoniło, lub poinformować o szczegółach podjęcia procedury opisanej w podpunkcie (3) poniżej. Wysyłając mi takie emaile proszę jednak brać pod uwagę, że po otrzymaniu każdego z nich ja dokonuję subiektywnej oceny poziomu jego ważności. Ponieważ zaś mam do wyboru aby w wolnym czasie jakim dysponuję "albo dokonywać badań naukowych w celu powiększania dorobku 'nauki totaliztycznej' opisywanej w punkcie #J2 powyżej, albo też odpowiadać na emaile", przyjąłem logiczną zasadę że na dany email odpowiadam tylko w tych ogromnie nielicznych przypadkach kiedy spędzenie czasu na udzieleniu owej odpowiedzi oceniam za bardziej istotne dla dobra i dla dorobku "nauki totaliztycznej" niż dokonywanie badań naukowych. Tymczasem emaile które oceniam jako ważniejsze niż dokonywanie badań w ramach wzmacniania i rozbudowy fundamentów

filozoficznych i naukowych nowej "nauki totalizycznej" przychodzą do mnie ogromnie rzadko. Dlatego, aby NIE czuć się potem rozczarowanym że się do mnie napisało, jednak ja NIE znalazłem czasu aby odpowiedzieć na email, pisząc do mnie proszę z góry zakładać że NIE otrzyma się odpowiedzi i proszę nie czuć się urażonym kiedy tak właśnie się stanie.

Jeśli koniecznym się okaże wysłanie mi czegoś, wówczas należy korzystać z mojego adresu pocztowego. Adres ten w 2009 roku był jak następuje: Dr inż. Jan Pająk, P.O. Box 33250, Petone 5046, New Zealand.

Do powyższych informacji chciałbym dodać, że ja uważnie czytam każdą skierowaną do mnie korespondencję, tyle tylko że NIE na każdą z nich mój chroniczny deficyt czasu pozwala mi udzielić osobistej i indywidualnej odpowiedzi piszącemu. (Wszakże odpowiedzialne przygotowanie i napisanie odpowiedzi na czyjeś zapytanie, prośbę, czy żądanie, jest nieporównanie bardziej czasochłonne niż przeczytanie czyjejs korespondencji lub nawet napisanie jakiegoś emaila z zapytaniem.) Na sporo z informacji, uwag, zapytań, komentarzy, historii, oraz fotografii, jakie czytelnicy mi przysyłają, reaguję za pośrednictwem swoich stron internetowych, przykładowo przez wstawienie do owych stron generalnego opisu który udziela odpowiedzi wielu czytelnikom naraz, poprzez wkomponowanie dosłanych informacji, zdjęć, czy opisów do treści owych stron, czy też poprzez odpowiednie przeredagowanie treści tych stron.

(3) Aby mimo wszystko stworzyć jednak czytelnikom możliwość uzyskania mojej osobistej odpowiedzi, jeśli na takiej im zależy, niniejszym zbowiązuje się że na przekór powyższej zasady aby NIE odpisywać na typowe emaile i listy, ciągle odpiszę i wyczerpująco zaopiniuję każdy email dyskutujący dowolny temat badany przez "naukę totalizyczną" - jeśli uzyskam dowód że na ten sam email odpisał już jakiś aktualnie urzędujący profesor z jakiegokolwiek uczelni, reprezentujący stanowisko "ateistycznej nauki ortodoksyjnej". Wiele zapytań, próśb lub żądań które ja otrzymuję, faktycznie powinno być kierowane do profesorów uczelni specjalizujących się w danym temacie badań. Wszakże owi profesorowie z uczelni są opłacani z podatków czytelników, wszyscy oni mają też sekretarki (także opłacane z podatków czytelników) które przejmują na siebie czasochłonność ich korespondencji. Na dodatek, profesorowie uczelni należą do zawodu z grupy "służb społecznych" - tak samo jak straż pożarna, milicja, wojsko, służba zdrowia, itp. Do ich obowiązków zawodowych należy więc m.in. udzielanie odpowiedzi na zapytania społeczeństwa. W dzisiejszej zaś dobie internetu i emailów NIE ma też żadnych trudności ze znalezieniem ich adresów emailowych i ze skierowaniem zapytań imiennie na ich adresy lub na adresy instytutów którym naukowo przewodzą. Tymczasem - z jakichś nieznanych mi powodów, osoby mające naukowe zapytania wolą raczej pisać do mnie niż do owych profesorów. Przecaczają przy tym, że ja prowadzę badania bez żadnego finansowania, czyli ze swoich prywatnych oszczędności i w swoim prywatnym czasie, oraz że ja NIE mam sekretarki - stąd odpisywanie na korespondencję odbywa się kosztem czasu na badania naukowe. Jedyna więc sytuacja kiedy moje odpisywanie na emaile byłoby uzasadnione, ma miejsce jeśli owo udzielenie czytelnikowi odpowiedzi przyczyni się jakoś do wzmocnienia autorytetu, znaczenia, konkurencyjności, oraz fundamentów naukowych nowej "nauki totalizycznej". Taka zaś sytuacja pojawia się we wszystkich przypadkach, kiedy ja udzielię "konkurencyjnej" odpowiedzi przygotowanej z "a priori" podejścia nowej "totalizycznej nauki", zaś jednocześnie kiedy na to samo naukowe zapytanie profesor jakiejś uczelni też już udzielił odpowiedzi - tyle że przygotowanej z "a posteriori" podejścia starej "ateistycznej nauki ortodoksyjnej". Dlatego aby nie pozostać obojętnym wobec takich właśnie sytuacji, niniejszym obiecuję, że odpowiem na każdy email zawierający jakieś naukowe zapytanie, co do którego otrzymam "dowód" że na email ten już wcześniej odpowiedział jakiś aktualnie urzędujący profesor dowolnej uczelni. Aby zaś czytelnik najłatwiej uzyskał taki "dowód", niniejszym proponuję aby swój email z naukowym zapytaniem oryginalnie zaadresował do owego dowolnego aktualnie urzędującego profesora jakiegokolwiek uczelni, zaś dodatkowo aby "cc" ów email także i na mój adres emailowy (oryginalnie "cc" wywodzi się od "carbon copy"). (Adres takiego profesora w dzisiejszych czasach łatwo znaleźć poprzez poszukanie internetową wyszukiwarką stron internetowych interesujących nas uczelni, potem zaś sprawdzenie który profesor i pod jakim adresem internetowym przewodzi danej tematyce

badań. Proszę też odnotować, że koniecznie musi to być naukowiec z tytułem profesora, bowiem konfrontację poglądów na tak istotne tematy jestem gotów podjąć tylko z kimś o równej mi randze naukowej.) W treści zaś owego emaila proponuję poprosić tegoż profesora aby swoją odpowiedź też "cc" na mój adres emailowy. Jeśli zaś jego odpowiedź dotrze m.in. do mnie i jeśli w ten sposób ja uzyskam "dowód" że ów profesor faktycznie podjął dyskusję tematu z owego emaila i na niego odpisał, wówczas ja również włączę się do tej dyskusji i zaprezentuję co "nauka totaliztyczna" ma "konkurencyjnego" do powiedzenia z podejścia "a priori" na temat zapytywany w owym emailu, zaś swoją odpowiedź m.in. też "cc" do owego profesora. Dzięki więc uczynieniu powyższego "wyjątku" od mojej zasady, wszystkie strony na tym tylko skorzystają. Czytelnik uzyska bowiem interesujące go odpowiedzi przygotowane z aż dwóch podejść "a posteriori" oraz "a priori". Profesor danej uczelni uzyska dowód że społeczeństwo interesuje się jego badaniami. Z kolei "nauka totaliztyczna" otrzyma okazję aby (a) zaakcentować i przypomnieć swoje istnienie; aby (b) udowodnić jak proste, korzystne i stosowalne są rozwiązania oferowane przy "a priori" podejściu do badań; aby (c) wypełnić jeden z celów swojego istnienia - jakim jest wypunktowywanie i naprawianie błędów popełnianych przez oficjalną naukę ziemską; oraz aby (d) ujawnić ową "drugą połowę prawdy" na dany temat - której to "drugiej połowy prawdy" dotychczasowa stara nauka ziemską NIE jest w stanie dostrzec z powodu swojego "a posteriori" podejścia do badań (patrz punkt #J2 powyżej na tej stronie po więcej szczegółów o owych dwóch "konkurencyjnych" naukach). Taka zaś sytuacja, kiedy wszyscy zainteresowani na niej korzystają, po angielsku nazywa się "win-win situation" i reprezentuje ona jedną z najbardziej zalecanych rozwiązań przy naprawianiu zaistniałych błędów, pomyłek, niezgody, różnicy zdań, niedogodności, niesprawiedliwości, itd., itp.

Sprawę zadawania pytań profesorom opłacanym z naszych podatków, pod odmiennym kątem widzenia wyjaśnia też punkt #H1 strony o nazwie god_istnieje.htm.

#L4. Copyright © 2011 by Dr Jan Pająk:

Copyright © 2011 by Dr Jan Pająk. Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza strona m.in. raportuje również wyniki badań jej autora - tyle że opisane popularnym językiem (aby mogły być też zrozumiane przez czytelników o nienaukowej orientacji). Idee zaprezentowane na tej stronie są unikalne dla badań autora i dlatego w tym samym ujęciu co na tej stronie (oraz co w innych opracowaniach autora) idee te uprzednio NIE były jeszcze publikowane przez żadnego innego badacza. Jako taka, strona ta prezentuje idee które stanowią intelektualną własność jej autora. Dlatego jej treść podlega tym samym prawom intelektualnej własności jak każde inne opracowanie naukowe. Szczególnie jej autor zastrzega dla siebie intelektualną własność odkryć naukowych i wynalazków opisanych na tej stronie. Dlatego zastrzega sobie, aby podczas powtarzania w innych opracowaniach jakiegokolwiek idei zaprezentowanej na niniejszej stronie (tj. jakiegokolwiek teorii, zasady, dedukcji, interpretacji, urządzenia, dowodu, itp.), powtarzająca osoba oddała pełny kredyt autorowi tej strony, poprzez wyraźne wyjaśnienie iż autorem danej idei jest Dr Jan Pająk, poprzez wskazanie internetowego adresu niniejszej strony pod którym idea ta i strona oryginalnie były opublikowane, oraz poprzez podanie daty (najnowszej) aktualizacji tej strony w czasach gdy idea ta została z niej zaczerpnięta (tj. daty wskazywanej poniżej).

* * *

If you prefer to read in English click on the flag below
(Jeśli preferujesz czytanie w języku angielskim
kliknij na poniższą flagę)

Data zapoczątkowania budowy tej strony internetowej: 25 maja 2004 roku.

Data najnowszego jej aktualizowania: 7 kwietnia 2011 roku.

(Sprawdź pod adresami z "Menu 3" czy już istnieje nawet nowsza aktualizacja!)

Podrozdział A3:

Klasa Pani Hass z 1964 roku w Liceum Ogólnokształcącym, Milicz, Polska

Witam na stronie internetowej absolwentów klasy Pani Hass z Liceum Ogólnokształcącego w Miliczu, rocznik 1964 (tj. absolwentów urodzonych w 1946 roku, lub wcześniej). Niniejsza strona spełnia dwojaką rolę. Dla nas, czyli dla owych absolwentów, strona ta jest rodzajem przypomnienia i podsumowania naszego życia. Natomiast dla pozostałych ludzi, jest ona rodzajem dokumentu który utrwała i ilustruje określony okres w historii naszego kraju i planety, oraz małą grupkę ludzi którzy m.in. dokładali swój wkład do formowania tejże historii. Jako też taki dokument, niniejsza strona ma swoje przedłużenie w formie następnej strony o nazwie rok.htm, na której opisane są dalsze losy dwojga z figurujących tutaj absolwentów LO w Miliczu.

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Zamiast wstępu:

W dniu 5 czerwca 2004 roku, w Liceum Ogólnokształcącym w Miliczu (w latach naszej młodości jedynej szkole średniej miasta Milicza i reszty powiatu) odbyło się spotkanie byłych uczniów klasy Pani Hass jacy ukończyli tą szkołę dokładnie 40 lat wcześniej. Moje imię jest Jasiu i ja jestem jednym z 32 uczniów owej klasy. W dniu spotkania moje myśli były z resztą naszej klasy. Niestety, osobiście nie mogłem uczestniczyć w owym spotkaniu, z uwagi na odległość jaka dzieli Wellington w Nowej Zelandii, gdzie obecnie zamieszkuję, od Milicza w Polsce. Chcąc jednak jakoś uczestniczyć w spotkaniu, postanowiłem wykonać niniejszą stronę internetową. Strona ta będzie jakby moim uczestnictwem na odległość w owym spotkaniu. Z pomocą reszty naszej klasy, postaram się w niej opisać historię klasy Pani Hass, dotychczasowe dzieje poszczególnych jej uczniów - czyli każdego z nas, najciekawsze wydarzenia jakie nas spotkały, a także ciekawostki i atrakcje samego Milicza. (Ciekawostki Milicza już obecnie można przeglądać na odrębnej stronie o Miliczu.)

* * *

Kiedy nadszedł czas naszego pożegnania, pamiętam, że umawialiśmy się iż jeśli zechcemy ponownie być razem, wystarczy abyśmy popatrzyli na układ gwiazd "oriona" jakie formują charakterystyczną łopatkę na nieboskłonie (gwiazdy te widać nawet z Nowej Zelandii). Niestety, nasz coraz słabszy wzrok, oraz owa ogromna liczba ciemnych chmur jakie ostatnio gromadzą się nad naszą planetą, uniemożliwiają nam owe spotkania w gwiazdach. Czas więc abyśmy gwiazdy zastąpili internetem. Niech niniejsza strona stanie się miejscem naszych następnych spotkań. Mam nadzieję że strona ta stanie się linkiem fizycznym pomiędzy nami, oraz uzupełnieniem linku duchowego jaki posiadamy z uwagi na naszą wspólną przeszłość. W międzyczasie zaś ja będę pracował nad swoim wehikułem czasu, tak abyśmy pewnego dnia mogli spotkać się ponownie po krótkiej podróży przez czas do lat naszej młodości!

* * *

Chociaż życie każdego z nas może wyglądać "codziennie", faktycznie to reprezentujemy sobą ponad 1000 lat ludzkiej historii. Wszakże ukończyliśmy liceum ponad 40 lat temu. Niniejsza strona jest więc nie tylko naszym osobistym linkiem, oraz ciekawostką dla naszych najbliższych i znajomych, ale także odzwierciedleniem codziennej historii ostatniego półwiecza naszej planety. Ma ona więc nie tylko znaczenie uczuciowe i osobiste, ale także historyczne i naukowe. Być może że w przyszłości stanie się ona przedmiotem naukowych studiów oraz wzorcem dla innych. Wszakże pokazuje losy znacznej grupy ludzi,

których polaczyło braterstwo wspólnej nauki przez 4 lata.

* * *

W dniu 1 września 1960 roku zaczęliśmy wszyscy naukę w ówczesnej 8 klasie Liceum Ogólnokształcącego w Miliczu. Mieliliśmy wówczas po 14 lat. Na początku było nas 46. Z liczby tej do czasu ukończenia liceum wykruszyło się 14 uczniów, tak że do 11 klasy chodziło nas już tylko 32. (Odnotuj, że owa liczba 32 klasowiczów nie jest równoznaczna z liczbą absolwentów rocznika 1964, bowiem około czterech z nas niestety nie zdało matury). Z tego, w chwili pisania niniejszej strony (tj. 7 lipca 2004 roku) przy życiu zostało nas jedynie 27. Oto lista wszystkich uczestników naszej końcowej klasy licealnej, wraz z listą tych jacy odłączyli się od nas po drodze, ale ciągle utrzymują z nami kontakty. Przytoczone też są zgrubne losy każdego z nas:

#A2. Niniejsza strona jest rodzajem unikatów na skalę światową:

Z tzw. "feedback" jaki otrzymuję w sprawie niniejszej strony internetowej absolwentów szkoły średniej naszego rocznika 1964 (tj. rocznika osób urodzonych NIE później niż w 1946 roku), wynika że strona ta jest rodzajem unikatów na skalę światową. Chodzi bowiem o to, że należymy do generacji ludzi którzy ciągle NIE polubili komputerów. Wszakże komputery nie były jeszcze popularne w czasach naszej edukacji. Stąd wśród naszej generacji zdarza się ogromnie rzadko że ktoś zna programowanie na tyle dobrze, aby zaprogramować stronę internetową swojego rocznika absolwentów, zaś nawet jeśli zna programowanie - zwykle jest zbyt zajęty robieniem majątku aby jeszcze tracić cenny czas na zakładanie strony internetowej dla swoich kolegów ze szkoły średniej. Stąd ani nasz rocznik, ani roczniki nas poprzedzające, niemal nigdy NIE mają swoich stron internetowych - i tak się dzieje praktycznie na całym świecie. Nic dziwnego że strona naszego rocznika ma relatywnie dużo czytelników. Oczywiście, to także oznacza, że wszystkie osoby opisane i pokazane na stronie naszego rocznika absolwentów, pomalutką nabierają światowego rozgłosu!

Jeśli czytelnik NIE wierzy w to moje przypadkowe odkrycie że ta strona internetowa jest rodzajem unikatów na skalę światową, wówczas niniejszym rzucam mu wyzwanie aby udowodnił że się mylę i wskazał mi adres jakiejś innej strony internetowej absolwentów szkoły średniej rocznika 1964, lub rocznika starszego niż 1964 (tj. adres strony opisujących naukę w szkole średniej oraz obecne losy i kontakty osób urodzonych nie później niż w 1946 roku).

Część #B: Fotografie naszej klasy:

#B1. Obecne nasze zdjęcia prezentuje głównie niniejsza strona:

Niniejsza strona prezentuje głównie zdjęcia naszej klasy z 2004 roku. Daje więc ona dobre pojęcie jak obecnie wyglądamy. Nasz wygląd utrwalony w 1964 roku pokazany jest głównie na zdjęciach z odrębnej strony o nazwie lo.htm. Aby jednak wyszczególnić tutaj kto jest kto w owej klasie, poniżej przytaczam oraz dokładniej opisuję jedno zdjęcie z 1964 roku. Oto ono:

Fot. #B1 (M1 z [10]): Fotografia całej klasy Pani Hass, wykonana w 1964 roku. Fotografia ta pokazuje następujące osoby (dla dziewcząt najpierw podane są ich panieńskie nazwiska które używały w czasie nauki w liceum): (H) Ś.P. Pani Helena Hass - wychowawczyni naszej klasy, (1) Ś.P. Zenon Skowroński, (2) Jan Pająk, (3) Emilia Sozańska, (4) Jan Defratyka, (5) Władysława Urbańska (po mężu Ograbek), (6) Ś.P. Kazimierz Kuczkowski, (7) Krystyna Dyla (po mężu Tysiak), (8) Zuzanna Kubiszyn (po mężu Kulik), (9) Roman Sperzyński, (10) Krystyna Skomra (po mężu Cisowska), (11) Wiesława Hołówko (po mężu Zdobylak), (12) Julian Partyka, (13) Andrzej Celejowski, (14) Ś.P. Wiesław Cygał, (15) Zbigniew Nęcki, (16) Halina Mrozek, (17) Krystyna Łakoma (po mężu Ignasiak), (18) Dukłana Miga (po mężu Piskorska), (19) Zofia Twarda (po mężu Lorent), (20) Lidia Eisler (po mężu

Patalas), (21) Anna Kasperowicz (po mężu Pytlińska), (22) Ś.P. Hanna Zarakowska, (23) Mirosława Osiecka (po mężu Demianiuk). (Odnótuj że na zdjęciu tym nie występują wszyscy uczniowie klasy Pani Hass.)

Wszystkie powyższe osoby, tyle że uchwycone w odmiennych konfiguracjach, pokazane są również na zdjęciu z "Fot. #10", a także na zdjęciach z odrębnej strony o nazwie lo.htm. Wszystkie tamte zdjęcia zostały wszakże wykonane w tym samym dniu z 1964 roku, oraz przy tej samej okazji fotografowania naszej klasy.

* * *

Uwaga: aby przypomnieć sobie "kto jest kto" na powyższym zdjęciu, wystarczy kliknąć myszą na poniższy guzik który zawiera numery z tego wykazu ponanoszone na poszczególne osoby na zdjęciu.

Po kliknięciu na ów guzik ukaże się odrębne okienko z ponumerowanym zdjęciem. Okienko to można sobie powiększyć poprzez złapanie go myszą za prawy-dolny róg i rozciągnięciu w dowolnym kierunku. Można je też przesunąć w inne miejsce ekranu poprzez złapanie go myszą za jego górny niebieski pasek.

#B2. Więcej naszych grupowych zdjęć (szczególnie tych z 1964 roku) można oglądać na stronie lo.htm:

Nasz dawny wygląd sprzed około pół wieku, a także nasze zdjęcia grupowe z czasów szkolnych, zaprezentowane zostały na starych zdjęciach zestawionych na odrębnej stronie o nazwie lo.htm - Nasze Liceum. Aby przenieść się na tamtą stronę wystarczy kliknąć na niniejszy zielony link albo też uruchomić ją z początku "Menu 1" gdzie jest linkowane pod nazwą LO w Miliczu. Dwa nasze zdjęcia z 2004 roku pokazane też zostały na odrębnej stronie Wieśka Sakalusa.

* * *

Zauważ że można zobaczyć powiększenie danej fotografii z niniejszej strony internetowej. W tym celu wystarczy zwykle kliknąć na tą fotografię. Ponadto większość tzw. browserow które obecnie są w użyciu, włączając w to popularny "Internet Explorer", pozwala na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększyć, a także gdzie ją można wydrukować za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

* * *

Jeśli zaś ktoś życzy sobie aby przesunąć daną fotografię, znaczy aby przemieścić ją w inne miejsce ekranu, wówczas powinien uczynić co następuje: (1) kliknąć na nią aby spowodować jej pojawienie się w odrębnym okienku, (2) zmniejszyć wymiary tego odmiennego okienka (z danym zdjęciem) poprzez "złapanie" myszą jego prawego-dolnego narożnika i przesunięcie tego narożnika w górę-lewo aby otrzymać rozmiar tego odrębnego okienka jaki sobie życzysz mieć (odnotuj że kiedy raz zmniejszysz już rozmiar pierwszej takiej fotografii, wówczas wszelkie następne kliknięte ilustracje pojawią się już w owych zmniejszonych rozmiarach - chyba że je ponownie powiększysz w taki sam sposób), a następnie (3) przemieść to odmiennie okienko z ilustracją w miejsce strony internetowej w którym zechcesz je oglądać. (Aby je przemieścić złap je myszą za ten niebieski pasek na jego górnej krawędzi). Odnótuj też, że jeśli przesuniesz (suwakiem) tekst tej strony kiedy go czytasz, owo odrębne okienko z dodatkowym rysunkiem nagle zniknie. Aby je ponownie przywrócić w nowe położenie strony musisz kliknąć na jego "ikonkę" (nazwę) w najniższej części ekranu.

Część #C: Aby móc być w kontakcie, konieczne jest włączenie swego emaila do treści tej strony:

#C1. Jeśli komuś z koleżanek lub kolegów zawieruszyły się adresy reszty naszej klasy, ja mam je niemal wszystkie i mogę je dosłać na życzenie:

W miarę jak nasz wiek się zwiększa, martwe rzeczy coraz częściej płatają nam

figle. Gdyby więc się zdarzyło że komuś z naszej klasy zaginę adresy do reszty z nas, wówczas proszę do mnie napisać (najlepiej szybki email), lub zadzwonić, zaś ja chętnie doślę lub przedyktuję te adresy. Moje dane kontaktowe podane są w punkcie #20 z części #D poniżej na tej stronie.

#C2. Dlaczego mimo wszystko warto dodać swój email do wykazu kontaktów z niniejszej strony:

Każdy z nas wchodzi obecnie w raczej nietypowy okres życia. Odejście na emeryturę i nagłe odzyskanie całego tego wolnego czasu, układanie sobie własnego życia przez nasze dzieci, pojawienie się starczych dolegliwości, konfrontowanie naszej śmiertelności, filozoficzne rozważania i dylematy typu "a co potem", itd., itp. Oczywiście, w takich czasach dobrze jest utrzymywać więzi ze swoimi dawnymi kolegami z roku. Wszakże oni są w dokładnie tej samej co my sytuacji. Konfrontują oni też dokładnie te same co my dylematy, kłopoty, uczucia, dolegliwości, problemy, obawy, zapytania, itp. Naprawdę warto więc dodać swój email lub inny kontakt do wykazu kontaktów z tej strony. Warto też napisać jakiś email do tych z naszych dawnych kolegów, których kontakt został już poniżej przytoczony. Wszakże w kupie wszystko przychodzi różniej.

Tak się jakoś składa, że jako jeden z nielicznych naukowców na świecie dokonywałem badań tego czym w nadchodzącej sytuacji wielu z nas zacznie teraz szczególnie się interesować. Wszakże moja teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji wykazuje jednoznacznie że poza naszym "światem fizycznym" istnieje jeszcze jeden ukryty "przeciw-świat" zapełniony unikalną substancją posiadającą cechy "płynnego komputera". Wyniki swych badań opublikowałem aż na kilku powszechnie-dostępnych stronach internetowych. Aczkolwiek tzw. pewność i przekonanie to coś co każda osoba musi wypracować oddzielnie sama dla siebie, być może iż naukowy materiał dowodowy jaki zdołałem zgromadzić okaże się przydatny dla znajdowania odpowiedzi na pytania i dylematy jakie obecnie konfrontujemy. Ponadto ów materiał dowodowy dostarcza podstawy do ewentualnego podjęcia konstruktywnej i pozbawionej uprzedzeń dyskusji. Dlatego, tak na wszelki wypadek, przytaczam tutaj linki do najważniejszych z owych stron z materiałem dowodowym. Oto one: [soul_proof_pl.htm](#), [god_proof_pl.htm](#), [immortality_pl.htm](#) (szczególnie patrz tam punkt #D5).

#C3. Nie bójmy się włączyć swego aktualnego emaila do niniejszej strony:

Żyjemy w czasach szerzenia publicznych panik oraz wzajemnego straszenia się. Politycy straszą nas wojnami, ekonomiści - kryzysami, medycy - pandemiemi, tzw. "fałszywi prorocy" - jakoby niedługo już nadejściem "końca świata" (po więcej szczegółów o owym rzekomym "końcu świata" patrz punkt #B8 na stronie o nazwie [seismograph_pl.htm](#)), telewizja straszy nas "oszustwami emailowymi", itp., itd. Nic dziwnego że ci z nas co mają czas aby oglądać dzisiejsze programy telewizyjne mogą posądzać iż emaille są największym złem jakie nastąpiło na Ziemi od czasów biblijnych plag.

Zapewne nie muszę jednak tutaj wyjaśniać, że owo straszenie w telewizjach o rzekomych niebezpieczeństwach publicznego podania swego emaila, jest wysoce wyolbrzymiane. Wszakże jedyne co nam wówczas zagraża to że ktoś niepowołany wyśle nam email. W takim jednak wypadku wcale NIE musimy na email ten odpowiadać. Z mojego prywatnego doświadczenia wynika, że jedynym faktycznym niebezpieczeństwem jakie na nas sprowadza publiczne podanie swego emaila, jest że ktoś może nam wysłać zdjęcie jakiejś nagiej piękności, zaś my musimy potem gęsto się tłumaczyć swojej żonie - jeśli to przy niej przypadkowo otworzymy taki email. Inne emailowe niebezpieczeństwa jakie często opisują w telewizji, takie jak np. tzw. "spam" (czyli otrzymywanie emaili od nieznanym nam osób), czy "scam" (czyli próby oszustów najróżniejszych maści aby emailowo namówić nas np. na zainwestowanie naszych pieniędzy w jakimś nieistniejącym banku czy przedsięwzięciu z Afryki), są zupełnie niegroźne - jeśli tylko używamy zdrowego rozsądku przy czytaniu otrzymywanych emailów oraz jeśli trzymamy się zasady aby nigdy NIE otwierać załączników które przyszły z emailami nieznanym nam osobników.

Rzeczywistość w sprawie emailów faktycznie jest taka, że podobnie jak wszystko

inne, owszem emaile i internet też mają swoje wady - jednak są równocześnie wysoce użyteczne. Wszakże pozwalają one utrzymywać kontakt szybko, tanio i wygodnie w sytuacjach kiedy normalnie nie pozwoliliśmy sobie na pozostawanie w kontakcie. Pozwalają one także wymieniać łatwo informacje i uzgodnienia, udostępniać innym nasze zdjęcia, opisy, dane i dowcipy, oraz dokonywać dziesiątków innych działań bardzo na czasie w naszej sytuacji. Wszystko zaś co nam potrzeba abyśmy mogli tak trzymać się razem, to poumieszczać nasze adresy emailowe na tej stronie - tak aby inni z naszego roku mieli możliwość aby do nas napisać.

Warto tutaj też wspomnieć, że jeśli ktoś faktycznie boi się jawnego podania na tej stronie swego prywatnego adresu emailowego, lub jeśli posiada jedynie email do pracy którego jego pracodawca zabrania używać w celach prywatnych, wówczas ciągle istnieje jeszcze inne wyjście. Mianowicie, każdy może wyrobić sobie specjalny "darmowy" adres emailowy - który daje się potem przeznaczyć wyłącznie do publicznego użytku i do opublikowania na tej stronie. Wszakże w internecie istnieją serwery które rzeczywiście za darmo wszystkim chętnym oferują własny adres emailowy. Jeśli zna się język angielski, wówczas adres taki można dla siebie założyć nawet na najlepszym z takich darmowych serwerów - który ma adres gmail.com (ja sam też używam ten właśnie email). Natomiast jego niemal równie dobry polski odpowiednik ma adres poczta.wp.pl. Po wejściu na taki serwer (np. poprzez kliknięcie na powyższy jego zielony adres) wystarczy wypełnić mały formularz i już się ma swój własny darmowy adres internetowy. Adres ten potem można opublikować już bez obaw na niniejszej stronie - tak aby za jego pośrednictwem utrzymywać kontakt z resztą naszego roku.

Ze wszystkich firm oferujących darmowe emaile, dla Polaków najbardziej atrakcyjna jest poczta.wp.pl. Ich emaile są naprawdę dobre i mają cały szereg zalet. Przykładowo, mają one wersję która jest całkowicie bezpłatna - stąd jej użytkownicy NIE muszą się obawiać że kiedykolwiek przyjdzie za nią rachunek do zapłacenia. Ich emaile wcale NIE są "przywiązane" do jakiegokolwiek konkretnego komputera, stąd emaile te można sobie przeczytać z dowolnego komputera na całym świecie, z dowolnego też komputera można pisać i wysłać ich emaile. Z adresu m.poczta.wp.pl udostępniane są też emaile telefonom komórkowym (ale przychodzi to trudniej niż z użyciem komputerów). Wszystkie komendy, guziki i wyświetlane wiadomości są tam napisane po polsku - NIE ma więc kłopotów ze zrozumieniem co właśnie się czyni. Ma on też krótki i łatwy do zapamiętania adres - jaki bez trudności każdy użytkownik może sobie zapamiętać i potem podawać każdemu kogo przypadkowo spotka. Adres bowiem ich emaila typowo składa się z jednego wyrazu (tj. z tzw. "login" albo "alias") który użytkownik sam sobie wymyśla, np. nadając mu formę albo jakiegoś egzotycznego imienia, albo też np. "składanki" z fragmentów swego nazwiska i imienia. Potem jest owa "małpa" - czyli angielski znak "at" (tj. @), potem zaś skrót "wp" od "Wirtualna Polska" (tj. od nazwy firmy w Gdańsku będącej właścicielką owych darmowych emailów), kropka, oraz "pl" oznaczający Polskę.

Do dzieła więc ci z kolegów i koleżanek, którzy jeszcze NIE podali mi swoich najbardziej aktualnych emailów do umieszczenia na niniejszej stronie. Powysyłajmy wreszcie te adresy do umieszczenia na tej stronie (po mój adres patrz punkt #20 w "części #D" poniżej), oraz zacznijmy się ze sobą kontaktować nieco częściej niż dotychczas.

#C4. Polska stworzyła idealne warunki dla pisania emailów i dla użytku internetu przez emerytów - skorzystajmy więc z tych warunków:

Polska jest obecnie jednym z ogromnie rzadkich krajów na świecie, które zachęcają jak mogą swoich emerytów do używania emailów i internetu - a więc zachęcają również do gimnastykowania umysłu i utrzymywania wysokiej sprawności umysłowej. Przykładowo, w Polsce niemal w każdej bibliotece publicznej emeryci mogą używać komputery i internet zupełnie za darmo. Nie ma przy tym żadnych formalności. Po prostu przychodzi się do biblioteki, "dzień dobry - jestem emerytem, czy mogę "posurfować" na Państwa darmowym internecie dla emerytów? Tak proszę bardzo, ten niedaleko od ciepłego kaloryfera jest akurat wolny". Jeśli kogoś interesuje więcej na ten temat, może sobie poczytać np. na stronie www.biblioteka.wroc.pl aby się lepiej zorientować w temacie.

Na dodatek do bibliotek, darmowy dostęp do internetu zwykle oferują emerytom w miastach Polski urzędy miast, oraz tzw. "Kluby Seniora" - czyli przykładowe kluby w których gromadzą się emeryci danego zakładu. Darmowy internet jest też dostępny na wielu lotniskach (lotniska mają bowiem komputery z internetem do użytku swych pasażerów), a także w centrach poszukiwania pracy, w instytucjach telekomunikacyjnych - np. darmowe komputery i internet mogą być dostępne w centralach telefonicznych, w przedstawicielstwach telefonów komórkowych, u firm dostarczających usług internetowych, itp. Warto tutaj dodać, że w wielu innych krajach, np. w Nowej Zelandii, emeryci NIE otrzymują niemal niczego za darmo, zaś np. za dostęp do komputerów i do internetu muszą oni tam płacić - tak jak płaci każdy inny użytkownik.

Dostęp do internetu i do emailów można też sobie wynająć za niewielką opłatą w tzw. "Cyber Cafe" które istnieją w niemal każdym miasteczku Polski. W Polsce opłata za takie wynajęcie internetu podobno wynosi tylko około 3 złote za godzinę (3 zł/h) - dla porównania, np. w Cyber Cafe Nowej Zelandii typowo płaci się około 5 \$/h.

Jeśli ktoś ma własny komputer zwany "laptop" z płytką do bezprzewodowego dostępu do internetu (po angielsku "wireless internet"), wówczas darmowy internet można też znaleźć w wielu powszechnie znanych miejscach. Przykładowo, tylko we Wrocławiu miejsca takie znajdują się m.in: w Rynku, w pobliżu pomnika Chrobrego, w pobliżu Panoramy Racławickiej, na korytarzach Politechniki Wrocławskiej, w hipermarkecie AUCHAN.

Tak więc koleżanki i koledzy. Skoro w Polsce panują aż tak dogodne warunki dla używania emailów i internetu, aż się prosi abyśmy je używali dla własnego dobra, dla dobra naszych umysłów, oraz dla dobra odbiorców naszych emailów.

#C5. Używanie emailów ma niezliczone zalety jakich warto być świadomym:

W miarę jak nasz rocznik zwolna opuszcza grono ludzi zatrudnionych, dobrze jest podjąć gimnastykę aktywności umysłu m.in. poprzez dokonywanie czegoś, co jest wyzwaniem dla naszej wiedzy. Najdoskonalszym zaś sposobem aktywizowania swego umysłu, jest używanie komputerów - np. w celu prowadzenia korespondencji i wymieniania myśli z innymi mieszkańcami naszego kraju i globu. Pozwala to nam m.in. dowiedzieć się dokładniej co słychać u naszych dawnych kolegów z klasy i jak wyglądały ich lata pomiędzy czasem kiedy ich ostatnio widzieliśmy, a dniem dzisiejszym.

Ponadto, używanie emailów zwalnia nas też od konieczności pisywania tradycyjnych listów. Tradycyjnie listy pisane mają wszakże całą masę wad, których NIE mają emaile. Przykładowo, jeśli ja wyślę list z Nowej Zelandii do kogoś w Polsce, wówczas na odpowiedź typowo muszę czekać około pół roku, bowiem tylko na drogę w jedną stronę list taki potrzebuje czasami parę miesięcy. Tymczasem jeśli napiszę i wyślę email, wówczas niezależnie od odległości do adresata, czasami odpowiedź na niego otrzymuję jeszcze zanim zdążę zakończyć dane posiedzenie przy komputerze i zanim wstanę od niego do jakiegoś innego zajęcia. Zdecydowana zaś większość emailów otrzymuje odpowiedź już na następny dzień. Listy trzeba pisać i wysyłać oddzielnie do każdego nadawcy, zaś ten sam email można wysłać naraz do setek odbiorców - co ma duże znaczenie np. w czasie rozsyłania życzeń świątecznych, zdjęć, czy jakichś istotnych zwiadomień. Do listu NIE bardzo daje się załączyć czegoś bez dodatkowej opłaty i bez większej koperty, zaś w załączniku do emaila można wysłać za darmo nawet kilka książek, wideo, czy nawet cały album ze zdjęciami. Warto też pamiętać o kłopotliwości zwykłej korespondencji listowej, która wymaga aby najpierw napisać ów list, potem go wydrukować na drukarce komputerowej (której np. ja NIE mam, a stąd muszę do tego wynajmować odpłatną drukarkę w "Cyber Cafe"), potem trzeba zaadresować kopertę, potem np. ja muszę celowo wybrać się na pocztę i czekać tam w długiej kolejce po znaczek, itd., itp. Nie wspomnę już tutaj że mnie tylko sam znaczek z Nowej Zelandii do Polski kosztuje teraz (tj. w 2010 roku) w NZ 2 dolary i 30 centów, czyli odpowiednik dużej, soczystej kanapki w "McDonald", lub niemal połowy godziny używania komputera w "Cyber Cafe" (w którym to czasie jestem tam w stanie wysłać w świat aż kilkadziesiąt emailów). Z powyższych powodów postanowiłem że powinienem zareklamować każdemu w wieku ponad 60 lat, aby zaczęli używać emaile.

Wszakże będzie to utrzymywało przy sprawności ich umysły, a ponadto dopomoże też wszystkim "otrząsać się" z komputerami i zacząć również np. tzw. "surfing po internecie".

Ja wiem że dla wielu osób z mojego pokolenia - tj. urodzonych w 1946 roku, lub nawet wcześniej, perspektywa posiadania i używania własnego emaila budzi wręcz zgrozę. Jednak wszelkie obawy są tu niepotrzebne, bowiem emaile to ogromnie prosta sprawa, którą nawet dzisiejsze dzieci z łatwością opanowują. Jeśli więc ktoś, np. skończył nasze trudne Liceum, zaś naprawdę chce się nauczyć emailowania, NIE będzie miał z tym żadnej trudności. Potrzebny jest mu tylko "dobry nauczyciel". Kiedy zaś ktoś pozna jak używać email, pozna też jak odwiedzać czyjeś strony internetowe – bowiem znajdowanie ciekawych stron internetowych i "surfowanie po internecie" jest dokładnie takie same jak "załogowanie" się do emaila. Jestem też świadom że osoby z naszego pokolenia mają jakiś rodzaj "psychologicznej niechęci" do używania komputerów i emailów. Niechęć tą można jednak (i trzeba) w sobie przełamać, bowiem komputery i emaile naprawdę mają cały szereg istotnych zalet i dosłownie "przybliżają do nas cały świat". Faktycznie to kiedy pisze się do kogoś emaile, wówczas działa to tak szybko i efektywnie jakby ten ktoś był tylko od nas za ścianą – a nie np. na przeciwnym końcu świata. Ponadto, po opanowaniu umiejętności pisania emailów, można potem przejść do następnego poziomu internetowej komunikacji, tj. do łączności głosowej i wizualnej, np. używając słynny program zwany SKYPE. W ten sposób, z pomocą komputera i internetu za darmo można sobie porozmawiać głosowo z dowolną inną osobą też używającą komputera i internetu, a na dodatek nawet widzieć tego z kim się rozmawia - czyli mieć na swoje usługi jakby bezpłatny system do "tele-konferencji". W końcu panuje błędne wierzenie, że aby używać emaile trzeba mieć swój własny kosztowny komputer i opłacać drogie wynajęcie internetu. To wierzenie też jest nieprawdą, bowiem jak się można przekonać z opisów punktu #C4 tej strony, wcale NIE trzeba mieć własnego komputera - jednak ciągle można mieć własny email, i to darmowy, zaś używać go np. w najbliższej bibliotece, "Klubie Seniora", czy "Cyber Cafe" - i to albo całkiem za darmo, albo też płacąc tam tylko "grosze" za każdą godzinę użycia komputera. Szczerze mówiąc, to ja też wcale NIE mam w domu komputera podłączonego do internetu, a jedynie używam komputery w "Cyber Cafe". (Ja mam w domu tylko stary komputer który jest zbyt stary aby się nadawał do podłączenia do internetu. To na nim dla zaoszczędzenia wydatków na "Cyber Cafe", piszę wszystkie swe emaile i wszystkie strony internetowe jakie redaguję (włączając w to niniejszą stronę). Potem jedynie emaile te i strony "kopiuje" oraz "wklejam" do internetu - co daje się czynić szybko i tanio. W rezultacie do Cyber Cafe wybieram się zwykle tylko raz na tydzień i płacę tam jedynie za godzinę jaką typowo mi zajmuje "wklejenie" i wysłanie wszystkich swych emailów i poaktualizowanych stron.)

Część #D: Imienne informacje i kontakty jakie posiadamy na temat poszczególnych z nas:

#1. Ś.p. Wojciech Bancarzewski:

Niestety, Wojciech odszedł od nas, padając ofiarą zawału. Jego grób znajduje się na Cmentarzu Komunalnym w Miliczu. Wygląd Wojtka w czasach naszej nauki w liceum pokazuje następujące zdjęcie wykonane w 1964 roku (kliknij tu myszą aby zdjęcie to zobaczyć w odrębnym okienku) - Wojtek jest na nim widoczny jak stoi wysunięty najbardziej na prawo naszej grupy, ubrany w długi, jasny, rozpięty sweter, pod którym widać jego kraciastą koszulę.

Fot. #1: To zdjęcie zostało wykonane w 1995 roku. Pokazuje ono następujących uczestników klasy Pani Hass: (tylni rząd - od lewej) Julian Partyka, Ś.p. Wojciech Bancarzewski, Jan Defraftyka, Zbigniew Nęcki; (przedni rząd - od lewej) Krystyna Dyla, Zofia Twarda, Ś.p. Anna Zarakowska, Władysława Urbańska, Danuta Chałupka. Widać więc na nim osoby, jakich zdjęcia obecnie są już trudne do zdobycia. Przykładowo Ś.p. Wojciech Bancarzewski widoczny jest w tylnim rzędzie jako drugi od lewej.

#2. Anna Bielecka (po mężu Bohn):

Losy rzuciły Anne do Poznania, gdzie obecnie mieszka. Można się z nią tam skontaktować pod numerem telefonu (061) 823-70-77. Od 27 czerwca 2010 roku Anna ma również swój własny email o adresie annabohn@wp.pl. Warto więc spróbować czy już na tyle opanowała tajniki jego użycia aby móc się efektywnie nim kontaktować.

Fot. #2: Jest to Oficjalna fotografia zbiorowa uczestników zjazdu z dnia 5 czerwca 2004 roku. Fotografia ta wykonana została przy drzwiach wejściowych do naszego liceum. Ciekawe czy jesteśmy w stanie rozpoznać każdego z tego zdjęcia? Anna (Bielecka) Bohn jest na nim trzecia od lewej w drugim rzędzie (Między Milką i Zuzią stojącymi jako pierwsza i druga osoba od lewej z pierwszego rzędu).

#3. Andrzej Celejowski:

Losy rzuciły Andrzeja do Warszawy, gdzie mieszka w chwili obecnej. Można się z nim tam skontaktować pod numerem telefonu (022) 67-68-651 (po 21) lub (0) 507-360-784. Podobno Andrzej używa też emaila o adresie apaolo@wp.pl - aczkolwiek kiedy w sierpniu 2010 roku testowałem ten adres poprzez wysłanie na niego emaila, wówczas wyglądało że albo Andrzej wogóle nie otrzymał mojego emaila, albo też zagląda do swoich emailów ogromnie rzadko - np. raz na kilka lat, bowiem jak dotychczas NIE otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Fot. #3: Zdjęcie pokazuje (od lewej): Roman Sperzyński, Andrzej Celejowski, Jan Defratyka, Julian Partyka.

#4. Danuta Chałupka (po mężu Curyłło):

Losy rzuciły Danute do Sycowa, gdzie obecnie mieszka. Można się z nią tam skontaktować pod numerem telefonu (062) 785-26-26. Od 5 sierpnia 2010 roku Danuta ma również swój własny email o adresie cudanu@wp.pl. Warto więc spróbować czy na tyle opanowała już tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie z nami kontaktować.

Fot. #4: Danuta (Chałupka) Curyłło (trzecia od lewej). Zdjęcie pokazuje (licząc od lewej): Krystyna Dyla, Zofia Twarda, Danuta Chałupka, Anna Bielecka, Zuzanna Kubiszyn, Władysława Urbańska.

#5. Ś.p. Wiesław Cygal:

Niestety, Wiesław odszedł od nas, padając ofiarą raka. Jego grób znajduje się na cmentarzu komunalnym we Wrocławiu Osobowice.

Fot. #5: Ś.p. Wiesław Cygal (fotografii Wieśka ciągle nam brakuje).

#6. Jan Defratyka:

Zaraz po ukończeniu ogólniaka Janek poszedł do Oficerskiej Szkoły Wojsk Inżynieryjnych we Wrocławiu. Po drugim roku zrezygnował z przyszłości w armii. Po powrocie z wojska ożenił się. Jego żona jest nauczycielką w szkole szpitalnej. Mają syna i dwie córki. Losy rzuciły Janka do Krosnic, gdzie mieszka do dzisiaj. Swoją karierę zawodową związał z budownictwem. W trakcie pracy skończył wieczorowe studia na Politechnice Wrocławskiej, Wydział Budownictwa. Pracował w trzech zakładach budownictwa. Zaczynał od majstra budowy, a skończył na zastępcy dyrektora do spraw technicznych. W 1993 roku odszedł na rentę z powodów zdrowotnych. Pasjonuje się sportem. Przez kilkanaście lat był prezesem Klubu Sportowego w Krośnicach. Można z nim

się tam skontaktować pod numerem telefonu (071) 38-46-234. Od 10 kwietnia 2010 roku Janek ma również swój własny email o adresie jdefratyka@wp.pl. Jest więc możliwość że zdołał go już opanować na tyle efektywnie iż będzie mógł korespondować z pomocą swego emaila (warto to sprawdzić).

Fot. #6: Jan Defratyka (zdjęcie z lipca 2004 roku).

#7. Krystyna Dyla (po mężu Tysiak):

Losy pozwoliły Krystynie pozostać w Miliczu, gdzie mieszka do dzisiaj. Po ukończeniu liceum pracowała początkowo przez 2 lata w TEXIMie, a potem przez następne 37 lat w PREFBECIE. W swojej karierze zawodowej przeszła przez wszystkie stanowiska w księgowości, zaczynając od kasjerki a kończąc na kierownicze działu. W 1984 roku otrzymała srebrną odznakę "Zasłużonej dla Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych". Ma trzy córki. Od 2001 roku na emeryturze. Uwielbia książki, szczególnie Kraszewskiego. Posiada ogromną bibliotekę. Namiętnie rozwiązuje krzyżówki. Można się z nią skontaktować pod numerem telefonu (071) 38-32-356. Od 20 czerwca 2010 roku Krystyna ma również swój własny email o adresie krystysiak@wp.pl (miał być "tykrys@wp.pl", niestety ktoś już używał adresu "tykrys"). Warto więc spróbować czy już na tyle opanowała tajniki emailów aby je móc efektywnie używać.

Fot. #7: Krystyna (Dyla) Tysiak. Zdjęcie wykonane około 1985 roku.

#8. Lidia Eisler (po mężu Patalas):

Losy rzuciły Lidie do Głogowa, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nią tam skontaktować pod numerem telefonu (076) 832-22-11. Od 23 czerwca 2010 roku Lidia ma również swój własny email o adresie patalasli@wp.pl. Warto więc spróbować czy już na tyle opanowała tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie nimi kontaktować.

Fot. #8: Lidia (Eisler) Patalas (druga od prawej). Zdjęcie pokazuje (od lewej): Krystyna Dyla, Krystyna Łakoma, Władysława Urbańska, Lidia Eisler, Zofia Twarda.

#9. Wiesława Hołówko (po mężu Zdobyłak):

Losy pozwoliły Wiesławie w Miliczu, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nią tam skontaktować pod numerem telefonu (071) 38-41-490. Od 9 sierpnia 2010 roku Wiesława ma również swój własny email o adresie wiesylak@wp.pl. Warto więc spróbować czy na tyle opanowała już tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie z nami kontaktować.

Fot. #9: Wiesława (Hołówko) Zdobyłak (pierwsza od lewej). Zdjęcie pokazuje (od lewej): Wiesława Hołówko, Krystyna Łakoma, Krystyna Dyla, Emilia Sozańska, Zofia Twarda.

#10. Anna Kasperowicz (po mężu Pytlińska):

Losy rzuciły Anne do Kalisza, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nią tam skontaktować pod numerem telefonu (062) 753-16-43. Od 8 sierpnia 2010 roku Wiesława ma również swój własny email o adresie pytanna@wp.pl. Warto więc spróbować czy na tyle opanowała już tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie z nami kontaktować.

Fot. #10: Fotografia całej klasy Pani Hass, wykonana w 1964 roku. Na zdjęciu tym widać m.in. Panią Helenę Hass - stoi ona ubrana na ciemno oparta o kłodę drzewa pomiędzy Krystyną Łakomą i Emilią Sozańską (dokładnie nad jej głową widać mnie, tj. Jana Pajaka,

mówiącego coś do Milki Sozańskiej). Anna (Kasperowicz) Pytlińska jest na niej widoczna z lewej górnej strony jak stoi z kwiatkiem w ręku poniżej na prawo Zbigniewa Nęckiego, z Kazimierzem Kuczkowskim powyżej jej głowy zagląającym przez ramię Haliny Mrozek. Najbliżej obiektywu jest przykucnięta Teresa Niedzielska.

#11. Krystyna Kownacka (po mężu Piskozub):

Po ukończeniu liceum Krystyna rozpoczęła pracę w administracji spółdzielczości wiejskiej. Tam też przepracowała następnych niemal 35 lat, przechodząc na emeryturę w 2001 roku. W trakcie kariery zawodowej otrzymała kilka odznaczeń z miejsca pracy. W 1965 roku wyszła za mąż i zamieszkała w Miliczu, w domu w którym mieszka do dzisiaj. Ma jedną córkę, obecnie (w 2004 roku) po studiach pedagogicznych. Córka ta pracuje w byłym liceum swojej mamy jako nauczycielka biologii. Krystyna ma dwie wnuczki i jednego wnuka. Zięć jest lekarzem. Pasją Krystyny są wnuki. Dużo czasu spędza na działce. Lubi zwierzęta i jej maskotką jest ulubiony pies "Misiu". Uwielbia też spacerować po przegrodzie morza, stara się więc spędzać wczasy nad morzem. Jest pełną życia i przy dobrym zdrowiu. Można się z nią skontaktować pod numerem telefonu (071) 38-40-692. Od 12 sierpnia 2010 roku Krystyna ma również swój własny email o adresie kpiskozub@wp.pl. Warto więc spróbować czy na tyle opanowała już tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie z nami kontaktować.

Fot. #11: Krystyna (Kownacka) Piskozub. (Fotografia z 1986 roku - Krystyna wygląda na niej dokładnie tak jak ją pamiętamy z liceum!)

#12. Zuzanna Kubiszyn (po mężu Kulik):

Losy rzuciły Zuzanne do Kalisza, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nią tam skontaktować pod numerem telefonu (062) 753-64-71. Od 18 czerwca 2010 roku Zuzanna ma również swój własny email o adresie zukuza@wp.pl. Warto więc spróbować czy już na tyle opanowała tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie nimi kontaktować.

Fot. #12: Zuzanna (Kubiszyn) Kulik (druga od prawej). Zdjęcie pokazuje (od lewej): Emilia Sozańska, Krystyna Łakoma, Zuzanna Kubiszyn, Władysława Urbańska.

#13. Ś.p. Kazimierz Kuczkowski:

Niestety, Kazik odszedł od nas, mając wypadek ze spadachronem podczas szkolenia w Wyższej Oficerskiej Szkole Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu. Jego grób znajduje się na cmentarzu parafialnym w Barkowie - ok. 8 km na południowy-zachód od Żmigrodu.

Fot. #13: Ś.p. Kazimierz Kuczkowski. Zdjęcie wykonane 5 grudnia 1963 roku.

#14. Krystyna Łakoma (po mężu Ignasiak):

Losy rzuciły Krystynę do Ostrzeszowa, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nią tam skontaktować pod numerem telefonu (062) 730-27-19 lub (0) 602-136-487. Od 28 czerwca 2010 roku Krystyna ma również swój własny email o adresie ignastyna@wp.pl. Warto więc spróbować czy już na tyle opanowała tajniki emailów aby je móc efektywnie używać.

Fot. #14: Krystyna (Łakoma) Ignasiak. Zdjęcie wykonane około 1963 roku.

#15. Maryla Maciejowska (po mężu Łabanowska):

Losy rzuciły Maryle do Ruciane-Nida, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nią tam skontaktować pod numerem telefonu (087) 42-311-03. Od 2 sierpnia 2010 roku Maryla

ma również swój własny email o adresie malabano@wp.pl. Warto więc spróbować czy na tyle opanowała już tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie z nami kontaktować.

Fot. #15: Maryla (Maciejowska) Łabanowska (jej zdjęcia ciągle nam brakuje).

#16. Duklana Miga (po mężu Piskorska):

Losy rzuciły Duklana do Wrocławia, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nią tam skontaktować pod numerem telefonu (071) 375-26-02 (od 8 do 15). Od 13 sierpnia 2010 roku Duklana ma również swój własny email o adresie piskoduk@wp.pl. Warto więc spróbować czy na tyle opanowała już tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie z nami kontaktować.

Fot. #16: Duklana (Miga) Piskorska (druga po lewej). Zdjęcie wykonane 7 września 2002 roku. Pokazuje (w kolejności twarzy od lewej) Krystyna Dyla, Duklana Miga, Zofia Twarda (ta trochę z tyłu), Władysława Urbańska (ta z przodu), Danuta Chałupka, Julian Partyka (widać tylko część twarzy), Pan Brzuszek (ten z wąsami), Hanka Bielecka.

#17. Halina Mrozek:

Losy rzuciły Halinę do Wrocławia, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nią tam skontaktować pod numerem telefonu (071) 357-05-97. Od 6 sierpnia 2010 roku Halina ma również swój własny email o adresie hamroz@wp.pl. Warto więc spróbować czy na tyle opanowała już tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie z nami kontaktować.

Fot. #17: Halina Mrozek (jej zdjęcia ciągle nam brakuje)

#18. Zbigniew Nęcki:

Losy rzuciły Zbyszka do Wrocławia, gdzie mieszka do dzisiaj. Można z nim się tam skontaktować pod numerem telefonu (071) 350-99-95 oraz pod emailem który od dawna używa dla prywatnych kontaktów, a który ma adres zbigniew.necki@interia.pl. Od 16 sierpnia 2010 roku Zbyszek ma również drugi email o adresie zbineck@wp.pl, poprzez który być może też można się z nim kontaktować w sprawach naszej klasy.

Fot. #18: Zbigniew Nęcki (w środku). Zdjęcie pokazuje (od lewej): Roman Sperzyński, Zbigniew Nęcki, Wiesław Sakalus.

#19. Teresa Niedzielska (po mężu Szmachaj):

Losy rzuciły Teresę do Bydgoszczy, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nią tam skontaktować pod numerem telefonu (052) 322-45-55. Od 3 lipca 2010 roku Teresa ma również swój własny email o adresie tasmacha@wp.pl (wymowa nazwy dla 7-go cudu świata, czyli dla tzw. Taj Mahal z Aga w Indiach, po zapisaniu polskimi literami brzmi "tasz macha"). Warto więc spróbować czy Teresa opanowała już na tyle tajniki emailów, aby móc je efektywnie używać.

Fot. #19: Teresa (Niedzielska) Szmachaj (jej zdjęcia ciągle nam brakuje).

#20. Jan Pająk:

Po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego w Miliczu, przez następne 6 lat studiowałem na Wydziale Mechanicznym Politechniki Wrocławskiej. (Na tym samym roku co Roman Sperzyński.) Potem od 1970 aż do 1982 roku pracowałem jako wykładowca na tej samej Politechnice. W 1974 roku obroniłem swój doktorat i uzyskałem oficjalny tytuł

"doktora nauk technicznych". W 1982 roku wyemigrowałem do Nowej Zelandii. Obecnie mieszkam na przedmieściu Wellington, czyli stolicy Nowej Zelandii (przedmieście to nazywa się "Petone"). Aż do 23 września 2005 roku wykładałem tam komputeryzację na miejscowej Politechnice, lokalnie nazywanej "Weltec" - skrót of "Wellington Institute of Technology". Jednak od czasu utraty owej pracy pozostaję tam bezrobotnym. Na dodatek tamtejsze prawa są tak sformułowane że zgodnie z nimi NIE należy mi się zasiłek dla bezrobotnych - całe więc szczęście że kiedy pracowałem zaoszczędziłem sobie trochę grosza. Wyjątkiem w tym moim długim bezzasiłkowym bezrobociu był jednak 2007 rok - kiedy zostałem zaproszony do Korei Południowej na stanowisko Profesora Nauk Komputerowych uniwersytetu w Suwon. (Wykaz przedmiotów jakie m.in. tam wykładałem zawarty jest na stronie pajak.fateback.com - powtórzonej również pod adresem pajak.6te.net.) Tak więc całe swoje życie zawodowe byłem naukowcem. Za swoje największe osiągnięcia naukowe uważam (1) opracowanie teorii wszyskiego zwanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji (KDG), oraz (2) filozofii zwanej totalizm, a także (3) wynalezienie rodziny dyskoidalnych statków międzygwiazdnych zwanych magnokraftami - szczególnie zaś wynalezienie (4) zasady działania "magnokraftu trzeciej generacji" który po zbudowaniu będzie działał jako wehikuł czasu (w ten sposób pozwalając ludziom na osiąganie nieśmiertelności poprzez powtarzalne cofanie ich do lat młodości za każdym razem kiedy dożyją oni do wieku starczego). Za istotne swe osiągnięcie życiowe uważam również (5) wynalezienie i rozpracowanie zasady działania tzw. komory oscylacyjnej (która po zbudowaniu będzie urządzeniem napędowym dla "magnokraftów" i dla "wehikułów czasu"), oraz (6) wynalezienie i rozpracowanie tzw. ogniwa telekinetycznego (które po zbudowaniu będzie generowało elektryczność na zasadzie będącej odwrotnością zjawiska tarcia - znaczy tak jak tarcie spontanicznie konsumuje ruch i generuje ciepło, owa odwrotność tarcia spontanicznie konsumuje ciepło otoczenia a generuje ruch). (W sprawie badań rozwojowych nad "magnokraftem" i nad "komorą oscylacyjną" w 1986 roku zwróciłem się nawet oficjalnie do Instytutu Technologii Budowy Maszyn Politechniki Wrocławskiej aby pozwolili mi otworzyć przewód habilitacyjny i napisać rozprawę habilitacyjną na temat tych napędów przyszłości - po szczegóły patrz punkt #22 w podrozdziale A4 z tomu 1 monografii [1/4].) Z kolei zdarzeniem które najbardziej mnie cieszy, było (7) ustalenie że poprawność zasady działania mojego "wehikułu czasu" została potwierdzona w Biblii (patrz tam wersety 20:1-11 z Drugiej Księgi Królewskiej - naukowo zinterpretowane w punkcie #D5 ze strony immortality_pl.htm). Podczas formułowania swojej filozofii totalizmu odkryłem także, że za każdym upartym trendem i zdarzeniem losowym ukrywa się jakieś prawo moralne lub zjawisko moralne. Stąd owe wysoce spektakularne trendy nieustannych wzlotów i upadków jakie w życiu doświadczałem, zainspirowały mnie do odkrycia i opisania tzw. "pola moralnego" (tj. niewidzialnego pola podobnego do grawitacji które oddziałuje siłowo na każde nasze działanie, w tym i na proces myślenia, podejmowania decyzji, mówienia prawdy, itp.). Jedno z następstw działania "pola moralnego" jakie odkryłem, nazwane (8) "przekleństwo wynalazców", opisane jest m.in. w punkcie #G3 strony eco_cars_pl.htm. Moje burzliwe losy życiowe pełne odkryć, wynalazków, wzlotów, oraz upadków, w skrócie są podsumowane na stronie o nazwie jan_pajak_pl.htm, zaś bardziej dokładnie opisane zostały na stronie z pełną notką biograficzną o nazwie pajak_jan.htm. Przy końcu strony pajak_jan.htm podane są też moje najaktualniejsze dane kontaktowe. Oto owe dane kontaktowe jakie były ważne w czasach najnowszej aktualizacji niniejszej strony (odnotuj jednak że jeśli minie sporo czasu od owej aktualizacji, wówczas dane te mogą utracić swą ważność). Email: janpajak@gmail.com, oraz jpajak@poczta.wp.pl. Adres pocztowy: Dr Jan Pajak, P.O. Box 33250, 5046 Petone, New Zealand. Telefon domowy: (00) 64-4 5694820, gdzie (00) to wyjście na centralę międzynarodową (w niektórych krajach może być inne niż 00), 64 to numer Nowej Zelandii, 4 to numer Wellington (w obrębie Nowej Zelandii trzeba go wykręcać jako 04 oraz trzeba pominąć numery które go poprzedzają), zaś 5694820 to numer telefonu do naszego mini-mieszkania w Wellington. Odnotuj przy tym, że czas w Nowej Zelandii jest około 12 godzin wcześniejszy niż czas w Polsce, oraz że moja żona nie zna języka polskiego.

Fot. #20 (Z1 z [1/5]): Jan Pająk. Fotografia dla dowodu osobistego wykonana w dniu 19 lipca 2004 roku. Oddaje ona relatywnie dobrze mój obecny wygląd.

Fot. #20(b) (M2 z [10]): Jest to jedna z dwóch fotografii niektórych uczestników naszej klasy, wykonanych podczas spotkania prywatnego jakie miało miejsce w Miliczu w dniu 5 lipca 2004 roku. Obie owe fotografie są pokazane na stronie sakalus_wieslaw.htm. Fotografia ta wykonana została w domu Władysławy (Urbańskiej) Ograbek, w trakcie czytania wierszy Wiesława Sakalusa. Na zdjęciu tym ujęci zostali (licząc od lewej ku prawej): Emilia Sozańska (tu widoczna z profila), Julian Partyka (tylko częściowo widoczny nad głową Emilii), Władysława (Urbańska) Ograbek, Sue Dawood (żona Jana Pajaka), Jan Pająk (ten właśnie zapisujący sobie jakąś informację), Wiesław Sakalus (czytający wiersze), Krystyna (Dyla) Tysiak (uważnie słuchająca).

#21. Julian Partyka:

Losy pozwoliły Julianowi pozostać w Miliczu, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nim tam skontaktować pod numerem telefonu (071) 38-41-305. Od 15 sierpnia 2010 roku Julian ma również swój własny email o adresie juparty@wp.pl. Warto więc spróbować czy na tyle opanował już tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie z nami kontaktować.

Fot. #21: Julian Partyka (jego indywidualnego zdjęcia ciągle nam brakuje).

#22. Irena Płócienniczak (po mężu Ryś):

Losy rzuciły Irene do Jutrosina, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nią tam skontaktować pod numerem telefonu (071) 38-41-220. Od 24 lipca 2010 roku Irena ma również swój własny email o adresie rysena@wp.pl. Warto więc spróbować czy na tyle opanowała już tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie z nami kontaktować.

Fot. #22: Irena (Płócienniczak) Ryś (jej zdjęcia ciągle nam brakuje).

#23. Wiesław Sakalus:

Losy rzuciły Wieśka do Brzegu Dolnego, gdzie mieszka do dzisiaj. Można z nim się tam skontaktować pod numerem telefonu (071) 319 92 54. Kiedyś używał też dwóch grzecznościowych emaili o adresach patronat@hoga.pl (poprzez ten email kontaktowałem się z nim jeszcze w 2005 roku), oraz klasahaas@poczta.fm (ten adres Wiesiek używał w 2003 roku). Niestety, kiedy w 2010 roku testowałem oba te emaile, wówczas się okazało że adres "klasahaas@poczta.fm" już wogóle NIE istnieje, zaś adres "patronat@hoga.pl" wprawdzie ciągle istnieje jednak Wiesiek albo NIE otrzymuje albo też NIE odbiera emailów jakie na adres ten przychodzą. Od 17 sierpnia 2010 roku Wiesław ma również swój własny (nowy) email o adresie wiesaka@wp.pl. Można więc próbować czy na tyle opanował już tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie z nami kontaktować z pomocą tego nowego adresu.

Uwadze wszystkich polecam wiersze Wieśka, które można poczytać po kliknięciu na jego nazwisko, czyli po otwarciu jego osobistej strony internetowej.

Fot. #23: Wiesław Sakalus (trzeci od prawej). Zdjęcie pokazuje (od lewej): Krystyna Łakoma (widoczna w połowie), Roman Sperzyński, Andrzej Celejowski, Wiesław Sakalus, Jan Defratyka, Julian Partyka.

#24. Irena Sawczenko (po mężu Słotwińska):

Losy rzuciły Irenę do Trzebnicy, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nią tam

kontaktować za pośrednictwem numeru telefonu (071) 312-01-32. Od 14 sierpnia 2010 roku Irena ma również swój własny email o adresie slotwire@wp.pl. Warto więc spróbować czy na tyle opanowała już tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie z nami kontaktować.

Fot. #24: Irena (Sawczenko) Słotwińska (w środku, zwrócona prawym profilem). Zdjęcie pokazuje (począwszy od Ireny - zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara): Hanna Zarakowska, Krystyna Dyla, Danuta Chałupka (słabo widoczna), Wojtek Bancarzewski (odwrócony tyłem - widać tylko tył głowy), żona Wojtka Bancarzewskiego, Władysława Urbańska (siedzi tuż przy Irenie).

#25. Krystyna Skomra (po mężu Cisowska):

Losy rzuciły Krystynę do Trzebnicy, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nią tam skontaktować pod numerem telefonu (071) 387-11-75. Od 27 lipca 2010 roku Krystyna ma również swój własny email o adresie ciskry@wp.pl. Wiem też że z całą pewnością ma też już dobrze opanowaną umiejętność pisania, wysyłania i odbierania emailów, bowiem we wrześniu 2010 roku miałem przyjemność otrzymania od niej emaila. Warto więc i należy z nią się kontaktować za pośrednictwem szybkich i efektywnych emailów.

Fot. #25: Krystyna (Skomra) Cisowska. Zdjęcie wykonane w czerwcu 1963 roku.

#26. Ś.p. Zenon Skowroński:

Niestety, Zenek odszedł już od nas. Jego grób znajduje się na cmentarzu komunalnym w Milliczu.

Fot. #26: Ś.p. Zenon Skowroński (jego indywidualnego zdjęcia ciągle nam brakuje).

#27. Emilia Sozańska:

Mila urodziła się w Żmigrodzie w dniu 7 lipca 1946 roku. Do dzisiaj też mieszka w swoim rodzinnym mieście. Po ukończeniu liceum rozpoczęła swoją karierę zawodową pracą w Szkole Podstawowej w Bychowie. Po roku pracy przyszła na świat jej córka. W dwa lata później urodził się jej syn. W roku 1970 rozpoczęła pracę w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Żmigrodzie gdzie pracowała przez następne 8 lat. Wówczas też rozpoczęła studia na Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu, Wydział Rekreacji i Turystyki, jednak musiała je przerwać po 3-cim roku z powodów rodzinnych. Następnym krokiem w jej karierze zawodowej było rozpoczęcie pracy w szkolnictwie w 1978 roku, początkowo w administracji, później jako nauczycielka wychowania fizycznego. W międzyczasie ukończyła Studium Nauczycielskie o kierunku wychowanie fizyczne. W szkolnictwie pracowała aż do przejścia na emeryturę w 2002 roku. Przez szereg lat bezskutecznie leczyła wówczas zwyrodnienie lewego biodra. W 1995 roku zmuszona była poddać się wymianie stawu biodrowego. Pomimo tych kłopotów zdrowotnych do dziś pozostaje aktywna i sprawna fizycznie, ciągle działając na arenie sportowej. Faktycznie też sport do dzisiaj jest jedną z pasji Emilii. Emilia działa w Radzie Powiatowej LZS w Trzebnicy oraz w Radzie Miejsko-Gminnej LZS w Żmigrodzie. Inną jej pasją jest uprawianie działki. Uwielbia ona też życie własnych kreacji. Praktycznie wszystko co ubiera jest jej własnego wykonania. Ma czworo wnucząt. Jej oczkiem w głowie jest najstarszy wnuk o umyśle ścisłym i zainteresowaniach w matematyce, fizyce i chemii. Można się z nią skontaktować przez numer telefonu (071) 385-33-63. Od 12 kwietnia 2010 roku Emilia ma również swój własny email o adresie esozanska@wp.pl. Jak narazie emaila tego używa głównie dzięki wydatnej pomocy owego wnuka pasjonującego się komputerami. Niemniej chociaż wolno, jej opanowanie sztuki pisania, wysyłania i odbierania emailów nieustannie wzrasta. Ona sama szacuje że do końca zimy z 2010/2011 roku powinna stać się już biegłą i

samodzielna w sztuce emailowania. Warto więc promować jej wysiłki opanowania techniki emailowej poprzez wysyłanie do niej emaili również i od siebie, oraz poprzez utrzymywanie z nią stałego kontaktu emailowego.

Fot. #27: Emilia Sozańska (fotografia z 2004 roku).

Fot. #27 (b): Emilia Sozańska (pierwsza od lewej). Zdjęcie pokazuje (od lewej): Emilia Sozańska, Krystyna Łakoma, Andrzej Celejowski, Zuzanna Kubiszyn.

#28. Ś.p. Roman Sperzyński:

Po ukończeniu naszego liceum Roman studiował na Politechnice Wrocławskiej, będąc na tym samym co ja roku Wydziału Mechnicznego. Politechnikę ukończył w 1970 roku, otrzymując tytuły "magister inżynier".

Po ukończeniu Politechniki Wrocławskiej losy rzuciły Romana Sperzyńskiego do Poznania, gdzie mieszkał i pracował aż do 2011 roku. Można tam z nim się było kontaktować pod numerem telefonu służbowego (061) 855-24-92 wew. 4 (od 8 do 17) lub pod emailem biuro@rowitex.poznan.pl. Niestety, z żalem przekazuję tu informację że w dniu 22 kwietnia 2011 roku Roman Sperzyński zmarł. Jego pogrzeb odbył się 28 kwietnia 2011 roku w kościele pw. św. Antoniego Padewskiego na Starofece.

Fot. #28: Roman Sperzyński (jego indywidualnego zdjęcia ciagle nam brakuje).

#29. Zofia Twarda (po mężu Lorent):

Losy rzuciły Zofię do Zgorzelca, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nią tam skontaktować pod numerem telefonu (075) 77-58-778. Od 29 lipca 2010 roku Zofia ma również swój własny email o adresie zolore@wp.pl. Warto więc spróbować czy na tyle opanowała już tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie z nami kontaktować.

Fot. #29: Zofia (Twarda) Lorent (druga od lewej). Zdjęcie pokazuje (od lewej): Danuta Chałupka, Zofia Twarda, Julian Partyka, Zuzanna Kubiszyn, Roman Sperzyński.

#30. Władysława Urbańska (po mężu Ograbek):

Losy pozwoliły Dziuni pozostać w Miliczu, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nią tam skontaktować pod numerem telefonu (071) 38-40-812 lub (0) 695-775-125. Od 9 sierpnia 2010 roku Dziunia ma również swój własny email o adresie wladybek@wp.pl. Warto więc spróbować czy na tyle opanowała już tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie z nami kontaktować.

Fot. #30. Władysława (Urbańska) Ograbek (ta w środku pierwszego rzędu, pomiędzy Zbyszkciem i Wieśkiem). Zdjęcie pokazuje: (pierwszy rząd od lewej): Wiesław Sakałus, Władysława Urbańska, Zbigniew Nęcki, Roman Sperzyński; (drugi i trzeci rząd w kolejności twarzy od lewej): Zofia Twarda, Andrzej Celejowski (ten daleko w tyle), Miga Dukłana, Pan Brzuszek (ten z wąsem), Krystyna Łakoma (wystaje spoza Danki), Danuta Chałupka, Emilia Sozańska, Krystyna Dyla (w okularach), Anna Bielecka, Julian Partyka, Jan Defratyka (w niebieskiej koszuli), Lidia Eisler (w czerwonej bluzce).

#31. Ś.p. Hanna Zarakowska:

Niestety, Hania odeszła już od nas, padając ofiarą raka piersi. Faktycznie to jej całe życie było ogromnie tragiczne. Przykładowo jej 10-letnia córka na jej oczach wpadła pod koła autobusu i umarła. (Stało się to w drodze powrotnej córki z kościoła wkrótce po

pierwszej komunii świętej, kiedy to córka dostrzegła matkę po drugiej stronie ulicy i chciała do niej podbiec.) Grób Hani (a także jej córki) znajduje się na cmentarzu parafialnym w Żmigrodzie.

Fot. #31: Fotografia dziewczyn z klasy Pani Hass, wykonana w 1964 roku. Na zdjęciu tym widoczne też są te dziewczyny, których zdjęcia obecnie nie są już możliwe do zdobycia. Przykładowo, z samego przodu siedzi Ś.p. Hanna Zarakowska. Inne osoby ciągle wymagają opisanie. Dla przykładu druga z lewej siedzi Mirosława Osiecka - obecnie Demianiuk. (Tu chciałbym podziękować Pani Lucynie Kokot-Folcik, email: L.Folcik@int.pan.wroc.pl, z klasy o jeden rok młodszej od nas, za pomoc w zidentyfikowaniu tej naszej koleżanki.)

#32. Irena Ciesielska:

Losy pozwoliły Irenie pozostać w Miliczu, gdzie mieszka do dzisiaj. Jej pasją są zwierzęta. Można się z nią skontaktować pod numerem telefonu (071) 38-41-220. Od 18 sierpnia 2010 roku Irena ma również swój własny email o adresie ciesirena@wp.pl. Warto więc spróbować czy na tyle opanowała już tajniki użycia emailów aby móc się efektywnie z nami kontaktować.

Fot. #32: Irena Ciesielska (jej indywidualnego zdjęcia ciągle nam brakuje).

* * *

Aktualizujemy tą stronę. Apeluję też do każdej koleżanki i każdego kolegi o dosyłanie mi dalszych kontaktów emailowych do tych kolegów i koleżanek z naszego grona, których namiarów ciągle nam brakuje (moje aktualne adresy emailowe wyjaśnione są w punkcie #20 powyżej). Proszę też o weryfikację, aktualizowanie i poszerzanie własnych danych kontaktowych, opisów, oraz ilustracji, udostępnionych na stronach: niniejszej oraz [lo.htm](#) - Nasza Klasa.

Część #E: Filozoficzne uwagi:

#E1. Mamy wiele powodów dla dumy:

Jeśli dobrze się zastanowić to w związku z czasami w jakich się urodziliśmy i w jakich uczęszczaliśmy do szkoły oraz do liceum mamy wiele powodów do dumy. Poniżej wyliczę najważniejsze z nich:

1. Nasza młodość wypadła w wspaniałych czasach których nie daje się porównywać z niniejszymi.
2. Świat był wówczas bardziej optymistyczny niż obecnie.
3. Ludzie w czasach naszej młodości przestrzegali zasad moralnych. To w nas wyrobiło silny respekt do etyki i moralności.

#E2. Dowcip na czasie:

Ci z nas co często używają emailów i internetu, odnotowali zapewne że dzięki nim po świecie krążą ostatnio najróżniejsze zabawne historyjki i dowcipy. Jedna z nich szczególnie zwróciła moją uwagę, ponieważ jest wysoce na czasie dla naszej sytuacji i wieku. Owa zabawna historyjka ma tytuł "A senior moment" - co można tłumaczyć jako "Góra staruszkowie". Przytaczam ją poniżej dla pośmiania się przez tych z nas co znają język angielski. Oto ona:

A very self-important fresh college student attending a game of rugby, took it upon himself to explain to a senior citizen sitting next to him why it was impossible for the older generation to understand his generation. "You grew up in a different world, actually an almost primitive one," the student said, loud enough for many of those nearby to hear. "The young people of today grew up with television, jet aeroplanes, space travel, man walking on

the moon, our spaceships have visited Mars. We have nuclear energy, electric and hydrogen cars, computers with light-speed processing and..... ", pausing to take another gulp of beer. The Senior took advantage of the break in the student's litany and said, "You're right, son. We didn't have those things when we were young..... so..... we invented them. Now, you arrogant little sh*t, what are you doing for the next generation?" The applause was resounding...

Część #F: Informacje końcowe tej strony:

#F1. Copyrights © 2011 by dr inż. Jan Pająk - wszelkie prawa zastrzeżone:

Copyrights © 2011 by Dr Jan Pająk. Wszelkie prawa zastrzeżone. Autorstwo i prawa copyrights dla opisów z części #D tej strony są zastrzeżone na rzecz każdej osoby do której nazwiska dane opisy zostały dołączone. Z kolei autorstwo i prawa copyrights dla opisów z pozostałych części tej strony (poza ową częścią #D) są zastrzeżone na rzecz dra inż. Jana Pająk - redagującego całość tej strony.

#F2. "Disclaimer" redaktora tej strony:

Odnotuj że narazie niniejsza strona ma tylko jednego głównego redaktora, którym jest dr inż. Jan Pająk. Stąd większość jej tekstu została przygotowana i jest aktualizowana właśnie przez niego. Wkład innych wymienionych tutaj absolwentów klasy Pani Hass rocznika 1964 skupia się głównie na sformułowaniu jej części #D. Dlatego poglądy wyrażone na tej stronie w częściach innych niż owa część #D, niekoniecznie są podzielane przez wszystkich wymienianych tutaj absolwentów klasy Pani Hass rocznika 1964. Czyli niektóre zjawiska i sytuacje komentowane w innych niż owa #D częściach tej strony zapewne mogą być przez część z nich interpretowane na odmienne od zaprezentowanych tutaj sposobów.

#F3. Zasady przyjęte w zapisie tej strony:

Jak dla wszystkiego co jest nowo-tworzone w naszym świecie, podczas sporządzania tej strony musiałem przyjąć określone zasady jej zapisu. Poniżej postaram się więc wyjaśnić jakie te zasady są:

A. Własna strona autobiograficzna. Dla tych uczestników naszej klasy, którzy zechcą posiadać własną stronę internetową prezentującą jakieś informacje jakie są gotowi dzielić z innymi, przykładowo ich dokładniejsze życiorysy, lub zdjęcia, ja o chotniczo przygotuję dla takiej strony uruchamiane tutaj z "Menu 1". Te osoby, którym przygotowałem już takie odrębne strony, w "Menu 1" wyróżnione zostały białym kolorem liter, zaś w tekście pisanym wyróżnione zostały zielonym kolorem internetowych linków.

B. Aktualne zdjęcia. Te osoby, dla których dostępne jest już choćby jedno nowe zdjęcie (tj. wykonane relatywnie niedawno) jakie może zostać zaprezentowane na odrębnej zadekowanej im stronie, w "Menu 1" wyróżnione zostały białym kolorem liter.

Warto tutaj jednak odnotować, że dawny wygląd większości z nas uwieczniony został na historycznych już zdjęciach pokazanych na stronie Liceum Ogólnokształcące w Miliczu dostępnej poprzez kliknięcie na nią np. w "Menu 1".

C. Tytuły. Dla informacji postaram się przytaczać oficjalne tytuły lub stopnie dla tych osób z naszej klasy, którym jakieś tytuły oficjalnie przyznano. Oczywiście warunkiem przytoczenia owych tytułów czy stopni na niniejszej stronie jest, że ja zdołałem jakos się o nich dowiedzieć.

D. Nazwiska panieńskie. Dla kobiet z naszej klasy w tekście używam ich obu nazwisk, jedno z nich pisząc w nawiasie. Jeśli w nawiasie podaje ich byłe nazwisko panienskie, wówczas je przytaczam już bez dalszych objasnień (nazwisko to wszakże pamiętamy z liceum). Jeśli jednak w nawiasie przytaczam ich obecne nazwisko, wówczas też zaznaczam w tym samym nawiasie że jest to ich nazwisko po mężu. Natomiast w "Menu 1" dla skrótu używam jedynie ich nazwisk panieńskich.

E. Prywatność. Proszę też odnotować, że z uwagi na "Privacy Act" trochę się

boję przytaczać na tej stronie adresów uczestników naszej klasy, jeśli nie otrzymałem od nich wyraźnego zezwolenia aby ich adresy otwarcie podać. Jednak w wielu przypadkach ja mam już te adresy i dla uczestników naszej klasy w każdym momencie czasu jestem w stanie udostępnić adres ich byłych przyjaciół i kolegów z klasy. Dlatego jeśli ktoś chce otrzymać czyjś adres, proszę do mnie napisać email, a ja natychmiast go przyślę. Należy jednak odnotować, że ów adres podaję poniżej we wszystkich tych wypadkach, kiedy jest on jedynym kontaktem jakim dysponuję do danego absolwenta naszej klasy. Natomiast numery telefonu i emaile przytaczam bez ograniczeń, ponieważ ich otwarte udostępnianie kontuuje tradycję książek telefonicznych i list adresowych, stąd praktycznie nie narusza zbyttno niczyjej prywatności.

#F4. Polskie literki:

W tekście tej strony starałem się używać polskich literek. Szybko jednak odnotowałem, że nie każdy serwer poprawnie koduje i przesyła owe litery (np. serwer www.nrg.to deformuje polskie litery i uniemożliwia ich odtworzenie nawet na poprawnie nastawionych komputerach z Polski jakie używają systemu operacyjnego "Windows XP"). Ponadto komputery zdają się wyświetlać poprawnie polskie literki tylko jeśli albo używają systemu operacyjnego "Windows XP", lub jeśli ich Internet Explorer został na nie ustawiony. (Aby ustawić swoją przeglądarkę "Internet Explorer" na poprawne odczytywanie polskich liter, trzeba kliknąć na pozycję w jej menu oznaczoną "Widok" (po angielsku "View"), zaś potem na opcję oznaczoną "Kodowanie" (po angielsku "Encoding"). Kiedy zaś otworzy się submenu "Dalsze" ("More") z odmiennymi alfabetami, wybrać trzeba i włączyć kliknięciem alfabet oznaczony "Srodkowoeuropejski (Windows)" (po angielsku "Central European (Windows)").) Gdyby jednak i takie ustawianie nie pomogło, wówczas na wszelki wypadek informuję, że jeśli u kogoś w miejscu literek na ekranie pojawiają się jakieś dziwne znaczki, to zapewne oznacza, że jego komputer nie wyświetla prawidłowo polskich literek. W takim przypadku dobrze jest wiedzieć, że wyświetlane znaczki oznaczają co następuje:

"ą" = "a" z ogonkiem, "Ą" = "A" z ogonkiem,
 "ć" = "c" z kreską, "Ć" = "C" z kreską,
 "ę" = "e" z ogonkiem, "Ę" = "E" z ogonkiem,
 "ł" = "l" przekreślone, "Ł" = "L" przekreślone,
 "ń" = "n" z kreską, "Ń" = "N" z kreską,
 "ó" = "o" z kreską, "Ó" = "O" z kreską,
 "ś" = "s" z kreską, "Ś" = "S" z kreską,
 "ź" = "z" z kreską, "Ź" = "Z" z kreską,
 "ż" = "z" z kropką, "Ż" = "Z" z kropką.

Oto wykaz polskich literek jakie mogą wystąpić w moich tekstach:

ą ć ę ł ń ó ś ź ż (małe polskie literki)

a c e l n o s z z (łacińskie i angielskie odpowiedniki małych polskich literek)

Ą Ć Ę Ł Ń Ó Ś Ź Ż (duże polskie litery)

A C E L N O S X Z (łacińskie i angielskie odpowiedniki dużych polskich liter).

Powinienem tutaj dodać, że po odnotowaniu mizernych efektów moich eksperymentów z użyciem polskich literek, wcale teraz się nie spieszę z przeredagowaniem na polskie literki tej części totaliztycznych stron które oryginalnie pisane były alfabetem angielskim (łacińskim).

#F5. Osobista kopia tej strony trzymana we własnym komputerze:

Jeśli ktos zechece często zaglądać do niniejszej witryny internetowej, wówczas dobrze jest skopiować ją całą do swojego własnego komputera. Wszakże w przypadku posiadania takiej prywatnej kopii tej witryny, nie jest się już zależnym od dostępu do internetu w przypadku każdej chęci ponownego zaglądnięcia do tej strony lub oglądnięcia którejs z pokazanych na niej ilustracji. Nie jest też już wówczas konieczne znoszenie owego potopu najróżniejszych banerów reklamowych, jakimi strony internetowe utrzymywane na darmowych serwerach są nieustannie zalewane. Na przekór że z pozoru może ono wydawać się trudne, faktycznie sporządzanie takiej własnej repliki niniejszej

witryny internetowej jest relatywnie proste. Dla tych więc którzy zechcą sporządzić sobie taką replikę w swoim własnym komputerze, niniejszym opisuję krok po kroku, jak tego dokonać. Oto owa instrukcja postępowania:

#G0. Gotowa replika źródłowa? (i to bez banerów). Jedna mała informacja, zanim w punktach #G1 do #G8 poniżej przytoczę dokładną procedurę sporządzania sobie samemu źródłowej repliki niniejszej strony. Mianowicie, pod niektórymi adresami podanymi w "Menu 3", taka źródłowa replika niniejszej strony, wraz z wszystkimi jej folderami, plikami, ilustracjami, itp., a na dodatek pozbawiona banerów reklamowych, czeka w formacie ZIP, gotowa do załadowania do Twojego własnego komputera. Wszystko co musisz uczynić aby ją sobie załadować, to w "Menu 1" kliknąć na pozycję "źródłowa replika tej strony". Spróbuj to uczynić, bowiem taka źródłowa replika być może jest nawet dostępna pod niniejszym adresem. Kiedy zaś taka replika w ZIP załaduje się już do Twojego komputera, jedyne co należy uczynić to UNZIPować ją na Twój dysk twardy. Po UNZIPowaniu uformuje ona odrębny folder, w którym znajdziesz nowy folder o nazwie "a_pajak", zaś w owym nowym folderze będą zawarte gotowe do użycia wszystkie pliki, podfoldery i ilustracje, wymagane dla uruchamiania i oglądania niniejszej strony. (W przypadku jeśli masz już na swoim dysku twardym folder zwany "c:\a_pajak" z innymi moimi stronami źródłowymi, wystarczy abyś z owego nowego foldera "a_pajak" poprzeczował wszystkie pliki i podfoldery do posiadanego już wcześniej foldera "c:\a_pajak".) Po tej informacji, wróćmy teraz do owej procedury przygotowania przez Ciebie samego źródłowej repliki niniejszej strony. Oto ona:

#G1. Stworzyć nowy folder (zbiór) na dysku twardym "c:". Folder ten będzie zawierał niniejszą stronę (a ewentualnie także dowolne inne moje strony). W tym celu wystarczy uruchomić "Windows Explorer", oraz stworzyć nowy folder na swoim dysku twardym. Dobrze jest folder ten nazwać w taki sposób, aby wyraźnie odznaczał się od innych typowych folderów z owego dysku twardego, np. nazywając go "a_pajak" (lub "archive_pajak"). Folder ten będzie później używany do przechowywania wszystkich tych stron internetowych z niniejszej witryny, które ktoś zechce zawsze mieć pod ręką.

#G2. Stworzyć nowe pod-foldery (podzbiory) we wnętrzu foldera "a_pajak" (lub "archive_pajak"). Owe pod-foldery będą zawierały poszczególne grupy zdjęć ukazujących za pośrednictwem niniejszej strony internetowej, a należących do poszczególnych kolegów. Generalna zasada tworzenia owych pod-folderów jest, że otrzymują one nazwy zapisane wyłącznie małymi literkami łacinskimi, jakie składają się z nazwiska, kreski podkreślającej, imienia osoby której zdjęcia pod-foldery te przechowują (odnotuj że w nazwach tych pod-folderów nie używa się polskich liter). Przykładowo, dla przechowywania moich zdjęć utworzyć trzeba podfolder `pajak_jan`, z kolei dla przechowywania zdjęć Wiesława Sakalusa utworzyć trzeba podfolder nazywający się `sakalus_wieslaw`. Ponadto utworzyć trzeba kilka "systemowych" podfolderów, które przechowują wspólne zdjęcia. Oto wykaz nazw podfolderów (podzbiorów) "systemowych" wykorzystywanych przez niniejszą witrynę internetową:

foto - zawiera on zdjęcia kwiatków pokazywanych w miejscach gdzie później mają być włączone jakies konkretne zdjęcia, zdjęcia uczestników naszej klasy pokazane na niniejszej stronie głównej, a także zdjęcie "księgi uwag".

W celu stworzenia tych pod-folderów wystarczy uruchomić "Windows Explorer", oraz wygenerować nim wymagane pod-foldery we wnętrzu foldera "a_pajak" (lub "archive_pajak").

#G3. Zachować kod źródłowy tej strony w swoim folderze "a_pajak". W tym celu trzeba "kliknąć prawym przyciskiem" swojej myszy, kiedy się wskazuje na jakikolwiek obszar zadrukowany tej strony (np. wskazuje tutaj). Małe menu powinno się pojawić, które ma pozycję "View Source". Kliknij na tą pozycję, tak że kod źródłowy tej strony pojawi się w edytorze tekstu nazywanym "Notepad". Kliknij na "File" menu w tym "Notepad" i wybierz opcję "Save As...". Zachowaj kod źródłowy ze swojego "Notepad" używając nazwy pliku "index.htm" jako "File name" tego kodu, zaś podając folder "c:\a_pajak" jako "Save in" miejsce dla zachowania tego kodu. Odnotuj że strony wywoływane z niniejszej strony należy zachowywać pod nieco innymi nazwami, mianowicie: "projekt_zyciorysu.htm" dla strony Objaśnienia, "lo.htm" dla strony Nasze Liceum, "mozajski.htm" dla strony Aleksander

Mozajski, "milicz.htm" dla strony Milicz, oraz "wszewilki.htm" dla strony Wszewilki. Aby zachować tekst przesuwanego "Menu 2", koniecznym jest najpierw jego oddzielne wyświetlenie poprzez kliknięcie na symbol "menu.htm" widniejący tuż pod nim. Dopiero potem menu to można zachować (w sposób identyczny jak wszystkie strony opisane powyżej) pod nazwą "menu.htm".

#G4. Zachować ilustracje. Kliknij prawym przyciskiem myszy na każdą ilustrację z tej strony lub ze stron z nią związanych, potem wybierz opcję "Save Picture As". Ilustracje ze stron z notkami autobiograficznymi zachowaj w pod-folderze osobno jakich zdjęć te dotyczą. Natomiast zdjęcia kwiatków i Wrocławia zachowaj w pod-folderach "kwiatki" oraz "wroclaw". (Odnótuż ze każdą ilustracją wskazuje u dołu ekranu sub-folder w jakim musi być zachowana.)

#G5. Wyświetlić tę stronę w swoim komputerze. Po zachowaniu tej strony, daje się ona wyświetlić w dowolnej chwili we własnym komputerze, poprzez zwykłe wycelowanie na plik "index.htm" (tj. wycelowanie na kod źródłowy tej strony) używając w tym celu "Windows Explorer", oraz następne podwójne kliknięcie na owym pliku. (Można też ją wyświetlić poprzez wycelowanie na nie "Windows Explorer" i przycisnięcie klawisza "Enter".) Strony związane z niniejszą hiperlinkami, można wyświetlać albo poprzez kliknięcie na owe hiperlinki kiedy ta strona jest pokazana na ekranie komputera, albo też poprzez kliknięcie z "Windows Explorer" odpowiednio na "lo.htm", "zyciorysy.htm", lub "wroclaw.htm".

#G6. (Warunkowo) pusuwać banery. Darmowe serwery z jakich ja korzystam, zwykle wprowadzają kody banerów do kodu źródłowego stron jakie na nich są wystawiane (często kody tych banerów zawierają też dokuczliwe błędy jakie starają się utrudniać oglądanie owych stron). Jeśli banery te kogoś irytują, wówczas w kodzie źródłowym zachowanym we własnym komputerze daje się je pusuwać. Aby powycinać te banery, należy najpierw zidentyfikować ich kody (albo przez znalezienie adresu referowanego w owym kodzie i zaczynającego się od "http://...", albo poprzez wypatrzenie komentarza oznakowującego początek i koniec danego baniera i zwykle zaczynającego się od słów "banner insertion ...").

#G7. (Warunkowo) aktualizować swoją replikę tej strony. Jeśli kogoś szczególnie interesują opisy zawarte na niniejszej stronie internetowej, wówczas co jakiś czas (np. co kilka miesięcy) warto sprawdzać w internecie, czy opisy te nie zostały dodatkowo udoskonalone. Jeśli zaś się odkryje, że internetowa wersja tej strony została wyraźnie udoskonalona, wówczas tą udoskonaloną wersją można z łatwością zastąpić posiadaną przez siebie nieco starszą replikę. W tym celu wystarczy nazwę swojej starej repliki poprzedzić np. słowem "stara_", a następnie na jej miejsce skopiować i zachować nową wersję tej strony pod oryginalną nazwą jaką nosi ona w internecie, a jaką wskazałem w punkcie #G3 powyżej.

#G8. W przypadku jakichkolwiek wątpliwości w owym replikowaniu, warto zaglądnąć na odrębną stronę w całości poświęconą dokładnemu wyjaśnieniu powyższej procedury replikowania moich witryn internetowych we własnym komputerze. Owa dodatkowa strona uruchamiana jest z Menu 2 gdzie występuje pod nazwą Replicate.

#F6. Inne strony jakie posiadają związek tematyczny z niniejszą:

Owe inne strony które też posiadają związek tematyczny z niniejszą naszą stroną, to (kliknij na wybraną z nich aby ją odwiedzić):

Polskojęzyczna strona "<http://www.milicz.pl>" opisująca Milicz.

Strona "<http://lo1.milicz.pl>" opisująca (nasze) I Liceum Ogólnokształcące w Miliczu.

Polska strona "<http://www.szkolnelata.pl>" jaka zawiera wykaz uczniów i szkół z całej Polski.

Jeszcze jedna strona "<http://www.nasza-klasa.pl>" która zawiera wykaz uczniów i szkół z całej Polski.

Niezależnie od powyższych stron - które opracowane zostały przez innych niż ja autorów, ja sam także opublikowałem aż cały szereg stron internetowych o Miliczu oraz o jego okolicach. Oto najważniejsze z owych stron (kliknij na ich "zielone" nazwy aby je pooglądać):

milicz.htm (opisuje ciekawostki miasta Milicza),
bitwa_o_milicz.htm (opisuje wyzwolenie Milicza),
sw_andrzej_bobola.htm (opisuje kościoły Milicza),
wszewilki_milicz.htm (opisuje zwiedzanie Milicza i okolic),
wszewilki.htm (opisuje historię i losy wsi Wszewilki pod Miliczem),
wszewilki_jutra.htm (opisuje przyszłość dla wsi Wszewilki pod Miliczem),
stawczyk.htm (opisuje tajemnice, paradoksy i rolę wsi Stawczyk koło Milicza).

Powinienem tutaj też dodać, że istnieje jeszcze inna strona internetowa o nazwie rok.htm - która stanowi jakby akademicką kontynuację niniejszej strony. Opisuje ona bowiem studia na Politechnice Wrocławskiej dwóch absolwentów klasy Pani Hass, mianowicie Romana Sperzyńskiego oraz Jana Pająk (czyli mnie). Serdecznie zapraszam do przejrzania również i tamtej strony o nazwie rok.htm.

#F7. Odnotujmy że strona ta kiedyś była dostępna w internecie pod szeregiem odmiennych adresów, z których jednak ją już wydeletowali:

Aby pomniejszyć swoje koszty, do udostępniania tej strony używam wyłącznie darmowych serwerów. Dlatego często strona ta zostaje z nich wydeletowana. Dla informacji podaję więc tutaj wykaz adresów pod którymi niniejsza strona kiedyś była dostępna, jednak późniejsze jej testowanie wykazało że obecnie już jej tam NIE ma. Oto owe adresy:

mozajski.i6networks.com/1964,
wroclaw.i6networks.com/1964,
free.7host02.com/sheep/1964,
propulsion.250free.com/1964,
www.nrg.to/newzealand/1964,
n.1asphost.com/1970/1964,
wroclaw.free2w.com/1964,
milicz.fateback.com/1964,
1970.netfirms.com/1964,
i.1asphost.com/1964,
jan-pajak.com/1964,
aliens.f2g.net/1964,

#F8. Zapiszmy sobie w swym komputerze adresy pod jakimi można znaleźć egzemplarze tej strony:

Podobnie jak wszystkie inne maszyny, komputery mają tendencje aby czasami nawalać - szczególnie kiedy je pilnie potrzebujemy. Ponadto, strony które ja wykonuję są wystawiane wyłącznie na owych "darmowych serwerach" - tj. wystawiane w taki sposób, aby za nie mi nie przysyłano słonych rachunków do płacenia. Dlatego sporo adresów pod którymi niniejsza strona była kiedyś wystawiana, z upływem czasu zostawało wydeletowane. Podczas najnowszej aktualizacji tej strony (której data wskazywana jest u góry nad jej "Menu" a także na samym jej końcu) była ona ciągle dostępna pod kilkoma następującymi adresami. Jej główna kopia była dostępna pod adresem:

<http://totalizm.pl/1964/klasa.htm>

Natomiast identyczne do niej kopie rezerwowe dostępne były m.in. pod adresami:

<http://energia.sl.pl/1964/klasa.htm>

<http://totalizm.nazwa.pl/1964/klasa.htm>

<http://www.anzwers.org/free/wroclaw/1964/klasa.htm>

<http://members.fortunecity.com/timevehicle/1964/klasa.htm>

(Ten ostatni darmowy adres ma szczególnie niski tzw. "Monthly Bandwidth", bo wynoszący zaledwie 250 MB - czyli będący odpowiednikiem zaledwie około 30-krotnego wywołania niniejszej strony internetowej. Stąd adres ten działa tylko przez kilka początkowych dni każdego nowego miesiąca, czyli do czasu kiedy ów niski "Monthly Bandwidth" mu się całkowicie wyczerpie.)

Aby zawsze mieć pod ręką owe adresy, rekomendowałbym aby sobie je skopiować i potem

wkleić do jakiegoś pliku z adresami który trzymamy we własnym komputerze.

* * *

Data (dosyć spontanicznego) założenia niniejszej strony: 5 czerwca 2004 roku.

Data jej najnowszego aktualizowania: 25 marca 2011 roku.

(Sprawdź w "Menu 3" czy już istnieje nawet jej nowsza aktualizacja!)

Podrozdział A4:

Absolwenci klasy Pani Hass (rocznika 1964) z Liceum Ogólnokształcącego w Miliczu, Polska

Witam na stronie internetowej prezentującej wybrane fakty na temat Liceum Ogólnokształcącego w Miliczu, zestawione z punktu widzenia absolwentów klasy Pani Hass (uczęszczających do tego liceum w latach od 1960 do 1964).

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Zamiast wstępu:

Na tej stronie zaprezentowane są wspomnienia zbiorowe z czasów nauki uczniów "klasy Pani Hass" (tj. wspomnienia z lat 1960 do 1964), a także ciekawostki o Liceum Ogólnokształcącym w Miliczu, o nauczycielach którzy wówczas tam uczyli, a także o związkach tego liceum z samym miastem Milicz.

Część #B: Zdjęcia grupowe naszego roku:

Zauważ że można zobaczyć powiększenie każdej fotografii z niniejszej strony internetowej, poprzez zwykłe kliknięcie na tą fotografię. Ponadto większość tzw. "browserów" jakie obecnie są w użyciu pozwala także na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększać, a także drukować za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

#B1. Liceum Ogólnokształcące w Miliczu:

W latach kiedy klasa Pani Hass się tam uczyła, tj. od 1960 do 1964 roku, nasze liceum otynkowane było zaprawą o kolorze niebieskim. Zaprawa ta ciągle wówczas była jeszcze "poniemiecka", czyli miała tą cechę że utrzymywała stały kolor przez liczne lata. W miejscach gdzie ów zewnętrzny tynk z jakichś powodów odpadł, ściany tynkowane były "naszą" zaprawą, której kolor dobierany był do koloru owej zaprawy ponemieckiej. Jednak ów "nasz" tynk miał tą cechę, że w przeciągu kilku lat całkowicie tracił kolor i nabierał koloru żółtego. W wyniku tego w czasach kiedy uczyliśmy się w liceum, jego zewnętrzne tynki były nieco łaciate. W większości były bowiem niebieskie, jednak wszędzie tam gdzie wymagały naprawy z czasem nabierały koloru żółtego.

Fot. #1: Nasze liceum pokazane na przedwojennej widokówce niemieckiej. Wygląda ono na niej mniej więcej tak jak je pamiętamy z czasów naszej nauki. Obecny wygląd tego liceum pokazany jest na stronie internetowej na temat miasta Milicza. Odnotuj jakby wieżyczkę widoczną na dachu budynku z centralnej części powyższego zdjęcia. Jest to obserwatorium astronomiczne które w dawnych czasach rutynowo używane było dla nauki astronomii. Natomiast kiedy my uczęszczaliśmy do liceum, obserwatorium to używane było już bardzo sporadycznie. Ja osobiście pamiętam branie udziału w tylko jednych zajęciach nocnych zorganizowanych tam przez naszego nauczyciela astronomii, Tadeusza Pasierba. Oglądaliśmy wówczas przez szkolny teleskop powierzchnię księżycy (w tym słynne krateru na księżycu).

Warto też odnotować budynek na wylocie ulicy przebiegającej wzdłuż prawego brzegu zdjęcia, przy której usytuowane jest nasze liceum. Ten budynek to milicka Szkoła Podstawowa Nr 1. W czasach kiedy ja do niej uczęszczałem, tj. w latach 1953 do 1958, w

jej korytarzach znajdowały się bogato wyposażone szklane gabloty muzealne. Zawartości tych gablot mogłyby pozazdrościć nawet najlepiej wyposażone muzea. To w tamtym przyszkolnym muzeum oglądałem po raz pierwszy w życiu eksponaty które rozbudziły we mnie marzenia o podróżach po dalekich krajach, przykładowo skorupkę orzecha kokosowego, próbki lawy wulkanicznej, egzotyczne motyle, oraz skamienieliny prehistorycznych organizmów. Faktycznie też moje późniejsze podróże po świecie wywodzą się z tamtego przyszkolnego muzeum.

Cały szereg zdjęć z przedwojennego Milicza, w tym zdjęcia ratusza spalonego w czasie wyzwania Milicza przez armię radziecką, zaprezentowanych zostało na stronie o nazwie bitwa_o_milicz.htm. Z kolei zdjęcia z niemal dzisiejszego Milicza, włączając w to zdjęcia pałacu, zamku, parku, kościoła, itp., zaprezentowane zostały na stronie milicz.htm.

#B2. Grono pedagogiczne:

Oczywiście z ówczesnego grona pedagogicznego owych czasów najlepiej pamiętamy tych co nas uczyli lub dyscyplinowali. Oto więc wykaz osób z naszego grona pedagogicznego, z jakimi mieliśmy dużo do czynienia w latach od 1960 do 1964:

Pan Witold Krzyworączka, dyrektor naszego liceum w latach 1950-1969, czyli w czasach kiedy my tam się uczyliśmy. Uczył nas Chemii. Zmarł.

Pan Antoni Kaczmarek, wicedyrektor naszego liceum w latach 1951 - 1969 w czasach kiedy my tam się uczyliśmy, zaś dyrektor w latach 1969 - 1976. Jednocześnie był on naszym nauczycielem wychowania fizycznego dla chłopców. Zmarł na Alzheimera około 1998 roku. Pochowany jest na cmentarzu komunalnym w Miliczu.

Pani Helena Hass, nasza wychowawczyni a także nauczycielka geografii, historii, oraz wiadomości o Polsce i świecie współczesnym. Zmarła około 1999 roku w wieku 93 lat. Pochowana jest na cmentarzu komunalnym w Miliczu. Tuż przed śmiercią odwiedziła ją w szpitalu delegacja z naszej klasy. Jej pamięć była wówczas ciągle tak ostra, że na przekór iż mięło ponad 30 lat od czasu gdy nas uczyła, ciągle potrafiła rozpoznać i nazwać po imieniu i nazwisku każdego z odwiedzających ją byłych uczni.

Pan Mieczysław Tomaszewski, nasz nauczyciel fizyki. Zmarł na Alzheimera około 2002 roku. Był on doskonałym pedagogiem i to on robudził moje zainteresowania w naukach fizycznych.

Pan Kazimierz Grabarczuk, nauczyciel matematyki. Zmarł.

Pani Bronisława Kubow, nauczycielka biologii.

Pan Tadeusz Pasierb, nauczyciel astronomii. W dniu 1 października 2006 roku nadal mieszkał on we Wrocławiu. W owym czasie możliwy był z nim kontakt za pośrednictwem jego wnuka o adresie emailowym woyotus@interia.pl.

Pan Tadeusz Nelewajko, uczył nas języka polskiego przez pierwsze trzy lata.

Pan Adam Najsarek, przez ostatni rok uczył nas języka polskiego oraz propedeutyki filozofii. Był też wicedyrektorem naszego liceum w latach 1969 do 1982.

Pan Roman Brzuszek, nauczyciel języka rosyjskiego.

Pani Władysława Wilkoszewska, uczyła łaciny. Zmarła w latach 1980-tych.

Pan Antoni Kulesza, uczył chłopców prac technicznych. Obecnie mieszka w Chojnowie.

Pani Maria Najsarek, uczyła dziewczyny prac technicznych.

Pan Bonifacy Możdżyński, nauczyciel przysposobienia wojskowego. Zmarł.

Pani Włodzimiera Kiełbińska, uczyła dziewczyny wychowania fizycznego.

Więcej danych na temat naszych nauczycieli można znaleźć w doskonałej książce pod redakcją Tadeusza Kiełbińskiego, noszącej tytuł "50 lat Liceum Ogólnokształcącego w Miliczu 1945-1995" (skład i łamanie: Marcin Krzyżosiak, ul. AK1/6, 56-300 Milicz, Poland), Milicz 1995.

Fot. #2: Zdjęcie całej klasy Pani Hass przy bocznym wyjściu na boisko. Wykonane było wiosną 1964 roku. Odnotujmy, że wśród nas sfotografowana jest także Pani Helena Hass. Czy rozpoznajemy siebie i innych na tym zdjęciu? Oto jak zgodnie z moimi możliwościami

identyfikacyjnymi opisałbym kto pokazany jest na owym zdjęciu: (0: poziom trawy boiska, licząc od lewej ku prawej:) Duklana Miga, Lidia Eisler; (1: pierwszy z trzech schodków wiodących z boiska do liceum, licząc od lewej:) Jan Defratyka (faktycznie to stoi on przy schodku, a nie na nim), Ś.p. Zenon Skowroński, Anna Kasperowicz (z kwiatkiem w obu rękach), Andrzej Celejowski, Jan Pająk, Krystyna Łakoma, według informacji przesłanej mi przez Panią Lucyne Kokot-Folcik, email: L.Folcik@int.pan.wroc.pl obok Krystyny Łakomej stoi Mirosława Osiecka (obecnie Demianiuk) - patrz środkowy schodek druga osoba licząc od prawej strony tego zdjęcia, Zuzanna Kubiszyn; (2: drugi/środkowy z trzech schodków wiodących z boiska do liceum, licząc od lewej:) Zbigniew Nęcki, Ś.p. Helena Hass, Ś.p. Kazimierz Kuczkowski, Julian Partyka, Ś.p. Hanna Zarakowska, Władysława Urbańska (w białym sweterku), Krystyna Skomra; (3: trzeci/najwyższy z trzech schodków wiodących z boiska do liceum, licząc od lewej:) Ś.p. Wiesiek Cygal (czarne polo z białym kołnierzem), Halina Mrozek, Zofia Twarda, Roman Sperzyński, Krystyna Dyla, ???(Maria Maciejewska?), Emilia Sozańska, Wiesława Hołówko. Odnotuj że powyższe zdjęcie nie ujmuje wszystkich uczniów klasy Pani Hass. Przykładowo, nie ma na nim Ś.p. Wojciecha Bancarzewskiego - ujętego jednak na zdjęciu z "Fot. #3" poniżej.

Aby zobaczyć nas w tym samym miejscu ale w nieco innym ujęciu, patrz też zdjęcie "Fot. 6" poniżej. Z kolei ponumerowany wykaz osób "kto jest kto" poujmowanych na zdjęciach z tej strony, dostępny jest w podpisie pod zdjęciem "Fot. #B1" z odrębnej strony o nazwie klasa.htm.

Uwaga: wszystkie zdjęcia klasy Pani Hass pokazane na tej stronie wykonane zostały w tym samym dniu - stąd wszyscy pokazani tu uczniowie, na każdym zdjęciu są ubrani dokładnie tak samo. Wiedząc zaś jak ktoś jest ubrany, daje się potem odnaleźć tą osobę na każdym z pokazanych tu zdjęć.

#B3. Nasza klasa:

W roku 1960, czyli kiedy zaczynaliśmy naukę w początkowej (8-mej) klasie naszego liceum, było nas 46. Z tej liczby do ostatniej, 11-tej (maturalnej) klasy doszło 32 z nas. Jednak maturę zdało mniej niż 30 z nas. Do chwili pisania niniejszego wspomnienia, z naszego grona odeszło już (zmarło) 5 osób. Czyli że z końcowej klasy maturalnej, do chwili pisania niniejszych wspomnień w lipcu 2004 roku pozostało nas przy życiu jedynie 27.

Fot. #3. Klasa Pani Hass przy głównym wejściu do naszego liceum. Na zdjęciu tym obecny jest Ś.p. Wojciech Bancarzewski - stoi on na najbardziej na prawo wysuniętej pozycji (ten w jasnym długim swetrze rozpiętym na piersiach i ukazującym fragment jego kraciastej koszuli).

#B4. Nasze ścieżki - czyli co się stało po ukończeniu liceum:

Po ukończeniu liceum wszyscy porozbiegaliśmy się po świecie. Oczywiście zaraz po szkole, najpierw poszukiwaliśmy szczęścia. W ten sposób większość z nas wzbogaciła swoje życie o męża lub o żonę, a później także i o dzieci. Potem wielu z nas stwierdziło że samą miłością nie daje się żyć, zaczęło więc zarabiać pieniądze. Kilku z nas odniosło w tym spory sukces i teraz może się pochwalić imponującym dorobkiem. Bez względu jednak na to jak którykolwiek z nas by sobie radził, wszyscy jesteśmy nawzajem dumni z pozostałych naszych współklasowiczów, utrzymujemy ze sobą kontakty, oraz korzystamy z każdej nadarzającej się sposobności aby ponownie się spotkać.

Fot. #4: Inne ujęcie klasy Pani Hass przy głównym wejściu do naszego liceum. Czy w tym ujęciu potrafimy rozpoznać kto jest kim na powyższym zdjęciu?

Część #C: Kilka słów o Miliczu i o naszym liceum:

#C1. Milicz:

Milicz jest małym miasteczkiem położonym na Dolnym Śląsku, czyli w południowo-zachodnim kącie Polski. Liczba jego ludności jest trudna do oszacowania, bowiem granice administracyjne Milicza nie pokrywają się z naturalnymi przerwami w osadnictwie ludzkim. W rezultacie takie osady jak Wszewilki, Stawczyk, Sławoszewice, czy Karłowo, administracyjnie nie należą do Milicza, chociaż faktycznie stanowią z Miliczem jeden scalony system miejski. W latach 1960 do 1964, ów cały milicki kompleks miejski liczył około 25 000 mieszkańców. Niemniej samo miasto (tj. milicka "starówka") zamieszkiwane było wówczas tylko przez około 7 000 mieszkańców.

Milicz jest bardzo starym miastem. Na jego obecnym obszarze istniało osadnictwo ludzkie już 7000 lat p.n.e., czyli jeszcze w czasach przedhistorycznych. Pozostałości byłego grodziska piastowskiego z tamtego prehistorycznego okresu, lokalnie zwanego "chmielnik", zlokalizowane są przy prawym brzegu rzeki Barycz, pomiędzy Miliczem a wsią Wszewilki, czyli niedaleko od obecnej ulicy Milicza nazywanej "Krotoszyńska". Milicz rozwijał się bardzo szybko, bowiem był dogodnie położony na jednej z odnóg ogromnie ważnego w dawnych czasach tzw. Bursztynowego Szlaku. Faktycznie to był on dostarczycielem usług hotelowych dla podróżujących po owym szlaku. Jako spore średniowieczne miasto Milicz istniał już w 1136 roku, kiedy to po raz pierwszy wymieniony został na piśmie jako miasto w bulli dla arcybiskupa gnieźnieńskiego. W XIII wieku zbudowany został w Miliczu duży zamek warowny, jakiego ruiny do dzisiaj stoją w parku Milickim. W 1339 roku Jan Luksemburski opanował ten zamek podstępem. W 1432 roku miasto zdobyli husyci. Natomiast w XVII wieku zamek warowny w Miliczu został spalony, aby nigdy nie być już odbudowanym. Do dnia dzisiejszego po zamku tym zostały tylko ruiny jakie można oglądać w milickim parku miejskim, a także niezliczone podziemne tunele jakie dokładniej opisane zostaną na oddzielnej stronie poświęconej ciekawostkom Milicza.

W latach kiedy chodziliśmy do liceum, ruiny warownego zamku milickiego znajdowały się ciągle w relatywnie dobrym stanie. Co więc odważniejsi z nas mogli buszować po jego komnatach i ukrytych przejściach. Szczególnie podniecający był fakt, że w ruinach owego zamku ciągle wówczas dostępne było wejście do podziemnych tuneli i lochów, jakie prowadziły od owego zamku aż w kilku odmiennych kierunkach. Lochy te dosyć dokładnie przebadał Zbyszek - słynny tropiciel tajemnic, a nasz kolega licealny ze starszej klasy. Jak zapewne niektórzy pamiętają, odkrył on w tych lochach jakiś skład starych broni oraz zbroi rycerskich, po których przybraniu straszył spacerowiczów w parku. W końcu ubranego w pełną zbroję rycerską i dzwigającego ciężki miecz milicja zdołała pochwytać i przemaszerowała przez całe miasto zanim na posterunku zdołała go przekonać aby zaniechał dalszego straszenia ludzi. Z tego co o tunelach i lochach podmilickich mówiło się w czasach naszej nauki w liceum, to jeden taki tunel wiódł z zamku do pałacu margrabich Maltzan'ów, potem zaś do jego grobowca. Inny tunel wiódł do podziemi ratusza milickiego oraz do kilku piwnic w starowce samego Milicza. Jeszcze inny wiódł pod Baryczą aż do Stawca, gdzie wychodził na powierzchnię przy tamtejszych źródłach wody pitnej dla pałacu. Ów tunel do Stawca łączył się też z tunelem od zamku Sapiechów w Cieszkowie, zaś wychodził na powierzchnię w lasach przycieszkowskich. Jego część wykorzystywana była przed wojną jako dojrzewalnia gorzałek i wina. W chwili obecnej wylot z tego tunelu służy jako schronienie dla nietoperzy (pokazany on jest na stronie internetowej o Miliczu).

Fot. #5 (M1 z [10]): Jeszcze jedno ujęcie klasy Pani Hass przy głównym wejściu do naszego liceum. Zdjęcie pokazuje: (pierwsza para siedzących - od lewej) Ś.p. Hanna Zarakowska, obok niej siedzi Mirosława Osiecka - obecnie Demianiuk (kiedyś sądziliśmy że to Maria Maciejewska); (drugi rząd siedzących - od lewej) Krystyna Łakoma, Duklana Miga, Ś.p. Helena Hass, Zofia Twarda, Lidia Eisler, Anna Kasperowicz (z kwiatkiem w ręku); (stojący od lewej w kolejności twarzy) Ś.p. Zenon Skowroński, Jan Pająk, Emilia Sozańska, Jan Defratyka, Władysława Urbańska (w białym sweterku), Ś.p. Kazimierz Kuczkowski (trochę w profilu), Krystyna Dyla (wychyla się spoza Zuzi), Zuzanna Kubiszyn, Roman Sperzyński (między Zuzia i Krystyna), Krystyna Skomra, Wiesława Hołówko (trzymna

razem kciuki), Julian Partyka (poza głową Wiesi), Andrzej Celejowski, Ś.p. Wiesiek Cygal (czarne polo z białym kołnierzem), Zbigniew Nęcki (z tyłu), Halina Mrozek (ostatnia po prawej). Odnotuj że powyższe zdjęcie nie ujmuje wszystkich uczniów klasy Pani Hass. Przykładowo, nie ma na nim Ś.p. Wojciecha Bancarzewskiego (obecnego jednak na zdjęciu z "Fot. #3").

#C2. Co nas fascynowało w Miliczu:

Milicz jest fascynującym miastem nawet obecnie, podczas gdy w czasach kiedy chodziliśmy do liceum, był on szczególnie interesujący. Pamiętać wszakże należy, że Milicz był miastem słynnym z średniowiecznego zamku, wówczas ciągle mającym podziemne tunele w relatywnie dobrym stanie, dostępne dla wścibskich i niestrachliwych młodych ludzi, zaś w podziemiach ciągle kryły się wówczas tajemnicze skrytki. Milicz był też rodzajem małej twierdzy podczas drugiej wojny światowej. Twierdzę tą rosyjskie siły wyzwolenicze pod dowództwem Majora Lagina zdobyły kosztem utraty jednej tankietki i jej załogi. Milicz otoczony jest również wieloma polami bitew i miejscami znaczącymi historycznie. Przykładowo pod Sułowem znajduje się słynne pole bitwy pomiędzy Szwedami i Polakami. Natomiast pod Cieszkowem znajduje się pole bitwy z konfederatami barskimi.

Milicz posiada też ogromny urok. Przykładowo, jest to miasto tysięcy lip. W drugim tygodniu lipca celebrowane jest nieoficjalny festiwal kwiatów lipowych i karpia. W owym czasie całe to miasto przesiąknięte jest zapachem tych cudownych kwiatów - po szczegóły patrz koniec strony o mieście Miliczu dostępnej z "Menu 1" tej witryny.

Milicz jest również miejscem wysoce tajemniczym. Przykładowo, w pobliskiej wsi zwanej Wszewilki (a ściślej w jej części nazywanej Stawczykiem), aż dwukrotnie w czasach mojej tam młodości odnotowałem deszcz żywych rybek spadających z nieba. Ten cudowny deszcz skrótowo opisałem m.in. w punkcie #H2 odrębnej strony o nazwie `god_proof_pl.htm` - o naukowych dowodach na istnienie Boga, zaś w pełnym brzmieniu - w podrozdziale I3.5 z tomu 5 mojej najnowszej monografii [1/5].

Z kolei w okolicach podmilickich Guzowic i Nowego Zamku, widywany był kiedyś unikalny rodzaj mitologicznego stwora nazywanego gryfem. W Zemanowie koło Trzebicka istniał kiedyś niezwykły kamień nazywany "diabelskim kamieniem". Miał on szponiaste łapy diabła wytopione na swojej powierzchni. Stara legenda stwierdzała że został on upuszczony przez "diabła" który chciał nim zburzyć kościół w pobliskim Trzebicku, Z kolei przy kościele Św. Anny w Karłowie Św. Anny w Karłowie, istniał aż do niedawna "anielski kamień" słynny kiedyś m.in. ze swoich zdolności do przywracania płodności. Niestety, relatywnie niedawno kamień ten tajemniczo zniknął z miejsca które zajmował tam przez wiele wieków.

Fot. #6: Klasa Pani Hass przy wyjściu na boisko. Nie mogę sobie przypomnieć kim jest owa osoba stojąca pomiędzy Emilią Sozańską a Ś.p. Zenonem Skowrońskim. Czy może ktoś pamiętać?

Część #D: Podsumowanie, oraz informacje końcowe tej strony:

#D1. Apel o dalsze zdjęcia i opisy naszej klasy, liceum, miasta Milicza, itp.:

Jeśli któraś koleżanka lub kolega mają zdjęcia lub opisy które mogłyby zostać włączone do niniejszej strony, szczególnie stare zdjęcia Milicza, naszego liceum, grona pedagogicznego, itp., wówczas prosilibym o ich dostanie. Wcale też NIE trzeba mi wysyłać oryginałów, w wystarczy je zeskanować i wysłać mi cyfrową kopię (w ten sposób oryginał nadal pozostanie z wysyłającym). Mój adres emailowy jest podany w punkcie #20 głównej strony tej witryny, tj. strony `klasa.htm` - klasa Pani Hass z LO w Miliczu.

#D2. Copyrights © 2011 - wszelkie prawa zastrzeżone:

Copyrights © 2011 by Dr Jan Pająk. Wszelkie prawa zastrzeżone. Autorstwo i

prawa copyrights dla wszystkich części tej strony są zastrzeżone na rzecz dra inż. Jana Pajak - redagującego całość tej strony.

#D3. "Disclaimer" redaktora tej strony:

Odnotuj że narazie niniejsza strona ma tylko jednego głównego redaktora, którym jest dr inż. Jan Pajak. Stąd większość jej tekstu została przygotowana i jest aktualizowana właśnie przez niego. Wkład innych wymienionych tutaj osób czy absolwentów klasy Pani Hass rocznika 1964 skupia się głównie na sformułowaniu części #D z odrębnej strony klasa.htm. Dlatego poglądy wyrażone na tej stronie w częściach innych niż tamta część #D ze strony "klasa.htm", niekoniecznie są podzielane przez wszystkie wymienione tutaj osoby czy absolwentów klasy Pani Hass rocznika 1964. Czyli niektóre zjawiska i sytuacje komentowane w innych niż tamta część #D, zapewne mogą być przez niektórych z nich interpretowane na odmienne od zaprezentowanych tutaj sposobów.

#D4. Zapiszmy sobie w swym komputerze adresy pod jakimi można znaleźć egzemplarze tej strony:

Podobnie jak wszystkie inne maszyny, komputery mają tendencje aby czasami nawalać - szczególnie kiedy je pilnie potrzebujemy. Ponadto, strony które ja wykonuję są wystawiane wyłącznie na owych "darmowych serwerach" - tj. wystawiane w taki sposób, aby za nie mi nie przysyłano słonych rachunków do płacenia. Dlatego sporo adresów pod którymi niniejsza strona była kiedyś wystawiana, z upływem czasu zostawało wydeletowane. Podczas najnowszej aktualizacji tej strony (której data wskazywana jest u góry nad jej "Menu" a także na samym jej końcu) była ona ciągle dostępna pod kilkoma następującymi adresami. Jej główna kopia była dostępna pod adresem:

<http://totalizm.pl/1964/klasa.htm>

Natomiast identyczne do niej kopie rezerwowe dostępne były m.in. pod adresami:

<http://members.fortunecity.com/timevehicle/1964/klasa.htm>

<http://www.anzwers.org/free/wroclaw/1964/klasa.htm>

<http://energia.sl.pl/1964/klasa.htm>

Aby zawsze mieć pod ręką owe adresy, rekomendowałbym aby sobie je skopiować i potem wkleić do jakiegoś pliku z adresami który trzymamy we własnym komputerze.

* * *

Data założenia niniejszej strony: 5 czerwca 2004 roku.

Data jej najnowszego aktualizowania: 25 marca 2011 roku.

(Sprawdź w "Menu 3" czy już istnieje nawet jej nowsza aktualizacja!)

Podrozdział A5:

Absolwenci Politechniki Wrocławskiej (Polska) Wydział Mechaniczny, rocznik 1970

Witam na stronie internetowej absolwentów rocznika 1970 Wydziału Mechanicznego Politechniki Wrocławskiej. Intencją tej strony jest stworzenie informatycznego "mostu" który ponownie połączy nas wszystkich, na przekór fizycznego dystansu i czasu jaki stara się nas rozdzielić. Jaka taka, strona ta prezentuje wszystko to co nas łączy, czyli wspólne aspekty naszych losów, dążeń i celów. Dostarcza też ona podstawowych danych kontaktowych które umożliwiają nam wzajemne informowanie się o tym co najważniejsze, oraz podejmowanie wspólnych przedsięwzięć.

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Zamiast wstępu:

Koledzy i koleżanki. Jak to zwykle w życiu bywa, w miarę jak czas upływa, pogłębia się dystans pomiędzy nami. Czas aby temu zaradzić. Najlepszym zaś moim zdaniem sposobem ponownego zacieśnienia wzajemnej więzi, jest przygotowanie strony internetowej naszego roku. Niniejsza strona jest pierwszym krokiem w kierunku urzeczywistnienia tego zamiaru. (Zasady jej zapisu wyjaśnione zostały na końcu - po wykazie uczestników naszego roku.)

* * *

Chociaż życie każdego z nas może wyglądać "codziennie", faktycznie to reprezentujemy sobą ponad 6000 lat ludzkiej historii. Wszakże urodziliśmy się około 60 lat temu, jest nas zaś razem ponad 100. Niniejsza strona jest więc nie tylko naszym osobistym linkiem, oraz ciekawostką dla naszych najbliższych i znajomych, ale także odzwierciedleniem codziennej historii ostatniego półwiecza naszej planety. Ma ona więc nie tylko znaczenie uczuciowe i osobiste, ale także historyczne i naukowe. Być może że w przyszłości stanie się ona przedmiotem naukowych studiów oraz wzorcem dla innych. Wszakże pokazuje losy znacznej grupy ludzi, których połączyło braterstwo wspólnego ponoszenia bardzo trudnych studiów przez okres 6 lat.

* * *

Po ogromnie trudnym egaminie wstępnym, w którym około 12 kandydatów starało się o każde miejsce na naszym roku, w dniu 1 października 1964 roku zaczęliśmy naukę na ówczesnym 1 roku Wydziału Mechanicznego Politechniki Wrocławskiej zlokalizowanej w pięknym mieście Wrocławiu. Większość z nas miała wówczas tylko 18 lat. Na początku było nas około 360. Z liczby tej do czasu ukończenia studiów wykruszyła się znaczna większość, tak że ukończyliśmy studia w liczbie 106. Poniżej w "części #D" przytoczony jest wykaz absolwentów naszego roku, oraz zgrubnie opisane losy tych z nas co zechcieli wzbogacić tą stronę. Z kolei szczegółowsze opisy, a także zdjęcia ukazujące obecny wygląd niektórych z nas, zobaczyć można po kliknięciu na nazwisko danego kolegi lub danej koleżanki z roku. (Zauważ jednak, że tylko koledzy i koleżanki którzy w "Menu 2" oznaczeni zostali białymi napisami, dostarczyli dotychczas swoje zdjęcia do wystawienia na ich osobistych stronach z notkami autobiograficznymi.)

#A2. Niniejsza strona jest rodzajem unikatów na skalę światową:

Z tzw. "feedback" jaki otrzymuję w sprawie niniejszej strony internetowej absolwentów Politechniki Wrocławskiej naszego rocznika 1970 (tj. rocznika osób urodzonych NIE później niż w 1946 roku), wynika że strona ta jest rodzajem unikatów na skalę światową. Chodzi bowiem o to, że ciągle należymy do generacji ludzi którzy jeszcze

NIE polubili komputerów. Wszakże komputery wcale nie były popularne w czasach naszej edukacji. Z kolei modne obecnie słowo "informatyka" wcale NIE było wówczas jeszcze w powszechnym użyciu i rzadko kto wiedział wtedy co ono oznacza. Stąd wśród naszej generacji zdarza się ogromnie rzadko że ktoś zna programowanie na tyle dobrze, aby zaprogramować stronę internetową swojego rocznika absolwentów, zaś nawet jeśli zna programowanie - zwykle jest zbyt zajęty robieniem majątku aby jeszcze tracić cenny czas na zakładanie strony internetowej dla swoich kolegów uczelnianych lub ze szkoły średniej. Stąd ani nasz rocznik, ani roczniki nas poprzedzające, niemal nigdy NIE mają swoich stron internetowych - i tak dzieje się praktycznie na całym świecie. Nic dziwnego że strona naszego rocznika ma relatywnie dużo czytelników. Oczywiście, to także oznacza, że wszystkie osoby opisane i pokazane na stronie naszego rocznika absolwentów, pomalą nabierają światowego rozgłosu!

Jeśli czytelnik NIE wierzy w to moje przypadkowe odkrycie że ta strona internetowa jest rodzajem unikatku na skalę światową, wówczas niniejszym rzucam mu wyzwanie aby udowodnił że się mylę i wskazał mi adres jakiejś innej strony internetowej naszego rocznika absolwentów, tj. absolwentów jakiejś uczelni urodzonych nie później niż w 1946 roku.

Część #B: Zjazdy naszego roku:

#B1. I Zjazd z 1980 roku:

Pierwszy zjazd naszego roku odbył się w 10 lat po ukończeniu przez nas uczelni. Miał on miejsce na samej Politechnice Wrocławskiej, latem 1980 roku.

#B1.1. Nasze grupowe zdjęcie zjazdu z 1980 roku:

Nasz młodzieńczy wygląd, a także nasze najbardziej ostatnio zdobyte zdjęcia grupowe z dawnych lat, zaprezentowane zostały na dawnych zdjęciach zestawionych na odrębnej stronie o nazwie pw.htm - Nasz Rok. Aby przenieść się na tamtą stronę wystarczy kliknąć na niniejszy zielony link albo też uruchomić ją z "Menu 1". Aby jednak przypomnieć tutaj jak wyglądaliśmy podczas pierwszego zjazdu naszego roku jaki odbył się w 1980 roku, poniżej przytaczam nasze zdjęcie grupowe z tamtego zjazdu nr 1 (owo zdjęcie też jest przytoczone i omówione na stronie pw.htm - Nasz Rok).

Zdjęcie 1 - Courtezy Andrzej Kruszyna (N1 z [10]): Oto spora proporcja uczestników naszego roku podczas pierwszego zjazdu z 1980 roku. Jak młodo i optymistycznie wówczas wyglądaliśmy. Ponieważ zdjęcie to wymaga opisanie, postanowiłem wyteńczyć swoją dosyć już zaśniedziałą pamięć i przyporządkować nazwiska do poszczególnych twarzy. Aby ułatwić innym sprawdzanie i aktualizowanie tego mojego niezbyt udanego opisu, każdej osobie z tego zdjęcia przyporządkowałem numer w kolejności pisma (tj. lewa do prawej, rząd za rzędem). Na odrębnym zdjęciu o nazwie "kto jest kto" pokazane jest przyporządkowanie numerów do poszczególnych twarzy. (Kliknij na poniższe zdjęcie aby zobaczyć je w powiększeniu, lub aby przesunąć je w inne miejsce ekranu.)

(Apeluję tutaj do wszystkich kolegów i koleżanek o sprawdzenie i skorygowanie ewentualnych pomyłek w przyporządkowaniu nazwisk do twarzy. Dla ułatwienia poprawek, proszę nazwiska przysyłać razem z numerami jakie im zostały przyporządkowane, lub z nazwiskami sąsiadów jacy stoją najbliżej nich. Oto nasze zdjęcie, pod nim zaś wykaz osób które wspólnym wysiłkiem zdołaliśmy dotychczas zidentyfikować:

Pokazani na zdjęciu są: 1. Jan Krystian, 2. Bożena Brzozowska, 3. Andrzej Boguski, 4. Kazimierz Miernicki, 5. Borysław Niemcewicz, 6. Czesław Medyński (?), 7. Leszek Mozyrko, 8. Maria Pogost (Mara Fox), 9. Julian Zając, 10. Bogdan Hełka, 11. Tadeusz Łosik, 12. Jan Chodacki, 13. Tadeusz Wolski, 14. Prof. Pieczonka. 15. Andrzej Golenko (tj. stojący na skraju po prawej stronie, poniżej ma Wieśka Jabłońskiego, powyżej - prof. Pieczonkę), 16.

Janusz Rudy (za Prof. Zakrzewskim w białej marynarce), 17. Jan Ciejka, 18. Marek Przygodzki - milimeter, 19. Andrzej Patocki, 20. Jerzy Szczerbina, 21. Janusz Bondyra, 22. Stanisław Bania (Banerski), 23. Janusz Krassowski, 24. Grzegorz Średziński, 25. Ryszard Łukasiewicz, 26. Romuald Niedziela, 27. Bernard Dudek, 28. Stanisław Mendelowski, 29. Wiesław Jabłoński, 30. Opiekun naszego roku, Prof. Jan Zakrzewski, 31. Andrzej Kruszyna, 32. Fryderyk Koryciarz, 33. Wiesław Bereś, 34. Stanisław Przeworek, 35. Józef Chabiński, 36. Józef Pielorz, 37. Mieczysław Cisko, 38. Stanisław Kaczmarczyk, 39. Chrystian Prorok - ten stojący za (48), 40. Janusz Szymkowski, 41. Jan Stańczyk, 42. Grażyna Rataj, 43. nasz ówczesny dziekan, Prof. Hawrylak, 44. Halina Chlebosz, 45. Jan Pająk, 46. Edward Barzycki, 47. córeczka Marka Wahałowicza, 48. Marek Wachałowicz.

* * *

Uwaga: aby przypomnieć sobie "kto jest kto" na powyższym zdjęciu, wystarczy kliknąć na poniższy guzik który zawiera numery z tego wykazu ponanoszone na poszczególne osoby na zdjęciu.

* * *

Zauważ że można zobaczyć powiększenie danej fotografii z niniejszej strony internetowej. W tym celu wystarczy zwykle kliknąć na tą fotografię. Ponadto większość tzw. browserow które obecnie są w użyciu, włączając w to popularny "Internet Explorer", pozwala na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększyć, a także gdzie ją można wydrukować za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

Jeśli ktoś życzy sobie przesunąć jakąś ilustrację (tj. dowolną fotografię lub rysunek) - znaczy jeśli zechce przemieścić tą ilustrację w inne miejsce ekranu z którego właśnie ten ktoś czyta jej opis, a jednocześnie jeśli ów ktoś zechce pomniejszyć lub skonfigurować odrębne okienko w którym ilustracja ta się ukaże, wówczas powinienes uczynić co następuje: (1) spowodować pojawienie się tej fotografii w odrębnym (nowym) okienku, poprzez albo kliknięcie na nią, albo poprzez kliknięcie na następujący (zielony) guzik linku

(2) jeśli czytelnik kliknął na samo zdjęcie - upewnić się że to nowe okienko jest przełączone na możliwość jego przekonfigurowywania i przemieszczania (w tym celu należy rzuć okiem na środkowy kwadracik z owych trzech kwadracików obecnych w jego prawym górnym rogu - kwadracik ten powinien zawierać w sobie obraz tylko jednego ekraniku, jeśli więc widnieją tam aż dwa ekraniki wówczas trzeba na nie kliknąć tak aby zmienić je w jeden ekranik), (3) zmniejszyć wymiary tego odmiennego okienka (z danym zdjęciem lub rysunkiem) poprzez "złapanie" myszą jego prawego-dolnego narożnika i przesunięcie tego narożnika w górę-lewo aby otrzymać rozmiar tego odrębnego okienka jaki sobie życzymy mieć (odnotuj że kiedy raz zmniejszyły rozmiar pierwszej takiej ilustracji, wówczas wszelkie następne kliknięte ilustracje pojawią się już w owych zmniejszonych rozmiarach - chyba że je ponownie powiększymy w taki sam sposób), a następnie (4) przemieść to odmiennie okienko z ilustracją w miejsce strony internetowej w którym zechcemy je oglądać. (Aby je przemieścić należy złapać je myszą za ten niebieski pasek na jego górnej krawędzi). Odnotuj też, że jeśli przesuniemy (suwakiem) tekst danej strony kiedy go czytamy, wówczas owo nowe odrębne okienko z dodatkowym rysunkiem nagle zniknie. Aby je ponownie przywrócić w nowe położenie strony musimy kliknąć na jego "ikonkę" (nazwę) istniejącą w najniższej części ekranu.

#B2. II Zjazd z września 1995 roku z okazji 50-lecia Politechniki Wrocławskiej:

Drugi z kolei zjazd naszego roku odbył się we wrześniu 1995 roku, w 25 rocznicę ukończenia przez nas uczelni, a jednocześnie z okazji 50-lecia Politechniki Wrocławskiej. Zdjęcie grupowe z owego drugiego zjazdu dostarczone zostało przez Andrzeja Kruszyna i pokazane jest poniżej jako "zdjęcie 2":

Zdjęcie 2 (Courtezy Andrzej Kruszyna). Uczestnicy drugiego zjazdu absolwentów rocznika

1970 Wydziału Mechanicznego Politechniki Wrocławskiej.

Oto wykaz osób ze zdjęcia:

[pierwszy rząd] - najbliższy obiektywu aparatu: (1-1) Janusz Szymkowski, (1-2) Edward Jakubiszyn, (1-3) Bożena Brzozowska (Ciałkowska), (1-4) Prof. Jan Koh, (1-5) Andrzej Boguski?, (1-6) ..., (1-7) Stanisław Bania (Banerski)?.

[drugi rząd] - najbliższy wejścia do starego budynku I-24: (2-1) Kazimierz Miernicki?, (2-2) Andrzej Kruszyna, (2-3) ..., (2-4)

#B3. III Zjazd, 22-23 maja 2010 roku, z okazji 40-lecia ukończenia Politechniki Wrocławskiej:

Trzeci zjazd naszego rocznika odbył się w sobotę i niedzielę, 22 i 23 maja 2010 roku, czyli w 40 lat po ukończeniu przez nas uczelni. Komunikat owego zjazdu przytoczony jest poniżej.

#B3.1. Sprawozdanie ze zjazdu w 2010 roku:

III ZJAZD ABSOLWENTÓW WYDZIAŁU MECHANICZNEGO 1970. POLTECHNIKI WROCŁAWSKIEJ.

Duszniki-Zdrój 22 i 23 maja 2010 roku.

Propozycję zorganizowania III zjazdu absolwentów wydziału mechanicznego 1970 roku Politechniki Wrocławskiej, zaproponował jeden z naszych kolegów Aleksander Komorowski. Propozycja została opublikowana na stronie internetowej wraz ze wstępnym programem zjazdu. Zaraz po opublikowaniu propozycji rozpoczął się okres poszukiwania kontaktów z koleżankami i kolegami. Bardzo przydatna okazała się strona opracowana przez naszego kolegę Jana Pajaka mieszkającego aktualnie w Nowej Zelandii, zawierająca numery telefonów oraz adresy e-mailowe.

Przyznać trzeba, że aktywnymi podczas poszukiwania kontaktów okazali się: Maria Pogost (Mara Fox) mieszkająca w USA, Jan Kolenda mieszkający w Wałbrzychu, Grzegorz Średziński mieszkający w Dusznikach-Zdroju, Andrzej Kruszyna mieszkający w Radomiu oraz pomysłodawca zorganizowania zjazdu Aleksander Komorowski mieszkający w Jastrzębiu-Zdroju. Po wstępnej akceptacji zorganizowania zjazdu przez koleżanki i kolegów utworzył się komitet organizacyjny (czytaj samozwańczy komitet organizacyjny) w którego skład weszli: Grzegorz Średziński, Jan Kolenda, Zdzisław Bańkowski oraz Aleksander Komorowski.

Po ustaleniu wszystkich szczegółów zjazdu rozesłano zaproszenia do potencjalnych uczestników zjazdu. Wydawało się w pewnym momencie, że w zjeździe może zabraknąć koleżanki i kolegów mieszkających w USA i Kanadzie z powodu długotrwałej erupcji przez jeden z wulkanów w Islandii, kolejną przeszkodą była powódź która nawiedziła południowo-zachodnią część Polski. Jednak więzi jakie zawiązały się w okresie studiów okazały się silniejsze. W zjeździe uczestniczyło 50 osób. Zabrakło Stanisława Dwidowskiego któremu powódź we Wrocławiu zagrażała mieszkaniu.

Program zjazdu przedstawiał się następująco:

Sobota, 22.05.2010 roku:

12,00 - 15,00 * przyjazd uczestników zjazdu, powitanie przybyłych uczestników, zakwaterowanie uczestników w hotelu.

15,15 * zbiórka chętnych uczestników III zjazdu i wyjazd autokarem na mszę św. w intencji uczestników zjazdu i zmarłych kolegów.

17,30 * rozpoczęcie III zjazdu „Duszniki-Zdrój 2010”.

19,00 * wykonanie wspólnego zdjęcia wszystkich uczestników zjazdu.

20,00 * rozpoczęcie bankietu.

Niedziela 23.05.2010 roku:

9,00 - 10,00 * wspólne śniadanie, wręczenie okolicznościowych dyplomów, dyskusja, podjęcie wspólnych wniosków przez uczestników zjazdu,
10,00 - 14,00 * spotkania w podgrupach, strzelanie na strzelnicy.
14,00 * wspólny obiad, zakończenie zjazdu.

Rozpoznanie przybywających koleżanek i kolegów oraz zaproszonych gości było bardzo zabawne i wesołe, bowiem czasami po przywitaniu mieliśmy problem kto to jest, bo witający zasłaniaли przypięte identyfikatory, które wręczały przybywającym dwie przemiłe wnuczki Grzegorza Średzińskiego. Każdy otrzymał ponadto program zjazdu oraz wykaz uczestników zjazdu z numerem pokoju oraz telefonu.

Okolo godziny 15,00 prawie w komplecie pojechaliśmy podstawionym autokarem do centrum Dusznik na mszę świętą w intencji uczestników zjazdu oraz zmarłych kolegów. Przyznać należy, że msza była odprawiana przez młodego kapłana a kazanie wyjątkowo trafnie skierowana do nas. Po mszy wykonaliśmy zdjęcia grupy uczestniczącej we mszy św. przed ołtarzem. Następnie autokarem udaliśmy się do hotelu gdzie niezwłocznie rozpoczęło się uroczyste rozpoczęcie zjazdu. Na początku każda koleżanka i osoba towarzysząca płci pięknej otrzymała czerwoną różę.

Słowo wstępne skierował do uczestników gospodarz zjazdu Grzegorz Średziński oraz inicjator zjazdu Aleksander Komorowski. Następnie Ryszard Łukasiewicz odczytał przesłanie Jana Pająka z Nowej Zelandii do uczestników zjazdu. Jego treść została wysłuchana ze wzruszeniem. Potem każdemu z absolwentów głos udzielał Zdzisław Bańkowski. Poszczególne wypowiedzi miały trwać 1 minutę i w ciągu tego czasu należało opisać okres ostatnich 40-tu lat. Było to zadanie trudne ale nie niemożliwe dla absolwentów naszego rocznika. Często gospodarz zjazdu dyscyplinował gadatliwych kolegów dzwonkiem.

Zaraz po godzinie 19,00 zjawiał się zamówiony fotograf który wykonał nam zbiorowe zdjęcie, a po upływie kolejnych dwóch godzin każdy z nas miał w rękach gotowe zdjęcie.

O godzinie 20,00 po przygotowaniu sali oraz zespołu muzycznego, rozpoczął się bankiet. Bankiet przebiegał na luzie. Często przypominając wydarzenia jakie miały miejsce w okresie studiów tj. latach 1964-1970. Kolega Aleksander Komorowski odczytał treść przyrzeczeń uczestników III zjazdu „Duszniki-Zdrój 2010” które zebrani zaakceptowali, a mianowicie:

Czy przyrzekacie:

- conajmniej raz w roku wspominać mile spędzone chwile na tym spotkaniu – przyrzekamy,
- przyjeżdżać na następne spotkania, jeżeli zdrowie dopisze i fundusze będą wystarczające – przyrzekamy,
- utrzymywać kontakty między koleżankami i kolegami obecnymi na tym spotkaniu – przyrzekamy,
- czynić starania, aby nawiązać kontakty z koleżankami i kolegami nieobecnymi na tym spotkaniu i spowodować aby wzbogacili grono następnych spotkań – przyrzekamy,
- mile wspominać ciekawe i w miarę prawdziwe chwile z okresu studiów i przekazywać je innym – przyrzekamy.

Trzeba zaznaczyć, że przebieg bankietu był urozmaicany występami kolegów, szczególnie należy wymienić solowy śpiew Janusza Rutańskiego oraz Jerzego Szczerbiny, który akompaniując na akordeonie śpiewał. Wszyscy uczestnicy otrzymali śpiewniki wydane przez Politechnikę Wrocławską, które ułatwiały wspólne śpiewy oraz okolicznościowe znaczki wydane przez politechnikę. Wspólny bal zakończył się ok. godziny 3,00, a niekiedy w podgrupach trwał do białego rana. Po krótkim odpoczynku trwającym od 3 do 6 godzin odbyło się wspólne śniadanie na którym organizatorzy wręczyli pamiątkowe dyplomy każdemu z absolwentów.

Pod koniec śniadania Aleksander Komorowski podziękował wszystkim aktorom (uczestnikom) zjazdu, za zaufanie jakim obdarzyli organizatorów ze szczególnym podziękowaniem dla Marii Pogost, Janusza Rutańskiego oraz Jerzego Szczerbiny.

Wręczył w imieniu uczestników zjazdu podziękowanie za przygotowanie zjazdu: gospodarzowi spotkania Grzegorzowi Średzińskiemu, skarbnikowi Janowi Kolendzie oraz Zdzisławowi Bańkowskiemu.

Pod koniec śniadania rozpoczęła się dyskusja o kończącym się zjeździe oraz o planach zorganizowania następnych zjazdów, bowiem w okresie minionych 40 - tu lat odbyło się zaledwie trzy (1980 r, 1995 r, i obecny 2010 r. !!!!!!!). Ustalono następny zjazd w maju 2012 roku, sugerując aby obecni organizatorzy przystąpili do organizacji pod koniec 2011 roku.

Dodatkowo uczestnicy zjazdu otrzymali ufundowane przez Burmistrza Dusznik naszego kolegę Grzegorza Średzińskiego, materiały promujące miasto w którym odbywaliśmy III zjazd. Do wspólnego obiadu o godzinie 14,00 trwały spacer, strzelanie na pobliskiej strzelnicy oraz dyskusje w małych grupach dotyczące szczególnie wspomnień z okresu studiów bądź okresu po studiach. Odnotować należy, że obecność zaproszonych gości znacząco wpłynęła na przebieg zjazdu.

Miło było słuchać, że organizatorzy zjazdu zorganizowali tak miłą atmosferę, program. Takie słowa wypowiedane przez poszczególne osoby są nagrodą dla organizatorów tego zjazdu i mobilizujące dla przyszłych organizatorów następnych zjazdów. Podczas zjazdu organizatorzy udostępniili okolicznościową pieczęć, którą można było oznakować otrzymane pamiątki.

Do zobaczenia na IV zjeździe w maju 2012 roku.

Uczestnik zjazdu AGK

Ewentualne uwagi, sprostowania można przesłać na adres e-mail agk13@onet.pl

Zdjęcie 3 (Courtezy Aleksander Komorowski). Zbiorowe zdjęcie uczestników III zjazdu absolwentów Wydziału Mechanicznego Politechniki Wrocławskiej 1970. Duszniki-Zdrój 22 i 23 maja 2010 roku.

Pokazani na zdjęciu: 1. Edward Barzycki, 2. Ryszard Kaczmarek – gość zjazdu, 3. Osoba towarzysząca Ryszardowi Kaczmarekowi, 4. Maria Pogost (Mara Fox), 5. Osoba towarzysząca Stanisławowi Mendelowskiemu, 6. Stanisław Mendelowski, 7. Osoba towarzysząca Józefowi Chabińskiemu, 8. Józef Chabiński, 9. Aleksander Komorowski, 10. Osoba towarzysząca Ryszardowi Łukasiewiczowi, 11. Janusz Mstowski, 12. Bożena Ciałkowska (Brzozowska), 13. Zdzisław Bańkowski, 14. Halina Szaro (Chlebosz), 15. Józef Choroba, 16. Bernard Dudek, 17. Stanisław Kaczmarczyk, 18. Janusz Krassowski, 19. Stanisław Banerski (Bania), 20. Ś.P. Kazimierz Grzelak, 21. Maciej Rusin, 22. Kazimierz Miernicki, 23. Ryszard Łukasiewicz, 24. Henryk Górgól, 25. Waldemar Dziurzyński, 26. Jerzy Hołydyk, 27. Wiesław Jabłoński, 28. Janusz Kwasecki, 29. Andrzej Patocki, 30. Osoba towarzysząca Romanowi Sperzyńskiemu, 31. Ś.P. Roman Sperzyński, 32. Janusz Rutański, 33. Andrzej Golenko, 34. Mieczysław Pytel - gość zjazdu, 35. Żona Józefa Pielorza, 36. Józef Pielorz, 37. Janusz Szymkowski, 38. Jan Kolenda, 39. Jerzy Szczerbina, 40. Czesław Medyński, 41. Krzysztof Janik, 42. Jan Zakrzewski, 43. Bogdan Helka, 44. Grzegorz Średziński, 45. Marek Przygodzki, 46. Mieczysław Cisko, 47. Janusz Dziuk, 48. Tadeusz Łosik, 49. Żona Janusza Bondyry, 50. Janusz Bondyra.

* * *

Uwaga: aby przypomnieć sobie "kto jest kto" na powyższym zdjęciu, wystarczy kliknąć na

poniższy guzik który zawiera numery z tego wykazu ponanoszone na poszczególne osoby na zdjęciu.

Powyższe zdjęcie jest udostępniane w aż tak dużej rozdzielczości (tj. zajmującej około 7 MB), że twarz każdego uczestnika zjazdu daje się wyraźnie powiększyć do wielkości przy której twarz ta wypełni cały ekran komputera i ciągle jest ostro widoczna. Dlatego jeśli oglądający życzy sobie przeanalizować powiększenie powyższego zdjęcia, np. aby przypomnieć sobie rysy twarzy poszczególnych uczestników zjazdu, wówczas może dokonać tego w dużej rozpiętości powiększeń i to aż na kilka odmiennych sposobów. Pierwszy sposób (1) polega na kliknięciu na owo zdjęcie - co spowoduje pojawienie się powiększalnej wersji tego zdjęcia w odrębnym okienku, gdzie oglądający będzie mógł je powiększać z pomocą narzędzi wbudowanych do jego internetowej przeglądarki. (W nowych przeglądarkach narzędzia te przyjmują zwykle wygląd małej "lupki" z plusem w środku, pojawiającej się na dolnym marginesie okienka z tym zdjęciem. Po kliknięciu na tą "lupkę" i następnym kliknięciu na zdjęcie, zdjęcie to zostaje powiększone.) Drugi sposób (2) polega na kliknięciu na następujący (zielony) guzik linku:

- co otworzy nowe niewielkie okienko z powiększalną wersją powyższego zdjęcia, jakie to okienko daje się potem złapać myszą za prawy dolny róg i powiększyć do dowolnych rozmiarów. Po instrukcję powiększania i przemieszczania owego nowo-otwierającego się okienka kliknij na guzik

(odnotuj że zasady tego powiększania i przemieszczania fotografii są też wyjaśniane na początku okienek jakie się otworzą po kliknięciu na guzik "Bóg a cierpienia" z punktu #F1 poniżej, lub guzik "radościach po 60-tce" z punktu #G2 przy końcu tej strony). Trzeci sposób (3) powiększenia tego zdjęcia polega na załadowaniu jego kopii do własnego komputera i następnym oglądaniu we własnym komputerze z pomocą jakiegoś posiadanego w nim programu pozwalającego na powiększanie analizowanych zdjęć, np. "My computer", "Windows Explorer", "Microsoft Photo Editor", "Paint", itp. Ten sposób umożliwia uzyskiwanie najwyższych i najostrzejszych powiększeń. Istnieje wiele sposobów załadowania kopii tego zdjęcia do swego komputera (np. wystarczy kliknąć myszą na symbol dyskiety który pojawia się w górnym-lewym narożniku tego zdjęcia kiedy wjedziemy na nie myszą, poczym wykonać instrukcje jakie się pojawiają) - warto przy tym wiedzieć, że do zdjęć wirusy komputerowe NIE mogą się doczepiać. Ostatni zaś sposób (4) oglądnięcia powiększenia tego zdjęcia polega na odwiedzeniu dowolnej innej strony internetowej jaka też udostępnia powyższe zdjęcie w jego wersji o wysokiej rozdzielczości pozwalającej na rozróżnianie rysów twarzy. Osobiście z przyjemnością rekomendowałbym do oglądnięcia w tym celu strony czasopisma "PRYZMAT" wydawanego przez naszą rodzimą uczelnię, Politechnikę Wrocławską. W swoim numerze 239, na stronach 72 i 73, pokazuje ono również powyższe zdjęcie uczestników Zjazdu naszego Roku w Dusznikach w 2010 roku, oraz prezentuje opis tego spotkania. Oczywiście, tamta strona czasopisma PRYZMAT jest przygotowana profesjonalnie, stąd rozdzielczość pokazanego tam zdjęcia też jest równa rozdzielczości zdjęcia jakie ja pokazuję na moich stronach. Ponadto, czasopismo PRYZMAT w ciekawy i rzetelny sposób informuje o nowinach związanych z Politechniką Wrocławską, stąd kiedy raz ktoś je odwiedzi, jak magnes będzie ono go potem przyciągało po następne nowiny. Aby oglądać sobie to zdjęcie i strony 72 i 73 z czasopisma PRYZMAT, trzeba najpierw uruchomić jego witrynę np. poprzez kliknięcie na następujący link z jego adresem jaki używało ono w 2010 roku: www.pryzmat.pwr.wroc.pl. Potem w dziale "Rok akademicki 2009/2010" należy kliknąć na PDF egzemplarz owego numeru 239, tj. kliknąć na wiersz "Pryzmat 239.pdf". Zdjęcie i opis III Zjazdu znajduje się w owym numerze 239 na stronach 72 i 73.

#B4. Zjazd z okazji 100-lecia Politechniki Wrocławskiej - piątek, 26 listopada 2010 roku:

W piątek, dnia 26 listopada 2010 roku, na Politechnice Wrocławskiej rozpoczął się dwudniowy "Światowy Zjazd Absolwentów" z okazji obchodów 100-lecia istnienia tej

uczelni. Niniejszym mam więc przyjemność poinformować, że w zjeździe tym uczestniczyła też pięcio-osobowa (wyłącznie męska) reprezentacja naszego roku. Oto zdjęcie naszych reprezentantów:

Zdjęcie 4 (Courtezy Grzegorz Średziński). Zbiorowe zdjęcie reprezentantów naszego roku na "Światowym Zjeździe" z okazji 100-lecia Politechniki Wrocławskiej. Wykonane we Wrocławiu, w piątek dnia 26 listopada 2010 roku, cyfrowym aparatem "Nikon Coolpix".

Pokazani na zdjęciu są (wymieniam tylko mężczyzn, licząc od lewej ku prawej):

1. Andrzej Kruszyna, 2. Staszek Przeworek, 3. Leszek Mozyrko, 4. Staszek Banerski (Bania), 5. Grzesiek Średziński. Trzy dziewczyny też obecne na zdjęciu są "Hostesses'ami Zjazdu", tj. studentkami czwartego i piątego roku naszej Politechniki jakie pomagały w organizacji Zjazdu i uświetniały swoją obecnością oficjalną część Zjazdu.

Jeszcze jedno zdjęcie trzech uczestników tego samego Zjazdu 100-lecia (tj. Staszka Przeworka, Staszka Banerskiego (Banię), oraz Andrzeja Kruszyny) zostało wystawione jako "zdjęcie 6" na stronie Andrzeja Kruszyny. Na tamtym zdjęciu polecam szczególnej uwadze tzw. "orb" - który zdaje się zawisać tuż przy czapce Andrzeja Kruszyny i który wcale NIE jest "plamą na kliszy" (jak niektórzy "orby" te nazywają) ponieważ zdjęcie owo też wykonane zostało aparatem cyfrowym "Nikon Coolpix" (kliknij na niniejszy (zielony) link aby tutaj zobaczyć to zdjęcie z orbem). Niektórzy badacze UFO wierzą, że owe "orby" są to rodzaje miniaturowych, bezzałogowych, sterowanych komputerowo wehikułów UFO. Tą ich naturę wehikułów UFO najlepiej ujawnia spora już liczba takich "orbów" utrwalonych na wideo i wyraźnie tam ujawniających jak szybko i jak "inteligentnie" one latają - np. nocami świecąc intensywnie i "bawiąc się" z obserwującymi je ludźmi. Orbom tym poświęcono już aż cały szereg filmów i programów dokumentacyjnych okazyjnie pokazywanych w telewizji. Omawia je także sporo moich stron internetowych. Przykładowo, raporty ich naocznych obserwatorów przytoczone są, m.in., w punkcie #E3.2 na stronie o nazwie newzealand_pl.htm, czy w punktach #I1 i #I3 na innej stronie o nazwie explain_pl.htm. Z kolei swoje zdjęcia takich orbów też uchwyconych aparatem cyfrowym pokazałem m.in. jako "Fot. #G1ab" i "Fot. #G2ab" na stronie o nazwie landslips_pl.htm. (Te "moje" orby były fotografowane w plenerze, w naturalnym świetle ale pod nieobecność słońca na znacząco zachmurzonym niebie, oraz pod nieobecność jakichkolwiek źródeł sztucznego światła - wyjaśniam te szczegóły na wypadek gdyby ktoś np. twierdził że owe "orby" są powiedzmy refleksjami żarówek.)

Część #C: Aby móc być w kontakcie, konieczne jest udostępnienie swego emaila:

#C1. Jeśli komuś z koleżanek lub kolegów zawieruszyły się adresy reszty naszego roku, ja mam je wszystkie i mogę je dostać na życzenie:

W miarę jak nasz wiek się zwiększa, otaczające nas przedmioty coraz częściej płatają nam figle. Gdyby więc się zdarzyło że komuś z naszego roku zaginę adresy do reszty z nas, wówczas proszę do mnie napisać (najlepiej szybki email), lub zadzwonić, zaś ja chętnie doślę lub przedyktuję te adresy. Moje dane kontaktowe podane są w punkcie #69 z części #D poniżej na tej stronie.

#C2. Dlaczego mimo wszystko warto dodać swój email do wykazu kontaktów z niniejszej strony:

Każdy z nas wchodzi obecnie w raczej nietypowy okres życia. Odejście na emeryturę i nagle odzyskanie całego tego wolnego czasu, układanie sobie własnego życia przez nasze dzieci, pojawienie się starczych dolegliwości, konfrontowanie naszej śmiertelności, filozoficzne rozważania i dylematy typu "a co potem", itd., itp. Oczywiście, w takich czasach dobrze jest utrzymywać więzi ze swoimi dawnymi kolegami z roku. Wszakże oni są w dokładnie tej samej co my sytuacji. Konfrontują oni też dokładnie te same co my dylematy, kłopoty, uczucia, dolegliwości, problemy, obawy, zapytania, itp. Naprawdę warto

więc dodać swój email lub inny kontakt do wykazu kontaktów z tej strony. Warto też napisać jakiś email do tych z naszych dawnych kolegów, których kontakt został już poniżej przytoczony. Wszakże w kupie wszystko przychodzi różniej.

Tak się jakoś składa, że jako jeden z nielicznych naukowców na świecie dokonywałem badań tego czym w nadchodzącej sytuacji wielu z nas zacznie teraz szczególnie się interesować. Wszakże moja teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji wykazuje jednoznacznie że poza naszym "światem fizycznym", na końcu grawitacyjnego dipola ukrywa się jeszcze inny odrębny świat, zwany "przeciwswiatem", wypełniony unikalną substancją posiadającą cechy "płynnego komputera". Wyniki swych badań opublikowałem aż na kilku powszechnie-dostępnych stronach internetowych, np. patrz strona o nazwie [dipolar_gravity_pl.htm](#). Aczkolwiek więc tzw. "pewność" i "przekonanie", to coś co każda osoba musi wypracować oddzielnie sama dla siebie, być może iż naukowy materiał dowodowy jaki zdołałem zgromadzić okaże się przydatny dla znajdowania odpowiedzi na pytania i dylematy jakie w naszej obecnej sytuacji wszyscy konfrontujemy. Ponadto ów materiał dowodowy dostarcza podstawy do ewentualnego podjęcia konstruktywnej i pozbawionej uprzedzeń dyskusji. Dlatego, tak na wszelki wypadek, przytaczam tutaj (zielone i podkreślone linki na które wystarczy klikać myszą) do najważniejszych z owych stron z materiałem dowodowym. Oto one:

Kliknięcie na niniejszy zielony link do strony [god_proof_pl.htm](#) zaprezentuje zainteresowanym czytelnikom opisy formalnego dowodu naukowego, a także rozliczny podpierający materiał dowodowy, jakie wszystkie jednoznacznie dokumentują, że na przekór stwierdzeń oficjalnej nauki ziemskiej jednak Bóg istnieje.

Kliknięcie na niniejszy zielony link do strony [soul_proof_pl.htm](#) otworzy opisy naukowych dowodów ujawniających że mimo wszystko ludzie posiadają nieśmiertelną duszę.

Kliknięcie na niniejszy zielony link do strony o nazwie [immortality_pl.htm](#) wyjaśni zasadę na jakiej daje się zbudować wehikuły czasu. Wszakże "wehikuły czasu" oddają ludziom do rąk dostęp do nieśmiertelności. Mając takie wehikuły czasu wystarczy bowiem aby każda osoba po osiągnięciu wieku starczego powtarzalnie cofała się do lat swojej młodości, poczym ponownie mogła przeżywać od nowa całe swoje życie. Zamiast więc zniknąć z grona żyjących aby przenosić się do innego świata umiejscowionego na drugim końcu grawitacyjnego dipola (tj. zamiast przenosić się w "zaświaty"), posiadacze "wehikułów czasu" znikaliby z naszych czasów aby ponownie pojawić się około 60 lat temu. Owa strona [immortality_pl.htm](#) opisuje także szeroki materiał dowodowy na potwierdzenie że czas daje się cofać do tyłu, że wehikuły czasu daje się zbudować, a także że podróże w czasie są realistyczne. Najprostszy z owych dowodów opisany jest tam w punktach #D1 i #D2. Wskazuje on proste zjawisko jakby pozornego nawracania i cofania się do tyłu szybko zawirowywanych przedmiotów (które niemal każdy widział już w swoim życiu), jakie dowodzi że upływ czasu ma charakter skokowy - taki jak każdy ludzki program komputerowy. Dowód na poprawność opisanej w w/w stronie zasady działania "wehikułów czasu" zawarty w Biblii, omówiony jest tam w punktach #D5 do #D5.3. W końcu istnieje też sfilmowany dowód, że "wehikuły czasu" już od dawna operują na Ziemi. Przyjmuje on formę sfilmowanej kobiety używającej telefonu komórkowego już w 1928 roku - czyli w ponad 50 lat przed czasami wynalezienia i wdrożenia tego telefonu. Film ten opisany jest i linkowany w punkcie #D6 w/w strony [immortality_pl.htm](#).

#C3. Nie bójmy się włączyć swego aktualnego emaila do niniejszej strony:

Żyjemy w czasach szerzenia publicznych panik oraz wzajemnego straszenia się. Politycy straszą nas wojnami, ekonomiści - kryzysami, medycy - pandemiemi, tzw. "fałszywi prorocy" - jakoby niedługo już nadejściem "końca świata" (po więcej szczegółów o owym rzekomym "końcu świata" patrz punkt #B8 na stronie o nazwie [seismograph_pl.htm](#)), telewizja straszy nas "oszustwami emailowymi", itp., itd. Nic dziwnego że ci z nas co mają czas aby oglądać dzisiejsze programy telewizyjne mogą posądzać iż emaile są największym złem jakie nastąpiło na Ziemi od czasów biblijnych plag.

Zapewne nie muszę jednak tutaj wyjaśniać, że owo straszenie w telewizjach o

rzekomych niebezpieczeństwach publicznego podania swego emaila, jest wysoce wyolbrzymiane. Wszakże jedyne co nam wówczas zagraża to że ktoś niepowołany wyśle nam email. W takim jednak wypadku wcale NIE musimy na email ten odpowiadać. Z mojego prywatnego doświadczenia wynika, że jedynym faktycznym niebezpieczeństwem jakie na nas sprowadza publiczne podanie swego emaila, jest że ktoś może nam wysłać zdjęcie jakiejś nagiej piękności, zaś my musimy potem gęsto się tłumaczyć swojej żonie - jeśli to przy niej przypadkowo otworzymy taki email. Inne emailowe niebezpieczeństwa jakie często opisują w telewizji, takie jak np. tzw. "spam" (czyli otrzymywanie emaili od nieznanych nam osób), czy "scam" (czyli próby oszustów najróżniejszych maści aby emailowo namówić nas np. na zainwestowanie naszych pieniędzy w jakimś nieistniejącym banku czy przedsięwzięciu z Afryki), są zupełnie niegroźne - jeśli tylko używamy zdrowego rozsądku przy czytaniu otrzymywanych emailów oraz jeśli trzymamy się zasady aby nigdy NIE otwierać załączników które przyszły z emailami nieznanymi nam osobnikom.

Rzeczywistość w sprawie emailów faktycznie jest taka, że podobnie jak wszystko inne, owszem emaile i internet też mają swoje wady - jednak są równocześnie wysoce użyteczne. Wszakże pozwalają one utrzymywać kontakt szybko, tanio i wygodnie w sytuacjach kiedy normalnie nie pozwoliliśmy sobie na pozostawanie w kontakcie. Pozwalają one także wymieniać łatwo informacje i uzgodnienia, udostępniać innym nasze zdjęcia, opisy, dane i dowcipy, oraz dokonywać dziesiątków innych działań bardzo na czasie w naszej sytuacji. Wszystko zaś co nam potrzeba abyśmy mogli tak trzymać się razem, to poumieszczać nasze adresy emailowe na tej stronie - tak aby inni z naszego roku mieli możliwość aby do nas napisać.

Warto tutaj też wspomnieć, że jeśli ktoś faktycznie boi się jawnego podania na tej stronie swego prywatnego adresu emailowego, lub jeśli posiada jedynie email do pracy którego jego pracodawca zabrania używać w celach prywatnych, wówczas ciągle istnieje jeszcze inne wyjście. Mianowicie, każdy może wyrobić sobie specjalny "darmowy" adres emailowy - który daje się potem przeznaczyć wyłącznie do publicznego użytku i do opublikowania na tej stronie. Wszakże w internecie istnieją serwery które rzeczywiście za darmo wszystkim chętnym oferują własny adres emailowy. Jeśli zna się język angielski, wówczas adres taki można dla siebie założyć nawet na najlepszym z takich darmowych serwerów - który ma adres gmail.com (ja sam też używam ten właśnie email). Natomiast jego niemal równie dobry polski odpowiednik ma adres poczta.wp.pl. Po wejściu na taki serwer (np. poprzez kliknięcie na powyższy jego zielony adres) wystarczy wypełnić mały formularz i już się ma swój własny darmowy adres internetowy. Adres ten potem można opublikować już bez obaw na niniejszej stronie - tak aby za jego pośrednictwem utrzymywać kontakt z resztą naszego roku.

Ze wszystkich firm oferujących darmowe emaile, dla Polaków najbardziej atrakcyjna jest poczta.wp.pl. Ich emaile są naprawdę dobre i mają cały szereg zalet. Przykładowo, mają one wersję która jest całkowicie bezpłatna - stąd jej użytkownicy NIE muszą się obawiać że kiedykolwiek przyjdzie za nią rachunek do zapłacenia. Ich emaile wcale NIE są "przywiązane" do jakiegokolwiek konkretnego komputera, stąd emaile te można sobie przeczytać z dowolnego komputera na całym świecie, z dowolnego też komputera można pisać i wysłać ich emaile. Z adresu m.poczta.wp.pl udostępniane są też emaile telefonom komórkowym (ale przychodzi to trudniej niż z użyciem komputerów). Wszystkie komendy, guziki i wyświetlane wiadomości są tam napisane po polsku - NIE ma więc kłopotów ze zrozumieniem co właśnie się czyni. Ma on też krótki i łatwy do zapamiętania adres - jaki bez trudności każdy użytkownik może sobie zapamiętać i potem podawać każdemu kogo przypadkowo spotka. Adres bowiem ich emaila typowo składa się z jednego wyrazu (tj. z tzw. "login" albo "alias") który użytkownik sam sobie wymyśla, np. nadając mu formę albo jakiegoś egzotycznego imienia, albo też np. "składanki" z fragmentów swego nazwiska i imienia. Potem jest owa "małpa" - czyli angielski znak "at" (tj. @), potem zaś skrót "wp" od "Wirtualna Polska" (tj. od nazwy firmy w Gdańsku będącej właścicielką owych darmowych emailów), kropka, oraz "pl" oznaczający Polskę.

Do dzieła więc ci z kolegów i koleżanek, którzy jeszcze NIE podali mi swoich najbardziej aktualnych emailów do umieszczenia na niniejszej stronie. Pozakładajmy i

powysyłajmy więc wreszcie te adresy do umieszczenia na tej stronie (po mój adres patrz punkt #69 w "części #D" poniżej), oraz złączmy się ze sobą kontaktować nieco częściej niż dotychczas.

#C4. Polska stworzyła idealne warunki dla pisania emailów i dla użytku internetu przez emerytów - skorzystajmy więc z tych warunków:

Polska jest obecnie jednym z ogromnie rzadkich krajów na świecie, które zachęcają jak mogą swoich emerytów do używania emailów i internetu - a więc zachęcają również do gimnastykowania umysłu i utrzymywania wysokiej sprawności umysłowej. Przykładowo, w Polsce niemal w każdej bibliotece publicznej emeryci mogą używać komputery i internet zupełnie za darmo. Nie ma przy tym żadnych formalności. Po prostu przychodzi się do biblioteki, "dzień dobry - jestem emerytem, czy mogę "posurfować" na Państwa darmowym internecie dla emerytów? Tak proszę bardzo, ten niedaleko od ciepłego kaloryfera jest akurat wolny". Jeśli kogoś interesuje więcej na ten temat, może sobie poczytać np. na stronie www.biblioteka.wroc.pl aby się lepiej zorientować w temacie. Na dodatek do bibliotek, darmowy dostęp do internetu zwykle oferują emerytom w miastach Polski urzędy miast, oraz tzw. "Kluby Seniora" - czyli przykładowe kluby w których gromadzą się emeryci danego zakładu. Darmowy internet jest też dostępny na wielu lotniskach (lotniska mają bowiem komputery z internetem do użytku swych pasażerów), a także w centrach poszukiwania pracy, w instytucjach telekomunikacyjnych - np. darmowe komputery i internet mogą być dostępne w centralach telefonicznych, w przedstawicielstwach telefonów komórkowych, u firm dostarczających usług internetowych, itp. Warto tutaj dodać, że w wielu innych krajach, np. w Nowej Zelandii, emeryci NIE otrzymują niemal niczego za darmo, zaś np. za dostęp do komputerów i do internetu muszą oni tam płacić - tak jak płaci każdy inny użytkownik.

Dostęp do internetu i do emailów można też sobie wynająć za niewielką opłatą w tzw. "Cyber Cafe" które istnieją w niemal każdym miasteczku Polski. W Polsce opłata za takie wynajęcie internetu podobno wynosi tylko około 3 złote za godzinę (3 zł/h) - dla porównania, np. w Cyber Cafe Nowej Zelandii typowo płaci się około 5 \$/h.

Jeśli ktoś ma własny komputer zwany "laptop" z płytką do bezprzewodowego dostępu do internetu (po angielsku "wireless internet"), wówczas darmowy internet można też znaleźć w wielu powszechnie znanych miejscach. Przykładowo, tylko we Wrocławiu miejsca takie znajdują się m.in: w Rynku, w pobliżu pomnika Chrobrego, w pobliżu Panoramy Racławickiej, na korytarzach Politechniki Wrocławskiej, w hipermarkecie AUCHAN.

Tak więc koleżanki i koledzy. Skoro w Polsce panują aż tak dogodne warunki dla używania emailów i internetu, aż się prosi abyśmy je używali dla własnego dobra, dla dobra naszych umysłów, oraz dla dobra odbiorców naszych emailów.

#C5. Używanie emailów ma niezliczone zalety jakich warto być świadomym:

W miarę jak nasz rocznik zwolna opuszcza grono ludzi zatrudnionych, dobrze jest podjąć gimnastykę aktywności umysłu m.in. poprzez dokonywanie czegoś, co jest wyzwaniem dla naszej wiedzy. Najdoskonalszym zaś sposobem aktywizowania swego umysłu, jest używanie komputerów - np. w celu prowadzenia korespondencji i wymieniania myśli z innymi mieszkańcami naszego kraju i globu. Pozwala to nam m.in. dowiedzieć się dokładniej co słychać u naszych dawnych kolegów z klasy i jak wyglądały ich lata pomiędzy czasem kiedy ich ostatnio widzieliśmy, a dniem dzisiejszym.

Ponadto, używanie emailów zwalnia nas też od konieczności pisywania tradycyjnych listów. Tradycyjnie listy pisane mają wszakże całą masę wad, których NIE mają emaile. Przykładowo, jeśli ja wyślę list z Nowej Zelandii do kogoś w Polsce, wówczas na odpowiedź typowo muszę czekać około pół roku, bowiem tylko na drogę w jedną stronę list taki potrzebuje czasami parę miesięcy. Tymczasem jeśli napiszę i wyślę email, wówczas niezależnie od odległości do adresata, czasami odpowiedź na niego otrzymuję jeszcze zanim zdążę zakończyć dane posiedzenie przy komputerze i zanim wstanę od niego do jakiegoś innego zajęcia. Zdecydowana zaś większość emailów otrzymuje odpowiedź już na

następny dzień. Listy trzeba pisać i wysyłać oddzielnie do każdego nadawcy, zaś ten sam email można wysłać naraz do setek odbiorców - co ma duże znaczenie np. w czasie rozsyłania życzeń świątecznych, zdjęć, czy jakichś istotnych zwiadomień. Do listu NIE bardzo daje się załączyć czegoś bez dodatkowej opłaty i bez większej koperty, zaś w załączniku do emaila można wysłać za darmo nawet kilka książek, wideo, czy nawet cały album ze zdjęciami. Warto też pamiętać o kłopotliwości zwykłej korespondencji listowej, która wymaga aby najpierw napisać ów list, potem go wydrukować na drukarce komputerowej (której np. ja NIE mam, a stąd muszę do tego wynajmować odpłatną drukarkę w "Cyber Cafe"), potem trzeba zaadresować kopertę, potem np. ja muszę celowo wybrać się na pocztę i czekać tam w długiej kolejce po znaczek, itd., itp. Nie wspomnę już tutaj że mnie tylko sam znaczek z Nowej Zelandii do Polski kosztuje teraz (tj. w 2010 roku) w NZ 2 dolary i 30 centów, czyli odpowiednik dużej, soczystej kanapki w "McDonald", lub niemal połowy godziny używania komputera w "Cyber Cafe" (w którym to czasie jestem tam w stanie wysłać w świat aż kilkadziesiąt emailów). Z powyższych powodów postanowiłem że powinienem zareklamować każdemu w wieku ponad 60 lat, aby zaczęli używać emaile. Wszakże będzie to utrzymywało przy sprawności ich umysły, a ponadto dopomoże też wszystkim "otrząsnąć się" z komputerami i zacząć również np. tzw. "surfing po internecie".

Ja wiem że dla wielu osób z mojego pokolenia - tj. urodzonych w 1946 roku, lub nawet wcześniej, perspektywa posiadania i używania własnego emaila budzi wręcz zgrozę. Jednak wszelkie obawy są tu niepotrzebne, bowiem emaile to ogromnie prosta sprawa, którą nawet dzisiejsze dzieci z łatwością opanowują. Jeśli więc ktoś, np. skończył naszą ogromnie trudną i wymagającą uczelnię, zaś naprawdę chce się nauczyć emailowania, NIE będzie miał z tym żadnej trudności. Potrzebny jest mu tylko "dobry nauczyciel". Kiedy zaś ktoś pozna jak używać email, pozna też jak odwiedzać czyjeś strony internetowe - bowiem znajdowanie ciekawych stron internetowych i "surfowanie po internecie" jest dokładnie takie same jak "załogowanie" się do emaila. Jestem też świadom że osoby z naszego pokolenia mają jakiś rodzaj "psychologicznej niechęci" do używania komputerów i emailów. Niechęć tą można jednak (i trzeba) w sobie przełamać, bowiem komputery i emaile naprawdę mają cały szereg istotnych zalet i dosłownie "przybliżają do nas cały świat". Faktycznie to kiedy pisze się do kogoś emaile, wówczas działa to tak szybko i efektywnie jakby ten ktoś był tylko od nas za ścianą - a nie np. na przeciwnym końcu świata. Ponadto, po opanowaniu umiejętności pisania emailów, można potem przejść do następnego poziomu internetowej komunikacji, tj. do łączności głosowej i wizualnej, np. używając słynny program zwany SKYPE. W ten sposób, z pomocą komputera i internetu za darmo można sobie porozmawiać głosowo z dowolną inną osobą też używającą komputera i internetu, a na dodatek nawet widzieć tego z kim się rozmawia - czyli mieć na swoje usługi jakby bezpłatny system do "tele-konferencji". W końcu panuje błędne wierzenie, że aby używać emaile trzeba mieć swój własny kosztowny komputer i opłacać drogie wynajęcie internetu. To wierzenie też jest nieprawdą, bowiem jak się można przekonać z opisów punktu #C4 tej strony, wcale NIE trzeba mieć własnego komputera - jednak ciągle można mieć własny email, i to darmowy, zaś używać go np. w najbliższej bibliotece, "Klubie Seniora", czy "Cyber Cafe" - i to albo całkiem za darmo, albo też płacąc tam tylko "grosze" za każdą godzinę użycia komputera. Szczerze mówiąc, to ja też wcale NIE mam w domu komputera podłączonego do internetu, a jedynie używam komputery w "Cyber Cafe". (Ja mam w domu tylko stary komputer który jest zbyt stary aby się nadawał do podłączenia do internetu. To na nim dla zaoszczędzenia wydatków na "Cyber Cafe", piszę wszystkie swe emaile i wszystkie strony internetowe jakie redaguję (włączając w to niniejszą stronę). Potem jedynie emaile te i strony "kopiuje" oraz "wklejam" do internetu - co daje się czynić szybko i tanio. W rezultacie do Cyber Cafe wybieram się zwykle tylko raz na tydzień i płacę tam jedynie za godzinę jaką typowo mi zajmuje "wklejenie" i wysłanie wszystkich swych emailów i poaktualizowanych stron.)

Część #D: Imienne informacje i kontakty jakie posiadamy na temat poszczególnych z nas:

- #1. Stanisław Banerski (Bania):
Staszek mieszkał w Raciborzu a kilka lat temu przeniósł się do Warszawy. Adres jego emaila: s.banerski@wp.pl.
- #2. Zdzisław Bańkowski:
Zdzisław mieszka obecnie w Bystrzycy Kłodzkiej. Można się z nim skontaktować przez email: z.bankowski@onet.eu.
- #3. Edward Barzycki:
Losy rzuciły Edwarda do USA, gdzie mieszka w Chicago. Można się z nim skontaktować pod numerem telefonu domowego (0-01-773) 283-82-36. Posiada on też adres dla kontaktów emailowych, mianowicie: ed_barzycki@yahoo.com.
- #4. Wiesław Beres:
Losy rzuciły Wieśka do Kanady, gdzie przebywa do dzisiaj. Adres jego emaila: Wieslaw.Beres@nrc-cnrc.gc.ca.
- #5. Zbigniew Bieńkowski: ...
- #6. Roman Boesche: ...
- #7. Andrzej Boguski: ...
- #8. Janusz Bondyra:
Losy rzuciły Janusza do Kanady. W 2004 roku adres strony internetowej jego firmy produkującej katalizatory do samochodów (Emico Technologies Inc.) brzmiał www.emico-catalytic.com. Można się z nim skontaktować przez jego adres emailowy jbondyra@on.aibn.com.
- #9. Dr hab. inż. Bożena (Brzozowska) Ciałkowska:
Losy pozwoliły Bożenie pozostać na Politechnice Wrocławskiej, gdzie pracuje do dzisiaj w Zakładzie Obróbki Wiórowej, Ściernej i Erozyjnej (Z4) z Instytutu Technologii Maszyn i Automatyzacji. Jej profil zawodowy oraz dorobek opisane są na stronie internetowej jej instytutu, jaką dostępna jest pod adresem www.itma.pwr.wroc.pl. Jej zainteresowania badawcze obejmują badanie zjawisk występujących w procesie rozdzielania materiałów trudnoobrabialnych narzędziami strunowymi z nasypem ziaren diamentowych. Podstawy teoretyczno-doświadczalne przecinania strunowego. Technologie wytwarzania narzędzi strunowych oraz ustalenie warunków i parametrów cięcia materiałów trudnoobrabialnych. W dniu 18 listopada 2009 roku Bożena obroniła kolokwium habilitacyjne na temat "Cięcie struną zbrojoną materiałów trudnoobrabialnych". W chwili obecnej Bożena należy więc już do ekskluzywnego klubu ludzi z tytułem "dr hab."
Z Bożeną można się skontaktować pod numerem telefonu do pracy (071) 320-42-16 lub do laboratorium (071) 320-20-68 (od 9 do 17) lub telefonu domowego (071) 348-92-86, albo też poprzez jej adres emailowy Bozena.Cialkowska@pwr.wroc.pl.
- #10. Józef Chabiński:
Losy pozwoliły Józkowi mieszkać i pracować we Wrocławiu. Można się z nim skontaktować pod numerem telefonu do pracy (071) 324-54-54 (od 9 do 17) lub telefonu domowego (071) 324-91-57, albo też poprzez jego adres emailowy strategia@hydral.com.pl. Jego telefon komórkowy ma numer (0) 605-221-301.
- #11. Halina (Chlebosz) Szaro:
Aby skontaktować się z Haliną należy wysłać email na adres: hszaro@gazoprojekt.pl.

#12. Krzysztof Chodacki: ...

#13. Józef Choroba:

Adres jego emaila: j_choroba@op.pl.

#14. Mieczysław Cisło:

Mieczysław i jego żona Barbara mieszkają w Legnicy przy ulicy Asnyka. Można się z nimi skontaktować poprzez numer telefonu (01033 76) 722-57-11. Jego telefon komórkowy ma numer (0) 801-802-803. Adres jego emaila: mcislo@op.pl.

#15. Jan Ciejka: ...

#16. Czesław Czapla: ...

#17. Bernard Dudek:

Adres jego emaila: bernard.dudek@gmail.com.

#18. Prof. dr hab. inż. Edward, Stanisław Dzikowski:

Wszyscy możemy być dumni ze Staszka i jego osiągnięć. Możemy się z nim kontaktować pod numerem telefonu do pracy (071) 320-40-98 (od 9 do 17) lub telefonu domowego (071) 355-27-64, albo też poprzez jego adres emailowy edward.dzikowski@pwr.wroc.pl.

#19. Janusz Dziuk:

Adres jego emaila: janusz.dziuk@neostrada.pl.

#20. Waldemar Dziurzyński:

Losy rzuciły Waldka do USA, gdzie przebywa od połowy lat 1980-tych. Obecnie mieszka w Laguna Niquel, Kalifornia, USA. Możemy się z nim kontaktować pod numerem telefonu do domu 1 (949) 470-1616, albo też poprzez jego adres emailowy waldski@yahoo.com.

#21. Tadeusz D. Dżułyński: ...

#22. Jan Filar: ...

#23. Waldemar Garbarczyk: ...

#24. Andrzej Golenko:

Andrzej mieszka we Wrocławiu. Można się z nim skontaktować poprzez numer telefonu (071) 324-28-89. Jego adres emailowy jest jak następuje: andrzej.golenko@pwr.wroc.pl.

#25. Henryk M. Górgól:

Losy pozwoliły Heńkowi pracować we Wrocławiu. Jest wiceprezesem Zakładu Odlewniczego ALWRO S.A. we Wrocławiu, ul. Karwińska 1, tel. (071) 3427431. Można z nim się tam skontaktować pod emailem sekretariat@alwro.com.pl.

#26. Witold Grygowicz: ...

#27. Marian Grzegorek: ...

#28. Ś.P. Kazimierz Grzelak:

Losy rzuciły Kazika i jego żonę Elżbietę do Kalisza. Można tam się z nim było

skontaktować pod numerem telefonu (01033 62) 764-95-24. Kazik zmarł w dniu 4 listopada 2010 roku. Pochowany w dniu 6/11/2010 w Tłokini Kościelnej obok Kalisza.

#29. Adam Grzeszczuk: ...

#30. Roman Hajów: ...

#31. Bogdan Hełka: ...

#32. Jerzy Hołdyk:

W lipcu 2004 roku adres Jerzego był jak następuje ul. Zbożowa 13, 43-300 Bielsko-Biała. (Telefonu nie udało się ustalić.) Adres jego emaila: jerzy.holdyk@vp.pl.

#33. Witold Imiołczyk:

Witold mieszka we Wrocławiu. Można się z nim skontaktować pod numerem telefonu (071) 357-01-43.

#34. Wiesław J. Jabłoński:

W lipcu 2004 roku adres Wiesława był jak następuje ul. Kotlarska 11c m. 50, Katowice. (Telefonu nie udało się ustalić.) Można też próbować kontaktować się z nim emailowo poprzez adres jablonskiw1@wp.pl.

#35. Sw.P. Edward Jakubiszyn:

Niestety, Edward zmarł w 1999 roku. Był prezesem w Fabryce Maszyn Budowlanych FAMABA w Głogowie.

#36. Ryszard Janicki:

Ryszard mieszka obecnie w Szczecinie.

#37. Krzysztof Janik:

Losy rzuciły Krzysztofa i jego żonę Elżbietę do USA, gdzie mieszka niedaleko od Nowego Jorku. Kontakt z nim można uzyskać poprzez jego numer telefonu 315-446-8177, albo też poprzez jego adres emailowy. Do grudnia 2009 roku adres emailowy Krzysztofa był: cjanik@twcny.rr.com. Począwszy zaś od 21 grudnia 2009 roku założył on sobie nowe konto na Gmail, o adresie: kjanik@gmail.com.

#38. Jacek Jantura: ...

#39. Jerzy Jędrzejowski: ...

#40. Stanisław Kaczmarczyk:

Stanisław mieszka we Wrocławiu. Można się z nim skontaktować poprzez numer telefonu (071) 363-64-67. Adres jego emaila: lidia@post.pl.

#41. Wiesław L. Kamiński: ...

#42. Jerzy A. Kapelusz: ...

#43. Władysław Kapusta: ...

#44. Jerzy M. Kawecki: ...

#45. Jan Kolenda:

Kontakt z nim można uzyskać przez email: kimsc@onet.pl.

#46. Aleksander G. Komorowski:

Szanowne koleżanki i koledzy,

Pozwoliłem sobie napisać kilka słów po blisko 40-tu latach jakie upłynęły od ukończenia studiów na Wydziale Mechanicznym Politechniki Wrocławskiej w 1970 roku. Po ukończeniu studiów odbywałem roczny staż asystencki w jednym z Zakładów Instytutu Technologii Budowy Maszyn, który prowadził wspaniały szef i człowiek ówczesny doc. dr inż. Władysław Kaczmar.

Następnie pracowałem w dozorze jednej z kopalni Rybnickiego Okręgu Węglowego i potem na stanowisku kierowniczym w Przedsiębiorstwie Energetyki Ciepłej w Jastrzębiu-Zdroju. W 2010 roku osiągnąłem wiek dojrzały – czytaj emerytalny, pracowałem jednak dalej na tym samym stanowisku aż do 1 lipca 2010 roku.

Osiadłem w Jastrzębiu-Zdroju na stałe, posiadam okazały dom, wspaniałą żonę oraz dwóch synów.

W związku, że w 2010 roku minęło 40 lat od ukończenia wspólnych studiów, zaproponowałem z tego powodu zorganizowanie spotkania koleżanek i kolegów. Spotkanie to odbyło się w Dusznikach-Zdroju, było 2 dniowe, w dniach 22 do 23 maja 2010 roku.

Przesyłam pozdrowienia, życzę zdrowia i dalszej aktywności na polu odkrywania tajemnic naszego pobytu na tej wspaniałej planecie - ziemi.

Aleksander Grzegorz Komorowski

Mój telefon domowy (+48) 32-47-19-655 wieczorem; tel. kom. 0-531-041-381.

Email: agk13@onet.pl (przed odejściem na emeryturę w dniu 1 lipca 2010 roku, mój email był akomorowski@pecjastrzebie.com - jednak obecnie ten adres przestał już być ważny).

Do usłyszenia, a najlepiej do osobistego spotkania się jeszcze w tym wcieleniu
!!!!!!

#47. Fryderyk W. Koryciarz: ...

#48. S.p. Prof. dr hab. inż. Zbigniew Korzeń:

Niestety, Zbyszek odszedł od nas w 2003 roku, przy samym szczycie swojej kariery zawodowej. W chwili śmierci był już po habilitacji i otrzymał tytuł profesora. Jego grób znajduje się na cmentarzu komunalnym we Wrocławiu.

#49. Zygmunt Koszyczarek: ...

#50. Andrzej Kowalczyk: ...

#51. Janusz K. Krassowski:

Losy pozwoliły Januszowi mieszkać i pracować we Wrocławiu. Można się z nim skontaktować pod numerem telefonu do pracy (071) 33-484-40 (od 9 do 17) lub poprzez telefon/fax (071) 33-484-08, albo też poprzez adres emailowy do zakładu pracy temer@temer.pl. Jego sp.z.o.o (Temer) ma też własną stronę internetową o adresie www.temer.pl. Jego telefon komórkowy ma numer (0) 601-899-677.

#52. Andrzej Kruszyna:

Losy rzuciły Andrzeja do Radomia, gdzie prowadzi wysoce aktywne życie. Można się z nim skontaktować pod numerem telefonu domowego (048) 36-218-66, albo też poprzez jego adres emailowy a.m.kruszyna@wp.pl.

#53. Jan Krystian: ...

#54. Marian Kucharczyk: ...

#55. Janusz Kwasecki: ...

- #56. Tadeusz Łosik:
Losy rzuciły Tadzika do Głogowa. Można się z nim skontaktować pod numerem telefonu (076) 8334422 lub emaila tz.losik@op.pl.
- #57. Ryszard Łukasiewicz:
Adres jego emaila: ryszard.lukasiewicz@gmail.com.
- #58. Stanisław Masły: ...
- #59. Czesław Medyński:
Adres jego emaila: marylam@op.pl.
- #60. Stanisław Mendelowski: ...
- #61. Kazimierz Miernicki:
Adres jego emaila: k_miernicki@poczta.onet.pl.
- #62. Jerzy E. Michalak: ...
- #63. Mieczysław Michalczuk: ...
- #64. Leszek Mozyrko:
Losy pozwoliły Leszkowi mieszkać i pracować we Wrocławiu. Można się z nim skontaktować pod numerem telefonu do pracy (071) 341-65-01 (od 9 do 17) lub telefonu domowego (071) 368-70-72, albo też poprzez jego adres emailowy LMOz@op.pl. Jego telefon komórkowy ma numer (0) 605-993-940.
- #65. Janusz Mstowski:
Losy rzuciły Janusza do Sulechowa, gdzie wspina się na szczyty. Można się z nim skontaktować pod numerem telefonu do pracy na Uniwersytecie Zielonogórskim (068) 3282349 lub 3282454, lub na Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Sulechowie (068) 352-84-19; lub pod numerem telefonu domowego (068) 453-38-69. Można też napisać do niego na jego adresy emailowe j.mstowski@pwsz.sulechow.pl, lub j.mstowski@iizp.uz.zgora.pl. Jego telefon komórkowy ma numer (0) 601-93-45-11.
- #66. Romuald Niedziela: ...
- #67. Borysław Niemcewicz: ...
- #68. Aleksander Nowak: ...
- #69. Dr inż. Jan Pająk:
Po ukończeniu Politechniki Wrocławskiej, od 1970 aż do 1982 roku, czyli przez cały okres zatrudnienia w kraju, pracowałem w jednej i tej samej instytucji - którą była nasza Politechnika. Przez większość czasu byłem tam zatrudniony na stanowisku "adiunkta" (który jest polskim odpowiednikiem dla pozycji "Reader" w angielskim systemie uniwersyteckim). W kwietniu 1982 roku odleciałem do Nowej Zelandii. Tak zostałem emigrantem. Poza Nową Zelandią wykładałem również na Cyprze, w Malezji, na tropikalnej wyspie Borneo, zaś niedawno (tj. w 2007 roku) w Południowej Korei. Najwyższą pozycją jaką zajmowałem w Nowej Zelandii była pozycja "starszego asystenta" (tj. "Senior Lecturer") na Uniwersytecie Otago w latach 1988 do 1990. Z kolei moją najwyższą pozycją zajmowaną poza Nową Zelandią - będącą zarazem moją najwyższą pozycją życiową, była pełna profesura na renomowanym Uniwersytecie Ajou w Korei. Na tą pełną profesurę miałem zaszczyt zostać zaproszony w 2007 roku (wykaz przedmiotów jakie m.in. tam wykładałem zawarty jest na stronie pajak.fateback.com - powtórzonej również pod adresem

pajak.6te.net). Za swoje największe osiągnięcia życiowe uważam (1) opracowanie teorii wszystkiego zwanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji (KDG), oraz (2) filozofii zwanej totalizm, a także (3) wynalezienie rodziny dyskoidalnych statków międzygwiazdnych zwanych magnokraftami - szczególnie zaś wynalezienie (4) zasady działania "magnokraftu trzeciej generacji" który po zbudowaniu będzie działał jako wehikuł czasu (w ten sposób pozwalając ludziom na osiąganie nieśmiertelności poprzez powtarzalne cofanie ich do lat młodości za każdym razem kiedy dożyją oni do wieku starczego). Za istotne swe osiągnięcie życiowe uważam również (5) wynalezienie i rozpracowanie zasady działania tzw. komory oscylacyjnej (która po zbudowaniu będzie urządzeniem napędowym dla "magnokraftów" i dla "wehikułów czasu"), oraz (6) wynalezienie i rozpracowanie tzw. ogniwa telekinetycznego (które po zbudowaniu będzie generowało elektryczność na zasadzie będącej odwrotnością zjawiska tarcia - znaczy tak jak tarcie spontanicznie konsumuje ruch i generuje ciepło, owa odwrotność tarcia spontanicznie konsumuje ciepło otoczenia a generuje ruch). (W sprawie badań rozwojowych nad "magnokraftem" i nad "komorą oscylacyjną" w 1986 roku zwróciłem się nawet oficjalnie do Instytutu Technologii Budowy Maszyn Politechniki Wrocławskiej aby pozwolili mi otworzyć przewód habilitacyjny i napisać rozprawę habilitacyjną na temat tych napędów przyszłości - po szczegóły patrz punkt #22 w podrozdziale W4 z tomu 18 monografii [1/5].) Z kolei zdarzeniem które najbardziej mnie cieszy, było (7) ustalenie że poprawność zasady działania mojego "wehikułu czasu" została potwierdzona w Biblii (patrz tam wersety 20:1-11 z Drugiej Księgi Królewskiej - naukowo zinterpretowane w punkcie #D5 ze strony immortality_pl.htm). Podczas formułowania swojej filozofii totalizmu odkryłem także, że za każdym upartym trendem i zdarzeniem losowym ukrywa się jakieś prawo moralne lub zjawisko moralne. Stąd owe wysoce spektakularne trendy nieustannych wzlotów i upadków jakie w życiu doświadczałem, zainspirowały mnie do odkrycia i opisanie tzw. "pola moralnego" (tj. niewidzialnego pola podobnego do grawitacji które oddziałuje siłowo na każde nasze działanie, w tym i na proces myślenia, podejmowania decyzji, mówienia prawdy, itp.). Jedno z następstw działania "pola moralnego" jakie odkryłem, nazwane (8) "przekleństwo wynalazców", opisane jest m.in. w punkcie #G3 strony eco_cars_pl.htm oraz w punkcie #F1 strony morals_pl.htm. Moje burzliwe losy życiowe pełne odkryć, wynalazków, wzlotów, oraz upadków, skrótkowo są podsumowane na stronie o nazwie jan_pajak_pl.htm, zaś nieco szerzej opisane zostały na stronie z notką biograficzną pajak_jan.htm. Przy końcu owej strony pajak_jan.htm zawsze też podane są moje najaktualniejsze dane kontaktowe. Oto owe dane kontaktowe jakie były ważne w czasach najnowszej aktualizacji niniejszej strony (odnotuj jednak że jeśli minie sporo czasu od owej aktualizacji, wówczas dane te mogą utracić swą ważność). Email: janpajak@gmail.com (przeglądany i czytany najczęściej), oraz pajakjan@yahoo.co.nz (z którego emaile sprawdzam i czytam relatywnie rzadko). Adres pocztowy: Dr Jan Pajak, P.O. Box 33250, 5046 Petone, New Zealand. Telefon domowy: (00) 64-4 5694820, gdzie (00) to wyjście na centralę międzynarodową (w niektórych krajach może być inne niż 00), 64 to numer Nowej Zelandii, 4 to numer Wellington (w obrębie Nowej Zelandii trzeba go wykręcać jako 04 oraz trzeba pominąć numery które go poprzedzają), zaś 5694820 to numer telefonu do naszego mini-mieszkania w Wellington. Odnotuj przy tym, że czas w Nowej Zelandii jest około 12 godzin wcześniejszy niż czas w Polsce, że ja NIE jestem w najlepszym humorze kiedy telefon zbudzi mnie w środku nocy, oraz że moja żona NIE zna języka polskiego.

#70. Zbigniew Paślawski:

Losy rzuciły Zbyszka do Berlina w Niemczech, gdzie mieszka obecnie (dane z 2004 roku).

#71. Andrzej A. Patocki:

Andzej mieszka we Wrocławiu. Można się z nim skontaktować poprzez numer telefonu (071) 352-51-35. Adres jego email: vilandra@kn.pl.

#72. Tadeusz L. Patycki: ...

#73. Wiktor Piechociński: ...

#74. Józef Pielorz:

Józef od lat 1970-tych mieszka i pracuje w Niemczech. Jak dotychczas zawiodły wszelkie próby odnalezienia danych kontaktowych do niego.

#75. Maria (Pogost) Fox:

Nazywam się teraz Mara Fox. Mieszkam w Nowym Jorku od 1971 roku. Mój adres emailowy to: Mara411@aol.com. Mój numer telefonu domowego to (1) 718-805-4696. Mój dom jest zawsze otwarty dla gości. Mój adres: 90-50 Union Turnpike, #14L, Glendale, NY 11385, USA. Do 2000 roku pracowałam jako tzw. "project manager" w zakładzie mechanicznym specjalizującym się w kontroli Środowiska, odpylaniu, klimatyzacji i kontroli hałasu na dosyć dużą skalę przemysłową. Od 2000 roku zupełnie zmieniłam pole swojej "działalności", z czego jestem bardzo zadowolona. Pozdrawiam wszystkich. Mara.

#76. Mirosław T. Płucisz:

Mirek mieszka we Wrocławiu na ulicy Nefrytowa 26. Można się z nim skontaktować poprzez numer telefonu (071) 368-74-44.

#77. Chrystian Prorok: ...

#78. Stanisław Przeworek:

Losy rzuciły Staszka do Nysy, gdzie mieszka do dzisiaj. Można się z nim skontaktować pod numerem telefonu domowego (077) 433-70-40. Można też próbować skontaktować się ze Staszkiem emailowo pisząc na adres stanislaw.prze@vip.onet.pl (dawniej Staszek posiadał adres przestasz@wp.pl), albo skontaktować się emailowo poprzez Andrzeja Kruszynę - który często się widuje ze Staszkiem.

#79. Witold Przybyszewski: ...

#80. Marek Przygodzki:

Adres jego emaila: m.przygodzki@marpo.com.pl.

#81. Grażyna Rataj (Waszkiewicz): ...

#82. Janusz Rudy: ...

#83. Maciej Rusin:

Adres jego emaila: maciejpiotr.r@gmail.com.

#84. Janusz A. Rutański:

Janusz i jego żona Elżbieta mieszkają we Wrocławiu. Można się z nimi skontaktować poprzez numer telefonu (071) 34-64-142. Janusz ma telefon komórkowy o numerze (0) 509-345-268. Można się też z nimi kontaktować emailowo albo przez domowy email Janusza o adresie januszrutanski@o2.pl, albo też przez jego email do pracy o adresie janusz.rutanski@pwr.wroc.pl.

#85. Zbigniew A. Sadowski: ...

#86. Bogdan Ściszek: ...

#87. Ś.P. Roman Sperzyński:

Losy rzuciły Romana Sperzyńskiego do Poznania, gdzie mieszkał aż do 2011 roku. Można tam z nim się było kontaktować pod numerem telefonu służbowego (061) 855-

24-92 wew. 4 (od 8 do 17) lub pod emailem biuro@rowitex.poznan.pl. Niestety, z żalem przekazuję tu informację że w dniu 22 kwietnia 2011 roku Roman Sperzyński zmarł. Jego pogrzeb odbył się 28 kwietnia 2011 roku w kościele pw. św. Antoniego Padewskiego na Starolece.

#88. Jan Stańczyk:

Losy pozwoliły Jankowi mieszkać i pracować we Wrocławiu. Można się z nim skontaktować pod numerem telefonu do pracy (071) 324-51-43.

#89. Jan Stefaniuk:

Jan od około 1980 roku mieszka i pracuje w Szwajcarii. Jak dotychczas zawiodyły wszelkie próby odnalezienia danych kontaktowych do niego.

#90. Waldemar Świątkowski: ...

#91. Jerzy Szczerbina:

Jerzy mieszka w Parchowie koło Polkowic. Tel. domowy (076) 8171129; tel. do pracy (076) 7498338; zas tel. komorkowy 601872866.

W dniu 6 sierpnia 2007 roku pojawił się wpis w naszej księdze uwag, że Jerzy już nie pracuje. Adres jego emaila: olek-s@tlen.pl.

#92. Mieczysław J. Szeremeta: ...

#93. Dr inż. Janusz Szymkowski:

Losy pozwoliły Januszowi pozostać na Politechnice Wrocławskiej, gdzie pracuje do dzisiaj w Zakładzie Obróbki Wiórowej, Ściernej i Erozyjnej (Z4) z Instytutu Technologii Maszyn i Automatyzacji. Jego profil zawodowy oraz dorobek opisane są na stronie internetowej tego instytutu, jaka dostępna jest pod adresem www.itma.pwr.wroc.pl. Zainteresowania badawcze Janusza obejmują badanie przemieszczeń i drgań mechanicznych. Można się z nim skontaktować pod numerem telefonu do pracy (071) 320-27-34 (od 9 do 17) lub telefonu domowego (071) 35-31-486, albo też poprzez jego adres emailowy J.Szymkowski@itma.pwr.wroc.pl.

#94. Grzegorz Średziński:

Losy rzuciły Grzegorza do Duszników Zdroju, gdzie znalazł szczęście w każdym tego słowa znaczeniu. Można się z nim skontaktować pod numerem telefonu do pracy (074) 867-17-90 (od 9 do 17) lub telefonu domowego (074) 866-93-50, albo też poprzez jego adres emailowy sredzinski@op.pl. Jego telefon komórkowy ma numer (0) 601-476-425.

#95. Wiesław Świątoniewski: ...

#96. Marek Wachałowicz: ...

#97. Witold Wacowski: ...

#98. Zenon T. Wartanowicz: ...

#99. Jerzy Winnicki: ...

#100. Tadeusz K. Wolski: ...

#101. Julian S. Zając: ...

#102. Jan Zakrzewski: ...

#103. Andrzej E. Zbryt: ...

#104. Andrzej Zielniewicz: ...

#105. Wojciech Złotkowski: ...

#106. Mieczysław S. Zwoliński: ...

* * *

Apeluję też do każdego o dosyłanie dalszych kontaktów do tych kolegów i koleżanek, których namiarów ciągle nam brakuje. Proszę też o weryfikacje, aktualizowanie i poszerzanie własnych danych kontaktowych, opisów, oraz ilustracji, udostępnionych na stronie niniejszej oraz pw.htm - Nasz Rok.

Część #E: Filozoficzna ocena naszego pokolenia:

#E1. Każdy z nas ma wiele powodów dla dumy:

Motto: "Edukacja w losach kraju jak głowa w wędrówce węża - gdzie ta głowa się skieruje, reszta węża też tam się znajdzie."

Jeśli dobrze się zastanowić to mamy wiele powodów abyśmy mogli być dumni ze swego wykształcenia. Poniżej wyliczę najważniejsze z nich:

1. W czasach kiedy my studiowaliśmy, Polska miała najlepszy na świecie model kształcenia uczelnianego. Ja w swoich wólczech po świecie "za chlebem" wykładałem w 10 odmiennych uczelniach z 5 różnych krajów świata (w dwóch z których to krajów wykładałem w miejscach i czasach które faktycznie stwarzały tam jakby cztery odmienne kraje). Mam więc relatywnie dobre rozeznanie jakie modele kształcenia można stosować w edukacji uczelnianej, oraz jakie są wady i zalety każdego z tych modeli. I tak, jestem absolutnie pewien że akademicko najlepszym w świecie był model (a), który możemy nazwać "Polski Model", a który my ukończyliśmy. Esencją owego "polskiego modelu" z czasów naszych studiów było, że (a1) wykształcenia uczelniane było wówczas otwarte praktycznie dla każdego - a stąd że każdy obdarzony zdolnościami mógł studiować, że (a2) nauka była za darmo - a na dodatek studentom z co biedniejszych domów rząd wypłacał relatywnie wysokie stypendia (tak że ich rodziców NIC nie kosztowało wykształcenie swych dzieci), że (a3) liczba miejsc na uczelniach była ograniczona tylko do tej która była niezbędna dla gospodarki kraju, a stąd że (a4) aby dostać się na uczelnie trzeba było zdać bardzo trudny egzamin wstępny, przez który przedzierały się niemal wyłącznie akademicko-najzdolniejsze osoby, oraz że (a5) okres studiów był bardzo długi - bo dla magisterskich studiów inżynierskich praktycznie wynosił 6 lat. Najważniejszą zaletą tego modelu było, (az1) że wypuszczał on wyłącznie wysokiej jakości absolwentów, których przygotowanie zawodowe było najwyższe z możliwego do osiągnięcia w ówczesnym świecie. Wadą zaś tego modelu było, (aw1) że mógł go urzeczywistnić jedynie bardzo silny rząd, który potrafił się oprzeć naciskom bogatych i wpływowych ludzi aby ulżyć dla ich dzieci kryteria dostępu do edukacji uczelnianej. Zupełnie odwrotnym do tamtego "polskiego modelu" był (b) "Model Nowozelandzki". Był on stosowany w Nowej Zelandii aż do czasów utraty władzy przez Sir Roberta Muldoon - tj. najbardziej moralnego i mądrego polityka jakiego sprawiedliwe i dostatnie rządy doświadczyłem i poznałem na sobie (więcej informacji na temat tego wspaniałego przywódcy można znaleźć w punkcie #B1 na stronie o nazwie pajak_jan.htm). Esencją tego modelu było że (b1) nauka była w nim zupełnie za darmo, oraz że (b2) wstęp na uczelnie był wolny i pozbawiony jakichkolwiek wymogów czy utrudnień, tak że każdy mógł podejmować studia w każdym momencie czasowym. Zaletą tego modelu było, że (bz1) podobnie jak uprzedni "polski model" otwierał on dostęp do edukacji uczelnianej praktycznie dla każdego. Jednak jego wady obejmowały (bw1) ogromne marnotrawstwo środków i zasobów - spowodowane m.in. swobodnym dostępem do uczelni nawet osób o inteligencji "stołowej nogi" którym ukończenie studiów zajmowało po kilkadziesiąt lat,

bowiem każdy przedmiot studiowali oni aż po kilka lat, oraz (bw2) zaniżanie poziomu akademickiego przez konieczność dopasowywania wykładanej wiedzy do zdolności umysłowych "średniego studenta" - które to zdolności, z powodu "zalewania" uczelni przez wiele takich "stołowych nóg", był relatywnie niski. W końcu ostatnim modelem (c) możliwym do wprowadzenia, był model po angielsku nazywany "User Paid", który jednak dla powodów jakie wyjaśnię w następnym paragrafie, przez wysoce praktycznych Chińczyków byłby nazywany "ujeżdżaniem tygrysa". Model ten został wprowadzony w Nowej Zelandii zaraz po utracie władzy przez Sir Roberta Muldoon i panuje tam aż do dzisiaj. Jego cechy obejmują: (c1) wstęp na uczelnie jest otwarty dla każdego oraz pozbawiony jakichkolwiek warunków czy wymogów, oraz (c2) za prawdę do studiowania każdego przedmiotu trzeba słono płacić. Zaletami tego modelu jest, że (cz1) państwo ma uczelnie za darmo, bowiem finansowo utrzymują je studenci - czasami nawet generując uczelniom wysokie zyski, oraz że (cz2) model ten jest w stanie wprowadzić każdy rząd, nawet najślabszy i najbardziej obawiający się wszelkich zmian, bowiem pod względem filozoficznym model ten przemieszcza się "w dół pola moralnego" (patrz punkt #F1 poniżej po wyjaśnienie co to znaczy), czyli jako taki jest ogromnie łatwy do wprowadzenia zaś jego wdrożenia i utrzymanie nie napotyka opozycji wyborców. Natomiast wadami tego modelu są, że (cw1) powoduje on szybkie zaniżanie poziomu akademickiego praktycznie niemal do zera - tak że z czasem dyplomy zaczynają być tam wydawane tylko "za dokonanie wymaganych opłat oraz za obecność na uczelni", że (cw2) dostęp do wyższej edukacji mają jedynie bogaci - czyli że dzieli on kraj na klasy i inicjuje segregację społeczną, że (cw3) dyplomy trafiają do rąk wielu nieodpowiednich "nóg stołowych" - tak że jakość zawodowych usług rapotownie spada w całym kraju, a także iż (cw4) model ten nosi cechy "ujeżdżania tygrysa" - np. niemal niemożliwym jest jego późniejsze zarzucenie, bowiem trzeba by wówczas pozwracać opłaty za naukę całym generacjom absolwentów. Powinienem tu dodać, że różne kraje świata mogą też powdrażać inne modele, które jednak po analizie okazują się tylko modyfikacjami powyższych modeli (a), (b) lub (c). Przykładowo, w Malezji stosowany jest "model talonów na naukę", który polega na tym że każda szkoła średnia otrzymuje przydział określonej puli "talonów" uprawniających do wstępu na uczelnie tego kraju uczni należących do każdej z trzech ras jej mieszkańców. "Talony" te szkoła średnia rozdaje potem swoim absolwentom, oficjalnie jakoby na bazie osiągnięć akademickich, jednak w praktyce i "nieoficjalnie" zwykle zależnie od tego kto jest synem kogo i jak ważni są jego rodzice. W praktyce jednak owe "talony" okazują się być modyfikacją modelu (c) "user paid". Jego zalety i wady pokrywają się bowiem niemal całkowicie z zaletami i wadami modelu (c) powyżej.

Zmuszający do zastanowienia artykuł o tytule "UK falls behind in higher education" (tj. "UK pozostaje w tyle w wyższej edukacji") ukazał się na stronie 8 malezyjskiej gazety o nazwie The Sun (darmowe wydanie z czwartku (Thursday), September 9, 2010). W artykule tym raportowane są wyniki międzynarodowych badań nad wyższą edukacją w poszczególnych krajach świata. Zgodnie z nimi, w ostatnich czasach Anglia (UK) przestała być w czołówce świata ("a world leader") w wyższej edukacji i została prześcignięta przez takie kraje jak Polska i Portugalia. Co gorsze, łatwo przewidzieć że poziom uczelni UK już wkrótce spadnie jeszcze niżej. Wszakże artykuł ten wyjaśnia że były dyrektor BP (tj. były dyrektor tego samego koncernu naftowego który w Zatoce Meksykańskiej wywołał w połowie 2010 roku największą katastrofę ekologiczną w najnowszych dziejach Ziemi), został zatrudniony przez rząd UK dla dokonania 35% cięć budżetu w finansowaniu uczelni wyższych UK, oraz do zaplanowania przejścia edukacji UK na tzw. system "opłacany przez użytkownika" (tj. "user paid"). W takim nowym systemie, uczelnie byłyby finansowane głównie przez studentów, którzy za swoje studia płaciliby z własnej kieszeni co najmniej 7000 funtów. Innymi słowy, po zniszczeniu naturalnego środowiska, ów były dyrektor BP otrzymał zadanie zniszczenia wyższej edukacji UK. Wszakże taki właśnie "user paid" system jest już używany w Nowej Zelandii od 1989 roku i okazał się tam największą katastrofą od czasu wypuszczenia tam na wolność szybko mnożących się królików. System ten nosi bowiem cechy, które Chińczycy opisują wysoce trafnym określeniem "riding a tiger" - tj. "ujeżdżanie tygrysa". Podobnie bowiem jak osoba która "dosiadła tygrysa" nie może już z niego zsiąść - bowiem ów tygrys by ją pożarł, ani nie

może dalej na nim jechać - bowiem tygrys NIE jest zwierzęciem podatnym na ujeżdżanie, również kraj który wprowadzi "opłacanie przez użytkownika" swojej wyższej edukacji jest tym "urządzony" na zawsze. Wszakże nie może już się wycofać z takiej opłacanej przez studentów edukacji - bowiem rząd byłby zmuszony do zwrócenia opłat które uprzednio pobierał przez wiele lat od byłych studentów, a żadnego rządu na to NIE stać. Nie może też długo tolerować takiej "user paid" edukacji, bowiem powoduje ona raptowny spadek poziomu nauczania (a stąd i wiedzy absolwentów) - co w końcowym efekcie prowadzi do braku wiedzy u jego "fachowców" i do zrujnowania kraju. Wszakże studenci którzy słono płacą za swoją edukację spodziewają się otrzymać dyplomy wyłącznie za owe opłaty i to bez dodatkowego uczenia się. Stąd nieustanne naciski które wywierają oni na swoich wykładowców i na kierownictwo swoich uczelni, stopniowo erodują poziom edukacji do niemal zera. Jednocześnie nieprzyjemna atmosfera jaką taka sytuacja wytwarza na uczelniach powoduje masową ucieczkę najzdolniejszych wykładowców. Stąd zamiast być uczeni przez najlepszych, w systemach edukacyjnych "opłacanych przez użytkowników" studenci zaczynają być uczeni przez najgorszych. Uczelnie stopniowo zaczynają konkurować z urzędami państwowymi w zapewnianiu się osobami które praktycznie NIE nadają się już do czynienia niczego. W rezultacie co zdolniejsi i co mniej zamożni opuszczają własny kraj i emigrują tam gdzie edukacja ma wyższy poziom i mniej kosztuje. Tam też zwykle pozostają już po studiach. Dany kraj stopniowo traci więc swoją najzdolniejszą "śmietankę narodu". Z kolei ci co są edukowani we własnym kraju z wolna zaniżają w nim poziom ekspertyzy, co z czasem prowadzi do zrujnowania niemal każdej dziedziny życia owego kraju. Brak bowiem wiedzy u "ekspertów" danego kraju, to prosta droga do budowania tam domów które przeciekają, gniją i zawalają się, to receptura na budowanie mostów i dróg które zapadają się, to gwarancja szerzenia się tam monopoli - wszakże niski poziom ekspertyzy nie zezwala tam na wprowadzenie prawdziwej konkurencji, to pewność demoralizacji siły roboczej i spadku produktywności - bowiem monopole mają taki właśnie wpływ na ekonomię jako że jedyne co potrafią to zwiększać ceny, zaniżać produkcję oraz protegować najniemoralniejszych, to zapowiedź upadku lub ucieczki przemysłu z danego kraju - bowiem brak tam kwalifikowanej i niezdemoralizowanej siły roboczej która by pracowała w owym przemyśle, to początek bezrobocia i wyludniania się kraju - wszakże brak pracy powoduje tam ucieczkę jego najzdolniejszej młodzieży do innych krajów, to upadek standardów życia - bowiem brak jest ekspertyzy która by utrzymywała te standardy, to początek drożyzny, zadłużenia kraju i wzrostu podatków - bowiem politycy będą chcieli utrzymać swój poprzedni poziom wydatków, jednak brak jest wpływów do kasy państwowej, to wysiłki rządu aby podwyższać wiek emerytalny i generować prawa jakie zmniejszą ilość wypłacanych zasiłków dla bezrobotnych, to raptowny wzrost nałogów i przestępczości - bowiem brak perspektyw zmusza ludzi do używek, pijaństwa i do desperackich poczynań, to upadek moralny - bowiem w państwie bez pracy trudno być moralnym, itd., itp. Faktycznie też np. Nowa Zelandia już obecnie doświadcza wszystkich takich "przyjemności" wieloletniego ujeżdżania "edukacyjnego tygrysa". Przykładowo, nauczyciele już od dawna doświadczają tam nieustannych nacisków aby zdawać i dawać dobre oceny już tylko za czyjeś zapisanie się na kursy - patrz artykuł "Teacher who wouldn't play the game" (tj. "Nauczyciel który odmówił udawania") ze strony A13 gazety Weekend Herald wydanie datowane w sobotę (Saturda, November 27, 2010. Już od dawna trwa ucieczka za granicę najlepszych Nowozelandzkich nauczycieli - patrz artykuł "Shortage warning as teaching stars leave NZ" (tj. "Ostrzeżenie o niedoborach z powodu opuszczania NZ przez najlepszych nauczycieli") ze strony A4 gazety The Dominion Post wydanie ze środy (Wednesday), January 26, 2011. Bez przerwy rosną podatki, bezrobocie, oraz naciski aby podwyższać wiek emerytalny - patrz artykuł "Raise super age to 67, report recommends" (tj. "Zwiększyć wiek emerytalny do 67, zaleca raport") ze strony A6 gazety The New Zealand Herald wydanie datowane w środę (Wednesday), December 8, 2010. Już mniej niż tylko co trzeci niezatrudniony (tj. tylko 32% ludzi bez pracy) otrzymuje jakikolwiek zasiłek dla bezrobotnych - patrz artykuł "Ease rules on dole for couples say economists" ze strony A1 gazety (The New Zealand Herald, wydanie z poniedziałku (Monday), June 29, 2009. Już od wielu lat domostwa trapione są tam

epidemią przeciekania, pleśni i gnicia. Są już pierwsze przypadki zawalania się relatywnie nowych budowli - np. patrz artykuły "Roof collapse raises building code worries" - tj. "Zawalenie się dachu indukuje troskę o przepisy budowlane" ze strony A5 gazety The New Zealand Herald wydanie ze środy (Wednesday), September 22, 2010 oraz "Design and workmanship blamed in stadium collapse" (tj. "Projekt i wykonanie obciążane winą za zawalenie się stadionu") ze strony A11 gazety The Dominion Post Weekend wydanie z soboty (Saturday), December 10, 2010 (oba które to artykuły raportują o zawaleniu się dachu 10-letniego stadionu w Invercargill z powodu wysoce niefachowego projektu i wykonania), czy też patrz artykuł "Walker thought roof collapse was a quake" (tj. "Przechodzić myślał że zawalenie się dachu było trzęsieniem ziemi") ze strony A3 gazety The New Zealand Herald wydanie z piątku (Friday), January 14, 2011 (który raportuje o zawaleniu się dachu budynku w Auckland z powodu kiepskiej roboty). W kraju ceny i podatki gwałtownie rosną. Przykładowo artykuł "Auckland houses less affordable than New York" (tj. "W Auckland domy relatywnie droższe niż w Nowym Jorku") ze strony A3 gazety The New Zealand Herald wydanie z poniedziałku (Monday), January 24, 2011, raportuje o wynikach międzynarodowych badań które ujawniają że w odniesieniu do wysokości zarobków, domy w Auckland, Nowa Zelandia, są znacznie droższe niż domy w Nowym Jorku. Panoszy się też coraz więcej monopolii. Te zapewne powodują że przez ostatnich 10 lat wydajność pracy w Nowej Zelandii jest o 30% niższa niż wydajność pracy w sąsiedniej Australii - patrz artykuł "NZ - Australia productivity gap not explained by Treasurer report" (tj. "Różnica wydajności pomiędzy NZ i Australią nie jest wyjaśniona w raporcie Skarbnika") ze strony B1 gazety The Dominion Post Weekend wydanie z soboty (Saturday), November 20, 2010. Turyści przestają przybywać bowiem odstrasza ich ceny i poziom przestępczości. Przemysł i młodzi ludzie stanowiący "sól narodu" raptownie opuszczają Nową Zelandię - co roku z kraju emigruje około 1% jego obywateli. Nałogowość i przestępczość rośnie. Moralność spada - za co Bóg coraz silniej "karze" kraj katastrofami - w rodzaju tych opisanych w punktach #C5 i #C5.1 strony seismograph_pl.htm. Z poziomu kraju o jednym z najwyższych standartów życia w świecie, w okresie od czasu wprowadzenia owej "opłacanej przez studentów edukacji", Nowa Zelandia ześlizgnęła się do poziomu kraju o jednym z najniższych standartów życia w rozwiniętym świecie. Nie trzeba więc być prorokiem aby już obecnie przewidzieć, że kiedy w UK wprowadzony zostanie podobnie pełny "user paid" system, poziom edukacji w UK z powszechnie (choć niesłusznie) uważanego za jeden z najwyższych w świecie, spadnie do jednego z najniższych w świecie. Z kolei samo UK zacznie się cieszyć tymi samymi "przyjemnościami" jakie obecnie doświadcza Nowa Zelandia. Wówczas też zapewne świat odnotuje w końcu to co ja od dawna ustaliłem i otwarcie tutaj twierdzą, mianowicie że w czasach zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej, a być może również i do dzisiaj, to właśnie Polska jest owym krajem który miał najlepszy system edukacyjny ze wszystkich krajów świata. Szczerze mówiąc, po tym jak na uczelniach Polski wprowadzony został obowiązkowy język angielski, zaś niektóre z nich nawet wykładają wszystkie przedmioty w języku angielskim, gdybym był rodzicem chcącym najlepszego przygotowania zawodowego dla swoich dzieci, wysłałbym te dzieci aby studiowały właśnie w Polsce. Powodem jest że poziom edukacji zawodowej jest w Polsce nieporównanie wyższy niż w najbardziej renomowanych Zachodnich uczelniach.

2. W czasach kiedy studiowaliśmy, Politechnika Wroclawska wypuszczała prawdopodobnie najlepszych absolwentów na świecie (szkoda że nawet do dzisiaj NIE wprowadziła ona kursów wykładanych całkowicie w języku angielskim, bowiem wówczas mogłaby z powodzeniem konkurować z najlepszymi uczelniami świata). Oczywiście, kiedykolwiek się używa słowa "najlepszy" wówczas należy dokładnie zdefiniować z jakiego punktu widzenia coś się ocenia. W naszym przypadku możemy śmiało twierdzić, że w czasach kiedy studiowaliśmy, Politechnika Wroclawska prawdopodobnie dostarczała swoim absolwentom "najlepszego na świecie" przygotowania zawodowego i naukowego. Innymi słowy, gdyby zorganizować jakieś zawody w których sprawdzałoby się ile absolwenci poszczególnych uczelni na świecie wiedzą na temat tego w czym się specjalizują i z czego żyją, wówczas absolwenci naszego roku pobiliby na głowę absolwentów wszystkich innych

uczelni świata. Tego faktu jestem absolutnie pewien na bazie empirycznych obserwacji dokonywanych w trakcie mego wykładania na 10 odmiennych uczelniach świata. Wszakże podczas owego wykładania miałem niezliczone okazje do dyskusowania i do porównywania naszej wiedzy oraz przygotowania zawodowego z wiedzą i przygotowaniem absolwentów uczelni które uważane są za wiodące w dzisiejszym świecie. Sporo moich kolegów zawodowych z najróżniejszych uczelni na których w swym życiu wykladałem, pokonało bowiem takie wiodące uczelnie świata, jak np. angielskie Cambridge i Oxford, francuską Sorbonę, amerykańskie Harvard i Berkeley, koreańskie Ajou, oraz wiele innych uczelni uznawanych za wiodące w świecie. Muszę też tutaj z dumą podkreślić, że w zakresie fachowego przygotowania, głębi, nowoczesności i aktualności wiedzy, zdolności do twórczego i logicznego myślenia, oraz pewności że się dokładnie wie co i dlaczego się czyni, żaden z nich nigdy nie mógł się równać z tym co my reprezentujemy. Dlatego, gdyby jakość uczelni oceniać wyłącznie po akademickiej i zawodowej jakości absolwentów których ona wypuszcza, wówczas moglibyśmy stwierdzić z prawdziwą dumą, że w czasach kiedy my studiowaliśmy na Politechnice Wrocławskiej, prawdopodobnie była ona najlepszą zawodową uczelnią świata. Oczywiście, wszyscy wiemy że akademicka wartość absolwentów jest tylko jednym z kryteriów po jakich ocenia się jakość danej uczelni. Inne kryteria obejmują kaliber naukowców których dana uczelnia zatrudnia, awangardowość i głębia naukowych badań jakie prowadzą jej profesorzy, międzynarodowe uznanie i sława jej kadry profesorskiej, jakość publikacji, tradycja, wizja na przyszłość, wielkość wkładu do naukowego i technicznego dorobku ludzkości, itd., itp. Niestety, tych innych jakości brakowało naszym profesorom. Zarówno bowiem nasza politechnika, jak i każda inna uczelnia Polski, a także Polski rząd i ministerstwa odpowiedzialne za wyższą edukację, zupełnie NIE dbały o kultywowanie tych jakości. Szczerze mówiąc, Polskie uczelnie nabyły ostatnio tendencji aby otaczać się rodzajem "Chińskiego muru" jaki odcina je od tego co czyni reszta świata (jeśli ktoś mi tutaj NIE wierzy, wówczas proponuję sprawdzić np. jak wiele polskich uczelni oferuje zawodowe wykłady w języku angielskim, lub jak duży procent polskich profesorów kiedykolwiek w swoim życiu wykladał również na jakiegokolwiek zagranicznej uczelni). Dlatego, chociaż absolwenci tych innych uczelni świata wcale nam nie dorównują w ilości i jakości wiedzy którą zgromadzili, ciągle mogą się chlubić górowaniem nad nami w atutach jakie wynikają z owych innych kryteriów jakości swoich uczelni. Np. chlubią się jakością i międzynarodowym uznaniem profesorów którzy ich uczyli, awangardowymi tradycjami ich uczelni, znajomością znanych ludzi, obyciem w świecie, itd., itp. Oczywiście, podobnie jak zdobywca medalu olimpijskiego w pływaniu nie powinien się przejmować że taki sam medal inni dostali np. za umiejętnie kopanie piłki, z naszego punktu widzenia nie powinny nas martwić tamte inne atrybuty które najlepsze uczelnie świata oferują swoim absolwentom. Dla nas powinno wystarczyć, że pod względem zgromadzonej wiedzy nieporównanie górujemy nad tymi innymi. Podsumowując, możemy być dumni że Politechnika Wroclawska faktycznie "obkuła nas na cztery kopyta", a stąd w zakresie przygotowania zawodowego oraz głębi poznanej wiedzy ogromnie trudno znaleźć w świecie kogoś kto by nam dorównywał.

3. Ukończyliśmy Politechnikę Wroclawską kiedy jakość jej absolwentów ciągle się zwiększała każdego kolejnego roku. Ma to duże znaczenie, bowiem - jak niektórzy są tego świadomi, z najróżniejszych powodów nadszedł potem taki czas na świecie i w Polsce, że jakość absolwentów wszelkich uczelni, w tym i naszej politechniki, zaczęła się zachowywać nieco inaczej. W dzisiejszych zaś czasach, jakość ta spada już praktycznie na całym świecie - tj. każdego roku jakość akademicka absolwentów uczelni staje się obecnie na całym świecie nieco niższa niż była ona poprzedzającego roku. Innymi słowy, możemy być dumni, ponieważ nie tylko ukończyliśmy uczelnię która w naszych czasach wypuszczała jednych z najlepiej zawodowo i naukowo przygotowanych absolwentów świata, ale również ukończyliśmy ją w czasach kiedy jakość jej absolwentów była jedną z najwyższych w jej dziejach. Czyli, w dziejach Ziemi reprezentujemy raczej "historyczne pokolenie absolwentów" - zapewne przez długi czas nie pojawią się już inni absolwenci którzy akademicko by nam dorównywali (patrz też dowcip z punktu #G1 poniżej tej strony).

4. Aby ukończyć studia, każdy z nas musiał okazać się akademicko najlepszym z

około 40 ambitnych osób. Wszakże kiedy zdawaliśmy na studia na każde miejsce na naszej uczelni przypadało około 12 kandydatów. A trzeba przy tym pamiętać, że aby złożyć podanie na studia, każdy z owych 12 kandydatów na studia musiał być jednym z akademicko najlepszych absolwentów ze swojej klasy w szkole średniej (np. w przypadku klasy szkoły średniej którą ja ukończyłem, podania na studia złożyło nas jedynie 7 uczni - z ogólnej liczby 32 uczni którzy ukończyli naszą klasę), z kolei aby dostać się do szkoły średniej, każdy z nas musiał być jednym z akademicko najlepszych uczniów ze swojej klasy szkoły podstawowej (np. z końcowej klasy mojej szkoły podstawowej, tylko ja jeden dostałem się do szkoły średniej). Potem zaś z około 360 zaczynających studia na naszym roku, studia te ukończyło jedynie 106 osób. Innymi słowy, podczas studiów każdy z nas uczestniczył w jakby w ogromnie twardym i wymagającym "wyścigu" akademickim, w którym aby otrzymać dyplom końcowy musiał najpierw wygrać z 40 równie jak on ambitnymi "współzawodnikami" - każdy z których już uprzednio "wygrał" podobne "wyścigi" na poziomie szkoły średniej i szkoły podstawowej. Jak zaś wiemy, nawet na olimpiadach nie bierze udziału w zawodach aż 40 osób naraz. Innymi słowy, każdy z nas symbolicznie wygrał rodzaj akademickich "zawodów" 3-ciego poziomu, które były trudniejsze i bardziej wymagające od tego co ma miejsce na typowej dzisiejszej olimpiadzie sportowej.

5. Czas trwania oraz poziom naukowy naszych studiów magisterskich był odpowiednikiem doktoratów w krajach zachodnich. W naszych czasach, studia na Politechnice trwały bowiem 6 lat. Tymczasem w krajach zachodnich, typowe studia na Wydziale Mechanicznym trwały wtedy tylko 3 lata. Tyle, że zamiast naszego "magistra inżyniera", oni po studiach legitymowali się tytułem "Bachelor of Engineering". Oczywiście, dla nich zapis ich tytułu nie miał żadnego znaczenia, bowiem ichnie społeczeństwa i przemysły takiego tytułu spodziewały się po absolwentach uniwersytetów. Na dodatek, doktorat dawał się tam ukończyć w przeciągu zaledwie następnych 3 lat po studiach. W rezultacie, studia które my ukończyliśmy trwały tyle samo, ile dla naszych odpowiedników z krajów zachodnich trwały razem wzięte zarówno przeciętne studia jak i późniejsze zrobienie doktoratów. Ponadto, kiedy się przeanalizuje poziom naukowy studiów i doktoratów w krajach zachodnich, wówczas się okazuje że typowo jest on znacznie niższy od poziomu naukowego naszych studiów magisterskich. Wyrażając powyższe innymi słowy, studia magisterskie które my ukończyliśmy, zarówno pod względem czasu trwania, jak i pod względem poziomu naukowego, były odpowiednikami typowych doktoratów u naszych odpowiedników z krajów zachodnich.

Oczywiście, ten wysoki poziom naszych studiów będący odpowiednikiem zachodnich doktoratów, miał zarówno swoje dobre strony, jak i złe strony. Do jego dobrych stron należało, że przykładowo, w porównaniu z naszymi kolegami zachodnimi, my biliśmy ich na głowę na każdym możliwym polu. Byliśmy bowiem w stanie uporać się z praktycznie każdym problemem i doprowadzić do sukcesu niemal każde zadanie. Doskonałym przykładem z rzeczywistego życia, który demonstruje porównanie naszego poziomu wiedzy, z poziomem wiedzy zachodnich inżynierów, są owe "kardynalne błędy konstrukcyjne" popełnione przy projektowaniu zachodnich reaktorów atomowych, które spowodowały katastrofę nuklearną w czasie trzęsienia ziemi w Japonii z dnia 11 marca 2011 roku - które to błędy są opisane w punkcie #M1 totalizycznej strony o nazwie telekinetyka.htm. Jestem tutaj gotów się założyć, że tak kardynalnych błędów konstrukcyjnych NIE popełniłby żaden z absolwentów Politechniki Wrocławskiej. Z kolei złą stroną tak doskonałego wykształcenia było, że poza Polską - szczególnie zaś w krajach angielskojęzycznych, ludzie NIE są nawykli iż ktoś posiada aż tak wysoką wiedzę. Stąd niemal dla każdej pozycji na zachodzie byliśmy zbyt wysoko wykwalifikowani i jeśli przyszło nam tam pracować to typowo musieliśmy ukrywać swoją wiedzę i możliwości. Przeciętni zachodni przełożeni mają wszakże tą tendencję, że jeśli odkryją iż któryś z ich podwładnych wie znacznie więcej niż oni sami, wówczas natychmiast starają się go pozbyć pod jakimkolwiek pretekstem.

6. W czasie trwania naszych 6-letnich studiów niektórzy z nas byli jednym z 6-ciu roczników studentów Politechniki Wrocławskiej którzy osobiście doświadczyli niezwykle rzadkiego zjawiska rezonansowej "nirwany tłumy", opisanego w punktach #C3 i #C4.2

strony nirvana_pl.htm. Tamtą rezonansową "nierwanę tłumy" przeżyliśmy zbiorowo w 1968 roku, kiedy to po ogłoszeniu strajku okupacyjnego Politechniki Wrocławskiej, ówcześni studenci tej uczelni zgromadzili się w auli aby wysłuchiwać przemówień delegatów z poszczególnych zakładów pracy Wrocławia. Uniesienie patriotyczne jakie towarzyszyło owym przemówieniom z wolna rezonowało w słuchaczach aż do punktu wzbudzenia w nas zjawiska które w swoich późniejszych badaniach nazwałem nirwaną rezonansową. Pamiętam że w owym momencie tłum studentów obecnych w auli został zbiorowo ogarnięty tak silnym uczuciem szczęśliwości, że zaczęły się dziać niewyobrażalne sceny. Przykładowo wiele dziewcząt zwyczajnie mdlało ze szczęścia - stąd aby wynieść je z nabitej tłumem auli trzeba było je podawać sobie nawzajem ponad głowami - tak jak w dzisiejszych czasach czynią to z idolami na koncertach. Pozostali płakali, lub krzyczeli, zaś większości z nas aż nogi się uginały od obezwładniających nas potężnych emocji. Niestety, z braku dostępności do informacji na temat istnienia i odczuwania zjawiska "nirwany", praktycznie niemal nikt z nas nie zdał sobie wówczas sprawy że faktycznie przeżyliśmy to niezwykle uczucie. Dopiero w 30 lat później moje przeżycie na tropikalnej wyspie Borneo odmiennie wyzwalanej "nirwany zapracowanej", pozwoliło mi porównać podobieństwo doznanych uczuć szczęśliwości do tamtych uczuć przeżywanych przez tłum studentów w auli Politechniki Wrocławskiej, oraz stopniowo rozpracować co i dlaczego wówczas przeżyliśmy.

7. Nasze studia odbywały się zgodnie z duchem wychowania zalecanym w Biblii. Wielu dzisiejszych "fotelowych teoretyków" zarzuca Biblii że ta zaleca serwowanie młodzieży "twardej szkoły życiowej". Zgodnie bowiem z Biblią, aby wypracować w wyrastających młodych ludziach najwartościowsze cechy charakteru, trzeba ich traktować tak jak "hartuje się stal" - więcej na ten temat wyjaśniam w punkcie #A3 odmienniej strony god_proof_pl.htm, w punkcie #B5.1 strony will_pl.htm. oraz w punkcie #K1 strony wszewilki.htm. Jeśli też przeanalizuje się przebieg naszych studiów, metody naszych wykładowców, oraz sytuację i atmosferę która wówczas panowała w Polsce i na naszej uczelni, wówczas się odkrywa że faktycznie hartowano nas tak jak hartuje się stal. Możemy więc być dumni, że nie jesteśmy mięczakami i maminsynkami, a że los i uczelnia odesłali nas do życia wysoko sprawnych i zahartowanych jak stal w zmaganiu się z przeciwnościami.

8. Byliśmy ostatnią generacją studentów na Ziemi, która ciągle była rozliczana nie tylko za nabytą wiedzę, ale także za przestrzeganie standardów moralnych, etycznych, ubioru, zachowania, itp. W stosunku do wszystkich następnych generacji studiującej młodzieży, zarzucono egzekwowanie tych dalszych wymagań i standardów. Stąd studenci którzy przyszli po nas, mogli demonstrować moralność krokodyla i zachowania świni, jeśli jednak opanowali zadany materiał nie istniały sposoby aby powstrzymać ich przed uzyskaniem dyplomu i przed wywieraniem degenerującego wpływu na resztę społeczeństwa. W rezultacie, owe następne generacje zaczęły szybko erodować wszystkie te wartości które uprzednio podtrzymywały jakość życia ludzi, a więc moralność, religijność, tradycję, dyscyplinę, małżeństwo, itp. Przykładowo, zgodnie z artykułem "Religion in NZ heading for extinction, says census study" (tj. "Religia w Nowej Zelandii zmierza do wymarcia, stwierdzają badania spisu narodowego"), ze strony A4 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post wydanie ze środy (Wednesday), March 23, 2011, w Nowej Zelandii zupełnie zamiera religijność jej mieszkańców. Podobnie się dzieje z instytucjami małżeństwa, rodziny, itp.

#E2. Osiągnięcia całego naszego pokolenia z których możemy być szczególnie dumni:

Co około 25 lat zmienia się pokolenie ludzi które zadominoowało życie na Ziemi i które zarządza owym życiem. Pokolenie ludzi do którego my należymy, dominowało życie na Ziemi przez okres od około 1970 roku, do około 1995 roku. Po nim Ziemia została wzięta w zarząd przez pokolenie naszych dzieci, którego kontrola nad życiem ludzkości przypada na lata od około 1995 do około 2020 - w tym również i na chwilę obecną. Dokonajmy więc teraz przeglądu tych osiągnięć naszego pokolenia zarządzającego Ziemią od około 1970 do około 1995 roku, z których możemy być najbardziej dumni.

1. Nasze pokolenie stworzyło na Ziemi największy poziom dobrobytu jaki ludzkość dotychczas doświadczyła. Jeśli przeanalizować jak zmieniał się poziom dobrobytu jaki dotychczas panował przez całokres dziejów Ziemi, szczyt tego dobrobytu przypadał właśnie w okresie dominacji naszego pokolenia. Możemy więc z dumą stwierdzić, że to właśnie rękami naszego pokolenia zbudowany został okres największego dobrobytu jaki ludzkość dotychczas doświadczyła.

2. W czasokresie panowania naszego pokolenia świat został uchroniony przed doświadczeniem kryzysów ekonomicznych. Nadchodzące w okresach pokoju niszczycielskie kryzysy ekonomiczne, wywołane zarówno przez łakome pokolenie naszych dzieci jak i przez oglupione pokolenie naszych dziadków, wogóle nie zaistniały w okresie panowania naszego pokolenia. To zaś demonstruje jak rozważne i moralne były nasze działania.

3. Nasze pokolenie stworzyło na Ziemi najdłuższy okres pokoju i stabilności politycznej na Ziemi. Jeśli przeanalizować wojny i okresy niestabilności politycznej na Ziemi, wówczas się okazuje, że to właśnie rękami naszego pokolenia zbudowany został i utrzymany najbardziej pokojowy i politycznie stabilny okres w dziejach Ziemi.

4. Nasze pokolenie udowodniło w praktyce, że negocjacjami i pokojem można osiągnąć nieporównanie więcej niż wojną, siłą i zniszczeniem. Wszakże to właśnie za panowania naszego pokolenia pokojowo rozwiązywaliśmy niemal wszystkie konflikty. To za naszego pokolenia pokojowo zjednoczyły się Niemcy oraz pokojowo zmienił się ustrój dla znaczącej proporcji świata. To nasze pokolenie zakończyło tzw. "zimną wojnę" oraz oddaliło stworzoną przez naszych ojców groźbę wojny nuklearnej. To także nasze pokolenie w okresie swego działania potrafiło się obyć bez użycia siły, przemocy, zniszczenia i brutalności.

5. Nasze pokolenie wprowadziło w życie faktyczną równość wszystkich ludzi. To my po raz pierwszy w dziejach Ziemi zaczęliśmy praktykować zasadę, że każdy człowiek jest równy, niezależnie od rasy, płci, religii, przekonań, itp. To my zmusiliśmy rasistowskie państwa do zmiany systemu ich praw. To my ustanowiliśmy kary za dyskryminację. To też nasza generacja zaczęła zasiadać do okrągłego stołu z reprezentantami wszystkich krajów, ras i religii.

6. To za naszego pokolenia skomponowana została najpiękniejsza muzyka w dziejach Ziemi. Przykładowo, to właśnie z naszego pokolenia wywodzi się ABBA. Niemal też cała muzyka skomponowana w naszych czasach reprezentuje sobą wszystkie te wartości których wyraźnie brakuje zarówno w wypaczonym hałasie i pomrukach uważanych za muzykę przez nasze dzieci, jak i w znacznej proporcji utworów muzycznych skomponowanych przez poprzedzające nas pokolenia.

#E3. Największe zaniedbania naszego pokolenia:

Kiedy w okresie dominacji naszego pokolenia w latach od około 1970 do około 1995, my byliśmy zajęci budowaniem dobrobytu, pokoju i politycznej stabilności na Ziemi, niestety zaniedbaliśmy równocześnie i zawaliliśmy wiele innych spraw. To właśnie te nasze zaniedbania spowodowały, że kiedy około 1995 roku po naszym okresie nadszedł czas zdominowania Ziemi przez nasze dzieci, wówczas ludzkość raptownie zanurkowała w kryzysy, terrorizm, wojny, depresję ekonomiczną, niedostatki, bezrobocie, głód, znieczulicę społeczną, chaos, marazm polityczny, oraz inne nieszczęścia spowodowane ludzkimi niedoskonałościami. Dokonajmy więc tu przeglądu obszarów w których (a także sposobów na jakie) całe nasze pokolenie kompletnie "zawaliło" sprawę.

Oczywiście, aby ujawnić generalne trendy odnoszące się do całych pokoleń, konieczne jest użycie wysokiego stopnia generalizacji. Jak zaś to z generalizowaniem zawsze bywa, wypunktowuje ono jedynie najbardziej powszechne i najbardziej generalne tendencje. Jako takie, nie uwzględnia ono ani wyjątków od opisanych tu tendencji - które w rzeczywistym życiu zawsze przecież istnieją, ani też jakichkolwiek indywidualnych osób czy jakichkolwiek konkretnych rodzin. Stąd, na przekór że to co tu opisane faktycznie odnosi się do całych wskazywanych tu pokoleń, niekoniecznie i nie zawsze odnosi się to do każdej indywidualnej osoby czy do każdej indywidualnej rodziny.

1. Rozpieszczenie (zamiast wychowania) pokolenia naszych dzieci. Owo pokolenie naszych dzieci przejęło po nas kontrolę nad Ziemią około 1995 roku, oraz będzie ją sprawowało do około 2020 roku (oczywiście - jeśli do wtedy ciągle cokolwiek pozostanie z naszej planety). Obecnie więc jesteśmy po połowie okresu ich zarządu Ziemią i na własnej skórze doświadczamy owoców naszego niewłaściwego podejścia do ich wychowania. Moim zdaniem najpoważniejszym błędem wychowawczym naszego pokolenia było, że kierując się uczuciami zamiast rozumem odrzuciliśmy tradycyjne metody wychowania dzieci - które udowodniły już swoją poprawność w działaniu przez całe tysiąclecia ich używania. Jednocześnie niesprawdzone metody wychowania jakie kierując się uczuciami zamiast logiką po raz pierwszy wprowadzaliśmy do użycia właśnie my, wiodły do wyrośnięcia zbyt wielkiej proporcji dzieci naszego pokolenia na egoistów, snobków, mięczaków, niezdary, niedołęgów, terrorystów, itp. Nasze pokolenie miało raczej twarde dzieciństwo i młodość. Można więc zrozumieć dlaczego, kiedy w końcu swoimi rękami zdołaliśmy zbudować największy okres dobrobytu w dotychczasowych dziejach Ziemi, owocami tego dobrobytu zaczęliśmy bezwarunkowo obsypywać nasze dzieci. Na dodatek powszechne kierowanie się uczuciami zamiast rozumem spowodowała że bez przerwy staraliśmy się przypodobać naszym dzieciom i kupić sobie ich miłość, zamiast wpajać w nie zasady, tradycję, dyscyplinę, odpowiedzialność, oraz inne cechy wymagane do wpojenia młodemu pokoleniu. To właśnie w okresie dominacji naszego pokolenia nasze dzieci otrzymywały samochody, komputery i najnowsze zabawki zupełnie bez kiwnięcia palcem. To nasze pokolenie wprowadziło do użycia miękką i wygodną bieliznę, jednorazowe pieluchy, zakazy dawania dzieciom klapsa kiedy są niegrzeczne, oraz urabianie nauczycieli aby używali psychologii zamiast obowiązków, gonienia do pracy i kar - tak jak to opisane w punkcie #K1 strony o nazwie wszewilki.htm. To nasze pokolenie pozwalało swym dzieciom wydawać nasze pensje na najmodniejsze ubrania, najbardziej znanych fryzjerów, oraz najlepsze kosmetyki. W rezultacie, spora proporcja pokolenia naszych dzieci nawykła że cały świat obraca się wokół ich pępka, oraz że w życiu można jedynie brać nic w zamian nie dając. W ten sposób, zgodnie z prawami życia opisanymi w punkcie #A3 strony god_proof_pl.htm wychowaliśmy pokolenie naszych następców na niedołęgi i niemoralnych egoistów, którzy umieją zabierać jednak nie potrafią dawać, którzy umieją obiecywać, jednak nie potrafią dotrzymywać, którzy umieją burzyć, jednak nie potrafią budować z sukcesem, którzy zamiast pokojowej i efektywnej negocjacji używają siły i zniszczenia. W swoim podejściu do wychowania następnego pokolenia zignorowaliśmy tysiąclecia doświadczeń ludzkości że aby nabyć wymaganych cech charakteru, zgodnie z wyraźnymi zaleceniami Boga wyrażonymi w Biblii młodzież trzeba wychowywać "tak jak hartuje się stal" - co wyjaśniono w punkcie #B5.1 totaliztycznej strony will_pl.htm. W rezultacie, reprezentanci owego pokolenia naszych dzieci którzy obecnie panują nad światem, zapewne nie będą nawet zdolni zapewnić nam godziwych emerytur. Na stare lata przyjdzie więc nam zbierać owoce faktu że jako pokolenie "zawaliliśmy" właściwe wychowanie następnego pokolenia. Oczywiście, istnieje znacznie więcej niepożądanych następstw naszego zawalenia sprawy właściwego wychowania następnego pokolenia - są one jednak szerzej omawiane w "części #K" odrębnej totaliztycznej strony o nazwie tapanui_pl.htm.

2. Zdewaluowanie znaczenia moralności i religii. Jak naukowo zdołała to dopiero nam dowieść teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji (a także wywodząca się z tej teorii filozofia totalizmu), tak naprawdę to życiem ludzkim rządzą trzy wielkości moralne, mianowicie tzw. "pole moralne", "energia moralna", oraz "prawa moralne". Przykładowo, owa teoria i filozofia ustaliły, że tylko te ludzkie działania które zawsze wnoszą się pod górę "pola moralnego" są moralne i wysoce korzystne dla wszystkich ludzi których sobą one dotyczą. (Tj. korzystne dla wszystkich ludzi są tylko te działania które podążają wzdłuż tzw. "linii największego oporu intelektualnego" - po szczegóły patrz punkt #G3 strony eco_cars_pl.htm, oraz/lub punkt #F1 z dalszej części niniejszej strony.) Natomiast ludzie którzy w swych działaniach ześlizgiwują się w dół "pola moralnego" wzdłuż tzw. "linii najmniejszego oporu", czyli którzy postępują zgodnie z tzw. filozofią pasożytnictwa, są bezpardonowo tępieni i dotykani wszelkimi możliwymi

katastrofami, tak jak w punkcie #C3 strony seismograph_pl.htm opisane to zostało dla mieszkańców wyspy Haiti, w punkcie #E2 strony day26_pl.htm - dla mieszkańców moralnie zdegenerowanych wybrzeży Oceanu Indyjskiego, zaś w punktach #H2 i #H3 strony tapanui_pl.htm - dla mieszkańców moralnie zdegenerowanych starożytnych miast Wineta i Salamis. Przez całe tysiąclecia religie nakazywały ludziom właściwe potraktowanie moralności, zaś ludzie intuicyjnie podążali za tymi nakazami swych religii. Chociaż więc wolno i po omacku, ciągle poziom cywilizacyjny naszej planety nieustannie wówczas się podnosił. Jednak nasze pokolenie nagle odeszło od Boga i od moralności. Wszakże to nasze pokolenie zamiast moralności i religijnej "miłości bliźniego" zaczęło wmawiać swym dzieciom że życiem rządzą Darwinowskie "prawa dżungli" oraz zasady "przeżywania najsilniejszego"! W rezultacie owe "prawa dżungli" mamy teraz wokoło. Przeżywać też zaczynają właśnie tylko owi najsilniejsi i najboleśniej kłusający.

3. Zaniedbanie kultywowania tradycji i umożliwienie degradacji w postawach ludzi. Przez wieki tradycja i system ludzkich wartości stanowił rodzaj szkieletu jaki dumnie podtrzymywał ludzkość. Niestety, to właśnie nasze pokolenie zaniedbało kultywowanie dawnych tradycji i pozwoliło aby niszczyielskie i niesprawdzone wcześniej postawy życiowe zaczęły wkradać się do życia ludzi. Z kolei owo zaniedbanie kultywowania tradycji oraz degradacja postaw miały fatalne następstwa. Przykładowo, zatarły one zrozumienie dobra i zła, odczyły odróżnianie tego co moralne od tego co niemoralne, pozwoliły na uznanie zbrodni i wypaczeń za wzorce do naśladowania, itd., itp.

4. Zaniedbanie przekazu tradycji o istotności wsłuchiwania się w podszepty naszego sumienia. Aby umożliwić ludziom wytrwanie przy moralnym postępowaniu, kiedy Bóg stwarzał ludzi, wyposażył ich w specjalny "przeciw-organ" zwany "sumieniem". Owo "sumienie" jest rodzajem jakby jednokierunkowej "linii telefonicznej" która na stałe jest podłączona do umysłu Boga aby nieustannie nam podszeptywać czy dane nasze działanie jest "moralne" czy też "niemoralne", a w ten sposób aby zawsze nam umożliwiać jednoznaczne odróżnianie dobra od zła. Istnieje nawet filozofia życiowa zwana totalizmem intuicyjnym, której praktykowanie sprowadza się właśnie do uważnego wsłuchiwania się w podszepty własnego sumienia i następnego postępowania zgodnego z tymi podszeptami we wszystkim co tylko w swoim życiu się czyni. Działanie owego "sumienia" zdumiewa tych dzisiejszych naukowców, których ateistyczne światopoglądy NIE pozwalają im zrozumieć jak to się dzieje że poczucie dobra i zła jest w nas wbudowane od samego początku i daje się wykryć nawet już w sześć-miesięcznych dzieciach - jako przykład patrz artykuł "Sense of right and wrong in place by six months of age, research found" (tj. "Poczucie dobra i zła istnieje już w sześć-miesięcznych dzieciach, badania wykazują") ze strony A5 gazety The New Zealand Herald (wydanie z wtorku (Tuesday), May 11, 2010). Niestety, podszepty sumienia daje się zagłuszać - zaś powtarzanie owego zagłuszania z czasem prowadzi do chronicznego ignorowania sumienia i do wypaczonego zrozumienia dobra i zła. To też właśnie nasze pokolenie było ostatnim na Ziemi którego postępowaniem rządziły głównie podszepty sumienia. Niestety, samemu ciągle kierując się sumieniem, zaniedbaliśmy przekazania następnym generacjom owej istotnej tradycji wsłuchiwania się w podszepty sumienia i pedantycznego wdrażania tego co sumienie nam nakazuje. W rezultacie zamiast wsłuchiwać się w sumienie, następne generacje ludzi zaczęły wsłuchiwać się w swoje pożądania, chciwość, zachcianki, itp. Efekty zaś tego widzimy obecnie wokoło siebie w formie gwałtownie upowszechniającej się filozofii pasożytnictwa, oraz wynikającego z niej moralnego upadku naszej cywilizacji.

5. Zaniedbanie opieki nad naturą i środowiskiem. W pogoni za dobrobytem i w zapale mnożenia dóbr materialnych jako pokolenie zapomnieliśmy również o naturze i o środowisku. W rezultacie to nasze pokolenie staje się odpowiedzialne za nieszczęścia i problemy jakie obecnie zaczynają wyraźnie ujawniać się wokoło. Na dodatek, nie wychowaliśmy właściwie pokolenia naszych dzieci które przejęły świat po nas, tak że pokolenie to NIE nabyło cech wymaganych do naprawy naszych błędów. Stąd dzieciom naszego pokolenia też brakuje tego co potrzeba, aby naprawić nasze zaniedbania. Sytuacja z naturą i środowiskiem być może zacznie się poprawiać dopiero kiedy panowanie nad światem przejmą nasi wnukowie około 2020 roku - ale pod warunkiem że zdołamy im

jakoś przekazać informacje których im potrzeba - po szczegóły patrz punkty #K7 i #K8 ze strony tapanui_pl.htm.

6. Zaniedbania etyczne na polu zdrowia i medycyny. Nasze pokolenie kompletnie zawałiło też właściwe ustawienie zasad działania i etyki służby zdrowia i medycyny. Zamiast kultywowania uprzedniej "dbałości o każdego człowieka", to w naszym okresie pozwoliliśmy aby lekarze zaczęli dbać o dochód i tylko o tych najbogatszych zaś farmaceuci opracowywali głównie lekarstwa które łagodzą ale nie leczą - a stąd które raz zażyte muszą potem być zakupywane i zażywane już przez całą resztę życia. Teraz zaś przyjdzie nam za to płacić niemal kompletnym brakiem właściwej opieki medycznej i służby zdrowia - kiedy najbardziej tych potrzebujemy.

* * *

Oczywiście, podobnych uchybień nasze pokolenie popełniło znacznie więcej. Niektóre z nich są jednak zbyt specjalistyczne aby je tu opisywać. Inne z kolei są zbyt rozległe i faktycznie to wymagają znacznie szerszego wyjaśnienia. Z tego powodu, tylko najbardziej reprezentacyjny przykład wysoce znaczącego z takich dalszych uchybień naszego pokolenia jest skrótowo wzmiankowany poniżej w następnym punkcie, zaś szczegółowo jest on omówiony w "części #K" odrębnej strony tapanui_pl.htm - szczególnie patrz tam punkty #K5 i #K6.

#E4. Obecne staczanie się ludzkości w epokę "neo-średniowiecza" oraz nasze zawalenie obowiązku zapobiegnięcia temu staczaniu się:

Pokolenie naszych ojców którzy zarządzali Ziemią od około 1945 roku do około 1970 roku panicznie bało się wojny. Postępując więc w zgodzie z dewizą starożytnych Rzymian "jeśli chcesz pokoju przygotuj się do wojny" nasi ojcowie rozwijali broń jądrową i w latach 1945 do 1970 dokonywali setek próbnych eksplozji nuklearnych. Niestety, każda eksplozja broni jądrowej generuje straszliwą plagę jaką są narazie niewykrywalne przez oficjalną naukę ludzką wibracje "hałasu telepatycznego". Wibracje te mają bowiem brzydki zwyczaj że rezonują one potem w ziemskiej jonosferze przez całe wieki oraz że ich moc kumuluje się lawinowo z każdą następną próbną eksplozją broni jądrowej. Na nieszczęście dla ludzkości, wibracje te pozostając niesłyszalne w sposób świadomy oddziałują jednak wysoce niszczycielsko na naszą podświadomość - która je słyszy i odbiera. Stąd posiadają one wysoce niszczycielski wpływ na umysły ludzi, wypaczając ich zdrowie, formując zboczenia, obniżając inteligencję, zwiększając irytowalność i agresywność, wypaczając nastroje, emocje, smak i postawy, obniżając liczbę spermoidów, itd., itp. W rezultacie, nasilanie się takiego rezonowania "hałasu telepatycznego" w ziemskiej jonosferze powoduje stopniowe staczanie się całej ludzkości w epokę niemoralności, niezgodności, chaosu, wojen, krzywd, itp. Epoka zwana "średniowieczem" wywołana była właśnie takim rezonowaniem "hałasu telepatycznego" - tyle że spowodowanym przez eksplozję Tapanui a nie przez eksplozje nuklearne. Owo więc "panikowanie" pokolenia naszych ojców i dokonywanie przez nich setek próbnych eksplozji broni nuklearnej, spowodowało aż takie zagęszczenie rezonowania "hałasu telepatycznego" wokół Ziemi, że zepchnęły one ludzkość w kolejną epokę "neo-średniowiecza". Skutki tej nowej epoki zaczynamy właśnie coraz wyraźniej widzieć dookoła siebie.

O istnieniu, o generowaniu, oraz o następstwach "hałasu telepatycznego" jest nam wiadomym już od ratalywnie dawna. Przykładowo informacje o tym "hałasie telepatycznym" ja publikuję systematycznie już od czasu kiedy w 1987 roku odkryłem zaistnienie eksplozji Tapanui (tj. tej eksplozji która spowodowała nadejście na Ziemię oryginalnej epoki "średniowiecza"), oraz kiedy ustaliłem że "średniowiecze" było właśnie wynikiem rezonowania owego hałasu. Stąd w publikacjach takich jak podrzdział D4 z monografii [5/4] ostrzeżenia o nadchodzącym staczaniu się ludzkości w epokę "neo-średniowiecza" były upowszechniane na długo przedtem zanim pierwsze oznaki owego staczania zaczęły się ujawniać na Ziemi. Niestety, moje ostrzeżenia okazały się "wołaniem na puszczy". A szkoda że były one zignorowane, bowiem nosiły w sobie potencjał aby zapobiec i powstrzymać nadejście na Ziemię obecnie już wyraźnie się eskalującej epoki "neo-średniowiecza". To z tego powodu ja wierzę, że nasze pokolenie mogło zapobiec

stoczeniu się ludzkości w epokę "neo-średniowiecza", jednak kompletnie "zawaliło" także i tą sprawę. Teraz zaś, kiedy "neo-średniowiecze" już panuje i z każdym dniem się nasila, nie daje się już mu zapobiec. Jedynie co ciągle możnaby próbować, to łagodzić jego następstwa.

Podsumowując więc ten punkt, kolejną istotną sprawą którą kompletnie "zawaliło" nasze pokolenie, to że nie zapobiegło stoczenia się ludzkości w obecnie panującą epokę "neo-średniowiecza" - chociaż posiadało wszelkie wymagane informacje aby epoce tej zapobiec. W rezultacie tego "zawalenia", na Ziemi nadeszły obecne czasy "neo-średniowiecza" - w których, podobnie jak w oryginalnym "średniowieczu", przykładowo małżeństwa są tylko na okres dobrej pogody, zaś rodziny się rozpadają z chwilą pierwszych kłopotów. W których to czasach zamiast rzeczowo badać niewyjaśnione zjawiska, Boga, UFO, duchy, ESP, itp., oraz zamiast zważać na materiał dowodowy w ich sprawie, ludzie tak wypaczyli i zdegenerowali swoje postępowanie że albo całkowicie ignorują te istotne sprawy, albo też "palą na stosie" badaczy którzy ujawnili im niewygodne prawdy. Zamiast wychowywać dzieci zgodnie z udowodnionymi przez tysiąclecia metodami zalecanymi przez Biblię, rodzice zaczęli oszczędzać im bólu i wysiłku, pocieszać że bezmyślność i głupota też zasługują na nagrody, wychwalać nawet za zjedzenie posiłku, obsypywać prezentami za czynienie niczego, dawać im dyplomy i medale tylko za wzięcie udziału, oraz wpajać w nich przekonanie że są pępkami całego wszechświata. Zamiast w rodzinnym życiu utrzymywać tradycje, role, pozycje i obowiązki, pozwala się obecnie aby każdy mógł czynić co tylko zechciał, oraz aby nikt nie zaznał żadnej struktury, dyscypliny, ograniczeń, ani odpowiedzialności. Zamiast słuchać tych co mają coś do powiedzenia obecnie słucha się tych co są najbardziej krzykliwi. Zamiast nazywać wszystko po imieniu, wprowadza się nową terminologię aby przypadkiem kogoś nie obrazić. Zamiast się modlić, ludzie wstydzą się już swego Boga. Zamiast wytykać i zwalczać to co złe i niemoralne, wprowadza się "prawa prywatności" oraz "cywilne unie" które pozwalają wszystko to ukryć lub zalegalizować. Zamiast potępiać i karać zбочzonych, zwyrodniałych i pozbawionych hamulców, czyni się ich idolami. Zamiast pomagać ludziom w potrzebie, wymyśla się instytucje na które można potem przerzucać odpowiedzialność za pomoc, podczas gdy najbliżsi mogą zabawiać się w gapiów. To w czasach staczania się w "neo-średniowiecze" wyeliminowane zostały umyślowo inspirujące wieczorne życie towarzyskie i rozmowy ze starszą generacją oraz filozoficznie nastrajające modlitwy, będąc zastąpione bezmyślnym oglądaniem telewizji lub podsycaniem brutalności z pomocą gier komputerowych. To w owych czasach staczania się ponownie zaczęło się zatrudniać "za to KOGO ktoś zna", a nie "za to CO ktoś potrafi dokonać".

Najgorsze jednak, że owo następne pokolenie naszych dzieci, po przejęciu po nas planety około 1995 roku, dodatkowo eskalowało dalej powyższe trendy "neo-średniowiecza". W rezultacie, na Ziemi zapanowała obecna epoka niemoralności, zachłanności, wypaczeń, zбочzeń, agresji, zbrodni, bezrobocia, upadku i głodu. I tak zachłanność ludzka została wyescalowana do granic absurdu. Stąd np. politycy zamiast pytać jak kiedyś "co to uczyni dla naszego narodu lub kraju", często zaczynają swoje rządy od wypymania "a co (lub ile) jest w tym dla mnie". Zamiast pracować na życie, obecnie "żyje się na kredyt". Zamiast płacić proporcjonalnie do wkładu, obecnie wymyśla się milionowe zarobki dla dyrekcji zaś głodowe ochłapy dla robotników, premie równoważne tysiącom pensji dla zarządu, oraz odsyłanie na bezrobocie dla reszty pracowników. Bóg stopniowo eliminowany jest z życia, zaś zamiast niego wprowadza się kult pieniądza i szybkiej przyjemności. Zamiast ludzi widzi się naokoło jedynie ciała i mięśnie, zaś zamiast natury - jedynie potencjał do zarobku. Itd., itp.

W przeszłości naszej cywilizacji istniał już raz taki okres czasu kiedy ludzie zaprzestali słuchania wiedzy, materiału dowodowego, logiki, głosów rozsądku, oraz podszeptów sumienia, a zaczęli eskalować najróżniejsze wypaczenia kierując się wyłącznie uczuciami i emocjami. Okres ten nazywamy "średniowieczem". Poprzez trwałe wdrożenie w życie nowej tradycji aby ignorować moralność, wiedzę, logikę, dowody, oraz głosy rozsądku, a wsłuchiwać się wyłącznie w nasze uczucia i zachcianki które już od dawna są degenerowane niszczycielskim "hałasem telepatycznym", nasza planeta stopniowo stacza

się obecnie w mroki epoki lustrzanie podobnej do "średniowiecza". To dlatego w okresie panowania naszego pokolenia rozpoczął się na Ziemi proces który my mogliśmy powstrzymać, jednak który po zignorowaniu stoczył ludzkość w obecnie już eskalującą się po Ziemi epokę wysoce niemoralnego "neo-średniowiecza". Kiedy zaś owe wypaczenia "neo-średniowiecza", oraz wszystkie jego niemoralne konsekwencje, raz już całkowicie rozpanoszą się po Ziemi, zapewne potrzebny będzie wysiłek aż wielu kolejnych generacji (jeśli nie stuleci) aby ludzkość zdołała powrócić do sytuacji powszechnej moralności i dobrobytu.

Dalsze informacje na temat "neo-średniowiecza" zawarte zostały w "części #K" totalizycznej strony tapanui_pl.htm - szczególnie patrz tam punkty #K5 i #K6. Z kolei przygotowane wiele lat temu ostrzeżenia o nadchodzeniu na Ziemię epoki "neo-średniowiecza" można sobie poczytać z podrozdziału D4 w monografii [5/4].

#E5. Nasz moralny obowiązek uświadamiania prawdy o prowokacji, niesprawiedliwości i o potrzebie zadośćuczynienia krzywdzie popełnionej na owych około 40-tu naszych kolegach usuniętych z Politechniki Wrocławskiej po 1 maja 1968 roku:

W dniu 1 maja 1968 roku, na naszych oczach popełniona została bardzo poważna niesprawiedliwość wobec około 40 naszych byłych kolegów z uczelni. Dokładniejszy opis tamtych zdarzeń zawarty jest w punkcie #F2 mojej odrębnej strony internetowej o mieście Wrocławiu. Mianowicie, koledzy owi zostali zwdniczo namówieni do wzięcia udziału w pochodzie pierwszomajowym mającym spełniać funkcję zasadzki na politycznie-aktywnych studentów, poczym po zostaniu otoczonymi przez bojówkę ówczesnej policji politycznej zostali oni wbrew swej woli zamieszni w rozruchy uliczne, obfotografowani przez policję polityczną, usunięci z uczelni, oraz siłą powcielani do wojska. Popełniona więc na nich została okropna niesprawiedliwość jaka domaga się moralnego zadośćuczynienia.

Jednym więc z naszych moralnych obowiązków jest uświadomienie społeczeństwu prawdy o tamtej prowokacji politycznej, oraz podjęcie domagania się aby owym około "40 pokrzywdzonym" z grona naszych byłych kolegów przyznana została jakaś forma moralnego zadośćuczynienia. Ponieważ każdy z tamtych poszkodowanych obecnie jest już w wieku emerytalnym, zaś niektórzy z nich zapewne już NIE żyją, w mojej opinii najwłaściwszą formą takiej moralnej rekompensaty byłoby gdyby Politechnika Wrocławska odszukała ich i każdemu z nich przyznała teraz tytuł "magistra inżyniera honoris causa" - tj. tytuł moralnie rekompensujący za ten którego wówczas zostali niesprawiedliwie pozbawieni (w razie potrzeby tytuł ten należałoby im przyznać nawet pośmiertnie - jeśli ich rodziny zgodziłyby się zaakceptować ów tytuł w ich imieniu). Warto tu też odnotować, że przyznanie im takich tytułów faktycznie okazałoby się również wysoce korzystne dla samej Politechniki Wrocławskiej. Wszakże dla tej uczelni byłoby to też doskonałym posunięciem w tzw. "Public Relations" (PR). Rozgłos tego wysoce słusznego i sprawiedliwego posunięcia rozniósłby się przecież po całej Polsce, a być może nawet i po całym świecie.

Część #F: Jak "zasady życia" wyjaśniane są przez teorię zwaną Konceptem Dipolarnej Grawitacji oraz przez wynikającą z tej teorii filozofię totalizmu:

#F1. Analogia "wysokiej i gładkiej ściany (lub muru)" jako ilustracyjny symbol poznawania życia bez wspomagania swych wysiłków ustaleniami Konceptu Dipolarnej Grawitacji:
Motto: "Poznaj cele i metody Boga, a zrozumiesz świat jaki Cię otacza."

Intrygującym aspektem dotychczasowej oficjalnej nauki ludzkiej jest, że wypracowała ona dziesiątki teorii jakie wyjaśniają wszystko co ogromnie odległe od ludzi w czasie lub przestrzeni, np. wyjaśniają jak powstają odległe gwiazdy i galaktyki, jak powstał wszechświat w wyniku "Wielkiego Bangu", czy jak wyglądała ewolucja człowieka miliony lat temu. Jednak aż do czasu opracowania mojej teorii wszystkiego zwanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji, nie mieliśmy ani jednej nawet najmizerniejszej teorii naukowej która by nam wyjaśniała jak mamy żyć "tutaj" oraz "teraz". Tymczasem w punkcie #J5 mojej

odrębnej strony o nazwie [wszewilki_jutra.htm](#), a także w punkcie #C6 innej strony [prawda.htm](#) i w punkcie #B2 strony [malbork.htm](#), wyjaśniłem ilustracyjnie i podparłem przykładami, że nasze wysiłki poznawania i prowadzenia życia bez uprzedniego posiadania teorii naukowej jaka by nam wyjaśniała jak naprawdę należy żyć "tutaj" oraz "teraz", daje się porównać do prób wspinania się na wysoką i gładką ścianę (lub mur) bez użycia jakiegokolwiek drabiny lub rusztowania. Wszakże wielu ludzi którzy rzucają się na życie głową do przodu, albo rozbijają sobie o nie głowę, albo też wybijają swą głową dużą dziurę w owym życiu - której to dziury potem nie daje się załatać przez całe wieki. Tymczasem jeśli życie potraktuje się podobnie jak wysoki i gładki mur (czy ścianę) na który musimy jakoś się wspiąć, wówczas teoria naukowa jaka wyjaśnia nam zasady owego życia, jest dla nas jak rodzaj drabiny lub rusztowania przystawionych do owego muru. Znaczący, wówczas nasze wspinanie się jest łatwiejsze, bowiem możemy już opierać się NIE tylko na samym murze, ale także na pomocy owej drabiny.

W 1985 roku dostąpiłem zaszczytu rozpracowania teorii naukowej którą potem nazwałem Konceptem Dipolarnej Grawitacji. Teoria ta wyjaśnia praktycznie wszystko, włączając w to zasady, prawa, wielkości, moce, itp., które rządzą codziennym życiem ludzi. To właśnie z powodu odnoszenia się tej teorii do praktycznie wszystkiego, oraz jej wyjaśniania sobą wszystkiego, teoria ta nazywana jest również teorią wszystkiego. Na dodatek, ponieważ owa teoria naukowa dawała nam jasne i jednoznacznie wytyczne jak powinniśmy żyć, na jej podstawie opracowana została nowa filozofia codziennego życia którą potem nazwałem filozofią totalizmu (pisaną przez literę "z" - aby odróżnić ją od wersji "totalitarianizmu" też skrótowo czasami nazywanego "totalism" - ale pisany przez "s"). Owa "filozofia totalizmu" jest więc jakby ekstraktem ze znacznie obszerniejszego Konceptu Dipolarnej Grawitacji, jaki to ekstrakt koncentruje się wyłącznie na wyjaśnianiu zasad według których należy żyć i jakie powinno się (oraz warto) stosować w swoim codziennym życiu. Ponieważ zarówno ów Koncept Dipolarnej Grawitacji jak i filozofia totalizmu opisane są dokładnie w całym szeregu stron internetowych i monografii, NIE będę ich tutaj już ponownie omawiał. Jednak dla naukowej ścisłości powtórzę tutaj kilka najbardziej wartych poznania zasad, poraw i regularności, jakie one ujawniają że te rządzą naszym codziennym życiem. Oto owe regularności:

1. Wpływ tzw. "pola moralnego" na przebieg życia ludzi. Ci z czytelników którzy mają zmysł obserwacyjny, odnotowali już zapewne, że każde z naszych działań pozafizycznych ma te same cechy jak nasze działania fizyczne. Przykładowo, aby fizycznie wspiąć się pod górę, musimy włożyć w owo wspinanie określony wysiłek i cierpienie. Za to staczanie się w dół typowo przychodzi nam łatwo i przyjemnie. Podobnie, aby pozafizycznie dokonać czegoś dobrego i trwałego (np. dopomóc komuś, podjąć długoterminowo poprawną albo sprawiedliwą decyzję, czy wypowiedzieć prawdę) też trzeba włożyć w to sporo wysiłku i wkładu cierpienia. Natomiast czynienie wszystkiego co z czasem okaże się złem, czy zwykłe lenistwo i nieczynienie niczego, zawsze jest łatwe i przyjemne. Powodem takiego stanu rzeczy jest istnienie szczególnego "pola moralnego" które działa tak samo, jak dobrze nam już znane "pole grawitacyjne". Tyle tylko że "pole moralne" wymusza konsumpcję (przepływ) naszej energii przy każdym działaniu, a nie jedynie przy fizycznym wchodzeniu na góry czy na schody. Owo "pole moralne" zostało bowiem uformowane we wszechświecie specjalnie po to aby czynienie tego co moralne i co dobre dla ludzi zawsze wymagało wkładania w to wysiłku i pracy, a także aby wszystko co czynione jest bez wysiłku i bez wkładu pracy z czasem okazywało się niemoralne i niedobre dla ludzi. Dzięki więc istnieniu tego pola, to co moralne NIE może być przypadkowo zrealizowane przez czyjeś nieczynienie niczego, ani nie może być łatwo osiągnięte przez leniwców czy egoistów. Aby bowiem postępować w swym życiu moralnie, zawsze konieczne jest wkładanie w swe moralne działania określonego wysiłku i energii.

Istnienie i żelazne działanie owego "pola moralnego" ma interesującą konsekwencję dla naszego życia codziennego. Chodzi bowiem o to, że w życiu NIE zawsze od razu jest nam wiadomym jakie działanie w danej sytuacji jest najbardziej moralne i poprawne zaś po zrealizowaniu NIE okaże się potem być błędem za jaki przyjdzie nam kiedyś zapłacić. Otóż z powodu istnienia pola moralnego, w działaniu jest zawsze zasada,

że "moralnie najpoprawniejsze jest zawsze działanie które w danej sytuacji idzie wzdłuż tzw. 'linii największego oporu intelektualnego', zaś niemoralne i najgorsze zawsze jest postępowanie które w danej sytuacji idzie wzdłuż tzw. 'linii najmniejszego oporu intelektualnego' ". Jeśli więc w jakiejś sytuacji życiowej NIE wiemy jak mamy postąpić, wówczas zawsze powinniśmy wybrać postępowanie jakie wymaga naszego największego wkładu intelektualnego (zwróć uwagę na intelektualność tego wkładu, bowiem oprócz wkładów intelektualnych istnieją również wkłady fizyczne oraz wkłady emocjonalne). Nigdy bowiem takie postępowanie NIE okaże się potem niewłaściwym. Z kolei wybranie działania które idzie wzdłuż owej 'linii owego największego oporu intelektualnego' jest już proste. Wystarczy bowiem aby w danej sytuacji sprawdzić co byłoby dla naszego umysłu najłatwiejszym z niej wyjściem, potem zaś wystarczy zrealizować dokładną tego odwrotność.

2. Jak faktycznie działa prawo moralne wyrażone znanym przysłowiem "miłe złego początki, a koniec żaloszny". Jak to wyjaśniłem w poprzednim punkcie, zasadnicza funkcja "pola moralnego" polega na powodowaniu że w świecie fizycznym czynienie czegokolwiek co moralne i co dobre dla ludzi, zawsze musi wymagać wkładania w do znaczącego wysiłku i cierpienia. Dlatego to samo "pole moralne" zawsze ułatwia i uprzyjemnia wszystko co niemoralne i co szkodliwe dla ludzi. To owo więc pole moralne powoduje, że dokonywanie wszystkiego co niemoralne i co w długoterminowym działaniu okaże się szkodliwe dla ludzi, zawsze musi być przyjemne i łatwe. Stąd początek przysłowia z tytułu "miłe złego początki" bierze się właśnie ze sposobu na jaki działa "pole moralne".

Poznanie faktu że "pole moralne" ułatwia i uprzyjemnia dokonywanie wszystkiego co potem okaże się niemoralne i szkodliwe dla ludzi, ma duże znaczenie dla naszego życia. Wszakże uświadamia ono że wszelki łatwy, szybki i przyjemny sukces w czymkolwiek jest też dla nas faktycznie rodzajem "dzwonka alarmowego" iż "nie tędy droga". Jeśli więc np. jakiś polityk ma powszechnie lubiany uśmiech i miłe zachowanie jednak unika wszystkiego co niepopularne, trzeba się go strzec bo potem wyniszczy on gospodarkę oraz zapożyczy i zaprzeda swój kraj. Jeśli wszystko się zjawia aby jakaś partia polityczna łatwo wygrała wybory, trzeba się mieć na baczności - bowiem doprowadzi ona kraj do ruiny. Jeśli budowa jakiejś fabryki czy kopalni idzie "jak po maśle" - trzeba się mieć na baczności bo potem zniszczy ona środowisko, podminuje okoliczne domy, oraz zrujnuje gospodarkę tego regionu. Jeśli jakaś teoria naukowa lub odkrycie od razu uzyskuje światowy rozgłos i liczne nagrody, trzeba wziąć ją pod lupę bowiem w przyszłości będą one zwodziły ludzkość i blokowały postęp przez całe stulecia. Jeśli ktoś sam nas znajdzie i zaoferuje swoje usługi - powinniśmy się mieć na baczności bo drogo potem będzie nas kosztował. Jeśli jakiś golfer, sportowiec, czy piosenkarz nagle i bez wysiłku osiągnął szczyty, jest więcej niż pewnym że kiedyś okaże się on wzorcem niemoralnego postępowania i najgorszym przykładem dla innych. Itd., itp.

3. Dlaczego katastrofy unicestwiają wyłącznie praktykujących filozofię pasożytnictwa. Niemal każdy dziennik telewizyjny i każda gazeta przynoszą coraz więcej złych nowin. Powodzie w Polsce, wulkany w Islandii, pożary w Rosji i Kanadzie, Tornada w USA, huragan w Nowym Orleanie, terroryści w WTC, tajfuny na Pacyfiku, trzęsienia ziemi na Haiti, w Pakistanie i w Nowej Zelandii, tsunami w Indonezji, itp. itd. Ludzie nerwowo spekulują jakie mogą być tego przyczyny. Jedni panikują, że jest to następstwo szerzącej się bezbożności i ateizmu, jakie sprowadzają na ludzkość gniew Boga i "koniec świata" (po więcej informacji na temat "końca świata" - patrz punkt #B8 strony o nazwie seismograph_pl.htm). Inni pocieszają ateistów i polityków, że jest to tylko wynik rozwoju przemysłu i ocieplania się klimatu - bowiem wyniszcza on pozornie bezwybiorczo nawet wysoce religijne kraje i osoby. Niestety, w swoich próbach znalezienia reguł w tych pozornie chaotycznych katastrofach, ludzie narazie przymierzają do ich ofiar niemal każde kryterium - oprócz tego co najważniejsze, czyli moralności. Jest to jednak zrozumiałe. Wszakże przed opracowaniem Konceptu Dipolarnej Grawitacji świat ani dokładnie NIE wiedział czym dokładnie jest "moralność", ani też nie potrafił poklasyfikować ludzi według wyznawanej przez nich moralności. Świat NIE wiedział bowiem, że pod względem

wyznawanej moralności, wszyscy ludzie dzielą się jedynie na dwie zasadnicze grupy, tj. na (1) totalistów i (2) na pasożytów. Totaliści (1) to ludzie którzy czasami nawet nie słyszeli jeszcze o "filozofii totalizmu" ani o zidentyfikowanych i opisanych przez nią wielkościach moralnych, takich jak "prawa moralne", "pole moralne" i "energia moralna". Jednak ciągle starają się oni intuitywnie wypełniać "prawa moralne" (wsłuchując się w tym celu w "głos swego sumienia" który prawa te im podpowiada), ciągle mozolnie wspinają się pod górę "pola moralnego" poprzez nieprzerwane czynienie dobra, oraz ciągle pracowicie gromadzą "energię moralną". Ponieważ zaś "głos sumienia" przemawia do każdej osoby, do owej kategorii "totalistów" często należą też ludzie popularnie nazywani "ateistami". Z kolei pasożyty (2) to ludzie którzy wcale nie chcą nawet wiedzieć o "prawach moralnych", "polu moralnym", czy "energii moralnej", ani którzy nigdy nie słuchają swego "głosu sumienia". W swoim życiu zawsze też unikają oni wypełniania jakichkolwiek praw, włączając w to "prawa moralne", wybierają leniwe i przyjemne ześlizgiwanie się w dół "pola moralnego", oraz są zbyt leniwi aby pracowicie zarabiać dla siebie "energię moralną". Co nawet bardziej dziwne, do kategorii "pasożytów" często należą również ludzie głęboko religijni - NIE bez powodu więc Bóg Ojciec tak pokierował losami Jezusa, że na śmierć Jezus był wydany właśnie przez najwyższych kapłanów praktykujących ową wysoce niemoralną filozofię pasożytnictwa.

Jeśli ktoś dowie się o owym moralnym podziale wszystkich ludzi na "totalistów" i na "pasożytów", pozna cechy charakterystyczne osób przynależnych do obu tych kategorii, oraz odkryje że "pasożytami" często są również ludzie wysoce religijni, zaś "intuitywnymi totalistami" często bywają nawet ateści, wówczas nagle przeżyje szok. Ze szokiem odkryje bowiem wówczas, że działanie moralności jest tak zaprogramowane iż katastrofy unicestwiają wyłącznie osoby i społeczności które w swoim codziennym życiu praktykują niemoralną filozofię pasożytnictwa (tj. filozofię nieustannego wybierania w życiu tylko tego co łatwe, przyjemne i bezwysiłkowe, a stąd co niemoralne i co stacza daną osobę lub społeczność w dół "pola moralnego"), oraz które w swoim praktykowaniu pasożytnictwa osiągnęły już poziom tzw. "intelektu agonalnego". Jednocześnie, osoby które w swym życiu praktykują wysoce moralną filozofię totalizmu są zdecydowanie chronione przed zostaniem poszkodowanymi katastrofami.

Następstwem więc naszego poznania atrybutów totalistów i pasożytów jest m.in. że zaczynamy wyraźnie dostrzegać "kto" i "dlaczego" zostaje dotknięty katastrofami. Poznanie to ujawnia nam również, że powodem owych coraz liczniejszych katastrof jakie ostatnio nękają ludzkość, jest iż coraz więcej ludzi, polityków i społeczności wybiera właśnie owo łatwe, przyjemne i bezwysiłkowe staczanie swego życia i kraju w dół pola moralnego. Coraz więc więcej krajów i społeczności osiąga ów stan "intelektu agonalnego" i jest "anihilowane" przez prawa moralne. Zgodnie więc z opisywanym wcześniej przysłowiem że "miłe złego początki, a koniec żałosny", żałosny koniec ich drogi w niemoralność ulega dopełnieniu. Jeśli więc ktoś przeanalizuje stan moralny społeczności i krajów które dotykane są obecnie owymi kataklizmami, wówczas zawsze się okazuje, że wszystkie one osiągnęły już poziom "intelektów agonalnych" - po owe analizy patrz strony internetowe o nazwach [day26_pl.htm](#) i [seismograph_pl.htm](#).

Dzisiejsza sytuacja na świecie nam podpowiada, że naprawdę warto jest nauczyć się odróżniania totalistów od pasożytów. Umiejętność ta otwiera dla nas bowiem liczne możliwości, włączając w to oddanie nam do ręki kilku prostych metod obrony przed katastrofami. Metody te opisane są m.in. w punktach #G2, #G3, #I3 i #I5 strony [day26_pl.htm](#).

4. "Pole moralne" jest jak szybki i wysoce aktywny prąd rzeki - to dlatego pasywność i NIE czynienie niczego szybko spycha nas w dół tego pola, a stąd moralnie szybko cofa nas do tyłu. Wszystkie wielkości jakimi operuje "pole moralne", są tak zaprogramowane aby "pasywność" oraz "nie czynienie niczego" powodowały ich degenerację. To dlatego nawet złoto z upływem czasu się starzeje i zanika, to dlatego nienaprawiane domy i sprzęt po jakimś czasie się zawalają, to dlatego owoce i żywność z czasem się psują, to dlatego nawet najbogatsze przedsiębiorstwa i mocarstwa z czasem biednieją i upadają, to dlatego ludzie z upływem czasu tracą mięśnie i pamięć oraz

zapominają to czego się nauczyli, zaś nawet najlepsi eksperci którzy zaczną być zasiedzali na swoim stanowisku i obowiązkach szybko stają się niekompetentni i szkodzą zamiast pomagać, itp., itd. W sumie więc, jeśli ktoś w swoim życiu wybiera wygodne "nie czynienie niczego", wówczas dzięki szybkości i aktywności prądu z jakim płynie "pole moralne", jego pasywność jest równoznaczna z ześlizgiwaniem się w dół owego pola. Innymi słowy, z powodu szybkiego prądu i wysokiej aktywności "pola moralnego", "pasywność" i "nie czynienie niczego" są tak samo "niemoralne" jak celowe wyrządzenie niektórych rodzajów zła.

Z jakichś powodów większość ludzi wierzy, że życie jest jak nieruchomy krajobraz. Jeśli więc NIE czynią niczego, wówczas po prostu zachowują swoją pozycję na zawsze i bez końca będą stali nieruchomo w tym samym miejscu. Tymczasem ów dynamiczny i szybki prąd pola moralnego upodabnia życie do wiosłowania pod górę szybkiej rzeki - jeśli ktoś przestanie pracować, wówczas zamiast stanąć w miejscu jest natychmiast zmiatany do tyłu. Na przekór więc że wszyscy błędnie uważamy iż "nie czynienie niczego" powoduje nasze stanie w tym samym miejscu, faktycznie wysoka aktywność i szybki prąd pola moralnego powodują, że "nie czynienie niczego" natychmiast cofa nas do tyłu. Dlatego jeśli ktoś chce choćby utrzymać się na tym samym poziomie moralnym, ciągle musi w to wkładać nieustanny wysiłek i aktywność. Tzw. "spoczywanie na laurach" i "nie czynienie niczego" są równoznaczne z szybkim staczaniem się w dół pola moralnego, cofaniem do tyłu i z degeneracją na każdym możliwym polu.

5. Dlaczego "pole moralne" musi ustawiać niezliczone przeszkody na drodze tych co dokonują coś wysoce moralnego i dobrego dla ludzi. "Pole moralne" zostało tak zaprogramowane, że osiągnięcie wszystkiego co moralne musi wymagać wkładania w to pracy i wysiłku. Nic więc co moralne i co dobre dla ludzi, NIE może zostać osiągnięte przypadkiem i bez wysiłku. Niemoralne zaś musi być wszystko, co NIE wymaga wkładania w to pracy i wysiłku (a więc nawet "NIE czynienie niczego"). Powyższe zasady działania "pola moralnego" powodują, że jeśli ktokolwiek na ziemi podejmuje działanie jakie w końcowym wyniku ma okazać się wysoce moralne i dobre dla ludzi, wówczas owo "pole moralne" musi piętrzyć niezliczone przeszkody na drodze takiego kogoś. Ponieważ niniejszą zasadę "przeszkadzania" przez "pole moralne" każdemu kto postępuje moralnie, ja najpierw poznałem na przykładzie losów wynalazców i odkrywców, zasadę tą nazwałem "przekleństwem wynalazców". Przekleństwo to opisałem potem na licznych swoich stronach internetowych, np. patrz punkt #F1 na stronie o nazwie morals_pl.htm, punkt #H1.6 ze strony newzealand_visit_pl.htm, czy punkt #G1 ze strony eco_cars_pl.htm.

Poznanie moralnej zasady, że na drodze ludzi dokonujących czegoś wysoce moralnego i dobrego dla ludzkości zawsze piętrzone muszą być niezliczone przeszkody, okazuje się wysoce użytecznym w praktyce. Przykładowo, jeśli ktoś chce zbudować nowy wynalazek, taki jakim kiedyś był np. samolot opisywany na stronie mozajski.htm, zaś dzisiaj jest magnokraft, wehikuł czasu, czy ogniwo telekinetyczne, zaś wszyscy tzw. "eksperci" na niego pluja, twierdzą iż NIE będzie on działał, oraz zniechęcają innych do pomocy w jego budowie, wówczas kiedyś się okaże iż ów wynalazek faktycznie podniósł ludzkość do wyższego poziomu cywilizacyjnego. Jeśli natomiast naukowcy i "eksperci" hałaśliwie i szeroko propagują jakąś teorię, z całą pewnością NIE jest ona moralna i dobra dla ludzi, zaś jej upowszechnienie stanowi jedynie hamulec dla postępu ludzkości. Dobre i moralne są bowiem tylko te nowe teorie i ustalenia, na które większość naukowców pluje w czasach ich powstawania, zaś naukowe czasopisma odmawiają ich publikowania (tj. takie jak np. Koncept Dipolarnej Grawitacji czy filozofia totalizmu). To zaś co szeroko i hałaśliwie jest reklamowane i co siłą wdziera się do naszego życia, z całą pewnością jest niemoralne (stąd też będzie opluwane, tyle że w znacznie późniejszych czasach - kiedy zło jakie ono zasiewa wyjdzie już na wierzch). Moralnego bowiem nikt NIE będzie chciał reklamować, zaś dowiemy się o tym tylko przypadkowo i na zasadzie plotki. Itd., itp.

Wiedza o konieczności utrudniania tego co moralne i dobre dla ludzi, jest też wysoce użyteczna jeśli samemu jest się wynalazcą, twórcą, lub osobą czyniącą dobro. Wszakże wówczas zaczynamy bardziej "filozoficznie" przyjmować przeciwności serwowane nam przez życie. Wszakże wiemy, że gdyby "pole moralne" działało inaczej, wówczas "nie

czynienie niczego" przestałoby być niemoralne, zaś ludzie którzy postępują niemoralnie nie doświadczyliby sprawiedliwości.

6. Nasz "świat fizyczny" jest celowo zbudowany jak "najdoskonalsza maszyna do powiększania wiedzy". Z wielu różnych powodów ludzie uważają siebie za pępek wszechświata. Tymczasem jeśli uważnie przeanalizować materiał dowodowy, wówczas się okazuje, że ludzie są jedynie jednym z "eksperymentalnych pomocy", które inteligentnemu wszechświatowi pozwalają na szybsze i na bardziej efektywne gromadzenie poprawnej wiedzy. Istnieje cały szereg faktów, jakie potwierdzają taką właśnie rolę ludzi (tj. ich rolę jako "pomocy" w gromadzeniu wiedzy). Opiszmy teraz niektóre z owych faktów.

- Niedokonałość ludzi. Jedynym wyjaśnieniem jakie uzasadnia dlaczego mogą stworzyć ludzi jako bardziej doskonałych, Bóg stworzył ich jednak aż tak niedoskonałymi, jest że potrzebował On niedoskonałości ludzkiej dla szybszego i efektywniejszego powiększania swej wiedzy. Doskonali ludzie NIE popełnialiby bowiem aż tylu błędów, trudno byłoby się więc czegoś na nich nauczyć.

- Pojawianie się "materiału dowodowego" na wszystko w co tylko ktoś zaczyna głęboko wierzyć. W działaniu jest zasada, że "w cokolwiek tylko by ktoś nie wierzył tak głęboko, że aż podejmuje działania bazujące na tym swoim wierzeniu, zawsze dostarczone mu będą dowody, że to w co wierzy jest prawdą". To dlatego ludzie głęboko wierzący w demony widują demony, wierzący w UFO widują UFO, wierzący w Yeti spotykają Yeti, itd., itp. Tyle tylko, że owe "dowody" zawsze tak jakoś zmyślnie są dostarczane, aby poza danym wierzącym nikt inny NIE mógł z nich skorzystać. Doskonały przykład jak owe "dowody" są serwowane wyłącznie do indywidualnego użytku wierzącego, dał mi znajomy który wierzy w demony. W 2008 roku wybrał się razem z rodzicami na Alaskę i odwiedził jakiś park narodowy koło Anchorage. Tam zobaczył niezwykle poskręcane i rozrosłe drzewo. Wykonał więc jego fotografię. Kiedy jednak oglądał ową fotografię na ekranie swojego aparatu cyfrowego, wówczas dostrzegł że drzewo to jest otoczone licznymi ludzkimi postaciami które pozostawały niewidzialne dla gołych oczu. Jego wystraszona matka widząc na zdjęciu tłum istot jakich nie była w stanie ujrzeć gołym okiem, impulsywnie wyrwała mu aparat z ręki i wydeletowała to zdjęcie. Natychmiast też cała rodzina wsiadła do samochodu i uciekła z tego miejsca. W ten sposób impulsywność matki uniemożliwiła mu późniejsze pokazanie tego zdjęcia innym ludziom. Jednak dla owej osoby i dla jego rodziców, nawet będąc wydeletowanym, zdjęcie to ciągle jest niezaprzeczalnym dowodem, że demony faktycznie istnieją. W podobny sposób ja sam też byłem kiedyś potraktowany całą serią identycznie fabrykowanych "dowodów", tyle że na istnienie UFO, a nie demonów. Wiele z nich opisuję w tomie 17 swojej starszej monografii [1/4] (upowszechnianej w internecie za darmo). Takie pobudzanie ludzi do poszukiwań twórczych i do ścierania opinii, poprzez pokazywanie im "dowodów" które potwierdzają nawet te ich wierzenia które nie mają trwałych reprezentacji w świecie fizycznym, wiedzie wszystkich do szybszego powiększania wiedzy.

- Tymczasowe "symulacje" nawet nieprawdopodobnego, np. "UFO", "Yeti", "Jessie", "kości dinozaurów", itp. Jeśli jakaś osoba, grupa ludzi, lub instytucja (np. cała ziemską nauka) silnie wierzy w coś co trwale wcale NIE istnieje w naszym świecie fizycznym, a na dodatek podejmuje aktywne działania na bazie tego swego wierzenia, wówczas wierzenia te też są celowo podtrzymywane poprzez zmyślnie "fabrykowanie" odpowiednich "dowodów". W ten sposób tymczasowo fabrykowane są całe wehikuły UFO wraz z załogami, rozliczne wersje Yeti, kości dinozaurów które miały jakoby żyć na Ziemi miliony lat temu (podczas gdy tak naprawdę to Ziemia stworzona została jedynie trochę ponad 6000 lat temu), itd., itp. Faktyczność owych tymczasowych "symulacji" oraz wywodów logicznych które potwierdzają ich istnienie, wykazałem na całym szeregu stron internetowych. Jako ich przykład patrz strona [evolution_pl.htm](#) oraz podrozdział JA1.3 z tomu 6 monografii [8/2] - jakie wykazują że Ziemia stworzona została jedynie trochę ponad 6000 lat temu, jednak już na etapie jej tworzenia wprowadzone w nią zostały "kości dinozaurów" jakoby żyjących miliony lat temu. Inne podobne przykłady pokazują m.in. punkty #C1 i #C3 strony [prawda.htm](#), albo punkty #K1 i #K2 do #N2 strony [day26_pl.htm](#).

Z naszego punktu widzenia dobrze jest wiedzieć, że absolutnie wszystko co

istnieje w świecie fizycznym, zostało stworzone (i jest nastawione) głównie dla powiększania wiedzy Boga - co dokładniej wyjaśniono m.in. punktach #B2 do #B4 strony will_pl.htm. Pozwala to bowiem nam zrozumieć dlaczego wokół nas widać aż tak wiele dziwnych faktów, których jedynym wyjaśnieniem jest właśnie potrzeba powiększania wiedzy. Ponadto ujawnia to nam fakt, że lepiej samemu i na ochotnika znaleźć dla siebie coś co będzie powiększało ową wiedzę, zamiast czekać aż to Bóg znajdzie dla nas sposób na jaki możemy stać się przydatni dla takiego powiększania wiedzy. Wszakże może wówczas się okazać, że jedyne do czego się nadajemy, to rola "królika doświadczalnego" lub "żywej ilustracji" - jakie to role często zapewne odnotowujemy w przedziwnych losach innych ludzi.

7. Bezczasowość umiejscowienia działania Boga lub czyjegoś wierzenia. Oparcie działania świata fizycznego i ludzi na tzw. "przestrzeni czasowej" powoduje, że dla Boga nie istnieje takie coś jak "czas", "upływ czasu", czy "przedtem" albo "potem". Bóg panuje bowiem nad całą ową przestrzenią czasową, tj. panuje zarówno nad "czasem" i "upływem czasu", jak i nad "przeszłością", "teraźniejszością" i "przyszłością". Przykładowo, Bóg już obecnie wie w co my (lub w co ktokolwiek inny) będzie silnie wierzył np. za 10 lat lub za 66 lat. Dlatego dla Boga istotne jest tylko że "dany ktoś na jakimś tam etapie swego życia będzie w coś silnie wierzył, a co najważniejsze - że podejmie działania na bazie tego swego wierzenia". Czy zaś owo jego wierzenie pojawi się "przed" czy też "po" ujrzeniu danych dowodów, dla Boga NIE ma już znaczenia. Wszakże w obu tych przypadkach ciągle będzie służyło to powiększaniu wiedzy zarówno Boga jak i ludzi. Podobnie jest też z innymi działaniami Boga. Przykładowo, czasami Bóg zaserwuje komuś "karę" jeszcze "przed" momentem czasowym kiedy ów ktoś popełni coś czym na karę tą sobie zasłuży, albo też Bóg zaserwuje komuś "zwrot" z tzw. "Prawa Bumerangu" zanim ten ktoś popełni coś co przyniesie mu ów zwrot. Innymi słowy, jeśli ktoś na jakimś tam etapie swego życia będzie "silnie wierzył" w dane zjawisko czy dane istoty, oraz potwierdzi czynem to swoje silne wierzenie poprzez zadziałanie na jego podstawie (np. poprzez obwieszczenie swoich przygód reszcie świata), wówczas staje się to wystarczającym powodem dla którego Bog "zasymuluje" mu to zjawisko czy istoty. Kiedy więc analizujemy przypadki "zasymulowania" czegoś ludziom dla poparcia ich silnych wierzeń, musimy pamiętać że dla Boga NIE istnieje "czas" ani "ograniczenia czasowe" w rodzaju czasowego uszeregowania "przedtem" i "potem" jakie dla ograniczonych umysłów ludzi typowo ustawiają wszystko w kolejność zależną od czasów pojawienia się.

8. Uzależnienie tego co spotyka nas w dzieciństwie i młodości, od tego co czynimy w wieku dojrzałym. Filozofia totalizmu naucza, że powinniśmy bardzo uważać aby tym co czynimy w swoim wieku dojrzałym, w żadnym wypadku NIE przeszkadzać Bogu w zrealizowaniu Jego boskich planów. Wszakże to co czynimy jako dorośli, ma decydujący wpływ na to co zdarza się nam w naszym dzieciństwie lub młodości. Bóg widzi bowiem naraz całe nasze życie, stąd tak ukierunkowuje zdarzenia z naszej młodości, aby nasze działania w wieku dojrzałym możliwie najlepiej służyły boskim planom, a nie przypadkiem popsuły te plany i intencje. To właśnie z tego powodu dzieci które w dorosłym życiu mają zostać tyranami, terrorystami, sabotażystami, mordercami, gwałcicielami, itd., oraz których przyszłe działania mają wydatnie poprzekadzać Bogu w zrealizowaniu Jego boskich planów, Bóg już w dzieciństwie albo całkowicie unicestwia, albo też zamienia w kaleki lub przeznacza do urodzenia się w kraju lub rodzinie które uniemożliwią im zaszkożenie boskim planom. Najlepiej tą zależność naszych losów jako dzieci od tego co uczynimy jako dorośli, wyjaśnia odrębna strona internetowa poświęcona omówieniu powodów dla których na świecie istnieją ból, cierpienie, choroby, nieszczęścia, kataklizmy, itp. - dla przegłądnięcia owej strony kliknij na następujący guzik:

9. Cdn. ... Powyższe to tylko niektóre z licznych zasad prowadzenia moralnie poprawnego życia już zidentyfikowanych i opisanych przez teorię zwaną Konceptem Dipolarnej Grawitacji i przez filozofię totalizmu - która z konceptu owego wynika. Dlatego rozwijanie niniejszego punktu #F1 jest kontynuowane na innych stronach i opracowaniach. Wyjaśnione skrótowo są w nich dla codziennego użytku dalsze zasady, prawa, wielkości,

moce, itp. Przykładowo, kilka generalnych zasad postępowania w codziennym życiu wyjaśnionych zostało w podpunktach #A2 ze strony internetowej o nazwie totalizm_pl.htm. Z kolei kilka metod działania Boga nastawionych na korygowanie moralności u tzw. "intelektów grupowych" opisanych zostało w punktach #B2 do #B4.4 strony internetowej o nazwie mozajski.htm. Powyższe zasady, prawa i regularności omówione są także, zilustrowane, oraz uzupełniane poszerzającym je materiałem dowodowym w praktycznie niemal całej mojej najnowszej monografii [1/5]. Gratisowy egzemplarz tamtej monografii można więc załadować sobie bezpośrednio z internetu i to z niej studiować rozwinięcie niniejszego punktu - np. patrz w niej podrozdział A16 z tomu 1.

* * *

Jeśli w swoim widzeniu świata ktoś opiera się wyłącznie na dzisiejszej, wysoce niedoskonałej nauce która też praktykuje filozofię pasożytnictwa, wówczas wszystko wygląda w nim jak chaos. Wszakże, zgodnie z typowymi zachowaniami "pasożytnictwa", obecna oficjalna nauka ludzka boi się narażać swoją reputację poprzez wypowiadanie się o sprawach jakich poprawność każdy może sobie sprawdzić. Lepiej bowiem dla jej autorytetu jest wypowiadać się na temat "wielkiego wybuchu" - który jakoby ukształtował dzisiejszy wszechświat, na temat odległych galaktyk, czy też na temat cząsteczek elementarnych - wszakże tych wypowiedzi jeszcze długo nikt NIE może sprawdzić. Jeśli jednak w swoim widzeniu świata poznamy i zrozumiemy choćby owe najważniejsze ustalenia filozofii totalizmu i Konceptu Dipolarnej Grawitacji, niektóre z jakich skrótowo opisałem powyżej a jakie każdy może sobie łatwo sprawdzić na przykładach z prawdziwego życia, wówczas nagle ów chaotyczny świat zaczyna działać według zrozumiałych dla każdego reguł i zasad. Choćby więc tylko z tego powodu naprawdę warto włożyć swój trud w poznanie prawd które totalizm i Koncept Dipolarnej Grawitacji starają się nam ujawnić. Poznawanie prawdy jest bowiem szczytem moralnego postępowania, zaś NIE daje się postępować moralnie bez włożenia w to swojej pracy i wysiłku.

Część #G: Humor i zabawne sytuacje:

#G1. Dowcip na czasie:

Ci z nas co często używają emailów i internetu, odnotowali zapewne że dzięki nim po świecie krążą ostatnio najróżniejsze zabawne historyjki i dowcipy. Jedna z nich szczególnie zwróciła moją uwagę, ponieważ jest wysoce na czasie dla naszej sytuacji i wieku. Owa zabawna historyjka ma tytuł "Old Dog: Age and Wisdom" - co znaczy "Stary pies: wiek i mądrość". Przytaczam ją poniżej dla pośmiania się przez tych z nas co znają język angielski. Oto ona:

A wealthy old Gentleman decides to go on a hunting safari in Africa , taking his faithful, elderly dog named Killer, along for the company. One day the old dog starts chasing rabbits and before long, discovers that he's lost. Wandering about, he notices a leopard heading rapidly in his direction with the intention of having lunch. The old dog thinks, "Oh, ho! I'm in deep doo-doo now!" Noticing some bones on the ground close by, he immediately settles down to chew on the bones with his back to the approaching cat. Just as the leopard is about to leap, the old dog exclaims loudly, "Boy, that was one delicious leopard! I wonder, if there are any more around here?" Hearing this, the young leopard halts his attack in mid-strike, a look of terror comes over him and he slinks away into the trees. "Whew!", says the leopard, "That was close! That old dog nearly had me!" Meanwhile, a monkey who had been watching the whole scene from a nearby tree, figures he can put this knowledge to good use and trade it for protection from the leopard. So, off he goes, but the old dog sees him heading after the leopard with great speed, and figures that something must be up. The monkey soon catches up with the leopard, spills the beans and strikes a deal for himself with the leopard. The young leopard is furious at being made a fool of and says, "Here, monkey, hop on my back and see what's going to happen to that conniving canine! Now, the old dog sees the leopard coming with the monkey on his back and thinks, "What am I going to do now?", but instead of running, the dog sits down with his

back to his attackers, pretending he hasn't seen them yet, and just when they get close enough to hear, the old dog says... "Where's that damn monkey? I sent him off an hour ago to bring me another leopard! Moral of this story... Don't mess with the old dogs... age and skill will always overcome youth and treachery! BS and brilliance only come with age and experience.

#G2. Wierszyk "radości po 60-tce":

W czasach internetu sporo posiadaczy własnych adresów emailowych używa interesującej zasady dokumentowania swoim korespondentom że ciągle o nich myślą i ich pamiętają. Po prostu, kiedy już NIE mają nic nowego i ciekawego do napisania, wówczas wysyłają email z humorem. Dzięki tej zasadzie, jakiś czas temu ktoś przysłał mi wierszyk, podobno anonimowego autora, traktujący o "radościach po 60-tce". Ponieważ wierszyk ten wyraża rodzaj "humoru na czasie", postanowiłem włączyć go do tej strony. Aby jednak NIE urażać niczyich uczuć, zamknąłem go w odrębnym okienku. Stąd ci czytelnicy u których ciągle działa poczucie humoru i potrafią pośmiać się nawet z siebie samych, oraz którzy zechcą poczytać sobie ten wierszyk, powinni kliknąć na następujący guzik:

#G3. Inne strony z podobnym rodzajem humoru:

Aby nie zanudzać czytelników nie będę tutaj już podawał innych podobnych historyjek. Jednak dla tych których one zainteresują nadmienię że następne dowcipy o podobnym charakterze podane są: w punkcie #D2 strony klasa.htm, oraz na stronach pajak.fateback.com/somebody_nobody.htm i pajak.6te.net/hawaiian_good_luck_sign.htm.

Część #H: Podsumowanie tej strony:

#H1. Zamiast podsumowania:

Dla każdego człowieka nadchodzi w końcu czas, kiedy jego życie ulega podsumowaniu. Tak się składa że ów czas nadchodzi właśnie i dla nas. Jak zwykle w takich przypadkach, nasi następcy będą sprawdzali nie tylko co zdołaliśmy osiągnąć, ale także "czy" i "jak" potrafiliśmy ponaprawiać swoje własne błędy. Z zakresie naszych osiągnięć sytuacja została tu wyklarowana - nie miały one precedensu w żadnym uprzednim pokoleniu. Jednak w sprawie popełnionych przed nas błędów nasza rola ciągle nie uległa zakończeniu. Mamy bowiem teraz obowiązek, aby na przykładach błędów które my sami popełniliśmy, oraz błędów które popełniły generacje naszych dziadków, ojców i dzieci, nauczyć teraz nasze wnuki jak mają ich unikać i jak powinni zabrać się za ich naprawianie. Aby zaś wywiązać się z tej naszej ostatniej roli, nie wolno nam zamykać się w naszym świecie i zatrzymywać nasze doświadczenia wyłącznie dla siebie, a mamy obowiązek aby wypowiadać na głos swoje opinie i wskazywać właściwe kierunki. Jednym zaś z forów które możemy używać w tym celu, jest m.in. właśnie niniejsza strona.

Część #I: Informacje końcowe tej strony:

#I1. Email e i dane kontaktowe autora i redaktora tej strony:

Aktualne adresy emailowe autora i redaktora tej strony, tj. dra inż. Jana Pajaka (a przez okres 2007 roku - Prof. dra inż. Jana Pajaka), pod jakie można wysyłać ewentualne poprawki, kontakty, uwagi, zapytania, itp., podane są na stronie internetowej z moja autobiografią (dra inż. Jana Pajak). Tam również dostępne są mój adres pocztowy i numer telefonu.

#I2. Copyrights © 2011 - wszelkie prawa zastrzeżone:

Copyrights © 2011 - wszelkie prawa zastrzeżone. Autorstwo i prawa copyrights dla opisów z "części #D" tej strony są zastrzeżone na rzecz każdej osoby do której

nazwiska dane opisy zostały dołączone. Z kolei autorstwo i prawa copyrights dla opisów z pozostałych części tej strony (poza ową "częścią #D") są zastrzeżone na rzecz dra inż. Jana Pajaka - redagującego całość tej strony.

#13. "Disclaimer" redaktora tej strony:

Odnotuj że narazie niniejsza strona ma tylko jednego głównego redaktora, którym jest dr inż. Jan Pajak. Stąd większość jej tekstu została przygotowana i jest aktualizowana właśnie przez niego. Wkład innych wymienionych tutaj absolwentów rocznika 1970 skupia się głównie na sformułowaniu jej "części #D". Dlatego poglądy wyrażone na tej stronie w częściach innych niż owa "część #D", niekoniecznie są podzielane przez wszystkich wymienianych tutaj absolwentów rocznika 1970. Czyli niektóre zjawiska i sytuacje komentowane w częściach innych niż owa #D tej strony, zapewne mogą być przez część z nich interpretowane na odmienne od zaprezentowanych tutaj sposobów.

#14. Zasady przyjęte w zapisie tej strony:

Jak dla wszystkiego co jest nowo-tworzone w naszym świecie, podczas sporządzania tej strony musiałem przyjąć określone zasady jej zapisu. Poniżej postaram się więc wyjaśnić jakie te zasady są:

#1. Aktualne zdjęcia. Te osoby, dla których dostępne jest już choćby jedno aktualne zdjęcie (tj. wykonane relatywnie niedawno), w "Menu 2" wyróżnione zostały białym kolorem liter.

Warto tutaj jednak odnotować, że dawny wygląd większości z nas uwieczniony został na historycznych już zdjęciach pokazanych na stronie Nasz Rok dostępnej m.in. poprzez kliknięcie w "Menu 1".

#2. Tytuły. Ponieważ każdy z nas posiada tytuły "magistra inżyniera", w wykazach i opisach z tej witryny nie powtarzam już owych standardowych tytułów. Jednak dla informacji przytoczyłem pełne tytuły dla tych osób z naszego roku, którym tytułów tych później nieco przybyło - zaś ja zdołałem jakoś się o nich dowiedzieć.

#3. Nazwiska panieńskie. Dla kobiet z naszego roku w tekście używam ich obu nazwisk, podając w nawiasie nazwisko panieńskie (tj. to, które pamiętamy ze studiów). Natomiast w "Menu 2" dla skrótu używam jedynie ich nazwisk panieńskich.

#4. Prywatność. Proszę też odnotować, że z uwagi na "Privacy Act" trochę się boję przytaczać na tej stronie adresów uczestników naszego roku - jeśli nie otrzymałem od nich wyraźnego zezwolenia aby ich adresy otwarcie podać. Jednak w wielu przypadkach ja mam już te adresy i dla uczestników naszego roku w każdym momencie czasu jestem w stanie udostępnić adres ich byłych przyjaciół i kolegów z roku. Dlatego jeśli ktoś chce otrzymać czyjś adres, proszę do mnie napisać email, a ja natychmiast go przyślę. Należy jednak odnotować, że ów adres podaję poniżej we wszystkich tych wypadkach, kiedy jest on jedynym kontaktem jakim dysponuję do danego absolwenta naszego roku. Natomiast numery telefonu i emaile przytaczam bez ograniczeń, ponieważ ich otwarte udostępnianie kontunuuje tradycje książek telefonicznych i list adresowych, stąd praktycznie nie narusza zbyttno niczyjej prywatności.

#15. Polskie literki:

W tekście tej strony starałem się używać polskich literek. Szybko jednak odnotowałem, że nie każdy serwer poprawnie koduje i przesyła owe litery (np. serwer www.nrg.to deformuje polskie litery i uniemożliwia ich odtworzenie nawet na poprawnie nastawionych komputerach z Polski jakie używają systemu operacyjnego "Windows XP"). Ponadto komputery zdają się wyświetlać poprawnie polskie literki tylko jeśli albo używają systemu operacyjnego "Windows XP", lub jeśli ich Internet Explorer został na nie ustawiony. (Aby ustawić swoją przeglądarkę "Internet Explorer" na poprawne odczytywanie polskich liter, trzeba kliknąć na pozycję w jej menu oznaczoną "Widok" (po angielsku "View"), zaś potem na opcję oznaczoną "Kodowanie" (po angielsku "Encoding"). Kiedy zaś otworzy się submenu "Dalsze" ("More") z odmiennymi alfabetami, wybrać trzeba i włączyć kliknięciem alfabet oznaczony "Srodkowoeuropejski (Windows)" (po angielsku "Central

European (Windows)").) Gdyby jednak i takie ustawianie nie pomogło, wówczas na wszelki wypadek informuję, że jeśli u kogoś w miejscu literek na ekranie pojawiają się jakieś dziwne znaczki, to zapewne oznacza, że jego komputer nie wyświetla prawidłowo polskich literek. W takim przypadku dobrze jest wiedzieć, że wyświetlane znaczki oznaczają co następuje:

"ą" = "a" z ogonkiem, "Ą" = "A" z ogonkiem,
 "ć" = "c" z kreską, "Ć" = "C" z kreską,
 "ę" = "e" z ogonkiem, "Ę" = "E" z ogonkiem,
 "ł" = "l" przekreślone, "Ł" = "L" przekreślone,
 "ń" = "n" z kreską, "Ń" = "N" z kreską,
 "ó" = "o" z kreską, "Ó" = "O" z kreską,
 "ś" = "s" z kreską, "Ś" = "S" z kreską,
 "ź" = "z" z kreską, "Ź" = "Z" z kreską,
 "ż" = "z" z kropką, "Ż" = "Z" z kropką.

Oto wykaz polskich literek jakie mogą wystąpić w moich tekstach:

ą ć ę ł ń ó ś ź ż (małe polskie literki)

a c e l n o s z z (łacińskie i angielskie odpowiedniki małych polskich literek)

Ą Ć Ę Ł Ń Ó Ś Ź Ż (duże polskie litery)

A C E L N O S X Z (łacińskie i angielskie odpowiedniki dużych polskich liter).

Powinienem tutaj dodać, że po odnotowaniu mizernych efektów moich eksperymentów z użyciem polskich literek, wcale teraz się nie spieszę z przeredagowaniem na polskie literki tej części totalizacyjnych stron które oryginalnie pisane były alfabetem angielskim (łacińskim).

#16. Osobista kopia tej strony trzymana we własnym komputerze:

Jeśli ktoś zechce często zaglądać do niniejszej witryny internetowej, wówczas dobrze jest skopiować ją całą do swojego własnego komputera. Wszakże w przypadku posiadania takiej prywatnej kopii tej witryny, nie jest się już zależnym od dostępu do internetu w przypadku każdej chęci ponownego zglądnięcia do tej strony lub oglądnięcia którejś z pokazanych na niej ilustracji. Nie jest też już wówczas konieczne znoszenie owego potopu najrozniejszych banerów reklamowych, jakimi strony internetowe utrzymywane na darmowych serwerach są nieustannie zalewane. Na przekór że z pozoru może ono wydawać się trudne, faktycznie sporządzanie takiej własnej repliki niniejszej witryny internetowej jest relatywnie proste. Dla tych więc którzy zechcą sporządzić sobie taką replikę w swoim własnym komputerze, niniejszym opisuję krok po kroku, jak tego dokonać. Oto owa instrukcja postępowania:

1. Stworzyć nowy folder (zbiór) na dysku twardym "c:". Folder ten będzie zawierał niniejszą stronę (a ewentualnie także dowolne inne moje strony). W tym celu wystarczy uruchomić "Windows Explorer", oraz stworzyć nowy folder na swoim dysku twardym. Dobrze jest folder ten nazwać w taki sposób, aby wyraźnie odróżniał się od innych typowych folderów z owego dysku twardego, np. nazywając go "Pajak" (lub "rok"). Folder ten będzie później używany do przechowywania wszystkich tych stron internetowych z niniejszej witryny, które ktoś zechce zawsze mieć pod ręką.

2. Stworzyć nowe pod-foldery (podzbiory) we wnętrzu foldera "Pajak" (lub "rok"). Owe pod-foldery będą zawierały poszczególne grupy zdjęć ukazywanych za pośrednictwem niniejszej strony internetowej, a należących do poszczególnych kolegów. Generalna zasada tworzenia owych pod-folderów jest, że otrzymują one nazwy zapisane wyłącznie małymi literkami łacińskimi, jakie składają się z nazwiska, kreski podkreślającej, imienia osoby której zdjęcia pod-foldery te przechowują (odnotuj że w nazwach tych pod-folderów nie używa się polskich literek). Przykładowo, dla przechowywania moich zdjęć utworzyć trzeba podfolder `pajak_jan`, z kolei dla przechowywania zdjęć Staszka Przeworka utworzyć trzeba podfolder nazywający się `przeworek_stanislaw`. Ponadto utworzyć trzeba kilka "systemowych" podfolderów, które przechowują wspólne zdjęcia. Oto wykaz nazw podfolderów (podzbiorów) "systemowych" wykorzystywanych przez niniejszą witrynę internetową:

wroclaw. Zawiera on zdjęcia Wrocławia.

pw. Zawiera on zdjęcia Politechniki Wrocławskiej.

kwiatki. Zawiera on zdjęcia kwiatków pokazanych w miejscach gdzie później mają być włączone jakieś konkretne zdjęcia, a także zdjęcie "księgi uwag".

W celu stworzenia tych pod-folderów wystarczy uruchomić "Windows Explorer", oraz wygenerować nim wymagane pod-foldery we wnętrzu foldera "Pajak".

3. Zachować kod źródłowy tej strony w swoim folderze "Pajak" (lub "rok"). W tym celu trzeba "kliknąć prawym przyciskiem" swojej myszy, kiedy się wskazuje na jakikolwiek obszar zadrukowany tej strony (np. wskazuje tutaj). Małe menu powinno się pojawić, które ma pozycję "View Source". Kliknij na tą pozycję, tak że kod źródłowy tej strony pojawi się w edytorze tekstu nazywanym "Notepad". Kliknij na "File" menu w tym "Notepad" i wybierz opcję "Save As...". Zachowaj kod źródłowy ze swojego "Notepad" używając nazwy pliku "index.htm" jako "File name" tego kodu, zaś podając folder "c:\Pajak" (lub "c:\rok") jako "Save in" miejsce dla zachowania tego kodu. Odnótuj że strony wywoływane z niniejszej strony należy zachowywać pod nieco innymi nazwami, mianowicie: "pw.htm" dla strony Nasz Rok, "zyciorisy.htm" dla strony Objasnienia, oraz "wroclaw.htm" dla strony Wrocław.

4. Zachować ilustracje. Kliknij prawym przyciskiem myszy na każdą ilustrację z tej strony lub ze stron z nią związanych, potem wybierz opcję "Save Picture As". Ilustracje ze stron z notkami autobiograficznymi zachowaj w pod-folderze osobno jakich zdjęcia te dotyczą. Natomiast zdjęcia kwiatków i Wrocławia zachowaj w pod-folderach "kwiatki" oraz "wroclaw". (Odnótuj że każda ilustracja wskazuje u dołu ekranu sub-folder w jakim musi być zachowana.)

5. Wyszwietlić tą stronę w swoim komputerze. Po zachowaniu tej strony, daje się ona wyświetlić w dowolnej chwili we własnym komputerze, poprzez zwykłe wycelowanie na plik "index.htm" (tj. wycelowanie na kod źródłowy tej strony) używając w tym celu "Windows Explorer", oraz następne podwójne kliknięcie na owym pliku. (Można też ją wyświetlić poprzez wycelowanie na nie "Windows Explorer" i przycisnięcie klawisza "Enter".) Strony związane z niniejszą hyperlinkami, można wyświetlać albo poprzez kliknięcie na owe hyperlinky kiedy ta strona jest pokazana na ekranie komputera, albo też poprzez kliknięcie z "Windows Explorer" odpowiednio na "pw.htm", "zyciorisy.htm", lub "wroclaw.htm".

6. (Warunkowo) pusuwać banery. Darmowe serwery z jakich ja korzystam, zwykle wprowadzają kody banerów do kodu źródłowego stron jakie na nich są wystawiane (często kody tych banerów zawierają też dokuczliwe błędy jakie starają się utrudniać oglądanie owych stron). Jeśli banery te kogoś irytują, wówczas w kodzie źródłowym zachowanym we własnym komputerze daje się je pusuwać. Aby powycinać te banery, należy najpierw zidentyfikować ich kody (albo przez znalezienie adresu referowanego w owym kodzie i zaczynającego się od "http://...", albo poprzez wypatrzenie komentarza oznakowującego początek i koniec danego baniera i zwykle zaczynającego się od słów "banner insertion ...").

#17. Inne strony jakie posiadają związek tematyczny z niniejszą:

Owe inne strony które też posiadają związek tematyczny z niniejszą naszą stroną, to (kliknij na wybraną z nich aby ją odwiedzić):

Strona internetowa naszej uczelni "www.pwr.wroc.pl".

Polska strona "www.szkolnelata.pl" jaka zawiera wykaz uczelni i szkół z całej Polski (z naszą uczelnią).

Strona o Wrocławiu "www.anzwers.org/free/wroclaw".

#18. Odnótujmy że strona ta kiedyś była dostępna w internecie pod szeregiem odmiennych adresów, z których jednak ją już wydeletowali:

Aby pomniejszyć swoje koszty, do udostępniania tej strony używam wyłącznie darmowych serwerów. Dlatego często strona ta zostaje z nich wydeletowana. Dla informacji podaję więc tutaj wykaz adresów pod którymi niniejsza strona kiedyś była dostępna, jednak późniejsze jej testowanie wykazało że obecnie już jej tam NIE ma. Oto owe adresy:

mozajski.i6networks.com/1970,
wroclaw.i6networks.com/1970,
free.7host02.com/sheep/1970,
propulsion.250free.com/1970,
www.nrg.to/newzealand/1970,
i.1asphost.com/1964/1970,
wroclaw.free2w.com/1970,
milicz.fateback.com/1970,
n.1asphost.com/1970,
jan-pajak.com/1970,
aliens.f2g.net/1970,
1970.netfirms.com,

#19. Zapiszmy sobie w swym komputerze adresy pod jakimi można znaleźć egzemplarze tej strony:

Podobnie jak wszystkie inne maszyny, komputery mają tendencje aby czasami nawalać - szczególnie kiedy je pilnie potrzebujemy. Ponadto, strony które ja wykonują są wystawiane wyłącznie na "darmowych serwerach" - tj. wystawiane w taki sposób, aby za nie mi nie przysyłano słonych rachunków do płacenia. Dlatego sporo adresów pod którymi niniejsza strona była kiedyś wystawiana, z upływem czasu zostawało wydeletowane. Podczas najnowszej aktualizacji tej strony (której data wskazywana jest u góry nad jej "Menu 1" a także na samym jej końcu) była ona ciągle dostępna pod kilkoma następującymi adresami. Jej główna kopia była dostępna pod adresem:

totalizm.pl/1970/rok.htm

Natomiast identyczne do niej kopie rezerwowe dostępne były m.in. pod adresami:

energia.sl.pl/1970/rok.htm

www.anzwers.org/free/wroclaw/1970/rok.htm

members.fortunecity.com/timevehicle/1970/rok.htm

Aby zawsze mieć pod ręką owe adresy, rekomendowałbym aby sobie je skopiować i potem wkleić do jakiegoś pliku z adresami który trzymamy we własnym komputerze.

Księga uwag

(pozwala na szybką wymianę wieści)

[zobacz księgę | dopisz do księgi]

* * *

If you prefer to read in English click on the flag below

(Jeśli preferujesz czytanie w języku angielskim

kliknij na poniższą flagę)

Data założenia polskojęzycznej wersji tej strony: 12 czerwca 2004 roku.

Data założenia angielskojęzycznej wersji tej strony: 8 sierpnia 2010 roku.

Data najnowszej aktualizacji tej strony: 12 maja 2011 roku.

(Sprawdź pod adresami podanymi powyżej czy już istnieje nawet nowsza aktualizacja!)

Podrozdział A6:

Nieoficjalna strona absolwentów rocznika 1970 Wydziału Mechanicznego Politechniki Wrocławskiej

Strona prezentująca opisy oraz ilustracje dokumentujące historię rocznika 1970 absolwentów Wydziału Mechanicznego Politechniki Wrocławskiej

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Zamiast wstępu:

(Proszę odnotować, że większa część owych opisów i ilustracji ciągle oczekuje przygotowania. Apeluje więc tutaj do kolegów i koleżanek o nadsyłanie krótkich opisów, danych, lub wspomnień, które mogłyby zostać włączone do owych opisów. Szczególnie zaś apeluje o udostępnianie dalszych zdjęć grupowych uczestników rocznika 1970, podobnych do zdjęć już pokazanych poniżej!)

* * *

Celem tej strony jest podsumowanie historii grupowej uczestników rocznika 1970 absolwentów Wydziału Mechanicznego Politechniki Wrocławskiej.

Część #B: Zdjęcia grupowe naszego roku:

Zauważ, że można zobaczyć powiększenie każdej fotografii z niniejszej strony internetowej, poprzez zwykłe kliknięcie na tą fotografię. Ponadto większość browserów jakie obecnie są w użyciu pozwala także na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększyć, a także drukować, za pomocą posiadanego przez siebie oprogramowania graficznego.

Jeśli zaś ktoś życzy sobie aby przesunąć daną ilustrację (tj. fotografię lub rysunek), znaczy aby przemieścić ją w inne miejsce ekranu z którego właśnie czytasz jego opis, wówczas powinien uczynić co następuje: (1) kliknąć na nią aby spowodować pojawienie się tej ilustracji (zdjęcia lub rysunku) w odrębnym okienku, (2) zmniejszyć wymiary tego odmiennego okienka (z danym zdjęciem lub rysunkiem) poprzez "złapanie" myszą jego prawego-dolnego narożnika i przesunięcie tego narożnika w górę-lewo aby otrzymać rozmiar tego odrębnego okienka jaki sobie życzysz mieć (odnotuj że kiedy raz zmniejszysz już rozmiar pierwszej takiej ilustracji, wówczas wszelkie następne kliknięte rysunki pojawią się już w owych zmniejszonych rozmiarach - chyba że je ponownie powiększysz w taki sam sposób), a następnie (3) przemieścić to odmierne okienko z ilustracją w miejsce strony internetowej w którym zechcesz je oglądać. (Aby je przemieścić złap je myszą za ten niebieski pasek na jego górnej krawędzi). Odnotuj też, że jeśli przesuniesz (suwakiem) tekst tej strony kiedy go czytasz, owo odrębne okienko z dodatkowym rysunkiem nagle zniknie. Aby je ponownie przywrócić w nowe położenie strony musisz kliknąć na jego "ikonkę" (nazwę) w najniższej części ekranu.

Zdjęcie 1 - Courtezy Andrzej Kruszyna (N1 z [10]): Oto spora proporcja uczestników naszego roku podczas pierwszego zjazdu z 1980 roku. Jak młodo i optymistycznie wówczas wyglądaliśmy. Ponieważ zdjęcie to wymaga opisania, postanowiłem wyteńczyć swoją dosyć już zaśnieżoną pamięć i przyporządkować nazwiska do poszczególnych twarzy. Aby ułatwić innym sprawdzanie i aktualizowanie tego mojego niezbyt udanego opisu, każdej osobie z tego zdjęcia przyporządkowałem podwójny numer podany w

nawiasie. Pierwszy człon tego numeru oznacza stopień schodów na którym dana osoba stoi, licząc od stopnia schodów najbliższego obiektywu aparatu. Drugi zaś człon oznacza pozycję danej osoby stojącej na danym stopniu schodów, licząc tak jak pismo - od lewej ku prawej. Osoby których nie zdołałem rozpoznać oznaczyłem kropkami ... (Kliknij na powyższe zdjęcie aby zobaczyć je w powiększeniu, lub aby przesunąć je w inne miejsce ekranu.)

(Apeluję tutaj do wszystkich kolegów i koleżanek o przysyłanie mi nazwisk tych wykropkowanych osób. Dla ułatwienia poprawek, proszę nazwiska przysyłać razem z numerami jakie im zostały przyporządkowane, lub z nazwiskami sąsiadów jacy stoją najbliżej nich.) Oto nasze zdjęcie, pod nim zaś wykaz osób które wspólnym wysiłkiem zdołaliśmy dotychczas zidentyfikować:

[Ósmy stopień schodów] - najwyższy: (8-1) Jan Krystian, (8-2) Andrzej Boguski, (8-3) Borysław Niemcewicz, (8-4) Julian Zając, (8-5) Leszek Mozyrko, (8-6) Jan Chodacki, (8-7) ..., (8-8) Prof. Pieczonka.

[Siódmy stopień]: (7-1) Bożena Brzozowska, (7-2) Kazimierz Miernicki, (7-3) Janusz Krassowski, (7-4) Maria Pogost (Mara Fox), (7-5) Bogdan Hełka, (7-6) Tadeusz Łosik, (7-7) Tadeusz Wolski.

[Szósty stopień]: (6-1) Jan Ciejka, (6-2) Jerzy Szczerbina, (6-3) Stanisław Bania (Banerski), (6-4) Grzegorz Średziński, (6-5) Ryszard Łukasiewicz, (6-6) Romuald Niedziela, (6-7) Bernard Dudek, (6-8)

[Piąty stopień]: (5-1) ..., (5-2) ..., (5-3) ..., (5-4) ..., (5-5) ..., (5-6) ..., (5-7) Stanisław Mendelowski, (5-8) Andrzej Golenko (tj. stojący na skraju po prawej stronie, poniżej ma Wieśka Jabłońskiego, powyżej - prof. Pieczonkę).

[Czwarty stopień]: (4-1) Janusz Rudy (za Prof. Zakrzewskim w białej marynarce), (4-2) Marek Przygodzki - milimeter, (4-3) Andrzej Patocki, (4-4) Janusz Bondyra, (4-5) ..., (4-6) ..., (4-7) ..., (4-8) Wiesław Jabłoński.

[Trzeci stopień]: (3-1) Opiekun naszego roku, Prof. Jan Zakrzewski, (3-2) Andrzej Kruszyna, (3-3) Fryderyk Koryciarz, (3-4) Stanisław Przeworek, (3-5) Józef Pielorz, (3-6) Wiesław Bereś, (3-7) Stanisław Kaczmarczyk, (3-8) Chrystian Prorok - ten stojący za (1-8).

[Drugi stopień] - odnotuj że rozpoczyna się on nie od lewej strony zdjęcia, a za plecami (1-3): (2-1) Czesław Medyński, (2-2) Józef Chabiński, (2-3) Mieczysław Cisło, (2-4) Edward Barzycki.

[Pierwszy stopień] - najniższy: (1-1) Janusz Szymkowski, (1-2) Jan Stańczyk, (1-3) Grażyna Rataj, (1-4) nasz ówczesny dziekan, Prof. Hawrylak, (1-5) Halina Chlebosz, (1-6) Jan Pająk, (1-7) córeczka Marka Wahałowicza, (1-8) Marek Wahałowicz.

#1. Opisy naszego roku:

Nasz rocznik absolwentów Politechniki Wrocławskiej z 1970 roku ...

* * *

Zdjecie 1(b) (Courtezy Marek Kolodziej): Oto jak jedna z grup naszego roku wyglądała w 1970 roku! Czy ktokolwiek posiada jeszcze jakies inne zdjecie grupowe z tamtego okresu?

#2. Czy ciagle pamietamy wykladowcow jacy nas uczyli:

Aczkolwiek w czasie studiow zwyklismy po studencku zartowac z naszych wykladowcow, faktycznie darzyalismy ich ogromnym respektem, cenilismy za ich gleboka wiedza, zas obecnie bardzo mile ich wspominamy. Wszakze niemal wszystko co wiemy zawdzieczamy wlasnie im. A przygotowali nas do zycia i pracy w sposob doskonaly. Wielu z nich do dzisiaj umarlo. Stad ciagle zyja jedynie w naszej pamieci. Zastanowmy sie wiec teraz przez chwilke i sprawdzmy co ciagle na ich temat pamietamy. W ten sposob oddamy hold ich pamieci.

Oto nasi wykladowcy ze specjalizacji Konstrukcja Ciezkich Maszyn Roboczych - MRC (courtezy Andrzej Kruszyna):

- Matematyka dr Jerzy Battek;

- Chemia dr Krzysztof Piatkowski;
 - Fizyka prof. dr inż. Zygmunt Bodnar;
 - Geometria wykreslna prof.dr inż Konrad Dyba;
 - Mechanika techniczna prof.dr inż Marek Zakrzewski;
 - Wytrzymałość materiałów prof. dr inż Marek Zakrzewski;
 - Studium wojskowe plk inż. S. Garder;
 - dowódca naszej kompanii pplk Edward Worobiec;
 - Metaloznawstwo doc. dr Rudolf Haiman;
 - Podstawy obróbki skrawaniem dr inż. Tadeusz Waszkiewicz;
 - Miernictwo warsztatowe mgr inż. K. Stein;
 - Części maszyn prof. mgr inż. Tadeusz Demeter (czy pamiętacie jego dowcipy powpisywane w notatki);
 - Mechanika płynów dr inż. Zbigniew Gabryszewski;
 - Podstawy odlewnictwa prof. dr inż. Hilary Gumienny;
 - Teoria maszyn termodynamicznych dr inż E. Kalinowski;
 - Podstawy elektrotechniki doc. dr inż Zbigniew Szmorlinski;
 - Lektorat z angielskiego mgr Andrzej Bryczkowski;
 - Lektorat z rosyjskiego Andrzej Koniuch;
 - WF mgr Zdzisław Wolanski;
 - Metaloznawstwo - Prof. Haimann;
 - dr inż. Stefan Miller Teoria mechanizmów i maszyn;
 - dr inż. Mieczysław Teisseyre Teoria maszyn cieplnych i energetycznych;
 - dr inż J. Gronostajski Podstawyprzeróbki plastycznej;
 - dr J. Czupiał Ekonomia polityczna;
 - dr inż. Jan Koch Obrabiarki;
 - prof.mgr inż. Roman Sobolski Dzwignice;
 - dr inż. W. Kaczmar Podstawy spawalnictwa;
 - prof. dr inż. Jerzy Teisseyre Ustroje nosne;
 - doc. dr inż. Waclaw Kasprzak Badania wytrzymałościowe materiałów;
 - doc. dr inż. L. Badian Podstawy elektroniki;
 - dr inż. Kazimierz Pieczonka Zespoły podwoziowe i układy jezdne mrc;
 - prof. dr inż. Andrzej Teisseyre Silniki spalinowe;
 - doc. dr inż. Stefan Stryczek Przenosniki;
 - dr inż. B. Chorowski Automatyka;
 - dr inż. T. Czarny Ekonomia;
 - dr inż. W. Kedzior Napędy elektryczne;
 - dr inż. C. Jakimowicz Badania mrc oraz Mechanizacja i automatyzacja transportu wewnętrznego;
 - dr J. Wołoch Podstawy nauk politycznych;
 - prof. dr inż. Jerzy Zawadzki Drgania w budowie maszyn;
 - dr inż. Stefan Stryczek Napędy hydrauliczne;
 - dr inż. Kazimierz Pieczonka Urządzenia transportu specjalnego oraz Ładowarki.
- ...(koledzy, pomocy - kto jeszcze nam wykładał i jakie przedmioty - szczególnie na innych specjalizacjach niż konstrukcja?)

Zdjęcie 2 - Courtezy Bożena Brzozowska (N2 z [10]): Oto wspólne zdjęcie specjalizacji TBM wykonane w 1970 roku - czy rozpoznajemy tutaj siebie? Na zdjęciu zostali uwidocznieni:

(pierwszy, najniższy rząd od lewej): Janusz Szymkowski (bokiem z lewej strony zdjęcia), Bożena (Brzozowska) Ciałkowska, Edward Barzycki, Stanisław Dzikowski, Janusz Rudy (? ten odwrócony tyłem); (drugi rząd od lewej): Aleksander Komorowski (? ten roześmiany - mieszka obecnie w Jastrzebiej Górze), Witold Imiołczyk, Kazimierz Grzelak, Jan Pająk (czyli ten najbardziej wysunięty na prawo, ujęty nieco z profilu); (najwyższy rząd, od lewej): ... (ten pochylony - pomocy, znowu zapomniałem kto to taki), Janusz Mstowski (tj. ten

częściowo zasłonięty), ... (pomocy, ponownie nie wiem kto to taki), Jerzy Michalak, Grzegorz Średziński (tj. ten z bródką). Z lewej strony, tylko częściowo widoczny z boku, Janusz Szymkowski ładuje swój aparat.

Zdjecie 3 (Courtezy Bożena Brzozowska) Jeszcze jedno zdjęcie specjalizacji TBM z 1970 roku. Pokazuje ono te same osoby co wyszczególniono na zdjęciu 2, tyle tylko, że tym razem fotografującym jest Jan Pająk, zaś sfotografowani zostali ujęci w nieco innym ustawieniu.

Otrzymałem potwierdzenie kogo przedstawia powyższe zdjęcie. Zgodnie z tym potwierdzeniem na zdjęciu są widoczni: 1. Jerzy Michalak 2. Bożena Brzozowska (Ciałkowska) 3. Kazimierz Grzelak 4. Edward Barzycki 5. kto to, pomocy !!!!!!!!! 6. Grzegorz Średziński 7. Aleksander Komorowski 8. Janusz Szymkowski 9. Stanisław Dzikowski 10. Witold Imiołczyk

#3. Opisy uczelni:

Istnieje oficjalna strona Politechniki Wrocławskiej. Ma ona adres <http://www.pwr.wroc.pl>.

#4. Opisy Wrocławia:

Te zawarte są na odrębnej stronie internetowej mojego autorstwa, nazwanej wroclaw.htm - o mieście Wrocławiu.

Zdjecie 4 - Courtezy Bożena Brzozowska (N3 z [10]): Wykład Jana Pajaka na temat Magnokraftu, prowadzony w 1980 roku na naszym pierwszym zjeździe. Czym jest ow "magnokraft" oraz jaka jest jego obecna sytuacja można poznać z odrębnych stron internetowych na jego temat, dostępnych za pośrednictwem "Menu 2", np. ze strony: [magnocraft_pl.htm](#).

Trudno opisać osoby uwidocznione na powyższym zdjęciu z powodu braku jakichś punktów referencyjnych. Niemniej, po prawej od wykładającego widoczna jest Bożena (Brzozowska) Ciałkowska. Tuż przed nią, zwrócony w jej kierunku, jest Józef Pielorz. Jedyną osobą u której widoczny jest cały krawat, to Józef Chabiński. Spoza głowy Józefa Chabińskiego wystaje fragment "wysokiego czoła" Marka Wachałowicza. Z kolei po przeciwstawnej stronie głowy Józefa Chabińskiego widoczna jest twarz Wiesława Jabłońskiego. Za głowę się trzyma prawdopodobnie Kazimierz Miernicki. Tuż przy prawym marginesie zdjęcia widać pochylonego do przodu (oczywiście jako wyraz zainteresowania) czarnowłosego Mieczysława Cisko. Pozostałe trzy dziewczyny z naszego roku siedzą tuż przed obiektywem aparatu.

Część #C: Podsumowanie, oraz informacje końcowe tej strony:

#C1. Zasady przyjęte w zapisie tej strony:

Jak dla wszystkiego co jest nowo-tworzone w naszym świecie, podczas sporządzania tej strony musiałem przyjąć określone zasady jej zapisu. Poniżej postaram się więc wyjaśnić jakie te zasady są:

#1. Aktualne zdjęcia. Te osoby, dla których dostępne jest już choćby jedno aktualne zdjęcie (tj. wykonane relatywnie niedawno), w "Menu 2" wyróżnione zostały białym kolorem liter.

Warto tutaj jednak odnotować, że dawny wygląd większości z nas uwieczniony został na historycznych już zdjęciach pokazanych na stronie Nasz Rok dostępnej m.in. poprzez kliknięcie w "Menu 1".

#2. Tytuły. Ponieważ każdy z nas posiada tytuły "magistra inżyniera", w wykazach i opisach z tej witryny nie powtarzam już owych standardowych tytułów. Jednak dla informacji przytoczyłem pełne tytuły dla tych osób z naszego roku, którym tytułów tych później nieco przybyło - zaś ja zdołałem jakoś się o nich dowiedzieć.

#3. Nazwiska panieńskie. Dla kobiet z naszego roku w tekście używam ich obu nazwisk, podając w nawiasie nazwisko panieńskie (tj. to, które pamiętamy ze studiów). Natomiast w "Menu 2" dla skrótu używam jedynie ich nazwisk panieńskich.

#4. Prywatność. Proszę też odnotować, że z uwagi na "Privacy Act" trochę się boję przytaczać na tej stronie adresów uczestników naszego roku - jeśli nie otrzymałem od nich wyraźnego zezwolenia aby ich adresy otwarcie podać. Jednak w wielu przypadkach ja mam już te adresy i dla uczestników naszego roku w każdym momencie czasu jestem w stanie udostępnić adres ich byłych przyjaciół i kolegów z roku. Dlatego jeśli ktoś chce otrzymać czyjś adres, proszę do mnie napisać email, a ja natychmiast go przyślę. Należy jednak odnotować, że ów adres podaję poniżej we wszystkich tych wypadkach, kiedy jest on jedynym kontaktem jakim dysponuję do danego absolwenta naszego roku. Natomiast numery telefonu i emaile przytaczam bez ograniczeń, ponieważ ich otwarte udostępnianie kontuuje tradycje książek telefonicznych i list adresowych, stąd praktycznie nie narusza zbyt niczyjej prywatności.

#C2. Polskie literki:

W tekście tej strony starałem się używać polskich literek. Szybko jednak odnotowałem, że nie każdy serwer poprawnie koduje i przesyła owe litery (np. serwer www.nrg.to deformuje polskie litery i uniemożliwia ich odtworzenie nawet na poprawnie nastawionych komputerach z Polski jakie używają systemu operacyjnego "Windows XP"). Ponadto komputery zdają się wyświetlać poprawnie polskie literki tylko jeśli albo używają systemu operacyjnego "Windows XP", lub jeśli ich Internet Explorer został na nie ustawiony. (Aby ustawić swoją przeglądarkę "Internet Explorer" na poprawne odczytywanie polskich liter, trzeba kliknąć na pozycję w jej menu oznaczoną "Widok" (po angielsku "View"), zaś potem na opcję oznaczoną "Kodowanie" (po angielsku "Encoding"). Kiedy zaś otworzy się submenu "Dalsze" ("More") z odmiennymi alfabetami, wybrać trzeba i włączyć kliknięciem alfabet oznaczony "Srodkowoeuropejski (Windows)" (po angielsku "Central European (Windows)").) Gdyby jednak i takie ustawianie nie pomogło, wówczas na wszelki wypadek informuję, że jeśli u kogoś w miejscu literek na ekranie pojawiają się jakieś dziwne znaczki, to zapewne oznacza, że jego komputer nie wyświetla prawidłowo polskich literek. W takim przypadku dobrze jest wiedzieć, że wyświetlane znaczki oznaczają co następuje:

"ą" = "a" z ogonkiem, "Ą" = "A" z ogonkiem,
 "ć" = "c" z kreską, "Ć" = "C" z kreską,
 "ę" = "e" z ogonkiem, "Ę" = "E" z ogonkiem,
 "ł" = "l" przekreślone, "Ł" = "L" przekreślone,
 "ń" = "n" z kreską, "Ń" = "N" z kreską,
 "ó" = "o" z kreską, "Ó" = "O" z kreską,
 "ś" = "s" z kreską, "Ś" = "S" z kreską,
 "ź" = "z" z kreską, "Ź" = "Z" z kreską,
 "ż" = "z" z kropką, "Ż" = "Z" z kropką.

Oto wykaz polskich literek jakie mogą wystąpić w moich tekstach:

ą ć ę ł ń ó ś ź ż (małe polskie literki)

a c e l n o s z z (łacińskie i angielskie odpowiedniki małych polskich literek)

Ą Ć Ę Ł Ń Ó Ś Ź Ż (duże polskie litery)

A C E L N O S X Z (łacińskie i angielskie odpowiedniki dużych polskich liter).

Powinienem tutaj dodać, że po odnotowaniu mizernych efektów moich eksperymentów z użyciem polskich literek, wcale teraz się nie spieszę z przeredagowaniem na polskie literki tej części totalizacyjnych stron które oryginalnie pisane były alfabetem angielskim (łacińskim).

#C3. Osobista kopia tej strony trzymana we własnym komputerze:

Jesli ktos zechece czesto zagladac do niniejszej witryny internetowej, wowczas dobrze jest skopiowac ja cala do swojego wlasnego komputera. Wszakze w przypadku posiadania takiej prywatnej kopii tej witryny, nie jest sie juz zalezny od dostepu do internetu w przypadku kazdej checi ponownego zagladniecia do tej strony lub ogladniecia

ktorejs z pokazanych na niej ilustracji. Nie jest też już wówczas konieczne znoszenie owego potopu najrozniejszych banerów reklamowych, jakimi strony internetowe utrzymywane na darmowych serwerach są nieustannie zalewane. Na przekór że z pozoru może ono wydawać się trudne, faktycznie sporządzenie takiej własnej repliki niniejszej witryny internetowej jest relatywnie proste. Dla tych więc którzy zechcą sporządzić sobie taką replikę w swoim własnym komputerze, niniejszym opisuje krok po kroku, jak tego dokonać. Oto owa instrukcja postępowania:

1. Stworzyć nowy folder (zbiór) na dysku twardym "c:". Folder ten będzie zawierał niniejszą stronę (a ewentualnie także dowolne inne moje strony). W tym celu wystarczy uruchomić "Windows Explorer", oraz stworzyć nowy folder na swoim dysku twardym. Dobrze jest folder ten nazwać w taki sposób, aby wyraźnie odróżniał się od innych typowych folderów z owego dysku twardego, np. nazywając go "Pajak" (lub "rok"). Folder ten będzie później używany do przechowywania wszystkich tych stron internetowych z niniejszej witryny, które ktoś zechce zawsze mieć pod ręką.

2. Stworzyć nowe pod-foldery (podzbiory) we wnętrzu foldera "Pajak" (lub "rok"). Owe pod-foldery będą zawierały poszczególne grupy zdjęć ukazujących za pośrednictwem niniejszej strony internetowej, a należących do poszczególnych kolegów. Generalna zasada tworzenia owych pod-folderów jest, że otrzymują one nazwy zapisane wyłącznie małymi literkami łacińskimi, jakie składają się z nazwiska, kreski podkreślającej, imienia osoby której zdjęcia pod-foldery te przechowują (odnotuj że w nazwach tych pod-folderów nie używa się polskich liter). Przykładowo, dla przechowywania moich zdjęć utworzyć trzeba podfolder `pajak_jan`, z kolei dla przechowywania zdjęć Staszka Przeworka utworzyć trzeba podfolder nazywający się `przeworek_stanislaw`. Ponadto utworzyć trzeba kilka "systemowych" podfolderów, które przechowują wspólne zdjęcia. Oto wykaz nazw podfolderów (podzbiórów) "systemowych" wykorzystywanych przez niniejszą witrynę internetową:

wroclaw. Zawiera on zdjęcia Wrocławia.

pw. Zawiera on zdjęcia Politechniki Wrocławskiej.

kwiatki. Zawiera on zdjęcia kwiatków pokazanych w miejscach gdzie później mają być włączone jakies konkretne zdjęcia, a także zdjęcie "księgi uwag".

W celu stworzenia tych pod-folderów wystarczy uruchomić "Windows Explorer", oraz wygenerować nim wymagane pod-foldery we wnętrzu foldera "Pajak".

3. Zachować kod źródłowy tej strony w swoim folderze "Pajak" (lub "rok"). W tym celu trzeba "kliknąć prawym przyciskiem" swojej myszy, kiedy się wskazuje na jakikolwiek obszar zadrukowany tej strony (np. wskazuje tutaj). Małe menu powinno się pojawić, które ma pozycję "View Source". Kliknij na tą pozycję, tak że kod źródłowy tej strony pojawi się w edytorze tekstu nazywanym "Notepad". Kliknij na "File" menu w tym "Notepad" i wybierz opcję "Save As...". Zachowaj kod źródłowy ze swojego "Notepad" używając nazwy pliku "pw.htm" jako "File name" tego kodu, zaś podając folder "c:\Pajak" (lub "c:\rok") jako "Save in" miejsce dla zachowania tego kodu. Odnotuj że strony wywoływane z niniejszej strony należy zachowywać pod nieco innymi nazwami, mianowicie: "index.htm" dla Strony głównej, "zyciorisy.htm" dla strony Objasnienia, oraz "wroclaw.htm" dla strony Wrocław. Aby zachować tekst przesuwanego "Menu 2", koniecznym jest napierw jego oddzielne wyświetlenie poprzez napisanie w okienku adresowym przeglądarki (np. "Internet Explorer") nazwy "menu.htm" dołączonej do końca aktualnego adresu danej witryny. Dopiero potem menu to można zachować (w sposób identyczny jak wszystkie strony opisane powyżej) pod nazwą "menu.htm".

4. Zachować ilustracje. Kliknij prawym przyciskiem myszy na każdą ilustrację z tej strony lub ze stron z nią związanych, potem wybierz opcję "Save Picture As". Ilustracje ze stron z notkami autobiograficznymi zachowaj w pod-folderze osób jakich zdjęcia te dotyczą. Natomiast zdjęcia kwiatków i Wrocławia zachowaj w pod-folderach "kwiatki" oraz "wroclaw". (Odnotuj że każda ilustracja wskazuje u dołu ekranu sub-folder w jakim musi być zachowana.)

5. Wyświetlić tą stronę w swoim komputerze. Po zachowaniu tej strony, daje się ona wyświetlić w dowolnej chwili we własnym komputerze, poprzez zwykłe wycelowanie na plik

"index.htm" (tj. wycelowanie na kod zrodlowy tej strony) uzywajac w tym celu "Windows Explorer", oraz nastepne podwojne klikniecie na owym pliku. (Mozna tez ja wyswietlic poprzez wycelowanie na nie "Windows Explorer" i przycisniecie klawisza "Enter".) Strony zwiazane z niniejsza hyperlinkami, mozna wyswietlac albo poprzez klikniecie na owe hyperlinky kiedy ta strona jest pokazana na ekranie komputera, albo tez poprzez klikniecie z "Windows Explorer" odpowiednio na "pw.htm", "zyciorisy.htm", lub "wroclaw.htm".

6. (Warunkowo) pousuwac banery. Darmowe serwery z jakich ja korzystam, zwykle wprowadzaja kody banerow do kodu zrodlowego stron jakie na nich sa wystawiane (czesto kody tych banerow zawieraja tez dokuczliwe bledy jakie staraja sie utrudniac ogladanie owych stron). Jesli benery te kogos irytuja, wowczas w kodzie zrodlowym zachowanym we wlasnym komputerze daje sie je pousuwac. Aby powycinac te bannery, nalezy najpierw zidentyfikowac ich kody (albo przez znalezienie adresu referowanego w owym kodzie i zaczynajacego sie od "http://...", albo poprzez wypatczenie komentarza oznakowujacego poczatek i koniec danego banneru i zwykle zaczynajacego sie od slow "banner insertion ...").

#C4. Odnotujmy ze strona ta kiedyś była dostępna w internecie pod szeregiem odmiennych adresów, z których jednak ją już wydeletowali:

Aby pomniejszyć swoje koszty, do udostępniania tej strony używam wyłącznie darmowych serwerów. Dlatego często strona ta zostaje z nich wydeletowana. Dla informacji podaję więc tutaj wykaz adresów pod którymi niniejsza strona kiedyś była dostępna, jednak późniejsze jej testowanie wykazało że obecnie już jej tam NIE ma. Oto owe adresy:

mozajski.i6networks.com/1970,
wroclaw.i6networks.com/1970,
free.7host02.com/sheep/1970,
propulsion.250free.com/1970,
www.nrg.to/newzealand/1970,
i.1asphost.com/1964/1970,
wroclaw.free2w.com/1970,
milicz.fateback.com/1970,
n.1asphost.com/1970,
jan-pajak.com/1970,
aliens.f2g.net/1970,
1970.netfirms.com,

#C5. Zapiszmy sobie w swym komputerze adresy pod jakimi można znaleźć egzemplarze tej strony:

Podobnie jak wszystkie inne maszyny, komputery mają tendencje aby czasami nawalać - szczególnie kiedy je pilnie potrzebujemy. Ponadto, strony które ja wykonuję są wystawiane wyłącznie na owych "darmowych serwerach" - tj. wystawiane w taki sposób, aby za nie mi nie przysyłano słonych rachunków do płacenia. Dlatego sporo adresów pod którymi niniejsza strona była kiedyś wystawiana, z upływem czasu zostawało wydeletowane. Podczas najnowszej aktualizacji tej strony (której data wskazywana jest u góry nad jej "Menu" a także na samym jej końcu) była ona ciągle dostępna pod kilkoma następującymi adresami. Jej główna kopia była dostępna pod adresem:

<http://totalizm.pl/1970/rok.htm>

Natomiast identyczne do niej kopie rezerwowe dostępne były m.in. pod adresami:

<http://members.fortunecity.com/timevehicle/1970/pw.htm>

<http://www.anzwers.org/free/wroclaw/1970/pw.htm>

<http://energia.sl.pl/1970/pw.htm>

Aby zawsze mieć pod ręką owe adresy, rekomendowałbym aby sobie je skopiować i potem wkleić do jakiegoś pliku z adresami który trzymamy we własnym komputerze.

Księga uwag (pozwala na szybką wymianę wieści)

[zobacz księgę | dopisz do księgi]

* * *

Data założenia tej strony: 12 czerwca 2004 roku.

Data jej najnowszej aktualizacji: 25 marca 2011 roku.

(Sprawdź pod adresami z "Menu 3" czy już istnieje nawet nowsza aktualizacja!)

Rodział B:

RODZINNA WIOSKA AUTORA

Autor urodził się w dosyć unikalnej wiosce. Często zmianała ona nazwę, jednak przez najdłuższe okresy powojenne nazywała się "Wszewilki" oraz "Stawczyk". Niezwykłość owej wioski manifestowała się na wiele sposobów. Przykładowo, jej mieszkańcy jako całość w sposób nieświadomy praktykowali filozofię totalizmu (tj. tą samą filozofię którą opisuję na swej stronie o nazwie "totalizm_pl.htm"). We wiosce tej wiele też się działo, co potem wpłynęło w sposób istotny na moje losy i życie. Przykładowo, wydarzały się tam cuda. Oto więc strony z opisami owej rodzinnej wioski autora:

Podrozdział B1:

Historia i niezwykłości wsi Wszewilki pod Miliczem w południowo-zachodniej Polsce

Witam na stronie o historii i niezwykłościach wsi Wszewilki (Stawczyk) spod dolnośląskiego miasta Milicza:

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Co mnie zainspirowało do napisania tej strony:

Gdyby ktoś nam opowiedział o miejscu na Ziemi, które jest tak niezwykle, że wypełniają się w nim marzenia - jeśli tylko spełniają one określone warunki (np. są wystarczająco silne aby pamiętać się o nich 50 lat później), oraz że zachodzące w nim zmiany reprezentują symboliczną esencję wszystkiego co dzieje się w promieniu do kilkudziesięciu kilometrów od niego, zapewne uważalibyśmy to za bajki. Tymczasem miejsce takie faktycznie istnieje. Nazywa się Wszewilki. Leży ono około 1 kilometra według "lotu sroki" na północny wschód od małego miasteczka Milicza z południowo-zachodniej Polski. Ja się w nim urodziłem. Spowodowało ono że wszystkie moje istotne i realne marzenia się wypełniły. Także istotne i realne marzenia ludzi których znałem, też ono zrealizowało. Na pierwszy rzut oka wygląda ono ogromnie "normalnie". Jednak jeśli mu się przyglądnąć dokładniej, nawet owa jego normalność jest niezwykle - ponieważ wynika ona z faktu, że miejsce to symbolizuje sobą esencję wszystkiego co się dzieje w promieniu do kilkudziesięciu kilometrów od niego. A niemal wszystko co obecnie się tam dzieje wygląda przecież "normalnie".

#A2. Jakie są cele tej strony:

Niniejsza etniczna strona internetowa zawiera opowieść o owej niezwyklej wsi Wszewilki, a bardziej ściśle, o jej miniaturowym chociaż historycznie najstarszym fragmencie, obecnie oficjalnie nazywanym podwójnym słowem "Wszewilki-Stawczyk", zaś przez miejscowych ludzi nadal nazywanym "Stawczyk". Odnotuj jednak że kiedyś ta najstarsza część Wszewilek nazywała się inaczej, mianowicie "Stawczyk", wcześniej "Wszewilki", przedtem "Cegielnia", jeszcze wcześniej (tj. przed 1945 rokiem) "Neu-Steffitz".

Ponadto strona ta wskazuje linki do innych stron posiadających z nią związek tematyczny. Najważniejsza z tych tematycznie związanych stron, to strona o nazwie stawczyk.htm. Opisuje ona wieś Stawczyk zaprezentowaną z odmiennego bo z filozoficznego punktu widzenia. Inna, również dosyć istotna strona o tej wiosce nosi nazwę wszewilki_milicz.htm. Opisuje ona wsie Stawczyk i Wszewilki z punktu widzenia turysty. W swoim punkcie #D2 opisuje ona m.in. "szlaki wędrowne" w obrębie i wokół wsi Stawczyk oraz Wszewilki. Szlaki te umożliwiają "poinformowane" zwiedzenie najważniejszych z opisywanych tutaj miejsc i obiektów tej wioski. Inna też tematycznie związana strona to wszewilki_jutra.htm". Ta z kolei opisuje moje marzenia na temat przyszłego rozwoju i charakteru wsi Stawczyk - np. w punkcie #J3 przytacza opisy przyszłego wyglądu wsi Stawczyk w czasach mojej tam wizyty prawdopodobnie mającej miejsce około 2222 roku.

Od nazwy wsi Stawczyk liczne osoby wywodzą swoje nazwisko "Stawczyk". Dlatego dostarczam tutaj też link do strony pokrewnej z niniejszą noszącej nazwę stawczyk.htm, na której staram się też wyjaśnić nieco więcej na temat pochodzenia nazwiska "Stawczyk".

#A3. Wszewilki (Stawczyk) są miejscem gdzie ja się urodziłem:

Ja właśnie urodziłem się i wychowałem w owych "Wszewilkach-Stawczyku" - jak obecnie oficjalnie wioseczka ta jest nazywana. Mieszkałem w niej w latach od 1946 do 1964. Z tym okresie czasu zaobserwowane więc lub poznane zostały najważniejsze fakty raportowane na tej stronie. Wszystkie też niezwykłości opisane na tej stronie wywodzą się właśnie z owej wioseczki. Podobnie jak moje strony o Miliczu, o Wrocławiu, czy o bitwie o Milicz, niniejsza etniczna strona internetowa opisuje ludowe opowieści na temat historii i ciekawostek Wszewilek-Stawczyka, czyli opisuje co ludzie kiedyś w tej wiosce mówili, lub w co kiedyś w niej wierzyli. Przytaczając te ludowe opowieści nie staram się tu weryfikować na ile są one prawdziwe, chociaż jeśli znany jest mi materiał dowodowy potwierdzający poprawność określonych stwierdzeń, wówczas materiał ten wskazuję.

Część #B: Geograficzne zlokalizowanie Wszewilek (Stawczyka):

#B1. Gdzie możemy znaleźć Wszewilki (Stawczyk):

Przytoczmy teraz kilka danych na temat Wszewilek. Wieś ta w prostej linii leży około 1 kilometra na północny-wschód od małego Dolno-Śląskiego miasteczka Milicza. Jednak pomiędzy nią a Miliczem znajduje się niewielka rzeka o nazwie "Barycz" - widoczna na zdjęciu satelitarnym Wszewilek pokazanym w następnym paragrafie. Stąd, jeśli ktoś zamierza do wsi tej wędrować z Milicza, wówczas zmuszony jest podążać drogą okrężną przez jedyny most drogowy w okolicy, co zajmie mu około 3 kilometry drogi. Wszewilki są ogromnie starą wsią. Prawdopodobnie jedną z najstarszych ze wsi ciągle istniejących w Polsce. Faktycznie to są one tak samo stare jak byłe grodzisko Milicza, zaś nieporównanie starsze od dzisiejszego (murowanego) miasta Milicza. Jako podgrodowa kolonia rolniczo-produkcyjna Wszewilki istniały już bowiem w czasach kiedy dzisiejszy murowany Milicz nie zaczął nawet być budowany. (Grodzisko Milicza podobno jest tak stare jak Biskupin czy jak piramidy egipskie). Tyle że do jakichś około 1000 lat temu Wszewilki nie posiadały własnych stałych mieszkanców, a jedynie tymczasowe zabudowania gospodarskie. Wszyscy bowiem ludzie pracujący na polach z terenu obecnych Wszewilek, aż do około 1000 lat temu wieczorami wracali do grodziska Milicza gdzie spędzali noce. Wszewilki zawsze były wsią wolnych ludzi. Jako takie zawsze były też znacznie zamożniejsze i znacznie okazalsze od innych wsi. Jednak od jakichś 200 lat jakieś "diabły" "zawzięły" się na wieś Wszewilki i zaczęli z jakichś powodów "spiskować" przeciwko tej wsi wolnych ludzi. Najpierw spisek ten spowodował, że w 1875 roku owa starodawna wieś Wszewilki przecięta została przez sam środek swojego "rynieczonek" na dwie połowy linią kolejową z Milicza do Krotoszyna. Sam zaś rynieczonek, a wraz z nim wszewilkowska pradawna karczma i kościółek, zamienione wówczas zostały w ogromny dół w ziemi. Jednocześnie wytoczono nową drogę przez wieś, co spowodowało stopniowe usunięcie całej dawnej zabudowy Wszewilek. A zabudowa ta była ogromnie interesująca, bowiem w toku dziejów Wszewilki dopracowały się swojego własnego, unikalnego stylu architektonicznego. Styl ten prawdopodobnie później został skopiowany od Wszewilek przez akademicko edukowanych architektów i upowszechniony po całym świecie, gdzie obecnie jest on znany pod angielską nazwą "tudor" - patrz zdjęcie "Fot. #G2" z tej strony. (W Polsce jest on znany pod popularną nazwą "mur pruski" - jako że w czasach kiedy stał się on popularny, Wszewilki stanowiły już część Prus.) Tyle że zasługi za wynalezienie tego stylu wcale nie przypisuje się Wszewilkom. W jakimś czasie potem, przy drodze do starego wszewilkowskiego młyna wodnego na Baryczy postawiono nowy młyn elektryczny. Ten nowy młyn stopniowo odebrał klientów staremu młynowi wodnemu Wszewilek, jaki wspierał tą wieś swoją pracą przez ostatnie około 1000 lat. W ten sposób doprowadził on stary młyn do bankructwa i ruiny. Nawet nazwa i energetyczna jedność owej wsi zostały wówczas zaatakowane. Metalowe tory owej linii kolejowej, zgodnie z twierdzeniami Chińskiego "feng shui", przecinają i dzielą naturalne przepływy energii "chi" jak ostrze noża. Ostrze to przepołowiło więc dawne Wszewilki na dwie odrębne części. Wszystko też co leży po obu stronach tej linii kolejowej nie może już obecnie być nazywane taką samą nazwą, a musi używać odmiennych nazw. Począwszy więc od owego czasu, administracyjnie obie te części dawnych pojedynczych

Wszewilek rozpatrywane są już oddzielnie jako dwie odrębne wsi, jakie noszą odmienne nazwy, jakich losy toczą się już innymi torami, itp. Obie owe części obecnie nazywają się "Wszewilki", oraz "Wszewilki-Stawczyk". Stąd ja poniżej też używam dla obu tych części obecnych oficjalnych nazw "Wszewilki" oraz "Wszewilki-Stawczyk". Niestety, owa odrębna nazwa dla najstarszej części omawianej tutaj wioski (tj. dla dzisiejszych "Wszewilek-Stawczyka"), jest jakaś pechowa. (Wszakże symbolizuje ona wszystko co dzieje się w promieniu do kilkudziesięciu kilometrów od owych "Wszewilek-Stawczyka".) Po prostu uparcie odmawia przyjęcia się. (Czyżby los kazał jej odczekać z definitywnym zaaprobowaniem swej nazwy, aż będzie mogła być nazwana moim nazwiskiem, przykładowo jako "Pająkowo" czy "Pajakville"?) Od 1945 roku była więc zmieniana aż kilkakrotnie. Przed wyzwoleniem i podczas wojny wioska ta ciągle należała do Prus (Niemiec) i dlatego nazywała się po niemiecku "Neu-Steffitz", czyli jakby "nowa wersja" pobliskiego "Steffitz" ("Steffitz" to przedwojenna nazwa dzisiejszego "Stawca"), podczas gdy obecne "Wszewilki" nazywały się wówczas "Ziegelscheune", zaś Milicz nazywał się "Militsch" - po poprawne tłumaczenia tych nazw patrz strona genealogienetz.de. (Faktycznie jednak owe niby Neu-Steffitz są równie starą jak sam Milicz osadą ludzką, czyli najstarszą wsią w promieniu kilkudziesięciu kilometrów.) Potem zaraz po wyzwoleniu nazwano ją "Cegielnia". Kiedy jednak przez pomyłkę zaczęły do niej przybywać ciężarówki zamierzające odebrać cegły z cegielni w pobliskim Stawcu, przemianowano jej nazwę na Wszewilki. Pod tą nazwą istniała aż do końca czasów kiedy ja w niej mieszkałem. Niestety, też nie było to dobre rozwiązanie, bowiem w sensie przepływu energii "chi" stanowiła ona odrębną wioskę, jednak jej nazwa pokrywała się z nazwą wioski do niej przyległej. Dlatego kiedy w 1964 roku przenieśliśmy się do Wrocławia, nazwę owej mini-wioseczki przemianowano na "Stawczyk". To spowodowało ponowną konfuzję, ponieważ zamiast do niej, ludzie którzy zamierzali ją odwiedzić trafiali do pobliskiego "Stawca". W końcu około 1985 roku ktoś wpadł na pomysł aby nadać jej podwójną a więc raczej niewygodną nazwę "Wszewilki-Stawczyk". Pod ową niewygodną nazwą oficjalnie istnieje ona aż do dzisiaj. Ja jednak sugerowałbym aby kiedyś nazwać ją albo "Pająkowo" (aby uhonorować moje polskie pochodzenie z tej właśnie wioseczki), albo też "Pajakville" (aby przerzucić most pomiędzy miejscem mojego urodzenia i angielskojęzyczną Nową Zelandią, która reprezentuje moje późniejsze obywatelstwo, tradycje, oraz kulturę.) Wszakże owa nazwa zamykałaby wszelkie dotychczasowe problemy. Nie tylko bowiem ucinąłaby ona dalszą konfuzję i doskonale harmonizowała z nazwą Wszewilki dla wioski do niej przylegającej, ale ponadto nadawałaby jej unikalną wymowę alegoryczną.

#B2. Mapy i satelitarne zdjęcia Wszewilek:

Dokładną mapę Wszewilek oraz okolic owej wioski zobaczyć można np. na stronie internetowej o adresie www.mapapolski.pl/ (po kliknięciu na link wywołujący tą stronę należy wpisać tam nazwę Wszewilki w okienko "Miejscowość", poczym kliknąć na "Pokaż"). Na mapie tej czarną linią zaznaczony jest przebieg linii kolejowej która w 1875 roku staranowała miniaturowy ryneczek Wszewilek. Jak widać z owego przebiegu, linia ta celowo najeżdża na Wszewilki ze wschodu, zaś po staranowaniu ryneczka tej miejscowości odjeżdża ponownie na wschód. Tą samą linię kolejową, a także miejsce po byłym ryneczku Wszewilek, można sobie też oglądnąć na znacznie dokładniejszym od map zdjęciu satelitarnym Wszewilek, dostępnym pod adresem internetowym <http://maps.google.com/maps?ll=51.551406,17.286901&spn=0.026010,0.058545&t=k&hl=en>. Tam również wyraźnie widać przebieg linii kolejowej zagięty celowo ku byłemu ryneczkowi Wszewilek. Kto u licha zaprojektował tak złośliwie przebieg owej linii kolejowej? Odnotuj również, że wszystkie stawy widoczne przy samych Wszewilkach uformowane zostały dopiero około 1990 roku (żadnych stawów tam nie było w czasach kiedy linia owa była budowana). Lokacja tych stawów też została dobrana na tyle złośliwie, aby zalały one m.in. pozostałości około 1000-letniego młyna wodnego który przez wszystkie te wieki operował na poprzednim korycie Baryczy właśnie przy Wszewilkach.

Część #C: Historia Wszewilek (Stawczyka):

#C1. Co nam wiadomo o historii Wszewilek-Stawczyka:

Wszystko zaczęło się od wzmożonego ruchu kupców, jaki obszar obecnej Polski doświadczył po około 800 roku AD. Karawany tych kupców podążające tzw. "bursztynowym szlakiem" zatrzymywały się na noc w starym grodzisku Milicza, obecnie znanym pod nazwą "Chmielnik". Kupcowie z tych karawan informowali Miliczanie co nowego się dzieje w dalekim świecie. Z kolei niektórzy z ich służby i pachołków, którym pechowo przyszło zachorować w drodze lub zostać poranionym w licznych wówczas potyczkach z bandytami, pozostawali czasami w Miliczu na dłużej lub nawet na stałe. Oczywiście, czynili to tylko aby czasowo podleczyć rany doznane w drodze, czy aby podreperować zdrowie. Jednak los lubi płatać figle i zatrzymując się na krótko czasami pozostawali oni w Miliczu na całą resztę życia. Owi przybysze z za morza uczyli Miliczanie rzemiosł i umiejętności doskonale wówczas już znanych na południu Europy. Do owych nowych umiejętności, m.in. należała umiejętność budowania murowanych miast oraz umiejętność budowania młynów wodnych.

W rezultacie tego napływu wiedzy i umiejętności, gdzieś po około 900 roku AD Miliczanie ciągle wówczas mieszkający w prymitywnym grodzisku z drewna i trzciny, zdecydowali się zbudować sobie murowane miasto z silnymi murami obronnymi. Po jego wzniesieniu przenieśli się też do niego z dawniej zajmowanego drewnianego grodu (obecnie "Chmielnik"). Jako budulca do owego nowego murowanego miasta, używali oni tzw. "rudę darniowej" jaka pozyskiwana była z okolic dzisiejszej tamy pokazanej na zdjęciu z "Fot. #D1". Ruda ta do dzisiejszego Milicza spławiana była Baryczą. Wznoszone z niej budynki i mury wyglądały tak jak ten pokazany na zdjęciu z "Fot. #F1". Miejsca stałego zakwaterowania silnych pachołków, którzy pozyskiwali ową "rudę darniową" i spławiali ją do Milicza, dostarczyły zaczątków dla trwałego osadnictwa ludzkiego, które dzisiaj nazywane jest wsią Wszewilki-Stawczyk (zaś które ja powyżej nazwałem żartobliwie "Pająkowem").

Wieś obecnie zwana Wszewilki-Stawczyk, faktycznie jest niemal tak samo stara jak samo grodzisko Milicza. Obecnie liczy więc ona już kilka tysięcy lat. Przez jednak relatywnie długi okres początkowego czasu, miała ona formę tymczasowych schronów pastuchów była budowanych na wypadek niepogody. Pastuchowie ci na stałe mieszkali w starym grodzisku Milicza (tj. w grodzisku "Chmielnik"). Jednak codziennie wędrowali oni ze swymi stadami po okolicznej dolinie Baryczy w poszukiwaniu najlepszej paszy. Ze względów bezpieczeństwa, nie mogli jednak oddalić się od swego grodziska na odległość większą niż zasięg sygnałów dźwiękowych z wieży obserwacyjnej grodziska. Faktycznie więc miejscem najbardziej oddalonym od owego grodziska, w którym ciągle wypasali swoje stada, były okolice dzisiejszej wsi Wszewilki-Stawczyk. Tam też budowali tymczasowe schrony, które chroniły ich w dni niepogody. Dopiero jednak po 900 AD, kiedy Milicz potrzebował intensywnej robocizny dla pozyskiwania budulca na swoje mury i domy, owe tymczasowe schroniska pastuchów przekształciły się w regularną wieś. Wieś ta początkowo rozciągała się wzdłuż drogi z Wszewilek do Baryczy, która zaraz po drugiej wojnie światowej nazywana była nieślusnie "drogą na tamę" (faktycznie była ona "drogą do starego milickiego młyna wodnego"). Droga ta istniała aż do około 1990 roku, wiodąc z Wszewilek w kierunku pierwszej przymilickiej tamy na Baryczy. Obecnie pozostał już tylko niewielki jej fragment, jaki wychodzi z Wszewilek-Stawczyka i prowadzi "do nikąd".

Przełomowym punktem czasowym w krytalizowaniu się dzisiejszej wsi Wszewilki-Stawczyk, było zbudowanie młyna wodnego na Baryczy. Młyn ten działał już zapewne gdzieś pomiędzy latami 900 a 1000 AD. Był on więc najstarszym i jedynym młynem wodnym w okolicach Milicza, a także najstarszym młynem wodnym w tej części Polski. Stał on w poprzek starego koryta rzeki Baryczy, w miejscu jakie leży jedynie około 100 metrów na północ od dzisiejszej milickiej tamy na Baryczy. (Od około 1990 roku miejsce to zostało zalane nowym stawem rybnym, uformowanym na byłym obszarze historycznym, w którym kiedyś rodziła się dzisiejsza wieś Wszewilki-Stawczyk.) Kiedy byłem małym chłopcem, w owym byłym miejscu starego młyna ciągle znajdowały się fundamenty koła wodnego i zastawy wody. Ciągle też istniały tam pozostałości kanału i stawu w dawnym korycie Baryczy, jakie doprowadzały wodę do owego koła. Niestety samego koła wodnego ani

zabudowań młyna już tam nie było. Ciągłe jednak w pobliżu rosły resztki zdziczałych drzew owocowych które kiedyś porastały poblizze owego prastarego młyna wodnego z Wszewilek-Stawczyka. Rosły one na obszernej łące-placu, na którym w dawnych czasach stały kolejki wozów oczekujących na swoją kolejkę do mielenia przywiezionego zboża na mąkę. Ponadto nadal istniały tam tzw. "klepiska" po kilku lepiankach zajmowanych przez parobków pracujących w owym młynie. Istniało też wysokie wzgórze usypane w widłach obu gałęzi Baryczy rozchodzących się od stawu spiętrzającego wodę dla owego młyna. Na płaskim czubku owego wzgórza kiedyś znajdował się dom młynarza.

Korzystanie z tego młyna wodnego wymagało lądowego transportu zboża i mąki. Z kolei sam młyn, a także ludzie którzy przybywali czasami z bardzo daleka aby z niego korzystać, potrzebowali różnych usług i robocizny, a niekiedy nawet i noclegu. W ten sposób na terenie dzisiejszych Wszewilek, a ściślej na skrzyżowaniu głównej drogi wiodącej do owego młyna z Dziadkowa, Pomorska oraz Stawca, z inną główną drogą która wiodła z Milicza do Sulmierzyc, z czasem powstała spora wieś. Pomału wieś ta zbudowała sobie własny miniaturowy rynek, karczmę z zajazdem, piekarnię, a później nawet własny kościół. Wioska owa stopniowo rozrastała się od tego skrzyżowania we wszystkich kierunkach wzdłuż owych dwóch głównych dróg, które przecinały się na kształt krzyża mniej więcej w miejscu gdzie obecnie przy torach kolejowych na Wszewilkach-Stawczyku widnieje centrum ogromnego zarośniętego krzakami dołu, a ściślej rozległego wyrobiska po piasku zabranym stamtąd w 1875 roku do budowy nasypu kolejowego.

Niezależnie od dostawy mąki i chleba, z czasem dzisiejsze Wszewilki-Stawczyk przekształciły się również w rodzaj dostawcy do Milicza wszelkich produktów konsumpcyjnych codziennego spożycia, takich jak mleko, jajka, kurczaki, warzywa, itp. Można więc śmiało powiedzieć, że prastara wioska która obecnie nazywa się "Wszewilki-Stawczyk", faktycznie najpierw zbudowała Milicz, potem broniła Milicza przed wrogami, w końcu żywiła na codzień mieszkańców Milicza. Nic dziwnego, że wioska ta oraz jej mieszkańcy bez przerwy rośli w zamożność i znaczenie. Ponieważ Milicz przez spory okres czasu był miastem należącym do biskupa wrocławskiego, także wieś Wszewilki-Stawczyk która była żywicielką Milicza, automatycznie znajdowały się pod ochroną i protekcją owego biskupa. To jest powodem dla którego Wszewilki nigdy nie miały swojego dworu ani swojego "szlachcica właściciela". Ich mieszkańcy zawsze pozostawali ludźmi wolnymi przynależącymi do biskupiego miasta Milicza i na niemal takich samych prawach jak mieszczanie owego miasta. W przeważającej też większości owi mieszkańcy byli polskiego (słowiańskiego) pochodzenia.

Ten brak właściciela Wszewilek, w połączeniu ze słowiańskimi inklinacjami ich mieszkańców, okazał się w końcu fatalny dla ich istnienia jako kompletnej wioski. Kiedy bowiem około 1875 roku władze pruskie realizowały budowę kolei przez Milicz, ktoś złośliwy celowo tak zaplanował przebieg tej kolei, że jej tory przecięły miniaturowy rynek Wszewilek oraz ztaranowały prastary kościółek który stał przy owym ryneczku. Wszystko też co mieściło się przy owym ryneczku, włączając w to starą wszewilkowską karczmę oraz ów katolicki kościółek, zostało zburzone pod pretekstem budowy kolei. Ponieważ zaś grunta na których ów rynek był położony, stanowiły ziemię publiczną, spółka budująca kolej zaczęła z nich pozyskiwać piasek potrzebny do budowy nasypu kolejowego. W rezultacie, w miejscu gdzie kiedyś mieściło się historyczne centrum Wszewilek z miniaturowym ryneczkiem tej wioski i budynkami publicznymi, około 1875 roku powstała ogromna dziura w ziemi. Do dzisiaj dziura ta straszy przejezdnych, całkowicie zarosła krzakami. Obecnie można ją oglądać w centralnym miejscu Wszewilek, tj. na skrzyżowaniu dwóch głównych dróg tej wioski, czyli tam gdzie główna szosa wsi jest przecięta polną drogą miejscowo nazywaną obecnie "drogą na tamę" (faktycznie to jest to droga do starego młyna wodnego Wszewilek).

Równocześnie z budową kolei przez rynek Wszewilek, tj. około 1875 roku, dokonano też zmiany przebiegu głównej drogi tej wioski. Poprzednio przez Wszewilki wiodła piaszczysta i kręta polna droga, jaka przebiegała w przybliżeniu około 100 metrów na południe od dzisiejszej najważniejszej drogi przez tą wioskę. Stare położenie tej oryginalnej drogi do dzisiaj jest wskazywane przez położenie tego jej odcinka, który nawet

obecnie używany jest we Wszewilkach-Stawczyku. Zaraz po drugiej wojnie światowej, wzdłuż owej starej drogi przez Wszewilki ciągle stały stare budynki gospodarcze. Wyglądały one nieco dziwnie, bowiem rozlokowane były w rzędzie w środku pól uprawnych w odległości co najmniej jakieś 100 metrów na południe od obecnej drogi i zabudowań tej wioski.

W jakiś czas po roku 1900-tnym, we Wszewilkach zbudowano młyn elektryczny. Usadowiony on został przy nowej drodze przez wioskę, a ściślej na jej skrzyżowaniu z drogą wiodącą do starego młyna wodnego na Baryczy. Przez swoje konkurencyjne położenie kuszące wszystkich zdążających do starego młyna, ten nowy młyn stopniowo odebrał klientów staremu młynowi wodnemu. Stary więc młyn wodny popadł wówczas w ruinę i z czasem został całkowicie opuszczony. Jego upadek zmusił z kolei Miliczan do zbudowania nowej tamy na Baryczy, oraz do uregulowania samej rzeki. Jednocześnie wieś Wszewilki-Stawczyk straciła swoje historyczne korzenie wyrastające ze starego młyna wodnego na Baryczy.

Dzisiaj Wszewilki-Stawczyk wyglądają jakby wcale nie miały swojej przeszłości. A wiadomo, że "ten co nie ma przeszłości, nie ma też i przyszłości". Czy jednak jest tak faktycznie? Wszakże tak naprawdę to wioska ta posiada swoją przeszłość i to ogromnie budującą. Tyle, że trzeba aby publikacje takie jak niniejsza strona uswiadomiły wszystkim jej istnienie oraz niezwykłą wymowę moralną.

#C2. Prastary cmentarz Wszewilek:

W lesie, jakieś pół kilometra na północ od "Wszewilek-Stawczyka", znajduje się prastary cmentarz. Pokazany on został na zdjęciu "Fot. #C2a". W czasach mojej młodości często się na nim bawiliśmy z innymi kolegami. Pamiętam więc, że najstarsze groby jakich wówczas celowo poszukiwaliśmy przez czytanie dat na napisach z ich płyt, były datowane jeszcze w latach 1700-nych. (Ciekawe też, że duża część owych starych grobów posiadała polskie, znaczy słowiańskie, nazwiska.)

Jednak ja jestem absolutnie pewny, że cmentarz ten jest nieporównanie starszy niż lata 1700-ne. Faktycznie to moim zdaniem był on już miejscem kultu i grzebania zmarłych jeszcze w czasach pogańskich. Kiedyś zresztą istniało ku temu sporo dowodów, np. prastare groby ciągle murowane z brył rudy darniowej. Jednym z dowodów na nietypowo stary wiek owego cmentarza jest prastary dąb jaki aż do początku lat 1990-tych rósł niemal w samym środku tego cmentarza. Dąb ten był tak ogromny, zaś zawarta w jego pniu dziupla tak obszerna, że na podstawie jego porównania z dębem "Pomnikiem Przyrody" rosnącym w Kadynach koło Elbląga przy Zalewie Wiślanym (patrz zdjęcie "Fot. #C2b"), oceniam wiek tego dębu z Wszewilek-Stawczyka na co najmniej 700 lat. (Moim zdaniem, w czasach mojej młodości był to najstarszy dąb w całej okolicy Milicza i faktycznie zasługiwał aby ogłosić go pomnikiem przyrody oraz otoczyć opieką.) Co jednak było najciekawsze o owym starym dębie z Wszewilek, to że rósł on "wszerz" a nie "wzwyż". Rozumiem przez to, że zamiast budować swoją wysokość, dąb ten budował grubość i zasięg swoich konarów rozchodzących się na boki. Z kolei doskonale jest wiadomo, że taki właśnie porost dębu oznacza iż w czasach swojej młodości i ukierunkowywania wzrostu był on jedynym drzewem rosnącym w tej części wszewilkowskiego lasu. To z kolei oznacza, że kiedy dąb ten został zasadzony co najmniej 700 lat temu, czyli w czasach przedśredniowiecznych, obszar owego cmentarza wszewilkowskiego już wówczas był czymś szczególnym. Wszakże będąc położonym w środku lasu, obszar ten pozbawiony był drzew - poza owym jednym dębem. Wiadomo zaś, że dla przedchrześcijańskich Słowian dąb był symbolem siły i długowieczności, zazwyczaj też domostwem dla boga "Pieruna" ("Pioruna") opisanego w punkcie #L2 poniżej, czyli "pogańskim świętym drzewem" o funkcjach podobnych do słynnych drzew "Datuk" z dzisiejszej Malezji. (Po szczegóły na temat świętych drzew "Datuk" patrz opisy pod zdjęciem "Fot. #G9" ze strony internetowej malbork.htm, lub zdjęciem "Fot. #D1" ze strony internetowej ufo_pl.htm, albo też opisy z podrödziału l6.1 z tomu 5 mojej najnowszej monografii [1/5]. ładowalnej nieodpłatnie za pośrednictwem niniejszej strony internetowej). Zresztą istnieją najróöniejsze przesłanki, że podobnie jak owe święte drzewa "Datuk" z Malezji, również ów "pogański święty dąb" z

Wszewilek kiedyś posiadał nadprzyrodzone moce. Wszakże w czasach mojej młodości ów pradawny cmentarz na Wszewilkach słynny był w całej okolicy z najróżniejszych niewyjaśnionych i "nadprzyrodzonych" zdarzeń i zjawisk, jakie mogły wywodzić się właśnie z mocy owego dębu. Ponadto, na podstawie doświadczeń z czasów mojej własnej młodości, ja osobiście wierzę, że dąb ten posiadał zdolność do telepatycznego komunikowania się z ludźmi, tak jak to opisane zostało w podrozdziałach I5.4 i I3.3.1 w/w monografii [1/5]. Co jeszcze ciekawsze, to ów "pogański święty dąb" z pradawnego cmentarza we Wszewilkach rósł niemal precyzyjnie w samym centrum owego cmentarza, chociaż był od owego centrum przesunięty ku północy o mniej więcej jedną swoją średnicę. To zaś oznacza, że zapewne został on tam celowo zasadzony przez ludzi tuż obok pieńka jeszcze starszego dębu który najwidoczniej zajmował dokładnie centrum owego prastarego cmentarza. Czyli dąb jaki po 1991 roku załamał się ze starości po przeżyciu według mojej oceny jakieś 700 do 1000 lat, faktycznie zastępował jeszcze starszy dąb który rósł przed nim dokładnie w samym centrum owego cmentarza i który prawdopodobnie też załamał się ze starości po upływie jakichś 700 do 1000 lat. Jeśli przeprowadzić ową dedukcję jeszcze dalej, to także ów starszy dąb, zasadzony przez pogańskich Słowian co najmniej jakieś 1400 lat temu, wcale nie był pierwszym dębem rosnącym w owym miejscu. Wszakże logika stwierdza że aby zostać posadzonym dokładnie w centrum owego cmentarza, cały obszar tego cmentarza musiał być już wolny od drzew, tak aby wzrok sadzących mógł ogarnąć gdzie dokładnie owo centrum się znajduje. Z kolei aby usunąć drzewa z całego wzgórzka tego cmentarza, miejscowi Słowianie musieli mieć już na nim jakiś naturalnie rosnący dąb któremu wówczas oddawali cześć. Tamten pierwszy, zapewne zupełnie przypadkowo rosnący na owym wzgórzku dąb, też zapewne się zapadł ze starości po przeżyciu jakichś 700 do 1000 lat. Jeśli więc powyższa dedukcja jest prawdziwa, wszystko wskazuje na to że ten cmentarz we Wszewilkach zaczął być miejscem starego Słowiańskiego kultu i chowania zmarłych gdzieś pomiędzy 2100 a 3000 lat temu. Ponieważ jest to najbliższe i niemal jedyne takie miejsce leżące niedaleko byłego grodziska Milicza, można dedukować że miejsce które dzisiaj nazywamy "cmentarzem poniemieckim we Wszewilkach", faktycznie jest miejscem prastarego kultu słowiańskiego dla Miliczan począwszy już od czasów pogańskich, gdy Europa ciągle należała do Cesarstwa Rzymskiego. Ja osobiście jestem przekonany, że owo unikalne miejsce poświęcone było kultowi słowiańskiego boga "Pieruna", wspomnianego też w punkcie #L2 poniżej.

Oczywiście, w tym miejscu ktoś mógłby zapytać, czy ów prastary dąb jaki rozpadł się po 1990 roku, jest jedynym dowodem wieku owego cmentarza. Odpowiedź jest "nie". Kiedyś istniały też tam inne dowody jakie ciągle pamiętam. Przykładowo, w czasach mojej młodości niedaleko od owego dębu istniało kilka bardzo staro i nietypowo wyglądających grobów wymurowanych z rudy darniowej, oraz pozbawionych płyt z napisami. Z kolei użycie rudy darniowej jako materiału do wymurowania owych nietypowych grobów oznaczało, że przetrwały one jeszcze z czasów kiedy koło Milicza nie było cegielni ani zakładów kamieniarskich, czyli z czasów przed 14 wiekiem. Podsumowując powyższe, wszystko wskazuje na to że prastary cmentarz Słowiański we Wszewilkach, niesłusznie nazywany "cmentarzem poniemieckim", jest prastarą "kapsułą czasu", która utrzymuje w swoim wnętrzu wiele historycznych skarbów ciągle oczekujących na swego odkrywcę.

O znacznie starszym wieku tego cmentarza świadczą także bardzo stara droga jaka kiedyś wiodła prosto jak strzała od owego prastarego dębu ze środka cmentarza, aż do drzwi wejściowych byłego kościółka który istniał kiedyś przy ryneczku Wszewilek (kościółek ten opisany jest w punkcie #E1 tej strony). Aczkolwiek w chwili obecnej nie będzie zapewne ona już wyraźnie widoczna, droga ta kiedyś tam istniała. Jej pozostałości ciągle były dobrze widoczne w czasach mojej młodości. Rosło kiedyś przy niej kilka starych dębów. Gdyby pozwolono im przeżyć do chwili obecnej, miałyby one teraz co najmniej 300 lat. Jeden z dębów przy owej pradawnej drodze przetrwał do czasów mojej młodości (po reszcie już wówczas pozostały jedynie pieńki). Rósł on trochę przed krawędzią obecnego lasu, jedynie jakieś 40 metrów ku północy od byłych drzwi wejściowych do wszewilkowskiego kościoła pokazanych na zdjęciu "Fot. #D1" z punktu #F1 strony wszewilki_jutra.htm - o Wszewilkach naszego jutra (tj. na wschód od dzisiejszego basenu

przeciwpożarowego zbudowanego na miejscu byłego domu wszewilkowskiego karczmarza) - być może nawet że dąb ten rośnie tam do dzisiaj. Jest bardzo intrygujące do jakich obrządków używana była owa pradawna droga. Jeśli bowiem była to droga cmentarna (tj. droga używana do transportowania nieboszczyków z kościoła wszewilkowskiego do cmentarza), wówczas wiek owych dębów by definitywnie oznaczał, że starostwiański cmentarz Wszewilek był używany już znacznie wcześniej niż powszechnie się to uważa. Z ową starą drogą łączącą kościół we Wszewilkach z cmentarzem wiąże się też ciekawostka opowiadana przez starych miejscowych. Otóż podobno kilka metrów na wschód od tej drogi przebiegał pod ziemią niski tunel który łączył podziemia wszewilkowskiego kościoła z jednym z grobowców na wszewilkowskim cmentarzu. Tunel ten miał być tak niski że dało się nim przejść tylko na czworakach. Jego opis podany jest też na stronie o kościele św. Andrzeja Boboli.

Fot. #C2a: Prastary cmentarz Wszewilek-Stawczyka. Cmentarz ten posiada niezwykle konfigurację. Cały ma on bowiem kształt jakby "grobu ludzkiego olbrzyma", tj. przyjmuje kształt wydłużonego i wysoce symetrycznego pagórka w kształcie jakby olbrzymiej wielkości starego grobu. Co niezwyklejsze, ten wysoce symetryczny i regularny pagórek otoczony jest zupełnie płaskim terenem. Nic dziwnego, że od najdawniejszych czasów musiał on zwracać uwagę miejscowych ludzi. Jest więc niemal absolutnie pewne że już w czasach pogańskich stanowił on miejsce pogańskiego kultu oraz pochowunku dawnych Słowian. O takiej właśnie funkcji "miejsca pogańskiego kultu" świadczy zresztą obecność w niemal jego geometrycznym centrum starego "świętego dębu", jaki w czasach pogańskich pełnił te same funkcje które dzisiaj pełnią kościoły i świątynie. Ponadto wiele innych cech tego cmentarza również dowodzi, że faktycznie jest on co najmniej tak stary jak Wszewilki-Stawczyk, czyli że dla miejscowych Słowian był on miejscem starożytnego kultu i cmentarzem na długo przed czasami chrześcijaństwa. Jako taki, cmentarz ten jest więc zamkniętą "kapsułą czasu" ciągle czekającą na swoje otwarcie.

Powyzsze zdjęcie wykonano w lipcu 2004 roku z pobocza drogi która kiedyś wiodła z Pomorska i Stawca, a przedtem z Dziadkowa i Cieszkowa, przez Wszewilki-Stawczyk do starego młyna wodnego na Baryczy. Obiektów aparatu skierowany był na północny-wschód. W miejscu ujętym na pierwszym planie, zaraz po wojnie ciągle stała stara murowana trupiarnia (obecnie rosną tam jedynie krzaki). Bardziej w głębi znajdował się odwieczny dąb z ogromną dziuplą w środku, jaki po 1990 roku albo sam zapadł się ze starości i własnego ciężaru, albo też został zniszczony uderzeniem pioruna. Niezwykłością tego dębu było, że musiał posiadać on jakieś zdolności telepatyczne, takie jakie mają słynne święte drzewa "Datuk" z Malezji. Kiedy bowiem jako dzieci bawiliśmy się w jego konarach, zawsze sobie opowiadaliśmy, że w jego ogromnej dziupli wypełnionej próchnem ukryty jest skarb. Faktycznie też, kiedy po 1990 roku dąb ten zapadł się ze starości zaś cała jego dziupla została odsłonięta, jakiś przypadkowy przechodzień znalazł w nim bogaty skarb. (Szeptane rumory o owym skarbie są obecnie publiczną tajemnicą Wszewilek i okolicy.)

Z czasów młodości pamiętam, że najstarsze groby owego cmentarza z ciągle zachowanymi płytami zawierającymi datę ich postawienia, pochodziły z lat 1700-nych. Z kolei ostatni ludzie byli na nim oficjalnie chowani w 1945 roku.

* * *

Na prawo od obszaru pokazanego na powyższym zdjęciu znajdował się kiedyś szereg grobów o jakich mówiono że pochowano w nich samobójców. Z grobami owymi wiązała się opowieść, jaką w czasach mojej młodości przypożądkiwano temu właśnie cmentarzowi na Wszewilkach oraz tym właśnie grobom samobójców, jednak jaką w późniejszym wieku słyszałem też kilkakrotnie już nie związaną z żadnym konkretnym cmentarzem ani miejscowością. Według owej opowieści, jeszcze przed pierwszą wojną światową miał mieszkać we Wszewilkach znany szeroko zabijaka i kabanowa. Był podobno okropnie silny i twierdził że nie boi się niczego, nawet samego diabła. Podczas jednej z biesiad miał się założyć z kolegami, że nie boi się pójść na ów cmentarz wszewilkowski w

środku nocy. (Cmentarz ten szeroko był znany w przeszłości jako miejsce w którym "straszy" - co nie powinno dziwić zważywszy że jest on miejscem kultu i pochowunku ludzi jeszcze od pogańskich czasów.) Aby zaś udowodnić, że faktycznie tam był, koledzy dali mu oznaczony przez siebie kołek, aby wbił go na jeden z grobów. Po wybraniu się na ten cmentarz, ów zabijaka jednak nie wrócił. Natychmiast więc kiedy się rozwidniło jego koledzy pobiegli na cmentarz. Znaleźli go martwego na grobie jednego z samobójców. Jego wbity w ów grób kołek "przypadkowo" przypinał do tego grobu jego własny płaszcz. Potem śmierć owego odważnego zabijaki tłumaczono jako zawał serca następujący ze strachu. Kiedy bowiem wbił swój kołek i usiłował wstać aby wrócić do koleżków, coś go trzymało przy ziemi. Nie widząc w ciemności co to było, oraz obawiając się najgorszego, dostał zapewne zawału serca. Starsi ludzie kiedyś pokazywali na owym cmentarzu wszewilkowskim jego grób, którym miał być pierwszy w rzędzie grobów samobójców - leżąc tuż przy grobie na jakim umarł. Morał jaki sobie wówczas powtarzano po zakończeniu owej opowieści, to że nie ma odważnych ani silnych kiedy przychodzi do praw tego drugiego świata. Chociaż bowiem ich działanie jest zakamuflowane i może być tłumaczone na wiele odmiennych sposobów, w końcowym efekcie zawsze się jednak okazuje, że prawa te istnieją i nieodwołalnie działają.

Fot. #C2b: Prastary dąb z miejscowości Kadyny nad Zalewem Wiślanym (niedaleko Elbląga) . Dąb ten liczy co najmniej 700 lat, a najprawdopodobniej 1000 lat. Nazywa się on "Dąb im. Jana Bażyńskiego" i jest chroniony przez polskie prawo jako oficjalny Pomnik Przyrody. Ja pokazuję tutaj powyższy dąb ponieważ przekrój jego pnia jest zbliżony do przekroju pnia prastarego dębu z cmentarza we Wszewilkach. Tyle że konary dębu we Wszewilkach rosły "wszerz", zaś konary powyższego dębu rosły "wzwyż". Na przekór jednak że dąb we Wszewilkach był podobnego wieku, tj. miał jakieś 700 do 1000 lat, oraz na przekór że bez wątpliwości związany on był ze Słowiańskimi obrządkami na owym terenie, nikt nie zadbał aby ogłosić go pomnikiem przyrody, a po prostu pozwolono mu zmarnieć ze starości i z braku ludzkiej opieki.

Część #D: Pozostałości z przeszłości:

#D1. Wszewilkowski młyn wodny na Baryczy:

Kiedy ukończone zostały prace przy budowie murowanego miasta Milicza, przestał być potrzebny budulec jaki liczni robotnicy pozyskiwali z okolic dzisiejszej "pierwszej tamy" na Baryczy (pokazanej na zdjęciu "Fot. #D1"). Nagle więc się okazało, że istnieje tam cała wioska pełna bezrobotnych parobków. (Wioska ta reprezentowała prapoczątki tego co dzisiaj stanowi Wszewilki-Stawczyk.) Aby więc jakoś podtrzymać swoją przydatność dla Milicza, ludzie zamieszkujący ową wioskę zbudowali sobie pierwszy młyn wodny na rzece Baryczy. Młyn ten zlokalizowany był tylko jakieś 100 metrów w kierunku północnym od dzisiejszej tamy na Baryczy pokazanej na zdjęciu "Fot. #D1". Niezależnie od tego, że młyn ten zaczął dostarczać Miliczanom mąki, później zaś wyrosłe na jego mące wszewilkowskie piekarnie - również i chleba, przedsiębiorczy pierwsi mieszkańcy Wszewilek-Stawczyka wymyślili dla niego również jeszcze jedną funkcję. Mianowicie woda spiętrzana przed jego kołem napędowym kierowana była do odrębnego koryta, zaś po doprowadzeniu do Milicza uformowała fosę miejską - czyli dodatkowo broniła Milicza.

W okresie poprzedzającym budowę tego młyna, a także zaraz po jego zbudowaniu, dzisiejsza wieś Wszewilki-Stawczyk rozlokowana była wyłącznie w jego pobliżu. Potem jednak się okazało, że owo zlokalizowanie ma wady. Mianowicie obszar przy owym młynie wodnym często zalewany był wiosennymi powodziąmi. Z czasem przeniesiono więc centrum Wszewilek-Stawczyka na miejsce położone nieco wyżej, tj. do opisanego już wcześniej skrzyżowania drogi przebiegającej w kierunku północnym, a wiodącej do owego młyna, z drogą jaka przebiegała w kierunku zachód-wschód, a jaka

wiodła z Milicza do Sulmierzyc. Przy owym skrzyżowaniu zbudowano centrum Wszewilek. Na centrum to składał się miniaturowy rynecek owej wsi, przy którym później stanęła wszewilkowska karczma i zajazd, a jeszcze nieco później również wszewilkowski kościół z własnym cmentarzykiem, oraz szpichlerz i piekarnia. (Niestety, około 1875 roku, tak jak to opisałem w punkcie #C1 powyżej, przez miejsce gdzie ów rynecek, karczma i kościół kiedyś stały, przetaranowała się linia kolejowa. Z kolei samo owo centralne miejsce Wszewilek zamieniono wówczas w piaskownię z której pozyskiwano piasek i ziemię używane do budowy nasypów kolejowych.)

Po przeniesieniu centrum Wszewilek-Stawczyka do obszaru położonego wyżej, przy młynie na Baryczy zamieszkiwali jedynie bezgruntowi parobkowie którzy bezpośrednio w nim pracowali. Lepianki tych parobków przetrwały aż do po około 1900-ego roku, kiedy to ów młyn w końcu upadł i został opuszczony. W czasach mojej młodości, tj. w latach 1950 do 1960, ciągle po lepiankach tych można było znaleźć dosyć dobrze widoczne tzw. "klepiska". Ja osobiście pamiętam istnienie i położenia około 5 takich ciągle relatywnie dobrze wówczas zachowanych klepisk. Dwa z nich znajdowały się tuż za mostkiem ceglany przez niedawny rów odwadniający, który przebiegał wzdłuż krawędzi dawnej doliny Baryczy. Miejsca ich byłego położenia ciągle istnieją tam do dzisiaj, chociaż same owe klepiska zostały zniszczone około początku lat 1960-tych. Trzy dalsze takie dobrze zachowane "klepiska" z dawnych lepianek parobków owego starego młyna istniały przy drodze dojazdowej już w pobliżu samego młyna. W chwili obecnej ich były lokacje zalane są stawem rybnym zbudowanym tam około 1990 roku. Owe "klepiska" to po prostu równo uklepane podłogi dawnych lepianek. Były one klepane z gliny i piasku, czasami z dodatkiem wapna lub nawet cementu. Reszta zaś lepianek budowana była z materiałów ulegających zniszczeniu - zwykle z tyczek, trzciny i słomy, które oblepiane były gliną (dokładnie tak samo jak to wyjaśniam w punkcie #G2 dla unikalnego stylu architektonicznego Wszewilek), oraz potem "gacone" ubitą warstwa wysuszonych paproci leśnych. Po opuszczeniu lub zniszczeniu takich lepianek, cała ich górna część ulegała zgniciu i rozproszeniu. Jedyną więc relatywnie trwałą po nich pozostałością były owe równiutko ubite "klepiska" na ziemi. Kiedy jako nastolatek analizowałem te klepiska, zawsze zastanawiało mnie jak mało miejsca dawni ludzie potrzebowali na mieszkania. Klepiska te bowiem zwykle miały wymiary około 2.5 metra na 2.5 metra. Czyli owe lepianki z trudem wystarczały do postawienia w nich jednego niewielkiego łóżka, małego stołu, oraz być może jakiegoś krzesła.

Młyn wodny na Baryczy istniał i pracował przez niemal 1000 lat. Oczywiście, w międzyczasie co jakiś czas był przebudowywany, odbudowywany i ulepszany. Zboże było do niego zarówno spławiane wodą, jak i dowożone lądowo. Lądowo było ono dowożone aż dwoma drogami, mianowicie drogą od Wszewilek (tj. drogą która zaraz po wojnie nazywaną "drogą na tamę"), oraz jeszcze jedną drogą która dochodziła do niego od przeciwstawnej strony Baryczy (czyli od Duchowa, Sławoszewic i Milicza). Obie te drogi łączył razem most przez Barycz, który znajdował się tylko kilka metrów za kołem wodnym młyna. Dzięki owemu mostowi, tamta stara "droga na tamę" w dawnych czasach faktycznie była też jedną z dwóch głównych dróg wyjazdowych z Milicza ku północy Polski. Jednocześnie była ona też częścią właściwego "bursztynowego szlaku". Przez Wszewilki przetaczały się wówczas przeładowane karawany kupieckie zdążające z Milicza, poprzez wsie Wszewilki i Pomorsko, dalej do Cieszkowa, Zdun, Krotoszyna, w kierunku Gniezna i potem Gdańska. Z kolei jeszcze jedna droga wybiegająca z Milicza ku północy, przebiegała przez to co dzisiaj stanowi ulicę Krotoszyńską Milicza, jednak potem zdążyła przez centrum wsi Stawiec, zaś dalej przez Rawicz do Poznania. (Dzisiejsza szosa z Milicza do Cieszkowa i potem do Krotoszyna, zbudowana została relatywnie późno, bowiem dopiero około lat 1930-tych.) Odcinek drogi który w owych dawnych czasach łączył Milicz ze starym młynem wodnym na Baryczy, używany jest do dzisiaj. Jest on ową drogą dojazdową z Milicza do tamy na Baryczy. Również i przy tej starej drodze zaraz po wojnie ciągle widniało kilka "klepisk" ze starych lepianek, a nawet zrujnowane fundamenty jednego większego budynku.

Dopiero po 1900-nym roku we Wszewilkach pojawił się groźny konkurent dla starego młyna. Konkurent ten stanął bowiem tuż przy drodze wiodącej do starego młyna.

Każdy więc kto zmierzał do starego młyna, zwykle dawał za wygraną i zatrzymywał się przy tym nowym. W rezultacie ten wszewilkowski nowoczesny konkurent spowodował stopniową utratę klientów przez stary młyn, potem zaś jego upadek ekonomiczny i popadnięcie w ruinę. Około 1950 roku po starym młynie pozostały więc jedynie pogniłe fragmenty, które dawały się tylko rozpoznać i zidentyfikować jeśli ktoś wiedział że poprzednio stał tam młyn wodny.

Do jakiegoś 1800-nego roku ten stary młyn wodny na Baryczy był jedynym młynem w okolicach Milicza. Jego mąka karmiła więc nie tylko miasto Milicz, ale również wszystkie okoliczne wsie. Dopiero po tym jak w 1797 roku spłonął stary zamek warowny w Miliczu (po szczegóły patrz strona o mieście Miliczu) oraz zbudowany został nowy pałac margrabiego, fragment niepotrzebnej już wówczas obronnej fosy miejskiej przekierowano tak aby formowała ona ozdobną rzeczkę w przypałacowym parku. Podczas przekierowywania owej fosy, m.in. zbudowano na niej jeszcze jeden milicki młyn wodny. Stąd wszewilkowski młyn na Baryczy zaczął wówczas mieć swego pierwszego konkurenta w Miliczu i utracił swój wielowiekowy monopol dopiero począwszy od około 1800-nego roku. W jakiś czas później również kilka podmilickich wiosek zbudowało sobie wiatraki. Zaraz po wojnie wiatraki takie ciągle istniały, aczkolwiek już nie działały, w miejscowościach Duchowo i Stawiec. (Zaraz po drugiej wojnie światowej Stawiec ciągle miał aż dwa takie wiatraki, oba położone na szczycie wzgórza jakieś pół kilometra na północ od wszewilkowskich wodociągów pokazanych na zdjęciu "Fot. #D2a".)

Wcale nie przez przypadek rudę darniową na budowę Milicza pozyskiwano z okolicy w jakiej umiejscowiony jest silny "czakram Ziemi". Nie przez przypadek również pierwszy prastary młyn milicki był postawiony dokładnie w miejscu w jakim czakram ten buchał swoją energią "chi". Dawni Słowianie byli ogromnie czuli na naturalne energie i doskonale zdawali sobie sprawę z wpływu jakie energie te wywierają na losy ludzi i miejscowości. (To być może dołożyło swój wkład do faktu, że Milicz zbudowany z brył rudy darniowej pozyskiwanej z okolic tego czakramu przetrwał w dobrym stanie do dzisiaj, podczas gdy obronny zamek Milicza zbudowany z cegły pozyskiwanej z innego miejsca, tj. dzisiejszego Stawca, był w międzyczasie wielokrotnie niszczone i palony.) Czytelnicy którzy zechcą dowiedzieć się więcej o energii "chi" mogą znaleźć jej naukowe opisy w początkowej części rozdziału H z tomu 4 mojej najnowszej monografii [1/5] dostępnej nieodpłatnie za pośrednictwem niniejszej strony internetowej. Z kolei naukowe wyjaśnienia czym właściwie jest "czakram", zaprezentowane zostały w podrozdziale I5.3 z tomu 5 mojej najnowszej monografii [1/5]. "Czakramy" są także skrótowo opisane na stronie internetowej o koncepcji Dipolarnej Grawitacji.

Fot. #D1 (K1 w [10]): Tama na Baryczy przy Wszewilkach. Od pierwszej poprzedniczki tej tamy, czyli od prastarego młyna wodnego Wszewilek, zaczęła się bogata historia tej wioski i jej gospodarczy związek z Miliczem. Zdjęcie z 2003 roku. To właśnie tylko około 100 metrów na północny zachód od pokazanej powyżej tamy, już ponad 2000 lat temu pasterze była z pobliskiego grodziska Milicza zaczęli budować pierwsze schroniska przed pogodą. Późniejsza ewolucja tych schronisk doprowadziła z czasem do powstania dzisiejszej wsi Wszewilki-Stawczyk. To także w pobliżu owej tamy mieści się potężny "czakram energetyczny" jaki rządzi losami miasta Milicza i jego okolicy. Czakram ów emituje tak silny podmuch naturalnej energii przez Chińców nazywanej "chi", że jej wpływ odczuwają nawet ci najbardziej znieczuleni i gróboskórni. (Aby odczuć energetyzujący i uspokajający przepływ tej naturalnej energii "chi", wystarczy na chwilę przysiąść w pobliżu powyższej tamy, odłączyć swoje myśli od doznań wzbudzanych przez nasze zmysły, oraz skupić swoją uwagę na naszych doznaniach wewnętrznych - czyli jak to się nazywa "przestawić się na odbiór energii chi".) Przykładowo, właśnie z powodu silnego przepływu owej energii "chi", nawet w czasach mojej młodości, kiedy nikt jeszcze nie słyszał o takich rzeczach jak energia "chi", "feng shui", naturalne "czakramy" Ziemi, medytacje, itp., na powyższą tamę przybywało mnóstwo ludzi tylko po to aby - jak to wówczas nazywano, "uspokoić swoje nerwy" (dzisiaj nazywają to "medytowaniem", lub "nasycaniem ciała naturalną energią chi").

Z powodu takiego umiejscowienia przymilickiego czakramu Ziemi, cokolwiek dzieje się w okolicy tej tamy, jest to jednocześnie symboliczną reprezentacją tego co dotyka miasto Milicz i jego okolice. Ponieważ zaś przepływ energii w owym czakramie jest sterowany losami wsi Wszewilki-Stawczyk która z niego historycznie się wywiodła, cokolwiek przytrafia się owej wsi, jest jednocześnie symboliczną reprezentacją tego co potem dotyka Milicz i cały obszar rozciągający się na dziesiątki kilometrów dookoła tego miasta. Powyższa tama położona jest też jedynie jakieś 100 metrów na południe od miejsca, w którym pomiędzy latami 900 a 1000 AD zbudowano pierwszy młyn wodny miasta Milicza. Młyn ten, a także osada robotników którzy go zbudowali i parobków którzy w nim pracowali, z czasem stworzył zaczątek miejskiej wsi milickiej obecnie znanej jako Wszewilki-Stawczyk. Z kolei mąka z owego młyna żywiła i wzmacniała mieszkańców Milicza oraz jego okolic przez niemal 1000 ostatnich lat.

Pokazana tutaj tama zbudowana była przez polskich "Junaków" około 1950 roku. Czyli w chwili fotografowania miała ona już ponad 50 lat. Z uwagi na energetyczne znaczenie dla Milicza tego co wokoło owej tamy się dzieje, aktualny stan rzeczy na samej owej tamie, a także w jej okolicach, jest symbolicznym wyrażeniem stanu rzeczy w samym Miliczu i jego okolicach.

Przed tamą pokazaną na powyższym zdjęciu, w tym samym miejscu istniała "stara" tama zbudowana przez Niemców wkrótce po 1900 roku. W chwili więc jej wymiany na tamę pokazaną na powyższym zdjęciu, tamta stara tama także miała około 50 lat. Jednak nawet tamta stara poniemiecka tama na Baryczy nie była pierwszą tamą stojącą w tym miejscu. Począwszy bowiem gdzieś pomiędzy około 900 a 1000 rokiem AD, jakieś 100 metrów na lewo od obiektywu aparatu wykonującego powyższe zdjęcie, zbudowany został pierwszy młyn wodny na Baryczy. W sensie administracyjnym przynależał on do wsi obecnie zwanej "Wszewilki-Stawczyk". Młyn ten faktycznie był pierwszą konstrukcją jaka spiętrzała wodę Baryczy do poziomu bliskiego temu jaki widzimy na powyższym zdjęciu jak spiętrzany jest przez obecną tamę. Faktycznie więc ów pierwszy młyn wodny Wszewilek-Stawczyka, był jednocześnie pierwszą tamą na Baryczy jaka stała zaledwie około 100 metrów na północ od tamy widniejącej na powyższym zdjęciu. Ponadto, młyn ten rozdzielał rzekę Barycz na dwa koryta i przekierowywał jej wodę w dwa strumienie. Jedno z owych koryt, tj. "niskie" - czyli to do którego woda spływała z koła młyńskiego, biegło ku Miliczowi mniej więcej wzdłuż przebiegu po jakim Barycz płynie i obecnie (aczkolwiek w znacznie bardziej zawiły i pokręcony sposób). Tamto "niskie" koryto wbiegało do dzisiejszego koryta Baryczy tylko jakieś 20 metrów z tyłu poza plecami wykonującego powyższe zdjęcie. Z kolei drugie "wysokie" koryto Baryczy, jakie odchodziło od stawu przed kołem wodnym owego starego młyna wszewilkowskiego, biegło pradawnym korytem Baryczy które obecnie w Miliczu znane jest pod nazwą "młynówki". Na powyższym zdjęciu owo drugie ("spiętrzone" albo "wysokie") koryto Baryczy przebiegało wzdłuż linii drzew widocznych za samochodem po prawej stronie zdjęcia, czyli faktycznie przecinało ono dokładnie prostopadle obecne koryto rzeki Barycz jakie widoczne jest na powyższym zdjęciu. (Widoczne tu, obecne koryto Baryczy, wykopane zostało sztucznie podczas regulacji Baryczy następującej już po roku 1900-ym.) Owo stare "wysokie" koryto Baryczy (tj. "młynówka") faktycznie dostarczało wody do fosy obronnej średniowiecznego miasta Milicza. Można więc śmiało stwierdzić, że młyn jaki przez niemal 1000 poprzednich lat stał zaledwie jakieś 100 metrów na północ (lewo) od miejsca pokazanego na powyższym zdjęciu, nie tylko żywił miasto Milicz, ale także bronił je przed wrogami. Od jego losów zależne więc były losy Milicza - co zresztą wynikało z jego położenia na czakramie energetycznym Milicza.

Fragmenty omawianego tutaj starego młyna wodnego na Baryczy, ciągle istniały w pobliżu pokazanej powyżej tamy w czasach mojej młodości, tj. w latach 1950-tych do 1960-tych. Ciągle też istniały wówczas zdziczałe drzewa owocowe jakie rosły w pobliżu tego młyna. Dopiero około 1990-ego roku obszar owego młyna został włączony w nowoformowany staw rybny oraz zalany wodą. Nawet jednak tuż przed zalaniem tego terenu, ciągle dobrze widoczna była droga dojazdowa do młyna, jaka prowadziła z Wszewilek. (Droga ta po wojnie niesłusznie nazywana była "drogą na tamę", chociaż w ostatnim swym fragmencie skręcała ona na wschód ku byłemu budynkowi owego młyna, w ten sposób

oddalając się od tamy zamiast wieść ku niej.) Obecnie zapewne po młynie tym nie zostały już żadne ślady - aczkolwiek muszę tutaj przyznać że podczas mojej ostatniej wizyty w Miliczu w lipcu 2004 roku nie byłem w owym miejscu - nie sprawdziłem więc jak sprawy tam stoją. Jedyne więc co ciągle po młynie tym być może wystaje ponad powierzchnię owego nowo-zbudowanego stawu rybnego, to wzgórze usypane sztucznie w widłach obu koryt Baryczy rozchodzących się od młyna. Na płaskim wierzchołku tego wzgórza stał kiedyś dom młynarza. (Dom ten umieszczony był na wzgórzu, aby chronić się przed wysokimi powodziąmi, które podczas niektórych wiosen zalewały dolinę Baryczy. Z kolei owo wzgórze mieściło się dokładnie w widłach na rozdrożu obu koryt Baryczy które kiedyś rozchodziły się w dwóch kierunkach od stawu spiętrzającego wodę dla owego młyna.)

* * *

Zauważ, że można zobaczyć powiększenie każdej fotografii z niniejszej strony internetowej. W tym celu wystarczy zwyczajnie kliknąć na tą fotografię. Ponadto większość tzw. browser'ów które obecnie są w użyciu, włączając w to popularny "Internet Explorer", pozwala na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększyć, a także gdzie ją można wydrukować za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

#D2. Historyczne wodociągi z zachodniego pogranicza Wszewilek:

Kolejnym wkładem Wszewilek do kultury, gospodarki oraz stylu życia swego regionu, były milickie wodociągi miejskie. Zlokalizowane one były na zachodnim pograniczu Wszewilek. Wodociągi te były bardzo stare - podobno zbudowano je jeszcze w 19 wieku. Zostały jednak porzucone w latach 1960-tych, kiedy to Milicz zafundował sobie nowe wodociągi. Jak niemal wszystko we Wszewilkach, dzisiaj zabudowania tych starych wodociągów stanowią symbol "niewykorzystanego potencjału" okolicznych ziem. Przykładowo, jak pokazane tutaj zdjęcie "Fot. #D2a" to ujawnia, były ich były teren służy obecnie jako rodzaj nieoficjalnej zbiornicy złomu. Z kolei ich wieża ciśnień straszy przejezdnych pustymi oczodołami swoich okien i marnuje się bezużytecznie. Tymczasem z wieży tej rozciąga się widok na okolice który dosłownie zapiera dech w piersiach. Same zaś budynki owych wodociągów posiadają pierwszej klasy zlokalizowanie przy ruchliwej szosie przelotowej. Gdyby więc owe były wodociągi z obecnego nieoficjalnego składu złomu zamienić np. w przydrożny zajazd i restaurację, w której jadalnia znajdowałaby się na obrotowej platformie w owej byłej wieży ciśnień, ludzie ustawialiby się w kolejki aby móc tam coś zjeść i dać oczom wypocząć na tak wspaniałych widokach.

Spożytkowanie pierwszoklasowej lokalizacji tych byłych wodociągów na np. restaurację, wcale nie jest jedynym sposobem na jaki mogą one być wykorzystane dla dobra ludzi. Przykładem innego atrakcyjnego ich zastosowania może być zamienienie ich np. w milickie "muzeum techniki". Wszakże częścią zwiedzania tego muzeum mogłoby być atrakcyjne wejście na byłą wieżę ciśnień. Taka atrakcja w Polsce bawi przecież wizytujących wieżę z katedry we Fromborku, zaś np. w Nowej Zelandii niemal każde miasteczko zaprasza przybyłych do wspinania się na ich wodociągowe wieże ciśnień. Aby wspinanie takie ułatwić, np. wieża prastarej katedry we Fromborku specjalnie podzielona została na cały szereg pięter. Na każdym z owych pięter wystawione zostały najróżniejsze eksponaty. Z kolei wieża ta jako całość użyta została do demonstrowania najróżniejszych zjawisk związanych z grawitacją, siłami Coriolisa (np. patrz punkt #F2 strony [free_energy_pl.htm](#)), itp. W rezultacie zwiedzający Frombork stoją w długich kolejkach aby móc do niej wejść i nacieszyć się widokami oraz wystawami jakie wieża ta oferuje. W podobny sposób, np. po oficjalnym oddaniu zabudowań owych wodociągów z Wszewilek na lokum pod muzeum Milicza, wieża owych wodociągów też może zostać podzielona na szereg pięter, z krótkimi schodami wiodącymi z piętra na piętro. Z kolei na każdym z pięter można zorganizować przestrzeń wystawową z lekkimi wagowo zaś ciekawymi zawartościowo eksponatami do oglądania.

Prawdziwym skarbem technicznym byłych wodociągów milickich były dwa ogromne silniki gazowe jakie napędzały równie ogromne pompy do pompowania wody. Ja mam nadzieję że silniki te przetrwały do dzisiaj w kupie złomu jaka otacza były wodociągi,

oraz że kiedyś dadzą się one odrestaurować. Odwiedzając bowiem najróżniejsze muzea techniki na świecie odnotowałem, że nawet znacznie mniej "starożytne" oraz nieporównanie mniej ciekawe silniki spalinowe stanowią obecnie wysoce cenione "perły" techniki, z jakich posiadania owe muzea są ogromnie dumne - patrz zdjęcie "Fot. #D2b". Stare zaś silniki gazowe z milickich wodociągów we Wszewilkach były tak wspaniale skonstruowane, że w przypadku ich wystawienia w jakimś muzeum byłyby nieporównanie bardziej atrakcyjne od wszystkiego co oglądałem w muzeach techniki świata. Pamiętam bowiem do dzisiaj jakie piękno dawnych maszyn od nich promieniowało, oraz jak interesująco i pogładowo były one skonstruowane. Miały one tylko po jednym cylindrze. Posiadały zapłon z dużego odsłoniętego magneta z klinową krzywką zapłonową. Magneto to pozostawało cały czas dobrze widoczne, tak że obsługujący maszynista mógł obserwować jego pracę w kolejnych stadiach cyklu zapłonowego. Korbówód i wał korbowy tych silników były wyraźnie widoczne, bowiem pracowały w powietrzu zupełnie nieosłonięte - czyli inaczej niż to ma miejsce w dzisiejszych silnikach które są całkowicie zakryte i mają formę "czarnych skrzynek". Każdy z silników miał też ogromne koło zamachowe, skręcane śrubami z kilku oddzielnych segmentów. Były prawdziwymi arcydziełami dawnej techniki inżynierskiej. Zasilanie w paliwo (tj. w gaz miejski) następowało w nich poprzez unikalne kwadratowe worki z gumy, jakie pełniły funkcje dzisiejszych gaźników. Podczas ich działania worki te tętniły jak pracujące serca, tj. cyklicznie rozdmuchiwane były gazem, poczym gaz ten wsysany był z nich do cylindrów, zaś worki te się kurczyły. Faktycznie to działanie owych maszyn mi osobiście przypominało wypełnianie funkcji życiowych przez jakieś ogromne, tajemnicze, żywe stworzenie, a nie przez maszynę. Kiedykolwiek miałem okazję obserwować je podczas pracy, zawsze ogromnie mnie fascynowały. Na ich wyglądzie i podzespołach dzisiaj można więc by było uczyć młodą generację zasad działania silników spalinowych, oraz historycznej ewolucji ich podzespołów składowych. Jeśli ocalały do dzisiaj, moim osobistym zdaniem powinny być odrestaurowane i wystawione w milickim muzeum. Stanowią bowiem przecenne perły techniki.

* * *

Mi osobiście stare wodociągi z Wszewilek uświadomiły jedną szokującą prawdę życiową, która z czasem weszła w skład postępowej i moralnej filozofii totalizmu. Prawda ta stwierdza, że "ci co pracują głośno i w sposób rzucający się w oczy faktycznie są niekompetentni, zaś wyniki ich działań są mizerne. Ludzie naprawdę wydajni i fachowi zawsze pracują cicho, niepozornie, oraz w sposób przez nikogo niemal nie odnotowany." Działanie tej prawdy moralnej odkryłem właśnie w wodociągach z Wszewilek, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem. Mój ojciec pracował wówczas w tych wodociągach jako mechanik obsługujący owe ogromne motory i pompy. A ich obsługa była trudna, bowiem jak wszystkie stare maszyny miały one swoje "dusze" i swoje zadziorne "osobowości". Przykładowo okazywały "humory", były bardzo "narowiste" i często poddawały się one "nastrojom". Trzeba było je znać doskonale aby móc je uruchomić i potem utrzymać w działaniu. (Mimo swego ogromu, silniki te uruchamiane były ręcznie korbami, tak jak pierwsze samochody. Ciekawe czy czytelnik wie, że nawet po drugiej wojnie światowej samochody ciągle zapalane były ręcznie poprzez zakręcenie korby rozruchowej która sprzęgana była z ich wałami korbowymi. Dzisiejsze rozruszniki weszły do powszechnego użycia dopiero w latach 1960-tych.)

Otóż pewnej niedzieli ktoś szczególnie ważny w maleńkim Miliczu utknął wówczas w łazience pokryty mydłem. Woda bowiem na wieży omawianych tutaj wodociągów się skończyła, zaś oba motory z pompami właśnie stały. Ów ważny człowiek zadzwonił więc do szefa wodociągów, aby ten spowodował puszczenie więcej wody do miejskiej sieci. Ponieważ zaś był to ktoś bardzo ważny, ówczesny szef wodociągów wezwał natychmiast wszystkich mechaników mieszkających w pobliżu, aby uruchomili silniki i napompowali nowej wody do wieży ciśnień. Jednak oba stare i "narowiste" silniki wcale nie miały wówczas "nastroju" do pracy na rzecz owej "dużej ryby" z Milicza (była wszakże niedziela) i nie dały się zapalić. Po jakiejś godzinie bezowocnych prób ich zapalenia, w końcu posłano po mojego ojca do Wszewilek-Stawczyka. Ojciec wziął mnie ze sobą, bo była niedziela zaś on pojechał do wodociągów jedynie aby zapalić owe silniki. Kiedy

weszliśmy z ojcem do hali wodociągów uderzyło mnie iż wokół jednej z maszyn biegała cała chmara krzykliwych ludzi, zaś hala wodociągów wygląda jak duża ruchliwa fabryka podczas masowej produkcji. (Typowo kiedy odwiedzałem ojca w czasie jego pracy, był on jedyną osobą w całych owych wodociągach.) Mój ojciec wszedł do środka niemal niedostrzeżony w panującym tam tłumie. Podszedł do drugiego z motorów, wokół którego nikt właśnie nie biegał, położył jedną rękę na krzywce jego iskrownika zapłonu, drugą ręką z czuciem popchnął korbę rozruchową, zaś silnik zagadał. Cicho, spokojnie, bez wiatru. Rozkrzyczana chmara ludzi rzuciła się więc do obsługi motoru i pompy które właśnie zaczęły pracować. Wówczas mój ojciec równie skromnie i cicho poklepał cylinder drugiego motoru, coś tam przestawił w iskrowniku, popchnął korbę rozruchową i drugi motor także zagadał. Wszystko niepozornie, cicho, szybko i bez wiatru, aczkolwiek szokująco efektywnie. Ten niepozorny sposób pracy fachowców naprawdę efektywnych i wydajnych utknał mi na zawsze w pamięci. Teraz więc już wiem, że aby rozpoznać tego kto pracuje naprawdę wydajnie i czyj wkład naprawdę się liczy - chociaż zazwyczaj niemal go nie widać w tłumie, wcale nie należy poszukiwać po tym ile hałasu ten ktoś czyni czy ile wiatru wzbudza on swoim bieganiem. Raczej, zgodnie z tym co stwierdza biblia w Ewangelii wg św. Mateusza, 7:16 i 7:20, należy pamiętać że "po owocach go poznać".

Jednym z następstw opisywanego powyżej zdarzenia było, że szybko potem Milicz podjął budowę nowych wodociągów. Po ich zbudowaniu miejscowe "grube ryby" nie ryzykowały już utknięcia w łazienkach z oczami pokrytymi mydłem którego nie byłoby czym zmyć.

Fot. #D2a: Znak rozpoznawczy początku Wszewilek, czyli były milickie wodociągi miejskie straszące obecnie przejezdnych pustymi oczodołami swojej opuszczonej wieży ciśnień. (Zdjęcie wykonane w lipcu 2004 roku.) Wodociągi te umiejscowione zostały przy zachodnim skraju wsi Wszewilki. Były one napędzane dwoma ogromnymi i bardzo starymi silnikami gazowymi (tj. silnikami w których paliwem był gaz wytwarzany w milickiej gazowni). Woda w nich pompowana była na widoczną na powyższym zdjęciu architektonicznie bardzo elegancką wieżę, z której wyglądu byłoby dumne praktycznie każde miasto na świecie. Z wieży tej pod naturalnym ciśnieniem grawitacyjnym woda ta rozpląwała się po całym Miliczu. Jednak około 1960 roku wodociągi te zastąpione zostały nowymi (pracującymi już bez wieży ciśnień). Zamiast jednak były budynki wodociągów przeznaczyć na coś pożytecznego, np. na milickie "muzeum starej techniki", ówczesne władze Milicza pozwoliły aby od owego czasu były zabudowania tych historycznych wodociągów po prostu niszczały.

Fot. #D2b: Mały stary silnik gazowy, który stanowi dumę muzeum miasta Invercargill w Nowej Zelandii. Sfotografowany w dniu 12 marca 2006 roku. Silnik ten jednak wygląda bardzo mizernie jeśli porównać go do dwóch wspaniałych, ogromnych, prastarych silników gazowych jakie kiedyś znajdowały się w wodociągach miejskich Milicza z początku wsi Wszewilki. Owe silniki gazowe z Wszewilek obecnie byłyby perłą i ozdobą najbardziej ekskluzywnych muzeów na świecie. Niestety, typowo po polsku, pozwolono im zmarnieć na deszczu i zerdzewieć do nicości. Budynki zaś starych wodociągów miejskich Milicza, w których one kiedyś stały, obecnie też się marnują i zwolna popadają w ruinę. Jednocześnie zaś aż się prosi aby Milicz zorganizował sobie gdzieś muzeum z prawdziwego zdarzenia.

#D3. Skarby Wszewilek:

Wszewilki to ogromnie stara miejscowość. Praktycznie jest ona tak stara jak "szlak bursztynowy" który obok nich przebiegał. Z kolei w aż tak starych miejscach, zawsze istnieje sporo starych skarbów poukrywanych przy różnych okazjach. Część z owych skarbów już została odnaleziona - tak jak przykładowo ów skarb ze starego dęba na byłym Słowiańskim (poniemieckim) cmentarzu z Wszewilek, opisanym poprzednio w podpisie pod zdjęciem "Fot. #C2a". Inne skarby Wszewilek ciągle jednak odczekują na swoich

odkrywców.

Ostatnią okazją podczas której nastąpiło masowe ukrywanie skarbów w lasach i na polach otaczających Wszewilki, był koniec drugiej wojny światowej. Kiedy wojska radzieckie zbliżyły się do Wszewilek, miejscowi rolnicy niemieccy nie chcieli pozostawić Rosjanom swojego co cenniejszego dobytku. Ukrywali więc najbardziej wartościowe przedmioty z owego dobytku poprzez jego masowe zakopywanie w lesie i po polach. Większość z zakopanych wówczas rzeczy zapewne ciągle tam zalega aż do dzisiaj, chociaż jakąś ich część co bardziej detektywistycznie nastawieni miejscowi zdołali odnaleźć i odkopać.

Jednym z szerzej opowiadanych przypadków "znalezienia" takiego poniemieckiego "skarbu" o jakim słyszałem w czasach swojej młodości, był skarb z okolic Dziadkowa. (Dziadków to inna wieś położona relatywnie niedaleko od Wszewilek.) W jakiś czas po wojnie do jednego z miejscowych rolników przybyli tam "turyści" z Niemiec i upraszali się o pozwolenie zanocowania w gospodarstwie. W nocy jednak gospodarze odnotowali, że owi "turyści" coś manipulują przy starym (poniemieckim) drzewie owocowym w sadzie. Gospodarz "wyprosił" więc owych "turyistów" ze swego domu, zaś po ich odejściu zciął on owo stare drzewo owocowe. Po jego rozłupaniu okazało się iż w mięszu drzewa zarosły był cały rulon złotych monet. Oczywiście w chwili obecnej moralna strona całego tego zdarzenia może i powinna być debatowana - wszakże owi niby turyści prawdopodobnie byli legalnymi właścicielami tamtego "skarbu" (chyba że wcześniej zrabowali go od kogoś innego). Jedynie więc przybyli aby sobie odebrać to co zapewne do nich należało. Jednak w czasach zaraz po wojnie, kiedy świeżo w pamięci ludzie mieli rozstrzeliwania, łapanki, oraz niemieckie obozy koncentracyjne, na owe sprawy patrzyło się zupełnie inaczej.

Nawet jeszcze bardziej moralnie kwestionowalny był "skarb" z wszewilkowskiej leśniczówki. Zaraz po wojnie istniała stara leśniczówka zlokalizowana jakieś pół kilometra od wschodniej krawędzi Wszewilek-Stawczyka, przy starej (oryginalnej) piaszczystej drodze która kiedyś prowadziła z Wszewilek do Godnowa. W leśniczówce tej pozostała staruszka-autochtonka, która uważała się za Polkę, nie uciekła więc pod koniec wojny z innymi Niemcami w głąb Niemiec. Jednak krótko po wyzwoleniu, w okresie bezprawia jaki wówczas zapanował, została ona zamordowana przez bandę maruderów z rosyjskiej armii, zaś leśniczówka wraz z jej zwłokami została spalona. Jako młody chłopiec często przechodziłem przez ruiny owej leśniczówki w drodze na grzyby. Czasami bawiliśmy się tam też z kolegami. Jedyne co po leśniczówce owej wówczas ciągle pozostawało to kupa osmolonych gruzów, studnia, drzewa owocowe, oraz niezwykle dorodne lipy. Często zaglądaliśmy do tej studni i nawet pamiętam że z jej wody wystawała wówczas dosyć długa tyczka. Kiedy jako uczeń szkoły podstawowej brałem udział w "chodzeniu za stonką", nasza grupa zwykle odpoczywała w cieniu lip rosnących wokół owej spalonej leśniczówki. Podczas jednego z owych odpoczynków któryś ze starszych mieszkańców wioski opowiadał, że niedawno do jego domu przyszedł rosyjski "turyista" ubrany po cywilnemu. Za zapłatą poprosił aby rolnik ten zaprowadził go do tamtej leśniczówki, bo ów "turyista" zapomniał gdzie ona dokładnie się znajduje. Po dotarciu na miejsce, ów niby turysta poszedł wprost do owej studni i wyciągnął z niej tamtą długą tyczkę która wystawała z wody. Na końcu tyczki przywiązana była paczuszka którą ów niby turysta oderwał, poczym szybko zniknął w pobliskim lesie. Dopiero wówczas ów rolnik z Wszewilek się zorientował, że tamten Rosjanin musiał być uczestnikiem owej bandy maruderów która zamordowała staruszkę-autochtonkę i spaliła leśniczówkę z jej zwłokami. Z kolei "skarb" który przez wiele lat czekał w owej studni przywiązany do końca tyczki, zapewne był łupem który owa banda wymusiła od tamtej staruszki tuż przedtem zanim ją zamordowała. Jak powyższe wskazuje, zaraz po wojnie wcale nie było bezpieczne zamieszkiwanie w osamotnionych domach. (Moi rodzice również mieszkali w takim samotnym domu oddalonym od reszty wioski - stąd ich również zaatakowała banda rosyjskich maruderów, co opisałem w punkcie #J1 poniżej.)

Jednym ze źródeł dzisiejszych skarbów Wszewilek były owe słynne targi i jarmarki jakie kiedyś odbywały się na miniaturowym ryneczku tej wsi. Na jarmarki te

zjeżdżali się kupcy i handlarze z praktycznie całego obszaru dzisiejszej Polski, wschodnich Niemiec, Czech, a nawet z Białorusi. Przez okres targu czy jarmarku koczowali oni po obu poboczach drogi która kiedyś wiodła od owego ryneczku do starego młyna wodnego na Baryczy. Podczas owego koczowania, niektórzy z nich gubili monety. Wiele z owych prastarych monet ciągle zawartych jest w glebie pól otaczających ową drogę (m.in. w glebie pola mojego ojca). Pamiętam że podczas orki mój ojciec relatywnie często znajdował na swoim polu bardzo stare monety. Monety te, w nieświadomości ich historycznej wartości, ja potem handlowałem z kolegami za jakieś rupiecie, lub przegrywałem z nimi w różne gry. Niezależnie od pola mojego ojca, takie stare monety znajdowałem też po przeciwnej stronie owej prastarej drogi, w miejscu gdzie dzisiaj znajduje się boisko sportowe Wszewilek, a które dawniej także było obszarem koczowania owych jarmarcznych handlarzy.

Wszewilki posiadały także dwa bardzo stare zabudowania, w okolicach których tradycyjnie należy spodziewać się ukrywania skrbów. Były to prastary młyn oraz równie stara karczma. W przypadku młyna folklor ludowy stwierdza, że jego właściciele byli ogromnie zamożni. Obawiając się jednak bandytów, posiadane oszczędności zakopywali w znanym sobie miejscu - zwykle niedaleko swego młyna. Założę się więc, że magnetyczne przeszukanie okolic owego młyna przyniosłoby interesujące rezultaty. Z kolei w przypadku karczmy folklor ludowy stwierdza, że co bardziej ostrożni podróżni zwykli raczej zakopywać przewożone kosztowności niedaleko od niej, niż ryzykować że po upiciu się stracą je dla jakiegoś miejscowego spryciaża. Dlatego w przypadku prastarej karczmy z Wszewilek, w jej bliskości również można się spodziewać interesujących wyników ewentualnych magnetycznych poszukiwań. Szczególnie że ciągle nieporuszona jest ziemia począwszy od placyku położonego za ową karczmą, na jakim kiedyś podróżni pozostawiali swoje wozy i konie, aż po całą północną drogę wlotową do Wszewilek, wiodącą z północy Polski, przez obecne Pomorsko, aż do zabudowań owej karczmy i dalej poprzez młyn wodny na Baryczy i most owego młyna, aż do bram Milicza.

Folklor mówiony Milicza stwierdzał, że w czasach "bursztynowego szlaku" gęste lasy otaczające to miasto czasami dawały siedliska dla różnych bandytów. Zanim miejscowe władze zdołały się nimi uporać, bandyci ci zwykle zdążyli już zrabować szereg karawan kupieckich i przejezdnych podróżnych. Z kolei zdobycz z owych rabunków najczęściej ukrywali oni poprzez zakopywanie w co bardziej znaczących miejscach. Zapewne więc spora część owych skarbów pozostaje zakopana do dzisiaj. Na większość z nich składają się prawdopodobnie wyroby z bursztynu, których nie daje się wykryć indukcyjnymi detektorami metalu. Jak też opisałem we wstępie do strony o mieście Miliczu, faktycznie też ktoś z rodziny jednego z moich kolegów klasowych odkrył kiedyś taki starożytny bursztynowy skarb. Jestem jednak gotów się założyć że w taki sam sposób w niezbyt dużej odległości od Milicza i Wszewilek ukrywane też były skarby składające się nie tylko z bursztynu, ale także z przedmiotów wykonanych z najróżniejszych metali.

Ponieważ Wszewilki położone są tak blisko Milicza, wszystkie skarby jakie opisałem w punkcie #C30 odrębnej strony o mieście Miliczu, faktycznie znajdują się również w pobliżu Wszewilek.

Część #E: Materiał dowodowy na dziwne przesładowania Wszewilek w przeszłości:

#E1. Spisek przeciwko Wszewilkom:

Aczkolwiek narazie może być to trudne do zrozumienia i zaakceptowania, wygląda na to, że istnieje rodzaj szatańskiego spisku przeciwko Wszewilkom. Spisek ten realizuje ta sama mroczna moc, która nieustannie sabotażuje niniejsze strony internetowe o Wszewilkach oraz stara się powstrzymać ludzi przed czytaniem owych stron poprzez wywijanie najróżniejszych "tricków". Owa mroczna moc najwyraźniej stara się zniszczyć wszelkie źródła informacji na temat ogromnie budującej moralnie historii i przeszłości Wszewilek. Niezwykłym jest przy tym, że owymi szatańskimi istotami przesładowującymi nikomu nic nie winną wieś Wszewilki, są te same istoty które w średniowieczu nazywane były "diabłami", zaś w dzisiejszych czasach nazywane są "UFO-nautami". Osobiście

zachodzę w głowę i nie mogę zrozumieć, dlaczego i w jaki sposób wieś Wszewilki podpadła UFOautom.

Jeśli przeanalizować historyczne losy Wszewilek, wówczas rzuca się w oczy bardzo wyraźny wzór jaki zdaje się prześladować ową wioskę. Generalnie rzecz biorąc, wzór ten polega na tym, że w wyniku najróżniejszych niby "losowych zdarzeń" systematycznie niszczone są wszystkie źródła informacji na temat budującej moralnie przeszłości Wszewilek. Z kolei, jak to opisałem w rozdziale VB z tomu 17 starszej monografii [1/4], taki właśnie wzór czyichś prześladowań jest charakterystyczny dla "podpadnięcia" UFOautom którzy dramatycznie górują nad ludźmi techniką i inteligencją. Przykładowo, moim zdaniem wcale nie jest przypadkiem, że mały rynekzek który kiedyś istniał w samym centrum historycznych Wszewilek, został kiedyś wymazany z mapy traktującą wszystko linią kolejową. Jeśli bowiem przeanalizuje się na mapie przebieg owej linii kolejowej, ktoś celowo tak go zdeformował, aby kolej przetaranowała się właśnie przez ten rynekzek dawnych Wszewilek i zburzyła pradawny katolicki kościółek wraz z innymi budynkami które tam stały. Gdyby też nie to celowe wymuszenie odchylenia prostego przebiegu linii kolejowej, linia ta faktycznie przeszłaby poza Wszewilkami, jakieś pół kilometra na wschód od owej wioski. To z kolei miałoby takie następstwo, że do dzisiaj przetrwałby historyczny rynekzek Wszewilek z pradawnym katolickim kościołkiem i innymi budynkami publicznymi tej wioski, zbudowanymi z bloków tej samej rudy darniowej z której kiedyś wzniesione były mury obronne i pierwsze kościoły Milicza. Ktoś jednak się uparł, aby z premedytacją poprowadzić kolej właśnie przez samo centrum tej wioski, w ten sposób niszcząc historyczne korzenie Wszewilek. Moim zdaniem wcale nie jest też przypadkiem, że obszar czakramu energetycznego przy starym młynie wodnym na Baryczy, w którym dzisiejsze Wszewilki kiedyś się narodziły, obecnie jest zalany wodą. Nie będę już rozpaczał o stanie miejsca dawnego kultu słowiańskiego (tj. o wszewilkowskim dawnym cmentarzu), będącym obecnie rodzajem "tabu" dla potomków tych samych Słowian którzy w miejscu tym kiedyś realizowali swoje pogańskie rytuały. Moim osobistym zdaniem, na przekór że w niszczeniu źródeł informacji na temat historii Wszewilek pozornie zdaje się brać udział wyłącznie szereg "zbiegów okoliczności", faktycznie istnieje wysoka regularność w owych niby zbiegach. Regularność ta sugeruje, że tak naprawdę to jakaś szatańska siła projektuje co i jak ma się przytrafić aby systematycznie wyniszczać ślady historii Wszewilek, a jedynie potem niszczenia tego dokonuje ona w taki sposób, aby wyglądało to na "przypadkowe zbiegi niekorzystnych okoliczności".

Niezwykłością wsi Wszewilki jest, że przez szereg dziwnych "zbiegów okoliczności" udało się dla nich zidentyfikować i opisać dowody, że UFOnauki nieustannie niszczą wiedzę na temat historii tej wioski. Co ciekawsze, ciągle nawet obecnie czytelnik jest w stanie osobiście zweryfikować te dowody, bowiem do dzisiaj pozostają po nich doskonale widoczne ślady. Czytelnik może więc na mapie odnotować złośliwie wypaczony przebieg linii kolejowej która stratowała miniaturowy rynekzek Wszewilek, może pojechać na miejsce i na własne oczy zobaczyć doły wykopane w miejscach gdzie kiedyś stał kościół, karczma, oraz inne budynki publiczne z rynekczka Wszewilek, może porozmawiać ze starszymi miejscowymi, którzy ciągle będą zapewne pamiętali pozostałości dawnego młyna wodnego przy Baryczy (tj. pozostałości obu rozgałęziających się od młyna starych kanałów Baryczy: wysokiego i niskiego, resztek koła wodnego i zastaw, wzgórze na którym kiedyś stał dom młynarza, oraz drzewek owocowych które kiedyś rosły wokół młyna), może sprawdzić przebiegi dawnych dróg przez tą wioskę zanim nowo-wytyczone drogi zniszczyły jej oryginalną zabudowę, itd., itp. (Faktycznie, to na stronie internetowej "Wszewilki-2006" opisany jest sposób (i okazja) na jaki można sobie dokładnie pooglądać na własne oczy owe poniszczone budynki publiczne Wszewilek oraz wymazaną z pamięci ludzkiej historię owej wioski.) Z kolei poprzez uświadomienie sobie szatańskiego procesu ukrywania przeszłości, który UFOnauki zrealizowali na Wszewilkach, czytelnik zacznie mieć rozeznanie jakiego rodzaju proces ukrywania historii ludzkości jest bez przerwy prowadzony na Ziemi przez tych zawziętych wrogów ludzkości. To z kolei pozwoli mu zrozumieć, jak niewiele ludzkość faktycznie wie na temat swojej prawdziwej historii, na temat pochodzenia i znaczenia np. piramid oraz innych prastarych budowli badanych i

opisywanych m.in. przez Ericha von Däniken, na temat dziwnych śladów które ciągle do dzisiaj pozostały po poprzedniej cywilizacji technicznej na Ziemi zniszczonej dokumentnie przez UFOonautów około 12.5 tysięcy lat temu, na temat Atlantydy, na temat faktycznego pochodzenia człowieka, itp., itd.

Istnieje cały szereg faktów jakie potwierdzają, że wieś Wszewilki podpadła jakoś UFOautom, oraz że owi UFOnauści swoimi przebiegłymi manipulacjami niszczą źródła informacji na temat przeszłości Wszewilek. Oto najważniejsze z owych faktów:

1. Nieustanne indukowanie we Wszewilkach zdarzeń jakie niszczą źródła informacji na temat pokojowej, wolnej, konstruktywnej i moralnej przeszłości tej wioski. Przykładami takich zdarzeń są: (a) opisywane już poprzednio takie zaprojektowanie przebiegu kolei żelaznej, aby kolej ta przetaranowała się przez historyczny ryneček z centrum dawnych Wszewilek, (b) zburzenie i dokumentne usunięcie (wraz z fundamentami i piwnicami) historycznego kościółka katolickiego oraz starej karczmy, które kiedyś stały na obrzeżach owego starego ryneczka Wszewilek, (c) wytyczenie po 1875 roku nowego przebiegu głównej drogi przez tą wieś, co wymusiło stopniowe wyniszczenie wszystkich starych zabudowań które kiedyś istniały wzdłuż starej drogi głównej, (d) zbudowanie stawu rybnego około 1990 roku, który zalał miejsca w jakich Wszewilki oryginalnie się narodziły oraz zalał pozostałości po prastarym i historycznie pierwszym młynie wodnym na Baryczy przy Wszewilkach, (e) zdewastowanie starego cmentarza po-słowiańskiego we Wszewilkach.

Jak złośliwie została zaprojektowana linia kolejowa taranująca miniaturowy ryneček Wszewilek, zobaczyć to można na mapie dostępnej poprzez stronę internetową www.milicz.pl/turystyka/mapa/ (po kliknięciu na link wywołujący tą stronę należy wybrać tam miejscowość Wszewilki z okienka "Mapa" - a dopiero wówczas pokaże się mapa okolic Wszewilek). Na mapie tej widoczny jest złośliwie zagięty przebieg linii kolejowej, która w 1875 roku została poprowadzona celowo w taki sposób aby staranowała ona miniaturowy ryneček Wszewilek. Potrzeba było sporo szatańskiej złośliwości aby zupełnie bez powodów zniszczyć całe historyczne centrum tej wsi. W jakieś 120 lat później, czyli około roku 1990, przy Wszewilkach uformowano ogromne stawy które zniszczyły ostatni obiekt z przeszłości Wszewilek, czyli pozostałości ponad 1000-letniego młyna wodnego na Baryczy. (A przecież na fundamentach tego młyna wyrosła właśnie historyczna wieś Wszewilki.) W ten sposób dokumentnie wydeletowana została cała wiedza na temat wysoce moralnej przeszłości Wszewilek, która wyjaśniała niezwykłość karmy zgromadzonej przez tą unikalną miejscowość.

2. Wybiorcze spowodowanie raptownych śmierci praktycznie wszystkich autochtonów którzy po wojnie pozostali we Wszewilkach i którzy mogli przekazać innym wiedzę na temat historii tej wioski. Owi "autochtoni" to Polacy, którzy mieszkali w Niemczech aż do zakończenia drugiej wojny, oraz którzy nie uciekli w głąb Niemiec przed nacierającą armią radziecką pod koniec wojny. Pierwsza z tych autochtonów, kobieta mieszkająca mniej-więcej w środku długości Wszewilek, została zastrzelona przez Rosjan już w dniu "bitwy o Milicz" podczas wyzwania tego miasta. Kolejnych czterech z nich zostało zamordowanych w swoich domach zaś ich zwłoki zostały spalone razem z ich domami w czasach chaosu i bezprawia które zapanowały zaraz po wyzwoleniu. Ostatni, szósty z wszewilkowskich autochtonów, niejaki Waloha (którego ja pamiętam do dzisiaj), w jakiś czas po wyzwoleniu niespodziewanie "skręcił sobie kark" jadąc na rowerze po głównej i już wówczas wyasfaltowanej (a stąd równiutkiej jak stół) szosie przebiegającej koło Stawca. Wypadki drogowe się zdarzają i zapewne nie byłoby i w tym wypadku nic podejrzanego, gdyby nie miejsce w jakim się on przytrafił. Oglądałem kiedyś to miejsce i zaskoczyło mnie że biedny Waloha jakoby "skręcił sobie kark" zjeżdżając z pobocza szosy które wznosiło się jedynie na około jeden metr ponad poziom otaczającego pola. Ja zaś pamiętam jak przekoziółkowałem się wraz z rowerem z nasypu kolejowego przy moście na Baryczy (niemal 10 metrów wysokości) i jedynie troche się podrapałem.

3. Zniszczenie archiwów Wszewilek. Wszystkie archiwa pisane na temat Wszewilek uległy zniszczeniu w trakcie wyzwania. Ciekawe jednak, że oprócz owych archiwów praktycznie niemal nic innego nie zostało zniszczone.

4. Psychoza dewastowania wszystkiego co ma wartość historyczną. W swoich zamorskich wędrówkach nie spotkałem dotąd żadnego innego miejsca na świecie, w którym niszczenie wszystkiego co ma wartość historyczną dokonywane byłoby z równym entuzjazmem jak to czynione jest na Wszewilkach i w Miliczu. Faktycznie to inne miejscowości na świecie otaczają swoje zabytki i antyki ogromną pieczołowitością. Przykładowo w Nowej Zelandii nawet bardzo małe miejscowości (poniżej 1000 mieszkańców, czyli o wielkości dzisiejszych Wszewilek) też posiadają swoje własne muzea, czasami wyposażone równie bogato w eksponaty, jak muzea w Warszawie czy Wrocławiu. Każdy też budynek o wieku powyżej 100 lat staje się tam historycznym zabytkiem i chroniony jest prawem. (Oczywiście Wszewilki nie tylko że nie posiadają własnego muzeum, ale wręcz uważałyby pomysł jego posiadania za niemal wariacki. Każdy też co starszy budynek jest w nich systematycznie niszczone. Z kolei Milicz, na przekór swoich około 30 000 mieszkańców, jak dotąd zdołał się zdobyć jedynie na ubogą "Izbę Regionalną" która praktycznie nie posiada niemal żadnych historycznych eksponatów, poza szeregiem papierowych plansz.) Jedynie na niniejszej stronie internetowej, oraz na stronie internetowej o Miliczu, opisane jest jak we Wszewilkach i Miliczu już po drugiej wojnie światowej zdewastowane zostały celowo, lub nic nie uczyniono aby powstrzymać ich zniszczenie, następujące zabytki o ogromnej wartości historycznej: (1) stary prasłowiański dąb we Wszewilkach - zasługujący wiekiem i znaczeniem aby stał się pomnikiem przyrody, (2) stary cmentarz po-Słowiański z Wszewilek, (3) resztki historycznie ogromnie zabytkowego młyna wodnego liczącego około 1000 lat, a znajdującego się w pobliżu obecnej tamy na Baryczy, (4) klepiska ze starych lepianek istniejących kiedyś wzdłuż drogi do młyna wodnego na Baryczy, (5) prastare zabudowania gospodarcze istniejące na Wszewilkach w miejscowym stylu który najprawdopodobniej dostarczył inspiracji do światowego stylu architektonicznego nazywanego obecnie "tudor" (po polsku "mur pruski"), (6) zabytkowe wiatraki w Stawcu i Duchowie (istniejące do około 1960 roku), (7) bramę wjazdową do pałacu margrabiego, która to brama zawierała w sobie budulec z resztek milickich murów obronnych, (8) "anielski kamień" spod kościoła Św. Anny, który posiadał ogromną wartość zabytkową i folklorystyczną, (9) co najmniej średniowieczne (jeśli nie starsze) groby wymurowane z rudy darniowej odkryte przypadkowo przy kościele Św. Andrzeja Boboli w Miliczu, (10) grobowiec margrabiego koło pałacu w Miliczu, (11) stare grobowce przy kościele w Trzebicku, (12) podziemne tunele pod Miliczem, (13) stare wodociągi milickie wraz z ich historycznymi silnikami gazowymi i pompami, (14) bogato zaopatrzone w eksponaty niewielkie muzeum w szkole podstawowej nr 1 w Miliczu, oraz kilka innych. A wykaz ten zawiera jedynie te zabytki i antyki o jakich jest mi wiadomym aż w dalekiej Nowej Zelandii. Ile zaś dalszych zabytków i antyków zostało zniszczonych we Wszewilkach i Miliczu w taki sposób że ja o tym się nie dowiedziałem. Moim osobistym zdaniem, taka psychoza niszczenia nie jest zachowaniem normalnym, a musiała zostać na mieszkańców Milicza i Wszewilek narzucona metodami sugestii po-hipnotycznych i telepatycznych. Wszakże każdy mieszkaniec Milicza i Wszewilek jest systematycznie uprowadzany do UFO - co można łatwo sprawdzić, ponieważ każdy z nich posiada na nodze ową szczególną bliznę powstająca po wprowadzeniu do kości pieszczelowej ich nogi implantu identyfikacyjnego opisanego w podrozdziale U3.1 z tomu 16 mojej najnowszej monografii [1/5]. (fotografia owej unikalnej blizny pokazana jest na pierwszym zdjęciu ze strony internetowej ufo_pl.htm). Jest więc niemal pewnym, że podczas owych uprowadzeń UFOnci programują hipnotycznie mieszkańców Milicza i Wszewilek w rodzaj jakiegoś silnego obrzydzenia i awersji do wszystkiego co stare i historyczne. (Owo zaprogramowanie można zresztą sprawdzić i potwierdzić poprzez przebadanie reakcji mieszkańców Milicza i Wszewilek na widok antyków i starych budynków.)

6. "Królewicz i żebrak" - czyli szokująca nierówność w potraktowaniu dwóch części historycznie tej samej wioski. Jeszcze jednym faktem dowodzącym nieustającego do dzisiaj skrytego prześladowania Wszewilek-Stawczyka, jest ogromna nierówność i niesprawiedliwość z jakimi traktowane są do dzisiaj dwie części kiedyś stanowiące jedną i tą samą wioskę. Części te to obecne Wszewilki, oraz obecne Wszewilki-Stawczyk. Kiedyś były one jedną wioskę. Dopiero zbudowanie linii kolejowej i zniszczenie historycznego

ryniecza Wszewilek rozdzieliło je na dwie wioski. Nierówność tego potraktowania sama rzuca się w oczy jeśli ktoś przejdzie się po owych wioskach. Idąc przez Wszewilki, czyli przez bliższą do Milicza z tych dwóch wiosek, w oczy się rzuca doskonała droga bita, obecność chodnika, wodociągów, kanalizacji, uporządkowanych poboczy drogi, wyraźnych oznakowań, itd., itp. Znaczący Wszewilki do dzisiaj traktowane są jak "królewicz". Idąc jednak nieco dalej, wchodzi się do Wszewilek-Stawczyka, które są właśnie ową historycznie prześladowaną częścią, czyli tą w jakiej narodził się totalizm. Tutaj nagle wszystko drastycznie się zmienia. Chodnik zanika, trzy główne drogi przy których mieszczą się zabudowania Wszewilek-Stawczyka ciągle pozostają piaszczyste i bez chodnika, wszędzie pełno dołów pozarastanych krzakami, nie widać wodociągów, oznaczenia stają się nieczytelne i zaniedbane, itd., itp. Jednym słowem ta część historycznej wioski potraktowana jest jak "żebrak". A jedynym jej "przestępstwem" jest, że niechcąc podpadła ona w czymś wszechmocnym UFOnaucy okupującym Ziemię!

7. Blokada wyborcza kandydata który wnosił potencjał poprawy aktualnej sytuacji Wszewilek. W niedzielę dnia 12 listopada 2006 roku odbyły się w Polsce wybory samorządowe. Okazało się wówczas, że jedynym miejscem w całej Polsce, gdzie "zupełnie przypadkowo" lokalne diabły zamieszają swymi ogonami, był Milicz. A Wszewilki administracyjnie podlegają właśnie pod gminę w Miliczu. Przykładowo, w dniu wyborów karty do głosowania okazały się błędnie zadrukowane. Co nawet wymowniejsze, okazało się też że kandydat pominięty na owych kartach nosi właśnie to samo nazwisko na brzmienie którego UFOnauci odgryzają sobie ogony z wściekłości. Z uwagi na tradycje które ów kandydat reprezentował, z całą pewnością - gdyby tylko został wybrany, dotychczasowy ciąg prześladowań i złego traktowania Wszewilek zostałby przez niego przerwany. Owe szatańskie moce które jak widać do dzisiaj prześladowają Wszewilki, upewniły się więc aby kandydat ten nie otrzymał szansy zostania wybranym.

* * *

Jak dotychczas nie spotkałem nigdzie na świecie żadnej innej wioski której historię ktoś by niszczył i prześladował równie długo oraz z równą zaciekłością, uporem i zmyślnością, jak UFOnauci prześladowają źródła informacji o przeszłości Wszewilek-Stawczyka, a także rozwój i postęp tej wioski. Ponieważ ci kosmiczni oprawcy nie dokonywaliby nieustannie przez ponad 120 lat aktów zniszczenia na wiosce, która nie miałaby odegrać jakiegokolwiek ogromnie istotnej historycznej roli, jest oczywistym że Wszewilki w jakiś sposób wejdą za skórę UFOnaucy. To zaś natychmiast indukuje zapytanie, co aż tak ważnego ma stać się we Wszewilkach, że UFOnauci tak panicznie tego się boją i że tak usilnie starają się pozbyć tego historycznych i moralnych fundamentów. Od czasu rozpoczęcia owego "spisku UFOnaucy przeciwko Wszewilkom" około 1875 roku, praktycznie nic historycznie istotnego w wiosce tej się nie zdarzyło. Najwyraźniej więc wszystko ma się przydarzyć dopiero w przyszłości. Co więc to ma być? Ja osobiście wierzę, że jakoś to będzie związane z moralną i pokojową karmą Wszewilek. Wszewilki są jedną z niewielu wiosek która była wolna praktycznie przez wszystkie wieki, która karmiła, budowała i broniła, która inspirowała innych, oraz która stanowiła ostoję dobra i moralności. Jest więc niemal pewnym, że to właśnie owa moralna, budująca i inspirująca karma owej wioski wygeneruje coś zupełnie nowego, na czym ludzie kiedyś będą koncentrowali swoje myśli i uczucia. Czy już obecnie istnieją jakieś zapowiedzi co takiego ma to być? Okazuje się że tak. Wszakże to Wszewilki są miejscem narodzin rewolucyjnej filozofii która obecnie zdobywa świat szturmem. Filozofia ta nazywana jest totalizm moralny. Czyżby więc UFOnauci spiskowali przeciwko Wszewilkom tylko dlatego, że nie chcieli aby przyszłe generacje ludzi się dowiedziały jaka dokładnie karma z jakiej dokładnie wioski na Ziemi spowodowała narodzenie się tej moralnej i budującej filozofii?

Fot. #E1 (K3 w [10]): Wszewilki pod Miliczem - zdjęcie z lipca 2004 roku. Wieś ta ujęta jest tutaj ku wschodowi, wzdłuż swojej "nowej" drogi, od miejscowej szkoły w kierunku na Stawczyk. Ten najwyższy budynek widoczny jakby na wylocie pokazanej tu drogi, to był młyn elektryczny Wszewilek. Z kilkoma krótkimi przerwami był on używany do około 1980

roku. Potem został zdewastowany. Obecnie zapewne niewiele już pozostało z jego oryginalnego wyposażenia. Stąd, podobnie jak ze starych wodociągów kiedyś zlokalizowanych na przeciwstawnym pograniczu Wszewilek, zapewne również i z tego młyna nie da się już nic uratować dla ewentualnego milickiego muzeum techniki. Młyn ten w przeszłości stał się powodem upadku i popadnięcia w ruinę starego młyna wodnego Wszewilek operującego kiedyś niedaleko obecnej tamy na Baryczy. Zaoferowanie bowiem tego nowego młyna elektrycznego w tym właśnie miejscu przy początku 20 wieku, powodowało że wszyscy posiadacze ziarna, którzy musieli przejeżdżać obok niego aby dostać się do starego młyna wodnego na Wszewilkach, nie mogli się zmusić aby dalej podążać piaszczystą drogą wiodącą do starego młyna. Mielili więc swoje ziarno w owym nowym młynie. To z kolei spowodowało ekonomiczny upadek starego młyna wodnego. Można więc powiedzieć, że ów młyn elektryczny był także jedną z części większego "spisku UFOonautów przeciwko Wszewilkom", nastawionego na zniszczenie przeszłości i historii tej wioski. Kiedyś zrujnował on ekonomicznie tysiącletni młyn wodny na Baryczy. Niedawno zaś sam został zrujnowany!

Szosa utrwalona na powyższym zdjęciu została wytyczona od nowa około 1875 roku. Kogoś docieklivego może ona wysoce zastanowić. Wszakże w czasach kiedy była ona wytyczana poprowadzono ją przez pola zupełnie wolne od zabudowań. Mogła więc być wytyczona prosto jak strzała. Tymczasem posiada ona wyraźne zakręty. Okazuje się, że owe zakręty zostały zaprojektowane celowo. Ktoś wyraźnie chciał aby omijała ona były miniaturowy rynek historycznych Wszewilek, tak że rynek ów mógł zostać dokumentnie zniszczony (wykopany wraz z fundamentami) razem z historycznymi budynkami które przy nim stały. Gdyby zaś wytyczono ją prosto jak strzała, owo zniszczenie ryneczka stałoby się niemożliwe bo zniszczona wówczas by także być musiała i owa nowo-wytyczona droga. Pozawijany przebieg pokazanej tutaj "nowej" drogi przez Wszewilki jest więc dowodem, że ktoś celowo zadbał aby chwalebna i moralna przeszłość wolnej wsi Wszewilki nie przetrwała do dzisiejszych czasów.

Warto tutaj dodać, że wraz z owym historycznym rynekciem Wszewilek, zniszczeniu uległy również dwa wysoce zabytkowe i historycznie istotne budynki Wszewilek. Były to:

Pradawny budynek karczmy. Karczma ta stała kiedyś przy skrzyżowaniu drogi z Pomorska do starego młyna wodnego na Baryczy, z oryginalną drogą przez Wszewilki. Stała więc ona jedynie kilka metrów na zachód od miejsca w którym dzisiaj stoi wszewilkowski basen przeciwpożarowy. Faktycznie to ów basen przeciwpożarowy wybudowany został w dokładnie tym samym miejscu gdzie kiedyś stał dom właściciela owej wszewilkowskiej karczmy. Pamiętam, że jako dziecko bawiłem się w piwnicach owego spalonego domu - które to piwnice stanowiły zaczątek dołu w jakim potem postawiono obecny basen przeciwpożarowy. Pamiętam też, że z ruinami owego domu wymieszane wówczas były kości ludzkie. (Niewielki fragment owej oryginalnej drogi przez Wszewilki ciągle istnieje do dzisiaj we Wszewilkach-Stawczyku. Poprzez więc jej przedłużenie na drugą stronę torów kolejowych daje się poznać gdzie dokładnie ona kiedyś przebiegała.)

Prastary kościółek Wszewilek. Kościółek ten także stał kiedyś przy owym rynekciu, jedynie kilkadziesiąt metrów na południowy-wschód od budynku karczmy (tj. na przeciwstawnym narożniku tego samego skrzyżowania obu głównych dróg). Stał on więc jedynie kilka metrów na zachód od obecnych torów kolejowych, w miejscu jakie dzisiaj straszy ogromnym dołem po ziemi użytej do budowy nasypu kolejowego. Jak on wyglądał ilustruje to "Fot #F1" na totaliztycznej stronie [wszewilki_jutra.htm](#). Prawdą jest wprawdzie, że w chwili jego rozebrania kościółek ten wcale nie był już wówczas używany i że popadał w ruinę ze starości. Wszakże był on kościołkiem katolickim, podczas gdy w owych czasach spora część mieszkańców Wszewilek stała się już protestancka i uczęszczała do kościoła w Miliczu który obecnie znany jest jako kościół Św. Andrzeja Boboli. Z kolei katolicy którzy ciągle zamieszkiwali wówczas na Wszewilkach, korzystali wtedy już z "małego" kościołka w Miliczu. Jednak nawet niszcząc kościółek który nie był już używany, zniszczeniu i zaprzepaszczeniu uległa wtedy niemal cała przeszłość i historia Wszewilek. Wszakże spora część tej historii utrwalona była na piśmie w archiwach owego kościołka. Archiwa te

wprawdzie przeniesiono wówczas gdzie indziej (zapewne do "małego" kościółka w Miliczu, lub do kościółka Św. Anny w Karłowie) jednak albo w końcowym etapie wojny, albo też zaraz po wojnie, zniknęły one również i stamtąd.

Ciekawostką prastarego kościółka Wszewilek było, że został on wymurowany z bloków tej samej rudy darniowej z której kiedyś wymurowane były mury obronne Milicza oraz pierwsze kościoły owego miasta. Podobnie też jak każdy murowany kościółek z owego okresu, z całą pewnością posiadał on pod sobą spore piwnice. To tłumaczy, dlaczego w miejscu gdzie on kiedyś stał wyrobisko ziemi jest aż tak głębokie (tj. najgłębsze z wszystkich jam pozostawionych w miejscu byłego ryneczka Wszewilek). Chodziło bowiem o to, że ci co usunęli ów kościółek usuwali spod niego ziemię aż całkowicie wybrali również owe stare piwnice które pod kościółkiem tym oryginalnie istniały. Oczywiście, przy okazji usuwania kościółka, usunięte też zostały resztki owych ludzi którzy wkrótce po wybudowaniu kościółka zaczęli być chowani wokół niego. Nic dziwnego, że odcinek torów kolejowych pomiędzy Wszewilkami i Baryczą, na budowę nasypu którego zużyto właśnie ziemię wybraną spod byłego kościółka we Wszewilkach (wraz z resztkami pochowanych w tej ziemi ludzi), zawsze wykazywał jakąś tajemniczą zdolność do przyciągania samobójców i powodowania śmiertelnych wypadków. Tylko w czasach kiedy ja mieszkałem na Wszewilkach, na owym odcinku torów biegnących po nasypie uformowanym z ziemi wybranej spod kościółka Wszewilek z najróżniejszych przyczyn zginął aż cały szereg ludzi.

Stara droga przez Wszewilki również przebiegała kiedyś przez miejsce z jakiego wykonano powyższe zdjęcie. Tyle tylko, że właśnie w owym miejscu skręcała ona kiedyś w prawo, lekkim łukiem odchodząc ku południu od dzisiejszej nowej drogi. Potem zaś biegła równoległe do dzisiejszej "nowej" drogi, w odległości jakichś 100 metrów na południe od niej. Oryginalne zabudowania gospodarskie rolników wsi Wszewilki zbudowane były wzdłuż owej starej drogi. Kiedy jednak wytyczono pokazaną tu nową drogę, owe stare zabudowania musiały być opuszczone i z czasem niszczały. Z nimi niszczała zaś historia Wszewilek. Zaraz po drugiej wojnie światowej ciągle istniało kilka starych budynków gospodarczych jakie kiedyś stały przy owej starej drodze (ja pamiętam ze cztery z nich). Wyglądały one wówczas bardzo dziwnie, bo stały opuszczone w środku pól uprawnych i były bardzo stare. Budynki te zostały jednak stopniowo rozebrane gdzieś do końca lat 1960-tych. Najdłużej z nich ostała się stodoła i dom jakie od około 1955 roku należały do przez rodziny Wojciechowskich (zaraz zaś po wojnie - do rodziny Frąckowiaków). Powodem było, że oryginalnie stojąc przy starej drodze Wszewilek, stodoła ta, oraz dom mieszkalny do jakiej ona przynależała, stały także przy drodze do młyna na Baryczy. Po wytyczeniu więc nowej drogi, dostęp do owej stodoły i do domu jej właścicieli ciągle był łatwy jak dawniej. Jego właściciele nie zmuszeni więc byli do budowy nowego domu i nowej stodoły przy nowej drodze. Budynki te zapewne wielu starszych mieszkańców Wszewilek ciągle pamięta, bowiem owa stodoła była bardzo stara, zbudowana z gliny w "oryginalnym stylu architektonicznym Wszewilek" - czyli jako rodzaj glinianej lepianki ze strzechą z sitowia. (Stodoła ta sąsiadowała z elektrycznym młynem Wszewilek, omawianym powyżej.) Na dachu owej stodoły od niepamiętnych czasów gnieździły się bociany. Jednak nawet i ona została rozebrana gdzieś w latach 1980-tych. Wraz z nią zniknął też ostatni przykład historycznej architektury i zabudowy Wszewilek.

Ciekawe czy mieszkańcy Milicza i okolic kiedyś zrozumieją, że takie stare budynki i ich wyposażenie są bezcenne, bowiem reprezentują one ludzką historię. Niemal całkowicie też poznikały one z powierzchni naszej planety. Kiedy zaś raz one znikną, nigdy nie będzie już można pokazać jak naprawdę one wyglądały oraz co znajdowało się na ich wyposażeniu. (Wszakże historyczna rekonstrukcja nigdy nie jest w stanie pokazać jak naprawdę wyglądał oryginalny obiekt.) Chociaż więc trudno w nich dzisiaj mieszkać i muszą one zrobić miejsce na nowe, zamiast być niszczone, powinny one być ostrożnie rozbierane i przenoszone do muzeów etnicznych. Tam zaś ich oglądanie byłoby wysoce pouczające. Faktycznie też wiele krajów na świecie podejmuje obecnie wysiłki aby uratować i zachować to co w nich ciągle się ostało z dawnych czasów. Przykładowo, koło miasta Kuching na wyspie Borneo, istnieje cała wioska muzealna zbudowana z takich historycznych budynków i ich wyposażenia. Żaden z nich nie jest też tam młodszy niż jakieś 100 lat. Turyści zaś z

całego świata czasami oczekują aż po kilka dni aby móc sobie wioskę tą zwiedzić. Ja byłem jednym z owych turystów i po oglądnięciu owej wioski odszedłem oczarowany i wstrząśnięty. Jeśli kiedyś wybiorę się jeszcze raz na Borneo, z całą pewnością odwiedzę tą wioskę ponownie, nawet jeśli przyjdzie mi czekać kilka dni na wolny bilet.

Koło Wszewilek stoi prastare grodzisko z którego wyrósł dzisiejszy Milicz. Faktycznie to aż się prosi aby odbudowano fortyfikacje i przykłady zabudowy tego grodziska, oraz aby w nim zorganizowano taką właśnie wioskę muzealną.

* * *

W czasach kiedy Wszewilki posiadały własny ryneček i karczmę, ów ich centralny plac stanowił miejsce bardzo słynnych targowisk. Odbływały się tam cotygodniowe targowiska produktów rolnych, a także okresowe targowiska zboża i bydła, oraz sezonowe targowiska koni. Targowisko koni we Wszewilkach było tak słynne, że handlarze końmi ścigali do niego z sąsiednich krajów o z aż tak daleka jak Pomorze i Czechy. Po celowym zniszczeniu ryneczku we Wszewilkach, targowiska te przeniesiono na łąkę przy brzegu Baryczy pod Miliczem - w miejsce przy obecnej rzeźni milickiej. Tam też przetrwały aż do końcowych lat 1980-tych. Faktycznie więc ów "spisek przeciwko Wszewilkom" pozbawił tą wioskę nie tylko jej przeszłości i historii, ale również odebrał jej kluczowe znaczenie w handlu produktami rolnymi, oraz zrabował jej tradycyjną rolę głównego zaopatrzeniowca Milicza w żywność.

* * *

Oczywiście, czytając w niniejszym punkcie, że to UFOnauci uknuli i zrealizowali z żelazną konsekwencją spisek nastawiony na odebranie Wszewilkom ich przeszłości, czytelnik zapewne się zastanawia, jakie dowody wskazują że to byli UFOnauci, a nie np. nastawieni wrogo do Wszewilek ludzie. Jak też się okazuje istnieje całe zatrzęsienie dowodów, że to NIE mogli być ludzie, a musieli być UFOnauci. Oto niektóre z owych dowodów:

(i) Nieustanne prześladowanie Wszewilek trwa zbyt długo - rozciąga się bowiem przez ponad 120 lat. Nie jest więc możliwym aby było realizowane przez ludzi. Wszakże nikt z ludzi nie byłby w stanie prześladować jednej wsi przez ponad 120 lat. Najstarsze dowody owego prześladowania które przetrwały do dzisiaj datowane są około 1875 roku, kiedy to zbudowana została taranująca ryneček tej wsi linia kolejowa. Zapewne jednak istniały nawet wcześniejsze prześladowania, na temat których nie przetrwały do dzisiaj już żadne dowody. Prześladowania te ciągle kontynuowane były zaciekle po roku 1900-tnym, kiedy nowy młyn elektryczny spowodował upadek historycznego młyna wodnego na Baryczy, oraz po roku 1945 kiedy wyborczo wymordowani zostali na Wszewilkach wszyscy autochtoni którzy wiedzieli cokolwiek na temat przeszłości owej wioski. Ciągłe były też prowadzone jeszcze około roku 1990, kiedy to rozebrana została ostania stodoła ilustrująca oryginalny styl architektoniczny Wszewilek, oraz kiedy budowa nowych stawów rybnych przy Wszewilkach zniszczyła pozostałości prastrego młyna wodnego na Baryczy a z nim ostatnie ślady chwalebnej przeszłości owej wioski.

(ii) Wszystkie akty prześladowań Wszewilek celowo zorganizowane zostały w taki sposób aby wyglądały one jak przypadki, niekorzystne zbiegi okoliczności, czy naturalny bieg wydarzeń. Tymczasem jeśli prześledzi się szatańskie metody działania UFOonautów na Ziemi, co uczyniono np. na stronach internetowych o obsuwiskach ziemi, 26tym dniu, WTC, huraganach, czy ludobójstwie, wówczas się okazuje że to właśnie UFOnauci działają wyłącznie metodami które są tak trudne do wykrycia przez ludzi, że zwykle uważane są właśnie za przypadki, zbiegi okoliczności, wydarzenia losowe, itp. - czyli za wszystko inne tylko nie za celowe niszczenie przez UFOonautów.

(iii) Wszystkie niszczycielskie zdarzenia dotyczące Wszewilki przytrafiały się w tak dziwny sposób, że zawsze niszczyły one naszą wiedzę na temat przeszłości owej wioski. Gdyby zaś zdarzenia te naprawdę wywoływane były przez przypadki, a nie były jedynie tak zmyślnie zaprojektowane przez UFOonautów, ich niszczenie musiałyby być również przypadkowe. Wówczas za każdym razem niszczyłyby przypadkowo coś zupełnie innego. Tymczasem w przypadku Wszewilek zawsze niszczone była wiedza o przeszłości. To zaś oznacza, że ukrywa się za nimi ktoś szatańsko przebiegły, czyli diaboliczni

UFOnauci, którzy używają je jako skutecznego sposobu dopięcia swojego celu.

(iv) Wymazywanie śladów historii Wszewilek jest konsystentne z identycznym wymazywaniem naszej wiedzy na temat historii ludzkości oraz historii wszelkich innych istotnych miejsc na Ziemi. Przykładowo, porównaj wiedzę jaką obecnie posiadamy na temat przeszłości Wszewilek, z wiedzą jaką posiadamy np. na temat pochodzenia człowieka, albo faktycznej historii ludzkości (faktyczna historia ludzkości opisana jest w podrozdziale V3 z tomu 16 starszej monografii [1/4]), albo np. z wiedzą na temat piramid egipskich i amerykańskich, Machu Picchu, Citadel of Sigiriya, gigantycznych posągów z Wyspy Wielkanocnej, itd., itp.

(v) Po zakończeniu drugiej wojny światowej, wszyscy ludzie sprawujący jakąkolwiek władzę nad Wszewilkami zostali wymienieni na innych, jednak wcale to nie zakończyło prześladowań owej wioski. Wszakże aż do końca tej wojny Wszewilki znajdowały się we władaniu Niemiec. Zaś po wojnie przeszły one pod polską administrację. Jak zaś ja wielokrotnie przekonałem się o tym na własnej skórze, tylko UFOnauci rozciągają nad Ziemią tajemną sieć zniewalania, która jest w stanie dręczyć i prześladować w dokładnie taki sam sposób, niezależnie od tego w jakim kraju i pod którym reżymem ktoś się znajduje. Najlepszym dowodem na owe powojenne prześladowania, jest opisana wcześniej sytuacja Wszewilek modelująca losy "królewicza i żebraka".

Dzięki niezwykle korzystnym "zbiegom okoliczności", fakt systematycznego niszczenia wiedzy o historii Wszewilek udało się wykryć i opisać na niniejszej stronie. Stało się tak tylko ponieważ od własnej matki, urodzonej i wychowanej niedaleko od Wszewilek, miałem okazję poznać sporo nieznych innym ludziom faktów na temat przeszłości owej wioski i pobliskiego Milicza. Z kolei dzięki własnym badaniom UFO poznałem szatańskie metody prześladowania ludzkości przez UFOonautów. W ilu jednak innych przypadkach na Ziemi, podobne niszczenie wiedzy o przeszłości też miało miejsce, jednak nikt na nim się nie poznał. Nic dziwnego, że istnieją na Ziemi stare osiedla i budowle, których długowieczność jest dla wszystkich widoczna, jednak na temat przeszłości których praktycznie nic konkretnego nam już nie jest wiadomo. Cały szereg z nich opisany został pod koniec strony o ludobójstwie. W obliczu istnienia takich miejsc, nasuwa się oczywiste pytanie. Co aż tak groźnego dla UFOonautów istnieje w przeszłości Ziemi, że UFOnauci uwalniają cały ten arsenał swoich szatańskich metod aby to ukryć przed ludźmi? Czy jest to fakt, że UFOnauci od zarania dziejów okupują i eksploatują ludzkość, czy też fakt że około 12.5 tysięcy lat temu UFOnauci całkowicie zniszczyli na Ziemi poprzednią ludzką cywilizację która była nawet bardziej zaawansowana niż obecnie jest nasza dzisiejsza cywilizacja ludzka.

#E2. Bitwa o Milicz oraz tajemnicze wyniszczanie miejscowych autochtonów:

Skryte prześladowania jakim poddawana była przeszłość wsi Wszewilki dosyć wyraźnie stają się widoczne w świetle tzw. bitwy o Milicz. Mianowicie, kiedy w dniu 22 stycznia 1945 roku Rosjanie wyzwali Milicz, w Milickim ratuszu cichcem ukryte zostały aż dwie kompanie uzbrojonej niemieckiej młodzieży. Młodzież ta otrzymała rozkaz, że po przejściu frontu ma "rozprawić się" (czytaj "wystrzelać") wszystkich mieszkańców którzy zignorowali rozkazy władz i NIE uciekli w głąb Niemiec przed nacierającą armią radziecką. Na szczęście, Rosjanie w porę dowiedzieli się o istnieniu i rozkazach owych ponad 300 uzbrojonych Niemców i uniemożliwili im wykonanie tego zadania - o czym pisze punkt #C1 strony internetowej bitwa_o_milicz.htm - na temat bitwy o Milicz.

Na przekór jednak że owym dwóm kompaniom Niemców pomieszane zostały szyki w ich zamiarach wystrzelania wszystkich oryginalnych mieszkańców Milicza i okolic którzy znali przeszłość tych miejscowości, ciągle niemal wszyscy przeżyli "autochtoni" zostali później tajemniczo powysyłani na tamten świat - co wyjaśniam dokładniej zarówno w punkcie #E1 powyżej tej strony, jak i w kilku innych jej miejscach. Jak więc widać cele owej tajemniczej "mrocznej mocy" która NIE chciała pozwolić aby przeszłość Wszewilek wyszła jakoś na światło dzienne, mimo wszystko zostały niemal osiągnięte.

Część #F: Zagadki natury istniejące we wsi Wszewilki:

#F1. Tajemnice wszewilkowskiej rudy darniowej:

Skąd się wzięła "ruda darniowa" we Wszewilkach? To niby proste pytanie okazuje się ogromnie trudne do odpowiedzenia. Jeśli zapyta się o to np. geologów, wówczas ukrywają swoją niemożność dostarczenia wyjaśnienia pod trudnymi do sprawdzenia teoriami w rodzaju że istnieje bakteria która pozyskuje żelazo z wody, że żelazo to opada na dno stojącej wody i się koaguluje, itp. Faktycznie jednak żadne z istniejących obecnie naukowych wyjaśnień dla pochodzenia dużych regularnych brył rudy darniowej znajdujących w okolicach Wszewilek czyni sens logiczny ani daje się potwierdzić eksperymentalnie. Absolutnie też żadne z nich nie wyjaśnia dlaczego ruda ta posiada takie własności jakie faktycznie ma. Przykładowo rozważ taką sprawę jak dlaczego owa ruda jest zbita w aż tak trwale bryły, że mogą one być używane w budownictwie? Dlaczego ma ona porowatą konsystencję? Dlaczego jej skład i konsystencja są aż tak jednorodne? Spójrzmy więc prawdzie w oczy. Wyjaśnienia dla pochodzenia rudy darniowej dostarczane przez dzisiejsze podręczniki akademickie to jedynie zasłona dymna maskująca obecny brak szczegółowej wiedzy na jej temat. Faktyczna zaś odpowiedź na pytanie "skąd ta ruda wzięła się we Wszewilkach" czy "skąd się wzięła w jakimkolwiek innym miejscu" ciągle brzmi "tak naprawdę to dzisiejsza nauka nie ma najmniejszego pojęcia"!

Niestety, prawda jest więc taka, że obecnie zupełnie brak nam trzymającej się kupy teorii naukowej, która wyjaśniła by w sposób wyczerpujący i poprawny przynajmniej następujące fakty:

1. Pochodzenie. Jak ruda darniowa powstała lub się znalazła w okolicach Wszewilek? Wszakże zaledwie około 12.5 tysiąca lat temu cały ten obszar pokryty był ruchomym lodowcem. Stąd owa ruda musiała zostać tam zdeponowana albo w momencie wycofywania się owego lodowca, albo też już po jego wycofaniu się. Stąd geologicznie ruda ta miała bardzo mało czasu aby się uformować.
2. Forma. Dlaczego jej pokłady nie mają formy np. pyłu, a formę pojedynczych nieregularnych brył zalegających w tylko jednej warstwie leżącej pod powierzchnią gruntu (jako przeciwieństwo np. rozłożenia tych brył w pionie, jedna pod drugą)?
3. Cechy. Jak wytłumaczyć wszystkie cechy tej rudy, tj. jej trwałość, konsystencja porowatość, jednorodność składu, itp.;
4. Unikalność. Jak wytłumaczyć fakt, że "ruda darniowa" nie występuje w każdym miejscu na świecie w którym istnieje żelazista woda i bakterie. Przykładowo, rudę tą można znaleźć niemal wyłącznie w Polsce (a ściślej - głównie w relatywnie niedużej odległości od Milicza i Sulmierzyc), z małymi ilościami obecnymi także w Austrii i Anglii. Brak jej jednak w obu Amerykach, w Azji, Australii i Nowej Zelandii, na przekór że pełno tam żelazistych wód oraz najróżniejszych bakterii.

Niniejszym pragnę więc ogłosić apel do czytelników tej strony. Mianowicie, chciałbym zaapelować aby spróbowali opracować własną teorię naukową która za jednym zamachem dostarczyłaby odpowiedzi na wszystkie powyższe problemy. Opracowanie takiej teorii stanowiłoby podniecający projekt badawczy dla młodych tropicieli tajemnic.

Aby dać tutaj jakieś pojęcie co do rodzaju teorii której poszukujemy, to ja osobiście skłaniam się do poglądu, że milicka ruda darniowa faktycznie stanowi resztki lub odłamki ogromnej komety metalowej, która w czasach epoki lodowcowej upadła na powierzchnię lodowca jaki niegdyś zakrywał dzisiejszy obszar Milicza i jego okolic. Taka "kometowa teoria" wyjaśniałaby bowiem wiele atrybutów milickiej rudy darniowej, jakie nie są wyjaśniane przez obecne "bakteryjne" jej wyjaśnienie naukowe. Przykładowo wyjaśniałaby (1) skąd ruda ta się wzięła koło Wszewilek (ano, spadła z nieba w formie luźnych brył materiału ogromnej komety). Wyjaśniałaby także (2) dlaczego ruda ta nie jest pyłem (ano, kometa ta była głównie obiektem stałym). Wyjaśniałaby także (3) wiele cech tej rudy (np. porowata, bowiem wydzielone podczas jej upadku ogromne ilości ciepła zagotowały by ją w całej objętości, itp.). Wyjaśniałaby też (4) dlaczego jej nie ma na innych kontynentach (ano, główna część tej komety spadła właśnie na powierzchnię lodowca zalegającego wówczas w okolicach Milicza, zaś podczas topienia się tego lodowca jej

odłamki zostały zmyte strumieniami wody niemal wyłącznie do koryt polodowcowych rzek i jezior jakie potem pojawiły się w obszarze jej upadku). Ponadto wyjaśniałaby (5) dlaczego niewielkie ilości tej rudy występują również w Austrii i Anglii (ano, podczas upadku kometa ta rozpadła się na kilka dużych kawałków, największy z których upadł niedaleko od Milicza, kilka zaś mniejszych uderzyło w lodowce z innych obszarów dzisiejszej Europy - podobnie jak podczas katastrofy promu "Columbia" początkowo zwarty korpus tego promu został rozszany wzdłuż około tysiąca kilometrów powierzchni USA). Niestety, mieszkając na stałe w Nowej Zelandii, nie mam okazji sprawdzić poprzez badania na miejscu, na ile teoria ta jest prawdziwa. Zapraszam więc czytelników do zweryfikowania na materiale dowodowym z okolic Milicza, oraz do następnego przedyskutowania ze mną, wszelkich "za" oraz "przeciw" tej "teorii kometowej". Zapraszam też do zaprezentowania swoich własnych teorii na ten sam temat.

Fot. #F1 (B4 w [10]): Postument wymurowany z wysoce tajemniczej wszewilkowskiej tzw. "rudy darniowej", a stojący w miejscu byłej spektakularnej "bramy wjazdowej" do milickiego pałacu margrabiego zlokalizowanego w tamtejszym parku miejskim. Postument ten jest resztką tego co pozostało ciągle do dzisiaj z byłych średniowiecznych murów obronnych miasta Milicza. (Tyle że mury te kiedyś stały w innych miejscach niż powyższy postument. Niemniej materiał powyższego postumentu faktycznie pochodzi z dawnych murów obronnych Milicza.) Mury średniowiecznego Milicza wzniesione były z brył lokalnej "rudy darniowej", którą kiedyś pozyskiwano właśnie na łąkach i polach z okolic dzisiejszej wsi "Wszewilki-Stawczyk". Z kolei ów lew widoczny na wierzchołku postumentu wymurowanego z brył rudy darniowej jakie pochodzą z oryginalnych murów obronnych Milicza, jest tym samym lwem który w dawnych czasach ozdabiał wierzchołek południowej bramy wylotowej w średniowiecznych murach miasta Milicza. (Owa średniowieczna brama nazywana była "Bramą Wrocławską", ponieważ droga przez nią prowadziła do Wrocławia. Oryginalnie zlokalizowana ona była w pobliżu miejsca w którym obecnie znajduje się most przez młynówkę na południowym zbiegu obu ulic wylotowych z milickiego rynku.) Powyższe zdjęcie wykonane było w lipcu 2004 roku. Po więcej danych na temat dawnych murów Milicza, patrz punkt #C27 i zdjęcie "Fot. #27(b)" ze strony internetowej o nazwie miasto Milicz.

W tym miejscu warto podkreślić, że w początkowym stadium budowy miasta Milicza, aż do około 14 wieku, ruda darniowa wywodząca się z okolic Wszewilek była używana jako podstawowy materiał budowlany którym zastępowano wówczas brak dzisiejszych cegieł i pustaków. Dawni ludzie po prostu przycinali stalowymi piłami duże bryły tej rudy na regularne kostki i używali tych kostek do budowy. Przykładem formy zbudowanej w ten sposób jest pozostała do dzisiaj reszta murów obronnych Milicza pokazana na zdjęciu "Fot. #F1" powyżej. Innym przykładem jest kościół z Wszewilek którego wygląd w końcowej okresie tuż przed wyburzeniem pokazuje zdjęcie "Fot. #F1" z punktu #F1 strony wszewilki_jutra.htm - o Wszewilkach naszego jutra.

Niestety, ruda darniowa należy do tzw. "zimnych" materiałów budowlanych. Wszakże przewodzi ona ciepło znacznie lepiej niż cegła. Domy budowane z tej rudy są więc trudniejsze do ogrzania niż domy np. z cegły. Dlatego używano ją w budownictwie tylko do czasu aż powszechnie dostępne stały się cegły. Potem zaś zaniechano jej używania, chyba że na jej użycie wskazywał jakiś ważny powód, np. chęć pamiątkowego zachowania resztek murów niejskich - jak to miało miejsce w przypadku budowy bramy ozdobnej do milickiego pałacu której resztki pokazano na powyższym zdjęciu "Fot. #F1".

Milicka "ruda darniowa" jest niezwykle tajemniczym minerałem. Faktycznie to do dzisiaj tzw. "ateistyczna nauka ortodoksyjna" (tj. nauka której niebezpieczny dla ludzkości "monopol na wiedzę" oraz potrzeba totalistycznej "konkurencji" opisywane są w punkcie #C1 strony telekinetyka.htm oraz w punkcie #A2.6 strony o nazwie totalizm_pl.htm) NIE jest w stanie logicznie wyjaśnić i udokumentować np. eksperymentem, skąd minerał ten się bierze. Nauka ta wyjaśnia bowiem pochodzenie milickiej "rudy darniowej" jako rodzaj "odchodów" bakterii żyjących w żelazistych wodach. Tymczasem żelaziste wody i owe

bakterie istnieją praktycznie na całym świecie, podczas gdy poza Miliczem, "ruda darniowa", podobno występuje jeszcze (choć w dużo mniejszych ilościach) tylko gdzieś w Austrii. Ponadto, dzisiejsza nauka NIE uzyskała takiej rudy eksperymentalnie, ani NIE wyjaśniła, jak ruda ta została "pospiekana" w duże i twarde bryły - jako że będąc "odchodami" bakterii powinna ona mieć formę proszku. Więcej o tym tajemniczym mineralu jest zawarte w punkcie #F1 strony o nazwie wszewilki.htm.

#F2. Inne niezwykłości natury ze wsi Wszewilki:

Jest coś ogromnie niezwykłego w miejscu które zajmuje wioska Wszewilki, a szczególnie jej fragment nazywany Wszewilki-Stawczyk. Nie wiadomo czy jest to wynikiem działania pobliskiego czakramu Ziemi, fluktuacji pola grawitacyjnego, konfiguracji chińskiego "feng shui", czy też po prostu karmy tego niezwykłego miejsca. Faktem jednak jest, że miejsce to odznacza się kilkoma nietypowymi cechami. Gdyby wymienić tutaj najważniejsze z owych cech, to należą do nich:

1. Spełnianie marzeń. We Wszewilkach-Stawczyku wypełniają się marzenia i potajemne życzenia tych co je tam podejmą, jeśli tylko owe marzenia czy życzenia spełniają kilka warunków. Przykładowo muszą one być wystarczająco silne aby ciągle pamiętało się ich treść po 50 latach. Muszą one być realistyczne - znaczy ich wypełnienie nie może wymagać zajścia jakichś cudów czy urzeczywistnienia niemożliwości (np. przy dzisiejszym stanie naszej techniki kosmicznej marzenie aby odbyć podróż do gwiazd może nie być realistycznym). Muszą także być potem popierane naszym działaniem - tj. po ich podjęciu musimy też sami wkładać odpowiedni wysiłek w ich urzeczywistnienie. W moim własnym przypadku, wszystkie marzenia które spełniały te warunki faktycznie się wypełniły - na przekór że w życiu mogło przecież zaistnieć tysiące przeszkód jakie były w stanie zniweczyć ich urzeczywistnienie. Także z rozmów z innymi mieszkańcami Wszewilek wynikało, że również ich marzenia jakie spełniały powyższe warunki też z czasem się wypełniły.

Zdolność Wszewilek do spowodowania że nasze najważniejsze pozytywne marzenie się wypełni, można wykorzystać przy okazji pobytu na Wszewilkach. Można bowiem wówczas zaprogramować dla siebie spełnienie się naszego najważniejszego marzenia czy życzenia. Jak tego dokonać, wyjaśnione to zostało w punkcie #C2 odrębnej strony internetowej o zwiedzaniu Wszewilek i Milicza.

2. Symbolizm. Losy tego miejsca zawsze są wysoce symbolicznym odzwierciedleniem wszystkiego najważniejszego co się dzieje lub przytrafia w promieniu do kilkudziesięciu kilometrów od owego miejsca.

3. Niezwykłości. W miejscu tym zdarzają się najróżniejsze niezwykłości. Gdyby tutaj wyliczyć tylko te z nich, które opisane są na niniejszej stronie, to obejmują one m.in.: (a) deszcz z żywych rybek; (b) ruchomy księżyc z północnej strony Wszewilek, płynący ze wschodu na zachód; (c) "Czarny staw" (znany z utonięcia w nim Janki Bujakowej oraz samobójstw włóczędów) - dziwić może fakt istnienia takich "przeklętych miejsc" z "bad feng shui"; (d) Gryf spod "drugiej tamy" na Baryczy.

4. Historyczne korzenie. Wszewilki mają bardzo długą i ciekawą historię, jaka już obecnie liczy ponad 2000 lat. W historii tej zawsze wypełniały one istotną rolę. Przykładowo, to pierwsi mieszkańcy Wszewilek zbudowali dzisiejszy Milicz. Niemal zawsze Wszewilki były żywicielką Milicza, a więc również żywicielką karawan kupieckich które kiedyś wędrowały przez Milicz po ogromnie ważnym "bursztynowym szlaku". Dopomagały one też bronić Milicza przed wrogami. Kultywowały polskość i słowiańskość tych ziem. Przyz cały okres swojej historii były one wioską wolnych ludzi. Praktycznie też były jedyną wioską w okolicach Milicza która nigdy nie posiadała indywidualnego pana-właściciela, pańszczyzny, ani pańskiego folwarku. Na całym świecie można znaleźć jedynie kilka ciągle istniejących wiosek, które miałyby równie długą historię, pełniłyby równie zaszczytną rolę, byłyby równie symboliczne, oraz okazałyby się równie budujące moralnie jak Wszewilki. Szczerze mówiąc, to ja jestem ogromnie dumny że urodziłem się i wychowałem w tak długowiecznym, pokojowym, wolnym, religijnym, niezwykłym, oraz historycznie znaczącym

miejscu jak właśnie Wszewilki. Zawsze też z dumą podkreślam, że pochodzę ze słynnej wioski Wszewilki.

5. Prześladowania. Tak jakoś się złożyło, że Wszewilki najwyraźniej podpadły owej szatańskiej mocy która od niepamiętnych czasów okupuje Ziemię, a którą kiedyś nazywano "diabłami" podczas gdy dzisiaj nazywa się "UFOautami". Historyczne losy Wszewilek dosyć wyraźnie wykazują bowiem wzór dobrze ukrytych prześladowań, jaki jest charakterystyczny właśnie dla czyjś podpadnięcia owej szatańskiej mocy. Przykładowo, moim zdaniem wcale nie jest przypadkiem że same centrum historycznych Wszewilek zostało kiedyś wymazane z mapy traktującą wszystko linią kolejową. Wszakże linia ta na mapie wyraźnie skręca celowo w taki sposób aby przetaranować się przez centrum dawnych Wszewilek. Gdyby zaś podążała po linii prostej - tak jak koleje powinny podążać, omijałaby Wszewilki co najmniej jakieś pół kilometra w kierunku wschodnim. Nie jest też przypadkiem, że w około 120 lat po tamtym staranowaniu Wszewilek przez kolej, także obszar przy starym młynie wodnym na Baryczy, w którym Wszewilki kiedyś się narodziły, został trwale zalany wodą. Nie wspomnę już że w przeciągu owych 120 lat które upłynęły pomiędzy obu owymi kluczowymi zdarzeniami prześladowczymi, Wszewilki wystawione były na najróżniejsze formy doskonale zakamuflowanych prześladowań. Przykładowo, zniszone zostały historyczne wodociągi z Wszewilek, zdewastowane miejsce dawnego kultu słowiańskiego (tj. wszewilkowski cmentarz), które obecnie stanowi "tabu" dla potomków tych samych Słowian którzy w miejscu tym kiedyś realizowali swoje rytuały, itd., itp. Co ciekawsze, nie jest też wcale przypadkiem, że nawet niniejsza strona internetowa o Wszewilkach również jest nieustannie sabotażowana przez tą samą szatańską moc, tak że zmuszony zostałem do jej umieszczenia aż na kilku serwerach równocześnie aby w jakiś sposób owemu skrytemu sabotażowaniu zaradzić.

6. Danie życia filozofii totalizmu moralnego. Jeśli uznać formalny dowód na istnienie Boga wypracowany przez fizykalną teorię naukową nazywaną Konceptem Dipolarnej Grawitacji, wówczas uznać należy że ów Bóg w swojej mądrości i wszechwiedzy ogromnie starannie wybiera wszelkie okoliczności narodzenia się nowych idei. Bardzo starannemu wybraniu podlega więc nie tylko czas ich narodzin, ale również i miejsce narodzin. Fakt owego starannego doboru okoliczności narodzin jest zresztą podkreślany niemal przez wszystkie paranauki i religie, np. przez europejską astrologię, daleko-wschodnie feng shui, a nawet przez Biblię (np. patrz tam działalność Trzech Króli). Zgodnie więc z tą zasadą, fakt że Wszewilki stały się kolebką dla niezwykle moralnej filozofii zwanej totalizm, musi również oznaczać, że owa wioska cechuje się czymś wyjątkowym w porównaniu ze wszystkimi innymi miejscowościami na świecie w których totalizm mógł się narodzić.

Fot. #F2 (K2 w [10]): Wszewilki ujęte od miejscowej szkoły w kierunku drogi dojazdowej od Milicza . Zdjęcie z lipca 2004 roku. Widoczny na tym zdjęciu odcinek drogi przez Wszewilki przebiega dokładnie tym samym szlakiem jakim wiodła oryginalna droga tej wioski istniejąca tutaj już od ponad 1000 lat. Dlatego ten odcinek drogi wszewilkowskiej jest najstarszy. Zaraz po wyzwoleniu stało też przy niej kilka budynków nieco starszych od innych, bowiem zbudowanych jeszcze przed wytyczeniem nowej drogi około 1875 roku. Najstarszy z tych budynków, ciągle pokryty strzechą i zbudowany w "stylu architektonicznym Wszewilek", znajdował się po prawej stronie drogi w miejscu gdzie znika ona ze zdjęcia, tj. niedaleko od zabudowań wodociągów milickich. Rozebrany on został jeszcze w latach 1950-tych. Stał on w bardzo starym ogrodzie który zapewne istnieje w owym miejscu do dzisiaj. Ogród ten nazywano kiedyś "ogrodem krasnoludków", bowiem w czasach kiedy ciągle stał tam ów prastary budynek, kilku prawdomównych sąsiadów zaobserwowało w owym ogrodzie ogromny przeźroczysty "grzyb" (dzisiaj byśmy go nazywali "wehikułem UFO"). Z "grzyba" tego wysypało się całe mrowie maleńkich ludzików. Ludziki te z jakichś powodów ogromnie interesowały się właśnie owym starym domostwem. Potem zaś powisały z powrotem do owego kryształowego "grzyba", poczym grzyb ten w jakiś "nadprzyrodzony" sposób nagle zniknął z widoku obserwujących go ludzi.

Wszewilki to ogromnie dziwne miejsce. To właśnie w okolicy tej wsi Wszewilki, w czasach swej młodości zaobserwowałem opad deszczu z żywych rybek (płotek). Chociaż deszcz taki posiada wiele naukowych wytłumaczeń, faktycznie na podstawie tego co o nim pamiętam, uważam że posiada on cudowne pochodzenie. Deszcz ten opisałem dokładnie w podrozdziale I3.5 z tomu 5 mojej najnowszej monografii [1/5], której darmowe kopie są do ściągnięcia za pośrednictwem niniejszej strony internetowej.

Część #G: Wkład Wszewilek do kultury:

#G1. Ewolucja kolejnych generacji wiejskich budynków mieszkalnych obrazowana zabudową Wszewilek:

Wszewilki są niemal jedyną wsią w Polsce, dla której ewolucja architektury jej domostw od pierwszej aż do nadchodzącej szóstej ich generacji została udokumentowana w internecie. Dlatego warto przyglądać się tej ewolucji we Wszewilkach, aby potem móc ją odnosić do dowolnej innej wsi lub miejscowości która nas interesuje.

Za mojego życia we Wszewilkach można tam było zobaczyć wiejskie budynki mieszkalne przynależące do generacji od 2-giej do 5-tej, oraz kilka pozostałości po ich 1-wszej generacji. Przykłady aż kilku z owych generacji mieszkalnych zabudowań wiejskich przetrwały tam też do dzisiaj. Są one wskazywane podczas wędrowki po szlakach opisywanych w punkcie #D2 strony "Wszewilki-Milicz". Budynki 1-wszej generacji (tj. "ziemianki"), znaczy generacji najstarszej z istniejących, nie przetrwały do moich czasów. Pamiętam jednak ich ślady i pozostałości. Były to ziemianki z podłogą mieszkalną częściowo wkopaną pod powierzchnię gruntu (im były one starsze, tym głębiej pod ziemią zakopana była ich podłoga) lub uklepaną bezpośrednio na powierzchni ziemi. Ponieważ były one tanie oraz łatwe do zbudowania i utrzymywania, zwykle zamieszkiwała je tylko jedna osoba, albo tylko jedna para małżeńska, albo tylko jedna rodzina z małymi dziećmi (kiedy bowiem dzieci dorastały, wówczas budowały sobie własne ziemianki). Właściciele ziemi w okolicach Wszewilek zaprzestali budowania ziemianek już około lat 1600-nych. Jednak samotni bezrolni parobcy, budowali i zamieszkiwali ich nieco udoskonalone wersje (z klepiskiem umiejscowionym już na powierzchni ziemi) aż do późnych lat 1800-tnych. Pozostałości takich ziemianek jakie oglądałem w czasach swojej młodości, opisuję w punkcie #D1 tej strony. Budynki 2-giej generacji (tj. "lepianki" albo "strzechowiny"), które już w czasach mojej młodości liczyły ponad 300 lat, były budowane z gliny i drzewa zaś ich dachy kryte były sitowiem. Ich podłoga wprawdzie również uklepywana była bezpośrednio na ziemi, jednak pomiędzy glebę a ich klepisko wstawiano już warstwę materiału izolującego termicznie. Budowane więc one były w oryginalnym "stylu architektonicznym Wszewilek" (styl ten opisałem dokładniej w punkcie #G2 niniejszej strony internetowej o Wszewilkach, zaś jego doskonałą ilustracją jest architektura kościoła Św. Andrzeja Boboli w Miliczu, którego zdjęcie można zobaczyć na stronach o tym kościele, lub na ilustracji "Fot. #G2" poniżej). Zarówno budowa domów 2-giej generacji, jak i późniejsze ich utrzymywanie w stanie zamieszkiwalnym były dosyć pracochłonne. Dlatego wymagały one nieustannej opieki ludzi młodych i sprawnych fizycznie. Z tego powodu zawsze były one bardzo długie, zaś zamieszkiwało je aż kilka wzajemnie spokrewnionych rodzin i generacji (np. rodzina dziadków, rodzina rodziców, oraz rodziny ich dzieci). Ostatni z owych budynków mieszkalnych drugiej generacji, po wojnie zamieszkiwany przez babcię Sołtysową, rozebrany został jeszcze w latach 1960-tych. (Stał on zaledwie około 50 metrów od zalecanego do oglądnięcia na stronie "Wszewilki-Milicz" budynku trzeciej generacji (Zagórskich). Znajdował się jednak po przeciwnej stronie oryginalnej (polnej) drogi przez Wszewilki-Stawczyk.) Budynki kolejnej, 3-ciej generacji (tj. "chaty" albo "chałupy" w stylu "dworaków"), były kategorią przejściową. Stanowiły one pierwsze budynki wznoszone we Wszewilkach z trwałej cegły i z ceramicznych dachówek. Chociaż jednak używały one już nowego (tj. trwałego i nie wymagającego nieustannych napraw) materiału budowlanego, czyli drogiej cegły i dachówki, cała ich architektura, funkcjonalność, oraz kultura zamieszkiwania nadal kopiowała budynki 2-giej generacji. Dlatego ciągle miały one sufity

nisko nad podłogą. Ich okna były małe. Ich klepiska ciągle leżały bezpośrednio na ziemi, chociaż oddzielane już były od gleby warstwą materiału izolującego termicznie. Posiadały aż po kilka drzwi wejściowych wiodących do tego samego budynku - ponieważ ciągle zamieszkiwały je 2 lub nawet 3 generacje spokrewnionych rodzin, np. dziadkowie, rodzina rodziców i rodzina dzieci. Z kolei ich dachy były bardzo strome, a stąd strychy nietypowo ogromne. (Wielkość owych strychów wyznaczana była bowiem kątem spadu dachu, który z kolei definiowany był rozkładem sił od śniegu zalegającego dach zimą oraz wytrzymałością dawnej drewnianej konstrukcji budynku.) W czasach mojej młodości liczyły one już około 200 lat - pamiętały więc ciągle czasy jeszcze sprzed budowy kolei. Obecnie ich wiek pomału zbliża się do 300 lat. Ja osobiście rozciągnąłbym nad nimi ochronę prawną, w przeciwnym przypadku już wkrótce wszystkie z nich poznikają. Do dzisiaj przetrwało ich być może tylko ze 3 w całych byłych Wszewilkach. Budynki 4-tej generacji ("murowanki") też były z cegły. Miały one już normalną, dzisiejszą wysokość sufitów nad podłogą, oraz klasyczną formę pudła z mniej spadzistym dachem (wszakże ich konstrukcja była już wytrzymałsza). Ich podłoga wyniesiona już była nad powierzchnię gleby i zawieszona na jakiejś strukturze nośnej. Pod podłogą niemal jako reguła wykonywana już była podziemna piwnica o charakterze ziemianki, przeznaczana na magazyn żywności. Stanowią one większość obecnej zabudowy Wszewilek. Niemal zawsze ich wnętrze składa się z dwóch odrębnych mieszkań, ponieważ zwykle z rodziną właściciela domu zamieszkiwali w nich także rodzice właściciela (tj. jego ojciec i matka). Wszystkie one były budowane już po czasach budowy kolei żelaznej (czyli już po 1875 roku). W końcu budynki obecnej, 5-tej generacji (zwykle nazywane "wille"), to typowe brzydkie i nudne kostki sześciennie potynkowane od zewnątrz. Budowane są one zwykle z betonu lub pustaków, stąd wymagają otynkowania. Zwykle wogóle nie mają one strychu, zaś ich dach jest jednocześnie sufitem ich najwyższego piętra. Częściowo lub całkowicie pod ziemią mają one już "basement" a nie piwnice, czyli wyspecjalizowane pomieszczenia identyczne do mieszkalnych, tyle że zagłębione pod ziemię i używane jako garaże, warsztaty, składy paliwa, pomieszczenia dla generatorów i pieców centralnego ogrzewania, itp. Niemal zawsze zamieszkuje je tylko jedna rodzina ich właścicieli. Stąd ich pomieszczenia zaczynają dzielić się (i specjalizować) zależnie od wypełnianej funkcji na kuchnie, jadalnie, salony, sypialnie (zwykle odrębne dla każdego członka rodziny), pralnie, gabinety, biblioteki, itp. Wszewilki obecnie mają ich już sporo, zaś ich liczba wzrasta. Wiem, że poza Polską wykształtowała się już kolejna, 6-ta generacja wiejskich budynków mieszkalnych (zwykle nazywane "rezydencje" albo "mansje"). Interesujące, że coraz częściej zamieszkiwana jest ona przez pojedynczych ludzi żyjących w nich samotnie - podobnie jak było to z domami 1-szej generacji (domostwa ludzkie jakby powróciły więc do swego punktu startowego). Pomału przyjmuje się ona i w Polsce, tyle że nie doszła jeszcze do Wszewilek. Jej budynki to małe i zupełnie niezależne od reszty świata "pałacyki" o dużej i wysoce wyspecjalizowanej przestrzeni mieszkalnej, o doskonałym zabezpieczeniu przed nieproszonymi intruzami (faktycznie są to niemal "niezdobyte" twierdze z alarmami, kamerami telewizyjnymi, zdalnie zatraskiwanymi drzwiami, pancernymi szybami, ukrytymi przejściami, własnymi schronami przeciw-atomowymi, itp.), o doskonałym połączeniu z resztą świata (szybki internet - broadband, telekonferencja, telefony i telewizja satelitarna, optyczne telefony, itp.), o zdolności do "samowystarczalności" (tj. do zupełnie niezakłóconego funkcjonowania w przypadku odcięcia ich od dostaw prądu, gazu, wody, paliwa, żywności, itp.), oraz o ogromnie ozdobnych i skomplikowanych formach zewnętrznych i wewnętrznych. Faktycznie, jeśli dobrze się zastanowić, to domostwa owej 6-tej generacji w rzeczywistości noszą wszelkie cechy statków kosmicznych, tyle że ciągle nie są one w stanie ulecieć w przestrzeń. Czyli są one jakby zaawansowanymi odpowiednikami ziemianek 1-wszej generacji w stosunku do dzisiejszych domostw. Nietrudno więc przewidzieć, że następną po nich, 7-mą generacją wiejskich domów mieszkalnych będą "latające domy" (tj. "arki") zbudowane w formie statku kosmicznego nazywanego magnokraftem. Owa siódma generacja domów zacznie być budowana natychmiast po tym jak ludzkość opanuje budowę urządzeń zwanych komorami oscylacyjnymi będących napędami dla magnokraftów. Podobnie też jak domostwa drugiej

generacji, początkowo domy 7-mej generacji będą drogie, zaś latanie nimi i ich obsługa będą wymagały umiejętności młodych ludzi. Dlatego w pierwszej fazie ich istnienia ponownie zapewne zamieszkiwały w nich będą całe grupy spokrewnionych rodzin, a więc dziadkowie, rodzice, oraz rodziny ich dzieci. Sytuacja ta zmieni się jednak kiedy magnokrafty potanieją bowiem opracowana zostanie ich wersja telekinetyczna (tj. samonapełniająca się energią oraz nieprzerwanie sterowana niezawodnymi komputerami), a stąd powstanie także i kolejna już, bo 8-ma generacja "latających domów" (rodzaj "raju"). Staną się one przyszłościowymi odpowiednikami domostw wiejskich 3-ciej generacji. Itd., itp. - w kółko Macieju. Rozwój domostw będzie więc zataczał coraz wyżej wznoszące się spirale, podobnie jak tzw. "Prawo Cykliczności" omawiane w rozdziale B z tomu 2 monografii [1/5] definiuje spiralny postęp w rozwoju ludzkich napędów. (Owo "Prawo Cykliczności" jest to rodzaj jakby "Tablicy Mendelejewa", tyle że zamiast dla pierwiastków chemicznych jego działanie rozciąga się dla urządzeń technicznych budowanych przez ludzi. Dlatego wyjaśnione powyżej powtarzalne cykle jakie daje się odnotować w rozwoju domostw wiejskich, faktycznie wynikają z działania owego "Prawa Cykliczności".)

#G2. Unikalny styl architektoniczny dawnych Wszewilek:

Zaraz po wojnie przetrwało we Wszewilkach kilka zabudowań owej unikalnej drugiej generacji opisanej w poprzednim punkcie #G1 tej strony. Według mojego oszacowania budynki te już wówczas liczyły ponad 300 lat. (Powiniem w tym miejscu wspomnieć, że np. w Nowej Zelandii każdy budynek który liczy ponad 100 lat automatycznie staje się "skarbem narodowym", jest chroniony przez prawo i nie wolno go burzyć ani zmieniać jego zewnętrznego wyglądu.) Ja pamiętam cztery z takich zapewne ponad 300-letnich zabudowań Wszewilek - które ostały się w całości, oraz co najmniej trzy dalsze z których po wojnie ciągle ostały się ściany boczne. Jak się okazuje, wszystkie owe prastare budynki były budowane w bardzo szczególny i niemal identyczny sposób. Dokładnie takiego też sposobu budowania wiejskich zabudowań gospodarskich nie spotkałem w żadnej innej wsi poza Wszewilkami. Mogę więc tutaj stwierdzić, że rolnicy z Wszewilek albo wypracowali sobie własny unikalny "styl architektoniczny Wszewilek" jaki potem został od nich skopiowany przez zawodowych architektów i upowszechniony po całym świecie, albo też wynaleźli oni ten sam styl równoległe do zawodowych architektów i zupełnie niezależnie od nich. (Oficjalnym przykładem stylu Wszewilek jest kościół Milicki pod wezwaniem Św. Andrzeja Boboli - patrz fotografia "Fot. #G2" poniżej, gdzie styl ten został zreprodukowany w sposób nowoczesny i najbardziej spektakularny.) Taki sam bowiem styl jak ten używany chałupniczo przez rolników z Wszewilek, jest szeroko upowszechniony po świecie w oficjalnych budowlach wielu akademicko edukowanych architektów. Ta jego akademicka wersja znana jest na całym świecie pod angielską nazwą stylu architektonicznego "tudor" (w Polsce zwykle jest ona znana pod nazwą: "mur pruski"). Co więc faktycznie chcę tutaj powiedzieć, to że ów słynny na całym świecie i często spotykany obecnie styl architektoniczny po angielsku zwany "tudor", albo oryginalnie wywodzi się od chałupników z Wszewilek, albo też spontanicznie wynaleziony on został przez dawnych wieśniaków z Wszewilek w sposób zupełnie niezależny i równoległy do jego upowszechnienia po świecie przez akademicko edukowanych architektów.

* * *

Owe stare budynki w "stylu Wszewilek" konstruowane były w następujący sposób. Na ziemi układano fundamenty z brył rudy darniowej. Na fundamentach tych budowano szkielet budynku z belek lub tyczek. Po wewnętrznej stronie budynku szkielet ten obkładano silnymi matami uplecionymi z trzciny rosnącej w dolinie Baryczy. Następnie z oby stron obrzucano te maty przyklejającą się do nich zaprawą sporządzoną poprzez wymieszanie gliny pozyskanej ze Stawca ze słomą poprzecinaną na odcinki mierzące jakieś 20 cm. Zaprawę tą następnie wygładzano deską, tak że z obu stron wyglądała ona równo i płasko. Z zewnątrz zaprawę tą wygładzano tak by równała się ona z powierzchnią belek formujących szkielet danego budynku. Kiedy zaprawa ta wyschła, formowała ona silne i termicznie doskonale izolowane ściany budynku. Dla upiększenia ściany te potem malowano na biało wapnem. Aby zaś zabezpieczyć drewniany szkielet budynku przed

gniciem, malowano jego drewno rzadką smółką pogazową (otrzymywaną podczas wypalania węgla drzewnego lub podczas produkcji gazu węglowego). Dach budynku układano warstwami z wysuszonego gigantycznego sitowia specjalnej odmiany, jakie rośnie w zalewach Baryczy a jakie osiągało wzrost około 2 metrów wysokości. Sitowie to miało tę cechę, że po wysuszeniu formowało bardzo twarde i trwałe włókna, które nie gnęły przez dziesiątki lat. Podłogę we wnętrzu budynku ubijano równiuteńko z mieszaniny gliny z piaskiem i odrobiną wapna, formując z niej tzw. "klepisko". Dla lepszej izolacji termicznej, klepisko to oddzielano od gleby cienką warstwą izolacyjną, którą zwykle były maty ciasno uplecione z trzciny. Po wyschnięciu podłoga ta stawała się gładka i twarda jak beton, chociaż dobrze izolowała ciepło. W sensie użytkowym nie była więc ona wcale gorszą od dzisiejszych linoleów i PWC. Na zakończenie budowy na dachu ustawiano tzw. "kozła" który stabilnie utrzymywał sobą poziomo stare koło od woza aby zachęcić bociana do założenia na nim gniazda. (Gniazdo bociana na domu było bowiem w dawnych czasach gwarancją i symbolem pokoju oraz długotrwałego bezpieczeństwa. Wszakże bociany mają tzw. "szósty zmysł" (ESP) jaki podpowiada im przyszłość i stąd nie zakładają one gniazd na domach które już wkrótce mają ulec spaleni lub np. mają paść ofiarą uderzenia pioruna. Podobnie zresztą jest z jaskółkami.)

Wszystkie budynki zbudowane w "stylu architektonicznym Wszewilek" posiadały podobny, bardzo elegancki chociaż surowy i prosty wygląd. Jeśli były one dobrze utrzymywane i często malowane, wówczas posiadały białe ściany poprzekreślane pionowo, poziomo, oraz pod kątami czarnymi belkami ich szkieletu drewnianego pokrytego smółką. Wyglądały więc one dokładnie tak jak wygląda obecnie kościół Św. Andrzeja Boboli w Miliczu - patrz zdjęcie "Fot. #G2" poniżej. Nic dziwnego że ów chałupniczy "styl architektoniczny Wszewilek" musiał ogromnie podobać się niemieckim akademicko-edukowanym architektom. Być więc może że podchwycili go oni od chałupników z Wszewilek i upowszechnili po świecie. Wszakże symbolizował on niemal "niemiecką" schludność, elegancję, oraz surowe piękno. Jeśli zaś budynki te zostały zaniedbane, ciągle wyglądały one schludnie i ładnie. Głina ich ścian utrzymywała bowiem trwale swój ładny, naturalnie żółty kolor. Belki ich szkieletu wprawdzie z czasem płowiały, jednak ładnie harmonizowały wówczas z wiecznie żółtym kolorem owej gliny ścian. Z kolei ich dach z gigantycznego sitowia Baryczy nabierał ciemnego koloru. Jednak jego ogromnie trwałe włókna były odporne na gnienie i chroniły budynek przed deszczem przez dziesiątki następných lat.

* * *

Niestety, ogromnie przykro mi tutaj napisać, że ostatnie zabudowanie wzniesione w tym chałupniczym "stylu architektonicznym Wszewilek" zostało zburzone w jakiś czas po tym jak wyemigrowałem do Nowej Zelandii. Była to stara stodoła która stała nieopodal młyna elektrycznego. W chwili obecnej Wszewilki nie posiadają więc nawet jednego zabudowania w swoim chałupniczym stylu architektonicznym, który historycznie wywiódł się właśnie z owej niezwyklej wioski i był dla niej unikalny. Prawdopodobnie nie zachowało się również do dzisiaj nawet jedno kolorowe zdjęcie takiego budynku.

Fot. #G2 (B1 z [10]): Kościół Św. Andrzeja Boboli w Miliczu (a przed wojną kościół ewangelicki) . Został on zbudowany w stylu architektonicznym jaki po angielsku nazywa się "tudor" (w Polsce zwykle jest on znany pod nazwą "muru pruskiego"). Ciekawostką tego stylu jest, że najprawdopodobniej oryginalnie wywodzi się on z chałupniczej zabudowy pobliskiej wioski Wszewilki (Stawczyk), a dopiero potem został podpatrzony i skopiowany przez akademicko edukowanych architektów - co wyjaśniłem dokładniej w niniejszym punkcie tej strony internetowej o wsi Wszewilki. Obecnie kościół ten jest świątynią Rzymsko-Katolicką pod wezwaniem Świętego Andrzeja Boboli (dawniej Świętego Krzyża). Powyższa fotografia pochodzi z 2003 roku. Wykonana została przy obiektywie aparatu skierowanym ze wschodu na zachód. Na pierwszym planie pokazuje więc wschodnią ścianę prezbiterium kościoła, za którą znajduje się jego ołtarz. Pełniejsza historia tego kościoła opisana została na odrębnej stronie internetowej Św. Andrzej Bobola. Podczas

pobytu w Miliczu kościół ten warto dokładnie sobie pooglądać i obfotografować. Wszakże w świetle opisanych w punkcie #E1 tej strony internetowej przypadków celowego choć sekretnego niszczenia wszelkich obiektów utrwalających sobą historię Wszewilek, należy się liczyć że już wkrótce kościół ten nagle tajemniczo zniknie z powierzchni ziemi pod jakąś zręczną wymówką.

Część #H: Tajemnicze i niewyjaśnione zjawiska mające miejsce we wsi Wszewilki:

#H1. Gryf i inne dziwności Wszewilek:

Na odludnych łąkach które otaczają tzw. "drugą tamę" na Baryczy, w dawnych czasach widywano dosyć dziwnego potwora. (Owa "druga tama" znajduje się w górę rzeki Barycz, w odległości jakieś 10 kilometrów od tamy pokazanej na zdjęciu z "Fot. #D1" powyżej.) Potwór ten był czarny wielkości dużego psa. Z kształtu przypominał on lwa, jednak miał też skrzydła jak ptak. Ludzie różnie go wówczas nazywali. Najczęściej twierdzono że to sam "diabeł". Ja nazywam go "gryfem", bowiem cała jego anatomia przypomina mi stwora genetycznie poskładanego z innych zwierząt, którego mitologia grecka nazywała właśnie "gryfem". Ja również spotkałem tego stwora, tyle że w zupełnie innym miejscu. Faktycznie to on mnie zaatakował. Swoje spotkanie z krwiopijnym gryfem opisałem w podrozdziale R4.2 z tomu 15 monografii [1/5]. Z opowiadań ludzi wynikało, że tamten gryf spod drugiej tamy na Baryczy wyglądał i zachowywał się tak samo jak mój gryf opisany w w/w podrozdziale R4.2. Podobny potwór (gryf) wyglądający jak mały czarny lew albo czarna pantera, widywano także w innych niż Polska krajach. Jego obserwacje w owych innych krajach zaprezentowane są w punkcie #E8 na stronie internetowej o Nowej Zelandii.

* * *

Działo się to zimowego poranka około 1954 roku. Razem z innymi kolegami szliśmy rano do szkoły w Miliczu. (Szkoła w owym czasie zaczynała się o 8 rano.) Jednak tamtego dnia wszyscy zaobserwowaliśmy niezwykle zjawisko. Mianowicie ogromna kula jarząca się złocistym światłem wolno przetaczała się nisko nad horyzontem po północnej stronie wszewilkowskiego nieboskłonu. Tor ponad jakim zdawała się ona przemieszczać przebiegał nisko tuż nad wierzchołkami drzew w samym środku szerokiego pasa gęstych lasów jaki to pas obrzeża Wszewilki od północnej strony. W okresie czasu kiedy my zdołaliśmy przejść od młyna na Wszewilkach do końca Wszewilek przy Krotoszyńskiej w Miliczu (czyli jakieś 2 kilometry), kula ta zdążyła przetoczyć się wolno tuż nad horyzontem z początkowej pozycji w kierunku północno-wschodnim od nas, poprzez dokładnie kierunek północny od nas, a kończąc na ostatecznym jej kierunku północno-zachodnim od nas. Jej średnica kątowna wynosiła jakieś 3 średnice księżyca. Wśród nas było kilku kolegów ze starszych klas. Ci tłumaczyli nam wówczas, że jest to księżyc, który zamiast po południowej stronie, tego dnia ukazał się po północnej stronie nieboskłonu, tuż nad horyzontem. Wszyscy w to tłumaczenie wierzyliśmy, bowiem o UFO w owym czasie nikt wówczas nie słyszał. Jednak obecnie po wielu latach mi owo tłumaczenie przestaje się zgadzać. Moim zdaniem gdyby kula ta faktycznie była księżycem wówczas: (1) nie mogła się przemieszczać aż tak szybko (tj. o azymut około 90 stopni w przeciągu zaledwie niecałej godziny, co dawałoby jej czas pełnego okrążenia Ziemi wynoszący tylko około 4 godzin), (2) nie miałyby złocistego koloru a bardziej biały, (3) nie byłaby aż tak ogromna, oraz (4) kiedyś w życiu musiałbym widzieć ponownie ten sam księżyc przemieszczający się po północnej stronie nieboskłonu w niemal taki sam sposób (tymczasem nigdy już go ponownie takim nie zobaczyłem, ani nigdy nie słyszałem aby ktoś inny go takim zobaczył). Dlatego posądzam, że owego czasu cała gromada moich rówieśników z Wszewilek zaobserwowała ogromny wehikuł UFO świecący się złocistym kolorem, jak zwolna przemieszczał się on po północnej stronie wszewilkowskiego nieboskłonu.

#H2. Wszewilkowskie "krasnoludki":

Działo się to podczas jednych z owych świąt na które zjeżdżała się cała nasza

rodzina. Wśród przyjezdnych był wówczas także mój najstarszy brat. Jest on ogromnie "sceptycznym" człowiekiem i jeśli ktoś choćby wspomni UFO w jego obecności, brat ten natychmiast dostaje ataku wojowniczości. Jednak w środku owego dnia wpadł on do kuchni bladej jak ściana i cały roztrzęsiony. W kuchni byliśmy właśnie oboje z moją matką. Natychmiast zrozumieliśmy że stało się coś ogromnie dla niego wstrząsającego. Jednak brat był tak wzburzony, że długo nie potrafił wydusić ze siebie słowa. Kiedy w końcu powróciła do niego mowa, roztrzęsionym głosem nas poinformował, że w naszym ogrodzie napotkał żywe "krasnodudki" wysokie tylko na jakieś 25 centymetrów. Natychmiast więc wszyscy wypadliśmy z domu, aby nam te "krasnodudki" pokazał. Brat zaprowadził nas do kąta ogrodu gdzie rósł duży krzak ozdobny po angielsku nazywany "holly" - co słowniki tłumaczą na polski jako "ostrokrzew". Krzak ten znany jest z bardzo powolnego wzrostu. Jednak ten rosnący w ogrodzie moich rodziców był szczególnie okazały. Ja osobiście oceniam, że już w owym czasie krzak ten liczył około 200 lat (choć dom moich rodziców miał wówczas tylko niecałe 40 lat). Krzak ten musiał więc być tam zasadzony bardzo dawno temu, zapewne jako fragment ogrodu jakiegoś znacznie starszego domu który poprzednio stał w tym samym miejscu. To właśnie przy owym starym krzaku brat odnotował grupkę kilku miniaturowych istot jak coś tam wyczyniały. Kiedy spostrzegły że brat je odnotował zaczęły nawet gwałtownie wymachiwać do niego swymi maleńkimi rękami. (Ja osobiście wierzę, że owo machanie wcale nie było przyjacielskim pozdrowieniem. Zapewne po prostu dawały znać mojemu bratu coś w rodzaju: "jeśli zbliżysz się do nas jeszcze trochę, my cię zanihilujemy naszymi dezintegratorami jonowymi". Jednak mojemu bratu nie trzeba było żadnych pogroźek. Dał natychmiast nogę z własnej woli oszołomiony tym co zobaczył.) Oczywiście, w chwili kiedy my wszyscy tam dotarliśmy, po owych "krasnodudkach" nie było już nawet śladu. Ja natychmiast poszukałem pod krzakiem, za krzakiem, za płotem, oraz wszędzie po całym ogrodzie. "Krasnodudki" zniknęły jakby "pod ziemię się zapadły". Matka uspokoiła jednak roztrzęsionego brata. Ona widziała je także, chociaż przy zupełnie innej okazji. Potem się okazało że także ojciec je widywał. Rodzice nazywali je "opiekuńczymi duszkami" które jakoby "opiekowały" się domostwem, ogrodem i polami. Kiedy zacząłem dyskutować ową obserwację z kolegami, okazało się że identyczne "krasnodudki" różni ludzie widywali również w pobliżu całego szeregu innych domostw na Wszewilkach.

* * *

W chwili obecnej jest nam już wiadomo, że na Ziemię systematycznie przylatuje miniaturowa rasa UFOonautów o wzroście wynoszącym jedynie około 25 centymetrów (tj. są oni rozmiarów półlitrowej butelki coca-coli). Fotografię jednego z owych UFOonautów przytoczyłem na stronach internetowych [aliens_pl.htm](#) - o kosmitach oraz [day26_pl.htm](#) - o tsunami. Z badań UFO jest nam też wiadomo, że to właśnie owi miniaturowi UFOnauci są szczególnie złośliwymi i wyjątkowo niszczycielskimi istotami. Nie na darmo utarło się powiedzenie, że "trucizna im bardziej jest śmiertelna tym mniejsze opakowanie zajmuje". To właśnie owi UFOnauci są odpowiedzialni za sabotaż, niszczenie, i znikanie w naszych domach tego co nam właśnie potrzebne. W dawnych czasach w Polsce nazywano je złośliwymi "chochlikami", Anglicy nazywają je złośliwymi "gremlins", zaś w Malezji nazywają je "toyols" i obawiają się ich najbardziej ze wszelkich ras UFOonautów. Bardzo więc im daleko do "duszków opiekuńczych". Faktycznie to znałem kiedyś rodzinę w Nowej Zelandii którą owe złośliwe stworzenia dosłownie zniszczyły. Początkowo rodzinie tej dobrze się wiodło ponieważ jej głowa pracowała jako wykładowca na Uniwersytecie Otago w Dunedin. Wszystko to jednak się zmieniło kiedy dom owej rodziny zaczął być nachodzony właśnie przez owe miniaturowe stwory które w rzeczywistości jakoby nie mają istnieć. Ów szanowany przez wszystkich i chodzący twardo po ziemi wykładowca uniwersytecki nagle wszędzie zaczął widywać owe miniaturowe ludziki. Wieczorami widywał je chodzące pod sufitem jego sypialni, rankiem widywał je biegające pod stołem w jego kuchni, zaś podczas dojazdów do pracy widywał je wyskakujące z jego samochodu. Oczywiście, ponieważ nie wierzył w ich istnienie, udał się do psychiatry aby ten mu pomógł ich się pozbyć. Psychiatra zaś nawmawiał biednemu chłopinie posiadanie tylu psychicznych chorób, że chłopina ochotniczo odszedł z posady wykładowcy na rentę zrowotną, co spowodowało ruinę całej jego rodziny. Najwyraźniej Wszewilki też leżą (lub

kiedyś leżały) właśnie w strefie działania owych miniaturowych złośliwych UFOonautów. Stąd zapewne się brały tak liczne obserwacje "krasnołudków" w powojennych Wszewilkach.

* * *

Owa osobista obserwacja "krasnołudków" wcale nie zmieniła "sceptycyzmu" mojego brata. Wręcz tylko jakby go zintensyfikowała. Kiedykolwiek bowiem wspomnę temat UFO w jego obecności, mój brat reaguje emocjami a nie logiką. Główna lekcja jaką ja wyniosłem z całego zdarzenia stwierdza, że "jeśli ktoś z dużą dozą emocji kwestionuje istnienie UFO i atakuje tych co poruszają temat UFO, wcale to nie oznacza, że taki ktoś nie posiada osobistych doświadczeń z UFO". Wręcz przeciwnie. Faktycznie to oznacza, że taki ktoś zapewne używa nacisku emocjonalnego aby zagłuszyć jakieś osobiste i sekretne doświadczenia z UFO. Doświadczenia te najprawdopodobniej bowiem kolidują z "oficjalnym" widzeniem świata przez daną osobę. Dlatego osoba ta stara się je w sobie zadusić i nie dopuszcza ani do ich uzewnętrzniania się, ani do wypłynięcia na wierzch jej pamięci. Wyrażając to innymi słowami, "emocjonalna postawa jaką wielu ludzi zajmuje wobec UFO wcale nie wyraża tego co oni faktycznie wiedzą, lub co faktycznie przeżyli, a wyraża to co oni pragną aby miało miejsce, oraz co starają się ukryć przed samymi sobą".

* * *

Ogromnie ciekawy telewizyjny program dokumentarny o "krasnołudkach", identycznych do tych widzianych przez mojego brata, oglądałem w telewizji Malezyjskiej. Był on nadawany tam na kanale TV3, w poniedziałek, dnia 24 stycznia 2005 roku, w godzinach 21:30 do 22:00. Nosił on tytuł "Misteri Nusantara". (Jak wynikało z następnego programu z owej serii, program ów posiada własną stronę internetową o adresie misterinusantara.tv3.com.my). Raportował zeznania wielu naocznych świadków którzy w Malezji widzieli UFOonautów identycznych do polskich "krasnołudków". W Malezji istoty te nazywane są "toyol". W programie tym wszyscy świadkowie którzy na własne oczy widzieli te "toyol", opisywali i rysowali je w identyczny sposób, chociaż żaden z nich nie wiedział o opisach i rysunkach tego kogoś drugiego. I tak owe malezyjskie "toyol" były rysowane i opisywane jako bardzo małe ludziki, mające tylko około 25 cm wzrostu, z sylwetką znacznie pogrubioną w pasie. (Owo pogrubienie w pasie wcale jednak nie wynika z ich anatomii. Anatomia ta jest bowiem miniaturową wersją anatomii ludzkiej. Pogrubienie to jest jedynie oznaką posiadania szczególnego rodzaju napędu osobistego, podobnego do napędu pokazanego poniżej na rysunku "Fot. #H3". Tyle tylko, że aby nie upalać sobie rąk potężnym polem magnetycznym wytwarzanym przez pędniki w pasie, napęd używany przez owe istoty posiada poduszki ochronne zamontowane wokół bioder, jakie nałożone są na ów pas z pędnikami magnetycznymi. Po więcej informacji na temat tej wersji napędu z poduszkami wokół bioder patrz opisy i rysunek tego napędu zawarte w podrozdziale E4 z tomu 2 monografii [1/5].) Jeden z chłopców, którego taki "toyol" odwiedzał dosyć regularnie, porównywał jego wymiary do wielkości jedno-litrowej pustej butelki plastikowej po "coca cola". Ich głowa była pokazywana jako bardziej wydłużona ku górze w proporcjonalnym porównaniu do ludzkich głów, oraz poszerzona w części czołowej. Ich uszy były ostro zakończone na swym górnym końcu, jak uszy psa. Skóra ich twarzy była opisywana jako ciemno-zielona. Ich oczy były jaskrawo-czerwone i dosyć wylupiate. Natomiast ich zęby rosły nieregularnie w odstępach od siebie i były ostre jak zęby u kota. Wszyscy obserwatorzy tych istot zgadzali też się ze sobą w opisach intencji i zdolności malezyjskich "toyol". Przykładowo wszyscy stwierdzali że istoty te mają szatańskie intencje wobec ludzi, zaś zaobserwowanie że się nami interesują nigdy nie zwiastuje nic dobrego. Wszyscy też podkreślali ich zwyczaj ukrywania się przed ludźmi i zdolność do znikania z widoku. Mianowicie każdy z tych co je widział twierdził, że w momencie kiedy istoty te tylko zorientowały się że są widziane przez człowieka, wówczas natychmiast zaczynały stawać się przezroczyste i szybko całkowicie znikają z widoku. W sumie owe malezyjskie "toyol" wyglądały dokładnie jak ów miniaturowy UFOonauta uchwycony na fotografii "Fot. #H4ab" ze strony internetowej explain_pl.htm - o naukowej interpretacji zdjęć UFO, a także dokładnie tak samo jak owe "krasnołudki" które mój sceptyczny brat widział w ogrodzie naszych rodziców.

#H3. Latające istoty z Wszewilek:

Od niepamiętnych czasów mieszkańcy Wszewilek widywali najróżniejsze latające istoty. Zależnie od tego co owe istoty im czyniły, nazywali je różnie, począwszy od czartów, diasków, diabłów, diabolic i diablików, poprzez sukuby i inkuby, licha, zmory, strzygi, a skończywszy na złośliwych skrzatach i chochlikach. W dawnych czasach opowiadało się o nich podczas długich zimowych wieczorów. Praktycznie też niemal każdy z moich rówieśników napotkał je lub był przez nie prześladowany na jakimś tam etapie swojego życia. Tyle że zwykle niemal natychmiast potem o wszystkim zapominał. W czasach mojej młodości najpowszechniejsze były na Wszewilkach spotkania z tzw. "zmorami". Praktycznie niemal nieustannie któryś z moich kolegów przyznawał się że "ostatniej nocy dusiła mnie zmora". Owo stwierdzenie wcale nie było przy tym alegoryczne. Zmory te faktycznie bowiem "dusiły" młodych chłopców. Oczywiście, będąc młodocianymi i naiwnymi owych czasów (nie było wówczas dostępu do edukacji seksualnej i ufologicznej jaką mają dzisiejsi młodociani) faktycznie mało który z ofiar tych zmór rozumiał, że owo "duszenie" fachowo nazywa się "gwałceniem".

Pod nazwą "zmora" w owych czasach ukrywały się niewielkie kobietki o wysokości zaledwie około 90 cm do 1 metra, jakie miały brzydkie zwyczaj "duszenia" nocami ludzi o odpowiadającym im niewielkim wzroście. Zwykle ich ofiarami padali więc młodzi chłopcy. Zachowanie "zmór" było bardzo podobne do zachowania innych "istot nadprzyrodzonych" - jak kiedyś nazywano ogólnie dzisiejszych UFOonautów, które zależnie od płci nazywano "sukuby" lub "inkuby". Tyle że sukuby były wielkości normalnego człowieka, lubowały się więc w "duszeniu" dorosłych ludzi. Z kolei atakując już seksualnie aktywnych, dorosłych ludzi, zwykle ich akty były identyfikowane przez ofiary jako "eksploatacja seksualna". Ponieważ jednak dawniej ludzie nie przykładali zbytnej uwagi do terminologii, często mylili te dwie odmienne rasy nieziemskich istot, nazywając je obie "zmorami". Zarówno sukuby jak i zmory używały napędu osobistego zilustrowanego tu na "Fot. #H3". Dzięki temu wlatywały nocami bezgłośnie do ludzkich domów, zwykle poprzez otwarte okno. Oczywiście, posiadały też zdolność do wlatywania przez zamknięte okna, tak jak to wyjaśnia "stan telekinetycznego migotania" opisany dokładniej w podrzdziale LC3 z tomu 10 monografii [1/5]. Ponieważ jednak ten stan powoduje dosyć nieprzyjemne wibrowanie i swędzenie ich ciała, jeśli miały one dostęp do otwartego okna, wołały wlatywać właśnie przez nie. Po wleceniu do środka atakowały one seksualnie swoją ofiarę, którą zwykle był młody chłopiec.

Zastanawiające w dawnych opowiadaniach ze spotkań z owymi "nadprzyrodzonymi" istotami jest, że znaczna ich proporcja była karłowatego wzrostu, aczkolwiek całkowicie "normalnych" ludzkich proporcji ciała. Mianowicie, z wykazu nazw owych istot podanego na początku tego punktu, jedynie diabły, czarownice i sukuby były normalnego ludzkiego wzrostu. Jednak te same diabły miały także swoją karłowatą wersję (notabene opisywaną także w poemacie Adama Mickiewicza "Pani Twardowska"). Owa karłowata wersja "diabłów" zwykle nazywana była "diabełki" lub "diabliki". Ponadto diaski, licha, zmory, strzygi, a także owe złośliwe skrzaty i chochliki, wszystkie te istoty były karłowatego wzrostu. Ich wzrost wahał się od jedynie około 25 cm do około 1 metra - oczywiście przy proporcjach ciała podobnych do człowieka. Taka duża przewaga karłowatych istot odpowiada obecnym badaniom UFO. Pod względem liczebności wszakże również przeważają UFOnauci owego karłowatego wzrostu (ich najczęściej widywana na Ziemi rasa zwykle nazywana jest "szarakami"). UFOonautów "normalnego" ludzkiego wzrostu spotyka się raczej rzadko. Także na fotografiach dzisiejszych UFOonautów najczęściej utrwalane są owe karłowate lub miniaturowe istoty z kosmosu. Przykład takiej właśnie fotografii miniaturowego UFOnauty, na której uchwycony został kosmita z dużą jajowatą głową i wzrostem wynoszącym zaledwie około 25 centymetrów, pokazany został na stronach internetowych aliens_pl.htm - o kosmitach oraz day26_pl.htm - o tsunami. Kosmita z owej fotografii pasuje jak ulał do dosyć licznych w czasach mojej młodości opowiadań mieszkańców Wszewilek, że widywali oni dziwnie wyglądające "skrzaty" lub "krasnoduki" na swoich ogrodach lub polach. Racjonalnego wytłumaczenia dla tego zjawiska "karłowatości" dawnych "nadprzyrodzonych istot" oraz dzisiejszych UFOonautów

dostarczają tzw. "równania grawitacyjne" opisane w podrozdziałach JG9 do JG9.3 z tomu 8 monografii [1/5], oraz wspomniane na stronie o ewolucji człowieka. Mianowicie, istoty te przylatują na Ziemię z ogromnych planet jakich grawitacja jest wiele razy wyższa niż grawitacja Ziemi. Z kolei tak wysoka siła przyciągania grawitacyjnego na ich rodzimych planetach, działająca na nich poprzez długi łańcuch ewolucyjny, nie pozwala im wyrastać na wysokość ludzi z planety Ziemia.

* * *

Istnieje jeszcze jedna manifestacja skrytej działalności UFOonautów, jaka relatywnie często obserwowana kiedyś była na Wszewilkach. Jest nią tzw. "tańczący diabeł" - jak go często nazywano w folklorze staropolskim (Anglicy nazywają go "dust devil" co luźno można tłumaczyć jako "diabeł z kurzu". Przez Chińczyków używających dialektu kantoniskiego nazywany jest on "chie fung" - co daje się tłumaczyć jako "czarci wiatr".) Ów "tańczący diabeł" to po prostu słup kurzu jaki w pogodne dni letnie pozbawione wiatru można było kiedyś obserwować jak inteligentnie wędruje on sobie tuż ponad powierzchnią niedawno zaoranych piaszczystych pól Wszewilek-Stawczyka. (Obecnie większość owych piaszczystych pól Wszewilek-Stawczyka została zalesiona, nie będzie więc już teraz można tam zaobserwować tak łatwo tych zwykle niewidzialnych dla ludzkiego oka UFOonautów i wehikułów UFO.) Zgodnie ze staropolską tradycją folklorystyczną, w środku owego wirującego słupa kurzu zawsze kryje się niewidzialny dla ludzkich oczu "diabeł" który kurz ten wprawia w ruch wirowy swoim "tańcem". Tradycja ludowa zaobserwowała bowiem, że czasami z tego słupa kurzowego faktycznie wyłania się karłowata istota "nadprzyrodzona" popularnie kiedyś zwana "diabełem". Owe dawne ludowe obserwacje dokładnie pokrywają się z dzisiejszymi badaniami UFO które wyjaśniają, że ów słup kurzu wzniesany jest przez wir powietrza wzbudzany wirującym polem magnetycznym formowanym przez napęd niewidzialnych dla ludzkich oczu wehikułów UFO, oraz napęd równie niewidzialnych pojedynczych UFOonautów używających magnetycznego napędu osobistego. Po szczegółowe opisy jak wir ten jest wzbudzany proponuję zajrzeć do podrozdziału G11.2.3 i na rysunek G36 z tomu 3 monografii [1/5]. Z kolei materiał dowodowy na fakt, że poza owym wirum faktycznie kryje się UFOonauta lub wehikuł UFO ukryty przed wzrokiem ludzi poza zasłoną albo tzw. "soczewki magnetycznej", albo też tzw. "stanu migotania telekinetycznego", zaprezentowany jest w podrozdziale V5.1 z tomu 17 monografii [1/5].

Niezależnie od dziennych przelotów niewidzialnych statków UFO, przez ludzi widywanych jedynie w formie słupów wirującego kurzu wzbudzanego przez napęd owych statków (we Wszewilkach zwanych "tańczącym diabełem"), w okolicach Wszewilek-Stawczyka często spotkać było można inne następstwa skrytego działania UFOonautów i UFO. Przykładowo wczesnym rankiem czasami dawało się znaleźć na łąkach w okolicach Wszewilek-Stawczyka galaretowatą substancję jaka opadała ze statków UFO, a jaka fachowo przez UFOologów nazywana jest "anielskie włosy". Moi rodzice dzierżawili kiedyś łąkę w okolicach "czarnego stawu" o jakim piszę w innym punkcie tej strony (cały tamten obszar obecnie jest zalany dużym nowym stawem). Często więc wczesnym rankiem wychodziłem z krowami na ową łąkę. Wielokrotnie więc po drodze znajdowałem tam owe "anielskie włosy", które z jakimś dziwnym upodobaniem były tam nocami porzucane przez UFO, zaś wcześniej rano dawały się tam znaleźć zanim szybko odparowały. W UFO substancja ta wypełnia wolną przestrzeń pomiędzy dwoma dyskoidalnymi statkami UFO sprzęgniętymi w kulisty kompleks latający - taki jak ten pokazany na rysunku "Fot. F1 (b)" na stronie internetowej [magnocraft_pl.htm](http://magnocraft.pl.htm). Kiedy więc owe dwa UFO rozdzielały się od siebie w powietrzu ponad łąkami Wszewilek, owa kosmiczna galareta opadała na ziemię, gdzie ulatniała się w stan gazowy. Najwięcej tej galarety ja osobiście znajdowałem właśnie na owych łąkach położonych kilkaset metrów na północny-wschód od tamy na Baryczy, czyli w miejscach które obecnie zalane są nowo-zbudowanym stawem rybnym. (Niemniej czasami znajdowałem ją też w innych miejscach.) Z jakichś powodów łąki te były ulubionym miejscem nocnych nalotów wehikułów UFO. Jeśli więc ktoś wybrał się tam wczesnym rankiem, zanim owe "anielskie włosy" miały czas wyparować, było niemal pewne że znajdzie tam bryły owej galarety. Dokładniejsze opisy owych "anielskich włosów" z UFO zawarte są w podrozdziałach G3.3, V5.4 oraz P2.2 z tomów 3, 17 i 14 monografii [1/5]

upowszechnianej gratisowo za pośrednictwem niniejszej strony internetowej.

Jak powyższe to ujawnia, wysoce szokująca jest liczba odmiennych manifestacji szatańskiej działalności UFOonautów na Ziemi, które dawało się nieustannie obserwować w dawnych Wszewilkach-Stawczyku. Tyle że przybywając do Wszewilek w celach rabunkowych, UFOnauci ci zwykle nie dawali się ludziom zobaczyć. Jedyne więc co było odnotowywane to efekty ich skrytej działalności. Zresztą dawniej ludzie wcale nie wiedzieli co to takiego "UFOnauci". Swoje obserwacje kładli więc na karb najróżniejszych "istot nadprzyrodzonych", co do których wówczas powszechnie się wierzyło, że zapełniają one ludzkie domostwa, ogródki, pola i okoliczne lasy.

Fot. #H3 (E2 w [1/5]): Oto tzw. "magnetyczny napęd osobisty". Umożliwia on swoim posiadaczom latanie w powietrzu bez użycia żadnego rzucającego się w oczy urządzenia napędowego. W bardziej zaawansowanych wersjach, w których jego pędniki magnetyczne zastąpione zostaną pędnikami telekinetycznymi pracującymi w tzw. "stanie telekinetycznego migotania", pozwala on również swoim użytkownikom na stawanie się niewidzialnymi dla ludzkiego wzroku, a nawet na przechodzenie przez ściany lub przez inne przeszkody stałe. (Owo "telekinetyczne migotanie" opisane jest na odrębnej stronie internetowej o koncepcie Dipolarnej Grawitacji.) Powyższa ilustracja opisana jest dokładniej na rysunku E2 z tomu 2 monografii [1/5]. Magnetyczny napęd osobisty działa na zasadzie wzajemnego odpychania się lub przyciągania dwóch układów magnesów. Pierwszym z tych układów magnesów jest nasza kula ziemską - która stanowi wszakże jeden ogromny magnes. Drugim układem magnesów z tego napędu są tzw. "pędniki magnetyczne". Pędniki te to rodzaj szczególnie silnych magnesików o miniaturowych wymiarach. Magnesiki te działają na interesującej zasadzie tzw. "komory oscylacyjnej" opisywanej dokładniej np. na stronie internetowej magnocraft_pl.htm. W powyższym napędzie "boczne" z owych pędników magnetycznych zamontowane są w specjalnym ośmio-segmentowym pasie (2) jaki osoba używająca tego napędu zakłada na siebie. Poprzez odpychające zorientowanie owych pędników bocznych z pasa względem pola magnetycznego ziemi, bezgłośnie wynoszą one użytkownika tego napędu w powietrze. Aby lepiej stabilizować loty tego użytkownika, w podeszwach obu butów (1) ma on zamontowane kolejne dwa pędniki "główne", jakie tym razem przyciągają się z polem magnetycznym Ziemi. Dzięki takiemu układowi głównych i bocznych pędników magnetycznych, omawiany tu napęd bezgłośnie wynosi daną istotę w przestrzeń, pozwalając jej latać w powietrzu jak ptaki. Nadaje on jej też wiele innych atrybutów, jak np. indukcyjnie uodparnia on użytkownika na nasze kule, noże i szable. Powoduje też że świeci on lekko w locie, może chodzić po wodzie i po naszych sufitach, jest w stanie zupełnie zniknąć z widoku, itp. Użytkowników tego napędu "kule się więc nie mają" a ponadto mogą oni czynić niemal cuda - nic dziwnego że dawniej uważano ich za istoty "nadprzyrodzone". Dokładnie taki napęd używają istoty które dzisiaj nazywamy "UFOonautami", kiedyś zaś nazywano diabłami i diabolicami, zmorami, strzygami, chochlikami, itp. Wszewilki mają szczególny wkład w naszą dzisiejszą znajomość tego magnetycznego napędu osobistego. Wynałazł go bowiem ktoś kto urodził się właśnie na Wszewilkach, czyli ja - dr Jan Pająk. (Być może właśnie z tego powodu jakieś "diabły" tak zawzięcie prześladują tą wieś. Wszakże to jej mieszkańiec wydarł i odstłonił dla innych ludzi ich odwieczny sekret.) Dokładniejszy opis owego niezwykłego "magnetycznego napędu osobistego" zawarty jest w rozdziale E z tomu 2 monografii [1/5] upowszechnianej gratisowo za pośrednictwem niniejszej witryny internetowej. Jest on także opisany na licznych stronach internetowych, np. o nazwach oscillatory_chamber_pl.htm lub magnocraft_pl.htm.

Na kompletny kombinezon magnetycznego napędu osobistego typowo składają się: (1) buty których podeszwy zawierają wmontowane pędniki "główne" które stabilizują zorientowanie użytkownika podczas lotu (tzw. "zmory" zamiast w butach posiadają owe pędniki zamontowane w naramiennikach); (2) ośmio-segmentowy pas zawierający pędniki "boczne" które dostarczają siły nośnej; (3) jednoczęściowy kombinezon wykonany z materiału magnetorefleksyjnego, jaki obejmuje także kaptur (5) lub hełm - kombinezon ten

osłania użytkownika przed działaniem silnego pola magnetycznego generowanego przez pędniki; (4) rękawice z błonopodobnymi łącznikami pomiędzypalcowymi - rękawice te zabezpieczają przed bolesnym rozcapierzeniem palców odpychanych wzajemnie od siebie jak listki elektroskopu. Wszystko to uzupełnione jest kremem na bazie grafitu jaki okrywa odsłonięte części skóry dla zabezpieczenia ich przed działaniem silnego pola magnetycznego, oraz komputerem kontrolnym zamocowywanym z tyłu szyi, jaki odczytuje bioprądy użytkownika i zamienia je na działania napędowe. Kiedy cięższa praca musi zostać wykonana, dodatkowe bransoletki zawierające pędniki wspomagające mogą być nakładane na przeguby rąk (bransoletki te pokazane są jako (3) na rysunku E4 "a" z monografii [1/5]). Pędniki te kooperują z pędnikami z pasa i butów, dostarczając użytkownikowi napędu "nadprzyrodzonej" siły fizycznej, np. umożliwiającej mu wyrwanie dębów z korzeniami, unoszenie ogromnych głazów, powalanie budynków, itp.

W zilustrowanym powyżej napędzie osobistym na uwagę zasługuje jego komputer sterujący. Komputer ten przez UFOonautki noszony jest zwykle po jego nasadzeniu na tylną część szyi. W ten sposób ów komputer zbiera sygnały sterujące bezpośrednio z rdzenia kręgowego swojego posiadacza. Wystarczy więc że używająca go UFOonautka pomyśli iż chce wznieść się w górę, polecieć do przodu, czy położyć się na kims, zaś ów komputer sterujący natychmiast posłusznie realizuje jej polecenie. Stąd szybkie i posłuszne działanie owego komputera daje się ciężko we znaki ludziom (chłopcóm) którzy padają ofiarami tzw. "zmór", czyli miniaturowych rozwiązłych UFOnautek opisywanych powyżej tego rysunku (tj. w punkcie #H3 tej strony). Owe "zmory" również bowiem używają właśnie takiego napędu osobistego (z pędnikami głównymi w epoletach). Kiedy więc w przyпыwie rozwiązłości przytulają się one do Ziemiańina którego właśnie przyleciały zgwałcić, ów komputer odczytuje ich zamiar przytulenia jako rozkaz aby je przycisnąć do owego Ziemiańina. W rezultacie miniaturowa zmora która sama faktycznie waży zaledwie jakieś 20 kilogramów, przygniata od góry swoją ziemską ofiarę z siłą odpowiadającą ciężarowi około 50 do 100 kilogramów. W rezultacie ofiary owych "zmór" dosłownie "duszą" się pod ich technicznie zwielokrotnionym ciężarem i są w stanie oddychać tylko z największą trudnością.

Kolejnym interesującym podzespołem magnetycznego napędu osobistego pokazanego powyżej, jest pas z ośmioma "bocznymi" pędnikami magnetycznymi. Każdy z pędników owego pasa generuje pulsujące pole magnetyczne. Pulsacje tego pola w każdym pędniku posiadają 90 stopniowe przesunięcie fazowe w stosunku do pulsacji pola z pędników sąsiednich. W rezultacie taki ośmio-segmentowy pas formuje rodzaj wiru magnetycznego bardzo podobnego do wiru formowanego przez stojany tryfazowych elektrycznych silników asynchronicznych. Wir ten wiruje naokoło nosiciela danego napędu. Jeśli zaś moc owego wiru zostaje odpowiednio zwiększona, wówczas zaczyna on stanowić rodzaj pancerza indukcyjnego przez jaki nie daje się przebić żaden ludzki pocisk, nóż, czy inny rodzaj metalowego przedmiotu. To właśnie z powodu owego wiru magnetycznego formowanego wokół UFOnautów (kiedyś nazywanych "diabłami") w dawnych czasach twierdzono że owych diabłów "kule się nie imają". Dla własnego bezpieczeństwa UFOnautci posiadają ów wir magnetyczny włączony gdziekolwiek latają. Jego widocznym dla ludzi następstwem jest zwykle rodzaj wiru powietrza jaki uformowany zostaje przez wirujące pole magnetyczne. To właśnie ów wir powietrza wznieca na suchych polach słup wirującego kurzu, w folklorze ludowym Wszewilek nazywany "tańcującym diabłem".

Materiał dowodowy dokumentujący że UFOnautci używają dokładnie takiego magnetycznego napędu osobistego zaprezentowany został w rozdziałach R i T monografii [1/5]. Obejmuje on m.in. ślady kroczące wypalone we Wrocławiu przez pędniki z butów UFOnauty, przykłady obserwacji UFOnautów ubranych w taki napęd i unoszących się w powietrzu, oraz wiele innych grup materiału dowodowego.

* * *

Niezależnie od magnetycznego napędu osobistego, pędniki magnetyczne używane mogą też być w dyskoidalnych statkach kosmicznych. Dokładna zasada działania ziemskiej wersji tych statków opisywana jest pod nazwą "magnocraft_pl.htm" na całym szeregu stron internetowych dostępnych za pośrednictwem "Menu 2" i "Menu 4". Tak

nawiasem mówiąc to zasada działania owych dyskoidalnych statków kosmicznych jest dokładnie taka sama jak zasada działania opisanego powyżej magnetycznego napędu osobistego. Tyle tylko że zamiast w pasie i w podeszwach butów napędu osobistego, kuliste pędniki "boczne" tego dyskoidalnego statku zabudowane są w kołnierzu obiegającym statek naokoło, zaś pojedynczy pędnik "główny" zabudowany jest w samym centrum tego dyskoidalnego statku. W okolicach Wszewilek-Stawczyka efekty działania owych dyskoidalnych statków magnetycznych obserwowane były relatywnie często. Tyle że ludzie znali owe obserwacje i opisywali je pod zupełnie innymi nazwami, np. pod opowiadaniem o zobaczeniu ogromnego przezroczystego "grzyba", który w jakiś "nadprzyrodzony" sposób był w stanie nagle zniknąć z widoku - po przykład takiej właśnie obserwacji "grzyba" patrz podpis pod rysunkiem "Fot. #F2". (Tylko od relatywnie niedawna statki te opisywane są ogólną nazwą "wehikuły UFO".) Ponadto, ponieważ kosmiczni posiadacze owych wehikułów UFO faktycznie przybywają na Ziemię głównie w celach rabunkowych, w okolicach Wszewilek-Stawczyka działali oni przeważnie w środku nocy kiedy nikt ich nie był w stanie zobaczyć. Jeśli zaś zmuszeni byli działać we dzień, wówczas włączali specjalny sposób działania zwany "stanem telekinetycznego migotania" w jakim stawali się całkowicie niewidzialni dla ludzkich oczu. Jeśli więc ktoś napotkał się już koło Wszewilek na taki wehikuł UFO, zwykle widział jedynie efekty jego działania, nie zaś sam wehikuł. Efekty te zaś mogły przyjmować jedną z wielu form opisywanych powyżej w tym punkcie strony.

#H4. Czarny staw z Wszewilek:

Dawne Wszewilki miały swoje "dobre" miejsca. Najlepszym z nich był ów czakram energetyczny Milicza zlokalizowany jakieś 100 metrów na północ od obecnej tamy na Baryczy. Jednak miały one także i swoje "złe miejsca". Jedno z najbardziej notorycznych z takich "przeklętych" miejsc okolic Wszewilek, był tzw. "czarny staw". Pod nazwą "czarny staw" krył się głęboki dół w dawnym korycie Baryczy, tj. w korycie które istniało przed regulacją Baryczy na początku XX wieku. Dół ten zlokalizowany był jakieś 500 metrów na północny-wschód od tamy na Baryczy. Z jakichś powodów zaniechano jego zasypania podczas regulacji Baryczy na początku XX wieku. A ziemią wygoszparowaną podczas kopania nowego koryta Baryczy zasypanyo wówczas praktycznie niemal całe stare koryto Baryczy. W ten sposób na miejscu byłego koryta Baryczy uformowano wówczas relatywnie płaską i równą łąkę. Jednak owego dołu zwanego "czarnym stawem" nawet nie próbowano wówczas zasypać, chociaż jego zasypanie leżało w ówczesnych możliwościach technicznych. Staw ten wszakże nie był aż taki duży. Na oko miał jedynie około 50 metrów średnicy. W rezultacie, ów "czarny staw" pozostał aż do naszych czasów i straszyl wszystkich swoją obecnością w środku rozległych łąk, oraz swoją czarną jak smoła wodą. Z czasem wokół niego powyrastały drzewa, które tylko dodawały mu mroczności i tajemniczości. Z owego czarnego stawu zawsze promieniowała jakaś mroczna i ponura energia, która wywoływała dreszcze przerażenia u tych wszystkich jacy samotnie zbliżyli się do jego brzegów. Moi rodzice przez jakiś czas dzierżawili łąkę w jego pobliżu. Kiedy więc zmuszony byłem koło niego samotnie przechodzić, zawsze czułem się tam nieswojo. Budził we mnie ciarki przerażenia. Jeśli byłem sam, zawsze starałem się od niego oddalić tak szybko jak tylko mogłem. W stawie tym żyły jakieś duże ryby, czy też inne stwory. Woda bowiem często w nim aż się od czegoś gotowała. Jednak nie pamiętam aby ktokolwiek złowił tam jakąś rybę. A wielu próbowało, włączając w to również i mnie oraz moich kolegów podczas naszych licznych w młodości wypraw wędkarskich.

Najbardziej ponurym aspektem owego "czarnego stawu" było, że ludzie w nim umierali. Jedynie poprzez krótki okres czasu kiedy ja mieszkałem na Wszewilkach, tj. pomiędzy latami 1946 oraz 1964, wiadomo mi było o trzech życiach zabranych przez ten staw (czyli statystycznie umierał w nim ktoś co każde 6 lat). Pierwszą znaną mi ofiarą czarnego stawu była córka naszej sąsiadki na Wszewilkach-Stawczyku, niejaka Janka Bujakowa. Jankę coś podkusiło aby w obecności całej gromady kolegów (mnie wśród nich nie było - wiem o całym zajściu tylko z opowiadań innych), wypłynąć na ten staw na wiązce gigantycznego sitowia jakie tam rosło. A wcale przy tym nie umiała pływać. Oczywiście, po

wypłynięciu na środek owego mrocznego stawu, wiązka sitowia się pod nią rozwiązała, zaś Janka poszła w dół jak kamień. Nikt jej nie był w stanie pomóc. Po jakimś czasie staw sam wyrzucił jej zwłoki. Drugą ofiarą czarnego stawu o jakiej mi było wiadomo, to jakiś kajakarz z Milicza którego tożsamość nie była mi znana. Zdecydował się on popływać samotnie swoim kajakiem po tym stawie. Później znaleziono jego kajak i jego ciało. Trzecią ofiarą tego samego stawu o której jest mi wiadomym, był jakiś przechodni włóczęga, który zwyczajnie powiesił się na pasku z własnych spodni z gałęzi drzewa rosnącego na brzegu owego stawu. Ja, wraz z grupą innych ciekawskich gapiów z Wszewilek, widziałem zwłoki tego włóczęgi zanim milicja zdążyła je zdjąć z drzewa. Wisiał on w pozie jakby wpatrywał się w zafascynowaniu w coś zawartego w głębi stawu.

Ciekawe, że takie "miejsca nawiedzone złymi mocami" istnieją też w wielu innych rejonach świata. Jeszcze jedno podobnie śmiertelne miejsce, które znam osobiście i w którym także co jakiś czas ktoś umiera w raczej tajemniczych okolicznościach, jest opisane w punkcie #K1.9 strony internetowej [newzealand_pl.htm](http://newzealand.pl.htm).

Obecnie ów "czarny staw" z Wszewilek już nie istnieje. Został on zalany wodą ogromnego stawu rybnego który uformowano na całym tamtym terenie. Jednak miejsce w którym znajdował się ów "czarny staw" ciągle istnieje. Założę się, że miejsce to ciągle pochłaniać będzie dalsze ludzkie ofiary, jeśli ktoś przez nieostrożność do niego się zapędzi. Co zawsze ogromnie mnie dziwi, to że na Ziemi tajemnicze lub zbrodnicze śmierci wcale NIE przytrafiają się w przypadkowych lokacjach, a istnieją takie właśnie liczne "złe miejsca" w których notorycznie przytrafia się ludziom coś złego. Chińczycy twierdzą, że takie "przeklęte miejsca" posiadają "bad feng shui". Jednak przy dzisiejszym poziomie wiedzy takie wytłumaczenie nie jest już wystarczające. Czy więc Ty czytelniku masz jakąś własną teorię która by wytłumaczyła "dlaczego" i "jak" owo zło tam ludziom się przytrafia z częstotliwością wiele razy większą niż nakazują to prawa statystyki?

Część #1: Życie na dawnych Wszewilkach:

#11. Funkcjonowanie Wszewilek:

Wszewilki w latach 1945 do 1964 posiadały własny i to dosyć unikalny system społeczny. System ten działał na zasadzie samo-wystarczalności w obrębie wsi Wszewilki i to praktycznie niemal bez użycia pieniędzy. Zasadniczą jednostką wymienną w tym systemie był tzw. "odrobek", czyli oddawanie własnej robocizny w zamian za czyjąś ekspertyzę czy robocizną. Aby było jeszcze dziwniej, system ten używał jednostek "robocizny" jakie dzisiaj uważalibyśmy za co najmniej dyskusyjne. Przykładowo, za czyjąś pomoc przy młocce zboża odpłacało się "odrobkiem" w formie zwrotnej pomocy również przy młocce zboża. Nie miało przy tym znaczenia jak długo owe młocki trwały. W ten sposób np. moi rodzice u których młocka trwała maksymalnie około jednej godziny, łądownali odrabiając ją u kogoś, u kogo trwała ona powiedzmy 8 godzin. W dzisiejszych czasach system taki byłby nie do przyjęcia z uwagi na jego pozorną "niesprawiedliwość". Jednak w owych czasach uważany on był za całkiem normalny. Powodem takiego jego odbierania był fakt, że ów "odrobek" faktycznie nie był prostą formą "zapłaty" za wykonaną pracę, a raczej formą wymiany grzeczności i pomocy sąsiedzkiej w obrębie danej społeczności. W czasach zaś gdy robocizna wiejska była w deficycie, grzecznością stawało się wzajemne pomaganie sobie bez precyzyjnego wyliczania ile dokładnie to pomaganie jest warte w sensie monetarnym lub czasowym.

W owych czasach każdy mieszkaniec Wszewilek oprócz własnej rodziny należał też do całej społeczności Wszewilek i wypełniał w tej społeczności ściśle określoną rolę. Każdy też miał swoją funkcję społeczną, np. młynarz, piekarz, kowal, mechanik, elektryk, pielęgniarz. Społeczność taka jako całość działała równie sprawnie jak przysłowiony "szwajcarski zegarek". Wzajemne związki społeczne pogłębiane też były wówczas najróżniejszymi wspólnymi działaniami, takimi jak obowiązki komunalne, jesienne wspólne wypasanie krów na łąkach pod Baryczą (obecnie łąki te zalane są nowymi stawami), wspólne wypalanie łądyg ziemniaczanych, wspólne pieczenie marchwi i ziemniaków,

wspólny udział w zabawach i dożynkach, itp. Faktycznie Wszewilki z owych czasów ciągle były niewielką i doskonale zgraną społecznością wiejską działającą na dokładnie tej samej zasadzie jak takie społeczności działały zapewne w czasach słowiańskich czy średniowiecznych. Szkoda że nie dokonywano wówczas analiz zasad działania takiej społeczności, bowiem wiele zagadek społecznych z naszej przeszłości mogłoby dzięki temu zostać wyjaśnione.

Jak efektywne było działanie owej społeczności ujawnia system wewnętrznej informacji jaki w owym czasie był używany na Wszewilkach. System ten działał na bardzo prostej zasadzie "przeczytaj i podaj dalej". Jeśli więc cokolwiek powinno zostać podane do wiadomości całej wsi, osoba aktualnie pełniąca oficjalną funkcję sołtysa spisywała to na kartce papieru i puszczała w obieg. Kartka ta wędrowała potem od domu do domu czytana w każdym z nich i natychmiast podawana dalej przez kuriera którym w każdym z domostw był najszybszy biegacz (w naszym domu "kurierem" tym byłem ja). W rezultacie w około godzinę po puszczeniu kartki w obieg cała wieś znała już wiadomość na niej zawartą. Była to szybka, cicha, efektywna, niezawodna, oraz nieodnotowywalna dla postronnych metoda niemal natychmiastowego komunikowania się. Na głowę biła ona dzisiejsze metody poprzez telefony lub za pośrednictwem radia czy telewizji.

#12. Transport - czyli konie i kowale, oraz rowery:

Obecnie zapewne to szokuje, ale aż do czasu mojego opuszczenia Wszewilek w 1964 roku, zasadniczym sposobem transportu i przewozu towarów pozostawał tam zaprzęg koński. Koń pozostawał tam także zasadniczym dostawcą siły roboczej. Wziąwszy więc pod uwagę, że to ja wynalazłem najważniejszy i najbardziej zaawansowany statek kosmiczny naszej cywilizacji, który kiedyś wyniesie ludzkość do gwiazd (tj. magnokraft), w moim życiu nastąpił szokujący przełom. Niemal bowiem prosto z zaprzęgu końskiego używanego w dzieciństwie, w moim wieku dojrzałym przenieśliśmy się do myślenia w kategoriach możliwości i działania międzygwiazdowego magnokraftu.

Z uwagi na szerokie użycie koni, aż do około roku 1965 Wszewilki posiadały własnego kowala. Był nim Franciszek KORONNY, który również był oryginalnym zasiedleńcą Wszewilek. Jego obie córki, Krystyna i Halina, też kończyły te same LO co ja, tyle że były z nieco młodszego niż ja rocznika. Kowal ten prowadził swoją kuźnię w narożnym budynku jaki znajdował się po północno-wschodniej stronie rozgałęzienia się drogi przez Wszewilki od ulicy Krotoszyńskiej w Miliczu. Często wracając ze szkoły w Miliczu obserwowałem pracę tego kowala. Są mi więc relatywnie dobrze znane niuanse wykuwania i zakładania podkuw, chałupniczej obróbki stali, itp.

W owym czasie rowery były najbardziej powszechnym środkiem "transportu indywidualnego" na Wszewilkach (z braku publicznego). Każda rodzina miała co najmniej jeden rower. Każdy też używał go praktycznie do wszelkich okazji. Faktycznie to moja generacja mieszkańców Wszewilek dałaby się nazywać "rowerową generacją". Obszar zasięgu rowerów był wówczas dosyć duży. Czasami przekraczał on 30 kilometrów. Przykładowo, ja sam bardzo często wybierałem się rowerem aż poza Żmigród, wracając do domu ciągle tej samej doby (choć już późną nocą). Oczywiście, używając rowery na codzień, każdy z moich rówieśników nabywał mistrzostwa w ich użyciu. Stąd umiejętności ówczesnych rowerzystów były tak znakomite, że obecnie nadawałyby się do pokazania w cyrku.

#13. Cel gospodarowania - czyli Wszewilki jako pierwowzór dla totalizycznej ekonomii:

Na odrębnej stronie internetowej o filozofii totalizmu wyjaśnione zostało, że cele totalizmu są odmienne od celów filozofii która dzisiaj panuje na Ziemi, a którą totalizm nazywa "pasożytnictwem". Dla wyznawców owego pasożytnictwa, celem każdej działalności ludzkiej jest maksymalizacja korzyści tych co działalność ową nadzorują, czyli maksymalizacja zysków, maksymalizacja ekonomicznej eksploatacji tych co działania te wykonują, wytworzenie produktu który przy najgorszej jakości uzyska najwyższą cenę, itp. Tymczasem dla wyznawców filozofii totalizycznej celem każdej działalności jest maksymalizowanie generowania energii moralnej, czyli czynienie wszystkiego wyłącznie w

sposób moralny, powiększanie szczęścia i osobistej satysfakcji ludzi którzy w owym działaniu biorą udział, wytwarzanie produktu o możliwie najwyższej jakości powiększającej satysfakcję konsumentów i producentów - nawet jeśli następuje to kosztem maksymalizacji zysków, itp. W Polsce opisywanego tu okresu lat 1946 do 1964, cele gospodarowania ludzi na wsi Wszewilki były właśnie całkowicie zgodne z owymi celami totalizmu, oraz zupełnie odmienne niż są obecnie. Faktycznie też zupełnie z tego nie zdając sobie sprawy, Wszewilki stworzyły wówczas sobą pierwowzór dla tzw. "totaliztycznej ekonomii" (tj. ekonomii której cele są zgodne z celami filozofii totalizmu). Oczywiście, ówczesni mieszkańcy Wszewilek wcale nie wiedzieli, że formują fundamenty dla przyszłościowej ekonomii totalizmu. Oni po prostu starali się być w swoich działaniach moralni, "samowystarczalni", efektywni, oraz starali się maksymalizować jakość życia i poziom szczęśliwości własnej rodziny. Wszakże należy pamiętać, że w owym czasie Polska nastawiona była na zaspokajanie swoich potrzeb żywnościowych poprzez bazujące na wspólnocie pierwotnej tzw. "obowiązkowe dostawy", a nie poprzez kapitalistyczny skup. Każdy rolnik, zależnie od posiadanej powierzchni uprawnej, był wówczas zobowiązany do dostarczenia państwu określonej ilości zboża, mięsa, mleka, itp. Ceny zaś obowiązkowo dostarczanej żywności wcale wtedy nie odpowiadały ilości pracy włożonej do jej wyprodukowania. W rezultacie rolnikom wcale nie opłacało się sprzedawać nadwyżek produkcji rolnej. Raczej spożytkowywali te nadwyżki do podnoszenia jakości i szczęśliwości własnego życia.

Z powodu przyjmowania "samowystarczalności" jako głównego celu ówczesnego gospodarowania, każdy rolnik starał się sam wyprodukować wszystko co mu było potrzebne do życia. Ponieważ każdy potrzebował chleb, wszyscy rolnicy uprawiali wówczas zboże. Zresztą musieli to czynić, bowiem zboże należało do wykazu obowiązkowych dostaw. Rolnicy musieli więc oddawać je państwu, nawet jeśli przychodziło im je zakupić od kogoś innego (po znacznie droższej cenie). Woleli więc je sami wyprodukować. Podobnie każdy rolnik potrzebował ziemniaki, mięso, mleko i jajka. Każde gospodarstwo rolne uprawiało więc wówczas własne pole ziemniaczane, oraz hodowało własne świnie, krowy i kury. W rezultacie budynki każdego gospodarstwa rolnego owego czasu wyglądały jak miniaturowe "ogrody zoologiczne" zwierząt domowych, lub jak "Arka Noego". Znaleźć bowiem w nich było można niemal każde zwierzę domowe. Z kolei pola każdego gospodarstwa wyglądały jak "ogrody botaniczne" z mieszaniną wszystkich możliwych roślin uprawnych. Oprócz wszystkim dobrze znanych wad i niedogodności takiego sposobu gospodarowania (np. ogromu pracy którą ówczesni rolnicy wkładali w swoje gospodarstwa), owa "samowystarczalność" miała także i swoje zalety. Przykładowo ziemia wówczas była wykorzystywana ogromnie efektywnie. Ponadto produkowana żywność była nieporównanie zdrowsza i smaczniejsza niż teraz - wszakże "dla siebie" żywność produkuje się zupełnie inaczej niż "na sprzedaż". Nie wspomnę tu już faktu, że zwierzęta gospodarcze w owym czasie traktowane były jak członkowie rodziny.

* * *

W latach 1946 do 1964 na Wszewilkach nie było nawet jednego kombajnu zbożowego. W rezultacie całe zboże pozyskiwane tam było tradycyjnym cyklem. Mianowicie najpierw je koszone, w dużej części zwykłą kosą, a co najwyżej konna kosiarką. Potem je zwożono do zabudowań i układano albo w tzw. "stogu", albo też w stodole. W końcu przychodziła młocka. Młócenie było najważniejszym dorocznym wydarzeniem w każdym gospodarstwie. Było ono zawsze publiczne. Wszakże aby obsłużyć maszynę do młócenia koniecznych było kilkudziesięciu ludzi, którymi zwykle byli sąsiedzi pracujący na zasadzie "odrobku". Po wymłóceniu zboża wszyscy ci ludzie tradycyjnie zapraszani byli na "obiad". Obiad taki przygotowywano w stylu "czym chata bogata", czyli podawane na nim były potrawy na jakie dane gospodarstwo było stać. Nie w każdym przypadku było to coś wyszukanego. Zwykle rosół z własnej kury podawany z domowym makaronem, oraz potem drugie danie z duszonych ziemniaków podawanych z kawałkiem mięsa. Do popicia był kompot z własnych owoców a czasami także domowej roboty "piwo". Jednak owe obiady były ogromnie popularne i atrakcyjne z innych względów, tj. nie z powodu jedzenia. Były one bowiem forum na którym wszyscy wymieniali się ciekawostkami i informacjami. To

m.in. podczas właśnie takich obiadów wszyscy dowiadywali się ciekawostek typu tych opisywanych na niniejszej stronie.

#14. Rodzina:

Nie tylko szkoła jest obecnie inna. Inne są także modele rodziny. Przykładowo zupełnie odchodzi się od tradycyjnego modelu ojca jako "głowy rodziny" i "żywiciela rodziny", a przechodzi na model "rodzinnej demokracji". Tymczasem w czasach jakie tutaj omawiam, tradycyjny model rodziny był ciągle ogromnie silnie zakorzeniony. Przykładowo kobieta na Wszewilkach nie ubrałaby wówczas spodni, bowiem to był "męski" ubiór. Nie usiadłaby także po lewej stronie kościoła, ani nie wyszła na ulicę bez chustki na głowie. Z kolei mężczyzna nie ugotowałby obiadu, bowiem to była "kobieca praca". Nie usiadłby też po prawej stronie kościoła, bo ta była "dla kobiet". Pamiętam jak kiedyś moja matka miała za złe ojcu, że ten kazał jej powozić zaprzęgiem konnym. Chociaż bowiem matka doskonale umiała sobie radzić z koniem (jej własny ojciec był przecież zawodowym koniuszym), ciężko się wówczas na ojca obruszyła, bowiem jak stwierdziła "inni pomyślą że nie mam męża bo sama muszę wykonywać męską pracę".

* * *

Dzisiaj coraz więcej ludzi boi się wyjść do lasu. Wszakże są tam kleszcze, zarośla, źli ludzie, dzikie zwierzęta, itp. Tymczasem w latach mojej młodości las był naszym drugim domem. Najważniejszą zaś okazją do codziennego udawania się do lasu były jesienne grzybobrania. W owych czasach praktycznie każdego jesiennego dnia wychodziło się na grzyby do wszewilkowskich lasów. A grzybów było tam istnie zatręśienie.

* * *

W omawianym tutaj okresie (1946 do 1964 rok) wybór produktów spożywczych jakie wówczas były do dyspozycji przeciętnego mieszkańca Wszewilek, był nieporównanie mniejszy niż obecnie. Składało się na to wiele przyczyn, z których najważniejsza jest owa "samowystarczalność". Jeśli więc czegoś wówczas nie dało się samemu wyhodować i wykonać, to się tego nie jadło. Pieniądzy niewiele było wtedy w obiegu, zaś te co były wydawano ogromnie rozważnie. Z żywności praktycznie więc zakupowało się tylko najbardziej niezbędne produkty, takie jak sól, tłuszcze (najczęściej margarynę i tzw. "ceres"), marmoladę, cukier, substytut kawy (tj. palony jęczmień), oraz czasami chleb którego trudno było upiec we własnym domu (choć w owych czasach ludzie faktycznie ciągle czasami piekli chleb w swoich domach). Przykładowo jak sadzić pomidory aby te dawały owoce w zimnym klimacie Wszewilek, rolnicy tej wsi nauczyli się dopiero około 1955 roku. Przed ową datą nikt we Wszewilkach nie znał smaku pomidorów.

#15. W dawnych Wszewilkach wszystkie zwierzęta domowe miały imiona i były traktowane jak członkowie rodziny:

W czasach które tutaj opisuję ludzie traktowali swoje zwierzęta domowe niemal jak członków rodziny. Przykładowo, każde zwierzę domowe miało wówczas własne imię (a nie - jak obecnie, jedynie numer wpięty w ucho, czy nawet zupełną bezimiennność). Ja do dzisiaj pamiętam imię ulubionej krowy-żywicielki moich rodziców którą nazywaliśmy "Bestra". O każde też zwierzę domowe wówczas też się dbało jak o człowieka, znaczy upewniało się nie tylko że jest syte i napojone, ale także że ma ciepłe i suche miejsce do spania, że nie jest chore, że jego wszelkie inne potrzeby są zaspokojone, itp.

Powyższe nabiera szczególnego znaczenia w świetle informacji opublikowanych w artykule "A happy cow is one called Daisy or Buttercup" (tj. "Szczęśliwa krowa jest to krowa zwana "Stokrotka" lub "Maślica") ze strony A2 gazety The New Zealand Herald, wydanie z piątku (Friday), January 30, 2009. Artykuł ten opisuje wyniki badań nad "psychologią zwierząt domowych" przeprowadzonych w Anglii. Badania te wykazały, że przykładowo krowy do których ich właściciele zwracają się przez imię, dają rocznie przeciętnie o 284 litrów mleka więcej niż krowy NIE posiadające swojego imienia. Ponadto mleko od krów posiadających imię jest smaczniejsze, pożywniejsze i zdrowsze od mleka nienazwanych krów. W świetle powyższego nie powinno nikogo dziwić, że wszelka żywność produkowana chałupniczo w dawnych Wszewilkach smakowała wówczas

wielokrotnie lepiej niż smakuje dzisiejsza żywność kupowana w supermarketach.

Tamte badania angielskie dodatkowo potwierdzał też rolniczy program telewizyjny który oglądałem kilka lat temu w Nowej Zelandii. Program ten relacjonował o jakimś fryzjerze który zdecydował się zmienić zawód i stać się hodowcą owiec. Swoje owce ów były fryzjer traktował w taki sam sposób jak uprzednio czynił to z klientami swego zakładu fryzjerskiego. Mianowicie, często wychodził do nich na pastwisko i sobie z nimi "rozmawiał". Ponadto od czasu do czasu fundował im przyjemne kąpiele w których dokładnie mył i pielęgnował ich wełnę. Rezultat był taki że jego owce dawały wełnę wielokrotnie cieńszą, delikatniejszą i doskonalszą od wełny dawanej przez normalne owce tej rasy. Jego wełna sprzedawana więc była za słone pieniądze jako że ubiegali się o nią wytwórcy najbardziej ekskluzywnych ubrań i mody.

Część #J: Zagrożenia i obowiązki obywatelskie we Wszewilkach:

#J1. Warty i inne obowiązki obywatelskie:

Niezależnie od uprawiania roli, mieszkańcy wszystkich wsi w Polsce, w tym wsi Wszewilki, musieli w owym czasie wypełniać najróżniejsze "obowiązki obywatelskie". A obowiązków tych było dosyć sporo. Oprócz bowiem takich, które spadały wówczas na barki wszystkich Polaków, czyli np. obowiązek powszechnej służby wojskowej, obowiązek udziału w ćwiczeniach samoobrony, czy obowiązkowe szczepienia medyczne, mieszkańcy wsi posiadali także unikalne dla nich obowiązki obywatelskie. Najbardziej powtarzalne i rygorystycznie egzekwowane z nich obejmowały: (1) obowiązek nieustannego czyszczenia i utrzymywania rowów irygacyjnych, (2) tzw. "warty obywatelskie", (3) chodzenie "za stonką", (4) obowiązki szczepienia psów (np. w przypadku przyłapania kogoś że posiadał psa ale go nie zaszczepił, pies zostawał zarekwirowany i odsyłany do rakarni z przeznaczeniem na mydło).

Z powyższych obowiązków, najistotniejsze, a także najlepiej spełniające swoje zadanie, były "warty obywatelskie". Polegały one na tym, że każdej nocy inna para dorosłych mieszkańców Wszewilek patrolowała całą wieś i gotowa była przyjść innym z pomocą w razie jakichś kłopotów. Warta taka wyposażona była bowiem w trąbkę, tak że mogła podnieść głośny alarm i w przeciągu minut zbiegała się do niej cała wieś. Miała także oficjalną chorągiewkę, była więc upoważniona do zatrzymywania i sprawdzania tożsamości wszystkich podejrzanych. Faktycznie też to właśnie taka warta obywatelska uratowała życie mojej własnej rodzinie. Nasz dom stał bowiem na uboczu - nieco z dala od innych zabudowań wioski. Łatwo mógł więc paść ofiarą owych licznych wówczas band które opisuję w punkcie #M1 poniżej. A bandy te miały brzydki zwyczaj, że najpierw pod groźbą uśmiercania wymuszały one od mieszkanców napadniętego domu wszystko co tylko w domu tym było wartościowego, potem zaś dla usunięcia świadków i dla zatarcia śladów ciągle mordowały one mieszkańców tego domu. Sam dom zaś puszczały z dymem. Którejś też nocy wkrótce po wojnie, kiedy jeszcze nie było mnie na świecie, na nasz dom faktycznie napadła właśnie taka banda maruderów rosyjskiej armii. Na szczęście mój starszy brat zdołał wymknąć się przez okno bez zostania przez nich dostrzeżonym (i zastrzelonym). Zaalarmował on właśnie ową wartę obywatelską. Warta zaś zaalarmowała resztę wsi. Wkrótce więc owa banda maruderów miała całą wieś gromadzącą się pod oknami naszego domu. Sytuacja stała się poważna. Szykowała się strzelanina. Wszakże podobne bandy wcześniej zamordowały już kilku ludzi we Wszewilkach i okolicznych wsiach, oraz spaliły kilka domostw. W przypadku gdyby zostali pojmاني, zapewne natychmiast powieszono by ich na gałęzi najbliższego drzewa, lub w najlepszym przypadku oddano przedstawicielom władz rosyjskich, którzy z kolei bez ceregieli by ich rozstrzelali. Z drugiej strony bandyci ci zawsze byli uzbrojeni po zęby i w przypadku konfrontacji zastrzeliliby wielu niewinnych ludzi. Na szczęście maruderzy tym razem nie zaryzykowali otwarcia ognia, a wybrali ucieczkę. Nikt ich nie zatrzymywał, bowiem w ten sposób obeszło się bez rozlewu krwi. Z kolei owa banda nauczona przykrym doświadczeniem nie zaryzykowała już potem aby powrócić ponownie którejś następnej nocy.

#J2. Chodzenie za stonką:

Dla mnie osobiście najciekawsze z owych obowiązków obywatelskich było "chodzenie za stonką". Dla "wart obywatelskich" byłem bowiem jeszcze zbyt młody. Jednak za stonką pozwalano mi chodzić. Ja zaś lubiłem to czynić. Zawsze więc brałem w tym udział z największym entuzjazmem. Powodem tego było, że po zakończeniu uważnego przeglądania pól ziemniaczanych całej wsi Stawczyk, nasza grupa poszukiwawcza zwykle zasiadała w cieniu pachnących lip rosnących wokół przedwojennej (spalonej) leśniczówki ze wsi Stawczyk, zaś starsi uczestnicy tej grupy zaczynali długie opowiadania i dyskusje na każdy możliwy temat. Ja słuchałem owych opowieści i dyskusji z zapartym tchem, zaś sporo informacji przytoczonych na niniejszej stronie, a także na stronach o nazwach stawczyk.htm, bitwa_o_milicz.htm, sw_andrzej_bobola.htm, milicz.htm, wszewilki_milicz.htm, czy wszewilki_jutra.htm, wywodzi się właśnie z tamtych opowieści starszych mieszkańców Stawczyka.

Sam obowiązek obywatelski "chodzenie za stonką" wywodził się z twierdzenia ówczesnych władz Polski, że Amerykanie jakoby skrycie rozsiewają szkodliwe owady aby osłabić siłę ekonomiczną krajów ówczesnego "bloku warszawskiego". Jedną z form tego osłabiania miało jakoby być rozsiewanie samolotami ogromnie niszczyielskich dla ziemniaków owadów zwanych "stonką ziemniaczaną". W owym bowiem czasie Polska była całkowicie wolna od tych niszczyielskich owadów. Stonka zaś była w stanie dokumentnie zniszczyć plony ziemniaków i sprowadzić głód na cały kraj i naród. Stąd, dla zorganizowania obrony przed zbombardowaniem tymi owadami, w całej Polsce organizowane było wówczas systematyczne przeszukiwanie pól ziemniaczanych nastawione na wczesne wykrycie i zniszczenie zarodków tych owadów tam gdzie by się pojawiły. Warto tu dodać, że angielska nazwa dla "stonki ziemniaczanej" brzmi "Colorado beetles". Muszę też przyznać że te poszukiwania stonki były bardzo dokładne. Brały w nich udział bystroocy ludzie którzy czasami dla zabawy byli zdolni do wypatrzenia i do policzenia nawet wszystkich maleńkich biedronek jakie znajdowały się na danym polu ziemniaczanym. Dokładnie też pamiętam okoliczności kiedy owa stonka w końcu pojawiła się w Stawczyku. Zamiast bowiem najpierw pojawić się w jednym lub kilku małych skupiskach - tak jak by tego należało się spodziewać po przylatujących z wiatrem owadach, owa stonka pojawiła się masowo na wszystkich polach naraz. Znaczący podczas całego szeregu kolejnych poszukiwań stonki nie dało się znaleźć w Stawczyku nawet jednego jej owada, potem zaś w następnym poszukiwaniu nagle się okazało że wszystkie pola ziemniaczane Stawczyka są aż czerwone i aż się ruszają od masy czerwonych gąsiennic tego żarłocznego owada. Pojawienie się stonki było więc aż tak nagłe i aż tak masowe, że NIE dało się go już odizolować i zneutralizować.

Kiedy więc stonka raz tak masowo się pojawiła i zadomowiła w Stawczyku, NIE było już fizycznej możliwości aby jej się pozbyć. Zaprzesano więc wówczas jej dalszych poszukiwań, zaś każdy z rolników został pozostawiony sobie samemu aby z nią walczyć. Wszakże walczyć z nią musiał, bowiem żarłoczność tej stonki była aż tak duża, że była ona w stanie całkowicie zniszczyć wzrost ziemniaków, a w ten sposób sprowadzić głód na daną rodzinę rolników.

Część #K: Edukacja w dawnych Wszewilkach:

#K1. Szkoła:

W latach 1946 do 1964 szkoła i nauka były całkowicie odmienne od tych jakie istnieją w obecnych czasach. Różnic pomiędzy dawną i obecną szkołą jest wiele. Jako zawodowy nauczyciel potrafię je nawet dokładnie zdefiniować i opisać. Wyliczmy więc teraz najważniejsze z nich. Oto one:

1: Poziom. Na przekór tego co wielu ludzi prywatnie uważa, poziom wiedzy i nauczania był wówczas znacznie wyższy niż obecnie. W 2008 roku słyszałem o eksperymencie przeprowadzonym w Anglii, a polegającym na odtworzeniu szkoły średniej z

tamtego czasu, oraz poddaniu jej uczni egzaminom i pytaniom historycznie wyszukanych z dokumentów owego czasu. Na przekór też że w eksperymencie tym brali udział najlepsi uczniowie z wielu szkół Anglii, okazało się że ich wiedza była szokująco płytka w porównaniu z wiedzą uczeni tamtych lat. Szokującą prawdą bowiem jest, że począwszy od około 1975 roku, kiedy to nasza cywilizacja przeżyła swój szczytowy poziom intelektualny, poziom wiedzy u dzisiejszych ludzi i młodzieży nieustannie się obniża. Głównym zaś powodem tego obniżania się poziomu wiedzy okazuje się ... telewizja. Telewizja zamienia bowiem myślących i aktywnie poszukujących wiedzy ludzi w bezmyślnych zabawianych. Moje analizy obecnego i dawnego poziomu nauczania opisałem także w punktach #E1 i #E2 strony rok.htm.

2: Metody dyscyplinowania i motywowania dzieci. Metody używane w czasach mojego uczęszczania do szkoły opisane są z dużą dozą żalu w doskonałym artykule "Teachers too soft on students?" (tj. "Nauczyciele zbyt łagodni wobec uczniów?") ze stron 6 i 7 malezyjskiej gazety New Sunday Times, wydanie z niedzieli, August 1, 2010. Artykuł ten jest dosyć wymowny, bowiem jak każdy kraj południowo-wschodniej Azji, w teorii Malezja nadal praktykuje zdecydowane dyscyplinowanie dzieci. Przykładowo, w jej szkołach niedyscyplinowani uczniowie mogą nawet być potraktowani różgą. Jednak w praktyce, niestety, nawet w Malezji nauczyciele nie są już w stanie dłużej opierać się terroryzmowi rozhisteryzowanych matek i wpływowych ojców, którzy mszczą się na nauczycielach jacy próbują dyscyplinować ich rozpieszczone (a także wysoce rozwydrzone) pociechy. Do metod dyscyplinowania i motywowania uczeni opisanych w owym artykule należą: (1) pociągnięcie lub ukręcanie ucha, (2) uderzenie linijką lub różgą w dłoń lub w tyłek, (3) klaps w głowę lub uszczypnięcie w brzuch, (4) obrzucenie kredą lub gąbką, (5) publiczne wyśmianie i poniżenie przy tablicy, (6) postawienie na krześle, (7) postawienie w kącie klasy, (8) wykonywanie nakazanej liczby przysiadów lub "pompek", (9) nakaz obiegnięcia szkolnego boiska określoną liczbę razy, (10) klęczenie na oczach całej klasy, (11) wyproszenie z klasy, (12) zostawanie po lekcjach, (12) pisanie setek powtórzeń tego samego zdania, (13) zawieszenie, (14) przeniesienie do innej szkoły. Niemal wszystkie z powyższych kar i metod motywowania stosowane były w czasach kiedy ja chodziłem do podstawowej szkoły. Wiele z nich ciągle mogłoby być stosowane w dzisiejszych czasach - gdyby tylko rodzice i politycy zaniechali owej niszczycielskiej hysterii z jaką traktują dyscyplinowanie ich rozwydrzonych pociech.

Niestety, w dzisiejszych czasach na niemal już całym świecie zabronione jest stosowanie w nauczaniu całej tej gamy wysoce efektywnych metod motywowania do nauki i do moralnego postępowania, jakie ciągle były powszechnie używane w omawianych tutaj czasach. Ja na własnej skórze doświadczyłem korzyści owych metod i doskonale zdaję sobie sprawę jak wiele nasza cywilizacja traci z powodu ich dzisiejszego zarzucenia w imię jakichś niedowiedzionych "praw dzieci", oraz na przekór licznych stwierdzeń Biblii (których prawdy ja wielokrotnie doświadczyłem na sobie samym), np. że "Sprawiedliwy się cieszy, kiedy widzi karę" (Biblia, Księga Psalmów 58:11), czy że "Nie kocha syna, kto różgi żałuje, kto kocha go - w porę go skarci" (Biblia, Księga Przysłów 13:24). Przykładowo, obecnie jest już zupełnie zabronione "wyszydzanie" oraz "wyśmiewanie" uczeni przed tablicą. Zabronione jest też stosowanie "kar cielesnych", pozostawianie "po lekcjach" za karę, itp. Na przekór powszechnej obecnie opinii na temat zarzucenia tamtych dowiedzionych w działaniu metod, moja filozofia totalizmu oraz doświadczenie życiowe mi podpowiadają, że w przyszłości okaże się to fatalnie szkodliwe dla naszej cywilizacji i to z aż całego szeregu istotnych powodów. Wszakże przykładowo ignoruje to trenowanie dzieci we wsluchiwanie się w podszepty ich własnego przeciw-organu zwanego "sumienie". Z biegiem więc czasu niektóre z takich dzieci zamieniają się w rodzaj "potworów" które nauczyły się ignorować podszepty swego sumienia. Nie potrafiąc zaś wysłuchać swego sumienia, nie będą one w stanie odróżnić moralnego od niemoralnego, dobrego od złego, itp. Zamiast więc na ludzi czujących na krzywdę i niesprawiedliwość, niektóre z nich wyrosną na samolubne potwory i pasożyty przesiąknięte znieczulicą społeczną i zdolne do każdej podłości. Innym istotnym powodem jest, że zaniechanie tych metod w nauczaniu ignoruje nakazy i zalecenia wychowawcze przekazane nam przez samego Boga w autoryzowanej przez Boga Biblii. Z

kolei ignorowanie metod wychowawczych zalecanych nam w Biblii przez samego Boga prowadzi do sytuacji opisywanej w punkcie #B5.1 z totalitycznej strony will_pl.htm - kiedy to całe społeczeństwo trzymane jest w szachu przez jego rozwydrzoną młodzież.

3: Postawy. Dzisiejsi uczniowie i studenci wykazują zupełnie odmienne postawy niż te obserwowane u uczni omawianego tu czasu. Gdybym miał je opisać, stwierdziłbym że obecne postawy są bardziej pasywne, egoistyczne, niecierpliwe, oraz nastawione na chwilę obecną (jak przeciwieństwo nastawienia na przyszłość).

Fot. #K1 (M4 w [10]): Szkoła podstawowa we Wszewilkach. Fotografia wykonana w lipcu 2004 roku. To w tym budynku szkolnym uczęszczałem do trzeciej klasy szkoły podstawowej w roku szkolnym 1955 do 1956 - czyli w pierwszym roku otwarcia tej szkoły po wojnie. Moją nauczycielką była tam wówczas m.in. Pani Stanisława Borejko (zmarła w latach 1980-tych). Była ona dobrą koleżanką Pani Bronisławy Krzywickiej - czyli mojej poprzedniej nauczycielki języka polskiego z klas pierwszej i drugiej do jakich uczęszczałem w Szkole Podstawowej nr 1 w Miliczu - która dożyła sędziwego wieku niemal 100 lat.

Część #L: Rozrywki w dawnych Wszewilkach:

#L1. Dyngus na Wszewilkach:

Jeśli gwałtownie przyspieszyć linie sił pola magnetycznego, wówczas otrzymuje się nowy rodzaj pola nazywanego "polem telekinetycznym". Owa nazwa "pole telekinetyczne" wynika z faktu, że pole to powoduje powstanie niezwyklej formy ruchu, popularnie zwanej "telekineza". Ów ruch telekinetyczny drastycznie różni się od ruchu fizycznego. Występuje on przykładowo podczas tzw. "lewitacji" - czyli wznoszenia w powietrze samego siebie siłą własnego umysłu. To właśnie ruch telekinetyczny powoduje uginanie się różdżek radiestezyjnych podczas poszukiwania wody. To także ów ruch powoduje uzdrawianie podczas seansów uzdrowicielskich. Więcej na temat "ruchu telekinetycznego" opisane jest w podrozdziale H6.1 z tomu 4 monografii [1/5] dostępnej za pośrednictwem niniejszej strony internetowej. Krótki opis ruchu telekinetycznego zawarty jest również na stronie internetowej o koncepcie Dipolarnej Grawitacji.

Niezwykłością ruchu telekinetycznego jest, że jeśli zadziała on na niektóre substancje, np. na wodę, wówczas powoduje on ich "trwałe natelekinetyzowanie". Natelekinetyzowanie to m.in. objawia się obecnością w/w "pola telekinetycznego" w natelekinetyzowanej substancji. Dokładniejsze opisy na czym polega owo natelekinetyzowanie zawarte są w podrozdziałach H8.1 oraz KB1 monografii [1/5]. Niektóre natelekinetyzowane substancje wykazują cały szereg unikalnych własności. Przykładowo odpowiednio natelekinetyzowana woda może powodować nawet do 12-krotnie szybszy wzrost podlewanych nią roślin. Ponadto, w przypadku jej wypicia, przywraca ona zdrowie - podobnie jak zdrowie przywracają też telekinetyczne zabiegi lecznicze uzdrowicieli. To dlatego taką natelekinetyzowaną wodę mitologie nazywają "wodą życia".

Wodę można telekinetyzować aż na kilka sposobów opisywanych w w/w podrozdziałach monografii [1/5]. W jednym jednak przypadku woda telekinetyzuje się samorzutnie. Ma to miejsce wtedy, gdy woda ta powstaje poprzez topnienie śniegu. Taka naturalnie natelekinetyzowana woda powstała poprzez stopienie śniegu również oznacza się wieloma unikalnymi cechami, włączając w to zdolności uzdrowicielskie. (To właśnie z tego powodu ludzie którzy mieszkają wysoko w górach, gdzie niemal przez cały czas piją wodę z topniejącego śniegu, żyją o wiele dłużej od innych ludzi.) Dawni ludzie doskonale wiedzieli o owych własnościach wody ze stopionego śniegu. W czasach więc kiedy następowało masowe topnienie śniegu, organizowali oni najróżniejsze rodzaje ceremonii oblewania się tą leczniczą wodą. Wypracowali też najróżniejsze zwyczaje, tradycje i wierzenia, jakie nakazywały wszystkim ochocze poddawanie się temu lodowatemu zwyczajowi. Ceremonie owe i zwyczaje przetrwały częściowo aż do dzisiejszych czasów w formie tradycji "dyngusa". (Ów "dyngus", nazywany również "lanym poniedziałkiem" -

ponieważ zawsze ma miejsce w wielkanocny poniedziałek, to po prostu ludowy obyczaj oblewania wszystkich dookoła siebie lodowatą wodą.)

W latach mojej młodości dyngus był obchodzony na Wszewilkach szczególnie pieczołowicie. Faktycznie to prowadzone były tam prawdziwe "wodne wojny" pomiędzy chłopcami mieszkającymi na Wszewilkach-Stawczyku oraz chłopcami z Wszewilek. Niemal też każdy mieszkaniec Wszewilek zmoczony bywał podczas dyngusa do suchej nitki. Być może była to jedna z przyczyn, dla której kiedyś mieszkańcy Wszewilek byli tacy zdrowi i odporni na choroby.

Odnótuj, że istnieje też odmienna strona nazywana "uzdrawianie" w której opisane są najróżniejsze dziwne sposoby ludowe na poprawianie zdrowia i na leczenie typowych chorób.

#L2. Dożynki:

Tzw. prawa moralne wyraźnie stwierdzają, że "jeśli chce się coś otrzymać, wówczas należy o to ładnie poprosić". Z kolei "jeśli już coś się otrzyma, wówczas należy za to grzecznie podziękować". Dawni ludzie doskonale wiedzieli o działaniu tych praw. Ponieważ zaś ich przeżycie zawsze uzależnione było od plonów jakie dawały ich pola, nasi przodkowie zawsze przykładali dużo uwagi aby ładnie poprosić o dobre plony wszystkich tych od których plony owe zależały. Kiedy zaś plony takie już uzyskali, przodkowie upewniali się aby za nie ładnie podziękować. Ponieważ zaś owo proszenie o dobre plony przyszłości oraz dziękowanie za plony już otrzymane zawsze odbywało się w sposób publiczny i to z wielką pompą, z czasem wykształciła się z niego szczególna odmiana "święta plonów", która w dzisiejszych czasach nazywa się "dożynki".

"Dożynki" to nazwa przyporządkowana do polskiej wersji "święta plonów". W pogańskich czasach były one celebrowane w dniu przełomu lata w jesień, czyli około 23 września. Jednak po nastaniu chrześcijaństwa przesunięto je na wcześniejszą datę, zwykle na drugą połowę sierpnia. Dożynki były obchodzone na Wszewilkach aż do około 1955 roku. Potem ich tradycja upadła. Obecnie prawdopodobnie mieszkańcy Wszewilek nie bardzo wiedzą co to takiego. A szkoda, bo prawa moralne wcale w międzyczasie się nie zmieniły. Jeśli więc ludzie zapomną prosić o plony tego od kogo plony te zależą, zaś po ich otrzymaniu zapomną za nie podziękować, pewnego dnia albo ziemia może przestać rodzić, albo też plon jaki urodziła może ulec zniszczeniu.

Jak ciągle pamiętam, ostatnie dożynki na Wszewilkach, które miały miejsce około 1955 roku, głównie sprowadzały się do uroczystego wręczenia wieńców produkującym rolnikom. Wręczeniu temu towarzyszyły też pokazy tańców ludowych w wykonaniu młodych mieszkanki Wszewilek (tj. dziewcząt o kilka lat starszych ode mnie). Potem zaś zaczęła się huczna zabawa ludowa. Moi rodzice nie przynależeli do kategorii "rolników", stąd nie otrzymali takiego wieńca. Nie jestem więc pewien co we Wszewilkach z owymi wieńcami czyniono. Wiem jednak, że w innych wioskach wieńce te po otrzymaniu rolnicy wieszali w oborach, gdzie wisiały one aż do następnych dożynek. Faktycznie z tego co pamiętam, to ostatnie dożynki we Wszewilkach miały wprawdzie formę dożynek, jednak brak w nich było treści tego typowego "święta plonów". W rzeczywistości ich sens sprowadzał się więc do stworzenia okazji dla dobrej zabawy. Powodem takiego zadominowania w nich formy nad treścią było zapewne, że już w owych czasach Wszewilki były bardzo świecką wioską. Jednak poza Wszewilkami dożynki wówczas ciągle miały zarówno charakter zbiorowej modlitwy o lepsze przyszłe plony, jak i podziękowania za plony już zebrane. Przykładowo dożynki jakie po żniwach 1957 roku odbyły się we wsi Cielcza koło Jarocina, zaczęły się od pochodu całej wioski przez pola uprawne, podczas którego każdemu polu dziękowano za plony jakie właśnie urodziło, oraz proszono o jeszcze obfitsze plony następnego roku. Ciągle też rolnicy zawieszali tam otrzymane wieńce w swoich oborach.

W czasach przedchrześcijańskich ówczesne "święta plonów" również zaczynały się od procesji po polach, podczas których dziękowano bogom owych pól za plony jakie właśnie zostały zebrane. Następnie świętująca kawalkada udawała się na miejsce poświęcone pogańskiemu bogowi "Pierunowi". Bóg ten zawsze rezydował w starym dębie. Pod owym dębem odbywano więc ucztę, tańce i rytuały ku czci owego boga. We

Wszewilkach miejscem tym niemal z całą pewnością w czasach pogańskich był obecny cmentarz opisany w punkcie #C2 powyżej. Związek boga Pieruna ze świętem plonów wynikał z faktu, że bóg ten m.in. rządził pogodą. Plony zaś głównie zależały właśnie od pogody. Późno w nocy, już po zakończeniu rytuałów "święta plonów", członkowie każdego gospodarstwa pozostawiali pod owym dębem podarunki dla boga Pieruna, poczym udawali się na noc do domów. Podarunkami tymi zawsze były produkty zebrane z pól owego gospodarstwa, uformowane w ozdobny wieniec. Na drugi dzień rano ludzie ci powracali do swoich podarków, aby sprawdzić które z podarków bóg Pierun przyjął (te "przyjęte" podarki albo całkiem zniknęły, albo były nocą rozdierane na strzępy). Ci zaś rolnicy, których podarków bóg Pierun nie przyjął, stąd których wieńce leżały rano pod dębem zupełnie nienaruszone, zabierali swoje wieńce do domów i wieszali je w oborach po wewnętrznej stronie drzwi wejściowych. Celem owego wieszania było przypomnienie się bogowi Pierunowi, na wypadek gdyby ten odwiedził nocą ich oborę. Wieniec wiszący w oborze na drzwiach wejściowych musiał mu wszakże rzucić się wówczas w oczy. Miał mu też przypomnieć, że dane gospodarstwo rolne faktycznie to oferowało mu już raz tego roku wspaniałą ofiarę zebraną ze swoich pól. Ofiara ta też ciągle czeka na niego, jeśli ma on ochotę aby coś sobie zabrać z danego gospodarstwa.

Pogański bożek "Pierun" był dosyć osobliwym bożkiem. Faktycznie to ani nie przynosił on ludziom korzyści, ani nie był najważniejszym z bogów. Jednak otrzymywał najwięcej prezentów oraz na jego cześć odbywało się najwięcej uroczystości i rytuałów. Powodem było, że wszyscy się go bali. Miał bowiem "ognisty" temperament, łatwo wpadał w złość, kiedy zaś wpadł we wściekłość wówczas niszczył wszystko co mu weszło w drogę. Dlatego na wszelki wypadek ludzie chodzili wokoło niego na paluszkach. Aby go też udobruchać, oferowali mu mnóstwo prezentów przy każdej okazji. A okazji tych było wiele, bowiem posiadał on wpływ na pogodę, a stąd też na plony. Ponadto był odpowiedzialny za gwałtowne śmierci, stąd też maczał palce w każdym przypadku czyjegoś gwałtownego zejścia z tego świata.

Powszechnie wiadomo, że UFOnauci lubują się podszywać za tych którzy w danych czasach budzą powszechny respekt lub strach. To m.in. jest właśnie powodem, że w dzisiejszych czasach szatańscy UFOnauci bardzo często pozują wobec uprowadzonych przez siebie ludzi za Jezusa - po szczegóły patrz strona internetowa antichrist_pl.htm. Jestem więc niemal pewien, że w dawnych czasach na obszarach Słowiańskich UFOnauci podszywali się właśnie za owego bożka Pieruna. Stąd dębowa rzeźba pokazana na rysunku "Fot. 2" ze strony internetowej o mieście Miliczu, która prawdopodobnie ma obrazować właśnie bożka Pieruna, faktycznie jest zapewne imitacją wyglądu jakiegoś UFOnauty lubującego się w straszaniu ludzi.

#L3. Świętowanie, zabawy i sylwestrowe wnoszenie furtek:

W dawnych czasach dożynki (opisane w punkcie #L2) nie były jedynym rodzajem festiwali, form świętowania, oraz zabaw ludowych, które początkowo były systematycznie organizowane we Wszewilkach, jednak z czasem pomału zaniknęły. W niniejszym punkcie opiszę najważniejsze inne formy popularnego "bawienia się" jakie pamiętam z czasów swojej młodości na Wszewilkach. Ciekawe ile z nich przetrwało do dzisiaj (jeśli wogóle jakieś przetrwały).

Najważniejszym świętem obchodzonym na Wszewilkach, było Boże Narodzenie. Święto to faktycznie obchodzono głównie w gronie rodziny, oczywiście z obowiązkową wyprawą do kościoła. Prawdopodobnie jej najistotniejszą częścią była wigilijna wieczerza z tradycyjnym zestawem potraw. Niezależnie od tego co działo się w związku z owym świętem w poszczególnych domach, Boże Narodzenie znane też było z tzw. "kolędników". Owa nazwa "kolędnicy" przyporządkowana była do amatorskiego zespołu aktorskiego, który chodził po domach aby improwizować przedstawienie opracowane z okazji Bożego Narodzenia. Aczkolwiek głównym wątkiem tego przedstawienia były narodziny Jezusa, faktycznie to zawsze naszpikowane ono było też aluzjami do tego co aktualnie działo się we Wszewilkach. I tak było ono zabawne, dowcipne, oraz pełne żartów. Dosyć drastycznym przeciwieństwem tych "kolędników" była oficjalna wizyta księdza, który również w owym

czasie chodził "po kolędzie".

Kolejny po Bożym narodzeniu niezwykle zwyczaj folklorystyczny dawnych Wszewilek miał miejsce w Sylwestra. Polegał on na żartobliwym zdejmowaniu furtek wejściowych do zagrody swoich ulubionych sąsiadów, oraz późniejszym umieszczaniu tych furtek na czubku najwyższego okolicznego komina. W ten sposób jednego Sylwestra furka moich rodziców wylądowała na wysokim na dwa piętra kominie serowni sąsiada Dajczmana. Komin ten stał zupełnie odrębnie od dachu i był aż tak wysoki, że nie istniała drabina która dosięgłaby do jego czubka. Do dzisiaj nie jest nam wiadomo, jak owi żartownisie zdołali na niego wydźwigać naszą furkę po cichu i to w środku nocy. Wszakże zdejmowanie tej furki w biały dzień i to zupełnie otwarcie było wówczas nie byle jakim przedsięwzięciem.

W okresie zimy organizowane były też kuligi. Polegały one na tym że łańcuszek sanek z wszewilkowską młodzieżą ciągnięty był przez konia przez sąsiednie wioski. W wioskach tych zaś uczestnicy kuligów staczali prawdziwe bitwy śnieżne z miejscowymi.

Przyjście wiosny do Wszewilek sygnalizowane było "Palmową Niedzielą". PALMOWA NIEDZIELA w chrześcijaństwie jest to ostatnia niedziela przed Wielkanocą, rozpoczynająca Wielki Tydzień. Cechowała ją procesja z palmami wokół milickiego kościoła upamiętniająca triumfalny pochód Jezusa do Jerozolimy.

Na kilka dni przed Wielkanocą na Wszewilkach tradycyjnie wypędzało się i "straszyło demony" poprzez strzelanie z karbidu. Faktycznie to Wszewilki w owym czasie brzmiały jak pole zaciętej bitwy armatniej. Każdy bowiem miejscowy chłopak starał się prześcignąć innych w natężeniu hałasu jaki wytwarzała jego puszka do strzelania z karbidu. Oczywiście sekret wytwarzania największego hałasu sprowadzał się do używania możliwie największej puszki. Przez cały więc rok poprzedzający Wielkanoc, każdy miejscowy chłopak kombinował jak taką największą puszkę sobie zdobyć.

W poniedziałek po Wielkanocy następowała największa atrakcja Wszewilek, czyli tzw. "dyngus". Był on celebrowany zarówno w obrębie niemal każdej rodziny, jak i poza rodziną. Był on więc wspaniałą okazją do regularnej bitwy pomiędzy chłopakami z Wszewilek, a chłopakami z Wszewilek-Stawczyka.

Podniecającym wydarzeniem były także doroczne odpusty w kościele Świętej Anny z Karłowa. Odbýwały się one zawsze w ostatnią niedzielę lipca. Były kolorowe, pełne ludzi, straganów, oraz niemal jako reguła przy doskonałej, letniej pogodzie.

Niezależnie od wszystkich powyższych "regularnych" świąt, niemal w każdą normalną niedzielę organizowana była jakaś "zabawa ludowa" gdzieś w okolicy Wszewilek. Zabawy takie były najważniejszą powtarzalną rozrywką młodych ludzi omawianych tutaj czasów. W sensie zadania jakiemu miały one służyć, zabawy te były rodzajem ludowego dancingu przy orkiestrze, organizowanego w celu umożliwienia młodym ludziom poznania się nawzajem i potańczenia przy żywej muzyce. Jednak w rzeczywistości zabawy te były wielowymiarowym wydarzeniem socjalnym w którym miejsce miały oddziaływania pomiędzy-ludzkie zachodzące na wielu płaszczyznach naraz. Przykładowo, dla chłopców z poszczególnych wiosek zabawy te były okazją dla ustalenia ich "pozycji w hierarchii siły". Dlatego też podobnie jak to się dzieje na rykowiskach, podczas owych zabaw zawsze wybuchały bijatki. W rezultacie tych bijatek ustalany był nowy porządek w hierarchii "kto dominuje nad kim", oraz "kto musi ustępować przed kim". Także dla dziewcząt zabawy były okazją do ustalenia jaka jest pozycja każdej z nich w aktualnym stanie ich popularności wśród chłopców. Oczywiście, dla poszczególnych rodzin dorosłych mieszkańców wsi zabawy te były okazją dla "pokazania" się. Różne komitety używały zabaw do gromadzenia potrzebnych im funduszy. Z kolei poszczególne organizacje społeczne wykorzystywały zabawy dla organizowania konkursów z nagrodami jakie promowały ich sprawę.

#L4. Rozrywki przed telewizją i Internetem:

Telewizor po raz pierwszy w życiu oglądałem kiedy byłem już w 7 klasie szkoły podstawowej, czyli wiosną 1960 roku. Szkoła w Stawcu do której wówczas uczęszczałem zakupiła wtedy pierwszy mały, czarno-biały telewizor. Był to zresztą jedyny telewizor w

promieniu wielu kilometrów. Oglądanie telewizji relatywnie regularnie zacząłem jednak dopiero w kilka lat po zamieszkaniu w domu studenckim we Wrocławiu, czyli od jakiegoś 1967 roku. Z kolei z Internetem zetknąłem się po raz pierwszy w życiu kiedy pracowałem już jako profesor nauk komputerowych na Cyprze, czyli w 1992 roku. Niestety, był on wtedy ciągle nieporęczny i wysoce zawodny. Przez wiele następnych lat traktowałem go więc jako ciekawostkę i zabawkę, a nie jako narzędzie codziennego użytku. Używanie Internetu na pełną skalę zacząłem dopiero poczawszy od 1999 roku. Czyli całe moje dzieciństwo i młodość, jak również dzieciństwo i młodość wszystkich moich rówieśników, upłynęły bez telewizji i bez Internetu. W dzisiejszych czasach ludzie zapewne się więc głowią co do licha moja generacja czyniła z nadmiarem wolnego czasu jaki istniał wówczas z braku dostępu do telewizji i do Internetu. Wszakże dzisiaj, jeśli zepsuje się nam telewizor lub stracimy dostęp do Internetu, nie wiemy co robić z nadmiarem wolnego czasu, bowiem większość codziennych zajęć i rozrywek staje się dla nas niedostępna.

Tymczasem okazuje się, że nawet w czasach kiedy telewizja i Internet nie były jeszcze w użyciu, ciągle nasz czas był wypełniony po brzegi i mieliśmy ogromnie wiele rozrywek. Oprócz kina i teatru, większość owych rozrywek była na wolnym powietrzu. Niemal zawsze też realizowana była gromadnie, znaczy razem z niemal wszystkimi innymi chłopcami z dzisiejszego Stawczyka-Wszewilek, a często także z naszymi dziewczynami. Jakie więc były owe zbiorowe rozrywki gromadne. Ano głównie sprowadzały się one do organizowania najróżniejszych przedsięwzięć, gier i zabaw gromadnych. Na wolnym powietrzu organizowane były takie zabawy jak "chowanego", gry monetami odbijanymi od murów, wyścigi rowerowe. Organizowane one były niemal każdego pogodnego wieczora. Z kolei w dni deszczowe lub okresy paskudnej pogody, odwiedzało się kolegów, przeglądało ich kolekcje znaczków i widokówek, grało w najróżniejsze zabawy pod dachem, oglądało oraz dokarmiało ich króliki, koty i psy, pomagało budować ich modele łodzi i samolotów, słuchało dziwnych opowiadań ich rodziców i dziadków, itd., itp. W niedzielę i święta organizowane były wspólne wyprawy na ryby, wycieczki do lasu, wyjazdy na wycieczki rowerowe, mecze piłkarskie, wycieczki do Milicza, zaś wieczorami odwiedzanie najbliższych "zabaw ludowych". Były też rozrywki typu sezonowego, przykładowo wyprawy po upajająco pachnące leśne kwiatki "konwalie" wiosną, zbieranie jagód i poziomek na przełomie wiosny i lata, kąpiele na tamie czy na "pierwszym stawku" w lesie, a także zbieranie jeżyn latem, zbieranie grzybów i wyprawy do lasu na orzechy laskowe jesienią, uprawianie saneczkarstwa i narciarstwa oraz kuligi zimą. Wszystko to są jedynie przykłady najbardziej powtarzalnych rozrywek owych czasów. Oprócz nich były też najróżniejsze rozrywki dorywcze, przykładowo wyprawy kajakowe, żeglarstwo, strzelectwo, itp. Praktycznie więc istniała nieorganiczna liczba zajęć i zabaw jakie wypełniały cały nasz wolny czas.

Aby przytoczyć tutaj przykład jak konkretnie wyglądało spędzanie niedziel i świąt, opiszę tutaj przykład jednej niedzieli którą doskonale pamiętam do dzisiaj. Jak zwykle w dni niedzielne, po powrocie z kościoła w Miliczu, oraz po zjedzeniu obiadów, spotkaliśmy się wszyscy na skrzyżowaniu dróg zaraz za torami, czyli w samym Stawczyku. Skrzyżowanie owo było zwykłym punktem zbiorczym dla młodzieży ze Stawczyka. Spotkanie rozpoczęliśmy od rozważenia rodzaju zajęcia lub zabawy jakie podejmiemy tego dnia. Któryś z chłopaków, zdaje się że był to Broniek, poinformował nas, że odkrył duże gniazdo os niedaleko za cmentarzem, być może więc warto abyśmy się wybrali aby je sobie oglądnąć. Z entuzjazmem wybraliśmy się więc całą gromadą aby sobie te osy pooglądać. Faktycznie też okazały się warte naszej uwagi. Gniazdo położone było w dużej dziupli do jakiej wejście znajdowało się jakieś 2 metry od ziemi. Było już wysoce rozwinięte, bowiem osy wlatywały do niego, oraz wylatywały z niego, dwoma grubymi nieprzerwanymi strugami. Zaczęliśmy więc rozważać, jak dałoby się spożytkować fakt odkrycia tak dużego gniazda os. Wacek, który był największym podpuszczaczem w całym ówczesnym powiecie milickim, zawyrokuje że powinniśmy namówić Zdzicha, którego nie było wówczas w naszej grupie, a którego ojciec posiadał ule z pszczołami, aby wybrał dla nas miód z tego gniazda. Któryś z młodszych chłopaków, zdaje się że Tadek, zaczął protestować, twierdząc, że osy wcale przecież nie mają miodu. "W tym właśnie rzecz" - odpowiedział Wacek. Po zrozumieniu o

co tutaj chodzi, cała nasza paczka ze Stawczyka entuzjastycznie udała się pod dom Zdzicha, który mieszkał w środku Wszewilek, należał więc do tego "drugiego obozu". Po wywołaniu Zdzicha z domu, pozostawiliśmy sprawę Wackowi, aby ten wygłosił potrzebne mowy. Wacek zaczął od podbierania Zdzicha. "Chociaż Twój ojciec ma pszczoły, Ty zapewne ciągle nie wiesz jak podbierać im miód". "Wiem" odpowiedział Zdzichu. "Pomagałem ojcu już wiele razy i się nauczyłem jak to czynić". "Ale gdyby przyszło do podbierania miodu, to pewno byś stchórzył" – Wacek nie dawał za wygraną. "Ja stchórzył" odbruszył się Zdzichu, "ja tam się pszczół wcale nie boję". "Naprawdę nie bałbyś się sam wybrać pszczółom miodu?" – Wacek nie popuszczał w schwytaniu Zdzicha za słowo. "A pewno że bym się nie bał", zapewnił nas Zdzichu. "To fajnie się składa", ciągnął Wacek, "bo właśnie odkryliśmy gniazdo dzikich pszczół w lesie i trzeba nam kogoś kto by podebrał im miód – czy Ty masz odwagę to uczynić". "Pewnie że wybiorę", odpowiedział Zdzichu. Więcej zapewnień już nam nie było trzeba, Niemal biegiem poprowadziliśmy Zdzicha do gniazda owych "dzikich pszczół" aby od nich "wybrał dla nas miód". Dwóch silnych chłopaków podsadziło Zdzicha do gniazda, aby ten mógł wygodnie "wybrać miód". Reszta z nas, włączając w to mnie, z respektem zachowała odpowiedni dystans około 10 metrów od gniazda. Zdzichu bez namysłu włożył do gniazda swoją prawą rękę aż do pachy. W tym momencie obaj koledzy którzy go podtrzymywali na swoich barkach nie mogli wytrzymać już dłużej i dali nogę. Ostania więc rzeczą jaką zobaczyłem, to Zdzichu wiszący przy owej dziupli na swojej ręce. Ja też dłużej nie czekałem i dałem nogę razem z owymi dwoma kolegami podtrzymującymi Zdzicha. Naszą ucieczkę tylko zintensyfikował głośny i długi krzyk Zdzicha, który zabrzmiał jakby ktoś go żywcem obdzierał ze skóry. W biegu odnotowałem kątem oka, że cała nasza paczka rwała od gniazda ile tylko sił w nogach, rozsypana w szeroką tylarierę. Uciekaliśmy w kierunku dużej kępy niskich zarośli jaka była oddalona jakieś 100 metrów od gniazda. W chwilę później z szokiem zobaczyłem, że po mojej prawej stronie zaczyna mnie szybko wyprzedzać sam Zdzichu. Zdzichu był wówczas o głowę mniejszy odemnie (choć aż o dwa lata starszy), z reguły więc biegał wolniej. Tym razem jednak, na przekór że ja gnałem ile tylko sił w nogach, on ciągle wyprzedzał mnie w tempie jakbym ja szedł piechotą a tylko on biegł. Kiedy mnie minął zrozumiałem dlaczego jest taki szybki. Nad jego głową, a także za jego plecami, unosiła się bowiem w powietrzu cała chmura rozwścieczonych os. W chwilę po tym jak Zdzichu z ową chmurą os mnie wyprzedził, nagle poczułem na plecach jakby trzasnął mnie piorun. Zrozumiałem że to jedna z owych os zdecydowała się użyć na mnie swojej broni. Krzyknąłem z bólu. Jednocześnie usłyszałem podobne krzyki od niemal każdego z naszej paczki. W chwilę później poczułem drugie uderzenie bólu, tym razem w tył głowy. Bolało jak diabli. Na szczęście właśnie dopadaliśmy kępy owych zbawiennych zarośli. Osy szybko się pogubiły. Uszliśmy więc dalszym ukąszeniom. Po zebraniu się do kupy, powlekliśmy się do domu. Każdy z nas wyglądał jakby wracał z wojny, podrapany krzakami i z kilkoma bąblami po ukąszeniach os. Los jeszcze raz nam przypomniał, że to co zwykle planujemy dla innych, dosięga także i nas samych. Szczerze mówiąc to najmniej poszkodowany z nas wszystkich był właśnie Zdzichu. Zamiast więc my śmiać się z niego, to on miał zabawę oglądając nasze opuchlizny w różnych niezbyt dogodnych miejscach. Po tamtej przygodzie Zdzichu stał się też jakby jednym z nas. Chociaż mieszkał w centrum Wszewilek, czyli nieco z dala od Stawczyka, my odtąd uważaliśmy go za "swojego", czyli za należącego do naszej własnej paczki z za torów.

Część #M: Wszystko płynie i przemija:

#M1. Gdzie są chłopcy z tamtych lat ...:

Jednym z przebojów czasów mojej młodości była piosenka ze słowami "gdzie są chłopcy z tamtych lat ... wiatr rozwiał ich ślad ...". Słowa owej piosenki doskonale odnoszą się do oryginalnych zasiedleńców Wszewilek, czyli do ludzi którzy zasiedlili tą wioskę zaraz po drugiej wojnie światowej, znaczy w czasach kiedy Wszewilki ciągle były obszarem "dzikiego zachodu". Wszakże później ludzie ci porzobili się po świecie, zaś do dzisiaj

niemal całkowicie powymierali. Tymczasem na przekór że nie rzucali się w oczy i skromnie oraz bez rozgłosu wypełniali oni swoją rolę żywicieli narodu, faktycznie to byli oni swoistymi bohaterami. Nie wolno nam więc o nich zapomnieć. Wszakże czym Wszewilki i Milicz są obecnie, zawdzięcza się m.in. ich ciężkiej pracy, wytrwałości i odwadze. W niniejszym punkcie postaram się nam przypomnieć ich nazwiska - przynajmniej te z nich które ciągle pamiętam lub zdołałem jakoś ustalić. Owo wyszczególnienie ich nazwisk traktuję przy tym jako wyraz mojego hołdu, uznania, oraz podziękowania za ich wkład do tego czym Wszewilki, a z nimi i my wszyscy, staliśmy się obecnie.

Jeśli ktoś byłby ciekawy dlaczego przykładam tak duże znaczenie dla upamiętnienia tu nazwisk kilkudziesięciu oryginalnych zasiedleńców Wszewilek, to istnieje ku temu aż kilka istotnych przyczyn. Oto one:

1. Odwaga owych ludzi. W czasach natychmiast po drugiej wojnie światowej, kiedy Wszewilki były zasiedlane przez owych oryginalnych mieszkańców, wieś ta leżała dosłownie "na dzikim zachodzie". Chociaż oficjalnie raczej tego się nie rozgłasza, życie na owych terenach było wówczas ogromnie niebezpieczne i pełne codziennego ryzyka. Obecnie żyjąc w czasach pokoju nie mamy najmniejszego pojęcia jak wiele niebezpieczeństw wtedy ludziom codziennie zagrażało i jak niepewnym było przeżycie do jutra. I tak wszędzie pełno było broni, amunicji i niewypałów. We Wszewilkach i okolicach grasowały wówczas bandy cywilnych szabrowników z Polski, wojskowych maruderów ze zwycięskiej armii, niedobitków hitlerowskiej armii, oraz uczestników niemieckiego podziemia. Bandy te poszukiwały łatwego łupu i żywności, a także zemsty. Nachodziły więc domy i ludzi, szabrując, rabując, gwałcąc, mordując, oraz podpalając. Jak to wyjaśniłem w punkcie #E1 powyżej, bandy te pomordowały praktycznie wszystkich miejscowych autochtonów którzy po wojnie zdecydowali się nie uciekać w głąb Niemiec, a pozostać we Wszewilkach aby stać się Polakami. Nie było też wówczas niemal żadnych władz, policji, ani publicznego transportu. Przykładowo moja matka przyszła sama do Wszewilek piechotą ze wsi Cielcza w poznańskim, wędrując pieszo około 80 kilometrów aby zasiedlić nasz późniejszy dom. (Ojciec wtedy nie wrócił jeszcze z robót w Niemczech.) Na dodatek przyprowadziła ze sobą naszą rodzinną krowę-żywicielkę o imieniu "Bestra". Co ciekawsze, spora proporcja tych pierwszych pionierów zasiedlających Wszewilki to były kobiety obarczone dziećmi, których mężowie nie wrócili jeszcze z zesłania do Niemiec lub z wojny, a więc które często nawet nie wiedziały na pewno czy ich mężowie wogóle żyją i czy do nich później dołączą.

2. Determinacja owych pionierów i żywicieli narodu. Życie wiejskie w początkowych latach po wojnie wcale nie było takie słodkie. Należy pamiętać, że dla pierwszych władz komunistycznej Polski wszyscy wieśniacy byli "kułakami", których należało bezwzględnie niszczyć i gnębić, zaś których ziemia powinna zostać oddana kołchozom (PGRom). Na przekór więc, że to owi rolnicy a nie bankrutujące PGRy żywiły całą Polskę, mieszkańcy wszystkich wsi byli niszczeni podatkami, biurokracją, dodatkowymi pracami i obowiązkami społecznymi, itp. To że mimo wszystko przetrwali i żywili naród przez tak długo, zawdzięczamy ich determinacji i oddaniu sprawie uprawy roli. Chwała im za to. To właśnie oni a nie krzykliwie reklamowani wówczas "przodownicy pracy" byli prawdziwymi pokojowymi bohaterami powojennej Polski. Także to ich właśnie pamięć wymaga uhonorowania.

3. Naukowa ścisłość. Obecnie niewiele już pozostało wiosek w Polsce i na świecie, które posiadałyby równie istotne znaczenie historyczne oraz równie niezwykle warunki społeczne, jak Wszewilki. Osobiście wierzę, że z uwagi na swoją niezwykłość Wszewilki mają potencjał aby stać się kiedyś przedmiotem szerokich badań etnicznych, językowych, społecznych, itp. Wiele naukowych doktoratów może być obronione w przyszłości dzięki tym niezwykłościom Wszewilek. Aby więc stworzyć owym potencjalnym badaczom startową bazę danych, dla naukowej ścisłości pożądane jest utrwalenie nazwisk i podstawowych danych owych oryginalnych zasiedleńców Wszewilek.

4. Inspiracja. Jak się okazuje, we wszechświecie działa wiele praw o jakich dzisiejszym ludziom ani nowoczesnej nauce ciągle niewiele jest wiadomo. Aby dać tutaj jakiś ich przykład, to np. osobiście odnotowałem że losy kolejnych pokoleń ludzi

mieszkających w jakimś konkretnym miejscu są bardzo do siebie zbliżone. To zresztą rzuci się w oczy jeśli ktoś przeanalizuje losy owych pierwszych zasiedleńców Wszewilek oraz ludzi obecnie mieszkających na ich miejscach. Dlatego moim zdaniem wysoce pożądane jest przypomnienie owych oryginalnych zasiedleńców Wszewilek, aby zainspirować ich następców do zaczęcia zadawania dających do myślenia pytań.

Wszewilki-Stawczyk posiadają trzy drogi jakie przez nie przebiegają. Poniższy wykaz oryginalnych mieszkańców tej wsi zestawiony jest w porządku budynków tuż po drugiej wojnie światowej oryginalnie stojących przy owych drogach. Przy każdej osobie przytoczyłem w nawiasie przybliżony rok urodzenia. Niekiedy w tym samym nawiasie przytoczyłem także i rok śmierci - jeśli jest mi on znany.

A. Droga z Dziadkowa i Pomorska do starego młyna na Baryczy, a potem dalej przez stary most na Baryczy istniejący przy owym młynie, aż do Milicza i Duchowa. W dawnych czasach wzdłuż tej drogi stały lepianki wszewilkowskich biedaków i bezrolnych. Była więc ona osią lokalnej "biedawsi". Jednak do początku drugiej wojny światowej lepianki wszystkich tych biedaków zostały zburzone. Po drugiej wojnie światowej przy drodze tej za torami ostał się już tylko jeden dom, jaki zamieszkał przez moich rodziców, potem zaś także przez mnie oraz moją siostrę. Powojenni zasiedleńcy tego domu to:

A1: Anastazja Pająk (1907 - 1989), Wincenty Pająk (1903 - 1981), z synem Janem (1946) i córką Ireną (1951) - czyli moi rodzice ze mną i z siostrą. Mieliśmy także starsze rodzeństwo, jednak ci zaraz po wojnie porzucili się po świecie i praktycznie nie mieszkali na Wszewilkach poza krótkimi pobytami na wakacje lub podczas zmian pracy. Budynek w jakim zamieszkiwaliśmy zbudowany został około 1930 roku. Jednak niektóre z istniejących w sadzie tego budynku drzew owocowych już zaraz po wojnie były aż tak stare, że musiały być zasadzone co najmniej w 19 wieku. Z kolei jeden z bardzo wolno rosnących krzewów jaki znajdował się w tym ogrodzie (tj. krzew "holly" albo "ostrokrzew" - omawiany także w punkcie #H2 powyżej) moim zdaniem zaraz po wojnie miał już około 200 lat. Dlatego uważam, że budynek ten stanął na miejscu jakiegoś znacznie starszego budynku. Budowniczym i przedwojennym właścicielem tego domu był zgermanizowany Polak o nazwisku Nowak. Jednak pod koniec wojny ów Nowak uciekł z dziećmi w głąb Niemiec - co, mając na uwadze losy innych autochtonów którzy pozostali na Wszewilkach, zapewne uratowało im wszystkim życie. Był on "małorolnym" - czyli posiadał bardzo mało ziemi (jak wszyscy zamieszkali przy owej drodze do starego młyna wodnego na Baryczy), zaś zarabiał na życie m.in. poprzez świadczenie usług cieślarskich innym ludziom - budując im domy. Ciekawostką jest, że także i mój ojciec który zamieszkał potem w ich domu był tzw. "małorolnym" (uprawiał tylko 3 hektary ziemi) i że zarabiał na życie m.in. poprzez świadczenie usług mechanicznych innym ludziom - naprawiając im wszystko co się zepsuło.

B. Stara droga przez Wszewilki, wiodąca z Milicza do Sulmierzyc, która do dzisiaj formuje oś wioski Wszewilki-Stawczyk. Po południowej stronie owej starej polnej drogi, kolejne zabudowania (zaczynając od torów kolejowych i licząc od zachodu ku wschodowi) zajmowane były przez następujących oryginalnych zasiedleńców Wszewilek-Stawczyka:

B1: Dajczman (~1910) z żoną (~1915) oraz 2 synami Władkiem (~1938) i Józefem (~1944).

B2: Wdowa Bujakowa (~1910 -) z córką Janką (~1933 - ~1950) oraz synem Piotrem (~1936 - ~1960).

B3: Mazur (~1910 - ~1958) z żoną (~1915). Potem zamieszkał tam Wołek.

B4: Zagórski () z żoną ().

B5: Dudek (~1930) z żoną (~1934) i synem Bernardem (~1948) oraz córką Marylą (~1950).

B6: Henrykowski () z żoną (). Potem zamieszkała tam rodzina Piotrowskich. Piotrowscy również byli oryginalnymi zasiedleńcami Wszewilek. Tyle że początkowo mieszkali w bardzo starym budynku zbudowanym jeszcze w "stylu architektonicznym Wszewilek", który to budynek znajdował się niedaleko od milickich wodociągów - piszę o nim też w podpisie pod fotografią "Fot. #F2". Został on jednak rozebrany jeszcze w latach

1950-tych.

B7: ??? () z żoną (). Potem zamieszkała tam rodzina Nogi.

Jakieś pół kilometra od ostatniego z powyższych zabudowań Wszewilek-Stawczyka, także po południowej stronie tej samej starej drogi, stała kiedyś stara odosobniona leśniczówka. Tuż po wojnie leśniczówkę tą zamieszkiwała samotna staruszka autochtonka, która poczuwała się Polką, zdecydowała się więc nie uciekać razem z innymi mieszkańcami Wszewilek w głąb Niemiec. Niestety została ona zamordowana przez którąś z owych band o jakich pisałem na początku, zaś leśniczówka z jej zwłokami w środku została spalona. (Patrz też punkt #D3 opisujący jej los.)

C. Po północnej stronie tej samej starej drogi przez Wszewilki-Stawczyk, zaraz po wojnie znajdowało się tylko jedno gospodarstwo. Słynęło ono w okolicy z bardzo starego drzewa klonowego rosnącego na środku jego podwórka. Drzewo to już wówczas miało co najmniej 200 lat. Wacek, który był największym podpuszczaczem w całym powiecie, zawsze się odgrażał że szczególnie zasłużonym kolegom pozwoli naciąć to drzewo aby sobie zebrali z niego trochę "syropu klonowego" (oczywiście, wszyscy wówczas wiedzieliśmy, że "syrop" ściąga się jedynie z klonów kanadyjskich, a nie z polskich). Gospodarstwo to posiadało aż dwa domy mieszkalne. Jeden z nich był bardzo stary, "w oryginalnym stylu architektonicznym Wszewilek", czyli o drewnianej konstrukcji oblepionej gliną i pokrytej strzechą, z bocianim gniazdem na dachu. Drugi zaś nowy. Stary dom został rozebrany jeszcze przed 1960 rokiem, kiedy umarła zamieszkująca go babcia Sołtysów. Oba te domy zajmowane były przez:

C1: (Babcię) Sołtys (~1880 - ~1960). Jej syn mieszkał z żoną i dziećmi w sąsiednim nowym domu. (Odnotuj, że "Sołtys" w tym wypadku to nazwisko, a nie sprawowany urząd.)

C2: Sołtys (~1915) z żoną (~1918) oraz synami Ryśkiem (~1936) i Wackiem (~1943). (Odnotuj, że "Sołtys" w tym wypadku to nazwisko, a nie sprawowany urząd.)

D. Nowa szosa przez Wszewilki, także wiodąca z Milicza do Sulmierzyc. Ogranicza ona wieś Wszewilki-Stawczyk od północy. Po południowej stronie owej nowej szosy, kolejne zabudowania (zaczynając od torów kolejowych i licząc od zachodu ku wschodowi) zajmowane były przez następujących oryginalnych zasiedleńców Wszewilek-Stawczyka:

D1: Franciszek Krzyżosiak (~1910 - ~ 1987) z żoną Marrianna Krzyżosiak (~1910 - ~1993) córkami Albina (~1930), Marią (~1932) - po mężu Wesołowska, Helena (~1934), Magdą (~1952) i synami Stefanem (~1938) oraz Andrzejem (~1945). Około 1986 roku rodzina ta wyprowadziła się do Milicza.

D2: Ugorek (~1905) z żoną (~1907), oraz synami Bolkiem (~1944) i Bronkiem (1946).

D3: Adamiak (~1920) z żoną (~1924) - bezdzietni. Wyprowadzili się z Wszewilek już około 1950 roku. Potem zamieszkała tam rodzina Gryglewicz.

D4: Sołtys (~1910) - słynny ze swojej intensywnej astmy, z żoną (~1912) i synem Tadeuszem (1946). (Odnotuj, że "Sołtys" w tym wypadku to również nazwisko, a nie sprawowany urząd. W owych czasach Wszewilki-Stawczyk miały więc aż 3 rodziny Sołtysów, żadna z których nie była spokrewniona z żadną inną. Wśród tych 3 rodzin Sołtysów, dwie nosiły nazwiska Sołtys, zaś trzecia była nazywana Sołtysami ponieważ głowa ich rodziny sprawowała we wsi oficjalny urząd Sołtysa.)

D5: Chupało (~1900) z żoną (~1902) synem ... (~1925) i córkami Bronisławą - po mężu Kubów (~1930), oraz ... (~1932).

Wszystkie powyższe rodziny i osoby zamieszkiwały "za torami" czyli we wsi obecnie nazywanej Wszewilki-Stawczyk (tj. tej którą w punkcie #E1 opisuję jako "wieś traktowaną jak żebrak"). Oczywiście, tuż przy nich istniała cała wioska Wszewilki (tj. ta "przed torami", którą w punkcie #E1 opisuję jako "wieś traktowaną jak królewicz"). Wszewilki również były zamieszkiwane przez kilkadziesiąt podobnie bohaterskich i wartych upamiętnienia pionierów ziemi milickiej. Aczkolwiek chodzą mi po głowie nazwiska wielu z nich, niestety bez czyjejs pomocy nie jestem w stanie wszystkich ich sobie przypomnieć. Czy istnieje więc tam w wielkim świecie ktoś kto pomógłby mi porządkować do

poszczególnych zabudowań dawnych Wszewilek takie nazwiska jak Pierzchała, Wojciechowski, Czapliński, Romańczyk, Załęzna, Kościuch, Huk, Żwirko, itp.

* * *

Jednym z korzystnych następstw wojny dla Wszewilek był fakt, że po wojnie we wsi tej osiedli ludzie pochodzący praktycznie ze wszystkich zakątków Polski. I tak we Wszewilkach mieliśmy ludzi którzy pochodzili "zza Buga" zwanych "kresowiaczy" lub "kresowianie". Mieliśmy też tzw. "Galicjunów" czyli ludzi wywodzących się z okolic leżących na południe od Krakowa. Mieliśmy "poznańskie pyry" czyli ludzi z Poznańskiego. Początkowo był też wśród nas jeden ciągle żywy "autochton" - czyli przedwojenny mieszkaniec Wszewilek który czuł się na tyle Polakiem że pod koniec wojny nie uciekł w głąb Niemiec. Nazywał się Waloha. Jego podejrzaną śmierć opisuję w punkcie #E1 tej strony. Tak zróżnicowana mieszanka narodowościowa posiadała wiele następstw. Jednym z nich była doskonała (literacka) polszczyzna jaką po pewnym czasie mówiły już wszystkie wszewilkowskie dzieci.

#M2. Świat który przeminął i już nigdy nie wróci:

Po kądzieli moja matka wywodziła się z długiego rodu zawodowych kucharek. Jej matka była kucharką w wielu pałacach możnych, matka jej matki - która notabene pochowana jest przy kościele w pobliskim Cieszkowie, też była kucharką, itp. Na przekór że byliśmy relatywnie biedni, ciągle potrafiła ona wyczarować wspaniałe potrawy dosłownie z niczego. Jako mały chłopak objadałem się smakowitymi rzeczami, wcale nie wiedząc jakie one są wspaniałe (a często nawet je krytykując). Moja matka знаła też prastary sekret zasad energetycznego harmonizowania potraw, jakie to zasady w dzisiejszych czasach są już niemal całkowicie zapomniane. (Zasady te stwierdzały jakie składniki pokarmowe wolno lub powinno się ze sobą mieszać w potrawach, ponieważ zwielokrotniają one energię i pobudzają zdrowie, a jakich nie wolno mieszać ze sobą bowiem po zmieszaniu odbierają one energię jedzącym i indukują choroby - nawet jeśli są one dobre dla nas kiedy jemy je odrębnie lub w innych kombinacjach. Zasady te były więc bardzo podobne do słynnych zasad "yin" oraz "yang" stosowanych w kucharstwie przez Chińczyków, a opisanych na odrębnej stronie owoce tropiku, a także podobne do zasad sattva, tamas, oraz rajas stosowanych przez tradycyjnych kucharzy indyjskich i również opisanych na stronie internetowej o owocach tropiku - której przeglądnięcie gorąco zalecam. Nieprzestrzeganie tych zasad przy komponowaniu składu nowoczesnych potraw prowadzi do znanych nam fatalnych następstw dla zdrowia i samopoczucia, o których istnieniu nasza cywilizacja dopiero teraz zaczyna pomału się dowiadywać.) Potem ja wyemigrowałem do Nowej Zelandii, zaś matka umarła. Dopiero po jej śmierci odkryłem, że receptury na smaczne potrawy dosłownie z niczego, jakich ona znała całe dziesiątki, a także prastary sekret zasad energetycznego harmonizowania tych potraw, warte były majątek. Wszakże nikt teraz nie potrafi gotować potraw tak smacznych i tak zharmonizowanych. Niestety, na spisanie owych receptur jest już zbyt późno. Pomimo że moja matka miała sześcioro dzieci, żadne z nas nie wpadło na pomysł aby pospisywać jej receptury i sekret zdrowego komponowania potraw. Zabrała je więc ze sobą do grobu.

Podobnie dzieje się z niezwykłym i historycznie przebogatym światem jaki kiedyś istniał na niemal nikomu wcześniej nieznanym wsi Wszewilki. Pomału świat ten wymiera wraz z ludźmi którzy w nim uczestniczyli. Wkrótce nie pozostanie po nim nawet najmniejsze wspomnienie. Spiszmy go więc już obecnie, póki ciągle nie jest za późno!

Część #N: Podsumowanie, oraz informacje końcowe tej strony:

#N1. Podsumowanie tej strony:

Moja znajoma wykładowczyni z Politechniki w Invercargill (Nowa Zelandia) zwykła powtarzać że "w pięknych miejscach żyją piękne stworzenia, w brzydkich miejscach żyją brzydkie stworzenia. Wieś Wszewilki nie tylko potwierdza jej stwierdzenie, ale dodatkowo je poszerza. Dowodzi ona bowiem, że "niezwykłych ludzi należy poszukiwać w

niezwykłych miejscach".

#N2. Jak dzięki stronie "skorowidz.htm" daje się znaleźć totalizyczne opisy interesujących nas tematów:

Cały szereg tematów równie interesujących jak te z niniejszej strony, też omówionych zostało pod kątem unikalnym dla filozofii totalizmu. Wszystkie owe pokrewne tematy można odnaleźć i wywoływać za pośrednictwem skorowidza specjalnie przygotowanego aby ułatwiać ich odnajdowanie. Nazwa "skorowidz" oznacza wykaz, zwykle podawany na końcu książek, który pozwala na szybkie odnalezienie interesującego nas opisu czy tematu. Moje strony internetowe też mają taki właśnie "skorowidz" - tyle że dodatkowo zaopatrzone w zielone linki które po kliknięciu na nie myślą natychmiast otwierają stronę z tematem jaki kogoś interesuje. Skorowidz ten znajduje się na stronie o nazwie skorowidz.htm. Można go też wywołać z "organizującej" części "Menu 1" każdej totalizycznej strony. Radzę aby do niego zaglądnąć i zacząć z niego systematycznie korzystać - wszakże przybliży on setki totalizycznych tematów które mogą zainteresować każdego.

#N3. Proponuję okresowo powracać na niniejszą stronę w celu sprawdzenia dalszych uaktualnień strony o Wszewilkach oraz postępów w organizacji zwiedzania "Wszewilek i Milicza":

W celu śledzenia jak dalej będzie uszpawniana niniejsza strona o wsi Wszewilik, a także jak będzie się rozwijała sprawa organizowania Zlotu "Wszewilki-2007" warto okresowo powracać do niniejszej strony. Z definicji strona ta będzie bowiem podlegała dalszemu udoskonalaniu i poszerzeniom, w miarę jak pojawią się ewentualne okoliczności które zainspirują jej zaktualizowanie. Jeśli więc w przyszłości zechcesz czytelniku poznać te nowiny, wówczas odwiedź tą stronę ponownie. Ja bowiem będę systematycznie aktualizował jej zawartość, w miarę jak rozwój sytuacji przysporzy jakichś wydarzeń lub informacji wartych zaraportowania.

#N4. Blogi totalizmu:

Warto także okresowo sprawdzać "blogi totalizmu" które działają już od kwietnia 2005 roku, obecnie pod adresami: totalizm.wordpress.com i totalizm.blox.pl/html. (Odnotuj że wszystkie te blogi są lustrzanymi kopiami o takiej samej treści wpisów.) Wszakże na "blogu totalizmu" wiele ze spraw omawianych na tej stronie naświetlane jest na bieżąco dodatkowymi komentarzami i informacjami spisywanymi w miarę jak nowe zdarzenia stopniowo rozwijają się przed naszymi oczami.

#N5. Emaille i dane kontaktowe autora tej strony:

Aktualne adresy emailowe autora tej strony, tj. dra inż. Jana Pająka (a przez okres 2007 roku - Prof. dra inż. Jana Pająka), pod jakie można wysyłać ewentualne uwagi, zapytania, lub odpowiedzi na zadane tu pytania, podane są na stronie internetowej o mnie (Dr Jan Pajak). Tam również dostępne są adres pocztowy i numery telefonu autora.

#N6. Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak:

Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak. Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza strona stanowi raport z wyników badań jej autora - tyle że napisany jest on popularnym językiem (aby mógł być zrozumiany również przez czytelników o nienaukowej orientacji). Idee zaprezentowane na tej stronie są unikalne dla badań autora i dlatego w tym samym ujęciu co na tej stronie (oraz co w innych opracowaniach autora) idee te uprzednio NIE były jeszcze publikowane przez żadnego innego badacza. Jako taka, strona ta prezentuje idee które stanowią intelektualną własność jej autora. Dlatego jej treść podlega tym samym prawom intelektualnej własności jak każde inne opracowanie naukowe. Szczególnie jej autor zastrzega dla siebie intelektualną własność odkryć naukowych i wynalazków opisanych na tej stronie. Zastrzega więc sobie, aby podczas powtarzania w innych opracowaniach jakiegokolwiek idei zaprezentowanej na niniejszej stronie (tj. jakiegokolwiek

teorii, zasady, dedukcji, interpretacji, urządzenia, dowodu, itp.), powtarzająca osoba oddała pełny kredyt autorowi tej strony, poprzez wyraźne wyjaśnienie iż autorem danej idei i/lub badań jest Dr Jan Pająk, poprzez wskazanie internetowego adresu niniejszej strony pod którym idea ta i strona oryginalnie były opublikowane, oraz poprzez podanie daty najnowszego aktualizowania tej strony (tj. daty wskazywanej poniżej).

* * *

If you prefer to read in English
click on the flag
(Jeśli preferujesz język angielski
kliknij na poniższą flagę)

Data założenia niniejszej strony: 5 czerwca 2004 roku.
Data jej najnowszego aktualizowania: 25 marca 2011 roku.
(Sprawdź w "Menu 3" czy już istnieje nawet jej nowsza aktualizacja!)

Podrozdział B2:

Stawczyk (Neu-Steffitz) - wieś która jest i jej nie ma

"Stawczyk" jest to niezwykła wieś. Niby istnieje, a NIE daje się znaleźć ani na mapach, ani w wykazach polskich miejscowości. Praktycznie więc NIE istnieje. Jednak ja się w niej urodziłem. Czyli na przekór iż NIE istnieje, wieś ta wywiera swój wpływ na świat. Oddziałuje ona na nas na tej samej zasadzie jak ów polski wąż "gniewosz" opisany w punkcie #F2 tej strony - który zagęszcza czas aby móc przemykać się niepostrzeżenie, czy też jak owe słynne stworzenia opisywane w punkcie #E1 poniżej - znaczy jak np. "Yeti" z Himalajów, "glizdy-flaki" z pustyni Gobi w Mongolii, potwór "Nessie" ze szkockiego jeziora Loch Ness, "smok" z jeziora Cini w Malezji, "serpent" z jeziora Tver koło Moskwy w Rosji, "Mkole-Mbembe" czyli "zabójca słoń" z jeziora "Lake Tele" w północnej części Kongo, amerykańskie "ptaki burzowe", nowozelandzki gigantyczny jaszczur "taniwha", potężne "stonogi" z Brazylii, oraz inne formy życia które zgodnie z dzisiejszą oficjalną nauką ziemską wcale NIE istnieją - niemniej ciągle wywierają one swój wpływ na ludzkość. Takie zaś "nieistniejące istnienie" Stawczyka powoduje, że NIE tylko jest on wioską niemożliwą do znalezienia na mapach. Wszakże jest on też symbolem. Symbolem tego co niewidoczne lub ignorowane, jednak wywierające swój wpływ. Niniejsza strona jest więc nie tylko o wsi Stawczyk, ale także o tym co niewidoczne lub ignorowane, chociaż wywierające swój wpływ. Wyjaśnienia tej strony są dokonywane właśnie na przykładzie owej wysoce symbolicznej wsi zwanej "Stawczyk".

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Co to takiego ten "Stawczyk":

"Stawczyk" jest to nazwa małej wsi z północnej części województwa dolnośląskiego. Stawczyk leży około 2 kilometrów na północny-wschód od małego dolnośląskiego miasteczka zwanego Milicz. Jednak pomiędzy Stawczykiem a Miliczem znajduje się niewielka rzeka o nazwie "Barycz" - widoczna zarówno na mapach jak i na zdjęciu satelitarnym wskazywanym w punkcie #B2 tej strony. Stąd, jeśli ktoś zamierza do Stawczyka dotrzeć z Milicza, wówczas zmuszony jest podążać drogą okrężną przez jedyny most drogowy w okolicy, potem przez milicką dzielnicę zwaną "Krotoszyńska", w końcu zaś przez wieś "Wszewilki". Odległość Stawczyka od Milicza wzdłuż owej okrężnej drogi wynosi około 3 kilometry. W sensie historycznym Stawczyk jest ogromnie starą wsią. Prawdopodobnie jedną z najstarszych ze wsi ciągle istniejących w Polsce. Tyle że uprzednio był on organiczną częścią innej równie prastarej wsi jaka obecnie znana jest pod nazwą Wszewilki.

W zakresie swojej przynależności państwowej, to już od początku czasów skryształizowania się państwowości w Europie, obszar obecnego Stawczyka należał do Polski. Jednak w 1741 roku został on zaaneksowany przez ówczesne królestwo Prus razem z większością Śląska. Do Niemiec należał aż do 1945 roku. Po zakończeniu drugiej wojny światowej, oraz w następstwie tej wojny, w 1945 roku Stawczyk powrócił do macierzy. Obecnie ponownie jest on częścią Polski.

Ja, tj. autor tej strony (patrz zdjęcie "Fot. #B1"), urodziłem się w Stawczyku oraz spędziłem w nim pierwsze 18 lat swego życia. W późniejszym życiu odwiedzałem tę wioskę tak często jak tylko byłem w stanie - wszakże jest ona moją rodzinną wsią. Ponadto kilka pokoleń moich przodków po kądzieli wywodzi się z okolicy Stawczyka - po więcej szczegółów patrz punkt #B2 na odrębnej stronie o mnie (dr inż. Jan Pajak - notka autobiograficzna). Stąd uważam się za osobę wystarczająco kompetentną aby móc opisać ową wioskę. Strona ta prezentuje moje opisy.

#A2. Jakie są cele tej strony:

Głównym celem niniejszej strony internetowej jest wyjaśnienie prostymi słowami kilku dziwnych lub tajemniczych zjawisk i paradoksów z jakimi spotykamy się w naszym codziennym życiu. Wyjaśnienia te dokonane są posługując się przykładem wsi Stawczyk, która prawdopodobnie jest jedną z najdziwniejszych wsi Polski.

Niniejsza strona opisuje również wieś Stawczyk, czyli ów miniaturowy chociaż historycznie najstarszy fragment innej wsi do której ona przylega, a która nazywa się "Wszewilki". Obecnie wieś Stawczyk zwykle oficjalnie nazywa się podwójnym słowem "Wszewilki-Stawczyk". Odnotuj jednak że kiedyś ta najstarsza część wsi Wszewilek nazywała się inaczej, mianowicie "Stawczyk", wcześniej "Wszewilki", przedtem "Cegielnia", jeszcze wcześniej (tj. przed 1945 rokiem) "Neu-Steffitz", itp.

Część #B: Geografia wsi Stawczyk - gdzie jest zlokalizowany i jak go znaleźć:**#B1. Wygląd i opisy wsi Stawczyk:**

Wieś Stawczyk jest bardzo mała. Ma jedynie około 20 domów i około 75 mieszkańców. Jednak na przekór takiej jej miniaturowej wielkości przebiegają przez nią aż 3 historycznie istotne drogi. Zasadnicza i najstarsza część jej zabudowań rozmieszczona jest wzdłuż bardzo starej i do dzisiaj piaszczystej drogi która kiedyś wiodła z miasta Milicza do wsi Godnowo i dalej do Sulmierzyc. Ponadto dawno temu sporo zabudowań tej wioski było też rozmieszczonych wzdłuż jeszcze innej starej i do dzisiaj piaszczystej drogi, która od wieków stanowiła fragment tzw. "Bursztynowego Szlaku". Jednak do dzisiaj przy pozostałości owego "Bursztynowego Szlaku" ostał się tylko jeden budynek - kiedyś zamieszkały przez moich rodziców i mnie. Przez Stawczyk przebiega też jeszcze jedna, dzisiaj już wyasfaltowana szosa - chociaż nadal pozbawiona chodnika. Jest ona najnowszą drogą tej wioski, bowiem wytyczona i zbudowana ona była dopiero około 1875 roku. Jednak przy niej stoi zaledwie około 5 budynków.

Do dnia dzisiejszego w internecie opublikowałem już aż kilka opisów wsi Stawczyk. Tyle że poprzednio opisywałem tą wieś pod odmiennymi nazwami albo wsi "Wszewilki-Stawczyk", albo też wsi "Wszewilki" - wszakże wszystkie te nazwy są też nazwami Stawczyka. Czytelnicy najważniejszą część opisów tej wsi znajdą na stronie internetowej o nazwie wszewilki.htm.

Na dodatek do owej strony, istnieje kilka dalszych stron posiadających z nią związek tematyczny i także opisujących dokładnie wieś Stawczyk. Najważniejsza z tych tematycznie związanych stron o wsi Stawczyk to strona wszewilki_milicz.htm. W swoim punkcie #8 opisuje ona bowiem "szlaki wędrownie" w obrębie i wokół Stawczyka (zwanego także Wszewilkami-Stawczykiem, lub Wszewilkami). Szlaki te umożliwiają "poinformowane" zwiedzenie najważniejszych z opisywanych tutaj miejsc i obiektów tej wioski. Inna też tematycznie związana strona o Stawczyku, to strona o nazwie wszewilki_jutra.htm. Ta z kolei opisuje moje marzenia na temat przyszłego rozwoju i charakteru Stawczyka (i Wszewilek). Jedną z niezwykłości strony wszewilki_jutra.htm jest że opisuje ona moją "podróż wehikułem czasu" do owej wsi w odległej przyszłości. Owa podróż do Stawczyka przyszłości zaprezentowana została w punktach #J1 do #J3 z odrębnej strony wszewilki_jutra.htm, zas skrótowo podsumowana poniżej w punkcie #C4.

Fot. #B1 (L1 w [10]): Ja (tj. Dr Jan Pajak - autor tej strony) sfotografowany w Stawczyku wraz ze swoim bratem Czesławem. Ja jestem tym chudym młodzieńcem bez okularów stojącym bliżej samochodu Fiata 126p. Paradoksem tego zdjęcia jest, że owa chuda osoba pokazana na nim na tle wsi Stawczyk (tj. ja), zgodnie z najróżniejszymi oficjalnymi dokumentami, urodziła się w aż kilku odmiennych wsiach naraz. Znacząco urodziła się we wsiach zwanych: (1) Cegielnia, (2) Wszewilki, (3) Stawczyk, oraz (4) Wszewilki-Stawczyk. Z pewnym przybliżeniem można też twierdzić, że osoba ta urodziła się w byłej wsi zwanej (5)

Neu-Steffitz. Czy to jednak oznacza, że osoba ta faktycznie, tak jak hinduski bóg "Brahma", istnieje w aż czterech osobach naraz? Proszę więc sobie wyobrazić konfuzję i szok którą jakiś naukowiec nawykły do jednoznaczności by doznał gdyby mu przyszło zdefiniować gdzie osoba ta faktycznie się urodziła. Podobnych paradoksów i konfuzji nasz świat fizyczny jest pełen. Niniejsza strona wyjaśnia niektóre z nich wraz z ich powodami. (Kliknij na niniejsze zdjęcie jeśli zechcesz zobaczyć je w powiększeniu.)

W czasach wykonania powyższego zdjęcia na stałe mieszkałem już we Wrocławiu. Tylko czasami odwiedzałem rodziców którzy nadal mieszkali wówczas w Stawczyku. Zdjęcie to ujmuje więc wygląd Stawczyka oglądany z domu moich rodziców. Kilka metrów poza tyłem widocznego na zdjęciu samochodziku Fiata przebiegał fragment jednego z najstarszych szlaków handlowych Europy i świata, tj. słynny Bursztynowy Szlak. Niestety, do dzisiaj przetrwało po nim niewiele śladów.

Oczywiście zdjęcie to było pstryknięte bardzo dawno temu (dokładnego roku nie pamiętam). W międzyczasie mój wygląd się nieco zmienił. Jak obecnie wyglądam pokazuje to lepiej albo zdjęcie z końca strony o nazwie [tapanui_pl.htm](#), albo też zdjęcia ze strony [bitwa_o_milicz.htm](#).

Czytelnicy którzy pamiętają dawne technologie fotograficzne odnotują zapewne że powyższa fotografia została wykonana w starej technologii tzw. "ORWO" koloru. Prawdopodobnie też była ona jedną z pierwszych kolorowych fotografii wykonanych w Stawczyku. Stary ORWO kolor różnił się dosyć wyraźnie od używanego obecnie "Kodak Color". Inne zdjęcie też wykonane w ORWO kolorze pokazane jest na "Fot. #C2" ze strony [aliens_pl.htm](#).

* * *

Zauważ że można zobaczyć powiększenie każdej fotografii z niniejszej strony internetowej. W tym celu wystarczy zwykle kliknąć na tą fotografię. Ponadto większość tzw. browserów które obecnie są w użyciu, włączając w to popularny "Internet Explorer", pozwala na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększyć, a także gdzie ją można wydrukować za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

Jeśli ktoś życzy sobie przesunąć jakąś ilustrację (tj. dowolną fotografię lub rysunek) - znaczy jeśli zechce przemieścić tą ilustrację w inne miejsce ekranu z którego właśnie ten ktoś czyta jej opis, a jednocześnie jeśli ów ktoś zechce pomniejszyć lub skonfigurować odrębne okienko w którym ilustracja ta się ukaże, wówczas powinienes uczynić co następuje: (1) kliknąć na tą ilustrację aby spowodować jej pojawienie się w odrębnym nowym okienku, (2) upewnić się że to nowe okienko jest przełączone na możliwość jego przekonfigurowywania i przemieszczania (w tym celu należy rzuć okiem na środkowy kwadracik z owych trzech kwadracików obecnych w jego prawym górnym rogu - kwadracik ten powinien zawierać w sobie obraz tylko jednego ekraniku, jeśli więc widnieją tam aż dwa ekraniki wówczas trzeba na nie kliknąć tak aby zmienić je w jeden ekranik), (3) zmniejszyć wymiary tego odmiennego okienka (z danym zdjęciem lub rysunkiem) poprzez "złapanie" myszą jego prawego-dolnego narożnika i przesunięcie tego narożnika w górę-lewo aby otrzymać rozmiar tego odrębnego okienka jaki sobie życzymy mieć (odnotuj że kiedy raz zmniejszymy rozmiar pierwszej takiej ilustracji, wówczas wszelkie następne kliknięte ilustracje pojawią się już w owych zmniejszonych rozmiarach - chyba że je ponownie powiększymy w taki sam sposób), a następnie (4) przemieść to odmiennne okienko z ilustracją w miejsce strony internetowej w którym zechcemy je oglądać. (Aby je przemieścić należy złapać je myszą za ten niebieski pasek na jego górnej krawędzi). Odnotuj też, że jeśli przesuniemy (suwakiem) tekst danej strony kiedy go czytamy, wówczas owo nowe odrębne okienko z dodatkowym rysunkiem nagle zniknie. Aby je ponownie przywrócić w nowe położenie strony musimy kliknąć na jego "ikonkę" (nazwę) istniejącą w najniższej części ekranu.

#B2. Jak znaleźć wieś Stawczyk:

Wieś Stawczyk leży około 2 kilometrów według "lotu sroki" na północny-wschód od małego miasteczka Milicz z południowo-zachodniej Polski. Mapa Stawczyka w 2009

roku była obiecana jako dostępna pod adresem www.mapamilicza.pl/galeria.php?id=30. Kiedy jednak zaglądałem na ten adres we wrześniu 2009 roku, pokazywano tam jedynie zdjęcie najbardziej reprezentacyjnego i ucywilizowanego fragmentu wsi Stawczyk - tj. tego który jest rozłożony wzdłuż owej wyasfaltowanej szosy z Milicza do Sulmierzyc, a stąd przy którym stoi znak drogowy Stawczyka. Dlatego dokładne położenie Stawczyka lepiej jest ustalić sobie z mapy Wszewilek - która to mapa w 2009 roku była dostępna pod adresem www.mapa-online.pl/mapa,Wszewilki.html. Na owej mapie Wszewilek wystarczy znaleźć gdzie są Wszewilki oraz gdzie przebiegają owe tory kolejowe po wschodniej stronie Wszewilek - które oddziałają Wszewilki od Stawczyka. Stawczyk znajduje się tuż przy Wszewilkach, przy tej samej co Wszewilki głównej drodze z Milicza do Sulmierzyc, tyle tylko że jego zabudowa zaczyna się zaraz za torami kolejowymi oddziałającymi Stawczyk od Wszewilek. Ponieważ na mapie tej pokazane są też Sławoszewice, rzeka Barycz, oraz owe tory kolejowe które kiedyś staranowały prastary rynek Wszewilek, położenie Stawczyka można też ustalić po położeniu owych Sławoszewic w odniesieniu do Baryczy i torów kolejowych. Mianowicie, Stawczyk leży powyżej (tj. na północ) od Sławoszewic, po drugiej stronie rzeki Barycz, jednak po tej samej stronie torów kolejowych co Sławoszewice. Tak szczerze mówiąc, to aż się prosi aby Stawczyk i Sławoszewice połączyć razem drogą i puścić po owej drodze okrężny autobus miejski "8" (tj. "ósemka"). Autobus taki łączyłby Stawczyk ze Sławoszewicami, Miliczem, Karłowem, ponownie Miliczem, ul. Krotoszyńską, Wszewilkami, poczym ponownie wracałby do Stawczyka. Wprowadzenie tego połączenia sugeruje znajomość chińskiej sztuki zwanej "Feng Shui" - dlatego na futurystycznej stronie internetowej wszewilki_jutra.htm ja od dawna postuluję zbudowanie owej drogi ze Stawczyka do Sławoszewic. Wszakże zbudowanie drogi ze Stawczyka do Sławoszewic ponownie zamknęłoby otwarty przez Niemców w 1875 roku obieg energii "chi". To z kolei spowodowałoby ożywienie gospodarcze całego regionu oraz powrót zamożności i dobrej fortuny do owych terenów.

Internetowe mapy okolic Stawczyka dostępne w czasach pisania tej strony (tj. w 2009 roku) były jednak wysoce nieprecyzyjne. Ani bowiem NIE zaznaczały one położenia Stawczyka, ani nawet NIE zaznaczały zabudowy Stawczyka rozłożonej wzdłuż trzech historycznie istotnych dróg (m.in. nie zaznaczały byłego "Bursztynowego Szlaku" który przebiegał właśnie przez Stawczyk). Dlatego znacznie lepiej konfigurację i zabudowę Stawczyka ukazuje zdjęcie satelitarne Stawczyka i jego okolic dostępne pod adresem <http://maps.google.com/maps?ll=51.551406,17.286901&spn=0.026010,0.058545&t=k&hl=en>. Zdjęcie to tak wycelowałem, aby pokazywało ono całą górną pętlę autobusu okrężnego "8" (tj. "ósemka") jakiego uruchomienie postuluję w punktach #B1 do #B3 odrębnej strony wszewilki_jutra.htm aby spowodować lokalną cyrkulację energii "chi" i w ten sposób spowodować ekonomiczne ożywienie miejscowości związanych ze Stawczykiem. Dlatego oprócz zabudowań Stawczyka widocznych w prawym-górnym rogu tego zdjęcia (tj. w północno-wschodniej jego części), pokazuje ono również: Sławoszewice położone po przeciwnej stronie rzeki Barycz niż Stawczyk, całą długość szosy łączącej Sławoszewice z Miliczem, zabudowę starówki miasteczka Milicz widoczną w dolnym-lewym rogu zdjęcia (tj. w południowo-zachodniej jego części), ulicę Krotoszyńską łączącą Milicz z Wszewilkami, Wszewilki, oraz oczywiście drogę powrotną do Stawczyka która przylega z Milicza przez Wszewilki do Stawczyka. Na zdjęciu tym widać również rzekę Barycz, oraz owo celowe zagięcie torów kolejowych tak wycelowane aby staranować dawny (historyczny) rynek Wszewilek. Owe tory stały się właśnie granicą oddzielającą Wszewilki od Stawczyka.

Jeszcze inną mapę Wszewilek, a stąd i okolic wioski Stawczyk, można zobaczyć też na stronie internetowej o adresie www.mapapolski.pl/ (po kliknięciu na link wywołujący tą stronę należy wpisać tam nazwę Wszewilki w okienko "Miejscowość", poczym kliknąć na "Pokaż"). Na mapie tej czarną linią zaznaczony jest przebieg linii kolejowej która w 1875 roku staranowała miniaturowy rynek Wszewilek. Jak widać z owego przebiegu, linia ta celowo najeżdża na Stawczyk ze wschodu, zaś po staranowaniu ryneczka tej miejscowości odjeżdża ponownie na wschód. Tą samą linią kolejową, a także miejsce po byłym ryneczku Wszewilek, można sobie też oglądać na znacznie dokładniejszym od map zdjęciu satelitarnym Stawczyka, wskazywanym już uprzednio w tym punkcie niniejszej strony. Tam

również wyraźnie widać przebieg linii kolejowej zagięty celowo ku byłemu ryneczkowi Wszewilek. Ktoś najwyraźniej był wysoce wrogi dawnym Wszewilkom aby tak złośliwie zaprojektować przebieg owej linii kolejowej. Odnotuj również, że wszystkie stawy widoczne na owym zdjęciu przy samym Stawczyku uformowane zostały dopiero około 1990 roku (żadnych stawów tam nie było w czasach kiedy linia kolejowa była budowana). Lokacja tych stawów też została dobrana na tyle złośliwie, aby zalały one m.in. pozostałości około 1000-letniego młyna wodnego który przez wszystkie te wieki operował na poprzednim korycie Baryczy właśnie przy dzisiejszej wsi Stawczyk.

Jak odnotowałem to podczas mojej wizyty w Stawczyku przyszłości opisanej w punkcie #C4 tej strony, kiedyś zbudowany będzie jeszcze jeden staw którego brzegi będą sięgały niemal do zaplecza obecnych zabudowań Stawczyka. Jednak ów następny staw będzie miał już dobroczynne znaczenie dla Stawczyka - prawdopodobnie bowiem zostanie zbudowany już po domknięciu obiegu "chi" szosą łączącą Stawczyk ze Sławoszewicami i po uruchomieniu miejskiego autobusu okrężnego "8" (tj. "ósemka"). Będzie on bowiem wykorzystywany jako rodzaj sztucznego jeziora rekreacyjnego, zamieniając w ten sposób Stawczyk w modny ośrodek kultury i wypoczynku.

Fot. #B2: Stara poniemiecka mapa Milicza i okolic Stawczyka - courtesy "Miliczanie-1931". (Kliknij na tą mapę aby zobaczyć ją w powiększeniu lub aby przesunąć ją w inne miejsce ekranu.) Ponieważ jest ona aż tak stara, wzdłuż linii jej zagięć powstały pęknięcia które na powyższym skanie są widoczne jako dwie ciemne krzyżujące się linie. Stąd podczas oglądania tej mapy owe dwie proste ciemne linie należy ignorować tak jakby ich wogóle nie było. Na mapie tej wyraźnie widać wieś obecnie nazywaną "Wszewilki" zaś w czasach rysowania owej mapy zwaną po niemiecku "Ziegelscheune". Jeśli zaś mapę tą się powiększy, wówczas na przedłużeniu głównej szosy przez "Wszewilki" (tj. szosy przez "Ziegelscheune") ku wschodowi, widać nieco rozmazany napis "Neu-Steffitz" - która to nazwa reprezentuje niemiecką nazwę dla dzisiejszego "Stawczyka". Ciekawe że na powyższej mapie zaznaczony jest każde domostwo byłego Stawczyka, w tym domostwa które dzisiaj już NIE istnieją bowiem zostały spalone zaraz po wojnie.

Aby móc zobaczyć indywidualne domy na powyższej mapie Milicza i okolicznych wsi, najpierw trzeba mapę tą sobie powiększyć do wymaganej przez nasze oczy skali. Powiększanie to trzeba zacząć od kliknięcia na ową mapę. Kliknięcie to otworzy nam odrębne okienko zawierające tylko tą mapę gotową do powiększania. Wówczas trzeba kliknąć w owym nowym okienku na maleńką "lupę" (zawierającą znak + w środku) jaka pojawi się u dołu owego odrębnego okienka z mapą. Potem zaś trzeba przyłożyć ową "lupę" do miejsca na mapie które chce się powiększyć i klikać na owym miejscu tak wiele razy aż miejsce to ukaże się nam w wymaganej skali powiększenia. Odnotuj że całe owo nowe okienko z powiększoną mapą daje się powiększać, pomniejszać i konfigurować, a także przesuwać w inne miejsca ekranu (instrukcje jak to czynić podane są pod pierwszą ilustracją m.in. z następujących totalizacyjnych stron: [soul_proof_pl.htm](#), [god_proof_pl.htm](#), [ufo_proof_pl.htm](#).)

Jeśli czytelnik uważnie przyglądnie się powyższej mapie, wówczas odnotuje na niej kilka szokujących "nieregularności". Przykładowo odnotuje owo dziwne łukowate wygięcie ku zachodowi milickiej linii kolejowej, które zostało celowo tak dobrane, aby owa linia kolejowa staranowała historyczny ryneczek wsi "Ziegelscheune" (tj. obecnej wsi "Wszewilki") wraz z prastarym kościółkiem kiedyś stojącym przy owym ryneczku (zilustrowanym na "Fot. #C5" ze strony [sw_andrzej_bobola.htm](#), oraz na "Fot. #2" ze strony [wszewilki_jutra.htm](#).) Owa linia kolejowa przepołowiła też historyczną wieś "Ziegelscheune" (tj. obecne "Wszewilki") rozdzielając ją na dwie odrębne wsi, tj. na "Ziegelscheune" (tj. obecne "Wszewilki") oraz na "Neu-Steffitz" (tj. obecny "Stawczyk"). Co nawet bardziej szokujące, to że gdyby takie łukowate zagięcie linii kolejowej miało miejsce nieco wcześniej (tj. nieco bardziej na południe), wówczas stacja kolejowa Milicza mogłaby zostać zbudowana niemal tuż przy rynku Milicza (zamiast być zbudowana około dwa kilometry na wschód od Milicza) - co zwiększyłoby użyteczność tej kolei i wcale nie prowadziłoby do jej

obecnego zamykania z powodu braku pasażerów wołających używać bliższy do Milicza dworzec autobusowy. Kolejną taką "nieregularnością" widoczną na owej mapie jest nazwa "Neu-Steffitz" dla dzisiejszej wsi "Stawczyk". Jak widzimy to z mapy, oznacza ona "nową wieś Steffitz" (tj. jakby nową wersję dzisiejszej wsi "Stawiec"). Jednak ów "Neu-Steffitz" jest nawet bardziej oddalony od wsi "Steffitz" (tj. od obecnej wsi "Stawiec") niż wynosi jego odległość od Milicza. Dlaczego więc Stawczyk nie został nazwany np. "Neu-Militsch" (tj. "nowy Milicz") albo "Neu-Ziegelscheune" (tj. "nowe Wszewilki") zamiast być nazwany "Neu-Steffitz"? Wszakże leży on bliżej Milicza i Wszewilek niż Stawca, a ponadto ma on trwały historyczny związek z Miliczem i z Wszewilkami (za to NIE ma żadnego związku ze Stawcem). Kolejna z "nieregularności" widocznych na owej mapie polega na tym że najwyraźniej celowo ignoruje ona pokazanie całego przebiegu ciągle wówczas istniejącego i używanego dawnego "Bursztynowego Szlaku" - który wiódł przez dzisiejszą wieś Stawczyk. (Ów celowo zignorowany na mapie fragment "Bursztynowego Szlaku" ciągle był używany w czasach mojej młodości, tj. zaraz po drugiej wojnie światowej - kiedy to w Stawczyku nazywano go "drogą do tamy".) Dokładny przebieg owego szlaku opisany został w punkcie #8.1 totalizycznej strony wszewilki_milicz.htm. Następna "nieregularność" udokumentowana tą mapą jest że w czasie jej wykonywania NIE istniały jeszcze dzisiejsze stawy zalewające dawny historyczny młyn wodny Milicza oraz spory fragment dawnego "Bursztynowego Szlaku". (Stawy te pokazują już dzisiejsze mapy wskazywane w punkcie #B2 tej strony, zaś omawiane w punktach #B2 i #E1 strony wszewilki.htm oraz w punkcie #B2 tej strony.)

Wszystkie powyższe "nieregularności" wzięte razem wyraźnie dokumentują, że dzisiejsza wieś Stawczyk jest nieprzerwanie poddawana jakimś dziwnym prześladowaniom, opisywanym m.in. w punktach #E1 i #E2 totalizycznej strony wszewilki.htm, oraz w punktach #C4 i #K3 totalizycznej strony wszewilki_jutra.htm. W obliczu istnienia dokumentacji (takiej jak np. powyższa mapa) która jednoznacznie dowodzi faktyczności owego nieprzerwanego prześladowania wsi Stawczyk, warto zadać sobie pytanie: "dlaczego i przez kogo wieś ta jest prześladowana nieprzerwanie przez aż tak długi okres czasu?". Znaczy, czy prześladowanie to jest tylko wyrazem działania tzw. "pola moralnego" - podobnym do działania "przekleństwa wynalazców" opisanego w punkcie #G3 totalizycznej strony eco_cars_pl.htm. (Jeśli tak - to co aż tak "moralnie poprawnego" wieś ta czyni aby zasłużyć sobie na tak zawzięte prześladowania?) Czy też prześladowanie to jest wyrazem istnienia i złowrogiego działania jakiejś "szatańskiej mocy" która wie coś na temat Stawczyka czego my dzisiaj ciągle jeszcze nie wiemy?

#B3. Inne wsi też noszące nazwę "Stawczyk" lub nazwy do niej pokrewne:

W chwili obecnej nazwa "Stawczyk" jest unikalna. Znaczy, oprócz wsi Stawczyk opisywanej na niniejszej stronie, NIE ma już na całym świecie drugiej miejscowości noszącej tą samą nazwę "Stawczyk".

W tym miejscu powinienem jednak nadmienić, że kiedyś (dawno temu) istniała inna wieś Stawczyk położona w odmiennym regionie Polski. Tamten inny Stawczyk był własnością szlacheckiej rodziny "Stawczyków" od której wywodzi swoje pochodzenie duża grupa ludzi do dzisiaj noszących nazwiska "Stawczyk" - po więcej szczegółów patrz punkt #G1 przy końcu tej strony. Niefortunny dla owych ludzi, tamta wieś szlachecka została przemianowana na inną nazwę sporo czasu temu. Do dzisiaj zaginęła już nawet pamięć gdzie owa wieś była zlokalizowana, kiedy przemianowano jej nazwę, oraz jak brzmi jej dzisiejsza nazwa (gdyby któryś z czytelników miał jakieś informacje na te tematy, byłbym wdzięczny za ich udostępnienie do opublikowania na niniejszej stronie).

Jednak nazwy pokrewne do "Stawczyka" wcale NIE są już aż tak unikalne. Przykładowo tylko w Polsce znajdują się aż 3 miejscowości noszące nazwę "Stawiec". Jedną z tych miejscowości jest ów "Stawiec" oddalony od "Stawczyka" tylko o około 3 kilometry. Ja posądzam że to właśnie od niego "Stawczyk" otrzymał swoją nazwę. Wszakże "Stawczyk" to jakby "Mały Stawiec". Tymczasem Niemcy którzy w 1875 roku wymyślili nazwę dla obecnego Stawczyka nazywali go "Neu-Steffitz" co oznacza "Nowy Stawiec", podczas gdy sam Stawiec Niemcy nazywali "Steffitz".

Niezależnie od Stawca zlokalizowanego około 3 kilometry na północny-zachód od Stawczyka, w Polsce znajdują się jeszcze dwa dalsze Stawce. Kolejny z nich to osiedle znajdujące się niedaleko dawnej stolicy Krzyżaków, czyli Malborka. Administracyjnie należy on do gminy Nowy Staw, koło Malborka, województwo pomorskie. Jeszcze jeden (trzeci) Stawiec jest wioską w Gminie Nowy Dwór Gdański, województwo pomorskie.

Część #C: Symbolizm moralny wsi Stawczyk - czyli wsi która powstała z prześladowań, istnieje jako symbol prześladowań, oraz dostarcza ilustrację następstw prześladowań:

#C1. Jak "prawa moralne" powodują że "uciskający uciska również i siebie samego":

Filozofia zwana totalizm odkryła że niezależnie od dobrze wszystkim znanych praw fizyki, życiem ludzi rządzi również odmienny rodzaj praw zwanych prawami moralnymi. Faktycznie to istnienie praw moralnych dałoby się wydedukować z religii. Wszakże jeśli istnieje "miłujący sprawiedliwość" Bóg, wówczas nawet dziecko jest w stanie się domyślić że ów Bóg musi nagradzać i karać wszystkich ludzi według zawsze tych samych zasad. Owe więc ściśle i zawsze te same zasady według których sprawiedliwy Bóg powtarzalnie nagradza lub karze postępowania ludzi, byłyby właśnie "prawami moralnymi". Oczywiście, gdyby prawa moralne zdefiniować wyłącznie jako zbiór zasad nagradzania i karania używanych przez Boga, wówczas istnienie i działanie tych praw odnotowałiby oraz respektowałiby tylko ci ludzie którzy już poznali i uznają rozległy naukowy materiał dowodowy potwierdzający że Bóg istnieje. Natomiast przykładowo tzw. "ateiści" odrzucaliby wszelkie próby zdefiniowania i respektowania praw moralnych. Z tego powodu filozofia totalizmu, a także jej odwrotność czyli tzw. filozofia pasożytnictwa, definiują "prawa moralne" na całkowicie świecki sposób. Prawa te zaś dają się łatwo zdefiniować na świecki sposób, ponieważ okazuje się również, że w świecie fizycznym działa szczególny rodzaj niewidzialnego pola, podobnego do pola grawitacyjnego. Owo niewidzialne pole przez totalizm zwane jest "polem moralnym". Powoduje ono, że podobnie jak wspinanie się pod górę pola grawitacyjnego wymaga wkładania w to wysiłku, również czynienie wszystkiego co moralne, też wymaga włożenia w to wysiłku. (Np. rozważ ile wysiłku wymaga np. mówienie prawdy.) Dzięki więc istnieniu owego niewidzialnego "pola moralnego" czynienie tego co moralne wymaga wysiłku, zaś czynienie tego co niemoralne jest łatwe i przyjemne. Innymi słowy, wspinanie się pod górę "pola moralnego" zamienia naszą pracę w szczególny rodzaj energii potencjalnej zwanej "energiami moralną" lub "zwow", zaś ześlizgiwanie się w dół owego pola moralnego rozprawsza z nas tą energię. Z fizyki zaś wiemy, że wszędzie gdzie istnieje jakieś pole oraz jakaś energia, istnieć również będą odpowiednie prawa które rządzą działaniem tego pola i przepływami tej energii. Z tej wiedzy fizyki wywodzi się więc "świecka definicja praw moralnych". Definicja ta stwierdza, że "prawa moralne są to prawa które rządzą przepływem energii moralnej oraz działaniem pola moralnego". Taką zaś świecką definicję praw moralnych są już w stanie zaakceptować również i ateiści. Wszakże skupia się ona wyłącznie na skutkach działania praw moralnych. Z kolei owe skutki są już w stanie zaobserwować nawet ateiści.

Prawa moralne działają w raczej niezwykły sposób. Gdybyśmy chcieli podsumować ich działanie jednym zdaniem, wówczas moglibyśmy stwierdzić, że prawa moralne przywracają sprawiedliwość przez nagradzanie moralności i karanie niemoralności. Znaczą, jeśli przykładowo ktoś czyni coś niemoralnego, np. krzywdzi innych, wówczas zadziałają właśnie owe "prawa moralne" i wyrównają rachunki. Prawa te NIE wyrównują jednak rachunków w taki sam sposób w jaki uczyniliby to ludzie (np. poprzez połamanie rąk które krzywdziły). Prawa te mają swoje własne, wysoce dyskretne i subtelne, metody działania. Przykładowo, zamiast połamać ręce które kogoś skrzywdziły, spowodują one bankructwo właściciela tych rąk, oraz spowodowane tym bankructwem głód i cierpienia które są równe cierpieniom zadany przez szerzenie krzywdy. Albo spowodują one że właściciela tych rąk opuści żona i musi on cierpieć żyjąc samotnie. Albo spowodują że umrze mu ktoś kogo bardzo kocha. Itd., itp.

Jedną z metod działania praw moralnych powoduje, że ucisk zawsze zatacza

pełny okrąg i uderza w tego co uciska. Anglicy mają na to nawet przysłowie które stwierdza "Curses, like chickens, always come back home to roost" (tj. "Złośczenia zawsze zatoczą krąg i powrócą do tego co je ze siebie wysłał"). Ta metoda działania praw moralnych jest wyraźnie widoczna jeśli ktoś prześledzi losy opisywanej tutaj wsi Stawczyk. Mianowicie, jak to wynika z opisów które następują, Stawczyk zawsze był prześladowany i uciskany przez władze które umiejscowione są w pobliskim Miliczu. Dlatego "prawa moralne" tak zadziałały, że efekty owych prześladowań i ucisku Stawczyka zataczają pełny okrąg i uderzają z powrotem w ów Milicz. Jak to się dzieje, wyjaśnię to w opisach które teraz następują.

#C2. Historia wsi "Stawczyk": powstanie z prześladowań, nieustanne doświadczenie prześladowań, ilustrowanie następstw prześladowań:

Stawczyk jest wsią która stanowi symbol nieuzasadnionych, chociaż nieustających prześladowań. Wszakże wieś ta powstała właśnie jako wynik prześladowań. Ponadto, wieś ta jest prześladowana przez cały dotychczasowy okres swego istnienia - nawet do dzisiaj. Co najbardziej szokujące, to że w międzyczasie zmienił się kraj do którego Stawczyk należy, zmienił się też ustrój i ideologia. Prześladowania jednak Stawczyka nadal nie ustały. Każdy może je odnotować jeśli rozglądnie się po owym Stawczyku, oraz jeśli porówna stan i sytuację Stawczyka ze stanem i sytuacją pobliskiej wsi Wszewilki - która oddzielona jest od Stawczyka jedynie szerokością dwóch szyn torów kolejowych. Wszakże porównanie Wszewilek i Stawczyka wygląda jak porównanie przysłowiowego "królewicza i żebraka" - i to na przekór że kiedyś były to dwie części jednej i tej samej wioski. Przykładowo, przez Wszewilki wiedzie doskonała wybrukowana droga. Natomiast wszystkie główne drogi Stawczyka są nadal polnymi drogami w których koła (i nogi) zapadają się w piasku po osie (i kostki). Wszewilki mają chodnik. Stawczyk ma jedynie pobocza drogi porośnięte zieliskiem. Wszewilki mają wodę z wodociągów, a niektóre domy i gaz. Stawczyk ciągle jest zależny od studni i nadal NIE ma gazu. Wszewilki mają przystanek autobusowy i połączenie autobusowe z Miliczem. Stawczyk musi pedałowac do Milicza na rowerach. itd., itp. Takich zaniedbań i skrytych prześladowań jest znacznie więcej, jednak narazie wstrzymam się od ich pełnego opisywania.

Wiedząc o działaniu "praw moralnych" opisanych w poprzednim punkcie #C1, oraz będąc świadomym że wszelkie dotychczasowe prześladowania Stawczyka zawsze wywodzą się od władz administracyjnych zlokalizowanych w pobliskim mieście Miliczu, warto poznać mechanizm za pośrednictwem którego prześladowania Stawczyka zataczają koło i uderzają w ów Milicz. Aby zas to poznać, najpierw musimy zapoznać się z przedziwną historią Stawczyka.

Przejawy prześladowań wsi Stawczyk, których dowody przetrwały aż do dnia dzisiejszego, rozpoczęły się około 1875 roku. Do owego roku 1875 wieś "Stawczyk" była częścią sąsiadującej z nią dzisiaj odmiennej wsi zwanej Wszewilki. Znaczą, aż do 1875 roku Stawczyk był wschodnią połową Wszewilek. W owych czasach wszystkie zabudowania Stawczyka zlokalizowane były nawet bliżej starego ryneczka historycznych Wszewilek niż obecnie oddalona jest od tego starego ryneczka większość zabudowań obecnej wsi Wszewilki. Innymi słowy, Stawczyk jest większym nosicielem historycznych tradycji Wszewilek, niż nosicielem tych tradycji są dzisiejsze Wszewilki. Z powodu owej bliskości Stawczyka do rynku historycznych Wszewilek, historia wsi "Stawczyk" aż do 1875 roku była równocześnie historią wsi Wszewilki. Z kolei historię wsi Wszewilki czytelnik może sobie poczytać poprzez zagłębienie do odrębnej strony internetowej o nazwie wszewilki.htm.

Niestety, w 1875 roku historie obu tych wsi oddzieliły się od siebie. Mianowicie w 1875 roku zbudowana była linia kolejowa wiodąca z Milicza do Krotoszyń i dalej do Gniezna - wzdłuż starego tzw. Bursztynowego Szlaku - którego fragment kiedyś przebiegał właśnie przez dzisiejszą wieś Stawczyk. Ktoś zaś kto projektował ową linię kolejową, wykorzystał ją jako narzędzie zniszczenia dawnej wsi Wszewilki. Mianowicie, ktoś ten celowo tak wypaczył przebieg owej linii kolejowej, że zoczyła ona ku zachodowi z prostej linii którą powinna przebiegać i staranowała miniaturowy ryneczek dawnej wsi Wszewilki.

Pod wymówką wiec budowy owej linii kolejowej, rozebrano stary kościół katolicki Wszewilek (zilustrowany na zdjęciu ze strony wszewilki_jutra.htm), oraz rozmontowano publiczne budowle Wszewilek które reprezentowały miejscowy przemysł i stąd decydowały o znaczeniu i zamożności tej wsi - takie jak karcznię (tj. dawny hotel), śpichlerz, piekarnię, oraz rzeźnię. Oczywiście do dzisiaj owo celowe zбочenie linii kolejowej ku zachodowi zaraz po minięciu stacji kolejowej Milicza wyraźnie widać na mapach Wszewilek, oraz na zdjęciu satelitarnym wskazanym w punkcie #B2 tej strony. Na mapach tych i zdjęciu wyraźnie też widać, że natychmiast po staranowaniu historycznego ryneczka dawnych Wszewilek i zniszczeniu przemysłu tej wsi, owa linia kolejowa z powrotem zakręca ku wschodowi, powracając na przebieg którym gdyby podążała przez cały czas wówczas nigdy NIE staranowałyby rynku dawnej wsi Wszewilki. (O fakcie świadczącym że owo staranowanie ryneczka starych budowli Wszewilek torami kolejowymi było celowe i złośliwie zaplanowane, świadczy też fakt że gdyby takie zakrzywienie torów ku wschodowi dokonane było nieco wcześniej na południe, wówczas owa linia kolejowa przebiegałaby tuż pod obrzeżem miasta Milicza. Tymczasem w rzeczywistości kolejowa stacja Milicz została zbudowana jako oddalona od miasta Milicza o około 2 kilometry. Taka zaś duża odległość stacji kolejowej od miasta komplikuje docieranie do kolei i niechęca do jej używania.)

Ktokolwiek złośliwie staranował rynek starych Wszewilek torami kolejowymi, wcale NIE poprzestał na tym akcie. Na dodatek bowiem do przepołowienia dawnych Wszewilek, ktoś ten administracyjnie przemianował też tą część dawnych Wszewilek która odcięta została od reszty wsi ową nową linią kolejową. Począwszy też od wówczas, ta odcięta torami część Wszewilek została nazwana odmienną niż Wszewilki nazwą Neu-Steffitz. Do dzisiaj też nosi ona odmienną od Wszewilek nazwę, mianowicie nazwę "Stawczyk". W ten sposób staranowanie torami kolejowymi ryneczka dawnej wsi Wszewilki stanowiło punkt czasowy w którym zaczęły się doskonale widoczne do dzisiaj prześladowania Stawczyka, oraz w którym historia obecnej "wsi-martyra" o nazwie "Stawczyk" oddzieliła się od historii dawnej wsi Wszewilki.

Tajemnicze choć dobrze ukryte prześladowania wsi Stawczyk wcale NIE skończyły się na jej administracyjnym oddzieleniu od dawnej wsi Wszewilki, a praktycznie są uparcie kontynuowane nawet do dzisiaj. Przykładowo na terenie obecnego Stawczyka (a precyzyjniej na obszarze dzisiejszego boiska sportowego w dzisiejszej wsi Stawczyk) przed 1875 rokiem organizowane były doroczne targowiska koni które były słynne aż w całej Europie. Na targowiska te zjeżdżali się kupcy z wielu nawet bardzo odległych krajów. Na temat tych targowisk koni piszę też m.in. w punkcie #B2 odrębnej strony o mnie (dr inż. Jan Pająk - notka autobiograficzna). Jednak około 1890 roku ktoś w Miliczu podjął administracyjną decyzję aby owo słynne targowisko koni przenieść z jego poprzedniego zlokalizowania na terenie dzisiejszego Stawczyka, w jego nowe zlokalizowanie tuż przy mieście Miliczu - obok milickiej rzeźni. Oczywiście, po przeniesieniu targowiska w nowe miejsce, po świecie rozniosła się wiadomość że Wszewilki NIE organizują już więcej targowisk koni. Kupcy zaprzestali więc przybywania na te targowiska i tak zakończyła się wielowiekowa tradycja tego słynnego targowiska koni. Niestety, odebranie Stawczykowi słynnego targowiska koni było tylko kolejnym z wielu objawów tego skrytego prześladowania. Inne przejawy tego prześladowania obejmowały m.in. zaduszenie i zmuszenie do bankructwa starego młyna wodnego Stawczyka, czy nadanie Stawczykowi nazwy "Neu-Steffitz" zamiast nazwy "Neu-Ziegelscheune" (nazwa "Ziegelscheune" jest niemiecką nazwą ówczesnych "Wszewilek") - po poprawne tłumaczenia na niemiecki nazw obecnych polskich miejscowości patrz strona genealogienetz.de.

W ramach owych wielowiekowych prześladowań Stawczyk NIE otrzymał nawet własnej stałej nazwy. Administracyjnie uważa się go za wieś odrębną od Wszewilek. Jednak wcale NIE daje mu się odrębnej nazwy. Przykładowo, zaraz po odcięciu go od dawnych "Ziegelscheune" (tj. "Wszewilek"), Niemcy nazwali go "Neu-Steffitz". Zaraz po wyzwoleniu nazwano go "Cegielnia" (podczas gdy Wszewilki nazwane były wówczas "Wszewilkami"). Początkowo w mojej metryce urodzenia było więc nawet napisane że urodziłem się w Cegielni. Kiedy jednak z powodu nazwy "Cegielnia" przez pomyłkę zaczęły do Stawczyka przybywać ciężarówki zamierzające odebrać cegły z cegielni w pobliskim

Stawcu, nazwę tej wioski przemianowano na Wszewilki. Moje metryki urodzenia z czasów starania się na studia zaczęły więc podawać że urodziłem się we Wszewilkach. Pod nazwą "Wszewilki" Stawczyk istniał aż do końca czasów kiedy ja w nim mieszkałem. Około 1964 roku, kiedy przenieśliśmy się już do Wrocławia, nazwę owej mini-wioseczki przemianowano na "Stawczyk". To spowodowało ponowną konfuzję, ponieważ zamiast do niej, ludzie którzy zamierzali ją odwiedzić trafiali do pobliskiego "Stawca" - oraz wice versa. W końcu około 1985 roku ktoś wpadł na pomysł aby nadać jej podwójną, a więc raczej niewygodną nazwę, "Wszewilki-Stawczyk". Pod ową niewygodną nazwą oficjalnie Stawczyk istnieje ona aż do dzisiaj. Jednak nikt NIE chce używać owej podwójnej a stąd i wysoce niewygodnej nazwy. Dlatego większość ludzi nadal referuje do tej wioski pod nazwą "Stawczyk". Ja jednak sugerowałbym aby kiedyś nazwać ją albo "Pająkowo" (aby uhonorować m.in. moje polskie pochodzenie z tej właśnie wioseczki), albo też "Pajakville" (aby przerzucić most pomiędzy miejscem mojego urodzenia i angielskojęzyczną Nową Zelandią - która reprezentuje moje późniejsze obywatelstwo, tradycje, oraz kulturę.) Wszakże owa nazwa "Pająkowo" zamykałaby wszelkie dotychczasowe problemy. Nie tylko bowiem ucinąłaby ona dalszą konfuzję i doskonale harmonizowała z nazwą "Wszewilki" dla wioski z której Stawczyk się wywodzi, ale ponadto nadawałaby Stawczykowi unikalną wymowę alegoryczną. Wszystko też wskazuje na to że najwyraźniej los celowo utrzymuje obecną konfuzję z nazwą tej wsi aż do czasu kiedy obecny Stawczyk będzie mógł być nazwany "Pająkowo".

#C3. Rola Stawczyka w sterowaniu obiegu energii "chi" - a stąd w otwieraniu lub zamykaniu dostępu znaczenia, dobrobytu i szczęścia do Milicza oraz do okolicznych miejscowości:

W punkcie #C1 tej strony opisałem rodzaj inteligentnej energii którą filozofia totalizmu nazywa "energiami moralną" lub energią "zwow" ("zwow" to skrót od "zasobu wolnej woli"). Chińczycy nazywają ją energią "chi", zaś Japończycy energią "reiki". Energia ta ma to do siebie, że ludziom, instytucjom, osiedlom, lub państwom, które mają jej dużo, przynosi ona szczęście, dobre samopoczucie, zamożność, wpływy, itp. To dlatego indywidualne osoby które zgromadzą wiele tej energii przeżywają tzw. nirwanę. Natomiast ci którym energii tej chronicznie brakuje popadają w depresję, kłopoty, nieszczęścia, a w końcu ulegają zniszczeniu. Starożytni Chińczycy wypracowali więc rodzaj wiedzy ludowej lub sztuki, która uczy ludzi jak mają zwiększać swoje szczęście i zamożność poprzez gromadzenie i zwiększanie owej energii "chi". Ta wiedza starożytnych Chińczyków o zasadach dobroczynnego sterowania przepływem energii "chi" znana jest w dzisiejszym świecie pod nazwą "Feng Shui". Po latach igrowania tej wiedzy, w Chinach nastąpił niedawno raptowny nawrót do powszechnego jej stosowania w każdej dziedzinie życia. W przypadku np. miejscowości czy obszarów geograficznych, najlepszym sposobem zwiększania ilości zawartej i zgromadzonej w nich energii "chi", jest wprowadzanie tej energii w lokalny ruch cyrkulacyjny. Poprzez zaś zgromadzenie w sobie dużej ilości energii "chi", dane miejscowości czy obszary zwiększają swoją zamożność, znaczenie, szczęście swoich mieszkańców, itp.

Jeśli ktoś przeanalizuje historię dawnego Milicza i Wszewilek opisaną na stronie o mieście Miliczu i o wsi Wszewilki, wówczas odnotuje że aż do 1875 roku (tj. aż do czasu podjęcia otwartych prześladowań Stawczyka), Milicz miał tak doskonale zaprojektowany układ dróg że wyłapywały one energię "chi" oraz wprowadzały tą energię w lokalną cyrkulację. W wyniku tego, aż do owego 1875 roku, Milicz i Wszewilki pozostawały wysoce szczęśliwymi i zamożnymi miejscowościami. W owych czasach z Milicza wychodziły ku dzisiejszemu Stawczykowi aż dwie główne drogi byłego tzw. "Bursztynowego Szlaku". Jedna z nich przebiegała ku wschodowi wzdłuż rzeki Barycz, aż do mostu przez Barycz znajdującego się kiedyś na terenie starego młyna wodnego dzisiejszego Stawczyka. Potem droga ta biegła do dzisiejszego Stawczyka i dalej przez Pomorsko do Gniezna i Gdańska. Jednak przy karczmie z dawnego ryneczka Wszewilek, droga ta łączyła się na krótko z inną drogą z Sulmierzyc która biegła przez dzisiejszy Stawczyk i Wszewilki z powrotem do Milicza. W ten sposób energia "chi" która dotarła do Milicza, zostawała wyłapywana przez jedną z owych okrężnie obiegających dróg i już pozostawała uwięziona w cyrkulacji wokół Milicza.

Niestety, tamten wysoce korzystny dla Milicza, Stawczyka i Wszewilek przebieg dróg został zniszczony w 1875 roku zbudowaniem kolei i następnym upadkiem młyna wodnego Stawczyka z jego starym mostem przez rzekę Barycz. W rezultacie, po 1875 roku, wszystkie drogi wyłącznie "wybiegały" z Milicza, NIE powodując już nawrotu energii "chi" i wprowadzenia tej energii w lokalną cyrkulację. Wynikiem było że Milicz i otaczającego go miejscowości szybko utraciły uprzednie znaczenie, zamożność i szczęście ich mieszkańców. Ten stan trwa tam nawet i dzisiaj.

W punktach #B1 do #B3 odrębnej strony o nazwie wszewilki_jutra.htm sugeruję aby zbudować drogę bitą, która jak ów zniszczony fragment "Bursztynowego Szlaku" łączyłaby dzisiejszy Stawczyk ze Sławoszewicami, oraz aby puścić po tej drodze autobus okrężny "8" (tj. "ósemka"). Droga ta i autobus przywracałyby bowiem zamkniętą cyrkulację energii "chi" istniejącą w owych miejscowościach w czasach "Bursztynowego Szlaku". To zaś przywrócenie zamkniętej cyrkulacji "chi", zgodnie z wiedzą o "Feng Shui", przywróciłoby znaczenie, zamożność, oraz szczęście do owych miejscowości.

Z tego co obecnie wszyscy możemy naocznie zobaczyć w Stawczyku, Milickie władze narazie kompletnie ignorują moje sugestie na temat owej drogi i autobusu "8" (tj. "ósemka"). Pewno uważają je za "zabobony" - a nie za "wiedzę" która sprawdza się w rzeczywistym życiu (na przekór, że powrót w komunistycznych Chinach do wdrażania w codziennym życiu starych zasad "Feng Shui", w przeciągu zaledwie kilku lat zamienił Chiny z kraju o którym się jedynie żartowało, w prawdziwe światowe mocarstwo). Jednak z tego co wyjaśniłem w następnym punkcie #C4, wynika że owo ignorowanie moich sugestii NIE będzie trwało bez końca. W jakimś punkcie czasowym z przyszłości owa domykająca okrąg droga ze Stawczyka do Sławoszewic zostanie bowiem faktycznie zbudowana, zaś miejski autobus okrężny "8" (tj. "ósemka") - który tak usilnie postuluję, faktycznie będzie uruchomiony po owej drodze. To z kolei spowoduje, że w przyszłości zacznie się nowy okres znaczenia, zamożności i szczęścia, zarówno dla Stawczyka, jak i dla Milicza i wszystkich innych pobliskich miejscowości. Co mnie dosyć ciekawi, to czy władze Milicza będą odkładały zbudowanie owej drogi, a stąd i powrót zamożności i szczęścia do ich miasta, aż do dalekiej przyszłości, czy też już wkrótce zakasają rękawy i zaborą się za dokonanie tego przełomowego działania.

#C4. Stawczyk przyszłości - czyli moja wizyta w Stawczyku prawdopodobnie w 2222 roku:

Ci czytelnicy którzy znają przedmiot moich badań naukowych wiedzą doskonale że mam określone "chody" u tych co już obecnie mają w swojej dyspozycji tzw. wehikuły czasu (tj. wehikuły do zbudowania których ja staram się nakłonić ludzi już począwszy od 1985 roku - po szczegóły patrz strona timevehicle_pl.htm). Wygląda też na to, że na urodziny w 2009 roku zafundowano mi dosyć niezwykły prezent - tj. podróż do Stawczyka przyszłości. Niestety, zafascynowany tym co tam widziałem, zapomniałem zapytać o datę do której byłem tam przeniesiony. Domyślam się jednak że było to dosyć sporo lat do przodu. Wszakże obserwuję ewolucję wyglądu Stawczyka już przez ponad 60 lat - narazie zaś wcale NIE odnotowałem drastycznej zmiany wyglądu architektury i zabudowań tej wioski. Tymczasem podczas mojej podróży do Stawczyka przyszłości wszystkie domy tej wioski były już inne niż obecnie (np. materiał ich ścian wyglądał już jak rodzaj "zadymionego szkła" lub plastyku - jaki dzisiaj widzimy tylko w niektórych co droższych samochodach). Potem więc przeanalizowałem swoją podróż z punktu widzenia kiedy to ja zabrałbym Jana Pajaka do Stawczyka przyszłości - gdybym dokładnie znał jego upodobania, wiedzę, zwyczaje i dążenia - tak jak najwyraźniej znał je mój tamtejszy "przewodnik". Analiza ta doprowadziła mnie do wniosku że prawdopodobnie byłem w Stawczyku przyszłości latem 2222 roku - ten bowiem rok miałby dla mnie szczególne znaczenie a ponadto dobrze by pasował do zmian jakie odnotowałem wówczas w Stawczyku. Jak też zdołałem to odnotować podczas owej wizyty, Stawczyk stanie się w przyszłości znaczącym, zasobnym i szczęśliwym miejscem na Ziemi. Będzie też dosyć istotnym ośrodkiem kulturalnym i rekreacyjnym. Wygląda mi na to, że kulturalne i rozrywkowe znaczenie Stawczyka przewyższy wówczas nawet znaczenie Milicza (tj. Milicz zachowa wtedy swoje znaczenie jako ośrodek administracyjny, mieszkalny, oraz handlowy,

jednak Stawczyk przejmie od Milicza kilka innych istotnych funkcji). Stawczyk będzie wówczas już połączony ze Sławoszewicami, Miliczem, oraz Karłowem, za pomocą okrężnego autobusu miejskiego "8" (tj "ósemka") - do wprowadzenie którego to autobusu ja tak usilnie namawiam. Z tego też co zobaczyłem wówczas w Stawczyku, w przyszłości stanie on się ogromnie modnym i luksusowym miejscem zamieszkania. Prawdopodobnie działka budowlana i willa w Stawczyku będzie wówczas warta majątek (obecnie działkę można sobie tam kupić za grosze). Swoją podróż do Stawczyka przyszłości opisałem w punktach #J1 do #J3 z odrębnej strony wszewilki_jutra.htm.

#C5. Moralne przesłanie które powyższa historia wsi Stawczyk stara nam się uświadomić:

Pechowo dla całej naszej cywilizacji, coraz więcej osób wierzy w bzdurne twierdzenia niektórych dzisiejszych naukowców, powtarzających jak papugi za Darwinem, że ludzie to nieco wyżej wyewoluowane zwierzęta. W rezultacie, coraz więcej ludzi zachowuje się jak zwierzęta. Przykładowo, zamiast widzieć bliźniego w każdym innym człowieku, widzą oni tylko konkurentów i zagrożenie dla swej dominacji. Zamiast wspólnie z bliźnimi wypracowywać sobie zamożność i szczęście, wołają oni rabować od bliźnich to co im potrzebne. Zamiast nawzajem sobie pomagać w sięganiu tam gdzie wzrok nie sięga, wołają spytać bliźnich w dół i kopać pod nimi dołki. Itd., itp. Takie zasady zwierzęcego postępowania być może dawałyby zamierzone efekty w jakimś innym wszechświecie w którym NIE ma Boga. Jednak w naszym wszechświecie istnieje sprawiedliwy Bóg który poprzez stworzenie i odpowiednie wychowanie sobie człowieka jest zdeterminowany aby osiągnąć swoje nadrzędne cele. Taki zaś sprawiedliwy Bóg nie puszcza bezkarnie zezwierzęconych zachowań u ludzi. Dlatego Bóg ów ustanowił tzw. "pole moralne", "energię moralną" oraz "prawa moralne" opisywane filozofią totalizmu. Te zaś, za pośrednictwem odpowiednich mechanizmów działania karzą zezwierzęcenie, nagradzają moralne postępowania, oraz dają ludziom wymagane lekcje. Opisana uprzednio historia wsi Stawczyk ilustruje sobą zarówno treść jednego z praw moralnych, jak i mechanizm działania tego prawa, a także prosty sposób na jaki ludzie mogą wykorzystać znajomość tego mechanizmu dla podnoszenia własnego dobrobytu i poziomu szczęścia.

Prawem moralnym którego działanie jest doskonale zilustrowane przez opisaną tutaj historię wsi Stawczyk, jest tzw. "prawo bumerangu". Generalnie stwierdza ono że "cokolwiek z siebie wysyłasz innym, to samo powróci i do ciebie jak bumerang". W odniesieniu jednak do losów wsi Stawczyk, działanie tego prawa najlepiej wyrażają najróżniejsze przysłowia, np. polskie "kto pod kimś dołki kopie ten sam w nie wpada", angielskie "curses, like chickens, always come back home to roost" (tj. "złóżczenia zawsze zatoczą krąg i powrócą do tego co je z siebie wysłał"), chińskie "ten kto rozdaje łuki powinien się spodziewać strzały", czy japońskie "Bóg który opuścił danych ludzi jest Bogiem który wie". Działanie tego prawa moralnego doskonale ilustrują długoterminowe wyniki prześladowań Stawczyka przez władze administracje zlokalizowane w pobliskim mieście Miliczu. Wszakże historia Stawczyka wykazała że każdy z przejawów tego prześladowania zatoczył krąg i uderzył w Milicz, pogarszając m.in. i sytuację tychże władz. Przykładowo, staranowanie kolejną katolickiego kościołka kiedyś stojącego na granicy obecnego Stawczyka i Wszewilek wcale NIE spowodowało przejścia mieszkańców Stawczyka na religię protestancką, a wręcz przeciwnie, protestancki kościół Milicza z czasem został przemianowany na obecny kościół katolicki Św. Andrzeja Boboli. Zbankrutowanie starego młyna wodnego Stawczyka wcale NIE przyniosło bogactwa nowemu młynowi elektrycznemu który także potem zbankrutował. Przeniesienie do Milicza dorocznego targowiska koni spowodowało że targowisko to całkowicie upadło. Zniszczenie okrężnego odcinka Bursztynowego Szlaku oraz starej karczmy (hotelu) Wszewilek-Stawczyka spowodowało że obecnie przejezdni przeskakują przez Milicz bez zatrzymania się w tych miejscach. Użycie kolei do staranowania rynku Wszewilek-Stawczyka spowodowało że z powodu dużej odległości do stacji kolej ta NIE nadaje się do służby jako transport publiczny i obecnie już bankrutuje z braku pasażerów. Itd., itp.

Historia wsi Stawczyk ilustruje także jaki jest mechanizm działania "prawa bumerangu" w odniesieniu do miejscowości. Mechanizm ten wykorzystuje prastarą chińską

wiedzę o działaniu tzw. "Feng Shui" oraz o roli inteligentnej energii "chi". Z kolei znajomość tego mechanizmu pozwala na odwrócenie dotychczasowych zniszczeń wynikających z prześladowań wsi Stawczyk, oraz na przywrócenie dobrobytu, wzrostu, powodzenia i szczęścia dla Stawczyka, Milicza, oraz dla kilku innych pobliskich miejscowości. Odwrócenie to wymaga jedynie odbudowania zniszczonego fragmentu "Bursztynowego Szlaku", oraz puszczenie okrężnego autobusu miejskiego "8" (tj. "ósemkę") po tym odbudowanym fragmencie prastarej drogi. Reszty zaś dokonają już prawa moralne oraz dobra wola ludzi świadomych działania tych praw.

Oczywiście, niezależnie od historii wsi Stawczyk, działanie tego samego moralnego "prawa bumerangu" doskonale ilustruje też cały szereg historycznych zdarzeń. Przykładowo, widać je w historii drugiej wojny światowej, czy też fragmentu tej wojny w postaci bitwy o Milicz. Gdyby zamiast usiłować obrabować siłą okoliczne narody, hitlerowskie Niemcy raczej uformowały z tymi narodami "krąg wzajemnej współpracy i rozwoju" podobny do dzisiejszego Wspólnego Rynku, wówczas wszyscy by na tym skorzystali, zaś zamożność i potęga Niemców wcale nie musiałby ulec zniszczeniu. Działanie "prawa bumerangu" widać też np. z historii światowego kryzysu ekonomicznego z lat 2008-2009. Wszakże gdyby zamiast rabować swoje banki z posiadanych funduszy poprzez wypłacanie sobie samym astronomicznych premii, menagerowie tych banków raczej dopomagali bliźnim, do kryzysu tego nigdy NIE doszłoby. Działanie tego prawa widać też wyraźnie z historii prześladowań jakim bezrozumni ludzie poddają idee jakich rozwojowi poświęciłem swoje życie. Przykładowo, gdyby zamiast oczerniać, pomniejszać, spychać w dół, oraz ignorować postępowe idee które ja promuję, ludzie zaczęli popierać te idee i pomagać mi je urzeczywistniać, wówczas wszyscy byśmy na tym skorzystali. Wszakże tylko np. urzeczywistnienie moich tzw. wehikułów czasu dałoby każdemu szansę na nieśmiertelność i wieczne życie. Wszakże "prawa moralne" NIE tylko uderzają w tych co prześladowają innych, ale również nagradzają tych co formują z innymi kręgi i ósemki wzajemnego wspomaganie się i współpracy dla dobra wszystkich zainteresowanych.

Na zakończenie jeszcze raz chciałbym zachęcić do zapoznawania się z historią wsi Stawczyk oraz z przesłaniami moralnymi jakie ta niezwykła wieś stara się nam przekazać. Wszakże Stawczyk jest szczególną wsią jaka NIE ma odpowiednika na całym świecie. Bóg najwyraźniej starannie przygotował wieś Stawczyk na wydanie na świat i na wsparcie swoim przykładem wysoce moralnej filozofii totalizmu oraz otwierającej nam oczy teorii wszystkiego zwanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji. Praktycznie wszystko we wsi Stawczyk ma nam coś do ujawnienia, przekazuje nam jakąś moralną wiadomość, inspiruje nas do właściwego działania, itd., itp. To dlatego wysoce wymowne losy owej niezwyklej wsi Stawczyk, niezależnie od niniejszej, opisuje już aż cały szereg dalszych stron internetowych, przykładowo strony [wszewilki.htm](#), [wszewilki_jutra.htm](#), [milicz.htm](#), [wszewilki_milicz.htm](#), czy też [bitwa_o_milicz.htm](#).

Część #D: Wieś Stawczyk jako symbol nieokreśloności i administracyjnej konfuzji:

#D1. Paradoksy i konfuzje wynikające z wielokrotnych zmian nazwy dla wsi Stawczyk:

W hinduiźmie jednym z deitów "Świętej Trójcy" jest bóg Brahma (stwórca) który m.in. obrazowany jest jako istota z czterema twarzami. To jego istnienie jako pojedyncza istota - która jednak jest w stanie myśleć, widzieć i czynić wiele rzeczy naraz, ma symbolizować tzw. "wieloprocessorowość" (albo "multiprocessorowość") Boga, którą to wieloprocessorowość opisałem nieco dokładniej w punkcie #C6 (3) odrębnej totaliztycznej strony [prawda.htm](#).

Gdyby jakiś naukowiec nieobznajomiony z historią Stawczyka przeanalizował dokumenty legalne dotyczące mnie, lub dowolnej innej osoby urodzonej w owej wsi, wówczas doszedłby do wniosku że jesteśmy właśnie jak ów hinduistyczny bóg Brahma. Wszakże z dokumentów owych wynikałoby że urodziliśmy się w aż kilku odmiennych wioskach naraz. Przykładowo, na bazie najróżniejszych dokumentów które posiadam, ja mogę dowieść formalnie że urodziłem się równocześnie w następujących wsiach: (1)

Cegielnia, (2) Stawczyk, (3) Wszewilki, (4) Wszewilki-Stawczyk. Prawdopodobnie dałoby się też dowieść, że urodziłem się również w byłej wsi (5) Neu-Steffitz. Czyli w sensie legalnym jestem osobą która faktycznie urodziła się w aż 4 odmiennych miejscowościach naraz. Można więc argumentować że stanowią 4 odmienne osoby zawarte w jednej. Faktycznie więc, jeśli rozważyć sprawę logicznie, mógłbym być podobnym symbolem jak ów hinduski bóg z czterema twarzami.

Oczywiście, ja wcale nie jestem jedyną osobą na świecie z której miejscem urodzenia wiąże się aż takie paradoksy i konfuzje. Praktycznie bowiem wszystkie osoby urodzone w Stawczyku są w tej samej co ja sytuacji. A wiem że w wiosce tej urodziło się sporo osób które kiedyś dobrze znałem. Ponadto wszyscy ludzie którzy urodzili się w innych miejscowościach jakie też często zmieniały nazwy, także są w tej samej sytuacji.

Paradoksy i konfuzja które dotyczą wszystkie osoby urodzone w Stawczyku rozciągają swoją ważność aż na cały szereg odmiennych obszarów. Wskażmy tutaj choćby najważniejsze z owych obszarów:

1. Prawo i sprawy legalne. Za każdym razem kiedy ktoś z nas wypełnia jakiś formularz oficjalnego dokumentu, np. podania o dowód osobisty czy podania o paszport, na końcu tego dokumentu zawarta jest klauzula w rodzaju że "stwierdzam iż dane podane powyżej są prawdziwe". Jedną zaś z owych "danych podanych powyżej" niemal zawsze jest "miejsce urodzenia". Kiedy jednak ktoś urodził się w Stawczyku, lub w dowolnej innej miejscowości która często zmieniała nazwy, wówczas bez względu na to co by nie wpisał w owej rubryce "miejsce urodzenia", będzie to zarówno "legalną prawdą" jak i "legalną nieprawdą". Stąd dobrze opłacani prawnicy, zależnie od potrzeby, potrafiliby udowodnić w sądzie iż dana osoba postąpiła legalnie lub nielegalnie. To zaś w krytycznych sytuacjach może prowadzić do nadużyć i problemów prawnych jakie zostały niechcący stworzone przez tych co zmieniali nazwę Stawczyka (lub dowolną inną nazwę).

2. Nauka i postulat nieokreśloności. W dzisiejszej fizyce znany jest "postulat nieokreśloności" którego najlepszą reprezentacją jest tzw. kot Schroedingera. Postulat ten ma jakoby obowiązywać jedynie do cząsteczek elementarnych. Jednak jeśli rozważyć problem miejsca urodzenia ludzi urodzonych w Stawczyku, "postulat nieokreśloności" odnosi się również do codziennego życia. Innymi słowy, ci co pozmieniali nazwę Stawczyka aż tyle razy, spowodowali że nieokreśloność nauki poszerza się obecnie na całą resztę życia.

2. Historia i filozofia. Problem z tym co ignorowane lub nieudokumentowane - tak jak opisywana tutaj wieś Stawczyk, polega na tym że w sensie historycznym wcale to NIE istnieje. Wszakże jest to jak owo drzewo z filozoficznego paradoksu. (To drzewo, chociaż istniało w środku puszczy, zostało jednak powalone przez burzę kiedy NIE było w pobliżu kamery telewizyjnej. Stąd dzisiejsza filozofia, historia, ani nauka NIE potrafią ustalić ponad wszelką wątpliwość, czy drzewo to wogóle kiedykolwiek istniało. Filozoficzny paradoks takiego drzewa dyskutuję w punkcie #B5 na odrębnej stronie bitwa_o_milicz.htm.)

#D2. Paradoksy wsi Stawczyk są tylko symbolem otaczającej nas rzeczywistości w której wszystko pozostaje nieokreślone i wieloznaczne na przekór że dzisiejsi naukowcy wmawiają nam inaczej:

Motto: "Z punktu widzenia filozofii i historii, każda zmiana nazwy jest rodzajem pozaseksualnego gwałtu w którym ci co dokonują tej zmiany uzyskują tymczasową przyjemność i satysfakcję dzięki zmuszeniu innych ludzi do używania owej nowej nazwy którą właśnie wprowadzają."

Jeśli rozważy się różnorodne następstwa kilku zmian nazwy wsi Stawczyk, wówczas się okazuje że są one bardzo poważne. Wprowadzają bowiem cały szereg utrudnień, kosztów, oraz legalnych niejasności do życia ludzi którzy są nimi dotknięci. Praktycznie więc owi reprezentanci władz Milicza którzy są odpowiedzialni za spowodowanie wszystkich tych paradoksów i konfuzji powinni pozakładać worki pokutnicze i udać się w długą pielgrzynkę aby uzyskać wybaczenie swoich grzechów.

Wcale zresztą NIE są oni jedynymi którzy powinni to uczynić. Okazuje się bowiem że w podobną pokutę powinno się udać wielu ważnych ludzi naszej cywilizacji.

Wszakże nieustanne zmienianie nazw zdaje się być ulubionym zajęciem tych wszystkich którzy znajdują się przy władzy. Właściwie to wygląda nawet tak jakby głównym zajęciem np. "zawodu polityków" było zmienianie nazw. Nazwy też zmienia się łatwo, bez zastanowienia, oraz praktycznie wszędzie. Wszakże cierpią przez to inni, a nie ci co je zmieniają. Przykładowo, wszyscy pamiętamy masową zmianę nazw noszących w sobie słowa "Stalin" lub "Lenin" w byłych krajach Paktu Warszawskiego. Nic jednak NIE jest w stanie pobić liczby zmian nazw miejscowości Nowej Zelandii. Chodzi tam bowiem o to, że po odkryciu i zaludnieniu Nowej Zelandii przez europejskich osadników, niemal wszystkie nazwy były angielskojęzyczne. Ostatnio jednak władzę tam stopniowo przejmują miejscowi Maorysi, raptownie zmieniając wiele nazw na maoryskie. Co gorsze, ponieważ poszczególne szczepy Maorysów mają własne wersje języka, nawet nazwy które już są maoryskie co jakiś czas ktoś zmienia na nieco inne. Przykładowo, w chwili pisania niniejszej strony w Nowej Zelandii wybuchła niemal wojna domowa w sprawie maoryskiej nazwy dla miasta Wanganui - co do której trwa zaciekle dyskusja czy ma ona być pisana jako "Wanganui" czy też jako "Whanganui" - np. patrz artykuł "Wanganui debate boils into h-rage" (tj. "Dyskusja nad Wanganui zagotowała się do h-wściekłości"), ze strony A2 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z soboty (Saturday), September 19, 2009. (Warto odnotować, że przed przybyciem europejskich osadników do Nowej Zelandii, miejscowi Maorysi NIE znali pisma ani NIE posiadali pisanego alfabetu. Stąd pisownia poszczególnych maoryskich słów wówczas wcale NIE istniała. Ponadto, przed przybyciem europejskich osadników miasto Wanganui wogóle NIE istniało.)

#D3. Daje się jednak znaleźć takie przebiegi "pola moralnego", w których konfuzja spowodowana zmianą nazwy spełnia też konstruktywną rolę:

Filozofia totalizmu naucza nas, że zależnie od przebiegu lokalnego tzw. "pola moralnego", każde ludzkie działanie może być albo tzw. "działaniem moralnym" - bowiem wynosi ono nas pod górę owego pola, albo też tzw. "działaniem niemoralnym" - bowiem spycha ono nas w dół owego pola moralnego. To istotne ustalenie filozofii totalizmu odnosi się również i do konfuzji którą wśród ludzi zasiewa zmiana jakiejś nazwy.

Z tego właśnie powodu daje się też znaleźć takie przebiegi "pola moralnego", w których konfuzja spowodowana zmianami nazwy spełnia też konstruktywną rolę. Przykładem może tu być sytuacja, kiedy zmiany te uświadamiają ludziom że faktycznie żyjemy w "softwarowo zorganizowanym" wszechświecie który jest pełen niewiadomych i niejednoznaczności. Faktycznie bowiem każda sprawa jaką weźmie się pod lupę okazuje się być niejasna, oraz pełna wątpliwości, konfuzji i znaków zapytania. Opisane tutaj sytuacje z miejscem urodzenia ludzi wywodzących się ze Stawczyka są więc tylko jedną ogromnej liczby takich mętnych sytuacji. Dokonajmy więc teraz przeglądu najczęściej spotykanych innych spraw które również są podobnie niejasne i pełne wątpliwości:

1. Pochodzenie i składniki dzisiejszych produktów żywnościowych. Jeśli odwiedzić supermarket któregoś z bogatszych krajów zachodnich, np. USA, Anglii, itp., wówczas na półkach widać tysiące najróżniejszych produktów żywnościowych. Jeśli jednak produkty te wziąć pod lupę, wówczas się okazuje że wszystkie te produkty faktycznie pochodzą z "kukurydzy" zaś zawierają w sobie wyłącznie składniki "kukurydzy". Kukurydza jest bowiem NIE tylko źródłem tzw. "cornflakes" jedzonych na śniadania, oraz mąki z której wypieka się potem różne pieczywa lub dodaje do najróżniejszej żywności. Kukurydza jest bowiem także niemal jedynym składnikiem paszy dawanej bydłu, świniom, oraz drobiowi w owych krajach. Stąd mięso wołowe, wieprzowe, kórze, indycze, itp., sprzedawane przez owe kraje jest także odmianą przerobionej kukurydzy. Podobnie kukurydzą są np. ryby, masło, czy wyroby mleczne. Są też nią ich grzyby, wyroby spirytusowe, oraz zawartości konserw. itd., itp. Nic dziwnego że mieszkańcy owych krajów jedzący wyłącznie kukurydzą przerobioną na najróżniejsze sposoby są coraz bardziej chorzy, alergiczni, zaś ich ciała coraz łustrze za to coraz słabsze i coraz bardziej zdegenerowane. Wszakże ich organizmy dostają jedynie to składniki które istnieją w kukurydzy. Innych zaś potrzebnych składników im chronicznie brak. Dobrze że w Polsce bydło i świnie nadal są karmione na tradycyjne sposoby - zamiast paszą wytwarzaną przemysłowo niemal wyłącznie z kukurydzy.

2. Faktyczność "zasady przyczyny i skutku". Nauka ludzka bazuje na "niepisanym założeniu" że w naszym wszechświecie wszystko jest rządzone przez prawa natury i wszystko podlega "prawu przyczyny i skutku". Tymczasem, jeśli się dobrze zastanowić, tak by było tylko w przypadku jeśli Bóg wcale NIE istnieje. W przypadku bowiem kiedy Bóg istnieje, ów Bog jest w stanie tworzyć co tylko zechce, wcale NIE oglądając się czy wypełnia to prawo "przyczyny i skutku". Przykładowo, stwarzając Ziemię Bóg mógł stworzyć w niej również kości dinozaurów, chociaż dinozaury wcale NIE musiały wogóle istnieć na Ziemi - po szczegóły patrz punkty #C1 do #C3 z odrębnej strony prawda.htm, punkty #E1 i #F2 strony god_istnieje.htm, lub patrz cała strona evolution_pl.htm. Wszakże istnieją liczne dowody na fakt, że owe "kości dinozaurów" są jedynie "fabrykacjami Boga" mającymi pobudzać ludzi do poszukiwań twórczych i do powiększania wiedzy - zgodnego z tym co stwierdzają punkty #F2 i #E1 strony o nazwie god_istnieje.htm. Do dowodów tych powinno się zaliczać m.in. (1) fakt że owe 'kości dinozaurów' mają wartość dowodową jedynie w przypadku kiedy są one badane z filozoficznego podejścia "a posteriori", natomiast tracą one wartość dowodową kiedy bada się je z filozoficznego podejścia "a priori". Tymczasem filozofia totalizmu nam ujawnia, że tylko to istnieje obiektywnie i faktycznie, co daje się obiektywnie wykryć i udokumentować zarówno przy podejściu "a priori" jak i przy podejściu "a posteriori" do badań. Wszystko zaś co daje się wykryć i udokumentować tylko subiektywnie i tylko z jednego podejścia, faktycznie reprezentuje tylko "fabrykację Boga inspirującą nasze poszukiwania twórcze a stworzoną jedynie aby dostarczyć ludziom potwierdzeń dla ich głębokich wierzeń - co wyjaśnia nam dokładniej punkt #E2 strony o nazwie god_istnieje.htm. Dowodem na "celowe fabrykowanie kości dinozaurów przez Boga w celu zainspirowania ludzi do poszukiwań prawdy" jest fakt (2) że powstanie kości dinozaurów datuje się wcześniej niż wynosi data stworzenia świata fizycznego, ustalona przy filozoficznym podejściu "a priori" do ludzkich badań rzeczywistości. Innymi słowy, jak to możliwe że dinozaury istniały w czasach kiedy jeszcze NIE zaistniał nasz "świat fizyczny". Za taki sam dowód należy też uznać fakt że (3) na Ziemi istnieją też np. obiektywne zdjęcia, raporty świadków, oraz ślady materialne manifestacji wehikułów UFO, jednak oficjalna nauka ziemską NIE uznaje tych manifestacji za faktyczny dowód istnienia UFO. Innymi słowy, na jakiejże to "dwulicowej zasadzie" owa "ateistyczna nauka ziemską" ma prawo uznawać istnienie dinozaurów, jednak ma równocześnie prawo odmawiać uznania istnienia UFO (a także istnienia wielu innych tajemniczych obiektów i istot, w rodzaju Yeti, "Nessie", duchów, demonów, miast ujawnianych przez "fata morgana", itp.).

3. Dyskretny (skaczący) charakter czasu. My ludzie ciągle wierzymy, że czas jest ciągły (jak woda) oraz że czas "pływie" w sposób ciągły. Tymczasem analizy teorii wszystkiego zwanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji wykazują że czas jest dyskretny i upływa w krótkich skokach. Taki skokowy charakter czasu potwierdza m.in. doświadczenie które każdy sam może sobie przeprowadzić i które opisane jest w punktach #D1 i #D2 odrębnej strony immortality_pl.htm. Z kolei dyskretny upływ czasu umożliwia budowanie tzw. wehikułów czasu.

4. Manifestacje Boga. Nawykliśmy do myśli że Bóg jest rodzajem człowieka - tyle że o większych od ludzi możliwościach i wiedzy. Tymczasem, jak to opisane zostało w punkcie #C2 odrębnej strony god_proof_pl.htm, Bóg faktycznie jest rodzajem ogromnego, naturalnego programu komputerowego. Tyle że wiedząc jak tworzyć istoty żyjące i ludzi, ów Bóg-program czasami tworzy tymczasowo istoty podobne do ludzi, pod których umysły podłącza potem swój własny umysł. W ten sposób w przeszłości Bóg mógł się pokazywać ludziom w formie człowieka. (Ponieważ Bóg może dokonywać miliony działań naraz, czasami w przeszłości ukazywał się On ludziom w postaci nie jednego, a aż kilku ludzi naraz - tak powstały "deity" hinduizmu oraz "bogowie" starożytnego Egiptu, Grecji i Rzymu.)

5. Identyczność stwierdzeń wszystkich religii świata. Jak to dokumentuje naukowo punkt #C6 strony prawda.htm, wszystkie religie świata stwierdzają dokładnie to samo - tyle że innymi słowami. Znacząca wiedza zawarta we wszystkich religiach świata jest spójna ze sobą, tj. albo powtarza to co stwierdza wiedza innych religii, albo też to uściśla lub poszerza. Każda też z religii świata uzupełnia i poszerza o jakieś szczegóły, wiedzę

szerzoną przez inne religie świata na temat powstania wszechświata, Boga, stworzenia świata fizycznego i ludzi, itp. To zaś oznacza, że wszystkie religie świata musiały być dane ludziom przez tego samego, jedyne istniejącego Boga. Tyle że zależnie od kultury i tradycji danego narodu, Bóg dając mu religię sformułował ją w odpowiedni dla tego narodu sposób - tak aby najlepiej odpowiadała ona cechom, sytuacji, oraz potrzebom ludzi którym religia ta miała służyć.

* * *

Oczywiście, istnieje istotny mechanizm który powoduje, że na wiele odmiennych sposobów, m.in. używając przykładów w stylu wsi Stawczyk, Bóg stara się zwrócić uwagę ludzi, że w świecie fizycznym wszystko pozostaje wieloznaczne i nieokreślone. Mechanizm ten jest dokładniej objaśniony w następnym części #E tej strony.

Część #E: Nieokreśloności naszego świata fizycznego, manifestujące się m.in. istnieniem tego co czasami pozwala się zobaczyć, innym zaś razem staje się niewidzialne, jest dowodem potwierdzającym softwarowy charakter otaczającej nas rzeczywistości:

#E1. Jak softwarową naturę rzeczywistości potwierdzają mordercze potwory które czasami istnieją fizycznie chociaż większość czasu pozostają niewidzialne:

Krwio pijny "gryf" z okolic Stawczyka i Wszewilek, gigantyczne "glizdy-flaki" z pustyni Gobi które trawią ludzi przez opluwanie ich żrącym kwasem organicznym, potwór "Nessie" ze szkockiego jeziora Loch Ness, "serpent" z jeziora Cini w Malezji, podobny do niego "serpent" z jeziora Tver koło Moskwy w Rosji, "Mkole-Mbembe" (co znaczy "stwórcy bóg" - "god beast") opisywany również pod nazwą "zabójca słoń" ("elephant killer") z jeziora "Lake Tele" w północnej części Kongo, amerykańskie "ptaki burzowe", nowozelandzki gigantyczny jaszczur "taniwha", potężne "stonogi" z Brazylii wielkości dużego czołgu, oraz cały szereg innych potworów karmiących się ludźmi, to tylko niektóre ze znanych na Ziemi potworów które czasami są widywane na Ziemi, jednak typowo starannie ukrywają przed ludźmi swoje istnienie. Oficjalna nauka ziemską w typowy dla niej sposób unika badania tych potworów i "chowa głowę w piasek" w ich sprawie. Gdyby więc nie oddanie poszukiwaniom prawdy u rzeszy hobbystów, nasza cywilizacja nigdy NIE miałaby pojęcia że takie "znikające potwory" wogóle istnieją. Na szczęście, oprócz opłacanych za prowadzenie badań naukowców, istnieją też ludzie którzy altruistycznie poszukują prawdy. To im zawdzięczamy istniejącą dokumentację o istnieniu owych niezwykłych stworów. Pełny wykaz wraz z krótkimi opisami tych "znikających potworów", zawarłem w podrozdziale V5.4 z tomu 16 starszej monografii [1/4].

Jeśli dokładnie przeanalizować jakie są różnice pomiędzy powyższymi "znikającymi potworami", a potworami dokładnie poznanymi przez ludzką naukę w rodzaju krokodyli, lwów, tygrysów, czy owych gigantycznych maław (po angielsku "squid") - opisanych w punkcie #C3 i na "Fot. #14" ze strony newzealand_pl.htm, wówczas wnioski są szokujące. Okazuje się bowiem że owe "znikające potwory" wykazują "naturę softwarową", podczas gdy potwory znane nauce wykazują "naturę hardwarową".

Różnica pomiędzy "potworami o naturze hardwarowej" oraz "potworami o naturze softwarowej" jest w przybliżeniu taka jak np. różnica pomiędzy jakąś rzeczywistą i pracującą maszyną, a filmem pracującej maszyny pokazanym na ekranie telewizora czy komputera. Mianowicie, aby jakaś rzeczywista maszyna istniała i pracowała, musi ona wypełniać setki wymogów. Przykładowo, jej zasada działania musi być realizowalna, musi ona być wykonana w sposób jaki spełnia wszystkie "prawa fizyczne", musi być jakoś zaopatrywana w energię lub ruch, itd., itp. Natomiast aby tylko film jakiejś maszyny pokazany na ekranie telewizora lub komputera mógł sprawić wrażenie że maszyna ta istnieje i pracuje, ilość wymogów do spełnienia spada do niemal zera. Praktycznie też niemal każdy pomysł maszyny daje się pokazać softwarowo na ekranie komputera, nawet jeśli maszyna ta NIE ma najmniejszych szans aby zadziałała w rzeczywistym świecie. To właśnie dlatego "softwarowo generowane" obrazy w dzisiejszych filmach są w stanie wygenerować najdziwniej wyglądające maszyny i nawet najbardziej nieprawdopodobne

potwory. Opisywane w tym punkcie "znikające potwory" są właśnie jak takie komputerowo generowane obrazy pracujących maszyn. Aby te potwory mogły pokazać się ludziom, ich ciała wcale NIE muszą spełniać "praw fizycznych", potwory te wcale NIE muszą się rozmnażać ani żywić, itd., itp. Ciała tych potworów są jedynie tymczasowo stwarzane i formowane (znaczy są "symulowane") z owego "płynnego komputera" zwanego "przeciw-materia" - w sposób opisany m.in. w punktach #I2 i #I4 totalizycznej strony dipolar_gravity_pl.htm czy w punkcie #K1 strony o nazwie day26_pl.htm. Stąd ciała tych potworów są jakby bardziej zaawansowanym odpowiednikiem obrazów generowanych softwarowo na ekranach dzisiejszych komputerów.

Jeśli dokładniej się zastanowić, natychmiast staje się oczywiste dlaczego Bóg "symuluje" powyżej opisane potwory i konfrontuje z nimi ludzi. Wszakże aby nieustannie podnosić swoją wiedzę, ludzie potrzebują inspiracji i motywacji. Pokazując zaś ludziom takie tymczasowo "zasymulowane" iluzyjne potwory, Bóg pobudza ludzi do poszukiwań, badań i do przemyśleń twórczych. Faktycznie też - jak to dokładniej wyjaśniam w punkcie #F1 strony o nazwie rok.htm, Bóg "symuluje" materiał dowodowy na istnienie wszystkiego w co tylko ktoś wierzy na tyle silnie aby podjąć aktywne działania bazujące na owym wierzeniu. I tak, dla tych ludzi co silnie wierzą w UFO Bóg "symuluje" wehikuly UFO i obserwacje UFOonautów, dla tych co silnie wierzą w duchy, demony, lub poltergeists Bóg "symuluje" spotkania z duchami, demonami, lub poltergeists, dla tych co silnie wierzą w krasnoludki Bóg "symuluje" natknięcie się na krasnoludki, dla tych co silnie wierzą w Yeti lub potwory, Bóg "symuluje" spotkania z Yeti lub potworami (po opisy obserwacji Yeti - patrz punkt #E6 na stronie o nazwie newzealand_pl.htm), itd., itp. W rezultacie, ludzie którzy natkną się na takie "zasymulowane" dowody tymczasowego istnienia czegoś w co silnie wierzą, zaczynają badać daną sprawę, zaczynają dyskutować ją z innymi, zaczynają raportować ją do władz, itp. W ten zaś sposób wiedza ludzka otrzymuje motywację i inspirację aby nieustannie się podnosić. Wszakże, jak to wyjaśniono w punkcie #B2 totalizycznej strony o nazwie will_pl.htm, powodem i celem dla którego Bóg stworzył ludzi było właśnie podnoszenie wiedzy.

Niedaleko od wsi Stawczyk, w okolicach tzw. "drugiej tamy" często widywany był jeden z takich "znikających potworów". Przez tych co go widzieli jego wygląd był opisywany jak wygląd "gryfa" - tj. był on "poskładanym zwierzęciem" podobnym do małego lwa zaopatrzonego w skrzydła - po szczegóły patrz punkty #H1 i #F2 ze strony wszewilki.htm. Jako nastolatek, ja miałem też wątpliwą przyjemność spotkać podobnego "gryfa" - tyle że w odmiennym miejscu niż owa "druga tama". "Gryf" na którego ja się natknąłem faktycznie mnie zaatakował i nawet poranił. Swoje spotkanie z tym krwiopijnym "gryfem" opisałem w podrozdziale R4.2 z tomu 16 mojej najnowszej monografii [1/5]. Zajęło mi jednak około 45 lat życia zanim się zorientowałem że tamten mój "gryf" faktycznie był "stworem softwarowym", a nie faktycznym "hardwarowym zwierzęciem". Przykładowo, dopiero na krótko przed przygotowaniem niniejszej strony uświadomiłem sobie że "gryf" (czyli rodzaj nokturnego lwa ze skrzydłami zdolny do spowalniania upływu czasu i żywiący się krwią swoich ofiar) niemal na pewno NIE sprawdziłby się w rzeczywistym życiu i musiałby albo wyginać, albo też być unicestwiony przez Boga. Taki bowiem potwór miałby nieproporcjonalnie dużą przewagę nad swoimi ofiarami. Nic NIE miałoby więc szansy aby mu umknąć. Natura NIE byłaby więc w stanie ani regulować jego liczebności, ani dawać innym stworzeniom równą jak jemu szansę w konfrontacjach z jego atakami.

#E2. Jak softwarową naturę rzeczywistości potwierdzają owe istoty człekopodobne typu "Yeti" które ludzie czasami widują, jednak typowo pozostają one niewidzialne.

Niezależnie od opisanych powyżej potworów o "softwarowej naturze", na Ziemi widywane są relatywnie często "softwarowe ludziki". Do ich rodzaju należą przykładowo "krasnoludki" widywane m.in. w Stawczyku i Wszewilkach a opisane w punkcie #H2 strony wszewilki.htm, oraz pokazane na fotografii "Fot. #F2" ze strony aliens_pl.htm. Należą do nich też tzw. "zmory", "licha", "chochliki drukarskie", oraz np. dzisiejsi UFOnauci pokazani m.in. na "Fot. #5" ze strony malbork.htm. Ponadto, podobnymi softwarowymi istotami człekokształtnymi są owe futrzaste "Yeti" widywane na praktycznie niemal każdym

kontynencie przez licznych świadków których zeznania są tak samo wiarygodne jak by były w rozprawach sądowych w których decydowałyby o życiu oskarżonych. (Przykłady wyglądu owych "Yeti" można sobie wywołać kliknięciem myszy na ich wizerunki dostępne z punktu #E6 strony newzealand_pl.htm.) Takich softwarowych istot człekokształtnych na Ziemi jest znana cała mnogość. Są one widywane przez racjonalnych ludzi, a niekiedy nawet filmowane lub fotografowane. Jednak z powodu ich "softwarowej natury" oraz wynikającej z tej ich natury możliwości pokazywania się ludziom i znikania na każde życzenie, dzisiejsza nauka NIE jest w stanie potwierdzić istnienia tych istot. Ta niemożność ich jednoznacznego udokumentowania jest jeszcze jednym z dowodów potwierdzających ich "softwarową naturę" oraz dokumentujących że ich pojawianie się na Ziemi jest softwarowo "symulowane" - tak jak to wyjaśnia punkt #F7 ze strony evil_pl.htm czy punkt #D2 ze strony ufo_pl.htm.

#E3. Czym się różni "softwarowa natura" otaczającej nas rzeczywistości od "hardwarowej natury" tejże rzeczywistości:

Rozwój komputerowych gier zilustrował każdemu, że to czego NIE daje się zrealizować fizycznie w formie działającego hardware, jest możliwe do łatwego softwarowego zrealizowania w formie obrazu na ekranie komputera. Przykładowo, softwarowo na ekranach komputerów można z łatwością tworzyć obrazy pracujących maszyn które w rzeczywistym życiu NIE byłyby w stanie zadziałać bowiem łamią one jakieś prawa fizyki, formować obrazy obracających się mechanizmów których praca w rzeczywistym życiu wybiegałaby przeciwko prawom geometrii, czy projektować obrazy zwierząt i roślin które w prawdziwym świecie NIE byłyby w stanie utrzymać się przy życiu.

Opisane powyżej różnice pomiędzy nierealizowalnymi "tworami hardwarowymi", a możliwymi do softwarowego zilustrowania "obrazami softwarowymi" które pod względem budowy fizycznej lub zasady działania są całkowicie absurdalne, stosują się również do rzeczywistości która nas otacza. Mianowicie, aby coś istniało fizycznie w hardwarowej postaci, musi to wypełniać cały szereg ostrych wymagań. Przykładowo, musi to działać zgodnie z tzw. "prawami natury", musi to być realne, musi być użyteczne i potrzebne do czegoś, musi dawać podtrzymywać swoje istnienie (np. się rozmnażać lub dawać powielić, wyprodukować, czy naprawiać), musi mieć cechy które są konkurencyjne z cechami innych podobnych tworów, itd., itp. Tymczasem, aby coś istniało w nietrwalej softwarowej postaci, NIE musi to wypełniać praktycznie żadnych wymogów. Wystarczy jedynie aby dawało się to zobrazować w postaci jakiegoś obrazu, a już softwarowo może to istnieć.

Powodem dla którego wyjaśniam wszystko powyższe jest że na podstawie wskazywanego tutaj materiału dowodowego daje się wykazać iż wszystkie stwory i istoty opisane w poprzednich punktach #E1 i #E2 tej części, faktycznie są stworami i istotami softwarowymi, a nie hardwarowymi. Znaczą, istnieją one jedynie tymczasowo jako softwarowe obrazy, jednak wcale NIE istnieją jako rzeczywiste, dotykalne, trwałe, hardwarowe istnienia tego samego typu co np. ludzie, lwy, czy krokodyle. Dowodami na to ich wyłącznie softwarowe istnienie są cechy i zachowania tychże stworów i istot, które opisałem w odpowiednich punktach niniejszej części tej strony.

#E4. Co to oznacza, że otaczająca nas rzeczywistość wykazuje "softwarową naturę" jaką ujawnia nam Koncept Dipolarnej Grawitacji, a NIE "hardwarową naturę" jaką wmawia nam dotychczasowa nauka ludzka:

Oficjalna nauka ziemską wmawia nam wszystkim że otaczająca nas rzeczywistość ma charakter wyłącznie hardwarowy. Znaczą, że wszystko co nas otacza istnieje w sposób trwały i daje się dotknąć, rozłupać, posmakować, itd. Z kolei zasady działania i prawa które rządzą tym wszystkim są na stałe odrutowane w owym hardware. Tymczasem młoda teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji dowodzi coś zupełnie odwrotnego. Mianowicie wykazuje ona że wszystko co nas otacza ma charakter softwarowy. Podstawowym bowiem składnikiem wszystkiego są naturalne programy które formują wszystko z rodzaju "płynnego komputera" zwanego "przeciw-materia". O tym jak owe naturalne programy uformowały cały nasz świat fizyczny, informuje i wyjaśnia punkt

#C3 totaliztycznej strony internetowej god_proof_pl.htm. Z kolei o tym jak owe naturalne programy uformowały całego człowieka, informuje i wyjaśnia punkt #C1 totaliztycznej strony internetowej soul_proof_pl.htm. Powodem dla którego my ludzie NIE odnotowujemy owej softwarowej natury otaczającej nas rzeczywistości, jest że rzeczywistość ta została zaprogramowana w taki sposób aby wyglądała jakby miała hardwarową (tj. trwałą) naturę. Jednak faktycznie owa jakoby "hardwarowa" (tj. trwałą) natura rzeczywistości jest symulowana właśnie w sposób softwarowy. Z kolei opisywane w tej części dowody na istnienie stworów i istot o zdecydowanie softwarowej naturze, dostarczają nam naukowego potwierdzenia, że nasza rzeczywistość faktycznie ma "charakter softwarowy" - tak jak to nam wyjaśnia owa teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji, NIE zaś "charakter hardwarowy" - tak jak nam to wmawia dotychczasowa oficjalna nauka.

Powodem dla którego oficjalna nauka ziemską dotychczas jeszcze się NIE zorientowała że otaczająca nas rzeczywistość ma faktycznie "charakter softwarowy", jest iż w chwili obecnej większość istot oraz obiektów które nas otaczają jest softwarowo symulowana w taki sposób aby wyglądała jakby miała właśnie ową "hardwarową naturę". Jednak od czasu do czasu niektórym ludziom dane jest zobaczyć istoty lub obiekty, które właśnie mają ową czysto softwarową naturę. Do owych tymczasowych istot lub obiektów o czysto softwarowej naturze należą m.in. stwory i istoty opisywane w punktach #E1 i #E2 powyżej.

W dawnych czasach formowanych było na Ziemi znacznie więcej istot i stworów mających taki softwarowy charakter. Przykładowo należały do nich ludzkie giganty w rodzaju Herkulesa czy maoryskiego Maui, najróżniejsze potwory w rodzaju "Hydry" czy "Harpiów", wszyscy starożytni "bogowie", oraz wiele więcej.

Potwierdzenie na dowodach, że otaczająca nas rzeczywistość faktycznie ma "charakter softwarowy" jest niewypowiedziane istotne dla światopoglądu, filozofii, oraz moralności ludzi. Wszakże potwierdzenie to dowodzi równocześnie, że wszystko co naukowo stwierdza świecka teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji, jest prawdą. I tak prawdą jest że Bóg istnieje, prawdą jest że to Bóg stworzył człowieka, prawdą jest że istnieje tzw. "przeciw-świat" oraz nieśmiertelna ludzka dusza, itd., itp. Warto przy tym odnotować, że na przekór iż owe stwierdzenia Konceptu Dipolarnej Grawitacji pokrywają się z tym co od dawna nauczają nas religie, mają one zupełnie odmienny od religii charakter. Są bowiem podpierane sprawdzalnymi naukowymi dowodami, wynikają logicznie z praw natury i zasad działania wszechświata, oraz apelują do naszej wiedzy i rozumu, a nie do naszych uczuć i wiary. W ten sposób pozwalają nam abyśmy zaczęli "wiedzieć" o istnieniu Boga, przeciw-świata, stworzenia, duszy, itp., zamiast jedynie "wierzyć" w ich istnienie. (Wszakże jak wiemy, zawsze można przestać "wierzyć", jednak nigdy nie przestajemy "wiedzieć".)

#E5. Inspiracyjna rola wszelkich softwarowych tworów, zagadek, konfuzji, sytuacji Stawczyka, itp.:

Jeśli się zastanowić, to wszystko co niezwykle a z czym ludzie zostają skonfrontowani, włączając w to owe softwarowe twory, pokazywane jest nam dla istotnego powodu. Ma to bowiem nas zainspirować do poszukiwań twórczych i otworzyć dla nas nowe horyzonty.

Inspirujące zadanie owych softwarowych tworów zakwalifikowuje je do tej samej kategorii co wieś Stawczyk. Jeśli bowiem dobrze się zastanowić, wówczas staje się jasnym że niezwykle losy Stawczyka są takie jakie są właśnie dla inspiracyjnych powodów. Mają one bowiem zainspirować ludzi do nowych kierunków myślenia i działania. Jak też każdy może o tym się przekonać, zarówno wieś Stawczyk jak i owe softwarowe twory opisane w punktach #E1 i #E2, wywiązują się z tej inspirującej roli naprawdę doskonale.

Część #F: Polskie węże o nadprzyrodzonych możliwościach:

Tak, prawda! Podobnie jak niektórzy ludzie mogą lewitować, inni zaś mają dar jasnowidzenia, również niektóre zwierzęta mają nadprzyrodzone zdolności. Tyle tylko że

ich nadprzyrodzone możliwości są jedynie znane ludowemu folklorowi, podczas gdy dzisiejsi naukowcy typowo zaprzeczają ich istnieniu. Wszakże dzisiejsza oficjalna nauka ziemską udaje i kłamliwie rozgłasza, że nadprzyrodzone wcale NIE istnieje, oraz że wszystko co wszechświat demonstruje daje się opisać już znanymi prawami fizyki. Jako przykład owych nadprzyrodzonych zdolności zwierząt, których dzisiejsza nauka ani NIE bada ani nadal NIE jest w stanie wyjaśnić, rozważmy polskie ptaki bociany. Folklor ludowy ustalił, że bociany mają dar widzenia przyszłości - czyli jasnowidzenia. Dlatego nigdy nie zakładają gniazda na budynku który ma być uderzony przez piorun lub ma spłonąć. To dlatego w dawnych czasach każdy właściciel nowego domu nakłaniał bociany aby założyły sobie gniazdo na jego dachu - na przekór że znosiły one potem do domu najróżniejsze paskudztwo - włączając w to żywe żmije. Wszakże gniazdo bociana na dachu było dawnym odpowiednikiem dzisiejszych ubezpieczeń - czyli gwarantacją że dany dom jest bezpieczny (tj. że nigdy nie uderzy go piorun ani nie spłonie). Znajomość przyszłości, zdolność do jasnowidzenia i do przewidywania nadchodzącej śmierci mają także zwykłe koty domowe. Szczególnie dobrze tą zdolność zademonstrował kot zwany "Oscar" - opisany dokładniej w podrozdziale I8.1 z tomu 5 mojej najnowszej monografii [1/5] (upowszechnianej w internecie za darmo). Koty widzą również to co pozostaje niewidzialne dla oczu ludzi - np. UFO-nautów działających w naszym mieszkaniu w tzw. stanie telekinetycznego migotania. W lipcu 2010 roku, w całym świecie stała się ogromnie sławna ośmiornica zwana "Paul" z akwarium "Sea Life" w niemieckim miasteczku "Oberhausen". Owa ośmiornica wykazała 100% trafność w przewidywaniu wyników meczy światowego pucharu piłkarskiego (tzw. "FiFa" World Cup) jakie rozgrywane były w Południowej Afryce w pierwszej połowie lipca 2010 roku. Opisy jak dokonywała ona swoich przewidywań wyników meczy zawarte są w artykule "Spanish transfer offer for Paul the tentacled tipster" ze strony A22 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post Weekend, wydanie z soboty (Saturday) July 17, 2010. Z kolei zdjęcie tej jasnowidzącej ośmiornicy pokazane jest w artykule "Tentacled tipster gets his trophy" ze strony B2 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie ze środy (Wednesday) July 14, 2010. Za swoje poprawne przewidywania, owa ośmiornica była zasypywana smakołykami, do jej akwarium dodana została dokładna replika światowego pucharu piłkarskiego "Fifa" (wykonanego z litego złota), zaś narodowe akwarium w Hiszpanii, dla drużyny którego to kraju owa ośmiornica poprawnie przewidziała wygranie tego pucharu, zwróciło się oficjalnie do Niemiec o wypożyczenie tej ośmiornicy dla jej potraktowania jako zwierzęcego VIPa. Ośmiornica ta wcale też nie była jedynym niemieckim zwierzęciem o nadprzyrodzonych zdolnościach. Około 1906 roku szeroko w Niemczech znany był koń o imieniu "Hans", który potrafił liczyć, rozwiązywać złożone problemy logiczne, a także który znał przyszłość. Krótki opis tego konia oraz innych zwierzęcych geniuszy - włączając w to zdjęcie w/w ośmiornicy "Paul", zaprezentowany został w artykule "Prescient Paul and his psychic pals" ze strony A7 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z wtorku (Tuesday) July 13, 2010. Dzikie słonie są dobrze znane afrykańskiemu folklorowi ludowemu z ich umiejętności różdżkarskich. Podobnie bowiem jak różdżkarze, w okresach suszy dzikie słonie potrafią znaleźć płytko położone żyły wodne i dokopać się do wody aby ugasić swoje pragnienie. Większość zwierząt domowych, włączając w to świnię i krowy, wie dokładnie kiedy ich właściciele wiozą je do rzeźni i płacze z żalu - tak jak dla świń opisałem to na stronie pigs_pl.htm. Wiele zwierząt, a nawet owadów, posiada zdolności telepatyczne. Przykładowo zwykłe komary potrafią odczytać nasze myśli kiedy zdecydujemy się na nie zapolować. Stąd jeśli nie wpadną jeszcze w zapamiętanie zajęcia się wysysaniem naszej krwi, wówczas uciekają i kryją się w panice. Czaszki niektórych zwierząt drapieżnych są nawet formowane na kształt telepatycznych komór rezonacyjnych - co ułatwia im telepatyczne wsłuchiwanie się w uczucia bólu i niewygody u zwierząt na które polują. To dlatego czaszki wielu drapieżników (np. "geparda") mają kształt i wielkość czaszek zwierząt na które polują - po więcej szczegółów patrz podrozdział H7.1 z tomu 4 mojej najnowszej monografii [1/5]. Wiele stworzeń, włączając w to niektóre ryby, żaby, psy, oraz konie, na wiele dni wcześniej potrafią wyczuć zbliżanie się trzęsienia ziemi - tak jak to opisałem na totalizacyjnej stronie day26_pl.htm. Niemal każde zwierzę instynktownie wie jakie zioła są pomocne na jakie

jego dolegliwości. W przypadku też kłopotów zdrowotnych zwierzęta zawsze wybierają i zjadają właściwe zioła które są najbardziej pomocne na trapiące ich dolegliwości. Osobiście widziałem swojego kota o imieniu "Teecee" (opisywanego i pokazanego m.in. na stronie internetowej [bandits_pl.htm](#)), jak trapiiony kłopotami żołądkowymi wyskoczył z mieszkania poczym z szerokiej różnorodności trawiastych roślin porastających pod oknem zaczął wybierać i zjadać zioło które ja znam z domu rodzinnego w Stawczyku pod folklorystyczną nazwą "koci ogon" (tj. "krwawnik" albo "Achillea filipendula YALLOW") - którego jednak nigdy swemu kotu nie dawałem do zjedzenia. Ziołem tym moja matka zawsze karmiła kurczaki i inne stworzenia, kiedy te nabawiały się jakichś kłopotów żołądkowych. Swoją wiedzę, że właśnie to zioło leczy problemy żołądkowe, ja sam wyniosłem z domu rodzinnego w Stawczyku - skąd jednak dokładnie tą sama wiedzę zaczerpnął mój nowozelandzki kot? Szczególnie że zioło to wcale nie jest rodzime dla Nowej Zelandii i znalazło się tam tylko ponieważ przywieźli je ze sobą pierwsi Europejscy osadnicy. Dalsze przykłady nadprzyrodzonych zdolności zwierząt możnaby mnożyć w nieskończoność.

Poniżej w tej części strony opiszę dwa najłatwiejsze do sprawdzenia przykłady nadprzyrodzonych możliwości polskich węży.

#F1. Dlaczego naukowcy zaprzeczają że polskie węże są zdolne do nadprzyrodzonych działań:

Motto: "Aby wszyscy mieli równe szanse, Bóg musiał dać wężom najwięcej."

Teoria wszyskiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji (KDG) jako "nadprzyrodzone" definiuje "wszystko co w swoim działaniu wykorzystuje prawa, zasady działania i możliwości oferowane jedynie przez tzw. 'przeciw-świat' a niedostępne dla 'świata fizycznego' w jakim my żyjemy". Dlatego przykładami "nadprzyrodzonych działań" są nie tylko cuda (opisywane np. w punkcie #H2 strony internetowej [god_proof_pl.htm](#)), ale także efektywne wykorzystanie "telepatii" czy "zdolności do zmian szybkości upływu czasu". Ponieważ dzisiejsza nauka nadal ma trudności z zaakceptowaniem ustaleń "KDG", dzisiejsi naukowcy ciągle NIE wiedzą że takie nadprzyrodzone działania, jak owo użycie "telepatii" czy "zagęszczania czasu", wogóle są fizykalnie możliwe. Jest zaś powszechnie wiadomo, że jeśli ktoś nie ma pojęcia iż coś istnieje, wówczas tego nie dostrzega - nawet jeśli to paraduje tuż przed jego nosem. Nic więc dziwnego, że na przekór iż polska wiedza ludowa już dawno temu odkryła nadprzyrodzone zdolności niektórych naszych polskich węży, oraz informuje o tych zdolnościach wszystkich którzy wysłuchują ludowych opowieści, nasi naukowcy ciągle zdolności te ignorują i oficjalnie zaprzeczają ich istnieniu. Nadprzyrodzoność jest również ignorowana na przekór że ów "KDG" wyjaśnił naukowo mechanizm jej zaistnienia oraz wskazał cały szereg eksperymentalnych dowodów które każdemu potwierdzają możliwość wyzwalania nadprzyrodzonych zjawisk. (Do przykładów takich eksperymentalnych dowodów potwierdzających możliwość technicznego wyzwalania nadprzyrodzonych zjawisk, należą m.in.: (1) tzw. "Seismograf Zhang Henga" działający na zasadzie fal telepatycznych a opisany m.in. w punkcie #E4 strony [telepathy_pl.htm](#), (2) tzw. eksperyment "party levitation" opisany w punkcie #E7.2 strony [soul_proof_pl.htm](#) - który potwierdza że telekineza może być wyzwalana softwarowo przez ludzką duszę, oraz (3) eksperyment opisany w punkcie #D1 strony [immortality_pl.htm](#) - jaki empirycznie udowadnia softwarową (pulsującą) naturę czasu i możliwość jego cofania do tyłu.) Nie będą już tu wyjaśniał, że nadprzyrodzoność węży jest też pośrednio potwierdzana przez Biblię. Aby więc uświadomić tutaj czytelnikom, że wszechmocny Bóg wyposażył węże w różne nadprzyrodzone zdolności które ciągle pozostają nieznanymi dzisiejszym naukowcom, przytoczę tutaj dwie obserwacje empiryczne jakie ilustrują te zdolności u węży. Obserwacje te zaistniały faktycznie, są więc obiektywnym dowodem na to co nimi zostało ujawnione.

#F2. "Zaskroniec" ze Stawczyka koło Milicza, czyli wąż który potrafił telepatycznie nakazać żabie aby wskoczyła mu do paszczy:

Jako nastolatek miałem unikalną szansę naocznego zaobserwowania

"telepatycznego ataku" zwykłego polskiego zaskrońca na dużą polną żabę. Obserwacji tej dokonałem na polu swoich rodziców znajdującego się w opisywanej tutaj miejscowości Stawczyk. Wszystko co zaskroniec uczynił podczas owego ataku, to otworzył swój pysk i intensywnie wpatrywał się w oczy tej żaby. Żaba zaś przełamywała w sobie opory własnego ciała i sama mu stopniowo wskakiwała do paszczy w kilku krótkich skokach. Oto jak tamtą swoją obserwację "telepatycznego ataku zaskrońca" opisuję w podrozdziale R4.2 z tomu 15 monografii [1/5]:

Kiedy rozpocząłem swoją obserwację, żaba była w odległości jakiegoś pół metra od paszczy zaskrońca. Koncentracja węża była tak duża, że nawet nie odnotował mojego zbliżenia się i kontynuował swój telepatyczny atak. Dzięki temu umożliwił mi dokładne zaobserwowanie całego zdarzenia. Żaba tymczasem zachowywała się w sposób, jaki jest niewytłumaczalny na bazie przestarzałego "konceptu monopolarnej grawitacji" - do dzisiaj wyznawanego przez oficjalną naukę. (Jak wiadomo, tamten stary koncept zaprzecza istnieniu telepatii i uniemożliwia jej wyjaśnienie.) Wydając głośne rechoty przerażenia, które zresztą zwróciły moją uwagę na całe zajście, żaba ta silnie zapierała się przednimi kończynami o ziemię. Jednak jej tylne kończyny dokonywały rytmicznych skoków. Skoki te zwolna prowadziły nieszczęsną żabę wprost w paszczę zaskrońca. Nawet gdy jej przednia część utkwiała już w jego paszczę, tylne nogi ciągle rytmicznie podrygiwały dopomagając wężowi w jej lepszym połknięciu. Zaskroniec jedynie musiał dokonać wysiłku przełykania. Po zaobserwowaniu tego niezwykłego zajścia, oczywiście wypytałem o całe zdarzenie Wincentego (omawianego też w podrozdziałach V2.3.2 i V2.4 mojej najnowszej monografii [1/5]). Wincenty był chodzącą encyklopedią wiedzy ludowej. Wincenty potwierdził, że zaskrońce zdalnie hipnotyzują swoje ofiary, tak że wcale nie muszą ich łapać fizycznie, a ofiary te same wskakują im do paszczy.

Ponieważ takie telepatyczne zdolności zwykłego polskiego zaskrońca ciągle pozostają nieznane dla dzisiejszej oficjalnej nauki, w tym miejscu mam apel do czytelników. Mianowicie, jeśli osobiście widzieli oni podobny "telepatyczny atak" zaskrońca na żabę, albo jeśli znają kogoś kto atak taki zaobserwował, wówczas prosiłbym aby opisać mi tą obserwację, zaś ja rozważę jej opublikowanie tutaj.

#F3. "Gniewosz" z Cielczy koło Jarocina, czyli wąż który potrafi tak zmieniać szybkość upływu czasu że ludzie przestają odnotowywać jego istnienie:

Staropolska wiedza ludowa opowiada też o nadprzyrodzonych zdolnościach innego węża żyjącego jedynie na obszarze Polski, który przez nasz folklor nazywany jest "gniewosz". Angielska nazwa dla podobnych węży żyjących poza Polską brzmi "Smooth snake", podczas gdy po łacinie nazwane są one "Coronella austriaca". W Polsce czasami ów "gniewosz" nazywany jest także "miedzianka". Jest to jednak nieprawidłowa nazwa, bowiem "miedzianka" to oficjalna nazwa przyporządkowana do innego węża żyjącego w Ameryce - po angielsku nazywanego "Copper head".

Moje analizy nadprzyrodzonych zdolności polskiego gatunku tego niezwykłego węża "gniewosz" doprowadziły mnie do wniosku, że jest on w stanie "zagęszczać upływ czasu". Znacząco, nasz "gniewosz" potrafi swym ciałem dokonywać tego co na stronie immortality_pl.htm wyjaśniłem że będzie to możliwe do uzyskania przez ludzi dopiero po zbudowaniu tzw. "wehikułów czasu". Gniewosz potrafi bowiem tak zwalniać dla siebie szybkość upływu czasu, że dla obserwujących go ludzi (dla których czas ciągle upływa z normalną szybkością) jego ruchy nabierają wprost błyskawiczności, zaś wąż ten staje się wręcz niedostrzegalny dla naszych oczu. To dlatego, na przekór iż wąż gniewosz ciągle zamieszkuje polskie lasy, faktycznie ludzie niemal go nie widują. Istniejące opisy tego węża podkreślają jakoby jego ogromną rzadkość - faktycznie spowodowaną jego zdolnością do stawania się tak szybkim że jest wprost niedostrzegalnym. Owa jego rzekoma rzadkość przebija ze wszystkich publikacji na jego temat - co proponuję sprawdzić np. poprzez wpisanie słowa kluczowego gniewosz w google.pl. Jednym z miejsc w których można spotkać tego niezwykłego węża są lasy niedaleko wsi o nazwie "Cielcza" - położonej około 4 km na północ od wielkopolskiego miasta Jarocina. W roku szkolnym 1957/1958 ja mieszkałem w Cielczy przy ulicy Leśnej 17 - to właśnie też w owej Cielczy niemal że

zostałem przypadkowo zastrzelony - tak jak to opisałem w punkcie #B1 strony o mnie (Dr Jan Pajak) z moją autobiografią, a także w punkcie #H2 strony internetowej [god_proof_pl.htm](#). Tak się jakoś składa że ktoś na kogo opisach wysoce polegam widział węża gniewosza w lasach koło owej wsi Cielczy. Chociaż on sam NIE wierzy w "nadprzyrodzoną" zdolność tego węża do "zagęszczania szybkości upływu czasu", zdolność ta sama rzuca się w oczy z jego opisu spotkania z tym wężem. Oto jak opisał on swe spotkanie z tym niezwykłym wężem:

Wąż którego widziałem koło Cielczy to był "gniewosz" - bardzo rzadki gatunek i prawie już nie spotykany. Nigdy przedtem, ani nigdy potem, nie spotkałem już takiego węża. Było to w czasie okupacji około 1944 roku (dokładnej daty nie pamiętam). Miałem wówczas około 6, a może 8 lat. Poszedłem na grzyby z babcią, matką lub z którymś ze starszych braci. Ciekawe, że szczegółów nie pamiętam, ale doskonale pamiętam jak wyglądał ów wąż (być może, że przeraziłem się bardzo i to spowodowało, że scena ta tak mocno utkwiała mi w pamięci, że dziś po jakichś 66 latach widzę to w pamięci - tak jak by to stało się właśnie przed chwilą). Nie pamiętam też, czy nzebieraliśmy wtedy dużo grzybów, ale przypuszczalnie – tak, w tym zagajniku złożonym z młodych sosen i brzoźek zawsze były grzyby: kozaki, kowale, kurki, maślaki i inne. Ten zagajnik miał może około 1 km kwadratowego, a wokół niego były lasy większe sosnowe, brzożowe i mieszane. I wtedy chodząc po tym zagajniku, na którym były też malutkie polanki – nagle zobaczyłem węża, który skądś wyskoczył, był może przerażony równie mocno jak ja. Wąż ten był koloru ciemno-brązowego, może z odcieniem brązu lekko wpadającym w czerwień – i mknąc szybkimi zygzakami poszedł w jakieś trawy i krzaki. Ja stałem osłupiony przez moment i nawet nie pamiętam, czy osoba towarzysząca mi widziała go. Co mnie uderzyło to szybkość z jaką się on poruszał i jego kolor. Ja, będąc chłopcem mieszkającym w pobliżu lasów w Cielczy doskonale wiedziałem jak wyglądają żyjące tam węże: zaskrońce, żmije, czy podobne do węży padalce. Zaskrońce można było spotkać w ogródku - niedaleko naszego domu. Żmij też nie brakowało w lesie. Jednak to nie był żaden z tych węży. Przez całe życie potem myślałem, co to był za wąż i kiedy zacząłem studiować literaturę - doszedłem do wniosku, że to musiał być "gniewosz" (rzadki, prawie nie spotykany gatunek węża). Był on trochę podobny do padalca, ale dłuższy i cieńszy. Jego długość oceniam na jakieś 40 do 60 cm. Natomiast padalce mają około 30, może 40 cm. Od padalca różnił się też szybkością z jaką się poruszał. Poruszał się on bardzo szybko. Natomiast padalce sprawiają wrażenie bardzo leniwych i poruszają się wolno. Ten wypadek zainspirował mnie w późniejszym wieku do studiowania literatury i dzięki temu znam dość dobrze te gady. Widziałem też węża eskulapa, ale nie w naszym kraju, tylko w Jugosławii w 1966 roku w pobliżu miasta Dubrovnik. Ten wąż jest duży i gruby i można się go też mocno przerazić. Na szczęście jest on nie groźny i niejadowity.

Las w którym widziałem owego węża znajdował się przy wsi Cielcza w odległości około 1 – 1,5 km na południe od Cząszczewa oraz ok. 1 km na zachód od kolei poznańskiej. Dziś po 66 latach miejsca te mogą wyglądać całkiem inaczej. Tam gdzie był zagajnik może być duży las, a gdzie był duży las - może być zagajnik. Faktem jest jednak, że przed 66 laty żył tam jakiś wąż, który może być ciekawostką przyrodniczą i ciekawą wskazówką dla naukowców.

Wąż gniewosz wcale NIE jest jedynym stworzeniem którego cechy wykazują że potrafi zmieniać on szybkość upływu czasu. Innym takim stworzeniem jest tajemnicza "chupacabra" (o której ja wierzę że jest to odmienne, bo dzisiejsze, nazwanie dla stworzenia którego my znamy pod starożytną nazwą "gryf"). Jako nastolatek ja zostałem zaatakowany i nawet poraniony przez takiego gryfa. W jego ataku właśnie dała mi się odczuć owa zdolność gryfa ("chupacabry") do zwalniania szybkości upływu czasu. Opisy tego ataku gryfa na moją osobę zawarłem w podrozdziale R4.2 z tomu 15 mojej najnowszej monografii [1/5]. Z kolei obserwacje gryfa, niektóre z nich dokonywane niedaleko od wsi Stawczyk, opisałem w punkcie #H1 strony [wszewilki.htm](#) oraz w punkcie #E8 strony [newzealand_pl.htm](#).

Sposób na jaki "gniewosz" manipuluje czasem, w latach 1980-tych zilustrował nam magik zwany David Copperfield. Nakręcił on bowiem wówczas film w którym pokazuje

swoje przechodzenie przez Wielki Mur Chiński. Jak zaś wiemy to z badań uprowadzeń ludzi do UFO, przechodzenie przez mury w tzw. stanie telekinetycznego migotania wiąże się z poważnym problemem. Mianowicie, w środku muru przechodząca go osoba NIE ma czym oddychać. Aby więc się NIE udusić, mur trzeba przechodzić bardzo szybko. Gdyby jednak ów magik David Copperfield przeszedł szybko przez Mur Chiński, jego film utraciłby swój spektakularny impakt. Dlatego, aby ciągle móc przejść szybko przez ów mur, jednocześnie jednak na filmie pokazać to w zwolnionym tempie, David Copperfield zmienił szybkość upływu swego czasu. Mianowicie, kiedy dla niego w murze minęło zaledwie kilkadziesiąt sekund, dla filmowców na zewnątrz muru minęły całe minuty. (Odnotuj tu że wąż "gniewosz" czyni odwrotnie niż David Copperfield - tj. kiedy dla owego węża mijają całe minuty, dla innych stworzeń, oraz dla patrzących ludzi, mijają tylko sekundy.) Aby zaś przy okazji zademonstrować owo zwolnienie szybkości upływu czasu, David Copperfield przyczepił elektrody do swojej piersi - tak że jego puls był monitorowany i ilustrowany na filmie. Stąd na filmie widać, jak po wejściu do muru jego puls zwalnia się wraz ze zwolnieniem upływu jego czasu, w środku muru wynosząc tylko jedno uderzenie serca co kilkadziesiąt sekund. Ci więc z czytelników którzy zechcą poznać filmową ilustrację jak polski wąż "gniewosz" zmienia szybkość upływu czasu, powinni przeglądnąć sobie film z owego przejścia Wielkiego Chińskiego Muru przez Davida Copperfielda - kilka kopii tego filmu są sam wysłałem kiedyś swoim znajomym z Polski.

W wężu gniewoszu praktycznie wszystko potwierdza jego "nadprzyrodzone" zdolności. Jako przykład rozważmy tu jego nazwę - "gniewosz". Wynika ona z prostego faktu że na przekór iż wcale NIE jest jadowity, wąż ten nie ucieka kiedy jest zagrożony, a ciągle ma odwagę przeciwstawiania się wszystkim innym stworzeniom - w tym człowiekowi. Stąd podczas spotkań z ludźmi czasami rzuca się na nich, gryzie, syczy złowroźebnie i opluwa ich śmierdzącą wydzieliną. Żaden zaś stworek natury NIE zachowywałby się w ten sposób gdyby NIE był pewien że posiada "tajną broń" - z pomocą której jest w stanie zawsze zapanować nad sytuacją. (Tą "tajną bronią" węża "gniewosza" - która nadaje mu taką pewność siebie, jest właśnie owa zdolność do "zagęszczania czasu" i wynikająca z niej możliwość umknienia na życzenie praktycznie każdemu prześladowcy.) Innym faktem potwierdzającym jego "nadprzyrodzone" zdolności jest wygląd i kolor jego samców. Polski gatunek tego węża ma jaskrawy, niemal czerwony, z daleka widoczny kolor, podobny do koloru doskonale wypolerowanego pręta z czystej miedzi. Jednak w naturze taki jaskrawy ostrzegawczy kolor mają tylko stworzenia które są albo jadowite, albo też trujące, a stąd których inne stworzenia muszą się bać. Tymczasem "gniewosz" nie ma w sobie ani jadu ani trucizny. Gdyby więc nie dysponował ową "tajną bronią" w postaci "panowania nad czasem", wówczas będąc praktycznie bezbronny wobec swoich prześladowców, byłby przez nich z daleka dostrzegany i niezdolny do uniknięcia zostania pożartym. Jednocześnie byłby także niezdolny do nieodnotowanego podejścia i do zaskoczenia swoich własnych ofiar. Bez więc zdolności do "zagęszczania czasu" NIE byłby w stanie przetrwać w naturze w której bycie dobrze widzianym typowo oznacza śmierć albo od prześladowców albo też z głodu. Stąd jego jaskrawość i daleka widoczność też podkreślają jego "nadprzyrodzone" możliwości. W końcu rozważmy jego dietę. Wszakże oprócz bardzo szybkich jaszczurek i gryzoni, gniewosz czasami atakuje i zjada węże - w tym jadowite żmije. Żmije zaś są raczej szybkie i mordercze. Bez zdolności do "zagęszczania czasu" bezbronny gniewosz nie miałby więc z nimi żadnej szansy i raczej sam byłby przez nie zjadany.

Wąż "gniewosz" z nadprzyrodzonymi zdolnościami opisywanymi w tym punkcie, żyje jedynie na obszarze Polski. Poza Polską żyją tylko jego krewniacy którzy albo utracili swoje zdolności do zmiany szybkości upływu czasu, albo też nigdy ich nie otrzymali, a stąd którzy przeżywają tylko ponieważ mają szare i doskonale je maskujące ubarwienia - zamiast jaskrawego i widocznego z daleka jak gniewosz. Na przekór więc iż naukowcy zaliczają naszego polskiego "gniewosza" do tego samego gatunku co owe pokrewne mu węże "Coronella austriaca" z reszty Europy, nasz gwiewosz jest zdecydowanie odmiennym gatunkiem i raczej powinien być nazywany "Coronella polonica". W typowym bowiem dla Polski ubarwieniu, zdecydowanie polskim temperamentem, a także nieznanymi u innych jego krewniaków nadprzyrodzonych zdolnościach, występuje on jedynie na terenie Polski.

Naukowe więc przyporządkowywanie naszego "gniewosza" do gatunku "Coronella austriaca", moim osobistym zdaniem jest nieco podobne do zakwalifikowywania "konia" do tego samego gatunku co "osioł".

Jest mi wiadomo, że na temat "nadprzyrodzonych" zdolności węża gniewosza polski folklor ludowy przytacza sporo niezwykłych opowieści i przykładów. Ja nie chcę tutaj powtarzać tych opowieści, bowiem kiedy wywodzą się one odemnie, przeciwnicy moich ustaleń i twierdzeń zwykle bezobcesowo je atakują i podważają. Dlatego niniejszym jedynie zwracam się tutaj z apelem do czytelników. Mianowicie, jeśli słyszeli takie ludowe twierdzenia lub opowieści o niezwykłych zdolnościach węża gniewosza, lub jakiegokolwiek innego węża, wówczas prosiłbym aby się nimi podzielili, zaś ja rozważyłbym ich opublikowanie tutaj. Podobnie, jeśli któryś z czytelników też widział gdzieś węża "gniewosza", lub widział jakieś inne niezwykle stworzenie, wówczas prosiłbym o opisanie mi swego spotkania. Moje adresy internetowe pod które można do mnie napisać, są podane na końcu strony o mnie (Dr Jan Pajak).

#F4. Poza wężami, wiele innych stworzeń też wykazuje posiadanie nadprzyrodzonych zdolności:

Jak zwróciłem na to już uwagę czytelnika we wstępie do tej części strony, polskie węży wcale nie są jedynymi stworzeniami które posiadają nadprzyrodzone zdolności. Wyliczmy więc tutaj i skrótkowo opiszmy już znane mi z takich innych stworzeń które też posiadają najróżniejsze nadprzyrodzone zdolności.

#F4.1. Nadprzyrodzone zdolności niektórych dzikich zwierząt:

Istnieje cały szereg dzikich zwierząt, o których jest mi już wiadomym, że wykazują się one nadprzyrodzonymi zdolnościami. W niniejszym podrozdziale opiszę te z nich, których nadprzyrodzone zdolności już obecnie potrafię udokumentować jakimś weryfikowalnym materiałem dowodowym. Oto więc one.

#F4.1.1. Rekiny i ich nadprzyrodzone zdolności:

Rekiny (a z całą pewnością przynajmniej niektóre ich rodzaje), posiadają nadprzyrodzoną zdolność zdalnego hipnotyzowania swoich ofiar, tak że ugryzienia rekinów NIE są odczuwane przez ich ofiary. Ponadto, rekiny wykazują również posiadanie całego szeregu innych nadprzyrodzonych cech, np. nigdy nie ulegają one żadnym chorobom. Ja mieszkam w Nowej Zelandii, której wybrzeża, a także wybrzeża pobliskiej Australii, są regularnie patrolowane przez atakujące ludzi rekiny-ludojady. Miałem więc sporo okazji natykania się na raporty ludzi którzy przeżyli takie ataki rekinów. Szokującym szczegółem z praktycznie wszystkich tych ataków, który mnie pobudził do badań chociaż przez innych naukowców jest zupełnie przeaczany i ignorowany, jest że na przekór niekiedy okropnych ran, pogryzieni przez rekiny ludzie nigdy nie odczuwają żadnego bólu w chwili ugryzienia ani w spory czas później. Najwyraźniej rekiny zdalnie "hipnotyzują" swe ofiary i uniemożliwiają im odczuwanie bólu. (Jak zaś wiemy to z ustaleń Konceptu Dipolarnej Grawitacji, hipnoza jest umiejętnością wymagającą opanowanie zjawisk przeciw-świata, a stąd zalicza się ona do zjawisk nadprzyrodzonych.) Przez sporo lat natykałem się na liczne raporty takich właśnie bezbólowych ataków rekinów. Niestety, początkowo nie zapisywałem sobie ich danych. Dopiero począwszy od lutego 2010 roku zacząłem dokumentować na tej stronie te z owych przypadków, jakie wyraźnie raportowały w gazetach lub w telewizji, że ofiara ataku rekina nie odczuwała bólu podczas ugryzienia. (Wszakże ja muszę polegać wyłącznie na raportach z gazet lub telewizji, bowiem na podróże i na osobiste wywiady z tymi ofiarami brak mi funduszy z powodów wyjaśnionych na mojej stronie autobiograficznej pajak_jan.htm.) Oto więc opisy takich klarownie udokumentowanych w publikatorach przypadków bezbólowego ataku rekinów, na jakie się natknąłem począwszy od czasu gdy zacząłem ich spisywanie w lutym 2010 roku:

(1) Przykład ataku rekina na 14-letnią dziewczynkę w którym wyraźnie zostało odnotowane brak bólu w chwili ugryzienia, opisany jest w dwóch artykułach gazetowych, mianowicie w artykule [1#F4.1.1] "Bitten teenager got off lightly - shark expert" (tj.

"Ugryziona nastolatka uszła lekko - rekinowy ekspert") ze strony A2 gazety The New Zealand Herald, wydanie ze środy (Wednesday), February 3, 2010, oraz w artykule [2#F4.1.1] "Shark 'just defending itself' after being trodden on" ze strony A3 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post wydanie ze środy (Wednesday), February 3, 2010. Oba te artykuły opisują atak 1.5 metrowego rekina z gatunku "broad-nosed sevenfill shark" na 14-letnią dziewczynę o imieniu Lydia na plaży zwanej "Oreti" koło Invercargill w Nowej Zelandii. Dziewczyna ta nic NIE czuła podczas ataku. O tym że została ugryziona przez rekina poznała dopiero po krwi jaka pokazała się w wodzie.

(2) W artykule [3#F4.1.1] "Shark-bite victim flown to Auckland for surgery", ze strony A7 gazety The New Zealand Herald, wydanie z wtorku (Tuesday), September 7, 2010, zawarty jest kolejny raport ofiary ataku rekina, tj. raport Duńczyka o nazwisku Jensen. Ta ofiara też wyraźnie odnotowała, oraz potem przekazała dziennikarzowi piszącemu ów artykuł, że NIE odczuła żadnego bólu kiedy rekin niemal odgryzł jej całą stopę. Potężne ugryzienie rekina ów Duńczyk odczuł jedynie jako silne szarpnięcie. Posądzał przy tym że po prostu zaczepił swą stopą o jakąś rafę koralową i płynął dalej. Dopiero kiedy usiłował wsiąść do łodzi, z szokiem odnotował że niemal brak mu stopy.

(3) W poniedziałek dnia 11 października 2010 roku, w godzinach 20:00 do 20:30, na kanale 3 telewizji nowozelandzkiej nadawany był film z australijskiej serii dokumentarnej o tytule "Your Worst Animal Nightmares". W owym dniu udokumentowany był atak rekina z gatunku zwanego "Great White" na Australijczyka o nazwisku Rodney Fox, mający miejsce jeszcze w talach 1960-tych koło Adelaidy. Podczas owego ataku, zęby rekina wyrwały ofiarze kawał klatki piersiowej i brzucha, tak że płuca i wnętrzności zostały całkowicie odsłonięte. Jednak poszkodowany doskonale zapamiętał, że w czasie samego ugryzienia, oraz w przeciągu następnych około 10 minut, wogóle nie odczuwał żadnego bólu. Ugryzienie rekina poczuł jedynie jak silne szarpnięcie. Dopiero w jakieś 10 minut później, kiedy był już na łodzi wieziony do brzegu, ból zaczął przebijać się u niego przez blokadę hipnozy. Ofiara opisywała owo nadejście bólu, że miało ono charakter jakby falowy. Znaczący początkowo ból nie był jeszcze ciągły, a zaczynał pojawiać się falami i potem zanikać. Dopiero po sporym czasie owa zdalna hipnoza rekina całkowicie zanikła, zaś ból przyjął ciągły charakter. Co ciekawsze, owa zdalna hipnoza rekina przestała nagle działać dopiero kiedy ofiara znalazła się na stole operacyjnym i została uśpiona anestetycznie do operacji. Owo uśpienie wyeliminowało stan hipnozy i ofiara nagle się zbudziła w środku operacji, zaś lekarze faktycznie operowali ją podczas gdy wszystko czuła - jednak była zbyt osłabiona i wykrwawiona aby protestować. (Jest to faktem dobrze znanym z eksperymentów nad hipnozą, że hipnoza potrafi zadominować nad działaniem medykamentów. Stąd ów przypadek zbudzenia się ofiary podczas operacji jest dodatkowym dowodem że brak bólu podczas ugryzień rekinów jest spowodowany właśnie zdalnym zahipnotyzowaniem ofiar, a nie jakimikolwiek innymi czynnikami.)

* * *

Warto odnotować że dzisiejsi naukowcy przesiadujący w fotelach z poręczami na swoich "wieżach z kości słoniowej" wymyślają najróżniejsze "racjonalne wyjaśnienia" dla owej nadprzyrodzonej zdolności rekinów aby tak zdalnie zahipnotyzować ofiary że te wcale nie odczuwają bólu. A to że niby "andrealina" zagłusza ból, a to że ofiara jest zbyt podniecona aby słuchać swych zmysłów, itp. Gdyby jednak owi naukowcy użyli choć trochę tzw. "zdrowego rozsądku", wówczas odnotowaliby jak nieźyciowo i jak aburdalnie ("ridiculous") brzmią te ich wyjaśnienia. Potrzebna więc była dopiero moja odwaga osobista, moje oddanie upowszechnianiu prawdy, oraz moja zaawansowana wiedza wynikająca ze stworzenia teorii wszystkiego zwanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji, aby po raz pierwszy w historii nauki ziemskiej wyraźnie i otwarcie wyjaśnić, że rekiny faktycznie wykazują owe nadprzyrodzone zdolności - w tym zdolność do zdalnego hipnotyzowania swoich ofiar tak aby te NIE odczuwały bólu podczas ugryzienia.

* * *

Wysoce interesujące w badaniach owego zdalnego hipnotyzowania ofiar przez rekiny, jest działanie tzw. "przekleństwa wynalazców" opisywanego dokładniej m.in. w punkcie #B4.4 z totalizycznej strony o nazwie mozajski.htm. Działanie to doskonale

ilustruje m.in. artykuł o tytule "Shark expert adds Red Sea serial offender to his file" (tj. "Ekspert od rekinów dodaje do swej bazy danych seryjnego ludojada z Morza Czerwonego"), ze strony A23 gazety The New Zealand Herald, wydanie z poniedziałku (Monday), December 13, 2010. Mianowicie, ów artykuł informuje o istnieniu międzynarodowej bazy danych o atakach rekinów. Owa baza danych, nosząca nazwę "International Shark Attack File", była założona w latach 1950-tych i jest prowadzona przez Marynarkę Wojenną Stanów Zjednoczonych. Zawiera ona wyniki ponad 4000 szczegółowych raportów z ataków rekinów, datujących się począwszy od 16 wieku. Dla badacza jak ja, dostęp do niej byłby więc źródłem nieocenionych informacji. Przykładowo, ja mógłbym z niej wybadać które gatunki rekinów wykazują ową umiejętność zdalnego hipnotyzowania swych ofiar, tak aby ofiary te nie czuły bólu. Albo wybadać w jakich okolicznościach rekiny używają tej swej umiejętności zdalnego hipnotyzowania, a w jakich ją wyłączają. Niestety, owa baza danych jest tajna, zaś oprócz amerykańskich wojskowych nikt nie ma do niej dostępu. Doskonale zaś wiadomo, że ludzie o twórczych umysłach NIE ochotniczą do wojska. Stąd owi utajniacze tej bazy danych mogą w nią zapewne wpatrywać się przez całe stulecia, zaś ludzkość i tak nic z tego nie skorzysta. Przykład więc owej bazy danych ujawnia, jak niemoralne i szkodliwe dla całej ludzkości jest utajnianie czegokolwiek, szczególnie zaś źródeł wiedzy. To właśnie utajnianie i odmawianie dostępu do danych, dla twórczych ludzi jest jedną ze składowych trapiącego ich "przekleństwa wynalazców". Bawiąc się zaś w "psa ogrodnika", tacy utajniacze sami tylko na tym tracą. Każde bowiem istotne odkrycie, w końcowym efekcie zawsze służy wszystkim mieszkańcom Ziemi - bez względu na to jakiej narodowości był ten kto go dokonał.

#F4.1.2. Niedźwiedzie i ich nadprzyrodzone zdolności:

We wtorek dnia 4 maja 2010 roku, w godzinach 21:35 do 22:45, na kanale telewizji nowozelandzkiej zwanym "Prime", nadawany był angielski film dokumentalny z 2008 roku, o tytule "Bearman" (tj. "Człowiek-niedźwiedź"). Film ten dokumentował odkrycia kanadyjskiego badacza czarnych niedźwiedzi z New Hampshire, który osiągnął niezwykłą zdolność do komunikowania się z dzikimi niedźwiedziami. Badacz ten nazywa się Ben Kilham. Żyje on w drewnianej hatce w środku puszczy w otoczeniu owych niedźwiedzi. Jednym z jego odkryć udokumentowanych na tym filmie które mnie osobiście najbardziej zaintrygowało, było ujawnienie że czarne niedźwiedzie zawsze testują tuż przed jedzeniem które rośliny i jagody są jadalne, a które trujące (tj. wcale NIE noszą one w swej pamięci rodzaju "banku danych" tego co jadalne a co niejadalne - tak jak czynią to ludzie). Jak się okazuje, każdy czarny niedźwiedź (a być może również i każdy inny niedźwiedź), nawet jeśli wychowany był przez ludzi i nigdy NIE miał okazji poznać od własnych rodziców co jest jadalne a co trujące, jest w stanie bardzo szybko ustalić czy coś nadaje się do jedzenia, czy też jest to trujące. W tym celu niedźwiedź po prostu bierze to do pyska, oraz przez krótką chwilę przyciska językiem do swego górnego podniebienia podrzucając przy tym łbem. Zaś po chwili już wie czy jest to jadalne. Na podstawie tego odkrycia, Ben Kilham wydedukował, że niedźwiedzie muszą mieć jakiś organ smakowy w swoim górnym podniebieniu, który pozwala im na szybkie ustalenie czy coś jest jadalne, poprzez przyciśnięcie tego do owego organu. Nazwał on nawet ów organ swoim imieniem. Niestety, badania weterynaryjne niedźwiedzi wykazały, że w ich górnym podniebieniu wcale NIE ukrywa się żaden organ smakowy. Jedynym więc wytłumaczeniem jak jest możliwe aby niedźwiedzie mogły ustalać jadalność tego co biorą do pyska, kiedy jednocześnie brak im organu smakowego jaki by ustalanie to im umożliwiał, jest że używają one jakiś rodzaj "przeciw-organu" podobnego do ludzkiego tzw. "sumienia" (tj. w rodzaju przeciw-organów opisanych w podrozdziale 15.3 z tomu 5 mojej najnowszej monografii [1/5]. To właśnie ów przeciw-organ, na zasadzie niemal identycznej do tej jaką używają dzisiejsi radiesteci wspomagani wahadełkami, podpowiada niedźwiedzom czy to co mają one właśnie w pysku jest jadalne czy też nie. W owym podpowiadaniu ów niedźwiedzi przeciw-organ zachowuje się dokładnie tak jak ludzkie "sumienie". Tyle że zamiast podpowiadać im czy to co czynią jest moralne czy też niemoralne, podpowiada im on czy jest to jadalne czy też niejadalne. W ten sposób nadaje on niedźwiedzom nadprzyrodzonej zdolności do szybkiego ustalania jadalności

wszystkiego na co niedźwiedzie mają apetyt.

#F4.1.3. Zwierzęta już opisane w części #F tej strony:

Ponieważ we wstępie do tej "części #F" niniejszej strony już opisałem aż kilka zwierząt o nadprzyrodzonych zdolnościach, nie będę więc tutaj powtarzał tamtych opisów.

#F4.2. Stworzenia nadprzyrodzenie "symulowane":

Motto: "W świecie fizycznym działa żelazna zasada, że wszystkie głębokie wierzenia każdej osoby zawsze są jakby 'przypadkowo' potwierdzone przez dziwne zdarzenia, ślady, lub obserwacje ukazywane prywatnie tylko tej osobie."

Większość stworzeń jakie znamy np. z podręczników zoologii istnieje w sposób trwały - tak jak ludzie. Niezależnie jednak od nich niektórzy ludzie obecnie spotykają na Ziemi także zupełnie inną kategorię stworzeń, które wcale NIE istnieją trwale, a są jedynie tymczasowo symulowane za każdym razem kiedy ktoś z ludzi ma być z nimi skonfrontowany. Czym jest takie "tymczasowe symulowanie" wyjaśnia to dokładniej punkt #K1 ze strony [day26_pl.htm](#). Opiszmy teraz przykłady takich właśnie stworzeń "symulowanych" w nadprzyrodzony sposób, czyli stworzeń które niby istnieją (bo ludzie je widują a także ponieważ pozostawiają one fizyczne ślady swego istnienia), a jednocześnie NIE istnieją trwale (tak jak trwale istnieją np. ludzie).

1. Gryfy (chupacabra). W podrozdziale R4.2 z tomu 15 mojej najnowszej monografii [1/5] opisałem przypadek kiedy to ja sam zostałem zaatakowany i poraniony przez "gryfa" (chupacabrę). Szokująco, na przekór sporych ran nie odczuwałem wówczas żadnego bólu. Najwyraźniej i te stwory posiadają zdolność do hipnotycznego eliminowania bólu - tak jak rekiny.

2. Stworzenia już opisane w części #F tej strony (w rodzaju "Nessie" czy "Yeti"). Ponieważ w punktach #E1 i #E2 niniejszej strony, a także w punkcie #E6 strony [newzealand_pl.htm](#) już opisałem aż kilka stworzeń "symulowanych" w nadprzyrodzony sposób, nie będę więc tutaj powtarzał ich opisów.

3. UFOnauci. Inteligentni UFOnauci (a także ich wehikuly UFO) również należą do owej kategorii stworzeń (oraz urządzeń technicznych) symulowanych w nadprzyrodzony sposób dla twórczego zainspirowania ludzi. Więcej informacji na ten temat można znaleźć w punktach #M1 i #M2 strony [day26_pl.htm](#).

4. Cieleśne reprezentacje Boga. Do stworzeń "symulowanych" w nadprzyrodzony sposób należą również tzw. "cieleśne reprezentacje Boga" - których najlepszy opis zawarty jest w punktach #D1 do #D3 strony [newzealand_visit_pl.htm](#). (Opisane tam przykłady owych cieleśnych reprezentacji Boga noszą nazwy "Tane" oraz "Uenuku" - aczkolwiek ludzkości znana jest olbrzymia liczba dalszych ich przykładów.)

* * *

Opisane powyżej stworzenia nadprzyrodzenie symulowane, wybrani ludzie spotykają na Ziemi ciągle i dzisiaj. Znacznie jednak więcej tego rodzaju stworzeń symulowanych było w pradawnych czasach. Przykładowo należały do nich wszystkie potwory występujące w mitologiach greckiej i rzymskiej (w rodzaju Hydy), a także wszystkie "poskładane zwierzęta" (po angielsku zwane "composite animals" - ponieważ naukowcy uważają że powstały one w wyobraźni ludzi poprzez poskładanie razem części ciał aż kilku zwierząt, np. ciała lwa ze skrzydłami orła), takie jak "sfinks", "pegaz", "jednorożec", czy widywany również i dzisiaj "gryf".

#F4.3. Nadprzyrodzone zdolności niektórych zwierząt domowych:

W przeciwieństwie do dzikich zwierząt, u których wszystkie osobniki z danego gatunku wykazują niemal taki sam poziom ich nadprzyrodzonych zdolności, zwierzęta domowe są jak ludzie. Znacząco, niektóre z nich mają najróżniejsze zdolności, inne zaś ich nie mają - chociaż należą do tego samego gatunku. W ten sposób np. sławny w świecie stał się kot o imieniu "Oscar" który potrafił wyczuć kiedy ktoś ma umrzeć, jednak inne koty wcale nie posiadają tej samej umiejętności. Przykłady opisów nadprzyrodzonych zdolności u zwierząt domowych zawarte są w podrozdziale I8.1 z tomu 5 aż trzech monografii, tj.:

[1/4], [1/5], oraz [8/2].

#F4.4. Nadprzyrodzone zdolności niektórych roślin:

Co najdziwniejsze niektóre rośliny także wykazują posiadanie nadprzyrodzonych zdolności. Wskażmy tutaj te z nich o jakich nadprzyrodzonych dotychczas zdołałem się już dowiedzieć. Oto one:

1. Kokosy. Palmy kokosowe uważane są za "święte drzewa". Wyrastają one nawet na małych piaszczystych wyspach gdzie brak jest pitnej wody. Zaspokajają wszelkie potrzeby człowieka. Każda też ich część jest użyteczna. Orzechy kokosowe mają tę nadprzyrodzoną zdolność, że absolutnie nigdy nie upadają one na głowy ludzi przechodzących pod palmami na których orzechy te rosną. Owa nadprzyrodzona zdolność orzechów kokosowych jest szeroko znana w krajach w których orzechy te rosną. Istnieje tam nawet powiedzenie, że "kokosy mają oczy". Więcej na temat owej niezwykłej zdolności kokosów wyjaśniam w punkcie #D1 totalizycznej strony internetowej fruit_pl.htm, a także w 14 z punktu #F2 totalizycznej strony god_proof_pl.htm.

2. Palmy. Palmy wykazują się posiadaniem aż kilku nadprzyrodzonych cech. To zapewne dlatego w dawnych czasach palmy uważano za "święte rośliny". Do dzisiaj zresztą w kościele katolickim celebryje się tzw. "palmową niedzielę". Przykładowo, niektóre gatunki drzew palmowych precyzyjnie synchronizują swoje kwitnienie i umieranie. Do ich grupy należy palma zwana "Talipot Palm", a także zwykła "palma olejowa" z której oleju produkowana jest margaryna (zdjęcia i opisy obu tych palm, włączając w to zdjęcie synchronicznie wymarłego lasu palmy olejowej, przytoczyłem w punkcie #F3 z totalizycznej strony god_proof_pl.htm).

3. Baobaby z Madagaskaru. Na wyspie Madagaskar stworzone zostały przez Boga drzewa "baobab", które z upływem czasu rozprzestrzeniły się również na sąsiednią Afrykę i Australię. Miejscowi ludzie z Madagaskaru nazywają baobaby "Drzewem Życia" (po angielsku "Tree of Life") oraz uważają je za święte drzewa. Wykazują one bowiem nadprzyrodzoną zdolność do gojenia swych ran i do pokrywania się odrosłą korą bez względu na to jak bardzo ktoś by je nie okaleczył. Baobaby należą też do owych nielicznych świętych drzew na świecie, które są w stanie zaspokajać wszystkie ludzkie potrzeby (innymi takimi świętymi drzewami są "palmy kokosowe" opisane już uprzednio). Praktycznie bowiem każda część baobabów jest użyteczna dla ludzi. Ich nasiona są smaczne i pożywne, zjadane zarówno na surowo jak i po upieczeniu. Są źródłem protein, oleju i witaminy C. Są też doskonałym pożywieniem na długie podróże, ponieważ ich masa się nie psuje chroniona przez wytrzymałą skorupę. Z nasion wykonywany jest też smaczny napój, nadający się do picia zarówno na świeżo, jak i po sfermetowaniu w alkohol. Osłony nasion mają welwetowe pokrycie które po zdrapaniu formuje obiekty artystyczne. Liście i korzenie są używane jako medykamenty na bóle żołądka i płuc. Kora jest uplatana w powrozy, koszyki i odzież, jest też używana do plecienia nieprzemakalnych kapeluszy, a nawet do budowy instrumentów muzycznych. Żywica jest używana jako klej. Pień przechowuje w sobie wodę, zaś jeden spory baobab może zgromadzić w sobie nawet do 120 000 litrów wody. Drewno baobabu jest miękkie, zylaste i ociekające wodą. Wystarczy więc uskrobać trochę tego drewna i wycisnąć z niego wodę aby w suchym okresie zaspokoić swe pragnienie. Sucha pulpa z tego drewna jest używana do łatwego wyrobu papieru. Co najdziwniejsze, jeśli w celu uskrobnienia drewna baobabu okaleczy się z kory kawałek tego drzewa, baobab szybko zagaja swe rany i porasta okaleczone miejsce nową korą. W ten sposób można np. stopniowo wyskrobać w dużym baobabie dużą dziuplę do zamieszkania, zaś wewnątrz tej dziupli samo pokryje się korą i baobab nadal kontynuuje życie. To zaś umożliwia formowanie ludzkich mieszkań i schronień w dużych ciągle żyjących baobabach. Artystycznie uzdolnieni rzeźbiarze mogą też na zewnętrznych powierzchniach baobabu rzeźbić figury zwierząt i roślin, zaś te figury z czasem pokrywają się korą i wyglądają jakby powstały naturalnie. To prawdopodobnie w taki właśnie sposób jakiś artysta z USA ujrzał na Madagaskarze taki porzeźbiony baobab, zaś po powrocie do kraju zarobił fortunę na swoim pomysle stworzenia podobnego "drzewa życia" w "Animal Kingdom" z Disney-Landu zlokalizowanego w Epcot Center z Orlando na Florydzie. (Taka plastikowa reprodukcja z

USA pokazująca rzeźbiarskie możliwości baobabu, pokazana jest jako "Fot. #J1" na totalizycznej stronie o nazwie [god_proof_pl.htm](#) - kliknij na niniejszy zielony link aby oglądnąć sobie tamto amerykańskie plastikowe "drzewo życia".) Baobaby żyją przez tysiące lat, zapewne więc niektóre z nich istnieją ciągle począwszy od czasów stworzenia świata. Z kolei ich pnie urastają do ogromnych wielkości. Nic więc dziwnego że miejscowi ludzie traktują je z najwyższym szacunkiem jako absolutną świętość.

4. Bambusy. Niektóre gatunki bambusa też precyzyjnie synchronizują swoje kwitnienie i umieranie. Przykład takiego właśnie gatunku bambusa opisuję w punkcie #F3 z totalizycznej strony [god_proof_pl.htm](#).

5. Drzewa gumowe. Drzewa z których ludzie ściągają gumę są liściastymi drzewami tropikalnymi. W przeciwieństwie zaś do liściastych drzew np. Polski, drzewa tropiku typowo prawie nigdy nie tracą liści i są zielone przez cały rok. Jednak drzewa gumowe tracą liście dokładnie na okres około dwóch tygodni otaczających Księżycowy Nowy Rok - czyli dokładnie na okres czasu kiedy chińscy robotnicy zatrudnieni na plantacjach drzew gumowych chcą mieć wolny czas aby móc świętować najdejsie swojego Nowego Roku. W czasie zaś kiedy NIE mają one liści, drzewa te nie produkują "lateksu" a stąd nie wolno ich naciąć aby ściągać z nich gumę. (Oprócz owych około dwóch tygodni kiedy drzewa te pozostają bezlistne, najpierw przez dodatkowy około tydzień tracą one liście, potem zaś przez około tydzień wyrastają im nowe liście. W sumie więc nie daje się ściągać z nich gumy przez około miesiąc czasu.) Chińscy robotnicy którzy typowo zatrudnieni są na plantacjach gumy mają więc wolny czas i mogą bez przeszkód świętować swój Nowy Rok księżycowy. Z tego powodu w folklorze Chińczyków upowszechnione jest wierzenie, że Bóg celowo tak zaprojektował drzewa gumowe aby pozwalały one na świętowanie swoim robotnikom. Co jednak mnie najbardziej intryguje, to że ów Chiński Nowy Rok Księżycowy jest świętem ruchomym i każdego roku wypada on o innej dacie - po jego dacie w poszczególnych latach patrz punkt #B5 na totalizycznej stronie [pigs_pl.htm](#). Przykładowo, w 1972 roku wypadł on w dniu 16 stycznia, zaś w 1985 roku - w dniu 20 lutego (czyli we wzajemnych odległościach od siebie przekraczających długość czasu kiedy drzewa te pozostają bez liści). Na przekór tego, owe drzewa gumowe ciągle w jakiś nadprzyrodzony sposób dokładnie wiedzą kiedy wypada ów chiński Nowy Rok księżycowy i zawsze tracą liście dokładnie w czasie kiedy Chińczycy chcą mieć wolny czas na swoje świętowanie.

Chiński Nowy Rok kryje też w sobie kilka innych tajemnic. Przykładowo, właśnie w okresie jego trwania powietrze na Ziemi posiada wyższą niż w całej reszcie roku zdolność do absorbowania wilgotności. Ludowy folklor chiński twierdzi, że powodem owych odmiennych cech powietrza w okresie chińskiego Nowego Roku, jest że Bóg specjalnie wyznaczył ten okres na przygotowywanie przez Chińczyków ulubionych suszonych kiełbas. Dlatego Bóg nadaje wówczas powietrzu specjalnych cech wysuszających - jakie to cechy nadają ich suszonym kiełbasom ów unikalny smak i wyjątkowy poziom suchości.

Owa nadprzyrodzona wiedza drzew gumowych kiedy dokładnie nadchodzi chiński Nowy Rok, a stąd kiedy mają one utracić swoje liście, dyskutowana jest również w punkcie #C2 na totalizycznej stronie internetowej [pigs_pl.htm](#).

Część #G: Pochodzenie nazwiska "Stawczyk":

#G1. Skąd się wzięły osoby o nazwisku "Stawczyk":

Motto: "Wszystko posiada swoją historię. Poznanie zaś tej historii pozwala aby lepiej zrozumieć terażniejszość."

Na przekór że nazwa wsi "Stawczyk" jest unikalna - tak jak to wyjaśniam w punkcie #B3 powyżej tej strony, każdy kto w jakiejś wyszukiwarce wpisze słowo "Stawczyk" natychmiast się zorientuje że na świecie istnieje sporo osób noszących nazwisko "Stawczyk". Mnie ten fakt dosyć zaintrygował. Postanowiłem więc ustalić skąd dokładnie

owo nazwisko się wzięło. Jak jednak się okazało, ustalenie tego faktu wcale NIE jest takie proste. Jedyne czego zdołałem się dowiedzieć z całą pewnością, to że nazwisko "Stawczyk" wywodzi się ze wsi szlacheckiej zwanej "Stawczyk" - która to wieś kiedyś istniała na terenie dawnej Polski. Na temat związku owej wsi "Stawczyk" z nazwiskiem "Stawczyk" istnieje dosyć interesująca legenda czy wierzenie. Zanim jednak tutaj opiszę tą legendę (czy wierzenie), chciałbym ją sprawdzić i uwiarygodnić. Dlatego niniejszym mam prośbę do osób noszących nazwisko "Stawczyk" wiedzących skąd ich nazwisko się wywodzi, aby podzielili się ze mną swymi informacjami.

#G2. Każdemu potrzebna jest znajomość "korzeni" z których się wywodzi:

Motto: "Aby poznać kierunek w którym w życiu zmierzamy, musimy poznać skąd dokładnie pochodzimy."

Świadomość historii nazwiska "Stawczyk" może być źródłem całego szeregu korzyści duchowych i moralnych dla osób noszących to nazwisko. Wszakże logika wskazuje iż "aby wiedzieć dokąd zmierzamy w swym życiu, musimy poznać skąd dokładnie pochodzimy." Z kolei wiadomo że osoby które posiadają dobrą świadomość własnych duchowych korzeni, pochodzenia, oraz moralnego szkieletu, typowo odnoszą większe sukcesy w swoim życiu od "sierotowatych" ludzi których świadomość, mentalność i moralność nosi cechy kogoś dokumentnie "zagubionego". Pierwszym zaś krokiem w kierunku znalezienia swojej identyczności i korzeni jest ustalenie skąd dokładnie się pochodzi.

#G3. Osobiście rekomenduję aby osoby o nazwisku "Stawczyk" przejęły patronat nad wsią "Stawczyk":

Skoro z całą pewnością wiadomo, że ludzie o nazwisku "Stawczyk" mają swoje duchowe korzenie we wsi zwanej "Stawczyk", dla sentymentalnych powodów ludzie z tym nazwiskiem powinni objąć patronat nad wsią Stawczyk. Wszakże zarówno ta wieś, jak duch i poczucie przynależności owych ludzi, patronatu takiego desperacko potrzebują. Oczywiście, patronat taki osobom z nazwiskiem "Stawczyk" jest w stanie przynieść sporo korzyści duchowych i moralnych. Dla przykładu, zaczną oni mieć miejscowość z którą będą mogli duchowo się identyfikować. Będą mieli miejsce które dostarczy im celu dla ich letnich wycieczek i działań. Będą też mieli miejscowość której ich moralne wsparcie i zewnętrzna działalność okażą się wysoce pomocne. Będą też mogli wdrażać w życie słynne powiedzenie Prezydenta Jehn'a Kennedy'ego, stwierdzające że "Nie pytaj co Twoja kraina może uczynić dla Ciebie, a pytaj co Ty możesz uczynić dla Twojej krainy".

Część #H: Podsumowanie, oraz informacje końcowe tej strony:

#H1. Podsumowanie tej strony:

Na wszechświat wcale NIE składa się wyłącznie z tego co widzialne i dotykalne. Faktycznie to na większość wszechświata składa się to co niewidzialne chociaż istniejące i równie realne jak to co widzimy. Jednym z oczywistych przykładów tego co NIE opisane w oficjalnych publikacjach, jednak ciągle istnieje, jest niezwykła wieś zwana "Stawczyk" opisana na niniejszej stronie. Wieś ta stanowi symbol i dowód, że coś może istnieć, jednak dla większości ludzi pozostaje to niewidzialne.

#H2. Jak dzięki stronie "skorowidz.htm" daje się znaleźć totalizyczne opisy interesujących nas tematów:

Cały szereg tematów równie interesujących jak te z niniejszej strony, też omówionych zostało pod kątem unikalnym dla filozofii totalizmu. Wszystkie owe pokrewne tematy można odnaleźć i wywoływać za pośrednictwem skorowidza specjalnie przygotowanego aby ułatwiać ich odnajdowanie. Nazwa "skorowidz" oznacza wykaz,

zwykle podawany na końcu książek, który pozwala na szybkie odnalezienie interesującego nas opisu czy tematu. Moje strony internetowe też mają taki właśnie "skorowidz" - tyle że dodatkowo zaopatrzone w zielone linki które po kliknięciu na nie myślą natychmiast otwierają stronę z tematem jaki kogoś interesuje. Skorowidz ten znajduje się na stronie o nazwie skorowidz.htm. Można go też wywołać z "organizującej" części "Menu 1" każdej totalizycznej strony. Radzę aby do niego zaglądnąć i zacząć z niego systematycznie korzystać - wszakże przybliży on setki totalizycznych tematów które mogą zainteresować każdego.

#H3. Dane kontaktowe autora tej strony:

Aktualne adresy emailowe autora tej strony, tj. dra inż. Jana Pająka (a przez okres 2007 roku - Prof. dra inż. Jana Pająka), pod jakie można wysyłać ewentualne uwagi, zapytania, lub odpowiedzi na zadane tu pytania, podane są na stronie internetowej o mnie (Dr Jan Pajak). Tam również dostępne są adres pocztowy i numery telefonu autora.

#H4. Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak:

Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak. Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza strona stanowi raport z wyników badań jej autora - tyle że napisany jest on popularnym językiem (aby mógł być zrozumiany również przez czytelników o nienaukowej orientacji). Idee zaprezentowane na tej stronie są unikalne dla badań autora i dlatego w tym samym ujęciu co na tej stronie (oraz co w innych opracowaniach autora) idee te uprzednio NIE były jeszcze publikowane przez żadnego innego badacza. Jako taka, strona ta prezentuje idee które stanowią intelektualną własność jej autora. Dlatego jej treść podlega tym samym prawom intelektualnej własności jak każde inne opracowanie naukowe. Szczególnie jej autor zastrzega dla siebie intelektualną własność odkryć naukowych i wynalazków opisanych na tej stronie. Dlatego zastrzega sobie, aby podczas powtarzania w innych opracowaniach jakiegokolwiek idei zaprezentowanej na niniejszej stronie (tj. jakiegokolwiek teorii, zasady, dedukcji, interpretacji, urządzenia, dowodu, itp.), powtarzająca osoba oddała pełny kredyt autorowi tej strony, poprzez wyraźne wyjaśnienie iż autorem danej idei jest Dr Jan Pajak, poprzez wskazanie internetowego adresu niniejszej strony pod którym idea ta i strona oryginalnie były opublikowane, oraz poprzez podanie daty najnowszego aktualizowania tej strony (tj. daty wskazywanej poniżej).

Przykładem dosyć unikalnych odkryć naukowych które autor opisuje na tej stronie, a stąd w stosunku do których zastrzega dla siebie własność intelektualną, są odkrycia opisane w "części #F" tej strony. Wszakże zrozumienie, zaakceptowanie, oraz naukowe wyjaśnianie opisanych tam cech polskich węży (oraz innych stworzeń) stało się możliwe dopiero po sformułowaniu naukowej teorii wszystkiego zwanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji. Bez znajomości i uznania dla tej teorii, nawet jeśli któryś z naukowców zetknął się np. z raportami o nadprzyrodzonej zdolności hipnotycznej polskiego zaskońca - opisywanej powyżej w "części #F" (która to zdolność jest dobrze znana w staropolskim folklorze ludowym), ciągle zapewne traktował te raporty jako przejawy wybujałej wyobraźni dawnych ziemian. To wyjaśnia dlaczego o owych zdolnościach nie wspominało dotychczas praktycznie żadne opracowanie naukowe, zaś autor tej strony jest faktycznie pierwszym naukowcem który je opisuje i wyjaśnia ich mechanizm.

If you prefer to read in English
click on the flag
(Jeśli preferujesz język angielski
kliknij na poniższą flagę)

Data założenia niniejszej strony: 25 listopada 2009 roku.

Data najnowszego jej aktualizowania: 12 kwietnia 2011 roku.

(Sprawdź pod adresami z "Menu 3" czy już istnieje nawet nowsza aktualizacja!)

Podrozdział B3:

Wszewilki naszego jutra - czyli poprzez marzenia ku lepszej rzeczywistości

Istnieje jedno miejsce na świecie, w którym marzenia się wypełniają. Miejscem tym jest niezwykła wieś Wszewilki (opisana dokładniej na odrębnej stronie). Ja osobiście wierzę, że powodem dla którego marzenia się tam wypełniają, jest że podczas pobytu we Wszewilkach doświadcza się tam "dotyku nadprzyrodzonego". Oczywiście, sceptycy powód ten zapewne wytłumaczyliby odmiennie. Przykładowo, że z powodu twardej rzeczywistości życia, a także z uwagi na bliskość do natury, we Wszewilkach marzenia zawsze są realistyczne i zawsze twardo stoją one na ziemi. Z kolei ludzie wyrośli w ciężkich realiach owej wioski wbudowali w swój charakter umiejętność urzeczywistniania własnych marzeń. Jak by się powodem owego nie tłumaczyło, faktem jest że najważniejsze marzenia z Wszewilek zawsze się wypełniają. Dlatego za pośrednictwem tej strony chciałbym ujawnić co mi osobiście się marzy dla samych Wszewilek. Znaczący, jak w moich marzeniach wygląda przyszłość owej wioski. Przyszłość ta wysyntezowała się bowiem wyraźnie w moim umyśle z owych licznych podróży po świecie jakie bez przerwy odbywam, oraz jakie pozwoliły mi odnotować to co w życiu jest najważniejsze. Pisząc tą stronę wierzę również, że poprzez ujawnienie tych swoich marzeń spowoduję iż w przyszłości przynajmniej ich część zdoła także kiedyś się wypełnić - co zresztą potwierdza moja "podróż do przyszłości" opisana w punkcie #J3 tej strony. Ponadto wierzę, że poprzez wyjaśnienie tutaj jak mogłaby wyglądać przyszłość Wszewilek, stworzę mieszkańcom tej wioski jakiś dalekosiężny cel, ku osiągnięciu którego mogą teraz zacząć systematycznie zdążać i pracować.

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Dlaczego warto pomarzyć o lepszym jutrze dla Wszewilek:

Niektórzy mawiają, że kiedy ktoś osiąga sukces życiowy, inspiracją i siłą motoryczną dla działania zawsze najpierw były jego marzenia. Wszakże zanim zaczniemy do czegoś zdążać, najpierw musimy stworzyć sobie w umyśle obraz tego co zamierzamy. Na dodatek, we Wszewilkach marzenia zawsze się wypełniają. Warto więc abyśmy wspólnie pomarzyli teraz o szczęśliwszym jutrze dla tej wioski. W ten sposób z jednej strony wyzwolimy nadprzyrodzone moce które urzeczywistniają marzenia podjęte we Wszewilkach. Z drugiej zaś strony, poprzez ustanowienie sobie wyraźnego celu w jakim warto zdążać oraz obrazu tego co chcemy osiągnąć, wszyscy zaczniemy teraz podświadomie zmierzać do ich urzeczywistnienia.

#A2. Aby się rozwijać trzeba mieć wizję na przyszłość (czyli marzenie) - ta strona jest właśnie taką wizją dla Wszewilek, Milicza, Sławoszewic, oraz innych okolicznych miejscowości:

Ludzie którzy nie mają wizji na swoją przyszłość, a także instytucje bez wizji, po prostu żyją z dnia na dzień. Jako więc tacy, po prostu się kurczą. Aby móc się rozwijać, trzeba mieć wizję. Ta strona jest więc rodzajem wizji dla Wszewilek oraz dla innych miejscowości z okolic Milicza.

#A3. Symbolika tej strony - jej opublikowanie z okazji spełnienia się kolejnego mojego dziecięcego marzenia z Wszewilek - tj. zasłużenia na uzyskanie pełnej profesury uniwersyteckiej:

Motto: "Raz profesor, zawsze profesor."

Niniejszą stronę opublikowałem w marcu 2007 roku z bardzo dla mnie ważnej okazji. Mianowicie, w owym roku wypełniło się kolejne z moich dziecięcych marzeń zaistniałych we Wszewilkach jeszcze w czasach swego dzieciństwa. Po raz pierwszy w życiu zostałem wówczas pełnym profesorem na renomowanym uniwersytecie.

Po więcej informacji na temat owej mojej profesury - patrz punkt #K3 przy końcu niniejszej strony.

#A4. Wypełnienie się każdego marzenia wymaga spełnienia wielu warunków - między innymi obejmujących pokonanie całego szeregu przeszkód:

Żadne marzenia NIE wypełniają się same. To my ludzie je wypełniamy. Abyśmy jednak mogli je wypełnić, typowo musimy pokonać wiele przeszkód stojących na swej drodze. Przeszkody te są zaś nam stwarzane dla istotnych powodów.

Po więcej informacji na temat powodów zaistnienia przeszkód i naszego ich pokonywania zawiera punkt #K4 przy końcu niniejszej strony.

#A5. Jaki jest cel tej strony o marzeniach na temat przyszłości Wszewilek oraz przyszłości pobliskich Sławoszewic i Milicza:

Cel tej strony jest bardzo prosty. Mianowicie za jej pośrednictwem chciałbym ujawnić czytelnikowi (1) o czym warto marzyć dla Wszewilek - czyli co we Wszewilkach oraz okolicznych miejscowościach jest warte osiągnięcia, (2) co by się stało gdyby mieszkańcy Wszewilek oraz okolicznych miejscowości wspólnym wysiłkiem zdołali zrealizować te marzenia, oraz (3) jak z grubsza należałoby się zabrać za realizowanie tych marzeń. W ten sposób niniejsza strona wskazuje cele działań, jakich osiągnięcie jest możliwe - jeśli tylko mieszkańcy Wszewilek i okolicznych miejscowości włożą w nie odrobinę serca i determinacji. Oczywiście, poza nimi samymi nikt inny dla nich owych celów nie zrealizuje. Z kolei jeśli faktycznie zdołają się zmobilizować do osiągnięcia tychże celów, wówczas czekają ich określone nagrody moralne, w rodzaju zamożnego i szczęśliwego życia, uznania i poważania innych, sławy, autorytetu, itp.

Wszystko w sprawie Wszewilek rozwija się obecnie w sposób publiczny. Wioska ta jest obecnie wszakże dyskretnie obserwowana i analizowana praktycznie przez cały świat. Przykładowo, kiedy w 2006 roku w wyborach samorządowych Gminy w Miliczu jacyś UFO-nauci-podmieńcy "podłożyli świnię" kandydatowi reprezentującemu interesy Wszewilek, wówczas sprawa owej machlojki wyborczej dyskutowana była po cichu nie tylko w całej Polsce, ale praktycznie i na całym świecie. Czytelnik ma więc szansę osobistego sprawdzania co jakiś czas jak sprawy owej wsi tam postępują do przodu. Wszewilki zaczynają też gromadzić, a nawet już posiadają, dobrą dokumentację fotograficzną dostępną za pośrednictwem internetu. Jeśli więc mieszkańcy Wszewilek i okolicznych miejscowości zdecydują się podjąć realizację wskazywanych tutaj celów, wówczas będzie istniała wizualna kronika stopniowych transformacji jakim poddawane są owe miejscowości.

Aczkolwiek z przyczyn sentymentalnych wieś Wszewilki jest centralną miejscowością której dedykuję opis zaprezentowanych tutaj marzeń o przyszłości, faktycznie wszystko co tutaj opisuję bezpośrednio dotyczy aż kilku miejscowości. Wszakże w przypadku osiągnięcia celów jakie tu wyjaśniam, korzyści odniosą zarówno miasto Milicz, jak wsi Sławoszewice i Wszewilki, a także cały szereg miejscowości je otaczających, takich jak Stawiec, Pomorsko, Godnowo, Duchowo, Karłowo, itp. Stąd chociaż to co tutaj opisuję z przyczyn sentymentalnych nazywam marzeniami dla wsi Wszewilki, faktycznie są to marzenia dla całego tamtego regionu i dla wszystkich zamieszkujących ów region ludzi.

Część #B: Dostęp i obieg są kluczami do zasobności i szczęścia - wepnijmy więc Wszewilki i Milicz w drogowy obwód zamknięty oraz połączmy je razem okrężnym autobusem miejskim "8" (tj. "ósemka" lub "orbiter"):

Tak! Chodzi tutaj o odbudowanie owego brakującego odcinka dawnego "Bursztynowego Szlaku" który aż do czasu budowy kolei żelaznej istniał pomiędzy Wszewilkami i Sławoszewicami. Z chwilą zaś kiedy ów odcinek drogi domykający obieg

energii "chi" będzie gotowy - przyjdzie czas na puszczenie milickiego autobusu miejskiego po owym odbudowanym odcinku historycznej drogi. Autobus ten bez przerwy podążałby po trasie okrężnej, podobnej do trasy tramwaju "zerówka" z miasta Wrocławia. W ten sposób uformowałby on obieg energii "chi" po obwodzie zamkniętym. To zaś, zgodnie z regułami "Feng Shui" spowodowałoby wyłapanie i zatrzymanie przy Miliczu, Wszewilkach, oraz Sławoszewicach, zamożności i szczęścia które dotychczas ulatniały się z owych miejscowości.

#B1. Dlaczego zgodnie z chińskim "Feng Shui", dla zaktywizowania Wszewilek i Milicza konieczna jest obwodnica powielająca historyczny "Bursztynowy Szlak", oraz okrężny autobus miejski "8" (tj. "ósemka" lub "orbiter") podążający po owej obwodnicy:

Motto: "Wszelkie moce natury służą ludziom tylko jeśli ci zdołają jakoś je przechwycić i skierować na cyrkulowanie po obwodzie zamkniętym. Na tej zasadzie działa elektryczność, radio, telewizja, silnik spalinowy, ogniwo telekinetyczne, lokomotywa, magnokraft, a nawet amerykański prom kosmiczny. Zgodnie ze starożytnym chińskim Feng Shui na tej zasadzie działa również zamożność, wzrost, szczęście osobiste, itp."

Ciekawe czy czytelnik słyszał kiedyś o chińskim "Feng Shui". Nazwą ową opatrzona jest bowiem sekretna wiedza Chińczyków mająca swe korzenie w starożytności. Feng Shui wyjaśnia jakie fizyczne warunki muszą zostać spełnione, aby dane przedsięwzięcie ludzkie odniosło sukces. Na przekór więc, że wiedzy tej wcale NIE uczą na jakimkolwiek oficjalnym uniwersytecie, w dzisiejszych czasach Chińczycy praktycznie nie podejmują żadnego działania bez uprzedniego skonsultowania swoich zamierzeń z kanonami owej wiedzy. Począwszy więc od umeblowania i konfiguracji swego mieszkania, poprzez zlokalizowanie domu, a kończąc na ustawieniu biurka w miejscu pracy oraz na zlokalizowaniu i konfiguracji samego przedsiębiorstwa, u Chińczyków wszystko to musi spełniać wymogi "Feng Shui". W przypadku niewielkiej istotności danej sprawy, realizowana jest ona przez Chińczyków w zgodzie z ich osobistą znajomością kanonów "Feng Shui". Jednak dla co bardziej istotnych przedsięwzięć, wszystko jest wręcz urzeczywistniane dopiero po uprzednim skonsultowaniu jakiegoś znanego "mistrza Feng Shui". Ja przez długi czas mieszkałem wśród Chińczyków. Wśród grona moich bliskich przyjaciół znajduje się także kilku mistrzów Feng Shui. Miałem więc sporo okazji aby poznać podstawowe kanony owej tajemniczej wiedzy. Po bliższym poznaniu okazuje się, że dawna wiedza o Feng Shui jest dosyć klarowna i logiczna. Bazuje ona bowiem na obiegach nieznanymi oficjalnej nauce ludzkiej rodzajów energii, które Chińczycy nazywają ogólną nazwą "chi". Owe energie "chi" zachowują się przy tym jak wszystkie inne rodzaje energii. Tyle tylko że są one inteligentne, oraz że przenoszą sobą najróżniejsze pozamaterialne wartości, takie jak powodzenie, szczęście, sukces, moc, wytrwałość, zdrowie, itp. Jedyny problem z ową energią "chi", że faktycznie wcale nie jest to jednorodny rodzaj energii, takiej jak np. znana nauce energia elektryczna czy energia fal głosowych. Faktycznie bowiem "chi" jest mieszaniną całego szeregu energii, część z których ma korzystny wpływ, część zaś niekorzystny. Każda też konfiguracja powoduje nieco różniące się zachowania każdej z owych odmiennych składowych energii "chi".

Domyślam się że w Polsce niewielu ludzi wierzy owej starożytnej wiedzy Chińczyków zwanej "Feng Shui". Tym jednak czytelnikom którzy nie wierzą w owe "Feng Shui" chciałbym tutaj uświadomić, że przykładowo dwa stare polskie miasta i jedna prastara wieś, których konfigurację osobiście badałem i o których wiadomo że w przeszłości osiągnęły one znaczny sukces i zamożność, faktycznie budowane były zgodnie z zasadami Feng Shui. Miastami tymi był dawny Malbork oraz dawny Milicz, zaś wsią tą były dawne Wszewilki i dzisiejszy Stawczyk (które obie, aż do 1875 roku były jedną wsią). Co jeszcze ciekawsze, znaczenie i zamożność owych miast i wsi upadły z chwilą kiedy przez jakieś historyczne zdarzenia zburzona w nich została owa gwarantująca sukces konfiguracja zgodna ze wskazaniem Feng Shui. Przykładowo, w odniesieniu do miasta Milicza i wsi Wszewilki początkiem upadku ich roli i zamożności było zbudowanie linii kolejowej w 1875 roku. Linia ta bowiem jak ostrze stalowego noża przecięła i wykrwawiła poprzednie przebiegi arterii które zabezpieczały korzystne obiegi energii "chi".

Wracając jednak do obiegów energii "chi" oraz do ich zgodnymi z zasadami Feng Shui, to w chwili obecnej zarówno wieś Wszewilki i wieś Sławoszewice, jak i pobliskie miasto Milicz, wszystkie one leżą "przy przelotowych drogach". Znaczący, są one tak zlokalizowane, że jeśli ktoś do nich zagląda, czyni to tylko jakby "po drodze" - kiedy faktycznie zdąża zupełnie gdzie indziej. Faktycznie więc, zgodnie ze stwierdzeniami starożytnej chińskiej wiedzy "Feng Shui", szczęście i zasobność przepływają przez Wszewilki, Sławoszewice i Milicz, jednak nigdy nie zatrzymują się tam na stałe. Sytuację tą trzeba więc zmienić. Aby zaś ją zmienić trzeba jakoś uformować zamkniętą cyrkulację energii "chi". Ani wieś Wszewilki czy Sławoszewice, ani też miasto Milicz, same takie zamkniętej cyrkulacji energii "chi" nie są w stanie osiągnąć. Jednak jeśli te miejscowości połączą swoje wysiłki, wówczas razem stworzą taką zamkniętą cyrkulację dla energii "chi". Wystarczy bowiem, aby w tym celu miejscowości te zbudowały razem krótki odcinek drogi bitej pomiędzy Wszewilkami i Sławoszewicami. Droga ta odtwarzałaby przebiegający kiedyś pomiędzy owymi miejscowościami odcinek tzw. "Bursztynowego Szlaku". Z kolei ukończenie owej drogi, w połączeniu z drogami które już obecnie tam istnieją, stworzyłoby rodzaj zamkniętej obwodnicy. Obwodnica ta wiodłaby z Milicza do Wszewilek, potem z Wszewilek do Sławoszewic - wzdłuż owego nowo odbudowanego odcinka starego "Bursztynowego Szlaku", w końcu ze Sławoszewic ponownie do Milicza. Kiedy zaś po obwodnicy tej puściłoby się okrężny autobus miejski "8" (tj. "ósemka", który można też przyszłościowo nazwać "orbiter"), ludzie którzy zaczęliby używać owego autobusu wymusiliby okrężne cyrkulowanie energii "chi" po tymże obwodzie zamkniętym. Z kolei owo zamknięte cyrkulowanie energii "chi" zaczęłoby przechwytywać szczęście i zasobność które dotychczas jedynie przepływały przez owe miejscowości, oraz spowodowałoby że te poszukiwane jakości życiowe ponownie zadomowiłyby się na stałe we Wszewilkach, Sławoszewicach i Miliczu.

Odnotuj że ów autobus "8" (tj. "ósemka" albo "orbiter") byłby milickim odpowiednikiem dla wrocławskiego tramwaju "0" (tj. "zerówka"). Jego numer, podobnie jak numer "zerówki", też implikowałby krążenie po obwodzie zamkniętym. W przeciwieństwie jednak do cyfry 0, numerologicznie cyfra 8 posiada znacznie korzystniejszą symbolikę. Osiem oznacza bowiem m.in. "zasobność", "sławę", "ruch napędowy" i "nieskończoność". Dlatego z powodów symbolicznych autobus ten należałoby nazwać właśnie "8" (tj. "ósemką" albo "orbiterem") - nawet jeśli Milicz będzie miał tylko tą jedną linię autobusów miejskich.

W tym miejscu warto sobie przypomnieć, że opisywana tutaj droga okrężna historycznie już istniała. Została ona zniszczona dopiero w czasie budowy psującej wszystko kolei żelaznej przez Milicz. Jej fragmenty opisane są na stronach o Wszewilkach oraz o zwiedzaniu Wszewilek i Milicza. Co jednak jest tu najbardziej intrygujące, to że aż do chwili zniszczenia opisywanej tutaj historycznej drogi okrężnej wokół Milicza, Wszewilek i Sławoszewic, wszystkie te miejscowości cieszyły się znaczeniem, autorytetem, zamożnością, oraz szczęściem ich mieszkańców. Z kolei po zniszczeniu owej drogi okrężnej, oraz po upadku mostu na Baryczy (tego przy starym młynie wodnym w pobliżu dzisiejszej tamy), zamożność, stabilność i szczęście nagle opuściły te miejscowości. Czas więc aby przywrócić ową drogę, przywrócić jej częste użytkowanie przez ludzi, a tym samym przywrócić zamożność, stabilność i szczęście do Milicza, Wszewilek i Sławoszewic.

Powyższa rekomendacja budowy drogi okrężnej zainspirowana została moją znajomością Feng Shui, nabytą w licznych podróżach po świecie. To właśnie Feng Shui stwierdza bowiem, że Milicz, Wszewilki i Sławoszewice powinny stworzyć razem okrężną drogę bitą, oraz uruchomić po tej drodze okrężną linię autobusów miejskich "8" (tj. "ósemka") - typu wrocławska "0" (tj. "zerówka"). Jednak po tym jak owo inspirujące działanie Feng Shui wskazało już co należy uczynić aby przywrócić zamożność do owych miejscowości, można teraz zapytać naszą logikę oraz znajomość ekonomii, aby wy badać czy wskazania te są poprawne. Jak też się okazuje, logika i zwykła ekonomia potwierdzają, że to co Feng Shui zaleciło, faktycznie wniesie wymagane ożywienie i sukces. Owe analizy logiczne tego samego przedsięwzięcia (tj. budowy drogi i powołania autobusu miejskiego) przytoczę w dalszych punktach tej strony. Tak nawiasem mówiąc, nawet jeśli się zapomni,

że to właśnie z owej wiedzy Feng Shui wywodzi się zamożność i powodzenie Chińczyków trwające już tysiące lat, ciągle zwykła analiza logiczna omawianej tu drogi okrężnej i linii autobusowej potwierdza, że bezsprzecznie wniosą one poważne ożywienie gospodarcze oraz zamożność do przylegających do nich miejscowości.

#B2. Jak i dlaczego Wszewilki, Stawczyk i Milicz skorzystają z okrężnego autobusu miejskiego "8" (tj. "ósemka"):

Oczywiście, nawet jeśli pominiemy nadprzyrodzone i tajemnicze działanie chińskiego "Feng Shui", ciągle zapieczętowanego odcinka okrężnej drogi wokół Milicza, oraz puszczenie autobusu miejskiego przez tę drogę, musi spowodować raptowne ożywienie gospodarcze wszystkich miejscowości przez które owa obwodnica i miejska linia autobusowa będą wiodły. Wszakże zgodnie z dzisiejszą znajomością ekonomii, takie otwarcie okrężnej trasy komunikacji miejskiej otworzy opłacalność dla wymiany dóbr i robocizny pomiędzy wszystkimi tymi miejscowościami. Po trasie tej do Milicza zaczną napływać produkty rolne z Wszewilek, Stawczyka i Sławoszewic. Z kolei robocizna i ekspertyza zaczną napływać do Stawczyka, Wszewilek i Sławoszewic z owego Milicza. W rezultacie nagle zaczną się dziać coś czego te miejscowości nie przeżywały już od czasów zamknięcia "Bursztynowego Szlaku". Na dodatek, z ożywienia będą korzystały wszystkie miejscowości pobliskie do tychże trzech, a więc Stawiec, Pomorsko, Godnowo, Duchowo, Karłowo, itp.

#B3. Jaka byłaby przyszła trasa okrężnego autobusu "8" (tj. "ósemka"):

Milicki autobus miejski okrężnej linii "8" (tj. "ósemka") powinien posiadać przystanki przy każdym miejscu w jakim istnieje najwyższe prawdopodobieństwo gromadzenia się potencjalnych pasażerów. Przykładowo w samych Wszewilkach powinien on mieć przystanki zaraz na wlocie do Wszewilek (czyli przy skrzyżowaniu z ul. Krotoszyńską), w okolicach "ogrodu krasnoludków" - tak aby mogli z niego korzystać również mieszkańcy przyszosowej części Stawca, koło wszewilkowskiej (dawnej) szkoły, przy młynie elektrycznym, w centrum zatorowego Stawczyka, przy boisku sportowym, oraz przy tamie na Baryczy. Z kolei w Sławoszewicach powinien on zatrzymywać się przy skrzyżowaniu historycznej drogi z Wszewilek do Duchowa z główną ulicą Sławoszewic, oraz przy dworcu kolejowym. W końcu w Miliczu powinien mieć cały szereg przystanków, włączając w to obecne targowisko warzywne (dawne Łazienki), Szkoła Nr 1, Liceum Ogólnokształcące, dworzec autobusowy, rynek, a także początek ul. Krotoszyńskiej. Takie rozłożenie przystanków, w połączeniu z możliwie najniższą ceną biletów, gwarantowałoby popularność i powodzenie tego autobusu oraz usług jakie by on dostarczał ludności.

#B4. Budowa prostej drogi bitej ze Stawczyka do Sławoszewic oraz mostu wysokowodnego przez Barycz - czyli roboty publiczne które muszą zostać wykonane aby urzeczywistnić ideę okrężnego autobusu "8" (tj. "ósemka") i ekonomicznie zaktywizować przy pomocy tego autobusu obszar Milicza, Wszewilek, Stawczyka i Sławoszewic:

Motto: "Niewiele dróg w Polsce odtwarza dawny przebieg tzw. 'Bursztynowego Szlaku'. Jeszcze mniej dróg zaprojektował profesor znanego Uniwersytetu z odwrotnej półkuli świata. Tymczasem proponowana tu droga z Wszewilek do Sławoszewic spełnia oba te warunki. Już choćby tylko dlatego jest ona warta aby ją zbudowano!"

Aby jednak urzeczywistnić taki autobus miejski "8" (tj. "ósemka"), konieczne jest wybudowanie odcinka zupełnie nowej drogi która zastępowałaby sobą obecnie już całkowicie zniszczony odcinek starego "Bursztynowego Szlaku" jaki kiedyś istniał pomiędzy obecnymi Wszewilkami-Stawczykiem, a obecnymi Sławoszewicami. Oczywiście, ów oryginalny historyczny odcinek "Bursztynowego Szlaku" wił się zygzakami przez obszary które obecnie stały się już bezdrożami. Przykładowo, przebiegał on przez obszar przy tamie na Baryczy który obecnie zalany jest już stawem. Poza Baryczą wił się też pomiędzy stojącymi tam kiedyś śpichlerzami oraz okrągłymi stawkami do parkowania barek kursujących po milickiej Młynówce. Dlatego moim zdaniem, w chwili podjęcia budowy owego brakującego odcinka drogi, trzeba drogę tą wytyczyć od nowa. Ja proponowałbym

aby przeprowadzić ją możliwie najprościej jak na to pozwoli jej komunikacyjne znaczenie, znaczy eliminując jej większość jej pradawnych zygzaków. Takie wyprostowanie nadałoby jej również symboliczną wymowę jako metamorfozy dla rodzącego się właśnie Stawczyka przyszłości. Niestety, w miejscu gdzie ta nowo-budowana droga przecinałaby rzekę Barycz, konieczne byłoby albo zbudowanie nowego mostu wysokowodnego, albo też adaptowanie dla ruchu drogowego już istniejącego mostu na Baryczy - tak jak to pokazuje poniższa "Fot. #B4".

Fot. #B4 (U2 z [10]): Zdjęcie jednego z kilku mostów w Nowej Zelandii, które służą jednocześnie jako most drogowy dla samochodów oraz jako most kolejowy dla pociągów. Odnotuj na owym zdjęciu ciągle błyszczące (z powodu częstego używania) szyny linii kolejowej przebiegającej przez ów most. Ciekawostką takich mostów w Nowej Zelandii jest że nie ma przy nich nawet zwykłych szlabanów czy świateł które ostrzegałyby nadjeżdżające samochody że kolejny pociąg właśnie zbliża się do tego mostu. Mimo to, na mostach tych niemal że nie ma wypadków ani zderzeń pomiędzy pociągami i samochodami. Kierowcy po prostu wykazują na nich wymagany respekt dla pociągów i przejeżdżają przez nie szczególnie ostrożnie. (Kliknij na powyższe zdjęcie aby sobie je powiększyć.)

Gdyby odrestaurowywany odcinek "bursztynowego szlaku" wiodący ze Stawczyka do Sławoszewic przeprowadzić wzdłuż torów kolejowych, wówczas tanim nakładem kosztów (na zasadzie podobnej do powyższej) możnaby wykorzystać dla ruchu drogowego już istniejące mosty kolejowe przez rzekę Barycz i przez Młynówkę. W takim przypadku ów odrestaurowywany odcinek "bursztynowego szlaku" dałoby się zbudować tanim kosztem nawet w "czynie społecznym" mieszkańców Stawczyka, Wszewilek, Sławoszewic i Milicza. Wszakże niemal wszystko co potrzebne do budowy takiej drogi jest już gotowe na miejscu. Znaczący, są już gotowe mosty. Jest też dostępny niewykorzystywany pas wolnej ziemi wiodącej wzdłuż już istniejących torów kolejowych. Na dodatek, w dzisiejszych czasach prawdopodobnie owe tory kolejowe są używane tylko z raz na dzień. Bez kłopotów możnaby więc przez mosty kolejowe zacząć puszczać również ruch drogowy.

* * *

Fot. #B5: (Kliknij na pokazany tu zielony guzik linku do aby wywołać, powiększyć i oglądać niniejszą ilustrację. Po instrukcję powiększania i przemieszczania ilustracji - kliknij na guzik .)

Zdjęcie z ilustracji "Fot. #B5" pokazuje wygląd jeszcze jednego mostu Nowej Zelandii, który służy zarówno jako most drogowy dla transportu samochodowego, jak i most dla kolei żelaznej. Też odnotuj na owym zdjęciu ciągle błyszczące z powodu częstego używania szyny linii kolejowej przebiegającej przez ów most.

#B5. Jak praktycznie zrealizować budowę opisywanej tu taniej drogi bitej ze Stawczyka do Sławoszewic, przy dzisiejszym chronicznym braku funduszy:

Motto: "Bóg pomaga tym co pomagają sobie sami."

Osobiście bez przerwy w życiu się przekonuję, że każda korzystna dla ludzi idea zawsze napotyka zaciekle opór reprezentantów tzw. mrocznych mocy. Ów opór przeciwników postępu nazwałem nawet "przekleństwem wynalazców" i opisałem go aż na kilku totalizacyjnych stronach. (Po przykład jego opisu - patrz punkt #F1 ze strony o nazwie morals_pl.htm, punkt #H1.5 ze strony o nazwie newzealand_visit_pl.htm, punkt #G1 na stronie eco_cars_pl.htm, czy punkt #F1 na stronie rok.htm.) Dlatego kiedy racjonalnie myślący mieszkańcy Milicza, Wszewilek, Stawczyka i Sławoszewic, dostrzegą korzyści z proponowanej tu budowy drogi i postanowią drogę tą urzeczywistnić, wówczas otworzy się prawdziwe piekło. Dla znanych powodów natychmiast wtedy się zapewne okaże, że nie ma pieniędzy na taką budowę, a także że sporo wysoko postawionych dygnitarzy będzie przeciwnym jej zrealizowaniu.

Na szczęście życie nas naucza że przeciwnościami wcale nie trzeba się zrażać. Wszakże zawsze się one pojawiają, bez względu na to co nowego chciałoby się uczynić. Aby

więc jakoś obejść naokoło problem z funduszami, proponuję aby drogę wstępnie zbudować w tzw. "czynnie społecznym". W takim bowiem przypadku przestanie przeszkadzać największa "kłoda" jaką owe mroczne moce rzucą zapewne pod nogi temu projektowi, znaczy wymówka władz że "brak jest funduszy".

Aby zbudować omawianą drogę w tzw. "czynnie społecznym" istnieją aż dwie możliwości. Mianowicie najkorzystniejszy przebieg drogi dałoby się uzyskać gdyby zaprosić oddział saperów z najbliższej do Milicza jednostki wojsk inżynieryjnych, oraz podjąc z nimi umowę ze ową drogę, a także most wysokowodny przez Barycz, dopomogą oni zbudować miejscowym ludziom w ramach swoich ćwiczeń i treningu. Wszakże saperzy mają zarówno wymagany sprzęt, jak i potrzebną ekspertyzę. Na dodatek, z czasów kiedy ja sam byłem saperem, doskonale do dzisiaj pamiętam, że najbardziej wnerwiało nas wówczas kiedy trenowaliśmy budowanie mostów i dróg, zaś natychmiast po ich zbudowaniu musieliśmy je z powrotem rozbierać. Głośno marzyliśmy wówczas, oraz dawaliśmy to znać naszym dowódcom, że preferowalibyśmy budowanie które będzie służyło dobru jakichś ludzi. Apelowaliśmy nawet do nich, aby dla następnej treningowej budowy znaleźli jakąś wioskę która faktycznie potrzebuje mostu i drogi, oraz abyśmy swój trening realizowali właśnie dla dobra takiej wioski. Oto więc jest okazja, aby dopomóc młodym saperom urzeczywistnienia takich właśnie życzeń, oraz pozwolić im praktykować budowanie mostu i drogi na przykładzie opisywanego tutaj brakującego odcinka obwodnicy odtwarzającej przebieg dawnego "bursztynowego szlaku".

Oczywiście, jest też możliwe że owe siły wsteczności ponownie zwyciężą i uniemożliwią zaangażowanie saperów w budowę omawianej tutaj drogi z Wszewilek i Stawczyka poprzez Sławoszewice, do Milicza i z powrotem. W takim przypadku omawiana tu droga i most powinni być zbudowane w czynnie społecznym przez samych mieszkańców Milicza, Wszewilek, Stawczyka oraz Sławoszewic. Wszakże wszyscy owi mieszkańcy będą z nich potem korzystali. Mogą więc zakasać rękawy i ją sobie zbudować. Przecież wszystko co potrzebne jest już na miejscu - tak jak to ilustruje "Fot. #B4" powyżej. Jedyne co jeszcze trzeba dodać, do trochę robót ziemnych i nawierzchniowych.

Prawdopodobnie dla zainspirowania współzawodnictwa dobrze byłoby podzielić zadania podczas owej budowy - jeśli całość jej spadnie na barki mieszkańców Milicza, Wszewilek, Stawczyka i Sławoszewic. Faktycznie też, jeśli dobrze się zastanowić, to takiego sprawiedliwego podziału dokonała już sama natura (czyli Bóg). I tak, sam most przez Barycz i Młynówkę, oraz 125 metrowe przyczółki drogowe po obu stronach mostów razem ze zlokalizowanymi tam skrzyżowaniami, szablonami, oraz światłami ostrzegawczymi, budowałiby mieszkańcy Milicza. Wszakże przebudowa mostu i przyczółków wymaga najwyższych umiejętności, ekspertyzy, oraz sprzętu. Milicz zaś nimi dysponuje. Odcinek drogi od szosy przez Stawczyk aż do prawego (północnego) przyczółka mostowego budowałiby mieszkańcy Wszewilek i Stawczyka. Z kolei odcinek drogi od lewego (południowego) przyczółka mostowego aż do skrzyżowania z główną szosą przez Sławoszewice, włączając w to krótki łącznik pomiędzy mostami przez Barycz i Młynówkę, budowałiby mieszkańcy Sławoszewic. Oba owe odcinki są wszakże mniej więcej proporcjonalne do liczby mieszkańców i do możliwości technicznych tych wiosek.

Jeśli droga ta będzie budowana w "czynnie społecznym" - znaczy bez odgórnego dofinansowania, wówczas w pierwszym wydaniu wcale nie musi być doskonała. Znaczący wcale nie musi być pokryta asfaltem i mieć wszelkie udogodnienia czy chodniki. Wystarczy aby była twarda, równa i dobrze wyźwirowana, tak aby autobus mógł po niej bez trudu się poruszać. Taką zaś drogę albo zaproszeni saperzy, albo też sami mieszkańcy Milicza, Wszewilek, Stawczyka oraz Sławoszewic, są bez trudu w stanie początkowo zbudować. Po tym zaś jak droga ta zacznie okazywać się wysoce użyteczna, stopniowo będzie można poprawiać jej jakość i stan nawierzchni.

#B6. Dlaczego droga i most będą początkiem odnowy - zaś po ich zbudowaniu zaczną się wyraźne zmiany w życiu mieszkańców Milicza, Wszewilek, Stawczyka, Sławoszewic, oraz innych okolicznych miejscowości:

Z chwilą kiedy opisywana tutaj droga zostanie urzeczywistniona, zaś pierwsze

autobusy miejskie miasta Milicza zaczną po nie odbywać swoje regularne kursy, nagle się okaże że owo przedsięwzięcie zapoczątkowało odnowę owych miejscowości równocześnie następującą aż na całym szeregu frontów. Powody owej wielofrontowej odnowy będą jak następuje:

(1) Stworzenie ową drogą i autobusem tzw. "infrastruktury" która będzie napędzała ożywienie gospodarcze tego obszaru. Łatwość dostępu i dobry transport są pierwotnymi wymogami każdego ożywienia. Kiedy więc te zostaną zrealizowane w opisywanych tu miejscowościach, ożywienie gospodarcze tego regionu będzie już tylko ich naturalną konsekwencją.

(2) Naoczne przekonanie miejscowych ludzi, że marzenia są po to aby je urzeczywistnić. To zaś spowoduje, że wielu ludzi zacznie urzeczywistniać tam własne marzenia, dla których przedtem nie mieli albo odwagi, albo też inspiracji aby wdrażać je w życie.

(3) Poznanie mocy zbiorowego wysiłku. W dzisiejszych czasach czcicieli telewizji i zjadaczy kanapek, ludzie zapomnieli jak potężną siłę stanowią jeśli zdołają się zdobyć na zbiorowy wysiłek. Omawiany tu projekt im to przypomni. Z kolei po poznaniu swej mocy, ludzie ci zaczną wdrażać cały szereg innych korzystnych dla siebie zamierzeń i reform.

(4) Uzyskanie celu dla działań i życia. Wszakże po sukcesie z tym projektem, możliwe się stanie postawienie sobie jeszcze ambitniejszych projektów, oraz późniejsze ich zrealizowanie z sukcesem. To zaś z czasem zupełnie przetransformują dzisiejszy obszar tych miejscowości.

(5) Otwarcie nowych terenów w okolicach Milicza pod zabudowę i pod intensywne zagospodarowanie. Faktycznie bowiem taka droga, jak i komunikacja miejska jaką droga ta otworzy, stworzą korzystną "infrastrukturę" jaka jest początkiem i zachętą dla inwestycji. Z kolei jeśli owa infrastruktura będzie już na miejscu, wówczas z całą pewnością znajdą się inwestorzy którzy zaczną tworzyć przemysł - a w ten sposób nowe miejsca pracy, którzy zainwestują w nowe osiedla mieszkalne, hotele, sklepy, itp.

(6) Ustanowienie powodu dla upiększania i odmłodzenia Wszewilek - czyli do poprawy wyglądu owej wioski. Z kolei po poprawie jej wyglądu ludzie zaczną w tam żyć w zgodzie z tym nowym wyglądem.

(7) Ujawnienie że Feng Shui faktycznie działa i faktycznie wprowadza odnotowalne zmiany do świata fizycznego. O tym że "Feng Shui" działa wie już każdy Chińczyk. Faktycznie to na obszarach zdominowanych przez Chińczyków każdy nowy bank, fabryka, czy budynek mieszkalny stawiane są obecnie w zgodzie ze stwierdzeniami mistrzów Feng Shui. To właśnie z tego powodu ekonomia Chińczyków tak ostatnio kwitnie. Czas więc aby również Polacy dowiedzieli się o korzyściach jakie zastosowanie Feng Shui jest wstanie im zabezpieczyć.

(8) Pokazanie reszcie świata, że Milicz, Wszewilki i Sławoszewice faktycznie podjęły walkę o lepsze jutro dla siebie. W ten zaś sposób uzyskanie poparcia pozytywnych sił z reszty świata. Każdy sukces tych miejscowości będzie wszakże z najwyższym zainteresowaniem odnotowywany przez innych. Szczególnie że miejscowości te są już znane w świecie z kampanii wyniszczającej jaką przeciwko nim prowadzą w/w mroczne moce.

Część #C: Zintensyfikujmy i zróżnicujmy produkcję we Wszewilkach, tak aby owa wioska powróciła do swojej historycznej roli produktywnego poszerzenia Milicza:

#C1. Po stworzeniu dostępu i komunikacji czas na ożywienie gospodarcze, m.in. poprzez stworzenie miejscowego przemysłu:

W dawnych czasach Wszewilki, Sławoszewice i Milicz stanowiły jeden kompleks wiejsko-miejski. W ostatnim jednak okresie prześladowań i napaści na owe miejscowości, ta ścisła gospodarcza współpraca jakoś się rozluźniła. Czas więc aby ją odnowić. Faktycznie to od najdawniejszych czasów Wszewilki i Sławoszewice stanowiły rodzaj

dzielnic przemysłowych Milicza. Tyle tylko, że w czasach owych ostatnich prześladowań i napaści, ów "przemysł" Wszewilek i Sławoszewic ograniczył się wyłącznie do rolnictwa i do chałupniczej produkcji wyrobów rolnych. Obecnie ponownie więc warto pomyśleć o przywróceniu do Wszewilek i Sławoszewic także innych rodzajów produkcji. Wszakże ewentualne rozwinięcie tych miejscowości jako przemysłowych poszerzeń Milicza będzie gwarantowało zaplecze siły roboczej w formie mieszkańców Milicza chętnych do dojazdu do Wszewilek lub Sławoszewic nowo uformowaną linią miejskiego autobusu "8" (tj. "ósemka"). Z kolei obszar owych miejscowości dostarczy dogodnych warunków do lokalizowania najróżniejszych fabryczek i warsztatów produkcyjnych.

#C2. Przemysł który już obecnie posiada zaplecze we Wszewilkach, trzeba go jedynie stworzyć (tj. przetwórstwo "organicznych" produktów rolnych i leśnych, zielarstwo, turystyka, hotelarstwo):

Wszewilki i Sławoszewice już obecnie dostarczają zaplecza dla całego szeregu przedsięwzięć produkcyjnych. Przykładowo, mają one bazę dla zorganizowania w nich przetwórstwa "organicznych" produktów rolnych i leśnych, zielarstwa, turystyki, hotelarstwa, oraz szeregu odmiennych branż. Jedyne co jest potrzebne to właśnie owa "infrastruktura" w formie transportu publicznego i dróg dojazdowych, która umożliwi komuś zainwestowanie tam w takie właśnie przetwórnice.

#C3. Przyszłe rodzaje przemysłu, dla których Wszewilki i inne okoliczne miejscowości już obecnie posiadają surowce (np. elektronika, optyka):

Wszewilki leżą na istnym skarbie. Ogromnie mnie też dziwi że jak dotąd nikt nie zainwestował w pozyskiwanie tego skarbu. (Pewno powodem jest właśnie brak korzystnej infrastruktury o jakiej tutaj piszę.) Skarbem tym jest wspaniale czysty piasek kwarcowy Wszewilek i okolicy. Pokłady tego piasku są tam znaczącymi i to na skalę światową. Na bazie owego piasku możliwe jest więc otwarcie w okolicach Wszewilek całego szeregu przedsiębiorstw, szczególnie w zakresie bazującego na kwarcu przemysłu elektronicznego, wytwórni tak ostatnio poszukiwanych fotoogniw, czy produkcji soczewek i instrumentów optycznych. Jeśli infrastruktura i transport opisywane na tej stronie zostaną faktycznie tam zbudowane, jestem gotów się założyć, że koło Wszewilek wytwórnie tego typu zaczną wyrastać jak grzyby po deszczu.

#C4. Moralne przesłanie nadziei, odnowy, oraz awansu cywilizacyjnego które powinno przebijać z rodzaju przemysłu umiejscawianego we Wszewilkach:

Motto: "Marzenia poparte działaniem mogą nawet Wszewilki zmienić w 'horyzonty postępu'."

Wszewilki są szczególną wioską. Jeśli bowiem przeanalizować jej historię, wówczas się okazuje że w historii owej zawarty jest rodzaj moralnego przesłania do ludzkości. Przesłanie owo wyraża sobą ponadczasowe prawdy na temat wyzwania się spod ucisku, zniewalania, wrogości, oraz niesprawiedliwości, na temat walki z prześladowaniami, odwagi, nadziei, czy odnowy, na temat wypełniania się marzeń, postępu, awansu cywilizacyjnego, itp. Dlatego jakkolwiek przemysł będzie kiedyś zapoczątkowany we Wszewilkach, wcale nie powinien to być po prostu dowolny budynek fabryczny z dużym kominem, który wytwarza tuzinkowe dobra a jednocześnie wypływa z komina tony trującego ludzi dymu. Raczej powinien to być przemysł który pasował będzie do ducha Wszewilek oraz do owych ponadczasowych prawd jakie wioska ta sobą symbolizuje. Jednym z przykładów takiego przemysłu byłoby postulowane poprzednio wytwarzanie we Wszewilkach ogniw fotoelektrycznych których coraz szersze zastosowanie eliminuje z ziemskiej atmosfery wszelkie te dzisiejsze dymy i zanieczyszczenia. Aby zaś dać tutaj poznać czytelnikowi jakie dalsze rodzaje przemysłu byłyby wysoce odpowiednie dla symboliki i tradycji Wszewilek, poniżej opiszę skrótowo kilka ich następnych przykładów. W USA kiedyś powstała tzw. "Silicone Valley". Warto więc aby spróbować Wszewilki zamienić w "Horizons of Advancement" (of the Human Civilisation).

#C4.1. Montownia ogniw telekinetycznych:

Dostatek taniej siły roboczej oraz dogodne położenie geograficzne Wszewilek powodują także, że w przypadku gdyby powstała tam opisywana tutaj infrastruktura, wówczas opłacałoby się w owej miejscowości inwestować w przemysł który wymaga dużo robocizny, a mało materiałów. Jednym z urządzeń technicznych które wnoszą sobie ogromny awans cywilizacyjny ludzkości, a właśnie wypełnia warunek niewielkiego zapotrzebowania materiałowego przy jednocześnie dużym zapotrzebowaniu na robociznę, są tzw. ogniwa telekinetyczne. Szczerze mówiąc, gdyby mi kiedyś udało się urzeczywistnić ów mój własny wynalazek owych ogniw, nad którym pracuję już przez ostatnie 20 lat, wówczas montownię i sklep fabryczny owych ogniw niemal z całą pewnością chciałbym umiejscowić właśnie we Wszewilkach - oczywiście jeśli miejscowe mroczne moce nie zaczęłyby mi w tym zbyt mocno przeszkadzać.

#C4.2. Wytwórnia wiatraków pozyskujących wodę z powietrza:

Każdy zapewne odnotował, że klimat Ziemi ostatnio raptownie się zmienia. Powody owej zmiany opisałem częściowo w punkcie #B16 strony internetowej o zniszczeniowych możliwościach wehikułów UFO. Jednym z następstw owej raptownej zmiany klimatu Ziemi jest że miejsca które kiedyś miały wodę, obecnie zamieniają się w wysuszoną pustynię. Tak właśnie dzieje się obecnie z Australią. W podobny też sposób w pustynię zamienia się północna część Afryki, wschodnia część Azji, oraz zachodnia część Ameryki Południowej. Owe wysychające obszary potrzebują wody aby podtrzymać życie zwierząt i ludzi. Woda jednak przestała tam spadać z deszczem. Jest ona ciągle obecna w powietrzu, jednak nie chce się już skraplać w formę deszczu. Tutaj więc rodzajem deski ratunkowej dla wysychającego świata może się stać wynalazek emeryta z przedmieścia Perth w Australii, o nazwisku Max Whisson. Mianowicie wynalazł on zmyślny wiatrak, a nawet zbudował już działający prototyp owego wiatraka. W wiatraku tym przepływ powietrza jest tak ciekawie zaprojektowany, że z powietrza tego odciągana jest woda. Zasada działania owego wiatraka jest nieco podobna do zasady urządzeń domowych zwanych dehumidifier, tyle że zamiast być napędzany elektrycznością, jego napędem jest wiatr. Kiedy więc ów wiatrak obraca się napędzany siłą wiatru, do umieszczonego pod nim zbiornika czy koryta spływa z niego strumień czystej wody. Wodę tą mogą następnie pić mieszkający w pobliżu ludzie lub zwierzęta. Opis jego wynalazku zaprezentowany został w krótkim artykule "The windmill that produces water out of hot air" (tj. "Wiatrak który odciąga wodę z gorącego powietrza") jaki ukazał się na stronie B3 gazety The New Zealand Herald, wydanie datowane w środę (Wednesday), February 14, 2007.

Owe wiatraki odciągające wodę z powietrza są bardzo proste w budowie. Mogą więc działać przez całe lata nie wymagając żadnej naprawy. Są też napędzane wiatrem, mogą więc pracować na zupełnej pustyni. Znaczą one wszelkie cechy aby stać się zbawienne dla suchych obszarów Ziemi.

Z powodów wyjaśnionych dokładniej w punkcie #K3 odrębnej strony internetowej o nazwie fe_cell_pl.htm, na Ziemi działa złowieszcze przekleństwo wynalazców które uniemożliwia wdrażanie w życie wynalazków jakie w danym okresie czasu są najbardziej potrzebne ludzkości. Wszystko też wskazuje na to, że idea opisywanego tutaj "wiatraka pozyskującego wodę z powietrza" została również zablokowana przez owo złowieszcze "przekleństwo", a ściślej przez istoty które za nim się ukrywają. Z informacji bowiem które na temat tego wiatraka już obecnie zostały upowszechnione, wynika że jego losy przyjmują obrót doskonale mi znany z tragicznych losów telekinetycznej grzałki Peter'a Daysh Davey, opisanych w punkcie #4.3 strony internetowej o telekinetycznych generatorach darmowej energii. Przykładowo już obecnie na temat tego wiatraku rozpętana została w Australii kampania wyszydzania i zniechęcania, jaka jest niemal identyczna do podobnej kampanii kpin i zniechęcania jaką UFO-nauci-podmieńcy niedawno rozpętali w Polsce przeciwko ogniwoom telekinetycznym mojego wynalazku. (UFO-nauci używają właśnie takich kampanii kpin i oczerniania dla obracania co głupszych ludzi przeciwko temu co UFO-nauciom jest nie na rękę, a ponadto dla stwarzania swoim agentom kryjącym się po różnych ludzkich urzędach wymówki do oficjalnego blokowania co bardziej postępowych idei.) Najwyraźniej

więc miejscowi reprezentanci szatańskich mocy już pracują intensywnie aby uniemożliwić wdrożenie do produkcji również i tego niezwykłego wiatraka. Dlatego ja osobiście uważam, że jeśli w Australii ów wiatrak nie potrafi się przebić przez rzucane mu pod nogi biurokratyczne kłody oraz zniechęcające szyderstwa, wówczas jego produkcja powinna być podjęta właśnie we Wszewilkach. Potem zaś gotowe takie wiatraki powinny być eksportowane z Wszewilek właśnie do Australii oraz do wszelkich innych miejsc na Ziemi w jakich są one desperacko potrzebne.

Oczywiście, może się zdarzyć, że do owego odległego czasu zanim Wszewilki będą już gotowe do podjęcia produkcji tego wiatraka, jego emerytowanego wynalazcy nie będzie już wśród żyjących, zaś dokumentacja techniczna i prototypy wiatraka okażą się już nie do zdobycia. Jednak nawet i w takim przypadku ja ciągle wierzę że Wszewilki powinny kiedyś podjąć produkcję tego pałaco potrzebnego na Ziemi urządzenia. Wszakże wiedząc o jego zasadzie działania, a także znając konstrukcję i działanie domowych "dehumidifiers", wiatrak ten łatwo powinien dać się zrekonstruować poprzez ponowne jego wynalezienie od nowa. Wszakże jedyne co konieczne aby go ponownie wynaleźć, to tak przerobić zasadę działania domowych "dehumidifiers" aby ich napęd pochodził od śmigła wiatraka - a nie od silnika elektrycznego. Wszewilki mają zaś wielu uzdolnionych technicznie i twórczych ludzi którzy bez trudu potrafią tego dokonać. Kiedy zaś wiatrak ten zostanie już zrekonstruowany i wdrożony do produkcji, zanim zacznie się jego eksport do Australii warto go nazwać "wiatrakiem Max's Whisson'a" - aby w ten sposób uhonorować jego twórcę który stał się kolejną ofiarą tych samych mrocznych mocy które kiedyś próbowały zniszczyć Wszewilki. Taki bowiem obrót spraw byłby ilustratywnym dowodem że sprawiedliwość jednak zawsze w końcu zatriumfuje.

#C4.3. Wytwórnia gumowej nawierzchni na chodniki:

Z czasów kiedy nadal mieszkalem w Polsce pamiętam owe sterty zużytych opon samochodowych jakie zalegały każdy możliwy kąt jaki nadawał się na wysypisko śmieci. Opon owych nikt nie chciał. Nie nadawały się one praktycznie do niczego. Porzucone nie chciały też szybko gnić. Jeśli zaś ktoś je zapalił, zatruwały atmosferę czarnym, śmierdzącym, rakotwórczym dymem. Tymczasem w krajach południowo-wschodniej Azji dla opon owych znaleziono doskonałe zastosowanie. Mianowicie, rozcina się je maszynowo na drobne kosteczki. Dodaje koloru czerwonego albo niebieskiego aby ładnie wyglądały. Następnie wylewa się chodniki dla ludzi, a także nawierzchnie bieżni na stadionach, z miękkiej wykładziny gumowej jaka z nich jest wytwarzana. Chodzenie i bieganie po takich miękkich chodnikach jest bardzo zdrowe - nie nadwyręża ono bowiem stawów tak jak czyni to chodzenie po kamiennych lub betonowych chodnikach. Z kolei zużywanie starych opon z jakich chodniki te się wytwarza jest bardzo dobre dla naturalnego środowiska. Wszakże usuwa ono sterty opon które w przeciwnym wypadku by środowisko owo zanieczyszczały i zaśmiecały. Dlatego wytwórnia gumowej nawierzchni na chodniki wygląda jak rodzaj przemysłu który byłby wysoce odpowiedni dla totaliztycznej misji i charakteru Wszewilek. Ponadto jakieś środki rządowe by też zapewne zostały dodane aby pomóc rozwinąć ten przyjazny dla naturalnego środowiska przemysł.

#C4.4. Fabryka piramid telepatycznych:

Na odrębnej stronie internetowej na temat telepatii opisane jest niezwykle urządzenie nazywane "piramidą telepatyczną". Urządzenie to zostało podarowane ludzkości przez sprzyjającą ludziom totaliztyczną cywilizację istot kiedyś nazywanych "aniołami". Jak dotychczas nigdzie na Ziemi nie podjęto jeszcze produkcji tego niezwykłego urządzenia. A jest ono w stanie zastąpić dzisiejsze urządzenia szkodliwej dla zdrowia łączności radiowej, przez cywilizacyjnie bardziej zaawansowane urządzenia do łączności telepatycznej. Produkcja owej piramidy telepatycznej powinna zostać podjęta właśnie we Wszewilkach.

#C4.5. Zakłady rozwoju i wytwarzania dysocjatorów wody dla silników spalinowych:

Nasza cywilizacja wypracowała technicznie dosyć doskonałą formę urządzenia

napędowego jakim jest dzisiejszy silnik spalinowy. Jedynym problemem owego silnika jest, że przy obecnym rodzaju paliw które on używa, wytwarza on niepożądane gazy jakie zanieczyszczają ziemską atmosferę. Jeśli jednak w silniku tym zmienić obecnie używane mieszanki paliwowe na mieszaninę wodoru i tlenu, wówczas taki sam silnik spalinowy nagle przestaje być problemem. Pracuje on wówczas równie efektywnie i niezawodnie jak obecnie, a jednocześnie zamiast nieporządkanych gazów spalinowych wyrzuca z siebie zwykłą parę wodną. Jednak główna trudność z takim przestawieniem silników spalinowych na paliwo w postaci mieszaniny wodoru i tlenu polega na efektywnym wytwarzaniu owego paliwa tuż przed wlotem do silnika. Problem ten rozwiązują jednak tzw. "telekinetyczne dysocjatory wody" opisywane m.in. w podrozdziale LA3.2 z tomu 10 mojej najnowszej monografii [1/5]. Ich zasada działania jest bardzo podobna do zasady działania "grzałek telekinetycznych" opisywanych dokładniej na stronie boiler_pl.htm - o szokującej historii telekinetycznej grzałki która bije wszelkie rekordy. Główna różnica pomiędzy takimi "telekinetycznymi dysocjatorami wody" a "grzałkami telekinetycznymi" sprowadza się do użycia odmiennych wibracji oraz odmiennych katalizatorów (materiałów). Produkcja i rozwój takich właśnie dysocjatorów wody zastępujących gaźniki z dzisiejszych silników samochodowych, powinna zostać kiedyś podjęta właśnie we Wszewilkach. Jest ona bowiem zgodna z duchem tej wioski.

Wielu ludzi uważa że nie warto inwestować w przetransformowanie obecnych silników spalinowych w silniki spalające mieszaninę wodoru i tlenu. Wierzą oni bowiem że znacznie lepiej dla naszej cywilizacji jest całkowicie wyeliminować silniki spalinowe i zastąpić je silnikami elektrycznymi. Aczkolwiek takie całkowite zastąpienie silników spalinowych jest realne i atrakcyjne, istniały będą sytuacje na Ziemi kiedy okaże się ono niemożliwe. Jako przykłady rozważmy tradycję, hobby, czy sport. W przyszłości nie będzie wszakże można zabronić ludziom którzy kultywują jakieś wymagające silnika spalinowego tradycje czy hobby, albo uprawiają jakiś sport motorowy, aby w tym co jest esencją danej tradycji, hobby, czy sportu usunęli oni całkowicie silniki spalinowe. Wszakże przykładowo jeśli ktoś zechce w przyszłości hobbystycznie używać dzisiejszego motocykla "Harley-Davidson" (a założę się że będzie wielu takich ludzi), wówczas nie da się tego uczynić po zastąpieniu w nim jego silnika spalinowego przez silnik elektryczny. Wszakże to co by się otrzymało nie byłby już wówczas "Harleyem-Davidsonem". Jednak daje się wówczas w motocyklu tym zastąpić obecnie używane paliwo, na mieszaninę wodoru i tlenu. Po takim zaś zastąpieniu paliwa, oraz po wprowadzeniu niewielkich zmian technicznych jakie to zastąpienie by wymagało, to co się otrzyma nadal będzie miało wszystkie cechy motocykla "Harley-Davidson". Oczywiście, ów motocykl podałem tutaj tylko jako przykład. W przyszłości bowiem wszystko co dzisiaj używa silnika spalinowego, odrzutowego, czy raketowego, będzie dawało się używać w dokładnie taki sam jak dzisiaj sposób po jedynie przerobieniu tego na użycie paliwa z mieszanki wodorowo-tlenowej. Takie zaś przerobienie wymagało będzie jedynie zastąpienie ich gaźników przez opisywane tutaj "telekinetyczne dysocjatory wody", oraz zastąpienie benzyny w ich bakach przez czystą wodę. Cała reszta zaś ich konstrukcji, zasady działania, oraz sposobu pracy będzie pozostawała bez zmian.

#C5. Idea "offspin" - czyli jeśli jeden obszar ulegnie ożywieniu, wówczas wszystko zacznie się ożywiać:

Anglicy posiadają pojęcie jakie oni nazywają "offspin". W tłumaczeniu na nasze oznacza ono "pobudzanie do rotowania". W pojęciu tym chodzi o to, że wszystko jest ze sobą powiązane najróżniejszymi współzależnościami. Jeśli więc zacznie się zawirowywać jeden składnik takiej powiązanej ze sobą całości, wkrótce cały system będzie już wirował.

Wyjaśnijmy to pojęcie "offspin" na przykładzie Wszewilek. Założmy że któreś z opisywanych tutaj przedsięwzięć przemysłowych zostanie zrealizowane i że we Wszewilkach otworzony zostanie jakiś miejscowy przemysł dający zatrudnienie i źródło dochodu do jakiejś liczby zatrudnionych w nim osób. Ludzie więc którzy będą zatrudnieni w owym przemyśle będą potrzebowali np. jedzenia. Stąd część pieniędzy które oni zarobią powędruje do miejscowych piekarzy, restauratorów, cukierników, itp. Aby jednak owi piekarze, restauratorzy, cukiernicy, itp., mieli towar, część ich zarobków musi z kolei

wędrować do miejscowych rolników, warzywników, ogrodników, właścicieli stawów, itp. Tamci też będą potrzebowali więcej odzieży, sprzętu, zaopatrzenia, itp. W rezultacie, ani się ktoś oglądnie, jak z powodu tylko jednego takiego nowego przedsięwzięcia wkrótce już wszystko w okolicach Wszewilek i Milicza będzie wirowało na najwyższych obrotach.

Część #D: Dodatkowo zaktywizujemy Wszewilki poprzez przyciąganie świata do niezwykłości owej wioski, oraz poprzez gościnne przyjmowanie wszystkich przybyszy:

Wszewilki są wioską. Jako takie nie są one w stanie wybrać się do świata. Mogą jednak spowodować, że świat przybędzie do nich.

#D1. Niezwykłości Wszewilek które już obecnie czynią tą wioskę wartą odwiedzenia:

Motto: "Jeśli masz jakieś ogromnie ważne marzenie, wybierz się do Wszewilek i przemarz je tam ponownie. Moje doświadczenia potwierdzają bowiem, że moralne, pozytywne, realistyczne, oraz poparte zdecydowanymi działaniami marzenia dokonane we Wszewilkach zawsze z czasem się wypełniają."

Milicz, Wszewilki, oraz ich okolice potrzebują napływu zamożności i stabilności. Te zaś przybędą kiedy mieszkańcy owych miejscowości zrealizują opisywaną w części #B tej strony drogę okrężną oraz miejską linię autobusową, oraz kiedy owe posunięcia zainspirują czyjeś zainwestowanie w przemysł wytwórczy np. na Wszewilkach. Jednak Wszewilki i okolice Milicza mają również wiele do zaoferowania na polu pozaprzemysłowym. Rozważmy więc teraz owe odmienne rodzaje ofert tych ziem.

Czakram ziemi, wypełnianie się marzeń, dziwy natury (w rodzaju gryfa czy powtarzalnych opadów żywych rybek), wspaniałe powietrze, doskonale sny, natura do oglądania, niezwykła historia, itp. - wszystko to już obecnie jest w stanie przyciągać do Wszewilek i Milicza licznych odwiedzających z dalekiego świata. Trzeba jedynie przestać z tym się wstydliwie ukrywać, tak jak to uczyniono na stronach o Wszewilkach i Miliczu, oraz trzeba wreszcie zacząć upowszechniać rzetelne informacje na tego temat.

Fot. #D1: (H1 z [10]): Czyżby kultura odleciała z Wszewilek do Petone! Kiedyś na Wszewilkach można było zobaczyć wspaniałe polskie tańce ludowe - m.in. podobne do tego utrwalonego na powyższym zdjęciu. Wszewilki miały bowiem własny ludowy zespół taneczny. Zespół ten m.in. występował na ostatnich wszewilkowskich dożynkach opisywanych w punkcie #L2 strony o Wszewilkach. Ja nawet podkochiwałem się trochę w jednej z tancerek tego zespołu - pięknej Maryli (ciągle do dzisiaj pamiętam jej nazwisko - było bowiem tak typowo polskie). Niestety, była ona parę lat starsza odemnie, więc rozglądała się za bardziej "dorosłymi" chłopcami. Szkoda że dzisiejsze pokolenie młodych Wszewilczan głównie interesuje się zjadaniem kanapek przed ekranami telewizorów. Wszakże wszewilkowski zespół taneczny, tak barwny, żywiołowy i doskonale tańczący jak ten który formowała Maryla wraz ze swymi koleżankami, przyciągałby tysiące turystów na wszewilkowskie uroczystości i spektakle. Powyższe zdjęcie wykonałem na "Festiwalu Polskim", który zaczął się "w samo południe" w sobotę, dnia 24 lutego 2007 roku, na miniaturowym ryneczku Petone - przedmieścia Welligton, Nowa Zelandia. Na festiwalu tym tańczyło kilka polonijnych zespołów ludowych istniejących obecnie w Nowej Zelandii. Wszakże polski taniec ludowy robi ostatnio furorę poza granicami kraju. Polskich tańców uczą się tam już nawet ludzie którzy nie potrafią powiedzieć słowa po polsku, a jedynie z dumą odkrywają że któryś z odległych przodków (np. dziadek czy prababka) kiedyś emigrowali tu aż z Polski. Powyżej utrwalony zespół taneczny młodych i dynamicznych Nowozelandek szczególnie mi zaimponował. Zademonstrował on bowiem wspaniałe choreografowane połączenie w jedną całość tradycyjnego polskiego tańca ludowego, z tańcem nowoczesnym w rytm najnowszej polskiej muzyki neo-ludowej. Aczkolwiek więc taniec tych dziewcząt przypominał nieco sobą dawny polski taniec ludowy, faktycznie był on nowoczesnym tańcem w rytm wspaniałej polskiej muzyki bitowej modelowanej na dawnych polskich melodiach ludowych. Pokazane tutaj dziewczęta podbiły swoim tańcem i muzyką serca całej widowni.

Tak nawiasem mówiąc, to ryneček podobnie niewielki aczkolwiek przytulny, jak ten widoczny na powyższym zdjęciu, powinny odbudować sobie także Wszewilki - tak jak to wyjaśnione jest w części F tej strony. Ktoś bowiem nieustannie podpowiada, że istnieje rodzaj niepisanej przepowiedni dla Wszewilek, jaka stwierdza że "po odbudowaniu dawnego rynečka, dobrobyt i szczęście powrócą na stałe do Wszewilek i do innych okolicznych miejscowości, oraz pozostaną tam przez tak długo, jak długo ów ryneček nie popadnie ponownie w ruinę".

* * *

Zauważ że można zobaczyć powiększenie każdej fotografii z niniejszej strony internetowej. W tym celu wystarczy zwyczajnie kliknąć na tą fotografię. Ponadto większość tzw. browser'ów które obecnie są w użyciu, włączając w to popularny "Internet Explorer", pozwala na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększyć, a także gdzie ją można wydrukować za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

#D2. "Kapsuły czasu" - czyli kolejna atrakcja dla odwiedzających Wszewilki i Milicz:

Nazwa "kapsuła czasu" (po angielsku "time capsule") jest przyporządkowana do rodzaju niepodlegającego rozkładowi pojemnika w którym trwale zamyka się jakieś cenne dokumenty oraz przedmioty, poczym wszystko zakopuje się lub ukrywa w trudnym do zidentyfikowania miejscu, tak aby mogło to być znalezione w odległej przyszłości przez następne generacje ludzi.

Kiedy byłem w 5 klasie szkoły podstawowej przez jakiś dziwny impuls przygotowałem swoją własną "kapsułę czasu". Jako jej pojemnika użyłem dużej butelki - jeśli dobrze pamiętam była to butelka typu kiedyś używanego w aptekach (ze szeroką szyjką oraz ze szklanym korkiem doszlifowanym dla hermetycznego samozamknięcia). Do swojej kapsuły powkładałem najróżniejsze "skarby" jakie wówczas były w moim posiadaniu. Jeśli dobrze pamiętam były to najróżniejsze stare monety, zdjęcia, oraz dokładna historia mojej rodziny i mnie samego spisana mozolnie na poziomie moich ówczesnych umiejętności pisarskich. Kapsułę tą zakopałem w sobie tylko znanym miejscu głębiej niż mój własny wzrost - obecnie szacuję że na głębokość bliską 2 metrów. Chociaż więc zawiera ona metalowe obiekty, nie sądzę aby na takiej głębokości była ona wykrywalna przez dzisiejsze indukcyjne wykrywacze metalu. Od czasu zakopania tamtej "time capsule" nigdy nie usiłowałem jej odkopać. Wierzę więc, że znajduje się tam do dzisiaj, oraz że zostanie odkryta dopiero w odległej przyszłości.

W przyszłości zamierzam też zakopać co najmniej jeszcze jedną taką "kapsułę czasu". Pierwszą z nich planuję przygotować w roku kiedy odchodził będę na emeryturę, tj. latem 2011 roku. Zakopię ją gdzieś przy Wszewilkach, w miejscu ustronnym chociaż łatwo dostępnym dla przyjezdnych, prawdopodobnie w pobliżu jakiejś drogi (być może nawet owej opisywanej na niniejszej stronie - jeśli do tego czasu będzie ona już gotowa). Tym razem swoją drugą i następne "kapsuły czasu" przygotuję znacznie staranniej niż tamtą w dzieciństwie. Mianowicie, zamiast butelki przygotuję ją zapewne w formie szklanego pojemnika o wysokiej wytrzymałości i precyzyjnie zamykanego. Narazie jeszcze nie wiem, czy będzie to szklany hermetyczny pojemnik specjalnie wykonany na moje zamówienie, czy też po prostu użyję w tym celu jakiś gotowy szklany pojemnik zakupiony w sklepie a potem zaklejony jakimś krystalicznym "super-klejem" oraz dla pewności obwiązany niekorodującym drutem np. z miedzi lub ołowiu. (Jeśli użyję pojemnika zakupionego w sklepie, wówczas zapewne będzie on miał formę prostokątnej szklanej maselniczki, albo też okrągłego słoika z dużym szklanym wieczkiem, typu używanego kiedyś na kompoty domowej roboty.) Kiedyś zgromadziłem kolekcję kilku srebrnych i złotych monet. Zakładam więc, że włożę do kapsuły co cenniejsze egzemplarze z tej swojej kolekcji. Ponadto włożę w nią rodzaj swojej "spuścizny", znaczy nie tylko opis historii swojego życia, ale także niektóre informacje istotne dla naszej cywilizacji, jakich za życia z różnych powodów nie byłem w stanie publicznie udostępnić.

Osobiście tutaj również zachęcam, aby i czytelnicy przygotowali swoje własne "kapsuły czasu" oraz zakopali je gdzieś w publicznie dostępnym obszarze niedaleko

Wszewilek. Wszakże nie tylko każdy z dzisiejszych mieszkańców Wszewilek może też przygotować sobie taką własną "kapsułę czasu", ale wręcz każdy z czytelników może także to uczynić - bez względu na to gdzie obecnie mieszka. Wszewilki zaś są doskonałym miejscem gdzie owe kapsuły czasu można powierzyć opiece naszej matki Ziemi. Wierzę również, że aż dla kilku powodów, kapsuł tych przyszłe generacje będą usilnie poszukiwały właśnie we Wszewilkach. Jeśli więc ktoś chce aby jego kapsuła została znaleziona w odległej przyszłości, powinien ją zakopać właśnie w jakimś ustronnym i publicznie dostępnym miejscu z okolic Wszewilek.

Kiedyś (około 1981 roku) byłem na wczasach rodzinnych przy jakimś polskim jeziorze. Zdaje się że było to w Lendyczku. Podczas pływania na rowerze wodnym przypadkowo znalazłem taką "kapsułę czasu" przygotowaną wiele lat wcześniej przez kogoś innego. Okazało się że woda ją skądś wymyła i przyniosła do owego jeziora. Owa znaleziona kapsuła nie zawierała nic szczególnego. Był to po prostu duży płat kory brzozonej włożony w pustą butelkę. Na korze była opisana historia jakiejś grupy obozowej sprzed wielu lat. Na przekór jednak owej niewielkiej zawartości tamtej kasuły czasu, stała się ona sensacją tamtego lata dla wszystkich turnusów owego ośrodka. Po tym jak kierownictwo ośrodka mi ją zarekwirowało, wszyscy wczasowicze ją czytali na kolejnych turnusach, często dyskutowali, oraz spekulowali co potem stało się z opisanymi na niej osobami. Warto o tym pamiętać. Wszakże jeśli samemu się przygotowuje taką właśnie kasułę czasu, wówczas faktycznie dostarcza się komuś w dalekiej przyszłości podobnej uciechy czytania, dyskutowania i spekulowania na temat zawartości owej kapsuły, treści podanych tam opisów, oraz dalszych losów tego czy tych co kapsułę taką przygotowali. Ponadto, zapewne kapsuła ta wyląduje w miejscowym muzeum, a być może nawet jakiś historyk zrobi na niej swój doktorat.

Faktycznie to w okolicach Wszewilek istnieją też już od dawna najróżniejsze stare kapsuły czasu. Wynikają one z losów tych ziem, jakie opisałem na odrębnych stronach o Wszewilkach i Miliczu.

#D3. Włączenie Wszewilek jako docelowej miejscowości dla uczestników międzynarodowych gier i zainteresowań hobbyistycznych organizowanych za pośrednictwem internetu:

W internecie rośnie liczba coraz bardziej atrakcyjnych gier oraz zainteresowań hobbyistycznych których esencja sprowadza się do zainspirowania najróżniejszych ludzi do odwiedzenia określonych miejsc na Ziemi. Ja proponowałbym aby powłączać Wszewilki do możliwie największej liczby takich gier i zainteresowań. Wszakże jedyne co niezbędne aby powłączać Wszewilki do owych gier, to dostęp do internetu (który niewątpliwie ma już spora liczba mieszkańców Wszewilek), oraz odrobina dobrych chęci. Gdybym zamiast w Nowej Zelandii mieszkał w zasięgu krótkiej podróży od Wszewilek, wówczas ja sam bym dokonał takiego powłączenia dla dobra swojej rodzinnej wioski. Niestety, aby to uczynić trzeba mieszkać w pobliżu danego miejsca - tak aby móc spełnić warunki które gra ta nakłada (np. przygotować i ukryć "skarby" który uczestnicy danej gry będą potem poszukiwali).

Aby dać czytelnikom jakieś rozeznanie na czym owe internetowe gry polegają, opiszę tutaj jedną z nich - jaka moim zdaniem jest najbardziej reprezentacyjna dla nich wszystkich. Nazywa się ona "Globalne polowanie z GPS na ukryty skarby" (w oryginale angielskojęzycznym "Geocaching - The Global GPS Cache Hunt"). Jej dokładne opisy i dane lokacyjne dostępne są (w języku angielskim) na stronie internetowej www.geocaching.com. Gra ta polega na tym, że jakaś indywidualna osoba, lub grupa osób, ukrywa gdzieś w terenie rodzaj jakby "skarbu". "Skarby" ten faktycznie wcale NIE zawiera żadnych cenności, a jedynie kilka małych przedmiotów które typowo poniewierają się w każdym domu, np. obcinacz do paznokci, korkociąg, otwieracz do butelek, szkło powiększające, stara moneta, jakiś klucz, itp. Jest on zamknięty w jakimś metalowym pudełku które chroni go przed wilgocią (np. po czekoladkach), oraz dodatkowo zaopatrzony w mały notesik i długopis które służą jako tzw. "logbook". Skarby ten ukrywa się w publicznie dostępnym miejscu i sposób jaki pozwala na jego proste znalezienie bez użycia specjalnych narzędzi - tj. NIE wolno go zakopywać ani zawieszać na tyle wysoko aby

konieczna była drabina, a trzeba wstawić np. do niskiej dziupli, albo do środka gęstego krzewu, albo na belce mostu, itp. Następnie za pomocą urządzenia zwanego GPS (tj. "Global Positioning System") znajduje się precyzyjne położenie geograficzne tego "skarbu" (tj. jego "współrzędne GPS" z dokładnością do jednego metra). Te dane o dokładnym położeniu "skarbu" są następnie wpisywane do publicznego wglądu na w/w stronie "www.geocaching.com". Jeśli więc komuś się nudzi, a właśnie przebywa lub przejeżdża w pobliżu danego "skarbu", wówczas odpisuje sobie z w/w strony jego położenie, poczym odszukuje ten skarb. Po odszukaniu wpisuje do "logbook" załączonego ze "skarbem" informację kiedy skarb ten znalazł i jakie są jego dane kontaktowe (np. email), poczym zabiera z pudełka te przedmioty które mu się spodobały, wkładając w zamian do pudełka równą liczbę innych przedmiotów które przywiózł ze sobą (tj. po znalezieniu "skarbu" wolno sobie zabrać, jednak trzeba zostawić na jego miejscu jakiś inny "skarb"). Następnie chowa tak "obrabowany" skarb w poprzednie miejsce ukrycia, tak aby "skarb" ten mógł być ponownie znaleziony przez kogoś następnego.

Jak już wyjaśniłem to powyżej, taki "skarb" wcale nietrudno jest przygotować, bowiem w każdym domu poniewierają się jakieś drobne przedmioty które można załadować do pustego metalowego pudełka po czekoladkach razem z "logbook" i z długopisem. Wszewilki są też pełne ciekawych miejsc publicznie dostępnych gdzie taki skarb można łatwo ukryć - np. dziuple w drzewach, mostki, chaszczce, wieże trangulacyjne, stopy kamieni, ruiny dawnych budynków, stopy rudy darniowej na polach, słynny stary wszewilkowski cmentarz, itp.

Część #E: Powołanie we Wszewilkach ośrodka (tj. gospodarstwa rolnego i darmowej restauracji) dla ochotników wypracowujących dla siebie totaliztyczną nirwanę:

#E1. Dlaczego totaliztyczna nirwana jest aż tak ważna, że powinny zostać stworzony specjalny ośrodek w którym ochotnicy mogliby sobie ją wypracowywać:

Motto: "Ludzie na Ziemi niepotrzebnie biedzą się nad wymyślaniem idealnego ustroju społecznego i idealnych praw. Bóg opracował je bowiem już kiedy stwarzał człowieka, zaś moralnie zaawansowane cywilizacje używają je od milionów lat. Ten idealny ustrój sprowadza się do ochotniczej pracy dla nirwany, zaś idealne prawa bazują na pedantycznym przestrzeganiu praw moralnych."

W punkcie #D1 strony internetowej o totaliztycznej nirwanie, a także w punkcie #A2 odrębnej strony o politycznej partii totalizmu, wyjaśnione zostało szczegółowo dlaczego jest ogromnie istotne aby cywilizacja ludzka nauczyła się wypracowywać dla siebie stan nieustającej nirwany, oraz aby ochotniczą pracą dla uzyskania nirwany zastąpiony został obecny system wymuszania pracy poprzez zapłatę. (Tj. aby niedoskonałe ustroje społeczne wymyślane przez ludzi i bazujące na wymuszonej pracy dla pieniędzy, zastąpione zostały "ustrojem nirwanowym" danym nam przez samego Boga i bazującym na ochotniczej pracy dla nirwany.) Podsumujmy tutaj w wielkim skrócie to wyjaśnienie.

Jak wykazują badania totalizmu, faktycznie to Bóg osobiście opracował dla ludzkości idealną formę ustroju społecznego, oraz zestaw idealnych praw, według których zgodnie z wolą Boga ludzie powinni żyć. Problem jedynie polega na tym, że Ziemia od tysiącleci znajduje się w mocy szczególnie paskudnych "przyjemniaczków", którzy nie pozwalają ludziom wdrożyć w życie ani owego idealnego ustroju, ani też owych idealnych praw. (W przeszłości owych "przyjemniaczków" nazywano "diabłami". Obecnie używamy wobec nich odmienną nazwę UFOonautów.) Generalnie rzecz biorąc, ów idealny ustrój opracowany dla ludzkości przez samego Boga opiera się na ochotniczej pracy wykonywanej na rzecz innych ludzi bez żadnego materialnego wynagrodzenia. Celem owej ochotniczej pracy jest bowiem wypracowanie dla siebie niezwyklej nagrody którą wyznaczył sam Bóg, a która nazywana jest nirwaną. Aby uzyskać ową nirwanę, ludzie ochotniczo muszą pracować fizycznie z wysokimi motywacjami, przeznaczając owoce swojej pracy dla dobra innych ludzi. Po uzyskaniu zaś owej nirwany przeżywają oni tak niewypowiedzianą

szczęśliwość, że potem wcale nie jest im potrzebne jakiegokolwiek wynagrodzenie materialne za pracę. Po prostu będą oni kontynuowali swoją ciężką pracę fizyczną dla dobra innych tylko za przyjemność utrzymywania się w stanie owej nirwany. Owe niezwykle cechy nirwany powodują, że faktycznie w moralnie wysoko postawionych cywilizacjach nirwana zastępuje ziemskie pieniądze. (Przykładem takiej cywilizacji pracującej tylko dla nirwany, jest totalitarna cywilizacja której mieszkańców ludzie kiedyś uważali za "aniołów" opisanych na stronie o Bogu.) Stąd w takich cywilizacjach ochotnicza praca dla uzyskiwania nirwany staje się podstawą funkcjonowania całego społeczeństwa. W społeczeństwie takim przestają być potrzebne pieniądze. Ponadto, z uwagi na niemożność wypracowania nirwany jeśli ktoś postępuje niemoralnie, w takich społeczeństwach przestają być potrzebne także niedoskonałe ludzkie prawa - które tam zastępowane są przez tzw. prawa moralne. Owe prawa moralne stają się tam również fundamentem owego idealnego "ustroju nirwanowego" zaprojektowanego dla ludzi przez samego Boga.

Niestety, zanim ludzie się nauczą ochotniczo wypracowywać dla siebie nirwanę, najpierw ktoś musi pokazać im jak to czynić. Pokazania tego można dokonać na dwa sposoby. Jednym z nich jest sposób wyjaśniony na stronie o politycznej partii totalizmu. Mianowicie, aby go urzeczywistnić partia totalizmu musi najpierw wygrać wybory. Jednym zaś z pierwszych posunięć po zdobyciu władzy byłoby uformowanie przez tą partię właśnie takich ośrodków w których ludzie uczyliby się ochotniczo wypracowywać dla siebie nirwanę. Drugi sposób polega na uformowaniu takiego ośrodka nauczania nirwany poprzez charytatywną działalność jakiegoś przemysłowca lub finansisty. Dlatego, gdyby mi osobiście udało się kiedyś np. zrealizować któryś ze swoich wynalazków, np. zbudować fabrykę ogniów telekinetycznych, wówczas z całą pewnością starałbym się ustanowić we Wszewilkach właśnie taki ośrodek nauczający ochotniczego wypracowywania dla siebie nirwany.

#E2. Jak taki ośrodek wypracowywania totalitarnego nirwany by wyglądał i działał:

Aby ochotniczo wypracować dla siebie nirwanę, konieczne jest ochotnicze wykonywanie ciężkiej pracy fizycznej której całe wyniki przeznaczane mają być dla dobra innych ludzi. Tylko bowiem jeśli wyniki swojej pracy altruistycznie przeznacza się dla dobra innych ludzi, jest się w stanie wygenerować w sobie poziom i rodzaj motywacji jakie są konieczne dla wypracowania nirwany. Dlatego gdybym to ja organizował we Wszewilkach taki ośrodek wypracowywania nirwany, wówczas w tym celu zakupiłbym tam jakieś spore gospodarstwo rolne, zaś przy byłym historycznym ryneczku Wszewilek (tj. niedaleko od przystanku opisywanego na tej stronie autobusu okrężnego) zbudowałbym nowoczesną kuchnię z czystą i apetycznie wyglądającą jadłodajnią. Następnie tak zorganizowałbym działanie owego gospodarstwa rolnego, aby ochotnicy którzy by tam się zgłaszali aby wypracować dla siebie nirwanę, zabezpieczali w nim nieustanną produkcję najróżniejszych smacznych produktów żywnościowych. Z kolei owa świeża i smaczna żywność produkowana w owym gospodarstwie byłaby przetwarzana w kuchni na smacze, pożywne i dobrze balansowane posiłki. Posiłki te byłyby potem serwowane za darmo w przylegającej jadłodajni do użytku wszystkich ludzi z całej okolicy. Każdy więc kto tylko czułby się głodny, lub kto zechciałby spróbować posiłków przygotowanych w ramach wypracowywania nirwany, byłby mile goszczony w owej jadłodajni, oraz traktowany tam poczęstunkiem tych szczególnie smacznych i pożywnych obiadów oraz innych posiłków, rozdawanych gratisowo każdemu kto tylko by do jadłodajni owej zawitał.

Oczywiście, aby ochotnicy pracujący nad swoją nirwaną byli uwalniani od kłopotów i trosk dzisiejszego życia, owo gospodarstwo, kuchnia, oraz jadłodajnia, zaopatrzone byłyby dodatkowo w odpowiednią infrastrukturę wspomagającą wypracowywanie nirwany. I tak ochotnicy po przybyciu do owego ośrodka otrzymywaliby darmowe mieszkanie z pełnym umeblowaniem. Żywieni byłiby darmowymi i smaczными posiłkami podawanymi im w owej ośrodkowej jadłodajni. Ponadto otrzymywaliby za darmo odzież, obuwie, narzędzia pracy, urządzenia rozrywkowe, oraz wszystko inne co byłoby im potrzebne dla wiedzenia szczęśliwego i spełnionego życia oraz dla koncentrowania się na wypracowaniu dla siebie nirwany. Ich pobyt w ośrodku początkowo byłby akceptowany na

jeden rok. W przypadku jednak kiedy po owym roku tam pobytu faktycznie dany ochotnik mógłby się wylegitymować wypracowaniem dla siebie nirwany oraz wysoce moralnym zachowaniem, pobyt ten mógłby zostać przedłużony na następny rok, lub nawet na kilka lat.

Część #F: Odbudujmy historyczny ryneček Wszewilek:

#F1. Neo-romański kościółek z oddzielnie stojącą wieżą (m.in. widokową), hotel z restauracją, mall, oraz muzeum - czyli dzisiejsze odpowiedniki historycznych zabudowań ryneczka dawnych Wszewilek:

Motto: "Faktyczna i trwała zasobność, stabilność oraz szczęście powrócą do Wszewilek i Milicza, a także do innych okolicznych miejscowości, dopiero po tym jak Wszewilki odbudują swój historyczny ryneček."

W okolicach historycznego ryneczka Wszewilek stały kiedyś aż cztery budowle publicznego użytku. Było to: (1) stary romański kościółek z oddzielnie stojącą przy nim wieżą dzwonową, (2) karczma, (3) spichlerz na zboże, oraz (4) piekarnia. Sam zaś ryneček był pustym placem na jakim niemal każdego wieczora miejscowi rolnicy odbywali swoje wieczorne spotkania i pogawędki, który był obszarem cotygodniowych jarmarków dla sprzedarzy produktów rolnych, oraz na którym każdego roku odbywał się powtarzalnie słynny aż na kilka krajów jarmark koński. To właśnie na ów słynny jarmark koński przybył kiedyś do Wszewilek mój własny dziadek aż z Białorusi. To także na Wszewilkach jego doskonała znajomość koni tak urzekła pobliskiego właściciela ziemskiego, że wynajął on mego dziadka na swego koniuszego. Obecnie zarówno w miejscu owego placu-ryneczka, jak i w miejscach gdzie znajdowały się tamte budowle publicznego użytku, znajdują się jedynie głębokie wykopy w ziemi. Czas więc aby doły te ponownie zasypać ziemią, oraz aby pobudować nowoczesne odpowiedniki w miejscach gdzie kiedyś stały wszystkie owe budowle publicznego użytku. Wszakże "tylko kiedy dawny ryneček Wszewilek zostanie odbudowany, powróci długoterminowa zamożność, stabilność i szczęście do mieszkańców całej tej okolicy".

Oczywiście, w dzisiejszych czasach Wszewilki nie potrzebują już dokładnie takich samych budynków. Wszakże czasy karczmy czy śpichlerza na zboże już dawno minęły. Niemniej na ich miejsce warto wybudować budynki które będą je symbolizowały i zastępowały w nowoczesnej formie. Przykładowo, zamiast dawnej piekarni warto zbudować cały nowoczesny "mall" z supermarketem, restauracją, cukiernią, kawiarenką, piekarnią, bankiem, itp. Z kolei w miejsce śpichlerza warto zbudować nowoczesne muzeum które będzie uczyło, zabawiało i przyciągało odwiedzających. Karczmę warto zastąpić hotelem z własną restauracją i barem. Jedynie kościółek ja osobiście widziałbym celowo odbudowany w stylu "neo-romańskim" - tak aby dokładnie przypominał on swym wyglądem tamten historyczny kościół Wszewilek który kiedyś stał na jego miejscu. (Oczywiście, po otynkowaniu i upiększeniu nową elewacją wyglądałby on znacznie atrakcyjniej niż pokazuje to zdjęcie "Fot. #F1" poniżej.) Wszakże takie odtworzenie dawnego wyglądu owego kościoła byłoby wysoce symbolicznym wyrazem zwycięstwa dobra nad owym złem które przez kilka ostatnich wieków umęczało wieś Wszewilki, mieszkańców tej wioski, a także wszystkie inne okoliczne miejscowości. Szczerze mówiąc mi osobiście bardzo jest szkoda że NIE wygląda na to aby odbudowa ryneczku i kościoła Wszewilek kiedykolwiek została podjęta. Wszakże mój czas na Ziemi pomału zbliża się do końca, zaś NIE istnieje inne miejsce na świecie w którym życzyłbym sobie bardziej spocząć wraz z żoną niż właśnie przy takim odbudowanym kościółku z moich rodzinnych Wszewilek. (Być może to i lepiej - uchroni to wszakże Wszewilki przed doświadczaniem owych niezwykłych zjawisk które nieprzerwanie mają miejsce w moim pobliżu.)

Fot. #F1 (B3 z [10]): Powyższe zdjęcie przytaczam tutaj aby nim zilustrować jak wyglądał ów prastary kościół Wszewilek około 1870 roku - tj. na krótko przed tym zanim jego mury i piwnice zostały rozebrane, zaś jego gruzy użyte do budowy nasypu pod tory kolejowe przebiegające potem przez miejsce jego zlokalizowania. Zdjęcie pokazuje główne wejście do kościoła ujęte przy obiektywie aparatu skierowanym z zachodu na wschód. Kościół ten zbudowany był z nieregularnych brył tajemniczej tzw. "rudy darniowej" do dzisiaj znajdowanej na pobliskich łąkach koło koryta rzeki Barycz. Pochodzenie owego tajemniczego minerału-rudy prastarej Ziemi Milickiej dyskutowane jest w punkcie #F1 strony Wszewilki. W jego wnętrzu, wzdłuż ścian, wmurowanych było kilka płyt nagrobkowych upamiętniających co szacowniejszych synów Wszewilek. Z kolei z podziemi podobno wiódł niski tunel aż do jednego z grobów wszewilkowskiego cmentarza. Początkowo kościół Wszewilek był niską budowlą w stylu romańskim, zdolną też do wypełnienia funkcji obronnej. Jednak z czasem poddawany on był aż kilku przeróbkom i nadbudowaniom wysokości jego murów. Przeróbki te nieco zmieniły jego końcowy wygląd, tak że w czasach rozbiórki jego oryginalny romański styl architektoniczny był już rozmyty. Na lewo od głównego wejścia, kościół Wszewilek miał wieżę w dzwonem wiszącym na rodzaju drewnianej struktury "kozła" (nie uwidoczniona na tym zdjęciu). Wieża ta NIE posiadała dachu, tak że dzwon widoczny był od zewnątrz.

Więcej informacji o wszewilkowskim kościele przytoczone zostało w punkcie #C5 totalizacyjnej strony o kościele Św. Andrzeja Boboli w Miliczu, a także w punkcie #E1 strony o wsi Wszewilki.

#F2. Symboliczna wymowa moralna ewentualnego odbudowania historycznego ryneczka Wszewilek:

W przypadku gdyby historyczny ryneczek Wszewilek został pewnego dnia odbudowany, miałyby to ogromną wymowę moralną. Oznaczałoby to wszakże zwycięstwo dobra nad złem, a także odrodzenie się faniksa z popiołów. Wszakże nastąpiłoby to na przekór że owe szatańskie moce bez przerwy wyniszczają Wszewilki już od kilku kolejnych stuleci, oraz na przekór że moce te nie pozostawiły do dzisiaj nawet śladu po dawnym ryneczku tej wioski.

#F3. Co, dlaczego, oraz jak powinno zostać zbudowane w celu odbudowy historycznego ryneczka Wszewilek:

Historyczny rynek Wszewilek nie tylko powinien pełnić funkcję centrum handlowego, kulturalnego, oraz religijnego Wszewilek, ale także być wizytówką owej miejscowości. Dlatego cokolwiek tam by się nie budowało, powinno to być budowane z dużą dozą wyobraźni i pomysłowości. Przykładowo, albo główny budynek muzeum, albo choćby tylko wejście do muzeum (tj. jego przedsionek) proponowałbym zbudować w dokładnym kształcie, materiałach, wyglądzie, oraz zagospodarowaniu wnętrza, takiej jakie są albo w wehikule UFO typu K6, albo też nawet UFO typu K7. (Odnotuj że UFO typu K7 było nośnikiem bibilijnego raju - tak jak to wyjaśnione w podrozdziale P6.1 z tomu 14 mojej najnowszej monografii [1/5].

#F4. "Muzeum darmowej i samoodtwarzającej się energii we Wszewilkach" (lub w Miliczu) - czyli niewielka inwestycja która niezwykłością swoich eksponatów będzie przyciągała tłumy zwiedzających:

Wszewilki (a także Milicz) desperacko potrzebują tłumów wizytujących. Wszakże sumy wydawane przez dużą liczbę przyjezdnych wnosząby moc aby gospodarczo ożywić ten region jaki przecież nie może liczyć na czyjeś inwestycje przemysłowe. Aby jednak wielu wizytujących nabyło motywacji aby odwiedzić tą miejscowość, musi ona zaoferować im coś atrakcyjnego. Jak jednak narazie, z owym oferowaniem nie jest najlepiej. Najszybszym i najtańszym więc sposobem, aby Wszewilki (lub Milicz) mogły innym zaoferować coś unikalnego, jest zbudowanie dużego muzeum które będzie udostępniało swym zwiedzającym kolekcje jakie NIE są dostępne w żadnym innym miejscu na świecie. Wszakże sam budynek takiego muzeum Wszewilki (lub Milicz) mogłyby wystawić nawet w

czynnie społecznym. Z kolei eksponaty które ja proponuję tam wystawić, też daje się zdobyć głównie nakładem miejscowej pracy i umiejętności, a nie kapitału. W podpunktach które teraz nastąpią wskażę jakie moim zdaniem kolekcje mogłyby i powinny być wystawione w oym muzeum Wszewilek (lub Milicza) i potem szeroko reklamowane po świecie.

#F4.1. Najatrakcyjniejsze eksponaty które przyciągałyby do muzeum tłumy wizytujących to różne wersje konstrukcyjne urządzeń po łacinie zwanych "perpetum mobile" zaś w dzisiejszych językach nazywane "generatorami darmowej energii":

Istnieją urządzenia, które już udowodniły, że są w stanie przyciągać tłumy zwiedzających. Są to tzw. "perpetum mobile", obecnie zwane "generatorami darmowej energii". Kiedy szwajcarska komuna religijna o nazwie Methernitha pokazywała zwiedzającym posiadany przez siebie prototyp takiego właśnie urządzenia zwanego przez nich "thesta-distatica", każdego dnia zjeżdżały się tam tłumy ludzi. Z czasem przyjeżdżających zaczęło tam przybywać aż tak dużo, że Methernitha nie była w stanie panować nad sytuacją i zmuszona została aby przerwać swoje pokazy. Prototyp podobny do obecnie już znanej na całym świecie "thesta-distatica" jest również w stanie wystawić ewentualne muzeum we Wszewilkach (lub Miliczu). Tyle tylko, że muzeum to musi samo sobie prototyp ten zbudować. (Zasada działania tego urządzenia jest nam już dobrze znana.) Z uwagi właśnie na ową niezwykłą popularność urządzeń darmowej energii, moim zdaniem ewentualne muzeum we Wszewilkach (lub Miliczu) powinno zgromadzić i pokazywać już istniejące prototypy tych niezwykłych urządzeń. Szczególnie, że pierwszy naukowiec na świecie który miał odwagę aby zająć się naukowymi badaniami tych niezwykłych urządzeń na przekór że zostały one zadeklarowane "naukowymi tabu" jakich nie wolno ani badać ani budować, oraz który opracował wyjaśnienia dla zasad działania wielu z nich, wywodzi się właśnie z Wszewilek.

W chwili obecnej istnieją już działające prototypy, a także znane są zasady działania, dla całego szeregu takich "generatorów darmowej energii". Opisy kilku z nich zawarte są na totalizycznych totalizycznych stronach free_energy_pl.htm - o telekinetycznych generatorach darmowej energii. Nowopowstałe muzeum z Wszewilek (lub z Milicza), mogłoby zakupić prototypy tych z owych urządzeń, które obecnie daje się już nabyć, zaś wykonać samemu we własnym zakresie prototypy tych z owych urządzeń, których zasada działania jest już znana, jednak narazie nie daje się zakupić ich prototypów. Na dodatek do nich, ewentualne muzeum we Wszewilkach (lub Miliczu) mogłoby też pokazywać prototypy co bardziej niezwykłych urządzeń samoodtworzącej się energii, np. urządzeń które przechwytyją energię fal morskich, przyływów i odpływów morza, wiatru, ciśnienia atmosferycznego, słońca, zmian temperatury, itp., transformując ją na energię elektryczną, ruch mechaniczny, lub ciepło. Wylistujmy więc teraz w punktach kolejne z owych niezwykłych urządzeń których prototypy mogą i powinny znaleźć się w muzeum z Wszewilek (lub Milicza). Kolejność zestawień poszczególnych z takich urządzeń na poniższym wykazie odpowiada szacunkowej łatwości z jaką moim zdaniem dałoby się zdobyć działający prototyp danego urządzenia. Oto one:

(1) Radio kryształkowe. Było ono pierwszym urządzeniem darmowej energii produkowanym fabrycznie na Ziemi. Generowało ono energię dźwięku, nie wymagając przy tym żadnego zasilania w energię elektryczną. Jego dokładniejszy opis zawarty jest na stronie fe_cell_pl.htm - o telekinetycznych bateriach. Jestem pewien że gotowe radia kryształkowe ciągle poniewierają się na strychach starych domów Wszewilek.

(2) Grzałka soniczna (lub amfora z Pakistanu). W uproszczonej wersji "grzałki sonicznej", opisywanej na totalizycznej stronie boiler_pl.htm - o szokującej historii telekinetycznej grzałki która bije wszelkie rekordy, owo urządzenie generowało ciepło zagotowujące wodę, konsumując nieco energii elektrycznej. Może ono jednak być też budowane w znacznie udoskonalonej wersji "amfory z Pakistanu" (też opisanej na w/w stronie boiler_pl.htm), w której generuje energię cieplną zagotowującą strumień omywającej je wody, nie wymagając zasilania w żadną formę energii.

(3) Puszka Vidi'ego. Puszka taka typowo jest użyta w domowych barometrach. Ugina się ona bowiem w miarę zmiany ciśnienia atmosferycznego. W dawnych czasach po

podłączeniu jej do zmyślnego mechanizmu używana ona była do napędzania zegarów które NIE wymagały "nakręcania". Mechanizm taki "nakręcał" bowiem sprężynę zegara za każdym razem kiedy ciśnienie atmosferyczne ulegało zmianie w dowolnym kierunku. Taki zegar nazywany "Atmospheric Clock", który NIE wymaga "nakręcania" bowiem wiecznie napędzany jest on omawianą tu "puszką Vidi'ego", znajduje się m.in. w muzeum zwanym "Clapham's Clock Museum", z miasteczka Whangarei w Nowej Zelandii.

(4) Mechaniczne perpetum mobile które obraca się na zasadzie "efektu Coriolisa" (tj. koło zamachowe wiecznie napędzane ruchem obrotowym Ziemi). Jest to po prostu doskonale wyważone i dobrze ułożyskowane masywne koło zamachowe, którego oś obrotu jest równoległa do osi obrotu planety Ziemia. Kiedy więc Ziemia obraca się w swoim dobowym cyklu ruchu obrotowego, takie masywne koło zamachowe zgodnie z działaniem tzw. "efektu Coriolisa" pozostaje nieruchome w odniesieniu do naszego układu słonecznego, czyli zwolna obraca się w odniesieniu do Ziemi do której jest ono założyskowane. Koło to wykonuje jeden pełny obrót na dobę (czyli obrót o 15 stopni co każdą godzinę). Jeśli inercja tego koła jest sporego rzędu (np. około 1 tony), zaś jego masa rozmieszczona w pobliżu obwodu dla zmaksymalizowania jego momentu bezwładności, koło takie może dostarczyć wystarczającego momentu napędowego który byłby w stanie napędzać jakiś niewielki generator elektryczności. Tyle tylko że problem wymagający wówczas technicznego rozwiązania polega na zbudowaniu przekładni która jeden obrót na dobę zamieniałaby na wymagane przez taki generator elektryczności co najmniej jeden obrót na sekundę, czyli która miałaby przełożenie co najmniej 1:86400. Zbudowanie takiej przekładni byłoby więc sporym wyzwaniem technicznym. Wszakże zwykłe przekładnie zwielokrotniające działające na zasadzie kół zębatych, przy tak dużym przełożeniu same by się blokowały własnym tarciem. Z kolei w przekładniach hydraulicznych ich przecieki przekraczałyby wydajność pompującą. Opis tego niezwykłego "perpetum mobile" obracającego się na zasadzie efektu Coriolisa po raz pierwszy był przytoczony i dyskutowany w lutym 2008 roku, m.in. na grupie dyskusyjnej groups.google.com/group/pl.sci.fizyka/browse_thread/thread/6f0835cb1d0ac861/5e0d7235dc43c262?lnk=raot#5e0d7235dc43c262.

Ewentualne muzeum we Wszewilkach (lub Miliczu) mogłoby zamówić sobie zbudowanie takiego koła zamachowego u miejscowych rzemieślników. Szczególnie że wymagane do jego budowy już gotowe koła zamachowe o doskonałym wyważeniu i ułożyskowaniu istniały kiedyś w dawnych wodociągach z Wszewilek. (Wodociągi te opisane i zilustrowane są w punkcie #D2 strony [wszewilki.htm](#) - o historii i niezwykłościach wsi Wszewilki.) Z braku zaś tamtych kół zamachowych, do jego budowy dałoby się także użyć jakiegoś dużego koła ze złomowanej lokomotywy. Z kolei tylko dla potrzeb wizualnego zademonstrowania w muzeum że owo perpetum mobile faktycznie działa, wcale nie byłaby potrzebna przekładnia 1:86400, a wystarczyłaby przekładnia zwielokrotniająca o przełożeniu 1:1440 - która typowo używana była w dawnych zegarach mechanicznych. Taka przekładnia zamieniałaby jeden obrót na dobę na jeden obrót na minutę - czyli połączona z nią wskazówka obracałaby się z wyraźnie wzrokowo widoczną prędkością rotowania wskazówki sekundowej w dzisiejszych zegarkach.

Opisywane tutaj mechaniczne perpetum mobile obracające się na zasadzie efektu Coriolisa miałyby rewolucyjne znaczenie dla wszystkich oglądających. Wszakże psychologicznie przełamywałoby ono w nich tamto błędne i wysoce szkodliwe przekonanie wpojone ludziom przez dzisiejszą naukę ziemską, a stwierdzające że "urządzeń perpetum mobile NIE daje się zbudować". Dowodziłoby ono przecież ilustracyjnie, że jednak daje się budować perpetum mobile, oraz że po zbudowaniu urządzenia te faktycznie działają. Z kolei po przełamaniu w sobie owego błędnego przekonania, ludzie być może zaczną w końcu eksperymentować z urządzeniami perpetum mobile działającymi na innych zasadach, które będą gwarantowały znacznie większą wydajność energetyczną. Przykładowo, być może zaczną w końcu budować tzw. "ogniwa telekinetyczne" których zasada działania i budowa od dawna opisywane są na totalizacyjnych stronach [fe_cell_pl.htm](#) - o bateriach telekinetycznych.

Niniejsze koło zamachowe rotowane wieszacie efektem Coriolisa znacznie

dokładniej niż tutaj zostało opisane w punkcie #F1 strony internetowej free_energy_pl.htm - o telekinetycznych generatorach darmowej energii.

(5) Piramida telepatyczna. Pokazana jest ona na stronie telepathy_pl.htm - o telepatii i urządzeniach wykorzystujących fale telepatyczne, a także w podrozdziale K2 z tomu 9 mojej najnowszej monografii [1/5]. Pozwala ona na wymianę myśli bez potrzeby bycia zasilaną w jakąkolwiek energię.

(6) Wieczna lampka. Jeden z wynalazców eksperymentujących nad urządzeniami darmowej energii zbudował rodzaj lampki która świeci nieprzerwanie już od kilku lat, nie wymagając żadnego zasilania. Narazie lampki owej nigdzie jeszcze nie opisałem.

(7) Thesta-distatica. Opisana jest ona na stronie free_energy_pl.htm - o telekinetycznych generatorach darmowej energii, a także w podrozdziale LA2.3 z tomu 10 mojej najnowszej monografii [1/5]. Jej prototyp NIE jest do nabycia. Jednak przy odrobinie dobrej woli oraz wzajemnej współpracy, dałby się on zbudować wspólnym wysiłkiem rzemieślników i zakładów Milicza. Jej dostępność w danym muzeum przyciągałaby do niej tłumy zwiedzających, jest ona bowiem ogromnie sławna i to na całym już świecie.

* * *

Oczywiście, aby tym efektywniej przyciągać zwiedzających, ewentualne muzeum we Wszewilkach (lub w Miliczu) powinno NIE tylko posiadać działające prototypy kilku z wymienionych powyżej generatorów darmowej energii, ale także każdego dnia o dogodnej dla zwiedzających godzinie (np. o 17:00) powinno ono organizować pokazy działania owych urządzeń.

#F4.2. Komu kolekcję ornamentalnych świnek - czyli "zbudujcie muzeum a niektóre eksponaty same Was znajdą":

Motto: "Bez entuzjazmu to nawet świnki nie zabłądzą do Wszewilek."

Komu kolekcję świnek, komu kolekcję świnek? Mam znajomą o bardzo uczynnym i prawym charakterze. Jej zdjęcie i część jej prywatnej kolekcji świnek można sobie oglądać na totalizycznej stronie internetowej pigs_pl.htm - o ornamentalnych świnkach z chińskiego (urodzinowego) zodiaku zwierzęcego. Znajoma ta jest Chinką która urodziła się w tzw. "roku świni". W chińskiej zaś kulturze znak zodiaku dla roku w którym ktoś się urodził ma wielkie znaczenie. Nic więc dziwnego, że moja znajoma całe swe życie kolekcjonowała najróżniejsze ornamentalne świnki. A pochodziła z bogatej rodziny - miała więc środki do budowania swej kolekcji. Nawet ja za każdym razem kiedy wiem że będę ją odwiedzał, kupuję dla niej coś o kształcie świnki. Jej duże mieszkanie dosłownie przelewa się od figurynek, rysunków i wzorów świnek o najróżniejszym wyglądzie, zachowaniu i przeznaczeniu. Moim zdaniem jej prywatna kolekcja świnek - jeśli nie jest największą w świecie, to jest jedną z największych w świecie. Wśród jej kolekcji znajduje się wiele prawdziwych pereł zodiakowskich świnek. Przykładowo, ma ona ceremonialne czajniczki w kształcie świnek, które używane są podczas chiskich ceremonii herbaty (po angielsku "tea ceremony") dla osób urodzonych w roku świni. Takie zaś ceremonie to wielkie wydarzenia. Zawsze odbywają się one z ogromną pompą przy jakichś wyjątkowo "auspicious" okazjach. Ja żyłem wśród Chińczyków przez wiele lat, a takie ceremonie herbaty widziałem jedynie dwa razy. Moja znajoma ma też prawdziwą chińską "świnkę fortuny" - niezwykle rzadki okaz. Tak jakoś się składa, że moja znajoma chce całą tą swoją kolekcję świnek darować (całkowicie za darmo - chociaż warta jest ona fortunę) jakiemuś muzeum. Jedynym warunkiem jaki stawia ona na ową darowiznę jest, aby muzeum to wystawiło jej kolekcję na jakiejś stałej wystawie udostępnionej ludziom do nieustannego oglądania. Znajoma ta zwróciła się do mnie abym znalazł dla tej kolekcji jakieś muzeum chętne do przyjęcia takiego daru.

Podczas swojej profesury na Wyspie Borneo w latach 1996 do 1998 mieszkałem w mieście nazywającym się Kuching. (Jest to stolica ogromnej prowincji Sarawak z północnego Borneo.) W miejscowym języku słowo "Kuching" oznacza "kot", a ściślej intymną nazwę dla dużego kota - nieco podobną do polskiego słowa "kotek" (tyle że

oznaczającą dużego kota). Oczywiście, w mieście nazywającym się "kotek", kotki są praktycznie wszędzie. Niemal na każdym więc większym skrzyżowaniu są tam ogromne rzeźby kotów. Najciekawsze jest jednak muzeum kotów zlokalizowane w nowoczesnym budynku ratusza z północnej części tego miasta (tj. w tzw. Bukit Sroi z Petra Jaya). Jest to bardzo duże muzeum w całości poświęcone najróżniejszym eksponatom i wystawom kotów. (Podobno największe na całym świecie.) Znaleźć tam więc można najróżniejsze figurynki kotów, zdjęcia kotów w najdziwniejszych pozach i sytuacjach, reprodukcje słynnych obrazów z kotami, dowcipy o kotach, druki i reklamy z kotami, filmy o kotach, itd., itp. Ja osobiście uważam owo muzeum kotów z Kuching za jedno z najciekawszych muzeów jakie odwiedziłem w swoim całym życiu. Gorąco rekomenduję każdemu kto będzie przejeżdżał przez owo miasto aby do niego wstąpił. Muzeum to jest też ogromnie popularne. Wielu turystów zjeżdża się do Kuching z całego świata tylko po to aby zobaczyć tamto muzeum. Sporo ludzi z całego świata wysyła też tamtemu muzeum wszelkie ciekawostki na temat kotów. Przykładowo, ja sam niedawno w Nowej Zelandii znalazłem bardzo zabawną reklamę "pałacu masażu" - która pokazuje jednego kota ubranego w śmieszny kostium masażysty udzielającego masażu innemu kotowi z turbanem z ręcznika na głowie. Już zabezpieczyłem tą reklamę aby ją przekazać owemu muzeum kotów podczas mojej następnej wizyty w Kuching.

Pamiętając owo muzeum kotów z Kuching, w chwili kiedy moja znajoma zleciła mi trudną misję znalezienia muzeum dla jej kolekcji świnek, natychmiast pomyślałem sobie o polskich miejscowościach zwanych "Świnki" oraz "Świniary". W Polsce są bowiem dwie wioski zwane "Świnki", oraz 15 miejscowości zwanych "Świniary". Niestety, z moich poszukiwań w internecie wynika, że wszystkie one to niewielkie wioski od około 10 do 600 mieszkańców. Żadna więc z tych wiosek prawdopodobnie nie posiada własnego muzeum, ani zapewne nie zamierza zafundować sobie muzeum. Prawdopodobnie więc jedynym miejscem w Polsce które jest wystarczająco duże aby posiadać specjalistyczne "muzeum świnek", w jakim kolekcja ornamentalnych świnek mojej znajomej mogłaby zostać wystawiona, jest Świnoujście. Pechowo jednak, na odległość z przeciwległej półkuli świata nie jestem w stanie sprawdzić czy owa miejscowość byłaby skłonna otworzyć własne muzeum z obszerną kolekcją świnek. Wszakże w Polsce panuje opinia, że jeśli coś nie reprezentuje części rakiety, wyrzutni torpedowej, albo dawnej broni, wówczas nie nadaje się do pokazania w muzeum.

W związku z prawdopodobnym brakiem szansy abym znalazł w Polsce miejscowość zawierającą słowo "swinki" w swej nazwie - zaś ta przyjęła dar mojej znajomej i utworzyła dla świnek specjalistyczne muzeum, mam tutaj propozycję dla Wszewilek. Propozycja ta stwierdza co następuje: "Wszewilczanie - zbudujcie sobie szybko muzeum, a ciekawe eksponaty do wystawienia same Was znajdą". Wszakże Wszewilki mogłyby otworzyć u siebie muzeum poświęcone właśnie jakiejś tematyce w rodzaju "Muzeum stworzenia" czy "Muzeum Natury i Człowieka". W takim muzeum stałoby się poręczne wystawienie wszelkiego rodzaju ciekawostek i eksponatów natury, w rodzaju historii milickiego karpia, wiedzy na temat pożytecznych stworzonek zwanych "pająkami" które polują na wszystko co lata lub co przylatuje na Ziemię - włączając w to UFO-nautów (to na wypadek gdyby kiedyś Wszewilki-Stawczyk zostały przemianowane na "Pajakowo" lub "Pajakville" - tak jak to jest zasugerowane we wstępie do strony o wsi Wszewilki), a także ornamentalnych świnek z chińskiego urodzinowego zodiaku zwierzęcego. Tyle że z budową owego muzeum we Wszewilkach trzeba by się spieszyć, aby z nim zdażyć zanim moja znajoma rozdysonuje swoją kolekcję. Między nami mówiąc, to gdyby we Wszewilkach faktycznie powstało jakieś muzeum, wówczas ja sam mam sporą kolekcję monet i banknotów - które też chętnie bym mu podarował. (Niektóre z tych monet oryginalnie pochodzą zresztą z Wszewilek, jako że znalezione były przeze mnie właśnie na Wszewilkach.) Wprawdzie moja kolekcja monet i banknotów nie jest aż tak rozległa jak ta wystawiona w muzeum monet i banknotów prowadzonym przez Ministerstwo Skarbu i Finansów Malezji, a zlokalizowanym tuż przy centralnym placu Kuala Lumpur (gorąco polecam każdemu odwiedzenie tego muzeum - aż bowiem zatyka w nim dech; m.in. wystawia ono niemal wszystkie polskie monety i banknoty), jednak ciągle mam kilka

ciekawych i rzadkich okazów. Jestem też pewien, że istnieją czytelnicy tej strony jacy też chętnie by się przyłączyli do wspierania muzeum we Wszewilkach - i również by mu przekazali swoje kolekcje. (Czytelnicy mający jakąś prywatną kolekcję którą byliby skłonni podarować ewentualnemu muzeum we Wszewilkach - jeśli takie powstanie, proszeni są o wysłanie mi emaila informującego jaką kolekcję deklarują. Ja zaś ich deklarację-informację udostępnię Wszewilkom.)

Bardzo interesującą inicjatywę zrealizowało Narodowe Muzeum Nowej Zelandii zwane Te Papa. Mianowicie, wyodrębniło ono całą wystawę poświęconą palmie kokosowej oraz najróżniejszym produktom jakie z palmy tej się otrzymuje. (Nowa Zelandia ma klimat podobny do Polski. Palmy kokosowe w niej więc nie rosną. Jednak z przyczyn kulturalnych Nowozelandczycy interesują się żywo palmą kokosową podobnie jak czynią to Polacy.) Wystawa ta jest oparta na legendzie z obszaru Pacyfiku, którą opisałem dokładniej na odrębnej stronie internetowej [fruit_pl.htm](#) - o tropikalnych owocach. Legenda ta stwierdza, że Bóg dał palmę kokosową mieszkańcom ubogich wysp koralowych, aby palma ta zastąpiła sobą wszelkie inne dobra które otrzymali od Boga mieszkańcy dużych kontynentów. W rezultacie, niemal żadna inna roślina na Ziemi nie jest źródłem aż tylu najróżniejszych produktów co właśnie palma kokosowa. Podobną wystawę mogłoby więc też zrealizować muzeum we Wszewilkach. Szczególnie że wiele produktów palmy kokosowej można obecnie nabyć w polskich sklepach. (Przykładowo w Polsce są już dostępne: owoce kokosowe, margaryna palmowa, mleczko kokosowe i śmietanka kokosowa, olejki kokosowe, mydła kokosowe i kosmetyki z kokosów, lekarstwa z kokosów, koszyki i maty plecione z liści kokosowych.) Inne zaś eksponaty dla takiej wystawy, przykładowo próbki liści palmy kokosowej, przekroje pnia kokosowego, czy próbki owoców kokosowych w różnych stadiach rozwoju, ja mógłbym dostać owemu muzeum. Mam wszakże do nich dostęp w trakcie moich licznych podróży po świecie. Podobnie mógłbym też dostać próbki piasku koralowego, koralu oraz najróżniejszych muszli. Często bowiem bywam na tropikalnych wyspach koralowych. Ponadto to właśnie przy Nowej Zelandii gdzie ja mieszkam żyje najpiękniejsza muszla świata - tj. słynna paua.

Oczywiście, aby zbudować muzeum we Wszewilkach (lub Miliczu) konieczny jest entuzjazm, zapał i pasja. Od czasu zaś kiedy moje pokolenie opuściło Wszewilki nawiązałem z owym entuzjazmem, zapałem i pasją nie jest tam najlepiej.

#F5. Jak technicznie zorganizować ustanowienie muzeum we Wszewilkach (lub Miliczu):

Ustanowienie muzeum to prosta sprawa - jeśli się wie jak do tego należy się zabrać. A jak to uczynić doskonale nam wskazuje model od dawna z powodzeniem stosowany w Nowej Zelandii. Nowa Zelandia jest bowiem krajem w którym nie tylko przypada 1000 owiec na jednego mieszkańca, ale także w którym na każdych 1000 mieszkańców wypada jedno muzeum. Muzea w Nowej Zelandii znajdują się nawet w maleńkich wioskach. Czasami wioski te są tak małe, że - jak miejscowi żartują, "podczas przejeżdżania przez owe wioski nie wolno mrugnąć, bo się przeoczy ich istnienie". Jednak ciągle wioski te będą posiadały własne muzea. Co ciekawsze, w muzeach tych zawsze jest pełno interesujących eksponatów. Stąd kiedy się przez nie przejeżdża warto do nich zaglądnąć. Z całą pewnością znajdzie się w nich coś ciekawego i uczącego. Na dodatek, wstęp do niemal wszystkich owych muzeów Nowej Zelandii jest za darmo. Są one bowiem obsługiwane w czynie społecznym przez miejscowych entuzjastów. Państwo także przyznaje spore dotacje na ich cele. Wszakże one uczą oraz konserwują miejscową kulturę, zabytki i wiedzę historyczną. (Po muzeach tych często lokalne szkoły oprowadzają swoich uczni.) Jednak większość funduszy i eksponatów owych muzeów pochodzi z dotacji prywatnych ludzi oraz ze sprzedaży zwiedzającym miejscowych pamiątek. Niemal każde takie muzeum ma też własny kiosk lub sklep z pamiątkami. Wiele z nich ma nawet własną restaurację.

Jak więc Nowozelandczycy osiągnęli tak wysokie nasycenie swego kraju muzeami. Ano każda ich miejscowość, nawet ta najmniejsza, posiada lokalne stowarzyszenie miłośników danej miejscowości. Gdyby więc Wszewilki zechciały powielić u siebie tamten doskonale działający model nowozelandzki, wówczas też musiałyby zacząć

od powołania u siebie "Stowarzyszenia Miłośników Wszewilek", albo też "Klubu Miłośników Historii Wszewilek". Owe nowozelandzkie stowarzyszenia miłośników danych miejscowości, to bezdochodowe organizacje harytatywne. Jako takie nie muszą one płacić podatków - chociaż są oficjalnie uznawane jako ciała prawne i żadna decyzja dotycząca danej miejscowości nie dokonuje się bez ich wglądu i konsultacji. To właśnie owe stowarzyszenia organizują i prowadzą miejscowe muzea Nowej Zelandii. Muzea te są też zwykle otwierane i obsługiwane w czynie społecznym przez członków owych organizacji.

Kolejną sprawą w powołaniu muzeów Nowej Zelandii jest budynek w jakim dane muzeum się mieści. W większości przypadków budynek taki pochodzi z darowizny. Mianowicie, jeśli w danej miejscowości istnieje jakiś budynek który jest opuszczony lub nie ma właściciela, tak jak np. budynek byłych wodociągów przy Wszewilkach, wówczas budynek ten jest darowywany (nieodpłatnie) do utrzymania i zagospodarowania właśnie owej miejscowej organizacji miłośników danej miejscowości. Darującym zwykle jest albo właściciel opuszczonego budynku - który np. zapisuje go temu towarzystwu w testamencie, albo rodzina właściciela, albo też państwo - jeśli opuszczony budynek należy do państwa. Po otrzymaniu budynku, towarzystwo owo zwykle go odnawia i maluje, wszystko w czynie społecznym, poczym organizuje w nim właśnie miejscowe muzeum. W muzeum tym zwykle też otwiera sklep z pamiątkami, oraz przygotowuje miejsce swoich spotkań. Jeśli jednak nie ma w pobliżu takiego budynku, wówczas owe towarzystwa organizują budowę budynku muzeum dokonywaną w czynie społecznym przez wszystkich mieszkańców danej miejscowości.

Gdyby Wszewilki zdecydowały się kiedyś zbudować sobie budynek muzeum w czynie społecznym, wówczas moim zdaniem najlepszą jego lokalizacją byłoby poblizie miejsca gdzie obecnie znajduje się opuszczony i zaniedbany basen przeciwpożarowy. To bowiem właśnie przy owym miejscu w przeszłości znajdowało się historycznie najważniejsze skrzyżowanie Wszewilek - m.in. z milickim odgałęzieniem byłego "Bursztynowego Szlaku" przebiegającego przez ową wieś i potem wiodącego dalej przez Pomorsko do Gniezna. W pobliżu też owego miejsca kiedyś zapewne będzie odchodziła droga (obwodnica) do Sławoszewic - jakiej zbudowanie proponuję wcześniejszą częścią tej strony. Zbudowanie bowiem muzeum właśnie w owym miejscu byłoby zaczątkiem odbudowy historycznego ryneczka Wszewilek. Szczególnie że zapewne już wkrótce tory kolejowe przez Wszewilki zostaną rozmontowane, zaś całe Wszewilki będą mogły się ponownie zjednoczyć i po wiekach "dzielenia i rządzenia" wrócić do swojej oryginalnej scalonej formy.

Część #G: "Otwarcie sobie okna do szczęścia" - powód dla jakiego każdy chętnie będzie wracał do Wszewilek:

#G1. We Wszewilkach marzenia się wypełniają - nie ma więc lepszego miejsca dla wzięcia ślubu:

W pobliżu Wszewilek znajduje się silny czakram energetyczny Ziemi - tak jak to wyjaśnione na odrębnej stronie o Wszewilkach. Z powodu tego czakramu, Wszewilki są sprawdzonym w działaniu miejscem gdzie marzenia się wypełniają. Jeśli więc ktoś czyni w swoim życiu coś czego powodzenie zależy właśnie od wypełnienia się marzeń, wówczas radziłbym tego dokonać właśnie we Wszewilkach. Przykładowo, radziłbym brać ślub we Wszewilkach, lub choćby spędzić tam swój miodowy miesiąc.

#G2. Nasączmy się optymizmem Wszewilek - warto tam śledzić drogę od upadku do szczęścia:

Mieszkańcy Wszewilek, tak jak ich pamiętam, są wysoce optymistyczni. Warto więc spędzić wśród nich jakiś czas aby nasaczyć się ich optymizmem. Z kolei ich optymizm pomoże nam potem osiągać własne sukcesy w życiu.

Wszewilki są bardzo szczególnym miejscem. Wszakże są one kolebką filozofii totalizmu. Warto więc obserwować i fotograficznie dokumentować jak będą się dalej toczyły

losy tej niezwyklej miejscowości.

#G3. Wykorzystajmy czakram, grawitację i powietrze Wszewilek aby zakosztować snów jakie ożywiają i stabilizują:

Jest coś niezwyklego w powietrzu, czakramie, czy grawitacji Wszewilek. Powoduje to że nocami spi się tam wyjątkowo dobrze, oraz że nocny wypoczynek jest tam szczególnie ożywiający i komfortujący. Szczerze mówiąc, to w swoich licznych podróżach po świecie nie spotkałem jeszcze innego miejsca w którym by się spało nawet lepiej niż we Wszewilkach. Jedyne miejsce na świecie, w którym z jakichś powodów wypoczynek nocny jest równie efektywny i przywracający energię jak wypoczynek nocny we Wszewilkach, są Błonie pod Warszawą. (Ciekawe co wspólnego ze sobą mają obie te miejscowości.) Dlatego osobiście każdemu radzę, że jeśli ma ku temu okazję aby zatrzymał się na kilka nocy właśnie we Wszewilkach i doświadczył osobiście jak wspaniale się tam śpi. Trzeba tylko pamiętać, że aby doświadczyć całej wspaniałości snu, trzeba się tam zatrzymać na więcej niż jedną noc. Pierwszej bowiem nocy po przyjeździe możemy być ciągle nienawykli do łóżka jakie nam tam będzie zaoferowane.

Część #H: "Organiczne rolnictwo" - czyli powrót Wszewilek do zdrowych tradycji:

#H1. Dlaczego wszyscy rolnicy Wszewilek powinny powrócić do zasad "organicznego rolnictwa":

Dosłownie od tysiąca już lat rolnicy Wszewilek gospodarowali w sposób który obecnie opisywany jest modną nazwą "organiczny". Znaczy nie używali oni ani nawozów sztucznych, ani pestycydów, ani żadnych innych chemikaliów czy inżynierii genetycznej. Osobiście też pamiętam, że tak na Wszewilkach wszyscy gospodarowali ciągle nawet i już w moich czasach. Należy więc dołożyć wszelkich starań, aby owa odwieczna tradycja "organicznego rolnictwa" kultywowana była nadal we Wszewilkach. Wszakże leży ona w wielowiekowej historii owej wsi. Każdy też kto zechce nabywać produkty organicznego rolnictwa powinien być w stanie przybyć do Wszewilek i nabyć je od dowolnego z tamtejszych rolników.

#H2. Stworzenie unikalnej "brand name" dla produktów rolnych z Wszewilek - nazywając je "Wszewilki":

"Szlachectwo zobowiązuje". Wszystko co wywodzi się z Wszewilek ma moralny obowiązek aby być najwyższej jakości. Wszakże Wszewilki to kolebka totalizmu. Totalizm zaś nie uznaje ani nie toleruje tandety, braków, oszustwa, itp. Dlatego osobiście sugeruję, aby na wszystko co nosi na sobie nazwę Wszewilki miało ochotniczo nałożony najwyższe z możliwych wymogi jakościowe.

Część #I: Blisko do natury - a więc i blisko do Boga. W harmonii z naturą - a więc i w harmonii z Bogiem:

#I1. Dlaczego Wszewilki są miejscem gdzie ludzie kontaktują się z naturą:

Z jakichś powodów Wszewilki są jak rodzaj naturalnego "Domu Bożego" istniejącego bez zabudowań. W naturze owej wioski panuje bowiem jakaś unikalna atmosfera niemal świętości. Czuje się tam niemal tak jakby obok nas przechadzał się osobiście sam Bóg. Przy okazji najbliższego pobytu we Wszewilkach proponuję przez chwilę wsłuchać się we własne doznania aby odebrać obecność owej niezwyklej atmosfery.

W wielu miejscach na świecie istnieją święte źródła. Jeśli ktoś napije się z nich wody, jego życzenia mogą zostać cudownie wypełnione przez samego Boga. We Wszewilkach rolę takiego świętego źródła wypełnia tamtejsze powietrze. Jeśli powietrzem tym się pooddycha, wówczas nasze silne życzenia i marzenia również cudownie mogą zostać wypełnione.

Część #J: Tajemniczy wgląd do przyszłości - czyli jak moja rodzinna wieś faktycznie będzie wyglądała:

#J1. Nasze życzenia a rzeczywistość - czyli NIE wszystko się spełni co opisane na tej stronie:

Każdy z nas zna jakiś fragment przeszłości którą już przeżył. Jednak tylko ogromnie nielicznym ludziom dane było poznać jakiś fragment dalekiej przyszłości. Ja jestem jednym z owych ogromnie nielicznych ludzi którzy dostąpili tego zaszczytu. Niezwykłość tej mojej wizyty w przyszłości polega na tym że ja jestem naukowcem który właśnie bada działanie czasu. Mogłem więc NIE tylko widzieć, ale i rozumieć. Poniżej opiszę tak to się stało i co zobaczyłem w dalekiej przyszłości.

Na swoje 63 urodziny w 2009 roku otrzymałem niezwyklej prezent od jakiejś tajemniczej mocy. Mianowicie pourodzinowej nocy zabrany zostałem na wizytę do Wszewilek-Stawczyka z dalekiej przyszłości (czyli do wioski w której się urodziłem). Mogłem więc na własne oczy się przekonać jaka proporcja z opisywanych na tej stronie moich projektów dla Wszewilek-Stawczyka, faktycznie zostanie wdrożona w życie. Muszę tutaj przyznać że częściowo wówczas się rozczarowałem - tylko niektóre z projektów i idei jakie opisałem na tej stronie faktycznie zostaną wdrożone w przyszłości. Jak więc zwykle, rzeczywistość okaże się NIE we wszystkim zgodna z życzeniami. Przykładowo, owe szkaradne doły na miejscu byłego historycznego ryneczka Wszewilek nigdy nie zostaną zasypane, zaś ów ryneczek nigdy NIE będzie już odbudowany. Mój Przewodnik po przyszłości mi powiedział, że zasypianie tych dołów uznane zostanie za nieekonomiczne, zaś odbudowanie ryneczka w tym miejscu uważane będzie za nieuzasadnione przyszłą funkcją i umiejscowieniem osiedla Wszewilki-Stawczyk. Dlatego owe doły będą jedynie upiękzone i wykorzystane poprzez posadzenie w nich maskującego je lasu-parku. Podobnie we Wszewilkach nigdy NIE zostanie już odbudowany dawny kościółek. Mój Przewodnik mi powiedział że jeśli ktoś zechce odwiedzić kościół wówczas w dobie doskonałych środków transportowych okazuje się bardziej racjonalne wybranie się do kościoła w Miliczu. Na szczęście kilka innych z projektów opisanych na tej stronie będzie jednak w przyszłości urzeczywistnione we Wszewilkach-Stawczyku. Opiszę je w tej części strony. Jednak zanim rozpocznę ich omówienie najpierw kilka słów informacji o owej mojej pourodzinowej wizycie we Wszewilkach-Stawczyku z dalekiej przyszłości.

#J2. Mój sen czy też "podróż do przyszłości" - czyli dziwna tajemnica tego co mi pokazano:

Z moich badań naukowych nad podróżowaniem przez czas (opisanych m.in. na stronie [immortality_pl.htm](#)) jest doskonale wiadomo, że przeniesienie się ciałem do dalekiej przyszłości jest technicznie możliwe. Możliwe jest bowiem zbudowanie tzw. wehikułów czasu. Jednocześnie z innych moich badań nad naturą i cechami ludzkiej duszy (opisanych m.in. na stronie [soul_proof_pl.htm](#)) jest mi też wiadomo, że dusza ludzka posiada wiele nadprzyrodzonych możliwości które m.in. obejmują również jej zdolność do przenoszenia nas do dalekiej przyszłości lub przeszłości. Chociaż więc osobiście NIE jestem w stanie ustalić którym z owych dwóch odmiennych sposobów przemieszczenia mnie w daleką przyszłość zostałem obdarowany w urodzinowym prezencie z 2009 roku, wiem że z całą pewnością odwiedziłem swoją rodzinną wieś w dalekiej przyszłości. Na własne też oczy widziałem jak wieś ta będzie wówczas wyglądała.

Moja podróż w przyszłość miała miejsce w trakcie nowozelandzkiej nocy (we Wszewilkach-Stawczyku był wówczas piękny, słoneczny, ciepły, letni dzień). Doskonale wiedziałem że jestem zabrany na wizytę w przyszłość. Tyle że NIE poinformowano mnie do jakiego konkretnie roku czy czasu. Podróż ta była ogromnie tajemnicza i wieloznaczna. Technicznie można by ją uważać za "sen". Jednak odnotowałem w niej cały szereg cech które wszystkie zaprzeczały iż mogła ona być tylko "snem". Przykładowo, sny zawsze zdarzają się albo "teraz" albo w "przeszłości". Tym zaś razem ja dokładnie wiedziałem że zabrany byłem w daleką przyszłość do której fizycznie wcale NIE dożyję. W normalnym

śnie zawsze też od razu jesteśmy "na miejscu" zdarzeń. Tymczasem na moją wizytę we Wszewilkach przyszłości musiałem najpierw przelecieć z Nowej Zelandii, początkowo przez morze (wodę) a potem przez ląd, bardzo dziwnym i ogromnie szybkim wehikułem. Typowy sen kończy się przebudzeniem i typowo szybko się go zapomina. Moja zaś wizyta we Wszewilkach przyszłości kończyła się powrotnym przelotem do Nowej Zelandii po którym spałem jeszcze przez długi czas - jednak już bez snu. Podróż ta utkwiała mi też w pamięci na zawsze. Faktycznie też czuło się ją jak rzeczywiste zdarzenie. Przykładowo, podczas opisanego tu wizytowania rodzinnej wsi wyraźnie czułem gorąco słońca, powiew wiatru, a nawet zapach wody - w normalnych snach nic takiego się NIE czuje. Oglądałem też stan rzeczy który później po analizie okazał się całkowicie logiczny, jednak którego ja sam nigdy tak bym sobie NIE wymyślił ani nie zaplanował (np. zbudowanie kolejnego głębokiego stawu gromadzącego wodę tuż na obrzeżu wsi, czy budowa osiedla w obrębie lasu). Wyraźnie też słyszałem rozmowy mieszkańców - chociaż nikt z ludzi koło których przechodziliśmy NIE zwracał uwagi na naszą obecność - tak jakbyśmy my byli dla innych niewidzialni. Ponadto w wyprawie do przyszłości towarzyszył mi "Przewodnik". Nie wiem kim on był ani jak wyglądał, bowiem przez cały czas trzymał się on dokładnie za mną i jedynie komentował na głos to co ja z uwagą sobie oglądałem. Wiem jednak że miał męski głos, bardzo przyjemny w brzmieniu, oraz że miałem odczucie iż jest on mi bliski i doskonale go znam - tak jakby był członkiem mojej rodziny. Nie mam pojęcia jak daleko w przyszłość wybiegliśmy. Jednak po grubości drzew które NIE istniały w moich czasach, a także po architekturze, ubiorach, oraz po odmiennym akcencie i słownictwie zasłyszanych rozmów, osądzam że było to sporo czasu w przyszłość, co najmniej 50, a być może nawet z 250 lat do przodu. (Analizy które zdają się sugerować, że odwiedziłem wieś Stawczyk w 2222 roku, zaprezentowane zostały w punkcie #C4 ze strony stawczyk.htm.)

#J3. Jak więc w mojej "podróży do przyszłości" wyglądała wieś w której się urodziłem:

Po przelocie do przyszłości najpierw znalazłem się na owej starej (w moich czasach piaszczystej) drodze przez za-torową część Wszewilek-Stawczyka, niedaleko od domów które w moich czasach zamieszkiwane były przez rodziny naszych sąsiadów, Dajczmanów i Krzyżosiaków. Zresztą cała moja wizyta w przyszłość ograniczyła się do spaceru wzdłuż tej prostej jak strzała drogi. Droga ta okazała się być w przyszłości rodzajem jakby miejskiej ulicy z pięknymi chodnikami po obu jej bokach i równiutkiej jak stół, jakby wyasfaltowanej jezdni. Od razu uderzyła mnie liczba dużych, dorodnych drzew najróżniejszych gatunków (nie-owocowych) jakie rosły w kilkudziesięcio-metrowych odstępach od siebie w każdym miejscu nie zajęтым przez budynki lub przez drogę. W moich czasach drzew tam NIE było, zaś aby wyrosnąć do takiej grubości drzewa te musiały liczyć jakieś 50 do 100 lat. To zaś znaczyło że odwiedzałem przyszłość odległą o co najmniej 50 lat od moich czasów. W miejscu w którym się znaleźliśmy umiejscowiony był przystanek autobusu okrężnego, na jakim właśnie czekała grupka głośno rozmawiających i śmiejących się nastolatków. Akcent ich polszczyzny był odmienny od tego jaki pamiętałem, zaś zdania były bardzo krótkie - typowo zawierały tylko po 3 lub 4 słowa. Za to wiele słów było nowych - jakich znaczenia ja nie znałem. Pomyślałem że SMSy z moich czasów najwyraźniej zmieniły język Polaków przyszłości. Daleko na owej prostej drodze, w okolicach przedwojennej spalonej leśniczówki, widziałem nadjeżdżający duży czerwony autobus. Mój Przewodnik powiedział że przybywa on z Milicza, tyle że okrąża tutaj całe osiedle naokoło. Kiedy autobus zatrzymał się na przystanku przy którym staliśmy z Przewodnikiem, większość czekającej młodzieży wsiadła do niego i weszła na górny pokład, machając na pożegnanie i wykrzykując żarty do kilku najwyraźniej miejscowych chłopców i dziewcząt którzy pozostali na chodniku. Autobus ruszył, zaś mój Przewodnik mi powiedział, że jest to właśnie ów okrężny autobus "8" (tj. "ósemka") do Milicza, którego powołanie ja zaproponowałem. Napęd autobusu był bezgłośny, pomyślałem więc że musi być elektryczny. Jednak autobus miał normalne koła i opony, wcale też NIE unosił się w powietrzu - tak jak to pokazują futurystyczne filmy. Zaraz za przystankiem przy którym staliśmy owa nowa asfaltowa droga skręcała ku Sławoszewicom, ku którym najwyraźniej pojechał ten autobus zanim potem udał się do Milicza. Sam autobus był dziwnej konstrukcji

- nigdy takiego w Polsce NIE widziałem. Miał dwa pokłady - tak jak autobusy w Londynie. Jednak tylko dolny pokład miał dach - górny pokład miał siedzenia na wolnym powietrzu, zaś pasażerów utrzymywał w jego obrębie tylko rodzaj barierki do wysokości ich pasa. To z tego górnego pokładu odjeżdżające nastolatki machały rękami i wykrzykiwały pożegnania do swoich miejscowych odprowadzających. Autobus był trochę podobny do jeliczańskiego Berlieta jakiego pamiętam z moich czasów - tyle że jakby z dobudowanym drugim pokładem.

Oglądając się za odjeżdżającym autobusem odnotowałem że owa dziura po drugiej stronie torów ciągle tam istnieje - tyle że jest rzadko porośnięta starymi, grubymi drzewami. Wyglądała mi tak jakby był tam niewielki park. Pomiędzy drzewami widziałem tam ławki, a także coś jakby duży pomnik.

Ruszyłem wzdłuż owej jakby asfaltowej, prostej jak strzała i równej jak stół drogi. Przewodnik podążał za mną. Po obu stronach drogi stały piękne "szklane domy". Były innej konstrukcji niż domy jakie ja tam pamiętam. Przykładowo wcale nie miały odrębnych okien, za to całe ich ściany boczne były z przezroczystego jakby "zadymionego" szkła czy plastyku - podobnego do "zadymionego" szkła jakie w dzisiejszych czasach używa się w drogich samochodach. Stopień owego zadymienia ścian domów był różny dla poszczególnych domów, a nawet odmienny dla indywidualnych pomieszczeń. Tam gdzie zadymienie było niewielkie, przez ściany widać było ludzi w środku domów. Faktycznie to wszędzie było sporo ludzi - zarówno w domach jak i na chodnikach. Liczba tych ludzi bardziej pasowała mi do Milicza z moich czasów, niż do wsi którą pamiętam z dzieciństwa. Chodnik był równy i wyłożony jakimiś tłumiącymi tupanie choć sztywnymi płytkami jakby z masy plastycznej o miękkiej powierzchni (sama ulica była jakby asfaltowa). Uderzyło mnie że nigdzie NIE widać słupów ani sieci elektrycznej czy telefonicznej. Mój Przewodnik powiedział że oni używają już inny system niż ten który ja pamiętam - jednak NIE wyjaśnił mi na czym ów nowy system polega. Na dachu każdego domu widać było jakąś konstrukcję podobną do dużej chłodnicy samochodu - najwyraźniej była ona częścią składową tego przyszłościowego systemu.

Kiedy doszliśmy do początku lasu który kiedyś zaczynał się poza Wszewilkami-Stawczykiem, z szokiem odnotowałem, że duży fragment tego lasu faktycznie jest już osiedlem pełnym owych nowoczesnych "szklanych domów" z jakby wyasfaltowanymi drogami dojazdowymi. Jednak grube, stare drzewa dawnego lasu ciągle tam rosły - tyle że rzadziej i w większych odstępach od siebie niż w czasach które ja pamiętam. Przewodnik poinformował, że ów dawny las obecnie jest głównym osiedlem Wszewilek-Stawczyka, i że to w nim mieszka teraz większość ludności tej wioski. Moje zdziwienie, że jest tak dużo starych drzew pomiędzy domami, Przewodnik skomentował że taka teraz zasada, aby nowe osiedla budować w lesie, zaś pomiędzy domami w starych osiedlach sadzić lasy - bo to naturalne i zdrowe. Jak wówczas odkryłem, w przyszłości całe centrum handlowe i kulturalne, a także większość domów mieszkalnych Wszewilek-Stawczyka, przeniesie się do owego nowego osiedla, które będzie wydzielone na terenie uprzedniego lasu w obszarze począwszy od dawnych zabudowań tej wsi, aż do owej drogi która kiedyś wiodła z tzw. "pierwszego stawku" do spalonej przedwojennej leśniczówki. Sama droga która kiedyś przebiegała od owego stawku do leśniczówki będzie wtedy już wyasfaltowana i zaopatrzona w chodniki. Będzie po niej kursował autobus okrężny z Milicza, oraz będzie ona granicą przyszłego osiedla mieszkaniowego z Wszewilek-Stawczyka.

W samym środku owego osiedla zobaczyłem ogromną budowlę. Jej rozmiar był zbliżony do wielkości Hali Ludowej we Wrocławiu. W czasie naszej wizyty budowla ta była jednak ciągle w trakcie budowy. Tylko do około połowy swej wysokości miała już ściany boczne, zaś w jej górnej części ciągle widziałem odkryte betonowe łukowate belki formujące jej szkielet nośny. Pracowało przy niej sporo robotników i maszyn - aż mnie to zdziwiło, jako że było ich więcej niż wierzyłem że wynosi cała populacja Wszewilek-Stawczyka (tak jak ja ją pamiętam). Zaszokował mnie kształt owej budowli. Była bowiem nieco podobna do Opery z Sydney, tyle że jej kształt przepominał sobą nie "muszle", a całe "jajko" stojące na ziemi grubszym ze swoich końców podczas gdy jego oś centralna jest ustawiona pionowo. Jest zaś mi wiadomo, że takiego pionowo stojącego i całego "jajka"

nigdzie dotąd NIE zbudowano na świecie. Wprawdzie istnieją budowle zwane "jajkiem" - przykładowo "China's National Centre for the Performing Arts" - czyli Narodowe Centrum Sztuk w Beijing, Chiny (zdjęcie i opisy tego "jajka" z Chin zawarte są m.in. w artykule " 'Egg' hatches new cultural revolution" - czyli " 'Jajko' wykluwa nową rewolucję kulturalną", ze strony B8 nowozelandzkiej gazety Weekend Herald, wydanie datowane w sobotę, May 30, 2009). Ale typowo mają one kształt tylko "połowy jajka" tak leżącego aby jego oś centralna przebiegała poziomo wzdłuż Ziemi. Mój Przewodnik potwierdził jednak moje zdziwienie. Tak, powiedział, faktycznie jest ona zaprojektowana na kształt pionowo stojącego jajka. Chodzi bowiem o to, że ów kształt jest symbolem rodzącego się życia i nowego początku. Kształt jajka jest więc jak-najbardziej odpowiedni dla funkcji którą ta budowla ma wypełniać. Spytałem więc jaka to funkcja. Aaa - tego narazie ci nie wyjaśnię bo ma to być niespodzianka dla ciebie, odpowiedział mój Przewodnik. Kiedy budynek ten będzie już gotowy, wówczas ponownie z tobą go odwiedzę i będziesz mógł dokładnie go sobie pooglądać w środku. Mnie już wtedy nie będzie - pomyślałem. Będziesz - tyle że w odmiennej formie, uspokoił mnie Przewodnik. Odwiedzisz wówczas tą budowlę, bo będzie ona właśnie tym czego zawsze pragnąłeś aby powstało to we Wszewilkach-Stawczyku. Powyższe wyjaśnienie Przewodnika tylko mnie mocniej zaintrygowało. Znaczyło bowiem że owa ogromna budowla NIE mogła być np. halą sportową - jako że ja NIE cierpię sportów wyczynowych ponieważ wywyższają one ciało ponad umysł. Nigdy też NIE chciałem widzieć we Wszewilkach żadnej hali sportowej (zresztą kształt owej budowli był całkowicie nieodpowiedni dla hali sportowej). Spróbowałem więc okrężnie wysondować czy budowla ta będzie muzeum - wszakże o muzeum też marzyłem dla Wszewilek. Jeśli ma to być muzeum, wówczas ja sugerowałem aby zbudować je na kształt Magnokraftu - ponowiłem swoje sondowanie. Nie, to nie będzie muzeum w tobie znanej definicji muzeów - Przewodnik odpowiedział mi dosyć zagadkowo.

W swoim zwiedzaniu doszliśmy do miejsca w którym przed wojną stała leśniczówka - spalona zaraz po wojnie. Miejsce to doskonale znałem bo w czasach młodości zawsze tam odpoczywaliśmy pod lipami w naszych poszukiwaniach stonki ziemniaczanej. Ponownie zostałem zaszokowany. W miejscu tym bowiem lip już NIE było. Za to była tam duża przystań-pomost bez dachu zbudowana nad brzegiem jakby jeziora, zaś druga przystań-pomost (już z dachem) była właśnie w trakcie budowy. Niedaleko od owej przystani, tam gdzie kiedyś stała spalona leśniczówka, teraz stał wielopiętrowy wieżowiec. Ten wieżowiec to hotel dla turystów i przyjezdnych - wyjaśnił mój Przewodnik. Zaś owa przystań to ośrodek wodnych rozrywek i odpoczynku. Zjeżdżają się do niego zarówno turyści jak i mieszkańcy Milicza i okolic, a nawet wielu Wrocławian. Położony jest on wszakże nad nowym głębokim stawem który został zbudowany na obrzeżu wsi - tak aby zalać uprzednie okoliczne łąki i zamienić je w rodzaj ogromnego sztucznego jeziora dla wodnych rozrywek i aktywności. Kiedy przyglądałem się owemu nieznanemu mi nowemu stawowi, wówczas odnotowałem że faktycznie był on pełen kajaków, rowerów wodnych, żaglówek, skuterów wodnych, oraz motorówek ciągnących narty wodne. Jego brzegi niemal przylegające do tyłu domów Wszewilek-Stawczyka miały długą plażę na której widać było siedzących lub spacerujących ludzi. Wszędzie było sporo ludzi, zaś atmosfera tego letniego dnia była podobna do tej którą znam z podmiejskich letniskowych miejsc wypoczynkowych.

Czas wracać - stwierdził mój Przewodnik. Rozglądałem się po raz ostatni po przyszłościowym krajobrazie znanej mi w dzieciństwie wsi rodzinnej. Chociaż w moich marzeniach wieś ta miała się stać ośrodkiem innowacyjnego przemysłu oraz miejscem kultywowania tradycji i pamięci, w rzeczywistości stała się ona osiedlem mieszkalnym i ośrodkiem rozrywkowo-wypoczynkowo-kulturalnym. Wyglądała jednak na szczęśliwe i tętniące życiem miejsce - taką zaś ja chciałem aby się stała. Chociaż więc przyszłość nie urzeczywistniła wszystkich moich projektów, to co przyniosła ciągle było zgodne z moimi intencjami.

#J4. Filozoficzne następstwa wglądów do przyszłości:

W dzisiejszych czasach nie daje się rozstrzygnąć, czy mój wgląd do przyszłości opisany powyżej był faktyczną wizytą w przyszłych Wszewilkach-Stawczyku, czy też był

jedynie rodzajem mojego "snu". Wszakże aby to sprawdzić, ktoś musi dożyć do czasu w którym moja wizyta miała miejsce. Jednak fakt że ludzie rzeczywiście mogą zobaczyć przyszłość daje się już obecnie potwierdzić na relatywnie licznych przykładach podobnych wizyt w przyszłości odbywanych dawniej przez najróżniejszych ludzi. Kilka przykładów faktycznych odwiedzin w przyszłości wskazuję w następnym punkcie. Z tych najbardziej znanym przykładem są widzenia niejakiego Nostradamusa. Niemniej praktycznie każda poprawna przepowiednia jaka z czasem się sprawdza, zaczyna się od czyjejś wizyty w przyszłości. To zaś oznacza, że w rzeczywistości przyszłość jest już obecnie równie zdefiniowana i klarowna, jak terażniejszość. Tyle tylko, że dla istotnych powodów, w interesie Boga wcale NIE leży ujawnianie przyszłości każdemu.

Fakt że przyszłość już obecnie jest zdefiniowana i klarowna, wprowadza cały szereg implikacji natury filozoficznej. Warto sobie zdawać sprawę przynajmniej z części owych implikacji, bowiem nadają one zupełnie inny sens naszemu życiu. Przeglądnijmy więc teraz przynajmniej najważniejsze z nich. Oto one:

(1) Przebieg naszego życia jest po prostu realizacją rodzaju naturalnego programu zwanego "programem życia i losu". Ten "program naszego życia i losu" opisany jest dokładniej na stronie [soul_proof_pl.htm](#) - o naukowych dowodach na istnienie duszy. Z kolei wizualnym dowodem - który każdy może sam sobie sprawdzić, że faktycznie nasze życie polega na realizacji tego "programu naszego życia i losu" rozkaz-po-rozkazie jest dowód na skokowy upływ naszego czasu (dowód ten wskazany jest w punkcie #D1 na stronie [immortality_pl.htm](#) - o przedłużaniu życia w nieskończoność poprzez powtarzalne cofanie naszego czasu do lat młodości).

(2) Wszystko co nas spotyka, jest od dawna z góry zaprogramowane w naszym "programie życia i losu". Innymi słowy, my ludzie mamy jedynie wpływ na to "jak" przebiegało będzie to co ma się stać, natomiast NIE mamy wpływu na to "co" się stanie w przyszłości. (Chociaż egzekwując swoją "wolną wolę" zawsze zmieniamy program tego co nam samym się przydarzy.) Owa nieuchronność tego co ma się stać w przyszłości odbierana z ludzkiego punktu widzenia jej następstw, nazywana jest "losem", "przeznaczeniem", itp. Natomiast softwarowy mechanizm który egzekwuje zaistnienie owego "losu", "przeznaczenia", itp., a stąd który wyjaśnia nam jak faktycznie czas działa, nazywany jest "przestrzenią czasową" - po opis tej przestrzeni patrz punkt #G4 strony [dipolar_gravity_pl.htm](#).

(3) Softwarowy "krajobraz" zwany "przestrzenią czasową" umożliwia aby cała przyszłość była już dawno zaprogramowana, jednocześnie zaś aby ludzie utrzymywali swoją tzw. "wolną wolę". Wielu badaczy którzy dokonują filozoficznych analiz, NIE może zrozumieć w jaki sposób jest możliwe aby przyszłość była zaprogramowana już od początku czasów, a jednocześnie aby ludzie mieli tzw. "wolną wolę". Badacze ci wierzą, że gdyby przykładowo matka Hitlera uczyniła użytek ze swojej "wolnej woli" i zakochała się w kimś zupełnie innym, wówczas Hitler wcale by się nie urodził zaś drugiej wojny światowej nigdy by NIE było. To właśnie z powodu owego braku zrozumienia dla softwarowego mechanizmu działania czasu wynika twierdzenie niektórych osób, że tylko przeszłość jest klarowna, zaś przyszłość musi się dopiero wyklarować. Tymczasem rzeczywistość jest taka, że istnieje softwarowy twór zwany "przestrzenią czasową", w którym od początku czasów istnieją softwarowe konstrukcje wszystkiego co kiedykolwiek istniało lub zaistnieje w całym wszechświecie. Każda ze składowych tej "przestrzeni czasowej" jest zaprogramowana jako niezależna jednostka (albo "obiekt"), która daje się w całości przenieść do najróżniejszych miejsc owej "przestrzeni czasowej" (tj. jest zaprogramowana w sposób który w Informatyce nazywa się OOP - tj. "Object-Oriented Programming" czyli "programowanie zorientowane obiektowo"). Ludzka zaś tzw. "wolna wola" polega właśnie na przenoszeniu takich indywidualnych jednostek ("obiektów") do odmiennych miejsc "przestrzeni czasowej". Stąd wszystko co ma się stać w przyszłości, z całą pewnością się stanie - tyle że może nosić odmienne nazwy i odmienne tło. Innymi słowy, gdyby matka Hitlera zakochała się w kimś innym lub np. wcale nie miała dzieci, Hitler ciągle by się urodził - tyle że w odmiennej rodzinie np. "Histerów". Druga wojna światowa ciągle więc by zaistniała, tyle że zamiast Hitlera, spowodował by ją ktoś, kogo Nostradamus nazywał

"Hister", a kto faktycznie miałby duszę i losy Hitlera - tyle że urodziłby się i wyrósłby w odmiennej rodzinie. Owa przenośność i niezależność indywidualnych składowych ("obiektów") "przestrzeni czasowej" pozwala więc aby wszystkie czasy wszechświata istniały już z góry zaprogramowane od samego początku czasu (czyli aby zarówno przeszłość jak i przyszłość były zawsze klarowne i znane), jednocześnie zaś aby ludzie ciągle mieli wolną wolę i ciągle mogli kształtować swoje własne życie jak tylko zechcą.

(4) Softwarowa "przestrzeń czasowa" pozwala również aby podróżować przez czas i zmieniać już zaszłe zdarzenia z przeszłości. W punkcie #D6.1 totalizycznej strony [timevehicle_pl.htm](#) opisałem jak w 1995 roku modliłem się w Warszawie we wspaniałym barokowym kościele NMP. Potem zaś ów kościół został przeniesiony do Świętej Lipki, tak że w 2004 roku już go NIE było w Warszawie. Przeniesienie owego kościoła w inne miejsce nastąpiło ponieważ ktoś przemieścił się w czasie do tyłu i spowodował iż budowniczy kościoła w przeszłości zmienił swoją "wolną wolę" i zbudował ten sam kościół w zupełnie innym miejscu. W nowym więc przebiegu czasu kościół ten ciągle istniał, tyle że był już zbudowany w Św. Lipce, a nie w Warszawie. Mi zaś Bóg nadał przywilej zaobserwowania tej zmiany. Innymi słowy, trwałe zaprogramowanie przeszłości i przyszłości w formie przenośnych "obiektów" w tzw. "przestrzeni czasowej" pozwala, że ludzie mają wolną wolę w tym co czynią, mogą też podróżować przez czas i zmieniać przeszłość, jednak na przekór tego zarówno przyszłość jak i przeszłość ciągle są zaprogramowane na stałe i wyklarowane już od samego początku czasów.

(5) Złe przeżycia i nieszczęścia są wprogramowywane z nasz "program życia i losu" w taki sam sposób jak wszystko co dobre nas spotyka. Innymi słowy, ta sama nadrzędna istota (Bóg) która zaprogramowała w naszym "programie życia i losu" wszystko co dobre nas w życiu spotyka, zaprogramowała również w owym programie wszystko co złego nas dotyka. Tyle tylko, że dla istotnych powodów ów nadrzędny "programista" tak symuluje nasz "program nadchodzących nieszczęść" aby nieszczęścia te sprawiały wrażenie iż są na nas sprowadzane przez innych ludzi lub przez jakieś "szatańskie istoty".

#J5. Rola teorii wszystkiego zwanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji w naszym zrozumieniu działania czasu i w odkryciu że "przyszłość jest z góry zaprogramowana":

Analizy przeszłych procesów poznawania ujawniają, że dany obszar otaczającej nas rzeczywistości pozostaje niepoznawalny dla ludzi przez tak długo, aż stworzona zostaje i zaakceptowana teoria (albo "model") która dokładnie objaśnia ten fragment rzeczywistości. Wszakże nasze poznawanie otaczającej rzeczywistości można by ilustratywnie porównać do wspinania się w górę po gładkiej ścianie. W czasie kiedy poznający konfrontuje wyłącznie ową gołą rzeczywistość, jego sytuacja jest podobna do osoby wspinającej się w górę gładkiej ściany bez użycia żadnej podpory czy pomocy. Kiedy jednak stworzy się jakąś teorię czy model które opisują nam działanie owej rzeczywistości, to tak jakby tuż obok owej ściany wzniesić jakieś pionowe rusztowanie czy drabinę ze szczeblami i uchwytami. Po jego wzniesieniu wspinający się zaczyna więc mieć NIE tylko ową ścianę do wspinania się po niej, ale także narzędzie na którym może się teraz opierać i stopniowo wydzwigiwać w górę.

Powyższą sytuację najlepiej ilustruje nam tzw. "Teoria Magnokraftu" opisana w tomach 2 i 3 aż dwóch monografii, mianowicie [1/5] i [1/4]. Przez bowiem tak długo aż owa "Teoria Magnokraftu" NIE została opracowana, ludzie mnożyli najróżniejsze dziwne spekulacje na temat czym właściwie są wehikuly UFO - jednak tak naprawdę to nikt nic pewnego o UFO nie wiedział. Dopiero po rozpracowaniu "Teorii Magnokraftu" możliwe się stało opracowanie formalnego dowodu naukowego dokumentującego że "UFO to już zbudowane magnokrafty". Dowód ten omawiany jest szerzej na stronie internetowej [ufo_proof_pl.htm](#), zaś ilustrujące go zdjęcia UFO są interpretowane z punktu widzenia owej "Teorii Magnokraftu" na stronie [explain_pl.htm](#), a także w polskojęzycznym traktacie [4c] (patrz ilustrowana wersja owego traktatu [4c] w PDF).

Podobna sytuacja jak ta z wyjaśnieniem czym są UFO, istnieje również z wyjaśnieniem "czym jest czas" i "jak czas działa". Jak się bowiem okazuje, do chwili aż naukowa teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji wyjaśniła nam

dokładnie "czym jest czas", "jak czas działa", oraz "jak daje się zbudować wehikuły czasu", ludzie mnożyli najróżniejsze dziwne spekulacje na temat czasu i jego działania. Najlepszą ilustracją tych spekulacji są najróżniejsze paradoksy podróży w czasie, które w rzeczywistym życiu wcale NIE istnieją, jednak których namnożyli nam na pęczki różni pisarze "science fiction". Niektóre z owych paradoksów są omawiane w punkcie #C3 z totalizycznej strony internetowej [timevehicle_pl.htm](http://timevehicle.pl.htm) (przykładowo patrz tam "paradoks dziadka", "z wielokrotnione istnienie", czy "równoległe rzeczywistości"). Dopiero dokładne wyjaśnienie przez ów Koncept Dipolarnej Grawitacji "czym jest czas" oraz "jak czas naprawdę działa", ujawniło nam liczne prawdy na temat czasu, podróży w czasie, itp. Jedną z tych prawd jest wysoce szokujący dla niektórych ludzi fakt, że "przyszłość jest z góry zaprogramowana, a stąd żadne nasze działanie NIE jest w stanie drastycznie zmienić tego co ma nastąpić". (Taką z góry zaprogramowaną przyszłość popularnie nazywamy "losem", albo "przeznaczeniem".) Dobrym przykładem nieuchronności przeznaczenia są losy zamku skonstruowanego daleko od brzegu morza w okolicach tureckiego miasta "Tarsus" (położonego niedaleko od wyspy Cyprus). Ten zamek został zbudowany przez króla który dowiedział się od "astrologów" że jego ukochana córka ma umrzeć od ukąszenia jadowitego węża. Dlatego król zbudował zamek swojej ukochanej córce jaki otoczony był wodą morską - tak aby węże NIE miały do niego dostępu. Niemniej ciągle jadowity wąż był przypadkowo jej przyniesiony po tym jak ukrył się w koszu na owoce. Stąd na przekór że król bardzo starał się zmienić jej los, córka ta umarła.

Liczne teoretyczne przesłanki postulujące i potwierdzające tą szokującą prawdę że "przyszłość jest z góry zaprogramowana" przytoczone już zostały w poprzednim punkcie #J4 tej strony. Należy do nich np. odkrycie że "czas upływa w krótkich skokach" czy też odkrycie że "czas jest nawrotny" (tj. że czas daje się cofać do tyłu - na co mamy już również rozliczne dowody empiryczne m.in. zestawione w następnym punkcie #J6 tej strony). Wszakże aby czas dał się nawracać do tyłu, oraz aby upływał on w krótkich skokach, musi on być wielkością softwarową (tj. czas musi być ruchem kontroli wykonawczej przez kolejne instrukcje naszego naturalnego "programu życia i losu" - tak jak nam wyjaśniają to strony immortality_pl.htm czy soul_proof_pl.htm). Z kolei aby czas mógł być wielkością softwarową (znaczy programem), nasz świat fizyczny musi być zbudowany w formie specjalnego "krajobrazu" softwarowego zwanego "przestrzenią czasową". (Owa softwarowa "przestrzeń czasowa" opisana jest dokładniej w punkcie #B2.1 totalizycznej strony timevehicle_pl.htm.) Jeśli zaś istnieje coś takiego jak owa softwarowa "przestrzeń czasowa", wówczas "przyszłość musi być z góry zaprogramowana" - tak jak to zostało zapostulowane teoretycznymi przesłankami z poprzedniego punktu #J4.

Podsumowując więc tutaj rolę którą naukowa teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji wypełnia w naszym zrozumieniu działania czasu i w odkryciu że "przyszłość jest z góry zaprogramowana", to rolę tą możnaby właśnie przyrównać do roli owego ilustratywnego "rusztowania" czy "drabiny" ustawionych przy "gołym murze niewiedzy" na który to mur ludzkość musi się kiedyś wspiąć. Poprzez wyjaśnienie czym jest czas i jak czas działa, owa teoria wszystkiego pozwala nam teraz stopniowo gromadzić wiedzę szczegółową na temat czasu i na temat najlepszego wykorzystania naszej wiedzy jak działa czas. To z kolei pozwala nam zarówno lepiej zaplanować i urzeczywistnić nasze życie codzienne, jak i z czasem podjąć budowę wehikułów czasu które otworzą ludziom dostęp do nieskończonego długiego życia.

#J6. Empiryczne dowody na potwierdzenie faktu że "przyszłość jest już z góry zaprogramowana":

Ze wszystkich nowych ustaleń które wyniknęły z treści naukowej teorii wszystkiego zwanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji, najwięcej intelektualnego oporu inercyjnego budzi w ludzkich umysłach właśnie ustalenie że "przyszłość jest z góry zaprogramowana". Wszakże ustalenie to sugeruje że nasze decyzje i działania wcale NIE są w stanie zmienić tego "co" się stanie, a jedynie mogą zmienić "jak" to coś jest urzeczywistniane. Dlatego aby udostępnić wyjaśnienia które umożliwią zainteresowanym przełamanie w sobie owego inercyjnego oporu umysłu, niniejszym postanowiłem

zaprezentować tutaj chociaż kilka przykładów empirycznego materiału dowodowego który potwierdza że faktycznie przyszłość już obecnie jest skryzalizowana i z góry zaprogramowana. Oto owe przykłady:

1. Przepowiednie które się sprawdziły. Najlepszym przykładem empirycznych dowodów, że przyszłość jest z góry zaprogramowana, są wszystkie przykłady czyichś opisów przyszłości, które potem faktycznie się sprawdziły. Takimi zaś przykładami są praktycznie wszelkie "przepowiednie" - włączając w to słynne przepowiednie Nostradamusa, a także wiele najróżniejszych innych przepowiedni które też się sprawdziły w życiu (przykłady takich innych przepowiedni opisane są m.in. na totaliztycznej stronie [przepowiednie.htm](#)).

2. Dowody na istnienie "wehikułów czasu". Kolejnym dowodem na istnienie z góry zaprogramowanej przyszłości, jest istnienie i działanie wehikułów czasu. Jeśli bowiem dobrze przeanalizować ich zasady działania, wówczas się okazuje, że wehikuły czasu NIE byłyby w stanie istnieć i działać, gdyby NIE istniała softwarowa tzw. "przestrzeń czasowa", czyli gdyby przeszłość, teraźniejszość i przyszłość NIE były trwale zaprogramowane w postaci owego softwarowego "krajobrazu" zwanego "przestrzenią czasową". O tym zaś że wehikuły czasu faktycznie istnieją, poświadczą wiele dowodów. Przykładowo, takimi dowodami są: (1) zabrania ludzi do przeszłości (lub do przyszłości) dokonywane przez owe wehikuły czasu, (2) eksplozje wehikułów czasu (jedna z których to eksplozji miała miejsce w 1178 roku koło Tapanui w Nowej Zelandii), (3) uprowadzenia ludzi do UFO które trwają wiele dni a kończą się czasami wcześniej niż się zaczęły (ich przykłady opisuje traktat [3b] oraz rozdział T z monografii [1/5]), (4) uprowadzenia do UFO w których zabrani NIE doświadczają drogi powrotnej (tj. zamiast powrotu z uprowadzenia ich czas jest cofany do tyłu), czy np. (5) zdjęcia owych wehikułów czasu (przykłady zdjęć wehikułów czasu w działaniu pokazane są m.in. na totaliztycznej stronie [immortality_pl.htm](#), a także na rysunku N1 z tomu 11 ilustrowanej wersji monografii [1/5] w PDF).

3. Podróże do przeszłości. Następną grupą dowodów na istnienie z góry zaprogramowanej przyszłości są zabrania ludzi do przeszłości. Jak bowiem się okazuje, relatywnie sporo ludzi jest zabieranych do przeszłości - często zmieniając tam najróżniejsze już zaszłe zdarzenia. Jak zaś trafnie to wydedukowali autorzy książek i filmów "science fiction", gdyby przyszłość NIE była z góry zaprogramowana, wówczas każda nawet najmniejsza zmiana w przeszłości powodowałaby kumulacyjne (lawinowe) zmiany w naszej teraźniejszości. (Wszakże dla przeszłości, teraźniejszość jest przyszłością.) Tymczasem na przekór zmian w przeszłości, nasza teraźniejszość NIE ulega znaczącej zmianie. To zaś oznacza, że w owej przeszłości obecna teraźniejszość była już z góry zaprogramowana. Na faktyczność owych zabrań do przeszłości połączonych z niezamierzonym wprowadzaniem zmian do przyszłości istnieje dosyć bogata dokumentacja - np. patrz książka [8V5.3] pióra Rodney Davies "Nadprzyrodzone zniknięcia" (tytuł oryginału "Supernatural Disappearances"), Dom Wydawniczy Limbus (85-959 Bygoszcz, skr. poczt. 21, tel./fax 28-79-74), 1995, ISBN 83-85475--80-X, 255 stron, pb. (Kilka przykładów zabrań do przeszłości opisanych w tej książce interpretowanych jest m.in. w podrozdziale V5.3 z tomu 16 mojej starszej monografii [1/4].) Co ciekawsze, jeśli przegłębnie się opisy tych przypadków, dowody na ich zaistnienie były powszechnie dostępne i różni badacze sprawdzali ich zasadność. Na przekór jednak że ludzie byli (i ciągle są) zabierani do przeszłości, oraz że czasami zmieniają oni jakieś zdarzenia w owej przeszłości, nasza teraźniejszość pozostaje ustalona i zasadniczo niezmienna - czyli wcale NIE ulega odnotowalnym zmianom. Tymczasem, gdyby przyszłość zawsze dopiero musiała się wyklarowywać, wówczas każda zmiana w przeszłości powodowałaby natychmiast kumulacyjne (lawinowe) zmiany w naszej teraźniejszości - to właśnie dlatego autorzy "science fiction" wymyślili paradoks "równoległych rzeczywistości" aby jakoś wyjaśnić przesłankę że każda zmiana przeszłości powinna zaowocować w zupełnie odmiennym przebiegu wszystkiego co po niej następuje.

4. Zmiany przeszłości. Innym dowodem że przyszłość jest z góry zaprogramowana, są częste obserwacje że ktoś zmienił znacząco przeszłość, jednak nasza teraźniejszość wcale NIE uległa większej zmianie. Sporo takich zaobserwowanych zmian przeszłości opisanych jest w punktach #D6 i #D6.1 ze strony [timevehicle_pl.htm](#).

Jeśli zaś zmiany owe przeanalizuje się uważnie, to gdyby przyszłość zawsze musiała się dopiero wyklarować, wówczas każda zmiana przeszłości powinna powodować kumulacyjną (lawinową) zmianę całej naszej teraźniejszości - tak jak to już wyjaśniałem w poprzednim punkcie. Tymczasem zmiany przeszłości są dokonywane na Ziemi niemal bez przerwy, zaś nasza teraźniejszość nadal pozostaje ustalona i generalnie niezmienna.

5. Powtórne przebiegi czasu ("deja vu"). Jak też się okazuje, istnieje dosyć sporo przypadków kiedy czyjś naturalny przebieg czasu jest powtarzany (tj. te same zdarzenia zachodzą więcej niż jeden raz w życiu danej osoby). Pechowo jednak nasza dusza została tak zaprogramowana, że jeśli dany przebieg czasu zaczyna się powtarzać, wówczas w naszej pamięci automatycznie deletowana jest pamięć poprzedniego przebiegu czasu - po szczegóły patrz punkt #C1.1 ze strony internetowej [timevehicle_pl.htm](#). Dlatego jedynym co niekiedy odnotowujemy jeśli jesteśmy skonfrontowani z czymś unikalnym co już raz przeżyliśmy w swoim poprzednim przebiegu czasu, jest szczególny rodzaj odczucia typowo zwany "deja vu" (pisany też "dejavous"). Kilka przypadków materiału dowodowego na to zjawisko opisanych zostało w podrozdziale V5.3 z tomu 16 mojej starszej monografii [1/4].

6. Stwierdzenia Biblii. Sam Bóg w autoryzowanej przez Siebie Biblii też daje nam do zrozumienia że przyszłość jest z góry zaprogramowana. Przykładowo, w biblijnej Księdze Koheleta czyli Eklezjastesa, 6:10, stwierdza On co następuje, cytując: "To, co jest, zostało już dawno nazwane, i postanowiono, czym ma być człowiek:" Używając więc archaicznego języka Biblii ów werset stwierdza dokładnie to samo co za pomocą nowoczesnego już języka naukowego wyjaśnia nam też punkt #C4 totalizycznej strony [soul_proof_pl.htm](#). Mianowicie, że życie każdego człowieka jest z góry zaprogramowane i wyrażone specjalnym "programem życia i losu" zawartym właśnie w duszy. Natomiast ów "program życia i losu" ma tą cechę, że pozwala on nam egzekwować naszą "wolną wolę" poprzez wzajemne przestawianie względem siebie obiektów softwarowych formujących tzw. "przestrzeń czasową", jednak NIE pozwala nam ani zniszczyć ani tworzyć software żadnego z tych obiektów - tak jak to precyzyjnie wyjaśnia punkt #B2.1 totalizycznej strony internetowej [timevehicle_pl.htm](#). Ta zaś jego cecha ma ten skutek, że w życiu jesteśmy jedynie w stanie decydować o tym "jak", jednak nie mamy możliwości wpływania na "co" (innymi słowy, na przekór ze posiadamy "wolną wolę", nasza przyszłość ciągle jest z góry zaprogramowana).

7. Znajomość przyszłości przez niektóre zwierzęta i przez małe dzieci. Odnotowanych zostało sporo zachowań wśród niektórych zwierząt, a także wśród małych dzieci, jakie to zachowania dowodzą że niektóre zwierzęta, a także małe dzieci, wyczuwają w jakiś sposób co ma się stać w najdchodzącej przyszłości. Najdoskonalszym przykładem tych zachowań jest powszechnie znany fakt że "szczury uciekają z okrętu który ma właśnie zatonać" (czynią to w ostatnim z portów do jakich okręt ten zawija). Otóż nie istnieje inne wyjaśnienie dla tego zachowania szczurów, poza uznaniem że one wiedzą co ma nastąpić w najbliższej przyszłości. Ta zaś z kolei ich wiedza jest dowodem, że przyszłość musi być z góry zaprogramowana. Oczywiście, znajomość przez szczury przyszłości jest również potwierdzana ich innym zachowaniem. Mianowicie, na króko przed tym kiedy w kopalni ma wybuchnąć pożar, lub kopalnia ma zostać zalana wodą, szczury również masowo opuszczają tą kopalnię. Wśród dawnych górników kursowała kiedyś nawet mądrość ludowa stwierdzająca, że "jesli zobaczysz że szczury uciekają z kopalni, wówczas natychmiast podążaj za nimi". Oczywiście, oprócz szczurów znajomość przyszłości wykazują również inne zwierzęta. Przykładowo, jest powszechnie wiadomym że bociany nigdy nie założą gniazda na dachu budynku który ma być uderzony przez piorun. Ta gwarancja dawana przez bociany powodowała, że w dawnej Polsce jeśli mimo zachęty (tj. mimo zbudowania na dachu tzw. "kozła") bocian odmówił założenia gniazda na czyimś domu, wówczas właściciel czasami opuszczał ten dom i budował sobie nowy w innym miejscu. Innym przykładem są zwierzęta domowe które zawsze wiedzą kiedy mają umrzeć i płaczą już na dzień wcześniej. W podrozdziale I8.1 z tomu 5 monografii [1/5] oraz [8/2] opisałem słynnego kiedyś kota (badanego nawet przez naukowców), który wiedział kto ma wkróce umrzeć i przychodził aby dotrzymać towarzystwa tej osobie. W dawnej też Polsce zważano też na zachowania kretów - jeśli bowiem kret podrył się pod fundamenty czyjegoś domu,

wówczas to oznaczało że już wkrótce ktoś umrze w owym domu (dokładnie tak się stało z moją babcią).

8. Empiryczne doznania zmiany w szybkości upływu czasu. Ich przykłady obejmują m.in. wolniejszy upływ czasu w młodym wieku oraz znacznie szybszy upływ czasu w starczym wieku, czy wolny upływ czasu gdy się nam nudzi lub gdy się na coś czeka, oraz znacznie szybszy upływ czasu kiedy przyjemnie spędza się czas. Jednym z najlepszych dowodów na faktyczne zachodzenie zmian w szybkości upływu czasu są doznania ludzi podczas tzw. "doświadczeń przyśmiertnych" - szczególnie zaś ponowne przeżycie całego swojego życia w ogromnie krótkim okresie czasu kiedy umierający np. spada właśnie z dachu (doświadczenia te opisane są m.in w punkcie #F3 totaliztycznej strony [soul_proof_pl.htm](#)). Wszakże gdyby szybkość upływu czasu nie ulegała zmianie, wówczas niemożliwym byłoby ponowne przeżycie całego swojego życia w okresie zaledwie kilku sekund jakie zajmuje czyjś lot z dachu na ziemię. W sposób obiektywny (tj. wskazywane na zegarach) zmiany w szybkości upływu czasu są relatywnie często rejestrowane na zegarach osób uprowadzanych do UFO. Ich przykłady opisałem w podrozdziale T3 (patrz tam punkt "Ad. #2") z tomu 15 mojej najnowszej monografii [1/5].

9. Anulowanie następstw nieszczęśliwych wypadków. Ja osobiście dobrze znam aż trzy osoby (zaś spotkałem przelotnie również czwartą), które zostały przejechane przez ciężarówki na jakimś etapie swojego życia, jednak następstwa tych nieszczęśliwych wypadków zostały następnie anulowane. (Jak wierzę ich czas zapewne został cofnięty do tyłu, zaś w ponownym przebiegu czasu owe wypadki im się już nie zdarzyły.) Opisy wypadków tych osób zawarłem w podrozdziale I4.1.1 (patrz tam punkt #4d) z tomu 5 mojej najnowszej monografii [1/5]. Owo anulowanie następstw wypadków potwierdza aż na kilka sposobów że przyszłość musi być z góry zaprogramowana. Przykładowo, wykazuje ono że osoby te zostały zaprogramowane aby uczynić coś ważnego w przyszłości, bez czego z góry zaprogramowana przyszłość nie mogłaby zostać urzeczywistniona.

10. Skokowy upływ czasu. Jeszcze innym przykładem empirycznego dowodu na istnienie z góry zaprogramowanej przeszłości, jest skokowy upływ czasu. Aby bowiem czas upływał w skokach, musi on być dokładnie tym czym opisuje go naukowa teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji - tj. musi być programem realizowanym rozkaz-po-rozkazie. O tym zaś że czas faktycznie jest skokową realizacją programu i stąd upływa w krótkich skokach, dowodzi m.in. prosty eksperyment który może być wykonany przez każdego czytelnika, a który opisany jest w punkcie #D1 strony internetowej [immortality_pl.htm](#).

11. "Genetyczne zaprogramowanie" długości życia. Badania naukowe nad ludźmi którzy przeżyli ponad 100 lat wykazują, że ilość lat jakie ktoś ma przeżyć jest z góry "zaprogramowana" w systemie genetycznym danej osoby (czyli, jak ujawnia to strona internetowa [immortality_pl.htm](#) - zaprogramowana w tzw. "programie życia i losu" tej osoby). Takie właśnie wyniki badań opisane są w artykule "Secret to long life hide in genes" (tj. "Tajemnica długiego życia ukrywa się w genach") ze strony A9 gazety The New Zealand Herald, wydanie datowane w czwartek (Thursday), May 13, 2010. Dlatego np. długość życia wcale NIE zależy od trudu życia, od konsumowanych potraw, itp.

* * *

Wszystkie powyższe dowody miały charakter bezpośredni. Znaczący wprost potwierdzały one że przyszłość jest z góry zaprogramowana. Niezależnie jednak od nich istnieją też dowody pośrednie potwierdzające ten sam fakt. Doskonałym ich przykładem jest:

12. Brak dowodów na możliwość zmiany przyszłości. Wymownym przykładem pośredniego dowodu empirycznego, że przyszłość jest z góry zaprogramowana, jest fakt że istnieje całe zatrzęsienie dowodów empirycznych potwierdzających właśnie że przyszłości NIE daje się drastycznie zmienić (np. potwierdzają to wszystkie dowody empiryczne z niniejszego punktu), jednak nikt NIE jest w stanie przytoczyć choćby najmizerniejszego dowodu iż przyszłość daje się drastycznie zmienić. Wprawdzie w nastawionej na sensacje i na zasiewanie konfuzji literaturze "science fiction" opisywane są rzekome "dowody" iż jakoby przyszłość została zmieniona, jednak jeśli się przyglądnąć uważniej tym "dowodom",

wówczas się okazuje że albo są one jakoby "pozamykane" przed wglądem ludzi przez jakieś "służby specjalne" - a stąd niedostępne dla badaczy i dla zwykłych śmiertelników, albo też dowody te pojawiły się w sposób który nasuwa podejrzenie iż są one produktem żartownisiów albo fabrykacji. Dokonałbym przykładem takiego jakoby "pozamykanego" przed wglądem dowodu na zmianę przyszłości jest opowiadanie na temat Rosjanina o nazwisku "Pokrowski", publikowane w artykule "Wrzucony w inny czas?" z polskiego czasopisma Nieznany Świat, nr 12/2004. Tymczasem dowody empiryczne na niemożność zmiany przyszłości każdy może sobie sprawdzić - i faktycznie wielu ludzi je już sprawdzało (tak jak wspomina to punkt 4 powyżej).

Powyższy materiał dowodowy jest też omawiany w podrozdziale M1.4.1 z tomu 11 mojej najnowszej monografii [1/5]. Tamten tom 11 opisuje systematycznie czym jest czas, jak zbudować wehikuly czasu, oraz jakie cechy będą charakteryzowały nasze podróże w czasie. Definitywnie warto więc go poczytać.

Część #K: "Symulacje zła" jako jedna ze składowych życia zdefiniowanego "programem życia i losu":

#K1. Dlaczego konieczne są "symulacje zła":

Gdyby w naszym życiu NIE istniało "zło", wówczas NIE wiedzielibyśmy co to takiego "dobro". Wszakże "dobro" może być tylko wówczas docenione, jeśli wie się co to takiego "zło". To z tego powodu aby nas właściwie wychować - tak jak opisane to jest na stronie [soul_proof_pl.htm](#) - o naukowych dowodach na istnienie duszy, Bóg zmuszony jest nas traktować NIE tylko "dobrem", ale również i "złem". Niestety, typowo kiedy Bóg serwuje nam wymaganą dozę "zła", nasz ból jest zbyt wielki abyśmy byli w stanie docenić wartość tego co otrzymujemy. Z tego powodu Bóg tak nam serwuje "zło", aby ono wyglądało jakby wywodziło się z odmiennych źródeł niż wywodzi się "dobro". Wyrażając to w naukowej terminologii, Bóg "symuluje" iż zło pochodzi ze źródła innego od dobra.

#K2. Jak "symulacje zła" są manifestowane:

Aby "symulowanie" źródła z którego wywodzi się zło było dla ludzi przekonujące, Bóg zmuszony jest dokonywać owej symulacji zgodnie z określonym "scenariuszem". Przez długi okres czasu, scenariuszem tym było symulowanie istnienia tzw. "piekła" i "diabłów". Jednak ostatnio ów dawny scenariusz stał się nieco przestarzały i ludzie przestali w niego wierzyć. Dlatego od jakiegoś już czasu Bóg wdraża odmienny scenariusz w swoich "symulacjach" zła. Tym odmiennym scenariuszem obecnie jest istnienie "niewidzialnej okupacji Ziemi przez szatańskich UFOonautów". Więcej informacji na temat tego nowego scenariusza symulacji "zła" zawartych jest na stronie [evil_pl.htm](#), a także w punktach #D1 i #D2 ze strony [ufo_pl.htm](#).

Ponieważ ja jestem świadomy, że softwarowe "symulowanie niewidzialnej okupacji Ziemi przez szatańskich UFOonautów" dokonywane jest ogromnie realiztycznie oraz dla bardzo ważnych powodów, w swoich działaniach zawsze teraz tak postępuję jakby owa "symulacja" faktycznie była rzeczywistością.

#K3. Marzenie mojego dzieciństwa, tj. "profesura":

Od długiego już czasu nie mogę się powstrzymać przed odnotowaniem analogii moich osobistych losów, do losów wsi Wszewilki. Tak bowiem się składa, że podobnie jak wieś Wszewilki jest od kilku już wieków zawzięcie prześladowana przez jakieś wysoce złośliwe szatańskie moce, również i moje osobiste życie wygląda jakby te same moce bez przerwy starały się spychać mnie w dół. Podobnie też jak wieś Wszewilki zawsze jakoś zdołała się otrząsnąć z sytuacji w jaką owe mroczne moce ją zepchnęły, także i ja po przejściowych kłopotach zawsze podnoszę się ponownie na nogi i odzyskuję pozycję której zostałem pozbawiony. To właśnie owe powtarzalne jakby przełamania się przez przeszkody tychże mrocznych mocy spowodowały, że postanowiłem napisać tą stronę i włączyć do niej niniejszy punkt. Wszakże wymowa tego punktu jest absolutnie

jednoznaczna. Z jednej strony potwierdza ona informację którą Bóg przekazuje nam za pośrednictwem autoryzowanej przez siebie Biblii, mianowicie z całego serca Bogu zaufaj - patrz Księga Przysłów, 3:5. Z drugiej zaś strony, niniejszy punkt jeszcze raz potwierdza, że wszelkie realistyczne i moralne marzenia podjęte we Wszewilkach zawsze w końcu się wypełniają.

Kiedy ciągle jako mały chłopiec biegałem w krótkich spodenkach do najróżniejszych szkół z okolic Wszewilek, z jakichś powodów ogromnie mnie fascynował tytuł "Profesor" którym wówczas nazywaliśmy swoich nauczycieli. Wiedziałem już wówczas, że owo tytułowanie w szkołach jest czysto grzecznościowe, oraz że faktyczni Profesorowie istnieją tylko gdzieś tam w dalekim świecie na prawdziwych uniwersytetach. Marzyłem więc, że pewnego dnia ja sam stanę się takim prawdziwym profesorem na jednym z ważniejszych uniwersytetów dalekiego świata. Oczywiście, kiedy podjąłem bezkompromisową walkę z szatanskimi okupantami skrycie pastwiącymi się nad naszą planetą, logika mi podpowiadała że niweczę w ten sposób wszelkie swoje szanse na faktyczne wypełnienie się tego marzenia. Jednak ku mojemu niewypowiedzianemu zaskoczeniu Bóg spowodował wypełnienie się i tego marzenia. W ten sposób Bóg jednocześnie zademonstrował mi w najbardziej namacalny sposób jaki tylko jest możliwy spełnienie swojej obietnicy zawartej w Biblii nakazującej "z całego serca Bogu zaufaj". Zostałem bowiem zaproszony przez jeden z wiodących uniwersytetów na stanowisko pełnego profesora. Tytuł (pełnego) profesora jest najwyższym tytułem w świecie akademickim i nie ma już nic wyższego od niego. Zaproszenie to opiewało na okres 10 miesięcy, zaczynając 1 marca 2007 roku, a kończąc 31 grudnia 2007 roku. Przez owe 10 miesięcy 2007 roku wypełniły się więc moje dziecięce marzenia z Wszewilek, aby zostać "prawdziwym profesorem" na jakimś ważnym uniwersytecie z dalekiego świata.

Oczywiście, w moim osobistym przypadku wypełnienie się tego marzenia faktycznie graniczyło niemal z cudem. Wszakże za sprawą owych szatańskich okupantów skrycie pastwiących się nad naszą planetą, przykładowo w kraju który los mi wyznaczył na moją drugą ojczyznę, bez przerwy albo jestem na bezrobociu, albo też wprawdzie pozwala mi się pracować, jednak wyłącznie na najniższych posadach jakie ciągle są tam dopuszczalne dla osoby z moją ekspertyzą oraz doświadczeniem zawodowym. Owe mroczne moce bez przerwy też starają się mnie trzymać w miejscach pracy jakie leżą znacznie poniżej moich faktycznych możliwości, oraz które uniemożliwiają mi realizację moich wynalazków.

Trudno być w gorszej sytuacji od tej w jakiej ja byłem po straceniu pracy w dniu 23 września 2005 roku. Zbliżałem się wówczas do wieku 60 lat, czyli byłem bliskim do emerytury. W takim zaś wieku nikt chętnie nie zatrudnia już danego pracownika. Ponadto, kraj w jakim mieszkałem był też wówczas w środku poważnej depresji ekonomicznej (na przekór że miejscowa propaganda wmawiała ludziom coś zupełnie odwrotnego). Praktycznie nie było więc miejsc pracy. Na dodatek, padłem też ofiarą wysoce reprezentatywnego "tricku" dzisiejszych polityków, którzy własną nieudolność i ekonomiczne rujnowanie kraju propagandowo zamieniają w rzekomy sukces. Aby zaś owa ich "propaganda sukcesu" wyglądała na prawdę, wymyślili oni sobie sposób na propagandowe zmniejszenie bezrobocia. Mianowicie, opracowali oni "biurokratyczną definicję bezrobotnego". Zgodnie z tą biurokratyczną definicją, bezrobotny to osoba która pobiera zasiłek dla bezrobotnych. (Warto tutaj podkreślić rozbieżność owej biurokratycznej definicji z faktami z prawdziwego życia. Wszakże w prawdziwym życiu bezrobotny to każda osoba chcąca pracować, której jednak społeczeństwo albo władze odmawiają dostępu do miejsca pracy i prawa do wypracowania dla siebie godziwego źródła utrzymania.) Dzięki zaś owej biurokratycznej definicji bezrobotnego, rządzący politycy danego kraju są w stanie chwalić się społeczeństwu że zredukowali oni bezrobocie do bardzo niskiego poziomu. Wszakże jeśli przykładowo faktycznie aż ponad 20% ludności pozostaje bez pracy, jednak odpowiednimi zabiegami biurokratycznymi daje się spowodować że z tej liczby tylko około 3% ludzi w najbardziej beznadziejnych sytuacjach uzyskuje pozwolenie władz na pobieranie owego zasiłku dla bezrobotnych, wówczas tylko poprzez zmyślne używanie takiej "biurokratycznej definicji bezrobotnego" - zamiast definicji z prawdziwego życia,

rządzący politycy danego kraju bez żadnego faktycznego działania są w stanie się pochwalić "zmniejszeniem" bezrobocia do tylko około 3%. Oczywiście, cenę za owo rzekome "zmniejszenie" musi ktoś zapłacić - tak się też stało że ja byłem jednym z owych płacących. Wszakże, aby tylko około 3% społeczeństwa miało prawo pobierać zasiłek dla bezrobotnych, politycy musieli nawymyślać tyle przeszkód legalnych dla ludzi chcących pobierać ów zasiłek, ile tylko się dało. W rezultacie, faktyczną szansę otrzymywania zasiłku mają głównie tylko ci bezrobotni, którzy faktycznie niemal mieszkają pod mostem, którzy uprzednio przepili i wydali na narkotyki wszelkie swoje oszczędności, którzy nie mają nikogo kto by ich mógł wspomagać, a jeśli się da, to którzy dodatkowo uzyskują poparcie jakiejś instytucji, np. psychiatrycznej lub więziennej.

Na szczęście dla mnie, ów mroczny okres bezrobocia w okresie życiowej jesieni i to bez pobierania zasiłku dla bezrobotnych, został czasowo przerwany owym zaproszeniem na pełną profesurę. Marzenia o lepszej przyszłości jakie kiedyś kultywowałem, a także moje wysiłki realizowania tych marzeń spowodowały, że od dnia 1 marca 2007 roku aż do 31 grudnia 2007 roku, miałem nie tylko kolejną pracę, ale w końcu zostałem pełnym profesorem na renomowanym uniwersytecie. Aby ją więc uczcić, postanowiłem napisać niniejszą stronę internetową. Wszakże dla mnie praca ta była spełnieniem się dawnych marzeń. Nie miało też już znaczenia, że owo zaproszenie było tylko na okres 10 miesięcy, ani że było ono w specjalizacji naukowej przy której nadal NIE mogłem realizować swoich wynalazków. Ważne było że owa moja praca była pełną profesurą uniwersytecką, o jakiej marzyłem już od najmłodszych lat. Wszakże z zostaniem profesorem jest jak z zostaniem generałem, mianowicie raz profesor, zawsze już profesor. A przecież ta strona jest właśnie o naszych marzeniach, oraz o ich wypełnianiu się.

#K4. Dlaczego realizacja naszych marzeń jest blokowana przez zasymulowanie istnienia odwiecznych wrogów ludzkości:

Motto: "Z całego serca Bogu zaufaj." (Biblia, Księga Przysłów, 3:5)

Jak to wyjaśnia strona [evil_pl.htm](#), sytuacja ludzkości jest celowo tak nam symulowana, jakby nasza planeta od zarania dziejów była skrycie okupowana i wyniszczana przez szatańskie istoty, które kiedyś ludzie nazywali "diabłami", obecnie zaś nazywają "UFO-nautami". Najważniejszy z powodów owego symulowania wrogów ludzkości i blokowania realizacji naszych marzeń opisałem w uzasadnieniu istnienia tzw. "przekleństwa wynalazców" opisanego w punkcie #G3 totalizycznej strony [eco_cars_pl.htm](#). Z uwagi na istotność powodów dla których owa symulacja skrytej okupacji Ziemi ma miejsce, jedną z korzystniejszych na nią reakcji jest tak ją potraktować jakby była ona okupacją rzeczywistą (choć jednocześnie zdawać sobie sprawę że jest to symulowana okupacja). Autor niniejszej strony tak też właśnie traktuje tą symulowaną okupację.

Powód dla którego nasi skryci okupanci są aż tak szatańscy i złośliwi, został wyjaśniony dokładniej w punkcie #C9 odrębnej strony internetowej o wehikułach czasu, a także w punkcie #A2 strony internetowej o bandytach wśród nas. Faktycznie wszyscy się też boją owych istot. Wszakże są one jak wściekle psy - gryząc i dokuczając każdemu kto tylko znajdzie się w zasięgu ich zębów i szponiastych pazurów. Nawet tzw. "ateiści" oraz ortodoksyjni naukowcy, którzy nie wierzą w istnienie czegokolwiek głębszego niż naturalna ewolucja czy obecne działanie klimatycznego "El Nino", też zostali zmuszeni aby uwzględniać złośliwości tych szatańskich istot w swoim postępowaniu. Chętnie więc skorzystali z podsuwanej im właśnie przez owe istoty naukowo brzmiącej bajeczki o istnieniu tzw. "Praw Murphy'ego" - po szczegóły tych praw patrz punkt #H1 strony o dowodach działalności UFO na Ziemi. Owymi więc rzekomymi "Prawami Murphy'ego" tłumaczą oni teraz wszelkie złośliwości wyrządzone ludziom przez te szatańskie istoty. Dawniej ludzie również starali się jakoś zabezpieczać przed złośliwością owych sekretnych okupantów i eksploatatorów Ziemi. Wymyślili więc zasadę, że kiedy "dobremu Panu Bogu dawali świeczkę w ofierze, tak na wszelki wypadek owym złośliwym diabłom dawali

ogarek".

Od czasu kiedy ja za pośrednictwem filozofii totalizmu rozpocząłem bezkompromisowo demaskować skrytą obecność na Ziemi owych brutalnych okupantów naszej planety, na mojej osobie skupiła się cała ich furia. Faktycznie jestem przez nich maltretowany niemal bez przerwy. Jak to wyjaśniłem na licznych stronach i blogach totalizmu, np. o bandytach w naszym gronie czy o zniszczeniowych możliwościach wehikułów UFO, a także na blogu totalizmu, nie ma takiego sposobu sprawienia mi jakiejś przykrości, którego owe bandyckie istoty by na mnie nie wypróbowały. I tak rujną mi zdrowie podczas nocnych uprowadzeń do UFO, prześladują moją rodzinę i moich bliskich, opluwają moją osobę i mój totalizm na setkach list dyskusyjnych i stron internetowych, powodują nieustanne usuwanie mnie z pracy, mącą w każdym przypadku kiedy staram się złożyć podanie o jakąś godziwe miejsce zatrudnienia, a nawet zamordowali mi jakimś futro palącym promieniowaniem mojego niczego niewinnego im kota Teecee. Nic więc dziwnego, że po spowodowaniu iż zostałem zredukowany z ostatnio zajmowanego stanowiska na uczelni, byłem pełen obaw, że również i w sprawie mojego zaproszenia na opisaną w punkcie #A4 powyżej pełną profesurę uniwersytecką, owe szatańskie istoty coś wymyślą aby przeszkodzić mi w objęciu tej zaszczytnej posady. Wszakże na krótko przed tym istoty te zademnstrowały mi jak potrafiły cofnąc czas do tyłu oraz w nowym upływie czasu skasować ogłoszenie o pracę na AUT, na jakie starałem się złożyć podanie (dokładna historia kasacji tamtego ogłoszenia wyjaśniona jest w punkcie #C6 (przypadek 2) strony internetowej o wehikułach czasu). Bóg zaś nas stworzył w taki sposób, że tendencję do wątpienia mamy wpisana w naszą naturę. Na przekór więc, że wiedziałem o nakazie z Biblii opisywanym w poprzednim punkcie #A4, tj. "z całego serca Bogu zaufaj." (Biblia, Księga Przysłów, 3:5), przygotowując się do objęcia mojej profesury cały czas się bałem, że owe szatańskie istoty jakoś zdołają mi przeszkodzić w objęciu tej wysoce honorowej i zaszczytnej pozycji.

Faktycznie też owe szatańskie istoty użyły wszelkich mocy będących w ich dyspozycji, aby uniemożliwić mi objęcie tej profesury. Wszakże wiedziały, że kiedy się okaże iż dostąpiłem aż takiego zaszczytu, ludzie przestaną zważać na owe bzdury które wypisują oni na mój temat w internecie. Dlatego kiedy tylko stało się jasne że zostanę zaproszony do objęcia owej profesury, istoty te aż dwukrotnie uwolniły wirus "ptasiej grypy" - który mógł stać się zaczątkiem światowej epidemii. (Taka zaś światowa epidemia popsułaby wszystko, włączając w to i moją profesurę.) Najpierw w końcu stycznia 2007 roku, wirus ptasiej grypy został przez nie uwolniony w Japonii. Kiedy zaś tam sytuacja została opanowana i nie zdołał się on przerodzić w światową epidemię, na początku lutego 2007 roku te same istoty dokonały zmasowanego uwolnienia owego wirusa ptasiej grypy na ogromnej farmie indyków w Anglii. W międzyczasie istoty te blokowały też moje adresy amailowe aby utrudnić komunikowanie się pomiędzy mną oraz moimi przyszłymi pracodawcami. Przykładowo, kiedy wysłany mi został emailem najważniejszy dokument w sprawie tejże profesury, tj. zaproszenie do objęcia profesury - które wymagało mojego potwierdzenia, te szatańskie istoty spowodowały upadek całego światowego systemu internetowego. W rezultacie dokument ten do mnie NIE dotarł. Gdyby nie przypadkowy email od przyszłych pracodawców, o otrzymaniu zaproszenia nigdy bym się nie dowiedział, zaś moje milczenie zapewne by uznane zostało za odmowę. Owo nikczemne podłożenie mi świni zostało potem dokładnie mi wyjaśnione interwencją samego Boga. W nowozelandzkiej gazecie The New Zealand Herald (wydanie datowane w piątek (Friday), February 9, 2007), którą systematycznie czytam, na stronie A7 ukazał się bowiem artykuł "Attack of the zombie computers fails: a bid to bring down the worldwide web used a network of hijacked PCs" - tj. "Atak martwych komputerów zawiódł: ci co próbowali spowodować upadek światowej sieci internetowej użyli układu przejętych komputerów". W artykule tym wyjaśniono, że w czasie kiedy do mnie wysłany został ów ogromnie ważny email, cały światowy internet przestał działać, ponieważ ktoś niezidentyfikowany przejął kontrolę nad kilkoma komputerami jakichś gospodyń domowych i babci, oraz za pomocą owych komputerów zniszczył serwery węzłowe które sterują adresami internetowymi. Jakby wszystkiego powyższego było za mało, w środę dnia 21 lutego 2007 roku - czyli na tydzień

przed objęciem nowej posady profesora, około godziny 3 nad ranem, zostałem uprowadzony do UFO gdzie zadano mi końską dawkę wirusa podobnego do grypy. Przez kilka dni leżałem powalony gorączką i niemal nieżywy. Ponownie jednak interwencją Boga moje ciało zdołało się z tego wykaraskać na czas pierwszego dnia w pracy. Oczywiście, o podkładaniu mi nieco mniejszych świń przez te szatańskie istoty tuż przed podjęciem profesury nie będą już tutaj nawet się rozpisywał (w rodzaju ponownego rozpołowienia moich paznokci podczas uprowadzenia do UFO - tak aby każde uderzenia klawiszy komputera było dla mnie bolesne, ponownego wysunięcie mi dysku w kręgosłupie - tak abym nie mógł chodzić w nowym miejscu pracy, ponownego odbicia mi ciała od kości na stopie - tak aby każdy krok był dla mnie bolesny, czy wydlubania nocą mojej plomby z zęba - tak abym zamiast pracować musiał umawiać się z dentystami, itp.). Nie wolno mi jednak pominąć opisu najpoważniejszego incydentu jakiego mściwi UFOnauci dopuścili się na mnie podczas uprowadzenia do wehikułu UFO około 4 nad ranem, czwartkowej nocy w dniu 15 marca 2007 roku. UFOnauci postrzelili mnie wówczas w brzuch jakimś swoim rodzajem broni produkującej wiązkę o ekstremalnie silnej energii. W wyniku tego postrzelenia ciało na moim brzuchu się po prostu rozpadło. Incydent ten opisałem dokładniej w punkcie #D3 (3) ze strony internetowej o karmie.

Kiedy jednak w końcu podjąłem przyznaną mi pozycję profesorską - na przekór że UFOnauci dosłownie szaleli aby mi to uniemożliwić, było to dla mnie rodzajem szokowej ilustracji dla prawdy stwierdzenia Biblii "z całego serca Bogu zaufaj." (Biblia, Księga Przysłów, 3:5). Zrozumiałem wówczas, że faktycznie owe "diabły", czy "UFOnauci" - jak ich obecnie nazywamy, stanowią dla Boga rodzaj "rozwścieczonych psów" które Bóg trzyma na krótkiej uwięzi i absolutnie kontroluje. Chociaż więc owe psy szczekają jak szalone i kłapią zębami na każdego, są one w stanie pogryźć lub poturbować tylko tych ludzi których Bóg pozwoli im za coś ukarać. Kiedy zaś Bóg uważa że ktoś nie zasługuje na ich gryzienie, wówczas trzyma te psy na bardzo krótkiej uwięzi i nie daje im danej osoby ruszyć. To zaś praktycznie oznacza, że nawet jeśli logika podpowiada nam inaczej, faktycznie powinniśmy wierzyć w słowa Biblii "z całego serca Bogu zaufaj." Nie warto też marnować nawet "ogarka" na ofiary dla owych diabelskich istot. Wszakże wszystko co one chcą uczynić musi najpierw zostać zaaprobowane przez Boga. Bóg ma bowiem absolutną nad nimi kontrolę - na przekór że one same w Boga wcale nie wierzą.

Opis historii podjęcia omawianej w tym punkcie mojej pełnej profesury włączyłem tutaj aż dla kilku ważnych powodów. Jednym z nich jest aby dodać otuchy tym ludziom, którzy mają marzenia, jednak przeciwko którym jakby cały świat się sprzyścił. Jeśli bowiem będą działali moralnie, ich marzenia z całą pewnością Bóg w końcu spełni. Złych mocy nie ma się co przy tym obawiać - pozostają one wszakże całkowicie na łasce Boga oraz pod pełną Boską kontrolą. A to że wszystko w życiu przychodzi nam z trudnością - to tak już ma być. Wszakże Bóg chce nas wychować na twardych ludzi zahartowanych w walce o to co właściwe. Zgodnie z wolą Boga my mamy obowiązek dokładnie wiedzieć czego chcemy i mamy konsekwentnie obstawać przy swoim. Znaczący mamy być moralni z przekonania i zawsze, a nie tylko przez przypadek i tylko przy dobrej pogodzie. Innym powodem jest, aby ujawnić tutaj jak bezpodstawne są oczernienia które najróżniejsze "wilki w owczych skórkach" wypisują w internecie na temat mnie oraz mojego totalizmu moralnego. Wszakże ludziom którzy faktycznie są tacy jak owe oczernienia stwierdzają, nie przyznaje się pełnych profesur na renomowanych uniwersytetach. Aby bowiem zostać pełnym profesorem trzeba być zatwierdzonym na tą pozycję przez rząd danego kraju, oraz trzeba przejść przez wymagane sprawdzenia jego służb specjalnych. Kolejnym powodem opisanie niniejszej historii jest aby uczulić czytelników na fakt, że faktycznie na Ziemi działają skrycie owe "wilki w owczej skórze" szatańsko atakujące moja osobę i filozofię totalizmu. Chodziło bowiem o to, że nauczony przykrym doświadczeniem przeszłości, aż do stycznia 2008 roku nie zamierzałem ujawniać nikomu nazwy uniwersytetu na jakim zostałem pełnym profesorem. Jednak owe szatańskie istoty które mnie prześladowały, porozgłaszały ową nazwę w internecie już w kilka miesięcy po moim objęciu tamtej zaszczytnej posady. A nazwy tej nie podałem nawet swojej rodzinie mieszkającej w Polsce. W przeszłości bowiem, kiedy miejsce mojej pracy było wszystkim wiadome, owe szatańskie

istoty udawały że są "dobrymi obywatelami" którzy starają się ostrzegać moich pracodawców przed "niewłaściwymi poglądami" jakie wyznaję. Stąd w przeszłości owe istoty zasypywały moich pracodawców potokiem zarzutów i oczerniających emailów na mój temat. Oczywiście po objęciu owej profesury, istoty te starały się rozpętać podobne ataki. Jednak tym razem nawet z pisaniem takich emailowych paszkwili do moich pracodawców istoty te miały poważne trudności techniczne.

Część #L: Podsumowanie, oraz informacje końcowe tej strony:

#L1. Podsumowanie tej strony:

Za górami, za lasami, istnieje sobie niezwykła wioska Wszewilki. Przez kilka ostatnich stuleci, wioska ta była obiektem skrytych ataków oraz wyniszczania którym w nieco mniej widoczny sposób poddawana jest również cała reszta cywilizacji. Stąd losy owej wioski w symboliczny sposób są reprezentatywne dla losów całej naszej cywilizacji. Obserwujmy uważnie te losy, aby tym łatwiej zrozumieć co z nami samymi się właśnie dzieje. Wszakże wiedza o tym co obecnie uczynią mieszkańcy owej wioski, a także możliwość odnotowania czy wioska owa zdoła się sama wydźwignąć z dotychczas dotyczącego ją umęczania, da nam jakiś obraz tego jakie są szanse dla pozostałych ludzi na Ziemi.

#L2. Obserwujmy losy Wszewilek i utrwalajmy na fotografiach kronikę transformacji tej niezwykłej wioski:

To co dzieje się we Wszewilkach, jest symboliczną reprezentacją tego co dzieje się również na sporym obszarze otaczającym Wszewilki. Dlatego obserwując i fotograficznie utrwalając kronikę zmian we Wszewilkach, mamy jednocześnie ilustratywny obraz tego co dzieje się na reszcie naszej planety.

#L3. Jak dzięki stronie "skorowidz.htm" daje się znaleźć totalizyczne opisy interesujących nas tematów:

Cały szereg tematów równie interesujących jak te z niniejszej strony, też omówionych zostało pod kątem unikalnym dla filozofii totalizmu. Wszystkie owe pokrewne tematy można odnaleźć i wywoływać za pośrednictwem skorowidza specjalnie przygotowanego aby ułatwiać ich odnajdowanie. Nazwa "skorowidz" oznacza wykaz, zwykle podawany na końcu książek, który pozwala na szybkie odnalezienie interesującego nas opisu czy tematu. Moje strony internetowe też mają taki właśnie "skorowidz" - tyle że dodatkowo zaopatrzone w zielone linki które po kliknięciu na nie myślą natychmiast otwierają stronę z tematem jaki kogoś interesuje. Skorowidz ten znajduje się na stronie o nazwie skorowidz.htm. Można go też wywołać z "organizującej" części "Menu 1" każdej totalizycznej strony. Radzę aby do niego zaglądnąć i zacząć z niego systematycznie korzystać - wszakże przybliży on setki totalizycznych tematów które mogą zainteresować każdego.

#L4. Ta strona będzie powtarzalnie usprawniana - proponuję więc do niej ponownie powrócić za jakiś czas:

Z definicji bowiem niniejsza strona będzie podlegała dalszemu udoskonalaniu i poszerzeniom, w miarę jak dodatkowe zapytania czytelników, nowy rozwój wypadków na Ziemi, lub/oraz wyniki dalszych badań totalizmu, rzucają nowe światło na jakąś sprawę związaną z przyszłością Wszewilek, lub będą wymagały pilnego zaadresowania. Dlatego za jakiś czas warto stronę tą odwiedzić ponownie. Wszakże być może będzie ona wówczas już poszerzona i udoskonalona.

Warto także okresowo sprawdzać "blogi totalizmu" z jakich niektóre działają już od kwietnia 2005 roku, obecnie pod adresami: totalizm.wordpress.com oraz totalizm.blox.pl/html. (Odnotuj że wszystkie blogi totalizmu są swoimi lustrzanymi kopiami o takiej samej treści wpisów.) Wszakże na "blogu totalizmu" wiele ze spraw omawianych na

tej stronie naświetlane jest na bieżąco dodatkowymi komentarzami i informacjami spisywanymi w miarę jak nowe zdarzenia stopniowo rozwijają się przed naszymi oczami.

Odnotuj, że czytelnicy mogą sobie również załadować do własnego komputera replikę niniejszej strony, tak jak to zostało wyjaśnione na stronach FAQ - częste pytania lub replikuj dostępnych przez "Menu 1" i "Menu 2". (Aby sobie załadować tą replikę, wystarczy w "Menu 1" kliknąć na pozycję źródłowa replika tej strony. Odnotuj jednak, że jeśli po takim kliknięciu replika się nie ładuje, to zapewne oznacza iż na danym serwerze/witrynie replika ta NIE mogła zostać udostępniona zainteresowanym z powodu ograniczeń pamięci. W takim wypadku należy zmienić serwer używając adresów podanych w "Menu 4" lub "Menu 3", a następnie spróbować replikę tą załadować sobie z następnego serwera.)

#L5. Dane kontaktowe autora tej strony:

Aktualne adresy emailowe autora tej strony, (tj. Dra inż. Jana Pająka, zaś przez okres 2007 roku - prof. dra inż. Jana Pająka), pod jakie można wysyłać ewentualne uwagi lub zapytania, podane są na stronie: faq (najczęściej zapytania). Tam również dostępne są adres pocztowy i numery telefonu autora.

#L6. Copyrights © 2011 by Dr Jan Pająk:

Copyrights © 2011 by Dr Jan Pająk. Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza strona stanowi raport z wyników badań jej autora - tyle że napisany jest on popularnym językiem (aby mógł być zrozumiany również przez czytelników o nienaukowej orientacji). Idee zaprezentowane na tej stronie są unikalne dla badań autora i dlatego w tym samym ujęciu co na tej stronie (oraz co w innych opracowaniach autora) idee te uprzednio NIE były jeszcze publikowane przez żadnego innego badacza. Jako taka, strona ta prezentuje idee które stanowią intelektualną własność jej autora. Dlatego jej treść podlega tym samym prawom intelektualnej własności jak każde inne opracowanie naukowe. Szczególnie jej autor zastrzega dla siebie intelektualną własność odkryć naukowych i wynalazków opisanych na tej stronie. Zastrzega więc sobie, aby podczas powtarzania w innych opracowaniach jakiegokolwiek idei zaprezentowanej na niniejszej stronie (tj. jakiegokolwiek teorii, zasady, dedukcji, interpretacji, urządzenia, dowodu, itp.), powtarzająca osoba oddała pełny kredyt autorowi tej strony, poprzez wyraźne wyjaśnienie iż autorem danej idei jest Dr Jan Pająk, poprzez wskazanie internetowego adresu niniejszej strony pod którym idea ta i strona oryginalnie były opublikowane, oraz poprzez podanie daty najnowszego aktualizowania tej strony (tj. daty wskazywanej poniżej).

* * *

If you prefer to read in English
click on the flag
(Jeśli preferujesz język angielski
kliknij na poniższą flagę)

Data założenia tej strony internetowej: 1 marca 2007 roku.

Data jej najnowszego aktualizowania: 25 marca 2011 roku.

(Sprawdź pod adresami z "Menu 3" czy już istnieje nawet nowsza aktualizacja!)

Podrozdział B4:**Poradnik dla zwiedzających wieś Wszewilki i miasto Milicz**

W południowo-zachodniej Polsce istnieje niezwykła wieś zwana Wszewilki (a także zwana Stawczyk - władze często zmieniały bowiem jej nazwę), a także wysoce interesujące miasto zwane Milicz. Za pośrednictwem niniejszej strony internetowej chciałbym zasugerować ich zwiedzenie. Miejscowości te mają bowiem sporo do zaoferowania. Przykładowo, są to jedyne miejscowości na świecie, co do których wiadomo, że jakieś "diabły" na nie się "uwzięły" i prześladują je niemal otwarcie już od kilku stuleci - po szczegóły patrz opisy poniżej a także punkty #E1 i #B1 ze strony o nazwie wszewilki.htm. W celu ułatwienia tego zwiedzania kiedyś nawet podejmowałem próby internetowego zorganizowania całej serii Złotów we Wszewilkach. Złoty te miały się odbywać w określonych datach. Kiedy jednak odkryłem, że każdy z uczestników pierwszego z owych Złotów - jaki odbył się w 2006 roku, przez cały następny rok trapiiony był potem przez niekończący się ciąg chorób i ciężkich problemów życiowych, zdecydowałem się zaprzestać zachęcania kogokolwiek do przybywania do Wszewilek w określonym dniu i godzinie - kiedy to jakieś "mroczne moce" mogły sobie łatwo sprawdzić kto odpowie na zachęty i faktycznie przybędzie na Złot. Teraz zachęcam więc jedynie aby odwiedzać Wszewilki w zupełnie przypadkowym dniu i godzinie, np. przy okazji jakiegoś przypadkowego przejazdu przez tą miejscowość. Niniejsza strona wyjaśnia dlaczego warto zwiedzić Wszewilki i Milicz, dlaczego jednak okazuje się niebezpieczne organizowanie tego zwiedzania w z góry określonych datach, a także wzdłuż jakich szlaków najlepiej je zwiedzać jeśli kiedyś się tam przybędzie oraz co może okazać się przydatne podczas tego zwiedzania.

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Jakie są cele tej strony:

Głównym celem tej strony jest wskazanie "co" oraz "jak" warto zwiedzać we wsi Wszewilki oraz w mieście Miliczu.

Część #B: Korzyści z odwiedzenia wsi Wszewilki (Stawczyk) i pobliskiego miasta Milicza:

#B1. Dlaczego każdy powinien odwiedzić wieś Wszewilki oraz miasto Milicz:

Jeśli ktoś potrafi sobie wyobrazić "najzwyklejszą wieś" oraz "typowe prowincjonalne miasto", wówczas z góry wie, co zastanie po przybyciu do Wszewilek i do Milicza. Są one bowiem "zwykłe" i "typowe". Jednak będąc takimi, są one zarazem wysoce "niezwykłe" i "unikalne" - jakie różnią się od wszystkich innych miejscowości na całym świecie. To właśnie aby móc nauczyć się na ich przykładzie jak dojrzeć "niezwykłość" typowo ukrywającą się poza zasłoną "zwykłości", warto je dokładnie zwiedzić. Potem zaś, kiedy one nam ukażą jak należy otwierać swoje oczy, będziemy mogli zacząć dostrzegać odświeżającą nasze życie "niezwykłość" we wszystkim co nas otacza.

Do Wszewilek (i do Milicza) warto więc przybyć po cały szereg "otwierających oczy" doświadczeń. Przykładowo, jeśli jest się typowym mieszczuchem warto tam pojechać aby poodychać kryształowym powietrzem, jakiego coraz mniej na naszej planecie. Szczególnie po przybyciu do tych miejscowości w lipcu, kiedy to wszędzie tam pachnie kwitnącymi lipami. Ponadto, aby tam wsłuchać się w nasze własne ciało omywane tajemniczą energią którą Chińczycy nazywają "chi", a która ulatuje z czakramu ziemi znajdującego się tuż przy wszewilkowskiej tamie na Baryczy pokazanej poniżej na ilustracji z Fot. #D1. W Miliczu, a także na przy-wszewilkowskich łąkach, można sobie oglądać i podotykać bryły ogromnie tajemniczej "rudy darniowej" - co do której pochodzenia nasza

dotychczasowa "ateistyczna nauka ziemską" ma zupełnie błędne wyobrażenie - jakie przy racjonalnych analizach zupełnie "nie trzyma się kupy" - patrz "Fot. #B1" oraz "Fot. #D2" poniżej. Jeśli do Wszewilek przybędzie się samochodem z pustym bagażnikiem, od miejscowych rolników warto również kupić sobie jajek, kurczaków, mleka, owoców, itp. Wszakże we Wszewilkach ciągle gospodaruje się w tradycyjny sposób. Za grosze można więc tam zakupić produkty rolne, które w innych miejscach na świecie opatruje się krzykliwą reklamą "organiczne" i wycenia na co najmniej 5 razy droższe od normalnych. Podczas pobytu na boisku sportowym Wszewilek można też zorganizować sobie tam doskonały piknik - wszakże nic nie smakuje tak doskonale jak kanapki i inne pyszności zjadane na świeżym powietrzu siedząc na trawie w wiejskiej scenerii. W milickich restauracjach warto również spróbować dania ze słynnego milickiego karpia. Natomiast podczas wędrowki po Wszewilkach warto prześledzić jak wyglądają poszczególne generacje zabudowań wiejskich opisanych poniżej w punkcie #D1.3 tej strony. Wszewilki i Milicz umożliwiają również aby zapoznać się z ich bogatą historią pokojowego życia i gospodarowania. Najbardziej jednak warto tam przybyć aby osobiście pooglądać sobie owe niezliczone niezwykłości, które poopisywane są na odrębnych stronach internetowych o wsi Wszewilki oraz o mieście Miliczu, a także skrótowo podsumowane poniżej w punkcie #D1.5 tej strony. Szczególnie zaś warto tam osobiście i naocznie się przekonać z dowodów opisanych na odrębnej stronie o Wszewilkach, że wieś ta zawzięcie i bezpardonowo prześladowana jest od stuleci przez jakieś "nadprzyrodzone moce". Jeśli zaś jakieś "nadprzyrodzone moce" mogą celowo prześladować wybraną wieś, wówczas jest to dowodem że moce takie faktycznie istnieją - tak jak opisują to strony o nazwach ufo_proof_pl.htm, god_proof_pl.htm, czy soul_proof_pl.htm. W dzisiejszych zaś czasach "ateistycznej nagonki" prowadzonej przez "oficjalną naukę ludzką" dobrze jest jednak się dowiedzieć i naocznie przekonać o faktycznym istnieniu i działaniu "nadprzyrodzonego" - wszakże może to całkowicie zmienić nasze przyszłe losy (po więcej szczegółów dlaczego może to okazać się dla nas wysoce korzystne - patrz np. punkt #B5 na stronie o nazwie seismograph_pl.htm.)

Jeśli zaś czytelnik wie co to takiego wysoce moralna filozofia zwana totalizmem, wówczas na dodatek do powodów wymienionych powyżej ma on kilka dalszych powodów aby przybyć do Wszewilek w którymkolwiek przypadkowym dniu (dzień ten z całą pewnością będzie już teraz różnił się od daty jednego z owych kiedyś internetowo koordynowanych "złotów", bowiem "złoty" te przestały być organizowane już od 2007 roku). Mianowicie powinien przybyć do Wszewilek i do Milicza aby swoją obecnością zmanifestować poparcie dla moralności, prawdy, pokoju, miłości bliźniego, prawdziwej wolności, równości, praworządności, konstruktywności, oraz dla innych wartości o których wdrażanie w życie walczy właśnie filozofia totalizmu. Wszakże Wszewilki są kolebką z jakiej wywodzi się ów totalizm. Praktycznie też każda osoba dla której totalistyczne wartości są bliskie sercu, a także każdy kto uważa siebie za totalistę, ma moralny obowiązek aby przybyć do Wszewilek przynajmniej raz w życiu. Po przybyciu zaś do Wszewilek, powinien na własne oczy pooglądać sobie niezwykłości i szokujące prześladowania trapiące tą wioskę. Przykładowo, powinien na własne oczy zobaczyć, jak jakaś "nadprzyrodzona moc" siła tak złośliwie zakrzywiła przebieg torów kolejowych, aby te staranowały miniaturowy ryneček owej wioski, a w ten sposób aby zniszczyły one niemal całą jej historię. Albo aby zobaczyć jak wyglądają doły w ziemi istniejące w miejscach gdzie kiedyś stał prastary kościół Wszewilek - zbudowany jeszcze z tajemniczej lokalnej "rudy darniowej" (zilustrowany na "Fot. #D2" tej strony) i inne budynki publiczne owej wioski do niedawna wiodącej życie na zasadach "wspólnoty". Albo zobaczyć, jak dwie części które kiedyś stanowiły tą samą wioskę, w rezultacie skrytych prześladowań Wszewilek-Stawczyka obecnie porównują się do siebie jak "królewicz do żebraka". Czy też aby zobaczyć, jak ktoś zbudował nowy staw tuż pod wioską, tylko po to żeby staw ten zalał pozostałości niemal 1000-letniego młyna wodnego tej wioski oraz żeby odciął on dostęp ludzi do czakramu Ziemi istniejącego przy owym młynie i emitującego potężny podmuch energii przez Chińczyków nazywanej "chi".

Aktorzy mają swoje Hollywood. Polacy mają swoje Chicago. Katolicy mają swój

Rzym. Muzułmanie mają swoją Mekkę. Wspinacze na skały mają swój Mount Everest. Poszukiwacze złota mają swoje Eldorado. Natomiast zwolennicy filozofii totalizmu mają swoje Wszewilki - z całym ich ładunkiem wymownej symboliki, wysoce znaczącego zaniedbania, prześladowanej przeszłości, oraz (miejmy nadzieję) nieco lepszej przyszłości. Tyle tylko, że cele przybycia totalistów do Wszewilek są zupełnie odmienne, a faktycznie to niemal dokładnie odwrotne, niż cele ścigane poprzez wyprawy i podróże tamtych innych grup ludzi. Wszakże tamci inni ludzie wybierają się do swoich miejsc wędrówek tylko po to aby w ten sposób uczynić coś dla siebie samych. Natomiast totaliści wybierają się do Wszewilek głównie po to, aby swoim przyjazdem uczynić coś dla innych ludzi oraz dla całej ludzkości

Powyższe wyjaśnienia "dlaczego warto odwiedzić wieś Wszewilki (i pobliskie miasteczko Milicz)" uzupełnię też informacją czego nie należy się spodziewać po tych odwiedzinach. I tak wcale nie należy tam pojechać dlatego, że owe miejscowości chciałyby konkurować z kilkoma niemieckimi miastami które podczas organizowanych w nich "festiwali piwa" oferują przybyłym turystom do wypicia tyle darmowego piwa ile tylko daje się pomieścić w ich biednych żołądkach. Wszakże "Wszewilki" to miejscowość w której narodziło się pojęcie "pola moralnego" i dzisiejsze rozumienie "moralnych zasad życia" - tak jak te pojęcie i zasady opisuje filozofia totalizmu - której idea faktycznie też wywodzi się z moralnego życia dawnych mieszkańców owej wioski. Jedyne na co więc można liczyć po przybyciu do Wszewilek i Milicza, to szklanka darmowej wody podania spragnionemu przez jakiegoś życzliwego miejscowego. Nie należy też tam przybywać z nadzieją że miejscowi pozwolą każdemu obrzucać się darmowymi dojrzałymi pomidorami - tak jak dla przyciągnięcia turystów oferuje to hiszpańska miejscowość Bunol oraz jej włoska konkurentka podczas organizowanych tam "festiwali obrzucania się pomidorami". Pomidory we Wszewilkach i Miliczu, owszem, są, ale tylko do jedzenia i tylko jak się za nie zapłaci. Wcale nie zachęcam też aby tam przybyć na polski odpowiednik dla "festiwalu obrzucania się pomarańczami" za pomocą którego przyciągają do siebie turystów mieszkańcy włoskiego miasta Ivrea. Pomarańczami można wprawdzie rzucać we Wszewilkach i Miliczu, jednak trzeba bardzo uważać aby przypadkiem nie trafić nimi kogoś z miejscowych - bo pogoni widłami. Wszewilek i Milicza nie należy także odwiedzać aby "uganiać się za 7 funtowym kolistym serem toczonym w dół góry", jakie to uganianie dla przyciągnięcia turystów Brytyjczycy organizują we wsi Brockworth koło Cheltenham (gdzie nagrodą jest ów smakowity ser oddawany pierwszej osobie która go dogoni i złapie). We Wszewilkach, owszem, można doświadczyć zdrowego pogonienia np. jeśli ubierze się czerwoną koszulę i wejdzie w drogę miejscowemu buhajowi - nie ma jednak co wówczas liczyć na otrzymanie sera w nagrodę. Wszewilki nie zamierzają też napuszczać na swoich gości stada rozjuszonych byków, takich jakie w Hiszpańskim mieście Pamplona z Navarry atakują przybyłych podczas tamtejszego "festiwalu drażnienia się z bykami". We Wszewilkach, owszem, byki są, ale typowo nikt ich celowo nie napuszcza aby uganiały się za przyjezdnymi. Nie warto tam też przybyć z nadzieją, że pozwoli to nam naopychać się aromatycznymi żywymi pluskwiakami z leśnych jagód - tak jak dla zwabienia turystów oferuje to jedna z miejscowości w Hiszpanii, gdzie lokalne pluskwiaki jagodowe uważane są za gastronomiczny przysmak. Pluskwiaki owszem, są również i na krzewach jagodowych koło Wszewilek, jednak zapewniam że nie warto próbować jak smakowite się okazują jeśli zjadane są żywcem. We Wszewilkach ani Miliczu nie ma również co liczyć że ktoś zaoferuje nam pieczone lub żywe gigantyczne pędraki które dla nowozelandzkich Maorysów są uwielbianymi smakołykami, a które jako głośną atrakcję turystyczną oferują przyjezdnym do spróbowania podczas "festiwalu dzikiej żywności" organizowanego corocznie dla ożywienia maleńkiego, śpiącego miasteczka Hokitika w Nowej Zelandii. (Pędraki owe są wielkości ludzkiego palca, nazywają się "huhu grubs", znaleźć je można w Nowej Zelandii w próchniejącym drewnie, zaś ci co ich zakosztowali twierdzą, że jedzone na surowo smakują jak masło z orzeszków ziemnych - tzw. "peanut butter", zaś po ugotowaniu smakują jak kurczaki.) Wszewilki, owszem, mają niemal tej samej wielkości pędraki wyglądające równie smakowicie. Są to larwy chrabąszczy które żyją tam w ziemi. Gdyby jednak ktoś odważył się zaoferować je przyjezdnym do jedzenia, zapewne zostałyby

publicznie zlinchowany i nawet ewentualne posiadanie szwagra w ministerstwie turystyki nie zdołało by mu pomóc.

Fot. #B1 (B4 w [10]): Postument wymurowany z wysoce tajemniczej wszewilkowskiej tzw. "rudy darniowej", a stojący w miejscu byłej spektakularnej "bramy wjazdowej" do milickiego pałacu margrabiego zlokalizowanego w tamtejszym parku miejskim. Postument ten jest resztką tego co pozostało ciągle do dzisiaj z byłych średniowiecznych murów obronnych miasta Milicza. (Tyle że mury te kiedyś stały w innych miejscach niż powyższy postument. Niemniej materiał powyższego postumentu faktycznie pochodzi z dawnych murów obronnych Milicza.) Mury średniowiecznego Milicza wzniesione były z brył lokalnej "rudy darniowej", którą kiedyś pozyskiwano właśnie na łąkach i polach z okolic dzisiejszej wsi "Wszewilki-Stawczyk". Z kolei ów lew widoczny na wierzchołku postumentu wymurowanego z brył rudy darniowej jakie pochodzą z oryginalnych murów obronnych Milicza, jest tym samym lwem który w dawnych czasach ozdabiał wierzchołek południowej bramy wylotowej w średniowiecznych murach miasta Milicza. (Owa średniowieczna brama nazywana była "Bramą Wrocławską", ponieważ droga przez nią prowadziła do Wrocławia. Oryginalnie zlokalizowana ona była w pobliżu miejsca w którym obecnie znajduje się most przez młynówkę na południowym zbiegu obu ulic wylotowych z milickiego rynku.) Powyższe zdjęcie wykonane było w lipcu 2004 roku. Po więcej danych na temat dawnych murów Milicza, patrz punkt #C27 i zdjęcie "Fot. #27(b)" ze strony internetowej o nazwie miasto Milicz.

W tym miejscu warto podkreślić, że w początkowym stadium budowy miasta Milicza, aż do około 14 wieku, ruda darniowa wywodząca się z okolic Wszewilek była używana jako podstawowy materiał budowlany którym zastępowano wówczas brak dzisiejszych cegieł i pustaków. Dawni ludzie po prostu przycinali stalowymi piłami duże bryły tej rudy na regularne kostki i używali tych kostek do budowy. Przykładem formy zbudowanej w ten sposób jest pozostała do dzisiaj reszta murów obronnych Milicza pokazana na zdjęciu "Fot. #B1" powyżej. Innym przykładem jest kościół z Wszewilek którego wygląd w końcowej okresie tuż porzed wyburzeniem pokazuje zdjęcie "Fot. #D2" poniżej.

Niestety, ruda darniowa należy do tzw. "zimnych" materiałów budowlanych. Wszakże przewodzi ona ciepło znacznie lepiej niż cegła. Domy budowane z tej rudy są więc trudniejsze do ogrzania niż domy np. z cegły. Dlatego używano ją w budownictwie tylko do czasu aż powszechnie dostępne stały się cegły. Potem zaś zaniechano jej używania, chyba że na jej użycie wskazywał jakiś ważny powód, np. chęć pamiątkowego zachowania resztek murów niejskich - jak to miało miejsce w przypadku budowy bramy ozdobnej do milickiego pałacu której resztki pokazano na powyższym zdjęciu "Fot. #B1".

Milicka "ruda darniowa" jest niezwykle tajemniczym minerałem. Faktycznie to do dzisiaj tzw. "ateistyczna nauka ortodoksyjna" (tj. nauka której niebezpieczny dla ludzkości "monopol na wiedzę" oraz potrzeba totaliztycznej "konkurencji" opisywane są w punkcie #C1 strony telekinetyka.htm oraz w punkcie #A2.6 strony o nazwie totalizm_pl.htm) NIE jest w stanie logicznie wyjaśnić i udokumentować np. eksperymentem, skąd minerał ten się bierze. Nauka ta wyjaśnia bowiem pochodzenie milickiej "rudy darniowej" jako rodzaj "odchodów" bakterii żyjących w żelazistych wodach. Tymczasem żelaziste wody i owe bakterie istnieją praktycznie na całym świecie, podczas gdy poza Miliczem, "ruda darniowa", podobno występuje jeszcze (choć w dużo mniejszych ilościach) tylko gdzieś w Austrii. Ponadto, dzisiejsza nauka NIE uzyskała takiej rudy eksperymentalnie, ani NIE wyjaśniła, jak ruda ta została "pospiekana" w duże i twarde bryły - jako że będąc "odchodami" bakterii powinna ona mieć formę proszku. Więcej o tym tajemniczym mineralu jest zawarte w punkcie #F1 strony o nazwie wszewilki.htm.

Część #C: Co warto wiedzieć wybierając się do wsi Wszewilki oraz miasta Milicza:

#C1. Istnieje interesujący program zwiedzania Wszewilek i Milicza:

Ponieważ jednak prezentacja tego "programu zwiedzania" wymaga sporych opisów, podany on został w "części #D" w dalszych fragmentów tej strony. Wybierając się do Wszewilek i Milicza warto jednak znać ten program zwiedzania, a nawet jeszcze lepiej nosić ze sobą w kieszeni jego drukowaną formę - np. tą dostępną w podrozdziale #B4 z "tomu 0" mojego opracowania [10].

#C2. Programowanie dla siebie na Wszewilkach spełnienia się jednego (najważniejszego) naszego pozytywnego życzenia:

Jak wyjaśniłem to dokładniej na stronie o Wszewilkach, niezwykłością owej wsi jest to, że wszelkie pozytywne oraz silne marzenia i życzenia jakie są w niej podjęte, z upływem czasu zawsze się spełniają. Jeśli ktoś w to nie wierzy, wówczas proponuję aby zapytał o to któregoś ze starszych mieszkańców Wszewilek spotkanych podczas zwiedzania owej wsi (proszę jednak wybrać do zapytania kogoś uśmiechniętego i pozytywnego, bowiem ludzie negatywni i zgorzkniali nie mają pozytywnych marzeń które by im mogły się wypełniać). Powodem dla którego pozytywne i silne marzenia zaprogramowane we Wszewilkach zawsze się wypełniają, jest iż obszar owej wioski posiada unikalną zdolność do przeprogramowywania konfiguracji przeciw-świata. O co w owym przeprogramowywaniu dokładnie chodzi, wyjaśniłem to dokładniej w punkcie #D1 strony internetowej o karmie. (Tj. przeprogramowana konfiguracja przeciw-świata dodaje naszym działaniom dodatkowej efektywności. Owa dodatkowa efektywność przez Polaków zwykle nazywana jest "szczęściem", zaś Anglicy nazywają ją "good luck". Jest ona niezbędna dla osiągnięcia celów życiowych jakie sobie stawiamy. Tak nawiasem mówiąc, to w takim właśnie przeprogramowywaniu pomocne są m.in. różne "talizmany" jakie niektórzy ludzie noszą. Talizmanem o największej mocy z jakim dotychczas się spotkałem jest tzw. "logo totalizmu" jakie być może będzie rozdawane na boisku Wszewilek jako pamiątka oraz "trophy" z danego zlotu.) Aby zaprogramować dla siebie wypełnienie się określonego pozytywnego marzenia, wystarczy marzenie to dokładnie sobie zdefiniować w jakimś miejscu Wszewilek które nam się podoba (np. przy tamie na rzece Barycz). Jeśli chcemy, dla większej pewności możemy też dodatkowo głośno opisać nasze marzenie owemu miejscu. Jeśli zaś na owym marzeniu aż tak nam zależy, że chcemy bezwzględnie się upewnić iż z całą pewnością się ono spełni, wówczas możemy dodatkowo zrealizować procedurę przeprogramowania konfiguracji przeciw-świata, jaką odnotowałem w trakcie moich badań podczas profesury w Malezji i na Borneo, że stosowana jest przez tamtejszych ludzi przeprogramujących konfigurację przeciw-świata (oni ją tam nazywają "magią"). Aby procedurę tą zrealizować, dobrze jest przywieść ze sobą do Wszewilek jakiś trwały przedmiot, z którym nieco nam będzie potem szkoda się pożegnać - przykładowo srebrną monetę, a jeśli takiej nie mamy to chociaż największą wartościowo monetę jaką mamy w swoim portfelu (nie może to jednak być banknot, ani nic co ulega szybkiemu zgniciu lub zniszczeniu). Następnie wybieramy sobie jakieś ustronne miejsce w okolicy Wszewilek, co do którego jesteśmy niemal pewni że nikt tam naszej monety nie będzie szukał. Wpatrując się w monetę tak intensywnie jak tylko możemy, wydajemy jej jednozdaniowy rozkaz zawierający dokładną definicję życzenia którego wypełnienia od niej się spodziewamy. Następnie monetę tą zakopujemy tak aby nikt inny jej nie znalazł, zapamiętując jednocześnie dokładne miejsce gdzie ona się znajduje - tak że w razie potrzeby będziemy kiedyś mogli ją odnaleźć. Potem kiedykolwiek podejmujemy jakiegokolwiek działanie w sprawie wypełnienia się owego życzenia, przypominamy sobie przez moment (np. wyobrażamy w myślach) ową monetę, tak aby nasze działania związać z programem jaki w monetę tą wpisaliśmy. Nie radzę programować dwóch marzeń podczas jednego pobytu we Wszewilkach, bowiem się nawzajem pomieszają. Jeśli kiedyś przybędziemy ponownie do Wszewilek, wówczas warto wrócić i oglądnąć owo miejsce gdzie spoczywa nasz program z życzeniem, aczkolwiek nie powinno go się odkopywać bo przez przypadek może on ulec zmianieniu.

#C3. W jakich terminach odradzam teraz zwiedzania wsi Wszewilki oraz miasta Milicza:

Aczkolwiek przybycie i zwiedzenie wsi Wszewilki oraz miasta Milicz jest możliwe o każdej porze roku i dnia, kiedyś istniał cały szereg terminów, kiedy zwiedzenie to było najbardziej niewskazane. W terminach owych miały bowiem mieć miejsce na Wszewilkach unikalne zloty, których wszystkie aspekty miały być koordynowane internetowo. Pierwszy z owych zlotów, noszący nazwę "Wszewilki-2006", miał już miejsce w sobotę dnia 8 lipca 2006 roku (czyli w dniu który wyrażał się łatwym do zapamiętania zapisem "8/7/6") - po raport z jego przebiegu i następstw patrz strona raport ze Zlotu "Wszewilki-2006". To właśnie wszyscy znani mi uczestnicy tamtego zlotu zostali paskudnie pokarani przez jakieś "nadprzyrodzone" moce. Terminy następnych z owych zlotów były kiedś ustalone na następujące daty:

7 lipca 2007 roku (czyli w dniu który wyrażał się zapisem "7/7/7").

8 sierpnia 2008 roku (czyli w dniu który wyrażał się zapisem "8/8/8").

9 września 2009 roku (czyli w dniu który wyrażał się zapisem "9/9/9").

Każdy ze zlotów mających się odbyć w powyższych dniach we Wszewilkach i w Miliczu, miał być rodzajem prywatnej i niewinnej wycieczki jego uczestników nastawionej głównie na zwiedzenie opisywanych w punkcie #D2 tej strony ciekawostek i atrakcji owych miejscowości. Aby jednak wycieczka ta mogła być powiązana z różnymi formami humorystycznego, uczonego i interesującego spędzenia razem czasu, była ona koordynowana za pośrednictwem internetu. Wszakże "w kupie raźniej, bezpieczniej, oraz więcej uciechy". Wskazane więc było aby dołączyć do innych którzy w tych właśnie terminach tam przybędą. Niestety, jakieś mściwe "nadprzyrodzone moce" popsują tamte niewinne wycieczki.

* * *

Czytelnik zapewne zadaje sobie pytanie "dlaczego dawniej zalecane było że miał on przyjeżdżać do Wszewilek właśnie w powyżej wyszczególnionych dniach, np. w sobotę, dnia 7 lipca 2007 roku, kiedy ową wioskę mógł też on zwiedzać w dowolnym innym terminie". Odpowiedź na to pytanie brzmiała, że zanim "nadprzyrodzone moce" włączyły się aktywnie do obrzydzenia ludziom Wszewilek, istniało kiedyś aż wiele ku temu powodów. Przykładowo, jeśli nie zaplanuje się czegoś na konkretną datę, wówczas jest wysokie prawdopodobieństwo że wogóle tego się nie zrealizuje. Jeśli więc nie zdecydowalibyśmy się wszyscy zjechać do zwiedzania Wszewilek właśnie w określonym dniu, np. sobotę, dnia 7 lipca 2007 roku, wówczas najprawdopodobniej nigdy nie zwiedzilibyśmy owej wioski. W sobotę, dnia 7 lipca 2007 roku warto również miało być przybyć do Wszewilek ze względów pamiątkowych. Wszakże to w owym dniu miało być we Wszewilkach wielu ludzi wykonujących pamiątkowe fotografie. (Ja zachęcałem przecież wszystkich uczestników, aby wykonywali zdjęcia każdego interesującego momentu ze zwiedzania owych miejscowości, potem zaś przysyłali mi co ciekawsze z tych zdjęć do wystawienia na jakimś forum, np. na "Facebook".) Czyż zaś nie przyjemnie byłoby potem zobaczyć siebie w internecie jak się stoi w naturalnej pozie na historycznym miejscu, albo jak duma się nad jakimś ważnym aspektem historii? Innym istotnym powodem przybycia właśnie w owym dniu, było ponieważ mieszkańcy Wszewilek i Milicza przybycia zwiedzających właśnie w owym dniu mieli się spodziewać. Wszakże informacja o owym koordynowanym poprzez internet zwiedzaniu owych miejscowości była dostępna w internecie już od ponad roku czasu. A internet ma podobno potężną moc i zasięg. "Wszewilczanie i Miliczanie z kolei nie gęsi, też do internetu czasami zagląдают". Spodziewając więc się "najazdu" ciekawskich z dalekiego świata, nie byłiby ani wcale zdziwieni, ani też podejrzliwi, jeśli jacyś obcy ludzie nagle zaczęliby się interesować architekturą ich budynku, zaczęliby zaglądać do ich obejścia, rozbijać namioty na boisku sportowym Wszewilek, czy łązić po okolicznych polach, łąkach i laskach. Chociaż więc w innych dniach roku prawdopodobnie wzięliby widły i pogonili takiego kogoś gdzie pieprz rośnie, w samym tym dniu zapewne chętnie wyszliby przed bramę swojego domostwa, pogawędzili z przybyszami, opowiedzieli im o historii swego domu czy historii co ciekawszego miejsca Wszewilek lub Milicza, pokazali obejście, poczęstowali szklanką wody, a nawet - jeśli zaszłaby potrzeba, to podwieźliby traktorem do co bardziej interesującego miejsca. Jeszcze innym powodem do poprzedniego wybrania z góry ustalonej daty na przyjazd do Wszewilek i Milicza, było że z punktu widzenia

numerologii daty te były dosyć szczególnymi dniami. (Takie numerologicznie szczególne daty po angielsku nazywają się "auspicious". Daty wszystkich koordynowanych poprzez internet imprez Wszewilek, tj. w dniach 7/7/7, 8/8/8, 9/9/9, a także 8/7/6 - czyli ta dla której zlot "Wszewilki-2006" faktycznie się odbył, zostały specjalnie tak dobrane aby reprezentować sobą właśnie takie numerologicznie "auspicious" dni.) Istnieje więc jakieś tam prawdopodobieństwo że w którymś z tych dni wydarzy się coś na tyle niezwykłego we Wszewilkach, iż możemy potem żałować że nie ujrzelśmy tego na nasze własne oczy. Niestety, mściwa reakcja "nadprzyrodzonych mocy" na owe zloty we Wszewilkach, popsuka wszystko powyższe.

#C4. Co faktycznie oznacza iż "nadprzyrodzone moce" formują przeszkody dla osób usiłujących odwiedzić wieś Wszewilki:

W późniejszych czasach często się zastanawiałem "dlaczego" owe nadprzyrodzone moce "popsuły" kiedyś tamte internetowo-organizowane zjazdy we Wszewilkach. Wynik do którego owe analizy mnie doprowadziły zaszokował nawet mnie samego. Okazuje się bowiem, że "przeszkadzanie" i "wzbudzanie poczucia zagrożenia" formuje coś co filozofia totalizmu nazywa "polem moralnym". Wszystko zaś co jest "moralne" i co z jakichś powodów jest ogromnie "istotne i korzystne dla ludzi", musi się mozolnie wspinać "pod górę owego 'pola moralnego' " - czyli musi się zachowywać dokładnie tak jak wyjaśnia to punkt #F1 na stronie o nazwie rok.htm oraz punkt #A2.1 na stronie o nazwie totalizm_pl.htm. Czyli moje analizy ujawniają, że przybycie do Wszewilek i do Milicza, oraz dokładnie zwiedzenie owych miejscowości, z jakichś powodów zostało uznane przez "nadprzyrodzone moce" za działania wysoce "moralne" i wysoce "korzystne dla ludzi" - które wynoszą "pod górę 'pola moralnego' " każdą osobę która przybędzie aby zwiedzić te miejscowości. To zaś już samo w sobie nakłania do różnych przemyśleń, refleksji i wniosków. Gdyby nie fakt, że ja sam wywodzę się z Wszewilek i z Milicza (a stąd że ja NIE muszę już zwiedzać tych miejsc), już tylko to iż z jakichś powodów "nadprzyrodzone moce" uznały zwiedzenie tych miejscowości za "wysoce moralne" i za "wysoce korzystne" dla ludzi, mi już by wystarczyło abym koniecznie przybył do obu owych miejscowości.

Część #D: Co" i "jak" warto zobaczyć we wsi Wszewilki oraz miasteczku Miliczu:

#D1. Co we Wszewilkach jest warte zwiedzania, oglądnięcia i uczynienia:

Motto: "Przyszłość i przeszłość są symetryczne względem teraźniejszości."

Jeszcze inne pytanie, nad którym ktoś być może się zastanawia, to że "Wszewilki są przecież wioską jak każda inna, cóż więc takiego unikalnego miałyby one mi do zaoferowania i pokazania, czego dotychczas bym nie widział w żadnej innej wiosce Polski". Jak jednak się okazuje faktycznie Wszewilki mają wiele do pokazania co jest unikalne tylko dla nich i czego nie da się zobaczyć w żadnej innej wiosce Polski. Poniżej wyszczególnię najważniejsze z rzeczy wartych tam oglądnięcia. Oto one:

#D1.1. Porównanie przeszłości z teraźniejszością w celu nabycia umiejętności wnioskowania o przyszłości:

Wszyscy wiemy, że nasza teraźniejszość jest rezultatem przeszłości poddanej ewolucji i działania czasu. Z tego powodu niemal każdego człowieka który widzi obecny wygląd czegokolwiek, interesuje jak to coś wyglądało wiele lat temu. Przykładowo, widząc jakiegoś aktora czy bohatera filmowego w dniu dzisiejszym, często zadajemy sobie pytania jak on wyglądał w czasach młodości. Jeśli bowiem opanuje się umiejętność symulowania w naszym umyśle zmian z przeszłości do teraźniejszości, wówczas ma się też możliwość przewidywania przyszłości. Wszakże aby zobaczyć co już wkrótce nastąpi, wystarczy to co widzimy wokół siebie dzisiaj poddać takiemu samemu procesowi jaki znamy że zamienił on przeszłość w dzień dzisiejszy. Przykładowo, wiedząc jak jakiś aktor zmienił wygląd z młodego na stary, jesteśmy też w stanie przewidzieć jak my sami, lub jak ktoś z naszych

bliskich, zmieni swój wygląd po upływie określonego czasu. Problem jednak z poznaniem procesu "od przeszłości do teraźniejszości" jest, że ogromnie mało miejscowości na naszej planecie ma go udokumentowanym dla siebie. Większość więc miejsc możemy zobaczyć jak one wyglądają dzisiaj, jednak nie wiemy dla nich, jak one wyglądały np. 50 czy 100 lat temu. Tymczasem Wszewilki są niemal jedyną wsią w Polsce, dla której ów proces został w internecie udokumentowany praktycznie dla przedziału ostatniego 1000 lat. Dlatego warto przyglądnąć się na miejscu, czyli we Wszewilkach, jak ten proces zmian wyglądał i do jakiego dzisiejszego wyniku on doprowadził. Z kolei po tym jak poznamy ten proces dla Wszewilek, będziemy mogli go odnieść do dowolnej wsi lub miejscowości która będzie nam znana.

#D1.2. Ilustracja procesu niszczenia ludzkiej przeszłości i prawdziwej historii, jaki skrycie jest prowadzony jest na Ziemi:

Wszewilki są jednym z owych rzadkich miejsc na świecie, w którym udało się przyłapać na "gorącym uczynku" owe "mroczne moce" które skrycie wyniszczają naszą planetę. We Wszewilkach bowiem do dzisiaj przetrwały dowody systematycznego i celowego niszczenia obiektów i zabytków które są nośnikami historii ludzkości. (Opisy podobnego jak na Wszewilkach, celowego wyniszczania naszej wiedzy i historii - tyle że tym razem dokonywane na skalę całego globu, zawarte są również na stronie internetowej o nazwie [evolution_pl.htm](#).) Na szczęście dla nas, ów proces systematycznego niszczenia wiedzy i historii naszej planety, na Wszewilkach został dokładnie zilustrowany oraz opisany. Ponieważ proces taki zachodzi na wielką skalę praktycznie w każdym miejscu na Ziemi, warto mu się przyglądnąć we Wszewilkach, aby potem móc go rozpoznać jak jest kontynuowany w dowolnym innym interesującym nas miejscu naszej planety.

#D1.3. Zilustrowanie spiralnej ewolucji architektury budownictwa wiejskiego:

Wszewilki są niemal jedyną wsią w Polsce, dla której ewolucja architektury jej domostw od pierwszej aż do nadchodzącej szóstej ich generacji została udokumentowana w internecie. Dlatego warto przyglądnąć się tej ewolucji we Wszewilkach, aby potem móc ją odnosić do dowolnej innej wsi lub dowolnej innej miejscowości która nas interesuje. Jak dokładnie wyglądają poszczególne generacje budynków mieszkalnych istniejących na Wszewilkach wyjaśnione to zostało szczegółowo w punkcie #D1 strony internetowej o wsi Wszewilki. Z kolei w których dokładnie miejscach Wszewilek można zobaczyć owe budynki poszczególnych generacji wskazane zostało w opisach szlaków wędrownych z punktów #D2 i #D3 niniejszej strony (np. patrz 6 w punkcie #D2.2, czy 6 i 3 w punkcie #D3.3).

#D1.4. Poznanie fascynującej historii Wszewilek i Milicza:

Niewiele istnieje obecnie wsi w Polsce, których historia byłaby tak interesująca jak historia Wszewilek, a jednocześnie znana dla aż tak długiego przedziału czasu około 1000 lat. Dlatego warto poznać historię Wszewilek, oglądając na miejscu obiekty które historię tą ilustrują. Opisy obiektów Wszewilek i Milicza które są nośnikami owej fascynującej historii opisane zostały na stronach internetowych o wsi Wszewilki, o mieście Miliczu, oraz o kościołach Wszewilek i Milicza.

#D1.5. Poznanie niezwykłości Wszewilek:

Wszewilki są raczej niezwykłą wsią. Niewiele miejsc w Polsce, a nawet na świecie, może się poszczycić zjawiskami lub obserwacjami które mają miejsce we Wszewilkach. Przykładowo, niedaleko od Wszewilek, tuż przy pobliskiej tamie na Baryczy, znajduje się czakram ziemi który wydziela potężny podmuch korzystnej dla ludzi energii przez Chińczyków nazywanej "chi". We Wszewilkach miały też miejsce opady żywych rybek. Były one wówczas skoncentrowane wokół starodawnego obszaru obozowiskowego (obecnego boiska sportowego) będącego punktem początkowym i końcowym szlaków opisanych w punktach #D2 i #D3 tej strony. Wprawdzie podobne deszcze padały również w innych miejscach świata, jednak tam zwykle padały martwe ryby (jako przykład patrz deszcz z martwych szprotek w Great Yarmouth, UK z 2002 roku). Opisy moich obserwacji

owych deszczy z żywych rybek (płotek) na Wszewilkach zaprezentowane są w podrozdziale I3.5 z tomu 5 monografii [1/5]. W pobliżu Wszewilek powierzchnię okolicznych łąk zalegały pokłady tajemniczej "rudy darniowej", której największe złoża rozlokowane były właśnie wokół tej wsi, co do której dzisiejsza nauka nie potrafi zadowalająco odpowiedzieć skąd się ona tam wzięła, oraz którą ja osobiście posądzam że jest ona pozostałościami żelazistej komety jaka tam właśnie uderzyła w Ziemię w ekresie epoki lodowcowej. (Po opisy owej tajemniczej "ruby darniowej" patrz punkt #F1 na odmiennej stronie wszewilki.htm.) W samych Wszewilkach relatywnie często widywano miniaturowych UFOonautów, lokalnie nazywanych "krasnoludkami", oraz przezroczysty "grzyb" jakby wykonany ze szkła w którym oni przybywali. Na przy-wszewilkowskich łąkach można czasami odnaleźć galaretowatą substancję niezemskiego pochodzenia nazywaną "anielskie włosy" - jej opisy zawarte są w podrozdziale V5.4 z tomu 17 monografii [1/5]. Niedaleko od Wszewilek miały miejsce obserwacje mitycznego potwora zwanego "gryfem". Moje własne spotkanie z owym krwiopijnym gryfem opisałem w podrozdziale R4.2 z tomu 15 monografii [1/5]. Z kolei obserwacje tego podobnego do małego lwa potwora w innych niż Polska krajach zaprezentowane są na stronie internetowej o Nowej Zelandii. Ponadto we Wszewilkach wypełnia się wszystko czego wystarczająco mocno zapagniemy. Więcej informacji na temat owych niezwykłych atrybutów Wszewilek zawarty jest na stronie internetowej o wsi Wszewilki.

#D1.6. Zaprogramowanie dla siebie wypełnienie się naszego jednego (najważniejszego) pozytywnego marzenia czy życzenia:

Podczas pobytu na Wszewilkach warto skorzystać ze zdolności tej miejscowości (szczególnie zaś zdolności czakramu ziemi znajdującego się w miejscu położenia pradawnego wszewilkowskiego młyna wodnego), do wypełniania naszych pozytywnych życzeń. Kiedy więc jesteśmy już na Wszewilkach, powinniśmy skorzystać z tej okazji i zaprogramować dla siebie wypełnienie się jednego (najważniejszego) z naszych pozytywnych życzeń. Jak tego dokonać, wyjaśniłem to w punkcie #C2 tej strony.

#D1.7. Zakupienie sobie od rolników Wszewilek ich organicznych produktów rolnych:

Rolnicy Wszewilek ciągle do dzisiaj gospodarzą w tradycyjny sposób. Znaczą, nie używają oni czy popierają inżynierii genetycznej, nie wstrzykują swym kurom antybiotyków, nie karmią czy wysiewają hormonów wzrostowych, nie lubują się też w wymaczaniu tego co produkują w pestycydach, chemikaliach, itp. Faktycznie więc, na przekór że się z tym głośno nie reklamują, nadal do dzisiaj stosują oni gospodarowanie które w wielkich metropoliach świata jest hałaśliwie reklamowane jako "organic farming" (tj. "gospodarowanie organiczne"). Znaczą że kurczaki wyrosłe na Wszewilkach ciągle smakuja jak przedwojenne kurczaki, jajka są pożywne i smaczkowe jak zwykły wiele wieków temu, mleko z Wszewilek ciągle jest prawdziwym mlekiem - a nie rozwodnionym barwnikiem i chemikaliami, świniaiom nie podaje się tam hormonów wzrostowych ani antybiotyków, na owocach nadal nie ma tam grubej skorupy z pestycydów ani innych chemikalii, natomiast warzywa ciągle tam nie wiedzą co to inżynieria genetyczna - po ich spożyciu nikomu więc nie grozi wyrosnięcie trzeciej nogi czy krowiego wymiona. Jak zaś wielu czytelnikom jest to doskonale wiadomo, w dzisiejszych czasach ceny na takie organiczne produkty rolne typowo są co najmniej 5 razy droższe niż ceny normalnych produktów. Tymczasem na Wszewilkach ciągle wszystkie te zdrowe i smaczne produkty rolne można zakupić nawet znacznie taniej niż ich odmiany "normalne" kosztowałyby w jakimś wielkomiejskim supermarkecie. Jeśli więc ktoś odwiedza Wszewilki i ma wolną przestrzeń w bagażniku swego samochodu, radziłbym rozważyć zagadanie do któregoś z miejscowych rolników i zakupienie od niego dowolnych z takich produktów rolnych jakie aktualnie on posiada na zbyciu. Jeśli zaś planuje się za jakiś czas ponowny przejazd z pobliżu Wszewilek, radziłbym nawet złożyć u tego rolnika zamówienie na następną porcję jego produktów rolnych.

Co jednak najciekawsze na Wszewilkach, to że zakupując osobiście produkty rolne od miejscowego rolnika, ma się okazję poproszenia go aby nam pozwolił oglądnąć jak wzrost owych produktów jest dokonywany, oraz osobiście się przekonać czy faktycznie

wzrost ten ma charakter organiczny. Jest to gwaracją jeszcze większej wiedzy i pewności, że to co się kupuje jest faktycznie organiczne, niż gdyby się coś zakupiło w supermarkecie. Wszakże supermarkety nigdy nie pozwalają na osobistą inspekcję warunków i procedur wzrostu sprzedawanej przez nie żywności.

#D2. Nieoficjalne "szlaki wędrowne" wsi Wszewilki, wzdłuż których można dokonywać zwiedzania tej niezwykłej wsi i jej okolic:

Oczywiście, nikt na Wszewilkach ani w ich okolicach nie zadbał aby poznaczać jakiegokolwiek szlaki wędrowne które dopomogłyby w zwiedzaniu tej miejscowości i w poznaniu jej niezwykłej historii. Dlatego ja w tym niniejszym punkcie opiszę moje własne, czyli nieoficjalne szlaki. Ponieważ faktycznie szlaki te nie są przez nikogo poznakowywane, podczas ich opisów będę wyjaśniał jak je samemu należy sobie wytyczać podczas ich przechodzenia. Ponieważ w moich wyjaśnieniach posługiwałem się będę kierunkami geograficznymi, wędrującym po tych nieoficjalnych szlakach znacznie ułatwiłoby znajdowanie właściwej drogi gdyby nosili oni ze sobą mały kompas (plus, oczywiście, wydruk z niniejszej strony internetowej, a także ze strony związanej tematycznie z danym szlakiem, np, strony Wszewilki, lub strony Milicz). Kompas wskazywałby im lepiej drogę podczas ich wędrowki i zwiedzania historycznych miejsc Wszewilek (i okolic tej wioski) na bazie podanych poniżej informacji. Z kolei wydruk z niniejszej strony pozwalałby im utrzymać się na danym szlaku, oraz zwracać uwagę na co bardziej interesujące aspekty tego co po drodze mijają.

#D2.1. Nieoficjalny "szlak bursztynowy" wiodący ze stacji kolejowej w Miliczu do obecnego boiska sportowego Wszewilek (a dawnego obszaru obozowiskowego):

Ów szlak jest jedynie długi na około 1.5 km. Wolnym krokiem można go więc przejść w przeciągu około 1.5 godziny. Przejście nim i oglądnięcie sobie jego ciekawostek i historycznie interesujących miejsc jest więc wprost idealnym rozwiązaniem kiedy ktoś zamierza przybyć do Wszewilek pociągiem w czasie dnia. (Lub zamierza odjechać z Wszewilek dniem również pociągiem - wówczas też powinien przejść ten sam szlak, tyle że "tyłem do przodu", czyli zaczynając od końcowego z podanych poniżej opisów a kończąc na pierwszym z tych opisów.) Niektóre fragmenty owego szlaku daje się także zwiedzać z samochodu. Przykładowo, od dworca kolejowego w Miliczu (a także od milickich łązienek) do niedawna dawało się samochodem dojechać aż do lewego brzegu tamy na Baryczy - patrz 6 poniżej. Z kolei od Wszewilek daje się nim dojechać aż do brzegu najnowszego stawu rybnego przy Wszewilkach (tj. do jakiś 300 metrów od tamy na Baryczy - patrz 7 poniżej). Ponieważ jednak szlak ten wiedzie po wertepach, trzeba go pokonywać przy dobrej widoczności. Jego przebieg pokrywa się z grubsza początkowo z przebiegiem niemal 1000-letniej drogi z Duchowa do Wszewilek, potem zaś z równie starym odcinkiem gałęzi historycznego "Bursztynowego Szlaku" - czyli prastarej drogi wiodącej najpierw z Milicza do Wszewilek przez most przy starym młynie wodnym Wszewilek, potem zaś wiodącej przez Pomorsko do Gniezna i dalej do Gdańska. Pomocnym przy wędrowce opisywanym tutaj szlakiem byłby wydruk strony internetowej Wszewilki. Oto poszczególne odcinki owego szlaku:

1. Śpichlerze Milicza. Wszyscy ci którzy przybywają do Milicza koleją, zwykle klną na położenie milickiej stacji kolejowej. Jest ona bowiem oddalona o około 2 km od centrum miasta. Ponadto nie posiada żadnej komunikacji miejskiej z owym centrum. Bardzo jednak mało ludzi wie, że takie położenie milickiego dworca kolejowego zostało uwarunkowane historycznie. Na niewielkim bowiem wzgórzu na którym obecnie mieści się milicki dworzec kolejowy, już jakieś 1000 lat temu mieściły się stare śpichlerze Milicza. Potem w miarę upływu czasu, śpichlerze te obrosły w cały szereg innych składów, tartaków i warsztatów, tworząc niejako "przemysłową dzielnicę Milicza". Dlatego kiedy w 1875 roku budowano kolej przez Milicz, jej dworzec zaplanowano właśnie w miejscu owych odwiecznych śpichlerzy. Oficjalną wymówką było, że takie jego położenie przybliży kolej do miejscowych wytwórni - czyli tam gdzie jej najbardziej potrzebowano. Nieoficjalnym zaś powodem było, aby zniszczyć owe prastare śpichlerze oraz wszelkie ślady ich istnienia. Podczas też

budowy milickiego dworca kolejowego, śpichlerze te dokumentenienie wyburzono. Teraz nie pozostało po nich nawet śladu. Kiedy jednak wyjdzie się z budynku dworca w Miliczu (pamiętając aby wcześniej odpisać sobie z rozkładu jazdy widocznego na ścianie owego dworca godziny odjazdów pociągów powrotnych do naszego domu), wchodzi się na rodzaj jakby dziedzińca. Jest to właśnie dziedziniec wokół którego od kilkuset lat stały owe milickie śpichlerze. Najważniejszy z nich stał po prawej (północnej) stronie owego dziedzińca - patrząc od wyjścia z dworca. Z tyłu za nim istniała duża przystań dla małych milickich barek, którymi ziarno dowożone było do niego, a potem odwożone do młyna wodnego na Baryczy, za pomocą żeglownej kiedyś odnogi Młynówki - która to odnoga w dawnych czasach docierała aż do owych śpichlerzy.

2. Przystań dla barek pod starym milickim śpichlerzem. Jeszcze do niedawna, z północnej strony wzgórza z dzisiejszym milickim dworcem kolejowym oraz wybrukowanym dziedzińcem owego dworca (dawniej zaś wzgórza na którym znajdowały się śpichlerze Milicza), znajdował się spory jakby staw. Kiedyś do stawu owego wiodła żeglowna odnoga Młynówki. (Odnogę tą w kilku odcinkach zasypano później nasypem kolejowym podczas budowy obecnej linii kolejowej. Niemniej ciągle do dzisiaj w wielu miejscach widoczne są jej fragmenty. Ponadto drugi most w nasypie kolejowym licząc od stacji kolejowej Milicza, czyli jeden most kolejowy przed mostem nad samą Młynówką, oryginalnie był właśnie mostem przez ową żeglowną odnogę Młynówki.) Odnogą tą barki ze zbożem docierały aż do głównego śpichlerza Milicza. Obecnie miejsce gdzie pod byłym głównym śpichlerzem Milicza mieściła się końcowa przystań dla barek, można zobaczyć wychodząc ze stacji kolejowej Milicza i początkowo idąc drogą do Milicza w dół ku zachodowi, a po jakichś 50 metrach skręcając na pierwszym skrzyżowaniu w pierwszą (prawą) szosę wiodącą ku wschodowi. Owa szosa, zanim wejdzie pod most pod torami kolejowymi, przechodzi właśnie naprzeciwko owej historycznej przystani dla barek spod prastarych milickich śpichlerzy. Resztki tej przystani widać po południowej stronie jakby stawu, który kiedyś okrążała owa droga.

3. Odcinek prastarej drogi z Duchowa do Wszewilek, oraz żeglowna odnoga Młynówki wzdłuż której droga ta kiedyś przebiegała. Aby wejść na ową starodawną drogę, niemal natychmiast po odejściu od budynku dworca w Miliczu i po pomaszerowaniu w kierunku zachodnim ową szosą wokół dawnej przystani dla barek (tj. drogą która łukiem zakręca od budynku dworca najpierw ku zachodowi, potem ku północy, a w końcu ku wschodowi), przejść trzeba pod mostem w nasypie torów kolejowych tuż przed dworcem. Po przejściu pod tym mostem czytelnik znajdzie się po wschodniej stronie torów (budynek dworca i wyjście z niego znajduje się po zachodniej stronie owych torów). Odnotuj, że niniejszy opis jest długi, jednak faktyczne odległości są tam niewielkie - np. odległości od dworca do owego mostu pod torami, drogą okrężną wokół dawnej przystani barek, wynosi zaledwie jakieś 150 metrów. Dalej jakieś 200 metrów od owego mostu pod nasypem kolejowym, a także jakieś 200 metrów w linii prostej od budynku dworca w Miliczu), od owej głównej drogi przebiegającej tam w kierunku na wschód przez wieś Sławoszewice, odbiegało będzie w lewo drugie z kolei odgańlenie, a raczej druga mała uliczka boczna Sławoszewic. Jest ono skierowane ku północy (tj. skierowane niemal równoległe do torów kolejowych). Można je łatwo rozpoznać, bowiem na samym początku ma ono jakby zawijas (tj. nie zaczyna się prosto). Odgańlenie to jest drugą uliczką boczną odbiegającą w lewo od owej drogi głównej przez Sławoszewice (poprzedzająca je, pierwsza uliczka boczna, jest tylko krótką ślepą uliczką kończącą się tuż przy nasypie kolejowym). Ta druga uliczka (odgańlenie) w lewo jest właśnie fragmentem (a dla nas początkiem) owej starodawnej drogi z Duchowa do Wszewilek. Trzeba w nią skręcić, poczym nią podążać (z małymi zygzakami) przez jakieś 500 metrów, aż się nią przejdzie przez mostek na drugą stronę (północną) "Młynówki". Zdażając tą drogą do mostu na Młynówce warto się uważnie rozglądać dookoła. Wszakże po jej lewej (zachodniej) stronie owej drogi, co jakiś czas da się zobaczyć fragmenty byłego kanału żeglownego dla barek, który łączył przystań pod śpichlerzami Milicza (opisaną powyżej w 2) z Młynówką, a dalej z Miliczem i z prastarym młynem wodnym na Baryczy. W dawnych czasach po kanale tym flisacy spławiali zboże do i ze śpichlerzy Milicza, w małych jednosobowych barkach z płaskim dnem opisanych

poniżej.

4. Młynówka, czyli najstarsza milicka arteria transportowa, oraz jej unikalne barki flisackie. Nazwa "Młynówka" przyporządkowana jest w Miliczu do sztucznego koryta rzeki Baryczy, wykopanego około 1000 lat temu. Korytem tym woda z "wysokiej" części stawu starego młyna wodnego na Baryczy doprowadzana była do fos obronnych miasta Milicza. Ponadto Młynówka była najważniejszą arterią transportową dawnego Milicza. Kursowały po niej niewielkie barki, których kształt i wygląd były unikalne dla Milicza (w żadnym innym miejscu na świecie nie widziałem barek ani łodzi w dokładnie takim kształcie jak te z Milicza). Barki te miały płaskie dno, były około 1.5 metra szerokie i około 3 metry długie, oraz miały bardzo śmieszny, zaokrąglony dziób i ogon - każdy z nich w kształcie półkola. Tak samo łatwo pływały więc do przodu i do tyłu. Kiedy chodziłem do pierwszej klasy szkoły podstawowej (nr. 1 w Miliczu) cała flotylla tych barek gniła sobie zapomniana przez wszystkich w okolicach dzisiejszych Łazienek Milicza. Były one napędzane tyczką przez jednego flisaka, zaś każda barka bez trudu była w stanie uwieźć ładunek około 300 kg po wodzie głębokiej zaledwie po kostki. Otóż przekraczając ów most przez młynówkę, warto sobie popatrzeć na jej koryto. Istotne kiedyś w owej Młynówce było, że na całej szerokości jej koryta i długości jej spływu utrzymywano kiedyś dokładnie tą samą głębokość jej wody. To zaś świadczy o wysokim kunszcie inżynierskim i znajomości hydrauliki u dawnych mieszkańców Milicza. Takie równiutkie jak stół, płaskie, czyste, piaszczyste dno i strome pionowe brzegi, młynówka ciągle miała w czasach mojej młodości. Niestety do dzisiaj, z powodu jej zaniedbania przez ludzi, ta dawna żeglugowa arteria Milicza z czasem uległa rozmyciu i zamuleniu. Patrząc na ten niby niepozorny, sztucznie wykopany kanał, warto sobie uświadomić, że przez pierwsze około 500 lat istnienia Milicza był on najważniejszą arterią transportową owego miasta. Faktycznie to większość żywności, drewna, surowców, wyrobów rzemiosła, oraz materiałów budowlanych potrzebnych wówczas Miliczowi, było transportowane do niego w owych miniaturowych barkach właśnie poprzez koryto Młynówki i innych kanałów z Młynówką połączonych. Drogi bite, po których podążały zaprzęgi końskie, były jedynie kosztownym uzupełnieniem owych barek. Dlatego zaprzęgi końskie używano tylko w pilnej potrzebie, lub tam gdzie barkami nie dawało się dopłynąć. Zresztą, jeśli przyglądnąć się przebiegowi najważniejszych dróg Milicza, np. owej drogi zaopatrzeniowej wiodącej ze śpichlerzy Milicza znajdujących się w miejscu obecnego milickiego dworca kolejowego, do centrum Milicza (po szczegóły patrz opisy z 1 powyżej), wówczas się okazuje, że owe drogi bite na początku budowane były właśnie wzdłuż kanałów dla owych barek - w tym wypadku wzdłuż koryta Młynówki. Po dokładnym oglądnięciu sobie owej Młynówki można ruszyć w dalszą drogę.

5. Fragment "Bursztynowego Szlaku" wiodący od Milicza do starego młyna wodnego na Baryczy. Tuż za mostem na Młynówce owa droga z Duchowa łączy się na kształt litery "T" z równie starą drogą, która od około 1000 lat temu wiodła z miasta Milicza do starego młyna wodnego na Baryczy, biegnąc właśnie wzdłuż koryta Młynówki, potem zaś po przekroczeniu mostu który kiedyś istniał za kołem wodnym owego młyna, wiodła do wsi Wszewilki (przechodząc tuż obok obecnego boiska sportowego Wszewilek, które zapewne jest celem naszej pieszej wędrówki). Owa prastara droga, kiedyś była fragmentem jednej z gałęzi historycznego "Bursztynowego Szlaku". (Więcej informacji o owym historycznym "Bursztynowym Szlaku" zawarte jest na stronie o mieście Miliczu.) Skracamy w prawą odnogę owej prastarej drogi z Milicza do Wszewilek, czyli skręcamy w kierunku na wschód (jakby oddalając się od nasypu torów kolejowych). Jeśli przejdziemy tym pradawnym odcinkiem drogi jakichś dalszych 400 metrów, dojdziemy do tamy na Baryczy. Idąc ową drogą warto rozglądać się uważnie dookoła. Jest to bowiem najmniej zniszczona historyczna droga, z największą liczbą starych śladów pozostałych do dzisiaj. W dawnych czasach właśnie przy tej drodze stało kiedyś sporo zabudowań przymłynowych, włączając w to rodzaj hotelu dla klientów młyna oraz kilka składów na ziarno i mąkę. Jeśli ktoś dokładnie przyglądnie się poboczom owej drogi, ciągle i dzisiaj powinien odnotować ślady po ich fundamentach oraz po rampach i nabrzeżach jakie używały (sporo ziarna i mąki spławiane było wówczas do i z Milicza małymi jedno-osobowymi barkami z płaskim dnem właśnie po owej młynówce). Miejsca w których kiedyś stały budynki składów na

ziarno i mąkę łatwo poznać nawet obecnie, bowiem przy małym porciku jaki każdy z nich kiedyś posiadał zawsze wykopywany był okrągły staw, z korytem młynówki przebiegającym przez jego środek. Staw ten był miejscem gdzie owe małe barki mogły oczekiwać na swoją kolejkę do załadunku lub rozładunku, a także gdzie barki te mogły się wyminąć z barkami płynącymi do lub z młyna. Stawy te istnieją tam do dzisiaj - chociaż ludzie już zapomnieli czemu one kiedyś służyły. Po dojściu do tamy przechodzimy na drugą (północną) stronę rzeki Baryczy po chodniku biegnącym wzdłuż górnej powierzchni owej tamy.

6. Prastary młyn wodny na Baryczy oraz czakram energetyczny Milicza. Po przejściu przez tamę na północną (prawą) stronę rzeki Barycz, znajdujemy się w bardzo szczególnym miejscu. W owym miejscu, jedynie jakieś 100 metrów na północ od nas, znajdują się szczątki prastarego młyna wodnego na Baryczy - niestety od jakiegoś 1990-go roku są one zalane wodą uformowanego tam wówczas nowego stawu rybnego. Tuż przy byłym zlokalizowaniu owego młyna widoczne będzie małe, sztucznie usypane wzgórze zarośnięte drzewami i krzakami, które ciągle do dzisiaj powinno być widoczne jak wyłania się ponad powierzchnię nowego stawu. Na wzgórzu owym kiedyś mieścił się dom młynarza (sam młyn stał znacznie niżej od owego domu). Tuż przy nim zlokalizowany jest czakram energetyczny Milicza. Podmuch potężnego strumienia naturalnej energii "chi" jaka bucha z tego czakramu jest tak silny, że nawet jeśli nie jesteśmy wcale czuli na naturalne energie, jednak na chwilę przysiadzimy sobie przy owej tamie na Baryczy i skupimy się na własnych odczuciach, wówczas bez trudu go odczujemy. Uderzenie owej energii "chi" będzie tak silne, że nawet kiedy spędzimy siedząc przy owej tamie jedynie z 15 minut, ciągle potem będziemy czuli się wypoczęci, jacyś radośni, oraz wypełnieni energią.

7. Nowy staw rybny złośliwie zalewający szczątki starego wszewilkowskiego młyna wodnego. Kiedy spod tamy na Baryczy postanowimy ruszyć w dalszą drogę, początkowo powinniśmy przejść z jakieś 50 metrów ku zachodowi (tj. w kierunku nasypu torów kolejowych dobrze widocznych z owego miejsca) idąc wzdłuż wału przeciwpowodziowego Baryczy aż dojdziemy do punktu gdzie kończy się ów staw rybny zalewający były młyn wodny Wszewilek. Po dojściu poza krawędź owego stawu, powinniśmy zejść w dół z wału Baryczy i iść piechotą ku północy wzdłuż wału obrzeżającego ów staw, aż dojdziemy do pierwszej starej drogi która jakby wyłania się spod owego wału. Idąc obok tego stawu warto mu się przyglądać. Istnieje on tam bowiem dopiero od około roku 1990-go. Poprzednio były tam suche łąki, po których m.in. ja biegałem i wypasałem mamine krowy. Dopiero kiedy zaszła potrzeba aby szybko zniszczyć pozostałości historycznego młyna wodnego na Baryczy, około 1990-go roku jakiś zawzięty przeciwnik przeszłości i historii tej ziemi wymyślił sobie aby zbudować właśnie ów staw który zalał wszystko co ciągle tam istniało.

8. Ponowne wejście na historyczny "Bursztynowy Szlak", a ściślej na jego fragment który stanowił starą drogę z Wszewilek do młyna wodnego na Baryczy. Owa droga która wyłania się spod wału nowego stawu rybnego zalewającego resztki po młynie wodnym Baryczy, to właśnie "stara droga z Wszewilek do młyna wodnego na Baryczy". W dawnych czasach była ona fragmentem historycznego "Bursztynowego Szlaku", ponieważ prowadziła do mostu na Baryczy a dalej do Milicza. Należy nią podążać (niewielkimi zygzakami) zawsze ku północy, aż doprowadzi ona nas do obecnego boiska sportowego Wszewilek (w dawnych czasach był to obszar gdzie obozowali kupcy i handlarze koni przybyli na jarmarki do Wszewilek - po szczegóły patrz 1 w punkcie #D2.2 tej strony). Idąc po tej drodze warto się rozglądać za kwadratami położonymi tuż przy owej drodze, w których porost trawy lub zboża ma nieco odmienną intensywność i kolor niż gdzie indziej. Miejsca te bowiem wyznaczają były klepiska z lepianek wszewilkowskiej "bieda-wsi", które rozlokowane były wzdłuż owej drogi aż Hitler je polikwidował w końcowych latach 1930-tych (klepiska te ciągle były doskonale zachowane w czasach mojej młodości).

9. Obozowisko we Wszewilkach, na którym w dawnych czasach odbywały się jarmarki i zatrzymywali kupcy oraz handlarze koni przybyli na owe jarmarki. "Bursztynowy szlak" którym podążamy, zaprowadzi nas aż do punktu w którym przecina się on z torami kolejowymi w miejscu w jakim zupełnie już zaniknął nasyp kolejowy. W owym miejscu, w końcowym trójkącie pomiędzy tą drogą a torami kolejowymi, położone jest dzisiejsze boisko

sportowe Wszewilek. Jednak faktycznie boiskiem jest ono tylko od jakiegoś czasu po drugiej wojnie światowej. Jeszcze bowiem podczas drugiej wojny światowej, a także przez krótki okres czasu zaraz po wojnie, boisko sportowe było położone zupełnie gdzie indziej. Mianowicie zlokalizowane ono było wzdłuż krawędzi lasu pomiędzy ostatnim (w kierunku wschodnim) budynkiem Wszewilek-Stawczyka znajdującym się przy starej drodze tej wioseczki, a ostatnim budynkiem znajdującym się przy (nowej) szosie tej wioseczki (tj. boisko to znajdowało się jakby z tyłu obojczyka mieszkającej tam kiedyś rodziny Chupało). Natomiast w miejscu gdzie dzisiaj mieści się boisko sportowe Wszewilek, znajdował się wówczas zupełnie nieużywany przez nikogo plac. Plac ten jednak historycznie miał uzasadnienie, bowiem to na nim kiedyś odbywały się jarmarki koni i obozowali uczestnicy tych jarmarków. Ponadto aż do czasów Hitlera, w południowo-wschodnim kącie tego placu istniało kilka małych lepianek w jakich mieszkali bezrolni parobcy ze wsi Wszewilki.

Fot. #D1 (K1 z [10]): Tama na Baryczy przy wsi Wszewilki. Od pierwszej poprzedniczki tej tamy, czyli od prastarego młyna wodnego Wszewilek, zaczęła się bogata historia tej wioski i jej gospodarczy związek z Miliczem. Zdjęcie z 2003 roku. To właśnie tylko około 100 metrów na północny zachód od pokazanej powyżej tamy, już ponad 2000 lat temu pasterze była z pobliskiego grodziska Milicza zaczęli budować pierwsze schroniska przed pogodą. Późniejsza ewolucja tych schronisk doprowadziła z czasem do powstania dzisiejszej wsi Wszewilki-Stawczyk. To także w pobliżu owej tamy mieści się potężny "czakram energetyczny" jaki rządzi losami miasta Milicza i jego okolicy. Czakram ów emituje tak silny podmuch naturalnej energii przez Chińczyków nazywanej "chi", że jej wpływ odczuwają nawet ci najbardziej znieczuleni i gróboskórni. (Aby odczuć energetyzujący i uspokajający przepływ tej naturalnej energii "chi", wystarczy na chwilę przysiąc w pobliżu powyższej tamy, odłączyć swoje myśli od doznań wzbudzanych przez nasze zmysły, oraz skupić swoją uwagę na naszych doznaniach wewnętrznych - czyli jak to się nazywa "przestawić się na odbiór energii 'chi' ". Warto przy tym jednak wiedzieć to co wyjaśnia nam punkt #A2.2 strony o nazwie totalizm_pl.htm - mianowicie, że jeśli się silnie wierzy np. w pozytywne działanie energii "chi" czy w moc "feng shui", wówczas Bóg dostarcza nam dowodów na potwierdzenie tych naszych silnych wierzeń, czyli Bóg powoduje że to w co wierzymy faktycznie się spełnia - wszakże to właśnie dlatego tzw. "placebo efekt" działa jak najdoskonalsze lekarstwo.) Przykładowo, właśnie z powodu silnego przepływu owej energii "chi", nawet w czasach mojej młodości, kiedy nikt jeszcze nie słyszał o takich rzeczach jak energia "chi", "feng shui", naturalne czakramy Ziemi, medytacje, itp., na powyższą tamę przybywało mnóstwo ludzi tylko po to aby - jak to wówczas nazywano, "uspokoić swoje nerwy" (dzisiaj nazywają to "medytowaniem", lub "nasycaniem ciała naturalną energią 'chi' "). Z powodu takiego umiejscowienia przymilickiego czakramu Ziemi, cokolwiek dzieje się w okolicy tej tamy, jest to jednocześnie symboliczną reprezentacją tego co dotyka miasto Milicz i jego okolice. Ponieważ zaś przepływ energii w owym czakramie jest sterowany losami wsi Wszewilki-Stawczyk która z niego historycznie się wywiodła, cokolwiek przytrafia się owej wsi, jest jednocześnie symboliczną reprezentacją tego co potem dotyka Milicz i cały obszar rozciągający się na dziesiątki kilometrów dookoła tego miasta. Powyższa tama położona jest też jedynie jakieś 100 metrów na południe od miejsca, w którym pomiędzy latami 900 a 1000 AD zbudowano pierwszy młyn wodny miasta Milicza. Młyn ten, a także osada robotników którzy go zbudowali i parobków którzy w nim pracowali, z czasem stworzył zaczątek miejskiej wsi milickiej obecnie znanej jako Wszewilki-Stawczyk. Z kolei mąka z owego młyna żywiła i wzmacniała mieszkańców Milicza oraz jego okolic przez niemal 1000 ostatnich lat.

Pokazana tutaj tama zbudowana była przez polskich "Junaków" około 1950 roku. Czyli w chwili fotografowania miała ona już ponad 50 lat. Z uwagi na energetyczne znaczenie dla Milicza tego co wokoło owej tamy się dzieje, aktualny stan rzeczy na samej owej tamie, a także w jej okolicach, jest symbolicznym wyrażeniem stanu rzeczy w samym Miliczu i jego okolicach.

Przed tamą pokazaną na powyższym zdjęciu, w tym samym miejscu istniała

"stara" tama zbudowana przez Niemców wkrótce po 1900 roku. W chwili więc jej wymiany na tamę pokazaną na powyższym zdjęciu, tamta stara tama także miała około 50 lat. Jednak nawet tamta stara poniemiecka tama na Baryczy nie była pierwszą tamą stojącą w tym miejscu. Począwszy bowiem gdzieś pomiędzy około 900 a 1000 rokiem AD, jakieś 100 metrów na lewo od obiektywu aparatu wykonującego powyższe zdjęcie, zbudowany został pierwszy młyn wodny na Baryczy. W sensie administracyjnym przynależał on do wsi obecnie zwanej "Wszewilki-Stawczyk". Młyn ten także spiętrzał wodę Baryczy do poziomu bliskiego temu jaki widzimy na powyższym zdjęciu jak spiętrzany jest przez obecną tamę. Faktycznie więc ów pierwszy młyn wodny Wszewilek-Stawczyka, był jednocześnie pierwszą tamą na Baryczy jaka stała zaledwie około 100 metrów na północ od tamy widniejącej na powyższym zdjęciu. Ponadto, młyn ten rozdzielał i przekierowywał rzekę Barycz na dwa koryta. Jedno z owych koryt, tj. "niskie" czyli to do którego woda spływała z koła młyńskiego, biegło ku Miliczowi mniej więcej wzdłuż przebiegu po jakim Barycz płynie i obecnie (aczkolwiek w znacznie bardziej zawyły i pokręcony sposób). Tamto "niskie" koryto wbiegało do dzisiejszego koryta Baryczy tylko jakieś 20 metrów z tyłu poza plecami wykonującego powyższe zdjęcie. Z kolei drugie "wysokie" koryto Baryczy, jakie odchodziło od stawu przed kołem wodnym owego starego młyna wszewilkowskiego, biegło pradawnym korytem Baryczy które obecnie w Miliczu znane jest pod nazwą "młynówki". Na powyższym zdjęciu owo drugie ("spiętrzone" albo "wysokie") koryto Baryczy przebiegało wzdłuż linii drzew widocznych za samochodem po prawej stronie zdjęcia, czyli faktycznie przecinało ono dokładnie prostopadle obecne koryto rzeki Barycz jakie widoczne jest na powyższym zdjęciu. (Widoczne tu, obecne koryto Baryczy, wykopane zostało sztucznie podczas regulacji Baryczy następującej już po roku 1900-nym.) Owo stare "wysokie" koryto Baryczy (tj. "młynówka") faktycznie dostarczało wody do fosy obronnej średniowiecznego miasta Milicza. Można więc śmiało stwierdzić, że młyn jaki przez niemal 1000 poprzednich lat stał zaledwie jakieś 100 metrów na północ (lewo) od miejsca pokazanego na powyższym zdjęciu, nie tylko żywił miasto Milicz, ale także bronił je przed wrogami. Od jego losów zależne więc były losy Milicza - co zresztą wynikało z jego położenia na czakramie energetycznym Milicza.

Fragmenty omawianego tutaj starego młyna wodnego na Baryczy, ciągle istniały w pobliżu pokazanej powyżej tamy w czasach mojej młodości, tj. w latach 1950-tych do 1960-tych. Ciągle też istniały wówczas zdziczałe drzewa owocowe jakie rosły w pobliżu tego młyna. Dopiero około 1990-ego roku obszar owego młyna został włączony w nowoformowany staw rybny oraz zalany wodą. Nawet jednak tuż przed zalaniem tego terenu, ciągle dobrze widoczna była droga dojazdowa do młyna, jaka prowadziła z Wszewilek. (Droga ta po wojnie niesłusznie nazywana była "drogą na tamę", chociaż w ostatnim swym fragmencie skręcała ona na wschód ku byłemu budynkowi owego młyna, w ten sposób oddalając się od tamy zamiast wieść ku niej.) Obecnie zapewne po młynie tym nie zostały już żadne ślady - aczkolwiek muszę tutaj przyznać że podczas mojej ostatniej wizyty w Miliczu w lipcu 2004 roku nie byłem w owym miejscu - nie sprawdziłem więc jak sprawy tam stoją. Jedyne więc co ciągle po młynie tym być może wystaje ponad powierzchnię owego nowo-zbudowanego stawu rybnego, to wzgórze usypane sztucznie w widłach obu koryt Baryczy rozchodzących się od młyna. Na płaskim wierzchołku tego wzgórza stał kiedyś dom młynarza. (Dom ten umieszczony był na wzgórzu, aby chronić się przed wysokimi powodziami, które podczas niektórych wiosen zalewały dolinę Baryczy. Z kolei owo wzgórze mieściło się dokładnie w widłach na rozdrożu obu koryt Baryczy które kiedyś rozchodziły się w dwóch kierunkach od stawu spiętrzającego wodę dla owego młyna.)

* * *

Zauważ, że można zobaczyć powiększenie każdej fotografii z niniejszej strony internetowej. W tym celu wystarczy zwyczajnie kliknąć na tą fotografię. Ponadto większość tzw. browser'ów które obecnie są w użyciu, włączając w to popularny "Internet Explorer", pozwala na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększyć, a także gdzie ją można wydrukować za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

#D2.2. Nieoficjalny "szlak wokół byłego ryneczka Wszewilek" - ilustrujący zniszczenia dokonane na historii dawnych Wszewilek:

Jest to okrężny szlak o długości około 1.5 km. Przy wolnym zwiedzaniu można go całkowicie i dokładnie pooglądać w przeciągu około 2 godzin czasu. Rozpoczyna się on na obecnym boisku sportowym Wszewilek, gdzie wędrujący tym szlakiem może zaparkować i pozostawić swój samochód lub namiot. Kończy się on również na owym boisku sportowym Wszewilek, albo też przy młynie elektrycznym (od młyna jest tylko około 100 metrów do owego boiska sportowego). Szlak ten ilustruje co istotniejsze budynki publiczne Wszewilek, które zostały zniszczone w trakcie budowy kolei żelaznej w 1875 roku, zaś o których istnieniu pamięć do dzisiaj całkowicie zaniknęła. Tymczasem budynki te wyjaśniają istotną rolę jaką kiedyś wieś Wszewilki wypełniała dla miasta Milicza. Z kolei mechanizm użyty do ich zniszczenia jest typowym dla skrytego zaprzepaszczenia wiedzy na temat prawdziwej historii ludzkości. Pomocnym przy wędrowce opisywanym tutaj szlakiem i zwiedzaniu zawartych przy nim obiektów byłby wydruk ze strony internetowej Wszewilki. Oto kolejne etapy wędrowki po tym szlaku:

1. Tereny obozowania handlarzy i przejezdnych (obecne boisko sportowe Wszewilek). Opisane tutaj zwiedzanie historycznych Wszewilek i ich ciekawostek zaczniemy od dzisiejszego boiska sportowego tej wsi. Gdyby ktoś mógł przenieść się do dawnych czasów, wówczas by odnotował, że owo obecne boisko sportowe Wszewilek, na którym ma odbywać się główne obozowisko tego anonimowego Złotu, faktycznie było miejscem obozowania już od najdawniejszych czasów. Szczególnie podczas słynnych jarmarków końskich, do których kupcy zjeżdżali się do Wszewilek nawet z sąsiednich krajów. W czasie trwania tych jarmarków, kupcy i handlarze koni obozowali właśnie na obszarze obecnego boiska sportowego Wszewilek, a także na polu położonym po drugiej od boiska stronie przebiegającej wzdłuż niego polnej drogi (wówczas droga ta była ważną arterią komunikacyjną wiodącą najpierw do młyna wodnego na Baryczy, potem przez most przy owym młynie dalej do Milicza, z odgałęzieniem do Duchowa - patrz też opis z 5 w punkcie #D2.1, oraz punkt #E3.1 tej strony). Nawet obecnie, gdyby ktoś posiadał "detektor metali", zapewne znalazłby na owym boisku i otaczających go polach bardzo stare monety, pozostałe po owych dawnych obozowiskach. Podczas rozglądania się po owym boisku sportowym warto zwrócić uwagę na dziwnie zakrzywiony przebieg torów kolejowych które przy nim przebiegają. Zakrzywienie obserwowane w terenie warto sobie porównać z przebiegiem całej tej linii pokazanym na mapie lub na zdjęciu satelitarnym. (Ową mapę lub zdjęcie można sobie uprzednio wydrukować z internetu na podstawie danych zawartych na stronie o wsi Wszewilki.) Łatwo też wówczas zauważyć, że owo zakrzywienie wcale nie wynika z konieczności omijania jakichś przeszkód naturalnych - linia kolejowa mogła wówczas bez trudności być poprowadzona na wschód od Wszewilek. Jej takie właśnie zakrzywione ułożenie wynika wyłącznie ze "spisku przeciwko historii Wszewilek", opisanym na stronie o Wszewilkach. Tory kolejowe w 1875 roku zostały celowo zaprojektowane tak złośliwie, aby mogły staranować miniaturowy ryneczek Wszewilek, który kiedyś sąsiedował z terenem dzisiejszego boiska.

2. Szpichlerz Wszewilek. Zaraz po boisku warto oglądnąć sobie ślady zniszczenia publicznego szpichlerza Wszewilek. Wszewilki miały kiedyś duży szpichlerz w którym trzymane były zapasy zboża przeznaczonego dla Milicza. Był on bardzo podobny do owych szpichlerzy budowanych przez króla Kazimierza Wielkiego. Szpichlerz Wszewilek stał przy starej "drodze do młyna wodnego na Baryczy", która przebiega wzdłuż boiska sportowego Wszewilek. Położony on był tuż przy północnej części boiska, w miejscu gdzie obecnie przy boisku tym znajduje się duży dół w ziemi odgradzony od boiska rzędem ponad stuletnich brzoź (brzozy owe już tam rosły przed 1875 rokiem, kiedy ów szpichlerz jeszcze tam stał). Właśnie przez środek owego szpichlerza przetaranowała się linia kolejowa budowana w 1875 roku. Dlatego właśnie ów dół jaki pozostał po jego usunięciu i zużyciu na budowę nasypu kolejowego rozciąga się także i na drugą stronę dzisiejszych torów kolejowych.

3. Kościół i pierwszy cmentarz Wszewilek. Po oglądnięciu dołu po szpichlerzu Wszewilek, warto przejść około 50 metrów ku północy wzdłuż torów kolejowych, aby

oglądać sobie ślady zniszczenia kościółka i pierwszego cmentarza chrześcijańskiego Wszewilek. Te zlokalizowane były tylko około 50 metrów na północ od dołu po byłym szpichlerzu Wszewilek. Lokacja gdzie one się znajdowały położona jest po lewej (zachodniej) stronie torów kolejowych, w miejscu gdzie dół przy torach jest najgłębszy. Dokładne położenie kościoła można sobie określić, poprzez przedłużenie poza tory kolejowe owej polnej drogi jaka przebiega aż do torów przez środek pobliskich Wszewilek-Stawczyka. Kościół stał tylko kilka metrów na południe od owej drogi, ułożony do niej równolegle. Z kolei pierwszy katolicki cmentarz Wszewilek rozciągał się wokół tego kościoła. Wygląd i historia tego katolickiego kościoła z Wszewilek opisane są na stronie o kościele Św. Andrzeja Boboli z Milicza - patrz "Fot. #D2" poniżej. Kościółek z Wszewilek został rozebrany aż do fundamentów, zaś jego gruzy, wraz z całą ziemią z otaczającego go cmentarza, zużyte zostały do usypywania nasypu kolejowego pomiędzy Wszewilkami i stacją kolejową w Miliczu.

Aczkolwiek w chwili obecnej nie będzie zapewne to widoczne, od drzwi wejściowych do byłego wszewilkowskiego kościółka, aż do dębu na starosłowiańskim cmentarzu Wszewilek (tym opisanym w 8 poniżej), wiodła kiedyś (ku północy) prosta jak strzała, bardzo stara droga. Pozostałości tej bardzo starej drogi ciągle były dobrze widoczne w czasach mojej młodości. Przy drodze tej rosło kilka starych dębów, które w chwili obecnej miałyby co najmniej 300 lat. Jeden z dębów przy owej drodze przetrwał do czasów mojej młodości (po reszcie już wówczas pozostały jedynie pieńki). Rósł on trochę przed krawędzią lasu jedynie jakieś 40 metrów ku północy od byłych drzwi wejściowych tego kościoła - być może nawet że rośnie on tam do dzisiaj. Jest bardzo intrygujące do jakich obrządków używana była owa droga. Jeśli bowiem była to droga cmentarna (dla transportowania nieboszczyków z kościoła na cmentarz), wiek owych dębów by oznaczał, że starosłowiański cmentarz Wszewilek był używany już znacznie wcześniej niż powszechnie się to uważa.

Oglądając miejsce po byłym kościółku Wszewilek zlokalizowane z lewej (zachodniej) strony torów kolejowych, warto odnotować że podobne doły jak te po owym kościółku znajdują się także na pobliskim polu po prawej (wschodniej) stronie tych torów. Owe doły po prawej niemal nie mają żadnego historycznego znaczenia. Powstały one bowiem w latach 1970-tych, kiedy ktoś przy władzy nakazał aby stamtąd właśnie pobierać cały potrzebny Miliczowi piasek. W rezultacie tego wybierania, rzekomo zupełnie niewinnie powstały doły bardzo podobne do tych złośliwie wykopanych dla usunięcia kościółka. Wygląda to tak, jakby owa mroczna moc która przez wszystkie owe lata prześladowała Wszewilki, na dodatek do śladów owego prześladowania postanowiła spowodować także podobne ślady nie posiadające żadnego historycznego znaczenia. Wszakże wówczas ci będący na jej usługach mogą zasiewać konfuzję i niewiarę wykrzykując: "patrzcie, ten dół powstał w zupełnie niewinny sposób - to zaś dowodzi że wszystkie poprzednie doły mają tak samo niewinne pochodzenie".

Fot. #D2 (B3 z [10]): Powyższe zdjęcie przytaczam tutaj aby nim zilustrować jak wyglądał ów prastary kościół Wszewilek około 1870 roku - tj. na krótko przed tym zanim jego mury i piwnice zostały rozebrane, zaś jego gruzy użyte do budowy nasypu pod tory kolejowe przebiegające potem przez miejsce jego zlokalizowania. Zdjęcie pokazuje główne wejście do kościoła ujęte przy obiektywie aparatu skierowanym z zachodu na wschód. Kościół ten zbudowany był z nieregularnych brył tajemniczej tzw. "rudy darniowej" do dzisiaj znajdowanej na pobliskich łąkach koło koryta rzeki Barycz. Pochodzenie owego tajemniczego minerału-rudy prastarej Ziemi Milickiej dyskutowane jest w punkcie #F1 strony Wszewilki. W jego wnętrzu, wzdłuż ścian, wmurowanych było kilka płyt nagrobkowych upamiętniających co szacowniejszych synów Wszewilek. Z kolei z podziemi podobno wiódł niski tunel aż do jednego z grobów wszewilkowskiego cmentarza. Początkowo kościół Wszewilek był niską budowlą w stylu romańskim, zdolną też do wypełnienia funkcji obronnej. Jednak z czasem poddawany on był aż kilku przeróbkom i nadbudowaniom wysokości jego murów. Przeróbki te nieco zmieniły jego końcowy wygląd, tak że w czasach

rozbiórki jego oryginalny romański styl architektoniczny był już rozmyty. Na lewo od głównego wejścia, kościół Wszewilek miał wieżę w dzwonem wiszącym na rodzaju drewnianej struktury "kozła" (nie uwidocznioną na tym zdjęciu). Wieża ta NIE posiadała dachu, tak że dzwon widoczny był od zewnątrz.

Więcej informacji o wszewilkowskim kościele przytoczone zostało w punkcie #C5 totalizycznej strony o nazwie sw_andrzej_bobola.htm, w punkcie #E1 strony o nazwie wszewilki.htm, a także w punkcie #F1 strony o nazwie wszewilki_jutra.htm.

4. Piekarnia Wszewilek. Idąc wzdłuż torów ku północy o dalsze około 40 metrów, po prawej stronie torów znajdzie się ogromny dół w Ziemi. Jest to dół po zniszczonej piekarni Wszewilek. Wszewilki miały kiedyś dużą piekarnię która zaopatrywała w pieczywo nie tylko swoich mieszkańców, ale także pobliski Milicz. Piekarnia ta stała wzdłuż polnej (oryginalnej) drogi przez Wszewilki-Stawczyk. Pomiędzy nią a śpichlerzem Wszewilek w którym trzymane były zapasy zboża i mąki, istniała krótka prosta droga dowozowa. Droga ta przetrwała do dzisiaj. Można ją ciągle zobaczyć, bo przebiega ona tuż po prawej (wschodniej) stronie torów kolejowych, w linii prostej łącząc dół po byłym śpichlerzu z dołem po piekarni. (Odnotuj, że poza tym krótkim odcinkiem drogi przy torach, nigdzie indziej żadna droga nie przebiega tuż przy owych torach.) Piekarnia Wszewilek, podobnie jak każdy inny budynek publiczny tej wioski, została rozebrana dokładnie w tym samym czasie co śpichlerz, kościół i karczma, czyli na krótko przed rokiem 1875. Jej pozostałości, wraz z ziemią na której ona stała, zużyte zostały do budowy nasypu kolejowego pomiędzy Wszewilkami a stacją w Miliczu. Z wymazaniem owej piekarni z historii Wszewilek moim zdaniem ścisły związek mają losy rodziny która wkrótce po wojnie zamieszkała w kwadratowym budynku istniejącym tuż przy szosie, przy północnej krawędzi dołu pozostałego po zniszczeniu owej piekarni. Moim zdaniem rodzina ta musiała coś wiedzieć na temat owej piekarni. Niespodziewanie bowiem została ona usunięta czymś krzywdzącym nakazem ze swojego domu. Ja osobiście posądzam, że prawdziwym powodem owego ich usunięcia z zamieszkiwanego przez nich domu był fakt, że z wyklarowującej się przyszłości nagle wyniknęło iż prawdziwa historia tego miejsca już wkrótce będzie udostępniona do publicznej wiadomości. Ktoś postanowił więc odesłać w "siną dal" ostatnich świadków którzy mogliby na miejscu potwierdzić, że historia ta jest prawdziwa.

5. Oryginalna (stara) droga przez Wszewilki. Po dojściu wzdłuż torów kolejowych do początku dołu po piekarni, zobaczyć można polną drogę biegnącą prostopadle do torów, która zaczyna się od torów, poczym biegnie na wschód aż znika za horyzontem. To właśnie przy tej drodze jakieś 500 metrów od torów kolejowych, po jej prawej (południowej) stronie, stała kiedyś Wszewilkowska osamotniona leśniczówka. W niej zaś mieszkała samotna babcia-autochtonka. Niestety, wkrótce po wojnie babcia ta została zamordowana przez jedną z owych "band" rosyjskich maruderów, zaś jej zwłoki spalone wraz z leśniczówką w której mieszkała - tak jak to opisałem na stronie internetowej o wsi Wszewilki. Owa polna droga kończąca się na torach kolejowych, jest fragmentem pozostałym po oryginalnej (starej) drodze wschód-zachód przebiegającej przez Wszewilki. Wiodła ona z Milicza do Godnowa i dalej do Sulmierzyc. Istniała zanim zbudowano obecną szosę biegnącą równoległe do niej, jednak nieco bardziej od niej na północ. Droga ta daje dobre wyobrażenie jak kiedyś wyglądały drogi w tej miejscowości i jak trudno wówczas było się poruszać zaprzęgom konnym. Ponadto, jej przedłużenie na zachód poza tory kolejowe wskazuje dokładne miejsca gdzie kiedyś stały inne omawiane tutaj budynki publiczne oraz oryginalne zabudowania wsi Wszewilki. Wszakże zarówno kościółek Wszewilek, jak i karczma owej wioski stały kiedyś właśnie przy owej drodze.

6. Stary budynek (3-ciej generacji) z Wszewilek-Stawczyka. Jeśli podejdziesz się jakieś 100 metrów ku wschodowi wzdłuż owej starej (oryginalnej) polnej drogi przez Wszewilki-Stawczyk, wówczas po jej prawej stronie można zobaczyć bardzo interesujący ceglany budynek wiejski (jeśli dotychczas nie został on zburzony). Można go łatwo rozpoznać, bo w przeciwieństwie do innych budynków wiejskich jest on znacznie niższy (jego dach zaczyna się niemal na wysokości dorosłego człowieka), ma on małe okienka, więcej niż jedne drzwi wejściowe, zaś jego dach i strych jest nietypowo spadzisty i zajmuje

więcej niż połowę jego objętości (wszystkie te jego atrybuty posiadają ściśle uzasadnienia funkcjonalne, klimatyczne i technologiczne - uzasadnienia te wymagają jednak zbyt wiele opisów aby je tutaj wyjaśniać, chociaż część z nich omówiono w punkcie #D1.3 tej strony). Pod oknami tego bardzo starego budynku zapewne do dzisiaj przetrwały pieńki po ponad 200-letnich kasztanach wyciętych jeszcze w latach 1970-tych. W czasach kiedy mieszkałem na Wszewilkach budynek ten był zajmowany przez rodzinę Zagórskich. (Jeśli nie zbudowano tam ostatnio żadnego nowego domu, wówczas powinien to być 4-tym domem po prawej stronie drogi licząc od torów, po domu Dajczmanów, Bujakowej i Mazurów.) Oglądany przez nas dom Zagórskich jest "budynkiem wiejskim 3-ciej generacji" - zgodnie z klasyfikacją zaprezentowaną w punkcie #D1.3 tej strony. Podczas jego oglądania warto więc dokładnie przyglądać się jego atrybutom, szczególnie tym co do których widać że nie zostały one zmodyfikowane w ostatnich latach. Niedaleko od niego, bo zaledwie około 50 metrów od omawianego tu budynku Zagórskich - tyle że po przeciwnej stronie owej oryginalnej (polnej) drogi przez Wszewilki-Stawczyk, aż do lat 60-tych stał także nawet jeszcze starszy budynek, bo 2-giej generacji - według tej samej klasyfikacji z punktu #D1.3. Zamieszkiwany był on przez babcię Sołtysową. Niestety, został rozebrany w latach 1960-tych, tj. zaraz po śmierci zamieszkującej go staruszki. Już po jego oglądnięciu budynku Zagórskich warto również rzucić okiem na drugą stronę owej starej drogi przez Wszewilki-Stawczyk, bowiem przy owej drodze, wzdłuż krawędzi lasu, do wojny i przez kilka lat zaraz po wojnie znajdowało się właśnie boisko sportowe Wszewilek.

7. Karczma Wszewilek. Aby od budynku Zagórskich dojść do miejsca po byłej karczmi Wszewilek, trzeba cofnąć się ku wschodowi ową starą drogą przez Wszewilki-Stawczyk, wejść na nową szosę Wszewilek, oraz przejść tą szosą ku wschodowi o dalsze jakieś 100 metrów. (Przy okazji tego marszu warto również rozglądać się dookoła siebie aby odnotować "dbałość" jaką miejscowe władze wykazują wobec Wszewilek-Stawczyka, np. w porównaniu do dbałości jaką te same władze wykazują w stosunku do Wszewilek - które obie to wioski kiedyś były przecież jedną i tą samą wsią. W punkcie #E1 strony internetowej o wsi Wszewilki owe różnice w dbałości przyrównuję do tych jakimi w życiu zwykle cieszą się "królewicz i żebrak". Ich powód okazuje się prosty: mianowicie tylko Wszewilki-Stawczyk "podpadły" czymś mrocznym mocom które okupują Ziemię, a stąd które do dzisiaj mają możliwość mszczenia się na owej wiosce. Aby odnotować nierówność i niesprawiedliwość w poziomach owej "dbałości" o dwie części tej samej wioski, warto się rozglądać za takimi rzeczami jak przydrożny chodnik, bita i zadbana nawierzchnia drogi przez wioskę, hydranty wodociągów, obecność kanalizacji, oznakowania ulic lub miejscowości, znaki drogowe, itp.) Nasz marsz kończymy naprzeciwko miejsca gdzie po prawej (północnej) stronie szosy kończy się las. Po lewej stronie tej samej szosy widnieje tam betonowy basen przeciw-pożarowy. Basen ten postawiono na miejscu gdzie kiedyś stał dom karczmarza. Dom ten zaraz po wojnie spalili "bandyci" wraz z całą rodziną autochtonów która w nim zamieszkiwała. Jego byłe miejsce jest więc "miejszem o złej karmie" - być może dlatego basen który na nim zbudowano bez przerwy trapiiony był najróżniejszymi problemami, np. wyciekała z niego woda, ciągle był on wandalizowany przez chuliganów, zapominany przez władze i stąd nie napełniany, itp. Wzdłuż zachodniej krawędzi tego basenu przed zbudowaniem kolei w 1975 roku przebiegała droga "Bursztynowego Szlaku" wiodąca z Milicza i młyna wodnego na Baryczy, do owego miejsca Wszewilek, potem zaś do Pomorska i dalej do Gniezna i Gdańska. Ponieważ była ona jedną z gałęzi historycznie ogromnie istotnego "Bursztynowego Szlaku", po drodze tej bez przerwy toczyły się liczne karawany kupieckie które przejeżdżały właśnie tuż obok owego dzisiejszego basenu przeciw-pożarowego. Dlatego po przeciwnej do owego basenu (tj. do domu karczmarza) stronie owego szlaku, dokładnie na skrzyżowaniu dwóch ówczesnych dróg, wybudowana była wszewilkowska karczma. Karczma ta stała w miejscu bliskim do obecnej szosy Wszewilek, w którym dzisiaj zaczyna się ów ogromny dół po byłym ryneczku Wszewilek. Podobnie jak wszystkie budynki publiczne Wszewilek, karczma ta została rozebrana w czasach budowy kolei, zaś jej pozostałości, wraz z ziemią wybraną spod jej fundamentów, użyte zostały do budowy nasypu kolejowego.

Kiedy już stoimy przy owym basenie przeciwpożarowym (znaczy przy byłej lokacji

domu karczmarza), warto sprawdzić pole przylegające do niego od wschodniej strony. Jakież bowiem 30 metrów na wschód od owego basenu, na polu tym powinien stać albo gruby dąb jaki obecnie będzie liczył co najmniej 300 lat, albo też istniał będzie pień po owym dębie. Dąb ten jest bardzo interesujący. Oryginalnie był on bowiem posadzony na poboczu prastarej drogi którą wspominałem już w 3 powyżej. Ta biegnąca dokładnie z południa ku północy i prosta jak strzała droga wiodła od drzwi kościółka Wszewilek aż do dębu ze środka wszewilkowskiego cmentarza. Jeśli dokładnie przyglądnijemy się ziemi w pobliżu omawianego tu dębu, być może nawet obecnie zobaczymy tam pozostałości owej drogi. Pozostałości te być może dadzą też ciągle się odnotować w miejscu gdzie droga ta przecina szosę i zagłębia się w lesie. (W czasach mojej młodości była ona dosyć dobrze widoczna, a nawet ciągle istniały przy niej pieńki po wyciętych starych dębach które kiedyś przy niej rosły.) Dęby które przy drodze owej rosły pozwalają dedukować, że cmentarz wszewilkowski używany był często do jakichś rytuałów (np. do chowania zmarłych) już dużo wcześniej niż 300 lat temu.. Faktycznie to być może że używano go w tym celu zaraz po tym jak przy początku istnienia Wszewilek zapewnieniu uległ miniaturowy cmentarzyk przy wszewilkowskim kościele.

8. Starosłowiański cmentarz Wszewilek niesłusznie przez miejscowych nazywany "cmentarzem poniemieckim". Od karczmy dochodzi się do niego ową polną "drogą na Pomorsko" (tj. fragmentem jednego z odgałęzień dawnego historycznego "Bursztynowego Szlaku") która odbiega od szosy ku północy wzdłuż krawędzi lasu, zaczynając się przy owej byłej lokacji wszewilkowskiej karczmy. Cmentarz ten znajduje się po prawej (wschodniej) stronie owej drogi, jakieś 400 metrów od szosy. Co jest w nim warte obejrzenia, wyjaśnione to zostało dokładniej na stronie o wsi Wszewilki.

9. "Nowy" młyn elektryczny Wszewilek. Aby go oglądnąć należy od cmentarza cofnąć się z powrotem na szosę, oraz przejść szosą jakieś 100 metrów ku zachodowi. Młyn ten to piętrowy stary budynek z cegły, pierwszy taki budynek po lewej (południowej) stronie (nowej) szosy przez Wszewilki, licząc od dołu po byłej karczmi Wszewilek. Jest on częścią większego kompleksu zabudowań gospodarskich, które uformowane zostały w rodzaj zamkniętej "twierdzy" obronnej, jakby w przewidywaniu że mogą spotkać się z wrogością swego otoczenia. Kiedyś młyn ten spowodował popadnięcie w ruinę i zniszczenie starego młyna wodnego na Baryczy. Obecnie on sam podobnie popada w ruinę i niszczeje. (Jego losy są więc typowym przykładem działania karmy.) Jego historia opisana została na stronie o wsi Wszewilki.

10. Co czynić dalej po owym szlaku okrężnym wokół ryneczka Wszewilek. Po przewędrowaniu wokół ryneczka Wszewilek czytelnik ma teraz dwie kolejne możliwości - oczywiście jeśli nadal pragnie kontynuować swoje zwiedzanie. Oto one:

10a. Niemal 1000-letni młyn wodny na Baryczy oraz czakram energetyczny Milicza. To co po owym młynie wodnym pozostało, czytelnik zapewne już oglądał idąc ze stacji kolejowej Milicza do boiska sportowego na Wszewilkach, po prastarym "bursztynowym szlaku" opisanym w punkcie #D2.1 tej strony. Jeśli zaś jeszcze sobie tego nie oglądnął, warto tam się wybrać idąc na południe ową polną drogą która zaczyna się od "nowego" młyna elektrycznego Wszewilek i przebiega właśnie wzdłuż obecnego boiska Wszewilek (a byłego obszaru obozowego tej wioski). Opis tej drogi, a także opis tego co warto przy niej oglądać i doświadczyć, zawarty jest w punkcie #D2.1 tej strony - tyle że idąc po niej od boiska lub młyna we Wszewilkach, opis ten trzeba czytać "tyłem do przodu". Ponieważ droga ta jest jednocześnie drogą z Wszewilek do stacji kolejowej Milicza, być może jej oglądnięcie warto zostawić sobie na sam koniec wizyty we Wszewilkach.

10b. Ciekawostki miasta Milicza. Jeśli młyn wodny i czakram energetyczny Milicza oglądnęło się już podczas przyjazdu do Wszewilek, wówczas podczas odjazdu z owej miejscowości NIE warto przechodzić tej samej drogi i oglądać te same miejsca ponownie. Zamiast więc w drogę powrotną też wyruszać pociągiem, warto rozważyć powrót autobusem z dworca autobusowego znajdującego się w samym Miliczu. W takim wypadku, po zwiedzeniu pozostałości dawnego ryneczka Wszewilek - tak jak to opisano w wytycznych podanych powyżej, warto z Wszewilek wziąć sobie autobus do Milicza, lub przejść do Milicza piechotą szlakiem opisanym poniżej w punkcie #D2.3 tej strony. (Od

starodawnego ryneczku Wszewilek, do centrum Milicza, jest jakieś 3 km drogi idąc ku zachodowi chodnikiem wzdłuż szosy.) Po dotarciu zaś do Milicza, warto zwiedzić sobie to miasteczko wędrując po nim szlakiem okrężnym opisanym poniżej w punkcie #D2.4 tej strony, zaś bazującym na opisach ze strony internetowej o mieście Miliczu. Przy okazji tego zwiedzania warto także wpaść do jakiejś restauracji Milicza aby zamówić sobie danie ze słynnego karpia milickiego.

* * *

Tyle byłoby historycznie najważniejszych miejsc wartych oglądnięcia wokół dawnego ryneczka Wszewilek. Oczywiście, jest tam znacznie więcej takich miejsc, przykładowo stare wodociągi opisane na stronie o wsi Wszewilki. Jednak te inne miejsca położone są relatywnie daleko od byłego ryneczka Wszewilek. Dlatego nie są one objęte zwiedzaniem opisywanym w tym punkcie niniejszej strony internetowej (czytelnik będzie jednak miał okazję je poznać na własną rękę idąc do Milicza szlakiem opisanym poniżej w punkcie #D2.3 tej strony).

#D2.3. Nieoficjalny szlak spacerowy przez Wszewilki, pozwalający na ogólne zapoznanie się z tą wioską:

Długość tego szlaku wynosi około 3 km. Przy wolnym kroku spacerowym jego przejście piechotą może zająć nawet około 2 godziny (przy szybkim marszu - 1 godzinę). Można go także przebyć w samochodzie, jedynie zatrzymując się we wskazanych poniżej miejscach. Jego początek wyznaczono przy młynie elektrycznym Wszewilek (czyli w miejscu w którym kończy się szlak z punktu #D2.2 tej strony), zaś jego końcem jest rynek w Miliczu (czyli miejsce od którego można rozpocząć podążanie szlakiem opisanym w punkcie #D2.4 tej strony). Dlatego jego przejście stanowi doskonałe rozwiązanie jeśli ktoś np. właśnie zakończył zwiedzanie Wszewilek i ma zamiar udać się do Milicza, aby wrócić do swojego miejsca zamieszkania autobusem. (Lub zamierza przybyć autobusem najpierw do Milicza, potem przejść tym szlakiem do Wszewilek, stamtąd zaś odjechać w dzień pociągiem aby przejść także "szlak bursztynowy" z punktu #D2.1. W takim przypadku przybycia najpierw do Milicza a dopiero potem do Wszewilek, odwiedzający Wszewilki powinien przejść poniższy szlak "tyłem do przodu", czyli zaczynając od jego końcowego z podanych poniżej opisów a kończąc na pierwszym z tych opisów.) Pomocnym przy wędrowce opisywanym tutaj szlakiem byłby wydruk stron internetowych Wszewilki oraz Milicz. Oto poszczególne odcinki owego szlaku:

1. Wymownie pozakręcany przebieg "nowej szosy" przez Wszewilki oglądanej od młyna elektrycznego - która to szosa mogła przecież być wytyczona prosto jak strzała. Szokujące różnice pomiędzy Wszewilkami, a Wszewilkami-Stawczykiem. Zanim wyruszymy w zwiedzanie opisanego tutaj szlaku, najpierw dobrze jest się przyglądać drodze (do Milicza) przed nami, oraz otoczeniu tej drogi, stojąc na owej drodze jakieś 50 metrów za wschód od młyna. Z owego bowiem miejsca widoczne są zarówno całe zabudowania młyna, jak i sporo drogi która nas czeka. Owo uważne przyglądnięcie się drodze da nam wszakże dużo do myślenia. Przykładowo, uświadomi nam ono że prześladowania najbardziej historycznej części dawnych Wszewilek, czyli obecnej wsi Wszewilki-Stawczyk, wcale nie skończyły się do dzisiaj. Wyraźnie to widać, jeśli porówna się jak tzw. podmieńcy manifestują swoją dbałość o relatywnie "nową" część Wszewilek, w porównaniu do ich dbałości o ową historycznie najważniejszą część zwaną Wszewilki-Stawczyk, którą zwiedzaliśmy w ramach szlaku opisanego w punkcie #D2.2 powyżej. Przykładowo, chodnik dla pieszych przez Wszewilki urywa się koło młyna. Kanalizację doprowadzono tylko do młyna. Wodociągi wprawdzie dochodzą do obecnego boiska sportowego (wszakże boisko to jest miejscem publicznym), jednak nie jestem pewien czy je otrzymały budynki przy starej drodze przez Wszewilki-Stawczyk. Nawierzchnia drogi jest ładnie wybrukowana tylko w "nowych" Wszewilkach, jednak żenująco piaszczysta, pełna wybojów i wymownie zaniedbana na ciągle polnych drogach przez historycznie istotne Wszewilki-Stawczyk. Itd., itp. Kolejną zagadką jaką odnotujemy po uważnym przyglądnięciu się od młyna owej drodze do Milicza, to jej dziwnie powykręcany przebieg. Droga ta była wszakże wytyczona od zera w 1875 roku. Tu gdzie obecnie ona przebiega były wówczas gołe pola. Mogła więc

być wytyczona prosto jak strzała. Tak też prosto jak strzała wytyczyłby ją zapewne każdy z nas. Jednak w rzeczywistości skręca się ona na kształt litery S. Oczywiście, musiał ku temu być jakiś powód. Jak się okazuje, powodem tym jest, że już po wstępnym jej wytyczeniu ktoś zmusił geodetów żeby tak ją zmodyfikować aby ominęła ona miniaturowy ryneček Wszewilek (który oglądaliśmy w ramach punktu #D2.2 powyżej). Ktoś wyraźnie więc zdecydował już po jej pierwszym wytyczeniu, że musi ona omiść ów były miniaturowy ryneček historycznych Wszewilek-Stawczyka, tak aby ryneček ów mógł zostać dokumentnie zniszczony (wykopany wraz z fundamentami) razem z historycznymi budynkami które przy nim stały. Wszakże gdyby wytyczono ją prosto jak strzała, owo zniszczenie rynečka stałoby się niemożliwe bo zniszczona wówczas by także być musiała i owa nowo-wytyczona droga. Pozawijany przebieg owej "nowej" drogi przez Wszewilki jest więc dowodem, że ktoś celowo zadbał aby chwalebna i moralna przeszłość wolnej wsi Wszewilki nie przertwała do dzisiejszych czasów - tak jak to opisane zostało w punkcie #E1 strony internetowej o wsi Wszewilki, omawiającym "spisek przeciwko Wszewilkom".

2. Domostwa wokół Młyna: dom-twierdza właściciela młyna, kolejny dom autochtona z naprzeciwka młyna spalony po wojnie wraz z jego mieszkańcami, oraz dom Walohy (ostatniego wszewilkowskiego autochtona, który podobnie jak wszyscy poprzedni autochtoni najwyraźniej również został tajemniczo zamordowany w kilka lat po wojnie). Po uważnym oglądnięciu szosy do Milicza która rozciąga się przed nami, możemy przystąpić do oglądania ciekawostek jakie nas otaczają. Jedną z nich są zabudowania gospodarskie, których częścią jest właśnie ów elektryczny młyn Wszewilek. Nie wiem czy ciągle będzie to widoczne do dzisiaj, jednak oryginalnie zabudowania te były uformowane w rodzaj wiejskiej "twierdzy". Faktycznie były one unikatem nie tylko we Wszewilkach, ale również i w całej okolicy. Ich zabudowa była bowiem tak zaprojektowana, że poszczególne połączone ze sobą zabudowania owego gospodarstwa formowały po zewnętrznej stronie rodzaj jednolitego, bezkonnego muru, który był niemożliwy do sforsowania - gdyby ktoś zechciał wdrzeć się do wnętrza owej twierdzy. Nawet brama do owych zabudowań, znajdująca się tuż przy młynie, była solidna, pełna, oraz zamknięta od góry - tak jak brama do dowolnej średniowiecznej twierdzy. Takie zaprojektowanie owych zabudowań oznacza, że od pierwszej chwili ich właściciele zdawali sobie sprawę, że przybyli oni do Wszewilek aby zaprowadzić "nowy porządek", oraz że z góry spodziewali się oni oporu, a nawet buntu, miejscowych. Dlatego na wszelki wypadek zbudowali dla siebie "twierdzę". Faktycznie też młyn ów zniszczył swoim położeniem i konkurencyjnością odwieczny młyn wodny na Baryczy. Z kolei piekarnia która była usytuowana w domu właścicieli owego młyna, wykorzystywała ekonomiczną pustkę pozostałą po zniszczeniu przez ówczesne "władze" starej piekarni Wszewilek - miejsce po której oglądaliśmy w 4 z punktu #D2.2 tej strony. Po oglądnięciu sobie "twierdzy" zabudowań właścicieli młyna, oglądać warto też miejsce po przeciwnej do młyna stronie szosy. Zdaje się że obecnie stoi tam już czyjś nowy dom mieszkalny (5-tej generacji). Jednak w czasach kiedy ja ciągle mieszkałem we Wszewilkach, w miejscu tym widniały jedynie ruiny po domu kolejnego autochtona Wszewilek, który został zamordowany i spalony wraz ze swoim domem w okresie bezprawia jakie zapanowało zaraz po drugiej wojnie światowej. Ciekawe że po przeciwstawnej stronie szosy do spalonego domu owego autochtona, znajdowało się gospodarstwo Walohy, który był ostatnim autochtonem jaki ostał się we Wszewilkach - jednak jaki także najprawdopodobniej został zamordowany dopiero w kilka lat po wojnie (gospodarstwo Walohy jest następnym gospodarstwem przylegającym do zabudowań właścicieli młyna).

3. Kolejny ogromnie już rzadki dom mieszkalny 3-ciej generacji na Wszewilkach. Po oglądnięciu sobie okolic owego młyna elektrycznego Wszewilek, ruszamy owym pięknym chodnikiem wzdłuż szosy nowych Wszewilek. Wędrujemy ku zachodowi w kierunku Milicza. Po drodze przyglądamy się budynkom gospodarskim które mijamy. Większość owych budynków będzie pedantycznie murowana z czerwonej cegły, przyjmując formę zabudowań 4-tej generacji - zgodnie z klasyfikacją omówioną w punkcie #D1.3 tej strony. Jednak około szósty budynek z cegły jaki po młynie miniemy po prawej (północnej) stronie drogi którą idziemy, powinien być jednym z owych ogromnie już rzadkich we

Wszewilkach budynków 3-ciej generacji (jeśli zdołał on przetrwać do dzisiaj). Poznamy go po bardzo niskich murach, małych okienkach, więcej niż jednych drzwiach wejściowych (kiedyś w budynkach takich mieszkały wszakże razem aż trzy generacje formujące jedną rodzinę - stąd zawsze było w nich aż kilka odrębnych mieszkań, każde zaś mieszkanie miało własne drzwi wejściowe), oraz nieproporcjonalnie wysokim dachu (ciągle wzorowanym na dachach budynków 2-giej generacji w oryginalnym stylu Wszewilek).

4. "Feralny obszar", czyli miejsca gdzie została zastrzelona kolejna autochtonka, oraz gdzie jeszcze jedna rodzina wszewilkowskich autochtonów została zamordowana i spalona wraz z ich domem. Po oglądnięciu owego domu mieszkalnego 3-ciej generacji (jeśli ciągle tam stoi) wędrujemy dalej w kierunku Milicza (tj. ku zachodowi). Jakieś dalsze 3 stare domostwa, także po tej samej północnej (naszej prawej) stronie ulicy, natkniemy się albo na wyrwę w zabudowaniach, albo na nowy dom (5-tej generacji) zbudowany w miejscu takiej byłej wyrwy. Wyrwa owa powstała w miejscu gdzie kolejny dom wszewilkowskiego autochtona został zaraz po przejściu frontu puszczony z dymem wraz z ciałami zamordowanych w nim autochtonów. W sumie jest to więc czwarty dom który padł ofiarą rzekomego okresu bezprawia i rabunków, jaki to okres zapanował zaraz po przejściu frontu. Rzeczą, która jednak szokuje mnie osobiście w owym rzekomo chaotycznym mordowaniu i puszczaniu z dymem na powojennych Wszewilkach, jest że ich ofiarami zawsze padali autochtoni, czyli ludzie którzy pamiętali historię tej wioski. Wyglądało więc na to, że w owym niby chaosie istniała reguła. Stwierdzała ona "wymordowuj wszystkich autochtonów" którzy znają przeszłość i historię tego miejsca. Z kolei dzięki wymordowaniu owych autochtonów zniszczona została historia Wszewilek, a jak ja wierzę - także i Milicza. Kolejną ciekawostką która w owym miejscu mi rzucała się w oczy, to że istniało tam kiedyś coś w rodzaju "feralnego obszaru" (miejmy nadzieję że do dzisiaj niszczycielskie energie tego obszaru zostały już zneutralizowane). Przykładowo, po przeciwnej stronie szosy od owego spalonego domu, mieszkała kiedyś owa autochtonka która została zastrzelona przez rosyjskiego snajpera w momencie bitwy o Milicz. Pamiętam także, że ja sam miałem kiedyś właśnie w owym obszarze dosyć paskudny wypadek rowerowy. Ja osobiście wierzę, że takie "feralne obszary" mają coś wspólnego z energiami zakłócającymi ziemskie pole grawitacyjne. Przykładowo, w Nowej Zelandii w miejscu gdzie ktoś umiera w wypadku drogowym, stawia się potem biały krzyż na poboczu drogi. Jeśli zaś przeanalizować zgrupowania takich białych krzyży spotykane co jakiś czas na pustej i prostej jak strzała drodze, wówczas zawsze się okazuje, że pod nimi przebiega jakiś podziemny "fault" generujący energię zakłócającą ziemskie pole grawitacyjne. (W górzystej Nowej Zelandii jest łatwiej niż w płaskiej Polsce wypatrzeć położenie podziemnych "fault'ów - po więcej informacji na temat owych nowozelandzkich "białych krzyży" i ich związku z grawitacją ziemską patrz podrozdział 14.4 z tomu 5 mojej najnowszej monografii [1/5].) Ciekawe, że dom mojej babci położony był kiedyś właśnie na jednym z takich "feralnych obszarów". Z opowiadań rodzinnych pamiętam też, że ciągle albo w samym owym domu mojej babci, albo tuż przy nim, miejsce miały najróżniejsze nieszczęścia.

5. Wszewilkowska szkoła oraz miejsce gdzie nowa szosa oddzielona została od starej drogi, dzieląc Wszewilki na starszą i nowszą połówkę. Kiedy przejdziemy jakieś 100 metrów ku zachodowi od ostatnio oglądanego "feralnego obszaru", wówczas również po prawej (północnej) stronie szosy ujrzymy budynek wszewilkowskiej szkoły, czy tego co po szkole tej pozostało do dzisiaj. Szkoła ta jest tą samą szkołą do której ja uczęszczałem w roku szkolnym 1955/1956. Faktycznie jest ona centralnie położonym budynkiem Wszewilek, oraz prawdopodobnie jedynym budynkiem zaprojektowanym jako szkoła. Nie wiem jednak czy funkcję szkoły spełnia ona i dzisiaj. Od punktu naprzeciwko owej szkoły warto się rozglądać w obu kierunkach szosy którą podążamy. Począwszy bowiem od tego miejsca, dalszy przebieg szosy którą wędrujemy (aż do "ogródka krasnoludków" opisanego w 5 poniżej) pokrywa się dokładnie z jej przebiegiem jeszcze przed budową kolei żelaznej w 1875 roku. Dlatego począwszy od owej szkoły, niemal wszystkie ceglane budynki Wszewilek jakie napotkamy będą znacznie starsze od budynków przy części szosy jaką dotychczas szliśmy. Odnotujemy to wyraźnie po ich architekturze, szczególnie zaś po wysokości ich ścian, po wieku ich cegieł, po wielkości ich okien, oraz po rodzaju dachówek

jakie domy te używają. Natomiast jeśli od szkoły oglądniemy się z powrotem ku wschodowi, tj. na drogę którą właśnie przyszlismy, wówczas odnotujemy że wszystkie otaczające ją zabudowania są relatywnie nowe. Wszystkie one wszakże zostały zbudowane już po roku 1875, kiedy to ów poprzedni odcinek naszej drogi został dopiero wytyczony. Przed owym rokiem 1875, droga przez Wszewilki biegnąca na wschód od tej szkoły faktycznie kierowała się w tym miejscu małym łukiem ku południu, poczym przebiegała równolegle do obecnie istniejącej drogi, tyle że oddalona była od niej o jakieś 100 metrów ku południu.

6. Koniec dawnych Wszewilek - widok na stare wodociągi Milicza, "ogród krasnoludków", miejsce po prastarym domu (2-giej generacji). Po perspektywicznym zorientowaniu się w przebiegu dawnych i nowych dróg Wszewilek oglądanych od wszewilkowskiej szkoły, ruszamy w dalszą drogę na zachód w kierunku Milicza. Po drodze przyglądamy się architekturze starszych budynków z cegły (w większości 4-tej generacji, chociaż w moich czasach po prawej/północnej stronie drogi niedaleko za szkołą ciągle znajdował się jeden budynek 3-ciej generacji) formujących oryginalną zabudowę tej znacznie starszej części Wszewilek. (Możemy też rzucić okiem na nowe budynki 5-tej generacji które w międzyczasie wybudowano na tej części drogi, aby zobaczyć jak podobna do siebie i "pudełkowata" jest architektura ich wszystkich.) Nasz następny stop znajduje się jakieś 50 metrów po tym, jak szosa którą idziemy wykaże mały skręt w lewo i zacznie dosyć raptowny spadek w dół zbocza. W owym miejscu w dawnych czasach był już koniec Wszewilek. W miejscu tym zbiegało się także aż kilka starych dróg wiodących w odmiennych kierunkach (dwie najważniejsze z owych dróg istnieją tam zapewne do dzisiaj). Przykładowo główna droga przez Wszewilki którą przyszlismy skręcała w owym miejscu ku północnemu-wschodowi i wiodła w kierunku już widocznych z tamtego miejsca budynków i wieży byłych wodociągów miejskich Milicza. Obecny przebieg dalszej drogi do Milicza, którą za chwilę pójdziemy, wytyczony został dopiero w latach 1930-tych, po tym jak w latach 1920-tych przekopano nowe koryto rzeki Baryczy, zaś obszar byłych bagien przez jaki droga ta obecnie przebiega uległ dzięki temu osuszeniu. W miejscu w którym się znajdujemy powinniśmy zwrócić uwagę na duży ogród ze starymi drzewami, jaki - mam nadzieję, istnieje do dzisiaj przy drodze którą kroczymy, po jej prawej stronie - zaraz za pełną dróżką która w tamtym miejscu dochodzi z północy do naszej drogi. Ogród ten kiedyś nazywano "ogrodem krasnoludków". Powodem było kiedyś ogromnie głośnie na Wszewilkach zdarzenie jakie miało tam miejsce w latach 1950-tych - tj. w czasach kiedy w Polsce nikt jeszcze nie słyszał ani o UFO ani o UFOonautach. Otóż w owym czasie pewnego ranka kilku zaszokowanych mieszkańców Wszewilek zobaczyło na owym ogrodzie ogromny, przezroczysty, jakby wykonany ze szkła, "grzyb" (dziś byśmy go nazywali wehikułem UFO). Z "grzyba" tego wychodziły całe gromady maleńkich ludzików wielkości zaledwie około półmetrowej. Najwięcej z tych ludzików interesowało się długim budynkiem 2-giej generacji jaki w owym okresie stał wzdłuż zachodniej granicy owego ogrodu (zdaje się że w owych czasach w budynku tym mieszkała m.in. rodzina Piotrowskich). Niektóre z owych ludzików wnikały nawet do środka tego budynku. Inne ludziki krzątały się po całym ogrodzie, wyczyniając tam jakieś "magiczne" rzeczy. Na samym końcu wszystkie te ludziki powisały z powrotem do owego przezroczystego "grzyba", poczym grzyb nagle zniknął z widoku (tj. zapewne włączył "stan telekinetycznego migotania" opisany w podrzdziale LC3 z tomu 10 monografii [1/5]). Było aż kilku godnych zaufania świadków owego niezwykłego zdarzenia. Całe więc Wszewilki spekulowały potem czym są owe dziwne "krasnoludki" wchodzące do przezroczystego "grzyba" który jest w stanie nagle "zniknąć" z widoku, oraz czy ciągle one i ich magiczny "grzyb" znajdują się w owym ogrodzie pozostając tam niewidzialne dla ludzkich oczu. Przez spory też czas później ogród ów nazywano "ogrodem krasnoludków". Ciekawostką było, że wkrótce potem ów długi budynek 2-giej generacji, którym owe "krasnoludki" tak się interesowały, został rozebrany. Ja bym obecnie spekulował, że owi UFOnauci wiedzieli już dokładnie iż ów budynek zostanie wkrótce rozebrany. UFOnauci przybyli więc aby go udokumentować dla jakichś tam swoich celów. Nawiasem mówiąc, dla mnie na zawsze pozostanie tajemnicą dlaczego budynek ten został rozebrany (podobnie zresztą jak nigdy nie zrozumieję dlaczego został też rozebrany niemal identyczny do niego budynek babci Sołtysowej opisany w 6 z punktu #D2.2). Wszakże na

jego miejscu nie postawiono potem już nic nowego - jego rozebranie nie służyło więc uwolnieniu miejsca pod budowę czegoś nowego. Pod względem architektonicznym był on bardzo atrakcyjny i raczej niezwykły, tak że tylko dodawał uroku Wszewilkom - nie rozebrano go więc z przyczyn estetycznych. Ponadto zamieszkiwało go aż kilka rodzin, które potem z powodu jego rozebrania znalazły się na bruku - nie rozebrano go więc ponieważ stał pusty. Tylko czekać jak dla tych samych powodów ktoś już wkrótce wyda nakaz aby rozebrać także kościół Św. Andrzeja Boboli w Miliczu. Wszakże kościół ten też jest nośnikiem architektonicznej historii Wszewilek i Milicza, oraz doskonałą ilustracją jak owa oryginalna architektura Wszewilek kiedyś wyglądała.

7. Bagnisty przesmyk do ulicy Krotoszyńskiej. Po oglądnięciu "ogrodu krasnoludków" maszerujemy dalej ku zachodowi drogą do Milicza. W owym miejscu droga jest relatywnie nowa, bo zbudowana dopiero w latach około 1930-tych. Biegnie ona wzdłuż dna lokalnej niziny, co wyraźnie widać patrząc na wznoszący się obszar po jej prawej (północnej) stronie. Przedtem było tutaj bagno niemożliwe do przebycia przez ciężkie wozy. Dlatego w historycznych czasach wozy objeżdżały ten obszar naokoło jadąc do Wszewilek drogą która biegła znacznie wyżej w pobliżu budynku starych milickich wodociągów. Nawet zresztą tuż przed moim opuszczeniem Polski obładowane ciężarówki ciągle wzbudzały w owym miejscu takie wibrowanie drogi, jakby biegła ona po galarecie a nie po twardej ziemi. Bagno to stopniowo osuszyło się dopiero kiedy około lat 1920-tych obszar ten został zmeliorowany po tym jak przekopano nowe (głębsze) koryto Baryczy. W jego osuszeniu dopomogły także nowe studnie do milickich wodociągów które w okolicach owych wodociągów odsysały wodę która uprzednio wyciekała z gruntu do owego obszaru. Droga którą idziemy oryginalnie wybrukowana była małymi kamieniami, które kiedyś nazywano "kocie łby" (obecnie, jak wierzę, droga ta jest wyasfaltowana). Możemy więc w przyszłości się chwalić, że szliśmy około pół kilometra po byłej drodze z "kocich łbów". (Nasi potomkowie zapewne będą kiedyś zaszokowani owymi "barbarzyńskimi czasami", kiedy to drogi brukowano łbami kotów, ludzie w swych aparatach fotograficznych używali rybiego oka w roli obiektywu, politycy musieli pokazywać lwi pazur podczas niemal każdego swego przemówienia, zazdrośni koledzy wylewali nad nami krokodyle łzy, spora część społeczeństwa miała ptasie mózdzki, pracownicy umysłowi rzucali okiem na dotyczące ich dokumenty, zaś fachowcy zwykle zjadali sobie zęby.) Ciekawostką tego obszaru jest też, że na przełomie lat 1950/60-tych wykryto pod nim skały nasycone ropą naftową. Niestety, ropa owa NIE jest uwalniana wystarczająco dużym strumieniem aby móc być eksploatowana na przemysłową skalę.

8. Narożnik z kuźnią i byłym wszewilkowskim kowalem. Po przejściu owego krótkiego przesmyka byłej szosy z "kocich łbów" wiodącej przez były obszar bagienny, dochodzimy do skrzyżowania w kształcie litery "T". Jest to skrzyżowanie z ulicą Milicza zwaną "Krotoszyńska". Na północnej stronie wszewilkowskiego narożnika owego skrzyżowania stała kiedyś jedyna kuźnia w całej okolicy. Działała ona aż do końca "końskiej ery", czyli niemal do końca lat 1960-tych. Budynek w którym owa stara kuźnia istniała stoi tam zapewne do dzisiaj. W umiejscowieniu owej kuźni uwagę warto zwrócić na jej położenie na skrzyżowaniu dróg. W dawnych bowiem czasach wszelkie budynki które świadczyły "usługi" dla ludności, takie jak karczmy, zajazdy, kuźnie, sklepy, itp., zakładano właśnie na skrzyżowaniach dróg. Tak nawiasem mówiąc, to diagonalnie do owej kuźni, w jednopiętrowym budynku który zapewne stoi tam do dzisiaj, przez dziesiątki lat znajdował się również jedyny wówczas w całej okolicy sklep spożywczy. W owych czasach sklepy także zakładano przy skrzyżowaniach dróg. Owo skrzyżowanie jest także miejscem przez które wiosną w 1945 roku musiało uciekać w kierunku swoich domów w Stawcu czterech śmiertelnie wystraszonych chłopców w niemieckich mundurach wojskowych, zanim jakieś 400 metrów na północ od tego skrzyżowania każdy z nich po kolei został zastrzelony przez strzelca wyborowego z rosyjskiego patrolu zmotoryzowanego - tak jak to opisałem na stronie bitwa o Milicz. Faktycznie też począwszy od tego skrzyżowania aż do mostu na Baryczy (który chłopcy owi mieli rozkaz wysadzić w powietrze), będziemy szli wzdłuż trasy panicznej ucieczki owych młodocianych "obrońców Milicza". Warto więc przy okazji tego marszu przypomnieć sobie o ich losie. Wszakże potem zupełnie innymi oczami będziemy

patrzeć na tych przywódców którzy aż piszczą aby wysłać swoją młodzież żeby ta umierała w jakiejś beznadziejnej wojnie jaka nigdy nie powinna być ani kontemplowana ani rozpoczęta.

9. Niemiecki magazyn karabinów na ulicy Krotoszyńskiej. Po znalezieniu się na ulicy Krotoszyńskiej skręcamy nią w lewo (ku południu) i wędrujemy prosto wzdłuż niej aż dojdziemy do rynku Milicza. Proponuję przy tym zwrócić uwagę, że obecny (wyprostowany) przebieg ulicy Krotoszyńskiej wytyczony został dopiero około lat 1930-tych. Wcześniej wzdłuż niej biegła stara zakrzywiona droga jednej z odnóg historycznego "Bursztynowego Szlaku". Resztki tej drogi możemy ujrzeć do dzisiaj, ponieważ przebiegała ona tylko kilkadziesiąt metrów na wschód po naszej lewej stronie ulicy Krotoszyńskiej. To właśnie przy niej do dzisiaj stoją stare zabudowania które istniały tam jeszcze w czasach sprzed wyprostowania ulicy Krotoszyńskiej. Natomiast tuż przy lewej stronie obecnej ulicy Krotoszyńskiej, zaraz po wojnie nie było niemal żadnego budynku - poza jednym wyjątkiem. Wyjątkiem tym, jaki minimy po drodze, był stojący właśnie po lewej (wschodniej) stronie owej ulicy Krotoszyńskiej stary polniemiecki magazyn karabinów. Magazyn ów zlokalizowany jest jakieś 400 metrów od wszewilkowskiej kuźni. Kiedyś był on jedynym budynkiem stojącym w owym obszarze tuż przy ulicy Krotoszyńskiej po jej lewej (wschodniej) stronie. Zaraz za nim niedawno wzniesiono krzyż upamiętniający wydarzenia związane z powstaniem Solidarności. Ciekawostką owego polniemieckiego magazynu jest, że zaraz po wyzwoleniu okazało się, że cały zapchany jest on hitlerowskimi karabinami. Ponieważ w czasach rabunku i bezprawia jakie zapanowały na tych obszarach zaraz po wojnie, byłoby nieroztropnością pozostawienie owych karabinów w sprawnym stanie, rosyjski komendant na Milicz zdecydował że muszą one być zniszczone. Karabiny te poustawiano więc wzdłuż krawężnika ulicy Krotoszyńskiej, tak że ich zamki wypadły właśnie na linii owego krawężnika. Następnie wzdłuż owego krawężnika, po tych karabinach, przejechał się ciężki czołg rosyjski, łamiąc każdy karabin w obszarze jego zamka. W rezultacie, w długi czas potem, niemal cała ulica Krotoszyńska zasłana była szczątkami połamanych niemieckich karabinów. Gdybyśmy ulicą tą szli ponad 60 lat temu, tj. wkrótce po wyzwoleniu, te połamane karabiny widzielibyśmy jak walają się wzdłuż całej naszej drogi. Byłby to raczej niezwykły widok. Na temat owych karabinów z ulicy Krotoszyńskiej pisałem także na stronie bitwa o Milicz.

10. Grodzisko "Chmielnik" pod Miliczem - czyli prapoczątek Wszewilek. Idąc dalsze około 100 metrów ulicą Krotoszyńską, po swojej prawej (zachodniej) stronie widzimy zabudowania milickiej rzeźni miejskiej. Natomiast po lewej (wschodniej) stronie, niemal dokładnie naprzeciwko bramy owej rzeźni, do ulicy tej dochodzi polna dróżka wiodąca tam z Wszewilek, a ściślej od "ogrodu krasnoludków" opisanego w 6 powyżej. Przy drodze owej powinien stać znak "grodzisko Chmielnik". Grodzisko to widać nawet z ulicy Krotoszyńskiej którą idziemy. Jest to okrągłe wzgórze widoczne jakieś 400 metrów od ulicy, poza którym widać zabudowania wsi Wszewilki. Grodzisko to stanowiło prapoczątek obecnego Milicza (i Wszewilek), oraz pierwszą lokację tego miasta (i tej wsi), zanim obecny, murowany Milicz został zbudowany. Więcej informacji na jego temat można znaleźć w Izbie Regionalnej Milicza, którą możemy odwiedzić w ramach 11 z punktu #D2.4 tej strony.

11. Targowisko przy Baryczy przeniesione tam z Wszewilek. Zaraz za milicką rzeźnią miejską, a ściślej pomiędzy budynkami rzeźni a korytem Baryczy, po zachodniej stronie ulicy Krotoszyńskiej znajduje się byłe targowisko Milicza. Targowisko to istniało w owym miejscu od około 1875 roku, kiedy to zostało tam przeniesione z Wszewilek. Faktycznie bowiem oryginalnie targowisko to znajdowało się na byłym rynečku Wszewilek. Jednak kiedy kolej staranowała ów ryneček, zostało ono przeniesione do Milicza właśnie w omawiane tutaj miejsce. Można więc powiedzieć, że miejsce to "ukradło" słynne wszewilkowskie targi, oraz spowodowało że targi te zaniknęły. Los tego miejsca był też bardzo podobny do losu wszelkich innych "złodziei". W latach 1990-tych Milicz zbudował sobie odmienne targowisko, które zlokalizowane zostało w miejscu byłego stawu z łązienek milickich (targowisko to omówione jest w 4 z punktu #D2.4 tej strony). Stąd owo byłe targowisko przy milickiej rzeźni jakie właśnie mijamy w swojej wędrowce leży obecnie całkowicie opuszczone i zaniedbane.

12. Nowe a stare koryto Baryczy, nowy most na Baryczy, milicka garbarnia - i co po niej pozostało. Tuż za końcem targowiska znajduje się obecne koryto Baryczy. Przez koryto to przechodzimy po betonowym moście. Ciekawostką owego mostu jest, że w chwili wkroczenia wojsk radzieckich do Milicza, most ten miał być wysadzony w powietrze. Niestety, młodociani żołnierze niemieccy, którym powierzono zadanie wysadzenia tego mostu, po ujrzeniu lania jakie Rosjanie sprawili ich kolegom zamkniętym w ratuszu Milicza, dali nogi do swoich domów, "zapominając" wysadzenia tego mostu. Co z nimi potem się stało, pisane to jest na stronie bitwa o Milicz. Warto wiedzieć, że rzeka Barycz przepływająca pod owym mostem, płynie swoim obecnym korytem tylko od czasów kiedy została uregulowana około lat 1920-tych. Poprzednio bowiem Barycz płynęła zupełnie innym korytem, w okolicach tego mostu śmiesznie się zawijając tak że broniła ona dostępu do miasta zarówno od wschodu, jak i od północy. Pamiątką po dawnym przebiegu Baryczy jest długi budynek, który zapewne stoi do dzisiaj w widłach pomiędzy starą i nową drogą przez Milicz (tj. po lewej (wschodniej) stronie zaczynającej się tuż za owym mostem nowej ulicy Parkowej), tylko jakieś 50 metrów za owym obecnym mostem na Baryczy. Ten długi budynek aż do czasu uregulowania Baryczy był bowiem milicką garbarnią skór. Garbarnia ta stała tuż nad brzegiem dawnego koryta Baryczy, zaś jej długa, północna ściana omywana była wodą z Baryczy. (To dlatego ten długi budynek stoi zlokalizowany swoją długą osią w kierunku wschód-zachód, aby rozciągać się właśnie wzdłuż byłego koryta Baryczy. W środku długości tego budynku (garbarni), zaraz po wojnie istniała drewniana struktura w kształcie ogromnych schodów odwróconych do góry nogami - bardzo podobna do historycznego żurawia ze starego Gdańska. Otóż struktura ta używana była do moczenia wyprawianych skór w wodzie Baryczy. Z owych jej niby schodów zawieszonych ponad korytem Baryczy zwisały liny, zaś na końcach owych lin przywiązywane były pęki skór które w byłej technologii wyprawiania musiały być długotrwale wypłukiwane przez wodę Baryczy. Niestety, w jakiś czas po wojnie, kiedy budynek owej byłej garbarni zamieniono w blok mieszkalny, ową strukturę schodkową rozebrano. A szkoda, bo była ona równie historyczna jak budynek gdańskiego żurawia.

13. Była północna (Gnieźnieńska) brama wjazdowa do Milicza. Po przekroczeniu mostu na Baryczy, do Milicza wchodzimy nie ową nową ulicą Parkową, która przebiega po prawej (zachodniej) stronie budynku garbarni, a starą małą uliczką, która od mostu biegnie prosto przechodząc po lewej (wschodniej) ścianie budynku garbarni. Uliczka ta jest faktyczną uliczką wlotową do dawnego Milicza. Tylko jakieś 50 metrów od byłego koryta Baryczy, na uliczce owej stała kiedyś północna brama (Gnieźnieńska) w murach obronnych Milicza. Miejsce gdzie ona się znajdowała można wypatrzeć nawet i dzisiaj, bowiem znajduje się ono tuż przy początku zwartej zabudowy milickiej po obu stronach tej uliczki. Od dawnej bramy wjazdowej do miasta w obie strony rozciągały się kiedyś mury obronne Milicza, poprzedzone fosą. Ich położenie także można wypatrzeć, bowiem do dzisiaj w ich miejscu znajduje się pas pozbawiony zwartej zabudowy miejskiej. Zaraz za byłym zlokalizowaniem północnej bramy w murach Milicza, znajduje się rozwidlenie wewnętrznych uliczek tego miasta. Skręcamy w prawą (zachodnią) z owych uliczek. Zaprowadzi nas ona do rynku Milicza, odległego zaledwie jakieś 100 metrów od owej północnej bramy wjazdowej do miasta.

14. Rynek w Miliczu. Po dotarciu do milickiego rynku, mamy aż kilka możliwości dalszego postępowania. Przykładowo, możemy sobie odpocząć, zamawiając danie ze słynnego milickiego karpia w jednej z licznych przy rynku restauracji Milicza (po szczegóły patrz 10b w punkcie #D2.2 tej strony). Możemy rozglądać się po licznych miejscowych sklepach w poszukiwaniu jakiejś pamiątki z naszej wizyty w Miliczu. Możemy też od razu udać się na dworzec autobusowy lub na dworzec kolejowy aby powrócić do naszego miejsca zamieszkania. Możemy także oglądać sobie ciekawostki Milicza, wędrując po milickim szlaku okrężnym który opisuję w następnym punkcie #D2.4 tej strony.

Fot. #D3 (K2 w [10]): Wszewilki ujęte od miejscowej szkoły w kierunku drogi dojazdowej od Milicza . Zdjęcie z lipca 2004 roku. Widoczny na tym zdjęciu odcinek drogi przez Wszewilki

przebiega dokładnie tym samym szlakiem jakim wiodła oryginalna droga tej wioski istniejąca tutaj już od ponad 1000 lat. Dlatego ten odcinek drogi wszewilkowskiej jest najstarszy. Zaraz po wyzwoleniu stało też przy niej kilka budynków nieco starszych od innych, bowiem zbudowanych jeszcze porzed wytyczeniem nowej drogi około 1875 roku. Najstarszy z tych budynków, ciągle pokryty strzechą i zbudowany w "stylu architektonicznym Wszewilek", znajdował się po prawej stronie drogi w miejscu gdzie znika ona ze zdjęcia, tj. niedaleko od zabudowań wodociągów milickich. Rozebrany on został jeszcze w latach 1950-tych. Stał on w bardzo starym ogrodzie który zapewne istnieje w owym miejscu do dzisiaj. Ogród ten nazywano kiedyś "ogrodem krasnoludków", bowiem w czasach kiedy ciągle stał tam ów prastary budynek, kilku prawdopodobnych sąsiadów zaobserwowało w owym ogrodzie ogromny przeźroczysty "grzyb" (dzisiaj byśmy go nazywali "wehikułem UFO"). Z "grzyba" tego wysypało się całe mrowie maleńkich ludzików. Ludziki te z jakichś powodów ogromnie interesowały się właśnie owym starym domostwem. Potem zaś powisały z powrotem do owego kryształowego "grzyba", poczym grzyb ten w jakiś "nadprzyrodzony" sposób nagle zniknął z widoku obserwujących go ludzi.

Wszewilki to ogromnie dziwne miejsce. To właśnie w okolicy tej wsi Wszewilki, w czasach swej młodości zaobserwowałem opad deszczu z żywych rybek (płotek). Chociaż deszcz taki posiada wiele naukowych wytłumaczeń, faktycznie na podstawie tego co o nim pamiętam, uważam że posiada on cudowne pochodzenie. Deszcz ten opisałem dokładnie w podrozdziale 13.5 z tomu 5 monografii [1/5], której darmowe kopie są do ściągnięcia za pośrednictwem niniejszej strony internetowej.

#D2.4. Nieoficjalny szlak okrężny przez co istotniejsze miejsca historyczne Milicza:

Długość tego szlaku wynosi około 2 km. Przy wolnym kroku spacerowym jego przejście piechotą może zająć nawet około 2 godziny (przy szybkim marszu - 1 godzinę). Można go także przebyć w samochodzie, jedynie zatrzymując się we wskazanych poniżej miejscach. Jego początek poniżej zlokalizowano przy milickim kościele Św. Andrzeja Boboli i to aż z kilku powodów. Przykładowo, wieża tego kościoła jest widoczna z daleka praktycznie w każdym miejscu Milicza - łatwo więc do niego trafić przyjezdnym, leży on przy obu głównych trasach przejezdnych przez Milicz (tj. pomiędzy ulicami Piłsudskiego i 1 Maja) - nie trzeba więc błędzić aby do niego dotrzeć, a ponadto wokół niego znajduje się wiele miejsc do parkowania - można więc przy nim pozostawić swój samochód i udać się piechotą w dalszą wędrowkę po opisanym tutaj szlaku. Niemniej ponieważ opisany tutaj szlak jest okrężnym, praktycznie można rozpocząć jego oglądanie w dowolnym miejscu Milicza (np. osoby przybyłe do Milicza szlakiem spacerowym z Wszewilek opisanym w punkcie #D2.3 tej strony, mogą podjąć opisany tutaj szlak już w milickim rynku). Tyle, że po podjęciu go w innym miejscu, i pod dojściu do ostatniego punktu (czyli kościoła Św. Andrzeja Boboli) trzeba powrócić do punktu 1 z poniższego wykazu i kontynuować ten wykaz aż dojdzie się do punktu w którym wędrowkę się zaczęło. Pomocnym przy wędrowce opisywanym tutaj szlakiem byłby wydruk ze stron internetowych Milicz, Św. Andrzej Bobola, oraz Bitwa o Milicz. Oczywiście, opisany tutaj szlak prowadzi przez tylko najważniejsze z miejsc Milicza szczególnie warte oglądnięcia z uwagi na ich wymowę i historyczne znaczenie. Jednak podobnie interesujących miejsc jest w Miliczu znacznie więcej. Jako przykład rozważ zdewastowany grobowiec Maltzanów, czy wyjście z podziemnych tuneli w lesie pod Cieszkowem. Jednak te inne miejsca położone są relatywnie daleko od centrum i rynku Milicza. Dlatego nie będą one objęte szlakiem opisanym powyżej (czytelnik może jednak je pozwiedzać na własną rękę - szczególnie jeśli przybył do Milicza samochodem i przejazd na dalsze odległości nie czyni mu dużej różnicy). Oto poszczególne odcinki opisywanego tutaj okrężnego szlaku wędrownego po ciekawostkach Milicza:

1. Kościół Św. Andrzeja Boboli oraz trzeci cmentarz Milicza. Po przybyciu w okolice kościoła Św. Andrzeja Boboli, parkujemy swój samochód w jego pobliżu, na jednym z licznych w tym miejscu parkingów lub przyulicznych miejsc do parkowania, zaś dalsze zwiedzanie dokonujemy np. na piechotę. Swoje zwiedzanie kościoła Św. Andrzeja Boboli warto rozpocząć od oglądnięcia jego wnętrza. Co we wnętrzu tym jest interesującego, jak również historia samego kościoła, opisane są na odrębnej stronie internetowej o Św.

Andrzeju Boboli. Po oglądnięciu wnętrza warto też zwrócić uwagę na jego wygląd zewnętrzny. Reprezentuje on bowiem sobą klasyczny przykład stylu architektonicznego po angielsku zwanego "tudor" (w Polsce zwykle jest on znany pod nazwą "mur pruski"). Styl ten jest szczególnie upowszechniony na tych obszarach obecnej Polski, które przed drugą wojną światową włączone były do byłej Rzeszy Niemieckiej. Można tam spotkać wiele kościołów oraz starszych budynków publicznych zbudowanych w tym właśnie stylu. Jak to jednak wyjaśniłem dokładniej w punkcie #G1 strony internetowej o wsi Wszewilki, styl ten najprawdopodobniej wyewoluował się spontanicznie z rolniczej zabudowy podmilickiej wsi Wszewilki, poczym został jedynie skopiowany przez akademicko edukowanych architektów. Kościół ten tym bardziej warto sobie dokładnie oglądać oraz obfotografować ze wszystkich stron, że wiedząc o istnieniu "spisku przeciwko Wszewilkom" opisanego w punkcie #E1 strony o wsi Wszewilki, łatwo przewidzieć że już wkrótce ktoś zapewne znajdzie jakiś zmyślny sposób aby spowodować rozbiórkę i zniknięcie owego kościoła Św. Andrzeja Boboli w Miliczu. Wszakże kościół ten zbyt jednoznacznie i wyraziście ilustruje historię owych ziem którą jakieś mroczne moce tak usilnie starają się zniszczyć, aby te szatańsko przebiegłe i ogromnie wpływowe moce pozwoliły mu tak zwyczajnie sobie istnieć. Po oglądnięciu owego kościoła, warto wyruszyć w kierunku milickiego rynku, idąc główną ulicą dawnego Milicza, którą obecnie zdaje mi się nazywają ulicą 1 Maja. (Rynek ten leży jedynie około 300 metrów od kościoła w kierunku północno-wschodnim.) Owa główna ulica dawnego Milicza (1 Maja) przebiega tuż przed ścianą z ołtarzem kościoła Św. Andrzeja Boboli. Warto przy tym odnotować, że w średniowieczu stara droga którą teraz jest owa ulica, reprezentowała milicką wersję słynnej Via Appia ze starożytnego Rzymu. Mianowicie, po obu jej stronach rozciągały się wówczas Milickie cmentarze. Cmentarze te zaczynały się tuż za miejską fosą, czyli za korytem Młynówki, a ciągnęły wzdłuż tej drogi przez dalsze około pół kilometra, aż poza obszar objęty powojenną zabudową przy owej drodze. Kościół Św. Andrzeja Boboli stanął mniej więcej w środku owego obszaru cmentarnego. Wszystkie więc budynki jakie po drodze mijamy - i to po obu stronach drogi, stoją obecnie na grobach dawnych mieszkańców Milicza. Swój marsz w kierunku milickiego rynku kończymy po dojściu do małego mostku na Młynówce, przez który przechodzi owa ulica jaką wędrowaliśmy (1 Maja). Tuż za owym mostkiem stała kiedyś obronna brama Milicza. Zwana ona była "Bramą Wrocławską".

2. Brama Wrocławska Milicza. Faktycznie była to najokazalsza z milickich bram. Po obu jej stronach stały kiedyś baszty. Miejsca ich byłych lokacji nawet niedawno ciągle pozostawały niezabudowane. Tuż pod bramą płynęła Młynówka, która w początkowym okresie Milicza spełniała funkcję fosy miejskiej oraz kanału odprowadzającego miejskie nieczystości. Przez Młynówkę początkowo wiódł zwodzony most. Z kolei sam wierzchołek bramy wieńczony był okazałą rzeźbą lwa, późniejszą kopię którego oglądniemy sobie przy okazji zwiedzania milickiego pałacu (patrz 11 poniżej). Kiedy z mostku na Młynówce oglądali sobie będziemy miejsce gdzie kiedyś stała owa okazała brama w milickich murach obronnych, warto również zwrócić uwagę na sam nurt Młynówki przepływającej pod naszym mostkiem. Nie jestem pewien jak nurt ten wygląda obecnie, jednak w dawnych czasach był on przykładem kunsztu inżynierskiego dawnych mieszkańców Milicza. Mianowicie, na całej szerokości koryta owej Młynówki, a także na całej jej długości, woda była kiedyś jednakowo głęboka. (Warto przy tym mieć na uwadze, że nawet dzisiejszym specem od melioracji, uzbrojonym w nowoczesną technikę, nie zawsze udaje się wykopać kanał który miałby jednakową głębokość na całej swej długości i szerokości.) Dzięki zaś owej stałej głębokości wody Młynówki, ten niewielki sztucznie wykopany kanał w przeszłości stanowił najważniejszą arterię transportową byłego Milicza - o czym pisałem już wcześniej w 4 z punktu #D2.1 niniejszej strony. Po Młynówce tej w dawnych czasach bez przerwy kursowały małe barki napędzane tyczką przez pojedynczego flisaka, o śmiesznie zaokrąglonym dziobie i rufie. Dopiero w późniejszych czasach wzdłuż owej Młynówki wybudowano drogę bitą. Obecnie owa droga jest niemal tą samą drogą która wiedzie z Milicza do milickiego dworca kolejowego (tj. ulicą którą po wojnie nazywano ulicą Wojska Polskiego). Początek owej drogi kiedyś znajdował się jedynie jakieś 20 metrów przed mostkiem na Młynówce do jakiego właśnie doszliśmy. W czasach jednak budowy milickiej

kolei został on zatarasowany budynkiem, zaś sama ta droga, czyli obecna ulica Wojska Polskiego, została przesunięta o jakieś 50 metrów bardziej na południe - aby umożliwić przy niej obustronną zabudowę.

3. Dawny kościół Świętego Jerzego lub kościół garnizonowy - czyli dzisiejsze WDT (Wiejski Dom Towarowy). Po oglądnięciu miejsca gdzie kiedyś stała najokazalsza brama średniowiecznego Milicza, cofamy się jakieś 50 metrów w kierunku południowym przechodząc tą samą główną ulicą dawnego Milicza (1 Maja) którą właśnie przyszedliśmy. Po naszej lewej stronie od ulicy owej będzie odgałęziała się ulica Wojska Polskiego biegnąca w przybliżeniu w kierunku wschodnim. Ulica ta wiedzie do obecnego dworca kolejowego Milicza. Biegnie ona równolegle do koryta Młynówki. Wszakże w dawnych czasach stanowiła ona jedynie lądowe uzupełnienie dla wodnej arterii transportowej jaką wówczas była Młynówka. Przechodzimy ową ulicą Wojska Polskiego jakieś 150 metrów w kierunku wschodnim, aż po naszej lewej stronie napotkamy niewielki dom towarowy, zwykle zwany WDT (tj. Wiejski Dom Towarowy). Wchodzimy do środka aby go sobie oglądnąć od wewnątrz. Dom ten faktycznie w latach 1960-tych został adoptowany z budynku byłego kościoła. Jeszcze do dzisiaj można w nim zobaczyć typową dla kościoła konstrukcję wewnętrzną. Od czasów drugiej wojny światowej, aż do czasu zanim zamieniono go w WDT, był on używany jako magazyny wojskowe przez jednostkę wojskową która kiedyś znajdowała się w koszarach po drugiej stronie ulicy od niego (obecnie koszary te zamienione są w bloki mieszkalne). Natomiast od czasu jego zbudowania około lat 1930-tych, aż do zakończenia drugiej wojny światowej, był on albo kościołem garnizonowym dla owej jednostki wojskowej, albo też drugą lokacją dla tajemniczego kościoła milickiego pod wezwaniem Świętego Jerzego - o którym piszę na stronie o Św. Andrzeju Boboli. Po zakończeniu oglądania owego byłego budynku kościoła, przechodzimy dalsze 50 metrów w kierunku wschodnim nadal idąc ulicą Wojska Polskiego, aż po naszej lewej stronie znajdzie się mały mostek ceglany przez Młynówkę. Wchodzimy na ów mostek, aby przejść na jego drugą stronę.

4. Milicka Młynówka - czyli historyczna arteria transportowa Milicza, oraz gałąź "Bursztynowego Szlaku" która biegła wzdłuż północnego (prawego) brzegu Młynówki. Kiedy znajdujemy się na mostku Młynówki, ponownie warto przyglądnąć się jej nurtowi, aby sprawdzić co do dzisiaj pozostało z dawnej zasady że nurt ten ma posiadać stałą głębokość na całej swej szerokości i długości. Następnie z mostku owego rozglądamy się dookoła. Stoimy bowiem w historycznie interesującym miejscu. Tuż za owym mostkiem kiedyś znajdował się duży staw który z jednej strony stanowił rezerwar wody na wypadek jeśli z jakichś powodów stary młyn wodny na Baryczy zaprzestał spiętrzania wody do Młynówki, z drugiej zaś strony dostarczał średniowiecznemu Miliczowi dodatkowej obrony od strony południowo-wschodniej. Staw ten jednak zasypano jeszcze w latach 1990-tych. Obecnie w jego miejscu znajduje się milickie targowisko, przeniesione tam z miejsca opisanego w 11 z punktu #D2.3 tej strony. Na południowy-wschód od owego dużego stawu (obecnie targowiska) do niedawna znajdowały się ogródki działkowe. Owe ogródki istniały tam jednak od relatywnie krótkiego czasu, bowiem na obszar tuż przy mostku na jakim stoimy zostały one rozprzestrzenione dopiero w kilka lat po drugiej wojnie światowej. Zaraz zaś po wojnie w ich miejscu istniała zwykła łąka. To właśnie na owej łące po wojnie gniła spora flotylla niewielkich barek używanych na milickiej Młynówce. Stojąc na owym mostku przez Młynówkę mamy także okazję przeanalizować stopniową ewolucję dróg składających się na jedną z odnóg tzw. Bursztynowego Szlaku. Od czasu zbudowania murowanego Milicza w mieście tym ów historyczny "Bursztynowy Szlak" rozwidłał się na dwie odnogi. Jedna z tych odnóg wybiegała z północnej bramy Milicza, wiodąc ku północy wzdłuż dzisiejszej ulicy Krotoszyńskiej, potem zaś przez wieś Stawiec, do Rawicza, a dalej do Poznania i Gniezna. Jednak po zbudowaniu milickiego młyna na Baryczy, oraz mostu przez Barycz przy owym młynie, otwarta została druga, krótsza odnoga tego samego szlaku. Początkowo wybiegała ona ze wschodniej bramy Milicza (omawianej w 6 poniżej), następnie wiodła tuż przy Młynówce, wzdłuż jej wschodniego brzegu - czyli początkowo dzisiejszą aleją spacerową przy Młynówce którą za chwilę będziemy podążali. Biegąc tuż przy brzegu Młynówki docierała ona tak aż do mostu przez Barycz położonego przy starym młynie wodnym na

Baryczy - patrz 7 w punkcie #D2.1 tej strony. Po przekroczeniu owego mostu prowadziła ona koło ryneczka Wszewilek, potem przez wieś Pomorsko, dalej zaś do Gniezna i Gdańska. Z biegiem jednak czasu, droga ta okazała się zbyt okrężna i niepotrzebnie długa. Dlatego skrócono jej przebieg, prowadząc ją wzdłuż dawnego koryta Baryczy, zamiast wzdłuż koryta Młynówki. Jej więc drugi przebieg możemy zobaczyć po linii dębów jakie powinny być widoczne na horyzoncie z miejsca w którym stoimy, a które zaczynają się niedaleko kościółka jaki oglądniemy poniżej w 6, oraz prowadzą aż do nasypu kolejowego. Za nasypem kolejowym ów drugi przebieg historycznego Bursztynowego Szlaku łączył się z drogą z Duchawy w pobliżu mostka opisanego w 4 z punktu #D2.1 tej strony. Niestety, również i ten przebieg drogi reprezentującej dawną gałąź historycznego "Bursztynowego Szlaku" został zablokowany podczas budowy linii kolejowej w 1875 roku. Po oglądnięciu historycznego otoczenia mostka na jakim stoimy, przechodzimy na drugą (wschodnią) stronę Młynówki. Następnie wyruszamy z jej prądem wzdłuż jej koryta po rodzaju alei jaka biegnie wzdłuż jej prawego (wschodniego) brzegu aż do centrum starego Milicza. Idąc tą aleją, mijamy obecne targowisko po naszej prawej (wschodniej) stronie, za owym targowiskiem (również po prawej) powinien być jakiś budynek w którym zaraz po wojnie mieściła się milicka straż pożarna, zaś za budynkiem straży aleja ta wpada w wylot ulicy która bodajże nazywa się Kuźnicza. Wchodzimy w głąb owej ulicy. Jakies 30 metrów zanim ulica owa (Kuźnicza) wpada na inną uliczkę, która łączy mostek na Młynówce (zwiedzany przez nas wcześniej - patrz 2 powyżej) z milickim ryneczkiem, widać na niej wyraźne poszerzenie. To właśnie w owym poszerzeniu do lat 1930-tych mieścił się drugi z oryginalnych milickich kościołów katolickich, pod wezwaniem Świętego Jerzego.

5. Lokacja kościoła pod wezwaniem Świętego Jerzego. Oryginalnie Milicz zaprojektowany został jako typowe miasto warowne X wieku. Zbudowany został przy relatywnie często używanym punkcie przeprawy (brodzie) przez rzekę Barycz, na ówczesnym "Szlaku Bursztynowym" wiodącym z Południa Europy aż do Gdańska. Miał on kształt owalu (elipsy) otoczonego wysokim murem i rozłożonego wzdłuż głównej osi miasta ustawionej w kierunku południkowym. W murze Milicza istniały cztery bramy skierowane w czterech kierunkach świata. Dwie z nich były szczególnie istotne, bowiem stanowiły one fragmenty owego Bursztynowego Szlaku. Były to bramy południowa i północna. Brama Wrocławska, której byłe zlokalizowanie oglądaliśmy w 2 powyżej, była właśnie bramą południową Milicza. W samym centrum owalu dawnego Milicza znajdował się kwadratowy rynek z niewielkim budynkiem ratusza. Rynek ten połączony był z każdą z owych dwóch głównych bram dwoma uliczkami które zbiegały się razem tuż przed każdą z tych bram. Niedaleko od miejsca gdzie owe uliczki zbiegały się przed bramą południową Milicza, w południowo-wschodnim sektorze owalnego Milicza, oraz ciągle w obrębie murów miejskich, około 14 wieku zbudowany został z cegły drugi milicki kościół pod wezwaniem Świętego Jerzego. Kościół ten istniał w owym miejscu aż do lat 1930-tych, poczym został rozebrany. Miejsce zaś które uprzednio zajmował przetransformowano w dodatkową małą uliczkę wiodącą ze starego miasta do coraz wówczas popularniejszych milickich łązienek. Obecnie owa uliczka prawdopodobnie nazywa się ulicą Kuźniczą. Jeśli ulica owa nie przeszła ostatnio jakiejś gruntownej przebudowy, wówczas jakies 30 metrów od wlotu do niej ciągle powinno w niej dać się odnotować charakterystyczne poszerzenie, które stanowi właśnie miejsce w jakim dawniej stał ów kościół pod wezwaniem Świętego Jerzego. Więcej informacji na temat tego kościoła można znaleźć na stronie o Św. Andrzeju Boboli. Po oglądnięciu sobie owego miejsca, cofamy się uliczką Kuźniczą jakies 20 metrów aż wyjdziemy na koniec uliczki która kiedyś była drogą biegnącą wzdłuż murów dawnego Milicza. Uliczką tą przechodzimy w kierunku północno-wschodnim, aż dojdziemy do "małego kościółka" Milicza, czyli kościoła pod wezwaniem Świętego Michała Archanioła. Podczas owej wędrówki zwracamy uwagę na wszelkie ślady które przetrwały do dzisiaj, a które potwierdzają że idziemy wzdłuż dawnego muru obronnego miasta Milicza oraz wzdłuż dawnej fosy biegnącej przed owym murem.

6. Druga lokacja kościoła pod wezwaniem Świętego Michała Archanioła oraz drugi cmentarz Milicza. Kościół Świętego Michała Archanioła był pierwszym kościołem Milicza. Tyle że obecnie stoi on już w swojej drugiej lokacji oraz w swojej trzeciej formie

architektonicznej. Jego pierwsze (oryginalne) zlokalizowanie oglądniemy sobie w 7 poniżej. Do miejsca gdzie obecnie się on znajduje został on przeniesiony w XV wieku, z powodów opisanych dokładniej na odrębnej stronie internetowej o kościele Św. Andrzeja Boboli. Po dotarciu do owego kościółka warto go sobie dobrze oglądnąć, szczególnie zwracając uwagę na ciekawostki opisane na w/w stronie o kościele Św. Andrzeja Boboli. Po oglądnięciu "małego kościółka" Milicza, powinniśmy przejść około 50 metrów w kierunku zachodnim, idąc małą uliczką która łączy ów kościółek z milickim rynkiem. Warto przy tym odnotować, że na wlocie do owej małej uliczki, niemal przy obecnym płocie owego kościółka, kiedyś mieściła się wschodnia brama w murach obronnych Milicza. Przez bramę ową w dawnych czasach prowadziła droga która była jedną z dwóch gałęzi "Bursztynowego Szlaku" oddzielających się od siebie w Miliczu. Owa gałąź wiodła do młyna wodnego na Baryczy, poczym po moście koło owego młyna do dzisiejszych Wszewilek, a dalej do Gniezna i Gdańska (fragment owego szlaku opisany jest w 5 z punktu #D2.1). To właśnie na poboczu owej drogi najpierw założono drugi cmentarz Milicza, potem zaś na były obszar tego cmentarza przeniesiono kościół Świętego Michała Archanioła. Po minięciu miejsca gdzie kiedyś stała wschodnia brama Milicza, podążamy tą uliczką ku zachodowi. W miejscu w którym uliczka owa wpada na narożnik rynku, odnotujemy dziwną nieregularność w szerokości prostopadłej do niej ulicy wylotowej z rynku (tj. tej uliczki z którą zbiega się uliczka jaką przyszliśmy od małego kościółka). Owa nieregularność to oryginalne miejsce zlokalizowania historycznie pierwszego kościoła Milicza.

7. Pierwszy kościół Milicza - pod wezwaniem Świętego Michała Archanioła, oraz pierwszy cmentarz Milicza. Oryginalnie pierwszy kościół Milicza zlokalizowany był w dokładnie taki sam sposób jak kościoły wszystkich innych miast X wieku. Mianowicie, znajdował się on w obrębie murów miejskich, na specjalnie dla niego wydzielonym placu w północno-wschodnim narożniku milickiego rynku. W miejscu w jakim on kiedyś stał do dzisiaj istnieje niezrozumiała nieregularność w szerokości ulicy wylotowej z milickiego rynku. Nieregularność owa to właśnie pozostałość po małym placu na jakim kościół ten kiedyś się znajdował. Po więcej informacji na jego temat patrz odrębna strona internetowa o kościele Św. Andrzeja Boboli.

8. Rynek Milicza, oraz były ratusz tego miasta. Po oglądnięciu byłej lokacji historycznie pierwszego kościoła Milicza, przechodzimy na przeciwstawną (zachodnią) stronę milickiego rynku idąc uliczką która biegnie wzdłuż północnego boku tego kwadratowego ryneczka. Po naszej lewej stronie jest obecnie pusty plac tego rynku. Jednak nie zawsze on był pusty. Aż do końca drugiej wojny światowej stał na nim piękny, drugi z kolei ratusz Milicza. Ciekawostki na jego temat - m.in. opisy podziemnych tuneli jakie wiodły od niego do podziemi szeregu innych dawnych budowli Milicza, można znaleźć na odrębnej stronie internetowej o mieście Miliczu. Natomiast opisy jak on został spalony w ostatnich dniach wojny zaprezentowane są na odrębnej stronie internetowej na temat bitwy o Milicz. Warto tutaj dodać, że ów ratusz był już drugim ratuszem Milicza. Pierwszy, bardzo stary ratusz milicki, zbudowany jeszcze z rudy darniowej, został rozebrany dawno już temu, prawdopodobnie w tym samym czasie kiedy z rozkazu Napoleona rozmontowano także mury obronne Milicza.

9. Brama zachodnia Milicza oraz młyn wodny na Młynówce. Po przejściu na zachodnią stronę rynku Milicza wchodzimy w małą uliczkę która z owego rynku wychodzi w kierunku zachodnim. Idąc tą uliczką dochodzimy do miejsca w którym znajduje się obecnie ozdobna brama wschodnia miasta. Brama owa jest ozdobnym symbolem faktycznej bramy jaka istniała niemal w tym samym miejscu w oryginalnych murach obronnych Milicza. Tuż za ową bramą kiedyś przepływała milicka Młynówka która pełniła rolę miejskiej fosy. Obecnie w jej miejscu znajduje się punkt w którym owa uliczka wylotowa z milickiego rynku łączy się z ulicą Zamkową po której od niedawna poprowadzono drogę objazdową wokół dawnego starego Milicza. Faktycznie to zaraz po wojnie, przed ową bramą zachodnią miasta Młynówka uformowana była w duży staw. Na wylocie zaś owego stawu, zapewne przy miejscu przez które obecnie przebiega ulica Cicha, znajdował się kiedyś drugi młyn wodny Milicza. Młyn ten zbudowany został w tych samych czasach co Pałac Maltzanów który oglądniemy w 11 poniżej.

10. Zamek obronny Milicza. Po oglądnięciu zachodniej bramy Milicza, oraz miejsca przy owej bramie w którym kiedyś na Młynówce stał drugi młyn wodny Milicza, przechodzimy dalsze 100 metrów idąc ku zachodowi ulicą Zamkową. Na końcu tej ulicy, tuż przed miejscem gdzie kiedyś znajdowała się brama wjazdowa do milickiego pałacu Maltzanów (obecnie stoi tam postument z milickim lwem) skręcamy w prawo w małą starą drogę wiodącą ku północy. Jakies dalsze 50 metrów od owego miejsca stoi dawny zamek obronny Milicza. Aczkolwiek jego ruiny obecnie wyglądają dosyć niepozornie, faktycznie to w przeszłości stanowił on potężną twierdzę obronną, jakiej historia jest fascynująca, aczkolwiek szokująco mało znana przez miejscowych. Niektóre ciekawostki na temat tego zamku można znaleźć na stronie o mieście Miliczu.

11. Pałac Maltzanów w Miliczu, Izba Regionalna, oraz niegdyś bardzo sławny park pałacowy. Po oglądnięciu zamku obronnego, wracamy z powrotem na koniec ulicy Zamkowej (tej którą przyszliśmy od rynku), oraz oglądamy sobie najpierw miejsce gdzie kiedyś stała brama wejściowa do pałacu Maltzanów. Brama ta została już rozebrana, jednak ciągle po niej pozostawiono niewielki cokół wymurowany z rudy darniowej, na którym stoi rzeźba lwa. Jego obecny wygląd można oglądnąć na "Fot. #D4" ze strony internetowej o wsi Wszewilki. Ciekawostką tego cokołu i rzeźby jest, że reprezentują one ostatnie pozostałości z byłych murów obronnych Milicza. Mianowicie cokół zbudowany jest z rudy darniowej którą pozyskano właśnie poprzez rozebranie resztki murów obronnych Milicza. Z kolei ów lew jest kopią lwa który kiedyś zdobił południową bramę Milicza (jakiej byłe zlokalizowanie oglądaliśmy w 2 powyżej). Po oglądnięciu owego cokołu z lwem, przechodzimy dalszych około 50 metrów na zachód drogą ku pałacowi. Po naszej prawej stronie mijamy budynek służby pałacowej w którym obecnie zlokalizowana jest milicka Izba Regionalna (gdyby przypadkiem była otwarta, wówczas warto ją odwiedzić) - po jej szczegóły patrz strona o mieście Miliczu. Po ewentualnym zwiedzeniu tej izby, oglądamy pałac (najlepiej obchodząc go naokoło) oraz przyległy do niego park - idąc do parku ścieżką parkową która biegnie od głównego wejścia do pałacu ku południu. Park ten kiedyś był słynny ze swojej piękności na całą Europę. Miał on bowiem jedną z najwspanialszych kolekcji rhododendronów (obecnie po kolekcji owej pozostały jedynie jej resztki). Ciekawostki na temat owego pałacu i jego wspaniałego parku również opisane są na stronie o mieście Miliczu.

12. Kościół Św. Andrzeja Boboli. Po oglądnięciu pałacu Maltzanów możemy powrócić do bramy wejściowej do owego pałacu, poczym skierować się na południe wzdłuż ulicy Piłsudskiego, aż dotrzemy tą ulicą do kościoła Św. Andrzeja Boboli - od którego rozpoczęliśmy nasze zwiedzanie. Alternatywnie, podczas oglądania przypałacowego parku możemy skierować się ku wschodowi idąc przez park, co również powinno doprowadzić nas do ulicy Piłsudskiego a potem do Kościoła Św. Andrzeja Boboli (przy pokazji zaś pozwoli nam zobaczyć nieco więcej owego parku, np. sztucznie usypane w nim wzgórce parkowe).

* * *

Podczas wędrówki szlakami opisanymi w powyższych punktach #D2.1 do #D2.4, w oczy powinno nam się rzucić aż kilka rzeczy. Podkreśmy tutaj najważniejsze z nich. (1) W Miliczu i Wszewilkach do dzisiaj przetrwały dowody celowego i wielkoskalowego zacierania oraz eliminowania obiektów (a także ludzi) które mogłyby nam ujawnić prawdę na temat historii naszej planety. (2) Systematyczne i planowe zacieranie i eliminowanie owej wiedzy o historii kontynuowane jest tam do dzisiaj. (3) To co się dzieje w Miliczu i na Wszewilkach jest jedynie małym fragmentem podobnie wielkoskalowego procesu niszczenia jaki ma miejsce na całej naszej planecie. Uświadomienie sobie owych punktów powinno nas mobilizować abyśmy z tym większą uwagą i troską rozważyli to co zostało zaprezentowane na stronie internetowej o nazwie zło, oraz na stronach jej pokrewnych. Ponadto powinno to nas zmobilizować abyśmy tym większą troską i opieką otoczyli to co ciągle oparło się zniszczeniu z obiektów będących nośnikami naszej historii i kultury.

Został on zbudowany w stylu architektonicznym jaki po angielsku nazywa się "tudor" (w Polsce zwykle jest on znany pod nazwą "muru pruskiego"). Ciekawostką tego stylu jest, że najprawdopodobniej oryginalnie wywodzi się on z chałupniczej zabudowy pobliskiej wioski Wszewilki, a dopiero potem został podpatrzony i skopiowany przez akademicko edukowanych architektów - co wyjaśniłem dokładniej w niniejszym punkcie tej strony internetowej o wsi Wszewilki. Obecnie kościół ten jest świątynią Rzymsko-Katolicką pod wezwaniem Świętego Andrzeja Boboli (dawniej Świętego Krzyża). Powyższa fotografia pochodzi z 2003 roku. Wykonana została przy obiektywie aparatu skierowanym ze wschodu na zachód. Na pierwszym planie pokazuje więc wschodnią ścianę prezbiterium kościoła, za którą znajduje się jego ołtarz. Pełniejsza historia tego kościoła opisana została na odrębnej stronie internetowej Św. Andrzej Bobola. Podczas zwiedzania Milicza kościół ten należy dokładnie sobie pooglądać i obfotografować. Wszakże w świetle opisanych w punkcie #E1 strony internetowej o wsi Wszewilki przypadków celowego niszczenia wszelkich obiektów utrwalających sobą historię tej miejscowości, należy się liczyć że już wkrótce kościół ten nagle tajemniczo zniknie z powierzchni ziemi pod jakąś zręczną wymówką.

#D3. Nieoficjalne szlaki dla zwiedzania Wszewilek i Milicza, zaczynające się od Milicza:

Nieoficjalne szlaki wędrownie opisane w punkcie #D2 tej strony sporządzone były przy założeniu, że podążające nimi osoby poprzednio w punkcie #D2.1 zaczynały swoją wędrowkę od stacji kolejowej w Miliczu. Po podjęciu owej wędrowki, osoby te podążały następnie szlakiem z #D2.1 ze stacji kolejowej w Miliczu aż do Wszewilek, we Wszewilkach szlakiem #D2.2 okrążyły to co pozostało po byłym historycznym ryneczku Wszewilek, potem szlakiem #D2.3 wędrowały szosą z Wszewilek aż do Milicza, aby w końcu szlakiem okrężnym z #D2.4 zwiedzać Milicz. Problem jednak z tamtym opisem jest taki, że jeśli ktoś zechce wędrować w całkowicie odwrotnym kierunku, tj. zaczynając od Milicza, poprzez Wszewilki, aż do milickiej stacji kolejowej, wówczas tamte szlaki musiałyby czytać "tyłem do przodu". Aby więc takiemu komuś ułatwić odnalezienie odpowiednich punktów odniesienia na owych szlakach wędrownych, w niniejszym punkcie #D3 opiszę teraz te same szlaki, tyle że tak je przeredaguję, aby opisywały one tą samą drogę, tyle że oglądaną podczas wędrowki w dokładnie odwrotnym kierunku (tj. tym razem wędrując z Milicza do Wszewilek). Aby ułatwić wzajemne odnoszenie opisów z niniejszego punktu #D3, oraz z poprzedniego punktu #D2, w obu opisach zachowuję dokładnie tą samą numerację szlaków, oraz tą samą numerację poszczególnych punktów odniesienia na owych szlakach. Oto więc ów przeredagowany opis szlaków:

#D3.4 (czyli szlak z #D2.4). Nieoficjalny szlak okrężny przez co istotniejsze miejsca historyczne Milicza:

Ponieważ szlak ten jest okrężny, nie ma w nim znaczenia czy go się przechodzi na drodze z Wszewilek do Milicza, czy też na drodze z Milicza do Wszewilek. Dlatego w obu przypadkach można go przejść w taki sam sposób. Nie będę go tutaj więc przeredagowywał, a zalecam skorzystanie z jego opisów podanych w punkcie #D2.4 tej strony.

#D3.3 (czyli odwrotność dla szlaku z #D2.3). Nieoficjalny szlak spacerowy z Milicza do Wszewilek i dalej przez Wszewilki - pozwalający na ogólne zapoznanie się z tą wioską:

Długość tego szlaku wynosi około 3 km. Przy wolnym kroku spacerowym jego przejście piechotą może zająć nawet około 2 godziny (przy szybkim marszu - 1 godzinę). Można go także przebyć w samochodzie, jedynie zatrzymując się we wskazanych poniżej miejscach. Jego początek wyznaczono na rynku w Miliczu (czyli miejsce na którym można zakończyć, a także rozpocząć, podążanie szlakiem opisanym w punkcie #D2.4 tej strony), zaś jego koniec znajduje się przy młynie elektrycznym Wszewilek (czyli w miejscu przy którym wiedzie końcowy odcinek okrężnego szlaku z punktu #D2.2 tej strony). Dlatego jego przejście stanowi doskonale rozwiązanie jeśli ktoś np. właśnie zakończył zwiedzanie Milicza i ma zamiar udać się do Wszewilek aby sobie zwiedzić ową wioskę. Pomocnym

przy wędrówce opisywanym tutaj szlakiem byłby wydruk stron internetowych Wszewilki oraz Milicz. Oto poszczególne odcinki owego szlaku:

14. Rynek w Miliczu. Po znalezieniu się na milickim rynku, wybieramy uliczkę wylotową z owego rynku wiodącą w kierunku niemal północnym, a zaczynającą się w północno-zachodnim narożniku owego rynku. Uliczką tą podążamy ku północy około 100 metrów, aż mijamy punkt w którym zbiega się ona z podobną do siebie uliczką zaczynającą się w północno-wschodnim narożniku rynku. Zaraz po minięciu budynków stojących przy miejscu zbiegania się obu uliczek odnotujemy obszar jakby wolny od gęstej średniowiecznej zabudowy. To właśnie tutaj stała kiedyś północna brama w murach miasta (zwana bramą Gnieźnieńską), zaś tuż przed nią, po jej północnej stronie, przebiegała kiedyś milicka fosa miejska.

13. Była północna (Gnieźnieńska) brama wjazdowa do Milicza. W chwili obecnej po bramie owej nie pozostało już śladu. Jednak widoczny jest pas wolny od gęstej średniowiecznej zabudowy miasta Milicza. Pas ten wyznacza miejsce, gdzie aż do czasów Napoleona oraz do jego słynnego nakazu rozmontowania murów miejskich Wrocławia i m.in. Milicza, przebiegała północna część murów obronnych Milicza oraz fosa miejska przed owymi murami. Idąc od owej byłej bramy szosą w kierunku północnym, po naszej lewej stronie mijamy stary budynek garbarni. Jest on ostatnim budynkiem po naszej lewej stronie mijanym przez nas podczas podchodzenia do dzisiejszego koryta Baryczy. Warto odnotować, że w czasach poprzedzających regulację koryta Baryczy w latach 1920-tych, faktycznie rzeka ta omywała północną stronę murów owego starego budynku garbarni. Budynek ten stał bowiem wówczas tuż przy starym korycie Baryczy. Oglądnięcie owego budynku najlepiej dokonywać z mostu na Baryczy (dlatego opisałem go dokładniej w następnym punkcie 12).

12. Nowe a stare koryto Baryczy, nowy most na Baryczy, milicka garbarnia - i co po niej pozostało. Idąc dalej ku północy drogą wylotową z Milicza dochodzimy do mostu przez obecne koryto Baryczy. Po moście tym przechodzimy na drugą stronę rzeki, aby potem dalej iść już ku północy tzw. ulicą Krotoszyńską, która wiedzie z Milicza do Wszewilek. Ciekawostką owego betonowego mostu na Baryczy jest, że w chwili wkraczania wojsk radzieckich do Milicza, most ten miał być wysadzony w powietrze. Jednak młodociani żołnierze niemieccy, którym powierzono zadanie wysadzenia tego mostu, po ujrzeniu lania jakie Rosjanie sprawili ich kolegom zamkniętym w ratuszu Milicza, dali nogi do swoich domów, "zapominając" wysadzenia tego mostu. Co z nimi potem się stało, pisane to jest na stronie bitwa o Milicz. Warto wiedzieć, że rzeka Barycz przepływająca pod owym mostem, płynie swoim obecnym korytem tylko od czasów kiedy została uregulowana około lat 1920-tych. Poprzednio bowiem Barycz płynęła zupełnie innym korytem, w okolicach budynku garbarni śmiesznie się zawijając tak że broniła ona dostępu do miasta zarówno od wschodu, jak i od północy. Pamiątką po dawnym przebiegu Baryczy jest właśnie ów długi budynek garbarni, który zapewne stoi do dzisiaj w widłach pomiędzy starą i nową drogą przez Milicz (tj. po lewej (wschodniej) stronie nowej ulicy Parkowej Milicza, zaczynającej się przy milickiej stronie mostu na Baryczy). Budynek ten aż do czasu uregulowania Baryczy w latach 1920-tych był milicką garbarnią skór. Garbarnia ta stała tuż nad brzegiem dawnego koryta Baryczy, zaś jej długa, północna ściana omywana była wodą z Baryczy. (To dlatego ten długi budynek stoi zlokalizowany swoją długą osią w kierunku wschód-zachód, aby rozciągać się właśnie wzdłuż byłego koryta Baryczy.) W środku długości tego budynku (garbarni), zaraz po wojnie istniała drewniana struktura w kształcie ogromnych schodów odwróconych do góry nogami - bardzo podobna do historycznego żurawia ze starego Gdańska. Otóż struktura ta używana była do moczenia wyprawianych skór w wodzie Baryczy. Z owych jej niby schodów zawieszonych ponad korytem Baryczy zwisały liny, zaś na końcach owych lin przywiązywane były pęki skór które w byłej technologii wyprawiania musiały być długotrwale wypłukiwane przez wodę Baryczy. Niestety, w jakiś czas po wojnie, kiedy budynek owej byłej garbarni zamieniono w blok mieszkalny, ową strukturę schodkową rozebrano. A szkoda, bo była ona równie historyczna jak budynek gdańskiego żurawia.

11. Targowisko przy Baryczy przeniesione tam z Wszewilek. Zaraz za obecnym korytem Baryczy, po lewej (zachodniej) stronie ulicy Krotoszyńskiej którą podążamy,

znajduje się byłe targowisko Milicza. Targowisko to istniało w owym miejscu od około 1875 roku, kiedy to zostało tam przeniesione z Wszewilek. Faktycznie bowiem oryginalnie targowisko to znajdowało się na byłym ryneczku Wszewilek. Jednak kiedy budowana wówczas kolej staranowała ów ryneczek, zostało ono przeniesione do Milicza właśnie w omawiane tutaj miejsce. Można więc powiedzieć, że miejsce to "ukradło" słynne wszewilkowskie targi, oraz spowodowało że targi te zaniknęły. Los tego miejsca był też bardzo podobny do losu wszelkich innych "złodziei". W latach 1990-tych Milicz zbudował sobie odmienne targowisko, które zlokalizowane zostało w miejscu byłego stawu z łazienek milickich (targowisko to omówione jest w 4 z punktu #D2.4 tej strony). Stąd owo byłe targowisko przy milickiej rzeźni jakie właśnie mijamy w swojej wędrówce leży obecnie całkowicie opuszczone i zaniedbane.

10. Grodzisko "Chmielnik" pod Miliczem - czyli prapoczątek Wszewilek i Milicza. Idąc ku północy dalsze około 70 metrów ulicą Krotoszyńską, po swojej lewej (zachodniej) stronie widzimy zabudowania milickiej rzeźni miejskiej. Stoją one przy granicy owego targowiska jakie właśnie minęliśmy. Natomiast po naszej prawej (wschodniej) stronie, niemal dokładnie naprzeciwko bramy owej rzeźni, od ulicy tej odchodzi polna dróżka wiodąca stamtąd aż do Wszewilek, a ściślej od "ogrodu krasnoludków" opisanego w 6 poniżej. Przy drodze owej powinien stać znak "grodzisko Chmielnik". Grodzisko to widać nawet z ulicy Krotoszyńskiej którą idziemy. Jest to okrągłe wzgórze widoczne jakieś 400 metrów od ulicy, poza którym widać zabudowania wsi Wszewilki. Grodzisko to stanowiło prapoczątek obecnego Milicza (i Wszewilek), oraz pierwszą lokację tego miasta (i tej wsi), zanim obecny, murowany Milicz został zbudowany. Więcej informacji na jego temat można znaleźć w Izbie Regionalnej Milicza, którą możemy odwiedzić w ramach 11 z punktu #D2.4 tej strony.

9. Niemiecki magazyn karabinów na ulicy Krotoszyńskiej. Po minięciu milickiej rzeźni idziemy dalej ku północy ulicą Krotoszyńską. Proponuję przy tym zwrócić uwagę, że obecny (wyprostowany) przebieg owej ulicy Krotoszyńskiej wytyczony został dopiero około lat 1930-tych. Wcześniej wzdłuż niej biegła stara pozakrzywiana droga jednej z odnóg historycznego "Bursztynowego Szlaku". Resztki tej drogi możemy ujrzeć do dzisiaj, ponieważ przebiegała ona równolegle do ulicy którą idziemy, oddalona tylko kilka, a czasami kilkadziesiąt, metrów na wschód od owej ulicy Krotoszyńskiej. To właśnie po prawej stronie tej pradawnej drogi do dzisiaj stoją bardzo stare zabudowania które widzimy. Istniały one tam jeszcze w czasach sprzed wyprostowania ulicy Krotoszyńskiej. Natomiast tuż przy prawej stronie obecnej ulicy Krotoszyńskiej, zaraz po wojnie nie było niemal żadnego budynku - poza jednym wyjątkiem. Wyjątkiem tym, jaki miniemy po drodze, był stojący właśnie po naszej prawej (wschodniej) stronie owej ulicy Krotoszyńskiej stary ponemiecki magazyn karabinów. Magazyn ów zlokalizowany jest jakieś 150 metrów od milickiej rzeźni, tyle że po odmiennej stronie ulicy. Kiedyś był on jedynym budynkiem stojącym w owym obszarze tuż przy ulicy Krotoszyńskiej po jej lewej (wschodniej) stronie. Tuż przed nim niedawno wzniesiono krzyż upamiętniający wydarzenia związane z powstaniem Solidarności. Ciekawostką owego ponemieckiego magazynu jest, że zaraz po wyzwoleniu okazało się, że cały zapchany jest on hitlerowskimi karabinami. Ponieważ w czasach rabunku i bezprawia jakie zapanowały na tych obszarach zaraz po wojnie, byłoby nieroztropnością pozostawienie owych karabinów w sprawnym stanie, rosyjski komendant na Milicz zdecydował że muszą one być zniszczone. Karabiny te poustawiano więc wzdłuż krawężnika ulicy Krotoszyńskiej, tak że ich zamki wypadały właśnie na linii owego krawężnika. Następnie wzdłuż owego krawężnika, po tych karabinach, przejechał się ciężki czołg rosyjski, łamiąc każdy karabin w obszarze jego zamka. W rezultacie, w długi czas potem, niemal cała ulica Krotoszyńska zaślana była szczątkami połamanych niemieckich karabinów. Gdybyśmy ulicą tą szli ponad 60 lat temu, tj. wkrótce po wyzwoleniu, te połamane karabiny widzielibyśmy jak walają się wzdłuż całej naszej drogi. Byłby to raczej niezwykły widok. Na temat owych karabinów z ulicy Krotoszyńskiej pisałem także na stronie bitwa o Milicz.

8. Narożnik z kuźnią i byłym wszewilkowskim kowalem. Po minięciu owego byłego magazynu karabinów, musimy przejść jakieś 400 metrów, aż dotrzemy do miejsca

kiedy po naszej prawej (wschodniej) stronie ulicy ukaże się wejście na szosę do Wszewilek. Za chwilę skręcimy w ową szosę do Wszewilek, jednak przedtem warto abyśmy się rozglądali po owym skrzyżowaniu w kształcie litery "T" na jakim stanęliśmy. Jest to skrzyżowanie owej milickiej ulicy zwanej "Krotoszyńska" z szosą zbudowaną podczas ostatniej przebudowy Wszewilek. Na północnej stronie wszewilkowskiego narożnika owego skrzyżowania stała kiedyś jedyna kuźnia w całej okolicy. Działała ona aż do końca "końskiej ery", czyli niemal do końca lat 1960-tych. Budynek w którym owa stara kuźnia istniała stoi tam zapewne do dzisiaj. W umiejscowieniu owej kuźni uwagę warto zwrócić na jej położenie na skrzyżowaniu dróg. W dawnych bowiem czasach wszelkie budynki które świadczyły "usługi" dla ludności, takie jak karczmy, zajazdy, kuźnie, sklepy, itp., zakładano właśnie na skrzyżowaniach dróg. Tak nawiasem mówiąc, to diagonalnie do owej kuźni, w jednopiętrowym budynku który zapewne stoi tam do dzisiaj, przez dziesiątki lat znajdował się również jedyny wówczas w całej okolicy sklep spożywczy. W owych czasach sklepy także zakładano przy skrzyżowaniach dróg. Owo skrzyżowanie jest także miejscem przez które wiosną w 1945 roku musiało uciekać w kierunku swoich domów w Stawcu czterech śmiertelnie wystraszonych chłopców w niemieckich mundurach wojskowych, zanim jakieś 400 metrów na północ od tego skrzyżowania każdy z nich po kolei został zastrzelony przez strzelca wyborowego z rosyjskiego patrolu zmotoryzowanego - tak jak to opisałem na stronie bitwa o Milicz. Faktycznie też począwszy od mostu na Baryczy (który chłopcy owi mieli rozkaz wysadzić w powietrze), aż tego skrzyżowania, cały czas szliśmy wzdłuż trasy panicznej ucieczki owych młodocianych "obrońców Milicza". Warto więc przy okazji tej naszej wędrówki przypomnieć sobie o ich losie. Wszakże potem zupełnie innymi oczami będziemy patrzeć na tych przywódców którzy aż piszczą aby wysłać swoją młodzież żeby ta umierała w jakiejś beznadziejnej wojnie jaka nigdy nie powinna być ani kontemplowana ani rozpoczęta.

7. Bagnisty przesmyk od ulicy Krotoszyńskiej do "ogrodu krasnoludków". Po oglądnięciu sobie budynku w którym kiedyś istniała ostatnia kuźnia Wszewilek, maszerujemy dalej ku wschodowi drogą do Wszewilek. W owym miejscu droga jest relatywnie nowa, bo zbudowana dopiero w latach około 1930-tych. Biegnie ona wzdłuż dna lokalnej niziny, co wyraźnie widać patrząc na wznoszący się obszar po jej lewej (północnej) stronie. Przedtem było tutaj bagno niemożliwe do przebycia przez ciężkie wozy. Dlatego w historycznych czasach wozy objeżdżały ten obszar naokoło jadąc do Wszewilek drogą która biegła znacznie wyżej w pobliżu budynku starych milickich wodociągów. Nawet zresztą tuż przed moim opuszczeniem Polski obładowane ciężarówki ciągle wzbudzały w owym miejscu takie wibrowanie drogi, jakby biegła ona po galarecie a nie po twardej ziemi. Bagno to stopniowo osuszyło się dopiero kiedy około lat 1920-tych obszar ten został zmeliorowany po tym jak przekopano nowe (głębsze) koryto Baryczy. W jego osuszeniu dopomogły także nowe studnie do milickich wodociągów które w okolicach owych wodociągów odsysały wodę która uprzednio wyciekała z gruntu do owego obszaru. Droga którą idziemy oryginalnie wybrukowana była małymi kamieniami, które kiedyś nazywano "kocie łby" (obecnie, jak wierzę, droga ta jest wyasfaltowana). Możemy więc w przyszłości się chwalić, że szliśmy około pół kilometra po byłej drodze z "kocich łbów". (Nasi potomkowie zapewne będą kiedyś zaszokowani owymi "barbarzyńskimi czasami", kiedy to drogi brukowano łbami kotów, ludzie w swych aparatach fotograficznych używali rybiego oka w roli obiektywu, politycy musieli pokazywać lwi pazur podczas niemal każdego swego przemówienia, zazdrośni koledzy wylewali nad nami krokodyle łzy, spora część społeczeństwa miała ptasie mózdzki, pracownicy umysłowi rzucali okiem na dotyczące ich dokumenty, zaś fachowcy zwykle zjadali sobie zęby.) Ciekawostką tego obszaru jest też, że na przełomie lat 1950/60-tych wykryto pod nim skały nasycone ropą naftową. Niestety, ropa owa NIE jest uwalniana wystarczająco dużym strumieniem aby móc być eksploatowana na przemysłową skalę.

6. Koniec dawnych Wszewilek - widok na stare wodociągi Milicza, "ogród krasnoludków", miejsce po prastarym domu (2-giej generacji). Kiedy owa asfaltowa szosa (kiedyś tzw. "kocie łby") przetnie się przez cały byłý obszar bagienny, nagle jej nawierzchnia zmieni się w drobną granitową kostkę. Jednocześnie szosa zacznie się

wspinać pod górę. Jakież 150 metrów po tym, jak szosa którą idziemy zaczęła być brukowana ową kostką, w miejscu w którym szosa ta wykonuje niewielki skręt w prawo, dochodzimy do starego ogrodu po naszej lewej (północnej) stronie. W owym miejscu w dawnych czasach kończyły się Wszewilki. W miejscu tym zbiegało się także aż kilka starych dróg wiodących w odmiennych kierunkach (dwie najważniejsze z owych dróg istnieją tam zapewne do dzisiaj). Przykładowo główna droga przez Wszewilki którą dalej pójdziemy dochodziła do owego miejsca od północnego-wschodu wiodąc od widocznych z tamtego miejsca budynków i wieży byłych wodociągów miejskich Milicza. Obecny przebieg dzisiejszej drogi z Milicza, którą właśnie przyszliliśmy, wytyczony wszakże został dopiero w latach 1930-tych, po tym jak w latach 1920-tych przekopano nowe koryto rzeki Baryczy, zaś obszar byłych bagien przez jaki droga ta obecnie przebiega uległ dzięki temu osuszeniu. W miejscu w którym się znajdujemy powinniśmy zwrócić uwagę na ów duży ogród ze starymi drzewami, jaki - mam nadzieję, istnieje do dzisiaj przy drodze którą kroczymy, po jej lewej stronie - tuż przed polną dróżką która w tamtym miejscu dochodzi z północy do naszej szosy. Ogród ten kiedyś nazywano "ogrodem krasnoludków". Powodem było kiedyś ogromnie głośne na Wszewilkach zdarzenie jakie miało tam miejsce w latach 1950-tych - tj. w czasach kiedy w Polsce nikt jeszcze nie słyszał ani o UFO ani o UFOonautach. Otóż w owym czasie pewnego ranka kilku zaszokowanych mieszkańców Wszewilek zobaczyło na owym ogrodzie ogromny, przezroczysty, jakby wykonany ze szkła, "grzyb" (dziś byśmy go nazywali wehikulem UFO). Z "grzyba" tego wychodziły całe gromady maleńkich ludzików wielkości zaledwie około półmetrowej. Najwięcej z tych ludzików interesowało się długim budynkiem 2-giej generacji jaki w owym okresie stał wzdłuż zachodniej granicy owego ogrodu (zdaje się że w owych czasach w budynku tym mieszkała m.in. rodzina Piotrowskich). Niektóre z owych ludzików wnikały nawet do środka tego budynku. Inne ludziki krzątały się po całym ogrodzie, wyczyniając tam jakieś "magiczne" rzeczy. Na samym końcu wszystkie te ludziki powysiadły z powrotem do owego przezroczystego "grzyba", poczym grzyb nagle zniknął z widoku (tj. zapewne włączył "stan telekinetycznego migotania" opisany w podrozdziale LC3 z tomu 10 monografii [1/5]). Było aż kilku godnych zaufania świadków owego niezwykłego zdarzenia. Całe więc Wszewilki spekulowały potem czym są owe dziwne "krasnoludki" wchodzące do przezroczystego "grzyba" który jest w stanie nagle "zniknąć" z widoku, oraz czy ciągle one i ich magiczny "grzyb" znajdują się w owym ogrodzie pozostając tam niewidzialne dla ludzkich oczu. Przez spory też czas później ogród ów nazywano "ogrodem krasnoludków". Ciekawostką było, że wkrótce potem ów długi budynek 2-giej generacji, którym owe "krasnoludki" tak się interesowały, został rozebrany. Ja bym obecnie spekulował, że owi UFOnauci wiedzieli już dokładnie iż ów budynek zostanie wkrótce rozebrany. UFOnauci przybyli więc aby go udokumentować dla jakichś tam swoich celów. Nawiasem mówiąc, dla mnie na zawsze pozostanie tajemnicą dlaczego budynek ten został rozebrany (podobnie zresztą jak nigdy nie zrozumieć dlaczego został też rozebrany niemal identyczny do niego budynek babci Sołtysowej opisany w 6 z punktu #D2.2). Wszakże na jego miejscu nie postawiono potem już nic nowego - jego rozebranie nie służyło więc uwolnieniu miejsca pod budowę czegoś nowego. Pod względem architektonicznym był on bardzo atrakcyjny i raczej niezwykły, tak że tylko dodawał uroku Wszewilkom - nie rozebrano go więc z przyczyn estetycznych. Ponadto zamieszkiwało go aż kilka rodzin, które potem z powodu jego rozebrania znalazły się na bruku - nie rozebrano go więc ponieważ stał pusty. Tylko czekać jak dla tych samych powodów ktoś już wkrótce wyda nakaz aby rozebrać także kościół Św. Andrzeja Boboli w Miliczu. Wszakże kościół ten też jest nośnikiem architektonicznej historii Wszewilek i Milicza, oraz doskonałą ilustracją jak owa oryginalna architektura Wszewilek kiedyś wyglądała. Po oglądnięciu mijanego "ogrodu krasnoludków" podążamy dalej ku wschodowi. Przechodzimy właśnie przez obszar najstarszej zabudowy Wszewilek, dokładnie więc rozglądamy się po drodze. Odnotujemy że stare budynki stoją tutaj tuż przy szosie, tak bowiem kiedyś je budowano. Jednak zupełnie inaczej będzie po minięciu szkoły z następnego punktu 5, bowiem za szkołą zacznie się nowa zabudowa Wszewilek, w której domy stoją już w znacznie większej odległości od szosy. Idąc przyglądamy się architekturze co starszych budynków z cegły (w większości 4-tej generacji, chociaż w moich czasach po

naszej lewej/północnej stronie drogi niedaleko przed szkołą ciągle znajdował się jeden budynek 3-ciej generacji) formujących oryginalną zabudowę tej znacznie starszej od innych części Wszewilek. (Możemy też rzucić okiem na nowe budynki 5-tej generacji które w międzyczasie wybudowano po prawej (południowej) stronie tej części drogi, aby zobaczyć jak podobna do siebie i "pudełkowata" jest architektura ich wszystkich.)

5. Wszewilkowska szkoła oraz miejsce gdzie nowa szosa oddzielona została od starej drogi, dzieląc Wszewilki na starszą i nowszą połówkę. Kiedy przejdziemy jakieś 300 metrów ku wschodowi od "ogrodu krasnoludków", wówczas w miejscu w którym szosa lekko zakręca w prawo, po lewej (północnej) stronie szosy którą podążamy ujrzymy budynek wszewilkowskiej szkoły, czy tego co po szkole tej pozostało do dzisiaj. Poznamy go po krzyżu który stoi w ogrodzie przed szkołą. Szkoła ta jest tą samą szkołą do której ja uczęszczałem w roku szkolnym 1955/1956. Faktycznie jest ona centralnie położonym budynkiem Wszewilek, oraz prawdopodobnie jedynym budynkiem zaprojektowanym jako szkoła. Nie wiem jednak czy funkcję szkoły spełnia ona i dzisiaj. Od punktu naprzeciwko owej szkoły warto się rozglądnać w obu kierunkach szosy którą podążamy. Począwszy bowiem od tego miejsca, dalszy przebieg szosy którą wędrujemy jest nowym jej przebiegiem wytyczonym w 1875 roku. Idąc wzdłuż owej nowej drogi odnotujemy, że wszystkie otaczające ją zabudowania są relatywnie nowe. Wszystkie one wszakże zostały zbudowane już po roku 1875, kiedy to ów następny odcinek naszej drogi został dopiero wytyczony. Przed owym rokiem 1875, droga przez Wszewilki biegnąca na wschód od tej szkoły faktycznie kierowała się w tym miejscu małym łukiem ku południu, poczym przebiegała równolegle do obecnie istniejącej drogi, tyle że oddalona była od niej o jakieś 100 metrów ku południu. Natomiast jeśli od szkoły oglądniemy się z powrotem ku zachodowi, tj. na drogę którą właśnie przyszliśmy, (aż do "ogródka krasnoludków" opisanego w 6 powyżej) pokrywa się dokładnie z jej przebiegiem jeszcze przed budową kolei żelaznej w 1875 roku. Dlatego aż do owej szkoły, niemal wszystkie ceglane budynki Wszewilek jakie napotkaliśmy były znacznie starsze od budynków przy części szosy jaką dopiero teraz pójdziemy. Odnotujemy to wyraźnie po ich architekturze, szczególnie zaś po wysokości ich ścian, po wieku ich cegieł, po wielkości ich okien, oraz po rodzaju dachówek jakie domy te używają.

4. "Feralny obszar", czyli miejsca gdzie została zastrzelona jedna z autochtonek, oraz gdzie jeszcze inna rodzina wszewilkowskich autochtonów została zamordowana i spalona wraz z ich domem. Po oglądnięciu owego budynku szkoły wędrujemy dalej w kierunku wschodnim. Po jakichś dalszych 4 domostwach, także po tej samej północnej (naszej lewej) stronie ulicy, natkniemy się albo na wyrwę w zabudowaniach, albo na nowy dom (5-tej generacji) zbudowany w miejscu takiej byłej wyrwy. Wyrwa owa powstała w miejscu gdzie dom jednego z wszewilkowskich autochtonów został zaraz po przejściu frontu puszczony z dymem wraz w ciała zamordowanych w nim autochtonów. Faktycznie jest to czwarty dom który padł ofiarą rzekomego okresu bezprawia i rabunków, jaki to okres zapanował zaraz po przejściu frontu. Rzeczą, która jednak szokuje mnie osobiście w owym rzekomo chaotycznym mordowaniu i puszczaniu z dymem na powojennych Wszewilkach, jest że ich ofiarami zawsze padali autochtoni, czyli ludzie którzy pamiętali historię tej wioski. Wyglądało więc na to, że w owym niby chaosie istniała reguła. Stwierdziła ona "wymordowuj wszystkich autochtonów" którzy znają przeszłość i historię tego miejsca. Z kolei dzięki wymordowaniu owych autochtonów zniszczona została historia Wszewilek, a jak ja wierzę - także i Milicza. Kolejną ciekawostką która w owym miejscu mi rzucała się w oczy, to że istniało tam kiedyś coś w rodzaju "feralnego obszaru" (miejmy nadzieję że do dzisiaj niszczycielskie energie tego obszaru zostały już zneutralizowane). Przykładowo, po przeciwnej stronie szosy od owego spalonego domu, mieszkała kiedyś owa autochtonka która została zastrzelona przez rosyjskiego snajpera w momencie bitwy o Milicz. Pamiętam także, że ja sam miałem kiedyś właśnie w owym obszarze dosyć paskudny wypadek rowerowy. Ja osobiście wierzę, że takie "feralne obszary" mają coś wspólnego z energiami zakłócającymi ziemskie pole grawitacyjne. Przykładowo, w Nowej Zelandii w miejscu gdzie ktoś umiera w wypadku drogowym, stawia się potem biały krzyż na poboczu drogi. Jeśli zaś przeanalizować zgrupowania takich białych krzyży spotykane co jakiś czas na pustej i

prostej jak strzała drodze, wówczas zawsze się okazuje, że pod nimi przebiega jakiś podziemny "fault" generujący energię zakłócającą ziemskie pole grawitacyjne. (W górzystej Nowej Zelandii jest łatwiej niż w płaskiej Polsce wypatrzeć położenie podziemnych "fault'ów" - po więcej informacji na temat owych nowozelandzkich "białych krzyży" i ich związku z grawitacją ziemską patrz podrozdział 14.4 z tomu 5 mojej najnowszej monografii [1/5].) Ciekawe, że dom mojej babci położony był kiedyś właśnie na jednym z takich "feralnych obszarów". Z opowiadań rodzinnych pamiętam też, że co jakiś czas, albo w samym owym domu mojej babci, albo tuż przy nim, miejsce miały najróżniejsze nieszczęścia.

3. Kolejny ogromnie już rzadki dom mieszkalny 3-ciej generacji na Wszewilkach. Ruszamy w dalszą drogę przez nową część Wszewilek. Wędrujemy ku wschodowi w kierunku młyna. Po drodze przyglądamy się budynkom gospodarskim które mijamy. Większość owych budynków będzie pedantycznie murowana z czerwonej cegły, przyjmując formę zabudowań 4-tej generacji - zgodnie z klasyfikacją omówioną w punkcie #D1.3 tej strony. Około czwarty budynek z cegły jaki minimy po lewej (północnej) stronie drogi którą idziemy, powinien być jednym z owych ogromnie już rzadkich we Wszewilkach budynków 3-ciej generacji (jeśli zdołał on przetrwać do dzisiaj). Poznamy go po bardzo niskich murach, małych i nisko położonych okienkach, więcej niż jednych drzwiach wejściowych (kiedyś w budynkach takich mieszkały wszakże razem aż trzy generacje formujące jedną rodzinę - stąd zawsze było w nich aż kilka odrębnych mieszkań, każde zaś mieszkanie miało własne drzwi wejściowe), oraz nieproporcjonalnie wysokim dachu (ciągle wzorowanym na dachach budynków 2-giej generacji w oryginalnym stylu Wszewilek).

2. Domostwa wokół Młyna: dom-twierdza właściciela młyna, kolejny dom autochtona z naprzeciwka młyna spalony po wojnie wraz z jego mieszkańcami, oraz dom Walohy (ostatniego wszewilkowskiego autochtona, który podobnie jak wszyscy poprzedni autochtoni najwyraźniej również został tajemniczo zamordowany w kilka lat po wojnie). W naszym ostatnim odcinku wędrówki po Wszewilkach za cel stawiamy sobie dojście do byłego młyna elektrycznego. Młyn ten jest ostatnim dwupiętrowym budynkiem jaki spotkamy po prawej (południowej) stronie szosy. Po dojściu do niego możemy przystąpić do oglądania ciekawostek jakie nas otaczają. Jedną z nich są zabudowania gospodarskie, których częścią jest właśnie ów był elektryczny młyn Wszewilek. Nie wiem czy ciągle będzie to widoczne do dzisiaj, jednak oryginalnie zabudowania te były uformowane w rodzaj wiejskiej "twierdzy". Faktycznie były one unikatem nie tylko we Wszewilkach, ale również i w całej okolicy. Ich zabudowa była bowiem tak zaprojektowana, że poszczególne połączone ze sobą zabudowania owego gospodarstwa formowały po zewnętrznej stronie rodzaj jednolitego, bezokiennego muru, który był niemożliwy do sforsowania - gdyby ktoś zechciał wdrzeć się do wnętrza owej twierdzy. Nawet brama do owych zabudowań, znajdująca się tuż przy młynie, była solidna, pełna, oraz zamknięta od góry - tak jak brama do dowolnej średniowiecznej twierdzy. Takie zaprojektowanie owych zabudowań oznacza, że od pierwszej chwili ich właściciele zdawali sobie sprawę, że przybyli oni do Wszewilek aby zaprowadzić "nowy porządek", oraz że z góry spodziewali się oni oporu, a nawet buntu, miejscowych. Dlatego na wszelki wypadek zbudowali dla siebie "twierdzę". Faktycznie też młyn ów zniszczył swoim położeniem i konkurencyjnością odwieczny młyn wodny na Baryczy. Z kolei piekarnia która była usytuowana w domu właściciela owego młyna, wykorzystywała ekonomiczną pustkę pozostałą po zniszczeniu przez ówczesne "władze" starej piekarni Wszewilek - miejsce po której oglądać będziemy w 4 z punktu #D2.2 tej strony. Po oglądnięciu sobie "twierdzy" zabudowań właściciela młyna, oglądać warto też miejsce po przeciwnej do młyna stronie szosy. Zdaje się że obecnie stoi tam już czyjś nowy dom mieszkalny (5-tej generacji). Jednak w czasach kiedy ja ciągle mieszkałem we Wszewilkach, w miejscu tym widniały jedynie ruiny po domu kolejnego autochtona Wszewilek, który został zamordowany i spalony wraz ze swoim domem w okresie bezprawia jakie zapanowało zaraz po drugiej wojnie światowej. Ciekawe że po przeciwstawnej stronie szosy do spalonego domu owego autochtona, znajdowało się gospodarstwo Walohy, który był ostatnim autochtonem jaki ostał się we Wszewilkach - jednak jaki także najprawdopodobniej został zamordowany dopiero w kilka lat po wojnie (byłe gospodarstwo Walohy jest następnym gospodarstwem przylegającym do zabudowań

właścicieli młyna).

1. Wymownie pozakręcany przebieg "nowej szosy" przez Wszewilki oglądanej od młyna elektrycznego - która to szosa mogła przecież być wytyczona prosto jak strzała. Szokujące różnice pomiędzy Wszewilkami, a Wszewilkami-Stawczykiem. Zanim zakończymy naszą wędrówkę po opisanym tutaj szlaku, oraz przystąpimy do przejścia następnego szlaku okrężnego z #D2.2, najpierw dobrze jest się przyglądać drodze (do Milicza) którą właśnie przyszliśmy, oraz otoczeniu tej drogi, stojąc na owej drodze jakieś 50 metrów za wschód od młyna. Z owego bowiem miejsca widoczne są zarówno całe zabudowania młyna, jak i sporo drogi którą przybyliśmy. Owo uważne przyglądnięcie się drodze da nam wszakże dużo do myślenia. Przykładowo, uświadomi nam ono że prześladowania najbardziej historycznej części dawnych Wszewilek, czyli obecnej wsi Wszewilki-Stawczyk, wcale nie skończyły się do dzisiaj. Wyraźnie to widać, jeśli porówna się jak tzw. podmieńcy manifestują swoją dbałość o relatywnie "nową" część Wszewilek, w porównaniu do ich dbałości o ową historycznie najważniejszą część zwaną Wszewilki-Stawczyk, którą zwiedzimy w następnej kolejności w ramach szlaku opisanego w punkcie #D2.2. Przykładowo, chodnik dla pieszych przez Wszewilki urywa się właśnie koło młyna. Kanalizację doprowadzono tylko do młyna. Wodociągi wprawdzie dochodzą do obecnego boiska sportowego Wszewilek (wszakże boisko to jest miejscem publicznym), jednak nie jestem pewien czy je otrzymały budynki przy starej drodze przez Wszewilki-Stawczyk. Nawierzchnia drogi jest ładnie wybrukowana tylko w "nowych" Wszewilkach, jednak żenująco piaszczysta, pełna wybojów i wymownie zaniedbana na ciągle polnych drogach przez historycznie istotne Wszewilki-Stawczyk. Itd., itp. Kolejną zagadką jaką odnotujemy po uważnym przyglądnięciu się od młyna owej drodze do Milicza, to jej dziwnie powykręcany przebieg. Droga ta była wszakże wytyczana od zera w 1875 roku. Tu gdzie obecnie ona przebiega były wówczas gołe pola. Mogła więc być wytyczona prosto jak strzała. Tak też prosto jak strzała wytyczyłby ją zapewne każdy z nas. Jednak w rzeczywistości skręca się ona na kształt litery S. Oczywiście, musiał ku temu być jakiś powód. Jak się okazuje, powodem tym jest, że już po wstępnym jej wytyczeniu ktoś zmusił geodetów żeby tak ją zmodyfikować aby ominęła ona miniaturowy rynek Wszewilek (który oglądniemy później w ramach punktu #D2.2). Ktoś wyraźnie więc zdecydował już po jej pierwszym wytyczeniu, że musi ona omiść ów był miniaturowy rynek historycznych Wszewilek-Stawczyka, tak aby rynek ów mógł zostać dokumentnie zniszczony (wykopany wraz z fundamentami) razem z historycznymi budynkami które przy nim stały. Wszakże gdyby wytyczono ją prosto jak strzała, owo zniszczenie ryneczka stałoby się niemożliwe bo zniszczona wówczas by także być musiała i owa nowo-wytyczona droga. Pozawijany przebieg owej "nowej" drogi przez Wszewilki jest więc dowodem, że ktoś celowo zadbał aby chwalebna i moralna przeszłość wolnej wsi Wszewilki nie przetrwała do dzisiejszych czasów - tak jak to opisane zostało w punkcie #E1 strony internetowej o wsi Wszewilki, omawiającym "spisek przeciwko Wszewilkom".

Po zakończeniu oglądania otoczenia z szosy przy młynie elektrycznym Wszewilek, zaraz za młynem skręcamy od owej szosy na południe (ku naszej prawej) w rodzaj piaszczystej polnej drogi. Po wojnie nazywano ją "drogą na tamę". Faktycznie jednak to oryginalnie była ona drogą do starego młyna wodnego Wszewilek na Baryczy, który kiedyś stał właśnie w pobliżu obecnej tamy. Idąc tą polną drogą jakieś 150 metrów, po przejściu przez tory kolejowe, po naszej prawej (zachodniej) stronie odnotujemy obecne boisko sportowe Wszewilek. Owo boisko jest miejscem od którego rozpoczniemy, oraz na którym skończymy, okrężny szlak wędrówny wokół byłego ryneczka Wszewilek, opisany w punkcie #D2.2.

#D3.2 (czyli szlak z #D2.2). Nieoficjalny "szlak wokół byłego ryneczka Wszewilek" - ilustrujący zniszczenia dokonane na historii dawnych Wszewilek:

Ponieważ jest on szlakiem okrężnym, nie ma znaczenia w którym punkcie ktoś włączy się do jego obchodzenia. Dlatego nie wymaga on przeredagowania w stosunku do tego jak został opisany w punkcie #D2.2.

#D3.1 (tj. odwrotność szlaku z #D2.1). Nieoficjalny "szlak bursztynowy" wiodący z obecnego boiska sportowego Wszewilek (a dawnego obszaru obozowiskowego) aż do stacji kolejowej w Miliczu:

Ów szlak jest jedynie długi na około 1.5 km. Wolnym krokiem można go więc przejść w przeciągu około 1.5 godziny. Przejście nim i oglądnięcie sobie jego ciekawostek i historycznie interesujących miejsc jest więc wprost idealnym rozwiązaniem kiedy ktoś zamierza odjechać pociągiem ze stacji kolejowej w Miliczu, zaś do stacji owej zamierza przejść piechotą z Wszewilek w czasie dnia. Niektóre fragmenty owego szlaku daje się także zwiedzać z samochodu. Przykładowo, od obecnego boiska sportowego Wszewilek, do niedawna dawało się nim dojechać samochodem aż do wału nowego stawu rybnego pod tamą na Baryczy - patrz 6 poniżej. Jeśli przy wale owego stawu zaparkuje się samochód, wówczas dalsza droga piechotą aż do owej tamy na Baryczy wynosi zaledwie jakiś 300 metrów - patrz 7 poniżej. (Oczywiście, w takim wypadku po dotarciu do tamy i po jej oglądnięciu, konieczne jest zawrócenie do samochodu i powrót do Wszewilek tym samym szlakiem.) Ponieważ jednak szlak ten wiedzie po wertepach, trzeba go pokonywać przy dobrej widoczności. Jego przebieg początkowo pokrywa się z grubsza z przebiegiem ponad 1000-letniego odcinka byłej gałęzi historycznego "Bursztynowego Szlaku" - czyli prastarej drogi wiodącej z Gdańska do Gniezna, potem zaś przez Pomorsko do Wszewilek i dalej do Milicza przez most na Baryczy przy starym młynie wodnym Wszewilek. W dalszej swej części, tj. już po przekroczeniu młynówki zgodnie z punktem #C2 powyżej, szlak ten pokrywa się z równie prastarym odcinkiem drogi z Wszewilek do Duchowa. Pomocnym przy wędrówce opisywanym tutaj szlakiem byłby wydruk strony internetowej Wszewilki. Oto poszczególne odcinki owego szlaku:

9. Obozowisko we Wszewilkach, na którym w dawnych czasach odbywały się jarmarki i zatrzymywali kupcy oraz handlarze koni przybyli na owe jarmarki. Fragment obecnie polnej drogi reprezentującej gałąź historycznego "Bursztynowego Szlaku" którym zaczniemy teraz podążać, przecina tory kolejowe we Wszewilkach w miejscu w jakim zupełnie już zaniknął nasyp kolejowy. Kiedyś w owym miejscu gdzie owa polna droga przecina teraz tory kolejowe zwykły stać prastary szpichlerz Wszewilek (teraz jest tam jedynie dół w ziemi powstały po wykopaniu szpichlerza razem z fundamentami - po szczegóły patrz 2 z punktu #D2.2 tej strony). Tuż przy byłej lokacji owego szpichlerza, po prawej stronie owego "Bursztynowego Szlaku", a ściślej w trójkącie pomiędzy tym piaszczystym szlakiem a torami kolejowymi, położone jest dzisiejsze boisko sportowe Wszewilek. Jednak faktycznie boiskiem jest ono tylko od jakiegoś czasu po drugiej wojnie światowej. Jeszcze bowiem podczas drugiej wojny światowej, a także przez krótki okres czasu zaraz po wojnie, boisko sportowe Wszewilek było położone zupełnie gdzie indziej. Mianowicie zlokalizowane ono było wzdłuż krawędzi lasu pomiędzy ostatnim (w kierunku wschodnim) budynkiem Wszewilek-Stawczyka znajdującym się przy starej drodze tej wioseczki, a ostatnim budynkiem znajdującym się przy (nowej) szosie tej wioseczki (tj. boisko to znajdowało się jakby z tyłu obejścia mieszkającej tam kiedyś rodziny Chupało). Natomiast w miejscu gdzie dzisiaj mieści się boisko sportowe Wszewilek, znajdował się wówczas zupełnie nieużywany przez nikogo plac. Plac ten jednak historycznie miał uzasadnienie, bowiem to przy nim kiedyś odbywały się jarmarki koni, zaś na nim obozowali uczestnicy tych jarmarków. Ponadto aż do czasów Hitlera, w południowo-wschodnim kącie tego placu istniało kilka małych lepianek w jakich mieszkali bezrolni parobcy ze wsi Wszewilki. My zaczynamy naszą wędrówkę po "Bursztynowym Szlaku" właśnie od owego boiska. Z boiska tego wchodzimy na ową polną drogę która wzdłuż jego obrzeża biegnie ku południu, oraz podążamy tą drogą w kierunku tamy na Baryczy.

8. Przejście wzdłuż historycznego "Bursztynowego Szlaku", a ściślej przejście jego fragmentu który stanowił starą drogę z Wszewilek do młyna wodnego na Baryczy. Od obecnego boiska sportowego Wszewilek idziemy ku południu ową polną drogą która kiedyś była starą drogą z Wszewilek do młyna wodnego na Baryczy. W dawnych czasach jednocześnie była ona fragmentem jednej z gałęzi historycznego "Bursztynowego Szlaku", ponieważ prowadziła do mostu na Baryczy a dalej do Milicza. Jakies 250 metrów od boiska drogą tą dochodzimy do małego ceglatego mostku przez rów melioracyjny. Kiedyś tuż za

mostkiem, przy rozwidleniu widocznych za nim dróg znajdowało się aż kilka lepianek wszewilkowskich biedaków. Za mostkiem ciągle podążamy prosto przed siebie, wkrótce potem skręcając lekkim łukiem w lewo (na wschód). Zaraz po tym jak zakręt ten się zakończy, czyli tylko jakieś 100 metrów od owego mostku, dochodzimy do rozwidlenia dróg. Skręcamy w prawo (na południe) idąc w kierunku pobliskiego wału stawu rybnego. Wał ten jest tylko jakieś 100 metrów od owego rozwidlenia. Idąc po tej drodze warto się rozglądać za kwadratami położonymi tuż przy owej drodze, w których porost trawy lub zboża ma nieco odmienną intensywność i kolor niż gdzie indziej. Miejsca te bowiem wyznaczają byłe klepiska z lepianek wszewilkowskiej "bieda-wsi", które rozlokowane były wzdłuż owej drogi aż Hitler je polikwidował w końcowych latach 1930-tych (klepiska te ciągle były doskonale zachowane w czasach mojej młodości).

7. Nowy staw rybny złośliwie zalewający szczątki starego wszewilkowskiego młyna wodnego. Droga którą podążamy nagle znika pod niedawno-usypanym wałem stawu. Ponieważ więc nie jesteśmy dłużej w stanie drogą tą podążać, musimy obejść naokoło narożnik tego stawu aby dostać się do tamy na Baryczy. Skręcami więc w prawo (ku południu) i idziemy wzdłuż wału stawu jakieś 100 metrów aż dostajemy się na wał przeciwpowodziowy Baryczy. Na wale skręcamy w lewo (ku wschodowi) i idziemy w kierunku tamy na Baryczy odległej tylko o jakieś 50 metrów. Po naszej lewej stronie rozciąga się ów relatywnie nowy staw rybny. Idąc obok tego stawu warto mu się przyglądać. Istnieje on tam bowiem dopiero od około roku 1990-go. Poprzednio były tam suche łąki, po których m.in. ja biegałem i wypasałem mamine krowy. Dopiero kiedy zaszła potrzeba aby szybko zniszczyć pozostałości historycznego młyna wodnego na Baryczy, około 1990-go roku jakiś zawzięty przeciwnik przeszłości i historii tej ziemi wymyślił sobie aby zbudować właśnie ów staw który zalał wszystko co ciągle tam istniało.

6. Prastary młyn wodny na Baryczy oraz czakram energetyczny Milicza. Po dojściu do tamy po północnym (prawym) brzegu rzeki Barycz, znajdziemy się w bardzo szczególnym miejscu. W owym miejscu, jedynie jakieś 100 metrów na północ od nas, znajdują się szczątki prastarego młyna wodnego na Baryczy - niestety od jakiegis 1990-go roku są one zalane wodą uformowanego tam wówczas owego stawu rybnego. Tuż przy byłym zlokalizowaniu owego młyna widoczne będzie małe, sztucznie usypane wzgórze zarośnięte drzewami i krzakami, które ciągle do dzisiaj powinno być widoczne jak wyłania się ponad powierzchnię tego stawu. Na wzgórzu owym kiedyś mieścił się dom młynarza (sam młyn stał znacznie niżej od owego domu). Tuż przy nim zlokalizowany jest czakram energetyczny Milicza. Podmucha potężnego strumienia naturalnej energii "chi" jaka bucha z tego czakramu jest tak silny, że nawet jeśli nie jesteśmy wcale czuli na naturalne energie, jednak na chwilę przysiadzimy sobie przy owej tamie na Baryczy i skupimy się na własnych odczuciach, wówczas bez trudu go odczujemy. Uderzenie owej energii "chi" będzie tak silne, że nawet kiedy spędzimy siedząc przy owej tamie jedynie z 15 minut, ciągle potem będziemy czuli się wypoczęci, jacyś radośni, oraz wypełnieni energią. Po doświadczeniu doznań przepływu owej energii "chi" przez nasze ciało możemy ruszyć w dalszą drogę. Jeśli przybyliśmy do tego miejsca samochodem z Wszewilek, możemy wrócić tam gdzie zaparkowaliśmy swój samochód. Alternatywnie możemy wybrać dalsze podążanie "Bursztynowym Szlakiem" aż dotrzemy do dworca kolejowego Milicza. Z kolei z dworca możemy albo odjechać pociągiem do domu, albo też przejść szosą do Milicza aby odjechać do domu autobusem z Milicza. Jeśli wybierzemy dalsze podążanie "Bursztynowym Szlakiem" wówczas musimy zacząć od przejścia po tamie na drugą stronę Baryczy.

5. Fragment "Bursztynowego Szlaku" wiodący od starego młyna wodnego na Baryczy do Milicza. Tuż za tamą musimy podążać starą polną drogą która wiedzie od tamy na Baryczy w kierunku południowym, cały czas biegnąc wzdłuż koryta "Młynówki". Owa "Młynówka" odgałęzia się od Baryczy jakieś 10 metrów przed tamą, biegnąc w przybliżeniu na południe. Droga którą właśnie idziemy biegnie wzdłuż prawego brzegu owej Młynówki. Owa prastara droga kiedyś była kolejnym fragmentem jednej z gałęzi historycznego "Bursztynowego Szlaku". (Więcej informacji o owym historycznym "Bursztynowym Szlaku" zawarte jest na stronie o mieście Miliczu.) Idąc ową drogą warto rozglądać się uważnie

dookoła. Jest to bowiem najmniej zniszczona historyczna droga, z największą liczbą starych śladów pozostałych do dzisiaj. W dawnych czasach właśnie przy tej drodze stało kiedyś sporo zabudowań przymłynowych, włączając w to rodzaj hotelu dla klientów młyna oraz kilka składów na ziarno i mąkę. Jeśli ktoś dokładnie przyglądnie się poboczom owej drogi niedaleko od tamy, wtedy ciągle i dzisiaj powinien odnotować ślady po ich fundamentach oraz po rampach i nabrzeżach jakie używały. (Sporo ziarna i mąki splawiane było wówczas do i z Milicza małymi jedno-osobowymi barkami z płaskim dnem właśnie po owej młynówce.) Miejsca w których przy naszej drodze stały kiedyś budynki składów na ziarno i mąkę łatwo poznać nawet obecnie. Każdy z nich bowiem posiadał mały port dla barek. Z kolei przy każdym takim porcie zawsze wykopywany był okrągły staw, z korytem młynówki przebiegającym przez jego środek. Staw ten był miejscem gdzie owe małe barki mogły oczekiwać na swoją kolejkę do załadunku lub rozładunku, a także gdzie barki te mogły się wyminąć z barkami płynącymi do lub z młyna wodnego na Baryczy. Stawy te istnieją tam do dzisiaj - chociaż ludzie już zapomnieli czemu one kiedyś służyły. Po dojściu naszą starożytną drogą do małego mostku przez Młynówkę, położonego jakieś 100 metrów przed nasypem torów kolejowych, schodzimy z owej drogi aby wejść na drogę wiodącą przez ów mostek. Kiedy zaś przechodzimy przez ów mostek oglądamy sobie dokładniej koryto Młynówki przez jaką on prowadzi, bowiem Młynówka ta jest ciekawą arterią wodną.

4. Młynówka, czyli najstarsza milicka arteria transportowa, oraz jej unikalne barki flisackie. Nazwa "Młynówka" przyporządkowana jest w Miliczu do sztucznego koryta rzeki Baryczy, wykopanego około 1000 lat temu. Korytem tym woda z "wysokiej" części stawu starego młyna wodnego na Baryczy doprowadzana była do fos obronnych miasta Milicza. Ponadto Młynówka była najważniejszą arterią transportową dawnego Milicza. Kursowały po niej niewielkie barki, których kształt i wygląd były unikalne dla Milicza (w żadnym innym miejscu na świecie nie widziałem barek ani łodzi w dokładnie takim kształcie jak te z Milicza). Barki te miały płaskie dno, były około 1.5 metra szerokie i około 3 metry długie, oraz miały bardzo śmieszny, zaokrąglony dziób i ogon - każdy z nich w kształcie półkola. Tak samo łatwo pływały więc do przodu i do tyłu. Kiedy chodziłem do pierwszej klasy szkoły podstawowej (nr. 1 w Miliczu) cała flotyła tych barek gniła sobie zapomniana przez wszystkich w okolicach dzisiejszych Łazienek Milicza. Były one napędzane tyczką przez jednego flisaka, zaś każda barka bez trudu była w stanie uwieźć ładunek około 300 kg po wodzie głębokiej zaledwie po kostki. Otóż przekraczając ów most przez Młynówkę, warto sobie popatrzeć na jej koryto. Istotne kiedyś w owej Młynówce było, że na całej szerokości jej koryta i całej długości jej spływu utrzymywano kiedyś dokładnie tą samą głębokość jej wody. To zaś świadczy o wysokim kunszcie inżynierskim i znajomości hydrauliki u dawnych mieszkańców Milicza. Takie równiutkie jak stół, płaskie, czyste, piaszczyste dno i strome pionowe brzegi, młynówka ciągle miała w czasach mojej młodości. Niestety do dzisiaj, z powodu jej zaniedbania przez ludzi, ta dawna żeglugowa arteria Milicza z czasem uległa rozmyciu i zamuleniu. Patrząc na ten niby niepozorny, sztucznie wykopany kanał, warto sobie uświadomić, że przez pierwsze około 500 lat istnienia Milicza był on najważniejszą arterią transportową owego miasta. Faktycznie to większość żywności, drewna, surowców, wyrobów rzemiosła, oraz materiałów budowlanych potrzebnych wówczas Miliczowi, było transportowane do niego w owych miniaturowych barkach właśnie poprzez koryto Młynówki i innych kanałów z Młynówką połączonych. Drogi bite, po których podążały zaprzęgi końskie, były jedynie kosztownym uzupełnieniem owych barek. Dlatego zaprzęgi końskie używano tylko w pilnej potrzebie, lub tam gdzie barkami nie dawało się dopłynąć. Zresztą, jeśli przyglądnać się przebiegowi najważniejszych dróg Milicza, np. owej drogi zaopatrzeniowej wiodącej ze śpichlerzy Milicza znajdujących się w miejscu obecnego milickiego dworca kolejowego, do centrum Milicza (po szczegóły patrz opisy z 1 poniżej), wówczas się okazuje, że owe drogi bite na początku budowane były właśnie wzdłuż kanałów dla owych barek - w tym wypadku wzdłuż koryta Młynówki. Po dokładnym oglądnięciu sobie owej Młynówki można ruszyć w dalszą drogę która biegnie ku południu, czyli prostopadle do Młynówki.

3. Odcinek prastarej drogi z Wszewilek do Duchowa, oraz żeglowna odnoga Młynówki wzdłuż której droga ta kiedyś przebiegała. Oddalając się od Młynówki faktycznie

idziemy fragmentem (a dla nas początkiem) jeszcze jednej starodawnej drogi z Wszewilek do Duchowa. Drogą tą podążamy (z małymi zygzakami) przez jakieś 500 metrów, aż nią dojdziemy do głównej szosy wsi Sławoszewice. Idąc tą drogą w kierunku południowym ku środkowi Sławoszewic warto się uważnie rozglądać dookoła. Wszakże po prawej (zachodniej) stronie owej prastarej drogi, co jakiś czas da się zobaczyć fragmenty byłego kanału żeglownego dla barek, który łączył przystań pod śpichlerzami Milicza (opisaną poniżej w 2) z Młynówką, a dalej z Miliczem i z prastarym młynem wodnym na Baryczy. W dawnych czasach po kanale tym flisacy spławiali zboże do i ze śpichlerzy Milicza, w małych jednosobowych barkach z płaskim dnem opisanych poprzednio. Droga którą idziemy zaprowadzi nas do głównej (przelotowej) szosy przez Sławoszewice. Kiedy będziemy dochodzili do owej szosy łatwo to poznamy, bowiem nasza droga będzie tam miała jakby mały zawijas. Po dojściu do szosy skręcamy nią w prawo (ku zachodowi), przechodzimy nią jakieś 100 metrów idąc pod mostem w nasypie torów kolejowych, aby za raz za nasypem po naszej lewej stronie (od południa) zobaczyć rodzaj jakby stawu (obecnie zapewne już zasypanego). Staw ten to dawna przystań barek flisackich położona pod byłymi śpichlerzami Milicza. Leży on niemal pod milickim dworcem kolejowym do którego zdążamy (dworzec ten znajduje się na czubku wzgórza tuż przy owym stawie, po jego przeciwnej do nas stronie).

2. Przystań dla barek pod starym milickim śpichlerzem. Jeszcze do niedawna, z północnej strony wzgórza z dzisiejszym milickim dworcem kolejowym oraz wybrukowanym dziedzińcem owego dworca (dawniej zaś wzgórza na którym znajdowały się śpichlerze Milicza), znajdował się spory jakby staw. Kiedyś do stawu owego wiodła żeglowna odnoga Młynówki. (Odnogę tą w kilku odcinkach zasypano później nasypem kolejowym podczas budowy obecnej linii kolejowej. Niemniej ciągle do dzisiaj w wielu miejscach widoczne są jej fragmenty. Ponadto drugi most w nasypie kolejowym licząc od stacji kolejowej Milicza, czyli jeden most kolejowy przed mostem nad samą Młynówką, oryginalnie był właśnie mostem przez ową żeglowną odnogę Młynówki.) Odnogą tą barki ze zbożem docierały aż do głównego śpichlerza Milicza. Obecnie miejsce gdzie pod byłym głównym śpichlerzem Milicza mieściła się końcowa przystań dla barek, zobaczymy w chwili kiedy przejdziemy pod mostem w nasypie kolejowym. Droga bowiem którą idziemy, zanim skręci do dworca kolejowego, przebiega właśnie naokoło owej historycznej przystani dla barek spod prastarych milickich śpichlerzy. Resztki tej przystani widać po południowej stronie jakby stawu, który właśnie okrąża droga jaką idziemy.

1. Śpichlerze Milicza. Wszyscy ci którzy odjeżdżają z Milicza koleją, zwykle klną na położenie milickiej stacji kolejowej. Jest ona bowiem oddalona o około 2 km od centrum miasta. Ponadto nie posiada żadnej komunikacji miejskiej z owym centrum. Bardzo jednak mało ludzi wie, że takie położenie milickiego dworca kolejowego zostało uwarunkowane historycznie. Na niewielkim bowiem wzgórzu na którym obecnie mieści się milicki dworzec kolejowy, już jakieś 1000 lat temu mieściły się stare śpichlerze Milicza. Potem w miarę upływu czasu, śpichlerze te obrosły w cały szereg innych składów, tartaków i warsztatów, tworząc niejako "przemysłową dzielnicę Milicza". Dlatego kiedy w 1875 roku budowano kolej przez Milicz, jej dworzec zaplanowano właśnie w miejscu owych odwiecznych śpichlerzy. Oficjalną wymówką było, że takie jego położenie przybliży kolej do miejscowych wytwórni - czyli tam gdzie jej najbardziej potrzebowano. Nieoficjalnym zaś powodem było, aby zniszczyć owe prastare śpichlerze Milicza oraz wszelkie ślady ich istnienia. Podczas też budowy milickiego dworca kolejowego, śpichlerze te dokumentennie wyburzono. Teraz nie pozostało po nich nawet śladu. Kiedy jednak wchodzi się do budynku dworca w Miliczu, przekracza się przez rodzaj jakby kolistego dziedzińca. Jest to właśnie dziedziniec wokół którego przez kilkaset lat stały owe milickie śpichlerze. Najważniejszy z nich stał po naszej lewej (północnej) stronie dzisiejszego przydworcowego dziedzińca - patrząc z drogi od Milicza w kierunku wejścia do budynku dworca. Z tyłu za nim istniała owa duża przystań dla małych milickich barek, którymi ziarno dowożone było do niego, a potem odwożone do młyna wodnego na Baryczy, za pomocą żeglownej kiedyś odnogi Młynówki - która to odnoga w dawnych czasach docierała aż do owych śpichlerzy.

Część #E: Organizacyjna strona zwiedzania wsi Wszewilki oraz miasta Milicza:

#E1. Jak zorganizować sobie zwiedzanie Wszewilek i Milicza, np. co zabrać ze sobą na to zwiedzanie, gdzie nocować, itp.:

Motto: Pamiętaj o zasadach totaliztycznego zwiedzania: nie czyń niczego poza dobrem, nie powiększaj niczego poza wiedzą, nie pozostawiaj niczego poza śladami swych stóp, nie zabieraj ze sobą niczego poza pamięcią oraz zdjęciami jakie pstryknąłeś podczas swej wizyty.

Poniżej w punkcie #E3 tej strony, opisane są podstawowe opcje przyjazdu i zwiedzania Wszewilek i Milicza. Proszę jednak odnotować, że którąkolwiek z tych opcji zwiedzania Wszewilek i Milicza ktoś by nie wybrał, opcję tą powinien sobie z góry zaplanować i przygotować. Przykładowo, należy z góry sprawdzić rozkłady odjazdów i przyjazdów pociągów i autobusów które ma się zamiar użyć, albo z góry zarezerwować sobie noclegi w hotelu czy ośrodku w którym ma się zamiar zatrzymać, itd., itp. Wszakże od tego jak dobrze ktoś się przygotowuje do tej wyprawy i zwiedzania, zależało potem będzie jak przyjemnie spędzi czas podczas jej trwania, oraz jak dobre wspomnienia z niej później wyniesie.

Analizy przebiegu poprzedniego Zlotu "Wszewilki-2006" wykazują, że najważniejsze jest zabranie wydruku komputerowego ze strony Wszewilki-Milicz - tak aby potem wiedzieć co dokładnie jest tam warte oglądania, na co warto zwracać tam szczególną uwagę, oraz jak powinno się zwiedzać te miejscowości. Dobrze jest też zabrać wydruk ze stron o wsi Wszewilki oraz mieście Miliczu - tak aby mieć pod ręką dokładniejsze opisy tego co tam się zwiedza. Aby zaś łatwiej móc się poruszać po szlakach wędrownych opisanych na tej stronie w punktach #D2.1 do #D2.4 (lub #D3.1 do #D3.4) i odnajdywać poszczególne obiekty zainteresowań, konieczne jest również zabranie ze sobą kompasu - wszakże szlaki te cały czas referują do kierunków geograficznych. Drugim, również bardzo ważnym sprzętem, jest aparat fotograficzny, oraz/lub ewentualna kamera wideo. Wszakże warto utrwalić dla siebie i innych co bardziej interesujące widoczki z miejsc jakie się zwiedza, a także ewentualne sfotografowanie wszelkich tajemniczych stworzeń oraz nietotaliztycznie zachowujących się ludzi jakich się napotka. Osoby które zamierzają przenocować pod namiotem na historycznym obszarze obozowiskowym handlarzy koni, czyli na dzisiejszym boisku sportowym Wszewilek, oprócz zwykłego ekwipunku namiotowego oraz zapasu żywności powinni zabrać ze sobą także latarkę elektryczną oraz miniaturową łopatkę ogrodową do zakopywania śmieci jakie wówczas wygenerują. Ponieważ we wiejskiej scenerii oraz podczas wędrówek na świeżym powietrzu nic tak nie smakuje jak dobre jedzenie, każdemu kto ma ku temu możliwości rekomenduję także zabranie ze sobą wszystkiego co potrzebne na piknik, lub co najmniej jakichś kanapek oraz napoju. Jeśli ktoś przybywa samochodem i zamierza zakupić od rolników z Wszewilek jakieś "organiczne" produkty rolne, powinien pamiętać o funduszach na zakup, o opakowaniach dla zakupionego mleka i jajek, a także o wolnej przestrzeni w bagażniku samochodu.

#E2. Możliwości noclegowe w Miliczu i jego okolicach:

Na przekór swoich niewielkich rozmiarów, Milicz i jego okolice oferuje przybyłym cały szereg możliwości zakwaterowania (a także doskonałego, staropolskiego wyżywienia). Przenocować tam można do wyboru, zarówno w miejscach o niewielkich cenach, jak i w innych miejscach o wysokim standardzie (i cenie). Wszystkie też miejsca noclegowe położone są w wysoce atrakcyjnych lokacjach, np. oferujących zarówno wspaniałe widoki, jak i bliskość do natury, stawów, parków, lasów, itp., a także często oferujących interesujące przeżycia kulinarne - np. potrawy z dziczyzny czy ze słynnego karpia milickiego. Oto najważniejsze z tych ofert noclegowych:

* * *

Jeśli po przybyciu do Milicza lub Wszewilek we własnym samochodzie, ktoś zdecyduje się zatrzymać na miejscu na jedną lub kilka nocy, wówczas jednym z takich

miejsc noclegowych jest Ośrodek Wypoczynkowy w Karłowie pod Miliczem (tj. Państwowy-Miejski Ośrodek pod zarządem miasta Milicza). Oferuje on duży wybór odmiennych domków kempingowych. Ośrodek ten jest oddalony jedynie o około 5 km na południe od Wszewilek (2 km na południe od Milicza), a leży przy drodze nr 15 z Milicza do Trzebnicy i potem Wrocławia. Oto dane owego ośrodka: Adres pocztowy: Ośrodek Wypoczynku Świątecznego Milicz-Karłowo, ul. Poprzeczna 13, 56-300 Milicz, woj. dolnośląskie; Telefon (w Polsce): 0-71-3841215; fax (międzynarodowy) +48 71-384-10-59. Tuż przy tym ośrodku znajduje się też Hotel Borowik z 60 miejscami w cenie 25 PLN za osobę, a ponadto cały szereg prywatnych domków kempingowych do wynajęcia.

Na stronach internetowych Milicza, np. na stronie o adresie www.milicz.pl/turystyka/noclegi/, opisane są także jeszcze inne możliwości zakwaterowania w Miliczu (czyli około 3 km od Wszewilek - tj. wystarczająco blisko aby w sobotę na 7 rano dojechać stamtąd do boiska sportowego Wszewilek). Przykładowo, jest tam opisany "Hotel Libero". Jego dane: Adres pocztowy: Hotel "Libero", ul. Kosciuszki 2, 56-300 Milicz. Telefon (w Polsce): 071-383-13-90, 383-13-91; fax (międzynarodowy) +48 71-383-13-92. Email: hotel@hotel-libero.pl. Strona: www.hotel-libero.pl. (Oferuje on 67 wysokiej jakości miejsc noclegowych w pokojach 1, 2 i 3 osobowych, w tym cztery apartamenty.)

Ponadto na stronach internetowych Milicza opisane jest też Centrum Edukacyjno-Metodyczne "Dolina Baryczy", które reklamuje się że ma w ofercie: (a) 100 miejsc w pokojach 2-, 5- i 6- osobowych; (b) kuchnię turystyczną (z pełnym wyposażeniem); (c) wyżywienie całodzienne dla grup zorganizowanych - na zamówienie; (d) jadalnię-świetlicę, świetlice (ze sprzętem audio-video); (e) węzeł sanitarny z natryskami, boisko do piłki siatkowej oraz miejsce do grilowania. Jego dane: Adres pocztowy: Centrum Edukacyjno-Metodyczne "Dolina Baryczy", ul. Trzebnicka 4b, 56-300 Milicz; Telefon (w Polsce): (071) 384 02 37, 383-11-31, tel./fax (071) 384 02 38 Strona: www.cem-milicz.prv.pl.

Inne możliwości zakwaterowania w Miliczu obejmują m.in.: Zajazd-Restauracja "Pałacowa", ul. Piłsudskiego 5, 56-300 Milicz, tel. (071) 383-02-03 (dysponuje on 14 miejscami noclegowymi - 60 zł/osobę; potrawy ze świeżego karpia); Internat Zespołu Szkół Leśnych, al. ZHP, 56-300 Milicz, tel. (071) 384-09-00, 384-07-63, fax. (071) 384-07-18 (sezonowo dysponuje 120 miejscami dla grup zorganizowanych w okresie od 3 lipca do 27 sierpnia); Hotel Widmar, ul. Kopernika 8, 56-300 Milicz, tel. (071) 383-00-07, fax (071) 383-00-01 (dysponuje 27 miejscami noclegowymi w cenie około 50 zł/osobę); Hotel Karłów, ul. Sycowska 1, 56-300 Milicz, tel. (071) 384-17-65 (dysponuje 16 miejscami w cenach 25 PLN za osobę);

W relatywnie niewielkiej odległości w kierunku wschodnim od Milicza dostępnych jest także cały szereg dalszych możliwości noclegowych. Przykładowo tylko około 15 km na wschód od Milicza i Wszewilek, w Gądkowicach leżących przy trasie z Milicza (przez Wszewilki) do Sulmierzyc, znajduje się dawny pałacyk myśliwski. Jego dane: Adres pocztowy: "Hubertówka", Gądkowice, 56-300 Milicz; telefon (w Polsce): 071-384-92-83 Strona: www.hubertowka.emeteor.pl (ma on 20 miejsc w pokojach 2, 3 i 4 osobowych w cenach 40 zł/pokój lub 30 zł/osobę). Również tylko około 15 km na wschód od Milicza i Wszewilek, we Wziąchowie Wielkim też leżącym przy trasie z Milicza (przez Wszewilki) do Sulmierzyc (jakieś 2 km od Gądkowic), znajduje się spory Ośrodek Szkoleniowo-Konferencyjny. Jego dane: Adres pocztowy: "Dworek pod Herbem", Wziąchowo Wielkie 35, 56-300 Milicz. Telefon (w Polsce): 071-384-92-31; fax (międzynarodowy) +48 71-384-92-40. Email: dworek@konferencje.wroc.pl. Strona: www.dworekpodherbem.pl (dworek ten oferuje 48 wysokiej jakości miejsc noclegowych w 16 pokojach, ceny do uzgodnienia). Dalsze około 5 km na wschód od Gądkowic (na południe od Bartnik) istnieje leśniczówka. Jej dane: Adres pocztowy: "Leśniczówka" - kwatera myśliwska we Wróblińcu, Wróbliniec, 56-300 Milicz; telefon (w Polsce): 071-384-95-79 (oferuje ona 9 miejsc w pokojach 2 i 3 osobowych w cenach 20 zł/osobę; możliwość wyżywienia całodziennego za 50 zł - specjalność "dania z dziczyzny"). Jeszcze dalsze 5 km na wschód (tj. około 25 km od Milicza) znajduje się miasteczko Sulmierzyce. Ono również oferuje przyjezdnym własną bazę noclegową.

W kierunku przeciwnym niż Wszewilki, około 8 km na zachód od Milicza, w Sułowie, znajdują się dwa ośrodki wypoczynkowe. Większy ma 40 domków kempingowych - jego dane M. Malaczewski, ul. Leśna 4, 56-3006 Sułów, tel. (071) 384-71-68. Mniejszy ma 16 domków 4-osobowych w cenie 50 - 70 zł za domek - jego dane: ul. Leśna 8, 56-3006 Sułów, tel. (071) 384-71-68.

W kierunku południowo-wschodnim od Milicza, w pobliskich miejscowościach Wierzchowice (tel. (071) 384-62-73) oraz Krośnice, znajdują się również liczne hotele, ośrodki wypoczynkowe i miejsca noclegowe. Obie te miejscowości leżą mniej niż 10 km od Milicza. Jeszcze nieco dalej w tym samym kierunku na Oleśnicę, jakieś dalsze 10 km za Krośnicami w kierunku na południe, w miejscowości Kubryk, jest leśniczówka z 3 pokojami do wynajęcia (tel. (071) 384-50-22).

Hotele są także w Cieszkowie i Zdunach (tel. (062) 721-51-10) położonych nie dalej niż 20 km na północ od Milicza, na drodze krajowej nr 15 z Milicza do Krotoszyna.

Sam Milicz jak i jego okolice oferują również ogromny wybór zakwaterowania prywatnego, z puli tzw. "agroturystyki" - gdzie mieszka się u miejscowych rolników. W przypadku reflektowania na tego typu zakwaterowanie, dla wyszukania najbardziej odpowiadającego nam miejsca najlepiej się skontaktować z informacją turystyczną w Miliczu (adres: Rynek 20, 56-300 Milicz; telefon (071) 383-11-11) lub zaglądnąć na stronę www.milicz.pl/turystyka/noclegi.

#E3. Opcje przybycia do Wszewilek, przenocowania we Wszewilkach lub w Miliczu, zwiedzania Wszewilek i Milicza, oraz powrotu do domu:

Motto: "W życiu nigdy nie żałujemy że coś uczyniliśmy lub zwiedziliśmy, jednak często żałujemy że mieliśmy okazję aby coś uczynić lub zwiedzić, jednak z niej nie skorzystaliśmy."

Opisywane tutaj internetowo koordynowane imprezy we Wszewilkach i Miliczu są rodzajem prywatnej wycieczki do tych miejscowości, tyle że wycieczki organizowanej przez wielu ludzi naraz (wszakże "w kupie zawsze raźniej i bezpieczniej"). Jak więc niemal wszystko na takiej prywatnej wycieczce, nikt nie będzie jej uczestnikom zabezpieczał ani zakwaterowania, ani wyżywienia, ani przewodników czy organizatorów którzy przygotowaliby dla nich rozrywki, ani żadnych innych wygód. Dlatego uczestnicy tych imprez, po zjawieniu się w okolicy Wszewilek lub Milicza muszą sami zatroszyć się o zabezpieczenie sobie wszystkiego co będzie im potrzebne dla konstruktywnego i przyjemnego spędzenia tam czasu. Opisywana tutaj impreza będzie trwała tylko jeden dzień. Dlatego jeśli ktoś przybędzie na nią głównie w celu poznania Wszewilek i ich historii, wówczas najbardziej optymalne rozwiązanie które ja bym mu polecał, to zjawić się we Wszewilkach możliwie wcześnie rano w dniu 7/7/7, zobaczyć co się będzie działo na obecnym boisku sportowym Wszewilek - które będzie centrum dla owej imprezy, odnaleźć kumpli lub korespondentów z którymi tam się umówiło, pozwiedzać razem z kumplami szlaki wędrowne opisane w punkcie #D2 (lub #D3) tej strony - nawzajem sobie przypominając co interesującego warto tam odnotować i jaka była historia, funkcja, oraz losy danego miejsca, poczym wyjechać z powrotem do domu jeszcze tej samej soboty 7/7/7. Jeśli zaś ktoś przybędzie do Wszewilek aby również doświadczyć "nadprzyrodzonych" zjawisk, wówczas najlepszą ku temu okazją będzie tam przenocować - najlepiej właśnie na owym obecnym boisku Wszewilek (czyli na historycznym obszarze obozowania kupców i handlarzy koni). Poniżej wyszczególniłem najważniejsze możliwości (opcje) jakie są mi znane w zakresie sposobu przybycia do Wszewilek, noclegu albo we Wszewilkach albo też w pobliskim Miliczu, zwiedzania atrakcji i niezwykłości Wszewilek oraz Milicza, oraz końcowego powrotu do domu. Oto owe opcje:

#E3.1. Przybycie do Wszewilek samochodem czy motocyklami albo tylko na jeden dzień, albo też na dwa dni z nocowaniem w Ośrodku Wypoczynkowym w Karłowie pod Miliczem lub też w którymś z milickich hoteli, oraz zwiedzanie atrakcji Wszewilek i Milicza z pomocą samochodu:

Niniejsza opcja pozwala na najszybsze oraz na najmniej uciążliwe zwiedzenie

opisywanych na tej stronie ciekawostek i szlaków wędrownych Wszewilek i Milicza. Jeśli mieszka się jedynie kilka godzin jazdy od Wszewilek, wówczas do wsi tej można przybyć dopiero rano, np. w sobotę dnia 7/7/7. W takim przypadku warto podjechać samochodem aż do młyna elektrycznego Wszewilek, zaparkować tam samochód, podejść piechotą do pobliskiego boiska sportowego, a następnie przejść już na piechotę szlak wędrowny opisany w punkcie #D2.2 niniejszej strony internetowej. Po przejściu owego szlaku piechotą i oglądnięciu w ten sposób stanu miejscowych dróg polnych, można rozważyć czy chce się podejść czy też podjechać do tamy na Baryczy owym historycznym fragmentem "drogi do starego młyna wodnego na Baryczy" opisanym w punkcie #D3.1 niniejszej strony. Wszakże od młyna elektrycznego we Wszewilkach do owej tamy jest mniej niż 1 km, tyle że polną drogą (trzeba jednak pozostawić samochód jakieś 300 metrów od owej tamy, kiedy droga którą podążamy zniknie pod wałem nowego stawu rybnego). Po oglądnięciu tamy i czakramu energetycznego Milicza, można powrócić do Wszewilek, poczym już z pomocą samochodu oglądać atrakcje opisane w szlakach wędrownych z punktów #D2.3 i #D2.4 tej strony. Jeśli zaś mieszka się wiele godzin jazdy od Wszewilek, wówczas można przyjechać dzień wcześniej do Milicza, zanocować w jednym z miejsc noclegowych opisanych w punkcie #E2 tej strony, oraz od rana następnego dnia zwiedzić Wszewilki tak jak to opisano powyżej.

* * *

Proszę mieć na uwadze, że jeśli ktoś dopiero rano dojedzie samochodem w pobliże boiska sportowego Wszewilek, wówczas silnie radzę mu aby samochód zaparkował w okolicach młyna elektrycznego Wszewilek, zaś do boiska podszedł na piechotę. Odległość od młyna do boiska wynosi tam jedynie jakieś 100 metrów. Natomiast polna droga od młyna do boiska jest zaniedbana przez władze i naprawdę okropna.

#E3.2. Przybycie do Wszewilek pociągiem albo tylko na jeden dzień, albo też na dwa dni ze spaniem pod namiotami wokół centrum historycznego obszaru obozowiskowego dla kupców i handlarzy koni (obecnie boiska sportowego Wszewilek), zwiedzanie atrakcji Wszewilek i Milicza poprzez przejście piechotą szlaków opisanych w punkcie #D2 (lub #D3) tej strony, oraz odjazd do domu autobusem z Milicza:

Motto: "W kupie zawsze raźniej. Jeśli więc zamierzasz nocować pod namiotem na boisku gdzie nocą może wiele się zdarzyć, wówczas zabierz na ten Złot tyłu dobrych kumpli ilu tylko możesz. Spijcie też w conajmniej dwuosobowych namiotach."

Do zrealizowania niniejszej opcji zachęceni są ludzie młodzi, którzy NIE dysponują własnym samochodem, ale albo posiadają namioty i są w stanie spędzić noc pod namiotem wokół obecnego boiska sportowego Wszewilek, albo też są w stanie przybyć do Wszewilek wcześniej rano i oglądnać wszelkie atrakcje owej wioski w przeciągu tylko jednego dnia. W takim wypadku, zachęceni są oni aby przyjechać do Milicza pociągiem np. popołudniem w dniu 6/7/7 (w opcji zaś jednodniowej, czyli bez noclegu pod namiotem - przyjechać tam rankiem w dniu 7/7/7), przejść do Wszewilek szlakiem wędrownym opisanym w punkcie #D2.1 tej strony, na noc z piątku 6/7/7 na sobotę 7/7/7, rozbić swój namiot na byłym obszarze historycznym, na którym w dawnych czasach obozowali kupcy i handlarze koni przybywający do Wszewilek na ogromnie słynne jarmarki końskie, w sobotę 7/7/7 przejść po Wszewilkach i Miliczu szlakami opisanymi w punktach #D2.2 do #D2.4 tej strony, a następnie wrócić do domu autobusem już z dworca autobusowego Milicza. W obecnych czasach ów historyczny obszar obozowiskowy na którym mogą rozbić namioty na noc znany jest pod nazwą "boiska piłkarskiego Wszewilek". (Odnotuj jednak, że boiskiem piłkarskim stał się on dopiero w latach 1950-tych. Przed ową datą boisko piłkarskie Wszewilek zlokalizowane było w całkowicie odmiennym obszarze tej wsi - po szczegóły patrz 6 w punkcie #D2.2 niniejszej strony.) Stąd osoby dysponujące namiotami mogą rozbić te namioty wokół pola gry owego dzisiejszego boiska sportowego we Wszewilkach. Boisko to będzie bowiem centrum złotowym. Na nim będą więc miały miejsce wszelkie imprezy złotowe (nie żeby było ich zbyt wiele) - patrz punkt #C3 tej strony. Względem niego też wytyczone zostały wszelkie szlaki wędrowne do zwiedzania Wszewilek i ich okolicy - po szczegóły patrz punkt #D2 tej strony. Owo dzisiejsze boisko sportowe jest zlokalizowane

tuż przy torach kolejowych wiodących z Milicza do Krotoszyna, a także przy dawnej "drodze do starego młyna wodnego na Baryczy" (po wojnie nazywanej "drogą na tamę") opisywanej na stronie o wsi Wszewilki. Z tego co pamiętam, to kiedyś przy nim stał jeden z owych hydrantów na zawór odtwierany ręcznie - tak aby piłkarze mieli się gdzie umyć po meczu. Jeśli hydrant ten ciągle działa, obozujący na owym boisku będą mieli zapewnioną wodę z wodociągów miejskich do picia i mycia. (Jeśli zaś jest nieczynny, lub zlikwidowany, wówczas będzie dobra okazja aby złożyć petycję na ręce sołtysa (urzędowego) wsi Wszewilki, aby z urzędu go naprawiono lub odrestaurowano w obliczu zbliżającego się następnego Zlotu "Wszewilki-2008".) W okolicach owego boiska jest też sporo "ziemi niczyjej" pozarastanej krzakami, z naróżniejszymi dziurami i wyrobiskami w ziemi po piasku zabranym w 1875 roku na budowę pobliskiego nasypu kolejowego. Jeśli więc zabraknie obszaru obozowego tuż przy polu boiska sportowego, zawsze można rozbić namioty na owej "ziemi niczyjej". Jakieś 100 metrów od owego boiska jest także niewielki lasek prywatny (a właściwie to aż kilka lasków), tak że ci za potrzebą będą mieli gdzie poużyźniać porost lokalnych drzewek. (Proszę jednak pamiętać o zabraniu ze sobą na obozowisko maleńkiej łopatkii ogrodowej i latarki, aby przed przykucnięciem móc sobie wykopać mały dołek w ziemi, w którym potem się zakopie "pamiętki" jakie zostaną tam wygenerowane - zgodnie z totalistycznym mottem "czyń tylko dobro, powiększaj tylko wiedzę, wywieź tylko zdjęcia, pozostaw tylko ślady swoich stóp". Wszakże jeśli ktoś nie zakopie po sobie tego co wygenerował, następnymi wchodzący do tego lasu będą wysyłali "złą karmę" dokładnie pod jego adresem - zaś z powodu pozostawienia po sobie materialnego śladu, jest absolutnie pewnym że karma ta znajdzie swego adresata.)

Aby po przybyciu autobusem do Milicza dostać się do owego boiska, wystarczy złapać autobus do Wszewilek i poprosić kierowcę o wyrzucenie "przy starym młynie elektrycznym na Wszewilkach" albo "na torach kolejowych". Stamtąd do boiska sportowego jest już tylko jakieś ze 100 metrów. Jeśli zaś ktoś przybędzie do Milicza koleją, wówczas drogą okrężną (po szosie) do owego boiska jest około 5 km - i na dodatek nie jeżdżą wzdłuż większości z niej żadne autobusy. Dlatego najłatwiej z dworca kolejowego dostać się do owego boiska idąc pieszo ku północy w przybliżeniu wzdłuż torów kolejowych - tory te bowiem są rodzajem "nitki Ariadny" dla idącego, uniemożliwiającej mu zabłądzenie. (Jednak silnie odradzam przejście po samych torach i to aż dla kilku powodów, np. ponieważ ten krótki odcinek torów słynie z przedziwnej dużej liczby wypadków śmiertelnych - po szczegóły patrz strona Wszewilki. Dlatego raczej radzę iść równoległe do torów np. po historycznym "bursztynowym szlaku" opisanym w punkcie #D2.1 tej strony.) Boisko znajduje się wówczas po prawej stronie torów kolejowych, w tym miejscu gdzie nasyp kolejowy niemal zanika, zaś poziom torów staje się równy poziomowi otaczającego je obszaru. (Wszędzie wcześniej tory zlokalizowane są na wysokim i z daleka widocznym nasypie kolejowym.) Największy jednak problem z owym przejściem wzdłuż torów jest taki, że jeśli idzie się po wyźwirowanej ścieżce rowerowej zawsze tam biegnącej po prawej (wschodniej) stronie tuż przy torach, wówczas zwykle dniami policja kolejowa lubuje się tam w łapaniu ludzi którzy podążają ową ścieżką i w karaniu tych ludzi mandatami (szczególnie ulubionymi miejscami dla owej policji dla zaczajania się na przechodniów, był kiedyś most kolejowy na Baryczy, oraz położony nieco wcześniej przed nim "most na młynówce". Dlatego, jeśli komuś się spieszy, wówczas znacznie lepszym wyjściem od wędrowania po owej ścieżce żwirowej tuż przy torach i wzdłuż tych torów, jest używanie polnej drogi która biegnie wzdłuż nasypu u podstawy owego nasypu (idących ową drogą policjanci kolejni nie mają prawa okładać mandatami). Tyle że droga ta jest pełna dziur i stąd nie nadaje się do przejścia nocą - chyba że ktoś ją dobrze zna. Aż do mostu na Baryczy droga ta biegnie pod nasypem po jego lewej stronie, zaś za mostem na Baryczy biegnie ona pod nasypem po jego prawej stronie. Kiedy zaś droga zanika, bowiem tory przebiegają po moście, wówczas po prawej i lewej stronie od mostu kolejowego, w niewielkiej odległości od torów, jest najpierw mostek przez Młynówkę i jej odnogę, potem zaś po prawej stronie torów jest tama na Baryczy - po których można przejść na drugą stronę wody bez obawy zapłacenia mandatu. Idąc tą drogą z daleka też widać, czy na danym moście kolejowym faktycznie czają się policjanci kolejni, bowiem przy mostach biegnie ona po tej samej stronie torów

po której zwykle ukrywają się oni przed ludźmi. Jeśli jednak komuś się nie spieszy i idzie w świetle dziennym - tak że nie zachodzi niebezpieczeństwo że zabłądzi, wówczas raczej zalecałbym przejście do boiska Wszewilek tzw. "bursztynowym szlakiem" opisanym z punkcie #D2.1 tej strony.

Po przybyciu na historyczny obszar obozowiskowy, który obecnie jest boiskiem we Wszewilkach, swoje namioty proszę rozbijać nie na samym polu piłkarskim owego boiska, a na obrzeżu boiska wokół owego pola gry. Istnieją bowiem ku temu ważne powody. Przykładowo samo boisko ma bardzo "wrażliwą trawę" o którą "ogromnie dbają" miejscowi piłkarze z drużyny "Wszewilkowskich Wilków". Nikt zaś z przybyszy zapewne nie chce wzbudzać gniewu owej bojowej drużyny poprzez koczowanie na ich delikatnej trawie.

Tak nawiasem mówiąc, to radzę przywieźć ze sobą na Złot jakiś zapas jedzenia, np. kanapki i soś do picia, wszakże żywność może okazać się nie do zdobycia po przybyciu do Wszewilek. Tymczasem doskonale każdemu wiadomo, że nic tak doskonale nie smakuje jak piknik jedzony na trawie w pięknej wiejskiej scenerii.

#E3.3. Przybycie do Milicza i potem Wszewilek autobusem albo tylko na jeden dzień, albo też na dwa dni z noclegiem w którymś z hoteli lub ośrodków wyszczególnionych w punkcie #E2 powyżej, zwiedzanie atrakcji najpierw Milicza a potem Wszewilek poprzez przejście piechotą szlaków opisanych w punktach #D2.4, #D3.3, #D2.2, oraz #D3.1 tej strony, oraz odjazd do domu pociągiem ze stacji kolejowej Milicza lub autobusem z dworca autobusowego Milicza:

Opcja ta jest zalecana, jeśli nie dysponuje się samochodem a stąd korzystało się będzie z transportu publicznego, zaś z rozeznania rozkładów jazdy lub czasów przyjazdu wynika, że koniecznym będzie zanocowanie gdzieś co najmniej przez jedną noc - nie chce się jednak, lub nie może, nocować pod namiotem. W takim przypadku rekomenduję przyjechać autobusem do Milicza, zakwaterować się w jednym z milickich hoteli lub ośrodków wyszczególnionych powyżej w punkcie #E2, zwiedzić sobie szlak z punktu #D2.4 tej strony, przenocować do następnego dnia w Miliczu w jednym z miejsc wyszczególnionych w owym punkcie #E2 powyżej, zaś następnego dnia przejść i zwiedzić szlaki #D3.3, #D2.2, oraz #D3.1 w odwrotnym do opisanego w #D2.1 i #D2.3 kierunku wędrówki, poczym albo powrócić do Milicza na jeszcze jeden nocleg zanim uda się w drogę do domu, albo też od razu wrócić do domu pociągiem z milickiej stacji kolejowej. Albo alternatywnie, po przyjeździe dostać się jakoś z dworca autobusowego Milicza do milickiego dworca kolejowego (piechotą zajmuje to około 40 minut spaceru - odległość wynosi bowiem około 2 km), potem zaś przejść szlakami w opisanej w #D2 kolejności, znaczy najpierw przejść szlakiem z punktu #D2.1, potem szlakiem z #D2.2, w końcu zaś szlakiem z punktu #D2.3 i ewentualnie z #D2.4 - jeśli wcześniej go nie przeszliśmy, w końcu zaś wrócić do domu też autobusem z dworca autobusowego Milicza.

* * *

Oczywiście, istniało będzie nieco więcej opcji zwiedzania Wszewilek i Milicza. Przykładowo, można tam przyjechać na kilka dni, zaś zwiedzanie tak sobie rozłożyć, aby zwiedzić praktycznie wszystkie interesujące miejsca opisane na stronach o wsi Wszewilki oraz o mieście Miliczu. Jednak te dalsze opcje stanowiły będą jedynie następne kombinacje dla opcji opisanych powyżej. Można więc sobie je łatwo zaplanować właśnie na podstawie powyższych opcji.

Część #F: Podsumowanie, oraz informacje końcowe tej strony:

#F1. Podsumowanie tej strony:

"Cudze chwalicie, a swego NIE znacie". Ta stara mądrość ludowa Polski nabiera szczególnego znaczenia po zapoznaniu się z treścią niniejszej strony.

#F2. Proponuję okresowo powracać na niniejszą stronę w celu sprawdzenia dalszych postępów w organizacji wiedzania Wszewilek i Milicza:

W celu śledzenia jak dalej będzie się rozwijała sprawa internetowego organizowania zwiedzania Wszewilek i Milicza warto okresowo powracać do niniejszej strony. Z definicji strona ta będzie bowiem podlegała dalszemu udoskonalaniu i poszerzeniom, w miarę jak ewentualny wysiłek ochotników, a także nadchodząca fala ich przyszłych zabiegów organizacyjnych, zdołają wpłynąć na postęp w organizacji opisywanego tu zwiedzania tych miejscowości. Jeśli więc w przyszłości zechcesz czytelniku dowiedzieć się jakie najnowsze informacje dodano do tej strony na temat owego zwiedzania, wówczas odwiedź tą stronę ponownie. Ja bowiem będę systematycznie aktualizował jej zawartość, w miarę jak rozwój sytuacji przysporzy jakichś wydarzeń lub informacji wartych zaraportowania.

Warto także okresowo sprawdzać blog totalizmu o adresie totalizm.blox.pl/html (z jego lustrzaną kopią dostępną pod adresem totalizm.wordpress.com). Na blogu tym bowiem wiele zdarzeń omawianych na tej stronie naświetlane jest dodatkowymi informacjami spisywanymi w miarę jak zdarzenia te się rozwijają przed naszymi oczami. Ponieważ jednak blog ten jest intensywnie sabotażowany, w przypadku gdyby jednak nie dało się go otworzyć warto sprawdzić co nowego na jego temat wyjaśnione zostało w punkcie #D2 strony FAQ - częste pytania.

Odnotuj, że czytelnicy mogą sobie załadować do własnego komputera replikę niniejszej strony internetowej (z jej ilustracjami), tak jak to zostało wyjaśnione na stronach FAQ - częste pytania lub replikuj dostępnych przez "Menu 1" i "Menu 2". (Aby sobie załadować tą replikę, wystarczy w "Menu 1" kliknąć na pozycję źródłowa replika tej strony. Odnotuj jednak, iż jeśli po takim kliknięciu replika się sama nie ładuje, to zapewne oznacza że albo na danym serwerze/witrynie replika ta NIE mogła zostać udostępniona zainteresowanym np. z powodu ograniczeń pamięci serwera, albo też że ktoś właśnie zasabotażował możliwość jej sprowadzania. W takim wypadku należy zmienić serwer używając adresów podanych w "Menu 4" lub "Menu 3", a następnie spróbować replikę tą załadować sobie z następnego serwera.)

#F3. Jak dzięki stronie "skorowidz.htm" daje się znaleźć totalizyczne opisy interesujących nas tematów:

Cały szereg tematów równie interesujących jak te z niniejszej strony, też omówionych zostało pod kątem unikalnym dla filozofii totalizmu. Wszystkie owe pokrewne tematy można odnaleźć i wywoływać za pośrednictwem skorowidza specjalnie przygotowanego aby ułatwiać ich odnajdowanie. Nazwa "skorowidz" oznacza wykaz, zwykle podawany na końcu książek, który pozwala na szybkie odnalezienie interesującego nas opisu czy tematu. Moje strony internetowe też mają taki właśnie "skorowidz" - tyle że dodatkowo zaopatrzone w zielone linki które po kliknięciu na nie myślą natychmiast otwierają stronę z tematem jaki kogoś interesuje. Skorowidz ten znajduje się na stronie o nazwie skorowidz.htm. Można go też wywołać z "organizującej" części "Menu 1" każdej totalizycznej strony. Radzę aby do niego zaglądnąć i zacząć z niego systematycznie korzystać - wszakże przybliża on setki totalizycznych tematów które mogą zainteresować każdego.

#F4. Emaille i dane kontaktowe autora tej strony:

Aktualne adresy emailowe autora tej strony, tj. dra inż. Jana Pajaka (a przez okres 2007 roku - Prof. dra inż. Jana Pajaka), pod jakie można wysyłać ewentualne uwagi, zapytania, lub odpowiedzi na zadane tu pytania, podane są na stronie internetowej o mnie (Dr Jan Pajak). Tam również dostępne są adres pocztowy i numery telefonu autora.

Proszę też odnotować, że z powodu mojego chronicznego deficytu czasu, ja bardzo niechętnie odpowiadam na emaille, które zawierają TYLKO wykonawczo czasochłonne prośby, jednocześnie zaś dokumentują zupełną ignorancję ich autora w tematyce którą ja badam.

#F5. Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak:

Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak. Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza

strona stanowi raport z wyników badań jej autora - tyle że napisany jest on popularnym językiem (aby mógł być zrozumiany również przez czytelników o nienaukowej orientacji). Idee zaprezentowane na tej stronie są unikalne dla badań autora i dlatego w tym samym ujęciu co na tej stronie (oraz co w innych opracowaniach autora) idee te uprzednio NIE były jeszcze publikowane przez żadnego innego badacza. Jako taka, strona ta prezentuje idee które stanowią intelektualną własność jej autora. Dlatego jej treść podlega tym samym prawom intelektualnej własności jak każde inne opracowanie naukowe. Szczególnie jej autor zastrzega dla siebie intelektualną własność odkryć naukowych i wynalazków opisanych na tej stronie. Zastrzega więc sobie, aby podczas powtarzania w innych opracowaniach jakiegokolwiek idei zaprezentowanej na niniejszej stronie (tj. jakiegokolwiek teorii, zasady, dedukcji, interpretacji, urządzenia, dowodu, itp.), powtarzająca osoba oddała pełny kredyt autorowi tej strony, poprzez wyraźne wyjaśnienie iż autorem danej idei i/lub badań jest Dr Jan Pająk, poprzez wskazanie internetowego adresu niniejszej strony pod którym idea ta i strona oryginalnie były opublikowane, oraz poprzez podanie daty najnowszego aktualizowania tej strony (tj. daty wskazywanej poniżej).

* * *

If you prefer to read in English
click on the flag
(Jeśli preferujesz język angielski
kliknij na poniższą flagę)

Data założenia tej strony internetowej: 12 maja 2006 roku.
Data jej najnowszego aktualizowania: 25 marca 2011 roku.
(Sprawdź pod adresami z "Menu 3" czy już istnieje nawet nowsza aktualizacja!)

ULUBIONE MIASTA AUTORA

Niniejszy rozdział C zawiera strony prezentujące "ulubione miasta autora". Ponieważ zaś autor wiele podróżował i często zmieniał miejsca swego zamieszkania, takich ulubionych miast jest wiele. Dlatego, niestety, nie wszystkie z nich mogą być opisane na stronach autora. Niemniej te najbardziej pamiętne i najbardziej ulubione, są opisane w tym rozdziale.

Powinienem tutaj dodać, że do ulubionych miast autora należy także miasto Christchurch z Nowej Zelandii, w którym autor jest "wprost zakochany". Niestety, autor przebywał zbyt krótko w Christchurch aby móc przygotować o nim całą stronę. Dlatego Christchurch jest jedynie wspomniany marginalnie na kilku innych stronach autora, np na stronie o nazwie "seismograph_pl.htm" - która opisuje następstwa trzęsienia ziemi jakie zniszczyło owo miasto, czy na stronie "przepowiednie.htm" - która opisuje następstwa nadprzyrodzonego objawienia z Christchurch, że w 1999 roku miasto to będzie odwiedzone przez "Drugiego Jezusa".

Podrozdział C1:

Ciekawostki i zagadki miasta Milicz z południowo-zachodniej Polski

Witam na stronie internetowej o ciekawostkach, zagadkach i tajemnicach dolnośląskiego miasta Milicza i jego okolicy!

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Cel niniejszej strony:

Niewielu ludzi na świecie kiedykolwiek słyszało o mieście Miliczu. A szkoda. Aby więc naprawić owo ich niedopatrzenie, niniejszym dostarczam kilka podstawowych wiadomości o ciekawostkach, zagadkach i tajemnicach owego niezwykłego miasta Milicza.

Część #B: Kilka wstępnych informacji o niniejszej stronie:

#B1. Na przekór tego co zagraniczne "chwalipięty" nam wmawiają, najbardziej niezwykłym miejscem w świecie jest to w którym my się urodziliśmy - tyle że najpierw sami musimy odkryć jego niezwykłość:

Kiedy byłem młodym chłopcem, zawsze posądzałem że wszystko to co najbardziej niezwykle i podniecające ukrywa się w dalekich krajach. Wszakże owe dalekie kraje mają orzechy kokosowe, wulkany, trzęsienia ziemi, gejzery, rekiny, ogromne kwiaty i motyle, egzotyczne tancerki, itd., itp. U nas zaś typowy orzech to leszczyna, ziemia się trzęsie tylko kiedy przejeżdża towarowy pociąg, zaś córka sąsiada owszem tańczy, ale jej poruszenia są dalekie od egzotyczności. Potem jako już dorosła osoba sam odwiedziłem owe dalekie kraje i doznałem rozczarowania. Okazało się bowiem że mizerny smak orzechów kokosowych NIE daje się nawet porównać ze wspaniałym smakiem naszej leszczyny, że wulkany typowo wybuchają tylko kiedy my nie możemy ich obserwować, że trzęsienia ziemi rujnują domy i zabijają ludzi - stąd znacznie lepiej kiedy następują gdzieś daleko od nas, że niemal cała gorąca woda z gejzerów już od dawna jest kierowana do generowania elektryczności zaś to co w ich miejscu pokazuje się odwiedzającym nie daje się odróżnić od małego czajnika elektrycznego sekretnie zakopanego do ziemi przez przedsiębiorczy szczerp miejscowych krajowców, że rekiny tylko na filmach przyrodniczych wyglądają przyjaźnie, że tropikalne kwiaty i motyle wcale nie są większe ani piękniejsze niż te z naszego kraju, oraz że europejskie pożywienie którym obecnie opychają się egzotyczne dancerki czyni je zbyt otyłe aby warto było inwestować w super-drogie bilety na ich występy. Jednocześnie się okazało, że najstarsze budynki z owych dalekich krajów zwykle liczą nie więcej niż 100 lat, zaś typowo ludzie mieszkają tam w domach z przemokłej dykty, że zwykle wyjście do kina, teatru, czy operetki w owych dalekich krajach jest niemal taką samą ekspedycją jak wyprawa do bieguna ziemi, że poza kilkoma nieco odmiennymi roślinami i krajobrazami nie ma tam nic ciekawego do oglądania, itd., itp. Po odkryciu zaś tego wszystkiego, zaczyna z wolna docierać do naszej świadomości, że starzy ludzie faktycznie mówili prawdę - mianowicie że najbardziej interesujące i niezwykle miejsce na Ziemi jest zawsze to w którym my się urodziliśmy. Tyle tylko że aby to odkryć, typowo najpierw musimy zabrnąć aż do "końca świata".

Aby więc dać każdemu szansę na wczesne odkrycie jak niezwykłym i egzotycznym miejscem jest to w którym się urodziliśmy, poniżej opiszę miasto Milicz. Wszakże dla każdego kto umie czytać po polsku, nawet jeśli w nim się NIE urodził ciągle

miasto to leży "w sąsiedztwie" i zawsze łatwo daje się odwiedzić - a stąd wypełnia definicję "rodzinne strony". Ciekawostką tego opisu jest, że przygotowałem go kiedy sam już mieszkałem właśnie na owym "egzotycznym końcu świata". Innymi słowy, stwierdzając że Milicz jest naprawdę niezwykłym miastem, owo stwierdzenie bazuję na empirycznych doświadczeniach osobistych "z pierwszej ręki", a nie np. na jakichś teoretycznych spekulacjach które kiedyś dawało się wyczytać w jakimś propagandowym podręczniku.

#B2. Jak powstała niniejsza strona:

Niniejsza strona powstała kiedy zdałem sobie sprawę że wartość opowieści i ciekawostek folklorystycznych o Miliczu jest niemal taka sama jak wartość faktów naukowych o owym mieście. Praktycznie to oznacza, że to co niniejsza strona prezentuje, stara się tylko wiernie oddać i zilustrować co różni ludzie opowiadali o Miliczu, co twierdzili o owym mieście, czy też w co wierzyli na jego temat. (Wszakże np. w dawnych czasach nie było telewizorów, stąd w długie zimowe wieczory ludzie zabawiali się najróżniejszymi opowiadaniem. Z powyższego warto zdawać sobie sprawę, bowiem nawet kiedy strona ta powtarza to co komuś było wiadome z całą pewnością, ciągle do owej informacji mogły wkraść się różne błędy spowodowane niedoskonałością ludzkiej pamięci.) Strona ta NIE stara się też nawet dociekać czy udowodniać, na ile to co w niej powtórzone jest prawdą, ani jaką wartość faktologiczną, historyczną, czy naukową to posiada. Ponadto, sama natura prezentowanych tutaj informacji powoduje, że nawet jeśli któraś z owych opowieści folklorystycznych zawiera wyłącznie historyczną prawdę, w chwili obecnej prawdopodobnie nie jest możliwe naukowe dowiedzenie jej absolutnej poprawności. Sprawę oceny poziomu prawdy w zaprezentowanych poniżej opisach pozostawiam więc dyskusji czytelników.

#B3. Strona ta jest tylko jedną z całego szeregu stron o moich rodzinnych stronach:

Niniejsza strona jest jedną z aż kilku kolejnych stron które opracowałem na temat ciekawostek i zagadek moich rodzinnych stron, czyli okolic wsi Stawczyk pod Miliczem. Opiszę więc poniżej najważniejsze z owych stron (kliknij na ich "zielone, podkreślone linki" aby do nich się przenieść).

Przykładowo, opracowałem też specjalną stronę o nazwie [wszewilki_jutra.htm](#) jaka zawiera propozycję i plany kilku relatywnie tanich przedsięwzięć, których efektywność sprawdzona już została w działaniu na innych miastach świata, a które w przypadku zrealizowania przez władze Milicza, rozpędziłyby Milicz, Wszewilki, Stawczyk i Sławoszewice w kierunku przyszłej zamożności i rozkwitu. Na owej stronie polecam też punkt #J3 - w którym opisałem wygląd wsi Stawczyk jaki oglądałem sobie podczas podróży "wehikułem czasu" do Stawczyka z dalekiej przyszłości - prawdopodobnie z 2222 roku.

Ponadto istnieje też strona o nazwie ["wszewilki_milicz.htm"](#), która stawia sobie za cel internetowe koordynowanie zwiedzania miasta Milicza i pobliskich wsi Wszewilki i Stawczyk. Strona ta stara się informować czytelników w jaki sposób, jakimi szlakami, oraz w jakich terminach najlepiej zwiedzać historyczne miejsca i ciekawostki miasta Milicza oraz pobliskich wsi Stawczyk, Wszewilki, oraz Sławoszewice. W Menu strona ta występuje pod nazwą "Wszewilki-Milicz" (kliknij na jej nazwę aby ją sobie otworzyć).

Moją rodzinną wieś podmilicką o nazwie Stawczyk opisałem dokładniej na odrębnej stronie o fizycznej nazwie [stawczyk.htm](#). Szczególnie polecam tam uwagę punkty #F2 i #F3. Opisałem w nich bowiem nadprzyrodzone zdolności polskich węży (a także innych stworzeń o nadprzyrodzonych mocach) - jakie nadal NIE są znane oficjalnej nauce, zaś o jakich istnieniu przekonałem się właśnie w Stawczyku. Stawczyk warto też poznać dokładniej ze względów historycznych. Prawdopodobnie jest on bowiem pozostałością po jednej z najstarszych wsi polskich.

Jedną z wsi najbliższych do Stawczyka, z której Stawczyk faktycznie został wydzielony dopiero w 1875 roku, jest wieś o nazwie Wszewilki. Wszewilki też opisałem na odrębnej stronie o fizycznej nazwie [wszewilki.htm](#). Szczególniej uwadze na tamtej stronie polecam punkt #E1 w którym opisałem tajemnicze prześladowania jakim wieś ta była poddawana przez całe wieki. Dopiero relatywnie niedawno odkryłem i opisałem aż na kilku

stronach internetowych (np. patrz punkt #H1.6 na stronie [newzealand_visit_pl.htm](#) czy "część #G" na stronie [eco_cars_pl.htm](#)), że takim właśnie prześladowaniom poddawane są wszelkie "intelektu grupowe" które mają w przyszłości dołożyć coś ogromnie istotnego do postępu i dorobku całej ludzkości.

Część #C: Prapoczątki Milicza:

#C1. Milicz jako produkt uboczny "bursztynowego szlaku":

W starożytności, dwie najważniejsze drogi naszej planety nazywane były "szlakiem jedwabnym" oraz "szlakiem bursztynowym". Szlak jedwabny był transkontynentalną drogą która łączyła kraje śródziemnomorskie z Chinami. Natomiast szlak bursztynowy był transeuropejską drogą która łączyła kraje śródziemnomorskie z wybrzeżem Bałtyku. Jedną z odnóg owej ogromnie ważnej transeuropejskiej arterii komunikacyjnej prowadziła z Wrocławia do Milicza, dalej zaś przez Gniezno do Gdańska oraz do wybrzeży Bałtyku. Bursztyn okazuje się więc być ową dynamiczną substancją miasto-twórczą, której dzisiejszy Milicz zawdzięcza swoje powstanie i ewolucję do obecnej postaci. W dawnych czasach bursztyn stanowił wszakże ogromnie poszukiwany towar. Kupcy z południa Europy i z Północnej Afryki wybierali się w okolice obecnego Gdańska aby go nabyć. Przy tym droga którą wówczas podążali musiała być bardzo starannie dobrana. Mianowicie, musiała ona przebiegać przez tereny relatywnie wolne od łupieżców i wojowniczych plemion. Musiała też posiadać gościnną osadę ludzką co około jeden dzień podróży wolnym zaprzęgiem konnym, tak aby kupcy ci mogli bezpiecznie zatrzymać się tam na noc. Ową starannie dobraną, relatywnie bezpieczną drogę, po której przemieszczały się wówczas karawany kupieckie przewożące bursztyn, a także najróżniejsi długodystansowi podróżni, z czasem nazwano bursztynowym szlakiem. Choć z biegiem czasu bursztyn stopniowo utracił swoją rolę stymulatora handlu, pojawiły się wówczas nowe towary i nowe polityczne powody, jakie zmuszały ludzi do podróżowania pomiędzy północą i południem Europy. Pomimo więc, że upływało wiele wieków, "bursztynowy szlak" pozostawał najważniejszą lądową arterią komunikacyjną Europy, przez którą przemieszczały się całe masy ludzi i towarów. Ku ogromnemu szczęściu mieszkańców Milicza, jedno z odgałęzień tej ogromnie ważnej i uczęszczanej arterii przebiegało właśnie przez ich miasto. (Jednym z bardziej przekonujących dowodów że "bursztynowy szlak" faktycznie przebiegał kiedyś przez Milicz, jest relatywnie częste znajdowanie w czasach mojej młodości zwietrzałych wyrobów bursztynowych wywodzących się ze starożytności. Pamiętam że w drugiej klasie szkoły podstawowej miałem kolegę, który przynosił do szkoły cały szereg starych wyrobów ze zwietrzałego bursztynu, jakie prawdopodobnie liczyły ponad 1000 lat. Bursztyn był w nich już bowiem tak zwietrzały, że stracił kolor, popękał, oraz stał się kruchy. Domyślam się, że ktoś z jego rodziny zapewne odkrył wówczas gdzieś w Miliczu jakiś starożytny "bursztynowy skarb" podobny do tego znalezionego w dzielnicy Wrocław-Partynice, a omówionego na stronie Wrocław z "Menu 1".) Milicz w dawnych czasach był położony bardzo dogodnie na owym szlaku bursztynowym. Oddalony był bowiem od Wrocławia dokładnie o dwa dni wędrówki piechotą czy jazdy w ciężkim wozie zaprzęgowym, lub o jeden dzień jazdy wierzchem lub szybką kareta wielokonną. W Miliczu zatrzymywały się więc na noc zarówno wolno-podróżujące, bo obciążone towarami karawany kupieckie, jak i szybcy podróżni wierzchem i w wielokonnych powozach. Stąd Milicz z czasem stał się rodzajem "miasta hotelowego" na bursztynowym szlaku. Dostarczał on podróżnym wszelkich usług hotelowych. Kupcy i przejezdni zatrzymywali się w nim na noc, odpoczywali, jedli, pili, uprawiali hazard, odwiedzali miejscowe prostytutki, handlowali, uzupełniali zapasy, naprawiali uszkodzone wyposażenie, grzebali swoich zmarłych w drodze, zaś w czasach kiedy chrześcijaństwo upowszechniło się w Europie - również modlili się w milickich kościołach o szczęśliwy przebieg ich dalszej podróży. (Po szczegóły owych milickich usług kościelnych i duchowych - patrz strona internetowa z "Menu 1" o kościele Św. Andrzeja Boboli.)

#C2. Historia miasta Milicza:

Przytoczmy teraz kilka danych na temat Milicza. Milicz jest małym miasteczkiem położonym na Dolnym Śląsku, czyli w południowo-zachodnim kącie Polski. Jak stwierdza informacja wystawiona w Izbie Regionalnej Milicza, Milicz jest bardzo starym miastem. Podobno na jego obecnym obszarze ślady osadnictwa ludzkiego pojawiły się już 7 000 lat p.n.e., czyli jeszcze w czasach przedhistorycznych. Pozostałości byłego grodziska piastowskiego z tamtego prehistorycznego okresu, lokalnie zwanego "Chmielnik", zlokalizowane są na prawym brzegu rzeki Barycz, pomiędzy Miliczem a dzisiejszymi wsiami Wszewilki-Stawczyk, czyli niedaleko od obecnej ulicy Milicza nazywanej "Krotoszyńska". Do rozmiarów sporego średniowiecznego miasta Milicz urósł już do 1136 roku, kiedy to po raz pierwszy wymieniony został na piśmie jako miasto, w tzw. "bulli dla arcybiskupa gnieźnieńskiego". Stanowił on wówczas ważny ośrodek handlowy i rzemieślniczy. Był też siedzibą starej piastowskiej kasztelanii na drodze z Wrocławia do Gniezna. Począwszy od XII wieku aż do połowy XIV wieku był własnością kapituły wrocławskiej. Potem, aż do roku 1492 Milicz znajdował się we władaniu książąt oleśnickich. Prawa miejskie Milicz otrzymał w 1323 roku. W XIV wieku zbudowany został w Miliczu duży zamek warowny, którego ruiny do dzisiaj ostały się w parku milickim. W 1339 roku Jan Luksemburski opanował ten zamek podstępem. W 1432 roku miasto zdobyli husyci. W XVIII wieku zamek warowny w Miliczu został spalony, aby nigdy nie być już odbudowanym. Do dnia dzisiejszego po zamku tym zostały tylko ruiny które można oglądać w milickim parku miejskim, a także niezliczone podziemne tunele, które dokładniej opisane zostaną w kilku odrębnych punktach tekstu tej strony. W 1742 roku Milicz został włączony do państwa Prus. W 1875 roku otrzymał połączenie kolejowe ze światem. W 1945 roku został ponownie przyłączony do Polski. Obecnie jest kwitnącym miastem oraz celem wizyt coraz liczniejszych wczasowiczów i turystów. Satelitarną fotografię dzisiejszego Milicza można zobaczyć na następującej stronie

internetowej
<http://maps.google.com/maps?ll=51.551406,17.286901&spn=0.026010,0.058545&t=k&hl=en>
 n. (Na fotografii tej zwróć uwagę na przebieg linii kolejowej biegnącej pionowo w pobliżu lewej krawędzi fotografii, a także przebieg koryta rzeki Barycz biegnącej poziomo w połowie wysokości tej fotografii. Odnotuj, że podobne zdjęcie satelitarne podmilickiej wsi Wszewilki dostępne jest ze strony internetowej o Wszewilkach.)

#C3. Liczba mieszkańców Milicza:

Dzisiejsza liczba ludności Milicza jest trudna do oszacowania. Wszakże obecne granice administracyjne Milicza nie pokrywają się z naturalnymi przerwami w osadnictwie ludzkim. W rezultacie, takie przedmieścia Milicza jak Wszewilki, Sławoszewice, czy Karlów, administracyjnie nie należą do Milicza, chociaż faktycznie dzisiaj stanowią z Miliczem jeden scalony system miejski. Oczywiście w dawnych czasach były one zupełnie odrębnymi osadami. Stąd dawne podliczenia zaludnienia Milicza są precyzyjniejsze. Zgodnie z książką "Na Ziemi Ojców - Rocznik Ziemi Zachodnich i Północnych" wydany w 1962 roku przez Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich, w 1761 roku Milicz miał 719 mieszkańców, w 1825 roku - 2207 mieszkańców, w 1914 roku - 3 374 mieszkańców, w 1936 roku - 4 816 mieszkańców, w 1945 roku, czyli natychmiast po wojnie - tylko 450 mieszkańców, zaś w 1960 roku - 6 333 mieszkańców (w tym 3 450 do wieku 25 lat). W 1993 roku Milicz liczył już 12 500 mieszkańców (dane z 6 tomowej "Nowej Encyklopedii Powszechnej", PWN, 1998 rok). Niemniej są to dane dla samego miasta Milicza, czyli do milickiej "starówki". Z kolei cały ów milicki kompleks miejski, obejmujący również scalone z Miliczem przedmieścia, w 2004 roku liczył zapewne około 30 000 mieszkańców. Oczywiście w obecnej dobie komputerów, braku książek telefonicznych, rozmywających się naturalnych granic pomiędzy osiedlami, oraz raptownych migracji ludności, jest ogromnie trudno utrzymać dokładną rachubę ilu właściwie ludzi mieszka w kompleksie Milicza. Wszakże najpierw należałoby dokładnie zdefiniować, gdzie właściwie kończy się strefa bezpośrednich wpływów miasta Milicza, co wcale nie jest takie łatwe.

Część #D: Ciekawostki Milicza:

#D1. Prehistoria Milicza, czyli Grodzisko Chmielnik:

Na prawym brzegu rzeki Barycz, w miejscu w którym owa rzeka formowała kiedyś niemal pełną pętlę, umiejscowiona jest siedziba prastarego grodziska z którego wyrósł dzisiejszy Milicz. Grodzisko to dzisiaj popularnie nazywane jest "Chmielnik". Najlepszy dojazd do niego jest drogą biegnącą równolegle do rzeki Barycz, a zaczynającą się od dzisiejszej ulicy Krotoszyńskiej. Grodzisko to znajduje się pomiędzy rzeką Barycz, wsią Wszewilki, ulicą Milicza zwaną "Krotoszyńska", oraz torami kolejowymi Milicz - Krotoszyn.

Informacja pisana jaką widziałem w milickiej Izbie Regionalnej podaje, że ślady osadnictwa znajdowane w obszarze dzisiejszego Milicza wykazują, iż osadnictwo to istniało tutaj już jakieś 7000 lat p.n.e. Jeśli owa informacja jest twardym faktem wywodzącym się z badań archeologicznych i z datowania np. metodą węgla radioaktywnego, wówczas czyni ona grodzisko Milickie faktycznie starsze od Biskupina, a nawet od niektórych piramid egipskich.

W celu poznania więcej szczegółów na temat prehistorii Milicza, warto jest odwiedzić milicką Izbę Regionalną (czyli coś w rodzaju małego muzeum milickiego). Jest ona zlokalizowana w najbliższym do miasta skrzydle pałacu Maltzanów, w którym w 2004 roku mieścił się milicki "Zespół Szkół Przyrodniczych". Owa Izba Regionalna opisana została w punkcie #D9 poniżej.

Fot. #D1: To zdjęcie zostało wykonane w lipcu 2004 roku z wierzchołka wału przeciwpowodziowego dzisiejszej rzeki Barycz. Obiektyw fotografującego aparatu skierowany był na północ. Zdjęcie pokazuje dzisiejszy wygląd prastarego grodziska "Chmielnik" z którego wywodzi się dzisiejszy Milicz. Owo grodzisko, to tamto koliste wyniesienie gruntu w samym środku zdjęcia, pod którym rosną dwa spore drzewa, zaś na którym widać pracujących archeologów (jeden z nich w białej koszuli). Zabudowania wioski widocznej poza grodziskiem na horyzoncie, to podmilicka wieś Wszewilki (tj. ta wieś, w której końcowej części o odmiennej nazwie Stawczyk ja się urodziłem w 1946 roku).

* * *

(Zauważ że można zobaczyć powiększenie każdej fotografii z niniejszej strony internetowej. W tym celu wystarczy zwykle kliknąć na tą fotografię. Ponadto większość tzw. browserów które obecnie są w użyciu, włączając w to popularny "Internet Explorer", pozwala na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększyć, a także gdzie ją można wydrukować za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.)

#D2. Przed-chrześcijańskie wierzenia na Ziemi Milickiej, czyli bóg Piorun (Władca Milicza):

Zanim chrześcijaństwo przyszło do Milicza, miejscowi Słowianie wierzyli w cały szereg bóstw pogańskich. Najważniejszym z nich był bóg Piorun ("Władca Milicza"), czyli wzbudzający strach lokalny bożek któremu składano ofiary. (Prawdopodobnie prawzorem dla niego był jakiś upadły moralnie UFO-nauta, który zasmakował w ukazywaniu się prymitywnym ludziom i w ich straszaniu.) Bożka tego, wyrzeźbionego w pojedynczym kawałku dębu i zachowanego do dzisiaj, zobaczyć można we wspomnianej wyżej milickiej Izbie Regionalnej. Jego zdjęcie pokazano na Fot. #D2. Fakt użycia drzewa dębowego dla wykonania rzeźby tego bożka, sugeruje że ów "Władca Milicza" najprawdopodobniej był dawnym słowiańskim bogiem zwanym "Piorun" (ten od popularnego powiedzenia ciągle używanego nawet obecnie na obszarze poznańskiego: "idź do Pieruna").

Fot. #D2: Jest to fotografia bożka pogańskiego, który w milickiej "Izbie Regionalnej" wystawiony jest pod nazwą "Władcy Milicza". Niewiele obecnie wiadomo na jego temat, poza faktem że był on kiedyś przedmiotem pogańskiego kultu w pobliżu dzisiejszego

Milicza. Ja osobiście posądzam, że reprezentuje on słowiańskiego bożka zwanego "Piorun", oraz że w czasach pogańskich oryginalnie umieszczony on był pod prastarym dębem zlokalizowanym w miejscu pogańskiego kultu kiedyś uprawianego na obszarze byłego cmentarza z Wszewilek. Cmentarz ten oraz uprawiany na nim kult bożka "Pioruna" (opisywanego również jako "Pierun") omawiane są w punktach #C2 i #L2 na stronie internetowej o wsi Wszewilki. Przesłanka do owego posądzenia, że prawdopodobnie jest to właśnie bóg "Piorun" z obszaru kultowego we Wszewilkach, jest po pierwsze fakt, że figura ta wyrzeźbiona została z jednego kawałka drzewa dębowego, w skali 1:1 (czyli ma wielkość dorosłego człowieka). Dąb zaś dla starożytnych Słowian był właśnie świętym drzewem "zarezerwowanym" dla kultu boga Pioruna. Z kolei przesłanka, że bożek ten najprawdopodobniej pochodził z miejsca kultowego we Wszewilkach, jest fakt że w bliskim zasięgu od Milicza, poza Wszewilkami nie znajdowało się żadne inne miejsce poświęcone temu bożkowi. Warto tutaj dodać, że w czasach sporządzania niniejszego opisu nie dokonano jeszcze datowania tej rzeźby metodą węgla radioaktywnego. Niemniej po stopniu jej zesterzenia się można się domyślić że liczy ona ponad 2000 lat. To zaś zgadzałoby się z przybliżonym datowaniem owego miejsca kultowego, dokonany w punkcie #C2 na stronie o Wszewilkach.

#D3. Milicki zamek warowny:

W drugiej połowie 14-go wieku, książęta Oleśnicy wzniesli w Miliczu zamek warowny. Był on budowany w stylu gotyckim. Otaczała go fosa i gruby mur obronny. W jego środku znajdował się owalny dziedziniec ze studnią. Zamek ten został spalony w czasie wojen husyckich. W 16 wieku został on odbudowany, jednak tym razem z ornamentyką renesansową. W 1797 roku zamek ten częściowo spłonął ponownie. W następstwie tego pożaru, jego ówczesni właściciele, rodzina Maltzanów, zniechęcona nieustannymi pożarami i koniecznością odbudowy, zamiast go ponownie odbudowywać, zbudowała w jego pobliżu odrębny pałac który istnieje do dzisiaj - patrz fotografia #D8. Natomiast zamek stopniowo popadł w ruinę. Szczególnie szybko degenerował się on po drugiej wojnie światowej. Pamiętam bowiem z czasów swojego dzieciństwa (tj. z lat 1950-tych), że jego ruiny były w nieporównanie lepszym stanie niż znajdują się one dzisiaj.

Fot. #D3: Ruiny milickiego zamku warownego. Można je zobaczyć w dzisiejszym parku milickim, niedaleko od obecnego Zespołu Szkół Przyrodniczych.

W latach 1960 do 1964, kiedy to ja uczęszczałem do Liceum Ogólnokształcącego w Miliczu, powyższe ruiny warownego zamku milickiego ciągle znajdowały się w relatywnie dobrym stanie. Co więc odważniejsi z moich kolegów mogli buszować po komnatach, ukrytych przejściach i podziemiach tego zamczyska. Szczególnie podniecający był wówczas fakt, że w ruinach owego zamku ciągle wtedy dostępne było wejście do podziemnych tuneli i lochów, które prowadziły od owego zamku aż w kilku odmiennych kierunkach. Z kolei w lochach tych, zgodnie z licznymi opowieściami, miały być zamurowane pradawne skarby. Lochy te dosyć dokładnie egzaminował Zbyszek - słynny tropiciel tajemnic, oraz mój kolega licealny ze starszej klasy i sąsiad z tej samej wioski Wszewilki. Jak być może niektórzy starsi mieszkańcy Milicza ciągle pamiętają, Zbyszek odkrył w tych tunelach jakiś skład starych broni oraz zbroi rycerskich, po których przybraniu straszył spacerowiczów w parku. W końcu ubranego w pełną zbroję rycerską i dźwigającego ciężki miecz milicja zdołała pochwytać i przemaszerowała przez całe miasto zanim na posterunku zdołała go przekonać aby zaniechał dalszego straszenia ludzi. Z tego co o tunelach i lochach podmilickich mówiło się w czasach mojej nauki w liceum, to jeden taki tunel wiódł z milickiego zamku warownego do pałacu margrabiów Maltzanów, potem zaś do grobowca margrabiiego. Inny tunel wiódł do podziemi ratusza milickiego oraz do kilku piwnic w starówce samego Milicza. Jeszcze inny wiódł pod Baryczą aż do Stawca, gdzie wychodził na powierzchnię przy tamtejszych źródłach wody pitnej dla pałacu margrabiiego. Ów tunel do Stawca łączył się też z tunelem od zamku Sapiechów w Cieszkowie, zaś wychodził na powierzchnię w lasach przycieszkowskich (patrz fotografia

#D5a). Jego część z pobliza Cieszkowa została odgradzona murem od reszty i wykorzystywana była przed drugą wojną światową jako dojrzewalnia gorzałek i wina. W chwili obecnej wylot z tego tunelu służy jako schronienie dla nietoperzy (pokazany on jest na fotce #D5a z niniejszej strony internetowej).

#D4. Średniowieczne studnie zamkowe – sekretne drzwi do wolności:

Dawne zamki warowne miały to do siebie, że w na wypadek oblężenia budowały one liczne podziemne tunele i lochy, z których wyjścia znajdowały się ukryte w lasach wiele kilometrów od danego zamku. Warowny zamek milicki wcale nie był wyjątkiem w tym względzie. W różnych kierunkach świata prowadziły od niego liczne tunele podziemne. Sporo z tych tuneli ciągle znajdowało się w stanie używalności już po drugiej wojnie światowej. Pamiętam, że sporo moich kolegów szkolnych poszukiwało w nich skarbów.

W średniowiecznych czasach wejście do tuneli podziemnych zwykle ukryte było w studni jaka standardowo znajdowała się na dziedzińcu zamkowym. Nawet do dzisiaj wiele studni zamkowych posiada owe wejścia do podziemnych tuneli. Przykładowo, wejścia takie znajdują się w studniach na: (1) zamku wysokim w Malborku (tej z rzeźbą pelikana), (2) zamku w Otmuchowie na południe od Wrocławia (od owej studni zamku w Otmuchowie tunele biegną aż do twierdzy w Kłodzku), a także (3) zamku w Gniewie - patrz fotka #D4. Faktycznie też ruiny zamku warownego w Miliczu także posiadały na dziedzińcu taką studnię z wejściem do lochów. Resztki tej studni ciągle istniały w czasach kiedy ja uczęszczałem do szkoły podstawowej.

Jeden z bardziej znanych z tych tuneli podziemnych wychodzących od zamku warownego w Miliczu miał wylot w lasach niedaleko Cieszkowa. Wylot ten pokazano na zdjęciu 5a poniżej.

Fot. #D4: Studnia zamkowa z pokrzyżackiego zamku Gniew z Północnej Polski. Fotografia wykonana w lipcu 2004 roku. Osoba sfotografowana to ja (dr Jan Pająk). Patrząc do owej studni z miejsca z którego ja do niej zaglądam, wyraźnie widać w niej wejście do lochów i podziemi zamkowych. Z kolei owe lochy zawsze posiadały conajmniej jedno wyjście położone w lasach daleko poza obrębem murów zamku.

Ciekawostką lochów które zaczynają się w powyższej studni zamku w Gniewie, jest że w lochach tych zginęło całe mnóstwo zamurowanych w nich lub więzionych skazańców. Jak stwierdza miejscowa fama, duchy niektórych z tych więźniów pokutują w owym zamku do dzisiaj. Duchy te stanowią nawet atrakcję turystyczną owego zamku. Właśnie jako taka miejscowa atrakcja, owe gniewskie duchy zostały zaprezentowane w artykule [LOT-1] "Castle holidays - wakacje z zamkami", opublikowanym na stronach 64 do 72 dwujęzycznego miesięcznika pokładowego Polskich Linii Lotniczych LOT SA, "Kaleidoscope", vol. 69 nr 7, wydanie z lipca/July 2004 roku (adres redakcji: Wydawnictwo Business Press, Al. Jerozolimskie 125 A, 02-017 Warszawa, Poland).

#D5. Tajemnicze lochy i tunele pod Miliczem:

Dla zwykłego przechodnia z ulicy, miasteczko Milicz niczym się nie wyróżnia. Tymczasem gdyby ziemia stała się przezroczysta, zapewne wszystkim zatkało by oddech. Pod Miliczem kryje się bowiem jeszcze jedno tajemnicze miasto, mające formę całego labiryntu podziemnych tuneli. Jak każde średniowieczne miasto, Milicz miał cały system tuneli kryjących się w jego podziemiach. Tunele te były też naprawiane i utrzymywane w stanie używalności aż do zakończenia drugiej wojny światowej. Dopiero po drugiej wojnie światowej ludzie stopniowo o tunelach tych niemal całkowicie zapomnieli. Dlatego do dzisiaj zapewne popadły one w całkowitą ruinę.

Labirynt podziemnych tuneli pod Miliczem wywodzi się aż z dwóch źródeł. Pierwszym z nich były potrzeby obronne średniowiecznego miasta Milicza, oraz jego warownego zamku. Potrzeby te opisałem już powyżej. Istnieją jednak pod Miliczem i inne tunele, jakie wcale nie wywodzą się z okresu średniowiecza. Do oryginalnych bowiem tuneli zbudowanych w średniowieczu przez gospodarzy warownego zamku milickiego, w terminie

późniejszym dodane zostały dodatkowe tunele ziemne zbudowane przez rodzinę margrabiów - posiadaczy pałacu w Miliczu. Faktycznie to rodzina margrabiów Maltzanów lubowała się w budowaniu nowych i remontowaniu starych tuneli ziemnych pod Miliczem. Budowali oni i remontowali tunele jakie wiodły od ich pałacu w praktycznie wszystkich kierunkach. Ostatni z takich nowych tuneli zbudowany został już na początku 20 wieku. Wiół od grobowca margrabiiego do jego pałacu (tunel ten opisany jest w punkcie #D7 poniżej). Z co bardziej sławnych tuneli ziemnych budowanych przez rodzinę Maltzanów, najpowszechniej znane były cztery. Ten zbudowany najpóźniej z nich, wiół od ich pałacu do grobowca margrabiiego (ruiny tego grobowca pokazane są na Fot. #D7). Inny wiół od ich pałacu do kościoła ewangelickiego pokazanego na Fot. #D29. Jeszcze inny wiół od pałacu do folwarku w Stawcu (wyjście z owego tunelu ciągle istniało w latach 1958 i 1959, kiedy uczęszczałem do klasy szóstej i siódmej szkoły podstawowej w Stawcu - znajdowało się ono w pobliżu tamtejszego ujęcia wody pitnej dla pałacu w Miliczu). Kolejny tunel wiół od pałacu do podziemi zamczyska milickiego, gdzie łączył się z systemem średniowiecznych tuneli jakie od dawna istniały pod owym zamczyskiem.

Jeden z bardziej znanych z średniowiecznych tuneli ziemnych wiodących z zamku warownego w Miliczu miał swój wylot w lasach niedaleko Cieszkowa. Dzisiejszy wygląd tego wylotu pokazałem na zdjęciu 5a obok. Inny taki tunel ziemny wiół od zamku warownego w Miliczu do milickiej starówki. Pod samą starówką milicką tunel ten rozgałęział się na cały szereg tuneli. Kilka z tych tuneli zaraz po wojnie ciągle posiadało otwarte wyjścia prowadzące do piwnic milickich kamieniczek. Potem jednak wyjścia te zostały zamurwane. Jeden z owych tuneli wiół do piwnic milickiego ratusza i ciągle był dostępny na początku lat 50-tych, zanim ruiny owego ratusza zostały uprzątnięte zaś wejścia do jego głębokich piwnic zostały zawalone i przykryte ziemią. Tunele te łączyły też ze sobą podziemia wszystkich trzech kościołów milickich (patrz opisy z punktu #D29).

Fakt że pod Miliczem istnieje cały labirynt ziemnych tuneli, kryje w sobie niewykorzystany potencjał dla tego miasteczka. Tunele te wszakże można otworzyć, wzmocnić, oświetlić, oraz udostępnić dla turystów jako miejscową atrakcję turystyczną. Wszakże w podobny sposób swoje ziemne tunele udostępniło turystom miasteczko Kłodzko. W roku 2004 tunele pod Kłodzkiem dostarczały w ten sposób stałego zatrudnienia i źródła dochodu dla co najmniej 10 osób. Milicz ciągle nie rozważył możliwości otwarcia dla turystów swoich tuneli. Jeśli jednak to uczyni, z całą pewnością te średniowieczne tunele i ich szokujące tajemnice staną się istotną atrakcją Milicza i dostarczą stałego źródła utrzymania dla co najmniej kilku osób.

Fot. #D5(a): Wylot ze starego tunelu ziemnego, ukryty w lesie niedaleko Cieszkowa. Dla oddania jego wielkości, przy wyjściu z niego stoję ja (tj. dr inż. Jan Pająk) oraz moja żona. Dawni ludzie opowiadali, że tunel ten oryginalnie łączył się z warownym zamkiem w Miliczu. Jednak przed drugą wojną światową jego końcową część oddzielono murem od reszty, wykorzystując ją jako dojrzewalnię alkoholi dla miejscowej gorzelnii z Cieszkowa. W chwili obecnej tunel ten ustanowiony został jako rezerwat nietoperzy. Wejście do niego pozostaje trwale zamknięte i niedostępne dla publiczności.

* * *

Fot. #D5(b): (Kliknij na pokazany tu zielony guzik linku do aby wywołać, powiększyć i oglądać niniejszą ilustrację. Po instrukcję powiększania i przemieszczania ilustracji - kliknij na guzik .)

Ilustracja "Fot. #D5(b)" pokazuje wygląd typowego ziemnego tunelu z okresu średniowiecza. Powyższy tunel dostępny jest dla zwiedzających w Kłodzku. Wejścia do niego znajdują się przy kłodzkim ratuszu oraz pod twierdzą kłodzką. Jest on dobrze oświetlony, zabezpieczony przed zabłądzeniem, oraz pełen średniowiecznych eksponatów, warty więc zobaczenia - gorąco zachęcam. Cały labirynt średniowiecznych tuneli bardzo podobnych do powyższego znajduje się również pod Miliczem. Tyle że mało kto wie o ich istnieniu. Być może warto rozważyć udostępnienie ich dla zwiedzających, podobnie jak to uczyniło Kłodzko. Wszakże dostarczyłoby to Miliczowi dodatkowej atrakcji, nie wspominając

już o źródle zarobku i utrzymania dla całego szeregu ludzi.

* * *

Fot. #D5(c): (Kliknij na pokazany tu zielony guzik linku do aby wywołać, powiększyć i oglądnąć niniejszą ilustrację. Po instrukcję powiększania i przemieszczania ilustracji - kliknij na guzik "instrukcja użycia" podaną pod "Fot. #D5(b)" i "Fot. #D31".)

Ilustracja "Fot. #D5(c)" pokazuje wygląd resztek szkieletu skazańca uwięzionego w celi tunelu w Kłodzku. Podziemne tunele z okresu średniowiecza często służyły również jako więzienia w których zakuwano skazańców na zawsze. Do skazańców tych nikt potem już nie zaglądał, tak że po prostu umierali tam z głodu, braku wody i światła. Podobne średniowieczne podziemne cele więziennicze znajdują się w tunelach pod Miliczem.

#D6. Zamurowanie żywcem jako przykład średniowiecznego potraktowania:

W średniowieczu jedna z popularniejszych metod uśmiercania polegała na zamurowywaniu żywcem lub wrzucaniu żywych ludzi do bezokiennej wieży w której jedyny istniejący otwór znajdował się w suficie. Najlepszym przykładem takiej wieży w której zginęło dosłownie setki ludzi, jest słynna "wieża głodowa" w Paczkowie - patrz "Fot. #D6b". (Paczków jest małym miasteczkiem w południowej Polsce, położonym kilkadziesiąt kilometrów na południe od Wrocławia.) Owa średniowieczna wieża z Paczkowa pozostawała zamurowana do około lat 1950-tych, kiedy to miejscowe władze miejskie postanowiły przebić ją aby poprowadzić przez nią chodnik. (Chodnik ten, oraz wmurowaną w ową wieżę jakby bramę przez którą chodnik ten poprowadzono, widoczne są na "Fot. #D6b". Po przebicciu okazało się, że całą objętość tej wieży zajmowała bezokienna komora z małym włazem w suficie. Komorę tą zaś zapełniały dosłownie setki ludzkich szkieletów zalegających ją na wysokość kilku metrów. Okazało się, że średniowieczne władze Paczkowa wrzucały do tej wieży przez owo jedyne okienko w suficie każdego kto im jakoś podpadł. Po wrzuceniu zaś do wieży ludzie ci po prostu umierali z głodu, pragnienia i braku światła. Oczywiście, inne średniowieczne miasta wcale nie były lepsze. Przykładowo, w podziemiach miasta Kłodzka wyeksponowana jest zwiedzającym cela więzienna z kościotrupem. W celi tej uwięziono kogoś, poczym "zapomniano" go karmić czy uwolnić.

Cele podobne do tej z katedry w Kwidzynie, "wieży głodowej" w Paczkowie, czy z podziemi w Kłodzku, czyli cele przeznaczone dla grzebania czy zamurowywania ludzi żywcem, istniały również w podziemiach warownego zamku w Miliczu, oraz w podziemiach średniowiecznego Milicza. Tyle tylko, że ludzie którzy w nich umierali nie zwrócili niczym na siebie uwagi społeczeństwa. Dlatego obecnie nikt nie wie o ich losie.

* * *

Fot. #D6(a): (Kliknij na pokazany tu zielony guzik linku do aby wywołać, powiększyć i oglądnąć niniejszą ilustrację. Po instrukcję powiększania i przemieszczania ilustracji - kliknij na guzik "instrukcja użycia" podaną pod "Fot. #D5(b)" i "Fot. #D31".)

Fotografia z ilustracji "Fot. #D6(a)" pokazuje celę w której zamurowana została żywcem Błogosławiona Dorota z Małowów (1347-1394). Sfotografowana w czerwcu 2004 roku. (Oczywiście, obecne sprzęty zawarte w tej celi nie istniały tam w czasach zamurowania. W celach używanych do zamurowywania żywcem, zwykle nic nie było poza uwięzioną w nich osobą, oraz poza żelaznymi uchwytami w ścianach do przykuwania kajdanów.) Pokazana powyżej cela znajduje się w Katedrze w Kwidzynie. Jedynym przewinieniem Błogosławionej Doroty było, że pokazywali się jej UFOanci, zaś ona raportowała władzom te swoje spotkania z niezemskimi istotami. W dzisiejszych czasach zamiast być zamurowaną żywcem, raczej pisałaby ona książki o spotkaniach z UFOautami i o wizytach na planetach UFOautów.

Fot. #D6(b) (T1 z [10]): Tzw. "wieża głodowa" z Paczkowa na południu Polski. To właśnie do tej wieży średniowieczne władze Paczkowa wrzucały ludzi którzy jakoś im podpadli. Wieża ta nie miała wogóle okien, poza małym wrzutem o rozmiarach człowieka umieszczonym w środku jej sufitu. Stąd każdy skazaniec wrzucony do niej szybko umierał z braku wody, jedzenia i światła. Kiedy w latach 1950-tych przebito się do tej wieży aby

poprowadzić przez nią chodnik widniejący na powyższym zdjęciu, zalegały ją setki szkieletów ludzi wrzuconych kiedyś do niej aby w niej umarli. W tym miejscu warto sobie uświadomić, że ludzie zapewne nie popełnialiby tego typu zbrodni, gdyby Ziemia nie znajdowała się w mocy "symulacji" szatańskich UFOonautów, którzy bez ustanku napuszczają jednych ludzi na drugich.

#D7. Grób margrabiego Maltzan'a:

Moja matka często opowiadała mi o pogrzebie margrabiego milickiego, który to pogrzeb miał miejsce w czasach jej młodości. (Jak sobie oszacowałem, zapewne gdzieś około roku 1920.) Pogrzeb odbył się z ogromną pompą. Uczestniczyły w nim delegacje z praktycznie wszystkich folwarków margrabiego, w tym moja matka i jej rodzice. Margrabia był bowiem właścicielem dokładnie 99 folwarków rozsianych naokoło Milicza i Żmigrodu. Liczba ta posiadała swoje uzasadnienie nie w jego zamożności, a w polityce. Zgodnie bowiem z ówczesnym prawem pruskim, ten kto posiadał 100 folwarków, lub więcej, zobowiązany był do wystawienia i utrzymania na własny koszt całego pułku wojska na służbę władcy Prus. Posiadanie więc "tylko" 99 folwarków stanowiło ówczesny sposób unikania dodatkowych podatków na rzecz władcy.

Margrabia milicki pochowany został w grobowcu który sobie sam z góry przygotował. Ciekawostką tego grobowca było, że wiódł od niego podziemny tunel wprost do pałacu margrabiego. Jak mówiono, margrabia nawet po śmierci chciał nadzorować własny pałac. Od pałacu do grobowca prowadziła aleja wysadzona dębami, wiodąca przez park pałacowy. Jednak sam grobowiec nie znajdował się w obrębie parku, a poza szosą wiodącą z Milicza do Sułowa. Dęby rosły przy owej alei jeszcze w czasach kiedy uczęszczałem do liceum - zaś sam grobowiec ciągle znajdował się wówczas w relatywnie dobrym stanie, aczkolwiek był już pusty. Jednak kiedy w 2004 roku ponownie odwiedziłem ten grobowiec aby wykonać zdjęcie 7, dęby już były powycinane, zaś po samym grobowcu zostały już tylko ruiny.

Fot. #D7: Resztki grobowca margrabiego Maltzan'a które zachowały się pod Miliczem. Zdjęcie wykonane w lipcu 2004 roku. To właśnie z tego grobowca wiodło kiedyś połączenie podziemnymi tunelami z pałacem margrabiów w Miliczu. Tunel ów zapewne istnieje do dzisiaj, chociaż wejście do niego jest już zawałone.

#D8. Pałac margrabiów w Miliczu:

Począwszy od XIII wieku, zarządcy i właściciele Milicza zamieszkiwali w warownym zamku milickim opisanym powyżej. Jednak zamek ten zlokalizowany był w miejscu o złym feng shui (patrz jeden z punktów poniżej). Bez przerwy więc płonął lub był burzony. Dlatego po kolejnym pożarze w 1797 roku, kiedy zamek ten ponownie częściowo spłonął, ówcześni właściciele zamku postanowili już go nie odbudowywać, a raczej przenieść swoją siedzibę do pobliskiego miejsca o znacznie lepszym "feng shui". Wybudowali więc sobie pałac zaledwie kilkaset metrów od zamku. Pałac ten miał dobre "feng shui" i opierał się z powodzeniem historycznym burzom. Istnieje on do dzisiaj w swoim oryginalnym miejscu, Jego zdjęcie pokazane jest obok - patrz fotka #D8.

Milicki pałac margrabiów zbudowany jest w stylu klasycystycznym. Położony on jest w środku ogromnego parku o powierzchni 48 hektarów, przed drugą wojną światową słynącego na całą Europę ze wspaniałych rododendronów i azalii. Park ten kiedyś cały otoczony był wysokim murem i płotem. Od miasteczka Milicz do pałacu wjeżdżało się przez dwie bramy. Pierwsza z tych bram stała tuż za ostatnimi budynkami miasta, czyli na miejscu w którym kiedyś znajdowała się zachodnia brama wejściowa przez mury obronne Milicza. Druga z bram do pałacu była ozdobną bramą wjazdową, zbudowaną w 1844 roku według projektu Leonarda Schatzela. Jako budulca dla owej bramy użyto materiału (tj. tzw. "rudy darniowej") pozyskanego z ostatniego fragmentu średniowiecznych murów obronnych jaki zachował się w Miliczu aż do owego czasu. Faktycznie więc owa brama symbolizowała sobą rozebrane wówczas mury Milicza. Co ciekawsze, wierzchołek tej bramy wieńczyła

ogromna rzeźba lwa, której oryginał znajdował się kiedyś na wierzchołku ufortyfikowanej bramy wrocławskiej w murach milicza (tj. bramy z towarzyszącą jej wieżą, która znajdowała się przy dzisiejszym mostku przez "Młynówkę" - na południowym wylocie ulicy ze starówki Milicza. Jednak około lat 1980-tych nawet ta brama została rozebrana. Pozostał po niej do dzisiaj jedynie niewielki cokół, na jakim ciągle stoi owa stara rzeźba lwa. Cokół ten to wszystko co do dzisiaj pozostało po oryginalnych murach obronnych Milicza (patrz też fotografia #D27b). Jego fotografię wykonaną w lipcu 2004 roku zobaczyć można na rysunku "Fot. #D4" ze strony internetowej o podmilickiej wsi Wszewilki.

Milicki pałac margrabiów gościł w sobie wiele znakomitości. Przykładowo wiadomo, że w 1813 roku w pałacu tym przebywał car Aleksander I.

Fot. #D8: Pałac margrabiów w Miliczu. Zdjęcie z lipca 2004 roku. Obecnie ma w nim siedzibę Zespół Szkół Przyrodniczych. W jego prawym skrzydle, kiedyś przeznaczonym dla służby pałacowej (niewidocznym na tym zdjęciu), znajduje się milicka Izba Regionalna, czyli miniaturowe muzeum Milicza opisane w punkcie #D9 poniżej. To właśnie do tego pałacu wiódł podziemny tunel z grobowca margrabiiego pokazanego na zdjęciu #D7.

#D9. Izba Regionalna z Pałacu w Miliczu:

Milicz posiada zaczątki własnego muzeum. Jest ono maleńkie, narazie posiada raczej niewiele eksponatów, otwarte jest w ograniczonych godzinach, jednak stanowi już zaczątek tego, co miejmy nadzieję w przyszłości przekształci się w tak potrzebne Miliczowi prawdziwe muzeum. Aby uniknąć kłopotów spowodowanych ograniczeniami biurokratycznymi nakładanymi na prawdziwe muzeum, swoje miniaturowe muzeum Milicz nazywa Izbą Regionalną. Moje brawa dla Milicza za tą ogromnie potrzebną inicjatywę.

W tym miejscu powinienem przypomnieć, że w latach 1953-1958, Milicz ciągle posiadał dosyć wspaniałe niby-muzeum, którego eksponaty znacznie przewyższały sobą jakość tego, co później oglądałem w wielu muzeach z prawdziwego zdarzenia, oraz tego co dzisiaj oferuje milicka Izba Regionalna. Nie jest mi jednak wiadomo, czy coś z niego przetrwało do dzisiaj. To stare niby-muzeum milickie nie posiadało własnego lokalu, a mieściło się w gablotach którymi obstawione były ściany w każdym korytarzu ówczesnej Szkoły Podstawowej Nr 1. (Sporo eksponatów, szczególnie stare mapy, plansze, globusy, oraz przyrządy astronomiczne, trzymane były też wówczas w przystrzychowym pokoiku składowym owej szkoły, który mieścił się na końcu schodów po zachodniej stronie szkoły. Niestety, w 1957 roku pokój ów zamieniono na klasę, w której między innymi uczyłem się i ja. Nasze ławki otoczone wówczas były bezcennymi, bo historycznymi globusami, mapami, planszami, przyrządami astronomicznymi, które obecnie stanowiłyby perły każdego muzeum. Szczególnie utkwiała mi w pamięci do dzisiaj stara plansza przedstawiająca atak jakiegoś plemienia pigmejów, na inne plemię którego "długi dom" znajdował się w konarach ogromnego drzewa tropikalnego.) W owych gablotach Szkoły Podstawowej Nr 1 mieściły się setki najróżniejszych muzealnych eksponatów, które w czasach międzywojennych oraz w 19 wieku zapewne używane były jako pomoce dla nauki, jednak które po drugiej wojnie światowej posiadały już tylko wartość muzealną. Najwięcej wśród nich było najróżniejszego starego sprzętu optycznego, starych astronomicznych przyrządów obserwacyjnych, a także najróżniejszych maszyn elektrycznych i mechanicznych. Doskonale wyposażone też były gabloty mineralogiczne i przyrodnicze. Przykładowo z okazów mineralogicznych pamiętam fragmenty lawy wulkanicznej, której w Polsce się nie uświadczy i którą w naturze widziałem dopiero w Nowej Zelandii. Doskonała też była kolekcja mineralogiczna z naturalnymi kryształami o różnym pochodzeniu geologicznym i odmiennych kolorach. Było też sporo skamienielin - np. pamiętam że widziałem tam sporo skamieniałych żyłtek wyglądających jak duże ślimaki z kamienia (zapewne znajdowane one były lokalnie gdzieś w okolicach Milicza). Z kolei w gablotach przyrodniczych znajdowały się najróżniejsze ciekawe okazy skorupki i owocników, szkieleciki, zakonserwowane i wypchane stworzenia (np. węże) i fragmenty ich organów, fragmenty rafy koralowej, dziwne muszle, kolekcje motyli i ciem, itp.

Doskonale do dzisiaj pamiętam, że w czasach szkolnych oglądanie owych

eksponatów stanowiło dla mnie ulubioną rozrywkę podczas przerw szkolnych przy deszczowej pogodzie. Nie tylko ono uczyło i ilustrowało, ale też doskonale pobudzało wyobraźnię i nakłaniało do marzeń. Przykładowo to właśnie tam widziałem po raz pierwszy w życiu skorupkę z orzecha kokosowego. (W czasach gdy ja chodziłem do szkoły podstawowej, kokosa w Polsce to nikt nawet na lekarstwo nie uświadczył. Opowiadania więc że gdzieś w dalekim świecie istnieje orzech wyglądający jak laskowy, jednak mający wielkość głowy ludzkiej, potrafiły naprawdę pobudzić wyobraźnię.) Skorupka ta zainspirowała u mnie marzenia o czasach kiedy będę podróżował po dalekich tropikalnych wyspach, gdzie takie kokosy rosną, objadając się nimi do woli. (Wyobrażałem sobie wówczas, że orzechy kokosowe są jedynie większą wersją dobrze mi znanych orzechów laskowych, oraz że utrzymują one doskonały smak rodzimej leszczyny.) Marzenie to potem częściowo się wypełniło, bowiem faktycznie często podróżuję po tropikalnych wyspach gdzie rosną kokosy. Często też pijam się wodą z młodych orzechów kokosowych, którą bardzo lubię. Jednak nie jem mięszo kokosowego, bo jakoś mi nie smakuje. (Wolę objadać się naszymi orzeszkami laskowymi, lub owocem malezyjskiego "Duriana", który to Durian jest oficjalnie uważany za najsmaczniejszy owoc świata - po szczegóły patrz moja strona internetowa fruit_pl.htm - o owocach tropiku.)

* * *

Fot. #D9: (Kliknij na pokazany tu zielony guzik linku do aby wywołać, powiększyć i oglądnąć niniejszą ilustrację. Po instrukcję powiększania i przemieszczania ilustracji - kliknij na guzik "instrukcja użycia" podaną przy "Fot. #D5(b)" i "Fot. #D31".)

Ilustracja "Fot. #D9" wyjaśnia historię początków Kasztelanii Milickiej, opisaną na bannerze z Izby Regionalnej w Miliczu. Zdjęcie z lipca 2004 roku.

Milicka Izba Regionalna zlokalizowana jest w prawym skrzydle byłego pałacu Maltzanów, w którym w 2004 roku siedzibę miał Zespół Szkół Przyrodniczych.

W lipcu 2004 roku, owa Izba Regionalna w Miliczu otwarta była w każdą środę, czwartek i piątek, w godzinach od 8 rano do 12:30. Wstęp był bezpłatny.

* * *

Milicz desperacko potrzebuje własnego muzeum (takiego z prawdziwego zdarzenia) oraz własnej informacji turystycznej. (Jest przy tym istotne aby obie te instytucje umiejscowione były w jednym i tym samym budynku zlokalizowanym w pobliżu centrum miasta.) Wszakże muzeum zaopatrywałoby mieszkańców Milicza w poczucie przynależności i indywidualności. Z moich obserwacji w podróżach po świecie wynika, że mieszkańcy miejscowości jakie posiadają własne i dobrze zaopatrzone muzea, zawsze są bardziej samoświadomi, bardziej związani uczuciowo, oraz bardziej dumni ze swojego miasta, niż mieszkańcy miejscowości bez muzeów. Pozatym przybyszom takie muzeum oferowałoby szybkie i ilustratywne poznanie historycznych korzeni tego miasta. Z kolei informacja turystyczna powiadamiałaby przybyszy co interesującego można zobaczyć w Miliczu i okolicy, organizowałaby im noclegi, wyżywienie i wycieczki, wskazywałaby środki transportu, itp.

Z pośród wielu modeli na jakich takie milickie muzeum z prawdziwego zdarzenia mogłoby być oparte, moim zdaniem najlepszy byłby model nowozelandzki. W modelu tym muzeum oferuje wszystkim wstęp wolny od opłat (tj. nie stosuje biletów), a ponadto oferuje liczne aktywne atrakcje jakie bawią i uczą (np. przeżycie jak się czuje podczas trzęsienia ziemi, w kopalni, we wnętrzu lodowca, czy we wnętrzu ziemi, historyczne lub naukowe pokazy, próbki pod mikroskopami i urządzenia testowe dostępne dla zwiedzających, itp.). Oferuje też nieodpłatne usługi, w rodzaju informacji historycznej i turystycznej, pokazów, odczytów, wykładów, biblioteki, itp. Pieniądze zaś na utrzymanie muzeum zarabiane są NIE poprzez bilety, a otrzymywane z dotacji lokalnych władz, a także uzyskiwane poprzez zlokalizowaną w muzeum restaurację, sklep z pamiątkami, oraz odpłatne imprezy rozrywkowe jakie organizowane są w wydzielonych pomieszczeniach muzeum (tj. restauracja, sklep, oraz owe imprezy płać muzeum za wynajęcie pomieszczenia i za prawo do otwarcia w obrębie muzeum). Stąd muzea w Nowej Zelandii są zawsze pełne, bowiem zarówno mieszkańcy miasta, jak i przybysze wiedzą, że mogą tam się wybrać aby miło i tanio spędzić wolne chwile. Każdy więc idzie do muzeum kiedy tylko ma chwilę

wolnego czasu. Z kolei sklepiki i restauracje w tych muzeach zawsze mają doskonały business, generując więcej funduszy niż generowałyby ich bilety wstępu. Z kolei miejscowe władze nigdy nie żałują tam pieniędzy na dotacje dla swoich muzeów, bowiem wiedzą, że muzea te przyciągają turystów do ich miejscowości. Wszakże jeśli w danej miejscowości jest dobrze zaopatrzone i warte oglądnięcia muzeum, wówczas przejezdni zatrzymają się w tym mieście na noc, dostarczając klientów miejscowym hotelom, sklepom, restauracjom, oraz przedsiębiorstwom usług turystycznych. Tam zaś gdzie brak jest muzeów, nikt z przejezdnych nawet się nie zatrzymuje, bo i po co.

#D10. Ukryta symbolika, czyli wymowa rzeźby w pałacu milickim:

Powszechnie małżeństwa z miłości to wynalazek końca 20-wieku. W dawnych czasach ludzie nie pobierali się z miłości - w większości przypadków małżeństwa były dla nich aranżowane. Ciągle zresztą pozostają one aranżowane w wielu krajach dzisiejszego świata, przykładowo w Indiach, a także w krajach otaczających Indie takich jak Pakistan, Bangla Desh, czy Sri Lanka. W danych czasach szczególnie zakorzenione było aranżowanie małżeństw wśród ludzi bogatych. Wszakże chodziło o to, aby ich partnerzy w małżeństwie posiadali podobnie wysoki majątek.

Oczywiście, fakt że owe aranżowane małżeństwa pozbawione były miłości, w połączeniu z faktem że zamieszkiwały one w pałacach lub zamkach w których mężczyzna był zwykle władcą absolutnym, prowadziły do najróżniejszych psychoz, anomalii, wypaczeń i zwyrodnień. To właśnie z niego bierze się przykładowo "studnia niewiernych żon" z zamku Czocho na południu Polski, opisana na stronie 70 w artykule [LOT-1] referowanym w punkcie #D4 powyżej. W studni tej właściciele zamku zwykli byli topić swoje żony, jeśli padło na nie posądzenie, że są one niewierne. Ostatnią żonę utopiono tam w 1792 roku. To z tej właśnie tradycji wywodzi się król angielski, Henryk VIII, którego najważniejszym wkładem do historii było zamordowanie całego szeregu swoich żon. Echa owego barbarzyńskiego traktowania żon zawarte są także w klasycznej literaturze polskiej. Przykładowo, każdy zapewne zna klasyczny wierszyk Adama Mickiewicza "Golono, Strzyżono", który w żartobliwy sposób opisuje jak małoznacząca sprzeczka małżeńska usiłująca ustalić czy ich psa strzyżono czy golono, doprowadziła do tego, że mąż w końcu utopił swoją żonę w stawie (a owa uparta żona nawet wówczas "Wytknęła tylko dwa palce, I na odpowiedź palcami, Jakby dwiema nożycami, Mężowi pod nosem strzyże."). To właśnie stąd się bierze popularny obecnie w Polsce idiom "strzyżone - golone" dla oznaczenia wszelkich bezsensownych sporów. Niektórzy ludzie wierzą, że to także z owego poematu bierze się słynny międzynarodowy znak "zwycięstwa za wszelką cenę" pokazywany poprzez podniesienie do góry dwóch palców otwartych jak nożyczki imitowane przez ową topioną (upartą) polską żonę. Tego typu postępowanie było "normalką" w dawnych czasach. Oczywiście, niekochane żony owych czasów odpłacały "pięknym za nadobne". Kiedy tylko wyczuwały, że ich mężowie zaczynają przemyśliwać o jakiejś wymówce aby je zgładzić, starały się uprzedzić tych mężów i zgładzały ich pierwsze. Najczęściej używały w tym celu trucizny. Tajemnice umiejętnego trucicia były w owych czasach przekazywane z matki na córkę i cenione jako najważniejsza wiedza życiowa. To właśnie stąd bierze się makabryczna tradycja królowych trucielek, z których najbardziej sławna prawdopodobnie jest Włoszka, Lucrezia Borgia. Także polska królowa Bona Sforza (1494 - 1557), żona Zygmunta Starego, znana była z kultywowania tych trucicielskich tradycji. Oczywiście, jeśli owe żony odnosiły sukces w wytruciu swoich mężów, wówczas to one stawały się absolutne władczynie swoich zamków.

Pałac milicki także posiada szczególny trybut dla owych "niekochanych żon". Jest nim pokazana na zdjęciu 10 obok rzeźba "milczącego wielbiciela", który od dziesięcioleci wpatruje się w okna sypialni "pani" tego pałacu. Ów spiżowy wielbiciel, który był "tylko" dziełem sztuki, stąd za posiadanie którego małżonki nie były topione ani rzucone lwom na pożarcie, był namiastką i substytutem prawdziwego wielbiciela, prawa do posiadania którego owe nieszczęsne bogaczki były całkowicie pozbawione.

Fot. #D10: Rzeźba "milczącego wielbiciela" wpatrującego się w okna sypialni "pani" pałacu margrabiów w Miliczu. Małżeństwa dla tak wysoko urodzonych były wówczas aranżowane przez rodziców. Pozbawione miłości bogate "panie" domu zadowalały się więc choćby znieruchomiałymi posągami wpatrującymi się w okna ich sypialni.

* * *

Chociaż właściciele pałacu w Miliczu starali się utrzymywać w tajemnicy swoje problemy rodzinne, wcale to nie oznacza, że problemy te tam nie istniały. Wszakże problemy te wynikały z epoki w której ci ludzie żyli oraz z warunków w jakich oni mieszkali. (Przykładowo, wynikały one m.in. z faktu że ówczesni mężczy mieszkańcy pałaców mieli do wyboru wszystkie te urodzive dziewczki służebne oraz młode chłopki z podległych im folwarków do których czasami mieli nawet tzw. "prawo pierwszej nocy". Nie bardzo więc ciągle im starczało energii i cierpliwości, aby zadbać o dobre samopoczucie i szczęście swoich własnych sfrustrowanych żon.) Podobnie więc jak w każdym innym pałacu z tamtej epoki, również i za oknami tego pałacu (szczególnie zaś za oknem w które wpatruje się ów "milczący wielbiciel") miało miejsce sporo niekochania, samotności, nienawiści, cierpień, intryg, otruc, śmierci, pokuty, itp. Podobnie też jak każdy inny stary pałac, również i ten pałac jest pełen duchów niekochanych lub odtrąconych żon, otrutych mężów, zamordowanych kochanków, itp.

* * *

Odnotuj ducha, widocznego w oknie sypialni w które wpatruje się ów "milczący wielbiciel". Powyższe zdjęcie utrwaliło w owym oknie jakąś białą postać wyglądającą na zewnątrz z wyraźnym zainteresowaniem. Postać tą dosyć dobrze widać, jeśli zdjęcie to się powiększy poprzez kliknięcie na nim myszą. (Warto tutaj wspomnieć, że w chwili fotografowania tego pałacu w wakacyjną niedzielę 4 lipca 2004 roku, nie było w nim nikogo. Ponadto, gdyby tłumaczyć tą postać jako "odbicie", wówczas na przekór ujęcia na tym samym zdjęciu również i kilku dalszych okien, w żadnym z nich nie jest widoczne jakiegokolwiek "odbicie".) Czyżby więc był to słynny duch margrabiego, o którym się mówi że "nadzoruje on pałac" wraz z cennościami ciągle ukrytymi w jego podziemiach. A może to duch którejś z nieszczęśliwych "pań" tego pałacu, które podczas życia sypiały właśnie poza oknami tej właśnie komnaty.

#D11. Pola bitew koło Milicza:

Okolice Milicza były miejscami kilku znaczących bitew w historii Polski i tych ziem. Największe z tych bitew miały miejsce w "Szwedzkiej Górce" pod Sułowem, a także w lasku "Konfederacji Barskiej" pod Cieszkowem. Ciekawostką owych podmilickich pól bitewnych jest, że faktycznie to nie były one jeszcze dokładnie przebadane przez archeologów. Stąd zapewne do dzisiaj kryją one w sobie resztki starych broni oraz pozostałości bitewnego hardware.

* * *

Istotna ciekawostka jaka rzuca się w oczy w polach bitewnych okolic Milicza, to że z jakichś obecnie ciągle jeszcze nie znanych nam dokładnie powodów, na ziemi istnieją obszary które zdają się "przyciągać" do siebie "złe" zdarzenia. W okolicach Milicza jeden z takich obszarów leży koło Sułowa. W niewielkiej odległości od siebie miały tam bowiem miejsce aż dwie duże bitwy (tj. w/w bitwa ze Szwedami, oraz nieco dawniej bitwa z Mongołami). Niedaleko też od nich znajdował się Hitlerowski obóz koncentracyjny.

Istnienie owych "złych" miejsc zaobserwować można nie tylko na przykładzie Sułowa. Kiedyś oglądałem angielski program telewizyjny o Aleksandrze Wielkim. W programie tym historycy także ilustrowali szokujące odkrycie, że niektóre obszary na Bliskim Wschodzie były polami aż wielu bitew w różnych okresach czasu, podczas gdy niemal identyczne do nich obszary leżące w ich pobliżu nigdy nie były polem bitewnym. Podobnie w Nowej Zelandii istnieją miejsca na prostych jak strzała i doskonale utrzymanych drogach, w których występują zgrupowania białych krzyży. (Krzyże te oznaczają miejsca gdzie ktoś zmarł w wypadku drogowym.) Jeśli zaś istnieje gdzieś takie złe miejsce na prostej i dobrej drodze, wówczas co jakiś czas zdarza się na nim śmiertelny

wypadek. Ja osobiście położenia takich "złych" miejsc wyjaśniam fluktuacjami pola grawitacyjnego, co dokładniej opisałem w podrozdziale 14.4 z tomu 5 mojej najnowszej monografii [1/5]. Z kolei Chińska wiedza o "feng shui" po prostu twierdzi o nich, że miejsca te mają "złe feng shui". Przykładowo takim "złym feng shui" cechuje się też miejsce na którym zbudowany był warowny zamek milicki opisany w punkcie #D3 powyżej. Zamek ten bowiem bez przerwy albo się palił albo był burzony.

Fot. #D11: Tzw. "Szwedzka Górka" pod Sułowem. W jej pobliżu miała miejsce duża bitwa pomiędzy wojskami szwedzkimi i polskimi. Obecnie niedaleko ówczesnego pola bitwy, na poboczu przebiegającej w pobliżu szosy z Sułowa do Milicza, postawiony jest krzyż i wymurowana tablica pamiątkowa - patrz powyższe zdjęcie.

#D12. Hitlerowski obóz koncentracyjny koło Sułowa:

Oczywiście, jak każde miejsce byłego państwa hitlerowskiego, także okolice Milicza posiadały swoje obozy dla więźniów i filie obozów koncentracyjnych. Najbardziej znany z tych obozów zlokalizowany był w lasach przy Sułowie. Nawet do dzisiaj można tam znaleźć pozostałości obozowych budynków. Niestety, nie jest mi wiadomo ilu dokładnie więźniów hitlerowcy uśmiercili w owym obozie, jakich byli oni narodowości, ani gdzie chowane były zwłoki tych co padli podczas pracy, a stąd których hitlerowcom nie chciało się już dowozić do obozowego krematorium.

Fot. #D12: Kluczowe składniki każdego obozu koncentracyjnego, tj.: bocznicą kolejową którą dowożono więźniów, komora gazowa, oraz kilkumetrowa ścieżka jaka wiodła od komory gazowej do krematorium. Stały one na końcu drogi życiowej dla milionów więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Powyższa komora gazowa sfotografowana została w czerwcu 2004 roku w obozie koncentracyjnym "Stutthof" położonym w północnej Polsce. Na przekór jej rozmiarów mniejszych od łazienek w niektórych dzisiejszych domach, pracowała ona niemal bez przerwy, uśmiercając setki tysięcy więźniów tego obozu masowej zagłady. Ruiny podobnej komory gazowej, jak również podobnego obozu koncentracyjnego, do dzisiaj przetrwały w lasach koło Sułowa (ok. 8 km na zachód od Milicza). Ogarniając ocean tragedii ludzkiej jaką obozy te zaserwowały naszej cywilizacji chce się krzyknąć: nigdy więcej! Niestety, pamięć ludzka jest taka krótka.

#D13. Groby lotników Commonwealthu:

Z kilku różnych powodów, ciała niektórych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych nie spalono w krematoriach, a je pochowano. W ten sposób na terenie Polski istnieje do dzisiaj sporo cmentarzy żołnierzy Commonwealthu. Mieszkając obecnie w Nowej Zelandii było dla mnie szokiem stwierdzić, że na cmentarzach tych leży pochowanych sporo Nowozelandczyków. Zwykle zginęli oni podczas pilotowania samolotów które bombardowały tereny zarządzane przez hitlerowców.

* * *

Czy i gdzie w Miliczu lub jego okolicach znajdują się groby lotników Commonwealthu, tego mi nie wiadomo. Wiem jedynie że gdzieś w Miliczu pochowanych jest kilku Rosjan, którzy upieczeni zostali żywcem w pierwszym czołgu radzieckim jaki wjechał na milicki rynek w końcowych dniach drugiej wojny światowej. Kiedyś nawet ktoś mi pokazywał ich grób, jednak do dzisiaj zapomniałem w jakim on leżał miejscu. Pamiętam jedynie że miejsce to nieco mnie wówczas zdziwiło - nie pasowało mi ono jakoś na miejsce wiecznego spoczynku żołnierzy radzieckich. (Więcej informacji o okolicznościach upieczenia żywcem owych radzieckich wyzwolicieli Milicza, podanych zostało w punkcie #C1 odrębnej strony o nazwie bitwa_o_milicz.htm.)

Fot. #D13: Cmentarz żołnierzy Commonweathu w Malborku (po niemiecku zwanym

"Marienburg"), w północnej Polsce. Wymowną, aczkolwiek niewielką część więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych stanowili żołnierze walczący z hitlerowcami, np. lotnicy zestrzeleni nad Niemcami. Koło Malborka, ci z owych lotników więzionych w słynnym stalag XXB (tj. podobnym do uwiecznionego w słynnym filmie "Wielka Ucieczka" - "The Great Escape"), których udało się zidentyfikować, mają specjalny cmentarz. Natomiast miejsca wiecznego spoczynku więźniów obozów z okolic Milicza nie są obecnie nawet znane. (Krótka wzmianka o potraktowaniu więźniów wojennych w okupowanym Miliczu zawarta jest na innej stronie o nazwie bitwa_o_milicz.htm.)

#D14. UFOnauci a Hitlerowcy, czyli rola UFO w przebiegu Drugiej Wojny Światowej:

Jak podaje to niemiecki folklor ludowy, Hitler miał jakoby być pupilkiem UFOonautów. Jasnowłosy UFOnauci z tzw. "Rasy Nordyckiej" ukazywali się mu regularnie, dzieląc się z nim pomysłami w rodzaju jak ma organizować obozy masowej zagłady, co ma uczynić z żydami, czy że rasa jasnowłosych blondynów jest rasą nadrzędną. Jednocześnie swoimi skrytymi metodami działania starali się mu dopomagać jak tylko mogli. Podobno jednym z ich posunięć było sprowadzanie na Niemcy doskonałej pogody w każdym dniu który Hitler ogłosił świętem. To właśnie z owego udoskonalania przez UFOonautów pogody dla Hitlera miało podobno się wziąć powiedzenie "pogoda Hitlera" dla opisanie niezwykle pięknych dni które zawsze panowały w Niemczech w dniach hitlerowskich świąt. Podobno Hitler bał się tych UFOonautów jak diabli, jednak ze strachu przed ich mocami dokładnie wykonywał każde ich polecenie. Jednocześnie nakazywał swoim służbom specjalnym aby poszukiwali podziemnego Królestwa Agharti, które - jak kłamliwie UFOnauci go poinformowali, zamieszkiwane jest przez UFOonautów. Osobiście Hitler też nadzorował rozwój latających dysków, czyli dyskoidalnych urządzeń latających które imitowały wehikuły UFOonautów.

Ze stwierdzeń owego folkloru zdaje się wynikać, że faktycznie wszelkie okropności które hitlerowcy popełniali na innych narodach, swój prapoczątek mogą brać w szatańskich radach i podszeptach UFOonautów. Nie powinno nas więc dziwić, że odczuwając postępowaniu Hitlerowców, UFOnauci do dzisiaj ogromnie się interesują dalszymi losami wszystkiego co Hitlerowcy stworzyli. To by tłumaczyło dlaczego wehikuły UFO często można obserwować jak lądują na terenach byłych obozów zagłady. To też by wyjaśniało dlaczego na indywidualnych UFOonautów można się natknąć we wszelkich hitlerowskich pozostałościach. Więcej informacji na temat powodów dla których UFOnauci tak są zainteresowani w niszczeniu ludzkości zawarty zostało na stronie internetowej ufo_pl.htm.

Fot. #D14: Jedno z licznych lądowisk UFO jakie pokrywają obszar obozu koncentracyjnego "Stutthof". Lądowiskiem tym jest niemal pełny okrąg telekinetycznie poczerńiałej trawy, w obrębie której widoczne są kapelusze małych grzybków. Okrąg ten widoczny jest w dolnej połowie powyższego zdjęcia. Widząc to lądowisko UFO, warto zadać sobie pytania co UFOonautów tak tam interesuje. Otóż, zgodnie z niemieckim folklorem, UFOnauci byli osobistymi doradcami Hitlera. Z tego powodu UFOnauci do dzisiaj ogromnie się interesują wszystkim co Hitlerowcy czynili, włączając w to hitlerowskie obozy koncentracyjne. Powyższe zdjęcie pokazuje jedno z wielu kolistych lądowisk UFO, które w dniu 29 lipca 2004 roku odkryłem i sfotografowałem na trawie hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Stutthof z północnej Polski. Inne zdjęcie lądowiska UFO z owego obozu pokazane jest poniżej na Fot. #D16.

Najwyraźniej UFOnauci badali długoterminowe konsekwencje tego obozu. Na powyższym zdjęciu na pierwszym planie wyraźnie widoczny jest fragment okręgu trawy o zmienionym kolorze. Owa trawa wyznacza obszar wypalony przez pole magnetyczne wehikułu UFO który zawisał w powietrzu właśnie nad tym miejscem. Ponieważ wehikuły UFO wiszą w powietrzu zwykle tak ustawione, że ich podłoga jest prostopadła do lokalnego przebiegu linii sił ziemskiego pola magnetycznego, podłoga tego wehikułu jest nachylona w stosunku do płaskiej ziemi. Dlatego owa trawa odkolorowana przez pole UFO ma kształt

półkola, a nie pełnego okręgu. Powyżej okręgu owej odkolorowanej przez pole UFO trawy, na powyższym zdjęciu widoczne są fundamenty baraku dla więźniów w ostatnim stadium wyniszczenia. Samego baraku już nie ma, bowiem jego deski zbutwiały przez wszystkie owe lata które minęły od czasów drugiej wojny światowej. Z kolei za fundamentami baraku widoczny jest szereg cementowych słupków ogrodzenia obozu (w czasach wojny pod napięciem), oraz najniższy fragment wieży wartowniczej obozu ustawionej już poza owym ogrodzeniem.

* * *

Formowanie takich lądowisk UFO jest dosyć złożonym procesem. Wynika on z używania silnego pola magnetycznego dla napędu UFO. Skrótowy opis jak działa magnetyczny napęd UFO zaprezentowany jest na stronie o magnokracie, a także w podrozdziale C1 z tomu 2 monografii [1/5]. Z kolei opisy jak pole magnetyczne UFO formuje lądowiska typu pokazanego na powyższej fotografii, zaprezentowane są w podrozdziale V5.1 z tomu 17 monografii [1/5]. W końcu cały szereg innych przykładów podobnych lądowisk UFO pokazany jest na rysunkach V1 do V3 z 2-giej porcji ilustracji do mojej najnowszej monografii [1/5] (ilustracje te można też oglądać na stronach internetowych starszej monografii [1/4] gdzie ilustrują one rozdział "O", np. na stronie: tekst_1_4_2.htm).

* * *

Szokująca jest liczba lądowisk UFO widocznych na trawie byłych obozów koncentracyjnych. Najwyraźniej szatańscy UFO-nauci lubują się w podziwianiu efektów swojego diabelskiego działania na Ziemi, oraz w sprawdzaniu na ile ludzie już zdolali się do nich upodobnić. Więcej danych o diabelskiej naturze i filozofii UFO-nauców zaprezentowanych zostało na stronie ufo_pl.htm, a także w podrozdziale V8.1 monografii [1/5].

#D15. Maskotki UFO-nauców czyli gryf z okolic Guzowic:

Kiedy byłem w ostatniej klasie Liceum Ogólnokształcącego, podczas jednej z wypraw w okolice Guzowic przy Cieszkowie, zaatakował mnie gryf. Tamten atak gryfa, jak również wygląd tego potwora, opisałem dokładnie w podrozdziale R4.2 z tomu 15 monografii [1/5], której nieodpłatne egzemplarze dostępne są za pośrednictwem stron internetowych wylistowanych w Menu 2. Zanim w środku nocy zmuszony byłem przejechać przez miejsce w którym ów gryf grasował, byłem wcześniej uprzedzony przez miejscowych, że potwór ten może tam na mnie czekać. To zaś oznacza, że ja wcale nie byłem jedynym człowiekiem który owego gryfa widział. Widzieć go w tamtej okolicy musiały też i inne osoby, aby ich opowiadania mogły stać się początkiem lokalnego folkloru na jego temat.

Niezależnie od powyższej mojej osobistej obserwacji milickiego gryfa, w czasach młodości słyszałem też kilka opowiadań o podobnym, a być może nawet tym samym, uskrzydłym potworze spotykanym w okolicach tzw. "drugiej tamy" na Baryczy. Owa druga tama położona była na wschód od Nowego Zamku. Gryf widywany był przez sporą liczbę ludzi na bezludnych łąkach jakie kiedyś znajdowały się w pobliżu owej tamy (w dół rzeki) na prawym brzegu Baryczy.

Ciekawostką gryfów jest, że aczkolwiek uważane one są za legendarne potwory które podobno nie istnieją, faktycznie od czasu do czasu są one widywane w najróżniejszych częściach świata. Przykładowo na fotce #D15 pokazana jest rekonstrukcja wyglądu gryfa, który w 2003 roku zaobserwowany był w Nowej Zelandii. Dokładny opis owego nowozelandzkiego gryfa zawarty jest na stronach internetowych o Nowej Zelandii wyszczególnionych w Menu 2, np. na stronie o nazwie newzealand_pl.htm. W dzisiejszych czasach gryfy najczęściej widywane są w Puerto Rico, gdzie nazywają je chupacabras.

Faktycznie gryfy to krwiopijne maskotki UFO-nauców, przywożone na Ziemię w statkach UFO-nauców i wypuszczane od czasu do czasu w bezludnych obszarach aby sobie zapolowały. W sensie swego pochodzenia są one zapewne produktami "inżynierii genetycznej". Ich anatomia wygląda bowiem jakby zostały one "poskładane" z genów kilku innych zwierząt, w tym z genów orła, oraz lwa lub pantery. Mają one bowiem wygląd małego lwa, jednak posiadają skrzydła i skaczą na tylnych nogach jak orzeł - tj. oboma nogami równocześnie. Gryf którego ja napotkałem w okolicach Guzowic pod Cieszkowem,

wyglądał właśnie jak taki mały lew ze skrzydłami. Był on koloru czarnego, zaś jego ciało posiadało wielkość i budowę psa rasy "rottweiler" (owa rasa psów w owym czasie wcale nie była znana w Polsce). Potwór ten zaatakował mnie, pozostawiając mi na prawej ręce trzy spore rany, po których blizny istnieją do dzisiaj.

Fot. #D15: Tak oto w Nowej Zelalii opisywano grasującego tam gryfa. Był on opisywany jako czarna pantera - po szczegóły patrz strona internetowa [newzealand_pl.htm](#). Jako rodzaj "kreatury podobnej do dużego czarnego kota" opisywany był również gryf widywany w angielskiej miejscowości Bodmin Moor w latach 1994 do 1996, oraz szeroko potem rozpropagowany po świecie w słynnej reklamie telewizyjnej dla kart kredytowych "Visa". Faktycznie jednak ja go pamiętam jako wyglądającego jak mały czarny lew. Taki właśnie potwór - maskotka UFOonautów zaatakowała mnie na drodze z Guzowic do Nowego Dworu (tj. na zachód od Cieszkowa, ok. 10 km na północ od Milicza). Opis owego ataku gryfa zawarty jest w podrozdziale R4.2 z tomu 15 monografii [1/5] udostępnianej nieodpłatnie za pośrednictwem stron internetowych wyszczególnionych w Menu 2.

Ponieważ gryfy widywano w towarzystwie UFOonautów, w dawnych czasach czczono je niemal religijnie. Dlatego gryfy występują na wielu herbach gdzie są symbolami władzy. Przykładowo herb Gdańska zawiera wizerunki dwóch gryfów, których niestety obecnie ludzie biorą za lwy. W dawnej symbolice heralnicznej (herbowej) gryfy zawsze przedstawiane były jako małe lwy stojące na tylnych łapach (często też z rozdwojonym językiem wystającym z ich jakby ptasiego pyska). Natomiast lwy przedstawiane były jako stojące na wszystkich czterech łapach.

#D16. Obserwacje UFO koło Milicza:

W okolicach Milicza dokonywane były, oraz ciągle są, liczne obserwacje UFO. Obserwacje te najczęściej następowały w okolicach miejsc gdzie znajdowały się tzw. "diabelskie kamienie", np. w okolicach Zemanowa, lub w okolicach kościółka Św. Anny pod Karłowem.

Ciekawostką owych obserwacji UFO jest, że zwykle ich fale pojawiają się w czasach które poprzedzają nadejście do Milicza określonej tragedii, np. huraganu, czy powodzi. Wygląda to tak, jakby to właśnie UFOnauci sprowadzali na ludzi ową tragedię swoją działalnością. Owa reguła obowiązywała zresztą również w historii. Przykładowo w średniowieczu tuż przed pojawieniem się zarazy, widywano UFOonautów - często jak ci coś rozsiewali nocami ponad zabudowaniami ludzkimi (dzisiaj byśmy powiedzieli, że UFOnauci rozsiewali zarazki danej choroby zakaźnej). Jak to zresztą wyjaśnione jest na stronie internetowej ludobójcy wszystko wskazuje na to, że to UFOnauci przygotowali ludzkości obecną zarazę tzw. "ptasiej grypy", a także zarazę "hiszpańskiej grypy" od której w 1918 roku umarło co najmniej 40 tysięcy ludzi (tj. więcej niż cała ludność Polski, a także więcej niż zginęło w pierwszej wojnie światowej). UFOnauci pasjonują się także ludzką krzywdą. Uwielbiają więc przykładowo parkować swoje wehikuly UFO na obszarach byłych obozów koncentracyjnych - co przy tym czynią w owych byłych obozach, tego nie jest nam wiadomo. W monografii [1/5] pokazany jest też dowód, że UFOnauci nadzorowali ukrzyżowanie Jezusa (patrz rysunek V7 w mojej najnowszej monografii [1/5]. Ponad krzyżem Jezusa zawisały bowiem aż dwa wehikuly UFO, jakich wizerunki do dzisiaj symbolicznie przypinane są do krzyży kościoła ortodoksyjnego. Ponownie wygląda więc na to, że to właśnie UFOnauci swoimi intrygami i hipnotycznymi nakazami napuścili starożytnych Izraelitów aby ci ukrzyżowali Jezusa, a potem UFOnauci nadzorowali z pokładu swoich statków czy ukrzyżowanie to faktycznie zostało zrealizowane. (Odnótuj, że ów rysunek V7 z monografii [1/5] pokazany jest również na stronach internetowych prawa moralne oraz prawda.)

Fot. #D16: Bardzo wyraźne koliste lądowisko UFO widoczne na trawie przed barakami dla nowoprzybyłych więźniów w obozie koncentracyjnym Stutthof z północnej Polski. Porównaj

powyższe lądowisko UFO, z innym lądowiskiem UFO także pochodzącym z obozu koncentracyjnego Stutthof, a pokazanym na Fot. #D14 powyżej. Lądowisko takie powstaje, kiedy wirujące pole magnetyczne produkowane w celach napędowych przez pędniki umieszczone naokoło obrzeża dyskoidalnego UFO, wypala trawę powodując zmiany jej koloru. Powodem dla którego widoczny jest tylko fragment okręgu odkolorowanej trawy, a nie pełny okrąg, jest że UFO z reguły latają z ich podłogą prostopadłą do linii sił lokalnego pola magnetycznego Ziemi. Stąd dyskoidalne UFO zwykle leci nachylone względem płaskiej ziemi, zaś pole magnetyczne tylko z części jego pędników umieszczonych na obrzeżu wehikułu dosięga ziemi i powoduje widoczne na zdjęciu wypalenie.

* * *

Odnotuj, że podobne lądowiska UFO często można spotkać na łąkach i trawnikach w okolicach Milicza. Milicz jest bowiem miejscem podwyższonej aktywności wehikułów UFO.

#D17. Modelowanie wehikułów UFO przez nasze kościoły:

Jak to wykazują badania UFO, elementy składowe niemal każdego starego kościoła na Ziemi zamodelowane są na kształt wnętrza UFO. Szczególnie dobrze jest to widoczne w starych kościołach, takich jak np. kościoły istniejące w Miliczu. Jedynie nowoczesne kościoły budowane w dzisiejszych czasach, stopniowo odchodzą od tej zasady imitowania wnętrza UFO. Każdy też szczegół konstrukcji i wyposażenia starych kościołów, modelowany jest na wzór wyglądu i wyposażenia wehikułów UFO. Oto wykaz najważniejszych składowych każdego starego kościoła, jakich wygląd imituje odpowiednie składowe UFO:

1. Ołtarze. Te imitują urządzenia sterownicze używane do kierowania lotem UFO.
2. Konfesje (patrz "Fot. #D17"). Te imitują pędnik główny UFO.
3. Kolumnady. Te imitują słupy pola magnetycznego wydzielanego przez pędniki

UFO.

4. Chrzcielnice. Te imitują komory oscylacyjne UFO.

Najwyższe jednak podobieństwo do UFO wykazuje ogólny kształt starych kościołów, oraz zagospodarowanie i wygląd ich wnętrza. I tak większość starych kościołów ma przynajmniej jedną kopułę, jaka imituje kopułę centralną w konstrukcji UFO. Wokół obrzeży tych starych kościołów zawsze obiega też jakaś kolumnada, jaka imituje pierścień kolumn z pędnikami bocznymi które rzucają się w oczy każdemu przebywającemu we wnętrzu UFO. Nawet zarysy owych kolumn zawsze imitują słupy pola magnetycznego przenikającego przez pędniki boczne UFO. Każdy stary kościół miał też wieżę z bulwiastymi wierzchołkami (np. patrz "Fot. #D29"). Te imitują cygara UFO mniejszego typu doczepione do pędników UFO większego typu. Więcej informacji na temat podobieństwa starych kościołów do UFO, znaleźć można w podrozdziale P6.1 z tomu 14 monografii [1/5].

W podobny sposób jak czynią to świątynie chrześcijańskie, UFO jest również imitowane przez meczety muzułmańskie. Szczególnie to widać w Istambule, gdzie każdy z tamtejszych meczetów przypomina latający system sprzęgnięty z szeregu wehikułów UFO.

Fot. #D17: W centrum najniższej części tego zdjęcia ujęta została (niestety, niezbyt dobrze tu widoczna) tzw. "konfesja" z katedry w Gnieźnie. Sfotografowana w lipcu 2004 roku. W bardzo ważnych kościołach chrześcijańskich taka "konfesja" imituje pędnik centralny UFO. W Polsce posiada ją katedra w Gnieźnie (pokazana na powyższym zdjęciu), oraz katedra w Krakowie. Jest ona także obecna w Bazylice Św. Piotra w Rzymie. W najbardziej centralnej części co ważniejszych budowli kościelnych, najczęściej pod ich kopułą centralną, znaleźć można owe tajemnicze struktury. Na struktury te zwykle składają się prostokątne obiekty z białego marmuru, otoczone czterema poskręcanyimi kolumnami które podpierają iskrzący się złotem baldachim. W nomenklaturze kościelnej owe struktury nazywane są konfesja. Z dzisiejszych badań UFO wiemy jednak, że całe te struktury faktycznie imitują budowę i wygląd pędnika głównego UFO. Z kolei ów prostokątny obiekt wykonywany z białego marmuru i umieszczany w centrum tych struktur, imituje urządzenie zwane "komora

oscylacyjna", które stanowi źródło potężnego pola magnetycznego w każdym pędniku UFO. W pobliżu owych "konfesji" w kościołach ziemskich zwykle umieszczane są ciała świętych. To zaś imituje "składownie" albo "przechowalnie" zwłok ludzkich, które zawsze znajdują się w cylindrach centralnych UFO dużego typu, tuż obok komory oscylacyjnej ich pędnika głównego (po szczegóły patrz podrozdział P6.1 w monografii [1/5]). Powodem takiego składowania ciał ludzkich w UFO jest, że pole magnetyczne z pędnika głównego UFO zapobiega psuciu się tych zwłok.

#D18. Komory oscylacyjne UFO a kształty obiektów w starych kościołach:

Zależnie od tzw. "generacji UFO", jaka z kolei zależy od poziomu zaawansowania technicznego cywilizacji która zbudowała dany wehikuł UFO, ich tzw. komory oscylacyjne przyjmują tylko jeden z trzech możliwych kształtów. (Odnotuj, że zgodnie z opisami z rozdziału F w tomie 2 monografii [1/5], owe "komory oscylacyjne" UFO, to po prostu najważniejsze urządzenia napędowe owych wehikułów latających. Dla UFO owe komory oscylacyjne są tym samym co "silniki" są dla dzisiejszych samochodów.) Wszystkie trzy możliwe kształty komór oscylacyjnych UFO zilustrowane są na rysunku F3 z mojej najnowszej monografii [1/5]. Kształty te to rodzaj słupa równoległościennego o przekroju albo: (1) kwadratowym, (2) ośmiobocznym, lub (3) szesnastobocznym. W UFO słup ten zawsze też stoi ze swoją osią centralną umieszczoną pionowo. Stąd owe trzy kształty zawsze występują w jego przekroju poziomym.

Co najbardziej szokuje w wyposażeniu wnętrza starych kościołów (w tym kościołów z Milicza), to że wszystko co w nich zawarte również posiada kształty które dokładnie odzwierciedlają owe trzy możliwe kształty komór oscylacyjnych UFO. Stąd w starych kościołach najczęściej wszystko jest równoległościennem o przekroju ośmiobocznym - jako przykład patrz obiekt pokazany na zdjęciu "Fot. #D18" obok. We wszystkim też ze starych kościołów, ów przekrój zarysowuje się w przekroju poziomym - czyli w dokładnie tym samym przekroju, co w komorach oscylacyjnych UFO. Jeśli zaś coś nie jest ośmioboczne, wówczas w poziomie ma to albo przekrój kwadratowy, albo też szesnastoboczny (lub okrągły - który jest przybliżeniem szesnastoboku). Natomiast niemal niemożliwe jest znalezienie w starych kościołach czegokolwiek, co miałoby przekrój np. trójkątny, czy sześcioboczny, na przekór że właśnie te przekroje są nieporównanie bardziej łatwe do wykonania narzędziami dawnych mistrzów, niż przekroje ośmioboczne czy kwadratowe. Ów najbardziej szokujący atrybut starych kościołów jest, że w ich wnętrzach niemal wszystko imituje generalne kształty komór oscylacyjnych UFO.

Fot. #D18: Gigantyczne, tajemnicze, ośmioboczne urządzenie z kościoła mariackiego w Gdańsku. (Urządzenie to opisane jest także na kilku innych stronach internetowych, np. na [artefact_pl.htm](#). Sfotografowane w lipcu 2004 roku. Jest ono tak ogromne, że osiem rzeźb kobiet stojących naokoło jego ośmiobocznej podstawy posiada wymiary dorosłych ludzi (po kliknięciu na to zdjęcie czytelnik może porównać wymiary owych ośmiu rzeźb do wysokości dwóch turystów widocznych na powyższej fotografii poza rzeźbami). Faktyczne przeznaczenie owego urządzenia pozostaje prawdziwą tajemnicą. Wszakże jest ono zbyt ogromne aby wypełniać jakąś praktyczną funkcję, poza pozostaniem pojemnikiem na święte substancje. Jednak jest ono szokująco podobne do tzw. "sejsmografu Zhang Henga" (po angielsku "Zhang Heng seismograph") - co czytelnik może sobie uświadomić po porównaniu powyższego zdjęcia "Fot. #D18" z licznymi zdjęciami "sejsmografu Zhang Henga" pokazanymi na stronie internetowej [seismograph_pl.htm](#). (Odnotuj że ów niezwyklej sejsmograf umożliwiał wykrywanie trzęsień ziemi na długo zanim miały one miejsce, zaś jego tajemnicze działanie do dzisiaj nie zostało odtworzone w pracującym urządzeniu). Dla przykładu, powyższe tajemnicze urządzenie ukazuje nie tylko ośmioboczny kształt swego głównego korpusu, ale także i ośmioboczną podstawę - podobnie jak ów sejsmograf Zhang Henga opisywany na powyższych stronach internetowych. Ponadto, jego wygląd ogólny oraz kształt jest dziwnie podobne do kształtu oraz do wyglądu owego sejsmografu Zhang Henga. Jednak zamiast mylnie doszukiwać się źródła owych podobieństw w między-

kulturowych oraz między-religijnych wpływach, bardziej racjonalne jest uświadomienie sobie, że oba te urządzenia mimikują sobą kształt pędników głównych z wehikułów UFO. Dzieje się tak ponieważ w centrum takich pędników UFO drugiej generacji, zawarta jest ośmioboczna komora oscylacyjna, ogromnie podobna do kształtów zaprezentowanych na powyższym zdjęciu. Nasze kościoły, w tym milickie, pełne są dziwnych obiektów, jakich wygląd imituje właśnie wygląd urządzeń zaobserwowanych na pokładach UFO przez ludzi uprowadzanych do owych wehikułów. Po opisy budowy i działania komór oscylacyjnych UFO, patrz strona na temat tych komór, a także patrz tomy 2 i 17 monografii [1/5] (w tym również rysunek F8 (2s) z monografii [1/5]). Powyższe uświadamia, że ogromna liczba najróżniejszych ośmiobocznych obiektów pojawiających się w ludzkiej kulturze, faktycznie to wynika z imitacji przez dawnych mistrzów kształtów ośmiobocznych komór oscylacyjnych z UFO.

Ciekawe czy ktoś się kiedykolwiek zastanawiał, dlaczego w wyposażeniu chrześcijańskich kościołów, muzułmańskich meczetów, oraz świątyń innych religii, niemal wszystko imituje kształt i działanie ośmiobocznych pędników UFO, lub ośmiobocznych wylotów z pędników UFO, na przekór że faktycznie wszystkie obiekty z kościoła możnaby zbudować w niezliczonej liczbie innych kształtów. Odpowiedź na to brzmi, że ludzie uprowadzani są do UFO od samego początku zasiedlenia Ziemi, zaś po powrocie na Ziemię mimikują oni w swoich twórczych produktach fascynujące ich urządzenia jakie widzieli podczas owych uprowadzeń do UFO. (Czytelnik może znaleźć więcej na temat UFO na stronach internetowych wyszczególnionych w "Menu 4", np. na stronie ufo_pl.htm).

#D19. Znaczenie ośmiobocznych kolumn w starych kościołach:

Ze wszystkich trzech istniejących kształtów komór oscylacyjnych UFO, ludzie najczęściej uprowadzani są na pokłady UFO o napędzie telekinetycznym lub na wehikuły czasu. Wszakże tylko te dwie najbardziej zaawansowane generacje UFO mogą stawać się niewidzialne dla wzroku ludzi, a stąd mogą operować na Ziemi zupełnie niedostrzegalne przez ludzi. Z kolei komory oscylacyjne tych dwóch generacji UFO posiadają przekrój ośmioboczny lub porzekrój szesnastoboczny. Nic więc dziwnego, że większość starych kościołów posiada kolumnadę, jaka właśnie imituje ośmioboczne lub szesnastoboczne słupy pola magnetycznego, które odprowadzane jest z takich komór oscylacyjnych. Praktycznie też według moich obserwacji, niemal każdy kościół zbudowany przed 15 wiekiem posiada kolumny o przekroju ośmiobocznym. Jako przykład patrz kolumny z kościoła pokazanego na Fot. #D19.

Fot. #D19: Ośmioboczne kolumny podpierające sufit katedry we Fromborku (tej gdzie pracował Mikołaj Kopernik). Podobne kolumny są też obecne w innych starych kościołach zbudowanych przed 15 wiekiem. Ich ciekawostką jest, że swoim wyglądem imitują one ośmioboczne kolumny pola magnetycznego odprowadzanego do otoczenia z pędników UFO drugiej generacji, czyli UFO używających ośmioboczne komory oscylacyjne do swego napędu. Warto tutaj odnotować, że w okolicach np. Malborka, kolumny w niemal wszystkich starych kościołach mają właśnie przekrój ośmioboczny.

Szokującym w kształcie kolumn starych kościołów jest, że kolumny te w przekroju poziomym posiadają jedynie 4 kształty, wszystkie cztery zaś są imitacjami kształtów kolumn pola magnetycznego odprowadzanego z pędników UFO. I tak kolumny te mogą mieć jedynie przekrój kwadratowy, ośmioboczny, szesnastoboczny, lub okrągły (odnotuj że przekrój okrągły jest po prostu przybliżeniem przekroju szesnastobocznego). Jak dotychczas w żadnym kościele na świecie nie spotkałem kolumn o kształcie przekroju poziomego np. trójkątnym czy sześciobocznym, na przekór że takie kolumny byłoby najłatwiej zbudować dawnym mistrzom. (Z punktu widzenia konstrukcji, jest przecież nieporównanie trudniej wymierzyć i zbudować kolumnę o przekroju ośmiobocznym, niż np. kolumnę o przekroju sześciobocznym. Wszakże aby wymierzyć idealny sześciobok, wystarczy na okręgu odłożyć sześć promieni koła. Natomiast wymierzenie idealnego ośmioboku wymaga złożonych zabiegów pomiarowych i zaawansowanej wiedzy

geometrycznej. Musiał więc istnieć bardzo istotny powód dla którego dawni mistrzowie budowali w kościołach kolumny ośmioboczne zamiast sześciobocznych. Powodem tym niemal z całą pewnością były wnętrza wehikułów UFO, w których uprowadzani do nich ludzie nie mogli zobaczyć kolumn sześciobocznych, jednak widywali mnóstwo kolumn ośmiobocznych.)

#D20. Cuda kościoła Św. Anny pod Miliczem:

Niewielki kościółek Św. Anny pod Miliczem słynął kiedyś z wielu cudów. Przykładowo folklor ludowy stwierdzał, że powtarzalnie ukazują się przy nim święte istoty. Ponadto obiekty zlokalizowane przy tym kościółku, szczególnie stary, święty dąb (jaki obecnie już nie istnieje) a także tamtejszy "anielski kamień" (jaki także zaginął gdzieś w okresie czasu pomiędzy 1981 a 2004 rokiem), słynne były w okolicy ze swoich mocy uzdrowicielskich, oraz ze zdolności przywracania płodności. Jeśli jednak cuda te się dokładniej przeanalizuje, okazuje się że przynajmniej jakaś ich część może być racjonalnie wytłumaczona. Duża bowiem proporcja tych cudów to obserwacje UFOonautów którzy w regularnych odstępach czasu odwiedzali "anielski kamień" (po niemiecku "Teufelstein") zlokalizowany tuż przy owym kościółku. Z kolei cudowne uzdrowienia które później miały tam miejsce dają się wytłumaczyć działaniem energii moralnej jaka zgromadzona została zarówno przez ów prastary dąb jak i przez ów "anielski kamień" do których modlili się wierni. (Działanie tej energii moralnej wytłumaczone jest dokładniej na stronie internetowej o mieście Malbork dostępnej za pośrednictwem "Menu 1".) Natomiast przywracanie płodności może posiadać związek albo z witalnością i mikroelementami zawartymi w powietrzu Milicza, albo też z systematycznym natelekinetyzowaniem przez UFO okolicy "anielskiego kamienia". (Wpływ natelekinetyzowania otoczenia na płodność wyjaśniony jest w podrozdziale KB4 z tomu 9 monografii [1/5]. Przykładowo w Malezji istnieje naturalnie natelekinetyzowane miejsce nazywane "Lake of the Pregnant Maiden" - t.j. "Jezioro Ciężarnej Piękności" , jakie słynie z przywracania płodności - jest ono właśnie w tym celu odwiedzane przez tłumy turystów.)

Fot. #D20: Kościółek Św. Anny w Karłowie pod Miliczem. W pokazanej powyżej formie został on zbudowany w latach 1807 do 1808 zastępując ostatnią z szeregu małych drewnianych kapliczek które cyklicznie wznoszone były w jego miejscu już od czasów średniowiecza. Przy owych kaplicach od najdawniejszych czasów w ostatnią niedzielę lipca odbywały się doroczne odpusty ku intencji cudownego objawienia się Św. Anny z Matką Boską i małym Dzieciątkim Jezusem, widzianych jak siedzieli na gałęziach starego dębu który rósł w owym miejscu. Powyższa fotografia wykonana została w lipcu 2004 roku. To właśnie w okolicy tego kościoła w przeszłości miały miejsce liczne cuda, cudowne uzdrowienia, oraz przywrócenia płodności. Pokazane są drzwi wejściowe do kościółka. Za kościółkiem rósł kiedyś bardzo stary dąb, na którego konarach zaobserwowane były owe trzy niezwykle istoty, jakie dzisiaj byśmy wzięli za trzech UFOonautów, jednak jakim w średniowieczu nadawano "nadprzyrodzony" charakter. Dąb ten był później źródłem wielu cudownych uzdrowień. Na prawo od tego kościółka znajdował się kiedyś "anielski kamień" z dziwnymi wytopieniami jakby technologicznego pochodzenia. On również z czasem stał się obiektem kultu. Twierdzono o nim kiedyś, że też jest źródłem uzdrowień, oraz że przywraca płodność. Niestety, pomiędzy 1981 a 2004 rokiem, kamień ten tajemniczo zniknął ze swego poprzedniego miejsca. Być może, że to ten sam kamień, który obecnie zakopany jest pod krzyżem widocznym po lewej stronie powyższego zdjęcia, oraz pokazanym w powiększeniu na zdjęciu "Fot. #D22". (Jednak ja osobiście nie byłem w stanie ani go rozpoznać po wyglądzie zewnętrznym, ani też wykopać z ziemi i sprawdzić czy posiada on znane mi technologiczne wytopienia. Nie odnotowałem też w jego pobliżu żadnych lądowisk UFO jakie potwierdzałyby że UFOnauci nadal się nim interesują.)

#D21. Diabelskie i anielskie kamienie a UFO:

W okresie średniowiecza UFOnauci rozlokowali na Ziemi ogromną siatkę złożoną

ze szczególnych kamieni. Kamienie te zawierały w środku jakieś urządzenia nadawcze podobne do dzisiejszych radiolatarni. Z kolei na ich powierzchni znajdowały się technologicznie wyglądające wytopienia. Po nałożeniu na mapę miejsc ich oryginalnego rozlokowania, okazywało się że formują one na powierzchni planety regularną siatkę. Jedynym wyjaśnieniem jakie dotychczas uzasadniało powody ich regularnego posadzania na Ziemi oraz wydzielanie przez nie promieniowania, to że UFOanci wykorzystywali promieniowanie wydzielane przez te kamienie jako swoistą siatkę jakby radiolatarni. Służyły więc im one do nawigacji po naszej planecie i do precyzyjnego określania położenia innych obiektów na Ziemi. Dla UFOautów kamienie te były więc jakby stacjonarnym odpowiednikiem tego co dzisiaj znamy pod nazwą satelitarnego systemu GPS (tj. "Global Positioning System").

Z uwagi na technologicznie wyglądające znaki typu odciski dłoni i stóp, jakie zawsze znajdowały się wytopione na owych kamieniach UFO, przez wieki fascynowały one ludzi. Przed drugą wojną światową w Polsce sporządzono nawet ewidencję tych kamieni (popularnie znanych pod nazwami "diabelskie kamienie", "anielskie kamienie", lub "boże stopki"). Ogłoszone one wówczas zostały pomnikami natury i chronione były przez prawo. Ciekawe czy i dzisiejsze prawo rozciąga nad nimi swoją opiekę.

Koło każdego "diabelskiego kamienia" obserwowana jest zawsze wzmożona aktywność UFOautów. Indywidualni UFOanci często są widywani jak manipulują coś przy tych kamieniach. Z kolei wehikuły UFO lubują się w zawisaniu nad nimi, oraz w lądowaniu niedaleko od nich. Dlatego łączki w okolicach tych kamieni zwykle upstrzone są kolistymi lądowiskami UFO podobnymi do lądowiska ze zdjęcia 16.

Kiedy po szeregu artykułów na temat badań "diabelskich kamieni" wydanych po 1981 roku w polskiej prasie UFOlogicznej, UFOanci zorientowali się że ludzie zaczynają badania ich systemu nawigacyjnego, w typowy dla siebie sposób zaczęli usuwać te kamienie które stały się przedmiotem badań. Usuwanie to zawsze przy tym UFOanci organizowali w taki sposób, że wina za zniknięcie danego kamienia zawsze spadała na ludzi, a nie na UFOautów. Przykładowo najstłynniejszy z "diabelskich kamieni", czyli kamień z Emilcina koło Opola Lubelskiego (pokazany na zdjęciu "Fot. #D21(b)"), UFOanci prawdopodobnie usunęli poprzez rozkazanie jednemu ze swoich "podmieńców", a także nakazanie pod hipnozą kilku wybranym przez siebie ludziom, aby w 1982 roku kamień ten wykradli z Emilcina i przewieźli go do Warszawy. W Warszawie zaś kamień ten UFOanci nakazali starannie ukryć przed badaczami UFO pod jakimś opuszczonym wiaduktem. Za sprawką UFOautów, po pewnym czasie kamień ten zniknął także i spod owego wiaduktu. Jest wysoce prawdopodobne że dzisiaj nie będzie już możliwe jego odnalezienie. Oczywiście, po zniknięciu kamienia tego nie można już poddawać dalszym badaniom naukowym, aby stopniowo poodkrywać tajemnice UFOautów - co z całą pewnością było faktycznym celem jego wykradnięcia z Emilcina. Jest możliwe że w podobny sposób za sprawką UFOautów zniknął też i kamień z Karłowa pod Miliczem, który w latach 1980-tych także zaczął być szczegółowo badany przez UFOologów.

* * *

Już po obublikowaniu niniejszej strony internetowej, w dniu 25 września 2004 roku napisał do mnie jeden z czytelników. Twierdzi on, że wie gdzie w chwili obecnej znajduje się "diabelski kamień" z Emilcina. Według niego, gdzieś po 1986 roku kamień ten został utopiony w stawie znajdującym się wówczas w obrębie farmy hodowlanej w Oborach koło Konstancina pod Warszawą. Farma ta należała wtedy do Akademii Rolniczej z Warszawy. Wygląda mi więc na to, że jego ukrycie pod wiaduktem nie gwarantowało UFOautom pewności że nikt go nie odnajdzie. Spowodowali więc że dodatkowo został on utopiony. Wszakże spod wiaduktu mógł on być zabrany zwykłą ciężarówką. Natomiast po utopieniu w stawie, aby się do niego dostać konieczne jest całe przedsięwzięcie. Podobno ów kamień o wadze około 350 kg, ciągle leży na dnie tamtego stawu aż do dzisiaj. Z kolei miejsce w jakim się on ukrywa, stało się od owego czasu punktem do którego zlatują się wehikuły UFO.

W tym miejscu więc apeluję do "dobrego samarytanina" który zapewne czyta niniejszą stronę internetową. Jeśli posiada on ku temu środki i możliwości, a także zna

jakieś dobre miejsce publiczne, które zagwarantuje bezpieczeństwo tego kamienia przed dalszymi podobnymi zapędami aby go ukryć lub zniszczyć, niniejszym mu proponuję aby wydobył ów kamień z tamtego stawu (gdzie przecież nikt go nie chce i gdzie on zwyczajnie niszczyje) i aby umieścić go w owym publicznym miejscu, opatrując odpowiednią tablicą informującą dlaczego kamień ten jest tak niezwykły. Najlepiej aby miejsce to znajdowało się gdzieś na środku trawnika w centrum jakiegoś ruchliwego chociaż niezbyt dużego miasteczka, np. takiego jak Milicz (np. na środku trawnika jaki obecnie znajduje się niemal w centrum Milicza, w pobliżu byłej południowej bramy wylotowej z tego średniowiecznego miasteczka). Wcale przy tym miejsce to nie musi być w Emilcinie - wszakże mieszkańcy Emilcina nigdy nie upominali się o swój kamień, ani nigdy nie usiłowali go odnaleźć i sciągnąć z powrotem. Po umieszczeniu w takim publicznym miejscu kamień ten bez ustanku będzie już na oku wielu ludzi. Ponieważ zaś w małym miasteczku, takim jak Milicz, niemal wszyscy się znają i wszystko dokładnie wiedzą, wszyscy będą więc zwracali już uwagę co z kamieniem tym się dzieje.

Warto tu dodać, że w przypadku wydobycia tego kamienia ze stawu gdzie tylko niszczyje, oraz umieszczenia go w publicznym miejscu gdzie ludzie bez przerwy będą mieli na niego oko, osiągnięte zostaną aż trzy totalizyczne dobre uczynki za jednym zamachem. Mianowicie kamień ten jest przedwojennym "pomnikiem natury", co oznacza że wydobywająca osoba przysłuży się ochronie polskich skarbów natury. Kamień ten chcą badać liczni UFOodzy - jego więc ustawienie w publicznym miejscu do jakiego każdy będzie miał dostęp, umożliwi jego badanie. W końcu kamień ten jest bardzo sławny. Miejsce w jakim zostanie on udostępniony do publicznego oglądania też stanie się więc sławne - wszakże będzie on przedmiotem turystycznych wycieczek i publicznego zainteresowania. Nie wspomnę tu już, że miejsce gdzie ten kamień się znajdzie, nocami będzie też często odwiedzane przez UFOodów i wehikuły UFO.

Fot. #D21(a) (K1(c) w [1e]): Zbliżenie tzw. "diabelskiego kamienia" z Emilcina koło Opola Lubelskiego. Sfotografowany w 1982 roku. Odnotuj liczne odbicia błoniastych dłoni UFOodów oraz ich maleńkich stóp powytapiane na powierzchni owego kamienia (dawniej odbicia te nazywano śladami "diabelskich kopyt"). Odnotuj, że także "anielski kamień" spod kościółka Św. Anny w Karłowie pod Miliczem był podobnej wielkości i kształtu oraz posiadał podobne odbicia. Powyższy kamień posiada ogromnie niezwykłą historię. To właśnie przy tym kamieniu rolnik, Ś.p. Jan Wolski, w dniu 10 maja 1978 roku przyłapał dwóch maleńkich, wyglądających jak "diabły" UFOodów, jak coś przy nim manipulowali. (Rysy twarzy owych diabelsko wyglądających UFOodów, jak również wygląd ich wehikułu UFO, pokazane są na rysunku Q1 z monografii [1/5]. Z kolei raport z przebiegu owego pozaziemskiego spotkania zaprezentowany jest w podrozdziale Q1 z tomu 14 monografii [1/5].) Owo przyłapanie przy nim UFOodów spowodowało, że kamień ten stał się ogromnie sławny, zaś badacze UFO zaczęli sprawdzać czy nie zawiera on jakichś ukrytych w środku urządzeń nawigacyjnych UFO. Po faktycznym wykryciu iż kamień wydziela regularne impulsy jakiegoś promieniowania, które dają się nawet zarejestrować na zwykłej kliszy fotograficznej, kamień nagle zniknął. Wśród badaczy świadomych jego nagłego zniknięcia zaczęły się więc szerzyć pogłoski, że kamień ten został skrycie zabrany z Ziemi przez UFOodów, ponieważ UFOodaci nie chcieli aby został on poddawany badaniom przez ludzi. Aby uciszyć te pogłoski, ktoś anonimowo wysłał mi zdjęcie pokazane w części 21 (b) poniżej. Ukrytym celem wykonania i wysłania mi owego zdjęcia z części 21 (b) poniżej, było wyraźne zasugerowanie, że kamień ten wcale nie został zabrany w kosmos przez UFO aby uniemożliwić ludziom jego badanie, a jedynie "wykradzony" z Emilcina przez grupę jakichś fanatyków z Warszawy, którzy po jego kradzieży ukryli go pod bliżej nieznanym wiaduktem w Warszawie. Czy jednak tak było naprawdę - sprawdź rozważania przytoczone pod zdjęciem "Fot. #D21 (b)".

Wszystkie "diabelskie kamienie", włączając ten z powyższego zdjęcia, cechują się technologicznymi znakami które na nich są wytopione. Na powyższym kamieniu z Emilcina znaki te przyjmują formę wytopień stóp podobnych do dziecięcych oraz

bloniastych dłoni/rękawic UFOonautów. Badania tych kamieni wykazują, że emitują one dziwne promieniowanie, które pozostawia plamy na położonej na nich kliszy fotograficznej. (Plamy te zilustrowane są na Fig. K3(c) z monografii [1e].) Ponadto geograficzne rozlokowanie tych kamieni układa się na mapie jako regularna siatka.

Przy kościółku Św. Anny w Karłowie pod Miliczem zlokalizowany był właśnie jeden z takich kamieni. Być może że to właśnie on jest pokazany na fotografii "Fot. #D22". Ów kamień był źródłem licznych obserwacji "nadprzyrodzonych istot" (czyli UFOonautów), które często miały miejsce przy owym kościółku.

* * *

Fot. #D21(b): (Kliknij na pokazany tu zielony guzik linku do aby wywołać, powiększyć i oglądać niniejszą ilustrację. Po instrukcję powiększania i przemieszczania ilustracji - kliknij na guzik "instrukcja użycia" podaną pod "Fot. #D5(b)" i "Fot. #D31".)

Fotografia z ilustracji "Fot. #D21(b)" jest ogromnie niezwykła. Jej atrybuty i okoliczności wykonania sugerują bowiem, że najprawdopodobniej wykonana została przez samych UFOonautów, z pokładu wehikułu UFO wiszącego w powietrzu i pozostającego niewidzialnym dla fotografowanych na dole osób. (Ciekawe, że jedyna osoba która na powyższym zdjęciu zachowuje się jakby zdawała sobie sprawę z faktu że jest fotografowana, wykazuje posiadanie wszelkich szczegółów anatomicznych które są charakterystyczne dla typowego UFOonauty.)

Zdjęcie to zostało mi przysłane anonimowo zaraz po tym, jak po tajemniczym zniknięciu tego kamienia z Emilcina, wśród badaczy UFO w Polsce zaczęły się rozprzestrzeniać pogłoski że ów kamień został celowo zabrany z Emilcina przez UFO, aby uniemożliwić ludziom badanie ukrytych w jego wnętrzu urządzeń nawigacyjnych UFOonautów. Można się domyślać, że w zamiarze wysyłającego mi owo zdjęcie wraz z notatką wyjaśniającą co on pokazuje, było wyraźne udokumentowanie, że kamień z Emilcina zniknął NIE dlatego iż usunęło go UFO aby uniemożliwić ludziom jego badanie, a dlatego że grupa jakichś fanatyków z Warszawy zwyczajnie go stamtąd wykradła. Niemniej nawet jeśli zaakceptować ową sugestię, że kamień ten faktycznie został wykradzony z Emilcina przez jakichś fanatyków a nie przez UFOonautów, ciągle nie wyjaśnia to motywacji dlaczego został on przez nich usunięty z miejsca gdzie był dostępny dla każdego badacza i mógł tam być łatwo poddany eksperymentom, a następnie ukryty w jakimś nieznanym nikomu miejscu gdzie nikt nie jest w stanie dokonać na nim żadnych badań. Ponadto trzeba też pamiętać, że UFOnauci są w stanie hipnotyzować ludzi i nakazywać im pod hipnozą wykonanie określonych zadań. Nawet więc gdyby ów kamień wykradzony został z Emilcina przez ludzi, wcale to nie eliminuje możliwości, że jego wykradzenie zostało hipnotycznie nakazane tym ludziom przez UFOonautów. (Z dotychczasowych badań wiadomo bowiem również, że kiedy UFOnauci niszczą jakieś dowody swojej działalności na Ziemi, wówczas zawsze czynią to w taki sposób, aby wina za owo niszczenie spadała na ludzi - po szczegóły patrz podrozdział VB4.1.3 z tomu 17 mojej starszej monografii [1/4].) Wiadomo że ów "diabelski kamień" z Emilcina był przedwojennym pomnikiem natury (ujętym w przedwojennym rejestrze "diabelskich kamieni", "anielskich kamieni", oraz "bożych stopek" z terenu Polski). Jego ewentualne wykradnięcie z Emilcina i ukrycie przed ludźmi pod wiaduktem w Warszawie nie tylko więc przysługuje się UFOnautom poprzez uniemożliwienie jego dalszego badania, ale dodatkowo jest jawnym wandalizmem sławnego pomnika przyrody. Gdyby to leżało w mojej mocy, ja odszukałbym osoby winne jego zniknięcia z Emilcina, oraz nakazałbym im wydobyć ten kamień z ukrycia i zwrócić go do Emilcina na poprzednie miejsce, tak aby mógł on tam być łatwo odnaleziony przez zainteresowane osoby i poddawany dalszym naukowym badaniom.

#D22. Tajemnica anielskiego kamienia spod kościółka Św. Anny:

Kiedy około 1980 roku odkryte zostały tajemnice "diabelskich kamieni" i "anielskich kamieni", jednym z kamieni który poddany został systematycznym badaniom i obserwacji przez badaczy UFO z Wrocławia odległego jedynie o około 60 kilometrów, był właśnie ów kamień spod kościółka Św. Anny przy Miliczu. (Na prawdopodobnie już nie

istniejącej stronie internetowej o byłym adresie [www.dwarf.webd.pl /Milicz/kamien.html](http://www.dwarf.webd.pl/Milicz/kamien.html) nazywany był on "kamieniem Jadwigi".) Niestety, UFOauci w jakiś sposób odkryli, że badacze UFO interesują się tym właśnie kamieniem. UFOauci spowodowali więc "zniknięcie" tego kamienia w typowy dla siebie sposób, tj. taki który winę za jego zniknięcie zrzuca na ludzi. Obecnie nie jest już wiadomo, gdzie kamień ten się znajduje. To zaś oznacza, że nie można poddawać go już dalszym badaniom.

Kamień spod kościółka Św. Anny pod Miliczem znany był od wieków jako "kamień który czyni cuda". Ludzie kiedyś o nim twierdzili, że posiadał on moc uzdrawiania i przywracania płodności. Był on także często badany przez UFOlogów z Wrocławia. Wydzielał jakieś promieniowanie które dawało się zarejestrować na kliszy fotograficznej położonej na jego powierzchni. Do dzisiaj jednak tajemniczo zniknął i nie jest mi wiadomo, co naprawdę z nim się stało. Jedyne kamień jaki ciągle istnieje przy kościółku Św. Anny, to ten zakopany pod krzyżem na lewo od drzwi do kościółka, którego zdjęcie pokazane jest na fotografii "Fot. #D21". Wątpię jednak aby był on tym dawnym "anielskim kamieniem". Czy faktycznie jest on nim, tego nie daje się ustalić bez jego wykopania go z ziemi i bez sprawdzenia czy rzeczywiście posiada on na sobie owe charakterystyczne, technologicznie wyglądające wytopienia, ani bez sprawdzenia czy faktycznie wydziela on jakieś promieniowanie. (Ślady na kliszy jakie promieniowanie to pozostawia pokazane są na rysunku K3(c) z angielskojęzycznej monografii [1e].) Z kolei ani takie jego wykopanie z ziemi, ani sprawdzenie na wydzielane promieniowanie, nie stało w moich możliwościach podczas turystycznego pobytu w Miliczu w lipcu 2004 roku.

* * *

Fot. #D22: (Kliknij na pokazany tu zielony guzik linku do aby wywołać, powiększyć i oglądać niniejszą ilustrację. Po instrukcję powiększania i przemieszczania ilustracji - kliknij na guzik "instrukcja użycia" podaną przy "Fot. #D5(b)" i "Fot. #D31".)

Ilustracja "Fot. #D22" pokazuje kamień jaki w 2004 roku dawał się zobaczyć jak zakopany był pod krzyżem przed owym kościółkiem Św. Anny w Karłowie koło Milicza, Czy ten sam kamień, jest owym słynnym anielskim kamieniem, jaki od niepamiętnych czasów leżał jakieś 50 metrów na zachód od owego kościółka? Dobrze byłoby aby ktoś tą sprawę klarownie wyjaśnił. Jeśli zaś faktycznie jest to były "anielski" kamień z Karłowa, dobrze też byłoby aby fakt ten został opisany na jakiejś umieszczonej przy nim tablicy. Po raz ostatni "anielski" kamień z Karłowa oglądałem w 1981 roku. Jak pamiętam, na jego powierzchni wytopionych było kilka technologicznie wyglądających, dosyć charakterystycznych wgłębień. Niektóre z nich wyglądały jak nakłucia okrągłą laską. Ponadto tamten kamień był bardziej podstarzały niż ten pokazany na powyższym zdjęciu, zaś jego powierzchnia była wygładzona, aerodynamiczna, zużyta przez czas i szara. Z wyglądu powyższy kamień zupełnie go więc NIE przypomina (choć jest podobnej wielkości). Wszakże powierzchnia kamienia powyżej jest ostra i kolorowa, tak jakby właśnie został on wyłamany z kamieniołomów. Kamień z Karłowa nazywany kiedyś był "anielskim", bowiem folklor ludowy często obserwował UFOautów, jak ci coś przy nim manipulowali. Z kolei w dawnych czasach, zależnie od tego czy wyglądali oni przystojnie czy szkaradnie, dzisiejsi UFOauci brani byli albo za "aniołów" albo też za "diabłów". (Faktycznie jednak to UFOauci o wyglądzie "aniołów" też mają filozofię oraz intencje "diabłów". Stąd w dawnym rozumieniu tego słowa, wszyscy UFOauci są "diabłami", zaś wszystkie kamienie w jakich znajdują się ich urządzenia nawigacyjne są "diabelskimi kamieniami". Po więcej danych na temat szatańskich UFOautów okupujących i rabujących naszą "matkę Ziemię", patrz strona internetowa ufo_pl.htm.)

#D23. Milickie legendy o UFO:

Stara legenda opublikowana w przedwojennej gazecie milickiej "Heimat Blätter für ben Kreis Militsch Trachenberg", nr 2/1925, strona 12, stwierdza co następuje: "Diabeł dostał szału ponieważ mieszkańcy wsi Trzebicko zaplanowali zbudowanie nowego kościoła. Zdecydował więc zniszczyć budowlę której stawianie właśnie rozpoczęto. Pewnej czarnej jak smoła nocy złapał on ogromny kamień w swoje łapy i poleciał z nim w kierunku Trzebicka aby zgnieść nim ów kościół. Jednak silny wiatr zachodni powstrzymał jego lot.

Zdołał jedynie osiągnąć miejsce w którym wieś Zemanów obecnie się znajduje, kiedy pojawiły się pierwsze promienie słońca, zaś kogut zaczął piać. Diabeł zmuszony był upuścić swój kamień i polecieć z powrotem do piekła. Na powierzchni kamienia pozostało po nim wypalenie w formie dużej szponiastej łapy." (W języku angielskim: "The devil was furious because citizens of Trzebicko village were planning to build a church. He decided to destroy the construction which had just been started. One pitch black night he picked up a huge stone in his hand and flew in the direction of Trzebicko in order to smash the church. However the strong westerly wind impeded his flight. He had only just reached a place where the village of Zemanów now stands, when the first rays of the rising sun appeared and a rooster began to crow. The devil had to drop the stone and then flew back to where he came from. On the surface of the stone was left the impression of a large clawed paw.")

Wraz z powyższą legendą, owa stara gazeta milicka publikowała także zdjęcie "diabelskiego kamienia" z Zemanowa. Zdjęcie to zostało zreprodukowane jako "Fig. K1" z angielskojęzycznej monografii [1e].

Fot. #D23 (K1(b) w [1e]): Drewniany kościółek w Trzebicku koło Milicza. Fotografie tą wykonałem w 1980 roku, tj. przed opuszczeniem Polski. W chwili obecnej kościółek ten wygląda inaczej, ponieważ niedawno poddany został gruntownej przebudowie. To właśnie ten kościółek chcieli zniszczyć UFO-nauci (dawniej nazywani "diablami") opisywani w starej legendzie o "diabelskim kamieniu" z pobliskiego Zemanowa. (Zdjęcie owego "diabelskiego kamienia" z Zemanowa pokazane jest na rysunku K1 z angielskojęzycznej monografii [1e].) Pierwsza historycznie udokumentowana wzmianka o tym kościele jest datowana w 1571 roku. Podobno jednak budowę tego kościoła rozpoczęto jeszcze w 15 wieku bez użycia nawet jednego gwoźdź. W czasach mojej młodości wokół tego kościółka ciągle istniały groby z płytami nagrobkowymi datowanymi w 16 wieku (w 2004 roku płyt tych już tam nie było). Szczególnie ich dużo było z czasów pomoru jaki uderzył Trzebicko w drugiej połowie 16 wieku. Również podziemia tego kościółka, które zwiedzałem w czasach mojej młodości, pełne były trumien i zwłok z czasów tamtego pomoru.

#D24. Cuda wokół Milicza:

Na przekór że Milicz nie jest znany w świecie jako cudowne miejsce, faktycznie jest mi wiadomo aż o kilku zjawiskach zaobserwowanych w jego okolicach, które dają się zaliczyć do kategorii cudów. Najbardziej szokujące z owych zjawisk, którego przebieg oglądałem osobiście i na własne oczy, był deszcz z małych rybek w podmilickiej wsi Wszewilki, jaki dokładnie opisuję w podpisie pod fotografią "Fot. #D24". Deszcz ten padał na Wszewilkach co najmniej dwukrotnie, w odstępach około 9 lat od siebie. Jednak ja osobiście widziałem jego opad tylko raz. Za drugim razem odkryłem jedynie ślady opadłych rybek, czyli rozkładające się ciała rybek porzucanych po polach w promieniu kilku kilometrów od mojego domu. O innych cudach z okolic Milicza opowiadała mi moja matka i babcia. Były to obserwacje istot wziętych za Św. Annę, za Matkę Boską, oraz za małego Jezusa, które widywane były często w okolicach obecnego kościółka Św. Anny w Karłowie pod Miliczem. W dzisiejszych czasach jednak obserwacje te byłyby interpretowane jako obserwacje UFO-nauców i bliskie spotkania z tymi pozaziemskimi istotami. Odmienny rodzaj dziwnych istot relatywnie często obserwowano również w dawnych czasach w okolicach Zemanowa (niedaleko Trzebicka). Tych jednak interpretowano jako diabły. W miejscu byłego zlokalizowania owego "diabelskiego kamienia" z Zemanowa opisywanego w punkcie #D23 tej strony, często miały też miejsca lądowania wehikułów UFO. Kiedy około roku 1980 często wizytowałem tamte okolice w celach badawczych, miejscowi rolnicy skarżyli mi się, że owe częste lądowania wehikułów UFO niszczą tam ich plony uprawne. W końcu również obserwacje gryfa opisanego w punkcie #D15 tej strony także można zaliczyć do raczej niezwykłych, jeśli już nie do cudownych.

Fot. #D24: Wszewilki pod Miliczem - zdjęcie z lipca 2004 roku. Wieś ta ujęta jest od

miejscowej szkoły w kierunku na Stawczyk. To właśnie tutaj, we wsi Wszewilki, w czasach mojej młodości zaobserwowałem opad deszczu z żywych rybek (płotek). Chociaż deszcz taki posiada wiele naukowych wytłumaczeń, faktycznie na podstawie tego co o nim pamiętam uważam, że posiada on cudowne pochodzenie. Deszcz ten opisałem dokładnie w podrozdziale I3.5 z tomu 5 monografii [1/5], której darmowe egzemplarze są do ściągnięcia za pośrednictwem stron internetowych z monografią [1/5].

Aby dać tutaj czytelnikowi jakieś rozeznanie jak wyglądał ów deszcz żywych płotek jaki oglądałem w swoim dzieciństwie, poniżej przytoczę jego opis z podrozdziału I3.5 w tomie 5 monografii [1/5]. Oto ów opis:

... latem (około końca czerwca - początku lipca - zboża były wówczas już duże), najprawdopodobniej w 1954 roku, "padało" małymi żywymi rybkami (płotkami) około 5 cm długości. Deszcz ten trwał przez około jedną godzinę czasu. Obserwowany on był wokół mojego domu rodzinnego położonego we wsi Wszewilki koło Milicza (tj. w linii prostej odległego jedynie o około 3 km od kościołka Św. Anny w Karłowie pod Miliczem - w dawnych czasach słynnego z wielu cudów). Najprawdopodobniej była wtedy niedziela wczesnym popołudniem, bowiem wszyscy byliśmy w domu (włączając w to pracującego ojca). Pamiętam, że wszyscy obserwowaliśmy przez okna to niezwykle zjawisko i dyskutowaliśmy/komentowaliśmy je z sobą. Gęstość rybek była taka, że po deszczu były one oddalone od siebie o jakieś 10 do 50 metrów. Na podwórku, ogrodzie i przydomowej drodze nabierałem ich potem około 20 - ojciec kazał mi je pozierać aby wrzucić je do naszego stawku potorfowego. Częstość pojawiania się na ziemi kolejnych rybek była raczej niewielka. W obserwowanym przeze mnie obszarze jedna rybka ujawniała się co jakieś dwie do pięciu minut. Właściwie to ich pojawianie się sprawiało na mnie wrażenie, że ktoś je seryjnie materializuje, jedną po drugiej, materializując każdą następną rybkę dopiero po tym, jak ukończył materializowanie rybki poprzedniej. Tyle tylko, że dokładne miejsce w którym każda kolejna rybka zostawała zmaterializowana ulegało zmianie w sposób jakby przypadkowy. (Wyraźnie pamiętam obserwowanie tego zjawiska przez okno i wskazywanie kolejnych rybek rodzicom z okrzykami - patrzcie tam jest jeszcze jedna.) Patrząc teraz z perspektywy czasu, ich pojawianie się przypominało obserwowanie pojemnika szybkiego automatu obróbkowego, w którym we wzrokowo nieodnotowywalny sposób co jakiś czas zjawia się następna obrobiona część. Nie dało się też zauważyć tych rybek w powietrzu przed upadkiem, aczkolwiek ich srebrzysty połysk powinien sprzyjać odnotowaniu w locie. Zjawiały się po prostu na ziemi jakby to tam zostały zmaterializowane, nie zaś spadały z powietrza. Ja osobiście wierzę zresztą, że były one materializowane na powierzchni ziemi, tyle że owo materializowanie dokonywane było podczas silnego deszczu aż z dwóch powodów, mianowicie (1) aby nadać wymaganej "niejednoznaczności" całemu zjawisku, tak aby ludzie byli w stanie zinterpretować je według własnej filozofii, oraz (2) aby powiększyć szansę rybek na przeżycie, jako że po zmaterializowaniu niektóre z nich zostały zmyte z wodą do pobliskich zbiorników wodnych. Tezę o ich możliwym materializowaniu już na powierzchni ziemi podpira też zresztą fakt, że po wrzuceniu do stawku żyły tam przez długi czas i żadna z nich nie zdechła wskutek uszkodzeń/pośluczeń wewnętrznych. Tymczasem jeśli zrzucić taką rybkę z wysokości kilku pięter, wtedy z powodu uderzenia o utwardzoną ziemię lub beton wkrótce potem zdechnie w efekcie obrażeń wewnętrznych. Rybki te pojawiły się nie tylko na obszarze będącym w zasięgu mojego wzroku, ale także w miejscach przez nikogo nie obserwowanych. Ich rozkładające się ciała widywałem bowiem później przez spory okres czasu porozrzucane w trawie i zbożu na sporym obszarze wokół mojego rodzinnego domu. Wszystkie rybki były tej samej wielkości i tego samego gatunku. (Faktycznie to wyglądały one jak identyczne bliźniaki lub jak produkty klonowania.) Jedna z nich widać "wpadła" do naszej (odkrytej) studni, bo ciągle żywa wyłowiona została wiadrem na wodę w kilka dni później. Po pojawieniu się na ziemi zawsze gwałtownie się rzucały wykazując znaczną świeżość i siłę. W chwili ich pojawiania się lał dosyć ulewny deszcz, jednak nie było silnego wiatru (typu huragan czy trąba powietrzna) któremu można by przypisać ich przyniesienie. ...

Pamiętam, że kiedy w podnieceniu zwracałem uwagę obojga swoich rodziców na niezwykłość tego zjawiska, oni przyjęli je jako coś zupełnie normalnego twierdząc, że

widzieli je już poprzednio. Zgodnie z ich opinią były one częścią powtarzanych co jakiś czas działań Boga czy natury aby zarybiać nowopowstałe zbiorniki wodne. Faktycznie zresztą jakieś dziesięć lat później najprawdopodobniej znówó zmaterializowane zostały identyczne rybki w tym samym obszarze. Wprawdzie nie zaobserwowałem już samego faktu ich pojawiania się, jednak odnotowałem jego następstwa. Któregoś dnia, kiedy byłem już w końcowych latach swego liceum, zauważyłem rozkładające się ciało maleńkiej rybki w miejscu, w którym zgodnie z logiką nie powinno go być. Ponieważ ciało to przypominało mi identyczne ciała rozkładające się w następstwie poprzednio omawianego "deszczu" z dzieciństwa, z ciekawości zacząłem więc szukać dalszych. Poszukiwania przyniosły rezultaty i znalazłem wtedy sporą ilość małych rybek o zbliżonym stopniu rozkładu porzucanych przypadkowo na zbyt znacznym obszarze wokół domu moich rodziców aby dać się wyjaśnić np. ludzkim wandalizmem. Odnotowałem je nawet w odległości do 2 kilometrów od domu. Wszystko wskazywało więc na to, że również one pochodziły z "deszczu" podobnego do zaobserwowanego w dzieciństwie.

Deszcze żywych stworzonek są niezwykle rzadkością. Artykuł o takim deszczu żywych okoni, jaki zaszokował mieszkańców pustynnej osady w środku Australii, wskazałem i omówiłem w punkcie #H2 odrębnej strony o nazwie god_proof_pl.htm. W 2010 roku sensację wzbudził też deszcz żywych żabek jaki spadł na Słowacji. Wideo z owego deszczu pokazane było wówczas nawet w internecie pod adresem www.youtube.com/watch?v=NgAV9Plk9Dk&feature=youtube_gdata, zaś jego słowne opisy można znaleźć m.in. w google.pl po wpisaniu słów kluczowych "deszcz żab w Słowacji".

#D25. Zdarzenie o którym kiedyś wierzyłem że było "cudownym uzdrowieniem" (obecnie sądze że było ono zdalnym zadaniem i wyeliminowaniem choroby):

"Jeśli chcesz zaoszczędzić sobie kłopotów życiowych, unikaj jak możesz lekarzy, prawników, oraz dziennikarzy". To była często powtarzana rada udzielana każdemu przez mojego dziadka. Ja osobiście do rady tej staram się stosować. W rezultacie jeśli np. jestem chory, wówczas zamiast wizyty u lekarza raczej preferuję albo stosować środki naszych praocjów (np. zioła, czy wypocenie się), albo też prosić Boga o uzdrowienie. To moje "prośenie o uzdrowienie" przysporzyło mi doświadczeń które kiedyś uważałem za "cudowne uzdrowienia" (obecnie jedno z nich uważam jednak za coś zupełnie odwrotnego niż "uzdrowienie").

Pierwsze z owych niby "uzdrowień" było bardzo spektakularne. Gdy miało ono miejsce, moja pierś została oświetlona promieniem skoncentrowanego białego światła, jakby z lasera. Natomiast ja sam doznałem rodzaju jakby szoku. Z kolei w moich chorych oskrzelach pojawił się skostniały z zimna kształt w jakim zapanowało też odczucie bardzo charakterystycznego, leczącego swędzenia wibrującego. Tego "niby uzdrowienia" dokonał nieistniejący w obecnych czasach złowrogi posąg krzyżackiej Matki Boskiej słynący z rzekomych uzdrowień oraz z wrogiej dla Polaków przepowiedni która wymagała aż drugiej wojny światowej aby się wypełnić (przepowiednię tą oraz owo niby uzdrowienie opisuję w punktach #C4 i #C5 strony o nazwie malbork.htm). Do czasów drugiej wojny światowej posąg ten stał w Malborku we wnęce kościoła na zamku wysokim. Wnękę tą pokazałem poniżej na zdjęciu "Fot. #D25". To "niby uzdrowienie" od owego posągu było aż tak spektakularne, że sugerowałbym każdemu aby zapoznał się z jego pełnym opisem. Opis ten znajduje się na stronie internetowej o ciekawostkach miasta Malborka.

Fot. #D25 (B5 z [10]): Zdjęcie przedstawia mnie (dr inż. Jan Pająk) oraz niszę kościoła zamkowego w Malborku, gdzie aż do czasów drugiej wojny światowej stał złowrogi posąg krzyżackiej Matki Boskiej słynący z rzekomych uzdrowień oraz z wrogiej dla Polaków przepowiedni która wymagała aż drugiej wojny światowej aby się wypełnić (przepowiednię tą opisuję w punktach #C4 i #C5 strony o nazwie malbork.htm). Nisza ta widoczna jest ponad moją głową (ta otynkowana wewnątrz na biało). Zdjęcie to wykonano w czerwcu 2004 roku.

Na swoje urodziny w 1995 roku, posąg ten potraktował mnie wysoce

spektakularnym widowiskiem, które aż do 7 kwietnia 2010 roku uważałem za rodzaj "cudownego uzdrowienia". (Jak to jednak wyjaśniam w częściach #E i #F strony o nazwie malbork.htm, najprawdopodobniej było to tylko "pozorem uzdrowienia".) To niby "uzdrowienie" opisałem potem dokładnie na całym szeregu swoich stron internetowych i publikacji, włączając w to również i stronę o tajemnicach i ciekawostkach zamku z Malborka. W czasach przedwojennych podobne "cudowne udrowienia" miały miejsce w kościółku Św. Anny w Karłowie pod Miliczem, który słynął z nich na całą okolicę. Dawniej twierdzono, że źródłem tych uzdrowień był zarówno stary dąb, obecnie już tam nie istniejący, jaki kiedyś znajdował się oddalony tylko o kilka metrów na południe od obecnego położenia ołtarza tego kościółka, jak i "anielski kamień" (który miał leczyć bezpłodność), jaki w latach pomiędzy 1981 a 2004 zniknął ze swego typowego miejsca w którym leżał przez wieki.

W życiu nic nie dzieje się bez powodów. Osobiście uważam, że owo spektakularne "niby uzdrowienie" w Malborku, którego doświadczyłem, miało na celu zainspirowanie mnie do badań mechanizmu takich uzdrowień. W wyniku tych badań doszedłem do wniosku, że takie "uzdrowienia" mogą być dokonywane przez praktycznie każdy obiekt, jaki zgromadzi w sobie wymaganie duży ładunek tzw. energii moralnej. Przykładowo, w dzisiejszej Malezji ludzie bardzo powszechnie zwracają się o dokonywanie uzdrowień do specjalnych rodzajów drzewa, które nazywane są tam datuk. Wygląd jednego takiego drzewa "datuk" pokazałem na stronach internetowych ufo_pl.htm oraz malbork.htm. Natomiast na tropikalnej wspie Borneo uzdrowień dokonują specjalnie rzeźbione totemy drewniane. Z kolei aby obiekty te zgromadziły w sobie wymaganą energię moralną, ludzie muszą się do nich modlić. Czyli praktycznie każdy obiekt do którego modli się wymagana liczba ludzi, po jakimś czasie nabywa potencjał do dokonywania cudownych uzdrowień. W Miliczu kiedyś istniało sporo takich obiektów.

#D26. Chińskie "Feng Shui" w średniowiecznych zamkach – żaba z Malborka:

Chińczycy uznają rodzaj tajemnej wiedzy, jaką oni nazywają "feng shui". Wiedza ta to zbiór zasad które określają warunki konieczne do wypełnienia aby ktoś, lub coś, osiągnęło powodzenie w swoim życiu oraz uchroniło się przed katastrofami. Przykładowo, owo feng shui stwierdza, że każda ludzka konstrukcja powinna posiadać dwa symbole które polaryzują przepływ energii przez tą budowlę. Bardzo często jednym z tych symboli dla Chińczyków jest żaba, innym zaś jakiś ichni Bóg. Jak też się okazuje, średniowieczne miasta i zamki w Polsce budowane były także według dokładnie tej samej zasady. Przykładowo zamek w Malborku, na głównej bramie wjazdowej z mostu na Nogacie (czyli na tzw. "Bramie Wodnej"), dokładnie na osi centralnej zamku, do dzisiaj posiada rzeźbę żaby, jaka jest niemal identyczna do żab używanych przez Chińskie feng shui - patrz fotografia "Fot. #D26". Z kolei na drugim końcu tej samej osi centralnej zamku w Malborku kiedyś znajdował się posąg Matki Boskiej (posąg ten umieszczony był we wnęce pokazanej na zdjęciu "Fot. #D25", podczas gdy piszę o nim na stronie internetowej o ciekawostkach miasta Malborka dostępnej poprzez "Menu 1"). Owa rzeźba żaby i posąg Matki Boskiej definiowały skierowaną ku wschodowi, ekspansywną polaryzację energii zamku w Malborku, a więc także i polaryzację ekspansji Malborka.

Ciekawostką Milicza jest, że w przeszłości także posiadał on podobne symbole definiujące polaryzację przepływu energii tego miasta. Na swojej północnej bramie (tzw. gnieźnieńskiej) posiadał on rzeźbę ryby. (Ryba wnosi podobny symbolizm energetyczny jak żaba. Jest ona symbolem wchłaniania i przyciągania.) Natomiast na południowej bramie (tzw. wrocławskiej) posiadał on rzeźbę lwa. Kopia owej rzeźby lwa przetrwała do dzisiaj, po tym jak została odtworzona i przemieszczona na wierzchołek bramy do milickiego pałacu. Jej dzisiejszy wygląd można sobie oglądać na zdjęciu "Fot. #4" ze strony internetowej o podmilickiej wsi Wszewilki. (Symbolika energetyczna lwa jest ekspansja i ruch. To właśnie z jego powodu miasto Milicz dokonywało swojej ekspansji w kierunku południowym.) Stąd przepływ energii Milicza, a stąd także kierunek ekspansji Milicza, był kierowany od północy ku południu. Symbole te zdają się kontynuować swoje działanie w Miliczu aż do dzisiaj.

Fot. #D26 (C4 z [10]): "Żaba na piramido-kształtnym piedestale" z "Bramy Wodnej" po zachodniej stronie Zamku w Malborku. Powyższa fotografia wykonana została od strony tylniej, czyli z obrębu zamku. Jednak ta sama żaba oraz jej piramido-kształtny piedestał uwidocznione też zostały w tym drugim, frontowym ujęciu na zdjęciu "Fot. #D11" ze strony internetowej o mieście Wrocławiu. Żaby mają specjalną symbolikę w chińskim "feng shui", jako symbol wpływu i dobrobytu. Ich posągi często więc są jednym z dwóch symboli które wyznaczają polaryzację danego siedliska ludzkiego. Przepływy energii przez średniowieczny Milicz też oparte zostały na symbolach takiej właśnie polaryzacji. Tyle że w Miliczu symbolem "wpływu" była rzeźba niemal pionowo ustawionej dynamicznie sprężonej ryby (wyglądająca jak karp wyskakujący z wody) przyozdabiająca bramę gnieźniejską, zaś symbolem ekspansji była rzeźba lwa, przyozdabiający bramę wrocławską tego miasteczka. Dokładne położenia obu tych bram z symbolami polaryzacji Milicza omówione są w punkcie #D2 strony internetowej o zwiedzaniu Milicza i Wszewilek.

#D27. Mury obronne wokół milickiej starówki:

Dzisiejsze źródła historyczne nie są jednoznaczne na temat murów obronnych Milicza. Wszakże jako miasto średniowieczne posiadza się że musiało ono posiadać takie mury. Jednocześnie jednak posiadanie murów obronnych przez Milicz nie jest stwierdzane jako pewnik. Tymczasem jeśli uważnie przyglądnijemy się zabudowie starówki Milicza, wówczas staje się jasne, że Milicz z całą pewnością miał swoje mury obronne. Przebieg tych murów jest bowiem wyraźnie ujawniany rozlokowaniem poszczególnych budynków oraz przebiegiem ulic. Przykładowo zachodnia linia tych murów przebiegała po wewnętrznej stronie tego, co po wojnie było znane jako "młynówka". Faktycznie owa "młynówka" była pozostałością starej fosy miejskiej omywającej mury Milicza od zachodu i południa. W murach obronnych Milicz posiadał też co najmniej cztery bramy. Ozdobna imitacja jednej z owych bram (tj. zachodniej) przetrwała do dzisiaj w swoim niemal pierwotnym ustawieniu.

Oczywiście czytelnika zapewne także zainteresuje, jak owe mury wyglądały. Otóż wcale nie były one z cegły. Wszakże pierwsza cegielnia koło Milicza zaczęła działać dopiero w 14 wieku. Tymczasem Milicz posiadał mury od samego początku swojego istnienia, tj. prawdopodobnie już od 11 wieku. Pierwsze więc budynki i mury Milicza były układane z miejscowej "rudy darniowej", jakiej kiedyś istniało sporo na terenie obecnego Milicza oraz na przylegającym do niego obszarze. Jej bryły do dzisiaj zresztą można odnaleźć w co dzikszych miejscach z okolic Milicza. Ruda ta doskonale nadawała się jako budulec. Jak mury z owej rudy wyglądały, ciągle można to zobaczyć do dzisiaj. Kiedy bowiem w 1844 roku rozebrano ostatnie istniejące fragmenty murów obronnych Milicza, z pozyskanej w ten sposób rudy darniowej zbudowano ogromną bramę wjazdową do pałacu Maltzanów. Bramę tą wprawdzie niedawno także rozebrano, jednak jej fragment ciągle istnieje na swym oryginalnym miejscu, jako piedestał dla pozostawionego na jej byłym miejscu posągu lwa (lew ten kiedyś zdobił wierzchołek owej bramy). Jak dokładnie on wygląda, można to zobaczyć na zdjęciu "Fot. #F1" ze strony internetowej o wsi Wszewilki dostępnej za pośrednictwem Menu 1. Otóż piedestał ten do dzisiaj zawiera kawałki rudy darniowej, jaka poprzednio składała się na mury obronne średniowiecznego miasta Milicza. Stąd można o nim powiedzieć, że stanowi on ostatnią pozostałość murów obronnych Milicza, oraz dostarcza ilustracji jak kiedyś owe mury wyglądały. (Przybliżony wygląd dawnych murów obronnych Milicza ilustruje też fotografia "Fot. #D27(b)").

* * *

Fot. #D27(a): (Kliknij na pokazany tu zielony guzik linku do aby wywołać, powiększyć i oglądać niniejszą ilustrację. Po instrukcję powiększania i przemieszczania ilustracji - kliknij na guzik "instrukcja użycia" podaną pod "Fot. #D5(b)" i "Fot. #D31".)

Ilustracja "Fot. #D27(a)" pokazuje milicką starówkę na ilustracji z lat 1930-tych. Poprzez zwykłe przeanalizowanie ułożenia budynków oraz przebiegu ulic staje się oczywiste, że Milicz posiadał w średniowieczu swoje mury obronne. Mury te formowały

kształt owalu, jaki był typowy dla średniowiecznych miast wznoszonych na płaskim terenie. W murach tych zwykle istniały cztery bramy, skierowane w czterech kierunkach świata. Ułożenie ulic Milicza, widoczne w milickiej starówce do dzisiaj, ujawnia ich faktyczne zbieganie się u owych czterech bram wylotowych z miasta.

Fot. #D27(b): Oto jak zapewne wyglądały mury obronne Milicza. Ułożone one były z miejscowej "rudy darniowej", oraz najprawdopodobniej sięgały około 10 metrów wysokości. Musiały wszakże chronić pobliskie budynki aż do dachów. Co jakiś też czas posiadały wbudowane w siebie baszty obronne, podobne do baszty z fotografii "Fot. #D6 (b)". Powyższe zdjęcie ukazuje przykład średniowiecznych murów miejskich jakie do dzisiaj istnieją w Paczkowie. Niemniej mury Milicza zapewne były do nich bardzo podobne (podobnie zresztą jak generalny plan zabudowy Milicza jest podobny do planu zabudowy Paczkowa). Wszakże mury Milicza ułożone były z rudy, jaka wyglądem nieco przypominała kamienie użyte do budowy murów obronnych Paczkowa.

#D28. Milicki rynek:

Przed drugą wojną światową centrum rynku milickiego zajmował interesujący ratusz. Jego wygląd pokazany jest na fotografii "Fot. #D28". Niestety ratusz ten został zniszczony w ostatniej fazie drugiej wojny światowej, podczas bitwy o Milicz pomiędzy wojskami radzieckimi, a miniaturowym garnizonem niemieckim jaki przeciwstawił się nacierającym Rosjanom. Niedoświadczony dowódca owego garnizonu zabarykadował go w najgorszym możliwym miejscu, czyli właśnie w ratuszu. Z punktu widzenia strategii obronnej była to bardzo głupia decyzja, bowiem nie stwarzała Niemcom żadnej możliwości wycofania się i w rezultacie prowadziła do szybkiej zagłady całego tego garnizonu. Wszakże kolumna czołgów radzieckich majora Lagina która zajęła Milicz, nie miała żadnych trudności w całkowitym otoczeniu ratusza, ani nie miała też żadnego innego wyjścia niż ostrzelać i zburzyć ten ratusz, szybko i całkowicie likwidując w ten sposób ów punkt niezdarnego oporu Niemców.

Ratusz milicki zniszczony podczas drugiej wojny światowej był relatywnie nową budowlą. Wszakże został zbudowany w 1851 roku. Przed jego zbudowaniem Milicz posiadał inny ratusz, stojący w tym samym miejscu od początku istnienia Milicza. Niestety był on już bardzo stary i niewygodny. Zbudowany był z rudy darniowej a nie z cegły, stąd był trudny do remontowania. Musiał być więc zastąpiony nowszym.

Swój pierwszy kościół Milicz posiadał począwszy od 12 wieku. Zlokalizowany on był w obrębie jego murów obronnych. Otoczony był miniaturowym cmentarzykiem. Obecnie ani kościół, ani ten cmentarzyk, już nie istnieją. Na ich miejscu stoją budynki mieszkalne. Ów pierwszy milicki kościół był zlokalizowany na małym placu jaki przylegał bezpośrednio do rynku w jego północno-wschodnim narożniku. Zlokalizowanie i wygląd tego kościoła nieco przypominały układ rynku we Wrocławiu, gdzie w północno-zachodnim narożniku też znajduje się kościół Św. Elżbiety Węgierskiej położony na małym placu który oryginalnie był przykościelnym cmentarzem. Jednak kościół milicki, podobnie jak pozostałość oryginalnego Milicza, był sklecony z brył rudy darniowej. Z czasem przestał się więc on podobać mieszkańcom Milicza. Stąd wybudowali oni dla siebie inny kościół, przenieśli do niego kościół milicki, zaś mury starego kościoła z czasem rozebrali. Jedyna widoczna do dzisiaj po nim pozostałość, to owo jakby "nielogiczne" poszerzenie ulicy wylotowej w północno-wschodnim kącie milickiego rynku. Więcej danych na temat losu poszczególnych kościołów Milicza zawarte jest na stronie Św. Andrzej Boboła dostępnej z "Menu 1".

Fot. #D28: Wygląd ratusza milickiego wzniesionego w 1851 roku. Ratusz ten spalony został w trakcie bitwy o Milicz w końcowych dniach drugiej wojny światowej. Milicz zdobywały wówczas wojska radzieckie majora Lagina, zaś w ratuszu zabarykadowali się hitlerowcy. W czasach mojej młodości ruiny tego ratusza ciągle były najbardziej prominentnym składnikiem rynku milickiego. Z kolei tunele ziemne które wiodły do tego ratusza od

warownego zamku milickiego, były ciągle przechodne jeszcze w czasach mojego liceum, tj. w latach 1960 do 1964. To właśnie w okolicach owego ratusza z tuneli podziemnych prowadziły wejścia do licznych lochów w których w czasach średniowiecza więzieni byli lub zamurowywani żywcem ludzie niewygodni dla władz miasta.

Zdjęcia milickiego ratusza zrobione w 1936 roku, a także opisy bitwy o milicz - podczas której ratusz ten został spalony, zaprezentowane zostały na stronie [bitwa_o_milicz.htm](#). Klikaj na guziki poniżej aby oglądać owe stare zdjęcia:

#D29. Najbardziej interesujące budowle Milicza:

Milicz ma kilka relatywnie interesujących budowli. W tym punkcie omówimy te najciekawsze z nich.

#D29.1. Kościół pod wezwaniem Św. Andrzeja Boboli w Miliczu:

Omówieniu tego kościoła poświęcona jest cała odrębna strona o nazwie [sw_andrzej_bobola.htm](#). Tutaj więc jedynie przytoczę jego zdjęcie. Oto ono:

Fot. #D29 (B1 z [10]): Stary kościół ewangelicki z Milicza. Obecnie pod wezwaniem Świętego Andrzeja Boboli (dawniej Świętego Krzyża). Powyższa fotografia pochodzi z 2003 roku. Został on zbudowany w latach od 1709 do 1712. Stanął na miejscu prastarej drewnianej kaplicy cmentarnej, jaka jednak stała w ruinach już na długo przed podjęciem budowy tego kościoła. (W obszarze przylegającym do tego kościoła, oraz istniejącego kiedyś przy nim parku, w średniowiecznych czasach znajdował się prastary cmentarz milicki.) Powstał on jako jeden z siedmiu kościołów "Łaski", wybudowanych dla śląskich ewangelików na mocy układu altranszadzkiego z cesarzem Austrii. Przed drugą wojną światową kościół ten był słynny z bardzo pięknej późno-barokowej ambony oraz chrzcielnicy. Jak jednak wyjaśniono to w informacji wiszącej przy owym kościele, obecnie owa ambona i chrzcielnica znajdują się w katedrze w Poznaniu (co jest raczej korzystne dla Milicza, bowiem w Poznaniu może ją podziwiać znacznie więcej zwiedzających niż w Miliczu, przy okazji dowiadując się że takie coś jak miasto Milicz wogóle istnieje). Margrabia Henryk Maltzan, który ufundował ów kościół, nakazał także zbudować tajny tunel podziemny wiodący z jego pałacu do piwnic tego kościoła. Tunel ten był ciągle przechodni w czasach zaraz po drugiej wojnie światowej. Jednak potem został zamurowany. Miał on połączenie z całą siecią średniowiecznych lochów i tuneli podmilickich. Z kolei w owych lochach i tunelach ma się znajdować zamurowany skarb zamku milickiego z czasów wojen husyckich. Także lasy z okolic Milicza kiedyś dosłownie przepelnione były "skarbami". Skarby te to co cenniejszy dobytek niemieckich rolników, jacy w ostatnich dniach drugiej wojny światowej salwowali się ucieczką w głąb Niemiec, jednak jacy z powodu braku transportu oraz pośpiechu nie byli w stanie zabrać ze sobą swego cenniejszego dobytku. Aczkolwiek spora część owych "skarbów" została znaleziona zaraz po wojnie, ciągle jakaś ich proporcja zapewne zalega ziemię podmilickich lasów do dzisiaj, starannie ukryta przed poszukującymi ich ludźmi.

* * *

Natychmiast po drugiej wojnie światowej w Miliczu istniały trzy kościoły - nie wliczając w to kościółka Św. Anny w Karłowie pod Miliczem. Dwa z nich przetrwały do dzisiaj. (Ten drugi "mały" neorenesansowy kościółek pod wezwaniem Św. Michała Archanioła stoi nieopodal Rynku przy wschodnim obrzeżu miasta. Zbudowany on został w 1821 roku, na miejscu poprzedniego gotyckiego kościoła z XV wieku z którego do dzisiaj zachowało się prezbiterium. Posiada wewnątrz podziemną kryptę i chrzcielnicę z 1561 roku.) Trzeci kościółek nie był używany od czasu wojny, w latach tuż po wyzwoleniu służąc jako magazyny wojskowe, zaś w latach 1960-tych będąc przebudowanym w dom towarowy (nazywany WDT).

* * *

W wyniku szczęśliwego zbiegu okoliczności, jeden z czytelników moich stron internetowych odnalazł i dostał mi oryginalny projekt architektoniczny dla milickiego

kościół obecnie pod wezwaniem Św. Andrzeja Boboli (dawniej pod wezwaniem Świętego Krzyża). Projekt ten pochodzi z 1709 roku. Oryginalnie opublikowałem go jako "Fot. #C3" na odrębnej stronie o nazwie sw_andrzej_bobola.htm. Jednak poniżej postanowiłem również udostępnić czytelnikowi ów plan do oglądnięcia, a także udostępnić do poczytania podpis jaki umieściłem pod owym planem na stronie o nazwie sw_andrzej_bobola.htm. Oto one:

* * *

Fot. #D29(b): (Kliknij na pokazany tu zielony guzik linku do aby wywołać, powiększyć i oglądać niniejszą ilustrację. Po instrukcję powiększania i przemieszczania ilustracji - kliknij na guzik "instrukcja użycia" podaną pod "Fot. #D5(b)" i "Fot. #D31".)

Ilustracja "Fot. #D29(b)" pokazuje prawdziwy skarb historyczny. Pokazany jest bowiem na niej skan z oryginału projektu architektonicznego z 1709 roku (data jego sporządzenia umieszczona jest ponad wieżą). Kurtuazji "Miliczana-1931". Projekt ten pokazuje przewidywany wygląd przyszłego "ufortyfikowanego" kościoła ewangelickiego w Miliczu pod wezwaniem Świętego Krzyża. Obecnie kościół ten znany jest w Miliczu jako kościół katolicki pod wezwaniem Św. Andrzeja Boboli.

Odnotuj że kościół ten został zbudowany w 1714 roku - patrz podpis pod "Fot. #D29" powyżej na tej stronie. Powyższy projekt z 1709 roku pokazuje więc jak architekt zaprojektował wygląd tego kościoła przedtem zanim podjęto jego budowę.

Na powyższym projekcie zwraca naszą uwagę aż cały szereg spraw. Przykładowo data jego wykonania (1709 rok). Nie tylko oznacza ona że ów projekt liczy obecnie ponad 300 lat, ale także że jest to najstarszy dokument architektoniczny Milicza jaki dostępny jest do publicznego wglądu. Każdego powinno też zastanowić w tym rysunku owo solidne i wysokie ogrodzenie które broniło wówczas dostępu do ewangelickiego kościoła. Miało ono jednak swoje uzasadnienie. W owym bowiem czasie Milicz był zamieszany przeważająco przez Katolików polskiego pochodzenia, którym powyższy kościół ewangelicki narzucany był odgórnie przez pruskie władze. Władze te poważnie więc się obawiały, że nowy kościół i narzucana odgórnie obca wiara jaką on reprezentował, mogą być przyjęte wrogo oraz wandalizowane przez miejscowych. Kościół ten zaprojektowany więc został jako rodzaj niemal małej twierdzy krzyżackiej - co wyraźnie widać po otaczającym go ogrodzeniu. Jak bowiem zapewne pamiętamy, władze pruskie wywodziły swe tradycje narzucania wiary od rządów Albrechta von Hohenzollern-Ansbach (pokazanego i omówionego na "Fot. #M3c" z totalizycznej strony day26_pl.htm), a jeszcze wcześniej od Krzyżaków którzy praktykowali upowszechnianie nowej wiary z pomocą mieczy na słowiańskich Prusakach oraz na mieszkańcach Ziemi Świętej. Historia zaś Albrechta von Hohenzollern-Ansbach dokładnie nam ilustruje jakie to były tradycje. Wszakże to on sprytnie zlikwidował Zakon Krzyżacki i to on w 1525 roku zamienił Zakon Krzyżacki w Księstwo Pruskie - z którego z czasem wyrosły Hitlerowskie Niemcy. Także to on podważył swym księstwem wpływy kościoła katolickiego poprzez oficjalne przejście na luteranizm oraz przez spowodowanie przejścia na luteranizm również wszystkich swoich poddanych. Kolejna sprawa rzucająca się w oczy na powyższym rysunku, to pradawny strój milickich mieszczan z tego planu. Patrząc na ich ubiory możnaby mieć wrażenie że ogląda się scenkę z dawnego Rzymu lub Paryża, nie zaś z Milicza. Jeszcze jedną ciekawostką powyższego projektu jest owo drzewo o poskręcanych korzeniach z prawego-dolnego rogu. Patrząc na nie przypominam sobie, że drzewo to jest autentyczne (tj. wcale nie jest jedynie wymysłem architekta). Ciągłe ono bowiem tam rosło już po drugiej wojnie światowej (tj. w czasach mojego dzieciństwa). Znajdowało się ono po przeciwstawnej do kościoła stronie ówczesnej wylotowej ulicy z Milicza do Sułowa. Jego zaś faktyczne istnienie oznacza, że powyższy projekt wcale NIE jest jedynie artystyczną wizją, ale także dokumentem historycznym sporządzonym na podstawie dokładnych badań terenowych.

#D29.2. Liceum Ogólnokształcące w Miliczu:

Gdyby ktoś starał się znaleźć najbardziej zasłużoną instytucję Milicza, która faktycznie akumuluje w sobie całą esencję tego miasteczka, byłoby nim miejscowe Liceum

Ogólnokształcące (to oryginalne, znaczy Nr 1). To właśnie z pierwszych klas tego liceum wywodzili się młodociani "żołnierze" w mundurach niemieckich, którzy przeciwstawiali się w milickim ratuszu nacierającym wojskom radzieckim. To także z owego liceum wywodzi się czołówka intelektualna Milicza, oraz wszyscy najślawniejsi obywatele tego miasteczka. Nie potrafię sobie wyobrazić odwiedzenia Milicza bez złożenia wizyty w tym historycznym liceum.

Fot. #D30 (M3 z [10]): Liceum Ogólnokształcące w Miliczu. Fotografia z lipca 2004 roku. Jego ciekawostką jest, że przed wojną zostało ono zbudowane "na wyrost", aby nadawać Miliczowi splendoru. Dzisiaj okazuje się już zbyt małe dla szybko pęczniejącej ludności tego miasta. Więcej danych o tym liceum zawarte jest na stronie Liceum w Miliczu oraz na innych stronach od niej pochodnych.

#D30. Skarby i ukryte kosztowności miasta Milicza oraz jego okolic:

Motto: "Ludzie przemijają, tylko ich kosztowności pozostają."

Jak wszyscy wiemy, praktycznie każde miasto posiada swoje opowieści i legendy o ukrytych skarbach. Milicz nie jest w tym względzie wyjątkiem. Co ciekawsze, w Miliczu i okolicach znalezione już zostało aż kilka skarbów. Jeden z nich, tj. "skarb bursztynowy", opisałem już w punkcie #C1 tej strony. Kolejny skarb już znaleziony w dziupli starego dęba z cmentarza we Wszewilkach opisałem w podpisie pod "Fot. #C2a" z odrębnej strony o nazwie wszewilki.htm (punkt #D3 tamtej strony o Wszewilkach zawiera też opisy dalszych starych skarbów z okolic Wszewilek i Milicza - nie opisanych już poniżej).

W czasach swojej młodości nasłuchiwałem się sporo opowieści o milickich skarbach wartych odszukania. Na ile opowieści te są prawdą, tego mi nie wiadomo. Niemniej powtórzę tutaj niektóre z nich. Wszakże stanowią one kolejną ciekawostkę i zagadkę miasteczka Milicza.

1. Skarb z milickiego zamku. Stare opowieści stwierdzają, że kiedy husyci jak niszczycielska fala zaczęli zmiatać kolejne miasta Dolnego Śląska, ówczesni właściciele zamku w Miliczu postanowili ukryć posiadane kosztowności. Kosztowności te nakazali zaufanym sługom zamurować w jednej z bocznych komór do której wejście prowadziło z podziemnych lochów rozprzestrzeniających się z milickiego zamku w najróżniejszych kierunkach. Niestety, kiedy husyci zdobyli i spalili zamek milicki, ich ofiarami padły także osoby które wiedziały gdzie znajdowało się wejście do owej zamurowanej komory. Od owego czasu ów skarb z zamku milickiego był poszukiwany przez wielu, jednak nigdy nie odkryty.

2. Skarb margrabiego. Kiedy w ostatnich dniach drugiej wojny światowej wojska radzieckie zbliżały się już do Milicza, milicki pałac margrabiego ciągle był pełen wartościowych obiektów. Obejmowały one drogie zastawy, meble, obrazy, oraz inne cenne sprzęty. Jednak brak już było transportu oraz siły roboczej, aby te cenności wywieźć z Milicza. Zdecydowano się więc aby je ukryć. Pod pałacem margrabiego znajdują się duże piwnice. Jedną komorę z tych piwnic użyto więc dla złożenia w niej co wartościowszych obiektów, zaś komorę tą potem zamurowano i zamaskowano dla niepoznaki. Kosztowności te podobno pozostają tam ukryte do dzisiaj (nie słyszałem aby ktoś w międzyczasie zdołał je odnaleźć).

3. Skarby z podmilickich wsi. W czasach mojej młodości istniał rodzaj powszechnego obowiązku "chodzenia za stonką". (Zgodnie z oficjalną propagandą rozsiewaną w owych dawnych czasach, podobno Amerykanie mieli jakoby bombardować stonką ziemniaczaną pola w komunistycznych krajach - aby zesłać klęskę głodową na te kraje. Odnotuj że angielska nazwa dla "stonki ziemniaczanej" brzmi "Colorado beetles". Więcej informacji na temat "chodzenia za stonką" w tamtych dawnych czasach zawarte zostało w punkcie #J2 strony o nazwie wszewilki.htm.) Owo "chodzenie za stonką" polegało na tym, że z każdego domu mojej wsi Stawczyk - w której mieszkali moi rodzice, jedna

osoba była typowana aby w imieniu tego domu, wraz z resztą wioski, poszukiwać stonki ziemniaczanej w kartofliskach tej wioski. Oczywiście nie samą pracą człowiek żyje. Stąd podczas poszukiwania owej stonki, poszukująca grupa robiła sobie przerwy. Podczas owych przerw co młodsi uczestnicy poszukiwań, włączając w to mnie, mieli okazję delektowania się najróżniejszymi opowiadaniem przekazywanymi nam przez starszych uczestników. W taki oto sposób m.in. poznałem wiele opowieści o skarbach odkrywanych koło wsi Wszewilki. Jak też okazywało się, koło wsi Wszewilki "skarbów" owych odkrytych było dosłownie dziesiątki. Wszystkie one wywodzą się z ostatnich dni drugiej wojny światowej. Kiedy wojska radzieckie zbliżały się do okolic Milicza, miejscowi rolnicy niemieccy wpadali w panikę. Nie byli bowiem w stanie uciekać z całym cennym dobytkiem, bowiem drogi były zapakowane, a ponadto brakowało im transportu - tak jak to opisuje obrazowo punkt #C1 na stronie bitwa_o_milicz.htm. Wszystko więc co mieli cennego, a czego nie byli w stanie zabrać ze sobą podczas ucieczki, zakopywali w okolicznych lasach. Owe więc zakopane dobra niemieckich rolników z okolic Milicza były właśnie "skarbami", jakich dosłownie dziesiątki odkryto zaraz po wojnie. Ja sam pamiętam liczne doły po owych skarbach, które jeszcze w czasach mojej młodości istniały porozsiewane w okolicznych lasach. Można się też domyślać, że nie wszystkie z tych skarbów zostały odkryte, zaś spora ich część istnieje zapewne zakopana do dzisiaj w miejscowych lasach.

* * *

Oczywiście, jak imponujące by NIE były skarby ciągle kryjące się w podziemiach i okolicach Milicza, skarby te nie mogą się równać z wartością np. "dzwonu całego ulanego ze złota" jaki - zgodnie z legendami, do dzisiaj ma leżeć zatopiony w ruinach niemoralnego miasta Wineta (Vineta lub Veneta) z okolicy północnych wybrzeży Polski. O tamtym dzwonie z litego złota piszę więcej w punkcie #H2 odrębnej strony internetowej o nazwie tapanui_pl.htm.

#D31. Stawy milickie:

Milicz słynie ze stawów rybnych. Faktycznie też, jeśli przegłędnie się jakikolwiek przewodnik o Miliczu, stawy są w nim uwypuklone jako najważniejsza atrakcja Milicza. Ponieważ na ich temat, a także na temat rezerwatów istniejących na obszarze niektórych z nich, publikowanych jest relatywnie dużo informacji, nie będę więc tutaj już o nich się rozpisywał.

* * *

Fot. #D31: (Kliknij na pokazany tu zielony guzik linku do aby wywołać, powiększyć i oglądnąć niniejszą ilustrację. Po instrukcję powiększania i przemieszczania ilustracji - kliknij na guzik .)

Ilustracja "Fot. #D31" pokazuje jak ogromne mogą być niektóre stawy milickie, tak że ich zarośnięty lasami przeciwny brzeg niemal znika z widoku. Stawy te są zarybione słynnym karpem milickim jakim na wigilię zajada się praktycznie cała Polska.

#D32. Natura i przyroda milicka:

Milicz ma szczególnie wspaniały mikroklimat. Faktycznie to jest w nim ciepło kiedy w innych częściach Polski ludzie trzęsą się z zimna. Być może że te korzystne dla ludzi anomalie klimatyczne mają swe pochodzenie w ogromnej liczbie stawów, jakich wody akumulują w sobie sporo ciepła. Faktem jednak jest, że natura i lasy milickie są szczególnie bujne. Z kolei stawy milickie są siedliskiem dla licznych ptactwa wodnego którego ogromna liczebność i wysoka unikalność rozśławia Milicz po całej Polsce. Milicz jest warty odwiedzenia choćby po to aby zobaczyć jego bujną naturę i ptactwo wodne.

Fot. #D32: Przyroda wokół Milicza jest szczególnie bujna. Przykładowo lasy koło Milicza rosną jak tropikalne dżungle.

#D33. Nieoficjalny festiwal kwiatów lipowych i karpia w Miliczu:

Co roku, w drugim tygodniu lipca, w Miliczu rozpoczyna się nieoficjalny festiwal

kwitnących drzew lipowych. Jest to taki milicki odpowiednik dla słynnych japońskich "festiwali kwitnącej wiśni" (po angielsku "Cherry Blossom Festivals"), oraz do podobnie słynnych "festiwali kwiatowych" zorganizowanych w mieście Alexandria z Nowej Zelandii. Jest on nieoficjalny, ponieważ nie został wpisany (jeszcze) do żadnego kalendarza oficjalnych imprez milickich. Jednak już od dawna ściąga on do Milicza całe rzesze wczasowiczów i turystów, którzy wiedzą o jego istnieniu. Przykładowo, w lipcu 2004 roku ja sam przybyłem do Milicza aż z Nowej Zelandii, tak planując swoje przybycie i pobyt, aby właśnie przebywać w Miliczu w owym szczególnym czasie. W owym bowiem unikalnym okresie lipca, w Miliczu i jego okolicach zakwitają drzewa lipowe. A w Miliczu jest tych drzew istne zatrzęsienie. Powietrze nabiera wówczas podniecającego zapachu miodu i rozprzestrzeniania nowego życia. Ci co je wdychają uczestniczą w istnej uczcie zapachowej. Wcale przy tym nie zdając sobie z tego sprawy poprawiają oni swoje zdrowie za pośrednictwem ogromnie modnej ostatnio na Zachodzie, naturalnej tzw. "Aroma Therapy" (tj. "terapii zapachowej"). W dzisiejszych czasach zanieczyszczenia powietrza i szalejącej motoryzacji, taka uczta zapachów lipy to coś niezwykłego.

Milicz już zdołał utrwalić swoją renomę jako siedziba zespołu szkół przyrodniczych. Warto by więc było, aby dodatkowo wsparł tą swoją pozycję poprzez oficjalne powołanie w Miliczu festiwalu kwitnącej lipy. Festiwal ten obejmowałby sobą cały wahlarz imprez związanych z celebrowaniem okresu kwitnienia lipy i wszystkiego co z kwitnieniem tym się wiąże, czyli lata, robaczków świętojańskich, spacerów przy księżycu, wigoru, natury, miłości, inicjacji życia, itp. Wszakże to zapewne właśnie z powodu owych unikalnych warunków jakie w lipcu panują w Miliczu, pobliski kościółek Św. Anny w Karłowie słynny był w dawnych czasach z przywracania płodności. A okres czasu kiedy takie przywracanie płodności miało tam miejsce, pokrywał się w czasie z okresem kwitnienia lipy - następował bowiem w ostatnią niedzielę lipca - patrz podpis pod rysunkiem "Fot. #D20".

Fot. #D33: W drugim tygodniu lipca każdego roku, Milicz tonie w zapachu kwiatów lipowych, jakich jest w nim istne zatrzęsienie. Ich słodki, miodowy zapach wprowadza do miasta atmosferę życia, radości i prokreacji. Wielu ludzi, włączając w to mnie samego, przybywa wówczas do tego miasta z różnych zakątków świata tylko po to, aby zapachem tym się upajać. Powyższy rząd drzew lipowych obsypanych dorodnym kwiatostanem sfotografowałem wzdłuż północnego obrzeża ośrodka wczasowego "Karłów" (ok. 2 km na południe od Milicza, przy drodze z Milicza do Wrocławia), gdzie w lipcu 2004 roku mieszkałem w sporym i wygodnym domku kampingowym wynajętym za jedyne 50 złotych na dobę.

Warto tutaj podkreślić, że lipy (w tym również milickie) zawsze były i pozostają kwiatami festiwalowymi dla Polaków. Można wręcz o nich stwierdzić, że stanowią one rodzaj narodowego kwiatu dla Polski i Polaków. Wszakże od najdawniejszych czasów polscy poeci pisali o nich wiersze, np. "Gościu, siądź pod mym liściem, a odpocznij sobie! Nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie ..." (Jan Kochanowski "Na lipę"). W polskich aptekach do dzisiaj można nabyć herbatę z kwiatu lipowego, jaka praktycznie leczy wszystkie choroby bazujące na alergii. Miód lipowy jest słynny w Polsce z aromatu i własności leczniczych. Drewno lipowe od zamierzchłych czasów używane było przez polskich rzeźbiarzy. Ponadto zakwitanie lip jest punktualne jak szwajcarskie zegarki. Każdego roku lipy kwitną dokładnie o tej samej porze. Można więc na nie liczyć "jak na Zawiszę" w długofalowym planowaniu takich przedsięwzięć jak np. oficjalne festiwale - czego niestety nie daje się powiedzieć o wielu zamorskich kwiatkach. (Np. rododendron, po polsku zwany "rózanecznik", z licznych odmian którego park margrabiego milickiego przed wojną też był słynny na całą Europę, niestety nie posiada ściśle ustalonego okresu kwitnienia.)

Część #E: Dlaczego Milicz jest aż tak unikalnym i tajemniczym miastem:

#E1. Milicz tylko wygląda niepozornie, jednak kryje wiele niezwykłości i niezbadanych tajemnic:

Niniejsza strona ujawnia, że na przekór iż Milicz wygląda niepozornie i tuzinkowo, faktycznie ukrywa on wiele tajemnic i zagadek. Szkoda iż spora liczba jego mieszkanców woli się upijać z rozpaczony iż w nim musi mieszkać, zamiast zająć się wydobywaniem światła, przebadaniem i rozpropagowaniem tych tajemnic i zagadek. Szkoda też że jego władze ogarnęła jakaś letargia i niemoc, tak że zamiast budować lepszą przyszłość dla Milicza, wolą raczej spędzać czas na jałowym przelewaniu pustego w próżne oraz na uniemożliwianiu działania tym ludziom którzy faktycznie pragną czegoś dokonać i coś usprawnić. Wszakże kim w życiu się stajemy, oraz jakim poważaniem inni nas otaczają, zależy to od wewnętrznego spokoju, poważania samego siebie, pewności, oraz harmonii, jakie w sobie wykształtujemy. Wszystkie zaś te nasze jakości osobiste wyrastają właśnie z fundamentów naszego pochodzenia, czyli z rodzinnego miasta lub wsi w jakich się urodziliśmy i wyrosliśmy. Aby więc w dorosłym życiu uzyskać szacunek i poważanie innych, my sami musimy wyrobić w sobie szacunek i poważanie korzeni z jakich wyrosliśmy - czyli naszych rodzinnych stron.

Ponieważ czytelnik być może NIE zwrócił jeszcze uwagi w uprzednich opisach z tej strony jak wiele niezwykłych i godnych poznania cech kryje w sobie Milicz i jego okolice, podliczę tutaj w punktach chociaż najważniejsze z nich. Oto one:

1. Tajemnicza moc emanująca z milickiego "czakramu ziemi". Jedną z niezwykłości Milicza jest, że w jego pobliżu położony jest energetyczny tzw. "czakram ziemi". Czakram ten znajduje się koło przymilickiej "pierwszej tamy" na rzece Barycz. Jego najlepszy opis przytaczają punkty #D1, #E1, #F2 i #H4 ze strony wszewilki.htm. Powoduje on m.in. że wszelkie realistyczne życzenia i zamierzenia jakie się podejmuje koło owego czakramu, z czasem zawsze się wypełniają.

2. Niezwykłości natury. Milicz i jego okolice mają niezwykle faunę i florę. Ich przykładem mogą być węże o nadprzyrodzonych zdolnościach (patrz referencje do ich opisów podane w punkcie #B3 z tej strony), czy też niezwykle stworzony znany pod nazwą "gryf", jaki w czasach mojej młodości był widywany w okolicach Stawczyka i Guzowic - po szczegóły patrz punkt #D15 tej strony, a także punkt #H1 na stronie wszewilki.htm.

3. Długa i chwalebna historia. Milicz i jego okolice należą do najstarszych miejscowości Polski. Jak to wyjaśnia punkt #C2 niniejszej strony, osady ludzkie istniały w nim już około roku 7000 p.n.e. W nim samym i w jego okolicach staczane też było wiele bitew jakie potem zdecydowały o losach Polski.

4. Przyszły wkład do ludzkości. Milicz i jego okolice najwyraźniej mają dostarczyć ludzkości czegoś wysoce szczególnego i to już w niedalekiej przyszłości. Wskazuje na to wiele przesłanek. Pierwszym przykładem tych przesłanek są owe niezwykle prześladowania jakie Stawczyk i Milicz doświadczają już od wielu wieków (po opisy i referencje do owych prześladowań patrz punkt #B3 z tej strony). Wszakże z działania praw moralnych jest nam już wiadomym, że jeśli jakiś "intelekt grupowy" (do którego to kategorii należy m.in. i cały Milicz), ma uczynić w przyszłości coś szczególnie istotnego dla dobra całej naszej cywilizacji, wówczas zawsze uprzednio intelekt ten jest poddawany działaniu tzw. "przekleństwa wynalazców" - opisywanego m.in. w punkcie #B4.4 strony o nazwie mozajski.htm. Innym przykładem przesłanek potwierdzających że miasto Milicz i wieś Stawczyk mają w przyszłości uczynić coś ogromnie istotnego dla całej ludzkości, jest obraz jaki ujrzałem w Stawczyku kiedy zostałem tam zabrany w odległej przyszłości z pomocą tajemniczego wehikułu czasu - tak jak tamtą swoją podróż do Stawczyka z dalekiej przyszłości opisałem i referencjowałem w punkcie #B3 tej strony.

5. Cieszenie się szczególnymi względami u Boga. Z różnych powodów Milicz i jego okolice cieszą się szczególnymi względami u Boga. Względy te manifestują się na wiele sposobów. Przykładowo, koło Milicza często zdarzają się cuda. (Jako przykład tych cudów patrz opisy zdarzeń z otoczenia kościółka Św. Anny w Karłowie - punkt #D20 tej strony, czy przypadki "deszczy żywych rybek" jakie ja sam oglądałem w czasach swej młodości - patrz podpis pod "Fot. #D24" na tej stronie.) Okolice Milicza mają też niezwykle przyjazny ludziom tzw. "mikroklimat" - jaki opisałem w punkcie #D32 tej strony, jednak

jakiego znaczenie jako manifestacji "szczególnych względów u Boga" wyjaśniam dokładniej w punktach #14 i #15 odmiennej strony o nazwie day26_pl.htm.

Część #F: Celem dla którego cały świat fizyczny i ludzie zostali stworzeni jest "podnoszenie wiedzy" - poznajmy więc jak Milicz służy temu celowi:

#F1. Czego możemy się nauczyć studiując ciekawostki miasta Milicza:

W 1985 roku do życia powołane zostały: (1) wysoce światoburczą teorią naukową zwaną Konceptem Dipolarnej Grawitacji oraz (2) nowa filozofia która z owej teorii wyniknęła, a która nazwana została filozofią totalizmu. Powstałe razem, obie one zaczęły zmieniać sobą cały dzisiejszy świat. Przykładowo, udowodniły formalnie i naukowo, że Bóg z całą pewnością istnieje, a ponadto stworzyły zupełnie odmienny rodzaj nauki zwany nauką totalizyczną" - który bada rzeczywistość z całkowicie odmiennego podejścia niż dotychczasowa nauka (mianowicie z podejścia zwanego "a priori" czyli "od przyczyny do skutku" albo "od Boga do otaczającej nas rzeczywistości"). Ponieważ zaś dotychczasowa nauka ziemską badała rzeczywistość wyłącznie z odwrotnego podejścia, w filozofii nazywanego "a posteriori", czyli "od skutku do przyczyny", owa nowopowstała "nauka totalizyczna" stworzyła "konkurencję" dla starej nauki ziemskiej, uzupełniając ludzką wiedzę o wszystko to co stara nauka przeaczała podczas swego tylko jednostronnego spojrzenia na naszą rzeczywistość - tak jak to wyjaśnione zostało dokładniej w punkcie #A2.6 strony o nazwie totalizm_pl.htm, w punkcie #C1 strony o nazwie telekinetyka.htm, oraz w punkcie #F1 strony o nazwie god_istnieje.htm.

Jednym z najbardziej szokujących, a jednocześnie wysoce edukacyjnych, odkryć owej filozofii totalizmu okazało się ustalenie, że "Bóg stworzył cały świat fizyczny i człowieka głównie w celu 'podnoszenia wiedzy' ". Dlatego wszystkie obiekty które nas otaczają, a także wszystkie zdarzenia jakie następują i losy wszystkiego co tylko poznamy, są zawsze tak umiejętnie projektowane, aby w możliwie maksymalny sposób służyły jako lekcje, a w ten sposób właśnie "podnosiły wiedzę". Innymi słowy, wszystko co na niniejszej stronie czytamy np. o mieście Miliczu, a także wszystko co czytamy na innych moich stronach internetowych, jak również w całym internecie, służy głównie temu samemu celowi, mianowicie "podnoszeniu wiedzy".

Oczywiście, "wiedza" to ogromny gmach, przy którego wznoszeniu jest dosyć miejsca i zajęcia dla każdego człowieka. Jak więc niniejsza strona dokłada swój udział do owego wznoszenia "gmachu wiedzy"? Ano, przykładowo, ujawnia nam ona, że w każdym miejscu na ziemi, nawet w Miliczu i nawet wszędzie tam gdzie najmniej tego się spodziewamy, kryją się najróżniejsze ciekawostki i tajemnice które warto zacząć zgłębiać. Zamiast więc narzekać, że tam gdzie żyjemy nic ciekawego się nie kryje, warto zacząć zgłębiać owe nieznane dotychczas ciekawostki i tajemnice miejsca naszego zamieszkania. Strona ta ujawnia również, że wszystko posiada swoją historię, zaś każda historia czegoś nas stara się nauczyć. Dobrze więc jest poznać lekcje które ciągle starają się dopiero nam przekazać historii nawet tego, o czym sądzimy że dokładnie to już znamy.

Część #G: Zakończenie i podsumowanie tej strony:

#G1. Podsumowanie tej strony:

Filozofia totalizmu naucza, że dusza ludzka została celowo tak skonstruowana, aby każdy z nas miał nierozzerwalny związek duchowy z miejscem swego urodzenia. (Podstawowe informacje o owej duszy czytelnik znajdzie na stronie soul_proof_pl.htm.) To właśnie dzięki owemu związkowi duchowemu, ciało i dusza każdego z nas, oraz miejsce naszego urodzenia, są podobnie do drzewa i do jego korzeni oraz do gleby z której drzewo to wyrasta. Owymi duchowymi korzeniami każdy z nas czerpie bowiem ze swoich rodzinnych stron wszelkie wartości i cechy z których kształtuje się jego samoświadomość, wiedza, moralność, cechy charakteru, cele życiowe, itp. Faktycznie, to zależnie od tego

jakie cechy nasze duchowe korzenie zaczerpnęły z rodzinnych stron, dokładnie takimi potem w życiu się stajemy. Dla więc użytku tych młodych ludzi, którzy sami wywodzą się z miasta Milicza lub z jego okolic, niniejszym zaprezentowałem na tej stronie najważniejsze informacje które im ilustrują z jak niezwykłego miejsca się wywodzą. Z kolei dla wszystkich innych czytelników, strona ta dostarcza informacji dlaczego powinni odwiedzić kiedyś miasto Milicz i co w owym mieście powinno ich najbardziej zainteresować.

W przyszłości niniejsza strona będzie dalej poszerzana i udoskonalana - zapraszam więc aby stronę tą odwiedzić ponownie za jakiś czas.

Część #H: Informacje końcowe tej strony:

#H1. Inne strony na temat Milicza i jego okolic:

Tych z czytelników, których zainteresowały zaprezentowane tutaj ciekawostki miasta Milicza, zapewne zainteresuje również strona o podmilickich wsiach Wszewilki oraz Stawczyk. Opisują one bowiem fascynującą historię, tradycję, oraz dorobek kulturalny owych podmilickich wsi, których losy zawsze nierozzerwalnie związane były z losami Milicza. W ten sposób strona o nazwie wszewilki.htm oraz strona o nazwie stawczyk.htm doskonale uzupełniają niniejszą stronę o mieście Miliczu. (Przez ostatnie 1000 lat Wszewilki zawsze pozostawały wsią należącą do miasta Milicza. Przykładowo, przez wiele wieków posiadały oraz obsługiwały one jedyny młyn wodny Milicza.) Faktycznie owa wieś Wszewilki jest nawet starsza od dzisiejszego (tj. murowanego) miasta Milicza. Jako bowiem przygodowa kolonia rolniczo-rzemieśnicza Wszewilki istniały już w czasach poprzedzających podjęcie budowy obecnego murowanego miasta Milicza, tj. istniały już w czasach kiedy Milicz zlokalizowany był w drewnianym grodzisku położonym po przeciwnej niż obecnie stronie rzeki Barycz. Z treścią strony o Wszewilkach związana jest także strona o przyszłości Wszewilek i Milicza. Ponadto chciałbym poinformować, że istnieje także podobna strona poświęcona opisowi miasta Malborka z północnej części Polski. Stronę tą także można oglądać za pośrednictwem "Menu 1". Sporo tematów omawianych na niniejszej stronie jest tam również naświetlone i zilustrowane z punktu widzenia odmiennego prastarego miasta i zamku. Na dodatek do powyższego, udostępniona jest już także strona poświęcona opisowi ciekawostek miasta Wrocławia. (Przez długi okres historii Milicz administracyjnie podlegał biskupowi Wrocławia.) Na stronie owej Wrocław jest naświetlany z podobnych punktów widzenia jak wieś Wszewilki oraz miasto Milicz. Serdecznie zapraszam do przeglądnięcia wszystkich tych stron.

* * *

Wszystkie powyższe strony ja autoryzuję. Istnieją jednak również strony innych autorów o Miliczu. Oto niektóre z nich (kliknij aby odwiedzić wybraną stronę): Polskojęzyczna strona "<http://www.milicz.pl>" opisująca Milicz (Liceum w Miliczu jest na niej wyszczególnione) Polska strona "<http://www.szkolnelata.pl>" jaka zawiera wykaz ucni i szkół z całej Polski (Liceum w Miliczu jest też tam wyszczególnione).

#H2. Jak dzięki stronie "skorowidz.htm" daje się znaleźć totalizyczne opisy interesujących nas tematów:

Cały szereg tematów równie interesujących jak te z niniejszej strony, też omówionych zostało pod kątem unikalnym dla filozofii totalizmu. Wszystkie owe pokrewne tematy można odnaleźć i wywoływać za pośrednictwem skorowidza specjalnie przygotowanego aby ułatwiać ich odnajdowanie. Nazwa "skorowidz" oznacza wykaz, zwykle podawany na końcu książek, który pozwala na szybkie odnalezienie interesującego nas opisu czy tematu. Moje strony internetowe też mają taki właśnie "skorowidz" - tyle że dodatkowo zaopatrzone w zielone linki które po kliknięciu na nie myślą natychmiast otwierają stronę z tematem jaki kogoś interesuje. Skorowidz ten znajduje się na stronie o nazwie skorowidz.htm. Można go też wywołać z "organizującej" części "Menu 1" każdej totalizycznej strony. Radzę aby do niego zaglądnąć i zacząć z niego systematycznie korzystać - wszakże przybliży on setki totalizycznych tematów które mogą zainteresować

każdego.

#H3. Blogi totalizmu:

Warto także okresowo sprawdzać "blog totalizmu" który działa już od kwietnia 2005 roku, ostatnio nadal dostępny pod adresami totalizm.wordpress.com oraz totalizm.blox.pl/html, (Odnotuj że oba te blogi są lustrzanymi kopiami o takiej samej treści wpisów.) Wszakże na "blogu totalizmu" wiele ze spraw omawianych na tej stronie naświetlane jest na bieżąco dodatkowymi komentarzami i informacjami spisowanymi w miarę jak nowe zdarzenia stopniowo rozwijają się przed naszymi oczami.

#H4. Dane kontaktowe autora tej strony:

Aktualne adresy emailowe autora tej strony, tj. dra inż. Jana Pająka) (a przez okres 2007 roku - Prof. dra inż. Jana Pająka), pod jakie można wysyłać ewentualne uwagi lub zapytania, podane są na stronie: o mnie (dr inż. Jan Pająk). Tam również dostępne są adres pocztowy i numery telefonu autora.

#H5. Copyrights © 2011 by Dr Jan Pająk:

Copyrights © 2011 by Dr Jan Pająk. Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza strona stanowi raport z wyników badań jej autora - tyle że napisany jest on popularnym językiem (aby mógł być zrozumiany również przez czytelników o nienaukowej orientacji). Idee zaprezentowane na tej stronie są unikalne dla badań autora i dlatego w tym samym ujęciu co na tej stronie (oraz co w innych opracowaniach autora) idee te uprzednio NIE były jeszcze publikowane przez żadnego innego badacza. Jako taka, strona ta prezentuje idee które stanowią intelektualną własność jej autora. Dlatego jej treść podlega tym samym prawom intelektualnej własności jak każde inne opracowanie naukowe. Szczególnie jej autor zastrzega dla siebie intelektualną własność odkryć naukowych i wynalazków opisanych na tej stronie. Dlatego zastrzega sobie, aby podczas powtarzania w innych opracowaniach jakiegokolwiek idei zaprezentowanej na niniejszej stronie (tj. jakiegokolwiek teorii, zasady, dedukcji, interpretacji, urzędzenia, dowodu, itp.), powtarzająca osoba oddała pełny kredyt autorowi tej strony, poprzez wyraźne wyjaśnienie iż autorem danej idei jest Dr Jan Pająk, poprzez wskazanie internetowego adresu niniejszej strony pod którym idea ta i strona oryginalnie były opublikowane, oraz poprzez podanie daty najnowszego aktualizowania tej strony (tj. daty wskazywanej poniżej).

* * *

If you prefer to read in English
click on the flag
(Jeśli preferujesz język angielski
kliknij na poniższą flagę)

Data założenia niniejszej strony: 5 czerwca 2004 roku.

Data najnowszego jej aktualizowania: 15 kwietnia 2011 roku.

(Sprawdź pod adresami z "Menu 3" czy już istnieje nawet nowsza aktualizacja!)

Podrozdział C2:

Tajemnice i ciekawostki zamku w Malborku

Poznajmy teraz kilka tajemnic i ciekawostek zamku w Malborku. Najróżniejsze publikacje o Malborku zawierają dosyć sporo "oficjalnych" informacji o średniowiecznym zamku z owego miasta. Jednak z reguły omijają one temat intrygujących przepowiedni, tajemnic i zagadek, jakie zamek ten otaczają. Dlatego jako osoba prywatna i na dodatek mieszkająca na emigracji aż w Nowej Zelandii, postanowiłem sporządzić tą moją osobistą stronę internetową oraz poświęcić ją właśnie starym przepowiedniom, tajemniczym zjawiskom i zagadkom zamku pokrzyżackiego w Malborku. Wszakże wielu wizytujących Malbork chciałoby coś dowiedzieć się również i na tematy które starannie omijane są we wszystkich "oficjalnych" publikacjach.

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Jakie są cele tej strony:

Pierwszoplanowym celem tej strony jest wskazanie owych najmniej znanych tajemnic i ciekawostek pokrzyżackiego zamku w Malborku. Dodatkowo strona ta ma inspiracje, aby każdą z owych tajemnic i ciekawostek malborskiego zamku wyjaśnić na bazie naukowej teorii wszystkiego zwanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji.

#A2. Historia tej strony:

Niniejsza strona powstała w listopadzie 2002 roku. Początkowo miała ona być jedynie marginesowym dodatkiem do kilku innych stron które promowały zamek w Malborku z historycznego i faktologicznego punktu widzenia. Strona ta miała tylko urozmaicić tamte witryny poprzez dodanie do nich kilku nieoficjalnych ciekawostek i zagadek. Stąd w swoim pierwszym wydaniu zawierała ona m.in. treść owej złowrogiej przepowiedni przywiązanej do pokrzyżackiej figury Madonny (obecnie przepowiednia ta jest opisana w punkcie #C1), opis mojego "cudownego uleczenia" (obecnie opisanego w punkcie #E2), oraz zdjęcia pokazane poniżej na "Fot. #G1ab". W styczniu 2008 roku dowiedziałem się jednak, że moje opisy złowrogiej Madonny malborskiej, szczególnie jej wrogość do Polaków i rzekoma zdolność do dokonywania "uzdrowień", zainspirowały powstanie fundacji Mater Dei jaka chce odbudować tą krzyżacką figurę. Znaczący, rzeczywiste efekty opracowania tej strony okazały się dokładnie odwrotne do moich intencji w tej sprawie. Zamiast zrozumieć z niej jak niebezpieczna jest owa Madonna, inni potraktowali ją jako atrakcję i postanowili podjąć jej odbudowę. Natychmiast więc przeredagowałem niniejszą stronę, tak aby wyraźnie w niej wyjaśnić dlaczego odbudowanie tej figury byłoby wysoce niemądre. Druga więc edycja tej strony, jaka zaczęła być upowszechniana w 2008 roku, dodatkowo objęła swą treścią m.in opisy obecnie zaprezentowane poniżej w punktach #C2 do #C5. W 2010 roku dowiedziałem się, że anty-Polska moc owej złowrogiej Madonny zaczyna się już objawiać. Do treści tej strony dodałem więc obecny punkt #C6 (ciągle ostrożnie sformułowany - chociaż jego temat aż się prosi o potraktowanie na jakie zasługuje), wraz z innymi niewielkimi usprawnieniami przygotowując w ten sposób trzecią edycję tej strony. Tą trzecią edycję postanowiłem już wystawić jako główną stronę owych historycznych wytryn o zamku w Malborku opisywanych w punkcie #F2 poniżej. Wówczas, dokładnie w dniu 7 kwietnia 2010 roku, nagle dotknięty zostałem "nadprzyrodzoną chorobą" opisaną w punkcie #F2 tej strony, która nosiła wszystkie znamiona choroby celowo we mnie zaindukowanej przez średniowieczną Madonnę z Malborka. Owa choroba całkowicie przewartościowała i przeinterpretowała moje rozumienie "cudownych uzdrowień" owej krzyżackiej Madonny, oraz ujawniła mi alternatywne wyjaśnienie dla kilku zagadek jakie dotychczas trapiły mnie

na ten temat. Zrozumiałem też wówczas że Madonna ta NIE tylko leczy, ale także zdalnie "zadaje" choroby. To przewartościowanie moich poglądów, wraz z okropnymi cierpieniami jakie mu towarzyszyły, spowodowało że zdecydowałem się całkowicie przeredagować tą stronę na dzisiejsze, czwarte już z kolei jej wydanie. Faktycznie to gdyby NIE cierpienia jakie Madonna ta zdalnie mi zadała, poglądów wyrażonych w treści owego czwartego wydania tej strony zapewne nigdy bym NIE opublikował - i to na przekór że wierzę w poprawność tych poglądów. Doskonale bowiem zdaję sobie sprawę, ilu przeciwników moich idei dodatkowo sobie napytam otwartym poruszeniem spraw które w owym czwartym wydaniu poruszyłem (na dodatek do puli przeciwników których moje idee już mają i którzy bezobcesowo krytykują wszystko co moje awangardowe badania ujawniają). Po raz pierwszy wstępną wersję owego czwartego wydania tej strony opublikowałem 26 kwietnia 2010 roku. Jednak główna publikacja jej czwartego przeredagowania miała miejsce w dniu 3 maja 2010 roku.

Część #B: Dlaczego ja, tj. dr inż. Jan Pająk uważam się za wystarczająco kompetentnego aby podjąć się wyjaśnienia tych tajemnic i niezwykłości zamku w Malborku, na temat których nawet dzisiejsza oficjalna nauka boi się wypowiedać:

#B1. Wyniki moich badań mówią same za siebie:

Jestem naukowcem który wyemigrował do Nowej Zelandii w 1982 roku - tj. kiedy Nowa Zelandia była ciągle postępowym krajem i ciągle miała mądry rząd Sir Roberta Muldoon. Jako naukowiec-emigrant, od 2005 roku muszę jakoś przeżyć w Nowej Zelandii bez stałego zatrudnienia (zgodnie z nowozelandzkim prawem "dola" też mi się tam nie należy, stąd muszę tam żyć z moich dawnych oszczędności). Mam więc sporo czasu na prowadzenie prywatnych badań których nie mógłbym prowadzić gdybym pracował zawodowo. Na dodatek, brak pracodawcy i łatwych do wystraszenia przełożonych ma też tą zaletę, że nikt NIE przeszkadza mi w badaniach ani NIE wywiera typowych dla mojej tematyki nacisków aby badania te zarzucić. Oczywiście, w czasach przed światowym kryzysem ekonomicznym z 2008 roku, miałem możliwości aby poza Nową Zelandią znaleźć dla siebie akademickie zatrudnienie które byłoby odpowiednie do mojej wiedzy i doświadczenia. Stąd przykładowo w czasie od 1 marca 2007 roku aż do 31 grudnia 2007 roku pracowałem na pozycji pełnego profesora na renomowanym uniwersytecie (oczywiście poza granicami Nowej Zelandii). Przedtem zaś zatrudniany byłem na kilku pozycjach odpowiadających stanowisku polskiego profesora nadzwyczajnego kolejno aż na trzech jeszcze innych uniwersytetach świata (też leżących poza Nową Zelandią) - po szczegóły patrz stronę O mnie (Dr inż. Jan Pająk). Na stałe do Nowej Zelandii wyemigrowałem w 1982 roku - stąd nawet obecnie mieszkam po przeciwstawnej stronie świata niż Polska. Ciągle jednak żywo interesują mnie sprawy "starego kraju". Moje naukowe "hobby" polega m.in. na badaniu najróżniejszych tajemniczych i wcześniej nieznanymi zjawisk, włączając w to zjawiska powszechnie uważane za tzw. "nadprzyrodzone". Moje pełne przygód i podróży życie najlepiej opisane jest w podrozdziale W4 z tomu 18 najnowszej monografii [1/5] "Zaawansowane urządzenia magnetyczne", dostępnej tu nieodpłatnie za pośrednictwem linków (zielonego koloru) oraz menu z niniejszej strony. Jeśli zaś kogoś interesują moje osiągnięcia w zakresie naukowego badania tajemnic i owych "nadprzyrodzonych" zjawisk, wówczas powinien przeglądnąć strony jakie wyszczególniłem w "Menu 1" i "Menu 2" z lewego marginesu. Szczególnie interesujące wyniki moich badań "nadprzyrodzonego" zawarłem na stronie evolution_pl.htm która w punktach #B1, #B5, #B6 i #B6.2 zawiera m.in. opis samoewolucji Boga oraz formalny dowód naukowy, że "to Bóg stworzył pierwszą parę ludzi", czy na stronie evil_pl.htm która wyjaśnia że nasza planeta Ziemia aktualnie znajduje się w mocy szatańskich istot jakich poziom techniki może być uważany za niemal "nadprzyrodzony". Opisy najróżniejszych tajemnic jakie dotychczas badałem zawarte są także w podrozdziałach W4 oraz V8 z tomów odpowiednio 18 i 17 mojej monografii [1/5] "Zaawansowane urządzenia magnetyczne", a także w podrozdziałach E1 i F1 tomów 4 i 5

mojej starszej monografii [8] zatytułowanej Totalizm. Obie te monografie można sobie sprowadzić nieodpłatnie ze wszystkich witryn internetowych także wyszczególnionych w "Menu 4" i "Menu 2".

Jestem częstym odwiedzającym zamek w Malborku. Niniejsza strona jest zaś wynikiem owych odwiedzin. Oto fotografia mnie i mojej żony, wykonana na tle zamku w Malborku.

Fot. #B1: To ja z żoną przy zamku w Malborku. Zdjęcie z maja 1995 roku. Po prawej stronie tego zdjęcia wyraźnie widać intrygującą "Bramę Wodną" zamku w Malborku, a na wierzchołku owej bramy widać nawet szary stożkowy cokół z "żabą" pokazaną poniżej na zdjęciu "Fot. #H1ab".

* * *

Zauważ że można zobaczyć powiększenie każdej fotografii z niniejszej strony internetowej, poprzez zwykłe kliknięcie na tą fotografię. Ponadto większość wyszukiwarek jakie obecnie są w użyciu, włączając w to także popularny "Internet Explorer", pozwala również na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększać, a także drukować, za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

#B2. Dlaczego teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji jest aż tak przydatna w wyjaśnieniu "nadprzyrodzonego" oraz w poznaniu innych poprzednio niezrozumiałych zjawisk:

Najlepsze moim zdaniem wyjaśnienie dlaczego naukowa teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji pozwala nam na aż tak zgodne z empiryką i aż tak zrozumiałe wyjaśnienie wszelkich uprzednio nieznanymi zjawisk, opublikowane zostało w punkcie #J5 totalizycznej strony wszewilki_jutra.htm. W owym punkcie #J5 poznawanie czegokolwiek o czym ludzkość ciągle NIE ma najmniejszego pojęcia przyrównane jest do wspinania się na wysoki mur naszej niewiedzy. Jeśli poznawania tego dokonujemy wyłącznie na bazie tego co wiemy z codziennego życia i z empiryki, wówczas wspinanie to może być przyrównane do próby pokonania wysokiego muru bez żadnego narzędzia. Jeśli jednak mamy jakąś teorię naukową która wyjaśnia nam mechanizm szeregu obserwacji empirycznych, wówczas ilustratywnie daje się to porównać do przekraczania muru poprzez przystawienie do niego drabiny lub rusztowania. Owa teoria pozwala bowiem aby niezależnie od empiryki opierać się również na stwierdzeniach tejże teorii - co ma takie same znaczenie jak możliwość wspinania się kiedy równocześnie możemy się opierać na murze i na drabinie.

Aż do czasu kiedy w 1985 roku ja zdołałem wypracować naukową teorię wszystkiego zwaną Konceptem Dipolarnej Grawitacji, ludzkość NIE posiadała jeszcze żadnej teorii która dawałaby zgodne z empiryką wyjaśnienia dla takich zjawisk jak telekineza, telepatia, cuda, dusza, Bóg, grawitacja, czas, moralność, depresja, katastrofy, przepowiednie, itp. Dlatego naukowe poznawanie tych zjawisk było wówczas niemal niemożliwe. Jednak z chwilą kiedy ów Koncept Dipolarnej Grawitacji został opracowany i opublikowany, natychmiast się okazało że wszystkie te zjawiska mają racjonalne wytłumaczenie, swój mechanizm działania, swoje pochodzenie, uzasadnienie, itp. W podobny też sposób ta sama teoria wszystkiego na niniejszej stronie pozwala na naukowe wyjaśnienie całego szeregu uprzednio niezrozumiałych zjawisk i manifestacji jakie czasami są empirycznie obserwowane w średniowiecznym zamku pokrzyżackim z Malborka.

Część #C: Posąg Matki Boskiej a przysłowie "Polak mądry dopiero po szkodziu":

#C1. Złowrogi posąg malborskiej Matki Boskiej znany ze swej nienawiści do Polaków, który wymagał aż pół bitewnych drugiej wojny światowej aby zostać zniszczony, oraz który dla zwrócenia na siebie uwagi i dla zostania odbudowanym, zwiódł mnie w błędne wierzenie że

dokonał cudownego uzdrowienia:

Aż do niemal zakończenia drugiej wojny światowej, we wnęce ze wschodniej elewacji kościoła Najświętszej Matki Boskiej z Zamku Wysokiego w Malborku, znajdowała się ogromna, bo wysoka na 8 metrów figura Matki Boskiej z Dzieciątkiem na ręku wykonana ze stiuku (czyli sztucznego kamienia). Figura ta skonstruowana była przez Krzyżaków jacy odebrali Polakom ziemie których ona doglądała. Z upływem czasu zasłynęła też ze swojej wrogości wobec Polaków. M.in. przywiązana do niej została stara przepowiednia, że przez aż tak długo, jak długo figura ta dogląda nadzorowane przez siebie ziemie, panował na nich będzie język niemiecki zaś ziemie te pozostaną pod niemiecką kontrolą - po więcej szczegółów patrz punkt #D1 z odrębnej strony o nazwie przepowiednie.htm. Przepowiednia ta wypełniła się na końcu drugiej wojny światowej, kiedy w wyniku tajemniczych zdarzeń eksplodowała amunicja składowana w kościele przy jakim figura ta stała, zmiatając tą figurę z powierzchni naszej planety. Jednocześnie ziemie które figura ta nadzorowała powróciły do Polski i ponownie zapanował na nich język polski. Niestety, ostatnio jakieś mroczne siły starają się odrestaurować tą złowrogą figurę. Jeśli im się to uda, przywrócą one również nadprzyrodzone moce owej starej przepowiedni. To z kolei naruszy stabilność i pokojowy balans dzisiejszej Europy. Dlatego nie wolno nam dopuścić aby figura ta została odrestaurowana. Zalecam więc aby czytelnik zapoznał się z punktem #C5 tej strony, w którym staram się wyjaśnić dlaczego należy uczynić wszystko co w naszej mocy aby przeszkodzić w odbudowaniu tej złowrogiej figury w jej dawnym ekspansywnym zorientowaniu i symbolizmie.

Dodam tutaj, że sprawie owej złowrogiej dla Polaków przepowiedni przywiązanej do tego posągu Malborskiej Madonny, poświęciłem całą dużą "część #D" z odrębnej strony o nazwie przepowiednie.htm, na której omawiam wszystkie znane mi staropolskie przepowiednie oraz dowody na ich wypełnianie się.

Oto jak "Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i Innych Krajów Słowiańskich" wydany w Warszawie w 1884 roku, na stronie 943 pod hasłem Malbork, opisuje ową figurę swoim nieco archaicznym językiem, cytuję:

"Prezbiterium zamyka półośmiobok, na którego środkowym polu, gdzie zamiast okna zrobiono framugę, znajduje się od zewnątrz kolosalna, dobrze zachowana i nieźle odrestaurowana figura N.M. Panny, patronki tego grodu, z dzieciątkiem Jezus na ręku. Wysokość figury wynosi przeszło 8 m., dziecięcia prawie 2 m. Stara ta figura z czasów Winrycha von Kniprode (1351-82), układana na pełnym rdzeniu z kolorowej mozaiki, jest niemal unikatem; oprócz pobliskiego acz mniejszego wyrobu w pobliskim Kwidznie (ścięcie Św. Jana) i sądu ostatecznego w katedrze Św. Wita w Pradze, średniowieczne mozaiki w tych rozmiarach poza obrębem Włoch nie istnieją. Złote tło framugi i niebieskie jej obramienie nasiane gwiazdami, są również z mozaiki układane; staniol (mineral-dopisek mój) ułożony na kawałku szkła, a drugim kawałkiem nakryty, daje złoty kolor. Figura ta, obrucona ku wschodowi, jest robotą wenecką; w Wenecji bowiem były mozaiki rzeczą bardzo zwykłą, a w. mistrzowie mieli tam dawniej swoją rezydencje."

Fot. #C1a (B5 z [10]): Zdjęcie z czerwca 2004 roku. Przedstawia ono mnie (dr inż. Jan Pająk) oraz niszę kościoła zamkowego w Malborku, gdzie aż do czasów drugiej wojny światowej stał złowrogi posąg krzyżackiej Matki Boskiej słynący z cudownych uzdrowień oraz z wrogiej dla Polaków przepowiedni która wymagała aż drugiej wojny światowej aby się wypełnić (przepowiednię tą opisuję w punktach #C4 i #C5 niniejszej strony). Nisza ta widoczna jest ponad moją głową - ta otynkowana wewnątrz na biało.

Na swoje urodziny w 1995 roku, posąg ten potraktował mnie wysoce spektakularnym widowiskiem, które aż do 7 kwietnia 2010 roku uważałem za rodzaj "cudownego uzdrowienia". (Jak to jednak wyjaśnię w częściach #E i #F tej strony, najprawdopodobniej było to tylko "pozorem uzdrowienia".) To niby "uzdrowienie" opisałem potem dokładnie na całym szeregu swoich stron internetowych i publikacji, włączając w to również i niniejszą stronę o tajemnicach i ciekawostkach zamku z Malborka. Z kolei owe moje publikacje zainicjowały nawrót zainteresowania społeczeństwa ową figurą, jakiego

końcowym wynikiem było wysoce niefortunne powołanie fundacji Mater Dei - która jako cel postawiła sobie odbudowanie tejże złowrogiej figury. Ja jednak od samego początku wiedziałem o wrogim do Polski i Polaków nastawieniu tej figury. Wiedziałem też o przywiązanej do niej starej przepowiedni, że jeśli figura ta zostanie kiedykolwiek odbudowana, język niemiecki powróci na doglądane przez nią ziemie. Dlatego gdybym NIE został zwiedziony fortem przez ową figurę w opisanie swoich z nią doświadczeń, nigdy dobrowolnie bym nic NIE uczynił co mogłoby się przyczynić do jej odbudowania. Skoro zaś zupełnie bez mojej intencji figura ta wykorzystywała moje zdolności do zwrócenia na nią ludzkiej uwagi, niniejszym czynię teraz wszystko co tylko w mojej mocy aby jednak powstrzymać próby jej odbudowy. Mam też nadzieję że treść niniejszej strony przyczyni się do zarzucenia ogromnie nierozważnego czyjegoś pomysłu aby jednak odbudować tą złowróżebną krzyżacką figurę.

Owo spektakularne "niby-uzdrowienie" jakiego doznałem w Malborku, zainspirowało mnie też do badań mechanizmu takich uzdrowień. W wyniku tych badań zdołałem ustalić, że "uzdrowienia" faktycznie to mogą być dokonywane przez praktycznie każdy obiekt, jaki zgromadzi w sobie wymaganie duży ładunek inteligentnej tzw. energii moralnej. Przykładowo, w dzisiejszej Malezji ludzie bardzo powszechnie zwracają się o dokonywanie uzdrowień do specjalnych rodzajów drzew lub kamieni, które nazywane są tam Datuk. Wygląd jednego takiego drzewa "datuk" pokazałem poniżej na "Fot. #D1" oraz na odrębnej stronie internetowej ufo_pl.htm. Kiedyś przy Kościele Św. Anny koło Milicza istniał bardzo stary dąb oraz "anielski kamień", opisane m.in. na stronie sw_andrzej_bobola.htm oraz na stronie milicz.htm, które w przeszłości też dokonywały cudownych uzdrowień i przywracały płodność. Ów leczący bezpłodność "anielski kamień" z kościółka Św. Anny koło Milicza zniknął ze swego odwiecznego miejsca gdzieś pomiędzy latami 1981 a 2004 (po raz ostatni ja widziałem go właśnie w 1981 roku, potem wyemigrowałem do Nowej Zelandii, kiedy zaś ponownie go tam szukałem w 2004 roku - wówczas już go tam nie było). Dla odmiany na tropikalnej wspie Borneo uzdrowień dokonują specjalnie rzeźbione totemy drewniane jakich przykłady pokazałem na "Fot. #D2" poniżej. Z kolei aby obiekty te zgromadziły w sobie wymaganą energię moralną, wystarczy aby spora liczba ludzi zaczęła się do nich modlić. Czyli praktycznie każdy obiekt do którego modli się wielu ludzi, po jakimś czasie nabywa potencjał do dokonywania nadprzyrodzonych aktów - w tym np. cudownych uzdrowień. Innymi słowy, zdolność do dokonywania uzdrowień wcale NIE jest czymś niezwykłym, tyle że podobnie jak "czarna magia" ludzie NIE wiedzą niemal nic na jej temat. Co gorsze, jak wyjaśnię to dalej w "części #F" tej strony, podobnie jak "czarna magia" takie niby-uzdrawianie przez najróżniejsze figury, bożyszcza, czy idole często obraca się przeciwko ludziom i faktycznie sprowadza chorobę zamiast uzdrowienia.

Powyższa fotografia dzisiejszego wyglądu samej niszy w której owa figura Matki Boskiej kiedyś stała, pokazana jest też jako zdjęcie "Fot. #25" na odrębnej stronie internetowej o prastarym polskim mieście z "Bursztynowego Szlaku", nazywającym się Milicz.

Fot. #C1b: Niewielka złocista mozaika istniejąca na zewnątrz katedry w Kwidzynie, prezentująca scenę "Święcia Św. Jana". Wykonana ona została tą samą techniką jak owa mozaika pokrywająca figurę pokrzyżackiej Madonny z zamku w Malborku. Pochodzi też z tego samego okresu. Ponieważ jednak do mozaiki tej NIE przywiązana jest żadna złowróżebna przepowiednia, mogła ona przetrwać nietknięta aż do naszych czasów.

#C2. Nadprzyrodzone moce posągu Matki Boskiej z Malborka i ich pochodzenie:

Ponieważ owa figura była aż tak stara, poddawana ona była najróżniejszym religijnym praktykom i wierzeniom przez wiele kolejnych wieków. Stąd została nasycona inteligentną energią niezliczonych modlitw - jako taka stając się zdolna do dokonywania nadprzyrodzonych aktów. Dla przykładu, była ona w stanie dokonywać uzdrawiania chorych ludzi. Jej nadprzyrodzone moce mogą być dzisiaj uzasadniane faktycznym

działaniem chińskiego tzw. feng shui opisywanego w punkcie #H1 tej strony. Niestety, niezależnie od religijnego znaczenia, figura ta była także symbolem politycznej opresji Krzyżaków nad obszarem jakiego doglądała, dokonywanej w imię Boga. Dlatego do owej złowrogiej figury przywiązana była stara przepowiednia opisywana w punktach #C1, #C4 i #C5 tej strony. Ta przepowiednia się wypełniła kiedy ów symbol religijnej opresji został zniszczony tajemniczą eksplozją w ostatniej fazie bitwy o zamek w Malborku, mającej miejsce przy końcu Drugiej Wojny Światowej. Oto jak owa figura zwykła wyglądać:

Fot. #C2abc: Oto stare fotografie figury malborskiej Madonny ze stiuku (tj. sztucznego kamienia). Jak widać z powyższych fotografii, posąg tej Madonny został zamodelowany w ustawieniu reprezentującym ekspansję i kontrolę nad ziemiami których posąg ten doglądał. Stąd doskonale symbolizował on intencje Krzyżaków jacy go wystawili, wzmacniając swoimi nadprzyrodzonymi mocami agresywne działania owych Krzyżaków. Gdyby więc ten proroczy posąg miał zostać odrestaurowany w dzisiejszych czasach, jego ekspansywna i złowroga postawa powinna być celowo zmieniona (tak jak filozofia totalizmu a także chińska wiedza o feng shui nam to doradza - patrz punkt #C5 poniżej), aby symbolizował on i umacniał swoimi nadprzyrodzonymi mocami obecną sytuację ziem jakie on nadzoruje. Jak tego dokonać wyjaśnia to punkt #C5 poniżej. (Kliknij na wybraną fotografię jeśli zechcesz ją powiększyć.)

(a) Lewa fotografia pochodzi z widokowki datowanej w latach 1930-tych. Była ona publikowana przez Alberta Frisch z Berlina. Pokazuje głowę owej figury, ze Świętym Dzieciątkiem siedzącym na ręku. Po więcej danych na jej temat patrz strony internetowe zamek.malbork.com.pl, zamek.malbork.pl, oraz przewodnicy.com.

(b) Środkowa fotografia faktycznie jest jedną klatką zaczerpniętą ze starego niemieckiego filmu o tytule "Land an der Weichsel" w reżyserii von Caengel, z 1943 roku. Ogromnie interesujące jest, że zarówno "Matka Boska" z owej figury, jak i dzieciątko, posiadały charakterystyczne "trójkątne twarze" oraz "pośladko-podbne" wybrzuszenia na brodzie - czyli cechy anatomiczne które są typowe dla UFO-nautów - co wyjaśnia dokładniej podpis pod ilustracją "Fot. #G2d" poniżej, a także podpis pod "Rys. #2" ze strony internetowej ufo_pl.htm, oraz podpis pod "Fot. #1" ze strony internetowej antichrist_pl.htm. Wygląda więc na to, że powyższa figura powstała ponieważ przykładowo kiedyś jakaś UFO-nautka podszyła się pod Matkę Boską i Jezusa.

(c) Prawa fotografia pochodzi z niemieckiej tzw. "Serii Wojennej". Była ona publikowana przez Deutsche Kunstverlag z Berlina około 1940 roku. Pokazuje ona cały posąg Matki Boskiej razem z wnęką w murze kościoła w której figura ta była ustawiona.

#C3. Historyczny przykład wyzwolenia niszczycielskich mocy posągu Matki Boskiej z Malborka oraz jego wrogości wobec Polaków:

Na temat nadprzyrodzonych mocy omawianej tutaj figury, a także na temat jej wrogości wobec Polaków, dosyć sporo informacji zawartych jest w starych manuskryptach. Oto co przykładowo na jej temat pisze "Borck: Echo sepulcralis" w manuskrypcie z 1765 roku, strona 157, cytuję:

"Po sławnej bitwie pod Grumwaldem stoczonej dnia 15 lipca 1410 r., postąpiło zwycięskie wojsko polsko-litewskie pod Malbork, gdzie atoli przednie straże stanęły dopiero 26 lipca, chociaż odległość wynosi tylko mil 15 (mila staropolska = 8.834 km: dopisek mój). Użył tego czasu komtur świecki Henryk Reuss von Plauen, zebrał naprędce posiłki skąd mógł i obsadził zamek, gdzie się wkrótce znalazły i resztki z pod Grunwaldu. Potem spalił miasto, zerwał most na Nogacie i postanowił bronić się do ostateczności. Przystąpił tedy król do oblężenia tej silnej twierdzy, ale kule kamienne nie mogły przebić wybornej cegły i rozlatywały się w kawałki; tymczasem roznosiły lekkie oddziały jazdy po kraju przestrach i zniszczenie. Ale brak żywności spowodował Henryka von Plauen rozpocząć z królem układy; ofiarował więc on ustąpić Polsce Pomorze, ziemię chełmińską i michałowską; same tylko Prusy zdobyte na poganach miały pozostać przy zakonie. Należało Polakom przyjąć te korzystne warunki, ale dostojnicy w radzie królewskiej i wielu ze szlachty nastawali na

całkowite wypędzenie krzyżaków z Prus, co według ich zdania zależało tylko od wzięcia Malborka i kilku zamków. Jagiełło dał tedy odmowną odpowiedź. Ale odtąd szczęście jakoś opuszczać zaczęło oblegających; brak dobrej żywności i pora gorąca sprowadziły w obozie choroby; co gorsza, rozniosło się, że puszkarz, który ugodzić chciał w obraz N.M. Panny w kaplicy Św. Anny zaniewidział (z pewnością chodzi tu nie o obraz - lecz o figurę Madonny: dopisek mój). Powiadano sobie nawet, że gdy z niego drwił jego przełożony i sam drugi raz wycelował do figury, działa się rozpękło i zabiło stojącego obok wodza tatarskiego; Tatarzy tem rozgniewani, tarczami zabili zuchwałego bluźniercę; miał to być ten, który pod Grumwaldem pierwszy dzidą zwałił w. mistrza Ulryka von Jungingen."

#C4. Przykład wypełnienia się starej przepowiedni:

W naszym zapełnionym zajęciami życiu często natykamy się na najróżniejsze opowieści dotyczące starych przepowiedni. Zwykle bierzemy je z odrobiną sceptycyzmu - ot jak kolejne bajdurzenie starych ludzi. Jednak jeśli ktoś dokładnie przeanalizuje historie za owymi starymi przepowiedniami, wówczas się okazuje, że zawsze one się wypełniają. Tyle tylko, że ich wypełnienie się dla wielu ludzi staje się widoczne dopiero po fakcie, nie zaś przed nim. Zamek w Malborku jest właśnie doskonałym przykładem jak poważnie powinniśmy potraktować takie stare przepowiednie.

Figura Matki Boskiej ze stiuku jaką opisałem powyżej, związana była z jedną taką starą przepowiednią. Owa przepowiednia stwierdzała, że tak długo jak owa figura stoi na swoim miejscu, ziemia jaką ona dogląda pozostanie pod niemiecką kontrolą. Cokolwiek by nie myśleli ludzie którzy wiedzieli o owej przepowiedni, w końcowym efekcie faktycznie się ona wypełniła. Fugura padła bowiem pod koniec Drugiej Wojny Światowej. Jednocześnie zaś polska ziemia jakiej ona doglądała uwolniona została spod niemieckiego przywłaszczenia.

Tom 5 monografii [8] "Totalizm" (szczególnie podrozdział G1) opisuje najróżniejsze prawa jakie odnoszą się do starych przepowiedni. Zgodnie z tymi prawami: (a) stare przepowiednie faktycznie są wglądami w przyszłość, tyle że wyrażonymi za pośrednictwem prostych słów. Jako takie one zawsze się wypełniają; oraz (b) stare przepowiednie, a także obiekty do jakich się one odnoszą, wypełniają prawa "czasowo-niezależnej przyczyny i skutku" (owe prawa stwierdzają m.in., że "we wszelkich sprawach kontrolowanych przez prawa przeciw-świata, przyczyna może się stać skutkiem, zaś skutek może się stać przyczyną" - po więcej informacji patrz strona [timevehicle_pl.htm](#)). Wyjaśniając to prawo innymi słowami, nie powinniśmy żartować z tematu starych przepowiedni, ponieważ wszystkie one są śmiertelnie poważne i z całą pewnością kiedyś się wypełnią. Powinniśmy też być bardzo ostrożni w naszym traktowaniu obiektów z jakimi takie stare przepowiednie są związane. Dla przykładu, jakakolwiek próba odbudowania owej figury z Malborka (która ciągle nasycona jest energią niezliczonych modlitw) mogłaby spowodować znaczące zmiany polityczne w Europie. W ten sposób naruszyłaby ona pokój, stabilność i relatywny dobrobyt jakimi ten obszar cieszy się od dnia zakończenia Drugiej Wojny Światowej. Dlatego też, znacznie bezpieczniej dla wszystkich tych których to dotyczy będzie jeśli owa pełna mocy figura oraz jej przepowiednia pozostaną w przeszłości. Wszakże, jeśli pozostaje ona w przeszłości, jeśli ktoś zechce - to ciągle może ją tam odwiedzić w swoich modlitwach, myślach i prośbach. Wszakże nasze myśli i modlitwy są w stanie przemieszczać się w czasie - w przeciwieństwie do naszych ciał fizycznych. Stąd modlenie się do tej figury kiedy zawieszona jest w naszej przeszłości jest więc równie skuteczne jak modlenie się do niej gdyby była ona obecna jeszcze teraz. Jednocześnie zaś w takim przypadku NIE będzie ona w stanie wprowadzić żadnych zmian do stanu politycznego naszej planety.

Odrębna strona internetowa o nazwie [przepowiednie.htm](#), a także podrozdziały F1 oraz G2 (tomu 5) monografii [8] dyskutowanej wcześniej, omawiają cały szereg innych starych przepowiedni, jakie właśnie mają się wypełnić w bliskiej już przyszłości. Dla przykładu, rozważają one znane fakty na temat starej przepowiedni o przybyciu Drugiego Jezusa na Ziemię - kiedy waluta Euro zostanie wprowadzona w Europie. (Owa przepowiednia stwierdzała, że Drugi Jezus miał przybyć na Ziemię "jak złodziej", kiedy

Imperium Rzymskie zostanie odrodzone. Z kolei odrodzenie się Imperium Rzymskiego symbolicznie miało miejsce dnia 4 stycznia 1999 roku, kiedy wspólna waluta Euro została wprowadzona w Europie.) Owa strona i podrozdziały kierują także naszą uwagę na inną starą (warunkową) przepowiednię stwierdzającą, że jeśli Polacy spełnią określone warunki wówczas "iskra wyjdzie z Polski" - jaka zdaje się przekazywać informację, że odnowa moralna naszej cywilizacji może zostać zaczęta właśnie w Polsce. Warto zwracać uwagę na owe stare przepowiednie, jako że zapowiadają one zdarzenia które bezapelacyjnie nadejdą, stąd lepiej jeśli jesteśmy świadomi ich nadchodzenia. Zamek w Malborku jest właśnie doskonałym przykładem, że bez względu na to jak potężne coś może się wydawać, ciągle przydzie taki czas, kiedy zgodnie z działaniem przepowiedni lub praw moralnych, jakiegoś dnia zmuszone to będzie upaść.

#C5. Tylko "Polak mądry po szkodzie" ma czelność budzić "śpiącego serpenta" - czyli odrestaurować zło wrogie wobec Polaków posąg krzyżackiej Madonny o dowiedzionych proroczych mocach; inne narody raczej by upamiętniły męczennicze losy kiedyś nadzorowanych przez ten posąg ziem sceną nowego posągu o pozytywnej symbolice: Motto: "Przepowiednie to zapowiedzi i ostrzeżenia samego Boga, tyle że celowo wypowiedane ustami zwykłych ludzi aby w ten sposób nie odbierać wolnej woli tym którzy je poznają."

Około 2002 roku, czyli w pobliżu czasów kiedy m.in. przygotowywałem niniejszą stronę internetową opisującą m.in. nadprzyrodzone moce posągu Madonny z Malborka, miałem niezwykły sen. Zapamiętałem go dokładnie bowiem często potem przemyślałem nad jego symboliczną wymową. We śnie tym znalazłem się w swojej rodzinnej wsi pod lasem przy basenie przeciwpożarowym który opisałem m.in. w punkcie #C2 i w podpisie pod "Fot. #E1" ze strony internetowej o Wszewilkach. W moim śnie basen cały wypełniony był wodą, tyle że zamrożoną i formującą solidną bryłę lodu jaka wypełniała jego objętość. W lodzie owym uwięziony przez lód, oraz z zimna pogrążony w hibernacji (tj. w rodzaj snu zimowego), znajdował się ogromny serpent ponad 10 metrowej długości i grubości ludzkiego uda. Serpent ten wyglądał jak owe gigantyczne pływające węże "anakonda" z Ameryki Południowej, albo jak ów wąż który w Malezyjskiej dżungli zadusił i połykał plantatora drzew gumowych - patrz "Rys. #C1" ze strony newzealand_pl.htm - o niezwykłościach i tajemnicach Nowej Zelandii. Mi stało się przykro że tak wspaniałe wyglądające stworzenie jest uwięzione w lodzie i hibernuje niemal bez oznak życia. Wiedziałem jednak że wąż ten jest nadal żywy, tyle że uspiiony zimnem. Miałem też dostęp do wody z ciepłowni. Wylałem więc nieco gorącej wody z ciepłowni na lód i z radością śledziłem jak topienie się lodu stopniowo uwalnia tego pięknego serpenta z okowów, oraz jak pod wpływem ciepła wąż ten pomału powraca do życia. Kiedy jednak serpent ten zaczął się już poruszać oraz częściowo stał się już wolny od lodu, wówczas tą swoją częścią która była już oswobodzona rzucił się na mnie z otwartą paszczą. Na szczęście część jaka ciągle tkwiła w lodzie udaremniła mu sukces tego ataku. W tym momencie usłyszałem czyjś władczy głos - brzmiący jakby głos samego Boga. Głos ten powiedział do mnie: to doświadczenie ma ci zademonstrować, że przy uwalnianiu i ożywieniu "serpenta" należy się kierować wiedzą i przezornością a nie sentymentami - wszakże kiedy serpenta raz się uwolni i przywróci do życia, wówczas zadusi on i pożre zarówno uwalniającego, jak i wielu innych niewinnych ludzi. Po usłyszeniu owego władczego głosu i wypowiedanej przez niego przestrogi-nakazu nagle się obudziłem. Od owego czasu ciągle teraz zachodzę w głowę, co dokładnie ów władczy głos mi nakazywał uczynić, przed czym mnie ostrzegał, oraz co lub kogo symbolizuje ów "serpent" którego nierozważnie niemal wówczas uwolniłem i przywróciłem do życia - na szczęście w porę zostałem ostrzeżony.

Dopiero w styczniu 2008 roku dotarło do mojej świadomości, że jedną z inkarnacji owego "serpenta" z mojego snu, może być właśnie ów zło wrogie posąg krzyżackiej Matki Boskiej z Malborka o którym pisałem w poprzednich punktach #C1 do #C6. W owym bowiem czasie dowiedziałem się, że jacyś Polacy z Malborka założyli fundację "Mater Dei" która stawia sobie cel jaki nosi potencjał aby sprowadzić wiele zła na Polskę i na całą Europę - jeśli zostanie zrealizowany w nieodpowiedzialny sposób. Na przekór zło wrogiej i

anty-polskiej przepowiedni przywiązanej do krzyżackiego posągu z Malborka, która to przepowiednia już raz udowodniła że się wypełnia, Polacy z owej fundacji ponownie odrestaurowują ów złowrogi posąg pokrzyżacki o proroczych mocach. Owa fundacja nazywa siebie "Mater Dei", zaś jej strona internetowa ma adres www.materdei.org.pl. Swoje zamiary odrestaurowania złowrogiemu dla Polaków krzyżackiego posągu Matki Boskiej z Malborka, fundacja ta zaprezentowała na stronie internetowej o adresie www.materdei.org.pl. Jeśli tej polskiej fundacji uda się zrealizować ów zamiar z odrestaurowaniem posągu krzyżackiej Matki Boskiej z niszy kościoła malborskiego zamku, wówczas prorocza moc owego posągu również zostanie ponownie przywrócona do życia. To zaś oznacza, że nadprzyrodzonymi mocami stworzone zostaną wtedy okoliczności w których na wszystkich ziemiach nadzorowanych przez ów krzyżacki posąg ponownie zaniknie polska mowa i polskie rządy, a przywrócony będzie tam język niemiecki oraz niemieckie rządy. Zgodnie też z przestrożą zawartą w starej przepowiedni, język ten i rządy ponownie będą tam panowały przez aż tak długo, jak długo ów krzyżacki posąg będzie stał na swoim poprzednim miejscu.

Kiedy dowiedziałem się o planach owej polskiej fundacji z Malborka wpadłem w panikę. Wszakże naukowo badam nadprzyrodzone moce. Wiem więc doskonale że z mocami tymi nie wolno igrzać ani ich lekceważyć. Wielokrotnie miałem przecież okazję naocznie zaobserwować jak nadprzyrodzone moce działają w praktyce. Doskonale znam też efekty działania chińskiego feng shui (opisywanego poniżej w punkcie #H1), które jest namacalną ilustracją jak odpowiednie wykorzystanie symboli i nadprzyrodzonych mocy wpływa na losy życiowe ludzi. Wszakże jak to wyjaśniłem w punkcie #C1 strony internetowej newzealand_visit_pl.htm, a także w punkcie #D2 strony pigs_pl.htm, działanie "feng shui" jest oparte m.in. właśnie na wykorzystaniu mocy wykonawczej zawartej w symbolach. Jestem więc pewny, że narody które znają działanie "feng shui", np. Chińczycy, nigdy by NIE odbudowali złowrogiemu posągu krzyżackiej Madonny z Malborka której prorocze moce w przeszłości już tyle razy dowiodły swoje niszczycielskie działanie. W przeciwieństwie do "Polaków mądrych dopiero po szkodzi", takie narody wiedziałyby bowiem z góry że odbudowanie tego posągu będzie w przyszłości kosztowało Polskę i Polaków całe morze wylanych łez i krwi. Ja osobiście nie mam też najmniejszej wątpliwości, że jeśli krzyżacki posąg malborskiej Madonny zostanie przez Polaków odrestaurowany w jego dawnej konfiguracji, wówczas przywrócona również będzie wroga dla Polaków nadprzyrodzona moc dawnego proroctwa przywiązanego do tego posągu. Dlatego po odrestaurowaniu owego posągu, na wszystkich ziemiach które on nadzoruje, czyli na całym obszarze dawnych Prus Wschodnich, ponownie zaniknie wówczas język polski a panować zacznie język niemiecki. Ponownie też powrócą tam dawne czasy krzywdy ludzkiej i łez wylewanych z powodu mocodawców tego posągu. Ponownie też dzisiejszy balans sił w Europie ulegnie zakłóceniu, zaś dzisiejszy pokój i rosnący dobrobyt Europy ulegnie przerwaniu. Ponownie też aby pozbyć się tego posągu, oraz aby przywrócić obecny stan rzeczy do tego obszaru, konieczna zapewne będzie aż kolejna wojna. To wszystko jest więc zbyt dużą stawką do stracenia, aby podjęcie decyzji w sprawie odrestaurowania tego proroczego posągu pozostawić jedynie owym kilku aktywistom z polskiej fundacji "Mater Dei", a w praktyce pozostawić ową decyzję mrocznym mocom które niewątpliwie będą manipulowały tą fundacją. Aby więc ponownie nie stać się "Polakami mądrymi dopiero po szkodzi", w tak ważnej sprawie powinno być wymagane, aby na temat odrestaurowania tego posągu wypowiedzieli się wszyscy ludzie których losy posąg ów odmieni. Dlatego ja uważam, że doczyję czy odrestaurować ów krzyżacki posąg Matki Boskiej mają jedynie prawo podjąć wyniki powszechnego plebiscytu rozpisanego w tej sprawie. W plebiscyście tym powinni się wypowiedzieć wszyscy ludzie zamieszkujący byłe Prusy Wschodnie, których losy zostaną dotknięte tym przepowiedniowym posągiem krzyżackim.

Logika mi podpowiada, że bez względu na to jak ja nie ostrzegałbym ludzi, wcześniej czy później i tak się znajdzie ktoś nierozważny, kto będzie próbował odrestaurować malborski posąg krzyżackiej Madonny. Jedyna więc nadzieja, że jako społeczeństwo tym razem wykażemy "mądrość Polaka jeszcze przed szkoda" i tak rozwiążemy problem tego posągu aby u wszystkich zainteresowanych stron stworzyła się

sytuacja "wygranej" (tj. sytuacja zgodna ze starym polskim przysłowiem "aby i wilk był syty i owca cała"). Jak zaś takie rozwiązanie tego problemu powinno wyglądać, już obecnie podpowiadają nam ustalenia filozofii totalizmu, Konceptu Dipolarnej Grawitacji, oraz naszej wiedzy w zakresie zasad Chińskiego feng shui. Jeśli więc skonsultować problem malborskiego posągu z tymi ustaleniami, wówczas dosyć jednoznacznie nam one wskazują co w takiej sytuacji powinno być uczynione. I tak okazuje się że istnieją co najmniej dwa korzystne rozwiązania problemu malborskiej figury. Pierwszym i najbardziej rekomendowanym z tych rozwiązań postulowanych przez totalizm i feng shui jest, aby zamiast dawnego posągu Matki Boskiej, w miejscu gdzie on niegdyś stał ustawić duży ozdobny krzyż z figurą Jezusa. Krzyż taki z jednej bowiem strony doskonale by symbolizował losy ziem które ów Jezus z krzyża by doglądał. Z drugiej zaś strony Jezus przejął by na siebie lecznicze moce dawnego posągu, nie przejmując jednak na siebie przepowiedni przywiązanej do tego posągu. Na dodatek, ustawienie krzyża z Jezusem w miejscu dawnego posągu Matki Boskiej symbolicznie odzwiercidlałoby nową erę jaka nadeszła na tamte ziemie.

Niestety, jestem realistą i wiem doskonale do jak przewrotnych działań zdolne są owe mroczne moce które z całą pewnością będą manipulowały fundacją "Mater Dei". Wszakże z mocami tymi walczę już od wielu lat. Wielokrotnie też już demonstrowały mi swoje metody działania - jako ich przykład patrz treść totaliztycznej strony [memorial_pl.htm](#). Dlatego zdaję sobie sprawę, że gdyby postulować zbudowanie ozdobnego krzyża z Jezusem w miejscu dawnej figury Matki Boskiej, wówczas agenci owych mrocznych mocy rozpętałiby hałaśliwą kampanię propagandową naszpikowaną oskarżeniami o ciemnotę i przesady, o brak respektu do historycznej wierności, o niedocenywanie kulturalnej wartości zabytków, o nacjonalizm i niezrozumienie dla ducha zjednoczonej Europy, itd., itp. Dlatego znacznie realistyczniejsza jest druga sugestia totalizmu i feng shui jak rozwiązać sprawę owej figury bez przywrócenia jej nadprzyrodzonych mocy dawnej przepowiedni. Mianowicie, sugestia ta nakazuje aby zamiast odrestaurowywać starą figurę, raczej na jej miejscu zbudować nowo-zaprojektowaną figurę o aktualnej dzisiaj symbolice i pozycji. W owym nowym projekcie figury, Matka Boska ujęta byłaby ustawiona bokiem, zwrócona w kierunku północy, stojąc pod krzyżem którego fragment byłby widoczny przy obrzeżu wnęki. Twarz Matki Boskiej byłaby też skierowana ku górze (dokładnie na gwiazdę północną), do Jezusa wiszącego na owym krzyżu z obrzeża wnęki. Przy takim zaprojektowaniu nowej figury, wnęka kościoła w Malborku otrzymałaby przynależną jej figurę Matki Boskiej. Historia by więc się dopełniła. Jednak owa nowa Matka Boska nie przejęłaby już na siebie anty-polskich mocy dawnej przepowiedni, ponieważ scena przez nią symbolizowana nie byłaby odpowiednia dla przepowiedniowej sytuacji. Wszakże nowa Matka Boska patrzyłaby w górę - a nie na ziemię jakie nadzorowała stara figura. Ponadto nowa Matka Boska symbolizowałaby żal i pokutę, a nie ekspansję i rządy. Byłaby więc wysoce na miejscu w sytuacji dzisiejszego świata. W końcu projekt nowej Matki Boskiej wywodziłby się z serc i umysłów Polaków, stąd ona sama byłaby do Polaków nastawiona przychylnie (chyba że nowy posąg zostałby "nawiedzony" anty-polskim duchem dawnego posągu - jednak wówczas takie "nawiedzenie" łatwo mogłoby zostać odczynione).

Aby podsumować tutaj powyższe wyjaśnienia, ani ja ani nikt kto działał będzie w moim imieniu czy w imieniu totalizmu NIE jest przeciwny umieszczeniu we wnęce kościoła zamkowego w Malborku jakiejś figury religijnej której symbolika i konfiguracja byłaby odpowiednia do dzisiejszej sytuacji ziem na jakich zamek ten stoi. Mogłaby to nawet być figura Matki Boskiej pod warunkiem jednak że zostałaby ona przeprojektowana dla okoliczności dzisiejszych czasów, tak że jej twarz zwrócona byłaby w kierunku Jezusa na krzyżu (i w kierunku gwiazdy północnej), zaś symbolika jej postawy wyrażałaby żal i skruchę. Jednak zarówno ja jak i wszyscy ci którzy akceptują ustalenia wynikające z Konceptu Dipolarnej Grawitacji mają moralny obowiązek aby aktywnie przeciwstawiać się odrestaurowaniu w owej wnęce wrogiej Polakom krzyżackiej figury Matki Boskiej w jej oryginalnym symbolizmie i ustawieniu. Agresywna bowiem postawa i symbolika tej figury przywróciłaby do życia nadprzyrodzone moce jakie wyrażone są starą przepowiednią z figurą tą związaną. Z kolei działanie owych mocy z czasem zniszczyłoby dzisiejszy

pokojuowy balans ziem jakie figura ta nadzorowałaby, a w rezultacie zniszczyłoby także pokój i dobrobyt całej Europy.

W związku z powstaniem sytuacji opisanej powyżej, mam apel do czytelników niniejszej informacji. Mianowicie, jeśli w mocy czytającego stoi możliwość wpływu na tych nierozważnych Polaków co igrają z mocami ponad ich zrozumienie i upierają się aby przywrócić do życia "zamrożonego serpenta" poprzez odrestaurowanie krzyżackiej Madonny z malborskiego zamku, aby czytający użył swoich wpływów. Nie wolno bowiem odrestaurowywać tak proroczego posągu bez przeprowadzenia powszechnego plebiscytu wśród ludzi których losy zostaną dotknięte nadprzyrodzonymi mocami tego posągu. Jeśli zaś ów plebiscyt potwierdzi, że w niszy malborskiego zamku należy jednak ustawić posąg Matki Boskiej, wówczas nie wolno go odrestaurowywać w jego dawnej krzyżackiej postaci, a jakiś znany polski artysta powinien go przeprojektować od nowa tak aby odebrać mu zdolność niszczycielskiego wpływu na losy ludzi mieszkających w obszarze jego wpływu oraz nadać symbolizm odpowiedniego do obecnej sytuacji ziem na których on stoi. Wszakże jeśli posąg ten faktycznie zostanie odrestaurowany w swojej dawnej postaci, wówczas polska mowa zaniknie na obszarach na które będzie on patrzył, zaś obecny pokojowy balans Europy nagle będzie zakłócony. Konieczna więc zapewne byłaby aż kolejna, trzecia wojna światowa, aby ponownie zamrozić owego serpenta i aby przywrócić balans i pokój jaki na owym obszarze istnieje obecnie.

Powinienem tutaj dodać, że powyższe opisy przygotowałem w połowie stycznia 2008 roku, wkrótce po tym jak fundacja "Mater Dei" została założona przez Polaków i rozpoczęła energiczne działania nad restoracją krzyżackiej Madonny z Malborka. Niestety, moje ostrzeżenia NIE zostały wzięte pod uwagę i do dnia dzisiejszego posąg tej Madonny jest odrestaurowywany w jej poprzedniej, krzyżackiej symbolice. Jedyne więc co nam teraz pozostało to nieuchronnie się przekonać jakie będą tego długoterminowe konsekwencje. Wszakże anty-Polska moc prastarej przepowiedni zostaje już stopniowo przywracana i obecnie bezszelestnie wznawia ona swoje działanie w okolicach Malborka.

#C6. W miarę postępu prac nad odrestaurowaniem Malborskiej Madonny, jej anty-polskie działanie już obecnie narasta:

Dosyć szokująca sprawa jaka mnie osobiście poruszyła, to że w miarę jak postępują prace nad odrestaurowaniem Malborskiej Madonny, jej anty-polskie działanie już obecnie szybko narastają. Przykładowo, w lutym 2010 roku moją uwagę zwróciły liczne wyroki sądowe w Polsce, które m.in. nakazały Polakom mieszkającym na ziemiach doglądanych przez ową Madonnę, aby Ci zwracali swoje domy i majątki uprzednim niemieckim właścicielom. Przykład artykułu na ten temat, w lutym 2010 roku dostępny był w Internecie m.in. pod adresem <http://wiadomosci.onet.pl/1599650,720,1,kioskart.html>.

Część #D: Czym faktycznie jest ów posąg pokrzyżackiej Madonny:

#D1. Odnotuj że Biblia wyraźnie zabrania oddawania religijnej czci posągom, obrazom, czy czemukolwiek innemu poza samym Bogiem:

Każda oficjalna religia posiada dwie składowe. Pierwsza z nich zostaje dana ludziom bezpośrednio przez Boga. W przypadku religii chrześcijańskiej ta składowa dana ludziom przez Boga jest dokładnie spisana zawartością Biblii. Natomiast w przypadku innych religii, sposób jej podania ludziom został wyjaśniony w punkcie #D1 strony newzealand_visit_pl.htm. Drugą składową każdej religii są najróżniejsze "dodatki" powprowadzane tam przez niedoskonałych ludzi którzy zarządzają ową religią. W kościele rzymsko-katolickim przykładami takich "dodatków" powprowadzanych przez niedoskonałych ludzi są tzw. "Kult Maryjny", czy odwoływanie się do nadprzyrodzonych możliwości posągów, obrazów i relikwii poszczególnych świętych.

Bóg wyraził w Biblii dosyć jednoznaczne zalecenie na temat kultów i czczenia dowolnych posągów, obrazów, relikwii, itp. W aż kilku miejscach Biblia z naciskiem stwierdza wszakże - np. patrz "Księga Wyjścia" 20:3-5, cytując: "Nie będziesz miał cudzych

bogów obok Mnie! Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego co jest w wodach pod ziemią! Nie będziesz oddawał im pokłonu i nie będziesz im służył, ponieważ Ja Pan, twój Bóg, jestem bogiem zazdrosnym,...". Nigdzie też w Biblii NIE zostało wyraźnie stwierdzone, że czyniony jest jakikolwiek wyjątek dla owej reguły. Stąd ów "Kult Maryjny", a także modlenie się do posągów, obrazów i relikwii świętych, tak upowszechnione w kościele rzymsko-katolickim, faktycznie niczym się nie różni od zakazywanego treścią Biblii modlenia się do bałwanów, bożków, bożyszczów, fetyszów, idoli, złotych cielców, itp. A trzeba też pamiętać, że jeśli Biblia czegoś zakazuje, muszą istnieć ku temu bardzo istotne powody i nie leży w mocy ludzi uchylenie czy ignorowanie takich zakazów.

W Biblii kładziony jest tak duży nacisk na zakaz oddawania religijnej cześci komukolwiek poza jedynym Bogiem, że aż w kilku jej miejscach wyraźnie jest zaznaczone, że takie postępowanie będzie karane. Przykładowo, Księga Wyjścia stwierdza w wersecie 22:19, cytując: "Ktokolwiek by składał ofiary innym bogom (poza samym Panem), podlega klątwie." Z kolei Księga Mądrości stwierdza w wersecie 14:30, cytując: "Ale przyjdzie na nich kara słuszną za jedno i drugie, że źle myśleli o Bogu, trzymając się bożków..." Co nawet ważniejsze, owa ostrzegana kara jest faktycznie serwowana w rzeczywistym życiu i to z żelazną konsekwencją. Przykładowo, w punkcie #D5 strony sw_andrzej_bobola.htm podsumowałem losy świętego Andrzeja Boboli - który jest szeroko znany jako jeden z wiodących postaci katolickiego "Kultu Maryi". Wszakże to właśnie św. Andrzej Bobola spowodował że Matka Boska została ślubowana "Królową Polski". Oczywiście, gdyby ktokolwiek wydzwignął jakąś zwykłą kobietę do honoru zostania Królową Polski, wówczas nawet najmniej wdzięczna kobieta obsypałaby go dobrodziejstwami i pozwoliła mu spędzić resztę życia w komforcie i dobrobycie. Jakie więc dowody nadprzyrodzonej wdzięczności otrzymał ów Andrzej Bobola za to poszerzenie i utwierdzenie Kultu Maryi? Ano, został publicznie odarty ze skóry i nagrodzony powolną śmiercią męczennika.

Fot. #D1 (D2 w [10]): Jedno ze "świętych" drzew Malezji lokalnie zwanych "Datuk". Tytuł "Datuk" w Malezji oznacza mniej więcej to samo co staropolskie "Wasza Dostojność". Oprócz więc wysokich dostojników państwowych, tytułem tym obdarzane są tam też najróżniejsze obiekty, przykładowo drzewa, kamienie, meteoryty, źródła wody, itp., o których wiadomo że są zamieszkiwane przez jakąś miejscową istotę duchową (np. duszka czy demona) o nadprzyrodzonych mocach. Wyraźnie je się tam odróżnia od Boga. Owe "Datuk" można poznać po maleńkiej czerwonej kapliczce w której typowo zawarta jest miniaturowa figurynka owego "bożka zwanego Datuk" który mieszka w danym obiekcie (tą brodatą figurynkę widać na powyższym zdjęciu przed tylną ścianką kapliczki), oraz do której wkładane są "dary" przeznaczone dla tego bożka. Do obiektów tych czasami ludzie modlą się tam podobnie jak katolicy modlą się do posągów Maryi lub do świętych obrazów. Obiekty "Datuk" czynią też "cuda", tak jak posągi Maryi czy święte obrazy w Europie. (Kliknij na powyższe zdjęcie aby zobaczyć je w powiększeniu.)

W obiektach "Datuk" zamieszkują indywidualne duchy czy demony, które "przywłaszczyły" sobie obszar leżący w pobliżu ich siedziby i które dają poznać swoje istnienie w całej okolicy poprzez najróżniejsze nadprzyrodzone akty jakie wywołują miejscowym ludziom. Wiele z owych duchów ma naturę zwierzęcą i są wysoce mściwe oraz złośliwe. Dlatego bardziej aby je udobruchać niż aby im oddać cześć, miejscowi ludzie składają im dary w przypadkach kiedy ich dochód i źródło ich utrzymania mogłoby być zagrożone złośliwością miejscowego "Datuk", lub kiedy zamierzają coś uczynić w czym wrogość takiego ducha czy demona byłaby im w stanie przeszkodzić. Przykładowo, w Malezji nie prowadzi się żadnej budowy, bez nieustannego obdarowywania i celebrowania miejscowego "Datuk" do którego należy obszar na jakim budowa ta się odbywa. (Całe pokolenia budowniczych już się tam empirycznie przekonały, że bez udobruchania miejscowego "Datuk", na budowie typowo mają miejsca nieustanne wypadki, sprzęt nawala, popełniane są kosztowne pomyłki, pogoda przestaje sprzyjać, zaś budowa czasami jest nawet przerywana z braku funduszy zanim zdoła zostać ukończona.) W

rezultacie, podobnie jak w krajach katolickich wszędzie widać figury Maryi, w Malezji wszędzie rzucają się w oczy owe małe czerwone kapliczki lokalnych bożków "Datuk". (Powyższe zdjęcie jest też pokazane i omawiane jako zdjęcie "Fot. #G9" na stronie ufo_pl.htm.)

Podczas mojej profesury w Malezji (od 1993 do 1998 roku) dosyć głośno było tam o drzewie "Datuk" z okolic Ipoh, jakie to drzewo stanowiło przedmiot kultu lokalnego plemienia, jednak jakie stanęło na drodze nowo-budowanej autostrady. Każdy robotnik który zbliżył się do owego drzewa z piłą motorową, padał na ziemię zalany krwią - tak jakby owo drzewo czyniło ludziom dokładnie to co oni jemu chcieli uczynić. Dopiero kiedy lokalni "Bomoh" dokonali ceremonialnego przeniesienia ducha który zamieszkiwał owo drzewo do zupełnie innego drzewa, drzewo owo mogło zostać wycięte.

Warto tutaj dodać, że w czasach pogańskich Słowianie modlili się do "świętych dębów" w których zamieszkiwał pogański bóg Piorun. Z czasem więc moce owych świętych dębów stawały się podobne do mocy drzew Datuk w Malezji. Jeden z takich Słowiańskich świętych dębów, aż do około 1990 roku stał nieopodal wioski Wszewilki. Jest on opisany na stronie internetowej owej wioski.

#D2. "Nadprzyrodzone" wcale NIE musi wywodzić się od Boga, zaś "nadprzyrodzone akty" istot mniej doskonałych od Boga mogą wyrządzić więcej zła niż dobra:

Motto: "Buszmeni z dżungli którzy nigdy nie byli w mieście ani nie widzieli np. elektryczności, wcale nie są ani filozoficznie bardziej ograniczeni ani nie mają mniejszej wiedzy o wszechświecie i życiu niż np. naukowcy którzy całe swe życie spędzili na fotelach z poręczami przed ekranami komputerów i nigdy nie byli w dżungli ani nie widzieli np. magii."

Wszyscy doskonale wiemy, że NIE wszystko co "nadprzyrodzone" wywodzi się od Boga. Wszakże przykładowo w wielu krajach świata, szczególnie z obszarów tropiku, do dzisiaj praktykowana jest "czarna magia" czy "voodoo", jakich źródłem są odpowiednio wytrenowani "szamani" i "bomoh". Wiadomo też że wiele obiektów martwych, jakie stały się obiektem modlitw miejscowych ludzi, z upływem czasu nabiera "nadprzyrodzonych mocy" będąc zdolnymi do działań jakie zaprzeczają znanym prawom fizyki. Ich przykłady obejmują drzewa i kamienie zwane "Datuk" z Malezji (patrz ich przykład na "Fot. #D1"), słupy totemowe z Borneo (patrz ich przykłady na "Fot. #D2" poniżej), drewniani "strażnicy" z wioski Korei (patrz ich przykłady na "Fot. #D3" poniżej), kamień z Atiamuri w Nowej Zelandii (patrz jego zdjęcie na "Fot. #D1" ze strony newzealand_pl.htm), święty dąb i "anielski kamień" ze Św. Anny koło Milicza (opisany w podpisie pod "Fot. #C1a" z tej strony, zaś pokazany na stronie o mieście Miliczu), oraz cały szereg innych obiektów.

Źródłem owych nadprzyrodzonych mocy i zdolności kinetycznych obiektów martwych jest szczególny rodzaj inteligentnej energii którą filozofia totalizmu nazywa "energiją moralną". (Ta sama inteligentna energia jest wykorzystywana np. przez praktykujących "kung-fu" do uzyskiwania efektów kinetycznych jakie zaprzeczają znanym prawom fizyki - oni nazywają ją energiją "chi".) Ową "energiją moralną" ludzie przekazują do obiektów martwych podczas wszelkich działań indukujących wysoki poziom uczyć - np. podczas modlitw. Potem zaś dowolny "duch" jaki rezyduje w owych obiektach martwych, może tą energiją wykorzystać do zrealizowania zamierzonych działań kinetycznych. To właśnie z powodu owego uczuciowego przekazywania energii moralnej do obiektów martwych, przykładowo średniowieczne topory katowskie musiały być zakopywane kiedy liczba ściętych nimi głów ludzkich zbliżała się do tysiąca. Do owego czasu tak bowiem nasiąkały one ową "energiją moralną", że były w stanie same dokonywać ścięcia głowy, np. odrabując głowę kata który je posiadał. (Więcej informacji o tradycji zakopywania średniowiecznych toporów katowskich kiedy ścięły one 1000 głów, zawarte jest w podrozdziałach JA2.4 oraz I7 (patrz tam punkt #5I7) z monografii [1/5].) To też właśnie z powodu tej samej energii zakumulowanej w starych broniach, czasami można usłyszeć o brutalnej śmierci jakiej ofiarą w wysoce tajemniczych okolicznościach pada któryś z kolekcjonerów starych broni.

Podobnie też jak w krajach tropikalnych owe modlitwy ludzi nadają

nadprzyrodzonych mocy miejscowym drzewom, kamieniom, słupom totemowym, fetyszom, idolom, itp., również modlitwy katolików do posągów Matki Boskiej, do świętych obrazów, oraz do relikwii, też i tym obiektom nadają nadprzyrodzonych mocy. Mocą tą potem są w stanie rozporządzać owe istoty duchowe jakie zasiedlają się w danych obiektach. Problem więc jaki potem się ujawnia, to że owe nadprzyrodzone moce nabyte przez takie przedmioty, mogą być nadużyte przez istoty duchowe które zamieszkają w owych przedmiotach - często na szkodę i na zgubę ludzi które istotom tym jakoś podpadli.

Fot. #D2: Słupy totemowe z tropikalnej wyspy Borneo. Typowo mają one dziuple w swoim środku, zaś w dawnych czasach w dziuplach tych składowano nieboszczyków. Miejscowi modlą się do nich nadal do dzisiaj. Słupy te wykazują nadprzyrodzone zdolności - typowo szkodząc tym ludziom jacy im jakoś podpadną. Przykładowo, ja poznałem słup totemowy szczepu Bidayuh z Borneo, który NIE lubił być fotografowanym. Słup ten niemal uśmiercił niemieckiego turystę, który nie wierząc ostrzeżeniom miejscowych ludzi ciągle pstryknął mu zdjęcie - po więcej szczegółów na jego temat patrz podrozdziały I5.7 z tomu 5 oraz JB3.2 z tomu 7 monografii [1/5]. (Kliknij na powyższe zdjęcie aby zobaczyć je w powiększeniu.)

Ja widywałem podobne słupy totemowe podczas swojej profesury na Borneo. Jednak wiedząc że NIE lubią one być fotografowane, nigdy NIE odważyłem się wykonać im zdjęcia. Powyższe zdjęcie wykonałem więc w muzeum w Kuala Lumpur, gdzie dwa takie słupy przywiezione z Borneo wystawione są do oglądania. Jako eksponaty muzealne te dwa słupy nawykły już widać do bycia fotografowanymi i nie czynią szkody tym którzy pstrykną im zdjęcie.

#D3. Najwyraźniej istnieje takie coś jak "mściwy" i "zły" posąg Maryi, zaś wrogi Polakom pokrzyżacki posąg w Malborku jest na to doskonałym dowodem:

Jeśli coś jest dla nas dokonywane przez samego Boga, wówczas w swoim działaniu Bóg bierze pod uwagę generalny plan jaki ma dla danej osoby i dla jej roli w całym wszechświecie, dobro tej osoby, jej rozwój duchowy, byt fizyczny, itp. Chociaż więc, podobnie jak mądry ojciec czy dobry dentysta, Bóg czasami dla naszego własnego dobra zmuszony jest zaserwować nam odrobinę bólu, wszystko co otrzymujemy od Boga generalnie służy naszemu dobru. Jeśli jednak coś jest dla nas dokonywane przez obiekty (np. posągi, obrazy, relikwie, itp.) jakie w wyniku naszych modlitw nabyły nadprzyrodzonych mocy, wówczas jest to już pozbawione dalekowzroczności i wizji Boga. Nawet więc gdyby chwilowo wyglądało to jak "dobro", z czasem może okazać się "złem". Na dodatek, owe istoty duchowe jakie są dysponentami nadprzyrodzonych mocy takich obiektów, typowo są równie niedoskonałe jak wszelkie istoty. Zwykle więc głównie mają one na celu wspieranie swoich własnych interesów. "Dobro" jakie więc czynią, typowo posiada ukryty cel i faktycznie służy bardziej im niż temu komu zostało wyrządzone.

Jeśli przeanalizować rodzaje działań jakie realizowane są przez opisane powyżej i wszystkim znane obiekty o nadprzyrodzonych mocach, gro tych działań okazuje się odmianami zła. Przykładowo, kamienie i drzewa "Datuk" w Malezji wcale NIE otrzymują ofiar i modlitw ponieważ pomagają ludziom, a dlatego że szkodzą i przeszkadzają. Ludzie swymi darami i modlitwami starają się jakoś udobruchać ich złą naturę. Podobnie jest ze słupami totemowymi z Borneo, "strażnikami" wsi z Korei, czy kamieniem z Atiamuri który notorycznie uśmierca ludzi (stąd otrzymuje ofiary i modlitwy od maoryskich kierowców aby nie nastawał na ich życie).

Katolicy z wielu krajów świata modlą się do posągów, obrazów, kamieni, źródeł wody, itp., ponieważ fama głosi że obiekty te są zdolne do cudownego uzdrawiania. Nikt jednak NIE dokonuje badań procentu tych co wracają z takich sesji modlitewnych zdrowsi, oraz procentu tych którzy wracają bardziej chorzy. Wszakże posągu, obrazu, czy innego obiektu słynnego z cudownych uzdrowień nikt NIE posądza, że może sprowadzić na niego chorobę zamiast zdrowia. Czy jednak jest to prawdą? Czy jeśli jakiś obiekt ma zdolność do uzdrawiania, to oznacza, że NIE ma on zdolności do zadawania choroby. Jeśli zaś może zadawać chorobę, a jest niedoskonałą istotą duchową, co ma ją wstrzymywać przez

zadaniem choroby choćby dla zwykłej zabawy czy rozrywki tym z odwiedzających je ludzi których z jakichś powodów albo nie lubi albo którzy jej jakoś podpadną.

Złowroga pokrzyżacka Madonna z zamku w Malborku udowodniła już w praktyce swoją małoskówność i nienawiść do Polaków. Jak się okazuje, jest ona zdolna nawet do większych paskudstw. Przykładowo, jak się o tym przykro przekonałem na własnej skórze, jest ona w stanie złośliwie sprowadzać paskudną chorobę na tego kto jej podpadnie. Jeśli zaś figura z Malborka jest zdolna do takich działań, jakąż mamy gwarancję że także i inne "cudowne posągi" NIE działają w podobny sposób.

Fot. #D3ab: Drewniani "strażnicy" dawnych wsi Korei. Kiedyś każda wieś w Korei miała takich swoich "strażników" którzy wsią tą się "opiekowali". Specjalne zabiegi magiczne wzmacniały moc tych strażników i ich zdolność do identyfikowania tych przybyszy którzy nosili się z zamiarem skrzywdzenia kogoś we wsi. Stąd strażnicy ci słynęli m.in. z tego że prześladowali i płatali nadprzyrodzone figle wszystkim przybyszom do danej wsi którzy mieli jakieś niegodziwe zamiary. Niektóre wsie potrafiły nadać swoim "strażnikom" aż takiej magicznej mocy, że czasami owi strażnicy byli nawet w stanie "wypędzić" ze wsi nadprzyrodzonymi mocami każdego niegodziwca przybyłego aby kogoś w niej skrzywdzić. Za ową "opiekę" nad wsią, za chronienie ich mieszkańców przed "złem" przynoszonym przez obcych przybyszów, a także za prześladowanie przejezdnych i przybyszów o złych zamiarach - tak aby pozbyć się ich ze wsi zanim zdążą popełnić cos złego, miejscowi mieszkańcy składali dary tym strażnikom i do nich się modlili. (Kliknij na wybrane zdjęcie aby zobaczyć je w powiększeniu).

(Lewe) Czterech takich strażników pilnujących drogi wjazdowej do danej wsi.

(Prawe) Grupa podobnych strażników rezydująca w środku wsi i pilnująca jej od wewnątrz.

Część #E: Podstępne użycie swej zdolności do uzdrawiania przez pokrzyżacki posąg Matki Boskiej z Malborka w celu zmanipulowania swojej odbudowy:

#E1. Jak posąg może sam siebie wydobyć z zapomnienia i nakazać własną odbudowę:

Co powinna uczynić sprytna figura w sytuacji pokrzyżackiej figury z Malborka. Znacząca taka która nadal posiada w sobie sporo nadprzyrodzonych mocy, jednak która od wielu lat fizycznie już nie istnieje i o której niemal wszyscy zapomnieli. Ano, powinna znaleźć sobie kogoś o kim wiadomo że wydaje sporo publikacji na temat działania nadprzyrodzonego (np. kto będzie znany z prowadzenia całego szeregu stron internetowych na ten temat), poczym sprytnie zadać mu jakąś przykrą chorobę aby następnie móc spektakularnie z choroby tej go uleczyć. Taki ktoś zaś z całą pewnością o owym uleczeniu pochwali się w swoich publikacjach, przypominając innym o istnieniu owej figury. Potem zaś wystarczy, że figura ta zmanipuluje kilkoma dalszymi wpływowymi ludźmi, aby zostać odbudowaną. Co jednak taka figura powinna uczynić, jeśli zdecydowanie NIE lubi Polaków, zaś ów jedyny ktoś kto może o niej przypomnieć innym jest właśnie Polakiem. Ano wówczas zamiast faktycznie uleczyć owego Polaka z uprzednio zadanej mu choroby, wystarczy aby tak nim zmanipulowała że on sam będzie sądził iż był jednak uleczoney - chociaż wcale uleczoney nie został.

Tak się stało, że owym zmanipulowanym Polakiem który sądził że był uleczoney przez pokrzyżacką figurę z Malborka stałem się ja. Zajęło mi jednak wiele lat zanim w dniu 7 kwietnia 2010 roku uświadomiłem sobie że zostałem jedynie sprytnie wykorzystany przez ową figurę. Oto więc moja historia wyjaśniająca jak sprytnym fortem zostałem "wrobiony" w dopomożenie aby owa złowroga figura zaczęła być odbudowywana.

#E2. Teatralne uzdrowienie (jednak bez faktycznego uzdrowienia) jakie mi zwodniczo zademonstrował ów pokrzyżacki posąg Matki Boskiej z Malborka:

W trakcie trwania mojej kolejnej wizyty w Malborku w maju 1995 roku, doznałem

silnej alergicznej irytacji płuc. Kaszlałem więc niemal bez przerwy. Na moje urodziny (25 maja 1995 roku) celebrowaliśmy właśnie dzień urodzinowy, kiedy dowiedziałem się o owych cudownych uzdrowieniach jakie kiedyś miały miejsce przed obliczem owej figury. Czyli że gdyby owa figura ciągle istniała, wówczas mógłbym ją poprosić o uzdrowienie swojej alergicznej irytacji płuc. Chociaż owa idea była jedynie rozmową przy stole podczas zwyczajnej celebracji urodzin, pomyślałem sobie że jest warta sprawdzenia, ponieważ pokrywała się ona z przedmiotem moich badań. Wszakże jestem autorem naukowej teorii wszystkiego nazywanej Konceptem Dipolarej Grawitacji, jaka opisana jest m.in. w tomach 4 i 5 najnowszej monografii [1/5] referowanej na niniejszej stronie.

Zgodnie zaś z interpretacją czasu wynikającą z owego Konceptu Dipolarnej Grawitacji i wyjaśnioną skrótowo na odrębnej stronie internetowej [timevehicle_pl.htm](#), jeśli w jakimkolwiek czasie coś gdzieś istniało, lub też dopiero zaistnieje w dowolnym punkcie wszechświata, wówczas to coś ciągle istnieje tam i w chwili obecnej, zaś my możemy przemieścić się do tego czegoś poprzez podróż przez czas jaka daje się osiągnąć na poziomie "przeciw-świata". Stąd zdecydowałem, że natychmiast spróbuję tej techniki i sprawdzę czy zostanę uzdrowiony. Troje nas poszło do obszaru przed ową byłą figurą krzyżackiej Matki Boskiej, gdzie ja zamierzałem poprosić o cudowne uzdrowienie. Muszę tutaj się przyznać, że nie bardzo byłem w religijnym nastroju, ponieważ byłem trochę podchmielony (wszakże były to moje urodziny). Jednak mój kaszel był tak nieznośny, że ciągle zdecydowałem się poprosić o owo cudowne uzdrowienie. Moi współtowarzysze byli tak pewni niemożliwości aby cudowne uzdrowienie faktycznie miało miejsce, że nawet nie chcieli zaczekać aż ja o nie poproszę, a kontynuowali swój spacer, pozostawiając mnie za sobą. (Kiedyś sądziłem że istnieje jakiś rodzaj prawa, że cuda muszą zawsze się przytrafiać kiedy nikt nie patrzy. Obecnie jednak posądzam, że po prostu istniał ważny powód aby coś im telepatycznie nakazało kontynuację ich spaceru.) Ja więc zwróciłem się dokładnie do punktu w przestrzeni w którym owa figura kiedyś zwykła stać, oraz poprosiłem w swoich myślach aby figura ta zademonstrowała mi swoje moce leczące, oraz uzdrowiła mój kaszel na czasokres pobytu w Malborku. Kiedy tylko zakończyłem myślowe wypowiedanie swojego życzenia, dostrzegłem rodzaj promienia silnego białego światła jakie biło z niemal centrum wnęki w której owa figura zwykła stać. Początkowo myśl przemknęła przez mój umysł, że musi się tam znajdować jakieś lustro które odbija ku mnie światło słońca. Jednak natychmiast po tym uświadomiłem sobie, że słońce właśnie jest położone dokładnie po przeciwstawnej stronie kościoła, zaś owa wnęka na figurę jest ukryta w cieniu. Kiedy ów silny promień światła uderzył moje płuca, zacząłem odczuwać rodzaj zimna i dreszczy. Czuło się to jakby wzdłuż mojej tchawicy i płuc topniała warstwa lodu. To niezwykle uczucie całkowicie mnie zaszokowało. Całe przeżycie trwało jedynie około 30 sekund. Pobiegłem do moich współtowarzyszy którzy kontynuowali spacer jedynie jakieś 50 metrów ode mnie odwróceniem tyłem do figury, aby opowiedzieć im o zdarzeniu, podczas gdy owo zimno i dreszcze zaniknęły. Począwszy od owego momentu czasu nie zakaszałem nawet jeden raz podczas reszty mojego pobytu w Malborku. Później, kiedy oglądałem stare fotografie owej figury, uświadomiłem sobie że ów promień silnego białego światła jakie wówczas widziałem, buchnął ku mnie z obszaru, gdzie na oryginalnym posągu znajdowało się owo symboliczne Świąte Serce Matki Boskiej.

Sprawa owego cudownego uzdrowienia miała jednak dalszy ciąg. Ten jej dalszy ciąg był nawet jeszcze bardziej nadprzyrodzony. Nastąpił bowiem w kościele w Warszawie który w Warszawie wcale nie istnieje - co dokładniej wyjaśniam w punkcie #E3 poniżej, a także w punkcie #D6.1 odrębnej strony internetowej o wehikułach czasu. Mianowicie, jak tylko wsiadłem do pociągu aby opuścić Malbork, zaś ów pociąg przekroczył most na rzece Nogat, mój gwałtowny kaszel nagle powrócił. Jednocześnie w mojej głowie pojawiła się myśl, że w sformułowaniu z jakim zwróciłem się do owej figury, wcale nie prosiłem o trwałe uzdrowienie, a jedynie o zademonstrowanie mi jej mocy uzdrawiającej. W owym więc czasie nawrót tego kaszlu zinterpretowałem sobie że po prostu źle sformułowałem prośbę o wyleczenie. Jednak w około 15 lat później, tj. w dniu 7 kwietnia 2010 roku, nagle sobie uświadomiłem że powodem nawrotu kaszlu prawdopodobnie był fakt, że owa figura NIE lubiła Polaków i wcale NIE chciała mnie uzdrowić, a jedynie chciała abym ja uwierzył że

zostałem cudownie uzdrowiony. Dlatego zamiast mnie uleczyć trwale, uleczyła mnie tylko na czas pobytu w Malborku, zaś kiedy opuszczałem Malbork zadała mi ponownie ową chorobę. W ten sposób jedynie sprawiła pozory leczenia.

Aby zostać uzdrowionym na trwale, zdecydowałem się ponowić swoją prośbę o leczenie. Ponieważ jednak właśnie byłem w pociągu i opuszczałem Malbork, zdecydowałem się że w następnym miejscu swego pobytu pójdę do dowolnej innej figury Matki Boskiej, oraz że poproszę ową inną figurę aby albo sama mnie uleczyła, albo też aby moją modlitwę przekierowała do owej figury z Malborka. Mój następny postój wypadał w Warszawie. Poszedłem więc do kościoła NMP położonego tuż przy pałacu Prezydenta w Warszawie - ponieważ kościół ten stał najbliżej hotelu w którym wówczas się zatrzymałem. Kiedy wszedłem do tego kościoła, jego drzwi były otwarte chociaż wewnątrz nie było nikogo - byłem więc w nim jedyną osobą. W kościele tym poprosiłem figurę Matki Boskiej jaką znalazłem stojącą tam tylko kilka metrów na prawo od drzwi wejściowych, aby udzieliła mi cudownego udrowienia, tym razem trwałego, albo aby przekierowała moją modlitwę do figury z Malborka. Tym razem owo trwale uzdrowienie zostało mi wówczas udzielone (tj. z owego kościoła wyszedłem już bez kaszlu). Tak nawiasem mówiąc, to kiedy owo trwale uzdrowienie miało miejsce, nie zobaczyłem już ponownie żadnego białego światła ani nie doznałem żadnych sensacji. Po prostu nagle przestałem odczuwać potrzebę kaszlu. Ten brak spektaklu wówczas sobie tłumaczyłem, że moje pierwsze uzdrowienie było takie spektakularne tylko ponieważ ja prosiłem o zademonstrowanie mi mocy uzdrawiających owej figury, podczas gdy drugie uzdrowienie było ciche i niepozorne, ponieważ ja prosiłem o trwale uzdrowienie kaszlu, a nie o zademonstrowanie mi mocy uzdrawiających.

Mechanizm za podobną do działania komputera mocą uzdrawiającą dowolnego obiektu do którego modli się wielu ludzi (w tym owej figury krzyżackiej Madonny z Malborka), jest wyjaśniony dokładniej w tomie 6 mojej monografii [8] "Totalizm". Jak moje badania na to wskazują, każdy przedmiot czyichś modlitw może działać np. w uzdrawiający sposób, ponieważ jego moc głównie wywodzi się z inteligentnej tzw. "energii moralnej" przekazanej do niego przez owe rzesze ludzi jacy się do niego modlą. Z kolei owa energia moralna którą taki obiekt akumuluje w sobie, pozwala aby dokonywał on (w sposób podobny do naturalnego komputera) działań o jakie ludzie go poproszą. (Oczywiście, taki obiekt jest też w stanie dokonywać zupełnie odmiennych działań jakie służą tylko jego własnym interesom - np. bronić się przed zniszczeniem, czy spowodować swoją odbudowę.) Właściwie to zachowuje się on w sposób bardzo podobny do owych drewnianych totemów pogańskich z Wyspy Borneo, jakie pokazałem na "Fot. #D2" powyżej zaś opisałem w podrozdziałach B3.3 i K5.7 z tomów 2 i 6 monografii [8], a jakie także są zdolne do dokonywania podobnych uzdrowień i nadprzyrodzonych efektów.

#E3. Moje trwale uzdrowienia w warszawskim kościele o którym potem się okazało że wcale w Warszawie nie istnieje:

Kiedy wszedłem do owego kościoła NMP przy pałacu prezydenta w Warszawie, drzwi kościoła były otwarte, chociaż w kościele nie było nikogo. Po wejściu do środka od razu zobaczyłem znajdującą się tam sporą figurę Matki Boskiej do której najpierw się skierowałem aby pomodlić się o dwa trwale uzdrowienia (tj. o uzdrowienie z owego kaszlu, oraz dodatkowo o usunięcie ganglionu (cysta) z przegubu mojej lewej dłoni). Po zakończeniu modlitwy i złożeniu ofiary, rozglądałem się po całym kościele. Wyglądał on wspaniale. Najbardziej zaciekała mnie w nim wspaniale wykonana i bogato udekorowana tzw. konfesja. Powodem dla jakiego ona mnie szczególnie zainteresowała, było że jej wygląd imitował bardzo dokładnie wygląd niezwyklego urządzenia napędowego zwanego komora oscylacyjna które zawarte jest w pędniku głównym każdego wehikułu UFO. Konfesja w owym kościele była nawet bardziej wspaniała i bardziej podobna do pędnika UFO, niż ta którą widziałem w Bazylice Św. Piotra w Rzymie. Pechowo jednak, nie zabrałem wówczas ze sobą aparatu fotograficznego. Nie byłem więc w stanie jej sfotografować. Ponieważ zaś już wkrótce potem odlatywałem z Warszawy do Nowej Zelandii, postanowiłem że kościół ten ponownie odwiedzę kiedy będę w Polsce następnym razem, oraz że wówczas upewnię się aby dokładnie obfotografować ową konfesję. Jednak

kiedy w 2004 roku przybyłem ponownie do Warszawy aby obfotografować ową konfesję, okazało się że kościół NMP jaki odwiedzałem koło pałacu prezydenta w 1995 roku już tam nie istnieje. Na jego miejscu stoi teraz zupełnie inny kościół NMP. Kolejnym więc cudem jaki miał miejsce w tamtym kościele, było że modliłem się i zostałem uzdrowiony w kościele który w obecnym przebiegu czasu wcale nie istnieje ani istniał w tamtym miejscu.

Dlaczego i w jaki sposób jest możliwe aby przebywać i modlić się w kościele który wcale już nie istnieje w danym miejscu, wyjaśniłem to dokładniej na stronie internetowej o wehikułach czasu. W punkcie #D6.1 owej strony o wehikułach czasu wyjaśniłem co właściwie zapewne się zdarzyło z tamtym kościołem NMP przy pałacu prezydenta w Warszawie. Powodem zaś dla którego byłem jednak w stanie dokładnie rozpracować i przygotować to wyjaśnienie było, że dobrotliwy Bóg pozwolił mi zobaczyć na angielskim filmie dokumentarnym ten sam kościół w którym się wówczas modliłem. Jak potem wykazały moje poszukiwania, kościół ten faktycznie istnieje, tyle tylko że w miejscowości zwanej "Święta Lipka" - czyli kilkaset kilometrów na północny-wschód od Warszawy. (Ja sam nigdy w życiu osobiście nie byłem w owej Świętej Lipce. Chciałbym jednak kiedyś tam pojechać - być może przy okazji mojej następnej wizyty w Polsce za kilka lat.) Znaczący w 1995 roku modliłem się w Warszawie i zostałem nawet uzdrowiony w kościele który zlokalizowany jest setki kilometrów od Warszawy. Nic dziwnego, że wówczas w kościele tym nie odnotowałem obecności żadnych innych ludzi.

Wyniki moich badań opisane teorią naukową zwaną Konceptem Dipolarnej Grawitacji dosyć jednoznacznie definiują co należy nazywać "cudem". Zgodnie z ową definicją, "cud" jest to zdarzenie którego przebieg definiowany jest przez mechanizmy przeciw-świata i którego nie daje się spowodować działaniem wyłącznie praw fizycznych obowiązujących tylko w naszym świecie fizycznym. Warto odnotować, że ta definicja "cudu" wyjaśnia jaki jest jego mechanizm i skąd się on bierze, a NIE z czyjej woli czy zabiegów jest on realizowany. Wszakże na przekór że absolutnie wszystko co tylko dzieje się we wszechświecie zawsze ma miejsce wyłącznie za zgodą, życzeniem i wolą Boga, wcale NIE wszystko musi być zrealizowane przez samego Boga. Dlatego jest oczywistym, że jeśli jakikolwiek cud ma gdzieś miejsce, wówczas wprawdzie jego przebieg i następstwa musiały już uprzednio być zaaprobowane przez Boga, jednak cud ten wcale NIE musiał być urzeczywistniony przez Boga.

Zgodnie z powyższą definicją "cudu", w chwili kiedy w 1995 roku przebywałem w owym kościele NMP przy pałacu prezydenta w Warszawie, miejsce miały tam aż trzy cuda. O tym jednak, że cuda te faktycznie miały tam miejsce, przekonałem się dopiero w jakiś czas później. W chwili bowiem kiedy byłem w owym kościele, nie byłem świadomy że coś niezwykłego się ze mną dzieje. Pierwsze dwa z tych trzech cudów polegały na trwałym uzdrowieniu mojej alergii płuc (jaką opisałem w poprzednim punkcie #E2 tej strony) oraz mojego ganglionu (ów ganglion zniknął jednak dopiero w kilka tygodni później). Trzecim zaś cudem było, że owa dwa pierwsze cuda miały miejsce w kościele do którego wszedłem w Warszawie, jednak który dzisiaj wcale nie istnieje w Warszawie.

#E4. Jak obecnie wyjaśniam sobie "dlaczego" w Warszawie doznałem trwałego uzdrowienia w kościele który faktycznie istnieje w Świętej Lipce:

Od czasu kiedy podczas ponownej wizyty w Warszawie w 2004 roku odkryłem, że kościół NMP przy Pałacu Prezydenta wcale NIE jest owym kościołem jaki tam odwiedziłem w 1995 roku i w jakim doznałem trwałego uzdrowienia, oczywiście zachodzę w głowę "dlaczego" takie niezwykle zdarzenie miało wówczas miejsce. Muszę się też przyznać, że aż do 7 kwietnia 2010 roku posądzałem, że wszystko zostało dla mnie "zorganizowane" aby zainspirować mnie do badań podróży w czasie. Jednak w efekcie choroby która na mnie została zesłana w dniu 7 kwietnia 2010 roku - a którą opisałem w następnej części #F tej strony, obecnie zaczynam wierzyć, że podmiana kościoła była zapewne spowodowana aby mnie trwale uzdrowić. Najwyraźniej dobry Bóg zdecydował się naprawić krzywdę jaką mi wyrządził ów krzyżacki posąg z Malborka. Ponieważ jednak w Warszawie prawdopodobnie NIE było wówczas kościoła który zawierałby figurę NMP zdolną do dokonywania uzdrowień - która na dodatek byłaby pozytywnie nastawiona do Polaków,

kiedy wchodziłem do tego właśnie kościoła NMP przy Pałacu Prezydenta, Bóg po prostu podmienił kościoły. W rezultacie wcale o tym nie wiedząc znalazłem się w kościele odległym o setki kilometrów od Warszawy, w którym jednak była figura jaka mogła mnie trwale uzdrowić - naprawiając w ten sposób szkodę i niesprawiedliwość zadaną mi przez ową krzyżacką figurę z Malborka.

#E5. Takie "niby uzdrowienie, jednak bez uzdrowienia" nie zawiera w sobie zapowiedzi "dobra":

Fakt, że figura malborskiej Madonny niby mnie uzdrowiła, chociaż faktycznie wcale nie dając mi uzdrowienia, jest ogromnie wymowny w świetle okoliczności w jakich miał on miejsce. Z jednej strony potwierdza on bowiem anty-Polskie inklinacje tej pokrzyżackiej figury. Znacząco potwierdza on że figura ta faktycznie NIE zamierza uczynić nic dobrego dla Polaków. Jeśli więc coś zmuszona jest uczynić, jak w tym wypadku, czyni to tylko pozornie - aby wyglądało to jak uzdrowienie, jednak faktycznie aby uzdrowieniem wcale NIE było. Z drugiej zaś strony potwierdza to że owo spektakularne rzekome "uzdrowienie" jakiego doznałem, było jedynie spektaklem zaaranżowanym specjalnie dla mnie po to abym o nim napisał na swoich stronach internetowych, a w ten sposób abym uruchomił bieg zdarzeń który spowoduje odbudowanie tej złowrogiej figury.

Ja osobiście uważam że odbudowanie posągu który już obecnie manifestuje tego rodzaju zachowania, powinno być ostatnią rzeczą jaka będzie miała miejsce na polskiej ziemi. Proszę bowiem sobie wyobrazić co posąg ten będzie wywijał kiedy faktycznie będzie odbudowany i w pełni odzyska swoje nadprzyrodzone moce.

Część #F: Mściwość posągu pokrzyżackiej Madonny z Malborka:

#F1. Czy figury mogą być "mściwe":

Motto: "Kto z kim przystaje takim się staje."

Jak wiemy z rzeczywistego życia, coś co ma służyć szerzeniu dobra - przykładowo kościoły czy organizacje dobroczynne, może ukrywać za swoją fasadą kogoś kto oddaje się praktykowaniu zła - np. złodzieja czy deprawiciela młodzieży. Doskonałą ilustracją tej tendencji, że "zło lubi się ukrywać poza fasadą lub imitacją dobra", były źródła kryzysu kościoła katolickiego z kwietnia 2010 roku, opisane w punkcie #F5 strony przepowiednie.htm.

Jeśli więc uznamy że istnieje takie coś jak "zło" czy "demoniczne moce", wówczas musimy także zaakceptować że niektóre obiekty o nadprzyrodzonych mocach albo stają się fasadami za którymi zło to stara się ukrywać, albo też poprzez nieustanne obcowanie z owym złem aż tak nim nasiąknęły że faktycznie nabierają one zestawu cech do których zaliczamy m.in. "mściwość".

Posąg krzyżackiej Madonny z Malborka przez wiele wieków "przystawał" z Krzyżakami. Zgodnie więc ze staropolskim przysłowiem "kto z kim przystaje takim się staje" nabrał on cech typowych dla Krzyżaków.

#F2. Mściwe dokonanie na mnie "odwrotności uzdrowienia" przez posąg malborskiej Madonny, czyli napytanie mi "nadprzyrodzonej choroby":

W dniu 7 kwietnia 2010 roku, dokonywałem zmian zawartości na trzech witrynach o zamku pokrzyżackim w Malborku, dla których to witryn jestem tzw. "webmasterem" (tj. na witrynach: malbork.20megsfree.com, malbork.20fr.com, oraz malbork.20fr.com). Zmiany te sprowadzały się do zastąpienia uprzednich głównie historycznych (tj. nastawionych na raportowanie faktów, a stąd sformułowanych "neutralnie" pod względem moralnym) stron wystawionych na owych witrynach, przez poprzednią wersję niniejszej strony - która nawet już wówczas zajmowała jednoznaczne stanowisko wobec owej figury pokrzyżackiej Madonny. Na przekór że w owym czasie czułem się całkowicie zdrowym, już w chwili kiedy podjąłem pracę w Cyber Cafe nad zmianą zawartości tamtych witryn, niespodziewanie zacząłem czuć się źle. Poczułem się że słabnę, zaś w mojej piersi coś nagle zaczęło

irytować mi płuca - jakbym wdychał "tytoń do kichania", lub coś na co jestem uczulony. Jednocześnie w mojej głowie pojawiła się uparta myśl, że muszę wydeletować stamtąd niniejszą stronę, bowiem w przeciwnym przypadku stanę się bardzo chory. Po zakończeniu tamtej zmiany stron na witrynach, ze sporą trudnością dowlokłem się z Cyber Cafe do domu. W domu doznałem niemal nieustannych ataków suchego, spazmatycznego kaszlu - dokładnie takiego samego rodzaju jak ów kaszel którego tymczasowe teatralne niby uzdrowienie opisałem w punkcie #E2 powyżej tej strony. Wszystko to razem wzięte sprawiło na mnie wrażenie, iż owo nagłe zapadnięcie na chorobę jest rodzajem jakby "zemsty" zesłanej mi przez krzyżacką figurę z Malborka.

Oczywiście, NIE istnieje możliwość aby naukowo dało się udowodnić, że przewlekła choroba jaka nagle zaczęła się u mnie w dniu 7 kwietnia 2010 roku, była "nadprzyrodzoną chorobą" zesłaną na mnie w ramach "zemsty" przez krzyżacką figurę z Malborka. Na ten właśnie fakt wskazują jednak najróżniejsze przesłanki jakie wówczas mi się ujawniły. Wszakże, w sumie odnotowałem wówczas zaistnienie aż kilku niezależnych przesłanek, każda z których klarownie zdaje się sugerować, że owa gwałtowna choroba jaką wówczas nagle zostałem potraktowany, w rzeczywistości stanowiła rodzaj "zemsty" czyli "nadprzyrodzonej choroby" jaką owa figura krzyżacka z Malborka na mnie zesłała w ramach niezwyklej odmiany jakby "cudownego uzdrowienia na odwyrtkę". Najważniejsze z tych przesłanek obejmują: (1) zbiegnięcie się czasu nadejścia tego kaszlu z moimi działaniami instalowania strony jakiej celem było powstrzymanie odbudowy pokrzyżackiej figury z Malborka, (2) szybkość nadejścia tej choroby - w normalnych chorobach czas przejścia od poczucia bycia zdrowym do poczucia bycia chorym wynosi zwykle kilka godzin, tym zaś razem przejście to nastąpiło u mnie w okresie około kilkunastu minut, (3) podobieństwo owego kaszlu jaki wówczas mnie napadł do kaszlu który kiedyś jakoby uzdrowiła u mnie owa pokrzyżacka Madonna z Malborka (a który prawdopodobnie tylko nieco wcześniej ta sama figura mi zadała - aby później móc go spektakularnie uzdrowić), (4) uparty nakaz jaki pojawił się wtedy w mojej głowie, że muszę wydeletować z internetu instalowaną wówczas wersję niniejszej strony, bowiem w przeciwnym przypadku stanę się bardzo chory, (5) dziwne uzupełnienie mojego kaszlu całym szeregiem innych równoczesnych dolegliwości które typowo z kaszlem są niezwiązane (jak zmiana smaku czy lumbago) a które sprawiały wrażenie że ktoś złośliwy celowo je narzuca aby mi maksymalnie dokuczyć, (6) moje doświadczenie tylko takich dolegliwości, co do których Koncept Dipolarnej Grawitacji stwierdza że daje się je zadać (przesłać) na dużą odległość z pomocą możliwości telepatii lub telekinezy. Szczerze mówiąc, jeśli rozważy się jakie jest prawdopodobieństwo, że aż tyle zgodnych ze sobą przesłanek będzie towarzyszyło dowolnej przypadkowej chorobie, wówczas okazuje się że jest to niemal niemożliwością. Stąd, moim zdaniem, istnieją racjonalne podstawy aby jednak uznać, że ów "nadprzyrodzony kaszel" faktycznie został mi wtedy zesłany przez figurę o nadprzyrodzonych mocach której odbudowę ja tak staram się powstrzymać m.in. tą stroną.

Muszę się przyznać, że poczułem wówczas iż jestem w prawdziwych opalach. Badam wszakże "nadprzyrodzone" i mam do niego ogromny respekt - znaczy bardzo się go boję. Widziałem też w życiu wiele bólu i cierpienia zadawanego właśnie przez nadprzyrodzone. Ponadto nie wiem jak leczyć "nadprzyrodzoną chorobę". Czy iść z nią do lekarza - jak ze zwykłą chorobą, czy też raczej udać się do księdza? Wszakże ponowne zwrócenie się do owej figury krzyżackiej Madonny z Malborka nie wchodziło w rachubę. Wszakże to owa figura napytała mi tej biedy - a na dodatek wyraźnie dała mi znać od kogo bieda ta się wywodzi. Zresztą z góry było mi wiadomo że aż do czasu gdy usunąłbym niniejszą stronę z internetu, moje zdrowie NIE uległoby poprawie. Przez pierwszy tydzień leczyłem więc swój "nadprzyrodzony kaszel" domowymi remedami - tj. popijałem chiński syrop na kaszel zwany King To "Nin Jiom Pei Pa Koa" (popularnie znany jako "Mother and Son") oraz herbatkę z kwiatu lipowego, objadałem się tabletkami "Echinacea" (o tych remedach piszę szerzej w punkcie #E1 odrębnej strony plague_pl.htm). Jednak moje zdrowie systematycznie się pogarszało - zamiast polepszać. Na dodatek, co kilka dni do kaszlu zaczęła się dodawać jakaś kolejna dolegliwość która z kaszlem nic zdawała się NIE mieć wspólnego, a która sprawiała wrażenie że została inteligentnie narzucona aby

dodatkowo uprzykrzyć mi życie. Przykładowo, już po paru dniach moje poczucie smaku uległo drastycznej zmianie, tak że nawet najbardziej ulubione potrawy stały się trudne do przełknięcia. Potem do nieustannego kaszlu i braku smaku dodały się silne bóle w dolnej części kręgosłupa (w stylu "lumbago") zamieniając w mękę każdy mój krok, a nawet zwykłe siedzenie. W czwartek więc dnia 15 kwietnia 2010 roku poszedłem do lekarza. Ten zgadnął (bez przeprowadzenia jakichkolwiek testów) że mam wirusową infekcję krtani, oskrzeli i płuc, przepisał tabletki "Codeine phosphate 15 mg" blokujące kaszel, oraz zalecił dużo płynu i odpoczynku - jako że przed wirusem organizm podobno sam musi się wybronić. Na przekór wypełniania jego zaleceń, choroba tylko się pogłębiała. Nadal kaszlałem też praktycznie bez przerwy, wszystko smakowało okropnie, zaś kręgosłup zamieniał w mękę każdy krok a nawet zwykłe siedzenie. Osobiście też wierzę, że lekarz zupełnie błędnie zgadnął naturę mojego kaszlu, twierdząc że jest on pochodzenia wirusowego, podczas gdy moje obserwacje sugerowały że jego natura była raczej pokrewna do silnego tzw. "uczulenia" (alergii) - tj. wcale nie miałem żadnej wirusowej ani bakteryjnej infekcji. (Odnotuj że "alergia" jest rodzajem "informacji" albo "programu", a nie "obiektu" - może więc być przesłana np. telepatycznie na dużą odległość. Natomiast wirusy i bakterie są fizycznymi obiektami które trudno jest przesłać np. telepatycznie. Podobnie ból kręgosłupa (lumbago) daje się wywołać na odległość poprzez zdalne telekinetyczne przemieszczenie dysku w kręgosłupie.)

W kolejnych dniach tylko przybyło mi kilka dalszych przykrych dolegliwości. Przykładowo, moja krtka zaczęła silnie swędzieć. Chociaż nie był to ból, owo swędzenie indukowało chęć aby ją podrapać - co było niemożliwe ponieważ krtka swędziała od wewnątrz. Potem podobnie swędzieć zaczęło mi kilka zębów. Ponownie, chociaż nie był to ból, ich swędzenie nasilało we mnie chęć by wybrać się do dentysty i zęby te powyrywać. Dalej już kiedyś zagojony pryszcz na udzie nagle się odnowił i zamienił w bolesnego wrzoda. Ponieważ kręgosłup mi doskwierał (lumbago) NIE mogłem siedzieć normalnie opierając się o coś plecami. Siadałem więc pochylony do przodu, opierając się na rękach złożonych na własnych udach. Kiedy więc coś zaindukowało mi na udzie odnowienie się tego bolesnego wrzodu dokładnie w miejscu gdzie opierałem swoje ręce, praktycznie i owo siedzenie pochylonym do przodu stało się bolesne. (Owe dolegliwości opisuję tutaj na wypadek iż reprezentują one najważniejsze problemy zdrowotne które dana figura może nadprzyrodzenie u kogoś zaindukować na odległość z pomocą telepatii lub telekinezy. Stąd jeśli zaczną one kiedyś trapić również innych ludzi wówczas ci będą mogli je łatwiej rozpoznać.)

Wobec nieustannego pogarszania się mojego zdrowia doszedłem do wniosku że jedyna nadzieja na poprawę leży w Bogu. Wszakże nic we wszechświecie NIE dzieje się bez powodu ani bez wiedzy i aprobaty Boga. Jeśli więc dobrotliwy Bóg poddał mnie temu przykre doświadczeniu, musiał mieć na to jakiś istotny powód. Po rozważeniu jaki to mógł być powód, doszedłem do wniosku że Bóg zapewne życzy sobie abym owo przykre doświadczenie opisał - tak że inni ludzie będą mogli się z nim zapoznać. Postanowiłem więc, że dla "zapracowania" sobie na obronę i pomoc Boga powinienem opisać wszystko co mi się przydarzyło na niniejszej stronie. Począwszy więc od 17 kwietnia 2010 roku, trapiiony nieustannym kaszlem, gorączką, bólami kręgosłupa, itp., podjąłem opisywanie na niniejszej stronie faktów uświadomionych mi dopiero ową chorobą. Na przekór też przykrego kaszlu, gorączki, bólu, potrzeby częstych odpoczynków, poczuwania się chorym i bezsilnym, stopniowo poszerzałem i aktualizowałem niniejszą stronę o ten nowy punkt widzenia. W międzyczasie moje zdrowie jeszcze bardziej się pogorszyło, zaś 20 kwietnia 2010 roku zaczęły się nawet krwotoki z nosa. Moje zdrowie nieprzerwanie się pogarszało aż do 25 kwietnia 2010 roku - kiedy to zakończyłem preredagowywanie udoskonalonej wersji niniejszej strony - tyle że czułem się wówczas zbyt słaby i chory aby ją opublikować.

#F3. Nadzieja na uzdrowienie?

W dniu 26 kwietnia 2010 roku opublikowałem pierwszą wersję niniejszego wydania tej strony. Nadal czułem się wtedy chory i nieustannie trapił mnie ten "nadprzyrodzony kaszel", krwotoki z nosa, ból kręgosłupa, itp. Jednak moja choroba jakby

przestała się pogarszać. Mam więc nadzieję, że z chwilą gdy treść tej najnowszej wersji niniejszej strony zacznie być już dostępna w internecie, dobry Bóg zacznie mnie chronić przed dalszymi atakami tej krzyżackiej figury z Malborka, oraz pozwoli abym stopniowo mógł odzyskać zdrowie z tego paskudnego kaszlu i towarzyszących mu dolegliwości.

Fot. #F3: Tropikalny owoc w języku Malejów zwany "nangka", zaś po angielsku nazywany "jackfruit". Kiedy w dniu 21 lipca 2010 roku, po przybyciu do Malazji na wakacje, ciągle gnębił mnie ów chroniczny wówczas już kaszel - którego nadejście opisałem w punkcie #F2 powyżej, miejscowi znajomi poradzili mi że na przewlekłe kaszle pomocny jest właśnie ów miejscowy owoc "nangka" ("jackfruit"). Owoc ten opisałem dokładniej w punkcie #H3 odrębnej totalizycznej strony o nazwie fruit_pl.htm. Aby wyleczył on przewlekły kaszel, podobno trzeba go jeść na surowo i świeży, zaraz po wyjęciu z kokona, oraz bez uprzedniego mycia czy zamrożenia. Oczywiście, ja zaraz entuzjastycznie zabrałem się za jedzenie tego owocu, a także wielu innych tropikalnych owoców jakich mocy leczniczych jestem świadomy - np. wody z orzechów kokosowych (też opisywanej na w/w stronie fruit_pl.htm). Po dalszych około 3-ch tygodniach dosyć regularnego jedzenia owoców "jackfruit" i równie regularnego zapijania się wodą kokosową, mój przewlekły kaszel z wolna ustąpił. W taki więc sposób pozbyłem się tego paskudnego kaszlu, jaki trapił mnie nieustannie przez 4 miesiące, podczawszy od 7 kwietnia 2010 roku aż do około 7 sierpnia 2010 roku. Oczywiście, nie jestem pewien czy w owym ustąpieniu kaszlu leczniczą rolę pełnił ów owoc "nangka" ("jackfruit") - którego zjadałem mnóstwo podczas owych wakacji, czy też tropikalna pogoda Malezji w połączeniu z leczniczym działaniem innych smacznych owoców tropikalnych i wody kokosowej jakie wówczas entuzjastycznie zażywałem.

Powyższe zdjęcie pokazuje stragan z owocami "nangka" ("jackfruit"). U góry zdjęcia, po prawej, pokazany jest cały kokon owocu "jackfruit". Kokon ten jest około 50 cm długi i około 20 cm średnicy. Poniżej widać opakowane i gotowe do jedzenia na surowo, różowe owoce "nangka" ("jackfruit"), wyjęte z takiego kokona. Są one mokre, ociekają słodkawym sokiem, zaś osoby jakie je sprzedają wyjmują je z kokona gołymi rękami. Dlatego typowo, z powodów higienicznych, Europejczycy powinni je umyć przed zjedzeniem. Jednak dla uleczenia nimi kaszlu NIE wolno ich myć i trzeba je jeść na świeżo natychmiast po wyjęciu z kokona. Oczywiście, to oznacza określone ryzyko zdrowotne. Ja miałem jednak szczęście i NIE złapałem za ich pośrednictwem żadnej tropikalnej biegunki. Zresztą nawet gdybym złapał, wiem jak ją leczyć korzeniami "tapioka" lub krochmałem tapiokowym, opisanymi w punkcie #B1 strony healing_pl.htm. Cena jednego pokazanego powyżej pakietu takich owoców "nangka" ("jackfruit"), ważącego około 300 gram, w 2010 roku wynosiła w Kuala Lumpur 3 Malaysian Ringgit (kurs ringgit'a malezyjskiego jest podobny jak kurs polskiego złotego).

#F4. Jeśli wroga Polakom figura malborskiej Madonny mi napytała choroby, z równą łatwością może zapewne napytać choroby także każdemu innemu Polakowi:

Aby móc wywierać swój nadprzyrodzony wpływ na czyjeś zdrowie, najróżniejsze idole muszą najpierw poznać "adres" owej osoby - czyli nawiązać z nią łączność. Kiedy jednak raz już poznają one ów "adres", wówczas osoba ta jest na ich łasce lub nielasce. Dlatego moje doświadczenia z figurą krzyżackiej Madonny z Malborka powinny stać się przestrogą dla innych. Figura ta najwyraźniej bowiem ma osobowość która jest daleka od "świętobliwości" i "dobra", zaś bardzo bliska do "zła" i "mściwości" mrocznego okresu średniowiecza z jakiego się wywodzi. Jeśli potrafiła wykazać aż taką mściwość w moim przypadku, prawdopodobnie postąpi też podobnie w przypadku innych ludzi którzy nieopatrznie oddadzą swoje zdrowie lub karierę jej mocy i kaprysom. Wcale by więc mnie nie zdziwiło gdybym kiedyś się dowiedział, że ci co nawiązali kontakt z ową Madonną poprzez np. dotacje na jej odbudowę, nagle poczuli się chorzy i poskręcani, zaś ich choroba ustąpiła dopiero kiedy oddali na nią ponownie swoje pieniądze i to jeszcze większą niż poprzednio sumę.

#F5. Jak to demonstruje nam krzyżacka Madonna z Malborka, "nie wszystko święte co się kryje poza świętymi nazwami":

Motto: "Jakże nie czuć współczucia wobec ludzi którzy odmawiają otworzenia swych oczu."

Logika nam podpowiada, że wszystkie reprezentacje jakiejś konkretnej osobowości powinny posiadać i demonstrować ten sam zbiór cech owej osobowości. Przykładowo, wszystkie reprezentacje Matki Boskiej powinny posiadać osobowość i charakter faktycznej i zawsze tej samej Matki Boskiej. Tymczasem życie dowodzi czegoś zupełnie odwrotnego. W faktycznym życiu bowiem, jeśli jakieś figury lub obrazy Matki Boskiej faktycznie demonstrują własne osobowości, np. poprzez nadprzyrodzone działania, wówczas dla każdej z tych figur owe osobowości są odmienne. Przykładowo, jeśli figura taka lub obraz dokonuje uzdrowień, wówczas każda z nich uzdrawia na odmienny sposób, inne choroby, wybiera odmiennie kategorie ludzi do uzdrowienia, ma swoje własne preferencje, a nawet faworyzuje odmienny naród. Dlatego przykładowo Matka Boska Częstochowska lubi Polaków jednak zdrowo pogoniła Szwedów, zaś krzyżacka Matka Boska z Malborka lubi Niemców a prześladowuje Słowian i Polaków. Z kolei Matka Boska z Fatima w Portugalii ujawniła swą wrogość wobec Rosjan.

Na dodatek do tego, każda figura lub obraz np. Matki Boskiej ma inny wygląd i odmiennie cechy anatomiczne - chociaż większość z nich posiada ową charakterystyczną trójkątną twarz UFOonautki z rzucającą się w oczy, pośladowopodobną naroślą na podbródku (pokazaną i omawianą na "Fot. #G2d" poniżej). Niektóre z tych figur były nawet zaobserwowane kiedy równocześnie z Matką Boską ukazał się widzom srebrzysty wehikuł UFO - jako przykład patrz opisy obserwacji UFO podczas objawienia w Fatima, Portugalia, z 1917 roku, zaprezentowane w punkcie #G1.2 strony antichrist_pl.htm czy w podpisie pod "Rys. #D8" ze strony day26_pl.htm. Każda też figura lub obraz Matki Boskiej, jeśli już dokonuje jakichś nadprzyrodzonych działań, wówczas jej działania wykazują bardzo bliskie podobieństwa do działań najróżniejszych pogańskich idoli, w rodzaju drzew i kamieni "Datuk" z Malezji - pokazanych i opisanych na "Fot. #D1" niniejszej strony, słupów totemowych z Borneo - pokazanych i opisanych na "Fot. #D2" niniejszej strony, koreańskich "strażników wsi" - pokazanych i opisanych na "Fot. #D3" niniejszej strony, czy uzdrawiającego dębu i przywracającego płodność "anielskiego kamienia" z Św. Anny koło Milicza w Polsce - opisanych w podpisie pod "Fot. #C1a" niniejszej strony.

Logika nakazuje, że jeśli ludzie nieustannie coś konfrontują, wówczas powinno to być racjonalnie badane - zamiast być negowane. Tymczasem wśród wielu dzisiejszych zawodowych naukowców panuje dewiza "jeśli coś przekracza moje horyzonty wówczas twierdzą że to NIE istnieje". Jedną zaś z przelicznych ofiar tej dewizy jest właśnie nasza racjonalna wiedza o "nadprzyrodzonym". Nie ma wszakże znaczenia, że równolegle do naukowców mnożących cząsteczki elementarne, galaktyki i obywające się bez Boga spekulacje o powstaniu wszechświata, codzienne życie ludzi ciągle mnoży nasze konfrontacje z następstwami "bezkrwawych operacji", "cudownych uzdrowień", "czarnej magii", "zaklęcia deszczu", "samospalania się ciała", "nadawania niektórym ludziom nadprzyrodzonej siły i zdolności do np. podniesienia ciężaru ważącego wiele ton", "chodzenia po rozpalonych węglach", "obserwacji duchów", "nadprzyrodzonych widzeń i objawień", "cudownych przeniesień w czasie lub w przestrzeni" (np. mojego cudownego przeniesienia z Warszawy do Świętej Lipki opisanego w punkcie #E3 tej strony), oraz innymi manifestacjami "nadprzyrodzonego". Każdy zaś z tych nadprzyrodzonych zjawisk ukrywa sobą cały ocean niepoznanej wiedzy. Przez zaś tak długo, aż wiedzę tą zacznie się rzeczowo badać, nasze konfrontacje z "nadprzyrodzonym" będą miały podobne efekty jak owe bolesne demonstracje przepelnionych ambicją naukowców którzy usiłują udowodnić że "czysta fizyka" wystarcza aby wyjaśnić chodzenie boso po rozpalonych węglach (które wygląda tak naturalnie na uroczystościach niektórych wschodnich religii, jednak okazuje się tak dewastujące w naukowych eksperymentach).

Doskonałym przykładem że "nadprzyrodzone" należy racjonalnie badać, są wyniki działań pokrzyżackiej Madonny z Malborka opisane w punktach #C1 do #F4 niniejszej strony. Jak bowiem się okazuje, owa Madonna demonstruje działalność której wcale NIE daje się opisać nazwą "świętobliwa" ani zakwalifikować do kategorii "dobro".

Wszakże, przykładowo, prześladowuje ona Słowian i Polaków oraz dopilnowuje aby na doglądanych przez nią ziemiach panował język niemiecki (po szczegóły patrz punkty #C1 do #C5 niniejszej strony), nadprzyrodzenie wspomaga wyroki polskich sądów jakie oddają domy i ziemie polskich rodzin w posiadania poprzednich niemieckich właścicieli (po szczegóły patrz punkt #C6 niniejszej strony), czy wysłała mi chorobę na drugi koniec świata tylko za odwagę przeciwstawienia się jej odbudowie (po szczegóły patrz punkt #F2 niniejszej strony). Jak owa więc Madonna nam demonstruje, wcale NIE wolno zakładać że wszystko co "nadprzyrodzone" jest czynione w imię "dobra", czy że "wszystko co kryje się za świętobliwą nazwą faktycznie jest świętobliwe". Są nam znane liczne przypadki "nadprzyrodzonego", które wyraźnie działa na szkodę ludzi. Akcje owej malborskiej Madonny zaliczają się właśnie do owej kategorii.

Każdy z nas został jakoś zaprogramowany w młodości. Wielu ob staje przy "praniu mózgu" jaki otrzymali od ateistycznej edukacji i wogóle nie chce otworzyć swoich oczu na manifestacje "nadprzyrodzonego". Sporo zaś z tych co widzą, naiwnie posądza, że jeśli za czymś stoi jakaś święta nazwa, wówczas musi to być święte i dobre dla ludzi. Tymczasem rzeczywiste życie demonstruje coś zupełnie innego. W rzeczywistym życiu istnieją takie przykłady jak krzyżacka Madonna z Malborka, która NIE lubi Słowian i Polaków i która już wkrótce ma zostać odbudowana aby ze zwielokrotnioną energią zacząć nam demonstrować swe anty-Polskie moce. Będąc zaś zlokalizowaną w środku Europy, ponownie szkodząc Polakom faktycznie zaszkodzi wszystkim, zaś wzbudzając niepokoje faktycznie sprowadzi nieszczęścia nawet na głowy tych którym na swój średniowieczny sposób stara się pomagać. Ja mam tylko nadzieję, że treść punktów #C1 do #F4 niniejszej strony dopomoże aby chociaż w przypadku tej krzyżackiej Madonny nie powtórzyła się już ponownie owa stara polska sytuacja, że "Polak mądry dopiero po szkodzie".

Część #G: Związki pomiędzy zamkiem w Malborku a UFOautami:

#G1. Podziemna baza UFO pod zamkiem w Malborku:

Aby efektywnie ukrywać się przed ludźmi, a jednocześnie aby ułatwić sobie uprowadzanie ludzi na pokłady UFO gdzie ludzie rabowani są ze spermy i owule, UFOauti opracowali na Ziemi unikalny system podziemnych komór i tuneli, jakie spełniają zadanie sekretnych baz dla ukrywania ich wehikułów. Powody dla jakich UFOauti starannie ukrywają przed ludźmi swoją działalność na Ziemi, opisane zostały dokładnie na całym szeregu witryn internetowych totalizmu, przykładowo na witrynach evil_pl.htm, nirvana_pl.htm, military_magnocraft_pl.htm, timevehicle_pl.htm; a także w podrozdziale OC1 (z tomu 13) mojej monografii [1/5] Zaawansowane urządzenia magnetyczne, oraz w podrozdziale E1 (z tomu 4) monografii [8] Totalizm. (Obie te monografie dostępne są gratisowo za pośrednictwem niniejszej strony internetowej.) Wehikuły UFOautów zawieszane w owych podziemnych komorach mogą potem służyć jako centrale uprowadzeniowe do których okoliczni indywidualni ludzie są systematycznie uprowadzani. Nikt z ludzi nie jest przy tym w stanie zobaczyć, że właśnie tam ukrywają się wehikuły UFO, ani zaobserwować ich przewrotnej działalności rabunkowej na Ziemi. Ulubione obszary, gdzie UFOauti utrzymują takie podziemne bazy i komory, to wnętrza stojących samotnie gór i wzniesień terenu, jakie dominują nad otaczającym obszarem w pobliżu osiedli ludzkich. Kiedyś do owych podziemnych komór wiodły szkliste tunele zaczynające się otwarciem na powierzchni ziemi. UFOauti ich nie ukrywali, bowiem okoliczna ludność wiedziała że tunele te zamieszkiwane są przez "diabły" albo "dżyny" i bała się w nie zapuszczać. Jednak począwszy od początku XX wieku UFOauti poukrywali wejścia do tych tuneli - tak aby dzisiejsi ludzie którzy nie wierzą w istnienie diabłów, nie byli już w stanie odnaleźć ich podziemnych baz. Zdjęcie jednego z nielicznych takich tuneli jakie ciągle pozostaje nieukryte nawet do dzisiaj pokazane jest jako "Fot. #G2e" poniżej. Jednak nawet i w tym tunelu już na głębokości około 10 metrów od jego wejścia wehikuł UFO wytopił skałę aby uformować rodzaj muru zaporowego jaki blokuje dalszą część tego tunelu. W Polsce zidentyfikowanych zostało aż kilka takich podziemnych baz UFO. Niektóre

z nich obejmują Sobótkę, Łysą Górę, Babią Górę, a także podziemia wzniesienia zwanego "Wzgórze Partyzantów" z centrum miasta Wrocławia, oraz podziemia zamku w Malborku. Więcej informacji na ich temat zawarty jest w moim polskim traktacie [4c] o tytule "Tunele NOL spod Babiej Góry", dostępnym nieodpłatnie z aż kilku stron wyszczególnionych w "Menu 4" z lewego marginesu tej strony.

Ostatnio coraz więcej materiału dowodowego potwierdza poprzednie ustalenia, że taka właśnie podziemna baza UFO znajduje się także pod zamkiem w Malborku. Zamek ten spełnia wszakże wszelkie warunki nakładane na owe sekretne bazy UFO, ponieważ jest on zlokalizowany na niewielkim wzniesieniu jakie dominuje nad okolicą. Ponadto jest on starym ośrodkiem cywilizacyjnym. Owe ustalenia zostają dodatkowo potwierdzone licznymi obserwacjami szybko przelatujących UFOautów dokonywanymi w samym zamku z Malborka. Zwykle tacy szybko przelatujący UFOauci odnotowywani są jako rozbłyśki białego lub kolorowego światła (niektórzy obserwatorzy porównują je do ogromnych iskier elektrycznych, lub do piorunów kulistych) jakie przebiegają albo ku dołowi, albo też ku górze w najróżniejszych pomieszczeniach lub podziemiach zamku. Jeden z takich szybko przelatujących UFOautów został nawet uchwycony na fotografii pokazanej poniżej - rzuć okiem na ową unikalną fotografię.

Fot. #G1ab (E2 z [10]): Dwie fotografie, obie wykonane jedna po drugiej w tym samym rejonie ganków prowadzących na główną wieżę zamku w Malborku. Lewa z fotografii miała być zwyczajną fotką turystki która odwiedziła owe ganki. Jednak przez przypadek owa fotografia uchwyciła także bardzo szybko przelatującego (oraz wolno wirującego w locie) UFOautę, jaki leciał w dół z głową zwróconą ku dołowi poprzez owe ganki zamku w Malborku.

Kolorowo ubrany UFOauta, jaki szybko zlatuje z głową skierowaną w dół do obszaru gdzieś pod owymi gankami zamku, jest widoczny relatywnie dobrze na owej fotografii. Dokładniejsza analiza podobnych zdjęć UFOautów i UFO zawarta została w monografii [4c] jaka udostępniana jest (bezpłatnie) na stronie internetowej tekst_4c.htm.

Kiedy osoba która wykonała powyższą fotografię zorientowała się że jakaś kolorowa istota błysnęła przed jej oczami w chwili gdy owa fotografia została wykonana, tak na wszelki wypadek osoba ta powtórzyła fotografowanie. Dlatego prawa z fotografii pokazuje niemal ten sam obszar, sfotografowany w niewielką chwilę później. UFOauta wówczas już zniknął (tj. osiągnął on swój wehikuł UFO jaki zaparkowany był pod zamkiem w Malborku w owej podziemnej komorze-bazie).

* * *

Do powyższego warto dodać, że wszystkie zdjęcia UFOautów pokazane na niniejszej stronie, są również pokazane i naukowo zinterpretowane na odrębnej stronie poświęconej w całości naukowym interpretacjom zdjęć UFOautów. Owa odrębna strona o UFOautach udostępniana jest poprzez "Menu 4" i "Menu 2" pod nazwą kosmici.

* * *

Oczywiście, najróżniejsi domorośli sceptycy zomanipulowani telepatycznie przez UFOautów będą argumentowali, że owa fotografia wcale nie pokazuje szybko lecącego UFOauty, a pokazuje coś zupełnie innego. W takim jednak wypadku proponowałbym aby wytłumaczyli dokładnie co właściwie owa fotografia zdołała uchwycić, oraz dlaczego owo coś poruszało się tak szybko (i zwolna wirowało w locie) w gankach zamku w Malborku. Proponowałbym także aby wyjaśnili oni dlaczego górną część owej fotografii ktoś pracownicy zasabotażował na jeden ze sposobów opisywanych na stronie sabotages_pl.htm, już po tym jak została ona wystawiona w internecie - tak że dobrze początkowo widoczny na niej sufit ganków obecnie jest na fotografii tylko ciemną plamą. Rozważmy więc teraz hipotetycznie inne możliwe wyjaśnienia dla tego zdjęcia, niż to że uchwyciło ono szybko lecącego UFOautę:

(a) Duch. Gdyby miał to być duch a nie UFOauta, wówczas po pierwsze dlaczego jest on kolorowy a nie biały. Po drugie jak owa sceptyczna osoba wytłumaczyłaby wówczas uchwycenie ducha na zdjęciu. Wszakże istnienie duchów jeszcze trudniej udowodnić

naukowo niż istnienie UFOonautów. (Dla przykładu, istnienie UFOonautów zostało już bezspornie udowodnione formany dowodem naukowym opublikowanym w podrozdziale P2 najnowszej polskojęzycznej monografii [1/5], w podrozdziale P2 nieco starszej monografii [1/4], oraz w podrozdziale J2 angielskojęzycznej monografii [1e].) Ponadto, jak to się stało, że ów UFOnauta został uchwycony nie tylko na zdjęciu, ale także widziany przez owego fotografa na własne oczy (wszakże zobaczenie owego jarzącego się UFOnauty było powodem dla jakiegoś fotografa powtórzył zdjęcie, ponieważ posądzał że poprzednie zdjęcie nie wyjdzie właśnie z powodu owego jarzącego się UFOnauty).

(b) Rzucony obiekt. Inna hipotetyczna możliwość, to że ktoś rzucił w powietrze jakiś obiekt, zaś obiekt ten w locie został uchwycony przez fotografującego. Jednak i ta możliwość nie jest potwierdzana przez fakty. Przykładowo, po pierwsze, obiekt na zdjęciu leci po linii prostej i to ukośnie do kierunku działania sił pola grawitacyjnego. Tymczasem jeśli ktoś rzuciłby jakiś obiekt w ciasnym ganku, wówczas ów obiekt albo podążałby po linii zakrzywionej, albo musiałby lecieć prosto w dół wzdłuż kierunku działania pola grawitacyjnego. Po drugie jak to możliwe, że ów obiekt wylatuje z murowanego sufitu w jakim nie ma żadnego otworu ani okna. Gdyby był to obiekt rzucony, wówczas nie mógłby wylatywać on z sufitu, a jego trajektoria musiałaby albo zakrzywić się w jakiejś odległości od sufitu, albo też odbijać się od sufitu (rozważ fizyczne prawa odbicia, jakie NIE byłyby wówczas spełnione dla tego właśnie obiektu). Po trzecie skąd się biorą owe efekty soczewki magnetycznej tak typowej dla napędu UFOonautów, jakie obiekt ten sobą wzbudza w swoim otoczeniu. Efekty te można odnotować po tym, że widok ludzi i muru znajdującego się poza lecącym obiektem, tuż przy granicach owego obiektu zostaje wypaczony (więcej o działaniu soczewki magnetycznej napędu UFO przeczytać można w rozdziale G moich monografii [1/5] lub [1/4]). Po czwarte, dlaczego obiekt ten posiada występy i kształty jakie odpowiadają częściom ciała ludzkiego (np. na zdjęciu wyróżnić się daje trajektorie rąk, korpusu, nóg, itp.). Ponadto, dlaczego owe części ciała ludzkiego utrzymują się podczas lotu w dokładnie tych samych pozycjach względem siebie na przekór że obiekt wiruje (np. gdyby obiekt był np. lecącym swetrem lub koszulą, napór powietrza powodowałby zmiany jego kształtu). Wszystko to razem wzięte tylko utwierdza, że to co owo zdjęcie uchwyciło jest UFOnautą małych rozmiarów szybko lecącym głową w dół, a nie żaden obiekt rzucony w powietrze.

Jeśli zaś zdjęcie nie przedstawia niczego innego niż UFOnauta - jak to wykazano powyżej, wówczas nawet jeśli się jest najbardziej zatwardziałym sceptykiem, ciągle nie ma innego wyjścia niż przyznać, że owe jarzące się figury jakie poruszają się bardzo szybko w pomieszczeniach zamku w Malborku, jakie są tam widywane przez spora liczbę ludzi, a jakich nie daje się wytłumaczyć racjonalnie z użyciem żadnej innej idei niż szybko przelatujący UFOnauti zdrażający do (lub z) swojej podziemnej bazy, faktycznie są UFOnautami!

Powyższe warto tutaj uzupełnić wyjaśnieniem, co folklor ludowy z terenu Polski stwierdza na temat innych podziemnych "baz UFO". Zgodnie z nim, bardzo podobne bazy mają też znajdować się w całym szeregu obszarów Polski. Baza UFO bardzo podobna do tej z Malborka, bo zlokalizowana w podziemiach byłego fortu, ma się znajdować pod tzw. Wzgórzem Partyzantów położonym niemal w centrum Wrocławia. Więcej informacji na temat tej wrocławskiej bazy UFO, włączając w to zdjęcie "przeźroczystego UFOnauty", dostępnych jest w punkcie #7 z odrębnej strony internetowej o mieście Wrocławiu (patrz tam zdjęcie z "Fot. 7(b)"). Z kolei odmienny rodzaj podziemnej bazy UFO prawdopodobnie istnieje w systemie podziemnych jaskiń zlokalizowanych pod polami wsi Wylatów. Zapewne to właśnie wehikuły UFO wnikające do owych jaskiń, lub wylatujące z nich, są odpowiedzialne za formowanie na polach Wylatowa słynnych na całą Polskę tzw. "kręgów zbożowych" czyli lądowisk UFO w zbożu (UFOnauti-podmieńcy celowo dezinformują ludzi błędnie nazywając je "piktogramami"). Zdjęcie jednego z takich lądowisk, na którym aparat fotograficzny zdołał nawet uchwycić niewidoczny dla ludzkich oczu wehikuł UFO, pokazane jest na całym szeregu odrębnych stron internetowych poświęconych zjawisku telekinezy (patrz tam zdjęcie z punktu 20), dostępnych za pośrednictwem "Menu 4". (Zauważ, że lądowiska UFO w zbożu z Wylatowa są bardzo podobne do słynnych angielskich lądowisk

UFO. Dlatego zapewne również pod polami Anglii znajduje się taki sam system podziemnych jaskiń używanych przez UFOonautów jako podziemne bazy w których ukrywają oni przed ludźmi swoje wehikuly UFO.)

Fot. #G1c (B20 z [4c]): Niewidzialni dla ludzkich oczu UFOnauci byli także fotografowani kiedy stoją nieruchomo, a stąd kiedy są dobrze widoczni. Jedną z czarno-białych fotografii takiego nieruchomo stojącego UFOnauty pokazana jest powyżej. Pokazuje ona dziewczynę z kwiatami (Elizabeth Templon) jaka była wówczas fotografowana. Kiedy jednak fotografia została wywołana, okazało się że UFOnauta ubrany w skafander kosmiczny i z twarzą okrytą hełmem kosmicznym, jest doskonale widoczny jak unosi się w powietrzu nad i poza głową owej dziewczyny.

(Odnotuj, że biały kolor skafandra UFOnauty wynika z wydzielanego przez niego szczególnego jarzenia, jakie zawsze towarzyszy tzw. stanowi migotania telekinetycznego, a jakie w tomie 4 najnowszej monografii [1/5], a także w podrozdziale L6.1 z tomu 7 starszej monografii [8] "Totalizm", dokładnie opisane jest pod nazwą "jarzenie pochłaniania".) Zdjęcie to wykonane zostało w niedzielę, 24 maja 1964 roku, przez ojca Elizabeth, strażaka, jakieś 5 mil od ich domu w Carsle, USA, na brzegu rzeki Solway Firth. Fotografujący raportował, że w chwili wykonywania tego zdjęcia panowała dziwna "naelektryzowana" atmosfera, a także miejscowe krowy zachowywały się bardzo dziwnie, chociaż oprócz rodziny dziewczynki, nie było tam wówczas nikogo. (Warto tutaj podkreślić, że niektóre zwierzęta, włączając w to koty, psy, owce i krowy, mają tak skonstruowane oczy, że są one w stanie widzieć UFOonautów w "stanie migotania telekinetycznego", nawet jeśli ci pozostają niewidzialni dla ludzkiego wzroku.) Samo owo zdjęcie, a także jego dokładny opis, opublikowane są na stronie 51 doskonałej książki [2] pióra Jenny Randles, "Alien Contact - The First Fifty Years", Collins Brown (London House, Great Eastern Wharf, Rarkgate Road, London SW11 4NQ), 1997, ISBN 1-85585-454-6, 144 pages, pb. Bardziej dokładna interpretacja zdjęcia tego niewidzialnego dla ludzkich oczu UFOnauty, zawarta jest w podrozdziale B2 traktatu [4c] (patrz tam na zdjęcie oznaczone Z_4_B2) jaki udostępniany jest (bezpłatnie) m.in. na stronie internetowej tekst_4c.htm.

#G2. Historyczne związki pomiędzy diabłami a budowniczymi zamku w Malborku:

Istnieje historyczny materiał dowodowy, że UFOnauci byli obserwowani w zamku w Malborku relatywnie często praktycznie od najdawniejszych czasów. Znane są najróżniejsze opowieści na temat diabłów widywanych w związku z zamkiem. (Jak to bowiem ujawniają wyniki ostatnich badań UFO, np. tych prezentowanych w rozdziale OD z monografii [1/5] lub w podrozdziale E4 monografii [8], nazwa diabły używana była w dawnych czasach dla opisywania istot które obecnie nazywamy właśnie UFOonautami.) Doskonałym przykładem takiego historycznego materiału dowodowego o związkach "diabłów-UFOonautów" z zakonem Krzyżackim i z Malborkiem są podobizny diabłów istniejące w zamku malborkim. Jedną z owych podobizn pokazana jest na fotografii średniowiecznego diabła pokazanej poniżej.

Fot. #G2a (K5a z [1/5]): Fotografia która ilustruje wygląd "diabła" jaki relatywnie często był widywany w zamku Malborka. Jest on utrwalony jako mała figurynka nazywana służka, około 25 cm wysokości. Oglądający mogą zobaczyć owego diabła przy wejściu do ubikacji używanych w średniowieczu przez Krzyżaków (tj. tych samych ubikacji, które zgodnie z najróżniejszymi rumorami krążącymi na ten temat, owi Krzyżacy podobno używali w celu mordowania niewygodnych im ludzi). Interesujący szczegół owej figurynki jest, że pokazuje ona diabła leżącego w przykucniętej pozycji. Jak zaś widzieliśmy to na magicznym pokazie Davida Copperfielda podczas jego słynnego lotu przez Great Canyon w USA, taka właśnie przykucnięta pozycja jest najbardziej wygodna podczas użycia magnetycznego napędu osobistego UFOonautów. (Więcej informacji na temat magnetycznego napędu osobistego UFOonautów można znaleźć w rozdziale E i na rysunku E2 moich monografii [1/5] lub [1/4]

dostępnych nieodpłatnie za pośrednictwem tej strony. Napęd ten jest też pokazany na "Fot. #H3" ze stron o wsi Wszewilki.) Częste loty UFOonautów właśnie w takich przykucniętych pozycjach są też raportowane przez licznych świadków jacy widzieli te istoty w locie (owe raporty także są publikowane w monografiach [1/5] i [1/4] - patrz tam rozdział R i rysunek R1). Zauważ że także wygląd twarzy owego UFOnauty/diabła ze "służki" odpowiada dokładnie wyglądowi twarzy jednej z ras nalatujących Ziemię UFOonautow. Rasa ta najlepiej zilustrowana została w słynnym filmie amerykańskim Fires in the sky jaki stanowił rodzaj reportaża dokumentującego faktyczne uprowadzenie mieszkańca Ziemi do wehikułu UFO owej cywilizacji. Charakterystyką tej rasy jest, że owi UFOnauci są małego wzrostu, oraz że ich twarze są pełne zmarszczek (tak jak twarze bardzo starych ludzi) oraz okropnie brzydkie.

Fot. #G2bc (D1ab z [10]): Wygląd samicy jeszcze jednej z ras szponiastych UFOonautów-potworów, czyli zdjęcie szponiastego "żeńskiego diabła". Również i takie diabły widywano w Malborku. Dokładny opis tego zdjęcia przytoczony został przy "Fot. #4a-c" na stronie internetowej o milickim kościele Kościele Św. Andrzeja Boboli, oraz przy "Fot. #K2" strony internetowej evolution_pl.htm. Ta rasa fizycznie niewydarzonych, oraz psychologicznie wysoce nieszczęśliwych potworów, została stworzona przez krótkowzroczne eksperymenty genetyczne UFOonautów. Od tysiącleci rasa ta regularnie nalatuje teraz Ziemię w wehikułach UFO, siejąc strach wśród ludności wszystkich kontynentów jako jedna z najbardziej złośliwych i najbardziej mściwych gatunków "diabłów". W swoich eksperymentach UFOnauci pobrali geny od ludzi i wymieszali je z genami pobranymi od jakiegoś rodzaju maszkarowatych jaszczurów. W ten sposób stworzyli pokazane na powyższym zdjęciu "diabły z krogulczymi pazurami". Diabły te mają 3+1 palcowe szponiaste łapy oraz węzową skórę jaszczurów. Jednocześnie zaś utrzymują one generalny kształt i narządy rozrodcze ludzi - wraz z ludzką inteligencją i z nawet większą od ludzkiej złośliwością. Jak to dokładniej opisałem na stronie internetowej o ewolucji, UFOnauci próbują bawić się w Boga - choć brak im mądrości i przezorności Boga. W rezultacie psują oni Boskie stworzenia przez mieszanie ich doskonałych genów z niewydarzonymi genami najróżniejszych potworów. Z powodu węzowego wzoru na ich skórze, tą rasę UFOonautów osoby uprowadzane do UFO opisują jako "gady". To też właśnie o tej rasie UFOonautów-diałów Adam Mickiewicz napisał w "Pani Twardowska" słowa "... nos jak haczyk, kurzą nogę i krogulcze miał paznokcie ...".

Fot. #G2d (K5c z [1/5]): Fotografia pokazująca rzeźbę "diabła-UFOnauty" z rasy wyglądającej identycznie jak ludzie. To właśnie UFOnauci z tej rasy "wkręcają" się na wszystkie kluczowe stanowiska w ziemskim społeczeństwie aby tym łatwiej sabotować rozwój techniczny ludzkości. UFOonautów z tej właśnie rasy folklor ludowy nazywał podmieńcami. Powyższa rzeźba najprawdopodobniej pochodzi z Francji. Fotografia ta była publikowana w czasopiśmie o nazwie "The Unexplained". Praktycznie jest to najlepsza znana mi podobizna diabła jaka doskonale pokazuje typowe szczegóły twarzy owej rasy UFOonautow o wyglądzie identycznym do ludzi. Rasa ta jest wyglądem najbardziej zbliżona do ludzi. Dlatego utrzymuje ona na Ziemi największą liczbę swoich szpiegów i sabotażystów jacy mieszą się z ludźmi na ulicach i wtrącają do wszelkich ludzkich spraw. Z odmiennych od ludzkich szczegółów anatomicznych owego diabła-UFOnauty zwraca uwagę wysunięty ku przodowi i rozwidlony podbródek, jaki wygląda jak miniaturowy tyłek ludzki, a jaki jest bardzo charakterystycznym szczegółem twarzy owej rasy UFOonautów (a także szczegółem twarzy dawnych "czarownic" - czarownice/y to jeszcze jedna nazwa jaką kiedyś przyporządkowywano dzisiejszym UFOnaucom/tom). Wiele osób obecnie uprowadzanych do UFO opisuje wygląd twarzy typowych UFOonautów właśnie jako niemal identyczny do wyglądu twarzy owego diabła z powyższej fotografii. Więcej danych na temat podobieństwa wyglądu, filozofii i zachowania diałów do dzisiejszych UFOonautów dostarczonych jest na stronie internetowej ufo_pl.htm.

Ciekawe że taki "tyłkopodobny podbródek" miał ostatni z Mistrzów Zakonu Krzyżackiego czyli "kuty na cztery kopyta" niejaki Albrecht von Hohenzollern-Ansbach. Aby go ukrywać przed ludźmi, nosił on brodę, która jednak także się rozwidła jak jego podbródek - na dwie półpołówki. To właśnie on "wywiódł w pole" polskich królów poprzez zlikwidowanie Zakonu Krzyżackiego w 1525 roku oraz jego zamienienie na Księstwo Pruskie z którego z czasem wyrosły Hitlerowskie Niemcy. Także to on podważył swym księstwem wpływy kościoła katolickiego poprzez oficjalne przejście na luteranizm oraz spowodowanie przejścia również wszystkich swoich poddanych. Posąg tego "kutego na cztery kopyta" ostatniego mistrza Zakonu może być oglądany na dziedzińcu Zamku w Malborku. Zdjęcie owego posągu pokazane zostało na fotografii "Fot. 17" z odrębnej strony internetowej day26_pl.htm. Na owym posągu najbardziej interesująca jest jego broda. W takiej bowiem formie rozgałęziających się, dwóch jakby odrębnych bród, broda ta rośnie tylko u tych którzy mają owo pośladowkształtne ukształtowanie podbródka, tak wyraźnie widoczne na powyższej fotografii "Fot. #G2d". Z kolei posiadanie takiego pośladowkształtnego podbródka typowo oznacza, że jego właściciel jest UFOonautą-podmieńcem, a nie człowiekiem. (W jaki sposób UFOnauci podmieniani są za ludzi wyjaśnione to zostało na odrębnej stronie internetowej w "Menu 2" nazywanej "podmieńcy".) Czyżby więc ostatni z mistrzów krzyżackich a pierwszy książę pruski, oraz faktyczny założyciel agresywnych Prus, był UFOonautą? Wszakże zgodnie z tym co wyjaśniono na stronie internetowej "ludobójcy", UFOonautą był również Romulus - znaczy założyciel starożytnego Rzymu. Warto też zwrócić uwagę na nietypowego kształtu buty tego pierwszego księcia pruskiego. Czyżby jego stopy też były nieco odmienne niż stopy u normalnych ludzi?

Fot. #G2e (D3 z [10]): Tylko nieliczni ludzie zostali ukarani złamaniem ich palca za fakt że mieli odwagę coś obfotografowywać. Ja należę do owych nielicznych. Kiedy w dniu 26 maja 2007 roku obfotografowałem tajemniczą "Jin Cave" pokazaną na powyższej fotografii "Fot. #G2e", jakieś niewidzialne dla ludzkich oczu stwory wpadły w taką wściekłość, że podczas wykonywania jednej z fotografii niemal otwarcie podcięły mi nogi kiedy właśnie naciskałem spust migawki, oraz tak pokierowały moim upadkiem abym złamał sobie palec. W trakcie tego dziwnego zdarzenia czułem na swoim ciele uderzenia i pchnięcia jakby czyichś niewidzialnych rąk, zaś w swoim umyśle usłyszałem jakby telepatycznie przekazany mi czyjś szyderczy rechot. (Ja doskonale znam ten rechot - słyszałem go bowiem już raz kiedy UFOnauci, zapewne dla zabawy, złali mnie i mój garnitur zimnym prysznicem - co opisałem dokładnie w podrozdziale W6 z tomu 18 mojej starej monografii [1/4], patrz tam punkt "Ad. F".) Opisy okoliczności owego niezwykłego złamania mi palca wyjaśniam w punkcie #K4 strony o Wszewilkach jutra. "Fot. #G2e" powyżej pokazuje właśnie jedno ze zdjęć które wówczas zdołałem wykonać tuż przed tym zanim mój palec został złamany. Ujmuje ona wejście do jaskini, która według moich ustaleń jest byłym wejściem do jednego z systemów podziemnych tuneli jakie UFOnauci wykonali pod powierzchnią naszej planety aby w nich ukrywać swoje wehikuly UFO przed wzrokiem ludzkim. Wśród miejscowych ludzi powyższa jaskinia nazywa się Jin Cave - co na polskie tłumaczy się jako "jaskinia dżynów". (Dżyny to jeszcze jedna nazwa którą w kulturach Wschodu nadawano kiedyś UFOautom. Dżyny miały takie same moce jak "diabły" - tyle że kiedyś uważano je za nie aż tak złośliwe jak diabły. W naszej kulturze dżyny znamy głównie z bajki o "Lampie Alladyna" w której podobno mieszkał jeden z owych potężnych stworów.) Pokazana powyżej "Jin Cave" omawiana jest także i nawet jeszcze lepiej ilustrowana na stronie o Korei. Średnica pokazanego powyżej tunelu mierzona w poziomie wynosi 4.7 metrów, zaś jego wysokość wynosi 5.10 metrów. Ten cylindrycznie ukształtowany i równiutki tunel został wycięty jakby ogromnym wiertłem. Biegnie on w kierunku od południowego-wschodu (jego wejście) ku północnemu zachodowi (głęb góry). Tunel ten wycięty był więc przez dyskoidalny wehikuł UFO typu K3 lecący poziomo z podstawą zwróconą prostopadle do lokalnego przebiegu linii sił pola magnetycznego. Średnica zewnętrzna wehikułu UFO typu K3 wynosi $D = 4.39$ metrów. Wykonanie tego tunelu

nastąpiło poprzez nacisk telekinetyczny, a nie poprzez wytapianie plazmą. Wehikuł UFO który go wykonał był więc wehikułem UFO drugiej, lub nawet trzeciej, generacji.

Niezwykłością tego tunelu UFO jest, że był on znany przez wiele wieków, zaś miejscowi ludzie traktują go z nabożnością niemal jak święte miejsce. Dlatego UFOanci nie mogli go skrycie zawalić lub usunąć - tak jak to uczynili z wejściami do wielu innych swoich tuneli. Aby jednak nie ujawnić że wiecie on do podziemnych baz UFO, jakiś czas temu UFOanci wytopili w nim pionową ścianę przegrodową która go zamyka już około 10 metrów od wejścia. Co najciekawsze, owa pionowa ściana zagradzająca wejście do reszty tego tunelu uformowana została poprzez wytopienie rodzimej skały gorącą plazmą. Tymczasem sam tunel wykonany został poprzez wyrwanie skały naporem telekinetycznym (jest więc tunelem wyłomowym - a nie wytopionym). Takie wymieszanie dwóch zupełnie odmiennych sposobów ukształtowania struktury tego tunelu, oba z których to sposobów są unikalne i charakterystyczne dla możliwości napędu UFO, dodatkowo silnie potwierdza technologiczne pochodzenie tego tunelu uformowanego przez wehikuł UFO.

Wejście do podobnego tunelu UFO znajdowało się też w Polsce na Babiej Górze - pozostając tam otwarte aż do około 1920 roku. (Potem UFOanci ukryli to wejście.) Podobne wejście opisane jest w słynnej niemieckiej legendzie o Pied Piper of Hamelin. Opis tej legendy znajduje się nawet w niektórych encyklopediach, np. w prestiżowej "Encyclopedia Britannica", 1959 rok - patrz tam hasło "Hameln". Zgodnie z tą legendą, w 1284 roku miasteczko Hamelin z Dolnej Saksonii (koło Hanoweru), leżące na zbiegu rzek Weser i Hamel, nawiedzone zostało przez plagę szczurów. Wtedy pojawił się ów szczurołap (zapewne UFOauta posiadający urządzenie do zdalnego hipnotyzowania zwierząt i ludzi), który po otrzymaniu oferty sówitego wynagrodzenia wyprowadził szczury z miasteczka i potopił je w rzece Weser. Jednakże po wypełnieniu jego strony umowy, mieszkańcy Hamelin'a oskarżyli go o oszustwo i odmówili wypłaty wynagrodzenia. Wtedy, dokładnie dnia 23 lipca 1284 roku, zagrał on znowu na swojej fujarce. W odpowiedzi wszystkie dzieci Hamelin'u opuściły swe domy i podążyły zahipnotyzowane w ślad za nim. Po ich dotarciu do zbocza pobliskiego wzgórza Koppelberg, otwały się w nim ogromne wrota. Szczurołap, a za nim wszystkie dzieci - za wyjątkiem jednego kulawego, zniknęli na zawsze we wnętrzu tego wzgórza, zaś wrota zatrzęsły się po ich przejściu. (Najwyraźniej kulawe dziecko było bez wartości jako niewolnik na planecie UFOautów.) Ciekawostką powyższej legendy z Niemiec jest, że jej wersja mówiona jaką też miałem okazję usłyszeć, opisuje szklisty tunel wiodący do wnętrza Ziemi, który krył się za wrotami w zboczu wzgórza Koppelberg. Tunelem tym odmaszerowały zahipnotyzowane dzieci. Jego opis zbiega się więc ze szklistym tunelem przysłoniętym wrotami wyglądającymi jak zwykła skałka, który opisany jest w legendzie z Polski na temat Babiej Góry (tą legendę z Polski przytoczyłem w traktacie [4B] i w podrozdziale G2.1 monografii [5/3], zaś wzmiankuję ją w podrozdziale V5.3.2 monografii [1/5]).

#G3. Czy ostatni komtur krzyżacki był UFOautą:

Bóg tak stwarza wszelkie istoty, że w ich anatomii i wygląd wpisane są również ich cechy charakteru - co dokładniej wyjaśnia i dokumentuje punkt #M1 ze strony day26_pl.htm, zaś ilustruje "Fot. #G2d" powyżej. Z kolei aby UFOanci mogli realizować na Ziemi zadania które Bóg im powierzył, muszą oni odznaczać się specjalnymi cechami charakteru - które to cechy znajdowały będą swoje odzwierciedlenie w ich anatomii i wyglądzie. Tak też się składa, że ostatni komtur (mistrz) malborskich krzyżaków demonstrował wszelkie cechy anatomiczne, wygląd, a nawet cechy charakteru jakie są dokładnie zgodne z cechami UFOautów - co m.in. demonstrowa następujące zdjęcie:

Fot. #G3 (E3 z [10]): Oto posagi najważniejszych "Wielkich Mistrzów Krzyżackich", wystawione na zamku malborskim. Warto zwrócić uwagę na mistrza na tym zdjęciu widocznego na ostatniej pozycji po prawej. Był to Albrecht von Hohenzollern-Ansbach, likwidator Zakonu Krzyżackiego. Był on ogromnie przewidujący w każdym swoim posunięciu, tak jakby znał przyszłość. Przykładowo, to on w 1525 roku zamienił Zakon

Krzyżacki w Księstwo Pruskie z którego z czasem wyrosły Hitlerowskie Niemcy. Także to on podważył swym księstwem wpływy kościoła katolickiego poprzez oficjalne przejście na luteranizm oraz spowodowanie przejścia również wszystkich swoich poddanych. Na powyższym zdjęciu interesująca jest jednak jego broda. W takiej bowiem formie rozgałęziających się, dwóch jakby odrębnych bród, broda rośnie tylko u tych którzy mają owo pośladowkkształtne ukształtowanie podbródka, tak wyraźnie widoczne na fotografii "Fot. #G2d" powyżej. Z kolei posiadanie takiego pośladowkkształtne podbródka zwykle oznacza, że jego właściciel jest symulowanym UFOonautą, a nie człowiekiem. Czyżby więc ostatni z mistrzów krzyżackich, pierwszy książę pruski, oraz faktyczny założyciel agresywnych Prus był UFOonautą? Wszakże zgodnie z tym co wyjaśniono na stronie internetowej "predators_pl.htm", UFOonautą był również Romulus - znaczy założyciel starożytnego Rzymu. Warto też zwrócić uwagę na nietypowego kształtu buty tego pierwszego księcia pruskiego. Czyżby jego stopy też były nieco odmienne niż stopy u normalnych ludzi? (Kliknij na powyższe zdjęcie aby zobaczyć je w powiększeniu.)

Ciekawostką może tutaj być też fakt, że również Osama Bin Ladin nosi dokładnie taką samą rozgałęziającą się brodę. Czyżby ten fakt wyjaśniał dlaczego jest on aż tak ilusny?

Jak wynika z najróżniejszych danych, Malbork od samego początku swego istnienia był obiektem szczególnego zainteresowania ze strony UFOonautów. Przykładowo wszystko wskazuje na to, że od samego początku tego zamku, w jego podziemiach symulowana była baza wehikułów UFO. Dalsze informacje na temat UFOonautów i ich podziemnych baz znaleźć można też na stronach internetowych day26_pl.htm i wroclaw.htm.

Powyższe zdjęcie jest też pokazana i opisane na stronie o moralnych przyczynach wszelkich katastrof, nazwanej day26_pl.htm (patrz tam "Fot. #M3c").

Część #H: Związek pomiędzy zamkiem w Malborku a chińskim "feng shui":

#H1. "Feng shui", oś energetyczna i "Smocze Wrota" zamku w Malborku, cyrkulacja jego inteligentnej energii "chi":

Starożytni Chińczycy posiadli tajemną wiedzę która wyjaśnia jak kształtować wzajemne ustawienie obiektów fizycznych oraz cechy tych obiektów, aby uzyskać zamierzone zmiany losu osób które żyją w otoczeniu tychże obiektów. Owa tajemna wiedza jest tam znana pod nazwą feng shui. Znajomość "feng shui" daje Chińczykom tak dużą kontrolę magiczną nad swoim losem, że większość Chińczyków praktykuje feng shui do dzisiaj. Zgodnie z artykułem "Feng shui now taught in school" (tj. "Feng shui obecnie jest nauczane w szkole") opublikowanym na stronie B2 nowozelandzkiej gazety The New Zealand Herald, wydanie datowane w środę (Wednesday), January 9, 2008, nauczanie feng shui powróciło do chińskich szkół. Powrót ten nastąpił po długiej przerwie trwającej od 1949 roku kiedy to komuniści którzy świeżo dorwali się tam do władzy zakazali nauczania owego przedmiotu jako ludowego przesądu. Pierwszą szkołą która w dzisiejszych Chinach wprowadziła do swego programu nauczanie feng shui, była szkoła średnia w Xiamen z bogatej prowincji Fujian w południowo-wschodniej części Chin. Ja osobiście obserwowałem feng shui w działaniu i jestem całkowicie świadom że nie wolno nam ignorować wpływu symboliki i konfiguracji otaczających nas obiektów na nasze losy życiowe.

Niewielu ludziom jest wiadome, że zamek w Malborku był budowany zgodnie z zasadami owej Daleko-Wschodniej (a ściślej chińskiej) wiedzy feng shui. Zasady te były tak tam dobrane aby wzmacniały one nadprzyrodzone moce właścicieli malborskiego zamku. Jednym z dowodów owej zgodności planów zamku z tamtą tajemną wiedzą feng shui, jest istnienie w zamku malborskim "energetycznej osi zamku", oraz istnienie symboli które oś tą wyznaczały - a stąd które indukowały cyrkulację inteligentnej energii przez Chińczyków zwanej "chi". (Teoria naukowa zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji nazywa "przeciw-materia" nośnik inteligencji który jest źródłem owej energii.) Owa "energetyczna oś zamku"

wyznaczana była w Malborku przez dwa symbole. Jednym z tych symboli był złowrogi posąg NMP już omówiony wcześniej w części #C tej strony i pokazany na zdjęciach z "Fot. #C2" powyżej. Położony on był po wschodniej stronie zamku i formował jego biegun wylotowy (ekspansyjny) dla cyrkulacji "chi" energii. Drugim zaś symbolem tej osi była "żaba" na wierzchołku "bramy wodnej" położonej po zachodniej stronie zamku. Żaba ta pokazana jest na "Fot. #H1" poniżej. Formowała ona biegun wlotowy dla "chi" energii. W ten sposób stwarzała ona zamkowi to co tajemna wiedza "feng shui" dawnych Chińczyków nazywała "Smocze Wrota" (po angielsku "Dragon Gate"). Oba te symbole formowały potężny wektor cyrkulacji i ekspansji inteligentnej energii "chi", który dodawał Zakonowi Krzyżackiemu cały szereg wprost nadprzyrodzonych mocy i zdolności ekspansyjnych - jakich potęgę nasi Słowiańscy przodkowie doświadczyli tak ciężko na własnej skórze.

Fot. #H1ab (C4 i C5 z [10]): Wygląd żaby z wierzchołka "bramy wodnej" po wschodniej stronie zamku w Malborku. Owa żaba dla chińskiego "feng shui" jest symbolem wlotowym, który wyznacza tzw. "Smocze Wrota" na energetycznej osi zamku w Malborku. ("Smocze Wrota" z tajemnej wiedzy "feng shui", to wysoce symboliczne wrota wlotowe przez które dostarczane jest do danego siedliska ludzkiego wszystko co potem daje mu potęgę, znaczenie, oraz bogactwo. Energia "chi" wpływająca przez owe wrota transformuje się bowiem w danym siedlisku na rozwój i ekspansję, które następują poprzez biegun wylotowy danego ludzkiego siedliska - w przypadku zamku w Malborku poprzez działalność kościoła którego nisza zawierała symbol wylotowy, czyli figurę NMP.)

(Cześć a - lewa) Wygląd samej żaby stojącej na wierzchołku postumentu ze środka "bramy wodnej". Żaba ta omówiona jest również w podpisie pod zdjęciem "Fot. #26" ze strony internetowej o mieście Miliczu.

(Cześć b - prawa) Wygląd całej "bramy wodnej" w centrum której owa żaba jest umiejscowiona. Bramę tą widać mniej-więcej w lewym-centrum powyższego zdjęcia z części "b". Jest ona także opisana na zdjęciu z "Fot. #11" strony internetowej o mieście Wrocławiu.

Część #I: Historyczne ciekawostki Malborka i zamku:

#I1. Zamurowane dziewice, romantyczni bohaterowie:

Niemal każdy stary zamek posiada przywiązanych do siebie sporo romantycznych opowieści. W zamku malborskim istnieje wieża, w jakiej zamurowana miała być Aldona, ukochana Mickiewiczowskiego bohatera, Konrada Wallenroda (faktyczne imię zamurowanej tam niewiasty brzmiało Dorota). Oto co wspomniany już poprzednio "Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i Innych Krajów Słowiańskich" wydany w Warszawie w 1884 roku, na stronie 943 pod hasłem "Malbork", pisze na temat owej wieży swoim nieco archaicznym językiem, cytując:

"Niedaleko od rzeźni, tuż nad brzegiem Nogatu, wznosi się po dziś dzień baszta maślankowa, 25 m, wysoka; nazwa ta, powszechnie utarta, opiera się na podaniu, jakoby chłopci żuławscy, na wskutek dobrobytu, tak byli spanoszeni, iż w. mistrz, aby ich butę ukrócić, kazał im do zaprawy przy budowie tej baszty zamiast wody maślanki używać. Ale to pewnie tylko bajka, bo właściwie zwała się ta wieża, w r. 1412 zbudowana, pierwotnie "okrągła", a nazwę wieży maślankowej dano jej ledwie dopiero około r. 1596, kiedy starosta malborski Kostka 4-ch radnych z Lichnów, którzy przy dostawianiu masła i mleka bardzo hardo się brali, kazał w tej wieży zamknąć za karę. W tej wieży umieścił Mickiewicz w swoim Konradzie Wallenrodzie - Aldonę; być może, że słyszał był coś o jakiejś zamurowanej niewieście w tych stronach, ale to była błogosławiona Dorota, która się roku 1347 urodziła w Mątwach, a ostatnie lata przepędziła w Kwidzynie, gdzie zmarła roku 1394."

Tyle w słowniku na temat tej wieży. Dodam że wieża była też częściowo zniszczona w 1945 roku, i została zrekonstruowana w 1958 roku, oraz że na jej wierzchołku

umieszczono, widoczną z daleka blaszaną figurę kobiety robiącej masło w kierzynie.

Fot. #11: Baszta Maślankowa. To w tej wieży miało miejsce co najmniej jedno historycznie udokumentowane "zamurowanie żywcem".

Jak to jednak wiadomo o zwyczajach najróżniejszych "przyjemniaczków" z okresu średniowiecza, baszty były przez nich ulubione jako miejsce składowania niewygodnych dla siebie ludzi. Przykładowo, kiedy w jakiś czas temu otwarto podobną basztę znajdującą się w Paczkowie z południowej Polski, odkryto w niej pomieszczenie aż do sufitu wypełnione szkieletami ludzkimi. Jak się okazało, ojcowie miasta Paczkowa mieli brzydki zwyczaj wrzucania do owej baszty przez niewielkie okienko w jej suficie każdego kto im się nie podobał. Ponieważ zaś nie było z niej wyjścia innego niż owo maleńkie okienko w suficie, nikt z tam wrzuconych już z niej się nie wydostał. (Zdjęcie i opisy średniowiecznej "wieży głodowej" z Paczkowa w południowej Polsce pokazane są na rysunku "Fot. 6(b)" ze strony o mieście Miliczu.) Zapewne więc i owa niewiasta zamurowana w pokazanej tutaj baszcie należała do tych bardziej szczęśliwych, bowiem zdołała swe życie zakończyć zamurowana w celi w katedrze w Kwidzynie, nie zaś w mrocznym wnętrzu powyższej samotnej baszty.

#12. Średniowieczne tunele pod rzeką Nogat:

Praktycznie wszystkie średniowieczne zamki posiadały podziemne tunele które były używane dla ukrytej łączności i ucieczki. Typowa konstrukcja i własności takich tuneli doskonale są zilustrowane w małym polskim miasteczku Paczków, które ciągle do dzisiaj otoczone jest średniowiecznymi murami. (Paczków jest zlokalizowany kilkadziesiąt kilometrów na południe od Wrocławia). Takie średniowieczne tunele odkryte pod owym Paczkowem, ujawniły że zwykle są one tak zaprojektowane, aby posłaniec (lub uciekinier) mógł jechać w nich na koniu. Zwykle zaczynały się one w studni danego zamku, lub w jednej z ukrytych piwnic. Fotografii tego typu podziemnych tuneli pokazane są na dwóch odrębnych stronach internetowych, mianowicie na stronach Milicz oraz Wszewilki. Zamek w Malborku również wcale nie jest wyjątkiem w tej regule. Przed Drugą Wojną światową ogromny podziemny tunel biegnący pod rzeką Nogat został przypadkowo odkopany, a po sfotografowaniu ponownie zakryty. Fotografia owego tunelu publikowana była wówczas w lokalnej gazecie z Malborka.

#13. Ukryte skarby:

Jak każdy stary zamek, także zamek w Malborku posiada liczne legendy dotyczące ukrytych skarbów z różnych okresów historycznych. W tym dziale opiszę kilka z nich.

* * *

Stopniowe opisywanie dalszych tajemnic i ciekawostek Malborka, oraz dalszych szczegółów tajemnic i ciekawostek już tutaj wzmiankowanych, będzie kontynuowane. Proszę więc odwiedzić tą stronę ponownie za jakiś czas!

Część #J: Podsumowanie, oraz informacje końcowe tej strony:

#J1. Podsumowanie tej strony:

Jak powyższe opisy nam to ujawniły, z jednej strony zamek w Malborku to istotny aszet dla polskiej turystyki, historii, dumy narodowej, itp. Z drugiej jednak strony do zamku w Malborku odnosi się szczególnie owo totalistyczne powiedzenie wiedza to odpowiedzialność.

#J2. Instrukcje:

Podczas czytania tej strony warto wiedzieć że:

1. Aby zobaczyć powiększenie dowolnej fotografii z niniejszej strony internetowej,

wystarczy w tym celu zwyczajnie kliknąć na tą fotografię. Ponadto większość tzw. browser'ów które obecnie są w użyciu, włączając w to popularny "Internet Explorer", pozwala na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększyć, a także gdzie ją można wydrukować za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

2. Ci których zainteresują zaprezentowane poniżej opisy miasta Malborka, zapraszani są również na podobne strony poświęcone opisowi prastarych miejscowości Milicza, Wszewilek, Stawczyka, oraz Wrocławia.

#J3. Ciekawostki:

Problemy z oglądaniem tej strony: Jak wszystkie strony otwierające nasze oczy na fakt "symulowania" na Ziemi sytuacji że ludzkość jest skrycie okupowana przez technicznie wysoko zaawansowanych - chociaż moralnie upadłych UFOonautów, strona ta jest nieustannie sabotażowana. Stąd bez przerwy są problemy z jej otwieraniem i oglądaniem - co dokładniej wyjaśniłem na odrębnej stronie która w "Menu 1" i "Menu 2" może być uruchamiana pod nazwą "FAQ - częste pytania". Aby jakoś przeciwdziałać tym powtarzalnym sabotażom, niniejsza strona jest udostępniana aż pod kilkoma adresami równocześnie. Warto więc wiedzieć jakie są to adresy, bowiem w przypadku problemów z oglądnięciem tej strony pod jednym z adresów, może ona być otwarta i oglądnęta pod którymś z innych adresów. Ponadto, pod każdym z owych adresów znajdują się także inne interesujące strony o naróżniejszej tematyce które także warto odwiedzić. Wykaz tematów owych stron podaje strona ze "skorowidzem" o nazwie (kliknij na tą nazwę aby przenieść się na ową stronę): skorowidz.htm.

Tak dla informacji podam tutaj też wykaz dotychczasowych sukcesów sabotażystów w blokowaniu dostępu do tej strony. I tak na początku listopada 2004 roku niniejsza strona została całkowicie usunięta z następujących dwóch serwerów, mianowicie: mozajski.i6networks.com, wroclaw.i6networks.com. Z kolei w dniu 15 grudnia 2004 roku zablokowany został dostęp do tej strony działającej pod bardzo popularnym wówczas serwerem-adresem milicz.fateback.com. Potem wprawdzie dostęp do tego serwera został odblokowany, jednak ja już zaprzestałem jego użycia. Ponadto w 2004 roku aż dwukrotnie strona ta była całkowicie wydeletowana po jej umieszczeniu pod adresem www.nrg.to/newzealand. Na szczęście, w tamtym roku zawsze udawało mi się potem tą stronę ustanowić ponownie pod owym adresem. Dlatego w 2005 roku cała moja witryna z tamtego serwera www.nrg.to została zniszczona. Niemal nieustannie mój dostęp do tej strony umieszczonej pod adresem anzwers.org/free/wroclaw jest też blokowany. Stąd aby ją tam zaktualizować, zawsze najpierw muszę znaleźć jakiś sposób aby się przełamać przez ową blokadę. W końcu pod dwoma następującymi adresami i.1asphost.com/1964, n.1asphost.com/1970/1964, wprawdzie stronie tej pozwalali istnieć, jednak codziennie blokowane było jej oglądanie pod wymówką że dzienny limit przepustowości został przekroczony (ja już kilkakrotnie składałem podanie o zwiększenie tego limitu, jednak nigdy zwiększenia tego nie uzyskałem.) Kiedy zaś w dniu 4 stycznia 2005 roku ponownie odwiedziłem stronę n.1asphost.com/1970/1964 aby sprawdzić jej działanie, okazało się że została ona wydeletowana. W dniu 1 marca 2005 roku, wydeletowano też tą stronę pod adresem: wroclaw.free2w.com. Z kolei w dniu 21 marca 2005 roku zablokowano następny adres pod jakim istniała ta strona, mianowicie adres www.nrg.to/newzealand. Blokadę tą nałożono w dokładnie taki sam sposób, jak już poprzednio zablokowano tą samą stronę pod adresem anzwers.org/free/wroclaw, oraz jeszcze wcześniej zablokowano tą stronę pod adresem free.7host02.com/sheep. Znacząco, strona ta ciągle istniała i była dostępna pod owym adresem, tyle że ja miałem bardzo trudny do niej dostęp za każdym razem kiedy chciałem ją uaktualizować. Wszakże aby do niej się dostać i ją zaktualizować, najpierw musiałem znaleźć jakiś sposób aby przełamać się przez ową blokadę, a dopiero potem mogłem wprowadzić do niej zmiany. (Zgodnie z tym co wyjaśniłem na stronach internetowych o nazwie morals_pl.htm, sposób na obejście naokoło dowolnej niemoralnej blokady zawsze istnieje - wszakże sposób ten stwarzają same prawa moralne. Tyle że za każdym razem trzeba włożyć sporo trudu i czasu aby sposób ten znaleźć.) W latach 2006 i

2007 wydeletowano mi też aż cały szereg serwerów lub witryn zawierających niniejszą stronę o tajemnicach Malborka. Pełny wykaz owych wydeletowanych przez nich witryn przytoczony jest zaraz po polskojęzycznym wykazie stron na odrębnej stronie zwanej Menu 4.

#J4. Polskie literki:

W tekście tej strony starałem się używać polskich literek. Szybko jednak odnotowałem, że nie każdy serwer poprawnie koduje i przesyła owe litery. Ponadto komputery zdają się wyświetlać poprawnie polskie literki tylko jeśli albo używają systemu operacyjnego "Windows XP", lub jeśli ich Internet Explorer został na nie ustawiony. (Aby ustawić swoją przeglądarkę "Internet Explorer" na poprawne odczytywanie polskich liter, trzeba kliknąć na pozycję w jej menu oznaczoną "Widok" (po angielsku "View"), zaś potem na opcję oznaczoną "Kodowanie" (po angielsku "Encoding"). Kiedy zaś otworzy się submenu "Dalsze" ("More") z odmiennymi alfabetami, wybrać trzeba i włączyć kliknięciem alfabet oznaczony "Srodkowoeuropejski (Windows)" (po angielsku "Central European (Windows)").) Gdyby jednak i takie ustawianie nie pomogło, wówczas na wszelki wypadek informuję, że jeśli u kogoś w miejscu literek na ekranie pojawiają się jakieś dziwne znaczki, to zapewne oznacza, że jego komputer nie wyświetla prawidłowo polskich literek. W takim przypadku dobrze jest wiedzieć, że wyświetlane znaczki oznaczają co następuje:

"ą" = "a" z ogonkiem, "Ą" = "A" z ogonkiem,
 "ć" = "c" z kreską, "Ć" = "C" z kreską,
 "ę" = "e" z ogonkiem, "Ę" = "E" z ogonkiem,
 "ł" = "l" przekreślone, "Ł" = "L" przekreślone,
 "ń" = "n" z kreską, "Ń" = "N" z kreską,
 "ó" = "o" z kreską, "Ó" = "O" z kreską,
 "ś" = "s" z kreską, "Ś" = "S" z kreską,
 "ź" = "z" z kreską, "Ź" = "Z" z kreską,
 "ż" = "z" z kropką, "Ż" = "Z" z kropką.

Oto wykaz polskich literek jakie mogą wystąpić w moich tekstach:

ą ć ę ł ń ó ś ź ż (małe polskie literki)

a c e l n o s z z (łacińskie i angielskie odpowiedniki małych polskich literek)

Ą Ć Ę Ł Ń Ó Ś Ź Ż (duże polskie litery)

A C E L N O S X Z (łacińskie i angielskie odpowiedniki dużych polskich liter).

Powinienem tutaj dodać, że po odnotowaniu mizernych efektów moich eksperymentów z użyciem polskich literek, sporą część swoich tekstów nadal piszę alfabetem angielskim (łacińskim).

#J5. Jak dzięki stronie "skorowidz.htm" daje się znaleźć totalizacyjne opisy interesujących nas tematów:

Cały szereg tematów równie interesujących jak te z niniejszej strony, też omówionych zostało pod kątem unikalnym dla filozofii totalizmu. Wszystkie owe pokrewne tematy można odnaleźć i wywoływać za pośrednictwem skorowidza specjalnie przygotowanego aby ułatwiać ich odnajdowanie. Nazwa "skorowidz" oznacza wykaz, zwykle podawany na końcu książek, który pozwala na szybkie odnalezienie interesującego nas opisu czy tematu. Moje strony internetowe też mają taki właśnie "skorowidz" - tyle że dodatkowo zaopatrzone w zielone linki które po kliknięciu na nie myślą natychmiast otwierają stronę z tematem jaki kogoś interesuje. Skorowidz ten znajduje się na stronie o nazwie skorowidz.htm. Można go też wywołać z "organizującej" części "Menu 1" każdej totalizacyjnej strony. Radzę aby do niego zaglądnąć i zacząć z niego systematycznie korzystać - wszakże przybliży on setki totalizacyjnych tematów które mogą zainteresować każdego.

#J6. Email e i dane kontaktowe autora tej strony:

Autorem tej strony jest polski emigrant obecnie na stałe mieszkający w Nowej Zelandii. Aktualne adresy emailowe autora tej strony, tj. dra inż. Jana Pajaka (a przez okres

2007 roku - Prof. dra inż. Jana Pajaka), pod jakie można wysyłać ewentualne uwagi, zapytania, lub odpowiedzi na zadane tu pytania, podane są na stronie internetowej o mnie (Dr Jan Pajak). Tam również dostępne są adres pocztowy i numery telefonu autora.

Proszę też odnotować, że z powodu mojego chronicznego deficytu czasu, ja bardzo niechętnie odpowiadam na emaile, które zawierają TYLKO wykonawczo czasochłonne prośby, jednocześnie zaś dokumentują zupełną ignorancję ich autora w tematyce którą ja badam.

#J7. Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak:

Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak. Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza strona stanowi raport z wyników badań jej autora - tyle że napisany jest on popularnym językiem (aby mógł być zrozumiany również przez czytelników o nienaukowej orientacji). Idee zaprezentowane na tej stronie są unikalne dla badań autora i dlatego w tym samym ujęciu co na tej stronie (oraz co w innych opracowaniach autora) idee te uprzednio NIE były jeszcze publikowane przez żadnego innego badacza. Jako taka, strona ta prezentuje idee które stanowią intelektualną własność jej autora. Dlatego jej treść podlega tym samym prawom intelektualnej własności jak każde inne opracowanie naukowe. Szczególnie jej autor zastrzega dla siebie intelektualną własność odkryć naukowych i wynalazków opisanych na tej stronie. Dlatego zastrzega sobie, aby podczas powtarzania w innych opracowaniach jakiegokolwiek idei zaprezentowanej na niniejszej stronie (tj. jakiegokolwiek teorii, zasady, dedukcji, interpretacji, urządzenia, dowodu, itp.), powtarzająca osoba oddała pełny kredyt autorowi tej strony, poprzez wyraźne wyjaśnienie iż autorem danej idei jest Dr Jan Pajak, poprzez wskazanie internetowego adresu niniejszej strony pod którym idea ta i strona oryginalnie były opublikowane, oraz poprzez podanie daty najnowszego aktualizowania tej strony (tj. daty wskazywanej poniżej).

* * *

If you prefer to read in English

click on the flag below

(Jeśli wolisz czytać po angielsku,
kliknij na angielską flagę)

Data założenia tej strony internetowej: 13 listopada 2002 roku.

Data jej najnowszego aktualizowania: 12 kwietnia 2011 roku.

(Sprawdź pod adresami z "Menu 3" czy już istnieje nawet nowsza aktualizacja!)

Podrozdział C3:

Ciekawostki i zagadki miasta Wrocław z południowo-zachodniej Polski

W oficjalnych książkach i przewodnikach turystycznych możemy wyczytać sobie wiele informacji o każdym mieście. Istnieją jednak informacje, których oficjalne źródła z różnych powodów nie podają. Aby poznać owe informacje, trzeba w danym mieście żyć. Najczęściej bowiem poznaje się je od kogoś dobrze znajomego i zaufanego. Wszakże oficjalnie takich informacji się nie podaje. Niniejsza strona stara się właśnie opisać takie "szeptane" informacje o mieście Wrocławiu - tj. szczegóły których normalnie rzadko daje się usłyszeć. Wywodzą się one głównie z lat 1964 do 1981 - w których ja miałem przyjemność mieszkać w owym mieście. Oczywiście, aby dokładnie wskazać z jakim fragmentem miasta mają one mają związek, konieczne było powtórzenie tu także kilku informacji przewodnikowych - na te jakich owe "szeptane" szczegóły są wyjaśnione.

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Cele tej strony:

Strona ta ma kilka celów. Jednym z nich jest pokazanie czytelnikowi miasto Wrocław oglądane z nieco odmiennej niż oficjalnie strony. Kolejnym celem tej strony jest próba ujawnienia jak fascynująca jest historia tego prastarego miasta, oraz dlaczego warto abyśmy kontynuowali nasze zainteresowanie w jego losach.

#A2. Co chcę wyjaśnić z pomocą tej strony:

Z pomocą niniejszej strony chciałbym zaprezentować czytelnikowi kilka opinii, opowieści i ciekawostek folklorystycznych o mieście Wrocławiu, a nie faktów naukowych o owym mieście. Praktycznie to oznacza, że to co na niej zaprezentowane stara się tylko wiernie oddać i zilustrować to co różni ludzie opowiadali, co twierdzili, czy w co wierzyli na temat Wrocławia, nie zaś to co o owym mieście stwierdzają oficjalne publikacje lub podręczniki historii. (Wszakże np. w omawianych tu czasach nie było tylu telewizorów co dzisiaj, zaś te co były nie były oglądane bez przerwy. Stąd w długie wieczory ludzie zabawiali się najróżniejszymi opowiadaniem. Ponadto, nawet kiedy strona ta powtarza to co komuś było wiadome z całą pewnością, ciągle do owej informacji mogły wkraść się różne błędy spowodowane niedoskonałością ludzkiej pamięci.) Strona ta NIE stara się nawet dociekać czy udowadniać, na ile to co w niej powtórzone jest prawdą, ani jaką wartość faktologiczną, historyczną, czy naukową to posiada. Ponadto sama natura prezentowanych tutaj informacji powoduje, że nawet jeśli któraś z owych opowieści folklorystycznych zawiera wyłącznie historyczną prawdę, w chwili obecnej prawdopodobnie nie jest możliwe naukowe dowiedzenie jej absolutnej poprawności. Sprawę oceny poziomu prawdy w zaprezentowanych poniżej opisach pozostawiam więc dyskusji czytelników.

* * *

Proszę zwrócić uwagę, że niniejsza strona o mieście Wrocławiu jest jedną z całego szeregu stron jakie sporządziłem na temat "szeptanych", lub opowiadanych sobie tylko nieoficjalnie, ciekawostek miejsc na Ziemi w jakich kiedyś mieszkałem i stąd które dokładnie zbadałem. Sporo z tych miejsc cechuje się tym niezwykłym faktem, że w nich zamieszkałem i je poznałem kiedy ciągle należały one jeszcze do "totaliztycznych lokalizacji" - czyli do miejsc na Ziemi które ja miałem przyjemność poznać kiedy nowa ludność jaka zasiedliła je zaraz po wojnie ciągle praktykowała wysoce moralną filozofię totalizmu. (Niestety, do dzisiaj, za wyjątkiem jednego z tych miejsc, wszystkie pozostałe z nich zaczęły już praktykować

wysoce niemoralną filozofię pasożytnictwa - której praktykowanie jest surowo karane przez Boga śmiercią i kataklizmami - tak jak wyjaśnia to i ilustruje punkt #B5 strony o nazwie [seismograph_pl.htm](#).) Inne moje strony również opisujące podobnie kiedyś "totalizyczne lokalizacje", obejmują: stronę o dolnośląskiej wsi Stawczyk i Wszewilki, stronę o dolnośląskim mieście Miliczu, stronę o niezwykłościach pokrzyżackiego zamku w Malborku, a także strony o ciekawostkach Nowej Zelandii (np. strony o fizycznych nazwach [newzealand_pl.htm](#), [tapanui_pl.htm](#), czy [newzealand_visit_pl.htm](#)) i o ciekawostkach Korei (np. strony o fizycznych nazwach [korea_pl.htm](#), czy [hosta_pl.htm](#)). Odnotuj, że pełny adres internetowy wskazywanych tu stron ukaże się w okienku adresowym wyszukiwarki po kliknięciu na ich linki w tekście wyróżniane kolorem zielonym.

Część #B: Najważniejsze dane o mieście Wrocławiu:

#B1. Czym jest ów Wrocław i dlaczego ja uważam że warto o nim pisać i utrzymywać stronę internetową:

Wrocław jest sporym miastem wojewódzkim położonym na Dolnym Śląsku, czyli w południowo-zachodnim kącie Polski. Jest on znany w całej Polsce jako "miasto akademickie". Stanowi on bowiem siedzibę aż całego szeregu uczelni wyższych. Przykładowo, jeśli dobrze zapamiętałem, to w czasach moich studiów, czyli w latach 1964 do 1970, było tam aż 8 uczelni wyższych, mianowicie (w kolejności liczb ich studentów): (1) Politechnika Wrocławska - którą ją ukończyłem, (2) Uniwersytet Wrocławski, (3) Wrocławska Akademia Medyczna, (4) Wrocławska Akademia Rolnicza, (5) Wyższa Szkoła Ekonomiczna we Wrocławiu, (6) Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych we Wrocławiu, (7) Wyższa Szkoła Muzyczna we Wrocławiu, oraz (8) Akademia Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu.

Niezwykłością Wrocławia było, że zaraz po drugiej wojnie światowej cała ludność tego miasta została wymieniona na nową. Jak zaś wyjaśnia nam to filozofia totalizmu, takie wymienienie mieszkańców miasta na zupełnie nowych ludzi powoduje, że w mieście tym NIE istnieją ani NIE działają żadne "grupy koleżeńskie" czy "stare układy", które powodowałyby że dane miasto działa na niemoralnych zasadach "znajomości" i "kumoterstwa", zamiast na totalizycznych zasadach bezstronnego "brania ludzi za to czym faktycznie są". W rezultacie, aż do około lat 1980-tych, Wrocław był niemal całkowicie wolny od instytucjonalnego pasożytnictwa - czyli od wysoce niemoralnej "filozofii grupowej" której cechy są opisywane w Biblii jako cechy ludzi "niesprawiedliwych", których Bóg wyraźnie ostrzega słowami Biblii że będą oni ukarani śmiercią - patrz "Księga Ezechiela", wersety 33:18-19 dyskutowane w punkcie #A1 strony [seismograph_pl.htm](#). (O tym że wszystkie społeczności które ulegają owej niemoralnej filozofii pasożytnictwa faktycznie są karane przez Boga śmiercią, zabójczymi kataklizmami i innymi nieszczęściami, dowodzą badania jakie już skompletowałem, a jakie opisałem m.in. w punkcie #B5 strony o nazwie [seismograph_pl.htm](#), czy w punkcie #B4.4 na stronie o nazwie [mozajski.htm](#).) Innymi słowy, począwszy od 1945 roku, aż do lat 1980-tych, Wrocław spełniał definicję "totalizycznego miasta" i należał do "ekskluzywnego klubu" unikalnych "totalizycznych miejscowości" jakie autor opisuje m.in. na swoich stronach internetowych o nazwach [milicz.htm](#), [stawczyk.htm](#), oraz [wszewilki.htm](#).

Fakt że w latach 1945 do 1980-tych Wrocław był "totalizycznym miastem" zamienia go w bardzo cenny obiekt "badań moralnych". Wszakże na świecie zidentyfikowanych zostało szokująco niewiele takich "totalizycznych miast", zaś te co dały się poznać jako "totalizyczne" praktycznie NIE są przez nikogo badane jako "intelektu grupowe". Tymczasem "totalizyczne miasta" są niezwykle. Przykładowo, niemal wszystko co ich ludność zamierza dokonać, zawsze się udaje urzeczywistnić, są one doskonałym przykładem moralnego współzycia ich ludności, wykazują oszałamiające osiągnięcia na każdym możliwym polu, itd., itp. Aby wskazać tu jakiś przykład, to będąc "zawodowym wykładowcą uczelnianym" który wykladał na 10 odmiennych uczelniach z 5 różnych krajów świata, miałem okazję aby empirycznie porównywać poziom kształcenia akademickiego na

Politechnice Wrocławskiej, z poziomami panującymi na innych uczelniach świata - w tym na owych najświetniejszych. Jak też ustaliłem, według moich nieoficjalnych oszacowań porównawczych, w czasach kiedy Wrocław był "totalizycznym miastem", Politechnika Wrocławska była najlepszą uczelnią na świecie - co szerzej i dokładniej wyjaśniam w punkcie #E1 strony o nazwie rok.htm. Już więc choćby z tych powodów warto poświęcić szczególną uwagę temu niezwykłemu miastu.

Niestety, po 1980-roku Wrocław stopniowo utracił status "totalizycznego miasta". To zaś wnosi dosyć przykre następstwa, wyraźnie nazwane i opisane w Biblii. W rezultacie, z tego co mi się "o uszy obito", Wrocław był już dwukrotnie "ostrzegany" potężnymi "powodziami ostrzegającymi", a raz nawet pojawiło się w nim tornado. Jeśli więc w najbliższym czasie Wrocław rozumiany jako tzw. "intelekt grupowy", NIE udokumentuje klarownie że zmienił już rodzaj filozofii którą praktykuje i powrócił do praktykowanej poprzednio filozofii totalizmu - tak jak wyjaśnia to dokładniej punkt #E2 z końcowej części niniejszej strony, wówczas zachodzi niebezpieczeństwo że już w niedalekiej przyszłości może on być potraktowany czymś, co daje się nazwać "kataklizmem przynaglającym". Znaczący zachodzi możliwość że Wrocław doświadczy losu podobnego do losu miasta Christchurch w Nowej Zelandii - tak jak ów los Christchurch opisany został w punktach #C5 do #C6 strony o nazwie seismograph_pl.htm oraz w punkcie #G2 strony o nazwie przepowiednie.htm, albo też doświadczy losu podobnego do losu miasta Nowy Orlean w USA - opisanego w punkcie #D1 strony katrina_pl.htm. Tak nawiasem mówiąc, to obok Christchurch z Nowej Zelandii i Nowego Orleanu z USA, Wrocław jest jednym z grupy owych niewielu miast świata położonych poza obszarami typowo nękanymi trzęsieniami ziemi, co do których jednak z pewnością jest wiadomym, że jako tzw. "intelekt grupowe" wcale NIE są one chronione przed kataklizmami zamieszkiwaniem w nich tzw. "10 sprawiedliwych" - których ochronną rolę dokumentuje m.in. punkt #I3 na stronie day26_pl.htm. Już zaś tylko z tego powodu, warto teraz zacząć uważnie śledzić dalsze losy Wrocławia. Losy te warto także zacząć teraz uważnie śledzić dla naukowej skrupulatności - wszakże to co się będzie działo z Wrocławiem, po faktologicznym udokumentowaniu może kiedyś posłużyć jako model opisowy tego co potem będzie można ekstrapolować do innych miast świata o podobnej sytuacji filozoficznej.

#B2. Liczba ludności Wrocławia:

Dzisiejsza liczba ludności Wrocławia jest trudna do oszacowania. Wszakże obecne granice administracyjne Wrocławia nie pokrywają się z naturalnymi przerwami w osadnictwie ludzkim. Niemniej zgrubnie rzecz biorąc w 2004 roku sam Wrocław liczył około 700 000 mieszkańców. Jeśli zaś do liczby tej włączyć jego przedmieścia, wówczas liczba ta przekraczała 1 milion mieszkańców. Wrocław uważany jest za czwarte co do wielkości miasto Polski (po Warszawie, Katowicach i Łodzi).

Część #C: Jak Wrocław powstał - czyli nieoficjalna historia Wrocławia:

#C1. Niepisana prehistoria Wrocławia, czyli "Bursztynowy Szlak", przeprawa "w bród" przez rzekę Odra, oraz tzw. "Ostrów Tumski":

Powodem i początkiem wszystkiego był bursztyn. W starożytności był on ogromnie ceniony za jego zdolności lecznicze i wzmacniające. (Jak czytelnikowi zapewne wiadomo, elektryczność indukowana podczas noszenia bursztynu oddziałuje z punktami akupunkturoowymi na ciele noszącego, w ten sposób poprawiając zdrowie noszącego - tak jak czyni to rodzaj dzisiejszej bezigłowej akupunktury, zwanej także "akupunkturą energetyczną", czy ludowa wersja "bio-akupunktury".) Aby jednak zdobyć ów drogocenny bursztyn, kupcy musieli dostać się nad Morze Bałtyckie w okolice dzisiejszego Gdańska. Szlak jakim wówczas podążali, zwany potem Szlakiem Bursztynowym, musiał być starannie wybrany, bowiem musiał prowadzić przez tereny zasiedlone plemionami usposobionymi pokojowo. W początkowej fazie swojego istnienia, czyli jeszcze w starożytności, ów "Bursztynowy Szlak" oficjalnie prowadził od Akwilei (pisane Aquilei), w

okolicy dzisiejszego Triestu nad morzem Adriatyckim, do Gdańska i do Zatoki Gdanskiej, zakreślając ogromny łuk okrężny wiodący poprzez rzymską prowincję Panonia, czyli dzisiejsze Węgry, oraz dalej przez Bramę Morawską, Kalisz, okolice jeziora Gopło do Wisły i następnie wzdłuż Wisły do Gdańska i do Zatoki Gdanskiej. Z czasem jednak okazało się że istnieje krótsza i dogodniejsza droga wiodąca do tego samego celu. W ten sposób powstało bardziej bezpośrednie odgałęzienie "Bursztynowego Szlaku", jakie przebiegało przez dzisiejszy Wrocław, a dalej przez Milicz (a także przez przy-Milicką wioskę Wszewilki-Stawczyk) do Gniezna i Gdańska. (Ogromny wpływ jaki "Bursztynowy Szlak" wywarł na rozwój małego miasteczka Milicza i położonej przy Miliczu wioski Wszewilki, wyjaśniają odrębne strony o Wszewilkach, Miliczu, oraz o milickim kościele Św. Andrzeja Boboli, wyszczególnione w Menu 1.) Podobnie jak oryginalny szlak, również to późniejsze jego odgałęzienie wiodące przez dzisiejszy Wrocław, Milicz i Gniezno, przecinało po drodze aż kilka dużych rzek. Jedną z nich była rzeka Odra. Oczywiście, aby przepłynąć na drugi brzeg Odry w czasach kiedy nie było na niej jeszcze żadnych mostów, kupcy ci potrzebowali wygodnego brodu. Bród taki istniał w miejscu gdzie Odra rozlewała się na kilka odnóg okrążających małe wysepki. Począwszy więc od około roku 800 p.n.e, na obu brzegach Odry, przy miejscu owej przeprawy w bród przez rzekę, założone zostały dwa grodziska. Wszakże podróżni przepływający się przez rzekę poszukiwali bezpiecznego miejsca na nocleg i na odpoczynek, którego dostarczały im owe grodziska. Z czasem grodziska te przekształciły się w to co dzisiaj nazywane jest miastem Wrocław.

Istnieją konkretne dowody materialne, że Wrocław faktycznie zlokalizowany był na jednym z odgałęzień "Bursztynowego Szlaku". Dowody te to "skarb" w postaci dużej ilości starożytnego bursztynu jaki w XIX wieku znaleziono w dzielnicy Wrocław-Partynice. Jedno źródło podaje, że bursztynu tego było 800 kg, a inne - mniej wiarygodne, że 2500 kg. Bursztyn ten miał pochodzić z przełomu obu er, tj. z początku naszej ery i narodzenia Chrystusa. Największa bryła ważyła 1750 gram. Tak ogromnej ilości bursztynu nie przetransportowano by do Wrocławia, gdyby miasto to nie leżało na "Bursztynowym Szlaku". Miejsca leżące na byłym Szlaku Bursztynowym znane są zresztą ze starożytnych skarbów bursztynowych. Inny taki skarb znaleziony był w 1914 roku w Bassonii nad Wisłą, powiat Puławy, w województwie lubelskim. Obejmował on 300 kg surowego bursztynu i 30 kg gotowych paciorków bursztynowych. Jak to wyjaśniłem na stronie o mieście Miliczu, w czasach mojej młodości prawdopodobnie zbliżony skarb bursztynowy znaleziony został i w Miliczu. Jednak nigdy nie został on ani oficjalnie zgłoszony władzom, ani naukowo skatalogowany. Jego fragmentami po prostu bawiliśmy się jako małe dzieci, aż uległ on całkowitemu zmarnotrawieniu.

Pomiędzy obu grodziskami, na środku rzeki Odra znajdowały się dwie wyspy, obecnie zwane Ostrów Tumski i Wyspa Piaskowa. Z obu stron rzeki dostępu do owych wysp broniły owe dwa grody. Nic więc dziwnego, że z czasem ludzie zaczęli na nich budować swoje domostwa i zaczątki miasta. Wszakże czuli się tam najbezpieczniej. W ten sposób najpierw zasiedlony został Ostrów Tumski. W 900 roku naszej ery, w takim drewnianym mieście na Ostrowie Tumskim mieszkało już około 2000 ludzi. Miasto to, wówczas zwane "Vratislavia" było już znaczącym ośrodkiem handlowym i rzemieślniczym. Kiedy odbył się Chrzest Polski, ów szeroko znany już wówczas ośrodek został wybrany na siedzibę biskupstwa. Jego znaczenie dodatkowo więc wówczas wzrosło. Wszakże z ośrodka handlowego i rzemieślniczego przekształcił się on dodatkowo w bardzo ważny ośrodek administracji kościelnej. Miasto zaczęło się gwałtownie rozrastać, w późniejszych czasach przenosząc się również i na sąsiednią wyspę Piaskową. Jednocześnie wśród początkowo drewnianej zabudowy Ostrowa Tumskiego pomału zaczęły wyrastać kościoły budowane z cegły. Niektóre z owych kościołów stoją tam do dzisiaj.

#C2. Streszczenie pisanej historii Wrocławia:

Najstarsza pisana wiadomość o Wrocławiu pochodzi z 1000 roku. Utworzono wówczas biskupstwo wrocławskie. W owym czasie Wrocław nazywany był "Vratislavia". Składał się on wtedy z dwóch części, mianowicie z Zamku Biskupa położonego na wyspie przy prawym brzegu rzeki Odra (tuż przy miejscu przeprawy brodowej przez tą rzekę), oraz

z samego miasta zlokalizowanego na tzw. Ostrowie Tumskim (czyli na małej wyspie w środku ówczesnej rzeki Odra, w miejscu przez które przechodziła stara przeprawa w bród przez tą rzekę). Około 1100 roku miasto rozciągnęło się także na sąsiednią Wyspę Piaskową. W 1163 roku zakończona została budowa zamku książęcego i Wrocław został stolicą Księstwa Śląskiego. Zamek książęcy przybudowany został do Zamku Biskupa, tworząc z nim podwójny kompleks obronny. W 1214 roku w dokumencie Henryka Brodatego pojawił się sołtys Wrocławski o nazwisku Godinus. Wrocław funkcjonował więc już jako gmina miejska. W 1242 roku Wrocław otrzymał lokację na prawie niemieckim. W 1335 roku Wrocław wszedł pod panowanie Czech i podzielił losy polityczne Śląska. W 1526 miasto dostało się w panowanie Habsburgów. W 1741 miasto, jak również niemal cały Śląsk włączone zostały do Królestwa Pruskiego. Od 1806 do 1811 roku Wrocław okupują oddziały Napoleona. Na rozkaz Napoleona rozebrane zostają wówczas mury Wrocławia (fosa jednak pozostaje aż do dzisiaj) oraz szeregu podwrocławskich miast, w tym Milicza. Tuż przed drugą wojną światową Wrocław liczył 600 000 mieszkańców. W końcowej części drugiej wojny światowej Niemcy bronili się tutaj przed Armią Czerwoną. Miasto skapitulowało dopiero 7 maja 1945 roku - po 82 dniach oblężenia przez Rosjan. Układ Poczdamski przekazuje Wrocław we władanie Polski. Począwszy od w 1945 roku Wrocław ponownie staje się miastem polskim.

Część #D: Oto kilka ciekawostek o Wrocławiu których NIE podają w oficjalnych przewodnikach:

#D1. Prastara katedra z dwoma wehikułami UFO na czubkach swych wież:

We Wrocławiu znajduje się prastara katedra ufundowana jeszcze w roku 1000 AD przez króla Polski, Bolesława Chrobrego - patrz "Fot. #D1" poniżej. W chwili obecnej liczy więc ona już ponad 1000 lat. Niezwykłą ciekawostką na którą podczas oglądania tej katedry proponowałbym zwrócić szczególną uwagę, są dwa lśniące srebrzyście dyski osadzone na samym czubku iglic obu wież tej katedry. Widać je na owym zdjęciu "Fot. #D1". Dyski te symbolizują bowiem dwa telekinetyczne wehikuły UFO, nazywane również wehikułami UFO drugiej generacji. Do swego napędu wehikuły owe używają ośmiobocznych urządzeń napędowych nazywanych komorami oscylacyjnymi, o których piszę również poniżej w punkcie #D16 tej strony. Owe ośmioboczne urządzenia mają to do siebie, że generują one techniczną wersję telekinezy. Z kolei ową wersję telekinezy wehikuły UFO wykorzystują potem nie tylko dla celów napędowych, ale także do czynienia siebie niewidzialnymi dla ludzkich oczu, do przenikania przez mury, meble i inne obiekty stałe, itp. (Zjawisko które umożliwia wehikułom UFO stawanie się niewidzialnymi dla ludzkich oczu, a także przenikanie przez obiekty stałe, nazywane jest "migotaniem telekinetycznym". Jego szerszy opis zawarty jest w punkcie #C1 na odrębnej stronie internetowej na temat teorii zwanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji.) Kiedy jakiś wehikuł UFO drugiej generacji zawisa dokładnie nad czyjąś głową w stanie widzialnym (tj. po tym jak wyłączy on swój stan telekinetycznego migotania), wówczas osoby patrzące na niego od spodu są w stanie właśnie dostrzec owe ośmioboczne zarysy komór oscylacyjnych osadzonych w pędnikach tych statków. Gdzie dokładnie te pędniki z ośmiobocznymi komorami się znajdują, widoczne to jest relatywnie dobrze na rysunkach magnokraftów - które to magnokrafty faktycznie są ziemskimi odpowiednikami dla wehikułów UFO. Otóż najbardziej fascynujące w owych srebrzystych dyskach z zakończeń iglic wież katedry we Wrocławiu pokazanej na powyższym zdjęciu, jest że jeśli ktoś dobrze się im przyglądnie dokładnie od spodu, wówczas w ich centrum dostrzeże wyraźnie widoczne zarysy ośmiobocznych komór oscylacyjnych. Owe zarysy są więc kolejnym z obiektów istniejących w ziemskich kościołach - a opisanych w punkcie #D16 tej strony, które swoimi kształtami dokładnie imitują kształty podpatrzone przez ludzi na wehikułach UFO.

Fot. #D1: Jest to fotografia Katedry Wrocławia (ufundowanej przez Bolesława Chrobrego w

roku 1000 A.D., a oryginalnie zbudowanej na dzisiaj już nieistniejącej wyspie "Dominsel" z dawnego koryta rzeki Odra). Katedra ta była najważniejszym źródłem potęgi i wzrostu Wrocławia. Proszę zwrócić uwagę na owe dwa srebrzyste dyski imitujące wehikuły UFO drugiej generacji, jakie widoczne są na obu czubkach iglic z wierzchołków obu wież. Powyższe zdjęcie wykonano w lipcu 2004 roku, kiedy to wiek owej katedry przekraczał już 1004 lata.

* * *

Zauważ, że można zobaczyć powiększenie każdej fotografii z niniejszej strony internetowej. W tym celu wystarczy zwyczajnie kliknąć na tą fotografię. Ponadto większość tzw. browser'ów które obecnie są w użyciu, włączając w to popularny "Internet Explorer", pozwala na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększyć, a także gdzie ją można wydrukować za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

#D2. Siedziba biskupa wrocławskiego:

Kiedy Wrocław został siedzibą biskupstwa, rezydujący w nim biskup reprezentował najwyższą lokalną władzę. Stąd najpierw zbudował on sobie ufortyfikowaną siedzibę. Zlokalizował ją na jednej z wysp na Odrze, o dawnej nazwie "Dominsel". Dzisiaj wyspa ta już nie istnieje. W obrębie owej ufortyfikowanej siedziby biskupa, w 1000 roku podjęto budowę Katedry Wrocławskiej. Katedra ta pokazana jest na fotografii "Fot. #D1". Z upływem czasu fortyfikacje wokół siedziby biskupa zniknęły. Zniknęła też odnoga Odry która umiejscawiała tą siedzibę na wyspie. Niemniej sama owa siedziba, a także zbudowana w niej katedra wrocławska, przetrwały do dzisiaj na swym oryginalnym umiejscowieniu. Oczywiście w międzyczasie zostały wielokrotnie przebudowywane i odbudowywane. Ich dzisiejszy wygląd pokazują zdjęcia "Fot. #D1" oraz "Fot. #D2".

Powyższe warto uzupełnić informacją, że biskupi wrocławscy przez cały ten czas odgrywali we Wrocławiu kluczową rolę. Praktycznie to dzięki nim Wrocław jest tym czym jest obecnie. Niemal zawsze też popierali oni przynależność Wrocławia i Śląska do Polski. Szczególnie dobrze jest to widoczne w początkach średniowiecza, kiedy to ich zamki i ich żołnierze bronili orężnie tych ziem przed obcymi najeźdźcami - np. patrz dzieje zamku biskupiego w Miliczu, który przez długi okres czasu bronił zachodniej granicy Polski.

Fot. #D2: Jest to fotografia dzisiejszej siedziby biskupa Wrocławia. (Zjęcie wykonane w lipcu 2004 roku.) Siedziba ta zlokalizowana jest jedynie jakieś 300 metrów na wschód od katedry pokazanej na zdjęciu "Fot. #D1" - i to przy głównej drodze przebiegającej obok owej katedry. Dlatego warto na nią rzucić okiem kiedy oglądnie się już ową katedrę.

W fotografii tej najbardziej warto zwrócić uwagę na jej liczne "rozety", czyli na owe koliste architektoniczne ozdoby jakie upiększają przednią fasadę tego budynku. Faktycznie, to jeśli ktoś przeanalizuje wygląd owych rozet, wówczas się okazuje że wiernie imitują one typowy wygląd wylotu z szesnasto-bocznej komory oscylacyjnej zawartej w pędnikach wehikułów UFO trzeciej generacji (zwanych także wehikułami czasu), oglądanych od spodu przez widza nieobebranego z działaniem napędu tych statków kosmicznych. W tym miejscu powinienem przypomnieć, że zgodnie z opisami przytoczonymi w rozdziale N z tomu 11 mojej najnowszej monografii [1/5], wehikuły UFO trzeciej generacji nazywane są również "wehikułami czasu", ponieważ ich szesnastoboczne komory oscylacyjne są także w stanie dokonywać cofania czasu do tyłu. Podczas swego działania ich szesnastoboczne komory oscylacyjne z pędnika głównego tych statków formują skomplikowane obwody magnetyczne które właśnie widoczne są na zarysach owych rozet pokazanych na powyższym zdjęciu. Stąd owe rozety, jakie od najdawniejszych czasów typowo przyozdabiają frontowe ściany starych kościołów, stanowią jeszcze jeden przykład z gromnej listy obiektów, jakie w kościołach chrześcijańskich imitują kształty podpatrzone w dawnych czasach przez ludzi na wehikułach UFO. W przypadku tych rozet, obiekty z UFO jakie one imitują są faktycznie ogromne fascynujące z punktu widzenia dawnych mieszkańców Ziemi. Wszakże pozwalają one UFOautom na podróże w czasie, a

także na zmianę szybkości upływu czasu. (Szersza lista takich obiektów które w kościołach imitują UFO przytoczona została w punkcie #D16 poniżej.)

#D3. Władze świeckie Wrocławia, czyli Zamek Książęcy:

Wzrost znaczenia Wrocławia spowodował, że z czasem przeniosła się do niego stolica księstwa. Książę zbudował sobie wówczas zamek warowny na byłej wyspie Dominsel, w pobliżu ufortyfikowanej siedziby biskupa wrocławskiego. Zamek ten opisywany jest w 1288 roku, z okazji ufundowania przez tego księcia kościoła Św. Krzyża. Do dzisiaj zamek książęcy już nie istnieje we Wrocławiu. Jedyne co z niego pozostało, to fragment fundamentów jego starych murów obronnych, a także niewielki kościół zamkowy jaki pokazany został na poniższym zdjęciu "Fot. #D3".

Fot. #D3: Powyższy zamkowy kościół Św. Marcina, plus fragment resztek fundamentów murów obronnych tego zamku, są wszystkim co do dzisiaj ostało się po warownym zamku książęcym we Wrocławiu. W pokazanej powyżej, obecnej konstrukcji, kościół Św. Marcina zaczęto budować około 1310 roku. Jednak w jego miejscu istniała drewniana kaplica już w 1149 roku. Kaplicę tą wymienia bowiem potwierdzenie własności wydane przez księcia Bolesława II Kędzierzawego (który potwierdził ją jako posiadłość klasztoru Św. Wincentego - czyli benedyktynów). Powyższe zdjęcie wykonałem w lipcu 2004 roku. Gdyby budowie zamku książęcego we Wrocławiu zachowały się do dzisiaj, zapewne wyglądałyby one w przybliżeniu tak jak te pokazane na fotografii "Fot. #D11" poniżej.

#D4. Średniowieczne studnie zamkowe – sekretne drzwi do wolności:

Dawne zamki warowne miały to do siebie, że w na wypadek oblężenia budowały one liczne podziemne tunele i lochy, z których wyjścia znajdowały się ukryte w lasach wiele kilometrów od danego zamku. Warowny zamek książęcy we Wrocławiu wcale nie mógł być wyjątkiem w tym względzie. Z całą pewnością w różnych kierunkach świata prowadziły od niego liczne tunele podziemne. Sporo z tych tuneli ciągle zapewne znajduje się w stanie używalności nawet jeszcze dzisiaj. Problem jedynie w tym, że obecnie niemal nikt ich nie bada, zaś dostęp do nich został zablokowany.

W średniowiecznych czasach wejście do tuneli podziemnych zwykle ukryte było w studni jaka standardowo znajdowała się na dziedzińcu zamkowym. Nawet do dzisiaj wiele studni zamkowych posiada owe wejścia do podziemnych tuneli. Przykładowo wejścia takie znajdują się w studniach na: (1) zamku wysokim w Malborku (tej z rzeźbą pelikana), (2) zamku w Otmuchowie na południe od Wrocławia - patrz "Fot. #D4" poniżej (od owej studni zamku w Otmuchowie tunele biegną aż do twierdzy w Kłodzku), a także (3) zamku pokrzyżackiego w Gniewie. Faktycznie też każdy stary zamek warowny, w tym zamek we Wrocławiu, niemal jako pewnik musiał posiadać na dziedzińcu taką studnię z wejściem do lochów. Tyle tylko że w dzisiejszych czasach zwykle nie jest już nam wiadomo, gdzie owe studnie się znajdowały.

Fot. #D4: Studnia zamkowa z zamku Otmuchów z Południowej Polski (tj. kilkadziesiąt kilometrów na południe od Wrocławia). . Fotografia wykonana w lipcu 2004 roku. Patrząc do owej studni wyraźnie widać w niej wejście do lochów i podziemi zamkowych. Z kolei owe lochy zawsze posiadały conajmniej jedno wyjście położone w lasach daleko poza obrębem murów zamku i miasta.

#D5. Tajemnicze lochy i tunele pod Wrocławem:

Dla zwykłego przechodnia z ulicy, miasto Wrocław niczym się nie wyróżnia. Tymczasem gdyby ziemia stała się przezroczysta, zapewne wszystkim zatkało by oddech. Pod Wrocławem kryje się bowiem jeszcze jedno tajemnicze miasto, mające formę całego labiryntu podziemnych tuneli. Jak każde średniowieczne miasto, Wrocław miał cały system tuneli kryjących się w jego podziemiach. Tunele te były też naprawiane i utrzymywane w

stanie używalności aż do zakończenia drugiej wojny światowej. Dopiero po drugiej wojnie światowej ludzie stopniowo o tunelach tych niemal całkowicie zapomnieli. Dlatego do dzisiaj zapewne większość z nich popadła w ruinę.

Labirynt podziemnych tuneli pod Wrocławem wywodzi się aż z dwóch źródeł. Pierwszym z nich były potrzeby obronne średniowiecznego miasta Wrocławia, oraz jego warownego zamku. Potrzeby te opisałem już powyżej. Istnieją jednak pod Wrocławem i inne tunele, jakie wcale nie wywodzą się z okresu średniowiecza. Były one budowane jako fragment późniejszych fortów obronnych oraz budowli militarnych broniących dostępu do dawnego Wrocławia. Największa ich liczba związana jest z dzisiejszym "Wzgórzem Partyzantów" (tj. dawnym tzw. "Bastionem Sakwowym"), który przez spory okres czasu stanowił budowlę militarną. Wieści szeptane stwierdzają ponadto, że sporo relatywnie nowych tuneli podziemnych rozchodzi się od wrocławskiego dworca kolejowego, a także od kilku betonowych "bunkrów" porozmieszczanych w różnych miejscach Wrocławia. (Każdy z tych bunkrów posiada aż kilka pięter podziemi.)

Fot. #D5: Wygląd typowego podziemnego tunelu z okresu średniowiecza. Fotografia z lipca 2004 roku. Powyższy tunel dostępny jest dla zwiedzających pod miastem Kłodzko (wejścia do niego znajdują się przy kłodzkim ratuszu oraz pod twierdzą kłodzką). Jednak cały labirynt średniowiecznych tuneli, bardzo podobnych do powyższego, znajduje się również pod Wrocławiem. Tyle że mało kto wie o ich istnieniu. Być może warto jednak rozważyć udostępnienie choćby małego ich fragmentu dla zwiedzających, podobnie jak to uczyniło Kłodzko. Wszakże dostarczyłoby to Wrocławowi dodatkowej atrakcji turystycznej, nie wspominając już o źródle zarobku i utrzymania dla całego szeregu ludzi.

#D6. "Wzgórze Partyzantów", czyli wejście do tuneli pod Wrocławiem:

Średniowieczne miasta posiadały wiele wejść do swoich tuneli podziemnych. Standardowo takie wejścia znajdowały się w podziemiach praktycznie wszystkich średniowiecznych kościołów (np. we Wrocławiu posiadają je podziemia Katedry Św. Elżbiety Węgierskiej przy rynku), a także w podziemiach niemal wszystkich budynków urzędowych (np. ratusza, zbrojowni, zamku, wież obronnych, barbakanów, itp.). Do dzisiaj jednak większość z owych wejść została zamurowana. Niemal jedynym miejscem we Wrocławiu, o którym powszechnie wiadomo, że do dzisiaj posiada ono takie wejście do tuneli podziemnych, to resztki starego fortu obronnego jaki stał przy południowej bramie do miasta. Obecnie była lokacja tego fortu nazywana jest "Wzgórzem Partyzantów".

* * *

Wzgórze Partyzantów w czasach moich studiów - czyli niemal pół wieku temu, było słynne z faktu, że wieczorami i nocami na nim "straszyło". Mówiono wówczas, że po wzgórzu tym buszują duchy średniowiecznych więźniów zamęczonych na śmierć w całym labiryncie katakumb i podziemnych tuneli jakie rozchodzą się pod Wrocławiem właśnie zaczynając się na owym wzgórzu. W chwili obecnej, na podstawie swoich badań UFO, ja osobiście wyjaśniam owo dawne "straszenie" zupełnie inaczej. Mianowicie uważam, że półprzeźroczyste istoty i latające cienie jakie wówczas na wzgórzu tym często widywano, to po prostu UFO-nauci którzy w podziemiach owego wzgórza prawdopodobnie posiadali (i posiadają ciągle do dzisiaj) swoją poziomą bazę, podobną do bazy UFO-nauców która istnieje pod miastem Malbork - po szczegóły owej bazy patrz strona internetowa o Malborku dostępna poprzez "Menu 4". Wnikając do owej bazy, lub z niej się wynurzając, UFO-nauci ci zapewne przypadkowo straszili zakochanych, oraz tych którzy o zmroku zabłąkali się na owo wzgórze. Wszakże używany przez UFO-nauców napęd osobisty nadawał im częściowej lub zupełnej niewidzialności, zamieniając owych UFO-nauców w rodzaje latających cieni, przez ludzi branych za duchy.

Powodem dla jakiego UFO-nauci posiadają na świecie cały szereg "podziemnych baz", jest ich strategia "nieustannego ukrywania się przed ludźmi". Wszakże UFO-nauci to kosmiczni rabusie, złodzieje i bandyci, całkowicie pozbawieni ludzkich uczuć czy zachowań. Chociaż są oni najbliższymi krewniakami ludzi, oraz wyglądają dokładnie jak

ludzie, owi szatańscy krewniacy ludzkości przybywają na Ziemi wyłącznie aby nas rabować z tego co mamy najcenniejsze. Postępując zaś z ludźmi aż tak niemoralnie, UFO-nauci starają się ukrywać przed ludzkością swoją nieustanną obecność oraz niemoralną działalność na Ziemi. Ponieważ jednak UFO-nauci potrzebują mieć pod ręką swoje wehikuly UFO, po przyleceniu na Ziemię ukrywają one te wehikuly w najróżniejszych podziemnych jaskiniach lub piwnicach. Takie zaś duże wehikuly UFO, ukrycie zaparkowane w podziemnych jaskiniach lub obszernych piwnicach, nazywane są właśnie "bazami UFO". UFO-nauci zlatują się bowiem do nich na odpoczynek i po rozkazy swoich przywódców (kiedy np. nie wiedzą co mają czynić dalej). Często też wprowadzają oni ludzi do owych podziemnych baz. Jedną taką dużą komorą ukrytą pod ziemią, w której UFO-nauci "parkują" swoje wehikuly UFO na czas operowania we Wrocławiu, najprawdopodobniej znajduje się właśnie pod Wzgórzem Partyzantów. Innym miejscem w okolicach Wrocławia, w którym zgodnie z lokalnym folklorem również ma się znajdować podobna podziemna baza UFO, to pobliska Góra Ślęza.

W Kuala Lumpur, Malazja, zaważyła się jedna z takich baz UFO zlokalizowanych we wnętrzu góry, ukazując się oczom ludzi. Obecnie jest ona nazywana tam "Batu Cave". Miejscowi wyznawcy Hinduizmu wierzą, że w owej jaskini mieszkał kiedyś Hinduski bóg zwany "Murunga". Gigantyczna rzeźba owego "boga" obecnie stoi wzniesiona przy wejściu do owej jaskini. Kiedy ktoś na nią patrzy, szokuje go podobieństwo owej istoty do załóg wehikułów UFO. Dla przykładu, posiada on parat oddechowy z wysoce charakterystycznymi rurami. Fotografia fragmentu owej Batu Cave, który sugeruje jej technologiczne pochodzenie, pokazany został na stronie internetowej o Nowej Zelandii.

Folklor Nowozelandzkich Maorysów wskazuje aż kilka lokacji w Nowej Zelandii gdzie mają się znajdować właśnie takie podziemne bazy UFO. Ja badałem relatywnie dokładnie owe miejsca, aby wykryć ich cechy wspólne które pozwoliłyby na ich identyfikowanie. Jedną z takich cech okazuje się być, że ponad komorą podziemną w której ukrywają się wehikuly UFO, nieustannie wykładane są kręgi magnetycznie spalonej roślinności. W rozdziale V z tomu 17 monografii [1/5], a także na stronach internetowych dowody działań UFO na Ziemi, 26ty dzień, oraz Milicz, kręgi takie opisywane są pod nazwą "ładowiska UFO" oraz "kręgi zbożowe". To zaś oznacza, że słynne "kręgi zbożowe" z Anglii, a także podobne kręgi z polskiego Wylatowa, to niemal z całą pewnością miejsca w których wehikuly UFO powtarzalnie wykładają i magnetycznie wypalają zboże w trakcie swojego wnikania pod ziemię w celu ukrycia się przed ludźmi w zawartych pod owym miejscem jaskiniach.

Ciekawostką na którą warto zwrócić w tym miejscu uwagę czytelnika, jest że właśnie koło miejsca z Wylatowa, gdzie powtarzalnie formowane są owe kręgi zbożowe, udało się komuś sfotografować całą eskadrę UFO-nauców nurkujących pod ziemię z głowami skierowanymi w dół. Zdjęcie owej eskadry nurkujących UFO-nauców pokazane zostało jako "Fot. 9b" (a także "Fot. 9c") na odrębnej stronie internetowej o kosmitach. Warto oglądnąć sobie owo zdjęcie, bowiem jestem gotów się założyć, że podobne zdjęcia przypadkowo wykonywane są również we Wrocławiu w pobliżu Wzgórza Partyzantów. Tyle tylko, że nie wiedząc iż prezentują one eskadry nurkujących UFO-nauców, ich wykonawcy zapewne je wyrzucają wierząc że są to "poruszone zdjęcia".

Jeszcze wyraźniejsze zdjęcie UFO-naucy, który też nurkuje głową w dół do takiej podziemnej bazy UFO umiejscowionej w podziemiach zamku w Malborku, pokazane zostało jako zdjęcie "Fot. #B2" na stronie internetowej o Malborku. Warto tam zwrócić uwagę na niewielki wzrost owego UFO-naucy, oraz na fakt że wiruje on podczas lotu. Taki mały wzrost czyni go podobnym do owego "diabła" z poematu Adama Mickiewicza "Pani Twardowska". (W przeszłości ludzie nazywali "diabłami" istoty które dzisiaj nazywamy "UFO-naucami".)

Parkowanie wehikułów UFO w komorach dużych podziemnych jaskiń jest tylko jednym z całego szeregu najróżniejszych sposobów na jakie ci kosmiczni bandyci - w dzisiejszych czasach zwani "UFO-naucami", zaś dawniej okreśłani mianem "diabły", ukrywają przed ludźmi swoją nieustanną obecność i nieczne działania na Ziemi. Innym,

niemal tak samo częstym sposobem ukrywania się tych istot przed ludźmi jest podmienianie upodobnionego do kogoś UFO nauty za danego człowieka. Tacy podmienieni za ludzi UFO nautci w dawnych czasach nazywani byli podmieńcami. Z kolei odmiennym sposobem ukrywania przez UFO nautów swoich wehikułów jest ich otaczanie technicznie uformowanymi chmurami lub mgłą. Takie "UFO-chmury" wykazują cały szereg interesujących atrybutów które opisane są dokładniej na odrębnej stronie internetowej o "chmurach-UFO" dostępnej za pośrednictwem "Menu 2". Przykładowo, wszystkie inne chmury wokół nich nieustannie dryftują unoszone wiatrem, te zaś chmury stoją w jednym miejscu jakby zostały tam zakotwiczone. Po pewnym zaś czasie zamiast odpłynąć w dal jak inne chmury, po prostu rozplývają się w nicłość i znikają z widoku. Ponadto mają one przybliżony kształt UFO. Proponuję więc aby zajrzeć także i na ową stronę o chmurach-UFO.

Fot. #D6: "Wzgórze Partyzantów" we Wrocławiu (kiedyś tzw. Bastion Sakwowy). To pod nim (zgodnie z lokalnym folklorem) do dzisiaj zachowały się wejścia do podziemnych tuneli Wrocławia. Wejścia te mają zaczynać się na metalowych drzwiach, na powyższym zdjęciu widocznych po lewej stronie, tuż pod widocznym tam drzewem. Odnotuj, że schody widoczne powyżej po prawej stronie zdjęcia, w zbliżeniu pokazane są na zdjęciu "Fot. #D21".

Ciekawostką pokazanego powyżej "Wzgórza Partyzantów" jest, że w czasach mojego zamieszkiwania we Wrocławiu szeptało się wiele o zaobserwowaniu na nim dziwnych, częściowo przeźroczystych, ludzko-kształtnych istot, a także latających w powietrzu cieni w kształcie figur ludzkich. Jak owe istoty i cienie wyglądały, dosyć dobrze ilustruje to następane zdjęcie "Fot. #D7".

#D7. Zamurowanie żywcem jako przykład średniowiecznego potraktowania:

W średniowieczu jedna z popularniejszych metod uśmiercania polegała na zamurowywaniu żywcem lub wrzucaniu żywych ludzi do bezokiennej wieży w której jedyny istniejący otwór znajdował się w suficie. Najlepszym przykładem takiej wieży w której zginęło dosłownie setki ludzi, jest słynna "wieża głodowa" w Paczkowie. Zdjęcie owej "wieży głodowej" z Paczkowa pokazane zostało na "Fot. #D6(b)" ze strony internetowej milicz.htm - o mieście Miliczu, oraz powtórzone jako "Fot. T1" z [10]. (Paczków jest małym miasteczkiem w południowej Polsce, położonym kilkadziesiąt kilometrów na południe od Wrocławia.) Owa średniowieczna wieża z Paczkowa pozostawała zamurowana do około lat 1950-tych, kiedy to miejscowe władze miejskie postanowiły przebić ją aby poprowadzić przez nią chodnik. Po przebicciu okazało się, że cała objętość tej wieży zajmowała bezokienna komora z maleńkim włazem w suficie. Komorę tą zaś zapełniały dosłownie setki ludzkich szkieletów zalegających ją na wysokość kilku metrów. Okazało się, że średniowieczne władze Paczkowa, wrzucały do tej wieży przez owo okienko w suficie każdego kto im jakoś podpadł. Po wrzuceniu zaś do wieży ludzie ci po prostu umierali z głodu, pragnienia i braku światła. Oczywiście, inne średniowieczne miasta wcale nie były lepsze. Przykładowo, w podziemiach miasta Kłodzka wyeksponowana jest zwiedzającym cela więzienna z kościotrupem. (Jej zdjęcie można zobaczyć na "Fot. 5c" ze strony o Miliczu.) W celi tej uwięziono kogoś, poczym zapomniano go karmić czy uwolnić.

Cele podobne do tej z katedry w Kwidzynie, "wieży głodowej" w Paczkowie, czy podziemiach Kłodzka, czyli przeznaczone dla grzebania czy zamurowywania ludzi żywcem, istniały również w podziemiach warownego zamku z Wrocławia, oraz w podziemiach średniowiecznego Wrocławia. Tyle tylko, że ludzie którzy w nich umierali nie zwrócili niczym na siebie uwagi społeczeństwa. Dlatego obecnie nikt nie wie o ich losie.

Fot. #D7 (E4 z [10]): Oto zdjęcie które zdołało utrwalić kogoś jedynie częściowo widzialnego od pasa do ziemi, a zupełnie niewidzialnego od pasa w górę. Ktoś ten został utrwalony jak przechodzi z "normalną długością kroku" przez ulicę pomiędzy obiektywem

aparatu a taksówką stojącą przy krawężniku jezdni. (Dla lepszego oglądnięcia tego zdjęcia kliknij na nie aby je powiększyć.)

Zdjęcie to ilustruje relatywnie dobrze jak wyglądały owe częściowo przezroczyste figury ludzkie, oraz latające w powietrzu jakby-cienie ludzkie, które w czasach mojego zamieszkania we Wrocławiu relatywnie często widywane były na Wzgórzu Partyzantów. Zapewne widywane też są one tam i do dzisiaj. Tyle że "nowocześni" ludzie, którzy dzisiaj je zaobserwują, prawdopodobnie interpretują je zgodnie z dzisiejszą atmosferą intelektualną - która "potępia" przecież wszystko co tajemnicze i "wyjaśniania" to co niewyjaśnione jako "ludzkie przywidzenia".

Powyższe zdjęcie wykonane zostało aparatem cyfrowym w Miami na Florydzie (USA). Z osobą która je wykonała można się skontaktować pod adresem emailowym nes11@op.pl. Fotografujący twierdzi, że nie ma tu możliwości podwójnego naświetlania tej samej klatki. Zdjęcie robione było przy rozdzielczości 1MGP i wyłączonej lampie błyskowej. Czas naświetlania aparat ustawiał automatycznie - fotografujący twierdzi że mogło to być około 0.5 - 1 sekundy. Z doświadczenia wie on też, że przy dłuższym czasie naświetlania, zdjęcia robione "z ręki" są już wyraźnie poruszone - powyższe zaś nie wykazuje poruszenia. Widoczna na zdjęciu taksówka była nieruchoma - obok niej były drzwi do hotelu.

Najbardziej na powyższym zdjęciu zastanawia brak widoczności utrwalonej na nim istoty od pasa powyżej. Wiadomo bowiem, że jedna z wersji napędu osobistego używanego przez UFOonautów posiada pędniki umieszczone w pasie i w epoletach. Wersja owego napędu może właśnie nadać używającemu jej UFOnaucie niewidzialności wzrokowej od pasa w górę - po szczegóły warto zaglądać do opisów takiego napędu osobistego zawartych w podrozdziałach E2 i R5 z (odpowiednio) tomów 2 i 15 mojej najnowszej monografii [1/5], a także skrótowo omówionych na stronach internetowych o wsi Wszewilki, oraz o komorze oscylacyjnej. W monografii [1/5], szczególnie zaś w jej podrozdziale LC3 z tomu 10, wyjaśniono również, że wehikuły UFO oraz indywidualni UFOnauci używający napędu osobistego, są w stanie przenikać przez obiekty stałe (takiej jak skały, glebę, mury, okna, meble, itp.) bez uczynienia szkody sobie ani tym obiektom stałym. (Zasada na jakiej owo przenikanie UFOonautów przez materię stałą się odbywa, zwana "migotaniem telekinetycznym" opisana została na odrębnej stronie internetowej o koncepcie Dipolarnej Grawitacji.) To zaś oznacza, że zarówno całe wehikuły UFO, jak i indywidualni UFOnauci, są w stanie bez trudności wnikać do podziemi Wzgórza Partyzantów, aby tam ukrywać się przed wzrokiem ludzi. Innym zastanawiającym elementem powyższego zdjęcia są owe typowe, dzisiejsze buty, jakie posiada sfotografowana istota. Jeśli więc istota owa jest UFOonautą, owe typowe ludzkie buty typu "adidasy" mają wartość dowodu, że jej zamiarem jest mieszanie się z tłumem ludzi i wyglądanie jak każdy mieszkaniec Ziemi. Dlaczego zaś UFOnauci po złodziejsku ukrywają przed ludźmi swoje kosmiczne pochodzenie i udają ludzi, wyjaśnione to zostało dokładniej na stronach zło, podmieńcy, 26ty dzień, oraz ludobójcy dostępnych poprzez "Menu 2".

#D8. Ulice dawnego Wrocławia:

Stary Wrocław posiadał bardzo wąskie uliczki.

Fot. #D8: Najstarsza uliczka Wrocławia, nazywana "Jatki". (Zdjęcie wykonane w lipcu 2004 roku.)

#D9. Wrocławski rynek:

Centrum miasta Wrocławia zajmuje jego okazały rynek. Rynek ten posiadał wygląd kwadratu, który był typowy dla średniowiecznych miast polskich. Mniejsze placówki znajdowały się w każdym jego narożniku. (Dwa z owych mniejszych placów istnieją przy wrocławskim rynku aż do dzisiaj.)

Ratusz Wrocławia jest jednym z najbardziej okazałych starych budynków owego miasta. Jak w każdym średniowiecznym mieście, ratusz zajmował w nim centrum rynku. Z

kolei rynek we Wrocławiu był centralnym placem tego miasta, położonym w przybliżeniu w tej samej odległości od każdej z czterech bram tego miasta.

Fot. #D9: Ratusz Wrocławia. Wrocławski Ratusz zaliczany jest do najwspanialszych budowli gotyckich w Europie. Warto odnotować, że jednym z burmistrzów miasta Wrocławia - którego portret podobno ciągle wisi do dzisiaj w galerii portretowej powyższego ratusza, był polski autochton i właściciel wsi Kolenda koło Milicza, o nazwisku "Graf Haupfman Nietzsche von Kolande". Ostatni potomek tamtego burmistrza Wrocławia, czyli autochton uważający siebie za Polaka, a jednocześnie dobry przyjaciel moich przodków po kądzieli, został prawdopodobnie celowo zamordowany w 1945 roku zaraz po wyzwoleniu - tak jak posądzenie o jego zamordowaniu jest opisane w punkcie #G1 strony o nazwie bitwa_o_milicz.htm, zaś nakaz mordowania wszystkich tych którzy NIE wykonali rozkazu Hitlera i NIE uciekli w głąb Niemiec, jest wzmiankowany w punkcie #C1 tamtej strony bitwa_o_milicz.htm. (Zdjęcie wykonane w lipcu 2004 roku.)

#D10. Bramy Wrocławia:

Miasto Wrocław posiadało cztery ufortyfikowane bramy, zwrocione w cztery strony świata. Bramy te posiadały swoje nazwy. Przykładowo brama miejska od południa nosiła nazwę Bramy Mikołajskiej, natomiast brama miejska od wschodu nosiła nazwę Bramy Oławskiej.

Fot. #D10: Podobizna (rzeźba) jednego z dwóch lwów, które kiedyś zdobiły szczyt fortyfikacji przy bramie zachodniej Wrocławia. Owa brama broniona kiedyś była rodzajami barbakanów, które przyozdobione były rzeźbami lwów. Kiedy mury obronne Wrocławia zostały rozebrane, owe stare lwy pozostawiono dla ozdoby w pobliżu miejsca ich oryginalnego ustawienia. Z czasem jednak zastąpiono je powyższymi bardziej artystycznymi rzeźbami lwów i Herkulesa, jakie do dzisiaj przyozdabiają miejsce w pobliżu którego kiedyś owa Brama Zachodnia stała.

Jak faktycznie wyglądały owe oryginalne lwy z zachodnich barbakanów Wrocławia, do dzisiaj można to zobaczyć w pobliskim miasteczku Miliczu. Na południowej bowiem bramie średniowiecznego Milicza, kiedyś zwanej właśnie "Bramą Wrocławską", w dawnych czasach znajdowała się dokładna kopia owych lwów z Wrocławia. Kopia ta przetrwała do dzisiaj. Można ją oglądać w Miliczu. Jej zdjęcie pokazane zostało na "Fot. #D4" strony internetowej o wsi Wszewilki.

#D11. Mury obronne wokół Wrocławia:

Wrocław był kiedyś słynny ze swoich potężnych murów obronnych. Mury te były wykonane z cegły. Stąd wyglądały one w przybliżeniu jak mury pokrzyżackiego zamku z Malborka pokazane na fotografii poniżej. Niestety, Napoleon Bonaparte, po (pokojowym) wkroczeniu do Wrocławia w 1807 roku, nakazał rozebranie owych murów. Jednocześnie z murami Wrocławia rozebrane także zostały wówczas z jego nakazu mury obronne podwrocławskiego miasta Milicza, które to miasto również w owym czasie też okupowane było przez wojska Napoleona. Więcej ciekawostek na temat murów Milicza spisanych zostało na odrębnej stronie internetowej o owym miasteczku Miliczu, oraz o leżącej w jego pobliżu podmilickiej wsi Wszewilki.

* * *

Na temat powodów dla jakich Napoleon nakazał rozebranie murów obronnych Wrocławia słyszałem kiedyś dosyć anegdotyczną historyjkę. Oczywiście, nie będąc historykiem nie jestem w stanie ocenić na ile jest ona prawdziwa. Przytaczam więc ją tutaj na zasadzie ciekawostki, bez wnikania w to czy jest ona historycznym raportem z prawdziwego zdarzenia, czy też jedynie zmyśloną przez kogoś anegdotą. Oto ona:

Kiedy Napoleon wkroczył do Wrocławia, wezwał do siebie burmistrza owego miasta i nakazał mu wyjaśnić "dlaczego na jego powitanie nie bito z armat?" W odpowiedzi

na owo zapytanie burmistrz Wrocławia natychmiast wygłosił długie przemówienie do Napoleona. W przemówieniu tym skrupulatnie wyjaśnił 12 istotnych powodów dla których miasto nie biło z armat na powitanie tak znamienitego gościa. Ostatni z tych 12 istotnych powodów brzmiał "ponieważ we Wrocławiu nie mamy armat". Napoleon wziął sobie do serca owo przemówienie, ponieważ zaczął posądzać że burmistrz miasta Wrocławia w sposób wysoce dyplomatyczny i dobrze ukryty pokpiwa sobie zwyczajnie z jego "wojskowej inteligencji". Dla wyrównania więc rachunków i dla pokazania kto tu naprawdę rządzi, Napoleon nakazał aby zburzono mury Wrocławia, a także aby zburzono mury sprzymierzonego z Wrocławiem miasta Milicza. Pozostawił też na utrzymaniu miasta swój wojskowy garnizon okupacyjny, rzekomo w celu dopilnowania, że zburzenie tych murów zostało ściśle zrealizowane. Tak jednak jakoś się składało, że garnizon ów podobno obejmował największych pijaków, najzawziętszych kobieciarzy, najbardziej impulsywnych zabijaków, oraz najmocniejszych żarłoków, z całej armii Napoleona.

Fot. #D11 (C5 z [10]): Oto jak zapewne wyglądały mury obronne Wrocławia. Ułożone one były głównie z cegły, chociaż miejscami posiadały wstawki z kamieni i głazów narzutowych. Najprawdopodobniej sięgały około 10 metrów wysokości. Musiały wszakże chronić pobliskie budynki aż do dachów. Co jakiś też czas posiadały wbudowane w siebie baszty obronne, podobne do baszt z powyższej fotografii. Powyższe zdjęcie ukazuje wprawdzie przykład średniowiecznych murów obronnych zamku pokrzyżackiego w Malborku. Niemniej mury miasta Wrocławia z całą pewnością były do nich bardzo podobne.

Na powyższym zdjęciu warto też zwrócić uwagę na tzw. "bramę wodną" stojącą w owych murach w pobliżu centrum zdjęcia. Nad ową bowiem bramą umieszczona jest rzeźba żaby, nieco podobnej do tej pokazanej na zdjęciu "Fot. #D19" poniżej. (Żabę tą widać na powyższym zdjęciu "bramy wodnej" w samym jej centrum. Jest nią ów szary najwyższy czubek stożkowego piedestału na jakim ją postawiono, wyraźnie się odbijający od zielonego koloru drzew które rosną poza tą bramą. W zbliżeniu ta sama żaba pokazana jest na zdjęciu "Fot. #D26" ze strony internetowej o mieście Miliczu.) Owa żaba stanowiła jeden z dwóch najważniejszych symboli jakie wyznaczały polaryzację zamku w Malborku zgodnie z zasadami chińskiego "Feng Shui". Drugim symbolem jest figura Matki Boskiej.

#D12. Skarby Wrocławia i jego okolic:

Oczywiście każde miasto posiada swoje opowieści i legendy o ukrytych skarbach. Wrocław nie jest w tym względzie wyjątkiem. W czasach swojej młodości nasłuchiwałem się sporo owych opowieści. Na ile są one prawdą, tego mi nie wiadomo. Niemniej powtórzę tutaj niektóre z nich. Wszakże stanowią one kolejną ciekawostkę folkloru Wrocławia.

Depozyt Banku Wrocławia. W trudnych czasach drugiej wojny światowej, kiedy bombardowania alianckie bez przerwy zagrażały każdemu mieszkańcowi Niemiec, jeśli ktoś z obywateli miał coś cennego, oddawał to w depozyt do rządowego banku. Wszakże odpowiedzialność za ów depozyt przejmował rząd, który zobowiązał się go chronić wszelkimi dostępnymi mu siłami i środkami. Z uwagi na liczbę mieszkańców Wrocławia, miejscowy bank rządowy zgromadził relatywnie duży depozyt kosztowności oddanych mu na przechowanie. Kiedy bowiem w ostatnich dniach drugiej wojny światowej załadowano ów depozyt na ciężarówki aby go wywieźć poza zasięg okrążających miasto wojsk radzieckich, kosztowności te wypełniły aż kilka ciężarówek. Co z nimi się stało po wywiezieniu z Wrocławia tego dotychczas nikt mi nie potrafił powiedzieć z całą stanowczością.

Skarb z wieży w Strzelinie. Kiedyś odwiedziłem miejscowość Strzelin pod Wrocławiem. Przypadkowo usłyszałem wówczas historię tamtejszego skarbu. Zaraz po wojnie na środku rynku w Strzelinie stała wypalona pożarem wieża. Wyglądała ona jakby za chwilę miała się zawalić. Nikt więc jej nie odwiedzał. Jednak pewnego dnia uczeń miejscowej szkoły wybrał się na wagary i aby ukryć swoją obecność przed tymi co mogli go rozpoznać, wszedł właśnie do owej wieży. W jej środku znalazł pomieszczenie całe

wypełnione złotem i klejnotami. Kiedy natychmiast po tym rząd komunistycznej Polski przysłał ciężarówki aby zabrały ów skarb, było go tak dużo, że wypełnił on aż kilka ciężarówek. Co z nim się stało po przejściu przez rząd, mieszkańcy Strzelina nie potrafili mi powiedzieć - krążyły wśród nich plotki że był on przekierowany do prywatnych kieszeni. Pytanie jednak jakie mnie osobiście zawsze nurtowało, to czy ów skarb znaleziony we wieży w Strzelinie był tym samym skarbem, który w ostatnich dniach wojny wywieziono z Banku Wrocławia.

Fot. #D12: Szkoła z Placu Muzealnego, która faktycznie stoi na miejscu przedwojennego muzeum Wrocławia. To właśnie podczas rozbierania fundamentów tamtego muzeum odkryto wśród nich skarb w postaci jakiegoś zbiornika ze złotymi monetami. Zanim władze dowiedziały się o owym skarbie i zdołały zabezpieczyć miejsce jego znalezienia, cały skarb tajemniczo zniknął.

#D13. Rzeka Odra:

Wrocław leży nad rzeką Odrą, która na jego obszarze rozplywa się na cały szereg odnóg, a ponadto posiada we Wrocławiu cały labirynt naróżniejszych kanałów żeglugowych. Stąd Wrocław słynie też ze swoich mostów. Faktycznie to nawet nazywany jest czasami "Wenecją Północy" lub "polską Wenecją". Wszakże w jego obrębie istnieje aż 12 wysp na Odrze i 112 mostów.

Fot. #D13: Rzeka Odra. Pokazany jest tzw. Most Grunwaldzki. Zdjęcie wykonane w lipcu 2004 roku. Most ten wykonany został bardzo starą techniką "nitowania" owych długich niby lin podwieszających na jakich cały ten most jest zawieszony, z szeregu krótkich płyt-taśm stalowych. W czasach kiedy był on budowany, był on najdłuższym nitowanym mostem wiszącym na świecie. Zresztą również i w chwili obecnej zapewne pozostaje on jednym z najdłuższych mostów wiszących na świecie - w których elementy nośne na jakich cały most jest zawieszony spojone są właśnie nitami. Ja zresztą dosyć sporo podróżowałem po świecie i muszę się przyznać, że nigdzie nie widziałem mostu nitowanego który byłby jednocześnie mostem wiszącym - jak powyższy. (Istnieje wprawdzie wiele mostów wiszących na świecie, jednak jako żelazna reguła praktycznie zawsze zawieszane są one na stalowych linach.) Faktycznie więc powyższy most najprawdopodobniej obecnie stanowi już rodzaj unikat na skalę światową.

#D14. "Pola bitew koło Wrocławia:

Okolice Wrocławia były miejscami wielu znaczących bitew w historii Polski i tych ziem. Największa z tych bitew miała miejsce na pobliskim "Psim Polu" kiedyś leżącym pod Wrocławiem, które jednak obecnie stało się jedną z dzielnic Wrocławia.

#D15. Cmentarz żołnierzy radzieckich:

Wrocław posiada wiele starych cmentarzy. Najbardziej wymowny z nich jest cmentarz żołnierzy radzieckich. Zginęli oni po to, aby Wrocław mógł być tym czym jest obecnie. Ciekawe ilu z nas pamięta o owym fakcie, jest świadomym czym i gdzie byłiby gdyby nie śmierć owych (i innych im podobnych) żołnierzy, oraz okazuje wdzięczność tym oswobodzicielom poprzez położenie czasami symbolicznego kwiatka na grobie któregoś z nich, lub mówienie jakiejś modlitwy na ich intencję. Pamiętać wszakże musimy, że żaden z owych żołnierzy nie miał wyboru ani gdzie i kiedy się urodzi, ani kto ma być przywódcą jego kraju, ani gdzie i kiedy przyjdzie mu zginąć. Każdy więc z nas mógł, oraz ciągle może, znaleźć się w jego położeniu.

Fot. #D15: Cmentarz żołnierzy radzieckich we Wrocławiu. Tysiące tych żołnierzy poległo podczas wyzwania Wrocławia.

#D16. Kopiowanie wnętrza wehikułów UFO przez wrocławskie kościoły:

Jak to wykazują badania UFO, wyposażenie i elementy architektoniczne niemal każdego starego kościoła na Ziemi zamodelowane zostały na kształt wyposażenia i konstrukcji wehikułów UFO. Szczególnie dobrze jest to widoczne w starych kościołach, takich jak np. kościoły istniejące we Wrocławiu. Jedynie nowoczesne kościoły budowane już w dzisiejszych czasach, z powodów jakich można się domyślić, gwałtownie ostatnio odchodzą od tej zasady imitowania sobą wnętrza i wyposażenia UFO. Każdy też szczegół konstrukcji i wyposażenia starych kościołów, modelowany jest na wzór wyglądu i wyposażenia wehikułów UFO. Oto wykaz najważniejszych składowych każdego starego kościoła, jakich wygląd imituje odpowiednie składowe wehikułów UFO:

1. Ołtarze. Te imitowały kiedyś urządzenia sterownicze używane do kierowania lotem UFO. Faktycznie to dzisiejsi uprowadzeni do wnętrza wehikułów UFO raportują, że w UFO średniej wielkości, tj. typów od około K5 do K7, na obrzeżu kolumny centralnej z pędnikiem głównym danego wehikułu znajduje się panel z urządzeniami sterującymi i lampkami kontrolnymi, który to panel wygląda niemal dokładnie tak jak kiedyś wyglądały ołtarze w dawnych kościołach. Nic dziwnego że w związku z coraz szerzej upowszechnianą obecnie wiedzą jak wygląda wnętrze UFO, tzw. UFO-nauci-podmieńcy operujący skrycie na Ziemi m.in. w rankach kościoła, spowodowali że owe wymowne stare ołtarze pousuwane zostały niedawno dyskretnie z ziemskich kościołów. Wszakże dostarczały one ludziom skojarzeń które zaczęły być zbyt niebezpieczne dla szatańskich UFO-nauców którzy od tysiącleci okupują skrycie naszą planetę.

2. Konfesje (Słowo "konfesja" znaczy "grób wyznawcy".) W niektórych kościołach chrześcijańskich istnieją niezwykle obiekty które umieszczane są pod kopułą główną kościoła. Nazywają się one "konfesje". Najokazalsza z nich znajduje się w Bazylice Św. Piotra w Rzymie. W Polsce dwie najbardziej znane z takich "konfesji" znajdują się w katedrach gnieźnieńskiej i krakowskiej. Ja osobiście w 1991 roku oglądałem jedną z nich w starym kościele z Warszawy zlokalizowanym w pobliżu pałacu prezydenta. Nie sfotografowałem jej jednak wówczas. Kiedy zaś ponownie szukałem tego kościoła w 2004 roku, nie mogłem już go tam znaleźć. Jeśli ktoś jest zaznajomiony z raportami osób uprowadzonych do wnętrza UFO, wówczas jest świadom, że owe "konfesje" wiernie imitują pędnik główny z wehikułów UFO typu K5. Centralnym obiektem takich konfesji jest bowiem prostokątna biała lub srebrzysta skrzynia, która zwykle stanowi trumnę dla jakiegoś znakomitego świętego (np. Św. Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej). Skrzynia owa imituje swoim kształtem centralną tzw. "komorę oscylacyjną" pierwszej generacji - czyli urządzenie napędowe z pędnika głównego UFO. (Po szczegóły budowy wehikułów UFO pierwszej generacji - patrz strona internetowa o "magnokraftach", które są ziemską wersją UFO, a stąd które mają identyczną konstrukcję i zlokalizowanie pędników jak UFO.) Użycie tej prostokątnej skrzyni w charakterze trumny też nie jest przypadkowe. Powodem jest, że w wehikułach UFO wokół owej centralnej komory oscylacyjnej zwykle przechowywane są zwłoki ludzi którzy przypadkowo zostali zabici przez UFO-nauców. Pole bowiem z owego pędnika zabezpiecza te zwłoki przed psuciem się i wydzielaniem smrodu rozkładu. Po opisy takich właśnie "cmentarzy" z wnętrza UFO - patrz podrozdział P6.1 z tomu 14 mojej najnowszej monografii [1/5]. Wokół owego białego obiektu (trumny) każdej konfesji, umieszczone są cztery "poskręcane" kolumny. Kolumny owe imitują cztery poskręcane obwody magnetyczne opuszczające komorę oscylacyjną z pędnika głównego UFO typu K5. W końcu nad każdym konfesjałem rozpostarty jest rodzaj kopulastego "baldachimu" ze złotymi iskierkami. Ów baldachim imituje kopułę górną wehikułu UFO na której iskierki wzbudzone są przez pole magnetyczne generowane przez centralną komorę oscylacyjną tego UFO. "Konfesje" należy odróżniać od "konfesjonatów", które także zwykle swoim kształtem imitują pędniki główne z wehikułów UFO małego typu (tj. typu K3 lub K4). Konfesjały często sporządzane są jako ozdobne miniaturki opisanych poprzednio "konfesji".

3. Kolumnady. Dawne kościoły zawsze musiały mieć kolumnadę w swoim wnętrzu - i to nawet kiedy kolumnady takiej wcale nie było im potrzeba z powodów wytrzymałościowych czy konstrukcyjnych. Powodem ich obecności było, że kolumnady

takie imitowały słupy pola magnetycznego wydzielanego przez pędniki boczne każdego UFO. Wysoce symboliczne w owych kościołach było również rozmieszczanie owych kolumnad na obwodach dawnych kościołów. Powodem było, że w wehikułach UFO pędniki boczne które wydziałają owe słupy pola imitowane przez te kolumnady, zawsze są rozlokowane naokoło obwodu wehikułów UFO - po szczegóły patrz opis konstrukcji magnokraftów.

4. Chrzcielnice. Te imitują tzw. "komory oscylacyjne" w UFO drugiej generacji. Komory owe to najważniejsze urządzenia napędowe z owych wehikułów UFO. Nawet dzisiaj ogromnie fascynują one każdego uprowadzonego na pokład UFO. Po więcej szczegółów patrz podpis pod rysunkiem "Fot. #D16" poniżej.

Najwyższe jednak podobieństwo do UFO wykazuje ogólny kształt starych kościołów, oraz zagospodarowanie i wygląd ich wnętrza. I tak większość starych kościołów ma przynajmniej jedną kopułę, jaka imituje kopułę centralną w konstrukcji UFO. Wokół obrzeży tych starych kościołów zawsze obiega też jakaś kolumnada, jaka imituje pierścień kolumn z pędnikami bocznymi które rzucają się w oczy każdemu przebywającemu we wnętrzu UFO. Nawet zarysy owych kolumn zawsze imitują słupy pola magnetycznego przenikającego przez pędniki boczne UFO. Niemal każdy stary kościół miał też wieże z bulwiastymi wierzchołkami. Te wieże imitują cygara sprzężone z UFO mniejszego typu doczepiane do pędników UFO większego typu. Więcej informacji na temat podobieństwa starych kościołów do UFO, znaleźć można w podrozdziale P6.1 z tomu 14 monografii [1/5].

W podobny sposób jak czynią to świątynie chrześcijańskie, wehikuły UFO imitowane są również przez świątynie muzułmańskie (meczety). Szczególnie dobrze to widać w Istambule, gdzie niemal każda z tamtejszych świątyń przypomina latający system sprzęgnięty z całego szeregu wehikułów UFO.

* * *

Zależnie od tzw. "generacji UFO", jaka z kolei zależy od poziomu zaawansowania technicznego cywilizacji która zbudowała dany wehikuł UFO, ich tzw. komory oscylacyjne przyjmują tylko jeden z trzech możliwych kształtów. (Odnotuj, że zgodnie z opisami rozdziału F w tomie 2 monografii [1/5], owe "komory oscylacyjne" UFO, to po prostu najważniejsze urządzenia napędowe owych wehikułów latających. Z operacyjnego punktu widzenia są to po prostu potężne "magnesy". Dla UFO owe komory oscylacyjne są tym samym co "silniki" są dla dzisiejszych samochodów.) Wszystkie trzy możliwe kształty komór oscylacyjnych UFO zilustrowane są na rysunku F3 z mojej najnowszej monografii [1/5]. Kształty te, to rodzaje komór lub słupów równoległościennych, których przekrój poziomy przyjmuje jedną z następujących trzech zasadniczych kształtów: (1) kwadratowy - dla UFO pierwszej generacji zwanych także wehikułami magnetycznymi, (2) ośmioboczny - dla UFO drugiej generacji zwanych także wehikułami telekinetycznymi, lub (3) szesnastoboczny - dla UFO trzeciej generacji zwanych także wehikułami czasu. W wehikułach UFO komory te lub słupy zawsze też stoją ze swoją osią centralną umieszczoną pionowo. Stąd owe trzy zasadnicze kształty zawsze występują w ich przekroju poziomym.

Co najbardziej szokuje w wyposażeniu wnętrza starych kościołów (w tym kościołów Wrocławia), to że wszystko co w nich zawarte również posiada kształty które dokładnie odzwierciedlają owe trzy możliwe kształty komór oscylacyjnych UFO. Stąd w starych kościołach najczęściej wszystko jest równoległościennym o przekroju ośmiobocznym - jako przykład patrz obiekt pokazany na zdjęciu z "Fot. #D16". Faktycznie też we większości kościołów o wieku ponad 500 lat nawet kolumny mają przekrój ośmioboczny - jako przykład takich ośmiobocznych kolumn kościelnych patrz zdjęcie z "Fot. 19" ze strony o mieście Miliczu. We wszystkim też ze starych kościołów, ów przekrój zarysowuje się w przekroju poziomym - czyli w dokładnie tym samym przekroju, co w komorach oscylacyjnych UFO. Jeśli zaś coś nie jest ośmioboczne, wówczas w poziomie ma to albo przekrój kwadratowy, albo też szesnastoboczny (lub okrągły - który jest przybliżeniem szesnastoboku). Natomiast niemal niemożliwe jest znalezienie w starych kościołach czegokolwiek, co miałoby przekrój np. trójkątny, czy sześcioboczny, na przekór że właśnie te przekroje są nieporównanie bardziej łatwe do wykonania narzędziami starszych mistrzów, niż przekroje ośmioboczne czy kwadratowe. Ów najbardziej szokujący atrybut

starych kościołów jest, że w ich wnętrzach niemal wszystko imituje generalne kształty komór oscylacyjnych UFO.

Fot. #D16: Ośmioboczna chrzcielnica kamienna z kościoła NMP na Piasku (Wrocław). (Zdjęcie z lipca 2004 roku) Owe ośmioboczne chrzcielnice imitują najważniejsze urządzenia napędowe wehikułów UFO drugiej generacji (zwanymi także wehikulami telekinetycznymi), czyli ich ośmioboczne tzw. "komory oscylacyjne". Kamienne chrzcielnice podobnego kształtu można znaleźć praktycznie w niemal każdym starym kościele Wrocławia. Najwięcej z nich zawarte jest w starych kościołach z wrocławskiego Ostrowa Tumskiego (np. oglądnij sobie podobną ośmioboczną kamienną chrzcielnicę w Katedrze Św. Marii Magdaleny). Powodem dla którego chrześcijaństwo zaadoptowało ośmioboczny kształt komór oscylacyjnych drugiej generacji na pojemniki dla wody święconej, jest gęste pole telekinetyczne jakie komory te generują w wehikulach UFO. Owo pole telekinetyczne jest bowiem techniczną wersją tego samego leczniczego pola telekinetycznego które uzdrowiciele generują w sposób naturalny podczas sesji uzdrawiających. Faktycznie też, zgodnie z relacjami dzisiejszych ludzi uprowadzanych do UFO, UFOnauci czasami organizują rodzaj "kąpeli" w owym gęstym polu telekinetycznym generowanym przez ośmioboczne komory oscylacyjne ich wehikułów UFO drugiej generacji. Dla owych "kąpiących" się, pole to odczuwa się niemal jak rodzaj gęstego "płynu" po którym można nawet pływać. Takie "kąpiele" w owym polu telekinetycznym posiadają zdolność do prawie natychmiastowego leczenia ran i do uzdrawiania wszelkich problemów zdrowotnych u kąpiących się ludzi. Dlatego dla dawnych mieszkańców Ziemi, ów niewidzialny "płyn" (tj. pole telekinetyczne) jaki wydzielany był z ośmiobocznych komór oscylacyjnych wehikułów UFO wykazywał równie cudowne własności jak święcona woda. To zapewne właśnie z tego powodu obiekty o ośmiobocznym kształcie podobnym do zarysów owych komór oscylacyjnych z UFO używane były w kościołach jako pojemniki na święconą wodę.

Odnotuj że przykład raportu osoby uprowadzonej do UFO, z właśnie takiej "kąpeli" czy "pływania" w polu telekinetycznym emitowanym przez ośmioboczną komorę oscylacyjną UFO, zacytowany został na samym końcu podrozdziału T1 z tomu 15 mojej najnowszej monografii [1/5] - dostępnej nieodpłatnie za pośrednictwem niniejszej strony internetowej.

#D17. Wrocław ośrodkiem aktywności UFO:

W czasach kiedy ludzie ciągle pasjonowali się badaniami UFO, zaś ja ciągle mieszkałem we Wrocławiu, miasto owo było celem dosyć intensywnej aktywności UFO i UFOonautów. Obserwacji UFO i UFOonautów we Wrocławiu i jego okolicach było wówczas tak dużo, że badanie tych obserwacji dostarczało zajęcia dla dużej i wysoce aktywnej organizacji UFOlogicznej Wrocławia. Organizacja ta istniała i dosyć aktywnie działała już w latach 1980 do 1982 kiedy to ja włączyłem się aktywnie do jej szeregów. Istniała też i prowadziła ożywioną działalność już po mojej emigracji do Nowej Zelandii.

Jak to opisałem w punkcie #D7 niniejszej strony, Wrocław prawdopodobnie posiada własną podziemną bazę UFO. Baza ta najprawdopodobniej mieści się pod Wzgórzem Partyzantów. Zapewne to ona jest powodem i źródłem tak znacznej aktywności UFOonautów i UFO we Wrocławiu. Zgodnie z legendami, góra Ślęza pod Wrocławiem też ma posiadać w swoim wnętrzu ogromną podziemną komorę w której zawsze ukrywa się conajmniej jeden wehikuł UFO. Czyli góra Ślęza prawdopodobnie ukrywa kolejną podziemną bazę UFO położoną niedaleko od Wrocławia. (Folklor ludowy stwierdza, że w Polsce podobne podziemne bazy UFO mają się także znajdować pod zamkiem pokrzyżackim w Malborku, a również pod Babią Górą oraz pod Łysą Górą - co dokładnie wyjaśnia traktat [4b].

Fot. #D17 (R1 w [1/5]): Rysunek wehikułu UFO typu K3 który w 1978 roku wylądował we wrocławskim "Parku Szczytnickim". Rysunek ten wykonany został przez 9-letniego chłopca

który obserwował owo lądowanie. Ten oryginalny rysunek ilustruje jak w oczach 9-letniego chłopca wyglądał wehikuł UFO który wylądował we wrocławskim Parku Szczytnickim. Opisy tego bliskiego spotkania z wehikułem UFO typu K3 oraz jego trzyosobową załogą zaprezentowane zostały w podrozdziale R1 z tomu 15 mojej najnowszej monografii [1/5]. (W monografii [1/5] powyższy rysunek został pokazany i opisany jako "rysunek R1".) Odnotuj, że faktyczny wygląd boczny powyższego wehikułu UFO typu K3 (którego kształt został zweryfikowany z autorem powyższego rysunku poprzez pokazanie mu modelu wehikułu o owym kształcie) pokazany został jako "Rys. A1 (b)" oraz "Rys. #F20" ze stron internetowych o magnokracie oraz o komorze oscylacyjnej.

#D18. Wrocławskie ślady butów UFOnauty:

Dnia 4 września 1979 roku, około godziny 9:30 rano, UFOnauta przywdziewający telekinetyczny napęd osobisty patrolował jedno z mieszkań Wrocławia. Po przemaszerowaniu po podłodze owego mieszkania pokrytej płytkami PCW, UFOnauta ten pozostawił po sobie 17 śladów kroczących. Średnia wzajemna odległość pomiędzy poszczególnymi z tych śladów wynosiła około 40 cm. Ślady te następnie były badane przez naukowców Instytutu Chemii Nieorganicznej Politechniki Wrocławskiej. Dokładny raport z wyników owych badań, jak również szczegółowszy opis okoliczności, miejsca i czasu w jakim ślady owe zostały pozostawione przez UFOnautę, zawarte są w podrozdziale R3 z tomu 15 monografii [1/5], udostępnianej nieodpłatnie przez niniejszą stronę za pośrednictwem jej "Menu 1" i "Menu 2".

Owe ślady UFOnauty z mieszkania we Wrocławiu uformowane zostały przez pędniki telekinetyczne umieszczone w podeszwach butów UFOnautów. Pędniki te wchodziły w skład specjalnego "Napędu Osobistego" używanego przez UFOnautów. Napęd taki opisany jest dokładniej na kilku stronach internetowych totalizmu, np. na stronie o tzw. "komorze oscylacyjnej" (patrz tam punkt 11 i rysunek E2). Pozwala on UFOnautom na stawanie się niewidzialnymi dla ludzkich oczu, a ponadto umożliwia im latanie w powietrzu, chodzenie po suficie i po powierzchni wody, wskakiwanie na dachy wysokich budynków i wyczynianie wszystkiego tego co kiedyś zdolne były czynić tzw "diabły". ("Diabły" ta stara nazwa dla szatańskich istot które od tysiącleci skrycie okupują Ziemię, a które dzisiaj nazywamy "UFOnautami" - po szczegóły patrz strona internetowa "UFOnauti".)

W swojej późniejszej karierze naukowca badającego (prywatnie - czyli na własny koszt i we własnym czasie) tajemnicze zjawiska, wielokrotnie później natykałem się na podobne ślady kroczące pozostawiane przez napęd osobisty UFOnautów spacerujących sobie po Ziemi. Na najbardziej interesujące z owych śladów natknąłem się w 1999 roku w parku z Nowozelandzkiego miasteczka Timaru. W parku tym często spacerowałem. Podczas jednego takiego spaceru spostrzegłem długi na kilkadziesiąt metrów, biegnący prosto, ślad UFOnauty powypalany krocząco w trawie parku. Ślad ten musiał być wypalony na krótko przed moim przybyciem, bowiem w każdym miejscu gdzie ów UFOnauta postawił nogę w trawie, owa trawa ciągle pozostawała przygnieciona do ziemi. (Trawa była tam wówczas długa na jakieś 10 cm.) Z kolei pędniki magnetyczne zawarte w podeszwach butów owego UFOnauty spowodowały magnetyczne spalanie niewielkiego pęczka owej trawy w każdym wygniecionym kroku, nadając temu spalonemu pęczkowi wysoce charakterystyczny kolor silnie czerwony. (Kolor tej krocząco powypalanej trawy podobny więc był do koloru trawy na lądowisku UFO pokazanym na fotografii z "Fot. #B1(a)" strony internetowej [evidence_pl.htm](#) - o dowodach aktywności UFO na Ziemi, a także na fotografii z rysunku V1(b) do tomu 17 monografii [1/5].) W rezultacie, ów ślad UFOnauty pozostawiony w trawie parku w Timaru miał kształt długiego łańcucha niewielkich punktów wzajemnie porozmieszczanych krocząco, w których przygnieciona trawa zabarwiona była na kolor silnie czerwony. Niestety, w chwili kiedy dostrzegłem owe świeże ślady UFOnauty z parku w Timaru, nie miałem przy sobie aparatu fotograficznego, a było już blisko wieczora. Kiedy zaś następnego dnia przybyłem z aparatem fotograficznym aby ślady te sfotografować, okazało się że w międzyczasie trawa w owych śladach już powstawała, zaś wiatr tak zmierzył trawę o owym unikalnym kolorze czerwonym oraz wymieszał ją z trawą ciągle zieloną, że ślady te przestały już być widoczne i nie nadawały się do

sfotografowania.

Fot. #D18 (R6 w [1/5]): Oto zdjęcie jednego z kroczących śladów UFO nauty, które w 1979 roku pozostawione zostały na płytkach PCW jednego z mieszkańców we Wrocławiu. (Oryginalnie zdjęcie to publikowane jest na rysunku R6 do mojej najnowszej monografii [1/5] dostępnej za pośrednictwem "Menu 2". Tam też jest ono dokładnie opisane.) Zaraz po odkryciu ślad ten miał kolor kredowo-biały, który wyraźnie kontrastował z kolorem niebieskim płytki PCW na jakiej został on wypalony. Widoczny na zdjęciu czarny wzór uformowany został z cieniutkiej warstewki chemikalii powstałych poprzez zaatakowanie PCW chemicznie wysoko-aktywnym ozonem.

Po więcej danych na temat UFO nautów okupujących Ziemię, patrz strona internetowa [ufo_pl.htm](#). Z kolei po cały szereg dalszych dowodów materialnych na nieustanne operowanie UFO nautów i wehikułów UFO na Ziemi, patrz strona internetowa o adresie [evidence_pl.htm](#).

#D19. Rola chińskiego "Feng Shui" – tj. żaby z Malborka i Wrocławia:

Chińczycy uznają rodzaj tajemnej wiedzy, jaką oni nazywają "Feng Shui". Wiedza ta to zbiór zasad które określają warunki konieczne do wypełnienia aby ktoś, lub coś, osiągnęło powodzenie w swoim życiu oraz uchroniło się przed katastrofami. Przykładowo, owo Feng Schui stwierdza, że każde zabudowania powinny posiadać dwa symbole które wyznaczają ich polaryzację. Bardzo często jednym z tych symboli dla Chińczyków jest żaba, innym zaś jakiś ichni Bóg. Jak też się okazuje, średniowieczne miasta i zamki w Polsce budowane były także według dokładnie tej samej zasady. Przykładowo zamek w Malborku, na głównej bramie wjazdowej z mostu na Nogacie (czyli na tzw. "Bramie Wodnej" - patrz "Fot. #D11"), dokładnie na osi centralnej zamku, do dzisiaj posiada rzeźbę żaby, jaka jest niemal identyczna do żab używanych przez Chińskie Feng Schui - patrz też fotografia "Fot. #D19". Z kolei na drugim końcu tej samej osi centralnej zamku w Malborku kiedyś znajdował się posąg Matki Boskiej (o posągu tym piszę na stronie internetowej o ciekawostkach Malborka dostępnej poprzez "Menu 1"). Owa rzeźba i posąg definiowały polaryzację zamku w Malborku, a więc także polaryzację ekspansji Malborka (skierowaną ku wschodowi). Podobną symbolikę polaryzacyjną miało kiedyś miasto Milicz, na którego północnej "bramie Gnieźnieńskiej" stał ssący "Feng Shui" posąg "ryby", zaś na południowej "bramie Wrocławskiej" stał ekspansywny posąg "lwa". (Oba te symbole razem wzięte definiowały ekspansywną polaryzację Milicza skierowaną ku południu - która to polaryzacja działa tam aż do dzisiaj.)

Ciekawostką Wrocławia jest, że w przeszłości także posiadał on symbole definiujące jego polaryzację. Symbole te zdają się kontynuować swoje działanie aż do dzisiaj.

Fot. #D19: Na pierwszym planie rzeźba pierwszej z dwóch rzeźb żab znajdujących się przy fontannie na poziomie zerowym jednego z najbardziej popularnych w 2004 roku domów towarowych Wrocławia, nazywanego "Galeria Dominikańska" (druga z żab widoczna jest po przeciwnej stronie owej fontanny, jednak dopiero po kliknięciu na to zdjęcie i jego powiększeniu). Fotografia wykonana w lipcu 2004 roku. Odnotuj, że żaby mają specjalną symbolikę w chińskim "Feng Shui", jako symbol wpływu i dobrobytu. Stąd ich posągi bardzo często są jednym z dwóch symboli które wyznaczają polaryzację danego siedliska ludzkiego lub danej instytucji. Przykładowo definitywnie pomagają one w przyciąganiu klientów do "Galerii Dominikańskiej". Średniowieczny Wrocław też właśnie zbudowany został z symbolami takiej polaryzacji, tyle że ustawiały one napór tej polaryzacji w kierunku od wschodu ku zachodowi.

#D20. Atrakcje Wrocławia:

Wrocław ma wiele do zaoferowania turystom i odwiedzającym. Niezależnie od

tego co oferują niemal wszystkie polskie miejscowości, tj. doskonałego jada i wybornych trunków, Wrocław oferuje swoją unikalną atmosferę, architekturę spinającą wszystkie style ostatnich 1000 lat, niezwykłą historię, posmak tajemniczości, szeroki zakres wydarzeń i usług kulturalnych, liczne muzea, oraz wiele innych wspaniałości. Ponadto leży on na skrzyżowaniu całego szeregu istotnych tras i dróg, posiada dobrą komunikację wewnętrzną oraz zewnętrzną, jest łatwy do zwiedzania, leży na płaskim terenie preferowanym przez turystów, oraz blisko od niego do praktycznie każdego interesującego miejsca z południowo-zachodniej Polski. Jedyne co w nim ciągle wymaga doszlifowania, to dostępność tanich a jednocześnie wygodnych, jedno lub dwuosobowych, centralnie usytuowanych pokoi hotelowych.

Do atrakcji Wrocławia które mnie osobiście najbardziej fascynują, należą jego ogromnie liczne kościoły. Kościoły te wywodzą się praktycznie z każdego okresu i stylu architektonicznego ostatnich 1000 lat. Oferują one doskonały wgląd do wyposażenia wnętrza w poszczególnych epokach.

Niezależnie od kościołów, we Wrocławiu fascynują mnie jego liczne parki, wspaniały ogród zoologiczny, rozmaitość niezliczonych mostów na Odrze, jej odnogach i kanałach, średniowieczna architektura okolic rynku, a także niezliczone domy towarowe i nowoczesne centra handlowe pełne dóbr jakie usatysfakcjonują nawet najwybredniejszy smak.

Fot. #D20: Rotunda wystawowa zawierająca niezwykle obraz nazywany "Panoramą Racławicką". Jest to specjalna budowla tak zaprojektowana aby pomieściła w sobie ogromny, bo o wymiarach 120 m x 15 m, panoramiczny obraz polskich malarzy o nazwiskach Jan Styka i Wojciech Kossak. Obraz ten przedstawia Bitwę pod Racławicami, mająca miejsce w dniu 4-go kwietnia 1794 roku. W bitwie tej polskie siły powstańcze dowodzone przez generała Tadeusza Kościuszkę odniosły druzgoczące zwycięstwo nad armią rosyjską. Ten niezwykle obraz jest tak zaprojektowany, że ma on formę pierścienia opasującego ze wszystkich stron osoby oglądające ten obraz. Stąd fragmenty owej bitwy można na nim oglądać we wszystkich kierunkach od siebie, tj. przez cały kąt 180 stopni. Taki obraz jest więc rodzajem unikatów na skalę światową i faktycznie warto go oglądać. Niestety, za każdym razem kiedy podczas kolejnej wizyty w Polsce ja się rozpędziłem aby go zobaczyć, okazywało się że limit wizyt na dany dzień został już wyczerpany i nie ma dla mnie biletu. W rezultacie widywałem jedynie fragmenty owego słynnego obrazu publikowane w różnych materiałach, nigdy zaś oryginalnego obrazu.

#D21. Juwenalia - żywiolowy festiwal Wrocławia:

Kiedys dawno temu, bo w latach 1966 i 1967, w miesiącu maju Wrocław celebrował studenckie Juwenalia. Był to dzień kiedy studenci przejmowali klucze do miasta. Był to też dzień największego festiwalu Wrocławia, do rozmachu i żywiolowości którego żaden inny festiwal tego miasta nie jest w stanie nawet się przybliżyć. Wszakże na przekór że festiwal ten organizowany był przez studentów, jego powszechność i żywiolowość powodowała, że wciągał on do zabawy praktycznie wszystkich ludzi przebywających w owym mieście.

Niestety, w swoim pierwszym wydaniu Juwenalia Wrocławia miały poważnego przeciwnika. Były nim ówczesne władze Wrocławia, które niechętnie patrzyły na wzrastające wówczas upolitycznianie się i wpływy organizacji studenckich. Stąd kiedy podczas drugich z kolei Juwenaliów w maju 1967 roku, doszło do tragicznego zaważenia się schodów na Wzgórzu Partyzantów (patrz zdjęcie "Fot. #D21"), władze te skorzystały z owej tragicznej okazji aby zakazać dalszego organizowania Juwenalii we Wrocławiu. Stąd owe historycznie pierwsze Juwenalia Wrocławia organizowane były tylko dwa razy, tj. w latach 1966 i 1967. Tamten stary zakaz organizowania Juwenalii obowiązywał we Wrocławiu przez niemal pół wieku. Z informacji jakie dotarły do mnie do Nowej Zelandii, został on dopiero cofnięty w 2003 roku. Poczawszy więc od 2003 roku, Wrocław ponownie ma swój najważniejszy festiwal, czyli żywiolowe Juwenalia studenckie.

Oczywiście oprócz Juwenalii, Wrocław posiada także inne festiwale. Chyba jednym z najświetniejszych z nich jest Międzynarodowy Festiwal "Vratislavia Cantans" poświęcony muzyce i sztuce pięknym (w 2004 roku organizowany był on w dniach 10 do 19 września). We Wrocławiu odbywają się także: Festiwal "Jazz nad Odrą", Dni Muzyki Starych Mistrzów, Przegląd Piosenki Aktorskiej, Międzynarodowe Zaduszki Jazzowe, Wrocławskie Spotkania Teatrów Jednego Aktora i Małych Form Teatralnych, Międzynarodowy Festiwal Dialog Wrocław, oraz wiele więcej. (Znaczący, wszystkie te festiwale są dla koneserów, żaden zaś dla normalnych ludzi.)

Fot. #D21: Fatalne schody na tzw. "Wzgórze Partyzantów" (patrz też "Fot. #D6"). To właśnie na tych schodach w maju 1967 roku miał miejsce ogromnie tragiczny wypadek, który na niemal pół wieku uciął dalsze organizowanie Juwenalii we Wrocławiu. Pod ciężarem wspinającej się wówczas na owo wzgórze młodzieży, schody te się załamały, zabijając i raniąc cały szereg ludzi. Ponieważ ówczesne władze Wrocławia poczuwały się zagrożone wzrastającą siłą polityczną studentów, natychmiast wykorzystaly one ten wypadek aby wydać zakaz organizowania dalszych Juwenalii we Wrocławiu. Jak słyszałem, dopiero w 2003 roku Wrocław otrząsnął się z tamtego zakazu i ponownie zaczął organizować swoje majowe Juwenalia.

Część #E: Jak przy podejściu "a priori" używanym przez "naukę totalizyczną" interpretowane są najważniejsze zdarzenia zaszłe we Wrocławiu:

#E1. Każde zdarzenie daje się interpretować z podejścia "a posteriori" używanego przez dotychczasową "ateistyczną naukę ortodoksyjną" oraz z podejścia "a priori" używanego przez noworodzącą się "naukę totalizyczną":

Każde zdarzenie lub obiekt można interpretować z dwóch odmiennych podejść, lub "perspektyw patrzenia". Filozofowie nazywają te podejścia (1) "a priori" czyli "od przyczyny do skutku", oraz (2) "a posteriori" czyli "od skutku do przyczyny". W punkcie #A2.6 strony o nazwie totalizm_pl.htm, a także w punkcie #C1 strony o nazwie telekinetyka.htm, wyjaśnione zostało na przykładach empirycznych, że 'tylko interpretowanie każdego zdarzenia lub obiektu z obu tych podejść naraz, tj. z podejścia "a priori" i dodatkowo także z podejścia "a posteriori", pozwala nam poznać całą prawdę na temat owego zdarzenia lub obiektu'. Niestety, dotychczasowa tzw. "ateistyczna nauka ortodoksyjna" - czyli owa oficjalna nauka uprawiana na dzisiejszych uczelniach i opisana dokładniej w punkcie #F1 strony o nazwie god_istnieje.htm, używa tylko jednego podejścia, mianowicie "a posteriori". Na użycie podejścia "a priori" NIE ma ona bowiem odwagi. Wszakże wymagałoby ono przyznania, że istnieje nadrzędna "przyczyna" dla wszelkich zdarzeń i obiektów, czyli że istnieje Bóg. Tymczasem - jak dokładniej wyjaśnia to ów punkt #F1 na stronie o nazwie god_istnieje.htm, negowanie istnienia Boga jest wpisane w fundamenty filozoficzne i naukowe dzisiejszej "ateistycznej nauki ortodoksyjnej" z powodu adopcji przez nią tzw. "brzytwy Occam'a" jako najbardziej istotnego jej "założenia fundującego". Na szczęście, w 1985 roku opracowana została niezwykła teoria naukowa zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji, z której wyrosła potem najbardziej postępową i moralną (jak na dzisiejsze wypaczone czasy) tzw. filozofia totalizmu. Z kolei owa teoria i filozofia stworzyły fundamenty naukowe i filozoficzne dla zupełnie nowego rodzaju nauki zwanej "nauką totalizyczną". Ta zaś nowopowstająca "nauka totalizyczna" bada już otaczającą nas rzeczywistość z najbardziej generalnego podejścia "a priori", mianowicie z podejścia "od Boga do rzeczywistości która nas otacza".

Noworodząca się "nauka totalizyczna" interpretuje wszystko co nas otacza na zupełnie odmienny sposób niż czyni to dotychczasowa "ateistyczna nauka ortodoksyjna". W ten sposób dostarcza ona nam "brakującej dotychczas drugiej połowy prawdy" - tak jak owa brakująca "druga połowa prawdy" opisana została w punkcie #A2.6 strony o nazwie totalizm_pl.htm oraz w punkcie #C1 strony o nazwie telekinetyka.htm. Aby więc zilustrować

tutaj czytelnikowi jak owa "nauka totaliztyczna" interpretuje niektóre wydarzenia na Ziemi, poniżej omówię przykład interpretacji dokonanej z jej podejścia "a priori" dla dosyć istotnych w dzisiejszych czasach wydarzeń zachodzących także i we Wrocławiu, mianowicie dla "kataklizmów". Oczywiście, poniższa interpretacja kataklizmów dla miasta Wrocławia, pozostaje ważna również dla wszystkich innych miast świata, do sytuacji których może ona zostać łatwo ekstrapolowana.

#E2. Jak "totaliztyczna nauka" zinterpretowałaby "ostrzegające" powodzie i tornada które niedawno nawiedziły Wrocław:

Motto: "Przy dzisiejszym stanie ludzkiej moralności, tylko miasto które się bardzo kocha i z którym ma się silny związek uczuciowy, jest warte niewdzięcznego trudu i ryzyka interpretowania zaszłych w nim kataklizmów z punktu widzenia 'nauki totaliztycznej'."

Jeśli interpretować kataklizmy zaszłe niedawno we Wrocławiu jedynie z ateistycznego podejścia "od skutku do przyczyny" (tj. z owego podejścia "a posteriori" do badań), wówczas się okazuje, że praktycznie nie czynią one żadnego sensu ani nie widać w nich żadnych regularności. Wyglądają one bowiem jedynie jak zlanie się razem najróżniejszych "przypadkowych czynników", które mogą równie dobrze powtórzyć się już jutro, lub NIE powtórzyć się nigdy ponownie. Według zaś "ateistycznej nauki ortodoksyjnej", to właśnie te zupełnie "przypadkowe czynniki" spowodowały pojawienie się we Wrocławiu kataklizmicznych zjawisk atmosferycznych, w rodzaju owych powodzi czy tornada opisywanych w punkcie #H3 strony tornado_pl.htm. Jeśli jednak na te same kataklizmy popatrzeć z odmiennego podejścia "a priori" (tj. "od Boga do otaczającej nas rzeczywistości"), wówczas się okazuje, że wszelkie kataklizmy wpływające na losy ludzi, a także na losy każdego obiektu jaki ludzie poznają, posiadają jakiś bezpośredni związek z tzw. "moralnością". Innymi słowy, wszystko co daje się ludziom poznać, wykazuje bezpośredni związek z "moralnością". (Czym dokładnie jest ta "moralność", wyjaśnia to szerzej punkt #A1 na stronie o nazwie totalizm_pl.htm.) Dlatego, po ich rozpatrzeniu z owego podejścia "a priori", wszelkie kataklizmy okazują się być albo "ostrzeżeniami" że czyjaś "moralność" rozwija się w kierunku jakiego Bóg NIE aprobuje, albo też okazują się być zdarzeniami z pomocą których Bóg koryguje moralność na danym obszarze - tak jak to wyjaśnia punkt #B5 na stronie o nazwie seismograph_pl.htm. W obu zaś tych przypadkach jest wysoce korzystnym dla ludzi dotkniętych danym kataklizmem, poznanie jego znaczenia, roli i przesłania które Bóg stara się ludziom przekazać z jego pomocą. Wszakże jeśli się pozna znaczenie, rolę i przesłanie danego kataklizmu, wówczas można coś uczynić aby się bronić przed dalszymi kataklizmami i przed ich przykrymi następstwami. Wszakże Bóg z żelazną konsekwencją wdraża zasadę, że jeśli dany kataklizm lub nieszczęście NIE zmienia "moralności" tego kogo on dotknął, wówczas Bóg zesyła następny kataklizm lub nieszczęście o już znacznie większej mocy. Aby więc uświadomić czytelnikowi niektóre z korzyści jakie wynikają z poznania iż kataklizmy są głównie następstwem "uzależniania od 'moralności' wszystkiego co dla ludzi jest poznawalne", niniejszym wypunktuję te aspekty niedawnych kataklizmów które już dotknęły miasto Wrocław, jakie pozwalają każdemu na podjęcie obrony przed dalszymi i bardziej już niszczycielskimi kataklizmami i ich następstwami. Oto więc kroki przez które warto osobiście przejść, aby dojść samemu do zasad obrony przed kataklizmami:

1. Zilustrowanie związków "moralności" z praktycznie wszystkim co nas otacza. Aby uświadomić czytelnikowi, jak każde zdarzenie i każdy obiekt ilustruje te związki, w tym jak ilustrują je wszystkie zdarzenia i wszelkie obiekty opisywane na niniejszej stronie, pozwolę tu sobie "rzucić czytelnikowi wyzwanie", czy potrafi się ich doszukać w każdej sprawie opisanej na niniejszej stronie. Wszakże jeśli czytelnik osobiście odkryje i sobie potwierdzi, że takie związki faktycznie istnieją w każdej sprawie dotyczącej m.in. i miasta Wrocławia, wówczas zacznie też rozumieć i doceniać powody i przebiegi wydarzeń w innych miastach i innych regionach naszego obecnego świata.

2. Ujawnienie, że tzw. "moralność grupowa" ludności zamieszkującej

poszczególne miasta i regiony, decyduje o wszystkim co spotyka owe miasta i regiony, w tym kataklizmy jakie je dotykają. Przykładowo, analizując tylko losy miasta Wrocławia, czytelnik ma szansę aby zrozumieć opisywany w punktach #C3 oraz #C5 do #C6 strony o nazwie seismograph_pl.htm związek pomiędzy "moralnością grupową" mieszkańców np. stolicy Haiti czy nowozelandzkiego miasta Christchurch, a zniszczeniem tamtych miast trzęsieniami ziemi. Zrozumie też przykładowo jak "moralność grupowa" Japończyków wpłynęła na niedawną eksplozję reaktorów atomowych w Japonii - tak jak to opisane zostało m.in. w punktach #M1 do #M1.3 strony telekinetyka.htm.

3. Poznanie jak należy interpretować "ostrzeżenia" Boga o bliskim już zesłaniu zabójczego "kataklizmu przynaglającego". W punkcie #B5 strony o nazwie seismograph_pl.htm zostało wyjaśnione, że jeśli jakiś "intelekt grupowy", zamiast praktykować moralną i nagradzaną przez Boga filozofię totalizmu, stacza się w praktykowanie wysoce niemoralnej i karanej śmiercią przez Boga filozofii pasożytnictwa, wówczas Bóg zesła niszczycielski kataklizm na ów intelekt. Tylko taki bowiem kataklizm ma w sobie moc aby "skorygować moralność grupową owego intelektu", a dodatkowo aby też służyć potem innym intelektom jako "lekcja moralna na przyszłość". Ponieważ jednak Bóg wszystko dokonuje na wysoce "fair" i sprawiedliwy sposób, kiedy już zamierza zesłać jakiś zabójczy "kataklizm przynaglający" na dane miasto czy region, wówczas najpierw "ostrzega" jego mieszkańców i im wizualnie demonstruje tzw. "kataklizmem ostrzegającym", że taki zabójczy kataklizm się przygotowuje i wkrótce nadejdzie - jeśli oczywiście mieszkańcy tego miasta czy regionu w międzyczasie NIE udokumentują wyraźnie, iż drastycznie zmienili już praktykowaną przez siebie filozofię. Przykładowo, zanim zabójcze trzęsienie ziemi opisane w punkcie #C6 strony seismograph_pl.htm zniszczyło znaczną część miasta Christchurch w Nowej Zelandii, najpierw miasto owo było wstrząsane aż dwoma "ostrzegającymi" trzęsieniami ziemi opisanymi w punktach #C5 do #C6 w/w strony seismograph_pl.htm. Na dodatek do tego, na wiele lat wcześniej Nowa Zelandia otrzymała model "urządzenia ostrzegającego przez zbliżaniem się trzęsień ziemi", oraz otrzymała w prezencie moją osobę dysponującą ekspertyzą jak owo urządzenie należy zbudować - które to fakty wyjaśnia szczegółowiej punkt #I1 na stronie o nazwie seismograph_pl.htm. Innymi słowy, każdemu kto ma być zrujnowany lub zabity przez zbliżający się kataklizm, Bóg na długo wcześniej daje szansę aby mógł poznać co się właśnie gotuje. Ponadto, daje mu także szansę aby przed owym kataklizmem mógł się efektywnie wybronić, oraz daje mu wymaganą informację "jak" powinien się bronić. Tyle, że owej informacji o tym co nadchodzi, ani samej obrony przed kataklizmem, Bóg na nikim "siłą NIE wymusza", a pozostawia ich użycie i zrealizowanie tzw. "wolnej woli" danej przyszłej ofiary nadchodzącego kataklizmu.

4. Uświadomienie sobie, jak odróżniać te miasta i regiony, które są chronione przed kataklizmami przez np. zamieszkujących na ich obszarze tzw. "10 sprawiedliwych", od miast i obszarów których nic NIE chroni. W punkcie #B7.3 strony seismograph_pl.htm zostało wyjaśnione, że niektóre miasta i obszary są tymczasowo chronione przed kataklizmami. Takie miasta i obszary można łatwo rozpoznać, bowiem wszelkie kataklizmy mogą niemal o nie się "ocierać", jednak zawsze "omina" je lub "przeskoczą" przez nie - tak jak to dokumentuje punkt #I3 strony o nazwie day26_pl.htm.

5. Zrozumienie, że Wrocław już otrzymał "ostrzeżenie" o nadchodzącym kataklizmie, oraz że miasto to "NIE jest chronione" przed kataklizmami. Większość dużych miast Polski jest chroniona przed kataklizmami z powodu zamieszkiwania w nich co najmniej 10-ciu owych "sprawiedliwych". Jednak z ekstrapolacji do sytuacji Wrocławia zdarzeń z innych miast świata, opisywanych tutaj i w punkcie #B1 niniejszej strony, zdaje się wynikać, że miasto Wrocław najwyraźniej NIE jest chronione przed kataklizmami. Wszakże relatywnie niedawno i to w krótkich odstępach czasu od siebie, dotknięte ono zostało aż dwoma "kataklizmicznymi powodziami" oraz tornadem - opisywanymi w punkcie #H3 strony tornado_pl.htm, a noszącymi wszystkie cechy "ostrzeżeń". Takie zas "ostrzeżenia" przenoszą w sobie aż kilka wiadomości naraz. Przykładowo, stwierdzają one że "kataklizm się zbliża" oraz że "wasze miasto (albo region) NIE są chronione przed kataklizmami". Ponadto, ich główną wiadomością jest nakaz "najwyższy już czas aby

zacząć energicznie zmieniać swoje nawyki, drogi i filozofię, bowiem w przeciwnym przypadku ich zmiana wkrótce będzie narzucona kataklizmem".

6. Poznanie jak cały Wrocław może się bronić przed nadejściem zabójczego "kataklizmu przynaglającego". Jeśli dwie ostatnie "kataklizmiczne powodzie" we Wrocławiu zinterpretować jako "kataklizmy ostrzegające", wówczas następnym kataklizmem byłby już ów zabójczy "kataklizm przynaglający" (chyba że Bóg zdecyduje iż należy jeszcze raz ponowić "ostrzeżenie"). Taki zaś "kataklizm przynaglający" potrafi już zrównać z ziemią nawet niemal połowę miasta i odebrać życie całej masie ludzi. Dlatego w interesie miasta leżałoby teraz klarowne udokumentowanie (tj udokumentowanie równie jednoznacznie jak to zilustrowane bibilijnym przykładem miasta Niniwy, opisanym w "Księdze Jonasza" z Biblii, wersety 3:7-10), że we Wrocławiu nastąpiła jednak znacząca zmiana "grupowej filozofii". Oczywiście, bibilijny przykład jak przekonać Boga że taka zmiana filozofii faktycznie nastąpiła, jest już nieco przestarzały i założę się że w dzisiejszych czasach NIE istnieje na Ziemi nawet jedno miasto które byłoby gotowe go powtórzyć, nawet pod groźbą "kataklizmu anihilującego". Na szczęście, akademicki charakter miasta Wrocławia oraz fakt że ja sam wywodzę się z Wrocławia, wzięte razem wskazują bardzo prosty sposób na jaki miasto to może udokumentować zmianę swej filozofii, a jednocześnie "zachować twarz". Mianowicie, zgodnie z ustaleniami filozofii totalizmu, wystarczającym do odwołania kataklizmu dowodem zmiany "filozofii grupowej" Wrocławia byłoby gdyby uczelnie tego akademickiego miasta stały się pierwszymi w świecie które formalnie zaadoptowałyby "nauki totalizyczne" poprzez oficjalne włączenie wykładania Konceptu Dipolarnej Grawitacji i filozofii totalizmu do programów ich studiów, oraz poprzez oficjalne wdrożenie w badaniach filozoficznego podejścia zwanego "a priori", czyli naukowego podejścia "od Boga do otaczającej nas rzeczywistości" - tak jak owo podejście "a priori" jest wyjaśnione w punkcie #A2.6 strony o nazwie totalizm_pl.htm oraz w punkcie #C1 strony o nazwie telekinetyka.htm. Wszakże zarówno Koncept Dipolarnej Grawitacji, jak i filozofia totalizmu, wywodzą się właśnie z naukowych tradycji niegdyś "totalizycznego Wrocławia", ten zaś fakt już sam w sobie jest wystarczającym powodem aby te nowo-powstające nauki zaczęły być oficjalnie wykładane na uczelniach Wrocławia. Oczywiście, będąc najprostrzym, najbardziej honorowym, oraz najłatwiejszym do wdrożenia sposobem przekonania o skierowanie się na drogę powrotu do tradycji "totalizycznego Wrocławia", powyższy sposób wcale NIE jest jedynym jaki mógłby tam zostać urzeczywistnionym. Z całego szeregu innych istniejących sposobów, prawdopodobnie niemal podobnie łatwym byłoby "ufundowanie przez miasto stypendium dla jakiegoś wysoce aktywnego totalizy", opisane w punkcie #C5.1 strony o nazwie seismograph_pl.htm.

7. Poznanie jak "intelektu składowe" Wrocławia też mogą się indywidualnie bronić przed nadejściem zabójczego "kataklizmu przynaglającego". Wrocław jako całość jest ogromnym "intelektem grupowym" na który składa się wiele mniejszych "intelektów składowych" - takich jak indywidualne uczelnie, fabryki, instytucje, kościoły, organizacje, rodziny, indywidualne osoby, itp. Jeśli więc np. miasto Wrocław, traktowane jako cały duży "intelekt grupowy" zdecyduje się NIE podejmować środków zapobiegających nadejściu kataklizmu (tj. NIE podejmować obrony przed kataklizmem), wówczas wcale to NIE powinno powstrzymać owych "intelektów składowych" Wrocławia przed indywidualnym podejmowaniem takiej zapobiegawczej samo-obrony. Wszakże jeśli kataklizmy analizuje się z naukowego podejścia "a priori", wówczas się okazuje że chociaż dany duży intelekt grupowy zostaje potraktowany jakimś niszczycielskim kataklizmem, ciągle niektóre z jego "intelektów składowych" są "oszczędzane" przed doświadczeniem następstw owego kataklizmu - jeśli oczywiście na codzień praktykują one wystarczająco "totalizyczną" filozofię (tj. postępują "wystarczająco moralnie"). Najlepiej takie "oszczędzanie 'intelektów składowych' przed skutkami kataklizmów" jest widoczne na obiektach religijnych (np. na kościołach, krzyżach, świątyniach, meczetach, itp.) które - jeśli tylko NIE praktykują na danym obszarze czegoś co Bóg wyraźnie dezaprobuje, wówczas pozostają nietknięte nawet jeśli wszystko wokół nich zostało zniszczone - po udokumentowanie tego faktu patrz punkty #B2, #C3 do (5) w #C5 i #C6 na stronie o nazwie seismograph_pl.htm albo też punkt #H4 na stronie o nazwie landslips_pl.htm. Z kolei podjęcie takiej indywidualnej

samoobrony przed kataklizmami przez owe "intelektury składowe Wrocławia" jest łatwe. Wszakże wystarczy aby w tym celu zademonstrowały one Bogu że na codzień już pedantycznie praktykują wysoce moralną filozofię totalizmu - co wyjaśnia szerzej m.in. punkt #B6 strony o nazwie seismograph_pl.htm. Przykładowo, w przypadku indywidualnych osób wystarczy aby w tym celu podjęły one praktykowanie tzw. totalizmu formalnego - czyli "formalnej wersji" filozofii totalizmu. Z kolei intelektury grupowe muszą zademonstrować iż też objęły tą filozofię - np. indywidualne uczelnie ciągle mogą niezależnie od Wrocławia wdrożyć jednak u siebie wykładanie Konceptu Dipolarnej Grawitacji i filozofii totalizmu, fabryki, instytucje i organizacje mogą zacząć jakoś sponzorować tą filozofię - np. poprzez otwarte ujawnienie swej załodze iż adoptowały one totalizm za oficjalną filozofią swojej instytucji, itp.

8. Uświadomienie, że warto teraz uważnie obserwować dalsze losy Wrocławia. Aczkolwiek wszystko co wyjaśniłem w powyższych punktach stanowi wynik mojej osobistej troski o losy miasta które jest aż tak bardzo bliskie mojemu sercu, połączonej z logiczną ekstrapolacją do Wrocławia regularności rządzących zdarzeniami w innych miastach świata, ja wystarczająco dobrze poznałem już zasady działania dzisiejszych decydentów, aby niemal z góry być pewnym, że Wrocław traktowany jako cały "intelkt grupowy" zapewne zignoruje wszystko co tutaj wyjaśnione. Podobnie bowiem zignorowanie miało już raz miejsce w przypadku miasta Christchurch - któremu też na spory czas przed "kataklizmem przynaglającym" otwarcie wyjaśniłem z pomocą owego punktu #C5.1 strony o nazwie seismograph_pl.htm, co tamto miasto powinno uczynić aby zatrzymać dalsze trzęsienia ziemi. Christchurch wybrało jednak aby zignorować moje rady, zaś w trochę ponad miesiąc później zostało ono niemal dokumentnie zniszczone. Dlatego niniejszym radzę czytelnikowi aby zaczął uważnie obserwować przyszłe losy Wrocławia, bowiem logika podszeptuje, że za jakiś czas z miastem tym zacznie się dzieć coś naprawdę wartego odnotowania.

Część #F: Przyglądnijmy się "złej karmie" zbiorowej miasta Wrocławia:

#F1. Na przekór bycia "totaliztycznym miastem", Wrocław też zgromadził "złą karmę" którą przyjdzie mu kiedyś pospłacać:

Motto: "Nawet święci czasami popełniają 'grzechy', generując w ten sposób dla siebie 'złą karmę' którą potem przychodzi im spłacać."

Filozofia totalizmu naucza, że aby efektywniej powiększać wiedzę, a także aby postawić sobie wyzwanie znajdowania rozwiązań przy najwyższym poziomie utrudnienia, Bóg stworzył ludzi aż tak niedoskonałymi jak to tylko było możliwe (więcej na temat niedoskonałości "wbudowanych" w ludzi na etapie stworzenia wyjaśniają podrozdziały A7 i A3.1 z tomu 1 najnowszej monografii [1/5]). W rezultacie jednak tych wbudowanych w siebie niedoskonałości ludzie lubują się w popełnianiu bliźnim najróżniejszych świństw, oszustw, wyzysku, niesprawiedliwości, tortur, itp. Aby więc istniał także jakiś efektywny mechanizm który "uczy" ludzi że owych przykrych rzeczy NIE wolno jednak "wywijać" swoim bliźnim, Bóg stworzył również rodzaj algorytmu albo programu, których w religiach wschodu jest nazywany "karma". Owa "karma" powoduje, że "wszystkie uczucia które ktoś wzbudził u innych wyrządzeniem im jakiegoś zła lub dobra, po jakimś czasie wbudzone będą też u wyrządzającego". Karma działa w równie nieodwołalny i automatyczny sposób na wszystkie intelektury, tj. zarówno na tzw. "intelektury indywidualne" (czyli na pojedynczych ludzi), jak i na tzw. "intelektury grupowe" (czyli np. na całe instytucje, miasta, kraje, narody, itp.). Stąd jeśli jakieś miasto, np. Wrocław, zgromadzi zbyt dużo "złej karmy" spowodowanej czymś bólem, cierpieniami, krzywdą, niesprawiedliwością, itp., wówczas "zwrot owej karmy", który musi kiedyś nadejść, również przyniesie podobne następstwa, tj. także przyniesie ból, cierpienia, krzywdę, niesprawiedliwość, itp. W przypadku zaś "intelektów grupowych", jednym ze spowobów na jaki może dokonywać się zwrot takiej "złej karmy", polega na sprowadzeniu na nie jakiegoś niszczycielskiego "kataklizmu" który także wzbudzi sobą ból, cierpienia, krzywdę, niesprawiedliwość, itp., np. takiego "kataklizmu" jak ten

opisany w punkcie #E2 powyżej.

Niestety tak się składa, że Wrocław zgromadził już sporo takiej "złej karmy", której zwrot może polegać na nadejściu na owo miasto jakiegoś sporego "kataklizmu". Ponieważ zwykle jeśli czegoś się NIE udokumentuje dokładnie, wówczas ludzie traktują to jak "niebyłe", w punktach jakie poniżej nastąpią stopniowo będę opisywał i dokumentowałem te przypadki "złej karmy" zgromadzonej kiedyś przez miasto Wrocław (traktowane jako cały "intelekt grupowy"), o jakich zaistnieniu ciągle pamiętam z czasów kiedy mieszkałem w owym mieście. Z kolei owe przypadki, oraz wiele innych do nich podobnych - których ja nie będę mógł tu opisać z powodu braku dostępu do danych na ich temat, powinno każdemu uświadomić że najwyższy już czas aby zacząć zważać na moralną wymowę tego co się czyni, lub już uczyniło. Wszakże po innych "pilnych" przypadkach miast które też nagromadziły już wiele "złej karmy" jednak NIE zdobyły się na wysiłek aby jakoś ją zneutralizować lub naprawić, pewnego dnia przyjdzie kolej na "skorygowanie moralności" i w mieście Wrocławiu poprzez zesłanie na niego jakiegoś "kataklizmu". Kiedy zaś ów czas nadejdzie, dzięki zawartym tutaj opisom mieszkańcy tego miasta (a także inni postronni obserwatorzy jego losów) będą przynajmniej dokładnie wiedzieli za co im się oberwało, oraz będą w stanie wyciągnąć właściwe wnioski ze swoich doświadczeń.

#F2. Krzywda i niesprawiedliwość usunięcia z Politechniki Wrocławskiej około 40 lojalnych, patriotycznych, moralnych i zdyscyplinowanych studentów w maju 1968 roku :

W maju 1968 roku ówczesne władze Wrocławia dokonały "czystki" wśród studentów Politechniki Wrocławskiej. "Czystka" ta polegała na wysoce krzywdzącym i niesprawiedliwym usunięciu z uczelni około 40 wzorowych studentów. Pomimo że usunięcie tamtych studentów wydatnie przyczyniło się potem do powstania "Solidarności" i do zmiany ustroju Polski, ofiary tego usunięcia nigdy NIE zostały moralnie zrehabilitowane, zaś popełniona na nich niesprawiedliwość i krzywdy nigdy NIE zostały naprawione. "Karma" więc za ich usunięcie do dzisiaj "obciąża sumienie całego miasta Wrocławia", pewnego zaś dnia miastu przyjdzie ją spłacić. Poniżej zacytuję adoptowaną z podrozdziału A18 w tomie 1 najnowszej monografii [1/5] tzw. "osobistą historię" owego usunięcia - tak jak ją pamiętam i wiernie spisałem. (Czym dokładnie jest taka "osobista historia" wyjaśniają to dokładniej - bo na rzeczywistym przykładzie, punkty #B2 i #C1 ze strony internetowej o nazwie [bitwa_o_milicz.htm](#).) Jak też nawykłem to zawsze czynić, również w poniższą "historię" wplotłem wyjaśnienie wynikające ze wskazań filozofii totalizmu, a ujawniające jak miasto Wrocław rozumiane jako jeden cały "intelekt grupowy" może obecnie "zadośćuczynić" tamtej krzywdzie, a w ten sposób może zneutralizować i naprawić "złą karmę" jaką wówczas sobie wygenerowało.

* * *

W dniu 1 maja 1968 roku rodzaj "cudu" uratował mnie przed zostaniem usuniętym z uczelni. Na fakt, że rzeczywiście był to "cud", a nie np. zwykły "przypadek", wskazuje logiczna dedukcja iż gdyby owo usunięcie mnie z uczelni faktycznie wówczas zaszło, wtedy NIE mógłbym w dorosłym życiu wypracować naukowo swoich teorii, odkryć, wynalazków, itp. Razem więc z szeregiem innych podobnych zdarzeń, część z których opisałem w poprzednich częściach podrozdziału A18 z monografii [1/5], inne zaś opisałem w punkcie #H2 strony o nazwie [god_proof_pl.htm](#), omawiany tu "cud" sugeruje, że od najmłodszych lat znajdowałem się pod rodzajem "nadrzędnej opieki" która dopilnowała abym NIE zboczył z drogi jaka była mi przeznaczona. Cały przebieg zdarzeń które prowadziły do owego "cudu" pierwszo-majowego z 1968 roku jest ogromnie zagmatwany, niejasny i dla pojedynczego badacza prawdopodobnie teraz już niemożliwy do rozwikłania w celu wydobywania na widok całej prawdy na temat tego co wówczas zaszło. Wszakże ówczesne zdarzenia były celowo tak kamuflowane aby na społeczeństwie sprawić wrażenie iż "są czymś całkowicie innym niż faktycznie były". Doskonałą ilustracją takiego celowego zakamuflowania tamtych historycznych zdarzeń jest treść książki dwóch polskich badaczy historii, tj. S. Cenckiewicza i P. Gontarczyka, o tytule "The Secret Police and Lech Wałęsa" (2008 rok, 780 stron) - na którą w Nowej Zelandii powoływał się artykuł o tytule "Wałęsa fingered as a communist spy" (tj. "Wałęsa wytknięty palcem jako szpieg

komunistów") ze strony A20 gazety The New Zealand Herald, wydanie z czwartku (Thursday), June 26, 2008. Dlatego aby faktycznie poznać prawdę o tamtych zdarzeniach konieczne byłoby zorganizowane działanie jakiejś większej grupy ludzi, np. ciągle żyjących studentów którzy w tamtej politycznej "czystce" zostali usunięci z Politechniki Wrocławskiej, lub potomków tamtych studentów. Wszakże taka zorganizowana grupa mogłaby skorzystać z narzędzi prawnych, w rodzaju "Ustawy o Wolności Informacji" (po angielsku zwanej "Freedom of Information Act"), aby za pośrednictwem uzyskać dostęp do informacji na temat tamtych zdarzeń zawartych w archiwach ówczesnej milicji, wojska, oraz oczywiście Politechniki Wrocławskiej. Wszakże dla naukowej ścisłości i dla historycznej prawdy warto byłoby tamte zdarzenia wyjaśnić, bowiem faktycznie były one pierwszymi w Polsce, zaś jako takie stanowiły początek kulki śniegowej, która toczona dalej dążeniem Polaków do wolności wypowiedzi i do innych swobód obywatelskich, z czasem urosła do ogromnej lawiny jaka zmiotła z powierzchni ziemi ówczesny dyktatorski rząd i ustrój. Aby więc dołożyć tu swoją cegiełkę do ewentualnych przyszłych wysiłków w kierunku dokładnego poznania tamtych zdarzeń, a także w imię prawdy i historycznej ścisłości, niniejszym opiszę jak ja zapamiętałem i zrozumiałem tamten przebieg zdarzeń - aczkolwiek zastrzegam się że być może iż niektóre fakty zrozumiałem lub zapamiętałem błędnie. Oto więc mój raport z tamtej "politycznej prowokacji" i "czystki" spisany tak jak owe wydarzenia wyglądały oglądane z mojej osobistej perspektywy ich uczestnika i "naocznego świadka".

W czasach kiedy studiowałem, studenci Politechniki Wrocławskiej zaczęli odgrywać coraz aktywniejszą rolę w naciskach na odnowę polityczną kraju. Faktycznie to studenckie demonstracje i strajki okupacyjne na naszej politechnice (opisywane m.in. w podrzdziale JE4 monografii [1/5], a także w punkcie #C3 strony o nazwie nirvana_pl.htm) zainicjowały wówczas rodzaj politycznej lawiny która z upływem czasu doprowadziła do przejścia władzy przez innego przywódcę, a później do powstania "Solidarności" i do obalenia komunizmu w Polsce. Nic dziwnego, że ówczesna milicja polityczna NIE była zadowolona z owej rosnącej aktywności politycznej studentów tej uczelni. Najwyraźniej otrzymała więc rozkaz "od góry" aby zorganizować "czystkę" - czyli pousuwać z uczelni wszystkich studentów którzy udokumentowali jakoś że są aktywni politycznie. Oczywiście, aby móc kogoś oficjalnie usunąć z uczelni, trzeba mieć jakiś pretekst oraz "dowody" jego "nieodpowiednich" zachowań. Dla sfabrykowania więc takiego pretekstu i dla udokumentowania wymaganych dowodów, ówczesni decydenci najwyraźniej zaprojektowali zmyślną prowokację polityczną, jaka została zrealizowana przy okazji pochodu pierwszomajowego z 1968 roku. Z przebiegu tej prowokacji wynika, że jej projekt był starannie dopracowany przez politycznych ekspertów i psychologów, oraz najwyraźniej obejmował aż kilka etapów. Aczkolwiek o możliwym jej projekcie na obecnym etapie można jedynie spekulować, z przebiegu zdarzeń wygląda iż prawdopodobnie etapy te obejmowały m.in.:

- (1) rozgłoszenie wśród studentów Politechniki Wrocławskiej, że władze polityczne uczelni i Wrocławia NIE chcą udziału studentów w owym pochodzie - co na zasadzie "metody nakłaniania osła" miało spowodować że wszyscy politycznie aktywni studenci z całą pewnością pójdą na ów pochód,
- (2) wmieszanie "bojówki" około 100 młodych policjantów ubranych po cywilnemu w kolumnę studentów Politechniki Wrocławskiej aby razem ze studentami defilować przed trybuną z ówczesnymi władzami Wrocławia,
- (3) rozpoczęcie "prowokacyjnych zamieszek" przez owych policjantów w cywilnych ubraniach w chwili gdy kolumna studentów z wmieszanymi w ich szeregi policjantami dotarła do trybuny (tj. owi policjanci otoczyli naszych studentów i rozpoczęli z góry przygotowane i dobrze przetrenowane wykrzykiwanie wyzwisk, pokazywanie nieprzyzwoitych plakatów, rzucanie pomidorami i jajkami na trybunę, gwizdanie, pretendowanie że usiłują dostać się na trybunę, itp.) - tak aby inny oddział policji, też w cywilnych ubraniach, jaki "zaczaił" się już wcześniej na samej trybunie i w jej pobliżu z gotowymi do działania kamerami filmowymi i z aparatami fotograficznymi, mógł udokumentować na zdjęciach że to nasi studenci byli powodem zamieszek,
- (4) natychmiast po pochodzie zidentyfikowanie ze zdjęć, powyrzucanie z uczelni, oraz siłą powołanie do wojska wszystkich studentów naszej uczelni którzy mieli pecha wziąć udział w owym pochodzie. Niefortunnie jednak dla tamtej doskonale zaprojektowanej "politycznej prowokacji", w jej zrealizowanie wkradła się

poważna niedoskonałość, która z upływem czasu zapewne okazała się owym powodem jaki potem kosztował komunistów utratę władzy. Mianowicie, ów pierwszy wysoce istotny etap "agitowania" (1), że "władze uczelni jakoby NIE chcą udziału studentów w pochodzie" został podchwycony i "zmieniony" przez ówczesną organizację studencką - jaka przekształciła go w "apel wykazania patriotyzmu i ratowania honoru uczelni". Dostyc więc mizerna "agitacja" zalecająca "idź na pochód bowiem władze NIE chcą abyś poszedł", została całkowicie zagłuszona przez studenckie radiowęzły oraz działacze znacznie głośniejszymi apelami zalecającymi "idź na pochód jeśli jesteś patriotą, bowiem rok wcześniej niemal nikt nie poszedł, a stąd honor i prestiż naszej uczelni poważnie wówczas ucierpiał". W rezultacie tego głośniego apelowania przez organizacje studenckie które zagłuszyły tamtą oficjalną "agitację", na pochód pierwszo-majowy owego tragicznego 1968 roku wybrali się niemal wyłącznie studenci naszej uczelni, którzy należeli do rodzaju jaki gdyby zobaczył np. ofiarę wypadku na ulicy, wówczas by podbiegł aby ją ratować - zamiast biernie się przyglądać aż wykrwawi się ona na śmierć (tj. na pochód wybrali się głównie lojalni wobec uczelni studenci o uczynnym i aktywnym nastawieniu do życia, którzy poczuli się patriotami i którym honor uczelni leżał najbardziej na sercu, jednak którzy wcale NIE byli aktywni politycznie). Natomiast owi politycznie aktywni studenci na których czystka owa była nacelowana, zupełnie zignorowali ów pochód, wszakże honor uczelni i patriotyzm dla nich NIE były motywujące. Wynikiem więc owej niedoskonałości w realizacji prowokacji i czystki było, że kiedy po omawianym tu pochodzie pierwszo-majowym usunięci zostali z uczelni wszyscy ci studenci którzy wzięli w nim udział, faktycznie zamiast wyeliminować politycznie najbardziej aktywnych studentów, policja polityczna usunęła z uczelni tylko tych najbardziej lojalnych wobec uczelni i Polski, patriotycznych, honorowych, moralnych i zdyscyplinowanych studentów. Politycznie zaś aktywni studenci nadal pozostali na uczelni i nadal organizowali działania które z upływem czasu okazały się instrumentalne w zainicjowaniu lawiny zmian politycznych i w upadku komunizmu w Polsce.

Tak się jakoś złożyło, że ja też należałem do tych nielicznych studentów jakich poruszyły owe głośnie apele organizacji studenckich iż "honor uczelni zależy od twojego poczucia patriotyzmu i od twojego udziału w owym pochodzie". Z powodu tych apeli poszedłem więc na ów pochód, chociaż faktycznie to pochody zawsze wolałem oglądać jako widz, a stąd standardowo unikałem brania w nich udziału. Dzięki też opisywanemu tu "cudowi" stałem się prawdopodobnie jedynym uczestnikiem i świadkiem owego pochodu, który NIE został usunięty z uczelni, a stąd który może opisać jego przebieg z tzw. "pierwszej ręki". Opiszę więc teraz jak wyglądał przebieg tej części owego "prowokacyjnego" pochodu w której ja brałem udział. Oto więc jak część ta wyglądała:

Punkt zbiorczy dla studentów naszej uczelni był w bocznej uliczce w okolicach głównego dworca kolejowego Wrocławia. Ja przybyłem tam jako jeden z pierwszych, stanąłem więc w jednej z pierwszych czwórek, po prawej stronie, tak że potem maszerowałem tuż przy chodniku będąc z daleka widocznym. Oprócz mnie na pochód przybyło, szacując tak "na oko" około 40 studentów naszej politechniki, bowiem razem tworzyliśmy kolumnę zbliżoną wielkością do jednego plutonu polskiego wojska. Ja z widzenia znałem ich niemal wszystkich, bowiem jako długoletni działacz w "Uczelnianym Komitecie Stołókowym" miałem dyżury w praktycznie wszystkich stołówkach naszej politechniki. Mając zaś relatywnie dobrą pamięć wzrokową, z widzenia znałem więc większość studentów którzy jadali w owych stołówkach (niestety nam złą pamięć do nazwisk, NIE pamiętam więc żadnego nazwiska tamtych kolegów). Kilku studentów przyniosło plakaty o patriotycznej treści, co do czego jestem pewien bowiem jakaś osoba w cywilnym ubraniu kazała im je rozwinąć i pokazać co na nich napisane. Wszystkie plakaty jakie oni przynieśli stwierdzały wyłącznie coś patriotycznego, w rodzaju "niech żyje 1 maja". Kiedy pochód ruszył, zaraz w z owej bocznej uliczki maszerowaliśmy na główną dla pochodu ul. Świerczewskiego, pod koniec której stała trybuna. Na owej głównej ulicy pochodu zaczęło się też dzieć coś niezwykłego. Mianowicie, z tłumu gapiów jacy stali na chodnikach po obu stronach ulicy, zaczęły wychodzić grupki rosnącej cywilnej "młodzieży" w naszym wieku, które dołączały do tyłu naszej kolumny studenckiej zlewając się z nami w jedną grupę. W owym pochodzie każda organizacja i instytucja tworzyła odrębną grupę marszową, dołączanie

więc do nas owych roślących dodatkowych uczestników marszu wcale NIE było przypadkiem ani pomyłką. Wyraźnie, podobnie jak my, byli oni dobrze obeznani z musztrą i dyscypliną wojskową, bowiem maszerowali równie jak my zdyscyplinowani, w tym samym jak my rytmie i właściwą "noga" - tj. oni i my maszerowaliśmy tak jak jedna kolumna zgranego i dobrze przeszkolonego wojska. Ponieważ dołączali do tyłu naszej kolumny kiedy my już byliśmy zajęci marszem i zmuszeni do utrzymywania szyku czwórkowego, nie było jak spytać kim oni są, kogo reprezentują, ani dlaczego dołączają do naszej kolumny studenckiej. Ja wielokrotnie na nich się oglądałem, bowiem znając z widzenia gro studentów naszej uczelni, NIE byłem w stanie rozpoznać żadnego z nich. Zastanawiało mnie kim oni są, jako że byłem absolutnie pewien że NIE są oni studentami naszej uczelni, a prawdopodobnie wogóle NIE są studentami. Fascynowały mnie też ich wyrazy twarzy, bowiem wszyscy oni mieli ten sam wyraz jakby napięcia, przestrochu, niebezpieczeństwa, oraz determinacji. Kiedyś, wraz z wieloma innymi ludźmi, widziałem jak pod tamą na rzece Barycz koło rodzinnego miasta Milicza, kotłująca się tam woda pochwyciła pływaka i usiłowała go utopić, podczas gdy długo zawodziły wszelkie wysiłki zgromadzonych na brzegach ludzi aby mu dopomóc. Kiedy owa gotująca się woda wsysała go w dół i ponownie wyrzucała na powierzchnię, miał on właśnie taki sam wyraz twarzy jak członkowie owych roślących "uzupełnień" które dołączyły do naszej kolumny. Było ich też znacznie więcej niż nas, na oko oceniałbym że ponad dwa plutony - tj. około 100 osób. Tak rytmicznie, w milczeniu i "w nogę" - jak wojsko, domaszerowaliśmy niemal do trybuny. Kiedy dobrze widziałem już trybunę oddaloną od nas o mniej niż jakieś 100 metrów, w pierwszym przy ulicy rzędzie gapiów którzy stali na chodnikach obserwując nasz pochód, dostrzegłem moją ówczesną dziewczynę. Ona też mnie zobaczyła, maszerowałem bowiem tuż przed jej nosem. Zawołała mnie abym do niej dołączył. Ponieważ dziewczyna była wówczas dla mnie ważniejsza niż pochód, zaniechałem dalszego marszu, dołączyłem do niej, razem też z nią zaraz potem udaliśmy się do rynku miasta. Nie widziałem więc już tego co dalej się działo. Z opowiadań tylko potem usłyszałem, że kiedy kolumna moich kolegów wraz z owymi naszymi roślącymi "uzupełnieniami" dotarła do trybuny, zaczęła się "rozmrozić". Jak wierzę, rozmrozić ta celowo była zainicjowana, eskalowana i dokonywana wyłącznie przez uczestników owych "uzupełnień" którzy właśnie w jej celu dołączyli do naszej kolumny oraz którzy dla zdobycia dowodowych fotografii otoczyli potem naszych studentów - tak aby na zdjęciach wyglądało że to owi studenci ją wywołali. Dlatego wszyscy ci koledzy którzy maszerowali w owym pochodzie natychmiast potem mogli zostać oficjalnie usunięci z uczelni i siłą wcieleni do wojska. Tak oto uczelnia straciła najbardziej lojalnych, patriotycznych, honorowych, moralnych i zdyscyplinowanych studentów.

Z tamtym wysoce niesprawiedliwym usunięciem z Politechniki Wrocławskiej owych patriotycznych studentów wiąże się sprawa historycznej "sprawiedliwości". Moim zdaniem, uczelnia ta ma teraz obowiązek aby jakoś moralnie zrehabilitować każdego z nich. Dlatego ja wnioskowałbym aby w imię historycznej sprawiedliwości Politechnika Wrocławska odszukała ich wszystkich i każdemu z nich przyznała honorowy tytuł "magistra inżyniera honoris causa" - tj. tytuł moralnie rekompensujący ich za ten którego wówczas zostali niesprawiedliwie pozbawieni. Jeśli zaś któryś z nich już nie żyje, wówczas tytuł ten powinien mu zostać przyznany pośmiertnie. Przyznanie im takich tytułów faktycznie okazałoby się też wysoce korzystne dla samej Politechniki Wrocławskiej. Wszakże dla tej uczelni byłoby to też doskonałym posunięciem w tzw. "Public Relations" (PR). Rozgłos tego wysoce słusznego i sprawiedliwego posunięcia rozniósłby się przecież po całej Polsce, a być może nawet i po całym świecie.

Nie muszę tu już wyjaśniać, że wiedza moralna jaką ja gromadzę i upowszechniam za pośrednictwem swoich publikacji oraz filozofii totalizmu, ogromnie by skorzystała gdyby udało się poznać dalsze losy chociaż niektórych z owych studentów niesprawiedliwie wówczas usuniętych z Politechniki Wrocławskiej. Dlatego jeśli przypadkiem czytający te słowa jest jednym z owych studentów, albo potomkiem któregoś z nich, albo też jego przyjacielem lub znajomym, wówczas bardzo bym prosił aby ze mną się skontaktował. Równie cenne byłoby gdyby zechciał się ze mną skontaktować któryś z byłych członków owych "uzupełnień" jakie wówczas dołączyły do naszej kolumny - wszakże

dzięki internetowi gdyby zwechciał to mógłby nawet wymieniać ze mną informacje z utrzymaniem swej anonimowości. Moje dane kontaktowe zawsze są podane na stronie tytułowej każdego tomu moich monografii, a także na końcu każdej z moich stron internetowych.

Ja przez długi czas uważałem tamto uniknięcie zostania usuniętym z uczelni za "przypadek" i za "szczęśliwy zbieg okoliczności". Wszakże w tamtych czasach byłem "ateistą". Jednak w 1985 roku opracowałem swój Koncept Dipolarnej Grawitacji (opisany w tomach 4 i 5 monografii [1/5]) który udowodnił że Bóg istnieje. Kiedy zaś po 1985 roku zacząłem studiować metody działania Boga, jednym z odkryć było, że to co mi się przytrafiło podczas tamtego marszu pierwszo-majowego z 1968 roku, reprezentowało typowe posunięcie Boga w przypadkach kiedy czyjeś losy należy "skorygować" aby mogły one właściwie służyć zrealizowaniu planów Boga. To właśnie takie "korygujące" działania Boga są powodem dla którego jeśli np. Tytanik ma zatonać, wówczas zawsze jest kilka osób którym w ostatnim momencie coś przeszkodzi w wejściu na jego pokład, jeśli zaś np. jakiś samolot ma uderzyć w drapacze chmur WTC, wówczas zawsze ktoś zmuszony jest zamienić bilety lub coś go powstrzyma przed zdążeniem na lotnisko. W późniejszym życiu słyszałem o wielu tego typu zdarzeniach. Tym z nich, które najsilniej dowodził że wszystkie one reprezentują bezpośrednie interwencje Boga, było autentyczne zdarzenie z okresu pierwszej wojny światowej opowiedziane o godzinie 18:40 w poniedziałek dnia 25 kwietnia 2011 roku w programie telewizyjnym z kanału "Maori TV" w telewizji nowozelandzkiej. Mianowicie, oficer biorący udział w tamtej wojnie został wysłany ze swym plutonem do zrealizowania jakiegoś odosobnionego zadania. Kiedy żołnierze rozłożyli namiot aby tam przenocować, przybył motocyklista z rozkazem ze sztabu, że oficer ten ma wrócić do sztabu po dalsze instrukcje. Oficer pobiegł więc do sztabu, jednak tam się dowiedział że to musi być jakaś pomyłka, bowiem NIE ma dla niego żadnych nowych instrukcji, ani armia NIE ma żadnego motocyklisty który mógłby dostarczyć mu taki rozkaz powrotu do sztabu (w okresie pierwszej wojny światowej motocykle były ogromną rzadkością). Oficer wrócił więc do swego plutonu. Kiedy jednak do niego dotarł okazało się że w międzyczasie namiot otrzymał bezpośrednie uderzenie pociskiem artyleryjskim i wszyscy w nim zginęli. Jego więc "odwołanie" do sztabu było jakąś "nadrzędną interwencją" mającą uratować mu życie.

#F3. Karma ze "strajku okupacyjnego" na Politechnice Wrocławskiej, z marca 1968 roku:

(Ten punkt ciągle oczekuje na przygotowanie w przyszłości, tj. gdy zdołam znaleźć wymagany czas aby go naukowo rozpracować i udokumentować. W międzyczasie proponuję poczytać o jednym z aspektów owego strajku okupacyjnego studentów Politechniki Wrocławskiej z punktów #C3 i #C4.2 innej strony o nazwie nirvana_pl.htm.)

#F4. Karma za wyciszenie studenckich "juwenaliów":

(Ten punkt też ciągle oczekuje na przygotowanie w przyszłości, tj. gdy zdołam znaleźć wymagany czas aby go naukowo rozpracować i udokumentować. W międzyczasie proponuję poczytać o owych juwenaliach z punkcie #D21 niniejszej strony.)

Część #G: Podsumowanie, oraz informacje końcowe tej strony:

#G1. Podsumowanie tej strony:

Każde miasto jest jak kostka - może być oglądane z aż kilku odmiennych stron. Powyżej opisana została jedna z rzadziej oglądanych takich stron dla miasta Wrocławia.

#G2. Jak dzięki stronie "skorowidz.htm" daje się znaleźć totalizyczne opisy interesujących nas tematów:

Cały szereg tematów równie interesujących jak te z niniejszej strony, też omówionych zostało pod kątem unikalnym dla filozofii totalizmu. Wszystkie owe pokrewne tematy można odnaleźć i wywoływać za pośrednictwem skorowidza specjalnie przygotowanego aby ułatwiać ich odnajdowanie. Nazwa "skorowidz" oznacza wykaz,

zwykle podawany na końcu książek, który pozwala na szybkie odnalezienie interesującego nas opisu czy tematu. Moje strony internetowe też mają taki właśnie "skorowidz" - tyle że dodatkowo zaopatrzone w zielone linki które po kliknięciu na nie myślą natychmiast otwierają stronę z tematem jaki kogoś interesuje. Skorowidz ten znajduje się na stronie o nazwie skorowidz.htm. Można go też wywołać z "organizującej" części "Menu 1" każdej totalizycznej strony. Radzę aby do niego zaglądnąć i zacząć z niego systematycznie korzystać - wszakże przybliży on setki totalizycznych tematów które mogą zainteresować każdego.

#G3. Blogi totalizmu:

Warto także okresowo sprawdzać "blog totalizmu" który działa już od kwietnia 2005 roku, w czasach ostatniej aktualizacji tej strony ciągle dostępny pod adresami totalizm.wordpress.com oraz totalizm.blox.pl/html. (Odnotuj że oba te adresy zawierają lustrzane kopie bloga totalizmu o takiej samej treści wpisów.) Wszakże na "blogu totalizmu" wiele ze spraw omawianych na tej stronie naświetlane jest na bieżąco dodatkowymi komentarzami i informacjami spisywanymi w miarę jak nowe zdarzenia stopniowo rozwijają się przed naszymi oczami.

#G4. Internetowe dyskusje nad tematami poruszonymi na niniejszej stronie:

Czytelników pragnących przedyskutować dowolny z tematów poruszonych na tej stronie, lub na innych stronach totalizmu, prawdopodobnie zainteresuje wiadomość, że tematy te są dyskutowane publicznie na całym szeregu wątków z googlowskich grup dyskusyjnych. Tematyka i adresy owych wątków są wylistowane w punkcie #E2 z totalizycznej strony internetowej o nazwie faq_pl.htm.

#G5. Proponuję okresowo powracać na niniejszą stronę w celu sprawdzenia dalszych uaktualnień ciekawostek o Wrocławiu:

W celu śledzenia jak dalej będzie uszpawniana niniejsza strona o Wrocławiu, warto czasami do niej powracać. Z definicji strona ta będzie bowiem poddawana dalszemu udoskonalaniu i poszerzeniom, w miarę jak pojawią się ewentualne nowe informacje lub okoliczności które zainspirują jej zaktualizowanie. Jeśli więc w przyszłości zechcesz czytelniku poznać te nowiny, wówczas odwiedź tą stronę ponownie. Ja bowiem będę okresowo aktualizował jej zawartość, w miarę jak rozwój sytuacji przysporzy jakichś wydarzeń lub informacji wartych tu zaraportowania.

#G6. Kontakt z autorem tej strony - dr inż. Janem Pajak:

Aktualne adresy emailowe autora tej strony, pod jakie można wysłać ewentualne uwagi lub zapytania, podane są na stronie: o mnie (Dr Jan Pajak). Tam również dostępne są adres pocztowy oraz numery telefonu autora.

#G7. Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak:

Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak. Wszystkie prawa zastrzeżone. Na kilku swoich stronach, włączając w to niniejszą, prezentuję fotografie które posiadają dla mnie wartość osobistą i sentymentalną. Fotografie z owych stron wprawdzie wystawiam do ich oglądnięcia przez zainteresowane osoby, jednak NIE chciałbym aby je ktoś kopiował czy upowszechniał dalej. Dlatego niniejszym wyjaśniam, że dla wszystkich fotografii zaprezentowanych na tej stronie, posiadaczem praw copyrights jestem ja, znaczy Dr Jan Pajak. Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna z tych fotografii nie może zostać zreprodukowana bez uprzedniego otrzymania mojego osobistego (tj. podpisanego ręcznie przez Jana Pajaka) pozwolenia na piśmie wydanego specyficznie dla danej fotografii.

* * *

If you prefer to read in English
click on the flag
(Jeśli preferujesz język angielski
kliknij na poniższą flagę)

Data założenia niniejszej strony: 5 czerwca 2004 roku.
Data jej najnowszego aktualizowania: 7 maja 2011 roku.
(Sprawdź w "Menu 3" czy już istnieje nawet jej nowsza aktualizacja!)

Rozdział D:

KRAJE POZNANE PRZEZ AUTORA

Niniejszy rozdział D zawiera strony prezentujące "ulubione kraje autora". Ponieważ zaś autor wiele podróżował i często zmieniał miejsca swego zamieszkania, takich ulubionych krajów jest sporo. Dlatego, niestety, nie wszystkie z nich mogą być opisane na stronach autora. Niemniej te najbardziej pamiętne i najbardziej ulubione, są opisane w tym rozdziale.

Powinienem tutaj dodać, że do ulubionych krajów autora należy także Nowa Zelandia, w której autor mieszka i w której pięknie jest "zakochany".

Podrozdział D1:

Tajemnice i ciekawostki Nowej Zelandii

Niniejsza strona jest częścią mojego współzawodnictwa z krowami i owcami. Chodzi bowiem o to, że Nowa Zelandia jest znana w świecie jako kraj w którym na każdego mieszkańca przypadają niemal 2 krowy i 1000 owiec. Dlatego ja zdecydowałem, że oficjalnie powinienem rzucić wyzwanie tym wszystkim krowom i owcom. Moje wyzwanie polega więc na tym, że chciałbym wygrać z tłumem owych krów i owiec i spowodować że Nowa Zelandia stałaby się znana jako kraj w którym w www.google.com jest już więcej odwołań do Jana Pajak niż całkowita liczba krów, a nawet owiec, w całym owym kraju. Na przekór humoryzmu tego współzawodnictwa, jego wymowa faktycznie symbolizuje wszystkie skrajności moralne dotychczasowego życia na Ziemi (korygowane dopiero przez filozofię totalizmu). Nic dziwnego, że jak dotychczas krowy i owce zawsze wygrywały. Mam jednak nadzieję, że poprzez poszukiwanie moich stron internetowych w Google, czytelnik zwiększy moje szanse na wygraną w tym współzawodnictwie. (Co zaś można znaleźć na moich stronach - wyszczególniłem to dokładnie na stronie [skorowidz.htm](#).)

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Co opisuje niniejsza strona internetowa:

Gdyby ktokolwiek nas zapytał jaki kraj na świecie jest najbardziej tajemniczy, prawdopodobnie mielibyśmy poważne trudności z dokonaniem wyboru. Wszakże wiemy o piramidach z Egiptu, o tajemniczych kamiennych monumentach z Południowej Ameryki, o Wielkim Murze Chińskim i o wszelkich owych tajemnicach jakie go otaczają, itd. Nigdy byśmy zapewne nie przypuszczali, że miniaturowe wersje tych tajemnic z wszelkich innych krajów, można także znaleźć w Nowej Zelandii. I tak Nowa Zelandia w części zwanej Coromandel posiada dwie małe piramidy, w lasach Kaimanawa posiada ruiny kamiennej świątyni w stylu Machu Picchu (jak te z Peru), w tzw. Northland posiada ona miniaturę Wielkiego Muru Chińskiego, posiada ona także własne miejsce eksplozji jakie jest nawet bardziej spektakularne niż słynna eksplozja Tunguska z 1908 roku z Centralnej Syberii, a na dodatek do tego wszystkiego posiada ona jeszcze wiele lokalnych tajemnic jakie wcale nie występują w innych krajach świata, oraz jakie w Nowej Zelandii mogą być tanio badane przez wszystkich zainteresowanych. Czyli owa popularna opinia o Nowej Zelandii, że jest to kraj w jakim niemal wszystko jest czymś monopolem niedostępnym dla normalnej kieszeni, oraz gdzie jedynie daje się zobaczyć 1000 owiec przypadających na każdego mieszkańca, jest dosyć mylące. Problem leży jednak w tym, że w sprawie tajemnic swego kraju Nowozelandczycy są wyjątkowo nieśmiali i skromni. Nie lubują się oni w przechwałkach na temat posiadanych tajemnic. Szczególnie jeśli tajemnice te nie są uznawane ani wytłumaczalne przez dzisiejszą oficjalną naukę. Raczej wolą zabrać swojego rozmówcę na dobry kufel piwa, lub obejrzeć z nim podniecający mecz rugby, niż wymądrzać się w wyjaśnianiu miejscowych tajemnic. W ten sposób, na przekór że kraj ten dosłownie przelewa się tajemnicami, ktoś musi mieć wiele szczęścia aby cokolwiek znaleźć na ich temat w miejscowych broszurkach turystycznych czy w miejscowych oficjalnych publikacjach.

Niniejsza strona internetowa właściwie jest wstępnym raportem który podsumowuje wyniki moich "prywatnych badań" nad tajemnicami Nowej Zelandii (jeśli uwierzyć że istnieje coś takiego jak "prywatne badania" - wszakże wszelkie badania w końcowym efekcie zawsze służą całej ludzkości). Strona ta jest nastawiona na ujawnienie w jakich obszarach badania te zostały dokonane, oraz jakie wyniki one wniosły. Ponadto wskazuje ona gdzie dokładnie w moich monografiach naukowych badania nad daną

tajemnicą zostały opisane bardziej szczegółowo i dostarcza darmowych egzemplarzy tych monografii dla załadowania sobie do własnego komputera. Strona ta wskazuje też dokładne dane innych źródeł informacji związanych z daną tajemnicą, takich jak artykuły w gazetach, nazwy miejsc, itp. Poprzez dostarczenie tego wszystkiego, identyfikuje ona te rodzaje tajemniczych widoków i zjawisk, które są warte oglądnięcia w Nowej Zelandii. Wszakże nie daje się niczego znaleźć na ich temat w oficjalnych przewodnikach turystycznych. Podczas czytania o opisywanych tutaj tajemnicach, warto sprawdzić ich położenie na mapach Nowej Zelandii. Mapy te można znaleźć na stronie internetowej www.linz.govt.nz. Ponieważ jestem naukowcem który strannie bada każdą z tajemnic opisywanych poniżej, razem z prezentacją każdej z nich podałem również moje własne wyjaśnienie dla mechanizmu jaki za tajemnicą tą się ukrywa. Zapraszam każdego do zweryfikowania zasadności tych moich wyjaśnień.

#A2. Istnieje też alternatywny obraz Nowej Zelandii:

Jeśli ktoś zwiedza Nową Zelandię za pośrednictwem jakiejś oficjalnej wycieczki poprzez biuro podróży, wówczas ogląda tam standardowe widoki. Znaczący przewodnicy pokazują ten kraj pełen tajemnic i niewyjaśnionych zjawisk mniej więcej w następujący sposób: oto gejzery Rotoruy - aby móc oglądać podobne poza Nową Zelandią trzeba się wybrać aż do Islandii albo do USA, oto świecące się glizdy - wyglądają one niemal jak zakotwiczone w jednym miejscu robaczki świętojańskie z Europy lub świetliki "klip-klip" z Malezji, oto lodowce wybrzeża zachodniego - aby zobaczyć podobne trzeba się wybrać do Norwegii lub na Alskę, tutaj turyści mogą nabyć nowozelandzkich owoców - są one tu niemal równie tanie jak w sklepach, tutaj wolno pogłaskać owieczki - oczywiście dopiero po wykupieniu tej atrakcji, itd., itp. (Po przykład potraktowania przez biura podróży patrz artykuł "Chinese get souvenirs, not the Kiwi sights" (tj. w tłumaczeniu znaczeniowym "Chińczykom oferowane są pamiątki, a nie faktyczne widoki Nowej Zelandii") ze strony A5 gazety The New Zealand Herald, wydanie z piątku (Friday), January 25, 2008. Z kolei życiowa rada dla turystów odwiedzających Nową Zelandię zawarta jest w artykule "Travel in groups, Asians told" (tj. "Zawsze poruszaj się w grupie, Azjaci instruowani") ze strony A1 nowozelandzkiej gazety The Press, wydanie z czwartku (Thursday, July 3, 2008.) Tymczasem w Nowej Zelandii można zobaczyć też rzeczy których nie daje się zobaczyć w żadnym innym kraju - tak jak niniejsza strona to wyjaśnia. Większość też z nich jest do wglądu za darmo. Trzeba jedynie wiedzieć gdzie ich poszukiwać, oraz oczywiście trzeba nieco zboczyć z ustalonych szlaków turystycznych.

#A3. Cele do osiągnięcia poprzez niniejszą stronę:

Niniejsza strona ma na celu pokazanie alternatywnej Nowej Zelandii. Znaczący pokazanie Nowej Zelandii pełnej tajemnic, niewyjaśnionych zjawisk, naukowych zagadek których niemal nikt nie bada, szokującej historii której istnieniu oficjalnie się zaprzecza, itp. Czyli zobaczenie tej unikalnej Nowej Zelandii, jaka wcale nie jest powtórzeniem któregośkolwiek z innych miejsc na Ziemi.

* * *

Tak więc proponuję rzucić okiem na te ciekawostki i tajemnice Nowej Zelandii, które zdążyłem już przebadać i przetransformować w poniższą ich prezentację. Oto one.

Część #B: Konwencjonalne ciekawostki:

#B1. Wykrywacz nadchodzących trzęsień ziemi - znaczący starożytny instrument jaki alarmuje o zbliżającym się trzęsieniu ziemi zanim ono nas uderzy.

Jeśli czytelnik interesuje się aparatem zbudowanym przez starożytnych Chińczyków w 132 roku AD (czyli niemal 2000 lat temu), który to aparat już w owych czasach pozwalał na zdalne wykrywanie gotujących się trzęsień ziemi z odległości nawet przekraczających 500 km (tj. już wtedy pozwalał osiągać to czego dzisiejsza nauka nadal NIE jest w stanie osiągnąć), wówczas powinien zaglądnąć albo do odrębnej strony o

nazwie seismograph_pl.htm, albo też do do punktu #G4 pokrewnej strony newzealand_visit_pl.htm - o atrakcjach Nowej Zelandii wywodzących się od ludzi. Aparat ten opisany jest też w moim referacie na konferencję naukową ICST-2005. Referat ów może być znaleziony pod adresem http://www-ist.massey.ac.nz/conferences/icst05/proceedings/ICST2005-Papers/ICST_112.pdf. Aż do 2010 roku replika addająca przybliżony wygląd tego aparatu była wystawiona w nowozelandzkim muzeum zwanym Te Papa (w 2010 roku została jednak usunięta z aktywnej wystawy).

Fot. #B1 (K6 w [1/5]): Powyższe zdjęcie pokazuje przybliżony wygląd owego zdalnego wykrywacza nadchodzących trzęsień ziemi który aż do 2010 roku wystawiony był do oglądania w nowozelandzkim muzeum Te Papa (jego niespodziewane i raptowne usunięcie z aktywnej wystawy opisuje wyjaśnienie pod "Fot. #D1" ze strony o nazwie seismograph_pl.htm). Aparat ten odbiera "chi" (tj. sygnały telepatyczne) wysyłane przez każde trzęsienie ziemi które dopiero się gotuje. Po ich wykryciu podnosi on alarm zanim trzęsienie to uderzy. (Kliknij na to zdjęcie aby oglądnąć je w powiększeniu.)

#B2. Techniczne cuda świata:

Niezależnie od opisanego w powyższym punkcie #B1 aparatu do zdalnego wykrywania trzęsień Ziemi, w starożytności na naszej planecie zbudowanych zostało cały szereg innych urządzeń technicznych, których zaawansowanie technologiczne przekracza nawet dzisiejszy poziom wiedzy i techniki naszej cywilizacji. Niestety, z powodów opisanych w punkcie #G1 strony [eco_cars_pl.htm](#), technologia budowy tych cudownych urządzeń technicznych została stracona dla naszej cywilizacji. Urządzenia te muszą więc zostać wynalezione przez ludzi od samego początku. Ponownie wynalazki te będą więc musiały się przebijać przez blokady "przekleństwa wynalazców". Pełny wykaz oraz opisy owych "technicznych cudów świata" zawarte są w punkcie #H3 odrębnej strony [newzealand_visit_pl.htm](#).

#B3. Moralny mechanizm "samokaranie się" danej społeczności, zwany przekleństwem wynalazców, manifestujący się poprzez wynalazczą impotencję:

W Nowej Zelandii szczególnie silnie działa na twórczych ludzi mechanizm moralnego "samokarania się" danej społeczności, który ja bezosobowo nazywam "przekleństwem wynalazców". W punktach #B4.4 i #H1 strony internetowej o nazwie [mozajski.htm](#) mechanizm ten wyjaśniam w następujący sposób: " 'przekleństwo wynalazców' jest to moralny mechanizm takiego sterowania losami twórczych wynalazców i naukowców, aby z pomocą symbolicznego przekierowania na nich następstw niemoralności grup ludzkich wśród których muszą oni żyć i pracować, spowodować efekt 'somoukarania się' owych grup i społeczności". Innymi słowy, "przekleństwo wynalazców" powoduje że niemoralne społeczności są karane "wynalazczą impotencją". Oczywiście, za następstwami działania tego mechanizmu moralnego kryją się konkretne osoby i instytucje którym dana społeczność pozwala wyniszczać twórczych ludzi ze swego grona. Wykaz nowozelandzkich wynalazców których zjawisko to zniszczyło, uniemożliwiając im wdrożenie swoich wynalazków, zawarty jest m.in. w punkcie #G1 strony [newzealand_visit_pl.htm](#). Z kolei fotografie niektórych z owych twórczych wynalazców, lub fotografie niektórych z ich wynalazków, pokazane są poniżej.

Fot. #B2 (11 z [6/2]): Dr Jan Pajak i maszyna Wimshurst'a - czyli jeden z moich własnych wytłumionych wynalazków. Fotografia ta pokazuje mnie (dra inż. Jana Pajaka) trzymającego w rękach nową maszynę elektrostatyczną Wimshurst'a, którą zakupiłem z zamiarem użycia jej jako inicjującego podzespołu do budowy efektywnego urządzenia darmowej energii nazywanego "telekinetyczna influenmaschine" - po szczegóły patrz strona [telekinetyka.htm](#) - a urządzeniach telekinetyki. Oryginalnie jest to rysunek 11 z

monografii [6/2]. (Kliknij na to zdjęcie aby oglądnąć je w powiększeniu.)

Fot. #B3 (T3 z [10]): Pomnik Richard'a Pearce oraz Dr Jan Pajak - czyli wynalazek i wynalazca zniszczeni przez własnych rodaków. Powyższa fotografia pokazuje pomnik wystawiony Richard'owi Pearce oraz jego samolotowi. Pomnik ten wzniesiony został niedaleko małego miasteczka "Pleasant Point" z Wyspy Południowej Nowej Zelandii. Oznacza on miejsce w którym samolot Pearce'a z sukcesem został wypróbowany w locie. Więcej informacji na temat losów Richard'a Pearce i jego samolotu zaprezentowanych zostało na stronie mozajski.htm - o wynalazcy pierwszego w świecie samolotu. (Kliknij na to zdjęcie aby oglądnąć je w powiększeniu.)

Fot. #B4 (T2 z [10]): Pierwszy samolot na świecie zbudowany został i oblatany w carskiej Rosji latem 1882 roku (tj. na 21 lat przed Braćmi Wright). Pokazany on jest na powyższej ilustracji zreprodukowanej ze starej rosyjskiej encyklopedii. Na nieszczęście, tzw. "przekleństwo wynalazców" spowodowało, że świat nigdy nie dowiedział się o tym samolocie, podczas gdy jego plany i prototyp gromadziły kurz w przepastnych archiwach carskiej Rosji. Więcej danych o samolocie Możajskiego można znaleźć na stronie mozajski.htm - o Aleksandrze Możajskim który jako pierwszy w świecie zbudował samolot. (Kliknij na to zdjęcie aby oglądnąć je w powiększeniu.)

Fot. #B5: Od około 2004 roku, w najważniejszym muzeum Nowej Zelandii zwanym "Te Papa", na 3-cim piętrze wystawiony był ten super-motocykl skonstruowany przez nowozelandzkiego geniusza technicznego o nazwisku John Britten. (Kliknij na to zdjęcie aby oglądnąć je w powiększeniu.) (Motocykl ten ciągle był tam wystawiany w maju 2011 roku, kiedy to dokonywałem kolejnej aktualizacji niniejszej strony.) Niestety, ów niezwykle dobrze zapowiadający się wynalazca i konstruktor, niespodziewanie zmarł na raka w 1995 roku, w środku najbardziej twórczego okresu swego życia, w wieku około 45 lat.

Niektórzy mogą mieć wątpliwości, czy istnieje jakiś związek pomiędzy np. śmiercią na raka w młodym wieku, a "przekleństwem wynalazców". Wszakże zgodnie z opisami z punktu #H1.6 strony newzealand_visit_pl.htm, działanie "przekleństwa wynalazców" jest wynikiem wyniszczania twórców przez niemoralnych reprezentantów społeczności wśród której owi twórcy mieszkają. Jeśli jednak dobrze się zastanowić, to rak jest powodowany m.in. przez trucizny wprowadzane do żywności przez daną społeczność. Z kolei owe trucizny są właśnie objawem wyniszczania bliźnich przez niemoralnych reprezentantów danej społeczności.

#B3.1. Wynalazca którego warto poznać - czyli "rekordzista świata" którego wynalazek był blokowany przez ponad 60 lat (tj. przez ponad 2/3 długości jego życia):

W punkcie #G2 odrębnej strony newzealand_visit_pl.htm - o atrakcjach Nowej Zelandii wywodzących się od ludzi opisany jest nowozelandzki wynalazca oraz pokazany jego wynalazek, losy których są szczególnie wymowne. Wynalazca ten i jego wynalazek były niszczone przez owo "przekleństwo wynalazców" przez okres ponad 60 lat. Na temat jego losu i szokujących perypetiów życiowych istnieje także całkowicie odrębna strona internetowa boiler_pl.htm - o historii rewolucyjnej grzałki która bije wszelkie rekordy.

Fot. #B6: Mr Peter Daysh Davey demonstruje swoją "grzałkę soniczną". Grzałka ta powstrzymana była przez "przekleństwo wynalazców" przez rekordowy okres ponad 60 lat. Szokująca historia wynalazku owej grzałki Pana Davey, opisana została też na odrębnej stronie internetowej boiler_pl.htm - o szokującej historii rewolucyjnej grzałki która bije wszelkie rekordy. (Kliknij na powyższe zdjęcie aby oglądnąć je w powiększeniu.)

Część #C: Niezwykłości Nowej Zelandii wynikające z nietypowej historii i kolei losów tego ładu:

#C1. Brak rodzimych zwierząt lądowych:

Niemal każde państwo na świecie posiada najróżniejsze miejscowe zwierzęta lądowe, takie jak ssaki, węże, itp. Jednak nie Nowa Zelandia. Miejscowe stworzenia Nowej Zelandii głównie obejmują ptaki oraz kilka innych gatunków jakie mogły dostać się do Nowej Zelandii za pośrednictwem podmuchów wiatru, lub będąc uczepione do powierzchni najróżniejszych obiektów jakie tam przyplłynęły niesione prądami oceanów. Oryginalnie Nowa Zelandia nie miała więc ani węży, ani ssaków, ani nawet ryb całkowicie słodkowodnych. Oczywiście, to ma wiele dobrych stron, bowiem w Nowej Zelandii jak narazie nikt nie musi się bać np. węży. Stąd scena taka jak ta pokazana na zdjęciu z "Fot. #C1" narazie nie może się tam zdarzyć. (Aczkolwiek najróżniejsi niszczycielscy przemytnicy usilnie się starają aby przemyścić kilka jadowitych węży do Nowej Zelandii.) Nowa Zelandia ukrywa jednak również i naukową tajemnicę oraz rodzaj "paradoksu fauny" wynikających z owego braku rodzimych zwierząt lądowych. Mianowicie, dlaczego Nowa Zelandia nie posiada owych miejscowych zwierząt lądowych, na przekór że jest pełna ich skamienielin?

Fot. #C1: Ogromny wąż dusiciel pyton uchwyciony na zdjęciu wkrótce po tym jak zadusił on człowieka - "tapper'a" i przystępował do jego połknięcia. (Kliknij na to zdjęcie aby oglądać je w powiększeniu.) (Nazwa "tapper" przyporządkowana jest w Malezji do osób które spuszczają żywicę z drzew kauczukowych - pochodzi ona od angielskiego słowa "tap" czyli "spuszczać".) Powyższa fotografia ilustrowała artykuł "Python kills tapper" (tj. "Pyton zadusił tapper'a") jaki ukazał się na stronie 7 w Malezyjskiej gazecie The Sun, wydanie datowane 6 września (September) 1996 roku. W czasie kiedy owo zaduszenie człowieka przez ogromnego węża miało miejsce w Malezji, ja właśnie przebywałem w tamtym kraju. Przez więc spory czas owo zdjęcie odbierało mi smak na wybieranie się na wycieczki do tropikalnej dżungli, co przed tym nieszczęśliwym zdarzeniem było jednym z bardziej moich ulubionych zajęć ruchowych. Wcale nie odstraszało mnie wówczas, że tropikalna dżungla w Malezji jest pełna niebezpiecznych zwierząt. Oprócz węży dusicieli, takich jak ten pokazany powyżej, żyją tam wszakże dzikie tygrysy i dzikie słonie, ogromne mordercze krokodyle, silne i agresywne małpy (orangutany), szerszenie i skorpiony których jedno ukąszenie zabija, a także całe zatręśienie najróżniejszych jadowitych węży, ze wszystkimi odmianami słynnej kobry na czele. Praktycznie też w tropikalnej dżungli wszystko gryzie, drapie, rozcina, albo rani - niebezpiecznie jest tam więc dotykać czegokolwiek. Odnotuj że powyższe zdjęcie pokazują także na stronie predators_pl.htm.

Powyższe warto też uzupełnić informacją, że z różnych powodów coraz więcej morderczych stworzeń, które kiedyś zagrażały ludziom tylko w tropikalnych krajach, obecnie pomalutka trafia do Nowej Zelandii. Jako przykład patrz opisy z punktu #K1.6 poniżej - w tym opis spotkania z morderczą meduzą którą ja kiedyś spotkałem w tropikalnej Malezji, jednak którą podobno można już spotkać w wodach Nowej Zelandii. Czyżby były one oznaką najazdu owych "Jeźdźców Apokalipsy" opisanych na stronie przepowiednie.htm - o nadejściu na Ziemię czasów kiedy wypełniają się biblijne przepowiednie.

#C2. Niedawne całkowite zatopienie Nowej Zelandii:

Wyjaśnienie dla owego "paradoksu fauny" oraz tajemnicy naukowej Nowej Zelandii, czyli dla braku w niej rodzimych zwierząt lądowych na przekór istnienia tam skamienielin tych zwierząt, dostarczyły moje "hobbystyczne" badania. Mianowicie, zgodnie z moimi badaniami, paradoks ten wynika z faktu że zgodnie z istniejącym materiałem dowodowym Nowa Zelandia jakoby najpierw około 23 000 lat temu została całkowicie zatopiona w oceanie, potem zaś około 13 500 lat temu wyłoniła się ponownie z dna oceanu. Wszystkie więc miejscowe zwierzęta lądowe zostały w niej potopione. Tak właśnie twierdzą też legendy miejscowych Maorysów. Na to wskazuje znaczna ilość materiału

dowodowego obecnego w Nowej Zelandii (np. wyjątkowo "ubita gleba", cieniutka warstewka czarnej gleby, zaokrąglone kanty każdej dużej skały, itp.) To także jest sugerowane przez alternatywną historię Nowej Zelandii, jaką ja opracowałem w wyniku swoich badań i jaką opisałem w podrozdziale V3 swej starszej monografii [1/4]. Jednak, oczywiście, wcale nie pokrywa się ona z tym co ortodoksyjni naukowcy Nowej Zelandii uparcie twierdzą - jako przykład ich upartych zaprzeczeń, patrz artykuł zatytułowany "NZ was never underwater say scientists" (tj. "NZ nigdy nie była pod wodą twierdzą naukowcy") opublikowany na stronie A5 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z wtorku (Tuesday), dnia 15 stycznia (January 15), 2008 roku. (W owym artykule jakiś naukowiec argumentuje, że niemożliwość zanurzenia NZ pod ocean jest potwierdzana przez obecność jaszczura "tuatara" w Nowej Zelandii, a także przez molekularne datowanie pyłku z "kauri" które wykazuje że nowozelandzkie i australijskie kauri wyodrębniły się od siebie już jakieś 40 do 90 milionów lat temu. Jednak owi naukowcy nie uwzględniają w swoich badaniach owych "fluktuacji czasu" opisywanych w punktach #F1 i #F2 strony internetowej o eksplozji Tapanui, które to fluktuacje mogły przenieść na trwałe do naszych czasów niektóre gatunki fauny i flory z czasów poprzedzających zatopienie NZ w oceanie.) Z tego powodu prawdopodobnie czytelnik powinien poznać ową alternatywną historię Nowej Zelandii i porównać ją z materiałem dowodowym obecnym w Nowej Zelandii, takim jak przykładowo: (1) bardzo cienka warstewka czarnej gleby, (2) pozaokrągłe krawędzie miejscowych gór, wysoce (3) sprężona i ubita gleba, itd., itp. Prawdopodobnie pewnego dnia stanie się możliwym udowodnienie, że ortodoksyjna historia Nowej Zelandii jest jedynie życzeniem ortodoksyjnych naukowców, podczas gdy naprawdę prawdziwa jest owa alternatywna historia. To przywróciłoby znaczenie legendom Maorysów, którzy starają się nam przekazać ową alternatywną historię przez całe lata, tyle że miejscowi naukowcy nie bardzo są gotowi udzielić jej należytej uwagi.

#C3. Związki Nowej Zelandii z Ameryką Południową:

Aczkolwiek Nowa Zelandia leży w pobliżu kontynentu Australii, faktycznie jest ona wielopoziomowo pokrewna z daleką Południową Ameryką. Przykładowo, niedawne badania genetyczne dokonywane na gigantycznych ptakach zwanych "Moa" (patrz ich opisy w punktach #H2 i #H3 oraz #11 poniżej), wykazują że owe ptaki są bliskimi krewniakami niewielkiego ptaka z Ameryki Południowej podobnego do europejskiej przepiórki a zwanego "tinamou". Opisy owych badań genetycznych zawierają dwa artykułach, mianowicie "Fat and lazy flying Moa brought down to earth" ze strony A4 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z soboty (Saturday) January 30, 2010; a także "Moa 'flew from South America' " ze strony A2 gazety The New Zealand Herald, wydanie z wtorku (Tuesday), February 2, 2010.

Intrygującą ciekawostką ptaków Moa jest że potwierdzają one odnotowywalną odmienną naturę wpływających na życie w Nowej Zelandii. Odmienną ta wyjaśniana jest dokładniej w punkcie #B1 oddzielnej strony [newzealand_visit_pl.htm](#). Wywiera ona znaczący wpływ na organizmy żywe. Przykładowo powoduje m.in. że sporo emigrantów wierzy iż kobiety urodzone w Nowej Zelandii często wykazują zupełnie odmienne zachowania i nawyki niż np. kobiety urodzone na półkuli północnej Ziemi. Owe badania genetyczne dokonywane na ptakach Moa, a opisywane w artykule "Mama Moa! The boys were given such a bullying" ze strony A3 gazety The New Zealand Herald (wydanie z wtorku (Tuesday), February 9, 2010), ujawniają szokujące zjawisko które dałoby się nazwać "dyskryminacją i prześladowaniami bazującymi na płci". Okazuje się, że na przekór iż w młodej populacji tych ptaków istniała taka sama liczba samców co samic, w dorosłej populacji tylko około 1 samiec ciągle był żywy na każde 5 samic. Wszystko wskazuje więc na to że samice Moa prześladowały swoich samców aż niemal do ich całkowitego wyćpienia.

Niezależnie od wywodzenia się ptaków Moa z Południowej Ameryki, w Nowej Zelandii żył także ogromny ptak-ludojad przez lud Maori (tj. Maorysów) zwany "Pouaki" zaś przez lud Moriori z Chatham Islands zwany "Poua". Informacja na temat owego mięsożernego ptaka zawarta jest m.in. na stronie 177 książki [1#C3] (cytowanej tu też jako

[1#E4.4]) pióra Gary J Cook and Thomas J Brown, "The Secret Land. People Before" (StonePrint Press, Christchurch, New Zealand, 1999, ISBN 0-9582040-0-4). Aczkolwiek dotychczas NIE udało się znaleźć (a może zidentyfikować) kości ani szczątków owego gigantycznego ptaka-ludojada (wszakże w Nowej Zelandii coś dziwnego dzieje się z dowodowo-istotnymi szczątkami - patrz też punkt #12 poniżej), z jego opisów w maoryskich legendach wynika że był on bardzo podobny do ptaka zwanego Terrorbird który żył właśnie w Południowej Ameryce aż niemal do historycznych czasów. Był on w stanie zmiażdżyć i zjeść człowieka jednym klapnięciem swego potężnego dzioba.

Na dodatek do powyższego, w Nowej Zelandii od samego początku rosło sporo roślin, w tym uprawnych, które oprócz niej znane są jedynie w Południowej Ameryce, np. ziemniaki czy kukurydza.

#C4. Pomarszczony czarny potwór-ludojad morski, który był jednak uprzejmy zrezygnować w ostatniej chwili ze zjedzenia mojej osoby:

Owego dnia z końcowej części lata 2002 roku wybrałem się na spacer nad brzegiem morza w opuszczonym i zaniedbanym byłym przymorskim obszarze piknikowym kilkaset metrów na południe od piaszczystej plaży przy miejscowości Waikouaiti (patrz "Fot. #F5). W owym czasie stały tam tylko ruiny jakby dużej przebieralni czy ubikacji, oraz spory plac-łączka ze śladami dawnych ognisk. Swój samochód zaparkowałem na łączce owego obszaru piknikowego tuż przy brzegu morza, oraz zacząłem swój spacer wzdłuż brzegu, tuż przy krawędzi wody. Byłem tam zupełnie sam. Brzeg morza w tym miejscu był twardy (pozbawiony piasku) i zbiegał w dół pod kątem około 30 stopni, tak że woda dosyć szybko stawała się głęboka. Nie uszedłem daleko, kiedy po prawej stronie, tylko jakieś trzy metry od mojej osoby, zobaczyłem w morzu wyprzedzającego mnie czarnego, pomarszczonego potwora. Podpłynął on do mnie bezszelestnie i od tyłu, z całą pewnością zamierzając mnie upolować. Gdyby wytrwał przy swoim zamiarze zjedzenia mnie, wówczas bym odnotował jego istnienie dopiero kiedy bym już znalazł się w jego paszczy. Na szczęście, z jakichś tam powodów w ostatniej chwili najwyraźniej zmienił swoje zamiary. Gdy ja go zobaczyłem, jego przednia część już mnie wyprzedzała, zaś sam potwór wykonywał właśnie łagodny manewr jakby odbijania się od brzegu po którym ja spacerowałem. Jednak przez sporą chwilę płynął niemal równoległe do brzegu, wirując i w około połowie średnicy wystając ponad powierzchnię wody - tak że miałem wystarczająco dużo czasu i dobrą jego widzialność aby go sobie dokładnie oglądać. Miał on kształt jakby czarnego torpeda czy walca o tej samej średnicy około 1.5 metra na całej swej długości. Jego długość oceniam na jakieś 20 metrów. Jego powierzchnia (skóra) była czarna jak smoła i NIE miała na sobie nawet najmniejszej części białej czy koloru innego niż czarny. Skóra ta była też bardzo dziwna, bowiem na całym obwodzie i całej długości tego potwora była jakby silnie pofałdowana czy pomarszczona. Mi ona przypominała jakby gigantyczny pusty worek z czarnej mokrej tkaniny, pościskany razem i skręcony tak aby uformował walec. Owe fałdy czy zmarszczki przebiegały podłużnie i wnikały głęboko w cielsko tego potwora. Były też one luźne i jakby bezwładne - tak jakby wogóle nie miały w sobie mięśni. Wyglądało to niemal tak jakby potwór wcale NIE miał solidnego ciała i mięśni, a cały składał się z dużej liczby luźnych i bezwładnych płatów poskładanych razem. Fałdy te nadawały mu odpychający, wręcz ohydny wygląd. Ponadto potwór ten sprawiał też wrażenie że wogóle nie ma szkieletu. W trakcie płynięcia wirował on bowiem wokół swej centralnej osi w raczej niezwykły sposób. Najbliższe co mi owo wirowanie przypominało, to jakby ktoś złapał w wodzie za przednią część jakiejś długiej, czarnej szmaty i zaczął tą część obracać - podczas gdy reszta bezwładnej szmaty jest pociągana przez ową przednią część i też zmuszana do wirowania. Innymi słowy, ów potwór wcale NIE wirował wokół swej osi tak jak wirowałaby duża ryba czy wieloryb, kiedy to całe ich ciało obraca się równocześnie z taką samą prędkością, a wirował jak korkociąg, czy jak owa bezwładna szmata obracana za swą przednią część. Potwór też jakby NIE miał oczu, a przynajmniej ja nie widziałem żadnych oczu - na przekór że miałem dobrą jego widoczność przez co najmniej dwa pełne jego obroty wirowe wokół własnej osi. Nie miał też ani płetw ani płaskiego ogona które by odstawały of jego walcowatego cielska - nie wiem więc na jakiej zasadzie płynął, choć widziałem że płynął

raczej szybko.

Od czasu kiedy widziałem owego potwora, przymierzam jego obraz do wszystkiego co już nam wiadomo że pływa to w morzach Nowej Zelandii. Jednak do niczego on NIE pasuje. Np. wiadomo, że drapieżne orki (po angielsku zwane "orcas" lub "killer whales") używają podobnej do mojego potwora metody polowania polegającej na cichym podkradaniu się od tyłu do fok na brzegu morza, skąd pożerają te foki jednym kłapnięciem swoich potężnych paszcz. Jednak "orki" mają białe łaty na brzuchu, ich skóra jest gładka, a ponadto NIE są aż tak duże i nie mogą wirować w sposób jaki ja widziałem. W morzach okolic Nowej Zelandii żyją też ogromne drapieżne mątwy (squids) zwane "arkatutos" lub "colossal squid". Jeden z nich pokazany jest poniżej na zdjęciu z "Fot. #14". Jednak mątwy te nie mają czarnego koloru, a ich skóra ma zabarwienie w całej gamie odcieni żółtego, czerwonego i brązowego. Ich skóra jest też gładka - a nie pofałdowana czy pomarszczona jak ta którą ja widziałem. Nie są one też aż tak ogromne jak mój potwór. Przykładowo, największy "colossal squid" jakiego dotychczas złapano był długi na 8 metrów i ważył 495 kilo (tj. niemal pół tony). Jego opis zawarty jest w artykule [C3] o tytule "Here's looking at you, squid", ze strony A2 gazety The New Zealand Herald, wydanie z czwartku (Thursday), May 1, 2008. Z badań też jego dzioba ustalono, że maksymalnie mógł on wyrosnąć do długości 14 metrów i do wagi 750 kg. W końcu taki "colossal squid" ma ogromne białe oczy - faktycznie to największe oczy świata. Przykładowo średnica gałek ocznych w owym "colossal squid" opisanym w artykule [C3] powyżej wynosiła 27 cm. Obecności takich więc ogromnych białych oczu nie mógłbym przegapić w potworze którego ja widziałem. Wygląda więc na to, że w morzach Nowej Zelandii żyje co najmniej jeszcze jeden gigantyczny potwór-ludojad, którego nauka ziemską nadal nie zna, a który zapewne przyczynia się sekretnie do owej znaczącej liczby ludzi corocznie znikających w Nowej Zelandii bez śladu ani wieści. (Po więcej informacji o owych zniknięciach - patrz punkt #K1 tej strony.)

Ja wcale nie jestem jedynym naukowcem który ma podstawy aby twierdzić że w morzach Nowej Zelandii nadal żyje co najmniej jeden ogromny potwór ciągle niepoznany przez ziemską naukę. W artykule "Hidden giants lurk in ocean deeps: scientists" (tj. "Ukryte giganty czają się w głębinach oceanów: naukowcy"), ze strony A14 gazety "The New Zealand Herald", wydanie datowane w poniedziałek (Monday), June 9, 2008, opisana jest naukowa metoda przewidywania odkryć niepoznanych jeszcze zwierząt. Bazuje ona na "krzywej trendu" w odkryciach danych zwierząt. Jak się okazuje, zgodnie z ową metodą, w głębinach oceanu ciągle ukrywa się jeszcze cały szereg gigantycznych potworów nieodkrytych przez dzisiejszą naukę.

Co mnie w owym przypadku najbardziej zastanawia, to że cechy owego potwora zupełnie nie pasują do jakiegokolwiek gigantycznego stworzenia której jest już obecnie znane ziemskiej nauce. Za to raczej dobrze pokrywają się one z cechami gigantycznej czarnej ośmiornicy głębinowej opisywanej przez pradawny folklor żeglarski i przez stare legendy. Ośmiornica taka miała być aż tak duża, że potrafiła swymi mackami oplątać całe dawne okręty - co by pasowało do wymiarów potwora którego ja widziałem. Na dodatek wszystkie ośmiornice są bardzo inteligentne (a stąd trudne do złapania), zaś właśnie wysoką inteligencję wykazywało zachowanie mojego potwora. W końcu, jeśli dobrze się zastanowić, to skoro telekinetyczne skażenie Nowej Zelandii (to od eksplozji UFO koło Tapanui) faktycznie spowodowało wymutowanie się gigantycznej mątwy (squid'a), nie ma powodów dla jakich to samo telekinetyczne skażenie nie mogłoby wymutować także i gigantycznej ośmiornicy.

#C5. Tajemnicze masowe śmierci stworzonek:

W Nowej Zelandii co jakiś czas ma miejsce masowa śmierć jakiegoś pojedynczego gatunku zwierząt lub żyjątek. Dotychczas natknąłem się już na wzmianki o aż kilku przypadkach takiego masowego wymierania. Aczkolwiek w każdym z tych przypadków oferowane było ludziom jakieś dogodne wyjaśnienie, wszystkie owe wyjaśnienia faktycznie "nie trzymały się kupy" i wyglądały tak jakby były jedynie "zasłoną dymną" która ma ukryć jakieś faktyczne przyczyny o których świat nie powinien się

dowiedzieć.

Pierwszy z owych przypadków który zwrócił moją uwagę było wyginięcie niemal wszystkich dzikich królików. W początkowym okresie mojego pobytu w Nowej Zelandii, tj, w latach 1982 do 1992, powierzchnia owego kraju dosłownie roła się od królików (choć nie można było wówczas kupić mięsa królika w żadnym sklepie tego kraju). W 1992 roku zmuszony byłem jednak wyjechać "za chlebem" z owego kraju - tak jak to opisuję na stronie o mnie (Dr Jan Pająk). Kiedy wróciłem do Nowej Zelandii w 1999 roku, królików już nie było. Oficjalna wersja wyjaśnienia stwierdzała, że jakiś rolnicy tak mieli dosyć zniszczeń dokonywanych przez owe króliki, że sprowadzili z Australii chorobę "maximatosi" który wybiła większość z nich. Jednak rządowe śledztwo NIE zdołało ustalić kto dokładnie sprowadził ową chorobę, ani jak choroba ta została rozprzestrzeniona po aż trzech wyspach tego kraju. A tak szerokie upowszechnienie wymagało ogromnej skali czyichś działań, których utrzymanie w kompletnej tajemnicy wymagałoby albo niemal nadprzyrodzonych możliwości, albo też wielkoskalowego spisku.

Kolejny przypadek masowego wymarcia opisany był w artykule "Theories fly over dead bird mystery" (tj. "Latają teorie na temat tajemnicy martwych ptaków") opublikowanym na stronie A9 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z soboty (Saturday), February 21, 2009. Opisano w nim jak w nowozelandzkim miasteczku o nazwie New Plymouth tysiące martwych wróbli zaczęło nagle spadać z nieba. Owo miasteczko New Plymouth jest znane z ogromnej fabryki rolniczych trucizn która rozsiewa po okolicy trujące wyziewy. Jest więc możliwym że tamte tysiące wróbli padły ofiarami wyziewów owej fabryki. Gdyby jednak tak było, to dlaczego owego faktu NIE podano do publicznej wiadomości. Co jednak najbardziej mnie zaszokowało, to że poza opublikowaniem niewielkiego artykułu i pokazaniem spadających ptaków w telewizji jako rodzaju sensacji, w Nowej Zelandii nikt się tymi ptakami NIE zainteresował i nikt ich poważnie NIE badał. Tymczasem kiedy podobne zjawisko tysięcy martwych szpaków spadających z nieba odnotowane zostało w pierwszych dniach 2011 roku w okolicach miasteczka Beebe z Arkansas, USA, wszystkie pobliskie agencje badawcze rzuciły się aby ustalić przyczyny. Pierwszą informację o owych amerykańskich martwych szpakach spadających z nieba usłyszałem w poniedziałek dnia 3 stycznia 2011 roku, w wiadomościach dzionika telewizyjnego na kanale "Prime" telewizji nowozelandzkiej, nadawanego o godzinie 17:30 do 18:00. W owym dzienniku jedynie poinformowano i pokazano owo dziwne zjawisko. Jednak już następnego dnia, we wtorek 4 stycznia 2011 roku, około godziny 18:20 w dzienniku telewizyjnym na kanale 3 TVNZ pokazano licznych badaczy zbierających owe martwe ptaki, oraz przytoczono wywiady z kilkoma rozhisteryzowanymi tym zdarzeniem miejscowymi. Z wiadomości owych jednoznacznie wynikało, że w przeciwieństwie do Nowozelandczyków zupełnie nieporuszonych takim spadaniem tysięcy martwych ptaków z nieba, Amerykanie poczuli się ogromnie tym zafascynowani i przerażeni, a co najważniejsze - rzucili sporo ludzi i środków aby zagadkę tą wyjaśnić. W kolejnym dzienniku o godzinie 18:25 ze środy dnia 5 stycznia 2011 na TVNZ 3 wyjaśniono że podobne deszcze z martwych ptaków pojawiły się w kilku innych miejscach USA, oraz że w miejscowej rzece z Beebe, USA także wyzdychały wszystkie ryby. Dziennik ten stwierdził że również na plażach Coromandel z Nowej Zelandii pojawiły się martwe ryby "snapper" które zalegały powierzchnię morza "jak okiem sięgnąć". Na temat owego "deszczu martwych ptaków" z Beebe, USA, oraz kilku innych podobnych deszczy z wielu odmiennych krajów świata - włączając w to Szwecję, pojawiły się także artykuły gazetowe, np. patrz "Reason and logic fall from the sky" (tj. "Wnioskowanie i logika spadły z nieba") ze strony A9 gazety The New Zealand Herald (wydanie z piątku (Friday), January 7, 2011) albo patrz "Aflockalypse now - dead birds (and NZ fish) fuel theories" (tj. "Alotokalipsa teraz - martwe ptaki (oraz ryby z NZ) rozpalają teorie") ze strony A13 gazety The New Zealand Herald (wydanie z poniedziałku (Monday), January 10, 2011). Z kolei w artykule "Dead sardines crammed into LA marine" (tj. "Zdechłe sardynki zapełniły port w Los Angeles") ze strony A16 gazety The New Zealand Herald (wydanie z czwartku (Thursday), March 10, 2011) pokazane jest zdjęcie całego portu morskiego w USA wypełnionego po brzegi zdechłymi sardynkami.

Na jeszcze jeden przypadek masowej śmierci natknąłem się w artykule "Wild

seas a likely cause of mass fish deaths" (tj. "Dziki morza prawdopodobnym powodem masowej śmierci ryb"), ze strony A6 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z soboty (Saturday), May 30, 2009. Zgodnie z tym artykułem, nieżywe lub umierające ryby masowo zalegały brzeg morza na wybrzeżu Kapiti - czyli w relatywnie niewielkiej odległości zarówno od nadmorskiego New Plymouth - gdzie znajduje się opisana wcześniej fabryka rolniczych trucizn, jak i od Petone - gdzie naturalne środowisko beztrudno zatruwa miejscowa przetwórcza złomowanych akumulatorów. Czyżby więc jakieś ścieki lub wycieki z którejś z owych fabryk zalegały w głębinach morza i spowodowały masową śmierć ryb? Jeśli zaś owe ryby są aż tak narażone na trucizny, że masowo wymierają, to jak zawarte w nich substancje wpływają na zdrowie ludzi którzy ryby te zjadają.

W przybliżeniu o owym czasie sławny stał się też przypadek kiedy morskie ślimaki lokalnie zwane "grey side-gilled sea slug" raptownie zaczęły być trujące na przekór że poprzednio uważano je za nieszkodliwe - po szczegóły patrz punkt #K1.6 poniżej na tej stronie.

Powyższe przypadki wcale NIE kończą długiej listy takich zdarzeń. Kolejny przypadek masowej śmierci ryb opisany jest w artykule "Ministry probes dead fish mystery" (tj. "Ministerstwo analizuje tajemnicę nieżywych ryb") jaki ukazał się na stronie A6 gazety The New Zealand Herald, wydanie datowane w środę (Wednesday), June 9, 2010. Zgodnie z tym artykułem, na plażach o całkowitej długości ocenianej przez niektórych na 30 km, znajdujących się w północnej części Nowej Zelandii, tj. w prowincji zwanej Northland, zalegało tysiące nieżywych ryb. Artykuł ten pokazuje nawet zdjęcie fragmentu owej plaży gęsto pokrytej rybami. Mi oglądanie owego zdjęcia przypomniało podobne zdjęcie plaży z tysiącami zdechłych ryb, jakie spowodowane były tsunami z 26 grudnia 2004 roku - po jego opisy patrz punkt #D4 na stronie day26_pl.htm. Jeszcze inny przypadek opisany został w artykule "Mass of floating snapper a mystery to officials" (tj. "Masa martwych snapperów tajemnicą dla władz") ze strony A9 gazety The New Zealand Herald, wydanie datowane w czwartek (Thursday), December 2, 2010. W owym artykule opisano olbrzymie ilości smakowitych ryb jadalnych zwanych "snapper" jakie pływały martwe w pobliżu północnych brzegów Nowej Zelandii. Z kolei w artykule "Ocean mystery: hundreds of snapper found dead on beaches" (tj. "Zagadka oceanu: setki snapper znajdowane martwe na plażach") ze strony A1 gazety The New Zealand Herald, wydanie ze środy (Wednesday), January 5, 2011, pojawiła się informacja o ławicach martwych ryb morskich zwanych "snapper" wyrzucanych na plażę z półwyspu Coromandel w Nowej Zelandii.

Mnie osobiście strach najbardziej obleciał kiedy podczas spaceru około lutego 2010 roku ja sam natknąłem się na takie zdechłe ryby na plaży w nowozelandzkiej miejscowości Petone (w której ja sam mieszkam). Powodem mojego strachu było, że wszystkie ryby jakie wówczas spotkałem były tego samego gatunku (tj. "płaszczki" - po angielsku zwane "stingray") oraz dokładnie tak samo duże (tj. około metrowej rozpiętości "skrzydeł"). Podczas spaceru wzdłuż plaży o długości około 1 km natknąłem się wówczas na 12 takich uśmierconych dużych ryb. Z moich zaś badań nad tsunami, opisanych w punkcie #D4 ze strony day26_pl.htm, wiem że jednakowe co do gatunku i wielkości ryby, giną kiedy ich ciała zaczynają rezonować z wibracjami generowanymi podczas morderczego trzęsienia ziemi. Wygląda więc na to, że w Nowej Zelandii właśnie gotuje się jakieś śmiertelne trzęsienie ziemi - tak jak to opisałem w punkcie #I1 owej strony day26_pl.htm.

Podobnie wygląda sprawa owych masowych samobójstw wielorybów popełnianych poprzez ich wyrzucanie się na miejscowe plaże morskie. W Nowej Zelandii przypadki takich masowych samobójstw wielorybów czasami mają miejsce co kilka miesięcy. Co je powoduje - tego narazie nie ustalono. W obliczu powyższego NIE powinno już dziwić, że w Nowej Zelandii także nasilenie samobójstw ludzi należy do jednego z najwyższych na świecie. Np. młodzież tak masowo tam się zabija, że aż nałożony został zakaz pisania lub dyskusowania samobójstw w publikacjach. Czyżby jakieś nadprzyrodzone moce sprzeciwiały się zaludnieniu Nowej Zelandii?

Inny przykład niemal biblijnego wymarcia - tym razem owadów, opisuje niepozorny artykuł "Bug invasion comes to light on east coast" (tj. "Najazd owadów jaki

wyszedł na jaw na wschodnim wybrzeżu”), opublikowany na stronie A4 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie ze środy (Wednesday), March 4, 2009. Zgodnie z owym artykułem, maleńka nowozelandzka miejscowość nazywana Whatatane doświadczyła tak ogromnego "najazdu" i masowej śmierci najróżniejszych owadów, szczególnie jakichś czarnych żuków, koników polnych i świerszczy, że owe zdechłe robaczyska musieli tam szuflami wygarniać ze sklepów i ze stacji benzynowych. Czy jest więc możliwym że gleba w niektórych obszarach Nowej Zelandii jest już aż tak zatruta rolniczymi chemikaliami, że zmusza to nawet owady do ucieczki i do masowego wymierania w ludzkich zabudowaniach?

* * *

Owych masowych śmierci nierzadziejzych stworzeń zaczyna ostatnio być aż tak dużo, że Google opracował nawet specjalną mapę która pokazuje gdzie i co tak masowo wyginęło. Na mapie tej odnośnikami z kropką zaznaczone są masowe śmierci które nastąpiły już w 2011 roku. Oto link do owej mapy: mapa masowych śmierci żyjątek.

#C5.1. Tragedia masowego wymierania pszczół - zapowiedzią już bliskiej "śmierci głodowej" całej ludzkości:

Jest też już publiczną tajemnicą, że na całym świecie, włączając w to również Nową Zelandię, szybko i masowo wymierają pszczoły. Przykładowo, jeszcze tylko kilka lat temu zobaczenie pszczół koło mojego domu było normalnym widokiem. Jednak kiedy w jeden słoneczny dzień latem pod koniec 2010 roku celowo poszukiwałem pszczół w okolicach swego domu - NIE znalazłem już ani jednej. Za to widziałem ludzi spryskujących jakieś chemikalia. W odcinku angielskiego serialu telewizyjnego o tytule "Jamie's Food Escape", w Nowej Zelandii nadawanego na TVNZ 1 we wtorek, 11 stycznia 2011 roku, w godzinach 20:30 do 21:30, występował zawodowy hodowca pszczół z Grecji. Twierdził on, że obserwowane obecnie ginięcie i zanik pszczół jest spowodowany krótkimi falami telefonów komórkowych. Zgodnie z jego obserwacjami, kiedy postawił swoje ule w miejscu w którym istnieje dobry odbiór jakiegokolwiek telefonu komórkowego, wówczas pszczoły z tego ula stawały się chorowite oraz szybko gubiły się i wymierały. Natomiast kiedy stawia on swoje ule gdzieś w obszarze zasłoniętym górami i leżącym poza zasięgiem wszelkich telefonów komórkowych, wówczas pszczoły tam kwitną, są zdrowe, oraz żyją i rozwijają się normalnie. Tak więc ludzie nieoficjalnie wiedzą już co zabija pszczoły, tyle że żaden dobrze-płatny naukowiec NIE ma odwagi aby wypowiedzieć to otwarcie i oficjalnie - zaś w ten sposób aby podpaść bogatym korporacjom telekomunikacyjnym które wówczas by zniszczyły jego karierę zawodową - tak jak to wyjaśnia punkt #F1 na totalizycznej stronie o nazwie telepathy_pl.htm. Najwyższy więc czas, aby narody przestały maszerować prosto w paszczę "śmierci głodowej" i zmusiły swe rządy aby te przełamały obecną nauką "zmowę milczenia", tak że zamiast niezdrowej oraz niebezpiecznej dla życia telekomunikacji radiowej, ludzkość zaczęła wreszcie rozwijać telekomunikację bazującą na bezpiecznej i zdrowej tzw. "telepatii" - opisanej w punktach #E1 i #F1 strony telepathy_pl.htm.

Obecne raptowne wymieranie pszczół jest ogromną tragedią dla całej ludzkości. Wszakże jest ono zapowiedzią i wstępem szybko zbliżającej się masowej "śmierci głodowej" ludzkości - którą to śmierć wyjaśniam szerzej w punkcie #F1 swej strony telepathy_pl.htm. (Odnótuj, że taka "masowa śmierć ludzi" jest już od dawna zapowiadana przez stare przepowiednie - omawiane w np. "części #H" strony o nazwie .przepowiednie.htm.) Co najtragiczniejsze, to że ludzkość już obecnie mogłaby zastąpić dzisiejsze niebezpieczne i niezdrowe telefony komórkowe oraz urządzenia do telekomunikacji radiowej które zabijają pszczoły, przez całkowicie bezpieczne urządzenia do komunikacji telepatycznej. Wszakże takie urządzenia do komunikacji telepatycznej są już od dawna postulowane do zbudowania przez nowo-rodzącą się "naukę totalizyczną" (jeden z ich przykładów omówiony jest w "części #E" w/w strony telepathy_pl.htm). Niestety, przeszkodą w tym zastąpieniu szkodliwych urządzeń radiowych przez bezpieczne urządzenia telepatyczne jest "monopol na wiedzę" zazdrośnie strzeżony przez dzisiejszą "ateistyczną naukę ortodoksyjną" która panicznie boi się stworzenia sobie "konkurencji" w

formie "nauki totalizycznej" nastawionej na bezkompromisowe ujawnianie prawdy - tak jak to wyjaśniłem w punkcie #A2.6 strony o nazwie totalizm_pl.htm.

Część #D: Efekty działania nadprzyrodzonego w Nowej Zelandii:

#D1. Kamień który swoją nadprzyrodzoną wędrówką dowodzi błędności dzisiejszej fizyki:

Motto: "Prawdziwe życie swoje, a naukowcy swoje."

Jeśli wierzyć samozadufanym twierdzeniom niektórych dzisiejszych fizyków, we wszechświecie jakoby nie ma "nadprzyrodzonego". Według nich wszystko co nas dotyka, to wyłącznie działanie już poznanych praw fizyki. Jeśli jednak rozglądnąć się uważnie dookoła, wówczas szokuje jak wiele nadprzyrodzonego bez przerwy ludziom się ujawnia, tyle że fizycy z uporem przedszkolaków udają że problem rzeczowego badania nadprzyrodzoności wcale nie istnieje. W punkcie #F1 odrębnej strony internetowej biblia.htm - o Biblii autoryzowanej przez samego Boga wyszczególniłem długą listę doskonale znanych fizykom zjawisk, które bezpośrednio dowodzą istnienia nadprzyrodzoności. Znacząco dowodzą one np. istnienia Boga, innego świata, nieśmiertelnej duszy ludzkiej, itp. Na niektórych z owych zjawisk oparte nawet zostały już istniejące formalne dowody naukowe na istnienie Boga, duszy, innego świata, na stworzenie pierwszej pary ludzi przez Boga, itp. (Dla zapoznania się z owymi naukowymi dowodami na faktyczne istnienie nadprzyrodzoności proponuję zajrzeć np. do stron internetowych god_pl.htm - o naukowym i świeckim wyjaśnieniu istoty Boga, dipolar_gravity_pl.htm - o "teorii wszystkiego" która naprawia błędy i niedoskonałości dzisiejszej fizyki, nirvana_pl.htm - o ignorowanym przez dzisiejszą naukę zjawisku nirwany, oraz evolution_pl.htm - o ewolucji w świetle "teorii wszystkiego" zwanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji.) Do wszystkich tamtych dowodów na istnienie nadprzyrodzoności, w niniejszym opisie dodam jeszcze jeden materiał dowodowy. Mianowicie wskażę tu przykłady kamieni odkrywanych na Ziemi, które to kamienie wykazują nadprzyrodzoną zdolność do odbywania inteligentnych wędrówek. Ponieważ zgodnie ze stwierdzeniami dzisiejszej fizyki, kamienie same nie mają prawa inteligentnie zmieniać swojego położenia, rosnąca ilość materiału dowodowego na temat tych nadprzyrodzonych kamieni posiada jednoznaczną wymowę. Mianowicie istnienie takich inteligentnie przemieszczających się kamieni jest jeszcze jednym dowodem na błędność stwierdzeń i fundamentów naukowych dzisiejszej fizyki. Dowód ten dodaje się do całej gamy innych podobnych dowodów na kompletną błędność dotychczasowej fizyki ziemskiej, które już od dawna wskazywane nam są przez tzw. teorię wszystkiego zwaną Konceptem Dipolarnej Grawitacji.

Pierwszy kamień o którym się dowiedziałem że posiada on nadprzyrodzoną zdolność do odbywania inteligentnej wędrówki badałem osobiście już około 1990 roku. Był to spory kamień istniejący koło miejscowości Atiamuri na Wyspie Północnej Nowej Zelandii. Pokazuje go zdjęcie z "Fot. #D1" poniżej. Jest on otoczony licznymi legendami. Jest także przedmiotem kultu dla miejscowych Maorysów. Maorysi ci modlą się do owego kamienia, oraz składają mu liczne ofiary. W ten sposób Maorysi przekazują temu kamieniowi unikalną formę inteligentnej energii przez Chińczyków zwanej "chi", zaś przez Koncept Dipolarnej Grawitacji nazywanej "energiją moralną" albo "zwow". Dzięki zapasowi owej inteligentnej energii zgromadzonemu w sobie, kamień z Atiamuri jest w stanie odwzajemniać modły Maorysów poprzez dokonywanie licznych uzdrowień oraz poprzez przynoszenie szczęścia tym co o nie proszą. Ja swego czasu badałem fizykalnie kamień z Atiamuri, oraz stwierdziłem że wykazuje on dosyć niezwykle cechy. Dla przykładu zdaje on się wydzielać jakiś rodzaj promieniowania. Kiedy bowiem umieściłem na nim film do fotografii Roentgenowskich, ów film pokazał potem dziwne naświetlone wzory. Kamień ten jest także namagnesowany (jego namagnesowanie daje się wykryć za pomocą zwykłego kompasu).

Najbardziej jednak nadprzyrodzoną cechą kamienia z Atiamuri jest, że zgodnie z

miejscowym folklorem kamień ten ma odbywać "wędrowki". Miejscowi ludzie twierdzą, że w przeszłości był on odsuwany od krawędzi szosy, ponieważ w swojej normalnej lokacji wprowadza on dosyć poważne niebezpieczeństwo dla przejeżdżających samochodów. Co jakiś bowiem czas rozbija się na nim samochód zaś pasażerowie czasami nawet tracą życie. Jednak po przesunięciu, kamień ten sam powracał na swoje poprzednie miejsce. Podobno z powodu jego wędrowek, w oficjalnej dokumentacji tamtej szosy widnieje on w zupełnie innym miejscu niż faktycznie znajduje się on w rzeczywistości. Powodem ma być brak odważnego menedżera który by się podpisał pod oficjalnie naniesionymi poprawkami w dokumentacji tamtej drogi stwierdzającymi że kamień ten sam powrócił na swoje ulubione miejsce. Ludzie twierdzą także, że kamień ten okresowo zmienia kształt owej dziury w swoim boku (w dziurę tą składane są ofiary Maorysów). Owa dziura podobno jednym razem jest całkowicie okrągła, innym zaś razem wydłużona jak muszla małży.

Wyjaśnienia dla mechanizmu pozwalającego kamieniom na wędrowanie dostarcza "teoria wszystkiego" zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji. Zgodnie z nią, we wszechświecie istnieje inteligentny rodzaj energii, przez Chińczyków nazywanej "chi", zaś przez ów Koncept Dipolarnej Grawitacji zwanej "zwow" albo "energia moralna". Owa inteligentna energia ma to do siebie, że wypełnia one inteligentne nakazy myślowe. To właśnie ową energię osoby uprawiające "kung fu" są w stanie skierować np. na pręt stalowy który uderzają swoją głową i nakazać jej aby ta rozbiła ów pręt w drobny proszek. To także owa inteligentna energia powoduje że tzw. feng shui faktycznie działa w praktyce. (O działaniu "feng shui" można sobie poczytać m.in. w punkcie #19 strony wroclaw.htm - o mieście Wrocław, oraz w punkcie #B1 strony wszewilki_jutra.htm - o marzeniach lepszej przyszłości dla wsi Wszewilki.) Ponieważ zgodnie z owym Konceptem Dipolarnej Grawitacji wszelkie obiekty kultu otrzymują od modlących się do nich ludzi porcje owej inteligentnej energii, takie obiekty są też w stanie nakazać posiadanej przez siebie energii wykonanie jakichś specyficznych działań fizycznych. To właśnie dlatego wszelkie obiekty czyjegoś kultu, takie jak ów kamień z Atiamuri, czy też jak owe słynne drzewa i kamienie które w Malezji nazywane są Datuk, są zdolne do nadprzyrodzonego powodowania inteligentnych manifestacji fizycznych. Przykład takiego nadprzyrodzonego drzewa "datuk" zilustrowany został i opisany na stronie internetowej ufo_pl.htm - o pochodzeniu UFOonautów (kliknij na niniejszy zielony napis aby je zobaczyć). Owe malazyjskie drzewa i kamienie "Datuk" uzdrawiają i pomagają lokalnym ludziom, dokonują cudów, drzew "datuk" nie daje się wyciąć, itp. Posiadanie podobnych nadprzyrodzonych mocy wykazują też słupy totemowe z Borneo, o których to słupach piszę w podrozdziałach I6.7 oraz I5.1 z tomu 5 monografii [1/5]. Owe słupy totemowe z Borneo nie dadzą się fotografować, same karzą tych co nie są im posłuszni, a ponadto potrafią uzdrawiać i wypełniać życzenia tych co do nich się modlą. W przeszłości miałem także okazję osobistego doświadczenia nadprzyrodzonych mocy krzyżackiej figury Matki Boskiej która kiedyś istniała w Polsce w zamku z Malborka, a która dała się poznać z antypolskiego działania. Tamten posąg krzyżackiej Matki Boskiej z Malborka jest znany m.in. z historycznie dobrze udokumentowanego faktu, że polskie działo którym chciano go zniszczyć zwyczajnie eksplodowało - co udokumentowane zostało na stronie o zamku w Malborku. Ponadto posąg ten posiadał przywiązaną do siebie antypolską przepowiednię która wypełniła się kiedy posąg ten został nadprzyrodzenie zniszczony jakąś tajemniczą eksplozją. (Na przekór owej antypolskiej przepowiedni oraz antypolskiego działania owego posągu, ciągle istnieją nierozważni Polacy którzy chcą odbudować ten krzyżacki posąg o nadprzyrodzonych mocach - po szczegóły patrz strona o zamku w Malborku oraz strona fundacji Mater Dei jaka to fundacja właśnie chce go odbudować.)

Na temat takich właśnie obiektów kultu obdarzonych nadprzyrodzonością, owa "teoria wszystkiego" zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji nie tylko dostarcza wyjaśnienie dla ich działania, ale również udziela nam zdecydowanego ostrzeżenia. Mianowicie, sama natura owych obiektów, ich niedoskonałość intelektualna, a także mechanizm za pośrednictwem którego dokonują one swoich nadprzyrodzonych działań, są dalekie od doskonałości. Dlatego takie obiekty, podobnie jak narowiste konie, mają swoje "zagrania", nie używają racjonalnie swoich mocy, potrafią kogoś lubić lub nieznosić, są

stronnicze, mogą się mścić, często działają w sposób mechaniczny, oraz są dalekie od poczucia sprawiedliwości. Na przekór więc że niektórym ludziom potrafią one oddać jakąś przysługę, generalnie to trzeba na nie bardzo uważać, bo są one w stanie wyrządzić również wiele zła. Stąd modlenie się do nich, oraz wynikające z tego modlenia się przekazywanie im swojej energii moralnej, jest jakby dawaniem boskiej mocy kapryśnemu dziecku. To właśnie dlatego istnieją religie które ostrzegają np. przed modleniem się do "złotego cielca", lub przed modleniem się do obrazów. Przykładem takiego obiektu kultu który swoją stronniczością, kapryśnością, oraz brakiem poczucia sprawiedliwości wyrządził Polakom wiele zła, jest korzyżacki posąg Madonny z zamku w Malborku opisywany poprzednio.

O kolejnym dużym kamieniu który w nadprzyrodzony sposób sam sobie wychodzi na spacer dowiedziałem się z artykułu "Land where spirits still rule" (tj. "Ziemia gdzie duchy ciągle rządzą") ze strony D1 gazety "The New Zealand Herald", wydanie datowane we wtorek (Tuesday), January 29, 2008. Artykuł ten opisuje nadprzyrodzone wędrówki brązowego kamienia o wielkości typowego samochodu, a nazywanego lokalnie "A spirit stone", którego każdy może sobie oglądnąć jak leży tuż przy nowej "freeway" wiodącej z Port-Moresby w Papua New Guinea aż do brzegu morza. Oto dosłowne cytowanie z owego artykułu w moim znaczeniowym tłumaczeniu: "Kiedy wyrąbali drogę przez niniejsze miejsce, odkryli że ów kamień był zbyt twardy aby go rozłupać dlatego załadowali go na ciężarówkę, zwieźli w dół do zatoki, oraz wrzucili go do morza. Jednak następnego ranka był on spowrotem na swoim miejscu. Tak stało się aż trzy razy. Wrzucali ten kamień do zatoki jednak nocą on powracał, w końcu więc pozostawili go tutaj." (W oryginale angielskojęzycznym: "When they cut the road through here, they found this stone was too hard to break up so they put it on a truck, took it down to the harbour, and dropped it in the sea. But the next morning it was back here again. That happened three times. They dropped the stone in the harbour but overnight it returned, so finally they left it here.")

Nowa Zelandia i Papua New Guinea nie są jedynymi krajami na Ziemi w których kamienie w nadprzyrodzony sposób same zmieniają swoje pozycje. Innym takim miejscem, dosyć nawet sławnym, jest wysuszone dno jeziora zwane "Racetrack Playa", a położone w tzw. "Death Valley National Park", California, USA. Po płaskim jak stół wysuszonym błocie tego dna jeziora przemieszczają się kamienie zwane Sliding Rocks of Racetrack Playa. W 2007 roku dosyć dobrze ilustrowany artykuł na ich temat dostępny był w Internecie pod adresem <http://geology.com/articles/racetrack-playa-sliding-rocks.shtml>. Ciekawe że ortodoksyjna nauka ziemiska wprawdzie mnoży najróżniejsze hipotezy i teorie które starają się wyjaśnić jak owe kamienie się przemieszczają bez udziału nadprzyrodzonego. Jednak nauka ta nie jest w stanie potwierdzić empirycznie poprawności żadnej z owych teorii i hipotez. Chociaż więc wielu dzisiejszych naukowców jest tak zawziętymi ateistami i niedowiarkami, że raczej by dało się "ukamieniować" niż by otwarcie przyznało że kamieniami tymi poruszają jakieś nadprzyrodzone moce, faktycznie istnienie owych mocy jest jedynym racjonalnym wyjaśnieniem dla tego co naprawdę się tam dzieje.

Tematyka niniejszej krótkiej strony nie pozwala mi na dokładniejsze wyjaśnianie mechanizmów które pozwalają aby "nadprzyrodzone" mogło czasami fizykalnie manifestować swoją obecność. Jednak mechanizmy takie wyjaśniam dokładniej na całym szeregu innych stron internetowych totalizmu. Tym więc czytelnikom którzy zechcą się dowiedzieć: (1) dlaczego dzisiejsza fizyka zawiera podstawowy błąd już w sformułowaniu swoich fundamentów który to błąd czyni ją ślepą na fizykalne manifestacje nadprzyrodzoności (tj. błąd ten polega na przyjęciu przez naukę błędnego założenia że pole grawitacyjne jest tzw. "polem monopolarnym"), (2) jak błąd ten daje się naprawić (tj. proste naprawienie owego błędu polega na uznaniu że pole grawitacyjne jest tzw. "polem dipolarnym" - czyli na uznaniu stwierdzeń Konceptu Dipolarnej Grawitacji), oraz (3) jakie nadprzyrodzone zjawiska daje się łatwo wyjaśnić po naprawieniu tego błędu (tj. że Koncept Dipolarnej Grawitacji dostarcza wyjaśnienia dla praktycznie wszystkiego czego oficjalna nauka ziemiska dotychczas nie potrafiła wyjaśnić), proponuję zaglądnąć do następujących totaliztycznych stron internetowych: [dipolar_gravity_pl.htm](#) - o "teorii wszystkiego" która naprawia błędy i niedoskonałości dzisiejszej fizyki, [malbork.htm](#) - o nadprzyrodzonych

zjawiskach z zamku w Malborku, [timevehicle_pl.htm](#) - o naturze czasu i o podróżach w czasie, oraz [telepathy_pl.htm](#) - o wykorzystaniu zjawisk odrębnego świata w którym mieszka Bóg do zrealizowania nieskończonej szybkiej komunikacji telepatycznej.

Fot. #D1: Kamień który najwyraźniej posiada nadprzyrodzoną zdolność do dokonywania inteligentnej wędrówki. Powyższą jego fotografię wykonałem około 1990 roku. (Kliknij na tą fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.)

Oto ja, dr inż. Jan Pająk, zaś przez okres 2007 roku - Prof. dr inż. Jan Pająk, przy "chodzącym" kamieniu z Atiamuri. Kamień ten leży tuż przy krawędzi dosyć ruchliwej szosy. Wprowadza on znaczne ryzyko dla ruchu po tej szosie, jako że od czasu do czasu rozbijają się na nim samochody i giną ludzie. Nie można go jednak usunąć, bowiem jest on "świętym kamieniem" i przedmiotem kultu lokalnych Maorysów. Dokonuje on dla nich wielu cudów, podobnie jak czynią to święte drzewa i kamienie zwane Datuk z Malezji (opisywane też i pokazane w "części #D" ze strony [malbork.htm](#)), słupy totemowe z Borneo (opisane i pokazane na "Fot. #D2" ze strony [malbork.htm](#)), czy zwyczaj kiedyś dokonywać złowrogi pokrzyżacki posąg Maryi z Malborka. Dlatego co jakiś czas ponawiane są próby przeniesienia tego kamienia w miejsce nieco odleglejsze od szosy. Zgodnie jednak z lokalnym folklorem, po każdym takim przeniesieniu, kamień ten ma zwyczaj wybierania się na przechadzkę, wracając z powrotem na swe stare miejsce. Kiedy badałem ów kamień około 1990 roku, emitował on jakieś dziwne promieniowanie rejestrowalne na filmie fotograficznym. Wykazywał też spore namagnesowanie jakie było na tyle silne, że dawało się wykryć zwyczajnym kompasem.

Powyższy kamień ma też tą niezwykłą cechę, że kształt widniejącego w nim otworu co jakiś czas ulega zmianie - tak jak to opisałem w punkcie #D2 poniżej. (Tj. jednym razem otwór jest okrągły, innym zaś razem jak małża.) Co dziwniejsze, kiedy ów kształt otworu zmienia się w kamieniu, zmienia się także i na powyższym zdjęciu. Dlatego sugeruję aby zapamiętać jaki dzisiaj jest ten kształt, poczym przyglądając się mu ponownie za jakiś rok lub dwa.

#D2. Fluktuacje czasu które w Nowej Zelandii powodują zmiany konfiguracyjne odnotowywalne tylko dla przyjezdnych z dalekich stron:

W Nowej Zelandii na porządku dziennym są niezwykle "fluktuacje czasu" opisywane dokładniej w punktach #C6 do #C6.1 strony internetowej [timevehicle_pl.htm](#) - o wehikułach czasu. Powodem owych częstych w Nowej Zelandii naturalnych fluktuacji czasu jest eksplozja wehikułu czasu koło miasteczka Tapanui, która miała tam miejsce w 1178 roku. Eksplozja ta opisana jest dokładniej w punkcie #H1 do #H4 tej strony, a także na odrębnej poświęconej jej stronie [tapanui_pl.htm](#) - o eksplozji wehikułu czasu koło Tapanui.

Fluktuacje czasu są to rodzaje lokalnych zafalowań tzw. "przestrzeni czasowej". (Owa "przestrzeń czasowa" jest to rodzaj tworu softwarowego opisywanego dokładniej na stronach [dipolar_gravity_pl.htm](#) - o koncepcie Dipolarnej Grawitacji, oraz [timevehicle_pl.htm](#) - o wehikułach czasu. "Przestrzeń czasowa" obejmuje w sobie modele softwarowe wszystkich obiektów (i ich losów) jakie istnieją w całym wszechświecie we wszystkich czasach przez które wszechświat ten przechodzi. "Przestrzeni czasowej" nie powinno się mylić z ideą "czasoprzestrzeni" używanej przez dzisiejszą fizykę.) Efektem tych zafalowań przestrzeni czasowej jest, że dla ludzi czy obiektów które zostały nimi objęte, czas cofa się do tyłu, zaś ich cała historia powtarza się od nowa już w nowym przebiegu ich czasu. W nowym zaś nowym przebiegu ich czasu, ich historia może już stać się nieco odmienna niż była ona w poprzednim przebiegu czasu. Przykładowo, jeśli takim zafalowaniem czasu objęty jest budynek, w nowym przebiegu czasu architekt który zaplanował ten budynek może już zaprojektować go zupełnie inaczej, albo nawet może wystawić go w zupełnie innym miejscu. Z kolei ludzie w nowym przebiegu czasu mogą poślubić już kogoś innego, pracować w innym miejscu, itp. Oczywiście ludzie objęci owymi fluktuacjami czasu nie mają pojęcia że ich doświadczyli, bowiem cała ich historia z poprzedniego przebiegu czasu jest z ich pamięci automatycznie wymazywana - tak jak to

wyjaśnia punkt #B1.1 ze strony timevehicle_pl.htm - o wehikułach czasu. Jednak inni ludzie którzy ich odwiedzą przybywając z obszaru poza taką lokalną fluktuacją czasu, będą pamiętali jak było poprzednio i będą zaskoczeni zmianami które ujrzą. Niestety, przy dzisiejszym stanie naszej wiedzy, my wierzymy jedynie w omyłność naszej pamięci, natomiast uważamy że to co się stało w przeszłości nie może już zostać zmienione. Dlatego typowo, każdy kto w życiu odnotuje jakies zmiany spowodowane taką fluktuacją czasu, uważa że to jego własna pamięć płała mu figle i natychmiast zapomina o całej sprawie.

Ja osobiście zgromadziłem sporą liczbę obserwacji podczas których ja sam przeżywałem takie fluktuacje czasu - czasami nawet w obecności innych osób. Najważniejsze z tych analizowanych przez siebie przypadków opisałem w punktach #C6 do #C6.1, oraz w punkcie #C8.1, ze strony timevehicle_pl.htm - o wehikułach czasu.

Największą liczbę takich naturalnych fluktuacji czasu odnotowałem w Nowej Zelandii. Osobiście nawet uważam, że Nowa Zelandia bije wszelkie światowe rekordy pod względem częstości i powszechności tego niezwykłego zjawiska. Przykładowo w Nowej Zelandii istnieją obszary, gdzie takie fluktuacje czasu są niemal chroniczne i pojawiają się tam nie rzadziej niż co dwa lata. Jednym z takich obszarów jest miasteczko Oamaru, innym zaś miejscowość Ealing, leżące na Highway 1, pomiędzy Christchurch i Dunedin. Przykładowo, niemal za każdym razem kiedy z daleka przybywam do Oamaru, widzę odmienną konfigurację wieży pokazanej poniżej na "Fot. #D2". Często też zmienia się tam konfiguracja skał wiodących do punktu obserwacyjnego migracji pingwinów. Z kolei w okolicach Ealings, szosę "Highway 1" przecina linia wysokiego napięcia. Linia ta niemal za każdym razem przecina ową szosę w innym miejscu. Raz nawet odnotowałem ją przed ową miejscowością (tj. po tej stronie od Ealings, po której leży Christchurch). Typowo jednak linia ta przecina szosę po stronie Dunedin od Ealings. Inne miejsca które podlegają okresowym fluktuacjom czasu, obejmują małe wysepki skalnej lawy znajdujące się tuż przy Lawyers Head w Dunedin, oraz wodospad z punktem widokowym, znajdujący się niedaleko Nelson, przy trasie z Christchurch do Nelson poprzez Lewis Pass. Jeszcze innym zmieniającym się tak kształtem jest otwór w kamieniu z "Fot. #D1" powyżej. Tego typu zmieniających się konfiguracji jest jednak w Nowej Zelandii zadziwiająco dużo. Tyle że wypunktowanie położenia i zmian kształtu ich wszystkich na niniejszej niewielkiej stronie zajęłoby zbyt wiele miejsca.

Oczywiście, Nowa Zelandia wcale NIE jest jedynym miejscem na Ziemi gdzie takie naturalne fluktuacje czasu mają miejsce. Przykłady innych powszechnie znanych takich miejsc obejmują m.in. szkockie jezioro Loch Ness (gdzie owe fluktuacje czasu okresowo przenoszą do naszych czasów i potem zabierają z powrotem do przeszłości słynnego potwora zwanego "Nessie"), a także jezioro Cini w Malezji gdzie również okresowo widywany jest potwór podobny do Nessie.

Jeśli dany obszar podlega takim lokalnym fluktuacjom czasu, wówczas fluktuacje te pojawiają się tam w dosyć regularny sposób. Dlatego jeśli czytelnik odnotuje jedno z takich miejsc, cechujące się tym że po przybyciu do niego z dalekich stron jego uprzednia konfiguracja uległa zmianie, wówczas proponuję czytelnikowi aby je zapamiętał oraz dokładniej oglądnął po następnym tam przybyciu z daleka.

Naturalne fluktuacje czasu, które w Nowej Zelandii są zjawiskiem naturalnym i wysoce powtarzalnym, należy wyraźnie odróżniać od jednorazowych celowych zmian wprowadzanych do przeszłości przez dysponentów wehikułów czasu. Przykładowo, anulowanie wyburzenia domu Pana Davey, które opisuję na stronie boiler_pl.htm - o szokującej historii rewolucyjnej grzałki która bije wszelkie rekordy, jest tylko taką jednorazową zmianą przeszłości wprowadzoną celowo do naturalnego upływu czasu.

Fot. #D2: Oto wieża kaplicy przy szkole średniej z miasteczka Oamaru, Nowa Zelandia. Fotografia wykonana w lutym 2008 roku. Wieża ta ma tą cechę, że dla przyjezdnych osób które przybyły do Oamaru spoza obszarów objętych powtarzającymi się w Oamaru fluktuacjami czasu, wieża ta czasami zmienia swoją konfigurację w odniesieniu do kaplicy

przy której się ona znajduje. Przykładowo, jednym razem przylega ona do owej kaplicy - jak na powyższym zdjęciu, innym zaś razem stoi zupełnie oddzielnie i w pewnej odległości od ściany owej kaplicy. (Kliknij na powyższe zdjęcie aby oglądać je w powiększeniu.)

Wieżę tą łatwo odnotować kiedy wjeżdża się do miasteczka Oamaru samochodem, jadąc "Highway 1" od kierunku Christchurch a w kierunku Dunedin. Powodem jest, że droga wjazdowa do Oamaru, została z owego kierunku "nacelowana" właśnie na ową wieżę. Stąd w początkowej części po wjechaniu do Oamaru droga ta jest prosta jak strzeła, zaś na jej końcu widać właśnie powyższą wieżę. Dopiero tuż przed ową wieżę droga ta skręca w lewo, przebiegając obok kaplicy - tak jak powyższe zdjęcie to pokazuje. Jeśli ktoś przybywa do Oamaru ową drogą, wówczas powinien zwrócić uwagę i dokładnie zapamiętać jaka jest konfiguracja powyższej wieży w odniesieniu do kaplicy przy której wieża ta stoi. Kiedy bowiem będzie przejeżdżał obok tej wieży następnym razem, przybywając tu z daleka i to po upływie co najmniej dwóch lat, wieża ta może wówczas już stać w zupełnie odmiennej konfiguracji względem tego kościoła.

Warto tutaj też dodać, że ludzie którzy mieszkają w Oamaru, lub na tyle blisko tego miasta że też objęci zostali fluktuacjami czasu które zmieniają konfigurację powyższej wieży, NIE odnotują żadnych zmian. Wszakże po każdej takiej fluktuacji przeżywają oni nowy przebieg czasu razem z ową wieżę. Aby więc odnotować fakt zmiany konfiguracji tej wieży, należy do Oamaru przybywać ze znacznej odległości.

#D3. Nadprzyrodzone objawienie na temat przybycia Drugiego Jezusa do Christchurch w 1999 roku, po którym centralny Plac Katedralny w Christchurch pozostał pięknie wyłożony "płytkami Jezusa":

W 1999 roku zaistniało nadprzyrodzone objawienie w Christchurch, Nowa Zelandia, które zapowiedziało że Drugi Jezus odwiedzi to miasto w 1999 roku. Z tamtego objawienia do dzisiaj pozostał m.in. wyłożony pięknymi "płytkami Jezusa" centralny Plac Katedralny w Christchurch. Spodziewano się bowiem, że po tryumfalnym wkroczeniu do tego miasta w ogniu i błyskawicach, to właśnie na owym placu Drugi Jezus przeprowadzi masową mszę świętą do mieszkańców Christchurch i okolicy.

Niestety, większość ludzi nie jest świadoma istnienia i działania tzw. "kanonu niejednoznaczności" - opisywanego m.in. w punkcie #B9 strony internetowej god_pl.htm - o naukowych odpowiedziach świeckiej filozofii totalizmu na podstawowe pytania o Bogu. Dlatego ludzie ci nie zdają sobie sprawy, że nawet gdyby Drugi Jezus miał do swojej dyspozycji moce Boga, ciągle i tak przestrzegaliby owego "kanonu niejednoznaczności" - znaczy postępowaliby skromnie i niewyróżniając się (tak jak każdy inny człowiek). Dlatego jeśli Drugi Jezus faktycznie odwiedził Christchurch w 1999 roku, wówczas przybył tam dokładnie tak jak zapowiadała to nam Biblia - znaczy skromnie i nierozpoznany "jak złodziej" (patrz Biblia, Drugi List Św. Piotra Apostoła 3:10 "Jak złodziej zaś przyjdzie dzień Pański", a także Apokalipsa Św. Jana 16:15 "Oto przyjdę jak złodziej"). Z kolei jeśli w 1999 roku Drugi Jezus przybył do Christchurch "jak złodziej", wówczas za pośrednictwem mieszkańców Christchurch ponownie udzielił On ludzkości dokładnie tej samej lekcji, której 2000 lat wcześniej Jezus udzielił ludziom za pośrednictwem mieszkańców Izraela. (Jak wiadomo, Izraelici do dzisiaj oczekują na przybycie zapowiedzianego im Mesjasza, bowiem Jezusa którego Bóg im przysłał ponad 2000 lat temu, a którego ci ukrzyżowali zamiast uszanować, nadal uważają za zbyt skromnego i za zbyt "ludzkiego" aby mógł on być zapowiadany wysłańcem Boga.)

Szerokie opisy tamtego nadprzyrodzonego objawienia o przybyciu Drugiego Jezusa do Christchurch w 1999 roku, razem z fotografiami centralnego Placu Katedralnego wyłożonego pięknymi "płytkami Jezusa", są dostępne w punkcie #G2 odrębnej strony internetowej przepowiednie.htm - o przepowiedniach: jak powstają i się wypełniają. Te same opisy i zdjęcia są także dostępne w punktach #73, #84 i #94 z podrozdziału L4 w tomie 8 drugiego wydania monografii [8/2] "Totalizm".

Część #E: Ciekawostki Nowej Zelandii wynikające z podwyższonej aktywności UFO w

owym kraju:

#E1. Kręgi zbożowe i lądowiska UFO z Nowej Zelandii:

Nowa Zelandia jest doskonale znanym krajem gdzie UFO grasuje zupełnie swobodnie. Wystarczy wszakże przypomnieć w tym miejscu słynny na całym świecie film jaki w dniu 31 grudnia 1979 roku uchwycił jarzący się wehikuł UFO ponad miejscowością Kaikoura. Jedna klatka z owego filmu została pokazana na rysunku P23 z najnowszej monografii [1/5]. Pilot samolotu transportowego "Argosy" z którego ten historyczny film nakręcono, Capt. Bill Startup, nie szczędził wysiłków ani funduszy aby udowodnić światu istnienie UFO i aby potwierdzić naukowo autentyczność tego filmu. Wkrótce jednak po nakręceniu owego filmu, pilot ten przeszedł masywne porażenie mózgu (brain stroke). Owo bardzo tajemnicze porażenie mózgu Capt. Bill'a Startup opisane zostało w podrozdziale W4 z tomu 18 najnowszej monografii [1/5] dostępnej nieodpłatnie za pośrednictwem niniejszej strony internetowej. Niemal natychmiast po nakręceniu owego filmu niezliczeni pseudo-naukowcy z wysoce podejrzaną zawziętością starali się też zdyskredytować jego autentyczność i ważność. Do dzisiaj jednak im się to nie udało. Wehikuł UFO sfilmowany nad Kaikoura w Nowej Zelandii w obecności całego szeregu świadków, do dzisiaj stanowi więc jeden z niepodważalnych dowodów filmowych na faktyczne istnienie wehikułów UFO. Do dzisiaj też, jeśli ktoś chce zobaczyć UFO, wówczas ma największą szansę sukcesu właśnie w Nowej Zelandii. Od kiedy mieszkam w Nowej Zelandii, widuję wehikuł UFO średnio co jakieś 6 lat. Najważniejsze ze swoich własnych obserwacji UFO opisałem w podrozdziale VB4.1 ze starszej monografii [1/4] dostępnej nieodpłatnie za pośrednictwem niniejszej strony internetowej. Oczywiście, kiedy wehikuły UFO nalatują na Nową Zelandię, lądują one także na ziemi. Dlatego, jeśli ktoś wie za czym się rozglądać, może znaleźć takie lądowiska UFO niemal przy każdym budynku rolniczym z Wyspy Południowej Nowej Zelandii (na Wyspie Północnej roślinność jest znacznie bardziej witalna, lądowiska UFO nie rzucają więc się tam już tak w oczy). Ilustracje "Fot. #E1" i "Fot. #E2" pokazują jak owe lądowiska UFO wyglądają.

* * *

Lądowiska UFO są objaśnione w większej liczbie szczegółów w podrozdziale V5.1 z tomu 17 najnowszej monografii [1/5]. Są tam także zilustrowane ich liczne przykłady.

Fot. #E1 (V3 z [1/5]): Tzw. "krąg zbożowy". (Kliknij na to zdjęcie aby oglądnąć je w powiększeniu.) Znaleziony on był w Ashburton, w lutym (February) 1992 roku. Jego dokładniejszy opis zawarty jest w podrozdziale VB4.3.1 z tomu 17 starszej monografii [1/4].

Owe kręgi zbożowe to po prostu lądowiska UFO wykonane w zbożu. Formowane są one przez wirujące pole magnetyczne używane przez UFO do celów napędowych. Owo wirujące pole magnetyczne ugina w dół źdźbła zboża podobnie jak uczyniłaby to ogromna wirująca miotła. To zaś czyni owe lądowiska UFO tak zadziwiająco precyzyjne, że ludzie żartownisie nie są w stanie zduplikować ich doskonałości. Po więcej wyjaśnień na temat napędu wehikułów UFO patrz strona internetowa propulsion_pl.htm.

Fot. #E2: Okrągłe lądowisko wypalone w twardych krzewach górskich przez ogromne UFO typu K8 - patrz ów okrąg widoczny w centrum zdjęcia na około 2/3 jego wysokości. (Kliknij na to zdjęcie aby oglądnąć je w powiększeniu.) Średnica pierścienia wypalonego w tych krzakach wynosiła 98 metrów - co można docenić po rzuceniu okiem na wielkość samochodów na szosie poniżej niego. Sfotografowałem je w Wanaka, Nowa Zelandia, na zboczu góry lokalnie nazywanej "Coromandel Peak". Pole magnetyczne jakie wypaliło owo okrągłe lądowisko było tak potężne, że spopieliło ono na szary proszek twarde krzaki górskie jakie porastają zbocze owej góry. Aby było jeszcze ciekawiej, ów szary proszek jest palny i może zostać zapalony zwykłą zapalką. Żartownisie nigdy nie byłiby w stanie wykonać tego lądowiska dla żartu, tak jak to twierdzi nowozelandzka telewizja. Dzisiejsi ludzie po prostu nie znają sposobu aby zamienić twarde krzaki górskie na palny szary

proszek. Ponadto zbocze na jakim owo ogromne lądowisko zostało wykonane, jest praktycznie niedostępne dla żartownisiów. Zauważ że podobne pierścieniowate lądowiska UFO, tyle że wypalane np. w trawie, daje się zobaczyć w sporej części obszaru Nowej Zelandii. Więcej danych na ten temat zawartych jest w podrozdziale V5.1 z tomu 17 monografii [1/5].

#E2. Obserwacje wehikułów UFO:

Nowa Zelandia jest krajem w której ma się największą szansę zobaczenia wehikułu UFO. Ponieważ jednak przygotowałem już wiele stron internetowych na temat obserwacji UFO (obejmujących też obserwacje UFO w Nowej Zelandii), zamiast powtarzać tutaj te informacje raczej odsyłam czytelnika do tamtych innych stron. Jako przykłady owych stron proponuję oglądnąć: [landslips_pl.htm](#), [evidence_pl.htm](#), [aliens_pl.htm](#), [ufo_pl.htm](#), [tapanui_pl.htm](#), oraz kilka onnych stron wyszczególnionych w menu.

#E3. Latające kule światła:

Kule te są ogromnie niezwykłym zjawiskiem. Widoczne są one gołym okiem. Zwykle mają wielkość piłki ping-pongowej, oraz wyglądają jak okrągłe lampy fluorescencyjne które jarzą się upiornym białym światłem jakby księżyc. Pojawiają się jednak też raporty o kulach nieco większych rozmiarów, jakie mają wielkość typowej piłki. Kule te są w stanie przelatywać przez szyby i obiekty stałe, bez uczynienia szkody tym obiektom lub sobie. Raportowane mi było, że bez powodowania jakichkolwiek uszkodzeń wlatywały one do środka zamkniętego samochodu, a także do środka zamkniętego namiotu. Jak dotychczas spotkałem się z raportami jakie opisywały obserwacje owych kul w aż dwóch lokacjach Nowej Zelandii, tj. w kraterze Tapanui (tj. w tym opisanym powyżej, w którym stos 7 wehikułów UFO eksplodował w 1178 roku), oraz w Coromandel. W kraterze Tapanui pojawiają się one nocami relatywnie często. Właściciel tego krateru widział je wiele razy. Także grupa badaczy z "Unexplained Phenomena Research Society" zarejestrowanego w Dunedin, która zdecydowała się zaobozować pod namiotami w tym kraterze przez noc aby zobaczyć owe "orby", faktycznie została "wypędzona" z krateru przez te jarzące się kule w samym środku nocy. Owe upiornie jarzące się obiekty zaczęły bowiem ich "atakować" i "terroryzować" poprzez wlatywnie do ich namiotu. (Ja do dzisiaj przyjaźnię się Reinhard'em który utrzymywał kontakt z uczestnikami tamtej grupy.)

* * *

Poniżej przytaczam cytat z fragmentu listu datowanego 6.1.97 który otrzymałem od jednej z czytelniczek moich publikacji. Zawiera on najlepszy opis owych jarzących się "orbów" jakie napotkałem w dotychczasowych badaniach. (Oto treść tego cytatu w moim swobodnym tłumaczeniu z angielskiego:)

"Właśnie teraz sobie uświadomiłam że niektórzy z moich przyjaciół opowiadali jakieś kilka lat temu, że wybrali się do krateru Tapanui i obeszlili go naokoło wzdłuż jego obrzeża, (dla jakiego powodu? Nie byłam w stanie wydobyć od nich żadnego wyjaśnienia o czym jest to wszystko - dopiero teraz zaczynam to rozumieć!) Ja sądziłam że jest to jakiś zwariowany pomysł związany z tą 'grypą Tapanui' która szerzy się tam naokoło, oraz zastanawiałam się dlaczego u licha chcieli oni abym wybrała się tam z nimi! Pamiętam jak opowiadali mi coś na temat światła (Ty wspominasz że wykazują one 'inteligencję') zaś ja im powiedziałam że wcale nie muszą wybierać się aż tak daleko aby znaleźć ten rodzaj zjawiska, chociaż te światła jakie ja sama widziałam były definitywnie inteligentne, jednak wcale nie tak małe jak piłki golfowe. Jeśli o mnie chodzi, to uważam że jest wystarczająco wiele do zobaczenia tutaj na górze bez wybierania się na południe, a także aby być szczególnie ostrożnym wobec 'Strażnika' przed którym moja matka ostrzegała mnie kiedy jeszcze byłam nastolatką, plus inni ze starszyny aż do ostatnich czasów kiedy byłam wystarczająco do nich blisko a także następnego dnia ówczesna Rangatira Wahine powtarzała mi ostrzeżenie abym nigdy nie podążała za wabiącymi ogniami 'Strażnika' ponieważ nigdy bym już nie wróciła, było to jakieś 5 - 6 lat temu. Inne światła, złote jarzące się sfery wielkości około piłki do siatkówki jakie rozsiewają jasne żółtawe promieniowanie rozświetlając w środku cały dom w którym wówczas się zatrzymałam były znacznie bardziej

interesujące. Ja słyszałam o nich wcześniej oraz że to był nasz gospodarz który je widział, jednak każdy się z nim drażnił i twierdził że wypił on zbyt wiele 'Waipiro' jako że był on dosyć rozsmakowany w swoim piwie. Jednak one istnieją, tak jak je opisałam. Nie mogłam spać owej nocy i odnotowałam jasność bijącą ze stołowego za drzwiami, wyglądnęłam więc przez firanki aby zobaczyć urzekający widok. Nie byłam w stanie dobudzić się swojej koleżanki, aby patrzyła wraz ze mną, dlatego sama wstałam z łóżka i zakradłam się do framugi drzwi w stołowym, ukrywając się w cieniu przejścia, oraz mając wspaniały widok na owe jarzące się sfery - i to wszystko jest prawda! Bawiąc się w przeskakiwanie siebie nawzajem jak żaby, oraz skacząc w dół wzgórza, poprzez bagno, aż do wody zatoki i jakieś 10 stóp od ściany domu, wszystkie przez jakiś czas podążały wzdłuż linii płotów, skacząc wzdłuż wierzchołka płotu z jednej sztachety na drugą potem na słupek, potem ponownie w najbardziej dzecinną zabawę jaką kiedykolwiek mógłbyś zobaczyć! Kontynuowały tak aż minęły nasz budynek i trochę dalej, potem zaś wróciły ponownie, czasami skacząc jedna na grzbiet drugiej. Pechowo tak byłam zaintrygowana że stopniowo wychyliłam się zbyt mocno ze stołowego i mnie w końcu zobaczyły - natychmiast (a było ich co najmniej dwa tuziny) wszystkie ich światła wygasły równocześnie, nawet tych jakie były dosyć daleko, było to urzekające - jakbym to ja właśnie wyłączyła przycisk światła! Nagłość tego wygaszenia była dosyć szokująca, niemal teatralna! Gdybyśmy znajdowali się w zabudowanej przestrzeni wówczas bym posądzała że ktoś, w jakiś sposób wyprawia na nas sztuczkę, jednak nie znajdowaliśmy się w widoku żadnego innego zabudowania za wyjątkiem tych po drugiej stronie zatoki, jako że Haurakei Gulf rozciągał się przed frontem naszego budynku, z prawej strony było strome, porośnięte rodzimą puszcza wzgórze, jakieś sto metrów z tyłu znajdowały się bezludne wzgórza 200 - 300 stóp wysokie pokryte dziewiczą puszcza jaka zaczynała się natychmiast za drogą która wspinała się wzwyż do przełęczy, podczas gdy pozostała strona zajmowana była przez wybrzeże zatoki morskiej. Dla mnie owo miejsce było najbardziej dezorientującym w jakim przebywałam w całym swoim życiu, słońce nie wznosiło się tam gdzie by się go spodziewało, zaś zachodziło w miejscu jakiego nie dało się zrozumieć? Zmuszona byłam odwoływać się do mapy drogowej aby zrozumieć dokładnie gdzie się znajduję, a przecież wcale nie jestem nienawykła do lasu, jednak tutaj?! Aby jednak kontynuować opowiadanie o owych światłach, to ciągle patrząc przez boczne okno na drugą stronę bagna i w kierunku wzgórza po prawej stronie, zostałam zaszokowana zobaczeniem zimnego, białego, nie jarzącego się światła jakby lampy 'Strażnika' który się pojawił, jakie świeciło przez około 2 - 3 sekundy, potem się wyłączało, zaś po krótkiej chwili pojawiało się ponownie, wabiąc mnie abym podążyła za nim i go znalazła. Wyglądało ono tak blisko, że nawet sprawdziłam teren i zaplanowałam swoją drogę aż do jakiejś jednej trzeciej wysokości wzgórza, jednak wiedząc doskonale że gdybym podeszła do niego bliżej wówczas by się odsunął dalej aż, jak wszystkie przypadki o jakich słyszałam nam to potwierdzają, osoba która go ściga całkowicie się zgubi. Istnieją legendy o tych co go ścigali, itp."

Odnotuj że powyższy cytat potwierdza iż owe kule światła wykazują inteligencję a nawet lubią się "zabawiać". Potwierdza on także że są one doskonale znane przez lokalny folklor nowozelandzki.

#E3.1. Podobne kule światła widziane są też w innych krajach:

Obserwacje owych dziwnych latających kul światła nie są ograniczone wyłącznie do Nowej Zelandii. Podobna pojedyncza kula zimnego światła jest widywana na stokach Babiej Góry w Polsce. Istnieje tam nawet lokalna legenda stwierdzająca, że owa kula światła pilnuje skarbu zbójckiego ukrytego na zboczach owej góry. Z tego powodu owa polska kula światła nazywana jest "Strażnik". Polskie legendy stwierdzają na jego temat, że osoba która stara się odnaleźć ów skarb zbójcki, będzie przez tego strażnika zwodzona przez tak długo, aż zagubi się na śmierć. Więcej na temat owej polskiej kuli światła zwanej "Strażnik" zawarte jest w traktacie [4b]. Co mnie w tym wszystkim najbardziej intryguje, to że folklor maoryski z Nowej Zelandii nie tylko nazywa ową kulę światła tą samą nazwą "Strażnika" co folklor z Polski, ale również opisuje w taki sam sposób jej zwyczaj powodowania śmiertelnego zagubiania się ludzi.

Podobne jarzące się kule są widywane jak wlatują one z wód rzeki Mekong, na granicy Tajlandii i Laosu. Lokalnie są one tam znane pod nazwą Naga Fireballs. Najwięcej ich daje się zobaczyć koło świątyni buddyjskiej w Phon Phisai, około 40 kilometrów od północnego miasta tajlandzkiego "Nong Khai". Owe kule światła zdają się tam pojawiać ogromnie regularnie w październiku każdego roku nocą przy pełni księżyca. Ich krótki opis zawarty jest w artykule gazetowym o tytule "Goodness gracious, great balls of fire" opublikowanym na stronie C10 z wydania datowanego 7 December 2003 nowozelandzkiej gazety Sunday Star-Times.

W odcinku amerykańskiego serialu o tytule "Weird or What?" nadawanym na kanale 3 telewizji Nowej Zelandii o godzinie 19:30 do 20:30 w poniedziałek, dnia 3 stycznia 2011 roku, pokazywano nocne ujęcia filmowe z USA w których też utrwalone zostały jasno jarzące się "orby". Regularnie są one tam widywane na zboczach bezludnej góry zwanej "Brown Mountain". Z tego co zobaczyłem na owych ujęciach, orby z USA wyglądają i zachowują się dokładnie tak samo jak orby z Nowej Zelandii. Miejscowa legenda stwierdza o nich, że są one duchami indiańskich wojowników którzy zginęli kilka wieków temu w krwawej bitwie jaka miała tam miejsce pomiędzy dwoma szczepami indiańskimi. (Być może, że ów odcinek serialu da się ciągle oglądać z powtórzenia programu "on demand" po wejściu na stronę owego kanału 3 TVNZ: www.tv3.co.nz.)

#E3.2. Czym właściwie są owe tajemnicze latające kule światła:

Istnieje wiele spekulacji na temat czym właściwie są owe upiornie jarzące się kule. Dominująca opinia jest, że posiadają one charakter duchowy i reprezentują duchy tych co umarli w wyniku eksplozji Tapanui (opisywanej powyżej). Jednak ja osobiście jestem raczej przekonany, że owe jarzące się kule to sterowane komputerowo miniaturowe UFO-sondy, jakie latają bardzo wolno w stanie telekinetycznego migotania. W zależności od strony z której zostały zaobserwowane lub sfotografowane, dzisiejsza UFOlogia nazywa owe UFO-sondy z użyciem albo niefortunnej nazwy rods - co oznacza "pałeczki" albo też nieco właściwszej nazwy orbs. Nazwa "rods" została im przyporządkowana ponieważ kiedy są one fotografowane z boku podczas szybkiego lotu, wówczas na zdjęciach wyglądają jak wydłużone, upiornie jarzące się pałeczki. Z kolei nazwa "orbs" została im przyporządkowana kiedy podczas lotu zostają sfotografowane od strony swej osi głównej, co nadaje im okrągły kształt. Więcej informacji na temat owych "rods" (tj. bezzałogowych, miniaturowych sond UFO) można znaleźć na stronie internetowej telekinesis_pl.htm a także w podrozdziale U3.1.2 monografii [1/5]. Z kolei na "Fot. #G1" i "Fot. #G2" ze strony [landslips_pl.htm](#) pokazane zostały ich zdjęcia uchwycone z pozycji dającej kształt "orbs" (kliknij tutaj aby oglądać jedno z tych zdjęć). Natomiast na "Fot. 5" ze strony [aliens_pl.htm](#), oraz "Fot. U18" ze strony [explain_pl.htm](#) pokazane zostały ich zdjęcia uchwycone z pozycji dającej kształt "rods" ujawniony albo w pojedynczym błysku, albo też w całym łańcuchu kolejnych błysków tzw. "stanu telekinetycznego migotania" (kliknij tutaj aby spróbować oglądać jedno z tych zdjęć).

#E4. Technicznie wyglądające kule ceramiczne które spadają z nieba:

Wszystko zaczęło się w Nowej Zelandii. Najpierw tam zaczęły spadać z nieba na ziemię dziwne ceramiczne kule. Okoliczności w jakich je tam znajdowano oraz sposób na jaki opadły one na powierzchnię łąk i ogrodów ujawniały że definitywnie musiały one pospadać z nieba. Potem zaczęły one spadać z nieba także w innych krajach. Poniżej opisuję wszystkie znane mi przypadki znajdowania owych dziwnych kul. Pokazuję także ich zdjęcia.

#E4.1. Technicznie wyglądające ceramiczne kule spadłe z nieba na Nową Zelandię:

Kule ceramiczne pokazane poniżej należą do grupy około ich tuzina, jakie znalezione zostały około 1983 roku na jednym z pastwisk farmy z okolic Invercargill. Ja otrzymałem je bezpośrednio od owego farmera. W międzyczasie jednak zaginęły mi jego dane i adres. W zbliżonym czasie byłem też kontaktowany przez kogoś z wybrzeża zachodniego Nowej Zelandii (tzw. "West Coast"), kto znalazł kilka takich kul na swoim

własnym ogrodzie. Jedną z poniższych kul wysłałem do Polski dla dokonania badań laboratoryjnych. Niestety, badania te okazały się sprowadzać głównie do jej oglądnięcia, tak że nadal pozostają nam nieznane zarówno jej cechy, jak i jej możliwe pochodzenie i przeznaczenie.

Jeszcze inne gniazdo zawierające jedną różową oraz ponad 100 białych takich kamiennych kul znalazł w 1978 roku 12-letni wówczas Michael McManaway z Blenheim w Nowej Zelandii. (Adres znalazcy brzmiał w owym czasie: 39 Redwood Street, Blenheim, New Zealand.) Znajezisko to niemal pokrywało się w czasie ze słynnym sfilmowaniem wehikułu UFO ponad Kaikoura w Nowej Zelandii - patrz opis tego sfilmowania w punkcie #E1 powyżej. (Miasteczka Kaikoura i Blenheim sąsiadują ze sobą.) Jego znalezisko najpierw opisała miejscowa gazeta "The Marlborough Express", wydanie z 13 December 1978 roku w artykule zatytułowanym "Boy uncovers mystery on Wither Hills". Artykuł ten informował, że pojedyncza kula waży około 150 gram (około 3 razy więcej niż piłka golfowa), oraz jest wykonana jakby z "marmuru". Potem obszerniejszy artykuł o tytule "Mystery Balls" opublikował na temat owych kul nowozelandzki newsletter-miesięcznik o nazwie "UFOs and other mysteries", wydanie z November 1982 (Issue No. 10), strony 3 do 5. (Miesięcznik ten wydawał prywatnym nakładem niejaki John Thompson, w owym czasie używający adresu P.O. Box 537, Blenheim, New Zealand.) Ten obszerniejszy artykuł informował, że kule są wykonane ze "sprężonej porcelany". Są one aż tak twarde iż przecięcie jednej z nich wymagało użycia piły diamentowej której zajęło około kwadrans zaś snopy iskier aż buchały z kuli. Kula okazała się pełna zaś jej jakby odkolorowana siatka przebiegała ją na wskroś. Artykuł opisuje również jakiś eksperyment na owych kulach, który zdawałby się sugerować że kule te albo generują jakieś silne pole, albo też polaryzują pole grawitacyjne. Niestety, opis eksperymentu jest zbyt mglisty aby móc być niezależnie zweryfikowany. Z opisu tego wynikało że po zawieszeniu jakoś metalowej rybki wędkarskiej nad ową kulą, rybka ta jakoby zaczynała wirować.

Interesująco, na stronie 147 książki [1#E4.1] pióra Elsdon Best, o tytule "Maori Religion and Mythology" (Part 1, A.R. Shearer 1976, Wellington, New Zealand) - referowanej również przy okazji dyskusowania "chaosu jako pierwotnej siły ewolucyjnej wszechświata" w punkcie #E1 strony o nazwie will_pl.htm, znalazłem następujące stwierdzenie na temat owych niezwykłych kamiennych kul - cytuję w moim tłumaczeniu: "... święte whatu, albo kamienie, ... były ciągle pieczołowicie przechowywane w Whanganui, ..." (w oryginale angielskojęzycznym: "... the sacred whatu, or stones, ... were still carefully preserved at Whanganui, ..."). Wygląda więc na to, że owe kamienne kule spadające z nieba przez szczepy Nowozelandzkich Maorysów były uważane za "święte" - i pomyśleć że ja, a także badacz UFO z Krakowa w Polsce, ciągle gdzieś posiadamy owe święte maoryskie kule.

Fot. #E3: Tajemnicze kule ceramiczne o wielkości piłek golfowych, jakie powtarzalnie pojawiają się na powierzchni pastwisk Nowej Zelandii i innych krajów świata. (Kliknij na tą fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.) Kule te mają kształt niemal okrągłych jajek. Ujawniają one regularną siatkę pod powierzchnią, która sugeruje że są one wytwarzane w przemysłowy sposób. Okoliczności w jakich lokalni farmerzy je znajdują sugerują, że kule te "spadają z nieba". Jak narazie nie spotkałem się jednak z raportem kogoś kto faktycznie zaobserwowałby moment ich upadku z nieba.

#E4.2. Ceramiczna kula spadła z nieba w Niderlandach:

W 2007 roku zostałem poinformowany, że kolejną kamienną kulę o podobnej wielkości i wyglądzie znalazł latem 2005 roku niejaki Gerard Willems - email: gwillems1@chello.nl. Jego kamienna kula leżała na pastwisku koło niewielkiej miejscowości Brielle w Niderlandach. Współrzędne geograficzne miejsca jej znalezienia, odczytane z Google Earth, wynosiły: 51° 55' 7.24" N, 4° 10' 43.96" E. Wygląd kamiennej kuli Pana Willems'a zilustrowany jest na następującym zdjęciu (kliknij na niniejszy napis aby zdjęcie to sobie oglądnać).

#E4.3. Ceramiczna kula znaleziona w Rumunii:

W lipcu 2008 roku otrzymałem emailem informację o kolejnej takiej ceramicznej kuli znalezionej w Rumunii. Osoba która ja znalazła to niejaki Traian Lixandru - email: traianlixandru@gmail.com. Oto jak on sam opisuje swoje znalezisko - cytuję z jego emaila:

Znalazłem ją kiedyś w 1996 lub 1997 roku, w kanale niedaleko od mojego domu we wsi Domnesti, województwo Arges, 45°12'49" N, 24°50'47" E (według Google'owskiej Earth). Właśnie czyściłem ten kanał z najróżniejszych kamieni jakie tam się nagromadziły. Natychmiast rzuciła mi się ona w oczy. Pomyślałem że jest to mała piłka, jednak kiedy wziąłem ją w ręce poczuła się bardzo ciężka i jakby ze skały. Od owego czasu sądziłem że kamień ten musi być rodzajem cudu natury, oraz nigdy nie uwierzę że mógłby on być wykonany przez ludzi. (W oryginale angielskojęzycznym: "I found it back in 1996 or 1997, in a canal near my home at my country - village Domnesti, in Arges county, 45°12'49" N, 24°50'47" E (as in Google Earth). I was cleaning the canal from many stones that were there. I saw this stone immediately. I thought that was a little ball, but when I took it in my hands it felt heavy and like a rock. Since then I was thinking that the stone must be a nature miracle, and refuse it to believe that was man made."

Oto jedno ze zdjęć swojej kuli które on mi dostał (kliknij na niniejszy napis aby zdjęcie to sobie oglądnąć).

#E4.4. Podobne kule znajdowane były i czczone w Fiji już w 1860 roku:

Najstarsza wzmianka o opisywanych tu kulach, jakiej istnienia jestem świadomy, pochodzi z 1860 roku. Pochodzi ona z raportu jaki przygotował zarządzający brytyjską kolonią na Wyspie Fiji, czyli niejaki Colonel Smythe - the Commisioner to Fiji by the British Government. Opublikowana ona jest na stronach 45 i 46 napisanej w Nowej Zelandii książki [1#E4.4] pióra Gary J Cook and Thomas J Brown, "The Secret Land. People Before" (StonePrint Press, Christchurch, New Zealand, 1999, ISBN 0-9582040-0-4). Autor owego raportu informuje jak dowiedział się od miejscowych ludzi o przybyciu Rewa'ów boga Wairu do Namusi w Fiji. Poprosił więc miejscowego przewodnika aby mu pokazał dokładne miejsce gdzie ów bóg przybył. Ten zabrał go do niewielkiego drzewa z dziuplą położonego na brzegu strumienia, poczym po włożeniu ręki do owej dziupli wyjął z niej jajo-kształtny kamień obcy dla tej lokalizacji wielkości łabędziego jajka i stwierdził że to właśnie jest "bóg". Następnie włożył ponownie rękę do dziupli i wyjął z niej kilka mniejszych kul o wielkości i wyglądzie kul opisywanych tutaj - poczym stwierdził że to są "dzieci boga". Z jakichś więc niewyjaśnionych w owej książce powodów miejscowi ludzie z wyspy Fiji uważali że opisywane tutaj kule są "bogiem" oraz "dziećmi boga" i oddawali im nabożną cześć. Dalsza część owego raportu opisywała kolejne znaleziska takich właśnie kul. Jedna z nich znaleziona została w rozwidleniu konarów drzewa, inna zaś w dziupli drzewa.

Owo znajdowanie opisywanych tutaj kul na drzewach poświadcza, że musiały one "spadać z nieba" - na przekór że mają one technologiczny wygląd i cechy. Z kolei oddawanie im nabożnej cześci i traktowanie jako "boga" sugeruje że ktoś w związku z nimi widział coś nadprzyrodzonego. Ponadto ów 1860 rok - w którym miało miejsce tamto pokazanie brytyjskiemu zarządcy tychże kul z Fiji, nastąpił na krótko po tym jak Nowa Zelandia i Fiji zaczęły dopiero być zasiedlane przez Europejczyków. Stąd te wyspy Pacyfiku wówczas nie miały jeszcze żadnego przemysłu. W tamtych czasach NIE było więc możliwym aby kule te były np. jakimiś produktami, narzędziami, lub odpadkami przemysłu. Najwyraźniej pojawiły się więc tam w jakiś nadprzyrodzony sposób, zaś miejscowi byli świadomi tej ich nadprzyrodzoności.

#E5. Inne dziwne obiekty które "spadły z nieba" w Nowej Zelandii:

Niezwykłe kule ceramiczne opisane w poprzednim punkcie #E4 tej strony wcale nie są jedynymi obiektami które ewidentne spadły z nieba w owym kraju. W niniejszym punkcie wskażę przykłady dalszych takich obiektów i substancji. Oto niektóre z nich.

Niezidentyfikowany kawałek maszyny. W artykule "Bay's unwelcome flying object still unidentified", ze strony A3 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z

soboty (Saturday), April 19, 2008, opisano i pokazano fotografię metalowego kawałka jakby wylamanego siłą z jakiejś maszyny. Kawałek ten "spadł z nieba" w Hawke's Bay. Ważył on około 1 kilograma i był długości około 15 cm. Upadł on z nieba z taką siłą, że przebił dach domu i sufit mieszkania, oraz zniszczył dywan na ziemi. Jednocześnie jednak jego pokryta lekką rdzą powierzchnia nie została nadtopiona, co świadczy że wcale NIE spadł on z kosmosu. Eksperti aeronautyki stwierdzili że z całą pewnością NIE stanowi on części żadnego z samolotów latających ponad Nową Zelandią.

Nowa Zelandia najwyraźniej jest też tradycyjnym miejscem ponad którym UFO-nauci opróżniają swoje ubikacje. Bardzo dziwna substancja, która wygląda jak zawartość półpłynnego kału z ubikacji, która śmierdzi jak zawartość ubikacji, jednak która po zbadaniu okazuje się substancją jakby "mineralną" a nie "organiczną", co jakiś czas opada na dachy nowozelandzkich domów. Cały szereg przypadków opadania owego "mineralnego kału" opisany jest w punkcie #B8 strony internetowej evidence_pl.htm - o dowodach nieprzerwanej działalności UFO-nauców na Ziemi.

Relatywnie często w Nowej Zelandii "spada z nieba" rodzaj węgla, który w punkcie #B3 strony evidence_pl.htm - o dowodach nieprzerwanej działalności UFO-nauców na Ziemi opisany jest pod nazwą "węgla warstwowego".

Warto tutaj też dodać, że obiekty opisane w punktach #G3 i #G4 tej strony również praktycznie "spadły z nieba" w miejsca swego późniejszego znalezienia.

#E6. Nowozelandzkie Yeti - czyli mało podobni UFO-nauci widywani m.in. w Nowej Zelandii:

Gdyby projekt SETI skierował swoją uwagę na naszą własną planetę - zamiast szukać kosmitów na odległych galaktykach, wówczas jego badacze szybko by odnotowali że po naszej planecie grasują najróżniejsze rasy UFO-nauców. Tyle tylko, że owi UFO-nauci starannie ukrywają przed ludźmi swoją obecność na Ziemi - co dosyć obszernie wyjaśniam na stronach internetowych evil_pl.htm - o pochodzeniu zła na Ziemi, oraz memorial_pl.htm - o metodach ukrywania swojej obecności przez UFO-nauców. Z ogromnej różnorodności ras UFO-nauców grasujących po Ziemi, dosyć unikalna jest rasa owłosionych UFO-nauców wyglądających jak małpy. Rasa owa najlepiej jest znana na świecie pod nazwą "Yeti". Warto jednak odnotować że ową nazwą Yeti UFO-nauci ci nazywani są przez lokalną ludność Himalajów. W innych zaś miejscach na Ziemi ci sami futrzaści UFO-nauci nazywani są innymi nazwami. Zależnie od kontynentu i kraju przyjmują oni nazwy: "Yeti", "Snowman", lub "Almas" (Azja); Migoi (himalajski Bhutan); "Big-Foot" lub "Oh-mah-ah" (USA), "Sasquatch" (Canada), Yowie (Australia), oraz "Maeroero" (Maorysi z Nowej Zelandii) - po szczegóły patrz podrozdział V6 z tomu 17 monografii [1/5]. Faktycznie istnienie Yeti nie ulega już wątpliwości. Przykładowo, zgodnie z artykułem "Expert says Yeti sketch 'proof'" ze strony A15 nowozelandzkiej gazety "Weekend Herald", wydanie datowane w sobotę (Saturday), June 7, 2008, cały skalp Yeti jest trzymany w jednym z buddyjskich monasterów z himalajskiego Bhutan'u.

Futrzaści UFO-nauci wyglądający jak małpy relatywnie często widywani są w Nowej Zelandii. Rysunek odtwarzający dokładny wygląd tych futrzastych UFO-nauców, sporządzony przez aż trzech naocznych świadków którzy ich widzieli, opublikowany był w artykule "Aliens Sighted" (tj. "Kosmici widziani") który ukazał się na stronach 1 i 5 już obecnie nie istniejącej nowozelandzkiej gazety o nazwie Sunday News (published by News Media (Auckland) Ltd., Glenside Crescent, Auckland, New Zealand, with office at 78 Victoria Street, Wellington), wydanie z niedzieli (Sunday), May 14, 1989 (kliknij tu aby oglądnąć sobie ten rysunek). W obserwacji tej trzech futrzastych UFO-nauców widzianych było przez trzech golfarzy na międzynarodowym polu golfowym o nazwie "Wairakei International course". Pole to zlokalizowane jest na północnej stronie miasta Taupo z Północnej Wyspy Nowej Zelandii. Obserwatorom udało się zbliżyć na odległość do około 50 metrów od tych futrzastych UFO-nauców. Stąd ich opis jest relatywnie dokładny. Opisują oni wygląd owych UFO-nauców jak następuje: około dwumetrowego wzrostu, szczupli, pokryci bujnym futrem, koloru jaskrawo zielonego, o małych rysach twarzy. Kiedy zostali spłoszeni wydali dziwnie brzmiący świrdujący dźwięk piszczący i uciekli w krzaki. Obserwacja

zilustrowana w owym artykule była trzecią z kolei obserwacją grupy takich samych UFOonautów widzianych na owym polu golfowym.

Nowozelandzka wersja Yeti, przez miejscowych Maorysów nazywana "Maeroero" opisana jest również na stronie 159 książki pióra Robyn Jenkin, o tytule "New Zealand Mysteries" (W. Reed, Wellington, 1970, ISBN 0-589-00494-8). Niezwykłe stworzenia widywane w Nowej Zelandii i opisywane w rozdziale "What Animal Was That?" ze stron 145 do 163 tamtej książki, dyskutowane są także w punkcie #11 strony [soul_proof_pl.htm](#).

W nowozelandzkich gazetach powtarzalnie i często pojawiają się artykuły które zawierają opis materiału dowodowego który dokumentuje faktyczne istnienie owych Yeti-podobnych stworzeń. Przykładowo, taki właśnie artykuł o tytule "Hoax, legend, obsession" ukazał się na stronie B2 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z wtorku (Tuesday), January 22, 2008. Artykuł ten m.in. podsumowywał najpowszechniej znane obserwacje Bigfoot i dowody na jego istnienie. Inny artykuł o tytule "Expert says yeti sketch proof" (tj. "Fachowiec stwierdza że rysunek yeti jest dowodem") ze strony A15 nowozelandzkiej gazety "Weekend Herald", wydanie datowane w sobotę (Saturday), June 7, 2008 opisuje istniejący skalp z Yeti jaki ktoś oglądał w buddyjskiej świątyni w Himalajach Bhutan'u.

Najbardziej szokujące jest, że zdjęcie Yeti maszerującego sobie po powierzchni Marsa zostało przesłane na Ziemię przez amerykańskiego robota "Spirit" który ostatnie 4 lata automatycznie fotografuje powierzchnię Marsa. Postać tego Yeti na zdjęciu NASA z Marsa wypatrzył najpierw jakiś amator i natychmiast umieścił je w Internecie pod nazwą "Marsjański Bigfoot". Jak ta postać wygląda, czytelnik sam może to sobie zobaczyć wyszukując owego zdjęcia w Internecie poprzez słowa kluczowe Martian Bigfoot. Oto reprodukcja tamtego marsjańskiego zdjęcia z maszerującym Yeti - niestety tutaj niezbyt wyraźna bowiem zreprodukowana ze zwykłej gazety (kliknij tu aby oglądnąć sobie to zdjęcie). Potem to samo zdjęcie zaczęły też pokazywać gazety. Przykładowo w Nowej Zelandii ilustrowało ono m.in. artykuł "Life on Mars or just a funny-shaped rock" (tj. "Życie na Marsie czy też śmiesznie ukształtowana skałka"), ze strony B1 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z czwartku (Thursday), January 24, 2008. Oczywiście NASA twierdzi że zdjęcie to pokazuje jedynie marsjańską skałę ukształtowaną w postać maszerującego Yeti.

#E7. Miniaturowe ludziki o "nadprzyrodzonych" mocach, widywane do dzisiaj w Nowej Zelandii:

Nowa Zelandia posiada znaczną ilość gór i lasów do których ludzie bardzo rzadko zaglądną. Ci zaś odważni którzy tam się zapędzą, często raportują potem spotkania z niezwykłymi istotami ludzko-podobnymi. Istoty te są różnych wielkości i wyglądu, w swej różnorodności doskonale odpowiadając raportowanym przez badaczy UFO rasom i wielkościom najróżniejszych UFOonautów. Tyle że kiedy ich wehikuly UFO nie są równocześnie widziane przez ludzkich obserwatorów, istoty te raczej są opisywane jako nadprzyrodzone stwory, niż jako UFOnauci.

Niezależnie od dużych futrzastych stworów podobnych do Yeti a opisanych w poprzednim punkcie, w Nowej Zelandii często widywane są też maleńkie ludziki. Co ciekawsze, ich obserwacje dokonywane są nie tylko w bezludnych lasach, ale również w mieszkaniach i domach z gęsto zamieszkałych obszarów. Wielkość tych ludzików może czasami być aż tak mała, że ich wzrost przyrównywany jest do wysokości litrowej butelki po Coca Coli. Wygląd tych istot odpowiada wyglądowi innych równie maleńkich choć wysoce złośliwych UFOonautów widywanych do dzisiaj w praktycznie wszystkich krajach Ziemi i znanych po świecie pod różnymi nazwami. Przykładowo na obszarze Polski istoty te nazywane są "krasnodukami" - patrz ich opis podany w punkcie #H2 strony [wszewilki.htm](#) - o niezwykłościach wsi Wszewilki. W Malezji nazywane są one "toyol" - patrz ich zdjęcie publikowane jako "Fot. 20" na stronie [day26_pl.htm](#) - o morderczym tsunami z dnia 26 grudnia 2004 roku (kliknij na niniejszy zielony napis aby zobaczyć to zdjęcie). Natomiast w Nowej Zelandii po mangielsku nazywane są one "children of the mist" (tj. "dzieci z mgły"), "hobbits", lub "fairy", zaś po maorysku "turehu" i "patupaiarehe".

Owe niezwykle miniaturowe ludziki z Nowej Zelandii są tam widywane do dzisiaj i to relatywnie często. Ja osobiście znam aż pięć ludzi którzy je widzieli na własne oczy i potem mi raportowali swoją obserwację. (Jedną z tych osób jest moja koleżanka, Anna Christie, innymi są moja była studentka, Suzanne Poutu, mój przyjaciel Anthony J. Huddy, oraz ta sama osoba która opisała mi swoją obserwację ognistych kul z punktu #E3 powyżej, jeszcze inną jest znajoma której ojciec - wykładowca z Otago, był przez owe złośliwe ludziki trapiiony całymi miesiącami aż do załamania nerwowego.) Cztery z tych raportowanych mi obserwacji dokonane zostały w domach, a jedna nawet w sypialni. Tylko jedna obserwacja miała miejsce na polu. Raporty z obserwacji owych niezwykle ludzików co jakiś czas pokazują się też w prasie nowozelandzkiej. Jeden z artykułów z takim raportem, którego dane bibliograficzne sobie odnotowałem, nosił tytuł "Hobbits and the lord of the forest", a opublikowany był na stronie A14 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z wtorku (Tuesday), March 11, 2008. Opisuje on obserwację takiej małej istotki na obszarze prastarej rodzimej puszczy zwanej Waipoua kauri forest.

#E8. Chupacabra ("czarna pantera") z Ashburton - tj. makabryczna maskotka UFOonautów:

UFOnauci dali się nam już dobrze poznać z jednego wstrętnego sekretu, mianowicie że bez przerwy ukrywają przed ludźmi swoją nieustanną obecność na Ziemi. Niestety, mają oni również wiele dalszych "mrocznych sekretów" do ukrycia. Jednym z takich "mrocznych sekretów" jest ich "maskotka", albo zwierzątko, jakie lubią trzymać na swoich wehikułach UFO. Owa maskotka jest ogromnie dziwnym produktem inżynierii genetycznej. Faktycznie jest to bowiem "poskładane zwierzę". Stanowi ono genetyczne skrzyżowanie lwa z orłem. Może ono mieć wiele maści i kolorów, podobnie jak nasze psy domowe. Jednak najczęściej widywane jest jako całkowicie czarne. Wygląda wówczas trochę jak czarna pantera lub jak muskularny czarny pies (z rasy zwanej "rottweiler"). Jednak kiedy poczuje się zagrożone, wówczas rozpościera ogromne czarne skrzydła i ulatuje w powietrzu. Straszną częścią owego zwierzęcia jest to, że żywi się ono krwią. Z tego powodu UFOnauci często wypuszczają je na ziemię w najróżniejszych bezludnych miejscach, tak aby sobie mogło zapolować na ziemskie zwierzęta i aby nasyciło się ich krwią. W obecnych czasach badacze UFO nazywają tego potwora słowem chupacabra co dosłownie oznacza "wysysacz kóz ("goat sucker") - jako że lubuje się ono w wysysaniu krwi z kóz i z owiec. Jednak w dawnych czasach to samo potworne zwierzę znane było pod odmienną nazwą gryfa. Kiedy taka chupacabra (gryf) zabije jakieś stworzonko, ludzie zwykle nie wiedzą że padło ono ofiarą owego potwora. Powodem jest, że gryf wcale nie rozrywa na strzępy ani nie uszkadza w żaden sposób swojej ofiary. Jedyne co w niej czyni, to dwie niewielkie dziurki, jakie zwykle stają się niewidoczne, bowiem ukryte są w sierści ofiary. Potem zaś wysysa ze swojej ofiary całą krew przez owe dwa niewielkie otwory. W rezultacie, kiedy potem ludzie znajdują zwłoki ofiar tego potwora, zwykle sądzą że ofiary te zmarły w "naturalny" sposób. Nie oglądają więc ani badają ich wystarczająco wnikliwie aby odkryć owe dwa małe otworki oraz zupełny brak krwi.

* * *

Na przekór że UFOnauci starają się ukrywać te potwory przed ludźmi, w różnych częściach świata są one widywane od czasu do czasu. W takich przypadkach zwykle są one mylone albo z "czarnymi panterami", albo też z dużymi czarnymi psami. Oczywiście, kiedy później ludzie szukają aby znaleźć tego dzikiego zwierza, okazuje się że jest on nieuchwytny ponieważ w międzyczasie wraca on do UFO i ulatuje w przestrzeń. W 2003 roku ów potwór (maskotka UFOonautów) widziany był w Nowej Zelandii niedaleko małego miasteczka nazywanego Ashburton. Przedtem jednak widywano go w wielu innych miejscach na świecie. Dzięki internetowi, prawdopodobnie najbardziej słynny z owych miejsc stał się Bodmin Moor w UK, gdzie potwora tego opisywano jako ogromną "cat-like creature". W latach 2004 do 2006 owa podobna do kota creatura z Bodmin Moor spopularyzowana została nawet po całym świecie dzięki słynnej reklamie telewizyjnej dla kart kredytowych "Visa". Artykuł "Dossier sheds light on Britain's big cat x-files" (tj. "Raporty w rzucają światło na x-file brytyjskiego dużego kota") ze strony A19 gazety The New Zealand Herald, wydanie z poniedziałku (Monday), March 8, 2010, stwierdza że

organizacja zwana "Natural England" posiada w swoich zbiorach ponad 100 raportów o obserwacjach niezwykłych zwierząt jakie NIE były wcześniej znane widującym je ludziom, w tej liczbie 38 obserwacji dziwnego stworzenia które widzom przypominało nieco w wyglądzie dużego kota. Kiedy ja miałem 17 lat, zostałem zaatakowany w Polsce w okolicach Cieszkowa i niemal zabity, przez jednego z owych koto-podobnych czy lwo-podobnych potworów. To właśnie z tego powodu badam je obecnie. Gdyby ktoś zechciał dowiedzieć się więcej jak on mnie zaatakował, jak wyglądał, oraz jak się zachowywał, proponowałbym poczytać podrozdział R4.2 z tomu 15 monografii [1/5], która dostępna jest nieodpłatnie za pośrednictwem niniejszej strony internetowej. Ów podrozdział R4.2 opisuje bowiem m.in. szczegóły przypadku kiedy to ja sam zostałem zaatakowany przez jedną z tych potwornych maskotek UFOonautów. W 2008 roku stwór ten najprawdopodobniej grasował w Niemczech - chociaż nikt go tam nie widział. Zgodnie bowiem z artykułem "Mystery of Germany's Rabbit Ripper" (tj. "Tajemnica niemieckiego mordercy królików") opublikowanym na stronie B2 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z piątku (Friday), July 11, 2008, znajdowano tam masę nieżywych królików których sposób uśmiercenia odpowiadał metodzie zabijania używanej przez chupacabra.

Fot. #E4: Tajemnicza i nieuchwytna czarna pantera z Ashburton, Nowa Zelandia. (Kliknij na tą fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.) Nowa Zelandia nie ma dzikich drapieżników, szczególnie wielkości pantery. Niemniej potwór taki co jakiś czas jest tam widywany. Jednak nigdy potem nie znajduje się śladów jego łap, ani nadjedzonych ofiar pozostawianych zwykle przez pantery. Powyższa ilustracja została opublikowana bez wyjaśnienia. Prawdopodobnie prezentuje więc ona artystyczną wizję jak "czarna pantera" wyglądałaby na tle nowozelandzkiego krajobrazu. Podobny potwór jest jednak powtarzalnie widywany w najróżniejszych częściach Nowej Zelandii, a także w innych częściach świata. Najsłynniejsza jego obserwacja miała miejsce w piątek, 3 października (October) 2003 roku, w Mayfield, 35 km na północny-zachód od Ashburton, Nowa Zelandia. Obserwatorem był Mr Chad Stewart, zawodowy kierowca ciężarówki. Powyższy "Fot. #E4" ilustrował artykuł "An unsolved mystery" (tj. "Nierozwiązana tajemnica") jaki pojawił się w lokalnej gazecie nazywanej Ashburton Guardian (P.O. Box 77, Ashburton, New Zealand). Ja znalazłem ten rysunek dnia 14 października 2003 roku, na doskonałej stronie internetowej owej gazety, która to strona może być oglądana pod adresem Ashburton Guardian. Ponieważ obawiałem się, że Ashburton Guardian po jakimś czasie usunie ów rysunek aby zrobić miejsce na następną porcję interesujących nowin, a także ponieważ chciałem uczynić ten rysunek i jego opis dostępny dla czytelników w językach innych niż angielski, przenieśliśmy go tutaj dla wygody oglądających tą stronę. Jednak wysoce zalecam aby najpierw go oglądać na oryginalnej stronie gazety Ashburton Guardian, gdzie jest on dostępny wraz z wysoce informacyjnymi artykułami na temat owego tajemniczego potwora z Ashburton. (Odnotuj, że strona owej gazety ma własną wyszukiwarkę. Po wpisaniu w niej słowa "panther" ukazuje się wykaz wszystkich artykułów na temat owego iluzyjnego potwora.) Warto też odnotować, że opisana w owej gazecie obserwacja "czarnej pantery" z okolic Ashburton opublikowana została także na stronach 31 do 32 książki pióra Nicola McClay o tytule "New Zealand Mysteries", Whitcoulls, 2005, ISBN 1-877327-36-0. Ponadto liczne artykuły na jej temat powtarzalnie pokazywały się w innych nowozelandzkich gazetach - jako przykład patrz artykuł "'Panther' eludes expert stalkers" jaki ukazał się na stronie A14 nowozelandzkiej gazety "Weekend Herald", wydanie datowane w sobotę (Saturday), August 19, 2006.

Fot. #E5: Niezależnie ode mnie, tj. dr Jan Pająk, powyższe zdjęcie pokazuje także, między innymi, dwa muskularne czarne psy jakie należą do rasy zwanej "rottweiler". (Kliknij na tą fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.) (W celu dokładniejszego oglądnięcia tego zdjęcia kliknij na nie.) Osoba w niebieskim skafandrze która trzyma na smyczy jednego z tych psów, to ja - dr Jan Pająk. Druga osoba to właścicielka owych psów. Czarna

chupacabra ("czarna pantera") która zaatakowała mnie i niemal zabiła kiedy miałem 17 lat, miała właśnie muskularną budowę ciała oraz wielkość psa tej szczególnej rasy, aczkolwiek jej kształt zewnętrzny znacznie od psa tego się różnił. Odnotuj jednak, że psa tej atletycznej rasy ja nigdy nie widziałem w Polsce, zaś po raz pierwszy w życiu zobaczyłem go dopiero po wyemigrowaniu do Nowej Zelandii. Więcej danych na temat wyglądu dziwnego potwora który zaatakował mnie i omal nie zabił kiedy byłem 17-letnim chłopcem, zawarte jest w podrozdziale R4.2 z tomu 15 najnowszej monografii [1/5]).

Część #F: Podziemne tunele i jaskinie odparowane w Nowej Zelandii przez wehikuły UFO:

#F1. Tunele UFO:

UFO mają tę niezwykłą zdolność, że kiedy włączą swój tryb wiru magnetycznego, wówczas formują one wirującą chmurę jarzącej się plazmy wokół swojej powłoki. Plazma, jak wiemy, jest ogromnie niszczycielskim zjawiskiem. Faktycznie cokolwiek nie da się pociąć z użyciem normalnych narzędzi, wówczas jest to cięte właśnie plazmą. Dlatego taka wirująca chmura jarzącej się plazmy która otacza wehikuł UFO jest rodzajem jakby piły tarczowej o przeogromnej mocy. Piła ta jest w stanie wcinać się w skały i w budynki. Poprzez użycie owych pił plazmowych, wehikuły UFO są w stanie odparowywać długie, proste, podziemne tunele. W Nowej Zelandii kilka takich tuneli zostało już odkryte, niestety żaden z nich nie został otwarty do badań. Dla przykładu górnicy którzy pracowali przy realizacji zapory wodnej "Clyde" raportowali mi że aż cały szereg takich prostych, szklitych tuneli został otwarty podczas wierceń, jednak były one natychmiast zacementowywane. Z tego powodu pierwszy tunel UFO jaki zdołałem zobaczyć i zbadać, znajduje się na Borneo a nie w Nowej Zelandii. Jest to słynna "Deer Cave" pokazana na "Fot. #F3".

Ludzie są nietypowo (tj. sztucznie) sceptyczni w sprawie istnienia UFO. Z tego powodu wyjaśniają oni wszelkie dowody pozostawiane przez UFO na najróżniejsze "naturalne" sposoby. To także obejmuje tunele UFO. Typowe stwierdzenie jest, że takie tunele to faktycznie jaskinie lawy ("lava caves"), znaczy że wykonywane są one przez przepływ lawy z pobliskiego wulkanu. Na szczęście dla tuneli UFO, unikalny napęd magnetyczny jakiego używają wehikuły UFO, nakłada na te tunele cały szereg atrybutów, które faktywnie w nich występują jednak które nie mogą być obecne w "tunelach lawy". Dla przykładu, jedna grupa takich atrybutów wynika z faktu, że wehikuły UFO zawsze zmuszone są latać tak zwrócone że ich podłoga jest niemal prostopadła do lokalnego przebiegu linii sił ziemskiego pola magnetycznego. Ponieważ wehikuły UFO mają kształt w przybliżeniu dysku, taki ich lot oznacza, że muszą one odparowywać tunele eliptyczne, jak ten pokazany na "Fot. #F3", jeśli lecą one w kierunku magnetycznym północ-południe. Z kolei muszą one odparowywać tunele jakie mają w przybliżeniu przekrój trójkątny, jak ten pokazany na "Fot. #F1", kiedy lecą one w kierunku magnetycznym wschód-zachód. Zależność kształtu tunelu jaki UFO odparowują, od kierunku ich lotu, zilustrowana została na "Fot. #F2".

Inną cechą charakterystyczną tuneli UFO jest istnienie w nich "podłogi pozornej". Faktycznie bowiem kompletne tunele UFO są zawsze symetryczne względem swej poziomej osi. Jednak ponieważ tuż po przelocie wehikułu UFO duża ilość gruzu skalnego opada na podłogę tych tuneli, a następnie gruz ten pokrywany jest szybko twardniejącymi oparami skały, niezależnie od faktycznej podłogi, tunele UFO posiadają też ową "podłogę pozorną" jaka przebiega na około połowie ich wysokości. Stąd dolna połowa tych tuneli znajduje się pod ową podłogą pozorną, zawsze będąc zapełniona gruzem skalnym a często także i wodą. Owa podłoga pozorna posiada także odmienną konsystencję niż ściany samego tunelu. Faktycznie też na "Fot. #F1" widzimy klasyczny wygląd takiej podłogi pozornej. Z kolei "Fot. #F2" ilustruje jak jest ona formowana i jak zalega ona tunel UFO.

Tunele UFO występują praktycznie w każdym kraju. Tyle że nie wszędzie ludzie o nich wiedzą. Niniejsza strona, a także strona o magnokrafcie, pokazują zdjęcia tych tuneli z Nowej Zelandii i z tropikalnej wyspy Borneo. W Polsce takie tunele UFO na pewno istnieją

pod Babią Górą, zaś folklor lokalny informuje że prawdopodobnie także istnieją pod Łysicą i pod Sobótką. Zdjęcie tunelu UFO istniejącego w Korei pokazane zostało na stronach o Korei i o Malborku. Zdjęcia zaś tuneli UFO z Ekwadoru i Australii pokazane są w rozdziale V z tomu 17 monografii [1/5].

Po dalsze szczegóły o tunelach UFO proszę przeglądać podrozdziały z mojej monografii [1/5] wskazane pod ilustracjami "Fot. #F2" i "Fot. #F3".

Fot. #F1: Czy powyższe zdjęcie pokazuje tunel UFO? (Kliknij na tą fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.) Ja osobiście wierzę że tak. Ponieważ jednak nie mam możliwości przeprowadzenia dokładnych badań na tym tunelu, trudno mi o tym zawyrokować konkluzywnie. Naukowcy ten tunel nazywają "jaskinia lawy" (tj. "lava cave"), jako że przepływ lawy wulkanicznej jest jedynym naturalnym zjawiskiem które byłoby w stanie wyjaśnić unikalne atrybuty tych podziemnych tuneli (poza ich technicznym odparowaniem przez wehikuly UFO), jakich to atrybutów nauka ortodoksyjna nie chce jednak uznać za powodowane technicznie. Niemniej powyższe zdjęcie ilustruje, że ten szczególny tunel ujawnia obecność wszelkich atrybutów występujących w tunelach UFO, a także że byłoby dosyć trudno spowodować aby lava płynęła poziomo, czy nawet nieco trochę pod górę. Powyższa fotografia niezwykłego tunelu pokazana jest na stronie 8 interesującej książki autorstwa (i copyrights) niejakiego Bruce W. Hayward, o tytule "Precious Land" (Geological Society Of New Zealand Guidebook Number Twelve, Bush Press Communications Ltd., P.O. Box 33-029, Takapuna 1309, Auckland, New Zealand, 1996, ISBN 0-908678-60-6). Opis jaki referuje do owego zdjęcia stwierdza że jest to "Wiri lava cave" zlokalizowana na górze zwanej "Wiri Mountain", w Manukau District (koło Auckland). Stwierdza on także, cytując w moim wolnym tłumaczeniu: "Przy kilku okazjach w latach 1980-tych czujność miejscowych grotolazów uratowała ową jaskinię przed zniszczeniem przez skradające się kamieniołomy. ... Negocjacje pomiędzy najróżniejszymi ministerstwami aby nadać tej jaskini status rezerwatu zaczęły się w 1987 roku zaś w 1996 roku wcale nie wyglądają one bliższymi osiągnięcia tego celu." A więc wygląda na to że ktoś ogromnie wpływowy życzy sobie aby owa jaskinia została szybko zniszczona i nie była dostępna do oglądania przez ludzi. Z moich zaś poprzednich badań wynika, że jest tak zawsze kiedy w grę wchodzi jakiś materiał dowodowy na istnienie UFO, szczególnie tak obrazowy jak tunele UFO - jako przykład takiego skrytego chociaż upartego niszczenia materiału dowodowego na temat UFO patrz traktat [4B] na ten temat, lub patrz strony internetowe evil_pl.htm czy memorial_pl.htm.

Fot. #F2 (G31 z [1/5]): Ta ilustracja pokazuje jak tunele UFO zostają odparowane, oraz jakie są najważniejsze ich cechy wynikające z tego sposobu ich odparowania. Szczegółowy opis atrybutów takich tuneli UFO zawarty jest w podrozdziale G10.1.1 z tomu 3 monografii [1/5] (jaki to podrozdział wyjaśnia jak owe tunele UFO są odparowywane przez wehikuly UFO), a także w podrozdziale V5.3.1 z tomu 17 monografii [1/5] (jaki wyjaśnia własności tunelu zwanego "Deer Cave" który istnieje na Borneo oraz który pokazany jest poniżej).

Fot. #F3 (V6d z [1/5]): Fotografia najbardziej spektakularnego tunelu UFO, jakim jest tzw. "Deer Cave" z północnego Borneo. Tunel ten opisany został szczegółowo w podrozdziale V5.3.1 z tomu 17 monografii [1/5]. Powyższe jego zdjęcie omawiane jest również na stronie internetowej magnocraft_pl.htm.)

#F2. Legowiska Taniwha'ry:

Nowozelandzcy Maorysi mają liczne legendy referujące do gignatycznych stworów jakie oni nazywają "Taniwha" (słowo to wymawiają w przybliżeniu jako "tanifar"). Jeśli zaś ktoś przeanalizuje wygląd i zachowanie się owych stworów, owo zachowanie bardzo dokładnie odpowiada zachowaniu dzisiejszych wehikulów UFO. Stąd jest wysoce

prawdopodobne, że Maorysi którzy nie znali maszyn, wzięli latające wehikuly UFO za mistyczne zwierzęta nazywając je "Taniwha". Taka możliwość jest dodatkowo potwierdzana faktem, że identyczną nazwą "Taniwha" Maorysi zwykli również nazywać szatańskie stworzenia ludzko-kształtne (tj. ludzko-kształtne "Taniwha" z folkloru Maoryskiego są podobne do "serpentów" i "diabłów" z folkloru europejskiego). Wygląda więc na to że dawni Maorysi byli skołowani widząc ogromne latające wehikuly UFO, z jakich wyłaniali się szatańsko usposobieni członkowie załogi tych wehikulów, dlatego też nazywali oni "Taniwha" zarówno same wehikuly UFO jak i załogantów tych wehikulów UFO.

Dziwne podobieństwo pomiędzy wehikulami UFO a Taniwha, polega też na tym że każde z nich ma tendencję do ukrywania się przed ludźmi wewnątrz jaskiń jakie odparowane zostały przez wehikuly UFO we wnętrzu samotnie stojących wzgórz. Zgodnie z legendami Maorysów, istnieje sporo wzgórz w Nowej Zelandii, które posiadają w swym wnętrzu ogromne beczko-kształtne jaskinie. W tych jaskiniach potwory Taniwha ukrywały się przed ludźmi. Jak dotychczas dowiedziałem się o takich Taniwha ukrywających się we wnętrzu: (1) Saddle Hill koło Dunedin (pokazanym tu na "Fot. 2a"), (2) Matanaka Hill koło Waikouaiti (pokazanym tu na "Fot. 13b"), (3) świętej góry Puketapu koło Palmerston, (4) góry Nimrod koło Timaru, oraz kilku dalszych jakich nazw ani położeń nie zdołałem zarejestrować. Jeśli ktoś przeanalizuje dokładnie owe góry jakie mają ukrywać w sobie Taniwha, okazuje się wówczas że góry te są ustawicznie pokrywane świeżymi pierścieniami telekinetycznie stymulowanej roślinności. (Można zobaczyć takie właśnie pierścienie na fotografii z "Fot. #F5", a także "Fot. #E2" i "Fot. #I3".) Z kolei jest już nam wiadomym, że właśnie takie pierścienie stymulowanej roślinności są formowane kiedy wehikuly UFO działające w trybie "telekinetycznego migotania" wolno zanurzają się pod ziemię. (Czym jest ów stan "telekinetycznego migotania", wyjaśnione to zostało na stronie telekinesis_pl.htm.) Czyli owe wypalone pierścienie roślinności są rodzajem materiału dowodowego jaki potwierdza prawdę w opowiadaniach Maorysów o Taniwha ukrywających się w jaskiniach zlokalizowanych we wnętrzu owych samotnych wzgórz!

Aby wszystko było nawet jeszcze bardziej niezwykle, podczas moich badań UFO spokałem naocznych świadków, którzy faktycznie zostali uprowadzeni do wehikulów UFO zaparkowanych w takich jaskiniach z wnętrza samotnych gór. Jeden z tych świadków został uprowadzony do wehikulu UFO, jaki "zaparkowany" był w takiej jaskini która istnieje we wnętrzu tzw. "Saddle Hill" koło Dunedin - patrz "Fot. #B2". Jego uprowadzenie dokonane zostało za pomocą "promienia podnoszącego" który dla niego wyglądał jak promień kolorowego światła. Opowiadał mi on, że kiedy w swoim locie miał właśnie uderzyć w powierzchnię Saddle Hill, zaczął się bać że mu się coś stanie. Jednak w rzeczywistości przeniknął on przez glebę i skały do jaskini w środku, potem zaś do ogromnego wehikulu UFO jaki zawisał we wnętrzu tej jaskini, tak jakby te twarde przeszkody były wykonane z jakiegoś płynu. UFOnauci sądzili że on śpi kiedy go uprowadzili, tymczasem on jedynie pretendował że śpi, stąd mógł potem opowiedzieć mi całą historię swojego uprowadzenia. Inny świadek uprowadzony został do wehikulu UFO jaki zaparkowany był we wnętrzu jaskini zlokalizowanej w jednym ze wzgórz miasta Auckland. Niestety wówczas jedynie wizytował on Auckland (mieszkał wtedy w Dunedin). Dlatego nie był obznajomiony z owym miastem i dosyć skołowany swoim niezwykle przeżyciem, nie był więc w stanie powiedzieć mi które wzgórze to było.

Jeśli jaskinia kryjąca się we wnętrzu dużej góry odparowana zostanie przez wehikul UFO typu K10, wówczas jej średnica może przekraczać jeden kilometr. Z kolei niewielkie wehikuly UFO zawisające w takiej ogromnej jaskini oraz jonizujące powietrze swoim polem magnetycznym wyglądałoby w niej jak małe podziemne słońca. Gdyby więc do takiej ogromnej jaskini częściowo wypełnionej podziemnym jeziorem oraz z własnym jakby poziomym "słońcem" zabłądził ktoś z ludzi, wówczas po powrocie na powierzchnię zaczęłby on opowiadać o całym "podziemnym świecie". Właśnie taka gigantyczna beczko-kształtna jaskinia ukrywająca się pod "Cairnmuir Hill" położonym koło Cromwell przy drodze do wioski o nazwie Nevis, została odkryta podczas wiercenia tuneli odwadniających dla zapory wodnej Clyde. Jest ona tak ogromna, że może pomieścić w sobie nawet największy wehikul UFO. Ogromne jezioro wypełnione wodą mineralną znajduje się na jej dnie. W

okolicach zaś Cromwell krąży sporo opowieści o tej oraz o innych podobnych do niej podziemnych jaskiniach. Jest więc możliwe że to właśnie echa podobnych opowieści zainspirowały Juliusza Verne do napisania swojej "Podróży do wnętrza ziemi". (Zapewne nie jest też przypadkiem że akcja filmu telewizyjnego z 1999 roku o tytule "Journey to the Center of the Earth", opartego na owej opowieści J. Verne, toczy się właśnie w Nowej Zelandii.) Wszakże J. Verne był świadom folkloru nowozelandzkiego. W swoich innych książkach referuje on nawet do istnienia "podziemnych światów" pod Nową Zelandią, a także opisuje nowozelandzkiego ptaka "kiwi".

* * *

W tym miejscu powinienem dodać, że dokładna interpretacja kim właściwie były owe straszne Taniwha których wojowniczy nowozelandzcy Maorysi tak panicznie się bali, zaprezentowana jest na odrębnej stronie internetowej o kościele Św. Andrzeja Boboli w Miliczu. Interpretacja ta podparta jest dosyć sporym zdjęciowym materiałem dowodowym pokazującym m.in. wygląd owych strasznych "Taniwha" oraz wygląd ich morderczej broni. Z kolei wygląd "latającego serpenta" który wywodzi się z podobnej do Maoryskiej mitologii Kambodży, pokazany jest na "Fot. #2" ze strony o Biblii autoryzowanej przez samego Boga

Fot. #F4: Wycinek wewnątrz jaskini zwanej "Batu Cave" z Kuala Lumpur w Malezji, w której podobno mieszka Hinduski bóg Murugan. (Zdjęcie rzeźby boga Murugan pokazane jest na "Fot. #1" ze strony internetowej o filozofii pasożytnictwa.) (Kliknij na powyższa fotografię aby oglądnąć ją w powiększeniu.) Owa jaskinia faktycznie zlokalizowana jest we wnętrzu wzgórza stojącego samotnie. Z zewnątrz wzgórze to wygląda bardzo solidnie, zaś jaskinia ukryta w jego wnętrzu została odkryta tylko ponieważ część jego zbocza uległa zawaleniu. W przeciwnym przypadku ludzie nie mieliby pojęcia że ogromna jaskinia ukrywa się we wnętrzu tego samotnego wzgórza. Batu Cave jest też ukształtowana jak beczka, tak że z łatwością jest ona w stanie pomieścić duży wehikuł UFO w swoim wnętrzu. Jest zlokalizowana na jakiejś 1/3-ciej wysokości wzgórza "Batu Hill". Stąd dominuje ona swoje otoczenie i jako taka pozwala na dokonywanie bezpośrednich uprowadzeń ludzi przez promień podnoszący wysyłany z wnętrza owej jaskini. Nie jest więc przypadkiem że zadeklarowana ona została "świętą jaskinią" przez wyznawców religii hinduizmu, oraz że obecnie religijne obrządki Taipusam są w niej prowadzone w styczniu lub lutym każdego roku. Zauważ że jeden z bogów hinduskich (tj. God Ganesh) posiada twarz przykrytą maską gazową podobną do masek o jakich obecnie wiemy że używane są przez rasę UFOautów którzy nie są w stanie oddychać ziemską atmosferą. Oczywiście starożytni ludzie nie wiedzieli co to takiego maska gazowa lub aparat do oddychania, stąd wierzyli oni że Ganesh jest "Bogiem Słoniem".

Fot. #F5: Fotografia wzgórza zwanego "Matanaka Hill" z Waikouaiti w północnym Otago. (Ciekawe czy czytelnik wypatrzy że na zboczu tego wzgórza jestem obecny i ja, tj. dr Jan Pajak.) Zgodnie z legendami Maorysów, potwór "Taniwha" żyje również we wnętrzu owej góry. Jeśli przetłumaczymy ową legendę na dzisiejszy język, jest wysoce prawdopodobnym że we wnętrzu owej góry znajduje się jaskinia, zaś w owej jaskini rezyduje wehikuł UFO który dokonuje uprowadzeń ludzi mieszkających w pobliżu owej góry. Przez dziwny zbieg okoliczności owo wzgórze zawsze pokryte jest licznymi pierścieniami roślinności spalonej urządzeniami napędowymi wehikułów UFO. Na tej fotografii możliwe jest zobaczenie kilku takich pierścieni trawy wypalanej magnetycznie przez UFO. Trzy największe z nich uszeregowane są w poziomym rzędzie jeden przy drugim. Można je łatwo dostrzec ponieważ ja (tj. Dr Jan Pajak) stoje w środku centralnego z nich. Aby uświadomić sobie jak ogromne są wehikuły UFO które wypaliły owe pierścienie, wystarczy porównać moją wielkość z wielkością owych powypalanych pierścieni. Biały okrąg jaki trzymam w swoich rękach ma dokładnie 1 metr średnicy, zaś jego strzałka wskazuje położenie magnetycznej północy. Jest wysoce prawdopodobnym, że takie pierścienie magnetycznie powypalanej roślinności są formowane kiedy wehikuły UFO wolno zanurzają się pod ziemię w stanie

telekinetycznego migotania aby przenieść się do wnętrza jaskini zlokalizowanej we wnętrzu owej góry.

Kiedy w lutym 2008 roku przejeżdżałem obok "Matanaka Hill", odnotowałem że w miejscu jakie pokazuje powyższe zdjęcie istnieje teraz rodzaj ogromnego leja. Lej ten nie istniał w 1988 roku kiedy wykonywałem powyższe zdjęcie. Powstał on zapewne z powodu zawalenia się jakiejś części jaskini która znajduje się we wnętrzu owej góry. Potwierdza więc on sobą, że legendy Maoryskie posiadają jednak fizyczny merit i że faktycznie w jaskini z wnętrza owej góry mógł kiedyś ukrywać się wehikuł UFO.

Wierzenia że niektóre góry ukrywają wehikuły UFO z ich szatańskimi załogantami nie istnieją jedynie wśród nowozelandzkich Maorysów. Jak to pokazuje "Fot. #F4", dokładnie takie same wierzenia mają wyznawcy hinduizmu. Z kolei "Fot. #2" na stronie o Biblii autoryzowanej przez samego Boga pokazuje serpento-kształtne wehikuły UFO opisywane mitologią Kambodży. Co ciekawsze także w Polsce istnieją liczne legendy na temat smoków, diabłów i wiedźm kryjących się w jaskiniach z wnętrza wybranych gór. Przykładowo legendy twierdzą że w Polsce diabły i czarownice zlatywały się do Babiej Góry, Łysej Góry, Sobótki, a także do wzgórza na jakim obecnie stoi zamek w Malborku. (Faktycznie to w zamku malborskim nawet obecnie widywane są dziwne stwory zlatujące w dół do podziemi - patrz zdjęcie jednego z nich pokazane na stronie o zamku w Malborku.) Wszystkie też cechy owych polskich zadiablonych gór zdają się pokrywać z cechami gór w Nowej Zelandii które ukrywają Taniwha w swoim wnętrzu.

Część #G: Ciekawostki Nowej Zelandii wynikające z eksplozji statku kosmicznego (a ściślej tzw. "wehikułu czasu") koło Tapanui w 1178 roku:

#G1. Miejsce eksplozji UFO koło Tapanui:

Prawdopodobnie każdy słyszał o słynnej eksplozji Tunguskiej w Centralnej Syberii, z 1908 roku. Otóż Nowa Zelandia doświadczyła podobnej eksplozji w 1178 roku. Tyle że owa nowozelandzka eksplozja była wiele razy bardziej potężna niż owa rosyjska. Ponadto nowozelandzka eksplozja pozostawiła po sobie ogromny krater oraz liczne inne dowody materialne, jakie można sobie pooglądać nawet obecnie. Owa eksplozja UFO z Nowej Zelandii miała miejsce koło małego miasteczka nazywanego Tapanui. Do dzisiaj można tam znaleźć liczne jej pozostałości, a także dowody materialne że faktycznie miała ona miejsce. Niektóre z nich można zobaczyć na stronie internetowej oznaczonej w "Menu 2" jako Tapanui.

* * *

Ponieważ skompletowałem sporo badań nad ową eksplozją UFO koło Tapanui, sporządziłem dla niej odrębną stronę internetową wyłącznie poświęconą dla jej opisanie. Jeśli więc czytelnik zechce teraz dowiedzieć się więcej na temat owej gigantycznej eksplozji UFO, powinien przenieść się na stronę Tapanui która opisze ją w większej liczbie szczegółów.

Fot. #G1 (A1 z [5/4]): Widok krateru Tapanui ze znacznej odległości. (Kliknij na tą fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.) To w tym miejscu w 1178 roku eksplodował stos około 7 wehikułów UFO typu K6. Krater ten posiada około 1 kilometra średnicy. Odnotuj ogromną sosnę rosnącą przy górnej krawędzi w pobliżu środka krateru. Owa sosna jest także widoczna na poprzedniej fotografii tego krateru. Kolejna sosna rośnie w środku krateru po jego lewej stronie. Odnotuj też jak maleńkie są szopy w których właściciel tego krateru przechowuje swoje narzędzia.

Powyższe oraz inne fotografie krateru Tapanui są również pokazane na odrębnej stronie tapanui_pl.htm - o eksplozji Tapanui.

Fot. #G2: Widok krateru Tapanui z jego południowego końca. (Kliknij na tą fotografię aby

zobaczyć ją w powiększeniu.) Powyższa fotografia została wykonana w 1998 roku, wkrótce po tym jak krater Tapanui przeszedł intensywne zabiegi kultywacyjne. Pechowo, owe zabiegi zniszczyły wiele z oryginalnych atrybutów tego miejsca eksplozji UFO (np. wyrównały zarysy wewnętrznych kraterów jakie istniały we wnętrzu tego krateru).

Fot. #G3: Kiedykolwiek ekspedycja badawcza była organizowana do krateru Tapanui, niespodziewanie w kraterze zaczynała panować nieprzyjemna pogoda jaka czyniła owe badania niemożliwymi. (Kliknij na tą fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.) Najczęściej taka nieprzyjemna pogoda objawiała się silnym wiatrem, lokalną mgłą, lub silnym opadem deszczu jakie zdumiewająco ograniczały się tylko do samego krateru. Raz w kraterze odnotowane zostało tornado. Na powyższej fotografii udokumentowany został dziwny aczkolwiek potężny wiatr, jaki podczas jednej z takich ekspedycji badawczych panował jedynie w samym kraterze Tapanui oraz na jego krawędzi, jednak zanikał zaledwie kilka metrów od krateru. Później odkryłem że niewidzialne wehikuły UFO są w stanie kształtować pogodę na swoje życzenie i to w każdym miejscu w jakim starają się na coś wpływać ową pogodą.

#G2. Koncentrycznie powalone drzewa szlachetnego "totara" które pamiętają czasy Jezusa:

W 1178 roku potężna eksplozja koło Tapanui wykorzeniła drzewa, z jakich niektóre już wówczas liczyły ponad 1000 lat. Drzewa te w przeważającej części były słynnymi w Nowej Zelandii szlachetnymi drzewami totara, które rosną bardzo wolno. Faktycznie to drzewo totara o około 1 metra średnicy przed eksplozją Tapanui musiało rosnać ponad 1000 lat. Niektóre z tych drzew wyróconych w 1178 roku przekraczały 2 metry średnicy. To zaś oznacza, że były one już spore kiedy Jezus przebywał na Ziemi. Po ponad 850 latach leżenia martwymi, drewno z tych drzew (obecnie więc mające ponad 2000 lat) jest ciągle tak twarde, że lokalni przedsiębiorczy rzemieślnicy używają je dla wytaczania i rzeźbienia. Zwykle wykonują z nich najróżniejsze pamiątki dla turystów. Stąd jeśli ktoś ma wystarczająco dużo szczęścia aby natrafić na takiego przedsiębiorczego rzemieślnika, wówczas za kilka dolarów może kupić sobie pamiątkę wykonaną z drewna które pamięta czasy Jezusa. Jednak nawet jeśli ktoś nie kupi sobie takiej pamiątki, ciągle powinien przyglądać się dobrze owym starym drzewom totara z nowozelandzkiego krajobrazu, ponieważ zamrożone w nich jest wiele historii i zaskakujących zdarzeń - po szczegóły patrz strona oznaczona w menu nazwą Tapanui.

Fot. #G4 (C9a z [5/4]): Tak oto wyglądają stare kłody szlachetnych drzew zwanych totara, jakie powykorzeniane były w 1178 roku przez podmuch eksplozji Tapanui. (Kliknij na tą fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.) Na przekór swych owierzchni faktycznie wyglądającej na ich wiek, w środku mają one twarde i zdrowe szlachetne drewno czerwonego koloru. Jakość tego szlachetnego drewna jest jeszcze wyższa niż drewno dębowe z Europy. Miejscowi przedsiębiorczy rzemieślnicy używają to szlachetne drewno do wytaczania najróżniejszych pamiątek wysoce cenionych przez turystów z powodu ich piękna. Aby pokazać jak owo zdrowe czerwone drewno wygląda, usunąłem fragment powierzchni z przedniej części powyższej kłody. Zauważ, że poza ową kłodą widoczny jest fragment okrężnej krawędzi nieco odstającej z poziomu pastwiska. Wglębienie jakie owa krawędź otacza, to właśnie krater Tapanui. Powyższa stara kłoda drzewa totara zwykła leżeć jedynie około 400 metrów od krawędzi tego krateru.

#G3. Niezwykłe "kamienie ceramiczne":

Wyobraźmy sobie eksplozję wehikułu UFO lecącego na niskiej wysokości tuż ponad powierzchnią lasu. Jego pędniki wypełnione po brzegi energią magnetyczną i rozlokowane na kształt czaszy reflektora, nagle uwalniają potężną falę uderzeniową o sile kilku milionów ton TNT skierowaną wzdłuż linii sił ziemskiego pola magnetycznego. Fala ta

jak współczesny pocisk kumulacyjny wbija się w ziemię wyrzuwając w niej ogromny krater. Odlamy gleby poprzednio zalegającej ten krater, wymieszanej z fragmentami rosnących na niej drzew wyrzucone zostają w powietrze i rozbryznęte na ogromne odległości od miejsca ich oryginalnego zalegania. Podczas lotu w powietrzu ze wszystkich stron oblewa je żar i ciśnienie eksplozji. Otoczone rozżarzone powietrzem o ogromnym ciśnieniu bryły te w przeciągu sekund zamieniają się w kamienie których powierzchnia topnieje od gorąca. Pęd rozpalonego powietrza zaczyna modelować je w piękne aerodynamiczne kształty. Po opadnięciu i ostygnięciu wyglądają więc jak piękne naturalne rzeźby, o fantazyjnych kształtach i żywych kolorach. Z uwagi na ich fizykalne własności przypominające bryły porcelany, w Nowej Zelandii dosłownie nazywane są one "porcelanowymi kamieniami" (po angielsku "china stones"). We wszystkich swoich polskojęzycznych publikacjach dotyczących legendarnej eksplozji UFO koło Tapanui autor nazywa je "kamieniami ceramicznymi".

Na totalizycznej stronie internetowej tapanui_pl.htm - o eksplozji Tapanui pokazane jest zdjęcie takiego ceramicznego kamienia (kliknij tutaj aby oglądnąć owo zdjęcie).

#G4. Poniewierające się w pobliżu krateru Tapanui odłamki statku kosmicznego zawierające kawałki niewystępującego w naturze czystego aluminium:

W okolicach krateru Tapanui do dzisiaj daje się znaleźć niezwykle odłamki które najwyraźniej reprezentują fragmenty pozaziemskiego statku kosmicznego który tam eksplodował. Kiedyś odłamków tam znajdowano tam sporo. Do dzisiaj jednak większość z nich została już wyzbierana i obecnie gromadzi kurz w szufladach okolicznych rolników lub kolekcjonerów.

Najpowszechniej występujący koło Tapanui odłamek wygląda jak kawałek namagnesowanego żelaza. Jeden z jego typowych przykładów znajdujący się w zbiorach prywatnych autora tej strony pokazano poniżej na "Fot. #G5" (oraz na rysunku C14 z monografii [5/4]). Wziąwszy pod uwagę jego wytopioną powierzchnię, aerodynamiczny kształt, sprasowaną strukturę, namagnesowanie oraz technologicznie produkowany skład, musi się dojść do wniosku, że z całą pewnością reprezentuje on fragment UFO które eksplodowało w kraterze Tapanui. Faktycznie wygląda on jak nadtopiony fragment jakiegoś urządzenia (np. sprasowanej i nadtopionej głowicy frezarskiej z czarnymi fragmentami ceramicznymi), wyrwany z większej całości przez siłę eksplozji, zaokrąglony na krawędziach przez żar wybuchu, nafaszerowany ziarenkami zeszkłonego piasku, oraz namagnesowany "magnetycznym błyskiem" eksplodujących pędników statku. Jest też interesującym zjawiskiem, że gleba z okolicy krateru Tapanui wykazuje nadmiar aluminium, podczas gdy jednocześnie brakuje w niej różne inne mikro-pierwiastki. Wygląda to tak jakby aluminium było tam rozsiane przez jakiś duży rozpadający się obiekt.

Analiza spektrometryczna odłamka posiadanego przez autora wykazała następujący jego skład: 60% krzem, 30% żelazo, 10% aluminium. W tym miejscu warto podkreślić, że w czystej formie aluminium nie występuje w naturze. Faktycznie aluminium jest pierwiastkiem możliwym do otrzymania dopiero przez technologię co najmniej tak zaawansowaną jak nasza i na Ziemi nie zostało ono odkryte aż do 1803 roku. Jednakże w czystej formie wyprodukowano je dopiero w 1854 roku, zaś do powszechnego użytku naprawdę weszło ono dopiero po Drugiej Wojnie Światowej. Obecnie proces pozyskiwania aluminium z boksytu jest bardzo skomplikowany i obejmuje użycie pieca rewerberowskiego (Reverbier Oven), komory refrakcyjnej z regeneratorem, oraz elektrolizy, przy temperaturach przekraczających 950 C. Oczywiście nowozelandzcy Maorysi nie posiadali tych skomplikowanych technologii (przed przybyciem białych osadników około 1840 roku nie znali oni zresztą obróbki żadnego metalu), nie mogli więc wyprodukować opisanych tu odłamków.

Jak dotychczas autor osobiście przeegzaminował cztery nienaturalnie wyglądające i silnie namagnesowane odłamki metaliczne, znalezione w zasięgu opadów z eksplozji w Tapanui (aczkolwiek słyszał o znacznej liczbie takich odłamków zalegających szuflady miejscowych kolekcjonerów niezwykłości, jednakże ze względów czasowych i

praktycznych nie zdołał on dotrzeć do ich właścicieli). Dwa z nich posiadają złocisty kolor i znajdują się w muzeum geologicznym Uniwersytetu Otago w Dunedin Nowa Zelandia (pokazane one są na "Fot. #8ab " ze strony internetowej tapanui_pl.htm - o eksplozji Tapanui. Dwa dalsze, podobne do tego pokazanego poniżej na "Fot. #G5" są w posiadaniu autora oraz w prywatnej kolekcji znajomego autora, Ken'a Goldfinch. Piąty ogromny odłamek o nienaturalnym kształcie, wyglądający jak nadtopiony fragment samochodowej skrzynki biegów, znajduje się na wystawie muzeum w Invercargill (został on znaleziony na zielonych łąkach równinowego Waikaka, t.j. jedynie około 20 km na północny-zachód od krateru Tapanui). Z uwagi jednakże na jego zabezpieczenie przed bezpośrednim dotykiem czy dostępem przez zwiedzających, autor nie zdołał ustalić czy jest on namagnesowany. Pokazany on jest na "Fot. #6" z w/w strony o eksplozji Tapanui.

Dalsze szczegóły na temat niezwykłych odłamków znajdujących w pobliżu krateru Tapanui zawarte są w punktach #D3, #E2 oraz #E3 totaliztycznej strony internetowej tapanui_pl.htm - o eksplozji wehikułów UFO koło Tapanui w Nowej Zelandii.

Fot. #G5 (C14 z [5/4], a także "Fot. #7" ze strony tapanui_pl.htm - o eksplozji Tapanui). Oto jeden z naukowo najbardziej niepodważalnych dowodów na potwierdzenie faktu że krater Tapanui powstał w wyniku eksplozji pozaziemskiego statku kosmicznego. Jest to fragment statku kosmicznego lub jego wyposażenia, rozerwany na strzępy przez siłę potężnej eksplozji, wymieszany z miejscowym piaskiem, sprasowany magnetyczną eksplozją, stopiony, oraz namagnesowany (z prywatnej kolekcji autora). Odłamek ten zawiera w sobie m.in. spore kawałki (duże ziarna) czystego aluminium. Jak zaś każdemu wiadomo, aluminium NIE występuje w naturze w stanie czystym. Ponadto zawiera on też żelazo które nadal jest silnie namagesowane. To zaś zaprzecza iż odłamek ten został namagnesowany jeszcze przed stopieniem. Jak bowiem wiadomo, stopione żelazo traci namagesowanie. Odłamek ten znaleziony został w pobliżu krateru Tapanui. Kiedyś podobnych odłamków znajdowano w pobliżu krateru Tapanui dosyć sporo. Do dzisiaj jednak niemal wszystkie one zostały wyzbierane, zaś obecnie gromadzą kurz w prywatnych kolekcjach - podczas gdy świat nie ma pojęcia o ich istnieniu. (Kliknij na powyższe zdjęcie aby zobaczyć je w powiększeniu.)

Jak czytelnik zapewne jest tego świadom, aluminium w czystej postaci nie występuje w naturze. Dawni Maorysi zamieszkujący kiedyś Nową Zelandię nie znali też sztuki wykonywani metali - oni też więc nie mogli spowodować powstania pokazanych tutaj odłamków zawierających aluminium. Jedynym więc powodem dla którego w potopionych odłamkach znajdujących w okolicach krateru Tapanui daje się znaleźć ziarna czystego aluminium jest że odłamki te pochodzą z eksplozji pozaziemskiego statku kosmicznego. Odnotuj że moneta sfotografowana przy tym odłamku (dawna nowozelandzka moneta 50 centów) ma 32 mm średnicy.

W tym miejscu warto też dodać, że wokoło krateru Tapanui aż roi się od równie niepodważalnych dowodów iż kiedyś eksplodował tam pozaziemski statek kosmiczny. Przykładowo, niezależnie od podobnych do powyższego, potopionych fragmentów statku kosmicznego, znajdowano tam także odłamki tajemniczego namagnesowanego metalu o wyglądzie i cechach nieodróżnialnych od złota - ich przykład pokazuje "Fot. #8ab" ze strony tapanui_pl.htm - o eksplozji Tapanui. (Ten tajemniczy metal szlachetny nadal pozostaje nieznaną nauce ziemskiej, wszakże złoto nie daje się namagnesować.) Ponadto cała okolica jest tam namagnesowana, stare lasy zostały tam popalone i powywracane, wszystkie ptaki moa zostały tam czymś powyżabijane, kiedyś gleba pokryta tam była cienką warstwą złota, od krateru rozbryźgnięty został szklisty minerał zwany "trinitite" - który powstaje wyłącznie podczas eksplozji nuklearnych, a także duże pokłady dziwnego "czarnego piasku" ("black sand") z pokrytego szklivem sproszkowanego żelaza, po ziemi poniewierają się bryły stopionej i sprasowanej gleby z liśćmi i odłamkami drewna w środku (tzw. "porcelanowe kamienie" lub "ceramiczne kamienie"), z gleby odparowane zostały kompletnie wszelkie wrażliwe na promieniowanie mikroelementy - takie jak selen, jod, wapno, itp., nadal szaleje tam tajemnicza choroba podobna do popromiennej, krater jest

siedliskiem niezwykłych anomalii pogodowych, "latających kul światła" opisywanych w punkcie #E3 tej strony, oraz częstych obserwacji UFO, itd., itp. Na dodatek do tego wszystkiego, miejscowe legendy Maoryskie jednoznacznie stwierdzają że kiedyś eksplodował tam statek kosmiczny, podczas gdy liczne okoliczne nazwy opisują sobą następstwa potężnej eksplozji (np. nazwa "Ta-pa-nui" w języku Maorysów znaczy "potężna-eksplozja", z kolei nazwa "Puke-ruau" dla wzgórza na którym krater Tapanui jest zlokalizowany znaczy "wzgórze-które-wstrząsnęło-światem".)

#G5. Porównanie impaktu z Kofels w Austrii z kraterem Tapanui w Nowej Zelandii ilustruje jak "syndrom Pearse'a" wprowadza sytuację "przegrana-przegrana" tam wszędzie gdzie mogłaby zaistnieć sytuacja "wygrana-wygrana":

Nazwa syndrom Pearse'a jest wyrosłym z prawdziwego życia ujęciem tragiczności sytuacji która faktycznie spotkała Richarda Pearse - tj. budowniczego i oblatywacza pierwszego nowozelandzkiego samolotu. (Opis losów tego wybitnego wynalazcy i konstruktora zawarty jest w punkcie #B3 i w podpisie pod "Fot. #B3" tej strony, a także na odrębnej stronie mozański.htm - o Aleksandrze Możajskim.) Syndrom ten w skrócie dałoby się zdefiniować następująco: syndrom Pearse'a jest to sytuacja życiowa kiedy jakieś wybitne osiągnięcie techniczne lub naukowe jest prześladowane, zaprzeczane, przemilczane, oraz otaczane złą opinią przez mieszkańców kraju w którym zostało ono uzyskane, zaś autor tego osiągnięcia jest poddawany przez własnych ziomków najróżniejszym formom szykan i opresji. Oczywiście, sam "syndrom Pearse'a" jest jedynie objawem, podczas gdy choroba która go wywołuje ma znacznie szersze korzenie. Przykładowo, moim osobistym zdaniem sam Richard Pearse doświadczył swego losu bowiem jego współziomkowie praktykowali kult mięśni z którego wynikał respekt tylko dla osiągnięć ciała oraz ignorowanie osiągnięć intelektu. Z kolei np. Aleksandra Możajskiego syndrom ten dotknął z powodu paraliżującej biurokracji która obezwładniała jego kraj.

Odwrotnością "syndromu Pearse'a" jest "normalna sytuacja" - znaczy sytuacja kiedy każde osiągnięcie jest promowane tak jak być powinno i to przez kraj w którym zostało ono uzyskane. Doskonałym przykładem odwrotności tego syndromu są losy impaktu z Kofels z Austrii.

Z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów w Nowej Zelandii informacje o impaktu z Kofels w Austrii zostały zaprezentowane tak jakby był to jedynie żart prima-aprilisowy. Mianowicie w prima-aprilisowym wydaniu nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z wtorku (Tuesday), April 1, 2008, strona B2, ukazał się wymowny artykuł o tytule "Asteroid recorded on tablet" (tj. "Opisy asteroidu na tabliczce"). Tymczasem w artykule tym opisana została starożytna katastrofa której opis w owej gazecie stanowi jakby "kalkową kopię" moich własnych opisów nowozelandzkiej eksplozji UFO koło Tapanui raportowanej w punkcie #G1 tej strony, a także na odrębnej stronie tapanui_pl.htm - o eksplozji UFO koło Tapanui. Jedynie geograficzne nazwy, daty i dane są inne. Przykładowo, w tamtym opisie m.in. powołano się na greckie mity które opisują niejakiego Phaeton'a, syna Heliosa, który wybrał się na przejażdżkę ognistym rydwanem swego ojca, jednak utracił sterowanie nad tym rydwanem i wpadł w rzekę Eridanus, powodując przy okazji ogromne zniszczenie. Dwoje naukowców, mianowicie Dr Mark Hemsell and Alan Bond, rozszyfrowali ze starej tabliczki Sumeryjskiej (notabene niemal w połowie zniszczonej) co naprawdę tam się stało, zaś swoje wyniki opisali oni w książce na ten temat o tytule "A Sumerian Observation of the Kofels' Impact Event". W owej książce zawarli wyliczenia oparte na treści rozszyfrowanej Sumeryjskiej tabliczki glinianej, jakie podobno dowodzą że tamta starożytna katastrofa miała miejsce tuż przed świtem w dniu 29 czerwca 3123 BC, oraz że jej następstwa m.in. obejmowały zniszczenie biblijnej Sodomy oraz uformowanie eliptycznego obsuwiska ziemi o wymiarach 5 km na 500 metrów koło miejscowości Kofels i Austriackich Alpach.

Najbardziej dla mnie szokujące jest porównanie potraktowania jakie ów impakt z Kofels w Austrii otrzymał na świecie w porównaniu z potraktowaniem wyników badań eksplozji Tapanui z Nowej Zelandii. Mianowicie, na przekór że impakt w Kofels jest jakby "kalkową kopią" eksplozji Tapanui, jest on hałaśliwie promowany, podczas gdy eksplozja

Tapanui jest celowo wyciszana przez miejscowych naukowców i władze, oraz celowo poddawana działaniu "syndromu Pearse'a". Oczywiście, wynikiem takiej różnicy potraktowania jest, że wszyscy ludzie mający jakikolwiek związek z impaktem w Kofels znaleźli się w sytuacji "wygrana-wygrana". Z kolei wszyscy ludzie związani jakoś z eksplozją Tapanui znaleźli się w sytuacji "przegrana-przegrana". Innymi słowy, z uwagi na entuzjastyczną i właściwą promocję impaktu z Kofels, jego autorzy znaleźli międzynarodowe uznanie, wydawcy publikacji na temat tego impaktu mają doskonały business i darmową promocję, mieszkańcy okolic Kofels uzyskali napływ turystów którzy dodatkowo poprawią ekonomię owych okolic, wierzący otrzymali jeszcze jeden dowód naukowy na poprawność stwierdzeń Biblii, zaś nauka ziemską otrzymała ważny przypadek do badań. Natomiast z powodu opresji, wyciszania, przemilczania i negowania przez Nowozelandczyków informacji na temat eksplozji Tapanui, badający tą eksplozję (czyli ja) jedyne co otrzymał w nagrodę za swoje odkrycia i lata badań, to utrata w 1990 roku pracy wykładowcy na Uniwersytecie, oraz następujące po tym lata bezzasiłkowego bezrobocia, publikacje na temat tej eksplozji NIE są czytane bo miejscowi luminarze prześcigują się w zaprzeczaniu ich merytowi, w okolicy krateru Tapanui niemal nikt nie zagląda - pozostają więc one nadal (jak je opisywał program lokalnej telewizji) "omiataną wiatrami dziczą", nikt nie stara się naprawiać niezdrowych następstw eksplozji Tapanui ani zachowywać jej dowodów dla przyszłych pokoleń, zaś nauka ziemską odcięta została od ogromnie ciekawego przypadku który mogłaby badać powiększając tym wiedzę ludzkości.

Część #H: Ciekawostki Nowej Zelandii wynikające z zafalowań "przestrzeni czasowej" spowodowanej eksplozjami wehikułów czasu:

#H1. Powtarzalne choć krótkotrwałe pojawianie się w Nowej Zelandii zwierząt dawno już wymarłych:

Wehikuły UFO jakie eksplodowały koło Tapanui reprezentują tzw. wehikuły czasu. Z kolei eksplozja wehikułu czasu wzbudza potężne zakłócenia w "przestrzeni czasowej", a więc również zakłócenia w ciągłości upływu czasu na danym terenie. Czas zaczyna tam wówczas falować tak jak fale na jeziorze. Ów falujący czas z kolei posiada zdolność do wynoszenia do naszych czasów najróżniejszych zwierząt (lub ludzi), jakie normalnie żyją w odmiennych czasach. Przykłady takich dawno wymarłych już zwierząt krótkotrwałe pojawiających się w naszych czasach w bezludnych miejscach Nowej Zelandii, obejmują gigantyczne ptaki moa, a także przedpotopowego wodnego stwora drapieżnego ("mosasaur"), nieco podobnego do krokodyla. (Według lokalnego folkloru, ów przedpotopowy stwór drapieżny czasami nawet zjada nieostrożnych ludzi którzy na niego się natkną - oficjalnie brak jest jednak jakichkolwiek informacji na ten temat.)

Na totalizycznej stronie internetowej tapanui_pl.htm - o eksplozji Tapanui pokazane są zdjęcia gigantycznego ptaka moa (kliknij tutaj aby oglądnąć jedno z tych zdjęć).

W tym miejscu warto sobie uświadomić, że fluktuacje czasu występują w pobliżu każdego byłego miejsca eksplozji wehikułu czasu. Z kolei w historii Ziemi eksplodowało już sporo takich wehikułów czasu w najróżniejszych miejscach naszego globu (po szczegóły patrz podrozdziały C7 do C7.3 w monografii [5/4]). Dlatego takie prehistoryczne zwierzęta pojawiają się i znikają nie tylko w Nowej Zelandii, ale także i w całym szeregu najróżniejszych innych miejsc naszej planety. Najbardziej znanym z nich jest słynny "Nessie" z jeziora Loh Ness w Szkocji, a także podobny do dinozaura potwór z jeziora Cini w Malezji.

#H2. Dzisiejsze obserwacje wymarłego ptaka moa:

Już dawno wymarłymi zwierzętami najczęściej pojawiającymi się w Nowej Zelandii w wyniku owych zafalowań przestrzeni czasowej są ogromne ptaki Moa. Co jakiś też czas w Nowej Zelandii ludzie widzą owe ptaki, lub odnajdują ich ślady - na przekór że ptaki Moa całkowicie wymarły w 1178 roku, tj. zaraz po owej eksplozji UFO koło Tapanui.

Stąd jednego dnia ludzie je spotykają i widzą, następnego dnia nie daje się już ich odnaleźć. Najnowszy przypadek kiedy to dwóch australijskich naukowców odnalazło świeże ślady tzw. "scrub moa" w nowozelandzkiej puszczy z okolic Urewera, opisany został w artykule zatytułowanym "Urewera moa 'probably emu' ", opublikowanym na stronie A5 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z środy (Wednesday), January 9, 2008. Te same świeże ślady moa opisane również zostały w jeszcze jednym artykule o tytule "Big birds puzzle experts" (tj. "Ogromne ptaki zastanawiają ekspertów") który ukazał się na stronie A8 nowozelandzkiej gazety The New Zealand Herald, wydanie z czwartku (Thursday), January 10, 2008.

Powinienem tu dodać, że jeden z moich znajomych, w 1987 roku sfotografował świeży szlak z wyraźnymi odciskami stóp, wykonany przez gigantycznego ptaka moa.

#H3. Historyczne obserwacje wymarłego ptaka moa:

Obserwacje od dawna wymarłego już ptaka moa przynieszonego do naszych czasów przez takie zafalowania przestrzeni czasowej wcale nie są ograniczone tylko do naszych czasów - znaczy do czasów kiedy wyobraźnia ludzi jest inspirowana przez wystawy muzealne i przez filmy dokumentarne w telewizji. Faktycznie to owe wymarłe ptaki moa są widywane w Nowej Zelandii od początku europejskiego osadnictwa w tamtym kraju. Dla przykładu, takie właśnie zafalowanie czasu najprawdopodobniej jest odpowiedzialne za następującą wiadomość która pojawiła się w nowozelandzkiej gazecie "The Southland Times", wydanie z dnia 5 marca 1875 roku, strona 3, cytuję: "Christchurch, 4 marca. Oświadczenie pojawiło się w Globe od godnego zaufania korespondenta, którego jednakże Globe nie ujawnił, że ślady moa zostały odkryte w lasach Oxford Bush, czterdzieści mil od Christchurch, dnia 2 marca. Trzy osoby podobno widziały te ślady, każdy mierzący sześć cali, z odstępem pomiędzy każdym śladem pomiędzy siedmiu a dziewięciu stóp. Ślady te były sprawdzane na dystansie pół mili". (W oryginale angielskojęzycznym: "Christchurch, March 4. A statement appears in the Globe from a trustworthy correspondent, whom however the Globe does not vouch for, that moa's tracks had been discovered at Oxford Bush, forty miles from Christchurch, on the 2nd March. Three people are alleged to have seen footprints, each measuring six inches, the distance between each footprint being from seven to nine feet. The tracks were followed for half-a-mile.")

#H4. Trwałe przyniesienie do naszych czasów jaszczura "tuatara" zwanego "kluczem do wiedzy":

Jednym z bardziej znaczących przykładów materiału dowodowego popierającego sporadyczne pojawianie się w naszych czasach ptaka Moa, jest równoległe pojawienie się w Nowej Zelandii innego stworzenia, które również mogło zostać pochwycone z odległych epok geologicznych i przeniesione do obecnych czasów w efekcie takich zaburzeń (zafalowań) przestrzeni czasowej. Jest nim sporej wielkości stwór jaszczurowaty pokrewny do dinozaurów i nazywany "tuatara". Został on dokładniej opisany w podrozdziale C7.3, w punkcie E1 z rozdziału I, oraz w punkcie E1 z podrozdziału G5 monografii [5/4]. Żył on już na Ziemi około 150 milionów lat temu, zaś niektórzy z jego krewniaków pojawili się aż 225 milionów lat temu. W sensie wieku jest on więc mniej więcej rówieśnikiem dla węgla kamiennego, czyli rodzajem "żywej skamienieliny".

Zgodnie z teoriami zaproponowanymi w monografiach [5/4] i [1/4], jaszczur tuatara najprawdopodobniej został przeniesiony do naszych czasów z odległych epok geologicznych w efekcie zaburzenia (zafalowania) owej tzw. "przestrzeni czasowej" w chwili eksplozji koło Tapanui wehikułu czasu (po więcej danych patrz np. punkt #6 w rozdziale K z [5/4]). Gdyby teorie te były prawdziwe, wtedy oczywiście możnaby je udowodnić lub obalić odpowiednimi badaniami - przykładowo poprzez sprawdzenie czy istnieją jakieś dobrze udokumentowane i niezawodnie datowane szczątki Tuatara pochodzące z czasów poprzedzających eksplozję Tapanui. (Ja od dawna rozglądam się za jakimiś dowodami że takie szczątkami istnieją. Jednak, jak dotychczas, ku swemu zdumieniu, faktycznie nie zadołałem natrafić na żaden ślad istnienia w Nowej Zelandii jakichkolwiek szczątków tuatara starszych niż 900-letnich.)

Intrygującą ciekawostką "Tuatara" jest, że tłumaczenie znaczenia jego (maoryskiej) nazwy brzmi "klucz do wiedzy". Ja wyjaśniam sobie to znaczenie w następujący sposób. Maorysi utrzymywali (i utrzymują zresztą do dzisiaj) żywe kontakty ze swoimi kosmicznymi "Tohunga", tj. kosmicznymi nauczycielami i nadzorcami z UFO. Jako, że owi "Tohunga" posiadają wiedzę UFOonautów, doskonale wiedzą oni, że "Tuatara" pojawiły się w Nowej Zelandii w wyniku silnego zafalowania przestrzeni czasowej. Jako takie, nasze zrozumienie mechanizmu ich przybycia do naszych czasów stanowi "klucz do wiedzy". Kiedy zaś Maorysi zostali o tym poinformowani, z czasem zapomnieli uzasadnienia dlaczego "Tuatara" są "kluczem do wiedzy", niemniej przez zwykły szacunek do swoich "Tohunga" utrzymali ową nazwę dla tej "żywej skamienieliny".

Żywe tuatara można zobaczyć w aż kilku miejscach Nowej Zelandii. Prawdopodobnie najłatwiej dostępnym z tych miejsc jest muzeum w Invercargill (o bezpłatnym wstępie), które utrzymuje swoją własną sporą populację żywych tuatara. Oto zdjęcie żywego jaszczura "tuatara" o około 40 cm długości, utrzymywanego w owym "tuatarium" z muzeum w Invercargill (kliknij tutaj aby zdjęcie to oglądnąć).

Część #1: Ciekawostki Nowej Zelandii spowodowane skażeniem przez eksplozję Tapanui gleby i wód owego kraju niezwykłym polem telekinetycznym (które wyzwała gigantyczne mutacje organizmów żywych):

#11. Gigantyczne mutacje stworzeń zamieszkujących Nową Zelandię:

Podczas eksplozji Tapanui cała powierzchnia Nowej Zelandii została skażona telekinetycznie. Owe telekinetyczne skażenie zawarte jest w glebie Nowej Zelandii do dzisiaj. Ma ono tą niezwykłą zdolność, że wyzwała gigantyczne mutacje organizmów żywych. Dlatego najróżniejsze organizmy jakie zamieszkują Nową Zelandię od czasu do czasu mutują do gigantycznych rozmiarów. Stąd kiedy ktoś przebywa w Nowej Zelandii, może się tam spotkać z takimi ogromnymi mutacjami. Najstojniejsze i najczęściej spotykane z nich są liczne mutacje super-ptaka Moa. Jedna z jego mutacji wyrastała do rozmiaru żyrafy. (Moa normalnego rozmiaru są wielkości indyka.) Ptaki te mogą być oglądane w praktycznie każdym muzeum z terenu Nowej Zelandii. Mutacje innych organizmów mogą być oglądane głównie w gazetach, jako że muzea nie są zainteresowane w ich eksponowaniu. Przykładem takich mutantów pokazywanych głównie w gazetach, może być gigantyczny rak pokazany na "Fot. #11", czy gigantyczne grzyby "purchawki" ("puff-balls") jakich kolorowa fotografia jest pokazana na "Fot. #12". (Opis owych "purchawek" publikowany był w artykule "Sprouting puff-balls" z nowozelandzkiej gazety z Dunedin o nazwie Otago Daily Times wydanie datowane w czwartek (Thursday), 26 marca 1998 roku, strona 11, sekcja "Regional News". Artykuł ten ciągle jest dostępny "on line" na stronie internetowej owej gazety.) Pamiętam też że wkrótce po moim przybyciu do Nowej Zelandii w 1982 roku, jakaś gazeta (bodajże była to The Press z Christchurch) opublikowała fotografię jadalnego grzyba wielkości dorosłego człowieka. Ów rodzaj grzybów rośnie również w Polsce, gdzie nazywany jest "prawdziwek". Znam go doskonale bowiem jako mały chłopiec zbierałem go bardzo często. Maksymalny rozmiar jaki osiąga on w Polsce wynosi około 30 cm wzrostu. Stąd ów nowozelandzki gigant był około 6 razy większy niż normalnie. Mechanizm jaki powoduje owe gigantyczne mutacje organizmów żywych opisany jest dosyć dokładnie w podrozdziale JG9.3 z tomu 8 monografii [1/5].

* * *

W mojej prywatnej opinii, temat gigantycznych mutacji z Nowej Zelandii, zamiast bycia wyciszonym, powinien być pilnie badany. Jest tak ponieważ właśnie obecnie nasza planeta przechodzi przez gorączkę inżynierii genetycznej ("genetic engineering" lub "GE"). Chodzi bowiem o to, że gigantyczne mutacje z Nowej Zelandii mogą ukrywać wskazówki co nas czeka w przyszłości jeśli pozwolimy aby GE dziko rozprzestrzeniła się po naszej planecie jak nieposkromiony pożar.

Fot. #11: Gigantyczny mutant raka morskiego lokalnie nazywanego "packhorse crayfish". (Kliknij na tą fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.) Waży on 6.3 kilograma i mierzy 1.34 metra długości (normalnych wymiarów rak tego gatunku jest około 10 razy mniejszy). Został on złapany przez Mr Brian Hoult z Hikurangi, koło Three Mile Reef w morze od Bream Bay, na północ od Whangarei krótko przed 27 września (September) 2003 roku. Opisy tego raka, ilustrowane powyższą fotografią, najpierw opublikowane były w gazecie The Northern Advocate (P.O. Box 210, Whangarei, New Zealand) która posiada prawa copyright na powyższe zdjęcie. Ja zaś znalazłem je w artykule "Monster crayfish could be 100" jaki pojawił się w innej nowozelandzkiej gazecie The Dominion Post, wydanie z soboty, 27 września (Saturday, September 27), 2003 roku, strona A9. Powyższy gigantyczny rak jest tylko pojedynczym przykładem z ogromnej liczby gigantycznych mutacji jakie bez przerwy pojawiają się w Nowej Zelandii z powodu telekinetycznego skażenia jej terytorium spowodowanego eksplozją Tapanui z 1178 roku. Ponieważ sprawa inżynierii genetycznej - Genetic Engineering (GE) staje się tak paląca ostatnio, w mojej opinii owa sprawa gigantycznych mutacji nowozelandzkich powinna być pilnie badana.

Zdjęcie innego równie gigantycznego raka morskiego po polsku nazywanego homarem, zaś po angielsku crayfish lub lobster, pokazane zostało w artykule "New home for old timer of the deep" (tj. "Nowy dom dla staruszka z głębin") opublikowanym na stronie A4 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z piątku (Friday), February 15, 2008. Ten inny rak ważył około 6 kilogramów, był długi na 60 cm, oraz uważano że liczył on około 50 lat. Jego mięso przy cenach w dniu jego złapania około \$60 za kilo, warte było \$360. Złapany on został koło północnego końca Kapiti Island, oraz udostępniony żywy do oglądania przez wizytujących "Marine Education Centre" w Island Bay, Wellington, Nowa Zelandia.

Fot. #12: Fotografia gigantycznych grzybów popularnie nazywanych "purchawkami". (Kliknij na tą fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.) Była ona opublikowana w artykule "Sprouting puff-balls" z doskonałej gazety nowozelandzkiej z Dunedin o nazwie Otago Daily Times wydanie datowane w czwartek (Thursday), 26 marca (March) 1998 roku, strona 11, sekcja "Regional News". Gazeta Otago Daily Times jest właścicielem praw copyright do powyższego zdjęcia. Odnotuj że owa gazeta posiada doskonale utrzymaną stronę internetową jaka udostępnia wszystkie jej dawne artykuły począwszy od 1 lipca (July) 1997 roku. Powyższy artykuł, ale bez zdjęcia, jest więc dostępny "on line" na owej stronie internetowej.

Interesującym w powyższym zdjęciu jest, że widać na nim iż owe gigantyczne purchawki rosną wzdłuż obwodu okręgu. To bowiem oznacza, że ich mutację do gigantycznych rozmiarów spowodowało lądowanie dyskoidalnego wehikułu UFO drugiej generacji, którego pędniki nasyciły glebę polem telekinetycznym. Na indukowanie takich gigantycznych mutacji grzybów przez telekinetyczny napęd wehikułów UFO wskazuje też fakt, że mutacje takie sporadycznie pojawiają się również poza Nową Zelandią. (Wszakże telekinetyczne wehikuły UFO lądują praktycznie we wszystkich częściach świata.) Jako przykład patrz artykuł zatytułowany "It's a \$430,000 fungus - the biggest truffle found for 50 years nets a small fortune at auction" opublikowany na stronie B2 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, issue dated on Monday, December 3, 2007. Pokazane jest tam zdjęcie 1.5 kilogramowej białej truffli, o średnicy około 30 cm, znalezionej w Palaia koło Piza we Włoszech. Normalne białe truffle ważą 30 do 80 grams i osiągają średnicę nie większą niż 5 cm. Stąd owa gigantyczna trufla miała średnicę większą około 6 razy, podczas gdy wagowo była większa około 18 razy od normalnej białej truffli.

Fot. #13: Łąka cała pokryta kolistymi lądowiskami telekinetycznych wehikułów UFO. (Kliknij na tą fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.) Ja (tj. dr inż. Jan Pająk) stoję w centrum pierwszego z owych lądowisk. Kilka dalszych takich pierścieniowatych lądowisk UFO jest widocznych po mojej prawej stronie. Takie lądowiska telekinetycznych wehikułów UFO są

podstawowym materiałem dowodowym, że to telekinetyczne skażenie otoczenia jest odpowiedzialne za przyspieszony wzrost organizmów żywych z Nowej Zelandii. Jest tak ponieważ, jak powyższa fotografia to dokumentuje, roślinność z pierścienia gleby poddanej działaniu telekinetycznego pola napędzającego wehikuly UFO rośnie do około 12 razy szybciej i wyżej niż otaczająca ją roślinność.

Fot. #14: Gigantyczna mątwą (po angielsku "squid") złapana w nowozelandzkich wodach. (Kliknij na tą fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.) Powyższa fotografia pochodzi z artykułu "Tales of cannibalism from the deep sea" (tj. "Wieści o kanabilizmie z głębin morskich"), jaki pojawił się na stronie A15 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie ze środy, 8 października (October) 2003 roku. Owa gazeta The Dominion Post jest też właścicielem copyrights do powyższego zdjęcia. Pokazana tutaj mątwą jest około 10 metrów długa, zaś jej ostre szpony w przeciągu sekund potrafią rozedrzeć na strzępy ciało człowieka. Począwszy od 2008 roku cielsko podobnej gigantycznej mątwy jest wystawione na stałe w nowozelandzkim muzeum narodowym zlokalizowanym w stolicy Wellington a zwanym "Te Papa".

Fot. #15: Gigantyczny pstrąg tęczowy z Nowej Zelandii. (Kliknij na tą fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.) (Copyright The Press, Christchurch, New Zealand.) Był on 1.02 metra długi, ważył 17.5 kg, oraz nieoficjalnie został uznany za światowy rekord. Został on złapany w Kanale Tekapo, przez Pana Tony Washington, z Geraldine, New Zealand. Powyższa fotografia pochodzi z artykułu "Fisherman angling for a world record" ("Rybak złapał światowy rekord") pochodzący ze strony A4 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z wtorku, 18 November 2003. Jednak ów artykuł bazował na podobnym artykule o tytule "Record Fish hooked on a reel-in" ("Rekordowa ryba złapana na wędkę") jaki pojawił się na pierwszej stronie z wydania datowanego November 18, 2003 gazety z Christchurch nazywającej się The Press, której reporter wykonał powyższą fotografię. Stąd owa The Press posiada też prawa copyright do powyższego zdjęcia. Omawiane artykuły stwierdzają, że poprzedni rekord światowy dla pstrąga tęczowego wynosił 17 kg, oraz że był on złapany w dokładnie tych samych wodach co powyższy. Z kolei na stronie A8 wydania gazety nowozelandzkiej The Dominion Post, datowanego we wtorek, 2 grudnia 2003 roku, fotografia gigantycznego brązowego pstrąga (brown trout) jest publikowana pod tytułem "Tukituki titan". Dane na temat jego wagi lub wymiarów nie zostały tam podane. Jednak szacując z porównania go do osoby która go trzyma, jest on co najmniej wielkości pstrąga pokazanego na powyższej fotografii, jeśli nie nawet większy. Kolorowa fotografia i dane jeszcze innego ogromnego pstrąga tęczowego, opublikowane zostały w artykule "Farmed trout" z nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z wtorku, dnia 27 grudnia (Tuesday, December 27), 2005 roku, strona A2. Pokazany tam pstrąg miał 12 kilogramów wagi, zaś jego całkowita długość wynosiła około 82 cm.

Aby uświadomić sobie jak gigantycznych rozmiarów jest ów pstrąg pokazany na powyższym "Fot. #15", wystarczy wspomnieć że w 2003 roku najmniejsza długość pstrąga ciągle dozwolona do łapania przepisami "Fish and Game New Zealand" wynosiła 30 cm (co nadaje takiemu pstrągowi wagę mniejszą niż 0.5 kg). To zaś oznacza, że powyższy gigant był ponad 3 razy dłuższy od takiego minimalnego dorosłego pstrąga, oraz ponad 35 razy cięższy od niego. Odnotuj że owa minimalna długość ryb jest zawsze tak definiowana przez naukowców i prawników, aby opisywała ona typowego dojrzałego dorosłego osobnika, jaki miał już możliwość wytarcia się i wyprodukowania następnej generacji. Gdyby więc powyższe różnice wielkości i wagi pstrągów odnieść do ludzi, oznaczałoby to znalezienie w Nowej Zelandii ludzkiego giganta, który jest ponad 3 razy wyższy od typowego dorosłego człowieka (czyli ma wzrost około 5 metrów), oraz czyja waga przekracza około 35 razy wagę typowego dorosłego człowieka (czyli wynosi ponad 2.8 tony). Aby było dziwniej, zgodnie z legendami koło Timaru w Nowej Zelandii zwykł istnieć szczep tego typu ludzkich olbrzymów. Był on nazywany "Te Kahui Tipua".

W tym miejscu warto dodać, że angielskojęzyczne wyrażenie "catch 30 pounder" (tj. "złapać 30-to funtowca") jakie bezpośrednio referuje do złapania pstrąga o wadze 30 funtów, lub więcej, w rzekach Szkocji, w dawnym języku angielskim stanowiło symbol niemożliwości. Jedynie ostatnio zostało ono zastąpione powiedzeniem "if pigs could fly" (tj. "gdyby świnie mogłyby latać") które jest najnowszym symbolem niemożliwości.

Tzw. "sceptycy" skonfrontowani ze zdjęciem powyższego pstrąga prawdopodobnie zignorują wyjaśnienie, że to telekinetyczne skażenie naturalnego środowiska Nowej Zelandii, tj. produkt uboczny eksplozji Tapanui, spowodowało wzrost takich gigantycznych organizmów. Prawdopodobnie by też argumentowali, że ryby rosną podczas całego życia. Jeśli więc da im się wystarczająco dużo czasu i wystarczająco dużo pokarmu, wówczas mogą osiągnąć dowolny rozmiar. Aczkolwiek musimy zgodzić się z takimi argumentami w odniesieniu do niektórych ryb, nie mogą one być ekstrapolowane do innych gigantycznych stworzeń Nowej Zelandii. Dla przykładu, nikt nie może argumentować, że jeśli weźmie się młodego indyka, da mu pod dostatkiem jedzenia i pozwoli mu się rosnąć dowolnie długo, wówczas osiągnie on wielkość nowozelandzkiego super-ptaka Moa. (Oryginalna wielkość tzw. "bush Moa" z jakiej wszelkie olbrzymie Moa potem się wymutowały, była właśnie wielkości indyka.) Z kolei istnieje na tyle wiele odmiennych gatunków stworzeń wyrastających w Nowej Zelandii do gigantycznych rozmiarów, że musi w tym kryć się "coś więcej" niż zwykły przypadek. Moja teoria o telekinetycznym skażeniu Nowej Zelandii, jakie po raz ostatni na masywną skalę miało miejsce w 1178 roku podczas eksplozji UFO koło Tapanui, jak dotychczas jest jedyną teorią naukową która wyjaśnia czym właściwie jest owo "coś więcej". Ponadto owa teoria posiada potwierdzenie w najróżniejszym empirycznym materiale dowodowym, dla przykładu w ponad 12 razy wyższym i szybszym wzroście roślin na byłych ładowiskach telekinetycznych UFO.

#12. Ludzkie giganty Nowej Zelandii:

Nowozelandzka gazeta o nazwie The Timaru Herald, w swoim wydaniu datowanym 24 lutego 1875 roku, strona 3, pisze co natępuje, cytując:

"Odkrycie resztek ludzkich. Bardzo duży szkielet został znaleziony wczoraj jakieś 7 stóp pod powierzchnią piasku na półwyspie rzeczki Saltwater Creek. Pan Bullock, woźnica, podczas gromadzenia piasku dla potrzeb budowlanych, wpadł na ten relikwitu przeszłych wieków i przywiózł fragmenty do miasteczka. Mieliśmy możliwość ich przegładnięcia, i zostaliśmy uderzeni przez ich symetrię nie mniej niż przez ich ogromne rozmiary. Wyglądają jak należące do osoby gigantycznych rozmiarów; jednak jak narazie są niekompletne co czyni trudnym wyznaczenie wymiarów jego ciała. Kości szkieletu są bardzo rozłożone, fakt jaki rozpatrywany w powiązaniu z suchością miejsca w jakim został znaleziony, prawdopodobnie sugeruje jego znaczny wiek. Powinniśmy mieć więcej do powiedzenia na temat tego interesującego odkrycia w naszym następnym wydaniu."

(W oryginale angielskojęzycznym: "Discovery of Human Remains. A very large skeleton was found yesterday, about 7 feet below the surface of the sand on the Saltwater Creek spit. Mr Bullock, the carter, in removing some sand for building purposes, dropped across this relic of a past age and brought the fragments to town. We have had an opportunity of inspecting them, and were struck by their symmetry no less than their great size. They appear to have belonged to a man of gigantic stature; but are so far incomplete as to render it difficult to ascertain the dimensions of his frame. The bones are much decayed, a fact which taken in connection with the dryness of the situation where they were found, probably indicates for them a great antiquity. We shall have some more to say about this interesting discovery in our next issue.")

Ja badałem sprawę owego ludzkiego giganta kiedy w latach 1999 do 2001 zatrudniony byłem w Timaru. Wyniki tamtych swoich badań opublikowałem w rozdziale B traktatu [7/2]. Zgodnie z tamtejszą miejscową tradycją słowną, szkielet tego giganta był szacowany jako należący do osoby około 8 metrów wysokiej. Miał on tak ogromną czaszkę, że normalna ludzka czaszka całkowicie się mieściła w jego ustach. Należał on do tajemniczego szczepu miejscowych gigantów, jaki przez Maorysów nazywany był Te Kahui

Tipua. Szczep ten zamieszkiwał okolice Timaru aż do około 18 wieku. Liczne szkielety owych gigantów z Timaru zostały odkryte, jednak wkrótce potem zniknęły one w tajemniczych okolicznościach. Najbardziej ostatnie odkrycie dwóch takich gigantycznych szkieletów ludzkich miało miejsce w latach 1960-tych, w obszarze Timaru nazywanym "Maori Park". Miejskowa gazeta Timaru Herald, także rozpisywała się szeroko na ich temat, zaś wielu miejscowych ludzi ciągle pamięta tamte opisy. Niestety, ja nie byłem w stanie pozwolić sobie na wkład pracy długotrwałego poszukiwania jaki byłby wymagany dla znalezienia szczegółów wydawniczych oryginalnych artykułów na ich temat. Wkrótce po odkryciu, jak wszelkie inne szczątki nowozelandzkich gigantów, także i te zniknęły w tajemniczych okolicznościach. Obecnie nikt nie potrafi wskazać co z nimi się stało. Ja podjąłem wysiłek prześledzenia dalszego losu giganta opisanego w powyżej cytowanym artykule z 1875 roku. Kiedy jednak byłem bardzo bliski odnalezienia osoby która posiadała ogromną dolną szczękę owego giganta jako rodzaj makabrycznej pamiątki, niespodziewanie zostałem usunięty z pracy w Timaru i zmuszony zostałem do przeniesienia się do innej miejscowości aby zarobić na swój chleb codzienny. Wygląda więc, że owa sekretna czarna moc jaka zniewala naszą planetę i o jakiej piszę na stronie internetowej [evil_pl.htm](#), nie życzy sobie abyśmy dowiedzieli się czegokolwiek na temat istnienia ludzkich gigantów w Timaru.

Podobne były losy olbrzymich szkieletów Maorysów jakie znalezione zostały w jaskini grobowcowej z Portu Waikato, jakieś 70 mil na południe od Auckland. One też tajemniczo zniknęły. Owe szkielety z Port Waikato opisane zostały w artykule [2VB5.1.1] "Caves could reveal secret of tall Maoris" (tj. "Jaskinie mogą odsłonić sekrety olbrzymich Maorysów"), opublikowany w gazecie N.Z. Truth, wydanie ze środy (Wednesday), 29 September 1965, strona 13. Także wszelkie odkrycia pozostałości gigantów dokonane poza Nową Zelandią spotyka podobnie mizerny los. Przykładowo w książce [3VB5.1.1] pióra William'a R. Corliss'a, "Incredible Life: a Handbook of Biological Mysteries", Source Book Project (P.O. Box 107, Glen Arm, MD 21057, USA) April 1981, ISBN 0-915554-07-0, na stronach 34 do 35 widnieje historyczna wzmianka, że Patagonię w Południowej Ameryce już w czasach historycznych zamieszkiwali wielkoludzi powyżej 4 metrowej wysokości. Ostatnia historycznie udokumentowana styczność Europejczyków z takim wielkoludem miała miejsce w 1559 roku, zaś ich groby i szkielety ciągle jeszcze znajdowano w 1615 roku. Ciało jednego z ostatnich z owych gigantów Patagońskich chciano nawet przetransportować do Hiszpani. Niestety statek który je przewoził, zapewne za sprawą okupujących nas UFOonautów, natknął się na silną burzę u wybrzeży Północnej Afryki i zatonął. W ten sposób zaginął i ów najbardziej ewidentny dowód na istnienie gigantów na Ziemi. Z kolei w Syrii do dzisiaj istnieje sarkofag biblijnego giganta, Abla. (Tego który został zabity przez normalnej wielkości brata Kaima - patrz Biblia, Genesis, 4:8.) Sarkofag ten jest długi na jakieś 5 - 6 metrów. Jego kolorowe zdjęcie opublikowane zostało w książce [4VB5.1.1] pióra Andrzeja Olszewskiego, "Paradoksy tajemnicy wszechświata" (Warszawa 1998, ISBN 83-900944-2-8, 314 stron; Konsultacje w sprawie dystrybucji: Wydawnictwo A. Olszewski, 00-976 Warszawa 13, skr. pocztowa 87). Aby jednak powstrzymać docieranie turystów do tego sarkofagu i stąd powstrzymać upowszechnianie się po świecie informacji o jego istnieniu, za sprawą okupujących nas UFOonautów obszar w jakim się on znajduje zamieniony został w pilnie strzeżoną strefę wojskową obecnej Syrii.

Dzisiejsza medycyna uznaje aż kilka odmiennych powodów, dla jakich ludzie mogą wyrastać na gigantów. Wśród tych trwała telekinetyzacja nie jest jednak uznawana. Istnieje jednak jeden rodzaj empirycznego materiału dowodowego, który wskazuje właśnie trwałą telekinetyzację jako powód dla mutowania się ludzkich gigantów w Nowej Zelandii. Dowodem tym jest empiryczne odkrycie dawnych Maorysów (przekazywane nam w formie ich tradycji słownej), że jeśli szczątki ludzkiego giganta pochowane są w ich ogródkach warzywnych, wówczas warzywa również wyrastają do gigantycznych rozmiarów. (Właśnie z powodu owego empirycznego odkrycia, starożytni Maorysi zwykli zakopywać fragmenty ludzkich gigantów w ich ogródkach warzywnych.) Najbardziej istotny w tym odkryciu jest mechanizm z użyciem jakiegoś zdolność do wyrastania do gigantycznych rozmiarów jest

przenoszona z resztek ludzkich gigantów na warzywa. Jeśli bowiem dany ludzki gigant wyrósł z powodu jakiejś choroby, wówczas jego resztki nie byłyby w stanie wzbudzić wzrostu gigantycznych warzyw. Jednak jeśli dany ludzki gigant był gigantem z powodu trwałego natelekinetyzowania, wówczas natelekinetyzowane pierwiastki zawarte w jego ciele zostałyby zaabsorbowane przez warzywa, indukując w nich również wzrost do gigantycznych rozmiarów. To zaś oznacza, że istnieje empiryczny materiał dowodowy, jaki wskazuje na wyrastanie ludzkich gigantów właśnie z powodu trwałego natelekinetyzowania ich ciał. Więcej na temat trwałej telekinetyzacji można znaleźć w podrozdziałach KB1 i KB2 z tomu 9 monografii [1/5].

#13. Dlaczego mutowanie się gigantów ludzkich, zwierzęcych i roślinnych dostarcza materiału dowodowego na istnienie innego świata, Boga, nieśmiertelnej duszy, itp.:

Oficjalna nauka ziemską nie uznaje ani istnienia telekinezy ani zdolności telekinetycznego skażenia naturalnego środowiska do zaindukowania mutacji gigantów. Dlatego powstawanie gigantycznych mutacji ludzkich, zwierzęcych i roślinnych wyjaśnia ona na różniejsze sposoby bez uwzględnienia istnienia oraz wpływu telekinezy. Jednak jeśli przeanalizuje się materiał dowodowy jaki dostępny jest już obecnie na naszej planecie, wówczas staje się oczywiste, że pierwotnym powodem powstawania dużej proporcji mutacji genetycznych, zwłaszcza o trwałym charakterze, jest właśnie zjawisko telekinezy. Jak zaś wyjaśnione to zostało na stronie internetowej o koncepcie Dipolarnej Grawitacji, telekineza istnieje tylko ponieważ równoległe do naszego świata fizycznego istnieje również jeszcze jeden niewidzialny świat, przez ów koncept nazywany "przeciw-światem", zaś przez ludzi i religie nazywany "zaświatem" "innym światem", itp. To właśnie w owym przeciw-świecie rezyduje Bóg oraz to do niego po śmierci przenoszą się nasze dusze. Z tego powodu fakt pojawiania się na Ziemi gigantycznych mutacji najróżniejszych stworzeń jest faktycznie jeszcze jednym z całego szeregu biologicznych dowodów na istnienie przeciw-świata, istnienie Boga, istnienie nieśmiertelnej duszy, itp. Cała lista owych dowodów jest zaprezentowana i dyskutowana na odrębnych stronach internetowych, np. [god_proof_pl.htm](#) - o naukowych dowodach na istnienie Boga. Część z tych dowodów jest też omawiana w punkcie #F2 odrębnej strony internetowej [biblia.htm](#) - o Biblii autoryzowanej przez samego Boga.

Część #J: Ciekawostki Nowej Zelandii wynikające z prawdopodobnego zaistnienia w owym kraju jeszcze wcześniejszych od Tapanu eksplozji statków kosmicznych:

#J1. Czyżby jeszcze jeden krater po eksplozji UFO?

Istnieje jeszcze jeden duży starożytny krater położony na Wyspie Północnej Nowej Zelandii, którego pochodzenie wcale nie jest jednoznaczne. Wygląd tego krateru pokazany został na zdjęciu z "Fot. #J1". Problem z nim jest, że posiada on wszelkie cechy krateru po eksplozji UFO, a jednocześnie nie wykazuje posiadania cech charakterystycznych dla kraterów wulkanicznych. Czyżby więc było to jeszcze jedno miejsce eksplozji wehikułu UFO, podobne do Tapanui, tyle że kilka tysięcy lat starsze niż Tapanui?

Fot. #J1: Widok z lotu ptaka na tajemniczy krater jaki istnieje na Wyspie Północnej Nowej Zelandii. (Kliknij na tę fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.) Powyższa fotografia została opublikowana na stronie 48 w interesującej książce pióra Phillip'a Andrews, zatytułowanej "TARAWERA and the terraces". (Książka ta dostępna jest bezpośrednio od jej autora pod adresem 27 Alastair Avenue, Rotorua, Nowa Zelandia, w cenie \$21.00). Podpis pod tym starożytnym kraterem informuje że jest on zlokalizowany koło "Te Whēkau lagoon", znaczy w trójkącie pomiędzy trzema jeziorami, mianowicie Tarawera, Okareka, oraz Okataina (tj. około 50 kilometrów na wschód od Rotorua). Chociaż ów obszar jest sejsmicznie bardzo aktywny, faktycznie powyższy krater nie wykazuje posiadania cech typowych dla pochodzenia wulkanicznego. Jego cechy są jednak ogromnie podobne do

cech krateru Tapanui pokazanego na "Fot. #G1" powyżej. To indukuje najróżniejsze zapytania, przykładowo czy jest to możliwe że dzisiejsza aktywność sejsmiczna Rotorua spowodowana została właśnie poprzez zniszczenie płyty tektonicznej w owym obszarze przez potężną eksplozję UFO jaka miała tam miejsce w starożytności. Powyższa fotografia jest zreprodukowana za pozwoleniem Philip'a Andrews (p-j.andrews@xtra.co.nz), który wykonał tą fotografię "Te Whekau lagoon", jednak nie uważa że przedstawia ona cokolwiek innego niż zwykły krater po eksplozji wulkanicznej.

Fot. #J2 (C4d z [5/4]): Fotografia krateru Schooner z USA, uformowanego poprzez napowierzchniową eksplozję nuklearną. Jest ona objaśniona bardziej szczegółowo w rozdziale C z monografii [5/4]. Ilustruje ona że najważniejsze cechy konfiguracyjne takiej napowierzchniowej eksplozji nuklearnej zaczynają się upodabniać do cech ujawnianych przez krater z rysunków "Fot. #J1" i "Fot. #G1". Pechowo, nasza dzisiejsza cywilizacja nie jest jeszcze w stanie formować kraterów poprzez eksplozje napowietrzne. Jednak możemy ekstrapolować atrybuty takich kraterów z eksplozji napowietrznych poprzez ekstrapolowanie atrybutów kraterów z podziemnych i napowierzchniowych eksplozji. Jak wówczas się okazuje, takie krater z eksplozji napowietrznych powinny wyglądać dokładnie tak jak owe pokazane na ilustracjach "Fot. #J1" i "Fot. #G1". Jednak tylko napowietrzne eksplozje wehikułów innych cywilizacji są w stanie wytworzyć wystarczającą gęstość przestrzenną energii jaka jest wymagana dla wytworzenia krateru. To praktycznie oznacza, że krater z rysunków "Fot. #J1" i "Fot. #G1" muszą pochodzić z napowietrznych eksplozji wehikułów UFO (tj. nie istnieje żaden inny sposób na jaki krater tak mogłyby zostać uformowane).

Część #K: Co jeszcze warto wiedzieć odwiedzając Nową Zelandię, chociaż przewodniki turystyczne raczej o tym nie napiszą:

#K1. Niebezpieczeństwa Nowej Zelandii:

Każdy kraj, w tym także Nowa Zelandia, kryje w sobie najróżniejsze niebezpieczeństwa dla wizytujących. Niebezpieczeństwa te można zaklasyfikować do dwóch kategorii, mianowicie takie które są unikalne tylko dla danego kraju (w rodzaju jego jadowitych stworzeń, przyrody, chorób, przestępców, prawodawstwa, itp.), oraz takie które czyhają na ludzi praktycznie w niemal każdym kraju (w rodzaju ostrzeżeń które często zwykł powtarzać już mój dziadek, np. "w życiu trzymaj się z daleka od lekarzy, dziennikarzy i prawników", lub które powtarzała już moja babcia, np. "jeśli ktoś samotnie wybiera się na pustkowie, ma szczęście jeśli został tylko pobity, obrabowany, lub zgwałcony, jednak zdołał ująć z życiem"). W statystycznym sensie te niebezpieczeństwa unikalne dla danego kraju są dosyć znaczące. O ich wielkości świadczy np. artykuł "Missing 8000 New Zealanders a year" (tj. "ginie 8000 Nowozelandczyków na rok") ze stron A16 do A17, nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z soboty (Saturday), April 19, 2008 - który omawia sprawy związane z niewyjaśnionymi zaginieniami ludzi w niewielkiej (bo tylko około czteromilionowej) Nowej Zelandii.

Jak to fajnie ujął artykuł "Foreign visitors with accents being targeted for attack" - tj. "Zagraniczni odwiedzający z akcentem są wybierani do ataku" ze strony A5 gazety The New Zealand Herald, wydanie z czwartku (Thursday), April 24, 2008, jednym z problemów ludzi zwiedzających Nową Zelandię jest, że typowo NIE zdają oni sobie sprawy z niebezpieczeństw tego kraju. Z kolei, nie będąc świadomym owych niebezpieczeństw, turyści ci NIE unikają sytuacji kiedy wystawiają się na działanie tego co niebezpieczne. Dlatego bez względu na to gdzie się ktoś wybiera, zawsze warto wiedzieć na jakie niebezpieczeństwa można tam się natknąć, oraz potem uwzględnić je w swoim postępowaniu. W przypadku Nowej Zelandii, jej sława jako wyjątkowo "bezpiecznego kraju" powstała ponad 25 lat temu, w czasach dobrobytu za rządów Sir Roberta Muldoon, kiedy faktycznie Nowa Zelandia była równie bezpieczna, jak bezpieczną w 2007 roku ja

znalazłem Koreę Południową (i jaka bezpieczna Korea ta zapewne pozostaje do dzisiaj). Niestety, świat się zmienia i także owa sława Nowej Zelandii należy już tylko do przeszłości. Poznajmy teraz najważniejsze z niebezpieczeństw na które można się natknąć w Nowej Zelandii.

#K1.1. Niebezpieczna natura:

Nowa Zelandia ma bardzo gęste puszcze w których łatwo zabłądzić. Corocznie błądzi w nich spora liczba ludzi. Niektórzy z owych błądzących umierają potem z wyczerpania i zimna (tzw. "hypothermia"). Faktycznie to przyjezdni sami nie powinni się zapuszczać w taką nowozelandzką puszcę bez GPS (tj. bez "Global Positioning System") oraz bez dokładnej mapy danych okolic. Jeśli zaś wędrują przez nią w grupie, nie powinni się oddzielać od przewodnika i od reszty współtowarzyszy.

Naturalne niebezpieczeństwa Nowej Zelandii obejmują też relatywnie tam częste tzw. błyskawiczne powodzie (po angielsku "flash floods"). Powstają one jeśli tzw. "oberwanie chmury" następuje ponad jakąś doliną. Wzdłuż owej doliny przemieszcza się wówczas ściana wody zmieszanej z głazami i belkami. Uśmierca ona i niszczy wszystko na swej drodze. Przykładowo we wtorek, dnia 15 kwietnia 2008 roku utopiło się tak aż sześćcioro 16-letnich uczniów chrześcijańskiego College z Auckland wraz z ich nauczycielem, kiedy to wybrali się wycieczkę wzdłuż strumyka który nagle i niespodziewanie zamienił się w ryczącą powodziową rzekę. Szczegóły tego nieszczęścia wstępnie opisane były m.in. w artykule "Teens swept away" (tj. "Nastolatki zmiecione powodzią") ze strony A1 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie datowane w środę (Wednesday), April 16, 2008. Z kolei dokładniejszy raport o tej tragedii, przytaczający zdjęcia, zawarty był w artykule "Taken by the river" (tj. "zabrani przez rzekę") ze strony A1 gazety The New Zealand Herald, wydanie z czwartku (Thursday), April 17, 2008.

#K1.2. Częste mgły gęste jak mleko:

Mgły same w sobie nie są niebezpieczne. Jeśli jednak działają one w połączeniu np. z brakiem urządzeń naprowadzających samoloty na lotniskach, jak to ma miejsce we większości lotnisk Nowej Zelandii - w tym nawet lotniska w stolicy owego kraju, wówczas mogą stać się mordercze. Tymczasem w Nowej Zelandii przez około pół roku, znaczy od około kwietnia do około września, gęste jak mleko mgły pojawiają się relatywnie często (w 2010 roku pojawiały się one nawet w środku lata). Mgły te łączą się z faktem, że dla zaoszczędzenia kilku dolarów lotniska owego kraju nie mają systemów naprowadzania samolotów, tak aby owe samoloty mogły odlatywać i lądować we mgle i w ciemności. Tymczasem samoloty są najbardziej podstawowym środkiem lokomocji w tym długim jak kiszka i podzielonym na trzy wyspy kraju. W tej sytuacji mgły Nowej Zelandii stają się wysoce niebezpieczne. Przykładowo, są one "wypadkiem który czeka aby się przydażyć". Ponadto są one powodem ogromnej niewygody dla turystów i podróżujących po Nowej Zelandii. Co jakiś bowiem czas cała komunikacja lotnicza w owym kraju zanika właśnie z powodu mgły. To ogromnie frustruje wielu turystów którzy mają długie międzynarodowe bilety, jednak mgła na lotniskach Nowej Zelandii powoduje że tracą oni połączenia do swoich samolotów i potem muszą odczekać czasami kilka dni na nowe połączenia (nie wspominając już o dodatkowych kosztach). Przykłady takich mgieł które sparaliżowały komunikację lotniczą tego kraju opisane są w punkcie #C1 strony cloud_ufo_pl.htm - o chmurach ukrywających w sobie wehikuly UFO, a także np. w artykule "PM caught in delays as fog closes airports" (tj. "Przywódca kraju złapany w opóźnieniach kiedy mgła pozamykała lotniska"), ze strony A5 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie datowane we wtorek (Tuesday), June 17, 2008.

#K1.3. Uduszenia siarkowodorem:

Jedną z powszechnie zwiedzanych atrakcji wulkanicznej Nowej Zelandii są gejzery istniejące w (i koło) miejscowości Rotorua. Oglądający te gejzery zwykle też zostają w Rotorua na noc. Jedną zaś z atrakcji pozostania tam dłużej jest wzięcie kąpieli w gorącej wulkanicznej wodzie. Kąpiele takie są tam oferowane wszędzie, nawet w motelach. Jak

jednak jest wiadomym, spod ziemi wydobywa się nie tylko gorąca wulkaniczna woda, ale czasami także różne gazy. Najgroźniejszym z nich jest siarkowodór. Od czasu też do czasu raptowny i znacznie większy niż normalnie ulot tego gazu spod ziemi powoduje śmierć osób samotnie biorących takie kąpiele. Przykładowo, z artykułu "Coroner urges rethinking on two hot pool deaths" (tj. "Prowadzący śledztwo domaga się rozważenia sprawy śmierci w gorących źródłach"), opublikowanego na stronie A3 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post Weekend, wydanie z soboty-niedzieli (Saturday-Sunday), June 14-15, 2008, wynika że tylko od około 2000 roku w Rotorua udusiły się siarkowodorem co najmniej 4 osoby. Z kolei podobny artykuł "Hydrogen sulphide linked to two Rotorua hot-pool deaths" (tj. "Siarkowodór obciążony dwoma śmierciami w gorących basenach Rotorua"), ze strony A10 nowozelandzkiej gazety "Weekend Herald", wydanie datowane w sobotę (Saturday), June 14, 2008, opisuje dwie śmierci przez takie zaduszenie siarkowodorem. Jeśli więc ktoś bierze sobie kąpiel w źródłach gorącej wulkanicznej wody z Rotorua, nie powinien czynić tego samotnie, oraz powinien zważać na ewentualną falę silnego smrodu siarkowodoru (tj. gazu który śmierdzi jak stare zepsute jajka).

#K1.4. Trujące rośliny:

Niemal każdy kraj ma jakieś trujące rośliny. W relatywnie niewielkiej Nowej Zelandii żyje ponad 100 silnie trujących roślin. Z tej liczby większość jest rodzima dla wysp tego kraju. Dlatego NIE jest znana przyjezdnym z innych kontynentów. Faktycznie, to jak wyjaśnia to strona newzealand_visit_pl.htm, Bóg nie zamierzał aby Nowa Zelandia była zamieszkała, stąd Bóg zappełnił ją truciznami i niebezpieczeństwami. Opisowi tych trucizn poświęcone są liczne grube tomiska książek - przykładowo patrz książka pióra H. E. Connor, "The Poisonous Plants in New Zealand" (E.C. Keating, Wellington, 1977, ISBN 0-477-01007). Na tej stronie nie mam też zamiaru konkurować z owymi książkami, a jedynie chcę zwrócić uwagę czytelnika na sam problem, poprzez wskazanie przypadków zatrucia, które były na tyle groźne że aż dostały się do nowozelandzkich publikatorów.

Najgroźniejszym przypadkiem zatrucia z jakim dotychczas się spotkałem w Nowej Zelandii był sok z rodzimego drzewka zwanego tutu. Niewielkie ilości tego soku są w stanie uśmiercić nawet słonia. Tutu jest to niewielkie drzewko, często wielkości krzaka. Jego liście rosną parami po obu stronach jakby "kwadratowych" gałązek. Liście te wyglądają nieco podobnie jak liście laurowe ("bobkowe"). Drzewo to ma też smakowicie wyglądające, czarno-purpurowe jagody podobne do czeremchy. Wszystko jednak w tym drzewie jest silnie trujące, na przekór że wygląda smakowicie. Jego trucina "tutina" jest też piorunująco śmiertelna - podobno dla zabicia człowieka wystarcza jej tylko jeden miligram. W dawnych czasach drzewo to spowodowało śmierć wielu nieostrożnych ludzi którzy nie znali jego morderczych cech, oraz wielu zwierząt domowych. W marcu 2008 roku, słodka rosa z soków tego drzewa, pozbierana przez pszczoły, spowodowała groźne zatrucia miodem aż kilkunastu ludzi. Opisy tych zatruc spowodowanych przez miód z tutu, zawarte są m.in. w artykułach "Toxic honey link in three new cases" (tj. "Trzy nowe przypadki łączy zatruty miód") ze strony A3 nowozelandzkiej gazety The New Zealand Herald, wydanie z poniedziałku (Monday), March 24, 2008; oraz "Poison honey culprit killed two elephants" (tj. "Trucizna ta sama co w miodzie zabiła dwa słonie"), ze strony A12 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie ze środy (Wednesday), March 26, 2008.

Sporo roślinnych trucizn na świecie działa morderczo tylko jeśli dostanie się do krwioobiegu. Przykładowo tak właśnie działa malezyjska "kurara" sporządzana z drzewa zwanego "Ipoh", tak też działa mleczko (sok) z krzewu bananowego - po szczegóły patrz opisy tych trucizn w podpisie pod "Fot. #D3" ze strony fruit_pl.htm - o tropikalnych owocach i o filozofii ich jedzenia, lub patrz opisy drzewa Ipoh z punktu #F1 strony healing_pl.htm - o folklorystycznych metodach przywracania zdrowia. Natomiast jeśli owe trucizny się zjada, wówczas stają się one nieszkodliwe. Jednak trucizna "tutina" zawarta w soku drzewka tutu jest mordercza bez względu na to jak na kogoś zadziała - a więc też i po jej zjedzeniu, a nawet po przerobieniu przez pszczoły na miód.

Aczkolwiek drzewo tutu jest prawdopodobnie źródłem największej ilości kłopotów, nie jest ono jedyną trującą rośliną Nowej Zelandii. O innej silnie trującej roślinie tego kraju

pisał artykuł "Dog dies from karaka berries" (tj. "Pies zdechł od karaka jagód") ze strony A13 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie ze środy (Wednesday), March 25, 2009; oraz podobny artykuł "Dog's death warns humans" (tj. "Śmierć psa ostrzega ludzi") ze strony A8 gazety The New Zealand Herald, wydanie ze środy (Wednesday), March 25, 2009. Jak wynika z obu tych artykułów, apetyczne (pomarańczowe w kolorze) jagody rodzimego dla Nowej Zelandii drzewka "karaka" po opadnięciu na ziemię w miejskim parku z Auckland wyglądały tak apetycznie, że skusiły psa. Po ich zjedzeniu pies zdechł. Oprócz psów, trucizna z jagód tego drzewka jest też śmiertelna dla ludzi. Kolejną bardzo często spotykaną rodzimą trującą rośliną tego kraju jest ozdobne drzewko o pięknych żółtych kwiatach, nazywane kowhais. Oczywiście, Nowa Zelandia ma też szereg trujących roślin przywiezionych z innych krajów - np. "rhus", "ivies", konwalie - po angielsku nazywane "lilies of the valley", oraz "deadly nightshades" nazywane także "atropa belladonnas". Do najsilniej trujących z owych przywiezionych roślin należą: oleander, castor oil bean, foxglove (digitalis), oraz white cedar berries. Silnie trujące są także niektóre odmiany nowozelandzkich grzybów (np. muchomory) - te jednak łatwo rozpoznać bo większość z nich wygląda identycznie jak podobne trujące grzyby z innych krajów.

#K1.5. Trujące ryby:

Na dodatek do trujących roślin, w morzach z okolic Nowej Zelandii można spotkać także trujące ryby. Najbardziej trująca z nich jest słynna "Puffer Fish" (tj. ta z małymi kolcami, która po złapaniu sama siebie "nadmuchuje" jak balonik). Trucizna zawarta w jej skórze oraz w jej wątrobie po zjedzeniu jest nawet bardziej śmiertelna niż "tutina". Na szczęście, z powodu zimnej wody mórz Nowej Zelandii, owa trująca ryba NIE jest spotykana tam aż tak często. Jednak w innych (biedniejszych) krajach, w których żyje ona w dużych ilościach i w których jest ona najtańszą rybą, np. w Sri Lanka, pomyłki przy usuwaniu z niej trucizny przed jej zjedzeniem niemal codziennie uśmiercają tam jakichś biednych ludzi.

#K1.6. Jadowite stworzenia:

Nowa Zelandia oficjalnie nie ma jadowitych węży. Gdy ja tam emigrowałem w 1982 roku, jedynym jadowitym stworzeniem ze śmiertelnie śmiertelnym jadem był tam wówczas niewielki pająk po Maorysku zwany Katipo. Ma on czarny odwłok wielkości ziarenka grochu. Jest on też łatwo rozpoznawalny z powodu jaskrawo-czerwonego zygzakowatego paska biegnącego podłużnie po grzbiecie jego czarnego odwłoka. Typowo żyje na suchych wydmach nadmorskich. Jeśli po jego ukąszeniu NIE zostanie podana odtrutka, może on okazać się śmiertelny. Szokujący przypadek, kiedy ów "katipo" ukąsił w penisa niebacznego kanadyjskiego turystę któremu na szczęście szpital uratował życie, opisany jest w artykule "Agony after spider bites trouser snake" (tj. "Cierpienia po tym jak pająk ukąsił węża w spodniach"), ze strony A3 gazety The New Zealand Herald, wydanie z piątku (Friday), May 14, 2010. O owym jadowitym pająku warto też wiedzieć, że począwszy od 10 czerwca 2010 roku są one na liście "absolute protected" żyjątek Nowej Zelandii, co oznacza że jeśli ktoś nieopatrznie zabije jednego z nich, wówczas grozi mu więzienie lub grzywna 100000 dolarów - po szczegóły patrz ilustrowany artykuł "Don't squash the katipo - or you'll be off to prison" (tj. "Nie rozgniataj katipo - bo zamkną cię w więzieniu"), ze strony A5 gazety The Dominion Post, wydanie z piątku (Friday), June 11, 2010.

Oczywiście, już w 1982 roku żyły też w Nowej Zelandii owe nieszkodliwe dla normalnych ludzi jadowite stworzonka które występują również w praktycznie każdym innym kraju, takie jak trzmiele, osy i pszczoły. Chociaż one też mogły boleśnie ukąsić, jednak dla osób które nie mają na nie uczulenia pozostają one raczej nieszkodliwe. W miarę jednak jak czas upływa, ludzie importują do Nowej Zelandii coraz więcej jadowitych stworzeń które są w stanie porazić lub zabić swoim jadem nawet całkowicie zdrowe i silne osoby. Ponadto, ostatnie ocieplanie się klimatu Ziemi powoduje, że morzami zaczynają docierać do Nowej Zelandii jadowite morskie stwory z tropiku dla których uprzednio wody tego kraju były zbyt zimne. Dla obu tych powodów, tj. importu przez ludzi i ocieplania się klimatu, kiedy w marcu 2009 roku artykuły w gazetach opublikowały wykaz jadowitych

stworzeń czyhających na ludzi w Nowej Zelandii, ich lista obejmowała wówczas już ponad 10 takich paskudów. (Artykuły z opisami i zdjęciami owych jadowitych paskudów to [1#K1.6] "NZ's natural nasties" (tj. "Naturalne paskudy Nowej Zelandii") ze strony A4 gazety The Dominion Post, wydanie ze środy (Wednesday), March 4, 2009; oraz [2#K1.6] "What not to do when critters strike" (tj. "Czego nie czynić kiedy paskud ugryzie"), ze strony A2 gazety The New Zealand Herald, wydanie z czwartku (Thursday), March 5, 2009.) Oto więc ich wykaz.

(1) Jadowite owady. Oprócz owego rodzimego jadowitego pająka Nowej Zelandii opisanego powyżej (tj. "katipo"), obecnie grycie tam ludzi także jego równie jadowity krewniak z Australii - zwany "redback". Niedawno i ten jadowity pająk zasiedlił się w Nowej Zelandii. W Australii od dawna zasiewał on spore spustoszenie (faktycznie gdy jeszcze nie istniała odtrutka dla jego jadu, od jego ukąszeń umarło aż kilku ludzi) - po szczegóły patrz artykuł "Plague of redbacks puts paid to Outback hospital" ze strony B3 gazety The New Zealand Herald, wydanie z czwartku (Thursday), April 24, 2008.

(2) Jadowite węże morskie. Obecnie można już na nie się natknąć w wodach lub na plażach Nowej Zelandii. Przykładowo, żywego jadowitego węża morskiego "żółtobrucha" - po angielsku zwanego "yellow-bellied sea snake", którego prądy morskie uniosły aż do Nowej Zelandii, złapano w dniu 23 kwietnia 2008 roku na plaży z północnego krańca tego kraju - po szczegóły patrz artykuł "Snake found on beach" ze strony A7 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z piątku (Friday), April 25, 2008.

(3) Mordercze ślimaki morskie. W ciepłych wodach morskich północnej części Nowej Zelandii, przykładowo w okolicy tzw. "Bay of Island", spotkać można jadowitego ślimaka po angielsku nazywanego "cone shell snail" - którego jad może uśmiercić człowieka w około 20 minut od ukąszenia. Opisy i zdjęcie tego ślimaka o czerwonym kolorze podane są w artykule "Toxic killer lurking in NZ waters" (tj. "Trujący morderca czai się w nowozelandzkich wodach"), ze strony A6 gazety The New Zealand Herald, wydanie z wtorku (Tuesday), January 6, 2009.

Począwszy od 2009 roku, w Nowej Zelandii nagle trujące zaczęły też być zwykłe ślimaki morskie lokalnie zwane "grey side-gilled sea slug" - które uprzednio uważano za nieszkodliwe po zjedzeniu. Owe ślimaki już uśmierciły sporo psów i innych zwierząt które nieopatrznie zjadły je na plażach. Podobno zjedzenie tylko około łyżki ciała tego apetycznie wyglądającego ślimaka może obecnie uśmiercić człowieka. Upowszechniane są rumory, że powodem ich nagłego trucia jest zakumulowanie w ich ciałach trucizn na szczury obficie ostatnio rozsiewanych samolotami po lasach i wyspach przez agencje rządowe NZ. Stąd coraz częściej słyszy się nawoływania w rodzaju tych z artykułu "Science Minister backs calls for Govt funding to study toxic sea slugs" (tj. "Minister nauki popiera apele do rządu aby badać trujące ślimaki morskie"), ze strony A7 gazety The New Zealand Herald, wydanie z wtorku (Tuesday), February 23, 2010.

(4) Jadowite ryby - znaczy ryby które na zewnątrz ciała posiadają co najmniej jeden kolec ociekający jadem. Takich jadowitych ryb żyje już w wodach Nowej Zelandii aż kilka. Najczęściej z tych spotkać można tzw. "płaszczkę" (tj. "stingray") która czai się na dnie w płycznach morskich, szczególnie na wylotach rzek i w obszarach przyływowych. Ma ona jeden lub kilka jadowitych koleców na zwinnym jak wąż ogonie, a czasami też wzdłuż grzbietu. Podrażniona, kolec ten błyskawicznie wbija w swoją ofiarę. Inne jadowite ryby spotykane w Nowej Zelandii to: scorpion fish, spiny dog fish, elephant fish, brown bullhead catfish.

(5) Jadowity sea urchin (tzw. "Kina"). Jest to rodzaj jakby "jeża" (jadalnego i przez Maorysów uważanego za przysmak) żyjącego na dnie morza - czyli kłębka jadowitych kolcy. Jeśli się na niego przypadkowo nadrepcie, wówczas ma się poważne kłopoty z powodu jadu tychże koleców.

(6) Jadowite meduzy. W miarę ocieplania się klimatu przyływa ich coraz więcej do brzegów Nowej Zelandii. Najbardziej jadowite z nich jakie zgodnie z w/w artykułami [1#K1.6] i [2#K1.6] obecnie docierają już nawet do Nowej Zelandii, to tzw. "Portuguese man-of-war" oraz "bluebottle - obie pirunująco mordercze. W dniu 28 kwietnia 1996 roku ja osobiście natknąłem się na całą ławicę tych śmiercionośnych meduz w tropikalnej Malezji,

a nawet uwiedziony ich pięknymi kolorami chciałem dotknąć jedną z nich swoją ręką - na szczęście zostałem w porę ostrzeżony. Jednak o dwóch turystach uśmierconych przez owe meduzy na dokładnie tej samej plaży, których nikt w porę nie zdołał ostrzec przed dotknięciem tych stworzeń, przeczytałem sobie następnego dnia w miejscowych gazetach. Oto jak tamto spotkanie ze śmiercią opisałem w jednym ze swoich ówczesnych listów do brata w Polsce: "W międzyczasie miałem tu w Malazji przygodę którą chciałbym Ci opisać. Dosłownie bowiem niemal że na ochotnika wzięłem własną śmierć w swoje ręce. Gdyby nie ostrzegająca mnie reakcja Sue zapewne dzisiaj już bym nie żył. Oto cała historia. Na trzy dni, t.j. sobotę, niedzielę i poniedziałek 27-29 kwietnia 1996 roku, wybraliśmy się z Sue do Langkawi - znanej wyspy wypoczynkowej w północno-zachodniej części Malazji. Po pełnym emocji przelocie samolotem (strasznie w czasie lotu rzucało, zaś w ostatniej chwili samolot przerwał lądowanie i zarócił do Penang gdzie spędziliśmy czekając ponad godzinę aż w Langkawi poprawią się warunki pogodowe), dotarliśmy do naszego hotelu "Holiday Villa Beach Resort" zlokalizowanego tuż przy pięknej plaży na południowo-zachodnim wybrzeżu tej wyspy. Wkrótce też zaczęliśmy spacerować po złotych piaskach otaczającej hotel plaży, która jest najlepszą plażą w całej Langkawi. Na taki sam spacer wyszliśmy też i w niedzielę, 28 kwietnia. Brodząc po niemal gorącej wodzie morskiej, spostrzegłem wtedy ogromną meduzę w przybliżeniu wielkości cynowego wiadra do studni na Wszewilkach. Była cała lekko czerwonawa jak galaretką z czarnej pożeczki - kolor bardzo dziwny jak na meduzę. Jej kolor nadawał jej wygląd jakby chorej lub umierającej. Fale zwolna zmywały ją ku piaskowi plaży. Zrobiło mi się jej żal że wkrótce zginie wyrzucona falami na piasek, pochyliłem się więc nad nią i powiedziałem Sue że wezmę ją na ręce i wyholuję na głębszą wodę. Reakcja Sue nieco mnie zaszokowała, bowiem Sue zaczęła krzyczeć abym uciekał bo te meduzy są śmiertelnie niebezpieczne. Ja jej nie wierzyłem, bowiem pamiętałem meduzy z Bałtyku i z Morza Czarnego które można było dotykać bez obaw. Tylko więc z grzeczności dla Sue odeszłem od meduzy na kilka kroków, jednak przez dłuższą chwilę patrzyłem czy to "biedne stworzonko" zdoła uniknąć wyrzucenia na piasek. Potem, wobec - jak wówczas sądziłem, histerycznego zachowywania się Sue, która z paniki aż tupiała w miejscu przy skraju wody i krzykiem przynaglała mnie do ucieczki, podjąłem kontynuowanie spaceru - ja brodząc beztrudno po wodzie, zaś Sue stąpając ostrożnie po piasku. Podczas dalszego spaceru dostrzegłem i minąłem kilka następnych podobnych meduz. O całej sprawie zapomniałem aż do powrotu do Kuala Lumpur, kiedy to z gazet się doczytałem, że identyczna meduza, niemal dokładnie w tym samym miejscu plaży gdzie ja ją spotkałem, uśmierciła w ten sam dzień (niedzielę) aż dwoje ludzi. Kopię wycinków z gazet na ten temat załączam Ci z niniejszym listem. Gdybym więc uległ pokusie i wziął na ręce owo stworzenie aby wynieść je na głębszą wodę, z uwagi na krótką drogę jadu z rąk do serca (paraliżowanego przez jad tej meduzy) zapewne dzisiaj już bym nie żył. Malezja ma wiele bardzo niebezpiecznych stworzeń!" (Niestety, nie zapisałem sobie danych edytorskich artykułów gazetowych o owych uśmierconych przez meduzy turystach. W razie potrzeby czytelnik powinien jednak sam sobie je znaleźć w poniedziałkowym wydaniu, z dnia 29 kwietnia 1996 roku, w którejś z popularnych gazet Malezji - być może iż w "New Straits Times".) I pomyśleć że w wyniku ocieplania się klimatu owe śmiertelne meduzy zaczynają pomału docierać aż do wybrzeży Nowej Zelandii.

Jak powyższy wykaz ujawnia, zdecydowana większość jadowitych stworzeń Nowej Zelandii narazie spotyka się w morzu. Najbardziej więc trzeba tam uważać kiedy się wchodzi do wody.

#K1.7. Drapieżniki i ludojady:

Oficjalnie na lądzie Nowej Zelandii nie ma ani drapieżników, ani innych ludojadów. Za najbardziej niebezpiecznego drapieżnika tego kraju oficjalnie uznaje się rekiny które czasami atakują ludzi pływających w morzach tego kraju. Intrygującą ciekawostką co najmniej niektórych rekinów Nowej Zelandii jest, że mają one jakąś nadprzyrodzoną zdolność do zdalnego hipnotyzowania swoich ofiar, tak aby te nie czuły bólu ugryzienia. Stąd ofiary nowozelandzkich rekinów nawet nie wiedzą że kawałek ich ciała został już odgryziony przez rekina - po więcej informacji patrz punkt #F4.1 z

totalizycznej strony stawczyk.htm.

Nieoficjalnie jednak na pustkowiach Nowej Zelandii można czasami natknąć się na potwora-ludojada czy na jakieś inne niebezpieczne zwierzęta. Ich przykładami są owe widywane sporadycznie iluzoryczne drapieżniki czy ludojady opisywane w punktach #C4, #E7 i #H1 niniejszej strony newzealand_pl.htm - o tajemnicach i ciekawostkach Nowej Zelandii.

#K1.8. Odmienne prawa:

W Nowej Zelandii panuje lewostronny ruch drogowy. Sporo turystów przybywających do Nowej Zelandii planuje zwiedzać ten kraj w wynajętych samochodach. Wynajęcie samochodu kosztuje wszakże relatywnie niewiele. Problem jednak jest taki, że ruch w Nowej Zelandii jest lewostronny. Stąd osoby które przybyły z krajów o prawostronnym ruchu drogowym czasami popełniają błędy na ruchliwych drogach, często przyplacając to życiem swoim i swoich pasażerów. Innym niebezpieczeństwem stwarzanym przez prawo Nowej Zelandii jest dysproporcja w karach za gwałt i za morderstwo. Mianowicie, kary za oba te przestępstwa są na tyle podobne do siebie, że miejscowym gwałtcielowi lepiej się "opłaca" po gwałcie zamordować swoją ofiarę niż pozwolić jej ujść z życiem aby potem mogła ona dopomagać policji w złapaniu swego gwałtciela. (W Nowej Zelandii NIE ma "kary śmierci" za morderstwo.) W rezultacie przerażająco często miejscowe gazety opisują kolejny przypadek kiedy następną młoda i atrakcyjna turystka podróżująca samotnie albo zniknęła bez wieści, albo też znaleziono ją zamordowaną - jako przykład patrz artykuł "Sniffer dog aids search for tourist", ze strony A5 gazety The New Zealand Herald, wydanie z wtorku (Tuesday), April 22, 2008. (Tak nawiasem mówiąc to ciało atrakcyjnej izraelskiej turystki opisywanej w owym artykule znaleziono dopiero w piątek, 16 maja 2008 roku, i to tylko ponieważ jej rodzina wydała ponad \$100 000 prywatnych pieniędzy na jej poszukiwania - po szczegóły patrz artykuł "Inquiry into search delay" ze strony A2 The New Zealand Herald, wydanie z wtorku (Tuesday), May 20, 2008.) Z uwagi właśnie na tą dysproporcję w karach za gwałt i za morderstwo, ja osobiście odradzałbym atrakcyjnym kobietom samotnego zwiedzania Nowej Zelandii - szczególnie o czasie i w miejscach gdzie mogłyby wystawić się na niebezpieczeństwo gwałtu. Jeszcze innym niebezpieczeństwem stwarzanym przez prawo Nowej Zelandii jest dysproporcja pomiędzy prawami przestępców a prawami ofiar przestępstw. W praktyce dysproporcja ta jakby popiera i cichcem nagradza przestępczość. Faktycznie też z powodu braku kary śmierci za morderstwo, oraz owo jakby popieranie przestępczości przez prawo, bez względu na czyjaś płeć i wiek zwiedzanie tego kraju najlepiej realizować w dużej grupie, a conajmniej zawsze we dwoje (tj. razem z kimś zaufanym). Właśnie taką zresztą radę oficjalnie udziela japońskim turystom towarzystwo Nowozelandzko-Japońskie - po szczegóły patrz artykuł "Travel in groups, Asians told" (tj. "Zawsze poruszaj się w grupie, Azjaci instruowani") ze strony A1 nowozelandzkiej gazety The Press, wydanie z czwartku (Thursday, July 3, 2008.)

#K1.9. Śmiercionośne mroczne moce:

Nowozelandzcy Maorysi wierzą że w niektórych obszarach rodzimej nowozelandzkiej puszczy rodzimej żyją wrogie ludziom nadprzyrodzone istoty które dybią na ludzkie życie. Przykłady takich śmiercionośnych istot opisane są na niniejszej stronie (newzealand_pl.htm) w punktach #E3 (patrz tam "Strażnik"), #E6 ("Maeroero"), oraz #E7 ("lord of the forest"); a także na stronie sw_andrzej_bobola.htm. (patrz tam "Fot. #5abc"). Jeśli więc w obszarze te zapanuje się samotnie ktoś o umyśle podatnym na manipulacje owych niebezpiecznych istot, jego zguba jest niemal pewna. W latach 2001 do dziś (2010) ja mieszkałem koło jednego z takich miejsc. Nazywa się ono "Rimutaka Forest Park" i położone jest niedaleko przedmieścia Wellington. Na przekór jego bliskości do buszującej życiem stolicy Nowej Zelandii, niemal co roku ktoś tam umiera lub ginie albo w tajemniczych, albo też w kryminalnych, okolicznościach. Mną osobiście najbardziej wstrząsnęła śmierć w owej puszczy niedoświadczonego, bo 26-letniego naszego rodaka, który wyruszył tam na samotną wycieczkę w sobotę dnia 31 maja 2008 roku, zaś którego

ciało znaleziono dopiero w sobotę 7 czerwca 2008 roku. Bezowocnymi poszukiwaniami jego ciała zainteresowana była wówczas cała Nowa Zelandia - przykładowo patrz artykuł "Searchers remain hopeful of finding Polish tourist" (tj. "Szukający mają nadzieję znalezienia polskiego turysty"), ze strony A5 gazety The New Zealand Herald, wydanie z piątku (Friday), June 6, 2008. Kiedy go w końcu znaleziono, jego ciało leżało w strumieniu pod zatorem z powalonych drzew. Nie udało się nawet ustalić jak i od czego zginął. Wprawdzie prasa spekulowała że być może padł on ofiarą tzw. "flash flood" (tj. "błyskawicznej powodzi"), jednak nikt takiej powodzi w owym czasie tam nie odnotował. Jego los ponownie potwierdza, że do nowozelandzkiej puszczy nie powinno się wybierać samotnie. W około pół roku po śmierci tego Polaka, bo już w styczniu 2009 roku, mroczne moce z owych Rimutaka pochłonęły następną ofiarę, tym razem Nowozelandczyka. Rozkładające się ciało tego następnego zaginionego znaleziono dopiero pod koniec marca 2009. Krótki opis losów jego poszukiwań i przypadkowego znalezienia zawarty został w artykule "Pilot's hunch finds missing man's car", ze strony A3 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z poniedziałku (Monday), March 23, 2009.

Ciekawe, że takie "miejsca nawiedzone złymi mocami" istnieją w wielu rejonach świata. Inne podobnie śmiertelne miejsce, które znam osobiście i w którym także co jakiś czas ktoś umiera w raczej tajemniczych okolicznościach, jest opisane w punkcie #H4 strony internetowej [wszewilki.htm](#).

#K2. Przemilczane ciekawostki:

Nowa Zelandia ukrywa także sporo ciekawostek, o istnieniu których świat zwykle nie ma pojęcia. Jednak opisy owych ciekawostek przytoczone są na odmiernej stronie internetowej [newzealand_visit_pl.htm](#).

Część #L: Podsumowanie, oraz informacje końcowe tej strony:

#L1. Podsumowanie tej strony:

Ja osobiście nie spotkałem się jeszcze z krajem w którym współistnieje ze sobą tak szeroka i tak duża różnorodność tajemniczych obiektów i niewyjaśnionych zjawisk. Jakaż szkoda że położenie Nowej Zelandii na peryferiach świata uniemożliwia włączenie się większej liczby badaczy z innych krajów do wyjaśniania tajemnic tego kraju. Jak też szkoda, że rodzimi naukowcy Nowej Zelandii wybrali pełne godności ignorowanie wszystkiego co tajemnicze lub niewyjaśnione w ich własnym kraju i udawanie że problem badania niewyjaśnionego zupełnie tam nie istnieje.

#L2. Dalsze ciekawostki Nowej Zelandii o których istnieniu słyszałem, jednak których brak funduszy i czasu dotychczas nie pozwolił mi przebadać:

Powyższe tajemnice wyczerpują listę tych jakie zdołałem dotychczas przebadać i opisać. Niestety, proces ich uzdatniania do zaprezentowania w internecie zajmuje wiele czasu. Wszakże wszelkie badania nowozelandzkich tajemnic jakie tutaj raportuję dokonuję wyłącznie jako osobiste hobby naukowe, znaczy w swoim własnym czasie przeznaczonym na odpoczynek, oraz na mój prywatny koszt. Ponadto staram się ukrywać prowadzenie tych badań jeśli to tylko jest to możliwe, aby NIE narażać się na niepotrzebne prześladowania. Niemniej, chociaż postęp jest wolny, badania ciągle prą do przodu. W chwili obecnej jest mi już wiadomo o kilku następnym intrygujących tajemnicach Nowej Zelandii, jakie umieściłem w kolejce do przebadania na ile mi to czas i moje skromne osobiste środki finansowe pozwolą, oraz jakie zaprezentuję tutaj zaraz po tym jak zakończę ich badanie. Dla przykładu, słyszałem jeszcze o: (1) mitycznym niewidzialnym kryształem zlokalizowanym w geograficznym centrum Nowej Zelandii, jakiego podobno można dotknąć, jednak nie można zobaczyć (być może że kryształem tym jest komora oscylacyjna działająca w tzw. stanie telekinetycznego migotania - po szczegóły patrz strona [telekinesis_pl.htm](#) - o telekinezie indukowanej technicznie); (2) tajnej szkole Maoryskich szamanów jaka wciąż operuje ukryta w dzicy Nowej Zelandii, a do jakiej egzamin wstępny polega na psychokinetycznym

zrzuconiu ze stołu kamienia wielkości pięści bez fizycznego dotknięcia owego kamienia; (3) dwóch co najmniej 1000-letnich kamiennych piramidach około 2-metrowej wysokości, z pobliza miejscowości Opoutere przy podstawie Coromandel Peninsular; (4) tajemniczego Wielkiego Muru Nowej Zelandii z północnej części Wyspy Północnej - który jest jak miniaturowa wersja Wielkiego Muru Chińskiego, Muru z Peru, czy Muru Hadriana z Brytanii (zbudowanego w 122 roku AD); (5) szczątków kamiennej budowli czy ściany w Kaimanawa Forests spomiędzy Taupo i Napier; (6) gigantycznej figury ludzkiej tzw. Śpiącego Olbrzyma jakiej wygląd i istnienie wyjaśniam dokładniej w punkcie #13.3 odrębnej strony internetowej [god_proof_pl.htm](#) - o dowodach naukowych że Bóg faktycznie istnieje, a także w podrozdziale V3 mojej starszej monografii [1/4]; (7) legendarnego plemienia niezwykłych istot z mgły które podobno posiadają swoje podziemne miasto w nowozelandzkiej prowincji Firdland; oraz wiele więcej. Dlatego być może warto aby czytelnik powrócił do tej strony ponownie, jako że wówczas najprawdopodobniej znajdzie na niej opisy znacznie większej liczby tego typu tajemnic.

#L3. Dane kontaktowe autora tej strony:

Aktualne adresy emailowe autora tej strony, tj. dra inż. Jana Pająka) (a przez okres 2007 roku - Prof. dra inż. Jana Pająka), pod jakie można wysłać ewentualne uwagi lub zapytania, podane są na stronie: o mnie (dr inż. Jan Pająk). Tam również dostępne są adres pocztowy i numery telefonu autora.

#L4. Copyrights, disclaimer, itp.:

Informacja copyright. Copyrights © 2011 by Dr Jan Pająk. Wszelkie prawa zastrzeżone. Przeważająca większość tekstów i fotografii pokazanych na totaliztycznych stronach internetowych pochodzi z monografii posiadacza copyright do niniejszej strony. Stąd prawa copyright z owych monografii odnoszą się także do nich. Natomiast każda fotografia jaka podpira tutaj którąś z konkluzji moich badań, jednak która NIE pochodzi z moich własnych zbiorów, posiada nosiciela praw copyrights wyszczególnionego pod nią.

* * *

Disclaimer. Odnotuj że poglądy wyrażone na niniejszej stronie NIE są podzielane przez właścicieli innych niż moje fotografii pokazanych tutaj, nawet jeśli właściciele owych fotografii zgodzili się abym wykorzystywałem ich zdjęcia. Chociaż fotografie reprezentują najbardziej obiektywny materiał dowodowy, ciągle sytuacje jakie one uchwyciły mogą być interpretowane na kilka odmiennych sposobów.

* * *

Niniejsza strona należy do większego łańcucha stron internetowych poświęconych najróżniejszym tajemnicom i ciekawostkom (oferując m.in. nieodpłatne monografie na ich tematy). Łańcuch ten obejmuje strony zestawione w "Menu 2".

* * *

If you prefer to read English,
click on the flag
(jeśli preferujesz angielski,
kliknij na poniższą flagę)

Data zapoczątkowania budowy tej strony internetowej: 10 października 2003 roku.
Data najnowszego aktualizowania tej strony: 21 maja 2011 roku.
(Sprawdź pod adresami z "Menu 3" czy już istnieje nawet nowsza aktualizacja!)

Podrozdział D2:

Czy Bóg popiera zaludnienie Antypodów

Mieszkańcy północnych kontynentów Ziemi często naśmiewają się z populacji tzw. "Antypodów". A to że ludzie z Antypodów chodzą do góry nogami, a to że dźwigają oni na swoich grzbietach całą resztę planety, itp. Jeśli jednak dobrze się zastanowić, być może znajdzie się jakaś rację w tym sarkastycznym potraktowaniu Antypodan. Być może okaże się że sam Bóg nigdy NIE planował zaludnienia Antypodów przez ludzi z północy. Niniejsza strona rozważa tezę, że Bóg nie przeznaczył Antypodów do trwałego zamieszkiwania przez ludzi stworzonych dla północnych kontynentów, oraz że tych ludzi z północy którzy zignorują intencje Boga i mimo wszystko zamieszkają w owych zakazanych dla nich ziemiach oczekuje brak przyszłości, stopniowe wyniszczenie, oraz zapomnienie przez resztę cywilizacji ludzkiej. Analiza owej tezy dokonana jest tutaj głównie na przykładzie Nowej Zelandii - czyli obszaru który ja znam najlepiej. Jednak większość rozważań z tej strony odnosi się do wszystkich obszarów Antypodów, tj. do Australii z Tasmanią, Nowej Zelandii i Antarktydy.

Część #A: Cele, powody i teza niniejszej strony:

#A1. Zamiast wstępu:

Dzisiejsza ateistyczna nauka upowszechniła wierzenie, że logiczne i poprawne są tylko wyniki ateistycznych badań bazujące na interpretacji istniejącego materiału dowodowego. Natomiast wszelkie wyniki dociekań bazujących na stwierdzeniach religii, czy na folklorze mówionym i mitach, stają się pozbawionymi logiki bajkami które są sprzeczne z otaczającą nas rzeczywistością. Niestety, kiedy ateistyczna nauka wyrabiała w sobie owo wierzenie, nie była opracowana jeszcze teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji. Tymczasem owa "teoria wszystkiego" wykazuje coś zupełnie odwrotnego. Mianowicie wykazuje ona że jeśli uwzględni się fakt istnienia wszechmogącego Boga który stworzył świat fizyczny i człowieka, wówczas musi się też pamiętać że ów Bóg posiada odmienny od ludzi sposób myślenia, własne cele do osiągnięcia, oraz unikalne dla siebie metody działania, których zbiorowa inteligencja dzisiejszych naukowców ciągle NIE jest w stanie wydedukować ani zrozumieć. (Co zresztą sam ów Bóg potwierdza w autoryzowanej przez siebie Biblii z pomocą słów: "Bo myśli moje nie są myślami waszymi ani wasze drogi moimi drogami. Bo jak niebiosa górują nad ziemią, tak drogi moje - nad waszymi drogami i myśli moje - nad myślami waszymi." - patrz Biblia, Księga Izajasza, 55:8-9.) Z kolei owe unikalne myślenie, cele i metody działania Boga powodują, że dla istotnych powodów Bóg "fabrykuje" materiał dowodowy i fakty którymi celowo "kusi" On i "egzaminuje" dzisiejszych naukowców - tak jak to wykazano na totalizycznej stronie evolution_pl.htm. Natomiast rzeczywistą prawdę o wszechświecie Bóg ukrywa właśnie w owych rzekomo błędnych i ignorowanych folklorystycznych opowiadaniach, mitach, oraz religijnych objawieniach. Dlatego niniejsza strona podejmuje jeden z takich właśnie folklorystyczno-religijnych tematów przez ateistyczną naukę uważanych za wysoce kontrowersyjne i godne jedynie ignorowania, oraz wykazuje na jego przykładzie że z punktu widzenia ustaleń Konceptu Dipolarnej Grawitacji analiza tego tematu prowadzi do logicznej i potwierdzalnej przez rzeczywistość prawdy. Tyle tylko że owa wynikająca z religii i mitów prawda jest całkowicie odmienna od tego co wmawia nam dzisiejsza ateistyczna nauka.

#A2. Cel tej strony:

Celem tej strony jest próba alternatywnego wyjaśnienia powodów i następstw wysoce niesprzyjających dla ludzi warunków naturalnych panujących na Antypodach.

(Wszakże dotychczas oficjalna nauka ziemską nawet NIE stara się wyjaśnić tych powodów i następstw, a jedynie wrzuca je do worka przypadkowych zbieżności klimatu, flory, fauny, tradycji, historii, itp.) Cel ten staram się osiągnąć głównie na przykładzie sytuacji Nowej Zelandii którą znam najlepiej, zaś na temat religijnych mitów której dostępne są dla mnie wymagane opisy. Niemniej większość opisanych tu faktów odnosi się do całych Antypodów.

Dodatkowym celem tej strony jest podjęcie próby naukowego ustalenia poziomu prawdy zawartej w mitach oryginalnej religii maoryskiej. Wszakże przez dzisiejszą ateistyczną naukę te religijne mity Maorysów są uważane za wytwory wybujałej wyobraźni które całkowicie mijają się z prawdą, a stąd naukowe badanie poziomu prawdy których jest uważane co najmniej za "kontrowersyjne". Przez zaś podjęcie takiej kontrowersyjnej tematyki chciałbym zainspirować czytelnika do przemyślenia tej tematyki i do odmiennego spojrzenia na poruszane nią sprawy.

#A3. Teza tej strony:

Motto: "Pewności ani przekonania NIE można dać innym w prezencie. Można za to wskazać innym miejsce w którym będą w stanie sobie je znaleźć."

Jeśli dokładniej przyglądać się procesom, zjawiskom, oraz faktom zarysowującym się na obszarach Ziemi określanymi wspólnym mianem "Antypody", wówczas daje się w nich wyróżnić dosyć intrygujący trend. Wygląda to tak, jakby życie ludzi na Antypodach opisywane było przez zupełnie odmiennie prawa natury niż życie ludzi w północnych regionach Ziemi. Prawa te na Antypodach zdają się bowiem być bardziej nastawione na wyniszczanie, wymazywanie, powstrzymywanie, itp. To z kolei inspiruje do zadawania pytań w rodzaju "czy intencje Boga w odniesieniu do Antypodów były takie same jak Jego intencje w stosunku do północnych regionów Ziemi?" Jeśli zaś Bóg miał tam inne intencje, to jakie one były (i są)? Niniejsza strona stara się więc przeegzaminować dokładniej tą sprawę.

Najłatwiej dokonać przeegzaminowania intencji Boga w odniesieniu do Antypodów, jeśli sformułuje się tezę roboczą na ten temat, potem zaś na łamach niniejszej strony przeanalizuje zasadność tej tezy na bazie materiału dowodowego który ją podpira. Oto więc owa teza robocza. "Bóg nie zamierzał zaludnić Antypodów ludźmi stworzonymi dla warunków północnej półkuli Ziemi, ponieważ warunki jakie tam stworzył są zbyt wyniszczające i zbyt degenerujące dla mieszkańców północy, a stąd warunki te uniemożliwiają wypracowanie postępu i lepszej przyszłości dla tych ludzi północy którzy mimo wszystko odważyliby się tam osiedlić."

Stawiając tutaj ową tezę niniejszej strony, zaś w dalszej części strony prezentując materiał dowodowy który podpira prawdziwość tej tezy, wcale NIE mam zamiaru nikogo tutaj przekonywać że teza ta jest absolutną prawdą. Wszakże w tak istotnych jak ona sprawach każdy musi sam dokonać wyboru czy uważa ją za absolutną prawdę, za odległe prawdopodobieństwo, czy też za zupełną niemożliwość. Ja jedynie prezentuję tutaj argumenty, zaś czytelnik musi sam zdecydować co o nich sądzi.

Oczywiście gdyby teza ta uznana została przez kogoś za poprawną, wówczas miałyby to określone następstwa dla owej osoby. Przykładowo, na obszarach które sam Bóg zdefiniował jako nieprzydatne do trwałego zamieszkania przez ludzi północy, byłoby wysoce niebezpiecznie osiedlać się na stałe za młodu i przywiązywać przyszłość swego potomstwa do owych obszarów. Jedyne bowiem do czego obszary takie się nadają, to albo jednorazowe odwiedziny turystyczne, albo też przeniesienie się tam na ostatni etap swego życia (emeryturę) - kiedy to i tak NIE ma się już żadnej przyszłości przed sobą którą wrogie ludziom trendy i prawa owego obszaru mogłyby zniszczyć.

Część #B: Bóg najwyraźniej początkowo wcale nie zamierzał ani stwarzać Nowej Zelandii, ani zaludnić Antypodów:

#B1. Wymowa materiału dowodowego definiującego stanowisko Boga w sprawie stworzenia i zaludnienia Nowej Zelandii, oraz dlaczego Bóg najwyraźniej zmienił to stanowisko:

Życie w ogólności, zaś życie ludzkie w szczególności, są uzależnione od zaistnienia szokująco wąskiego poziomu parametrów. (Temat zakresu tych parametrów omawiam szerzej w punkcie #E5 totalizycznej strony god_proof_pl.htm.) Dowodami ilustrującymi jak ogromne znaczenie dla życia ma precyzyjne utrzymywanie wymaganego zakresu parametrów, są dzisiejsze problemy zdrowotne i reprodukcyjne powodowane już przez niewielkie poziomy zanieczyszczeń, przez chemiczne skażenie otoczenia, przez pestycydy, przez antybiotyki, itd., itp.

Jeśli porówna się naturalne warunki środowiskowe panujące na północnej i południowej półkuli Ziemi, wówczas nie trzeba być nawet naukowcem aby odnotować, że owe warunki różnią się dosyć znacząco. Wszakże na południowej półkuli Ziemi panuje odmienny biegun magnetyczny, jest ona wystawiona na odmienne oddziaływania grawitacyjne planet i Księżyca, docierają do niej inne rodzaje promieniowania kosmicznego i słonecznego, wiele substancji (np. ozon z atmosfery) zachowuje się zupełnie inaczej niż na półkuli północnej, itd., itp. Odmienność owych warunków naturalnych z półkuli południowej Ziemi daje się zresztą odnotować nawet w sposób wzrokowy. Przykładowo, w Nowej Zelandii woda paruje znacznie szybciej niż w Europie, wiry na wodzie rotują w odwrotnym kierunku, mikroorganizmy zachowują się inaczej - stąd np. sery i yorghuty smakują tam inaczej niż w Europie, drzewa rosną około 5 razy szybciej niż drzewa europejskie, lokalnie urodzeni ludzie są bardziej muskularni, w społeczeństwie dają się odnotować odmienne trendy i skłonności, itd., itp. Innymi słowy, ponieważ życie jest tak wysoko uzależnione od wąskich parametrów, na Antypodach owe parametry są na tyle odmienne od tych panujących na półkuli północnej Ziemi, że z całą pewnością długoterminowo wpływają one zasadniczo na żyjących tam ludzi. Obserwując też rodzaj wpływu jakie owe odmienne parametry mają na ludzi, już na podstawie dotychczasowych obserwacji daje się odnotować, że dla ludzi stworzonych dla życia na północnej półkuli Ziemi wpływ ten jest wysoce niekorzystny i wyniszczający.

Jeśli nawet dla niedoskonałego umysłu ludzkiego od razu narzuca się prawda, że warunki naturalne panujące na Antypodach są wysoce niekorzystne dla ludzi stworzonych przez Boga do życia na północnej półkuli Ziemi, sam Bóg o owym fakcie z całą pewnością wiedział znacznie wcześniej i lepiej. Stąd jest niemal pewnym że ów Bóg początkowo wcale nie planował zaludniania Antypodów. Przez długi czas Bóg nawet nie stworzył Nowej Zelandii. Nie dał też ziemiom z Antypodów niemal niczego nadającego się do jedzenia przez ludzi. Najwyraźniej jednak z czasem Bóg odnotował że wbrew jego zamiarom ludzie w północnej półkuli ciągle przenoszą się do Antypodów. Ponadto, z upływem czasu Bóg również eksperymentalnie się przekonał, że trudne warunki życiowe oraz twarda szkoła życia wpływają korzystnie na charakter ludzi - co ja staram się wyjaśnić szerzej w punkcie #A3 totalizycznej strony god_proof_pl.htm oraz w punkcie #B5.1 totalizycznej strony will_pl.htm. Istniejący materiał dowodowy ujawnia więc że w jakiś czas później Bóg zmienił swe zdanie co do potrzeby zaludnienia Antypodów. Wszystko wskazuje na to że Bóg zdecydował się wówczas na dokonanie eksperymentu na Antypodach, poprzez stworzenie specjalnego ładu obecnie zwanego Nowa Zelandia, przystosowanego do osiedlenia na nim ludzi, oraz stworzenia ras ludzkich specjalnie dostosowanych do życia w trudnych warunkach Antypodów.

Dzięki eksperymentowi Boga ze stworzeniem Nowej Zelandii i zaludnieniem jej najpierw przez rasę "Moriari", potem zaś przez rasę "Maori" (tj. "Maorysów"), mamy obecnie unikalną możliwość badawczą. Wszakże aż do około lat 1840-tych Nowa Zelandia i Maorysi pozostawali zupełnie odcięci od świata. Stąd ich oryginalna religia oraz mity nie zostały jeszcze zapomniane ani skażone wpływami religii i mitów z reszty świata. Mając więc obecnie do naszej dyspozycji tak wspaniałą teorię naukową jak Koncept Dipolarnej Grawitacji możemy już przebadać poziom prawdy zawartej w owych mitach, szczególnie zaś przebadać tezę wyrażoną w punkcie #C6 totalizycznej strony internetowej o nazwie prawda.htm, a stwierdzającą że we wszystkie religie świata Bóg wpisał dokładnie te same

absolutne prawdy, tyle że w każdej z owych religii prawdy te Bóg wyraził innymi słowami oraz położył nacisk na nieco odmienne ich aspekty.

#B2. Interesujące okoliczności stworzenia Nowej Zelandii:

Jedną z istotnych zasad postępowania którymi Bóg się kieruje we wszelkich swych działaniach dotyczących ludzi, jest zasada że zawsze musi istnieć droga która zaprowadzi tych co szukają prawdy do poznania tejże prawdy. W przypadku stworzenia przez Boga świata fizycznego, Ziemi, oraz człowieka, owa "droga do prawdy" uzyskała formę różnych pism świętych, w rodzaju Biblii czy świętych skryptów hinduizmu, które Bóg dał ludziom aby te ujawniły im wytyczne jak ludzie ci mogą dotrzeć do prawdy. Podążając ową drogą, możliwe więc było dokonanie ustaleń zaprezentowanych np. na totalizycznej stronie internetowej [evolution_pl.htm](#).

W początkowej fazie tworzenia Bóg najwyraźniej NIE zamierzał zaludnić Antypodów - tak jak stwierdza top teza niniejszej strony. Z tego powodu nie dana też została ludziom owa "droga do prawdy" na temat lądów i ziem leżących na Antypodach. Jednak kiedy ludzie zaludnili istniejące kontynenty z północnej półkuli Ziemi, niektóre grupy ludzi zaczęły stopniowo przenosić się do Antypodów. Widząc tą tendencję, najwyraźniej Bóg zdecydował się dokonać eksperyment stworzenia zupełnie nowych ras ludzkich (tj. Moriori i Maori) - które to rasy Bóg zamierzał dostosować do życia w ogromnie trudnych i wymagających warunkach Antypodów. Aby dać owym rasom zupełnie unikalne warunki do życia, Bóg postanowił wówczas stworzyć też i nowy ląd, którym jest obecna Nowa Zelandia. Aby zaś przy tym stwarzaniu zupełnie nowego lądu udostępnić ludziom "drogę do prawdy", Bóg postanowił stworzyć Nową Zelandię dosłownie na oczach całego szeregu świadków.

Było to już w czasach kiedy ludy północnej półkuli Ziemi miały już swoje państwa i narody, takie jak Egipt, Grecja, Indie, czy Chiny. W pobliżu Nowej Zelandii, czyli prawdopodobnie w Australii lub Tasmanii, żył wówczas dosyć niezwykły człowiek zwany "Maui". Został on zamodelowany na podobną osobę która w kulturach Europy znana jest pod nazwą "Herkulesa". (Jest też możliwe iż oboje oni byli owymi "cielesnymi reprezentacjami Boga" opisywanymi w punkcie #B12 strony [god_pl.htm](#).) W podobny sposób jak ów "Herkules", także ten "Maui" był większego niż normalnie wzrostu, oraz nietypowej u ludzi siły. To on i jego bracia wybrani zostali przez Boga na naocznych świadków stworzenia Nowej Zelandii. Kiedy więc z grupą swoich braci i kompanów ów Maui wybrał się łodzią na ryby, po zarzuceniu wędki Bóg spowodował że zamiast ryby jego hak zaczepił się o nowy ląd. Stąd kiedy wyciągał swoją wędkę z wody, ku szokowi jego towarzyszy - a zapewne i jego samego, Bóg spowodował iż wyglądało to jakby ów Maui faktycznie złowił i wyciągnął z wody na powierzchnię morza ogromny nowy ląd. Ląd ten obecnie zwany jest "Nowa Zelandia". Naoczni świadkowie owego stworzenia Nowej Zelandii przekazywali potem dalszym pokoleniom tamtą historię niedawnego pojawienia się Nowej Zelandii na powierzchni naszej planety.

#B3. Podobnie jak reszta Antypodów, Nowa Zelandia ma równie wrogie człowiekowi warunki, tyle że ma pod dostatkiem wody:

Stwarzając Nową Zelandię dla przeprowadzenia swego eksperymentu z rasą ludzi która będzie w stanie żyć na Antypodach (tj. z Maorysami), Bóg nadał nowemu lądowi wszystkie te same cechy które charakteryzują resztę Antypodów. Znacząco stworzył ten ląd jako wrogie człowiekowi, pozbawiony żywności, z nieco odmiennymi prawami natury niż prawa panujące na północnej półkuli Ziemi, itp. - po szczegóły patrz "część #C" tej strony. Jedyne co Bóg dodatkowo dał Nowej Zelandii w porównaniu z tym co istnieje np. w Australii, to dostatek wody.

#B4. W głebę, skały i naturę Nowej Zelandii Bóg również zakodował materiał dowodowy że jej wyspy wynurzyły się z morza:

Na poparcie raportu mówionego od Maui i od jego towarzyszy, że Nowa Zelandia faktycznie wynurzyła się z morza, Bóg wpisał również w głebę, skały, oraz naturę Nowej Zelandii najróżniejsze rodzaje materiału dowodowego który dokumentuje owo wynurzenie

się z morza. Niektóre przykłady tego materiału dowodowego omawiane są w punktach #C1 i #C2 z totalizycznej strony internetowej newzealand_pl.htm.

Część #C: Każdy kontynent i ląd stworzony dla zasiedlenia przez ludzi Bóg od początku odpowiednio przygotował - jednak Antypody NIE zostały przygotowane do zasiedlenia przez ludzi:

#C1. Brak na Antypodach roślin rodzących owoce jadalne:

Zgodnie z Biblią (która wszakże została autoryzowana przez samego Boga), jadalne owoce są jednym z podstawowych darów które Bóg przygotował dla ludzi na lądach na których rasa ludzka ma żyć, rozmnażać się, rozwijać, zaś cywilizacja ludzka ma tam kwitnąć. To dlatego jadalne owoce i jagody oryginalnie istniały nawet w tak zdawałoby się nieprzyjaznych dla ludzi miejscach jak Syberia czy Alaska. Jednym z bardziej wymownych przykładów, jak umiejętnie Bóg potrafił zadbać o dobro ludzi w miejscach w których życzy sobie widzieć ludzkie osadnictwo, jest użyteczność świętego orzecha kokosowego opisywanego w punkcie #D1 ze strony internetowej fruit_pl.htm - o tropikalnych owocach strefy Pacyfiku oraz o filozofii ich zjadania. Orzech ten rośnie na piaszczystych wyspach koralowych otoczonych wyłącznie niezdatnymi do picia, zasolonymi wodami oceanicznymi, na których brak nawet źródeł wody pitnej. Zaspokajają on tam praktycznie wszystkie potrzeby miejscowej ludności, dostarczając im nawet wody do picia. Tymczasem omawiane tutaj Antypody oryginalnie NIE otrzymały od Boga żadnych jadalnych owoców. Faktycznie przed przybyciem do Antypodów pierwszych Europejskich osadników NIE było w Nowej Zelandii nawet najmizerniejszego jadalnego owocu. Nawet najmizerniejszego jadalnego owocu NIE było też oryginalnie w całych Antypodach, a więc ani w Australii, ani w Nowej Zelandii, ani w Tasmanii, ani oczywiście na Antarktydzie. Praktycznie oryginalnie NIE było tam niemal nic do jedzenia. Wszystko co jadalnego wyrasta tam obecnie, przywieźli do Nowej Zelandii dopiero pierwsi europejscy osadnicy jacy zaczęli zasiedlać ów kraj począwszy dopiero od około 1840 roku.

#C2. Oryginalna dostępność na Antypodach tylko rodzajów żywności które uważane są jako "ostatni ratunek" (korzenie, skorupiaki, owady, itp.):

Jeśli przeanalizować co poprzednie cywilizacje osiadłe w Nowej Zelandii miały tam dostępnego do jedzenia, okazuje się że tylko to co dzisiejsi ludzie uważają za tzw. pożywienie "ostatniego ratunku". Przykładowo, jeśli ktoś zaginie w dziczy i nie ma już nic do jedzenia, wówczas znawcy przedmiotu radzą aby zjadać owo pożywienie "ostatniego ratunku". Należą do niego glizdy, robaki (np. przysmak Maorysów, czyli duże jak palce pędraki huhu - tj. "huhu grubs"), korzenie, jaszczurki, skorupiaki, ptaki morskie, itp. (w tym ludzkie mięso - patrz punkt #K1). Faktycznie też jeśli się przeanalizuje co zmuszone były zjadać poprzednie cywilizacje osiadłe w Nowej Zelandii czy w Australii, wówczas okazuje się że były to właśnie takie rodzaje pożywienia "ostatniego ratunku". Nic dziwnego że wszystkie owe poprzednie cywilizacje do dzisiaj już poupadły lub pozanikały.

Część #D: Jak Bóg stworzył Maorysów - czyli rasę ludzi specjalnie dostosowaną do życia w trudnych warunkach Antypodów:

#D1. "Standardowa procedura" używana przez Boga przy tworzeniu kolejnych ras ludzi:

Każda rasa ludzka ma nieco odmienny system genetyczny, nieco odmienną charakterystykę i cechy osobowościowe, jest dostosowana do nieco odmiennego trybu życia oraz innych warunków środowiskowych, itd., itp. Kiedy więc Bóg stwarzał ludzkość, wówczas każdą rasę ludzi musiał stwarzać oddzielnie. W ten sposób każdej rasie mógł nadać wymagane dla niej cechy. Ten fakt odrębnego stwarzania każdej rasy ludzkiej jest zresztą potwierdzany odmiennością opisu jej pochodzenia w oryginalnej religii danej rasy. Wszakże dla każdej rasy ludzi, jej religia podaje specyficzną dla niej historię stworzenia.

Owa historia stworzenia jest nieco inna np. dla starożytnych Greków i Rzymian, zaś inna dla starożytnych Egipcjan. Inna jest też dla rodzimych ludów Izraela, Indii, Chin, czy Nowej Zelandii, a jeszcze inna dla Wikingów czy Słowian. Tak się składa, że obecnie wszyscy za historię stworzenia ludzi przyjmujemy tylko ową historię opisaną w Biblii (która opisuje stworzenie pary pierwszych Izraelitów w wehikule kosmicznym zwanym "Raj" i podobnym do magnokraftu typu K7 - po szczegóły patrz podrozdział P6.1 z tomu 14 mojej najnowszej monografii [1/5]). Nie bierzemy przy tym pod uwagę, że owa Biblia wyraźnie stwierdza iż opisuje sobą historię stworzenia jedynie pierwszej pary ludzi z rasy żydowskiej. Inne zaś rasy ludzi były tworzone na nieco odmienne sposoby i w odmiennych czasach. Opisy stworzenia owych innych ras ludzi zawarte są w ich rodzimych religiach.

Oczywiście, stwarzając po kolei aż cały szereg ras ludzi, Bóg wypracował sobie coś, co możnaby nazwać "generalną procedurą tworzenia nowej rasy ludzi". Procedura ta dla każdej rasy ma kilka wspólnych etapów, jakich odzwierciedlenie zawarte jest w oryginalnych religiach poszczególnych ras. Najważniejsze z owych wspólnych etapów każdej procedury tworzenia nowej rasy ludzi to: (1) tworzenie ciała, (2) wtchnięcie duszy, (3) nauka w raju, (4) wypędzenie na Ziemię. Opiszmy więc teraz esencję każdego z owych etapów. Oto one:

Ad (1): Tworzenie ciała. Wszystko w naszym świecie fizycznym, a więc również ciało każdego z ludzi, jest utworzone z substancji zwanej "przeciw-materia". Substancja ta nosi cechy płynnego komputera, tzn. zawiera w sobie hierarchiczny system programów (czyli tzw. "duszę") który definiuje zarówno kształt w jaki się ta substancja układa, jak i jej zachowanie. To dlatego prawdą jest stwierdzenie że "wszystko w naszym wszechświecie jest tylko jedną z wielu możliwych manifestacji zawsze tej samej 'przeciw-materii' ". Dokładniejsze opisy sposobu formowania obiektów naszego świata fizycznego z owej "przeciw-materii" zawarte zostały w punktach #I2 do #I4 totalizycznej strony dipolar_gravity_pl.htm. Aby więc stworzyć ciało człowieka, Bóg potrzebował jedynie "sporządzić program który układał ową 'przeciw-materię' na kształt człowieka". Oczywiście, jeśli owo formowanie kształtu człowieka z przeciw-materii ktoś usiłowałby opisać z użyciem ograniczonego słownictwa pierwszych ludzi, wówczas najprościej i najdokładniej by to wyraził słowami że "Bóg 'ulepił' człowieka z 'przeciw-materii' ". Ponieważ zaś pierwszym ludziom NIE było również znane słowo opisujące ową "przeciw-materię", stąd do jej opisania pierwotne ludy używały nazwy najpowszechniej znanej im substancji z której daje się "ulepić" kształt człowieka, a która zawiera ową "przeciw-materię" - czyli "gliny", "ziemi", "piasku", itp. Z tego powodu praktycznie niemal każda pierwotna religia świata twierdzi że "Bóg 'ulepił' ciało człowieka z 'gliny' "(albo z 'ziemi', 'piasku', itp.). Przykładowo religia starożytnych Greków stwierdza, że pierwsza kobieta świata, tzw. "Pandora" została ulepiona z gliny przez boga Hefajstosa, zaś życie w nią tchnęła bogini Atena.

Ad (2): Wtchnięcie duszy. "Standardowa procedura tworzenia" człowieka z praktycznie każdej pierwotnej i pełnej religii świata, zawiera w sobie też informację o następnym "wtchnięciu duszy" w już istniejące ciało pierwszego człowieka. Zgodnie z opisami w punktach #C1 i #C2 totalizycznej strony soul_proof_pl.htm, dusza jest to rodzaj "naturalnego programu" który musi zostać "załadowany" do "przeciw-materii" formującej ciało istot żyjących aby powołać to ciało do życia - podobnie jak software z dzisiejszych komputerów musi zostać "załadowane" do hardware owych komputerów aby umożliwić im działanie. W prymitywnych językach starożytności sam proces "załadowywania" w coś programu daje się opisać jako "wtchnięcie" tego programu. To dlatego dla opisanie owego ogromnie istotnego procesu załadowywania "programu duszy" do ciała, w praktycznie wszystkich pierwotnych religiach świata użyte jest wyrażenie "wtchnięcie duszy" albo "wtchnięcie życia". Owo wysoce ilustracyjne wyrażenie zawarte jest w nawet tak "egzotycznej" religii jak pierwotna religia Chińczyków z okolic "Żółtej Rzeki" w Chinach. Przykładowo na stronie 21 książki [1#D1] "The Book of Beginnings" (Time-Life Books, Amsterdam, 1986, ISBN 7054-0896-5), stworzenie pierwszych Chińczyków opisane zostało w następujący sposób: "... bogini Nu Kua dała Ziemi jej pierwszych mieszkańców. Ulepiła ich ciała z gliny, tchnęła w nich życie, oraz nauczyła ich jak mają się rozmnażać". Z kolei na stronie 19 tej samej książki [1#D1] owo "wtchnięcie w nich życia" opisane jest

następującymi słowami: "Położyła ciało na ziemi i wtchnęła w nie chmurkę ciepłego, niebiańskiego kadzidła". (W oryginale angielskojęzycznym - p. 21: "... goddess Nu Kua gave earth its first human inhabitants. She sculptured their bodies from clay, infused with life, and taught them how to love."; p. 19: "She placed the body on the ground and breathed a cloud of warm, heavenly incense over it"). Potem inny bóg chiński o nazwisku Fu Hsi nauczył ludzi wszystkiego co im potrzebne do przeżycia, a więc np. wykonywania sieci i łowienia ryb, zapalania ognia, grania na instrumentach muzycznych, oraz pisma.

Ad (3): Nauka w raju. Po stworzeniu i ożywieniu pierwszych ludzi danej rasy, Bóg zawsze umieszczał ich w rodzaju "szkoły życia" (w chrześcijaństwie szkoła ta nazywana jest "Raj"). Tam bez wkładania w to żadnego wysiłku ludzie otrzymywali od Boga wszystko co im było potrzebne do życia, zaś Bóg uczył ich najważniejszych umiejętności życiowych, oraz wykladał im ich pierwotną religię. W skład owej nauki i pierwotnej religii każdej rasy wchodziła też wiedza o powstaniu wszechświata, a także wiedza o procesie stworzenia danej rasy ludzi. To właśnie dlatego daje się formalnie wykazać, że we wszystkie religie świata Bóg wpisał te same zasadnicze prawdy, tyle że w każdej religii prawdy te wyraził odmiennymi słowami i przykładami - po opisy owego wzajemnego podobieństwa prawd i wiedzy zawartej we wszystkich religiach świata patrz punkt #C6 z totalizycznej strony prawda.htm. W owej "szkole życia" (tj. w "raju") Bóg bezpośrednio i cielesnie obcował z pierwszymi ludźmi danej rasy. W tym celu tymczasowo Bóg stwarzał dla siebie samego swoje własne "cielesne reprezentacje" - czyli ciała podobne z wyglądu do ciał ludzi danej rasy. (Zasady i procedura owego tymczasowego tworzenia "cielesnych reprezentacji Boga" albo "wcieleń Boga", opisane są w punktach #B12, #B11, oraz #B13 ze strony Bóg.) Jednak owe "cielesne reprezentacje Boga" czy "wcielenia Boga" wcale nie otrzymywały tzw. "wolnej woli" (tak jak "wolną wolę" podejmowania dowolnych decyzji i realizowania dowolnego postępowania otrzymują od Boga ludzie), a ich umysły były bezpośrednio podłączone do umysłu Boga. Innymi słowy, owe "cielesne reprezentacje Boga" czyniły dokładnie to co umysł Boga nakazywał im uczynić. Dzięki ich wprowadzeniu, owi edukowani w "raju" pierwsi ludzie fizycznie obcowali z tymczasowo stworzonymi "cielesnymi reprezentacjami Boga" - myślenie, wiedza i możliwości których to reprezentacji faktycznie pokrywały się z boskim myśleniem, wiedzą i możliwościami. Aby móc ilustratywnie demonstrować pierwszym ludziom nie tylko wiedzę na temat przeżycia, ale również wiedzę moralną, mądrości życiowe, niebezpieczeństwa, poczucie odpowiedzialności, tradycje, itp., w owej "szkole życia" z "raju" Bóg zawsze przyjmował co najmniej dwie wzajemnie do siebie przeciwstawne "cielesne reprezentacje". Ponieważ zasada na jakiej działa umysł Boga nadaje Mu zdolności do wykonywania niezliczonej ilości działań równocześnie, Bóg mógł z łatwością przyjmować równocześnie więcej niż jedną taką swoją "reprezentację cielesną". (Ową zdolność Boga do działania w sposób podobny jak działają dzisiejsze "multiprocessorowe komputery", czyli do jednoczesnego wykonywania niezliczonej ilości odmiennych działań, opisuję dokładniej w (3) z punktu #C6 powyższej totalizycznej strony prawda.htm.) Z tamtych co najmniej dwóch przeciwstawnych "reprezentacji cielesnych", które Bóg zawsze przyjmował w owej "szkole życia" (czyli w "raju"), co najmniej jedna zawsze ilustrowała ludziom czym jest "dobro", druga zaś lub inne reprezentacje zawsze ilustrowały ludziom czym jest "zło". W swoich pierwszych procesach tworzenia ludzi, tj. kiedy Bóg tworzył rasy oraz religie starożytnych Egipcjan, Greków, Indian, Chińczyków, itp., Bóg przyjmował dużą liczbę owych swoich "cielesnych reprezentacji", każdą z nich wyposażając w odmienną osobowość, przywary, zwyczaje, słabości, itp. Jednak w późniejszych procedurach tworzenia np. Izraelitów czy nowozelandzkich Maorysów, ograniczył już liczbę swoich "cielesnych reprezentacji" do jedynie dwóch zasadniczych. Oczywiście, wszystkie owe "reprezentacje cielesne Boga", tj. zarówno te co ilustrowały "dobro" jak i te co ilustrowały ludziom "zło", zawsze były podłączone do tego samego nadrzędnego umysłu Boga. Tyle że każda z nich otrzymała niezależnie działające ciało i każda otrzymała od Boga odmienna osobowość. O postępowaniach wszystkich z nich zawsze też decydował jeden i ten sam nadrzędny umysł Boga. W mitologii opisującej hebrajski "raj", owe dwie przeciwstawne osobowości przyjmowane przez "cielesne reprezentacje Boga" nazywane były "Mesjasz" oraz "Serpent"

(ów "Serpent" później nazwany został "Szatanem") - po szczegóły patrz książka [2#D1] pióra Roberta Gravez i Raphaela Patai zatytułowana "Mity Hebrajskie" (Cykady, 1993, Warszawa), opis hebrajskiego "raju" z której podsumowany też został na stronie 152 książki [3#D1] pióra Andrzeja Olszewskiego "Boski Gwałt" (Warszawa 1996, ISBN 83-900944-1-X). Natomiast w maoryskiej mitologii owe dwie przeciwstawne reprezentacje Boga były zwane "Tane" oraz "Uenuku". Dzięki nim, w procedurze stworzenia z każdej pierwotnej religii na Ziemi, pierwsi ludzie bezpośrednio doświadczali zarówno pomagającą im i przyjazną dla nich osobowość "Mesjasza", jak i wrogą im oraz zwodniczą osobowość "Serpenta" (zwanego też "Szatanem"). Obie te osobowości rozwijały w ludziach m.in. tradycje, a także zrozumienie dla pochodzenia oraz dla mechanizmów konkretnych zdarzeń. Przykładowo, w "raju" każdej rasy ludzkiej udzielane też były lekcje które uczyły pierwszych ludzi że kobiety są źródłem i przyczyną dla wielu nieszczęść. W przypadku "raju" dla hebrajskiej rasy lekcją tą było zdarzenie z "jabłkiem zjedzonym przez Ewę". W "raju" dla starożytnych Greków, lekcją tą była tzw. "Puszka Pandory". (po angielsku "Pandora's Box"). Natomiast w "raju" nowozelandzkich Maorysów, lekcją tą były mity i tradycje, że pierwsza kobieta stała się źródłem lez, bólu, chorób, itp.

Ad (4): Wypędzenie na Ziemię. Po zakończeniu edukowania owych pierwszych ludzi, Bóg znajdował jakiś pretekst aby "wypędzić ich z raju" i umożliwić im faktyczne życie na uprzednio dla nich przygotowanej Ziemi. Oczywiście, zmuszony był to czynić siłą i jakimś "trick'em", bowiem ludziom było zbyt dobrze w "raju" aby stamtąd dobrowolnie się wyprowadzili. W owym "wypędzeniu z raju" Bóg zawsze standardowo posługiwał się jakoś swoją osobowością reprezentującą "zło" (np. "Serpentem" czy "Szatanem" z religii chrześcijańskiej, albo "Uenuku" z religii Maorysów).

#D2. Dlaczego potwierdzenie użycia "standardowej procedury" podczas stwarzania Maorysów przez Boga jest dla nas aż tak istotne:

Naukowa teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji wyjaśnia nam dokładnie czym jest Bóg. Zgodnie z tym wyjaśnieniem, podobnie jak dzisiejsze komputery, Bóg jest zestawieniem trzech składowych, z których ta myśląca składowa to ogromny naturalny program przez chrześcijaństwo zwany "Duchem Świętym" jaki sam się wyewoluował w myślącej substancji zwanej "przeciw-materia". (Owa "przeciw-materia" to naturalna substancja posiadająca cechy płynnego hardware komputerowego jaka egzystuje w odrębnym świecie zwanym "przeciw-światem" - po szczegóły patrz punkt #C2 na totalizycznej stronie god_proof_pl.htm lub punkt #I2 na totalizycznej stronie dipolar_gravity_pl.htm.) Będąc zaś takim ogromnym naturalnym programem, owa softwarowa składowa Boga lubuje się w ustanawianiu na wszystko standardowych "procedur softwarowych", oraz w następnym realizowaniu tych procedur. Przykładowo, takimi właśnie "standardowymi procedurami postępowania" Boga są wszelkie zjawiska natury, energia, ciepło, tarcie, tzw. "prawa natury", "prawa moralne", każda religia, a także opisywana w poprzednim punkcie procedura tworzenia przez Boga kolejnych ras ludzi.

Dzisiejsi ateistyczni naukowcy, a za nimi także pozostali ludzie, chronicznie przeaczą istnienie owych "softwarowych procedur" ustanowionych w rozumowy sposób i potem jedynie przestrzeganych przez Boga z żelazną konsekwencją. Uważają oni że wszechświat ma wszystko "odrutowane hardwarowo" na stałe, że żadnych praw NIE daje się już zmienić, oraz że nic NIE zostało zaprojektowane rozumowo i wprowadzone do działania tylko ponieważ Bóg wydedukował że tego zaistnienie wspiera Jego cele i zasady działania. Z tego też powodu relatywnie niedawne stworzenie przez Boga zarówno Nowej Zelandii jak i Maorysów posiada dla nas ogromne znaczenie poznawcze. Pozwala ono bowiem na naukowe potwierdzenie że owe "softwarowe procedury" postępowania Boga faktycznie istnieją. Z kolei potwierdzenie istnienia owych procedur wprowadza wprost rewolucyjne następstwa dla naszego zrozumienia mechanizmów wszechświata. Wszakże potwierdza nam ono również że "wszystkie religie świata wyrażają te same podstawowe prawdy, tyle że każda z nich czyni to innymi słowami i na innych przykładach". W ten sposób potwierdza to także, że ateistyczna droga poznania podążana przez dzisiejszych naukowców a bazująca na analizie materiału dowodowego i faktów wcale nie prowadzi do

prawdy, ponieważ ów materiał dowodowy i fakty są celowo "fabrykowane" przez inteligentnego Boga aby pozwolić mu osiągać jego boskie cele - po więcej szczegółów na ten temat patrz totaliztyczna strona evolution_pl.htm.

#D3. Kiedy i jak Bóg stworzył Maorysów:

Rasę nowozelandzkich Maorysów Bóg stworzył relatywnie niedawno, bo nie dawniej niż dopiero jakieś 800 lat temu, a prawdopodobnie nawet jeszcze później. (Np. na stronie 6 książki [1#D3] pióra J.M. Mc Ewen, "Rangitana. A Tribal History", Reed Methuen, Auckland, 1986, ISBN 0-474-00030-3, można znaleźć informację, cytując: "Owe setki...(Maoryskich)... genealogii które mam w swoim posiadaniu wykazują dosyć powtarzalnie że ten naród istniał przez około 23 generacji przed rokiem 1900." - w oryginale angielskojęzycznym: "Some hundreds of...(Maori)... genealogies in my possession show pretty consistently that this Whatonga lived about 23 generations prior to the year 1900." - po więcej szczegółów patrz punkt #D3 z totaliztycznej strony o nazwie "newzealand_visit_pl.htm".) Niemniej podczas tworzenia Maorysów Bóg ciągle używał swojej "standardowej procedury tworzenia ludzi" którą opisałem uprzednio, a którą Bóg wypracował już dla pierwszych ras ludzkich jakie stworzył jakieś 6000 lat temu (po informację skąd znamy datę stworzenia przez Boga świata fizycznego i pierwszych ludzi - patrz podrozdział JA1.3 w monografii [8/2]). Prześledźmy więc teraz z mitów oryginalnej maoryskiej religii, jak Bóg dokonał tego stworzenia rasy Maorysów.

Ponieważ Bóg zamierzał osiedlić Maorysów na ogromnie wrogich ludziom Antypodach, ów "raj" dla Maorysów Bóg stworzył w formie "latającej wyspy" na której odtworzył florę i faunę podobną do flory i fauny jaką Maorysi mieli używać w Nowej Zelandii. Przykładowo, w owym Maoryskim "raju" w stanie naturalnym rosły "kumara". ("Kumara" jest to rodzaj słodkich ziemniaków uprawianych potem przez Maorysów w Nowej Zelandii.) Temu Maoryskiemu rajowi Bóg nadał nazwę "Hawaiki". Dla samego siebie Bóg przygotował tam dwie "cielesne reprezentacje" w postaci ciał dwóch Maoryskich mężczyzn. Na czas obcowania z ludźmi w owej Hawaiki, jednemu (reprezentującemu "zło") z obu ciał do których podłączył swój umysł Bóg nadał nazwisko "Uenuku". To dlatego legendy Maoryskie podają że ów "Uenuku" był "atua" - czyli Bogiem, a także wielkim "rangatira" - czyli właścicielem Hawaiki. Drugiemu zaś swemu ciału - temu które reprezentowało "dobro", Bóg nadał nazwę "Tane". Jak podają to legendy maoryskie, następnie z "piasku" owej Hawaiki (tj. z "przeciw-materii") Bóg uformował ciało pierwszej maoryskiej kobiety. Potem tchnął w nią duszę, tak że ta pierwsza kobieta Maoryska stała się żywa. Ta pierwsza Maoryska otrzymała imię "Hine-ahu-one", co znaczy "kobieta-ukształtowana-z-ziemi" (jej opis zawarty jest też w punkcie #C6 totaliztycznej strony prawda.htm). Ponieważ Bóg miał już wówczas ciało mężczyzny, aby rozmnożyć lud Maorysów po prostu Bóg utrzymywał stosunki seksualne z ową pierwszą kobietą, ta zaś urodziła mu liczne dzieci. Ich potomstwo uformowało nową rasę Maorysów. Podczas uczenia życia tychże Maorysów Bóg zmuszony był przygotowywać ich do twardych realiów Antypodów. W tym celu charakter i osobowość które nadał owemu "Uenuku" były ogromnie dzikie, gwałtowne, gniewne i nieprzyjazne dla mieszkańców Hawaiki. Stąd Maorysi uczyli się od niego na Hawaiki jak żyć w ogromnie im nieprzyjaznych warunkach. Kiedy edukacja się skończyła, Bóg "wyganiał" poszczególne rodziny Maorysów z "Hawaiki". Pretekstem dla ich wygonienia z tamtejszego "raju", zwykle była jakaś kłótnia i wrogość którą ów Uenuku wszczynał z daną rodziną maoryską. Ponieważ wszyscy mieszkańcy Hawaiki wiedzieli, że z Uenuku nikt z nich nie wygra, kiedy ten zaczynał prześladować daną rodzinę, rodzina owa nie miała innego wyjścia niż wsiadać do swej łodzi i uciekać z Hawaiki do Nowej Zelandii. Aby ułatwić im ową "ucieczkę", Bóg zakotwiczył ową "latającą wyspę" zwaną "Hawaiki" we wzrokowej bliskości do brzegów Nowej Zelandii (wszakże softwarowa tzw. "przestrzeń czasowa" umożliwia łatwe dokonywanie tego typu zakotwiczenia). Faktycznie to w owym czasie z Hawaiki można było oglądać brzegi Nowej Zelandii gołymi oczami. Nieco informacji o zasadach owego zakotwiczenia wyspy Hawaiki tuż koło Nowej Zelandii daje nam moja własna przygoda z odwiedzeniem w Warszawie kościoła który faktycznie istnieje w Świętej Lipce (tj. około 200 km od Warszawy) - wydarzenie to opisałem w punkcie #D6.1 z totaliztycznej strony

timevehicle_pl.htm.

Istnieje materiał dowodowy który potwierdza że w chwili "wypędzania" Maorysów z ich raju, latająca wyspa Hawaiki była zakotwiczona w morzu w odległości wzrokowej od brzegów Nowej Zelandii. Dowodami tymi są trzy małe skały wystające z morza, po angielsku zwane "Volker Rocks" (Maorysi nazywają je "Paepae-Aotea") - które istnieją w morzu w pobliżu "White Island" z południowej "Bay of Plenty" - tj. niedaleko od dzisiejszego nowozelandzkiego miasta "Tauranga". Zgodnie z maoryskimi legendami religijnymi, owe trzy skały leżały mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Hawaiki a lądem Nowej Zelandii. Tymczasem położenie owych skał odległe jest o nie więcej niż około 50 km od wybrzeża Nowej Zelandii. (Ciekawe, że w ich pobliżu wybrzeże jest tak uformowane, iż w niemal każdym kierunku skałki te są niemal tak samo odległe od brzegów Nowej Zelandii.) Zdjęcia i opisy owych "Volker Rocks", a także treść maoryskich legend na ich temat, zawarte są na stronie 51 książki [2#D3] pióra Margaret Orbell, "Maori Myth and Legend" (Canterbury UNiversity Press, 1995, ISBN 0-908812-45-0).

#D3.1. Moriori - czyli pierwsza nieudana próba Boga aby zaludnić Nową Zelandię:

Kiedy Bóg stwarzał Maorysów, wcale NIE była to pierwsza próba zaludnienia Nowej Zelandii. Sporo czasu przed Maorysami Bóg już raz stworzył rasę ludzką którą specjalnie zaprojektował dla osiedlenia w Nowej Zelandii. Nazywali się oni "Moriori". Też byli oni stworzeni w "Hawaiki" - specjalnie dla warunków i praw Antypodów. Także używali tego samego języka co "Maori" - czyli co Maorysi. Jednak ich genetyka była zupełnie odmienna od Maorysów - o czym wiadomo np. z drastycznej odmienności smaku ich mięsa (patrz punkt #F2 poniżej). Ich stworzenie miało miejsce jakieś 184 generacje przed rokiem 1900 (czyli ponad 4000 lat temu) - po dane patrz strona 177 książki [1#D3.1] pióra Gary J Cook and Thomas J Brown, "The Secret Land. People Before" (StonePrint Press, Christchurch, New Zealand, 1999, ISBN 0-9582040-0-4). Moriori mieli jednak zbyt pokojową naturę. Bóg więc się przekonał że bez agresji nie są oni w stanie wygenerować w sobie motywacji aby rozwijać się cywilizacyjnie. Stąd po kilku tysiącach lat Bóg zdecydował się dodać im konkurencję - czyli agresywnych Maorysów o zupełnie odmiennej budowie genetycznej. Niestety, zamiast z nimi konkurować, Maorysi stopniowo zjedli wszystkich Moriori jacy zamieszkiwali Nową Zelandię. Ponieważ jednak obie rasy używały tego samego języka, sporo wiedzy i mitów Moriori przetrwało do historycznych czasów bowiem Maorysi adoptowali je jako swoje własne. (Np. mit o "Maui" wywodzi się właśnie od Moriori.) Jedyne miejsce gdzie Moriori fizycznie przetrwali do czasów europejskiej kolonizacji były wyspy zwane "Chatham Islands".

#D4. Jaki materiał dowodowy Bóg "sfabrykował" dla ateistów na temat pochodzenia Maorysów:

Jak już to wyjaśnia punkt #B7 totalizycznej strony will_pl.htm, zaś ilustruje strona evolution_pl.htm, dla zainspirowania u ludzi poszukiwań, dociekań i badań, Bóg celowo na temat każdej istotnej prawdy zawsze przygotowuje co najmniej dwa przeciwstawne i nawzajem sprzeczne wyjaśnienia. Jedno z tych wyjaśnień ma naturę religijną i wyraża ono prawdę, natomiast wszystkie pozostałe są "ateistycznymi fabrykacjami" i typowo służą one "inspirującemu wpuszczaniu ludzi w maliny" i podsuwaniu im nieprawdy. Co najbardziej intrygujące, owo religijne wyjaśnienie które wyraża prawdę, jest zawsze tak zredagowane aby było szczególnie kontrowersyjne i najbardziej trudne dla zaakceptowania bez włożenia w nie własnych dociekań, badań, pracy i wysiłku. Tak też i Bóg uczynił w sprawie relatywnie niedawnego stworzenia Maorysów i Nowej Zelandii. Dlatego niezależnie od zapewnienia aby istniały religijne (tj. wyrażające prawdę) wyjaśnienia dla ich pochodzenia, Bóg dodatkowo stworzył ("sfabrykował") i wprowadził do obiegu w formie najróżniejszego "materiału dowodowego" cały szereg innych nieprawdziwych wytłumaczeń "ateistycznych" ("naukowych" ale błędnych) dla pochodzenia Maorysów i pochodzenia lądu Nowej Zelandii. Przeglądnijmy więc teraz w skrócie te odmienne "ateistyczne" (błędne) wytłumaczenia dla pochodzenia maoryskiego ludu i ich lądu.

Istnieją najróżniejsze "naukowo wyglądające" przesłanki które zdają się

sugerować fizyczne przybycie Maorysów do Nowej Zelandii z aż 3 odmiennych obszarów Ziemi. Stąd podpierają one tak "modną" obecnie (choć szokująco błędną) ateistyczną teorię ewolucji. Jako takie są one "akceptowalne" dla nauki. Pierwsza grupa (1) tych przesłanek wynika z "unaukowienia", czyli z uczynienia "naukowo akceptowalnymi", owych religijnych legend samych Maorysów. Legendy te stwierdzają bowiem że Maorysi przybyli z "Hawaiki". Kiedy więc naukowcy odrzucają te fragmenty owych legend, które stwierdzają iż Hawaiki było rodzajem "latającego raj" stworzonego przez "atua" (tj. Boga) - czyli ruchomej wyspy która mogła być zakotwiczona w dowolnym miejscu Ziemi, wówczas niemal jedyną obecnie istniejącą wyspą której nazwa jest podobna do nazwy "Hawaiki", jest nazwa wysp Hawajskich. Stąd owo pierwsze wyjaśnienie pochodzenia Maorysów stwierdza że do Nowej Zelandii przyłynęli oni łodziami z Hawajów. Drugie wyjaśnienie (2) bazuje na naukowym odkryciu, że pod względem genetycznym Maorysi są najbliższymi krewnikami prastarego ludu który zamieszkuje wyspę Taiwan. Także język Maorysów wykazuje pokrewieństwo z językiem owego ludu. Na tej podstawie można więc naukowo argumentować, że Maorysi są jednym z rodzimych szczepów chińskiego Taiwanu. W końcu trzecie wyjaśnienie (3) bazuje na kulturze Maorysów. Mianowicie, niektóre unikalne zwyczaje Maorysów, przykładowo niemal nigdzie indziej nie znany zwyczaj aby nawzajem pocierać swoje nosy przy powitaniu, są powtórzeniem zwyczajów lokalnej ludności z wyspy Suqutra (o ok. 40,000 mieszkańców) leżącej na Morzu Arabskim kilkaset kilometrów na wschód od Yemenu z Półwyspu Arabskiego. Istnieje też sporo materiału dowodowego który zdaje się potwierdzać i to ich pochodzenie. Przykładowo, od Maoryskiego reverenta z Te Kuiti słyszałem kiedyś że stara pieśń Maoryska wymieniała i opisywała dokładnie wszystkie pomieszczenia zawarte w wielkiej piramidzie egipskiej. Aby zaś poznać owe pomieszczenia i opisywać je w swoich pieśniach, Maorysi musieliby wywodzić się gdzieś z pobliza owej piramidy. Cały szereg innych dowodów na potwierdzenie takiego kulturowego wyjaśnienia zawartych jest w/w książce [1#D3.1]. Przykładowo, na stronach 148 i 149 omówione i pokazane są tam przykłady podobieństwa pomiędzy tatuażem na brodach kobiet maoryskich (tzw. "kauae") a podobnym tatuażem na brodach niektórych kobiet z okolic Assuanu w Górnym Egipcie. Z kolei na stronie 217 owej [1#D3.1] pokazane jest zdjęcie jednej ze starożytnych mumii które czasami znajdowane są w Nowej Zelandii (szybko jednak portem znikają w tajemniczych okolicznościach - podobnie jak owe pozostałości gigantów opisywane w punkcie #12 strony newzealand_pl.htm - o tajemnicach i ciekawostkach Nowej Zelandii.)

#D5. Najbardziej konkluzyjny materiał dowodowy który potwierdza religijną prawdę że Maorysi i inne rasy ludzi faktycznie zostali stworzeni przez Boga za pośrednictwem omawianej tutaj "standardowej procedury stworzenia":

Aczkolwiek dla wielu istotnych powodów Bóg stwarza (czyli "fabrykuje") opisywany w poprzednim punkcie #D4 krzykliwie rzucający się w oczy "ateistyczny" (tj. błędny) materiał dowodowy na ewolucyjne pochodzenie poszczególnych ras ludzi, faktycznie ci co uparcie poszukują prawdy mogą znaleźć doskonale ukryty przeciwstawny materiał dowodowy który potwierdza religijne pochodzenie tych ras. Ten skromny i dobrze ukryty przeciwstawny materiał dowodowy konkluzyjnie dokumentuje poprawność tezy punktu #D1 tej strony, tj. dokumentuje że Bóg faktycznie stwarzał oddzielnie wszystkie rasy ludzi, jednak każdą z owych ras ludzi zaopatrywał w specjalnie w tym celu przygotowanej szkole (tej u Izraelitów zwanej "rajem", zaś u Maorysów zwanej "Hawaiki") w dokładnie tą samą podstawową wiedzę.

Najbardziej konkluzyjny z takich materiałów dowodowych jaki dotychczas zidentyfikowałem, to że wszystkie rasy ludzi otrzymały od Boga rodzaj kalendarza który bazuje na siedmiodniowej jednostce jaką nazywamy "tygodniem". Taki siedmiodniowy tydzień jest bardzo dziwnym tworem. Wszakże dla pierwotnych ludzi NIE istniało nic co mogłoby sugerować tą właśnie jednostkę kalendarzową. Przykładowo, gdyby przy formowaniu kalendarza ludzie bazowali np. na ilości palców, wówczas tydzień powinien mieć 10 albo 5 dni. Gdyby zaś bazowali na naturze wówczas tydzień miałby 6, 8 albo 12 dni, albo też wogóle by nie było jednostki zwanej tygodniem. Tymczasem od początku

czasów wszystkie rasy ludzi używają jednostki kalendarzowej dziś nam znanej pod nazwą "tydzień" jaka u każdej rasy ludzi liczy 7 dni. Dla niektórych narodów, np. dla Indyjczyków czy dla Chińczyków, możnaby twierdzić że ich siedmiodniowy tydzień wynika np. z jego podpatrzania od Izraelitów, lub wice wersa. Jednak dla nowozelandzkich Maorysów NIE da się tego twierdzić, bo byli oni odcięci od reszty świata aż do 18 wieku. Z kolei swój siedmiodniowy tydzień używali oni już od niepamiętnych czasów - podobno już znając go w "Hawaiki". Podobnie, taki siedmiodniowy tydzień znali i używali już od niepamiętnych czasów, tj. na długo przed rozpoczęciem kontaktów z wysłańcami chrześcijaństwa, także mieszkańcy wielu innych wysp od początku czasów całkowicie odciętych od reszty świata, przykładowo "Samoa", "Cook Islands", czy "Raratonga".

Aby NIE było żadnych wątpliwości, że ów siedmiodniowy tydzień faktycznie pochodzi od Boga, na niektórych obszarach ziemi, w tym na opisywanych tutaj obszarach odciętych od reszty świata, natura faktycznie żyje według owego siedmiodniowego tygodnia. Przykładowo, jeśli ktoś przeanalizuje zmiany pogody, wędrówki wyżów i niżów, oraz kolejność dni deszczowych i słonecznych np. w Nowej Zelandii czy na okolicznych wyspach Pacyfiku, wówczas na przekór że NIE jest to odnotowywane ani potwierdzone przez miejscowych zawodowych naukowców ani przez oficjalną naukę, ciągle odnotuje że rytm i zmiany pogody są tam rządzone właśnie takim cyklem jednotygodniowym. (Więcej informacji na ten temat zawiera punkt #B1.2 z totalizycznej strony tornado_pl.htm oraz punkt #C4 na totalizycznej stronie pigs_pl.htm.)

#D6. Wymowne prawdy ujawniane stopniowym udoskonalaniem standardowej procedury stwarzania kolejnych ras ludzi:

W punkcie #D1 tej strony opisana została "standardowa procedura" której Bóg używał podczas tworzenia kolejnych ras ludzi. Aczkolwiek cała ta procedura niemal dla każdej rasy ludzkiej okazuje się być taka sama, z upływem czasu dają się odnotować niewielkie, chociaż ciągle, udoskonalenia i zmiany wprowadzane do jej etapu (3) - czyli do "nauki w raju". Przykładowo, jeśli przeanalizuje się stworzenie rasy Hindusów (które było pierwszym i najstarszym na Ziemi praktycznym wdrożeniem owej "standardowej procedury" stwarzania ludzi), wówczas się okazuje że podczas uczenia pierwszych Hindusów w ichnim "raju" Bóg przyjmował tam ogromną liczbę najróżniejszych "cielesnych reprezentacji Boga". (Owe "cielesne reprezentacje Boga" obecnie najczęściej opisywane są w hinduiźmie nazwą "hinduscy bogowie" albo "deity" - patrz punkty #B6 i #B6.1 z totalizycznej strony god_pl.htm.) Dla pierwszych Hindusów każda z tych "cielesnych reprezentacji Boga" miała ciało i wygląd człowieka, każda też z nich posiadała osobowość i charakter jakie były mieszaniną dobra i zła - jako przykład patrz wygląd "hinduskiego boga" o imieniu "Murugan", wygląd i charakter którego zilustrowane są na "Fot. #B1ab" z totalizycznej strony immortality_pl.htm. Aby efektywniej uczyć ludzi, w raju Hindusów owe "cielesne reprezentacje Boga" posiadały i używały najróżniejsze zaawansowane urządzenia techniczne, włącznie z latającymi "vimanami" podobnymi do mojego magnokraftu. Jedną z tych reprezentacji zawsze używała aparatu oddechowego podobnego do dzisiejszej "maski gazowej". (Mianowicie, "maski" tej używał "hinduistyczny bóg" który najczęściej nazywany jest "Ganesha".) Z powodu tej jego maski, pierwsi Hindusi okrzyknęli że ma on "głowę słonia" i zwrócili na niego większą uwagę niż na innych bogów. Z tego powodu, kiedy Bóg tworzył kolejne rasy Greków oraz Egipcjan, niektórym z wówczas ciągle licznych swoich "cielesnych reprezentacji" nadał już celowo wygląd pół-ludzi, pół-zwierząt. Okazało się wówczas że ludzie którzy podczas etapu "nauki w raju" obcowali z owymi cielesnymi reprezentacjami Boga, utożsamiali ich wygląd z ich charakterem. Dlatego w jeszcze następnym procesie stwarzania Chińczyków, Bóg już zdecydowanie nadawał cechy niektórym nieprzyjemnych zwierząt, np. węża, tym ze swoich cielesnych reprezentacji (smoków) które miały uczyć ludzi na temat zła, zaś wygląd całkowicie ludzki - tym swoim reprezentacjom, które miały uczyć ludzi na temat dobra. Z uwagi na sukces tego ilustracyjnego podejścia do nauczania ludzi, kiedy Bóg stwarzał Izraelitów, zrezygnował już z używania w raju wielkiej liczby swoich cielesnych reprezentacji naraz, zaś umieścił tam już tylko ich dwie, mianowicie ludzko wyglądającego Mesjasza (który swym postępowaniem

ilustrował ludziom dobro), oraz Szatana posiadającego częściowy wygląd węża (który ilustrował ludziom zło). Wobec sukcesu tej ilustracji dobra i zła, podczas stwarzania rasy Maorysów Bóg ponownie powtórzył i jeszcze bardziej pogłębił tą zasadę - patrz m.in. też punkt #L1 poniżej.

Sam fakt, że miała miejsce taka stopniowa ewolucja niektórych szczegółów "standardowej procedury stworzenia" stosowanej przez Boga, prowadzi do kilku ogromnie istotnych wniosków. Przykładowo, potwierdza ona szokujący niektórych fakt, że Bóg też się uczy i stopniowo poszerza oraz udoskonala swoją wiedzę oraz metody działania. Innymi słowy potwierdza ona że Bóg wcale NIE wie absolutnie wszystkiego i to od samego początku, a że Bóg też stopniowo się uczy i zdobywa doświadczenie w sposób identyczny jak ludzie - co zresztą sam Bóg otwarcie potwierdza w wersecie 18:20-21 z biblijnej Księgi Rodzaju (werset ten dyskutowany jest dokładniej w punkcie #M1 z totalizycznej strony [evolution_pl.htm](#)). Stopniowa ewolucja "standardowej procedury stworzenia" potwierdza też ustalenie zaprezentowane w punkcie #B2 totalizycznej strony [will_pl.htm](#), mianowicie że Bóg stworzył człowieka głównie po to aby z pomocą ludzi móc nieustannie powiększać wiedzę i doskonałość inteligentnego wszechświata.

Część #E: "Odkrycia" Nowej Zelandii i Antypodów przez kraje i narody zamieszkałe na północnej półkuli Ziemi - dlaczego dawni podróżni omijali te obszary z daleka:

#E1. Wyłącznie badawcze i zwiedzające przybywanie starożytnych Chińczyków do Nowej Zelandii:

Starożytni Chińczycy byli jedyną cywilizacją starożytności, której wyprawy eksplacyjne posprawdzały praktycznie cały świat. W owych eksploracjach wydatnie pomagało im posiadanie kompasu którego wiele innych cywilizacji NIE dorobiło się nawet przez tysiące następnych lat. Doskonała znajomość geografii i praktycznie całej kuli ziemskiej przez starożytnych Chińczyków, a także podróże ich flotylli eksploracyjnych i wypraw kupieckich do praktycznie wszystkich zakątków świata, podkreślone było nawet we wspaniałej animacji zaprezentowanej podczas ceremonii otwarcia 29-tej Olimpiady w Beijing o godzinie 8:08 w dniu 8 sierpnia 2008 roku. W owej olimpijskiej animacji specyficznie referowano do wypraw dokonywanych przez niejakiego Zheng He - czyli chińskiego admirała-eunucha z okresu Dynastii Ming, który eksplorował wybrzeża Afryki. Jednak starożytni eksploratorzy z Chin wiedzieli również dokładnie o istnieniu i o położeniu Nowej Zelandii. Ich flotylle badawcze i zwiedzające aż kilka razy w starożytności odwiedzały Nową Zelandię. Istnieje cały szereg dowodów owych odwiedzin. Przykładowo kiedyś odkryto w Nowej Zelandii prastary dzwon typu używanego na statkach Chińskich. Z kolei w kronikach chińskich znaleziono opisy potężnej wulkanicznej eksplozji która uformowała jezioro Taupo. Na przekór jednak owych relatywnie częstych odwiedzin, starożytni Chińczycy nigdy nie usiłowali nawet założyć swojej kolonii w Nowej Zelandii. Najwyraźniej ich znajomość energii "chi" oraz znajomość "feng shui" ostrzegała ich że Nowa Zelandia wcale NIE jest miejscem w którym osiedleńców czekałaby świetlista, czy choćby tylko pozytywna, przyszłość.

Sprawa odwiedzin Chińczyków w Nowej Zelandii omawiana jest także w punkcie #B1 strony [fruit_pl.htm](#) - o tropikalnych owocach ze strefy Pacyfiku oraz o filozofii ich zjadania.

Jest powszechnie znanym w świecie faktem, że Chińczycy - szczególnie w starożytności, we wszystkim co czynili konsultowali swoje zamiary z rodzajem wiedzy tajemnej którą obecnie znamy pod nazwami "feng shui", "chi", itp. Wiedza ta jest pokrewna do wielu dzisiejszych form ESP - chociaż jest bardziej od ESP obiektywna i nastawiona na odczytywanie fizykalnych znaków. Jedną z powszechniej znanych manifestacji konsultowania przez Chińczyków wszystkich decyzji ze wskazaniem owej tajemnej wiedzy, jest np. wybór daty i godziny oficjalnego otwarcia 29-tej Olimpiady w Beijing w dniu 8/8/8 (tj. 8 sierpnia 2008 roku) o godzinie 8:08 wieczorem. Zgodnie bowiem z ową wiedzą tajemną, cyfra 8 oznacza "powodzenie", "zasobność", "sukces", itp. - tak jak to opisano w punkcie

#E1.1 poniżej. Informacja którą chcę więc tutaj przekazać i podeprzeć dowodami jest taka, że jeśli coś jest wysoce wrogie ludzom - tak jak Antypody, wówczas istnieją konkretne oznaki owej wrogości. Z kolei istnienie owych oznaków daje się odczytać z użyciem najróżniejszych dyscyplin wiedzy - w rodzaju owej wiedzy "feng shui" używanej przez Chińczyków, czy naukowo identyfikowalnych ostrzeżeń opisywanych na niniejszej stronie. Pamiętajmy też, że starożytni Chińczycy zawsze odczytywali owe oznaki zanim podejmowali jakąkolwiek istotną decyzję życiową. (Niestety, w obecnej generacji Chińczyków ta długa tradycja pomału zanika.) Fakt więc że starożytni Chińczycy wielokrotnie docierali do Nowej Zelandii, jednak nigdy tam nie założyli swojej kolonii - tak jak to czynili w wielu innych obszarach i krajach, np. w Malezji czy na Borneo, posiada bardzo istotne znaczenie. Praktycznie fakt ten oznacza bowiem, że starożytni Chińczycy wiedzieli o wysoce wrogiej ludzom naturze i środowisku Antypodów.

W tym miejscu warto też dodać, że np. do Australii czy do Antarktydy starożytni Chińczycy zapewne nawet nie usiłowali dotrzeć. Najwyraźniej przesłanki wynikające z ich znajomości "feng shui", a także ich wiedza, intuicja i przezorność im podpowiadały, że NIE ma tam potrzeby przybywać, bowiem NIE znajduje się tam nic wartego eksplorowania, zaś natura jest tam wyjątkowo wrogo i niszczyielsko nastawiona do ludzi.

Powyższe powinienem uzupełnić spostrzeżeniem które często było mi powtarzane przez sporo osób. Mianowicie wielu ludzi przybywających po raz pierwszy do Nowej Zelandii twierdzi, że od lądu owego kraju bije do nich dziwne poczucie "wrogości", "chłodu", "przygnębienia", "depresji", czy też "zagrożenia" - które wyraźnie odczuwali oni swoimi zmysłami. Po jakimś jednak czasie owo dziwne odczucie u nich zanikało. Podobny chłód czy poczucie zagrożenia odczuwają oni jedynie w obliczu śmierci - np. w pobliżu nieboszczyka. Po przybyciu do Australii też odczuwali oni bardzo podobny jakby chłód - chociaż ma on tam nieco odmienny odcień. Czyżby więc antyludzkie działanie Antypodów było przez niektórych ludzi odbierane wręcz fizycznie? (Ja osobiście też odbieram dosyć unikalne odczucie zaraz po powrocie do Nowej Zelandii z pobytu poza jej granicami. Jednak ja potrafię rozpoznać to odczucie bowiem kiedyś ustaliłem że bije ono od ludzi którzy cechują się bardzo niskim poziomem tzw. "energii moralnej" - po szczegóły patrz (iv) z punktu #F2 na stronie nirvana_pl.htm. To moje unikalne odczucie też opisałbym jako rodzaj "zimna" jakie zwykle bije też od bardzo starych ludzi. U mnie też ono zanika czasami już po kilku godzinach od wylądowania w Nowej Zelandii.)

#E1.1. Stosunek Chińczyków do liczby 8 - jako przykład ich codziennego konsultowania wszelkich spraw ze wskazaniem wiedzy "feng shui":

Liczby rządzą naszym życiem od chwili urodzenia aż do śmierci. Wszystko jest nimi opisane, zaczynając od dat naszego urodzenia, a skończywszy na rachunkach za nasze pogrzeby. Ponieważ NIE wszystko w naszym życiu dzieje się jednakowo pomyślnie, wielu ludzi zgromadziło empiryczne obserwacje które sugerują że wyniki przebiegu każdej sprawy zależą m.in. od rodzaju "energii" zawartej w liczbach które sprawę tą opisują. Zgodnie bowiem z ustaleniami owych ludzi, niektóre liczby, takie jak 8, przynoszą budującą energię która wspiera korzystność wszystkiego co opisane tą liczbą. Istnieją też liczby o wyniszczającej energii, takie jak np. 4, która psuje następstwa wszystkiego co liczbą te opisują.

Spora proporcja Chińczyków za liczbę o najbardziej szczęśliwej, korzystnej i budującej energii uważa cyfrę i liczbę 8. Oczywiście, mają oni ku temu aż wiele powodów. Przykładowo, dźwięk owej liczby 8 w języku mandaryńskim brzmi "ba" - co znaczy "zamożność". Liczba 8 ma także doskonale symetryczny kształt i to w aż dwóch osiach symetrii. Ma ona też doskonały balans - który wynika z owej symetrii, a który w chińskiej astrologii jest poszukiwanym ideałem. Jest ona konsystentna - tj. nie zmienia ona swojej wartości kiedy ją się odwróci do góry nogami (tak jak to czyni np. "diabelska" cyfra 6). Odbita w lustrze też czyta się jako 8. Położona na boku stanowi symbol nieskończoności. Kiedy się ją pisze, pióro się zatrzyma w chwili gdy ma rysować linię w górę - podczas gdy wszystkie inne liczby od 1 do 9 podczas pisania zatrzymują pióro na drodze w dół (co symbolizuje jej potencjał do wzrostu). Jej pisanie zawsze kończy tam gdzie się zaczęło.

Liczba 8 jest podzielna przez 2. Liczba 8 ma wiodącą rolę w binarnym systemie i w komputeryzacji. Liczba 8 formuje doskonały sześciąt o boku 2. Przynależy ona też do matematycznej serii Fibonacciego (1, 2, 3, 5, 8, 13, 21, itp.). W naturze pojawia się ona w formie wzorów wzrostu w wielu roślinach i zwierzętach. Przykładowo, wiele stworzeń wodnych ma 8 symetrycznych części. Ludzkie ciało ma 206 kości ($2+0+6=8$). W 2006 roku ($2+0+0+6=8$) po wielu latach konfuzji, międzynarodowe ciało "International Astronomical Union" zaraportowało że istnieje tylko 8 planet w systemie słonecznym (Mercury, Venus, Earth, Mars, Jupiter, Saturn, Uranus, Neptune). Znanych jest 8 głównych kierunków świata. Liczba liter w alfabecie rzymskim 26 dodaje się $2+6=8$. Itd., itp. Na przekór więc że racjonalnie daje się podważać niemal każde uzasadnienie szczególnego znaczenia liczby 8, do ludzi głęboko wierzących w szczęśliwość i niezwykłość tej liczby, faktycznie przynosi ona szczęście i zamożność. A pamiętać trzeba że liczba ta jest tylko jednym z licznych fizykalnych wskaźników pomyślności które konsultowane w danej konfiguracji dają znawcom "feng shui" raczej definitywne odpowiedzi o perspektywach na przyszłość praktycznie każdej sprawy. Tyle że w nowoczesnym świecie coraz bardziej zabiegani i sceptyczni ludzie przestali zważać na owe nadprzyrodzone wskazówki.

Część #F: Gdyby Antypody wybrane były przez Boga do zasiedlenia, ich rodzime rasy i narody kwitnęłyby - tymczasem te cywilizacje które nierozważnie tam osiadły relatywnie szybko tam poupadły:

#F1. Zdefiniujmy jakie są oznaki upadku cywilizacji aby uniknąć jałowych deliberacji czy w Nowej Zelandii faktycznie upadło już aż kilka kolejnych cywilizacji:

Pisana historia Nowej Zelandii faktycznie nadal jest w "stanie płynnym" - i to na przekór że minęło już około 200 lat od czasu kiedy do owego kraju przybyli pierwsi europejscy osadnicy i zaczęli historię ową spisywać. Ta "płynność" historii też wynika z owego negatywnego biegunu cywilizacyjnego który panuje na Antypodach. Biegun ten powoduje bowiem m.in. że każdy fakt jest tam przez kogoś podważany lub zaprzeczany, bez względu na to jak bardzo nie byłby prawdziwy. Praktycznie to też oznacza, że w Nowej Zelandii każdy historyczny fakt komuś z jakiegoś powodu jest NIE na rękę i też będzie przez kogoś podważany. W rezultacie wielu rodzimych badaczy Nowej Zelandii nawet się próbuje "się wychylić" i opublikować jakąkolwiek prawdę historyczną o którą ktoś potem by poczuł się urażony. To z kolei jest źródłem dzisiejszego stanu historii Nowej Zelandii, kiedy praktycznie NIC nie jest wiadomo z całą pewnością, zaś cała historia jest nadal w stanie "płynnym".

Oczywiście prawdy tezy jak ta z niniejszej strony NIE da się udowodnić jeśli nie uzna się konkretnych faktów historycznych za rzeczywiste i za zaistniałe. To dlatego aby udowodnić że w Nowej Zelandii upadło aż kilka kolejnych cywilizacji, najpierw musimy sobie zdefiniować co cechuje "upadek cywilizacji". Upadek ten zdefiniujemy poprzez rozpatrzenie cech cywilizacji o których z całą pewnością nam wiadomo, że faktycznie one upadły - przykładowo cywilizacji Imperium Rzymskiego po jego zniszczeniu przez Hunów, czy cywilizacji Inka z Ameryki po jej podbiciu przez Hiszpanów. I tak na bazie owych cywilizacji o których z całą pewnością wiemy że one już faktycznie upadły, za oznaki braku upadku NIE wolno nam traktować jeśli np. (a) przetrwa język danej cywilizacji. Wszakże np. język łaciński był nadal używany jeszcze na długo po upadku Imperium Rzymskiego. (Faktycznie to ja łaciny uczyłem się w szkole średniej, chociaż wcale NIE jestem obywatelem Imperium Rzymskiego. Ponadto jako chłopiec uczestniczyłem w nabożeństwach katolickich po łacinie - chociaż żyłem wówczas w Polsce.) Także język używany przez imperium Inków też jest częściowo używany aż do dzisiaj. Oznaką braku upadku wcale też NIE jest (b) trwanie przy życiu niektórych potomków upadłej cywilizacji. Przykładowo, do dzisiaj żyją dalecy potomkowie zarówno Rzymian jak i Inków. Z powyższego widać że dowodem upadku danej cywilizacji są następujące cechy jeśli pojawiają się one jednocześnie. (1) Nowa kultura, religia, zasady życia społecznego, itp., które byli uczestnicy danej cywilizacji zmuszeni są adoptować w swoim poupadkowym życiu. Przykładem może być tutaj zmuszenie Maorysów

do adoptowania praw, religii, broni, zasad walki, itp., europejskich osadników. Oraz jednocześnie (2a) wprowadzenie zupełnie nowej sporej wymiarowo puli genów do genetyki którą uprzednio cechowała się społeczność danej cywilizacji, albo też (2b) niemal całkowite wyniszczenie ludzi którzy byli nosicielami genów danej cywilizacji. Przykładem wyniszczającej daną cywilizację zmiany genetyki może być zalenie Imperium Rzymskiego przez Hunów (tj. przodków dzisiejszych Hungarians - Węgrów) i zmieszanie genów owych Hunów z genami Rzymian. Z kolei przykładem wyniszczenia nosicieli genów danej cywilizacji mogą być losy tzw. "Moriari" (albo "Moa Hunters") z Nowej Zelandii.

Jak też wykazane to zostanie w następnym punkcie #F2 tej strony, w historii Nowej Zelandii już wielokrotnie pojawiły się okoliczności kiedy powyższe cechy "upadku cywilizacji" charakteryzowały raptowne zmiany jakie tam nastąpiły. Na przekór więc że wielu ludzi być może zechce prowadzić jałowe i czysto hipotetyczne debaty np. na temat "czy cywilizacja Maorysów faktycznie upadła czy też istnieje aż do dzisiaj", powyższe cechy charakteryzujące upadki cywilizacji rozstrzygają tą sprawę jednoznacznie. Po ich uwzględnieniu jest jasnym że w Nowej Zelandii upadło już dotychczas aż kilka kolejnych cywilizacji - tak jak to wyszczególniono w punkcie #F2 poniżej.

#F2. W Nowej Zelandii upadło już aż kilka kolejnych cywilizacji:

Oto wykaz i historia kolejnych cywilizacji z Nowej Zelandii które dotychczas najpierw skolonizowały ów obszar Antypodów, potem zaś upadły:

1. Upadek prastarej cywilizacji która znała nie tylko ceramikę, ale umiała nawet rzeźbić w kamieniu. Na jej istnienie również w Nowej Zelandii zdają się wskazywać ślady nieco podobne do tych istniejących w Ameryce Południowej i w Egipcie. Nieoficjalnie wiadomo, że owa prastara cywilizacja upadła już kilka tysięcy lat temu. Praktycznie nic obecnie nie próbuje się już ustalić na jej temat - wszakże wiedza o jej istnieniu mogłaby komuś się niepodobać.

2. Upadek cywilizacji "Moriari" (albo "Moa Hunters"). Oficjalnie za najbardziej pierwotnych mieszkańców Nowej Zelandii uważa się rodzaj ludzi bardzo podobnych do Australijskich Aborygenów. Przez Maorysów oraz przez samych siebie byli oni nazywani "Moriari". Natomiast Europejczycy nazwali ich "Moa Hunters" - ponieważ żywili się głównie licznymi w ich czasach gigantycznymi ptakami Moa. Zamieszkiwali oni Nową Zelandię od bliżej niezdefiniowanego czasu. Znali oni wprawdzie ogień, jednak nie znali ani ceramiki, ani obróbki kamienia, ani narzędzi. "Moriari" mieli bardzo smaczne mięso. Po przybyciu więc do Nowej Zelandii innej wojowniczej rasy kanibalów, którzy sami siebie nazywali "Maori" (tj. po przybyciu "Maorysów"), owi "Moriari" zostali po prostu stopniowo zjedzeni. Jeden z zaprzyjaźnionych Maorysów powiedział nam kiedyś pół żartem pół serio, że byli oni bardzo "lubiani" przez Maorysów ponieważ ich mięso miało przyjemny słonawy smak i było znacznie smaczniejsze od mięsa Maorysów którzy podobno smakowali równie nieprzyjemnie tak jak wszyscy inni ludzie - patrz opisy tego smaku z punktu #K1 poniżej.

3. Upadek pierwszej cywilizacji kanibalistycznych Maorysów. Maoryskie legendy stwierdzają, że kiedy pierwsi Maorysi przyплыли do Nowej Zelandii z Hawaiki około roku 900 AD (tj. mniej więcej w czasach tzw. "Chrzta Polski") na obszarze ówczesnej Nowej Zelandii już żyli jacyś ludzie. Tamtych wcześniejszych Nowozelandczyków najczęściej opisuje się mianem "Moa Hunters". Po przybyciu do Nowej Zelandii Maorysi najpierw zjedli owych "Moa Hunters". Potem zaś zjadali siebie nawzajem. Owi pierwsi osadnicy maoryscy żyli w Nowej Zelandii aż do roku 1178 A.D. - kiedy to zmiotła ich z powierzchni Ziemi potężna eksplozja koło Tapanui.

4. Eksplozja statku kosmicznego koło Tapanui w 1178 roku, która zatarła w Nowej Zelandii wszelkie ślady wcześniejszych osiedli ludzkich. W 1178 roku AD w Nowej Zelandii miała miejsce katastroficzna eksplozja o globalnych konsekwencjach. Jej dokładniejszy opis zawarty jest na odrębnej stronie internetowej tapanui_pl.htm - o eksplozji wehikułu UFO koło Tapanui, Nowa Zelandia, 1178 AD. Zniszczenie spowodowane ową eksplozją było niewyobrażalnie duże. Faktycznie też uśmierciła ona niemal wszystkich Maorysów którzy uprzednio zamieszkiwali Nową Zelandię. Całkowicie wymazała ona też z powierzchni ziemi wszelkie ślady osadnictwa poprzedzającego ową eksplozję. Dlatego

ślady osad moryskich które obecnie są znajdowane i badane przez miejscowych naukowców, wszystkie datują się już z czasów po owej eksplozji Tapanui. To zaś jest jedną z przyczyn owej "płynności" historii Nowej Zelandii. Mianowicie, ponieważ naukowcy owego kraju NIE uznają istnienia eksplozji Tapanui, ich werdykty stwierdzają że NIE istniało osadnictwo poprzedzające ową eksplozję. Doskonałym przykładem oficjalnych badań które zostały tak właśnie wypaczone następstwami eksplozji Tapanui, są te opisane w artykule "Rat bones reduce colonisation time" (tj. "kości szczurów zmniejszają czas kolonizacji") ze strony A2 gazety The New Zealand Herald, wydanie ze środy (Wednesday), June 4, 2008. W artykule tym jakiś naukowiec stwierdza, że najstarsze kości szczurów znajdowane w obecnie znanych byłych osiedlach Maorysów, dają datowanie około 1280 roku. Naukowiec ten jednak przeacza, że obecnie NIE jest wiadomym gdzie dokładnie były zlokalizowane osiedla Maorysów przed 1178 rokiem (tj. przed datą eksplozji Tapanui). Stąd kości szczurów z tamtych starszych osiedli NIE mogą być narazie ani znalezione ani datowane.

5. Upadek lub zanik cywilizacji z drugiej fali emigracyjnej Maorysów. Po eksplozji Tapanui do Nowej Zelandii zaczęła docierać druga fala Maoryskich emigrantów. Z powodu chronicznego deficytu żywności oni również zmuszeni byli do uciekania się do kanibalizmu (ludożerstwa). Znaczący, przy braku czegokolwiek innego do jedzenia, zjadali oni siebie nawzajem. Aby zaś mieć więcej niewolników do zjadania, bez przerwy prowadzili nawzajem ze sobą najróżniejsze wojny. W rezultacie, z upływem czasu ich kultura nabrała cech "zawodowych wojowników". (Owe wojownicze cechy maoryskiej kultury przetrwały zresztą w Nowozelandczykach aż do dzisiaj.) W stanie też nieustannych wojen, praktykowania niewolnictwa, oraz kanibalizmu, owa druga fala osadników maoryskich żyła w Nowej Zelandii aż do roku lat około 1800-nych - kiedy to Nowa Zelandia stała się celem masowej europejskiej kolonizacji. Jednak owa druga cywilizacja Maorysów upadła lub zaniknęła właśnie w wyniku przybycia Europejczyków do Nowej Zelandii. Oczywiście, czy cywilizacja ta upadła lub zaniknęła, czy też nadal istnieje, wielu ludzi będzie gotowych to zajadle dyskutować. Faktem jest jednak, że Maorysi i Europejczycy tak intensywnie się ze sobą nawzajem krzyżowali, że obecnie NIE istnieje już w Nowej Zelandii ani jeden Maorys który NIE miałby w sobie choćby małej proporcji europejskiej krwi oraz u którego przetrwałaby jego oryginalna kultura maoryska i oryginalna religia. Dla wielu zaś ludzi zanik oryginalnej budowy genetycznej, połączony z równoczesnym zanikiem oryginalnej kultury i religii, praktycznie oznaczają że dana cywilizacja faktycznie zaniknęła lub upadła. Bez względu więc na to jak niektórzy będą ten fakt nazywali, owa oryginalna druga cywilizacja Maorysów Nowozelandzkich też już obecnie wcale NIE istnieje. Do dzisiaj przetrwali jedynie potomkowie mieszanćców Europejsko-Maoryskich którzy z różnych powodów uważają siebie za Maorysów.

6. Pierwsze przybycia europejskich eksploratorów do Nowej Zelandii. Począwszy od około 15 wieku, najróżniejsi Europejczycy zaczęli podróże morskie w okolice Nowej Zelandii. Wszakże już 15 sierpnia 1511 roku Portugalczycy zdobyli twierdzę i port w niezbyt odległym od Nowej Zelandii malezyjskim mieście Melaka i oficjalnie założyli tam swoją kolonię - podczas gdy ich flotylle przybywały w te rejony świata od kilkudziesięciu już lat. Pierwsi do Nowej Zelandii dotarli Hiszpanie. Niestety, nie są znane żadne wzmianki historyczne kiedy i przez kogo miało to miejsce. Jedynym śladem faktycznego pobytu Hiszpanów w Nowej Zelandii jest bardzo piękne drzewo nowozelandzkie o wspaniałych czerwonych kwiatach, zwane "Pohutu Kawa", które naturalnie rośnie jedynie w Nowej Zelandii. Niedawno takie właśnie drzewo odkryto rosnące w jednej ze wsi hiszpańskich. Jego grubość była taka, że gdyby ono rosnęło w Nowej Zelandii wówczas miałoby co najmniej 300 lat. Trzeba jednak pamiętać, że z powodu eksplozji wehikułu UFO koło Tapanui w 1178 AD, która skaziła telekinetycznie całą glebę owego kraju, w Nowej Zelandii drzewa rosną znacznie szybciej niż w Europie (np. drzewa europejskiego pochodzenia rosną tam około 5 razy szybciej). Prawdopodobnie więc ów statek hiszpański który przewiózł to drzewo do Hiszpanii, odwiedził Nową Zelandię nie później niż w 15 wieku.

Kolejnym Europejskim eksploratorem który dopłynął do Nowej Zelandii był niejaki Abel Tasman. Jego odkrycie tego kraju rozniósł się po Europie. To z tego powodu w wiek później Anglicy wysłali swego własnego eksploratora aby ten sprawdził przydatność

nowego ładu dla osadnictwa. Ciekawostką wyprawy Abela Tasmana było, że odkrył on maleńką Nową Zelandię, jednak zupełnie jakby "przeoczył" gigantyczną Australię. Czyżby więc i on miał jakąś "intuicję" na temat Antypodów która przykładowo starożytnym Chińczykom nakazywała omijać Australię z daleka.

Europejskie osadnictwo w Nowej Zelandii zaczęło się jednak dopiero kiedy wyprawa Anglika o nazwisku James Cook wykonała dokładne mapy, badania i opisy owego kraju. Jako zupełnie nowe państwo (a ściślej - jako zamorska kolonia Anglii) Nowa Zelandia zaczęła się liczyć dopiero od około 1840 roku.

7. Upadek lub zanik cywilizacji europejskich kolonistów Nowej Zelandii. Około 1840 zaczęły się czasy intensywnej europejskiej kolonizacji Nowej Zelandii. W ten sposób powstało dzisiejsze państwo zwane Nowa Zelandia. Początkowo państwo to miało organizację państwa Europejskiego i hołdowało ono wszelkim tradycjom europejskim. Jego językiem urzędowym był język angielski. Państwo to reprezentowało więc rodzaj jakby europejskiej cywilizacji przeniesionej do Nowej Zelandii. Na przekór też że oprócz Europejczyków, w skład owego państwa wchodził m.in. potomkowie owych oryginalnych Maorysów, państwo to przez około 150 lat kultywowało europejską kulturę, religię i tradycje. W niemal niezmiennym też stanie przetrwało ono aż do 1984 roku, czyli do czasu utraty władzy w Nowej Zelandii przez wybitnego przywódcę owego kraju o nazwisku Sir Robert Muldoon (1921-1992). Po 1984 roku, owa cywilizacja europejskich kolonistów Nowej Zelandii uległa szybkiemu zanikowi. Obecnie jest ona już całkowicie zastąpiona przez zupełnie inną cywilizację, która narazie jeszcze NIE zaczęła zanikać, nie będę więc jej tutaj opisywał. Powód zaniku czy upadku po 1984 roku tamtej cywilizacji europejskich kolonistów był prosty. Był nim niemal całkowity zanik emigracji Europejczyków do Nowej Zelandii, spowodowany upadkiem ekonomicznym owego kraju po utracie władzy przez Sir Roberta Muldoon. Z kolei brak napływu nowych Europejczyków, połączony z szybkim wymieraniem dawnych osadników Europejskich, z coraz intensywniejszym krzyżowaniem się międzyrasowym, oraz z brakiem oficjalnego opowiadania się rządu przy europejskich tradycjach, kulturze i religii, spowodowały że w Nowej Zelandii szybko zaniknęła lub została przekształcona ta część społeczeństwa która uprzednio podtrzymywała tam istnienie owej cywilizacji europejskich osadników. Jednocześnie u tych Nowozelandczyków którzy nadal deklarują swoje Europejskie pochodzenie, po 1984 roku nastąpiły tak duże zmiany kulturalne, światopoglądowe, nastawieniowe, polityczne, itp., że na przekór iż oficjalnie deklarują oni europejskie pochodzenie, praktycznie reprezentują oni sobą już zupełnie odmienną cywilizację w której podstawowe cechy (takie jak wojowniczość czy ich kult mięśni oraz siły) zaczynają się coraz bardziej upodabniać do tego co możnaby nazwać "cechami unikalnymi dla mieszkańców Antypodów".

Oczywiście emigracja napływowa do Nowej Zelandii, połączona z jednoczesnym cywilizacyjnym wyniszczaniem napływającej nowej ludności, wcale się NIE zakończyła. Trwa ona nadal do dzisiaj. Wszakże opisywana na tej stronie wroga dla osiedleńców natura Antypodów wykazuje działanie jakby kosmicznej "czarnej dziury", która to dziura bez przerwy będzie połykała coraz to nowych osiedleńców po których za jakiś czas znikną wszelkie ślady i śluchy.

#F3. Także w Australii upadła lub zaniknęła bliżej nieznana liczba cywilizacji:

Nowa Zelandia ma to do siebie, że bogata tradycja mówiona Maorysów, a także ich niemal religijne podejście do genealogii, pozwoliło zdobyć jakieś rozeznanie co do liczby cywilizacji ludzkich jakie tam upadły lub zaniknęły. Tymczasem w Australii sytuacja jesty zupełnie inna. Nic tam NIE utrzymuje śladów ludzi którzy tam kiedyś żyli jednak wyginęli. W rezultacie w Australii najprawdopodobniej poupadały dziesiątki, jeśli NIE setki, odmiennych cywilizacji, jednak obecnie NIKT nie ma o tym najmniejszego pojęcia. Pamiętam że kiedyś utrzymywałem kontakty z jakimś językoznawcą który badał oryginalne języki australijskich Aborygenów. Twierdził on że języków tych na początku XX wieku istniało ciągle około pół tysiąca. Ile zaś z nich przetrwało do dzisiaj? Każdy zaś taki zaginiony język, to kolejna upadła lub zaniknięta cywilizacja ludzka z Antypodów. Antypody wyglądają więc jak jedna ogromna "wykańczalnia" całych cywilizacji i indywidualnych ludzi. Tyle że zamiast Hitlera,

"wykańczalnia" ta sekretnie jest operowana przez istoty których wygląd pokazałem na zdjęciu z "Fot. #K1".

#F4. Nieprzyjazna ludziom geologiczna historia Nowej Zelandii:

Nowa Zelandia posiada także wrogą dla ludzi strukturę geologiczną. Jej terytorium jest niestabilne. Bez przerwy jest ona wstrząsana trzęsieniami ziemi. Co jakiś też czas powtarzalnie pojawiają się tam gigantyczne kataklizmy które niemal dokumentnie wyniszczają całą osiadłą tam ludność. Alternatywną historię geologiczną Nowej Zelandii opisują w punkcie #C2 odrębnej strony tajemnice i ciekawostki Nowej Zelandii.

Geologia Australii jest znacznie przyjaźniejsza dla ludzi niż ta z Nowej Zelandii. Niestety w Australii ludzie zagrożeni są innymi żywiołami, przykładowo morderczymi pożarami, suszami, burzami pyłowymi, cyklonami, błyskawicznymi powodziami, niebezpiecznymi zwierzętami, suchym morderczym klimatem, brakiem wody pitnej, itp.

Część #G: Panowanie w Antypodach jakiegoś szczególnego rodzaju pola czy modyfikacji praw fizycznych, które powodują zmianę charakterystyki ludzi tam zamieszkujących:

#G1. Jeśli na jakimś obszarze Ziemi działają odmienne pola oraz zmodyfikowane przez te pola prawa natury, ich mieszkańcy muszą z czasem zacząć wykazywać wypaczenie typowych zachowań:

Z empiryki wiemy, że długotrwałe działanie jakiegoś bardzo "słabego czynnika", może w skutkach okazać się bardziej katastroficzne niż krótkotrwałe działanie jakiegoś "wysoce silnego" czynnika. Przykładowo, krople wody spadające przez dziesiątki lat potrafią drażyć kamienie, zaś owych kilka atomów zanieczyszczeń zawartych w wodzie, w przeciągu setek lat formuje gigantyczne stalagmity i stalaktyty. Doskonale wiemy też z empiryki, że na Antypodach w działaniu znajduje się aż cały szereg takich "słabych czynników", jakich sumaryczne działanie na populację ludzką przez długie okresy czasu może okazać się katastroficzne. Nauka ludzka narazie NIE wyizolowała żadnego z owych czynników, ani NIE zdołała opisać jego długotrwałego wpływu na ludzi. Jednak Bóg najwyraźniej wiedział o jego istnieniu i niszcycielskim działaniu, bowiem wcale NIE wytypował ani przygotował Antypodów do zasiedlenia przez ludzi. Istnienie i działanie na Antypodach takich słabych czynników wyniszczających jest zresztą potwierdzone przez empirykę. Wszakże przykładowo na przekór długotrwałości istnienia całego szeregu cywilizacji Australijskich Aborygenów, cywilizacje te NIE dopracowały się żadnych znaczących osiągnięć społecznych, technicznych, ani cywilizacyjnych. Podobnie jest z cywilizacją nowozelandzkich Maorysów. Przez niemal 1000 lat swojego istnienia nie odkryli oni ani metali ani ceramiki - i to na przekór że po eksplozji Tapanui powierzchnia niektórych obszarów np. w Otago pokryta była grubą warstwą złota. Nie poznali też broni miotanych, takich jak łuki, proce, czy katapulty, na przekór że umieli rzeźbić w drewnie, kości i kamieniu, na przekór że mieli prymitywne narzędzia, oraz na przekór że umieli budować domy i łodzie. Podobnie zresztą jest z obecną cywilizacją Antypodów. Jeśli dokładnie ją przeanalizować, okazuje się że NIE dokłada ona praktycznie żadnego wkładu np. do technicznego dorobku ludzkości. To zaś oznacza, że ów "słaby czynnik" anty-cywilizacyjny faktycznie działa na Antypodach aż do dzisiaj.

Na obecnym etapie możemy jedynie spekulować co stanowi ów "słaby czynnik" wyniszczający cywilizację ludzką, jaki działa na Antypodach. Wszakże jest aż cały szereg kandydatów do tej roli. Najbardziej oczywisty z tych kandydatów jest południowy biegun ziemskiego pola magnetycznego. Biegun ten może w jakiś sposób modyfikować działanie praw natury, tak że owe prawa zamiast stymulować rozwój cywilizacyjny - jak to czynią w okolicach byłej Atlantydy, na Antypodach raczej blokują i niszczą rozwój cywilizacyjny. Owo więc pośrednie działanie na Antypodach południowego bieguna magnetycznego mogłoby być odpowiedzialne za brak postępu cywilizacyjnego u ludzi zamieszkujących Antypody. Innym kandydatem na ów "słaby czynnik" jest kierunek ruchu tzw. "przeciw-materii" - czyli rodzaju płynu opisywanego przez teorię wszystkiego zwaną Konceptem Dipolarnej

Grawitacji. Na Antypodach płyn ten przepływa w odwrotnym kierunku niż na półkuli północnej Ziemi, formując w ten sposób cały szereg zjawisk fizycznych takich jak tzw. "dziura ozonowa", ulatywanie zorzy polarnej w górę (zamiast w dół jak na półkuli północnej), itp. Jeszcze innymi kandydatami na owe "słabe czynniki" mogłyby być odmienne polaryzacje światła słonecznego, działanie innych ciał niebieskich, itd., itp. Bez względu jednak na to co działa wyniszczająco na ludzi zamieszkujących Antypody, fakt jest że coś jednak tam działa. Jego efekty dają się wszakże odnotować.

Podobnie jak narazie zupełnie NIE wiemy co wyniszcza ludzi zamieszkujących Antypody, również narazie NIE wiemy jaki jest mechanizm tego wyniszczania. Wszakże teoretycznie rzecz biorąc działanie wyniszczające owego "słabego czynnika" może się dokonywać na tysiące różnych sposobów. Przykładowo, hipotetycznie może on wyniszczać ludność Antypodów poprzez odwrócenie cech męskości i żeńskości. Znaczący może powodować że np. kobiety na Antypodach nabierają nieco więcej cech męskich niż kobiety na północnych obszarach Ziemi, zaś mężczyźni na Antypodach nabierają nieco więcej cech żeńskich niż mężczyźni na północnych kontynentach. Owe niewielkie różnice mogą z kolei wystarczać aby ludność Antypodów miała negatywny przyrost naturalny i z upływem czasu wymierała. Albo przykładowo ów słaby czynnik może powodować że obie płci na Antypodach są nieco bardziej agresywne niż na północnych obszarach Ziemi. Natęstwem tego może z kolei być, że np. zamiast formować małżeństwa, populacja Antypodów tak się boi przeciwnej płci że albo woli mieszkać samotnie, albo też wiąże się w homoseksualne związki. Jakikolwiek jednak by NIE był ów cywilizacyjnie wyniszczający mechanizm działania owego "słabego czynnika", fakt jest że ów czynnik działa w praktyce. Wszakże na Antypodach zanika jedna cywilizacja za drugą. Coś więc musi powodować takie cywilizacyjne wyniszczanie.

Oczywiście, obecny poziom wiedzy ludzkiej jest zbyt niski aby teoretycznie wydedukować co naprawdę jest grane na Antypodach, że cywilizacje tam zanikają. Dlatego jedyne co nam pozostaje to gromadzić obserwacje i wyciągać z nich wnioski. Niniejsza część tej strony służy właśnie temu celowi. W następnym punkcie będę starał się gromadzić obserwacje tego co zdaje się być charakterystyczne dla Antypodów, a co raczej NIE występuje z równą mocą w północnych regionach Ziemi.

#G2. Ciekawostki opisujące odmienne niż w innych częściach świata tendencje mieszkańców Nowej Zelandii (odnotuj że podobne tendencje występują też w Australii):

Oto kilka cech opisujących ludność Nowej Zelandii, których istnienie typowo powodowałoby zdziwienie w większości innych rejonów świata.

Kontrybucja emigrantów. Jak to wyjaśniono w artykule ze strony A3 gazety The New Zealand Herald, wydanie z wtorku (Tuesday), June 10, 2008, w 2006 roku każdy emigrant statystycznie (tj. w przeliczeniu "na głowę") przysparzał gospodarce tego kraju \$3545, zaś każdy urodzony w Nowej Zelandii przysparzał statystycznie tylko \$915 (w oryginale angielskojęzycznym "each immigrapnt makes net impact of \$3547, against \$915 for NZ-born").

Najstarsza żarówka świata. Mieszkańcy Nowej Zelandii zachęceni są do aż tak oszczędnego obchodzenia się z elektrycznością, że to w tym właśnie kraju znajduje się najstarsza żarówka świata która do dzisiaj świeci. Na jej temat istnieje nawet specjalna strona internetowa o adresie <http://www.centennialbulb.org>. Na temat owej żarówki ukazał się artykuł o tytule "At 107, oldest lightbulb still a real livewire" ze strony B1 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z czwartku (Thursday), May 8, 2008.

Polityka polityków. W 1993 roku ówczesny przywódca kraju (Prime Minister) o nazwisku Jim Bolger sprzedał za grosze koleje państwowe Nowej Zelandii w obce ręce. Oczywiście, obcy właściciele szybko koleje te zdewastowali, tak że już wkrótce przestały one wypełniać przynależne im funkcje transportowe. Kiedy więc w 2008 roku z powodu zdewastowania i niskiej zdatności użytkowej rząd Nowej Zelandii zmuszony został odkupić owe koleje za bardzo słone pieniądze aby móc im przywrócić publiczną użyteczność, na prezesa przedsiębiorstwa nimi zarządzającego rząd ten wyznaczył nie kogo innego a właśnie owego Jim'a Bolger - po więcej szczegółów patrz artykuł "Govt: We paid top dollar

for rail" (tj. "Rząd: odkupienie kolei kosztowało nas ciężkie pieniądze"), ze strony A1 gazety The New Zealand Herald, wydanie datowane w środę (Wednesday), July 2, 2008.

Polityczne dowcipy. Wcale nie jest prawdą że powodem dla którego w Nowej Zelandii nie słyszy się politycznych dowcipów jest to że ci co usiłują je opowiadać lądują w Iraku, zaś ci co ich słuchają lądują w Afganistanie. Faktycznie w Nowej Zelandii można usłyszeć polityczne dowcipy zaś ja już natknąłem się aż na dwa z nich. O pierwszym z tych dowcipów dowiedziałem się zaraz po tym gdy był on opowiedziany przez Sir Roberta Muldoon (tj. byłego Prime-Ministra Nowej Zelandii) w dniu 6 marca 1992 roku podczas harytatywnego przemówienia w Szkole Podstawowej z Methven. Stwierdzał on że "Nowozelandczycy którzy emigrują do Australii podnoszą poziom IQ w obu tych krajach". (To zapewne z powodu owego dowcipu, zgodnie z artykułem "Kiwis flee nest in record numbers for new life in Australia" - tj. "Kiwi odlatują w rekordowych liczbach aby założyć gniazda nowego życia w Australii", ze strony A1 gazety The New Zealand Herald, wydanie z czwartku (Tuesday), November 25, 2008, w roku do października (October) 2008 wyemigrowało do Australii 47300 Nowozelandczyków - co stanowi ponad 1% całej populacji Nowej Zelandii.) Ów dowcip Sira Muldoon jest cytowany w niemal każdej biografii tego niezrównanego polityka - w mojej opinii największego jakiego Nowa Zelandia kiedykolwiek miała. Drugi z dowcipów politycznych jakie poznałem w Nowej Zelandii przeczytałem w artykule "Great Survival helps NZ have last laugh" (tj. "Wielka przyżyciówka pomaga Nowej Zelandii zaśmiać się jako ostatniej"), ze strony B5 gazety The Dominion Post, wydanie z poniedziałku (Monday), March 30, 2009. Ów dowcip stwierdza, cytuję "Hilary Clinton raz była zapytana przez Newsweek o dowcip. "Oto jeden bardzo dobry" odpowiedziała. "Helen Clark, były pierwszy-minister Nowej Zelandii: jej przeciwnicy kiedys odnotowali, że w przypadku wojny nuklearnej dwie rzeczy które wyłonią się z gruzów są karaluchy oraz Helen Clark". (W oryginale angielskojęzycznym: 'Hilary Clinton was once asked by Newsweek for a joke. "Here is a good one," she replied. "Helen Clark, former prime-minister of New Zealand: her opponents have observed that, in the event of a nuclear war, the two things that will emerge from the rubble are the cackroaches and Helen Clark." This week Miss Clark emerged spectacularly from the rubble. Her appointment as administrator of the United Nations Development Programme is probably as close to tailor-made as it gets.')

Koszta tradycji. Rolnicy Nowej Zelandii mają swoje tradycyjnie nawyki z jakimi NIE bardzo chcą się rozstać. Przykładowo corocznie wylewają oni cały ocean niebezpiecznych chemikaliów na swoje pola oraz w pyski swojej trzody. Spora proporcja owych chemikaliów jest już zakazana w wielu innych krajach świata. Jak też informuje artykuł "NZ exports at risk after insecticide found in beef" (tj. "Nowozelandzki eksport jest zagrożony z powodu chemikalii owadobójczych znalezionych w wołowinie") ze strony A10 gazety Weekend Herald, wydanie datowane w sobotę (Saturday), July 5, 2008, Nowa Zelandia może utracić zagraniczne rynki zbytu właśnie z powodu nadmiernych ilości zakazanych chemikalii obecnych w jej produktach rolnych. Z drugiej zaś strony, oprócz swych produktów rolnych, Nowa Zelandia obecnie NIE ma już niemal nic innego do zaoferowania światu na sprzedaż.

Dzieci a dyscyplina. Anglicy mają powiedzenie "Spare the rod and spoil the child" (tj. "pożałuj różgi a popsujesz dzieciaka"). Od niepamiętnych czasów generacje dzieci były więc uczone dyscypliny przy pomocy klapsów i różgi. Tymczasem jedna nowozelandzka posełczyni na sejm tak się zawzięła przeciwko klapsom, że sama jedna przeforsowała w sejmie prawo, iż każdy Nowozelandczyk który wymierzy klapsa swemu dziecku jest przestępcą i należy go za to wsadzić do więzienia. W ten sposób ona sama jedna jakby "zaszachowała" cały naród. Nie pomogły żadne pochody, protesty i apele tysięcy Nowozelandczyków. Wszakże - jak stwierdza to artykuł "Poll reveals we're still smacking" (tj. "Badania wykazują że my nadal dajemy dzieciom klapsa") ze stron A1 i A3 gazety The New Zealand Herald, wydanie datowane we poniedziałek (Monday), May 26, 2008, w świetle owego prawa większość rodziców staje się zwykłymi przestępcami bowiem ciągle czasami dyscyplinuje swoje dzieci poprzez danie im klapsa. Kiedy w końcu zdesperowani rodzice zgromadzili wymaganą liczbę wielu tysięcy podpisów które miały zmusić rząd do

przeprowadzenia referendum w owej sprawie wymierzania dzieciom klapsów, najpierw rząd oświadczył że jest za mało podpisów bowiem ktoś tam kto podpisał ową petycję NIE był uprawniony do głosowania. Po zgromadzeniu zaś owych brakujących podpisów wymaganych do rozpisania referendum, rząd oświadczył że jest już zbyt późno aby referendum to przeprowadzić. Więcej danych na ten temat w artykule "Smacking petition runs out of time" (tj. "Na petycję w sprawie klapsów jest już za późno"), ze strony A1 gazety The New Zealand Herald, wydanie datowane we wtorek (Tuesday), June 24, 2008. Jedyna pociecha dla sfrustrowanych tym prawem rodziców, że rząd który prawo to uchwalił podczas wyborów w 2008 roku został odsunięty od władzy (jak niektórzy twierdzili - w dużej proporcji właśnie dzięki głosom obywateli sfrustrowanych tym prawem.)

Lawinowa ucieczka Nowozelandczyków. Przez długi czas fakt masowej ucieczki Nowozelandczyków był jednym z tych tematów jakie się wstydliwie przemilcza. Dopiero na początku 2008 roku niektóre gazety owego kraju zaczęły nieśmiało przypominać rządowi, że brak pracy i zarobku, upadająca ekonomia, zamykanie rozwoju, itp., powoduje że młodzi i ambitni mieszkańcy Nowej Zelandii po prostu uciekają z owego kraju. W ten sposób Nowa Zelandia traci sól swego narodu - znaczy najbardziej zdolnych i niezbędnych gospodarce fachowców. Jak też się okazało, ucieczka ta jest masowa - z trochę ponad czteromilionowej Nowej Zelandii corocznie ucieka około 1% jego mieszkańców. Przykładowo, w artykule "Record numbers leaving to Australia" (tj. "Rekordowe liczby wyjeżdżają do Australii") ze strony A1 gazety The New Zealand Herald, wydanie datowane w czwartek (Thursday), October 23, 2008, ujawniono że w roku kończącym się we wrześniu (September) 2008 roku do Australii wyemigrowało 47200 Nowozelandczyków (tj. ponad 1% całej populacji kraju).

Część #H: Zatraskiwanie rozwoju cywilizacyjnego poprzez specjalne "potraktowanie" które w Antypodach (np. w Nowej Zelandii) typowo serwowane jest wynalazcom i odkrywcom:

#H1. Wysoce niszczycielskie przekleństwo wynalazców które prześladowuje wszystkich twórczych ludzi, oraz jego ofiary w Nowej Zelandii:

Czytelnik z całą pewnością nigdy NIE słyszał o jakimś ważnym wynalazku technicznym lub światoburczym odkryciu dokonanym na Antypodach, np. w Nowej Zelandii lub w Australii. Powód ku temu jest prosty. Nieprzyjazne ludziom prawa natury które panują w owym obszarze powodują że mieszkańcy Antypodów praktykują taką odmianę moralności, nabyli takich zachowań, oraz uformowali taki klimat intelektualny, jakie uniemożliwiają tam dokonanie czegokolwiek przełomowego - tak jak to wyjaśnia punkt #B7 na stronie o nazwie seismograph_pl.htm, lub punkt #B4.4 na stronie o nazwie mozajski.htm. To właśnie dlatego NIC przełomowego stamtąd dotychczas NIE weszło do trwałego dorobku technicznego ludzkości.

Prawdopodobnie niemal każdy słyszał o "przekleństwie faraonów". Zdaje się ono dopadać rzeczowych badaczy którzy starają się odkryć i potwierdzić tajemnicę pochodzenia ludzkości, poprzez badania piramid i starożytnego Egiptu. Niektórzy zapewne są świadomi, że istnieje również "przekleństwo Jagiellonów" które prześladowuje archeologów w Polsce. Ma ono tendencję do zabijania każdego kto stara się rzeczowo badać średniowieczny okres w historii Polski, tj. okres czasu kiedy "czarownice" i "diabły" ciągle operowały w sposób jawny, a także okres kiedy z mocarstwa europejskiego Polska została zepchnięta do roli nic nie znaczącego kraiku jaki później został poddany rozbiorem przez swoich sąsiadów. Jednak niemal nikt nie jest świadomym, że na naszej planecie działa również takie coś jak "przekleństwo wynalazców". Owo przekleństwo powoduje, że każdy moralnie postępujący wynalazca, który stara się dołożyć coś naprawdę nowego i ogromnie ważnego do dorobku naszej cywilizacji, zostaje ukarany na setki skrytych sposobów, a często w końcu nawet zamordowany. Jako przykład rozważ los Rudolfa Diesel (1858 - 1913), który opracował słynny silnik Diesel'a. Był on prześladowany przez owo "przekleństwo wynalazców" przez okres całego swojego życia, aż w końcu zniknął za burtą (tj. najprawdopodobniej został przez kogoś wyrzucony za burtę) podczas przeprawy przez Kanał Angielski. Jeśli ktoś czyta życiorysy znanych wynalazców którzy dołożyli do dorobku

naszej cywilizacji coś co reprezentuje "prawdziwy postęp" - tak jak ten prawdziwy postęp został zdefiniowany w punkcie #G4 na totaliztycznej stronie [eco_cars_pl.htm](#), wówczas okazuje się, że żaden z nich nie uchronił się przed następstwami "przekleństwa wynalazców". Praktycznie też żaden wynalazca nie odnosi korzyści ze swojego wynalazku, bez względu na to jak wartościowy wynalazek ten by nie był. Także wielu z nich umiera w samotności, opuszczeni przez wszystkich, w ubóstwie i brudzie, czasami zaś ich ciała muszą leżeć wiele dni zanim zostają przez kogoś odkryte. Jeśli istnieją jakieś odstępstwa od owej zasady, te zwykle zawdzięczane są rodzinom wynalazców, które to rodziny roztaczają nad nimi opiekę, a także zawdzięczane są innym źródłom dochodów niż te pochodzące z samych wynalazków. Stąd na przekór że praktycznie wszystko co nasza cywilizacja kiedykolwiek osiągnęła zawdzięczane jest twórczości moralnie postępujących wynalazców, kiedy przychodzi do spłacenia ich wysiłków, wynalazcy ci są oszukiwani i karani za dodawanie swojej kontrybucji do rozwoju ludzkości. Oczywiście Nowa Zelandia - podobnie jak cała reszta świata, posiada własny udział wynalazców, którzy byli, lub ciągle są, prześladowani przez owo "przekleństwo wynalazców". Poniżej w kilku podpunktach postaram się wyszczególnić tutaj chociaż niektórych z nich.

* * *

Odnotuj że definicja i szerokie omówienie mechanizmu działania "przekleństwa wynalazców" zawarte jest także w punkcie #B4.4 ze strony internetowej o nazwie [mozajski.htm](#), w "części #G" totaliztycznej strony o nazwie [eco_cars_pl.htm](#), oraz w punktach #D1 i #F1 strony internetowej [boiler_pl.htm](#). Przekleństwo to jest również omawiane dosyć szczegółowo w punkcie #K3 odrębnej strony internetowej [fe_cell_pl.htm](#) - o ogniwach telekinetycznych, oraz w punkcie #D5.3 strony internetowej [immortality_pl.htm](#) - o nieśmiertelności uzyskiwanej poprzez zbudowanie "wehikułów czasu". Dlatego jeśli kogoś interesuje ów temat wówczas być może powinien zaglądnąć na tamte strony.

#H1.1. Sposób na jaki owo wysoce niszczycielskie przekleństwo wynalazców dotknęło Richard'a Pearse - nowozelandzkiego budowniczego jednego z trzech pierwszych samolotów na Ziemi:

Richard Pearse pochodził z miejscowości zwanej Pleasant Point na Wyspie Południowej Nowej Zelandii. Był on jednym z trzech ludzi na świecie którzy zupełnie niezależnie od siebie wynaleźli i zbudowali samolot. Stało się tak ponieważ owo "przekleństwo wynalazców" zmusiło aby samolot był wynajdowany co najmniej 3 razy, zanim świat zdołał się dowiedzieć, że może on wogóle być zbudowany. Pierwszym wynalazcą samolotu był geniusz techniczny polskiego pochodzenia pracujący w carskiej Rosji, o nazwisku Aleksander F. Możajski. Jego losy opisane są dokładnie na stronie [Aleksander Możajski](#) dostępnej przez "Menu 1". Samolot Możajskiego był oblatany z sukcesem latem 1882 roku (znaczy 21 lat przed samolotem Braci Wright). Na nieszczęście, jego technicznie wyrafinowany samolot został efektywnie zgnieciony przez "biurokratów" Rosji carskiej. Ilustracja "Fot. #H2", zreprodukowana ze starej rosyjskiej encyklopedii, dokumentuje oficjalny pokaz lotu samolotu Możajskiego dla rządu carskiej Rosji. Drugi wynalazca który zdołał zbudować i oblatywać samolot był Nowozelandczyk o nazwisku Richard Pearse (1877-1953). Jego samolot dokonał pierwszego lotu w dniu 31 marca 1902 roku. Niestety, sąsiedzi tego wynalazcy oraz inni Nowozelandczycy, zaczęli go obrzucać takimi wyzwiskami za jego nietypowe zainteresowania, oraz tak uprzykrzyli mu życie, że Richard Pearse wylądował z ich powodu w domu wariatów. Stąd wynikiem takiego działania owego "przekleństwa wynalazców", było że świat nigdy nie dowiedział się o budowie i sukcesach tych dwóch pierwszych pionierów awiacji. Dopiero trzeci lot zakończony sukcesem, jaki odbył się w dniu 17 grudnia 1903 roku, tym razem na samolocie Braci Wright z USA, zdołał w końcu przebić się przez hermetyczną blokadę jaką "przekleństwo wynalazców" bez przerwy nakłada na postępowe wynalazki. (Zauważ, że opisy tragicznego losu Richard'a Pearse zawarte są w tomie 18 mojej monografii [1/5]. Z kolei wszyscy troje wynalazcy samolotu opisani są w podrozdziale V1 z tomu 17 monografii [1/5].) W chwili obecnej pomnik wystawiony Richardowi Pearse oraz jego samolotowi może być oglądnięty niedaleko od małego miasteczka zwanego Pleasant Point, na Wyspie

Południowej Nowej Zelandii (koło Timaru). Polecałbym oglądnięcie tego pomnika, jako że otwiera on nasze oczy na gorzki fakt, że "coś nie jest tak" z tymi wynalazkami i z losami wynalazców, a czego ludzie ciągle nie są świadomi.

Fot. #H1 (T3 z [10]): Pomnik Richard'a Pearce, przy nim zaś dr inż. Jan Pajak - czyli wynalazek i wynalazcy zniszczeni przez własnych rodaków. Powyższa fotografia pokazuje pomnik wystawiony Richard'owi Pearse oraz jego samolotowi. Pomnik ten wzniesiony został niedaleko małego miasteczka "Pleasant Point" z Wyspy Południowej Nowej Zelandii. Oznacza on miejsce w którym samolot Pearse'a z sukcesem został wypróbowany w locie. (Kliknij na to zdjęcie aby oglądnąć je w powiększeniu.)

Na przekór że Richard Pearse zbudował i oblatął swój samolot na około rok przed Braćmi Wright, owo "przekleństwo wynalazców" uniemożliwiło mu aby reszta świata dowiedziała się o jego wynalazku. Z kolei napięcie psychiczne i najróżniejsze prześladowania jakich doświadczył on wówczas od swoich rodaków, którzy nazywali go m.in. "pomyłonym Pearse" (tj. "Mad Pearse") oraz "bambusowy huj" (tj. "Bamboo Dick"), spowodowały że Pearse zmarł w domu wariatów - po szczegóły patrz punkt #D1 na stronie o nazwie mozajski.htm.

Fot. #H2 (T2 z [10]): Pierwszy samolot na świecie zbudowany został i oblatany w carskiej Rosji latem 1882 roku (tj. na 21 lat przed Braćmi Wright). Pokazany on jest na powyższej ilustracji zreprodukowanej ze starej rosyjskiej encyklopedii. Na nieszczęście, "przekleństwo wynalazców" spowodowało, że świat nigdy nie dowiedział się o tym samolocie, podczas gdy jego plany i prototyp gromadziły kurz w przepastnych archiwach carskiej Rosji. Więcej danych o samolocie Możajskiego można znaleźć na stronie mozajski.htm - o Aleksandrze Możajskim który jako pierwszy w świecie zbudował samolot. (Kliknij na to zdjęcie aby oglądnąć je w powiększeniu.)

Ludzie zwykle nie są świadomi, że zanim cały łańcuch korzystnych okoliczności dopomógł aby świat dowiedział się o samolocie Braci Wright, samoloty były wynajdowane, budowane i z sukcesem oblatywane przez trzech odmiennych wynalazców, którzy nawzajem nie wiedzieli o swoim istnieniu. Owi wynalazcy to: Polak Aleksander F. Możajski (z carskiej Rosji), Richard Pearse (z Nowej Zelandii), oraz Bracia Wright (z USA).

#H1.2. Sposób na jaki owo wysoce niszczyielskie przekleństwo wynalazców dotknęło Bruce'a Simpson - nowozelandzkiego budowniczego pulsacyjnego napędu odrzutowego:

Bruce Simpson pochodzi z Tokoroa. Wynalazł on i faktycznie zbudował efektywny, lekki, oraz prosty system napędowy, który nazwał "cruise missile" czyli "pocisk cruise" (ja wierzę że użył tej właśnie nazwy głównie z powodów propagandowych). Pechowo dla niego, "przekleństwo wynalazców" spowodowało jego szybkie bankructwo. Stąd nie jest on w stanie odnosić korzyści ze swojego wynalazku. Oczywiście, owa krzykliwa nazwa jaką nadał swojemu systemowi napędowemu nie pomogła mu ani w produkcji ani w sprzedaży jego atrakcyjnego napędu. Nie dopomogło mu też, że na przekór nazwania swojego wynalazku "cruise missile", faktycznie to zbudował on prosty i lekki system napędowy generalnego użytku, jaki mógł być używany np. w lekkich samolotach, jako pędniki bezpieczeństwa w szybowcach, a także do napędu łodzi w wodzie pełnej trawy lub błota. Tajemniczy los jego wynalazku oraz wymowny sposób na jaki sztucznie spowodowano jego bankructwo, były prezentowane w programie telewizyjnym "Sunday", nadawanym na kanale 1 TVNZ, w niedzielę (Sunday), 25 kwietnia (April) 2004, godziny 7:30 do 8:30 wieczorem.

#H1.3. Sposób na jaki owo wysoce niszczyielskie przekleństwo wynalazców dotknęło Bruce'a DePalma - nowozelandzkiego budowniczego generatora elektryczności o ponad 100% sprawności energetycznej:

Bruce DePalma mieszkał w Waiatarua (West Auckland). Wynalazł on efektywny

generator nazywany "N-Machine", jaki wykorzystuje odwrotność tarcia (telekinezę) do generowania darmowej elektryczności. Skrótowy opis jego generatora zawiera podrozdział LA2.2 z monografii [1/5]. Najbardziej kłopotliwy problem jego generatora, jaki prześladował DePalmę przez wiele lat i jaki uniemożliwiał przemysłowe wykorzystanie jego wynalazku, jest że generuje on bardzo wysokie natężenie, jednak niskie napięcie prądu. Niemniej po latach badań, Bruce DePalma podobno znalazł rozwiązanie do swojego problemu napięcia. Pechowo jednak, zanim zdołał urzeczywistnić to rozwiązanie w swoim generatorze, niespodziewanie zmarł w nowozelandzkim szpitalu w czwartek dnia 2 października 1997 roku, w wyniku masywnego krwawienia wewnętrznego. Z nim prawdopodobnie umarło również jego rozwiązanie dla problemu napięciowego. Filmy upowszechniane w ostatnich czasach ilustrują, że właśnie takie masywne krwawienie wewnętrzne jakie zabiło DePalmę, niezależnie od najróżniejszych naturalnych przyczyn może również zostać zaindukowane technicznie przez użycie broni która emituje potężną wiązkę dźwięków ultrasonicznych. Niemniej jest publicznym sekretem, że pokojowo nastawiona Nowa Zelandia nie posiada broni ultrasonicznej. Więcej na temat śmierci tego wynalazcy zawarte jest w podrozdziale W4 z tomu 18 monografii [1/5].

#H1.4. Sposób na jaki owo wysoce niszczyielskie przekleństwo wynalazców dotknęło John Britten - nowozelandzkiego budowniczego super-szybkich motocykli:

John Britten pracował i mieszkał w Christchurch. Był on prawdziwym geniuszem technicznym. Najbardziej znany jest z budowy swoich słynnych super-motocykli (patrz zdjęcie z "Fot. #H3"). Motocyklom tym na wyścigach nikt nie mógł dorównać. Ja miałem honor poznać go osobiście. Negocjowaliśmy bowiem wspólne podjęcie budowy komory oscylacyjnej i magnokraftu - niestety realizacja tych planów najpierw została odłożona z powodu mojego opuszczenia Nowej Zelandii w poszukiwaniu chleba, potem zaś ucięta śmiercią Johna. John zmarł nagle na raka w wieku około 45 lat w szczytowym okresie swojej twórczej działalności wynalazczej. Podobno na krótko przed śmiercią znalazł rozwiązanie dla mechanizmu aerodynamicznego machania skrzydłami które w korzystniejszej sytuacji pozwoliłoby mu na dokończenie z sukcesem budowy jego mięśniolotu. Można i powinno się zadawać pytanie, czy jego śmierć była przypadkiem, czy też premedytowanym wynikiem działania "przekleństwa wynalazców"?

Fot. #H3. Od około 2004 roku, w najważniejszym muzeum Nowej Zelandii zwanym "Te Papa", na 3-cim piętrze wystawiony był ten super-motocykl skonstruowany przez nowozelandzkiego geniusza technicznego o nazwisku John Britten. (Motocykl ten ciągle był tam wystawiany w styczniu 2010 roku, kiedy to dokonywałem kolejnej aktualizacji tej części niniejszej strony.) Niestety, ów niezwykle dobrze zapowiadający się wynalazca i konstruktor, niespodziewanie zmarł na raka w 1995 roku, w środku najbardziej twórczego okresu swego życia, w wieku około 45 lat. (Kliknij na to zdjęcie aby oglądnąć je w powiększeniu.)

Powinniśmy zadać sobie tutaj pytanie, czy jego śmierć to czysty przypadek, czy też działanie owego "przekleństwa wynalazców"? Wszakże wśród znajomych Johna Britten krążą rumory, że na krótko przed ujawnieniem się jego raka, John wynalazł efektywny mechanizm bicia skrzydeł w budowanej przez siebie wersji "mięśniolotu". Z kolei jest łatwo wydedukować, że zbudowanie na Ziemi urządzenia latającego napędzanego ludzkimi mięśniami, wprowadziłoby nieopisany postęp do naszej cywilizacji. Wiadomo zaś, że owo "przekleństwo wynalazców" działa tym bardziej brutalnie, im większy postęp ludzkości dany wynalazek jest w stanie wprowadzić.

#H1.5. Sposób na jaki owo wysoce niszczyielskie przekleństwo wynalazców dotknęło Peter Daysh Davey - nowozelandzkiego budowniczego awangardowej grzałki:

Peter Daysh Davey mieszkał i pracował w Christchurch. Wynalazł on nową zasadę działania dla grzałki do zagotowywania płynów - patrz "Fot. #H5" poniżej. Nasza cywilizacja desperacko zaś potrzebuje nowych zasad działania dla urządzeń

energetycznych. Jednak wynalazca ten tak był za to prześladowany przez agentów opisywanego tutaj "przekleństwa wynalazców", że jego grzałka aż do śmierci tego wynalazcy nie otrzymała oficjalnego pozwolenia wymaganego aby wdrożyć ją do produkcji fabrycznej - i to na przekór że jej wynalazca starał się o takie pozwolenie przez rekordowe ponad 60 lat od chwili jej wynalezienia. Więcej informacji na temat owej niezwyklej grzałki oraz na temat szokujących losów jej wynalazcy, zawarte zostało na odrębnej stronie internetowej boiler_pl.htm - o szokującej historii rewolucyjnej grzałki która bije wszelkie rekordy. Natomiast nieco więcej na temat samego Peter'a Daysh Davey zawarte jest w punkcie #H2 poniżej.

#H1.6. Sposób na jaki owo wysoce niszczyielskie przekleństwo wynalazców dotknęło także i mnie (dra inż. Jana Pająk) - tj. wynalazcy też zamieszkałego w Nowej Zelandii który wypracował zasady działania dla całego szeregu nieznanymi wcześniej urządzeń opisywanych na wielu totalizacyjnych stronach:

Oczywiście, ja uważam siebie samego również za ofiarę tego "przekleństwa wynalazców". Ja sam wszakże też wynalazłem sporo urządzeń technicznych i dokonałem licznych odkryć naukowych. Bez przerwy też staram się zbudować przynajmniej jeden z moich wynalazków. Jednak nieustannie natykam się na jakichś kolejnych wysoce niemoralnych osobników, którzy z najróżniejszych niskich pobudek niespodziewanie zwalają mnie na kolana, pozbawiają pracy i źródła zarobku, zmuszają do nieustannych zmian miejsc zamieszkania i wędrówek za chlebem, oraz niszczą moje szanse na urzeczywistnienie któregośkolwiek z owych wynalazków. Ja osobiście włożyłem więc wiele przemyśleń, wysiłku badawczego, oraz filozoficznych poszukiwań w ustalenie dlaczego tak się dzieje. Początkowo bowiem posądzałem, że wszystko to jest moja własna wina, a stąd zacząłem nawet ukrywać przed swoimi kolegami i swoimi przełożonymi moje faktyczne zdolności i faktyczne przedmioty moich zainteresowań naukowych. Jednak po latach błędzenia, w końcu moja filozofia totalizmu pozwoliła mi wyjaśnić jaki mechanizm działania się kryje za tymi nieustannymi kłopotami. Mechanizm ten nazwałem właśnie "przekleństwem wynalazców" - chociaż można by je też nazywać "anty-twórczymi przywarami społeczności wśród której się zamieszkuje". Wszakże działanie "przekleństwa wynalazców" jest tak zaprogramowane, aby każdego wynalazcę lub odkrywcę zawsze uzależnić i oddać w moc najbardziej niemoralnych, bo najsilniej zagłębionych w filozofię pasożytnictwa reprezentantów danej społeczności w której owe twórcze osoby właśnie zamieszkują. W ten sposób wynalazcy i odkrywcy zawsze są poddawani "odbijaniu sobie", naciskom, oraz prześladowaniom, jakie są najbardziej reprezentacyjne dla najniższego poziomu filozofii pasożytnictwa i moralności który został już osiągnięty przez część danej społeczności w gronie jakiej owi twórczy ludzie zamieszkują. Innymi słowy, z pomocą "przekleństwa wynalazców" Bóg uzależnia wzrost dobrobytu i postępu technicznego każdej społeczności od poziomu jej moralności, poprzez rzucanie wynalazców i odkrywców żyjących w gronie tej społeczności "na pożarcie" przez najbardziej niemoralnych i pasożytniczych jej reprezentantów. To z kolei powoduje, że urzeczywistnienie danego wynalazku lub odkrycia zawsze zmuszone jest postępować wzdłuż tzw. "linii największego oporu" jaki tylko dana społeczność jest w stanie wytworzyć na drodze swoich wynalazców i odkrywców - co wyjaśnia dokładniej punkt #B4.4 ze strony internetowej o nazwie mozajski.htm, oraz punkt #G1 na stronie eco_cars_pl.htm.

Oczywiście, Bóg genialnie zaprojektował "przekleństwo wynalazców", oraz wdraża je z isticie "żelazną ręką", aby stworzyć mechanizm który powoduje że niemoralne społeczności i niemoralne narody "same sobie wymierzają karę". Niefortunnie jednak, "produktem ubocznym" owego "przekleństwa wynalazców" jest, że poszczególni wynalazcy, jak ja, którzy zostają wessani do tego mechanizmu, stają się niewinnymi ofiarami społeczności wśród której żyją i pracują.

Nawet jeśli ktoś nie podziela moich poglądów, ciągle poprzez zwykłe ogarnięcie ogromnej liczby wynalazków i odkryć jakie w niezwyklej sposób są wytłumiane, prześladowane, lub niszczone, ten ktoś musi przyznać, że "coś dziwnego jest grane" oraz że ktoś lub coś w sposób zamierzony wytłumia istotne wynalazki na Ziemi.

Fot. #H4 (11 z [6/2]): Dr Jan Pajak i maszyna Wimshurst'a - czyli jeden z moich własnych wytłumionych wynalazków. Fotografia ta pokazuje mnie (dra inż. Jana Pajaka) trzymającego w rękach nową maszynę elektrostatyczną Wimshurst'a, którą zakupiłem z zamiarem użycia jej jako inicjującego podzespołu do budowy efektywnego urządzenia darmowej energii nazywanego "telekinetyczna influenzzmaschine" - po szczegóły patrz strona telekinetyka.htm - a urządzeniach telekinetyki. Oryginalnie jest to rysunek 11 z monografii [6/2]. (Kliknij na to zdjęcie aby oglądać je w powiększeniu.) W 1989 roku skompletowałem relatywnie szerokie badania tzw. "urządzeń darmowej energii". Urządzenia te wykorzystują odwrotność tarcia do generowania darmowej elektryczności. W taki sam sposób jak tarcie spontanicznie zamienia ruch na ciepło, również urządzenia darmowej energii spontanicznie zamieniają energię cieplną zawartą w swoim otoczeniu na ruch elektronów w przewodniku. Stąd ochładzają one swoje otoczenie, podczas gdy równocześnie generują one elektryczność dosłownie za darmo - znaczy bez potrzeby zasilania ich w jakiegokolwiek paliwo lub w jakąkolwiek inną formę energii. Ja sam wynalazłem moje własne urządzenie darmowej energii, które w tomie 10 monografii [1/5] opisane jest pod nazwą "bateria telekinetyczna". Zasada użyta w działaniu owej baterii telekinetycznej wyjaśniona została na moich stronach internetowych o "darmowej energii". Ponadto rozpracowałem wówczas również zasadę działania całej odmiennej klasy urządzeń darmowej energii, jakie noszą ogólną nazwę "telekinetycznych influenzzmaschine" (dla przykładu, słynna "Thesta-Distatica" ze Szwajcarii, która w chwili obecnej jest najbardziej doskonała ze wszystkich urządzeń darmowej energii zbudowanych na naszej planecie, należy właśnie do klasy telekinetycznych influenzzmaschine). Potem zdecydowałem się zbudować owe urządzenia. Niestety, zaraz po tym jak ukończyłem wykonywanie ich szczegółowych konstrukcji i zakupiłem podzespoły, przez ogromnie dziwny "zbieg okoliczności" w 1990 roku straciłem pracę na Uniwersytecie. Z kolei owa utrata pracy wykładowcy uniwersyteckiego uczyniła zupełnie niemożliwym skompletowanie któregokolwiek z urządzeń darmowej energii jakie wynalazłem. Wszakże, w tak przykrych sytuacji, znalezienie następnej pracy oraz przeżycie stało się moim najważniejszym zadaniem.

Powyższa fotografia pokazuje mnie kiedy trzymam w ręku fabrycznie nową maszynę elektrostatyczną Wimshursta, która jest głównym podzespołem dla konstruowania telekinetycznych influenzzmaschine. Tuż zaś za moimi plecami, na wysokości moich łopatek, zgrupowanie budynków kampusu uniwersyteckiego jest widoczne. Kiedyś miałem nadzieję że zbuduję tam telekinetyczną influenzzmaschine - niestety straciłem tam pracę zanim zdołałem osiągnąć ten cel. Proszę odnotować, że zasady działania i konstrukcja baterii telekinetycznych mojego wynalazku, a także telekinetycznych influenzzmaschine (znaczy jeszcze jednej klasy urządzeń darmowej energii do której to klasy należy słynna Thesta Distatica ze Szwajcarii), jest omówione szczegółowo na mojej odmiennej stronie internetowej jaka, między innymi, może być oglądana pod nazwą free_energy_pl.htm.

Nieco dalej na widnokręgu, powyższa fotografia pokazuje charakterystyczny stożkowy kształt miejscowego "Saddle Hill". Zgodnie z legendami Maoryskimi, we wnętrzu owego wzgórza mieści się duża jaskinia którą zajmuje "legowisko Taniwha'ry" - tak jak ono zostało opisane w pobliżu końca niniejszej strony internetowej. Ja osobiście znam uprowadzonego do UFO, który twierdzi że został uprowadzony do wehikułu UFO jaki zawisał we wnętrzu ogromnej jaskini podobno mającej istnieć w środku owego wzgórza.

#H1.7. Regularności odnotowalne w sposobie na jaki owo wysoce niszczycielskie przekleństwo wynalazców dotyka wynalazców oraz odkrywców:

Warto tutaj odnotować, że przykłady wynalazków i wynalazców dotkniętych omawianym "przekleństwem wynalazców" jakie wyszczególniłem na tej stronie, wcale nie wyczerpują ogromnego oceanu podobnych przypadków. Dalsze takie przypadki omawiam na stronie internetowej o "darmowej energii" oraz w podrozdziale W4 mojej monografii [1/5]. Przypadki jakie przedstawiłem tutaj są głównie nastawione na zilustrowanie: (a) kategorii

wynalazków jakie są zginiatane i prześladowane najbardziej zaciekle, (b) rodzaju przeszkód jakie są wznoszone na drodze owych wynalazków i wynalazców, oraz (c) sposobów na jakie wynalazcy są karani przez owo "przekleństwo wynalazców".

Jest łatwym do ustalenia, że najbardziej surowo karani przez owo "przekleństwo wynalazców" są ludzie którzy wynaleźli maszyny latające, jakiegolwiek rodzaju silników, lub jakiegolwiek rodzaju urządzeń generujących energię - czyli urządzenia które wprowadzają do ludzkości największy postęp cywilizacyjny. To z kolei prowadzi do ujawnienia regularności, że zaciekłość szkodliwego działania "przekleństwa wynalazców" jest zawsze proporcjonalna do znaczenia jakie dany wynalazek wnosi do naszej cywilizacji.

#H2. Peter Daysh Davey - czyli nowozelandzki wynalazca prześladowany "przekleństwem wynalazców" którego warto poznać - jest on wszakże "rekordzistą świata" którego wynalazek był blokowany przez ponad 60 lat (tj. przez ponad 2/3 długości jego życia):

W nowozelandzkim mieście Christchurch przez ponad 92-leta żył i zmagał się wynalazca o nazwisku Peter Daysh Davey. Aby zobaczyć zdjęcie tego wynalazcy wykonane w 1990 roku - kliknij na niniejszy zielony napis i patrz na starszego Pana z brodą (ta druga osoba na owym zdjęciu to ja - tj. Dr Jan Pajak). Aby zobaczyć zdjęcie tej wersji jego grzałki którą sfotografowałem około 1990 roku - kliknij na niniejszy zielony napis (też tam widoczna moneta ma 32 mm średnicy). Natomiast aby oglądnąć rysunek konstrukcyjny tejże grzałki - kliknij na niniejszy zielony napis. Wynalazca ten jest swoistym "rekordzistą świata" i według mojego rozeznania powinien znaleźć się w "Guinness Book of Records". Mianowicie jeszcze podczas drugiej wojny światowej (tj. w 1944 roku) wynalazł on nową zasadę działania dla grzałki do płynów. Niezwykłe losy tego wynalazcy i jego grzałki, prześladowanych opisanym poprzednio "przekleństwem wynalazcy", zaprezentowane zostały na stronie boiler_pl.htm - o szokującej historii rewolucyjnej grzałki która bije wszelkie rekordy. Grzałkę tą jej wynalazca opatentował oraz zbudował jej działające prototypy. Niestety, przez następnych ponad 60 lat ktoś systematycznie uniemożliwiali mu wprowadzenie owej grzałki do produkcji. W środę dnia 30 stycznia 2008 roku kanał 1 telewizji nowozelandzkiej pokazywał krótki reportaż (około 3 minuty) o owym wynalazcy oraz o jego działającej grzałce. Reportaż ten nadany został w wiadomościach wieczornych niemal dokładnie o godzinie 23:00. (Zapewne dysk DVD z nagraniem owego reportażu daje się zakupić od kanału 1 telewizji nowozelandzkiej.) Jednocześnie lokalna gazeta nowozelandzka z miasta Christchurch, o nazwie The Press, w swoim wydaniu ze środy (Wednesday), January 30, 2008, opublikowała na stronie A13 artykuł pod tytułem "Sax notes lead to off-beat boiler" (tj. "Nuty saksofonowe wiodą do nietypowej grzałki"). Artykuł ten informuje o istnieniu owej grzałki i jej wynalazcy. Na początku lutego 2008 roku treść tego artykułu była dostępna w Internecie pod adresem <http://www.stuff.co.nz/4379593a6530.html>. Pod owym adresem można wówczas też było kliknąć na link "Watch audio slideshow of Peter Davey" który otwierał krótki pokaz jaki demonstrował ową grzałkę w działaniu. W dniu 30 stycznia 2008 roku wynalazca tej niezwyklej grzałki obchodził właśnie swoje 92 urodziny. Jednocześnie jego walka o pozwolenie na podjęcie produkcji fabrycznej owej grzałki trwała już od rekordowych ponad 60 lat. W owym krótkim reportażu z wiadomości telewizyjnych, wynalazca ten ciągle wyrażał nadzieję że uda mu się pokonać przeszkody i wdrożyć swoją grzałkę do produkcji. Jednocześnie jednak do tego samego reportażu włączona też została krytyczna wypowiedź jakiegoś "eksperta-opiniodawcy" który na mnie sprawił wrażenie wysoce zawiedzionego że NIE jest w stanie stwierdzić iż owa grzałka nie ma prawa działać. W reportażu zademonstrowano bowiem że grzałka ta jednak działa i to natychmiast po jej włożeniu do zimnej wody, zagotowując tą wodę w czasie rzędu sekund.

Fot. #H5: Mr Peter Daysh Davey demonstrowuje swoją "grzałkę soniczną". Grzałka ta w dosyć tajemniczych okolicznościach została mu "zwrócona" na krótko przed wykonaniem powyższego zdjęcia. Niezwykła historia wynalazku grzałki Pana Davey, wraz z historią tajemniczego zwrócenia powyższej grzałki, opisana została na odrębnej stronie

internetowej boiler_pl.htm - o szokującej historii rewolucyjnej grzałki która bije wszelkie rekordy. (Kliknij na powyższe zdjęcie aby oglądnąć je w powiększeniu.)

Powyższe zdjęcie wykonałem w kilka dni po 92-gich urodzinach Pana Davey w dniu 30 stycznia 2008 roku. Niektóre fakty zdają się sugerować, że tak sędziwy jego wiek mógł być wynikiem picia wody zagotowywanej właśnie przez jego grzałkę. Wszakże Koncept Dipolarnej Grawitacji informuje, że jeśli pita woda jest odpowiednio natelekinetyzowana, wówczas nabiera ona cech mitologicznej wody życia dającej zdrowie i długie życie wszelkim organizmom żywym. (Więcej na temat "wody życia" wyjaśnione zostało w punkcie #E6 strony boiler_pl.htm - o szokującej historii rewolucyjnej grzałki która bije wszelkie rekordy.)

Moim osobistym zdaniem grzałka wynalazku Peter'a Daysh Davey jest aż tak unikalna i aż tak nowatorska, że gdyby to zależało odemnie, ja umieściłbym jej egzemplarz na honorowym miejscu w specjalnej sekcji zadedykowanej dla nowozelandzkich wynalazców i naukowców z Narodowego Muzeum Nowej Zelandii zwanego Te Papa. Mianowicie umieściłbym ją tam obok takich eksponatów, jak pierwszy samolot nowozelandzkiego wynalazcy o nazwisku Richard Pearse (pokazany na zdjęciu z "Fot. #H1" powyżej), czy pierwszy model atomu opracowany przez nowozelandzkiego naukowca o nazwisku Ernst Rutherford. Wszakże wszystkie owe wkłady cywilizacyjne, przechodziły przez podobne koleje losu, zaś ich twórcy w czasach kiedy tworzyli swój dorobek doświadczali bardzo podobnego potraktowania od innych Nowozelandczyków.

#H3. Techniczne cuda świata:

Ja osobiście wierzę, że na Ziemi ciągle znajduje się cały szereg technicznych cudów świata. "Sejsmograf Zhang Henga" opisany w następnym punkcie poniżej, a także na odrębnej stronie internetowej o nazwie seismograph_pl.htm, jest tylko jednym z tych cudów. Przez cuda owe rozumiem już zbudowane i sprawdzone w działaniu urządzenia techniczne, jakich zasada działania znacząco przekraczała stan wiedzy, nauki i techniki na Ziemi w czasach kiedy zostały one zbudowane. Teoretycznie więc rzecz biorąc, ludzie powinni być w stanie zbudować te urządzenia dopiero w odległej przyszłości w stosunku do czasów kiedy faktycznie się one pojawiły. Ich przedwczesne pojawienie się na Ziemi jest więc dla nas rodzajem znaku, na jaki powinniśmy zacząć zwracać uwagę. Oto najważniejsze z owych "technicznych cudów świata" o jakich istnieniu do chwili obecnej zdołałem się już dowiedzieć:

#1. Thesta-Distatica. Jest to telekinetyczny generator darmowej energii. Działający prototyp tego generatora znajduje się w posiadaniu szwajcarskiej Komuny "Methernitha" (po jego szersze opisy patrz podrozdział LA2.3 z tomu 10 monografii [1/5]). Wytwarza ona darmową energię elektryczną dosłownie z niczego, poprzez pozyskiwanie, za pośrednictwem zjawiska technicznej telekinezy (będącej odwrotnością dla zjawiska tarcia), energii cieplnej zawartej w otoczeniu oraz zamienianie tej energii w elektryczność.

#2. Radio kryształkowe. Jak to wyjaśniłem dokładnie w punktach #5 i #6.3 odrębnej strony internetowej o ogniach telekinetycznych, ponad pół wieku temu na Ziemi produkowane już były prymitywne prototypy telekinetycznych generatorów darmowej energii. Prototypy te nazywano "radiami kryształkowymi". Działały one doskonale produkując darmową elektryczność - tyle że w niewielkich ilościach. Faktycznie to były one jedynymi urządzeniami dotychczas produkowanymi masowo na Ziemi, które nie wymagały żadnej baterii ani innego zasilania w energię, a na przekór tego poprawnie wykonywały swoją pracę. Czyniły to właśnie ponieważ zawierały wbudowaną w siebie prymitywną wersję ogniwa telekinetycznego opisywanego na odrębnej stronie o ogniach telekinetycznych.

Ekspersi elektroniki wyjaśniają ów brak potrzeby dla zewnętrznego zasilania w energię w owych "radiach kryształkowych", poprzez twierdzenie że jakoby owe radia pobierały z anteny potrzebną im moc. Jednak, ja nigdzie nie mogę znaleźć opisów jakichkolwiek badań eksperymentalnych które by raportowały o kimś kto faktycznie pomierzył pobór mocy z anten owych radioodbiorników, oraz wykazał że ów pobór rzeczywiście pokrywa konsumpcję energii jaka w nich ma miejsce. Problem bowiem, na jaki

staram się tutaj zwrócić uwagę, polega na tym, że skoro faktycznie nikt nigdy nie dokonał eksperymentalnej weryfikacji iż radia kryształkowe rzeczywiście pokrywają z anteny swoje zapotrzebowanie na energię, w praktyce mogą one równie dobrze działać właśnie ponieważ ich obwody wyzwalały zjawisko odwrotności tarcia które jest podstawą działania ogniw telekinetycznych. Tyle tylko, że eksperci elektroniki po prostu nie zdają sobie sprawy z tego ogromnie istotnego faktu. Jest również dosyć znaczące, że poza owymi "radiami kryształkowymi" nigdy nie udało się zbudować jakichkolwiek innych urządzeń elektronicznych które by pokrywały swoje zużycie energii z anteny.

Obecnie wystarczy jedynie aby owe stare prototypy radioodbiorników kryształkowych odpowiednio udoskonalić, a otrzyma się ogniwa telekinetyczne pełnej wydajności i mocy. Do dzieła więc, bo bez nich nasza cywilizacja pomału obumiera. W punkcie #6 owej strony o ogniwach telekinetycznych zaproponowane zostało dokładnie, krok po kroku, jak w najprostszy oraz w najszybszy sposób tak przetransformować "radio kryształkowe" aby wypracować z jego obwodów konstrukcję i działanie ogniwa telekinetycznego generującego zatrząsienie darmowej energii.

#3. Mechanizm z Antikythera. Był to analogowy komputer astronomiczny który umożliwiał wyznaczanie położenia ciał niebieskich, daty zaciemnień, itp. Analizy wskazują że przykładowo był on w stanie uwzględniać niejednorodności w ruchu orbitalnym Księżyca z precyzją większą niż wiele dzisiejszych programów komputerowych. Komputer ten zbudowany był pomiędzy latami 100 a 150 BC, prawdopodobnie przez greckiego astronoma o nazwisku Hipparchos z wyspy Rhodes. Miał on wymiary 33x16x10 cm. Odkryto 30 kół zębatach z brązu z jakich się składał - aczkolwiek uważa się w rzeczywistości posiadał ich co najmniej o 7 więcej (część z nich zaginęła). W roku 1900 odkryto go we wreku starożytnego statku rzymskiego koło wyspy Antikythera (w połowie drogi pomiędzy Peloponnese a Crete). Na początku listopada 2006 roku ukazał się na jego temat artykuł w "Nature", który następnie był streszczony w dwóch nowozelandzkich gazetach, mianowicie w artykule "Ancient Greek computer yields its secrets" ze strony B3 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z soboty (Saturday), December 2, 2006, a także artykule "Ancient computer found on seabed" ze strony B4 nowozelandzkiej gazety The New Zealand Herald, wydanie datowane w piątek (Friday), December 1, 2006.

#4. Wieczna lampka. Nieprzerwanie wytwarza ona światło bez zużywania jakiegokolwiek energii. Opisałem ją w podrozdziale H6.1.3 z tomu 4 swej najnowszej monografii [1/5].

#5. Arka Przymierza (ta z Biblii). Opisałem ją dokładniej w podrozdziale S5 z tomu 15 swojej najnowszej monografii [1/5]. Dostępne dane dokumentują że było to najważniejsze urządzenie napędowe m.in. powodujące lewitowanie dzisiejszych wehikułów UFO - to dlatego ową Arkę nosili kiedyś tzw. "lewici". W dzisiejszych czasach urządzenie to nazywane jest komorą oscylacyjną.

#6. Bęben który grzmi. Jest to nieznanie bliżej urządzenie opisane starymi legendami południowo-wschodniej Afryki, które podobno miało indukować grzmoty, a stąd nazywane było "bębnem który grzmi" przez okoliczne plemiona (w miejscowym języku jego nazwa brzmi "Ngoma Lungundu"). Do historycznych czasów miało się ono znajdować w grocie ze świętej góry Dunebue z obszaru obecnego Zimbabwe w Afryce. Dostępu do niego miały strzec lwy albinosy (w tej części Afryki uważane za święte i posiadające nadprzyrodzone moce), oraz dwugłowy wąż. To zaś pośrednio sugeruje iż urządzenie owo wydzielalo jakiś rodzaj silnego promieniowania które powodowało mutacje genetyczne wśród lokalnej populacji lwów i węży. W pobliżu miejsca ukrycia tego urządzenia zamieszkiwało plemię lokalnie nazywane "Lemba". Jego unikalną cechą jest, że 52% członków tego plemienia posiada Y chromosom znany jako "Cohen Modal Haplotype" (CMH) który jest unikalny dla potomków starożytnego rodu izraelickich kapłanów - potomków Aarona, brata Mojżesza). Żadne inne plemię z Zimbabwe nie nosi owego chromosomu CMH. W języku owego plemienia "Lemba" urządzenie to jest zwane "głosem Boga" (po angielsku "the voice of God"). Informację na temat tego niezwykłego urządzenia zawiera niewielki artykuł [1#H3] o tytule "War of words over African artefact" (tj. "Wojna słów o stary afrykański eksponat") ze strony A18 gazety The New Zealand Herald, wydanie

datowane w poniedziałek (Monday), May 31, 2010.

O legendzie na temat owego urządzenia dowiedział się Profesor Tudor Parfitt z Modern Jewish Studies na Uniwersytecie w Londynie. Poszukuje on w Afryce zaginionych plemion Izraela. Kiedy więc w Museum of Human Science ze stolicy Harare w Zimbabwie natknął się on na wypalony z gliny stary eksponat który jeszcze w latach 1940-ch ktoś znalazł gdzieś w Zimbabwie, orzekł że ów eksponat to właśnie resztki tamtego historycznego "bębna który grzmi". Z kolei na temat samego bębna wysunął hipotezę, że był on biblijną Arką Przymierza, przeniesioną w starożytności do tej części Afryki przez Izraelickich kapłanów i starannie ukrytą w owej grocie. Jednak stwierdzenia owego profesora brzmią wysoce kontrowersyjne. Przykładowo, zdjęcie owego eksponatu pokazane w w/w artykule [1#H3] wyraźnie ujawnia, że wygląda on jak resztki starej glinianej kołyski dla dziecka. Na kołyskę wskazuje też zarówno zaokrąglony łukowaty kształt tego glinianego eksponatu, jak i jego wymiary (długość 1.14 metra, średnica 64 cm, wysokość 68 cm). Ponadto, eksponat ten ma okrągły kształt, podczas gdy wiadomo że biblijna Arka Przymierza była kwadratowa.

#7. Grzałka z Pakistanu. Miała ona kształt metalowej amfory pustej w środku. Nieprzerwanie zagotowywała ona wodę bez pobierania jakiegokolwiek energii. Została zniszczona gdzieś w latach 1950-tych przez naukowca angielskiego który ją rozciął aby zbadać co znajduje się w jej środku (okazała się być pusta). Zasada działania takich grzałek wynika ze zjawisk opisanych w podrozdziale H6.1.3 z tomu 4 monografii [1/5]. Według moich oszacowań, zasada ta była niemal identyczna do zasady działania grzałki telekinetycznej opisanej na stronie boiler_pl.htm - o szokującej historii rewolucyjnej grzałki która bije wszelkie rekordy. Tyle że jej powierzchnie omywane gorącą i zimną wodą dodatkowo były sprzężone zwrotnie poprzez oscylator z jej rezonującymi elektrodami. Dlatego gorąca i zimna woda która omywała te powierzchnie wyzwała działanie tzw. Efektu Seebeck'a, generując na tych powierzchniach ładunek elektryczny potrzebny do zadziałania owej amfory.

Na dodatek do powyższego, analizowałem i osobiście gwarantuję jako technicznie poprawne dwa następne przekazy telepatyczne, które zalecają nam zbudowanie dalszych takich cudownych urządzeń. Przekazy te są opisane w podrozdziałach K2 i K5.1.1 monografii [1/5], a także w odrębnych traktatach [7/2] i [7B]. Ponadto dokonywałem także badań dalszych dwóch starożytnych odpowiedników takich cudownych urządzeń, przykładowo tzw. "kamienia filozoficznego", oraz "orba" (czyli "jabłka monarszego"). Wyniki tych badań opublikowałem w rozdziale S monografii [1/5].

Więcej informacji na temat powyższych i innych niezwykłości zawarte zostało na stronach o telepatii oraz o Seismografie Zhang Henga.

#H4. Wykrywacz nadchodzących trzęsień ziemi - znaczy starożytny instrument jaki alarmuje o zbliżającym się trzęsieniu ziemi zanim ono nas uderzy:

Kolejnym urządzeniem na którym wyraźnie widać działanie w Nowej Zelandii owego "przekleństwa wynalazców", jest aparat do zdalnego wykrywania gotujących się trzęsień Ziemi. Nowa Zelandia leży na obszarze silnie zagrożonym trzęsieniami Ziemi. Co jakiś czas potężne trzęsienie Ziemi unicestwia tam znaczną proporcję mieszkańców. Taki aparat nosi więc w sobie potencjał aby uratować życie tysięcy ludzi. Na przekór jednak że od około 2003 ja niemal krzyczę że jestem w stanie zbudować taki aparat, jak narazie nadal pozostaję bezrobotnym zaś moja wiedza techniczna i naukowa oraz moja znajomość zasady działania tego aparatu pozostają niewykorzystane.

W Wellington, stolicy Nowej Zelandii, działa narodowe muzeum Nowej Zelandii o nazwie Te Papa. (W chwili kolejnego aktualizowania tej strony w styczniu 2008 roku wstęp do niego był bezpłatny - podobnie zresztą jak do większości innych muzeów Nowej Zelandii.) Z ogromnej liczby eksponatów wystawionych w owym muzeum, dwa polecałbym do szczególnie uważnego oglądnięcia. Są one bowiem rodzajami unikatów. Jednym z owych eksponatów polecanych tu do dokładnego oglądnięcia jest zdalny wykrywacz nadchodzących trzęsień Ziemi. Wykrywacz ten jest błędnie nazywany "seismografem Zhang Heng'a". Dlaczego ów zdalny wykrywacz gotujących się trzęsień ziemi jest warty

oglądnięcia, opisują to w niniejszym punkcie. Kolejnym eksponatem wartym oglądnięcia jest motocykl John'a Britten. Motocykl ten pokazany jest na "Fot. #H3" poniżej, zaś opisany w punkcie #H1.4 tej strony.

Jak prawdopodobnie każdy jest już tego świadomym, dzisiejsza nauka nie jest w stanie przewidzieć trzęsień ziemi zanim one nastąpią. Nasze dzisiejsze instrumenty, nazywane "sejsmografami" wskazują jedynie zaistnienie trzęsienia, jeśli trzęsienie to już potrząśnie samym instrumentem. Dlatego ujawniają one trzesienia ziemi dopiero po fakcie - czyli kiedy już dokona ono zniszczeń. Tymczasem proszę sobie wyobrazić, że tak dawno temu jak w roku 132 AD (czyli niemal 2000 lat temu), chiński genialny astronom i matematyk o nazwisku Zhang Heng zbudował urządzenie obecnie błędnie nazywane sejsmografem Zhang Henga. (Tj. opisy tego urządzenia wskazywane są przez wyszukiwarki jeśli nazwa "Zhang Heng seismograph" użyta jest jako słowa kluczowe.) Było ono w stanie ostrzec o zbliżającym się trzęsieniu ziemi na długi czas zanim owo trzęsienie uderzyło. Instrument tego geniusza jest aż tak zaawansowany, że - jak wyjaśnię to w dalszej części tego opisu, nawet dzisiaj wyprzedza ono stan naszej obecnej nauki ortodoksyjnej o co najmniej dalsze 100 lat. Aby było jeszcze bardziej interesujące, połowy wielkości replika tego cudownego urządzenia znajduje się w Nowej Zelandii. Może ona być ogladana w muzeum nazywanym Te Papa, a znajdującym się w Wellington. Ja osobiście wierzę, że oryginalne urządzenie jakie owa replika imituje, było jednym z "technicznych cudów świata". Gdyby w Wellington znajdowało się oryginalne i pracujące takie urządzenie, nie zaś jego wzrokowo-podobna replika, Nowa Zelandia mogłaby dumnie stwierdzić, że jest ono najbardziej zaawansowanym urządzeniem technicznym na nowozelandzkiej ziemi, oraz jednym z kilku nielicznych cudów technicznych naszej planety.

Urządzenie Zhang Henga faktycznie było skonstruowane w formie ozdobnej fontanny - patrz fotografia z "Fot. #H6". Kiedy też żadne trzęsienie ziemi nie nadchodziło, urządzenie to działało również jako ozdobna fontanna. Główny zbiornik na wodę owej fontanny miał kształt parabolicznej komory antenowej wykonanej z blachy miedzianej. Kształt ten w przekroju pionowym przypominał kształt dzisiejszych parabolicznych anten satelitarnych. Miał on tą cechę, że skupiał on dokładnie w swoim centrum większość promieniowania jakie docierało do owej komory antenowej z dowolnego miejsca na Ziemi gdzie właśnie gotowało się jakieś trzęsienie ziemi. Do obwodu bocznych ścianek tej komory antenowej przymocowanych było osiem pysków smoczych, z których wypływała woda. W każdym z tych pysków znajdowała się ciężka metalowa "perła". Pod każdym zaś z tych pysków smoczych ustawiona była mosiężna żaba, która faktycznie była głośnym dzwonem ulanym w kształcie żaby. Strumienie wody wylewające się z pysków smoczych zakreślały w powietrzu łuk, wpadając w otwarte pyski owych żab. Kiedy jednak nadchodziło trzęsienie ziemi, wówczas owa ciężka metalowa perła trzymana w pysku smoka od strony z której nadchodziło to trzęsienie, wypadała wraz z wodą i uderzała w mosiężną żabę poniżej. Jej uderzenie powodowało, że żaba (która faktycznie była głośnym dzwonem) wydawała bardzo głośny dźwięk dzwoniący. Dźwięk ten był właśnie alarmem ostrzegającym o nadchodzącym trzęsieniu ziemi.

Zasada działania opisywanego tutaj urządzenia bazuje na indukowaniu falami telepatycznymi zdecydowanych różnic w tarciu wody wypływającej z pysków owych smoków. W normalnym bowiem przypadku, kiedy żadne silne trzęsienie ziemi nie gotuje się w pobliżu tego urządzenia, woda jaka wypływa z pysków owych smoków formuje tzw. "wypływ laminarny". Wypływ ten jest doskonale znany z małego tarcia. Woda ta swoim tarcie nie jest więc w stanie wyrzucić ciężkich metalowych pereł leżących w owych pyskach w równowadze chwiejnej. Kiedy jednak gdzieś w pobliżu zaczyna się gotować trzęsienie ziemi, tarcie warstw skalnych indukuje potężne fale telepatyczne które docierają do komory antenowej owej fontanny. Paraboliczny kształt owej komory ogniskuje owo promieniowanie na wlocie do jednej z rur doprowadzających wodę do pyska smoka leżącego po stronie z której dane trzęsienie ma nadejść. Energia tego promieniowania telepatycznego zamienia teraz wypływ wody z owego pyska z poprzedniego "wypływu laminarnego" na tzw. "wypływ burzliwy". Wypływ zaś burzliwy ma już na tyle duże tarcie, że wyrzuca on perlę z pyska tego smoka. Z kolei upadająca perła podnosi alarm dźwiękowy

informujący wszystkich że trzęsienie ziemi właśnie nadchodzi. Ludzie mają więc czas aby uciec z budynków zagrożonych zawaleniem przez to trzęsienie ziemi.

Niefortunnie dla nas wszystkich, oryginalne urządzenie Zhang Heng'a zostało zniszczone. (Nie powinno to dziwić, zważywszy co wyjaśniłem o diabolicznych UFO-nautach na stronie o UFO-nautach.) Do naszych czasów przetrwały jedynie laickie opisy ludzi którzy widzieli je w działaniu, jakie wyjaśniają nam jak ono wyglądało. Jednak kluczowe szczegóły działania tego urządzenia pozostają nieznane. Szczegóły te, niestety, muszą być wynalezione i wypracowane całkowicie od początku (na szczęście ja jestem bardzo dobry w takim powtórnym wynajdowaniu). Dlatego też począwszy od słynnego 19-wiecznego wynalazcy angielskiego, Dra John'a Milne, który zbudował swój własny sejsmograf używany, między innymi, w Nowej Zelandii, najróżniejsi naukowcy ortodoksyjni spekulowali jak ów "Zhang Heng seismograph" może działać. Ponieważ patrzyli oni na owo urządzenie z perspektywy ich własnej wiedzy, wyjaśniali jego działanie na taki sam sposób jak działanie dzisiejszych sejsmografów. Mianowicie, zgodnie z nimi, urządzenie to wykorzystuje siły inercji do wzniesienia alarmu. Jedną z takich wydedukowanych konstrukcji tego urządzenia, pokazana została na rysunku dostępnym pod adresem internetowym international.tamu.edu. W ich więc zrozumieniu, to cudowne urządzenie działa niemal tak samo jak obecne sejsmografy. Na podstawie tamtych spekulacji wykonali oni też dzisiejsze repliki owego urządzenia. Jednak moje własne badania nad ową repliką z Wellington, a także analizowanie tego co wiem na temat urządzenia Zhang Heng'a, wskazują jednoznacznie że założenia które dzisiejsi naukowcy przyjmują są całkowicie błędne. Wszakże starają się oni opisać owo cudowne urządzenie jako prymitywną wersję dzisiejszych sejsmografów działających na zasadzie sił inercji. Tymczasem w rzeczywistości urządzenie to wykorzystuje doskonałą wśród starożytnych Chinczyków wiedzę na temat "chi", lub - jak my dzisiaj je nazywamy - "fal telepatycznych". Owo błędne wyjaśnienie inercyjne naukowców ortodoksyjnych nie ujawnia pełnych możliwości tego cudownego urządzenia, a na dodatek wprowadza wiele konfuzji. Ponadto z powodu swojej błędności, uniemożliwia ono zbudowanie prototypu który by zadziałał. (Wszystkie kopie tego cudownego urządzenia które zbudowane zostały przez dzisiejszych naukowców odmówiły działania! Powodem było że dla nich wszystkich naukowcy ci zakładali zupełnie błędną zasadę działania opartą na siłach inercji zamiast "chi".)

Ja sam interesuję się tym urządzeniem od 1993 roku, czyli od czasów kiedy podczas swojej profesury w Malezji usłyszałem o nim po raz pierwszy od zaprzyjaźnionych Chińczyków. Niestety, nie zdołałem wówczas ustalić gdzie jego oryginał się znajduje, nie stać zaś mnie było aby polecieć do Chin i tam go poszukiwać (dopiero niedawno dowiedziałem się że jego oryginał został zniszczony). Jednak skoro Dr Pająk nie mógł przybyć do sejsmografu, sejsmograf przybył do Dra Pajaka. W 2003 roku całkiem niespodziewanie dla siebie znalazłem to urządzenie w muzeum "Te Papa" odległym jedynie o kilka kilometrów od mojego ówczesnego mieszkania. Natychmiast też poddałem je analizom funkcjonalnym. W wyniku swoich badań rozpracowałem odmienne wyjaśnienie dla zasady działania dla "Zhang Heng Seismograph". Wyjaśnienie to już opisałem parę paragrafów wyżej, oraz streściłem je także w podpisie pod ilustracją "Fot. #H6". Jest ono całkowicie odmienne od tych zaproponowanych przez innych naukowców. Bierze ono bowiem pod uwagę działanie fal telepatycznych, na którym oryginalne urządzenie Zhang Heng'a bazowało. Jak bowiem się okazuje, starożytni Chińczycy wiedzieli znacznie więcej od nas o falach telepatycznych. Referowali oni do nich wówczas jako do energii "chi". Ponadto cała ich wiedza na temat tzw. "feng schui" to faktycznie wiedza o następstwach oddziaływania na losy ludzi określonych rodzajów fal telepatycznych. Stąd moje wyjaśnienie dla działania tego urządzenia ujawnia, że do wykrywania trzęsień ziemi zaprzęgnięte w nim zostały właśnie fale telepatyczne (chi). To zaś umożliwiało aby trzęsienia te wykryć na długi czas zanim zdołają one do nas dotrzeć i dokonać zniszczeń.

Zgodnie z moimi oszacowaniami, opisany tu telepatyczny wykrywacz nadchodzących trzęsień ziemi wyprzedza stan dzisiejszej nauki ortodoksyjnej o co najmniej 100 lat. Jest tak ponieważ nauka ortodoksyjna potrzebuje co najmniej 50 następnych lat aby się nauczyć czym właściwie są fale telepatyczne, potem potrzebuje następnych 30 lat

aby się nauczyć, że nadchodzące trzęsienia ziemi zawsze wysyłają ostrzeżenie uprzedzające - które przyjmuje właśnie postać wiązki potężnych fal telepatycznych (odbieranych w wyprzedzeniu m.in. przez zwierzęta), a potem jeszcze co najmniej 20 lat aby zbudować pracujące urządzenie telepatyczne jakie wykorzystywałoby tą wiedzę dla ostrzegania ludzi o nadchodzącym trzęsieniu ziemi. Stąd jeśli już ktoś będzie w Nowej Zelandii, wówczas sugerowałbym wstąpić do muzeum nazywanego Te Papa aby zobaczyć na własne oczy ten starożytny cud techniki, jaki na Ziemi zapewne zostanie zbudowany nie wcześniej niż za jakieś 100 lat. (Technicznie mógłby on być zbudowany już obecnie. Niefortunnie, dzisiejszy wrogi dla nowych idei klimat naukowy czyni to niemożliwym.)

Przy okazji omawiania tego cudownego urządzenia w podrozdziale K6.2 z tomu 9 monografii [1/5], przytaczam tam także kilka istotnych powodów, dlaczego urządzenie to NIE miało prawa działać na zasadzie inercji - czyli działać tak jak je obecnie wyjaśniają ortodoksyjni naukowcy, a faktycznie musiało działać na zasadzie fal telepatycznych (tj. "chi"). Oto najważniejsze z owych powodów:

1. Kształt. Wyprodukowanie w starożytności komory rezonansowej o kształcie parabolicznego lustra wklęsłego, o zarysie identycznym do dzisiejszych satelitarnych anten telewizyjnych było bardzo kosztowne i trudne. Zhang Heng nie ukształtowałby więc swego urządzenia w aż tak trudny sposób, gdyby użyta zasada działania tego nie wymagała. Tymczasem tylko urządzenie działające na "chi" wymaga ściśle parabolicznego kształtu. Urządzenia zaś działające na zasadzie sił inercji (tak jak nasze dzisiejsze sejsmografy) mogą mieć obudowę o dowolnie prostym kształcie, np. zwykłej skrzynki.

2. Fontanna. Jeśli owo urządzenie działa na zasadzie sił inercji, wówczas wcale nie musiało być budowane jako fontanna. Wszakże woda jedynie psułaby jego inercyjne działanie. Jednak woda jest absolutnie konieczna dla wykorzystania fal telepatycznych (tj. "chi").

3. Położenie głów smoczych w połowie wysokości fontanny. Gdyby ten instrument działał na zasadzie sił inercji, wówczas wyloty dla strumieni wody wcale nie powinny być wbudowane w połowie wysokości komory antenowej. Wszakże gdyby wyloty dla wody były tuż przy dnie komory antenowej wówczas uzyskiwane byłoby wyższe ciśnienie wylotu, a stąd fontanna taka działałaby znacznie lepiej. Za to wyloty wody w połowie wysokości komory antenowej są absolutnie konieczne dla wykorzystania fal telepatycznych. Wszakże właśnie w połowie wysokości znajduje się punkt ogniskowy w jakim fale te są skupiane.

4. Chi. Starożytni Chinczycy znali doskonale własności "chi" (tj. fal telepatycznych). Jednak niemal nie posiadali żadnej wiedzy na temat mechanicznych drgań gruntu i na temat sił inercji.

5. Symetria. Urządzenia pracujące na zasadzie drgań inercyjnych działają symetrycznie - jako że wibracje są zawsze symetryczne. Doskonale widzimy to na dzisiejszych sejsmografach, w których rysowana linia zawsze wychyla się o niemal tą samą wartość w obu kierunkach z punktu równowagi. Stąd gdyby urządzenie Zhang Heng'a pracowało na zasadzie inercji, wówczas dwie (a nie jedna) "perły" musiałyby zawsze wypadać z pysków smoków po przeciwstawnych stronach urządzenia. Z kolei fale telepatyczne (tj. "chi") powodowałyby że tylko jedna "perła" wypadła z pyska tylko jednego smoka. Starożytne opisy efektów działania tego urządzenia wyjaśniają, że zawsze wypadła z niego tylko jedna "perła".

6. Alarm dźwiękowy. Omawiane urządzenie służyło podnoszeniu alarmu dźwiękowego - to właśnie dlatego używało ono żab jakie wydawały głośny dźwięk bicia w dzwon. Gdyby jednak było to urządzenie inercyjne, wówczas podnosiłoby ono hałas tylko kiedy trzesienie ziemi już nim wstrząsnęło. Jednak alarm w takim przypadku wcale nie byłby już potrzebny, bowiem towarzyszyłby on doskonale dla każdego widocznym oznakom trzęsienia ziemi, takim jak np. zawalanie się budynków, przesuwanie się i upadanie mebli, kołysanie się podłogi, itp. Jedyne więc uzasadnienie dla użycia alarmu dźwiękowego jest, jeśli był on podnoszony na jakiś czas przed nadejściem właściwego trzęsienia ziemi, czyli jeśli urządzenie to działało na zasadzie fal telepatycznych (tj. "chi").

* * *

Zauważ że można zobaczyć powiększenie każdej fotografii z niniejszej strony

internetowej. W tym celu wystarczy zwyczajnie kliknąć na tą fotografię. Ponadto większość tzw. browser'ów które obecnie są w użyciu, włączając w to popularny "Internet Explorer", pozwala na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększyć, a także gdzie ją można wydrukować za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

Jeśli życzysz sobie przesunąć daną ilustrację (tj. fotografię lub rysunek), znaczy chcesz przemieścić ją w inne miejsce ekranu z którego właśnie czytasz jego opis, wówczas powinieś uczynić co następuje: (1) kliknąć na nią aby spowodować pojawienie się tej ilustracji (zdjęcia lub rysunku) w odrębnym okienku, (2) zmniejszyć wymiary tego odmiennego okienka (z danym zdjęciem lub rysunkiem) poprzez "złapanie" myszą jego prawego-dolnego narożnika i przesunięcie tego narożnika w górę-lewo aby otrzymać rozmiar tego odrębnego okienka jaki sobie życzysz mieć (odnotuj że kiedy raz zmniejszysz już rozmiar pierwszej takiej ilustracji, wówczas wszelkie następne kliknięte rysunki pojawią się już w owych zmniejszonych rozmiarach - chyba że je ponownie powiększysz w taki sam sposób), a następnie (3) przemieść to odmiennie okienko z ilustracją w miejsce strony internetowej w którym zechcesz je oglądać. (Aby je przemieścić złap je myszą za ten niebieski pasek na jego górnej krawędzi). Odnotuj też, że jeśli przesuniesz (suwakiem) tekst tej strony kiedy go czytasz, owo odrębne okienko z dodatkowym rysunkiem nagle zniknie. Aby je ponownie przywrócić w nowe położenie strony musisz kliknąć na jego "ikonkę" (nazwę) w najniższej części ekranu.

Fot. #H6 (K6 z [1/5]): Powyższe zdjęcie pokazuje telepatyczny wykrywacz nadchodzących trzęsień ziemi - tj. instrument zdolny do odbierania fal telepatycznych wysyłanych przez gotujące się trzęsienie ziemi i do podniesienia alarmu zanim trzęsienie to uderzy. Odnotuj, że znacznie bardziej dokładny opis tego niezwykłego urządzenia zawarty jest na odrębnych stronach internetowych [seismograph_pl.htm](#), oraz [telekinesis_pl.htm](#). (Kliknij na to zdjęcie aby oglądać je w powiększeniu.)

Zajmnie to nie mniej niż jakieś 100 dalszych lat zanim dzisiejsza nauka ortodoksyjna nauczy się jak budować takie urządzenia. Szokująco jednak urządzenie takie zostało już zbudowane w starożytności przez chińskiego geniusza o nazwisku Zhang Heng. Wykorzystuje ono starożytną wiedzę chińską o tzw. chi (czyli o "falach telepatycznych") dla wzniecania wczesnych alarmów ostrzegających przed nadciągającym trzęsieniem ziemi. Owe "chi" czyli "fale telepatyczne" które ono wykorzystuje w swoim działaniu, można sobie wyobrażać jako rodzaj dźwięku lub światła, który: (1) propagowany jest w odmiennym świecie, (2) rozchodzi się z nieskończone dużą szybkością, (3) każdy obiekt jest dla niego przezroczysty, stąd przenika on przez obiekty nawet tak ogromne jak ziemia czy słońce, oraz (4) częściowo odbija się on od praktycznie każdej powierzchni.

Nowa Zelandia otrzymała replikę powyższego cudownego instrumentu od zarządu miasta Beijing (Pekin) w Chinach. Owa replika jest jedną z pierwszych jakie udostępnione zostały poza granicami Chin. W latach 2003 do 2010 mogła ona być oglądana w narodowym muzeum Nowej Zelandii zwanym Te Papa z Wellington - stolicy kraju. Niestety, około czasu potężnego trzęsienia ziemi które zniszczyło niedalekie Christchurch, a które opisane jest w punkcie #C5 strony o nazwie [seismograph_pl.htm](#), instrument ten został raptownie usunięty z aktywnej wystawy. Czy jest więc możliwym że jego nagłe usunięcie zostało spowodowane np. zakłócającym spokój "nadprzyrodzonym" zachowaniem się tego instrumentu już na kilka dni zanim owo trzęsienie ziemi uderzyło w Christchurch - niestety, nie leży w moich możliwościach ustalenie prawdziwych powodów tego usunięcia. Więcej informacji na ten temat w podpisie pod "Fot. #D1" na stronie [seismograph_pl.htm](#).

Powyższe zdjęcie ilustruje również zasadę działania urządzenia Zhang Henga. Jak to wyraźnie widać z tego zdjęcia, urządzenie Zhang Heng'a przyjmuje postać metalowej fontanny, w której woda wylewa się z pysków ośmiu smoków wprost do otwartych ust ośmiu spiżowych żab (ropuszek) czekających poniżej. Smoki są przymocowane do komory antenowej w kształcie zbliżonym do dzisiejszych anten

satelitarnych oraz wypełnionej wodą. Osiem wlotów do rur które doprowadzają wyciekającą wodę, umieszczonych jest w pobliżu centrum tej komory. Z tych punktów wlotu, woda doprowadzana jest do ośmiu dysz wylotowych tej fontanny, jakie ukształtowane są ozdobnie na podobieństwo pysków smoczyc, oraz rozmieszczone w równych odstępach naokoło obwodu komory rezonansowej. Pionowe umiejscowienie i konfiguracja owych wlotów, rur, oraz pysków smoczyc jest tak dobrane, że woda jaka przez nie przepływa wykazuje to co nauka hydromechaniki nazywa przepływem laminarnym. Aby być w stanie dokładnie dostroić konfigurację pysków smoczyc oraz intensywność przepływu laminarnego wody, specjalny pionowy drążek sterowniczy umieszczony jest w centrum komory rezonansowej. Ów drążek połączony jest ze szczękami poszczególnych smoków za pośrednictwem układów dźwigni. Mechanizm owego drążka i dźwigni służy doregulowaniu siły przepływającej wody do poziomu wymaganego dla wyrzucenia danej "perły" z pyska trzymającego ją smoka. Dlatego mechanizm ten służy także do regulowaniu mocy trzęsienia ziemi jaka jest wymagana aby podnieść alarm. Pechowo jednak, dzisiejsi ortodoksyjni naukowcy interpretują ów drążek jako inercyjny mechanizm wyzwalaający, podobny do tego używanego w dzisiejszych sejsmografach.

Aby wszczać alarm poprzedzający trzęsienie ziemi, w pysku każdego smoka umieszczona jest ciężka metalowa "perła". Wielkość, ciężar, oraz kształt tej perły jest tak dobrany, że w normalnym przypadku laminarny przepływ wody nie wyrzuca jej z pyska danego smoka. Jednak tzw. "przepływ burzliwy" powoduje wypadnięcie tej perły z pyska smoka i jej wpadnięcie do otwartego pyska żaby siedzącej poniżej owego smoka. Miedziana komora antenowa posiada tak zaprojektowaną krzywiznę swoich parabolicznych ścianek bocznych, że ścianki te formują dla fal telepatycznych rodzaj "lustro parabolicznego". (Starożytni Chińczycy doskonale byli obznajomieni z falami telepatycznymi, jakie oni nazywali "chi".) Owo lustro paraboliczne odbija fale telepatyczne i koncentruje je na wlotach do rur które dostarczają wodę do pysków poszczególnych smoków z przeciwstawnej strony komory. W normalnych jednak okolicznościach, owe fale telepatyczne mają zbyt małą energię, a ponadto zbyt małą amplitudę oraz niewłaściwą częstotliwość, aby zakłócić przepływ laminarny wody przez usta któregośkolwiek ze smoków. Jeśli jednak nadciąga trzęsienie ziemi, wówczas trzęsienie to wzbudza potężne spiętrzenie fal telepatycznych ("chi"). Fale te mają energię oraz częstotliwość do jakiej komora antenowa została dostrojona. Amplituda i energia owych fal skoncentrowana na wlocie do rury która doprowadza wodę do pyska określonego smoka jest wystarczająco silna do zakłócenia "przepływu laminarnego" wody, oraz do przemienienia tego przepływu w tzw. przepływ burzliwy. Jak nauka hydromechaniki nas uczy, przepływ burzliwy formuje znacznie wyższe siły oporu i tarcia niż przepływ laminarny. Stąd ów przepływ burzliwy jest w stanie wyrzucić perłę z pyska danego smoka. Perła wpada do pyska żaby siedzącej poniżej. Z kolei owa żaba jest faktycznie rodzajem głośnego spiżowego dzwonu. Stąd, jeśli ciężka metalowa "perła" wpada do niego, dzwon ten wydaje bardzo głośny sygnał alarmu na zbliżające się trzęsienie ziemi. Stąd każdy wie, że potężne trzęsienie ziemi nadchodzi, każdy przygotowuje się więc na jego nadejście. Ponieważ krzywizna komory antenowej odbija fale telepatyczne jak wklęsłe lustro z powrotem w kierunku z którego one nadeszły, pojedyncza perła która wypada z pyska smoczego wskazuje także dokładny kierunek z jakiego owo trzęsienie ziemi wkrótce nadejdzie. Stąd urządzenie pokazane powyżej nie tylko że informuje iż potężne trzęsienie ziemi właśnie nadchodzi, ale także informuje z jakiego kierunku ono wkrótce przybędzie (stąd także czy np. jest ono w stanie wzbudzić fale tsunami, obsuwiska ziemi, itp.).

Jeszcze bardziej precyzyjne opisy konstrukcji i działania powyższego urządzenia znajdują się w podrozdziale K6.1 z tomu 9 monografii [1/5]. Z kolei informacje na temat fal telepatycznych jakie dobrze jest poznać dla lepszego zrozumienia działania tego urządzenia zawarte są w podrozdziale H7.1 z tomu 4 monografii [1/5]. (Monografia [1/5] dostępna jest nieodpłatnie za pośrednictwem niniejszej strony internetowej.)

* * *

Opisany powyżej telepatyczny sejsmograf wnosi możliwość uratowania od niechybnej śmierci niezliczone liczby ludzi którzy żyją na obszarach jakie w przyszłości

dotknięte zostaną gwałtownymi trzęsieniami ziemi. Ponadto posiada on ogromny potencjał komercyjny. Jeśli więc jego cena zdoła zejść do poziomu dzisiejszych domowych wykrywaczy dymu, niemal każda rodzina będzie chciała go posiadać w swoim mieszkaniu. Wszakże z wyprzedzeniem wystarczającym dla skutecznej ucieczki, ostrzegał on ją będzie przed ewentualnie nadchodzącym trzęsieniem ziemi. Dlatego obecnie, kiedy jego prawdziwa zasada działania jest już poznana, czas abyśmy zakasali rękawy, przetłumaczyli tą zasadę działania na dzisiejszy poziom technologii, oraz podjęli seryjną produkcję tysięcy takich urządzeń.

"Seismograf Zhang Henga" jest opisany w całym szeregu źródeł. Niezależnie od powyższego opisu omawia go również podrozdział K6.1 z tomu 11 monografii [1/5], jak również odrębna strona internetowa poświęcona wyłącznie temu seismografowi. Ponadto, wyniki badań nad budową i zasadą działania tego cudownego urządzenia prezentowane były w moim referacie na konferencję naukową ICST-2005. Referat ten można sobie przeczytać pod adresem konferencji ICST-2005.

Część #I: Zanikanie "pędu do wiedzy" - czyli dlaczego na Antypodach (np. w Nowej Zelandii) tak wiele nadal oczekuje swojego odkrycia i odkrywcy:

#I1. Dlaczego w Nowej Zelandii nadal tak wiele oczekuje na swego odkrywcę:

Aż do około 1840 roku Nowa Zelandia pozostawała dziczą odciętą od reszty świata. Zaraz po owym zaś terminie zamieszkujący ją ludzie byli głównie zajęci innymi sprawami niż tropienie jej tajemnic. Z kolei w obecnych czasach w Nowej Zelandii ukształtował się unikalny klimat intelektualny który powoduje że większość badaczy owego kraju nie zamierza ryzykować "wyhylenia się" poprzez podjęcie próby przebadania jakiegoś "tabu". Dlatego do dzisiaj ów kraj nadal ukrywa w sobie wiele tajemnic które reszta świata chętnie zapewne zechciałaby poznać. Z kolei fakt że np. w Nowej Zelandii działają jakieś ukryte hamulce które uniemożliwiają odkrycie i przebadanie wszystkich zawartych tam tajemnic sam w sobie jest kolejnym dowodem że na Antypodach faktycznie działają jakieś anty-cywilizacyjne moce które są silniejsze od instynktownego u ludzi "pędu do wiedzy". Moce te w przeszłości były, zaś dzisiaj nadal są, głównym powodem dla którego Antypody NIE dokładają swego własnego wkładu do rozwoju technicznego naszej cywilizacji. To więc wcale NIE Antypody niosą resztę Ziemi na swoich barkach, a reszta Ziemi zmuszona jest nieść Antypody w kierunku lepszej przyszłości.

#I2. "Śpiący olbrzym":

Największą atrakcją Nowej Zelandii nadal oczekującą na swego odkrywcę, jest gigantyczna figura ludzka tzw. Śpiącego Olbrzyma istniejąca gdzieś w niedostępnej dzicy półwyspu Coromandel. Wygląd i istnienie owej figury wyjaśniam dokładniej w punkcie #B2 odrębnej strony internetowej [god_proof_pl.htm](#) - o dowodach naukowych że Bóg faktycznie istnieje, a także w podrozdziale V3 mojej starszej monografii [1/4].

#I3. Dalsze ciekawostki Nowej Zelandii o których istnieniu słyszałem, jednak których osobiste przebadanie uniemożliwia mi narazie brak funduszy i brak czasu:

Na niniejszej stronie, a także na oryginalnej stronie [newzealand_pl.htm](#) - o tajemnicach i ciekawostkach Nowej Zelandii, opisałem cały szereg interesujących i tajemniczych faktów na temat Nowej Zelandii. Owe tajemnice wyczerpują listę tych jakie ja sam zdołałem dotychczas przebadać i opisać. Niezależnie od tych, w Nowej Zelandii istnieje cała masa dalszych tajemnic które nadal oczekują na swego odkrywcę. Być może że właśnie Ty czytelniku zechcesz zostać ich odkrywcą.

Oto wykaz dalszych tajemnic, o których istnieniu w Nowej Zelandii kiedyś już słyszałem, jednak które oficjalnie wcale dotąd NIE zostały odkryte i udokumentowane. (1) Mityczny niewidzialny kryształ zlokalizowany w geograficznym centrum Nowej Zelandii, jakiego podobno można dotknąć, jednak nie można zobaczyć. (Być może że kryształem tym jest komora oscylacyjna działająca w tzw. stanie telekinetycznego migotania - po

szczegóły patrz strona telekinesis_pl.htm - o telekinezie indukowanej technicznie.) (2) Tajna szkoła Maoryskich szamanów jaka wciąż operuje ukryta w dziczy Nowej Zelandii, a do jakiej egzamin wstępny polega na psychokinetycznym zrzuconiu ze stołu kamienia wielkości pięści - jednak bez fizycznego dotknięcia owego kamienia. (3) Dwie piramidy z Coromandel Peninsular; (4) Tajemniczy Wielki Mur Nowej Zelandii który jest jak miniaturową wersją Wielkiego Muru Chińskiego, Muru z Peru, czy Muru Hadriana z Brytanii (zbudowanego w 122 roku AD). (5) Legendarne plemię niezwykłych istot z mgły które podobno posiadają swoje podziemne miasto w nowozelandzkiej prowincji Firdland; oraz wiele więcej. Dlatego być może warto aby czytelnik uczynił coś aby dopomóc odkryć i przebadac także i te tajemnice.

#14. Istnieją też dalsze przykłady materiału dowodowego który dokumentuje zanik "pędu do wiedzy" u mieszkańców Nowej Zelandii:

Jednym z przykładów tego materiału dowodowego jest sytuacja z dzisiejszym systemem edukacyjnym owego kraju. Sytuacja ta najlepiej jest opisana w artykułach "Academics against primary standards" (tj. "Naukowcy przeciwko posiadaniu programu nauczania") ze strony A5 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie ze środy (Wednesday), November 25, 2009, czy "Sorting out the facts from the fiction about national standards" (tj. "Odzielenie faktów od fikcji na temat posiadania narodowego programu nauczania") ze strony B5 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z poniedziałku (Monday), November 30, 2009. Mianowicie, artykuły te raportują o zajadłej opozycji która rozpętała była w Nowej Zelandii pod koniec 2009 roku, kiedy to rząd owego kraju zdecydował się wprowadzić narodowy program nauczania w szkołach podstawowych. Jak wówczas się okazało, poprzednio nauczyciele owego kraju mogli uczyć co zechcieli, albo nawet zamiast lekcji zabierać dzieci do muzeów, kina, lub na boisko, ponieważ nie istniały żadne narodowe wymogi co i kiedy dzieci mają się nauczyć (tj. nie istniał narodowy, albo standardowy, program nauczania jaki obowiązywałby szkoły w całym kraju). Ów fakt nieistnienia takich narodowych standardów nauczania wyjaśnia moje zdumiewające doświadczenia po przylocie do Nowej Zelandii, że niektórzy studenci uczelni wyższych jakim wykładałem nie byli w stanie rozwiązać nawet bardzo prostych zadań które w Polsce dzieci rozwiązują już w szkole podstawowej.

Część #J: Kult działań generujących eksplozywny przepływ "energii moralnej" (przykładowo siły, mięśni, ratowania zamiast zapobiegania, itp.):

#J1. Jak ilustruje to filozofia totalizmu, wszystko co bazuje na "eksplozji" jest zawsze niszczycielskie, zaś wszystko co bazuje na "implozji" jest zawsze korzystne dla ludzi:

Prawa natury tak jakoś zostały zaprojektowane przez Boga, że wszystko co ma charakter eksplozji zawsze okazuje się niszczycielskie i niekorzystne dla ludzi, wszystko zaś co ma charakter implozji, zawsze okazuje się być budujące i korzystne dla ludzi. Aby podać tutaj kilka przykładów, silniki spalinowe napędzane benzyną, a także elektrownie cieplne, działają na zasadzie eksplozji. Jak też widzimy to dookoła siebie powodują one zanieczyszczanie powietrza, zatrucia otoczenia, zmiany klimatu, itp. Z kolei np. silniki elektryczne, baterie słoneczne, czy ogniwa fotoelektryczne, wszystkie działają na zasadzie implozji. Są więc one ogromnie korzystne dla ludzi i dla otoczenia. Dzisiejsze rakiety kosmiczne działają na zasadzie eksplozji i też są wysoce niszczycielskie. Z kolei magnokraft oraz wehikuł czasu działały będą na zasadzie implozji, ich więc zbudowanie i użycie okaże się ogromnie korzystne dla ludzkości.

Doskonałą ilustracją różnic pomiędzy następstwami implozji i eksplozji są dwie przeciwstawne filozofie obecnie upowszechniające się na Ziemi, które na totalistycznych stronach internetowych nazywane są totalizmem oraz pasożytnictwem. Totalizm działa na zasadzie "implozji" ponieważ jego uprawianie powoduje wysysanie tzw. "energii moralnej" z naszego świata fizycznego i przepompowywanie jej do tzw. "przeciw-świata". Natomiast filozofia pasożytnictwa działa na zasadzie "eksplozji" bowiem jej praktykowanie otwiera

wybuchowy przerzut "energii moralnej" z przeciw-świata do naszego świata fizycznego. Oczywiście, wszelkie pochodne działania ludzkie które są następstwami praktykowania jednej z tych dwóch filozofii, też powodują albo implozyjne albo też eksplozyjne zachowanie energii moralnej. Przykładowo działaniami powodującymi implozje energii moralnej są wszelkie formy: zapobiegania, pomagania innym, budowania, odkrywania i wynajdowania, przywracania pokoju, itp. Z kolei działaniami powodującymi eksplozje energii moralnej są wszelkie formy: wyniszczania, przeszkadzania, burzenia, zaprzeczania i utrudniania, wojny, itp.

Z punktu widzenia Boga odróżnianie pomiędzy narodami o dominujących implozyjnych oraz eksplozyjnych filozofiach życiowych, zachowaniach i działaniach, jest bardzo proste. Wszakże Bóg "widzi" przepływ "energii moralnej" (która dla ludzi pozostaje niewidzialna). Dlatego dla Boga społeczeństwa które w swej większości działają implozyjnie wyglądają jak ogromne odkurzacze które pochłaniają energię moralną i kondensują ją w przeciw-świecie. Natomiast społeczeństwa w których dominują postępowania eksplozyjne dla Boga wyglądają jak kratery czynnych wulkanów buchające tą energią. Najwyraźniej też Bóg nie bardzo zamierza tolerować społeczeństwa o eksplozyjnych filozofiach i zachowaniach. Jeśli bowiem się przeanalizuje wszelkie wielkoskalowe katastrofy naturalne jakie zdarzyły się na Ziemi w przeciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, wówczas się okazuje że ofiarami owych katastrof zawsze padały społeczeństwa i obszary w których filozofia i działalność ludzka miały właśnie charakter takich eksplozji energii moralnej. Przykładowo tsunami z 26 grudnia 2004 roku, trzęsienie ziemi w Haiti z dnia 13 stycznia 2010 roku (opisane w punkcie #C3 totalizycznej strony seismograph_pl.htm), a także wszelkie katastrofy naturalne opisane na totalizycznych stronach, np. na katrina_pl.htm czy seismograph_pl.htm, wyniszczały społeczeństwa i obszary których ludność indukowała eksplozyjne zachowanie się energii moralnej. Na bazie więc powyższego można stwierdzić, że społeczeństwa które zaniechują zachowań indukujących implozyjny ruch energii moralnej, zaś rozwijają zachowania powodujące eksplozyjny ruch energii moralnej, ryzykują że już wkrótce będą celem kolejnej naturalnej katastrofy.

Sprawa uzasadnienia dla naturalnych katastrof z punktu widzenia Boga omawiana jest też dokładniej w punkcie #B1 totalizycznej strony seismograph_pl.htm.

Przytoczmy teraz przykłady tych powszechnych na Antypodach działań ludzkich, których efekty sprowadzają się właśnie do powodowania eksplozyjnego przemieszczania owej "energii moralnej".

#J2. Gloryfikowanie rozwoju fizycznego, siły, mięśni, sportu, itp., przy jednoczesnym gubieniu rozwoju intelektualnego, wiedzy, przezorności, itp.:

Cywilizacyjny rozwój ludzkości ma jedynie wówczas miejsce, kiedy równocześnie z rozwojem fizycznym następuje rozwój intelektualny i duchowy. Tymczasem na antypodach najwyraźniej dominuje kult mięśnia i siły fizycznej, natomiast rozwój intelektualny ludzi zdaje się być zwolona gubiony gdzieś po drodze. Widać to przykładowo po ilości programów sportowych jakie nadawane są w telewizjach Antypodów, po ilości stron sportowych w tamtejszych gazetach, po nakładach rządowych na rozwój sportu w porównaniu np. do nakładów na rozwój badań naukowych, itd., itp. (Po przykład finansowania badań naukowych patrz artykuł "The complicated science of money distribution" ze strony B5 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z poniedziałku (Monday), December 14, 2009.)

#J3. "Ups - ratujmy" zamiast "zapobiegającego" stosunek do natury i do naturalnego środowiska:

W sprawach natury ludzie mogą albo dalekowzrocznie, przewidująco i rozumnie zapobiegać jej wyniszczaniu, albo też bezmyślnie ją wyniszczać a potem stwierdzać "ups, teraz trzeba ją ratować". Aczkolwiek w sposób czysto teoretycznie mieszkańcy Antypodów żywo dyskutują sprawę konieczności ochrony naturalnego środowiska, jak narazie swoje działania ograniczają oni głównie do owych dyskusji. Jak też narazie, w stosunku do natury postępują oni w typowy dla Antypodów sposób, tj. dużo siły a niewiele

wiedzy, przezorności i dalekowzroczności. (Przykładowo, w żadnym innym kraju na świecie nie widziałem tak zaawansowanej erozji życiodajnej gleby jak właśnie w Nowej Zelandii - jako przykład patrz punkt #B1 na stronie landslips_pl.htm.)

Fot. #J1. Gigantyczna dziura w Ziemi formowana przemysłowo. Sfotografowana z wysokości około 10 km w dniu 14 lipca 2008 roku. Aby docenić jej ogrom wystarczy porównać jej rozmiary do wielkości białych hal fabrycznych widocznych przy jej krawędzi. Dziura ta znajduje się w północno-zachodnim Queensland, Australia. Kiedy przemysłowe pozyskiwanie minerału zostanie w tym miejscu zakończone, owa dziura ciągle tam pozostanie. Jest ona wszakże zbyt duża aby ją zasypać. Z kolei jej istnienie wprowadzi wiele najróżniejszych zagrożeń. Przykładowo, będzie ona gigantyczną pułapką dla zwierząt i dla ludzi. Będzie przyciągała do siebie przestępców i przestępczą działalność. Wprowadzi tzw. "karb" do skorupy Ziemi, od którego z upływem czasu może zacząć narastać linia faultowa (czyli narastać pęknięcie skorupy które stanie się zaczątkiem trzęsień ziemi). Będzie już na wieki szpeciła swoją okolicę. Miejscowe władze będą miały z nią niekończące się kłopoty i utrapienie, ponieważ nie będą wiedziały co z nią uczynić i jak ją zabezpieczyć. ltd., itp. (Kliknij na to zdjęcie aby oglądnąć je w powiększeniu.)

Podobne gigantyczne dziury w ziemi istnieją też w Nowej Zelandii. Są one tam formowane w miejscach odkrywkowego wydobywania złota w Otago i na półwyspie Coromandel, a także w miejscach odkrywkowych kopalni węgla na Zachodnim Wybrzeżu. Tyle że ja narazie nie miałem okazji aby owe nowozelandzkie dziury sfotografować. Niemniej zdjęcia najsłynniejszej z tych dziur, tj. dziury z kopalni odkrywkowej złota zwanej Martha Mine z miejscowości Waihi na Coromandel, zainteresowani czytelnicy mogą sobie pooglądać na ilustracjach do artykułów gazetowych, np. do artykułu "Kiwi goldminers riding high" ze strony C3 gazety The Dominion Post, wydanie z czwartku (Thursday), May 13, 2010. W warunkach wysokiej niestabilności skorupy Ziemi i nieustannych trzęsień ziemi, owe nowozelandzkie dziury wprowadzają jeszcze więcej zagrożeń.

Na przekór że ludzkość wydobywa z ziemi sporo minerałów, formowanie gigantycznych dziur takich jak powyższa wcale NIE jest takie nagminne. Faktycznie nawęcej z nich prawdopodobnie istnieje właśnie na Antypodach. Przykładowo artykuł o tytule "7 amazing holes", który ukazał się na stronach U10 i U11 w dodatku "Streets" do malezyjskiej gazety New Straits Times, wydanie z piątku (Friday) July 25, 2008, wylicza tylko 7 takich szeroko znanych dziur. Z tej liczby 2 dziury są naturalnego pochodzenia (tj. (a) tzw. "sinkhole" z Gwatemali, tj. "dziura" która pojawiła się tam samorzutnie na początku 2008 roku i która dotychczas pochłonęła około tuzina domów i zabiła już co najmniej 3 ludzi, oraz (b) "Great Blue Hole", istniejące w oceanie, 60 mil od Belize). Natomiast pozostałe "dziury" tam opisane są ludzkiego pochodzenia. Najsłynniejsze z nich obejmują (1) "Kimberley Great Hole" w Afryce Południowej pozostałe tam po kopalni diamentów zamkniętej w 1914 roku - obecnie dziura ta stanowi największą i najniebezpieczniejszą "pułapkę" na świecie - ma ona głębokość 1097 metrów, w 2/3 wypełniona jest wodą, jest opuszczona i zaniechana, zaś jej pionowe, gładkie i nienadające się do wspinania ściany uniemożliwiają wydostanie się z tej pułapki wszystkiego co w nią przypadkowo wpadnie, (2) "Bingham Canyon Mine", Utah, USA - ta "dziura" używana jest do dzisiaj i stanowi ona największą dziurę na świecie ciągle w użyciu - jest ona 2.5 mili szeroka i 3/4 mili głęboka, (3) "Mirny Diamond Mine", Serbia, 525 metrów głęboka i 1200 metrów średnicy w górnej części, (4) "Diavik Mine", Canada, ta "dziura" jest tak duża, oraz położona jest na takiej dzicy, że ma ona własne lotnisko zdolne przyjąć samolot Boeing 737.

Część #K: Jak braki żywności ukształtowały kulturę plemion zamieszkujących Nową Zelandię:

#K1. Następstwa desperacji spowodowanej głodem:

Ze wszystkich niedostatków jakie ludzie mogą doświadczyć, głód prowadzi do

największych aktów desperacji. Wiadomo przykładowo że ludzie doprowadzeni głodem do ostateczności, posuwają się do kradzieży, łupienia (rabowania), rozboju, a nawet do ludożerstwa. Z tego powodu mi trudno jest zrozumieć dlaczego w Nowej Zelandii dla wyjaśnienia kanibalizmu (ludożerstwa) Maorysów pomija się znaczenie fizycznego głodu, zaś upowszechnia głównie duchowe wytłumaczenie. Mianowicie, wyjaśnienie to stwierdza, że Maorysi zjadali innych ludzi aby posiadać ich "mana". (Słowo "mana" w języku maoryskim oznacza rodzaj "energii pierwotnej" podobnej do "energii moralnej" wprowadzonej do użycia przez filozofię totalizm - czyli jakby symbol szacunku i poważania, które gromadzi dana osoba w trakcie swojego życia. Wielu badaczy uważa że słowo to jest pokrewne do biblijnej "manna" - czyli do czegoś co ludzie otrzymują od Boga.)

W rzeczywistości wszystko jednak wskazuje na to, że ludożerstwo weszło na stałe do kultury i zwyczajów Maorysów nie z powodów duchowych, a z powodu okresowego i powtarzalnego brakowania w dawnej Nowej Zelandii czegokolwiek co nadawałoby się do jedzenia, a także z powodu wygody użycia ludzi jako formy rezerwy żywnościowej. Kiedy bowiem jedzenie było dostępne, wówczas np. niewolnicy (których tam zjadano najczęściej i najpowszechniej) byli przydatni jako siła robocza, a także do innych celów. Kiedy zaś brak było żywności, wówczas ludzi łatwo było znaleźć i zjeść. Ciekawe poglądy na temat powodów ludożerstwa Maorysów wyraża artykuł "Canibalism had little to do with consuming enemies' mana, says historian" (tj. "Ludożerstwo nie miało wiele wspólnego ze zjedaniem mana wrogów, stwierdza historyk"), ze strony A6 nowozelandzkiej gazety "Weekend Herald", wydanie datowane w sobotę (Saturday), July 12, 2008.

Oczywiście, kiedy Maorysi pozjadali już wszystkich swoich niewolników, a desperacja śmierci głodowej nadal zaglądała im w oczy, wówczas zjadali też kogoś ze swego grona. Najczęściej też w tym celu wybierali jakiegoś młodzieńca, którego mięso było relatywnie miękkie, zaś naiwność ułatwiała jego bezdramatyczne zglądzenie. W programie telewizyjnym [2#K1] referowanym poniżej, zawarty był opis jak to się odbywało. Mianowicie, kiedy głód zaczynał doskwierać, starsi wojownicy zabierali młodzież na "wyprawę zwiadowczą". Wyprowadzali ją wówczas gdzieś ponad przepaść i zaczynali wskazywać coś ważnego w owej przepaści. Kiedy zaś któryś z niedoświadczonych młodzików zbyt mocno się wychylił aby to zobaczyć, jeden ze starszych wojowników dyskretnie (nieodnotowywalnie dla innych młodzików) popychał go w przepaść. Potem, gdy młodzik już roztrzaskał się na dole, inni przynosili jego zwłoki do osady oznajmiając że miał śmiertelny wypadek. Aby zaś jego mięso nie zmarnowało się w czasach powszechnego głodu, jego współplemieńcy go zjadali.

Z tamtych trudnych czasów do dzisiaj przetrwało aż kilka zwyczajów utrwalonych jakby na stałe w systemie genetycznym Nowozelandczyków. Jednym z nich jest zwyczaj który możnaby opisać powiedzeniem "huzia na Józia". Mianowicie, w Nowej Zelandii jeśli komus "powinno się noga" i z jakichś powodów nadejdą dla niego trudne czasy, wówczas inni współziomkowie zamiast mu pomagać, wszyscy zgodnie na niego napadają i go dobijają. Zwyczaj ten wyraźnie widać np. w programach telewizyjnych i gazetach, kiedy jakiś polityk, sportowiec, lub ważna figura, z jakiegoś mało znaczącego powodu znajdzie się w kłopotach, zaś nagle wszyscy inni na niego napadają i go wykańczają. Wszakże to dokładnie takie zachowania musiały być wypracowane w dawnej Nowej Zelandii aby umożliwić głodnemu plemieniu zjedzenie kogoś ze swoich współplemieńców. Mi to zachowanie przypomina ilustratywną scenkę z filmu "Galaxy Quest", 1999, kiedy to jeden błękitnoskóry mieszkaniec jakiejś odległej planety zranił sobie nogę, zaś z tego powodu wszyscy jego współplemieńcy na niego napadli i go zjedli. Innym zwyczajem przetrwałym z tamtych trudnych czasów wśród Maorysów, jest tradycja nadawania sobie "straszego wyglądu". (Taki "straszny wygląd" Maorysi i Maoryski przyjmują dzisiaj nawet podczas zwykłego tańca lub śpiewu. Przykładowo "wyłupiają" swe oczy aby wyglądać jak opanowani szaleńcami, przyjmują straszne miny, pokazują język, czynią groźne gesty, itp.) Chodzi bowiem o to, że jeśli ktoś potrafił przyjmować "straszny wygląd", wówczas miał większą szansę że jego współplemieńcy bali się go na tyle, że nie odważyli się go wybrać do zjedzenia podczas następnego okresu głodu.

Jak szeroko upowszechnione było ludożerstwo wśród niektórych plemion

Maorysów świadczą m.in. badania archeologiczne maoryskiego cmentarzyska odkrytego podczas poszerzania lotniska pasażerskiego w Auckland. (Badania te opisane są m.in. w artykule "Airpot dig unearths cut-up Maori bodies" - co znaczy "Wykopaliska z lotniska ujawniają poobcinane ciała Maorysów", ze strony A5 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z czwartku (Thursday), June 25, 2009.) Niemal każde ciało tam odkryte miało najbardziej mięsiste części powycinane i brakujące. Chociaż więc (aby nikogo nie urazić czy zadrażnić) w tym artykule wogóle NIE użyto słowa "ludożerstwo", jego dowody stają się oczywiste z ustaleń owego wykopaliska.

Na temat ludożerstwa panuje interesująca opinia, że ci co odwołują się do zjadania ludzi muszą mieć ku temu ogromnie istotne powody - np. są bliscy głodowej śmierci, lub zmusza ich do tego jakaś silna wiara czy religijne obrządki. Podobno bowiem Bóg tak stworzył ludzi, że smak ludzkiego mięsa jest ogromnie nieprzyjemny. Przykładowo, z czasów kiedy podczas drugiej wojny światowej zagładzani na śmierć więźniowie Hitlerowskich Obozów Koncentracyjnych czasami uciekali się do skrytego przeżuwania swoich wcześniej już zmarłych współwięźniów - tak jak to wyjaśniono w podpisie pod "Fot. #1" ze strony karma_pl.htm, przetrwały rumory że ciało ludzkie ma bardzo nieprzyjemnie "słodki" i niemal niemożliwy do przełknięcia smak. Na przekór tego, z jakichś powodów smak ten był dobrze poznany i opisywany w niemal wszystkich folklorach świata. Przykładowo, w folklorze Mongolii znana jest nawet legenda która wyjaśnia dlaczego "świstak" (powszechnie zjadany w Mongolii) ma mięso o smaku ciała ludzkiego. Legenda ta opisana jest pod tytułem "How the Marmot Got to Have Human Meat" (tj. "Jak świstak otrzymał ludzkie mięso") na stronie 27 z angielskojęzycznej książki [1#K1] pióra John'a Man, "Genghis Khan", Bantan Press, 2004, ISBN 0-593-05044-4.

Fakt kanibalizmu niektórych dawnych mieszkańców Antypodów dowodowo potwierdza tezę tej strony. Z kolei owa teza pomaga nam lepiej zrozumieć metody działania jedyne Boga - czyli wydatnie przyczynić się wypracowania lepszej przyszłości dla wszystkich ludzi. Dlatego jak każda prawda, kanibalizm dawnych Nowozelandczyków powinien być otwarty dla badań, podobnie jak otwarty dla badań jest kanibalizm w obozach koncentracyjnych Europy oraz kanibalizm niektórych dzisiejszych mieszkańców Europy (np. ów głośny przypadek z marca 2001 roku, kiedy to mieszkaniec Niemiec zjadł innego mieszkańca Niemiec; przypadek z Rouen we Francji z 2007 roku, opisany w artykule "Prisoner gets 30 years for eating cellmate" - tj. "Więzień ukarany 30 latami za zjedzenie współwięźnia", ze strony A3 gazety Weekend Herald, wydanie datowane w sobotę (Saturday), June 26, 2010; czy też rozpustne zjedzenie ludzkiego mięsa przez mieszkańców dekadentnego miasta-wyspy Wineta (Vineta) na Bałtyku, opisanego w punkcie #H2 strony tapanui_pl.htm). Niestety, w przeciwieństwie do Europy, gdzie badacze mają prawo zgłębiać i dyskutować otwarcie wszelkie historyczne fakty, w tym zaistniałe tam przypadki ludożerstwa, w Nowej Zelandii prawdę na temat ludożerstwa wstydliwie się ukrywa, zaś tych co ją poruszają zawzięcie się atakuje. Jak o tym przykro się przekonał nawet sam przywódca Nowej Zelandii, o ludożerstwie nie wolno tam nawet zażartować. Kiedy bowiem zapytany o powody dla których nie wziął udziału w maoryskim obiedzie stwierdził on żartobliwie, że u nich to on byłby na obiad, rozpętał tym prawdziwą burzę polityczną - po szczegóły patrz artykuł "PM joke inflames dispute with Tuho" (tj. "Żart premiera rozpałił kłótnię ze szczepem Tuho"), ze strony A2 gazety The New Zealand Herald (wydanie datowane w piątek (Friday), May 14, 2010) albo artykuł "Key gaffe receives global ribbing" (tj. "Gafa Key'a spowodowała globalne wyśmiewanie się") ze strony A4 gazety Weekend Herald (wydanie datowane w sobotę (Saturday), May 15, 2010). Mnie osobiście zaszokowały także niektóre fragmenty programu telewizyjnego [2#K1] o nazwie "60 minutes" nadawanego w poniedziałek dnia 6 października 2008 roku, o godzinie 19:30 do 20:30 na kanale 3 telewizji nowozelandzkiej. W programie tym dyskutowano właśnie niektóre tezy ludożerstwa Maorysów zaprezentowane w książce [3#K1] "This Horrid Practice" (tj. "Ta Straszna Praktyka") pióra Paul'a Moon, Profesora Historii na AUT - Auckland University of Technology. W owym bowiem programie zawarte zostały wypowiedzi kilku indywidualów które w opisanym poprzednio stylu "huzia na Józia" zaatakowały profesora tylko dlatego że ośmielił się badać ten temat. Podobnie ataki na

owego profesora opisane zostały w artykule "So little time, so many questions unanswered" (tj. "Tak mało czasu, a tyle pytań bez odpowiedzi") ze strony B7 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie ze środy (Wednesday), October 8, 2008. Opisuje je także jeszcze inny artykuł "Story upsets Maori" (tj. "Relacja obraziła Maorysów") ze strony A3 tej samej gazety The Dominion Post, wydanie ze środy (Wednesday), October 8, 2008. Dopiero niemal dwa lata później natknąłem się na artykuł o tytule "The view of a Maori with Pakeha ancestry" (ze strony B4 gazety The Dominion Post, wydanie z czwartku (Thursday), January 14, 2010), w którym piszący realistycznie przypomina jak przed przybyciem Europejczyków jedne szczepy Maorysów atakowały, gwałciły, zabijały, oraz zjadały inne szczepy, tak że dożycie wówczas Maorysa do wieku 40 lat było niemal cudem. Miejmy więc nadzieję, że logika i zdrowy rozsądek w końcu zapanuje i że ci co dotychczas starali się segregować prawdy według ludzi których one dotyczą zrozumieją w końcu, że każda prawda jest równa i że badania każdej prawdy służy stopniowemu wypracowywaniu lepszej przyszłości dla wszystkich mieszkańców Ziemi.

#K2. Zabawna i ciekawa historia miasteczka Riverton z południowego końca Nowej Zelandii:

Z ludożerstwem Maorysów związana jest dosyć zabawna i ciekawa historia małego miasteczka Riverton położonego na południowym końcu Nowej Zelandii. Warto aby czytelnik zapoznał się z ową historią, bowiem jest ona rodzajem unikat na skalę światową. Tylko na Antypodach takie zdarzenia mogły mieć miejsce.

Ja poznałem historię miasteczka Riverton z jakiegoś starego informatora turystycznego którego tytułu ani danych edytorskich już nie pamiętam (pamiętam jednak w której bibliotece kiedyś był on dostępny). Powtórzę więc tutaj swoimi słowami to co nadal pamiętam z tamtych opisów.

W okolicach obecnego Riverton zamieszkiwał kiedyś szczep Maoryski. Typowo dla ówczesnych Maorysów uprawiał on ludożerstwo. Kiedy więc dotarł do nich pierwszy zadedykowany misjonarz europejski który zamierzał przekonać ich do chrześcijaństwa, owi Maorysi po prostu wsadzili go do dużego garnka, ugotowali i zjedli. Widać jednak NIE był on dokładnie ugotowanym, bowiem po jego zjedzeniu cały szczep dostał paskudnej biegunki. Kiedy więc okoliczny busz stał się zbyt śliski aby do niego nadal wybiegać, Maorysi ci wysłali delegację do miejscowego szamana aby ten im poradził co mają czynić aby się wyleczyć z owej biegunki. Szaman najwyraźniej sympatyzował z owym europejskim misjonarzem, wszakże w pewnym sensie misjonarz ten był jego "kolegą po fachu". Poinformował więc swoich współplemieńców że biegunka owa jest karą od Boga za zjedzenie religijnego mężczyzny. Wtedy wódz szczepu zadeklarował, że jeśli Bóg uzdrowi ich szczep z tamtej paskudnej biegunki, wówczas z wdzięczności pierwszemu następnemu Europejczykowi jaki do nich zawita wódz ów odda swoją córkę za żonę, oraz podaruje duży połąć ziemi dla osiedlenia się. Tak się też stało. Tyle tylko że następnym Europejczykiem który do nich zawitał był australijski korsarz. Wódz jednak dał mu swoją córkę za żonę - tak jak wcześniej obiecał. Dał też mu dużą połąć ziemi do osiedlenia się. Korsarz ten osiedlił się na owej ziemi oraz założył tam osadę (zapewne dla innych swoich kamratów). Tak z czasem powstało nowozelandzkie miasteczko zwane Riverton zamieszkiwane obecnie przez ich dalekich potomków.

Miasteczko Riverton leży zaledwie jakieś 30 km na północny-zachód od Invercargill. Będąc w tamtych okolicach warto do niego wpaść na krótką wizytę. NIE ma bowiem drugiego takiego miasteczka na całym świecie.

#K3. Ptak morski zwany "mutton bird" - czyli do dzisiaj przetrwały przeżytek dawnego okresu braku żywności i konieczności zjadania nawet ptaków morskich:

Praktycznie niemal nigdzie na świecie NIE zjada się ptaków morskich. Jednak ptaki morskie zjadane są w Nowej Zelandii. Ich zjedanie jest bowiem przetrwałym do dzisiaj przeżytkiem z czasów kiedy NIE było tam niemal nic innego do jedzenia. Osobiście rekomendowałbym tym przybywającym do Nowej Zelandii spróbowanie jednego takiego ptaka - nazywanego "mutton bird".

Nazwa "mutton bird" jest przyporządkowana do niewielkiego ptaka morskiego o wielkości średniego kurczaka. Jego niezwykłością jest smak jakby ryby, połączony z potężnym smrodem jaki od niego bije. Faktycznie uważa się, że jest on najsilniej śmierdzącym ptakiem świata jaki mimo wszystko jest zjadany przez ludzi. Z powodu owego potężnego smrodu, kiedy przez swoją niewiedzę pierwszego takiego ptaka zabrałem do zjedzenia we własnym mieszkaniu, mieszkanie to tak nasiąkło jego smrodem, że potem aż przez kilka następných miesięcy miałem trudności z wejściem do mieszkania. Dlatego ptaka tego należy kupować już ugotowanego i podgrzanego na kuchence mikrofalowej, gotowego do zjedzenia z gorącymi "frytkami". Jeść też go trzeba na wolnym powietrzu, najlepiej na ławce w parku. Ptaka tego w stanie gotowym do zjedzenia (tj. gorącego i z frytkami) można nabyć tylko w jednym miejscu w całej Nowej Zelandii. Miejszem tym jest sklep rybny w mieście Invercargill. (Sprzedają go też w kilku innych miastach Nowej Zelandii, jednak jest on tam sprzedawany w stanie surowym, zaś z powodu jego smrodu NIE daje się go ugotować w mieszkaniu.) Jeśli więc ktoś przejeżdża przez Invercargill, zjedzenie jednego takiego ptaka powinno być wpisane do planu podróży. Dla Europejczyka przeżycie jest bowiem NIE do zapomnienia. Ja śmiem twierdzić, że ów "mutton bird" smakowo jest prawdopodobnie najtrudniejszym do zapomnienia dzikim ptakiem świata. W żadnym też innym miejscu świata NIE daje się już doświadczyć tak silnie śmierdzącego (choć zjadanego przez ludzi) ptaka jak ów "mutton bird".

#K4. Inne okropnie śmierdzące smakołyki świata:

Nowozelandzki "mutton bird" wcale NIE jest jedynym smakołykiem śmierdzącym aż tak mocno że nie daje się go zjeść w mieszkaniu, bowiem jego smród pozostaje tam potem przez całe miesiące. Poniżej wyszczególnię inne równie śmierdzące smakołyki, za którymi wielu ludzi (głównie miejscowych) wprost przepada - i to na przkór iż typowo śmierdzą one aż tak mocno że trzeba je zjadać na wolnym powietrzu, oraz że lokalne linie lotnicze, autobusy i hotele wydały przepisy zabraniające ich wnoszenia do środka. Ja osobiście wierzę, że podobnie jak każda osoba przygotowuje sobie wykaz miejsc na świecie które stara się zobaczyć w przeciągu własnego życia, każda osoba powinna też stworzyć wykaz potraw jakie będzie starała się zakosztować w swoim życiu - zaś wszystkie owe śmierdzące smakołyki powinny figurować na owym wykazie.

#K4.1. Malezyjski "durian" - czyli oficjalnie najsmaczniejszy owoc świata:

W tym miejscu warto wyjaśnić, że kolejnym innym równie okropnie śmierdzącym smakołykiem jak "mutton bird", jest owoc zwany durian. W stanie świeżym (tj. wprost z drzewa) najlepszy smakowo "durian" daje się spróbować tylko w Malezji. (Durian rośnie też w kilku innych krajach, jednak smakowo jest on tam podrzędny w stosunku do smaku durianów z Malezji.) Oficjalnie jest on tam uważany za najsmaczniejszy owoc świata. Jego opis zawarty jest w punkcie #D4 na totalizycznej stronie fruit_pl.htm - o tropikalnych owocach ze strefy Pacyfiku oraz o filozofii ich zjadania. Opisu tego nie będę więc tutaj już powtarzał.

#K4.2. Szwedki "surstromming" - czyli sfermentowany śledź bałtycki:

Tadycyjnym smakołykiem z północnej części Szwecji jest potrawa ze sfermentowanych śledzi bałtyckich, którą zjada się na chlebie jako kanapkę razem z kwaśną śmietaną, cebulą i ziemniakami. Śmierdzi ona tak mocno, że - podobnie jak nowozelandzki "mutton bird", nie nadaje się do jedzenia w mieszkaniu, a trzeba ją jeść na świeżym powietrzu. Na temat tej śmierdzącej potrawy czytałem artykuł "Swedes fight for smelly fermented herring" (tj. "Walka Szwedów o śmierdzący sfermentowany śledź"), opublikowany na stronie A17 gazety The New Zealand Herald, wydanie datowane w piątek (Friday), June 25, 2010.

#K4.3. Borneowski "cinchalok" i "belacan" - czyli sfermentowany shrimp indonezyjski:

Na samej tropikalnej wyspie Borneo, a także na obszarach i w krajach sąsiadujących z Borneo, miejscowi ludzie objadają się jeszcze jednym rodzajem wysoce

śmierdzącego przysmaku. Przysmak ten występuje w aż dwóch odmianach, na Borneo nazywanych "cinchalok" i "belacan". W sąsiednich krajach, np. Tajlandii, nazywa się on inaczej - chociaż sporządzany jest w/g podobnych receptur. Przyrządzany jest on z miniaturowego jakby raczka morskiego, albo krylu, jaki okresowo pojawia się w masowych liczbach w morzach z okolic Indonezji. Miejscowi ludzie tego raczka nazywają "gerago", stąd po angielsku nazywa się on "gerago shrimp". Po złowieniu jest on albo kiszony jak ogórki (pickled) wytwarzając gęsty i silnie śmierdzący sos zwany "cinchalok", albo też ucierany z solą i wysuszany na słońcu formując rodzaj pasty zwanej "belacan". Potem zaś jest zjadany jako dodatek do całego szeregu potraw. Śmierdzi on tak mocno, że jeśli ktoś zacznie się nim objadać w pobliżu Europejczyka nienawykłego do jego smrodu, wówczas owemu Europejczykowi może nawet zebrać się na wymioty.

#K4.4. Chiński "chow toufu" - czyli śmierdzący budyń sojowy:

Chińczycy kiedyś zwykli objadać się rodzajem wysoce śmierdzącego budyniu przygotowywanego z mleka sojowego i po chińsku zwanego "chow toufu". Po angielsku jest on grzecznie nazywany albo "soya been curd" albo też "pungent toufu", choć kolokwialnie znany jest głównie jako "smelly toufu" czyli "śmierdzący toufu". Śmierdzi on tak mocno, że kiedyś byłem na targowisku jakie miało jedno stoisko z tym smakołykiem, zaś jego smród czynił oddychanie trudne aż na całej długości ulicy. Kiedyś ów "chow toufu" można było znaleźć w każdym kraju zamieszkałym przez Chińczyków. Jednak z powodu tego silnego smrodu coraz więcej krajów zakazuje jego sprzedaży. Przykładowo, NIE można go już znaleźć w Singaporze ani w sporej części Chin, chociaż nadal zajadają się nim na Tajwanie i w Malezji.

Część #L: Dziwne istoty nadprzyrodzone, ślady działania których powtarzalnie pojawiają się w Nowej Zelandii:

#L1. Szkaradne 3+1 palcowe stwory:

Wystarczy w Nowej Zelandii wybrać się do dowolnego muzeum aby zobaczyć rzeźby i podobizny tych stworów. Wcale też istoty te NIE wyglądają na "aniołków". Mają one 3+1 szponiastych palców u rąk i u nóg, na ich twarzach wyraźnie widać wzór który Maorysi usiłują naśladować swoimi tatuażami zwanymi "moko", zaś ich penisy niemal zawsze są wzwiedzione i zaopatrzone w jakby plastikowe usztywniacze. W czasach masowej emigracji Maorysów do obecnej Nowej Zelandii owe dziwne stwory sterowały każdym aspektem życia Maorysów. Nieco więcej informacji na temat tych dziwnych istot, oraz kilka ich dalszych zdjęć, pokazano w części #G strony internetowej sw_andrzej_bobola.htm - o kościele Świętego Andrzeja Boboli w Miliczu. Z kolei zdjęcie rzeźby jednego z nich pokazuje "Fot. #L1" poniżej.

Jak też wykazują moje badania, owe dziwne 3+1 palcowe stwory rozciągają swoje działanie NIE tylko na Nową Zelandię, ale wręcz na całą Ziemię. Przykładowo, na "Fot. #4abc" i na "Fot. #6ab" ze strony internetowej sw_andrzej_bobola.htm pokazałem zdjęcia rzeźb owych stworów istniejących w Korei Południowej. W chwili kiedy byłem w Korei Południowej odnotowałem jak szybko i sprawnie istoty te "zorganizowały" usunięcie jednej ich rzeźby którą ja tam znalazłem i fotografowałem. Wiadomo także że istoty te znane były i działały w Australii - przykładowo na "Fot. 7b" ze strony aliens_pl.htm pokazałem wygląd "Baby Jagi" z 3+1 palcami wywodzącej się właśnie z folkloru Australii (Kliknij tutaj aby zobaczyć owo zdjęcie 3+1 palcowej australijskiej "Baby Jagi").

Fot. #L1. Oto jedna z rzeźb tajemniczych istot o 3+1 palcach, które sterowały kiedyś praktycznie każdym aspektem życia dawnych Maorysów. (Kliknij na to zdjęcie aby oglądać je w powiększeniu.)

Część #M: Podsumowanie tej strony:

#M1. Podsumowanie najważniejszego materiału dowodowego który potwierdza prawdę tezy tej strony:

Jeśli dokładniej się rozglądać, w oczy rzuca się całe zatrzęsienie materiału dowodowego który konsystentnie zdaje się potwierdzać prawdę tezy tej strony (tj. tezy że "warunki które Bóg stworzył na Antypodach działają wyniszczająco na długoterminowo mieszkających tam ludzi"). Najłatwiej potwierdzającą moc owego materiału dowodowego daje się odnotować jeśli moce i sytuację które panują na Antypodach porówna się z podobnymi mocami i sytuacjami panującymi w północnych regionach Ziemi. Wyliczmy więc tutaj chociaż najważniejsze kategorie owego materiału dowodowego.

(1) Brak owoców jadalnych. W każdym obszarze co do którego Bóg wiedział że nadaje się on do trwałego zamieszkiwania przez ludzi, Bóg przygotował takie środowisko naturalne, które sprzyjało tam długoterminowemu osadnictwu ludzkiemu. Kluczowym elementem przygotowania danego terenu do osadnictwa ludzkiego było porośnięcie go roślinnością która dawała pożywne owoce. Stąd najróżniejsze jadalne i smaczne owoce oraz jagody daje się znaleźć nawet na Syberii czy na Alasce. Z kolei na pustych i piaszczystych wyspach koralowych na których NIE ma nawet źródeł pitnej wody, Bóg posiewał dla ludzi "święte kokosy" - czyli najbardziej użyteczne owoce świata opisywane dokładniej w punkcie #D1 strony fruit_pl.htm - o tropikalnych owocach strefy Pacyfiku oraz o filozofii ich zjadania. Tymczasem jeśli przyglądać się Antypodom, faktycznie Bóg nie rozplenił tam żadnej roślinności która dawałaby jakieś jadalne owoce. Przykładowo w Nowej Zelandii oryginalnie nie było NIE tylko jadalnych owoców, ale praktycznie niczego co dałoby się zjeść. Jedyne więc co pierwotni mieszkańcy Nowej Zelandii mogli zjadać to robaki, małże, ryby morskie, ptaki morskie, oraz oczywiście samych siebie (ludożerstwo). Nie było tam nawet ryb całkowicie słodkowodnych, zaś po eksplozji Tapanui z 1178 roku wyniszczone tam nawet zostały jadalne ptaki "moa". Wszystko więc co jadalnego obecnie istnieje w Nowej Zelandii, przywiezione i rozplenione tam zostało przez ludzi. I tak Maorysi przywieźli tam ziemniaki i kumara, a także świnię, psy polarne, oraz szczury. Biali osadnicy przywieźli tam pozostałe rośliny owocowe, wszystkie pozostałe zwierzęta, a nawet ryby słodkowodne. Fakt jednak że ludzie przywieźli tam w końcu owoce wcale nie zmienia sytuacji że Bóg owoców tam nie przygotował na przybycie ludzi. To zaś implikuje że Bóg wiedział iż Antypody NIE nadają się na miejsce życia dla ludzi.

(2) Staranne omijanie Antypodów przez starożytnych podróżników kierujących się ESP (np. "feng shui") w swoich decyzjach. Antypody najwyraźniej były starannie omijane przez tych starożytnych podróżników którzy wykorzystywali ESP (np. używali "feng shui") w swoim podejmowaniu decyzji. Przykładowo, starożytni Chińczycy dokładnie znali położenie Nowej Zelandii, powtarzalnie wysyłali tam swoje flotyle eksploracyjne, jednak ich znajomość "feng shui" oraz "chi" energii najwyraźniej podpowiadała im aby NIE utrzymywali z Nową Zelandią stałych kontaktów handlowych, ani aby NIE zaczęli tam żadnego osadnictwa. Jeszcze staranniej starożytni Chińczycy omijali Australię.

(3) Dotychczasowe całkowite wyginięcie tylko w Nowej Zelandii aż kilku kolejnych cywilizacji. Jak to będzie wyjaśnione w części #F tej strony, w Nowej Zelandii tradycja mówiona Maorysów zawiera informacje że do dzisiaj wyginęło tam już aż kilka kolejnych cywilizacji. Niestety, australijscy Aborygeni nie kultywują tego rodzaju tradycji. Niemniej można szacować że w Australii wyginęło co najmniej kilkaset kolejnych cywilizacji.

(4) Rola jakichś szkaradnych stworów o 3+1 palcach w kolonizacji Nowej Zelandii przez Maorysów. Jeśli dokładniej przeanalizować Maoryski folklor mówiony, do skolonizowania Nowej Zelandii nakłoniły Maorysów jakieś szkaradne stwory o 3+1 palczastych rękach i nogach. Stwory te w żadnym wypadku NIE przypominają swoim wyglądem ani "aniołów" przysłanych przez Boga, ani też samego Boga. Nieco więcej informacji na ich temat, oraz kilka ich dalszych zdjęć, pokazano w części #G strony internetowej sw_andrzej_bobola.htm - o kościele Świętego Andrzeja Boboli w Miliczu.

(5) Panowanie na Antypodach jakby odmiennych modyfikacji praw fizycznych które powodują wyniszczanie i zanik najróżniejszych istotnych jakości cywilizacyjnych u

zamieszkałych tam ludzi. Aczkolwiek nie jest to możliwe do ilościowego uchwycenia, na Antypodach niemal wszystko działa na nieco odmiennych zasadach niż na reszcie naszej planety. Niektóre z tych działań są dokładnie odwrotne do działań obserwowanych na północnych obszarach Ziemi. Kilka przykładów w tym względzie przytoczyłem w części #G tej strony.

(6) Fascynacja siłą, ciałem i przemocą u ludzi zamieszkujących Antypody. Owa fascynacja moim zdaniem jest jedną z manifestacji działania na Antypodach nieco odmienniejszej modyfikacji praw natury niż na reszcie naszej planety.

(7) Zatrząskiwanie rozwoju cywilizacyjnego. Na Antypodach działają jakieś unikalne moce które uniemożliwiają dokonywanie przez mieszkańców owego regionu niezależnego od innych obszarów rozwoju cywilizacyjnego. Stąd praktycznie cały postęp i rozwój cywilizacyjny Antypodów wywodzi się "z importu".

(8) Zanik "pędu do wiedzy". Zanik ten omówiono w części #I niniejszej strony. Przykładem jednego z objawów tego zaniku jest że w Nowej Zelandii nikt miejscowy NIE bada tajemnic tego kraju ani nie bada czegokolwiek innego na temat czego ujawnienie prawdy mógłby się komuś narazić. Innym przykładem jest tam obecna sytuacja w sprawach edukacji.

* * *

Oczywiście, w każdej z powyższych klas dowodowych istnieje obszerny materiał dowodowy który podpira prawdę głównej tezy tej strony. Dlatego każdą z tych klas będę omawiał dokładniej w odrębnej części tej strony która nastąpi dalej. I tak materiał dowodowy do klasy (1) powyżej omawiam dokładniej w części #C tej strony, do klasy (2) - w części #E, itd.

#M2. Jak niniejsza strona powstała - czyli jej historia:

Niniejsza strona faktycznie jest produktem tych samych niszczycielskich mocy działających na Antypodach, których istnienie i działanie strona ta stara się zdemaskować. Mianowicie, strona ta faktycznie powstała ponieważ jestem bezrobotnym (jednak nie otrzymuję zasiłku dla bezrobotnych). Gdyby bowiem w Nowej Zelandii istniały warunki które stwarzałyby zapotrzebowanie na moją ekspertyzę i pracę, wówczas zajmowałbym się rozwiązywaniem konkretnych problemów wynikających z owej pracy. Skoro jednak NIE posiadam pracy, moja uwaga zaczyna się kierować na bardziej filozoficzne pytania w rodzaju "dlaczego tak jest", "jakie są tego przyczyny", itd., itp. Na dodatek, brak pracy powoduje także że NIE ryzykuję jej utraty z powodu opublikowania wyników swych dociekań. Wszakże gdybym pracował, wówczas mając na uwadze raczej odmienną na Antypodach reakcję na prawdę niż reakcje które prawda generuje w północnych rejonach Ziemi, absolutnie bałbym się opublikować cokolwiek na temat prawd które staram się zgłębiać rozważaniami z niniejszej strony.

Do tezy i do materiału dowodowego które prezentuję na niniejszej stronie wcale NIE dotarłem w wyniku jakiegoś pojedynczego impulsu czy przypadku. Faktycznie stanowią one produkt końcowy relatywnie długiego łańcucha dociekań, opracowań, ustaleń, przemyśleń, wniosków, itp. Wyliczmy więc teraz podstawowe ogniwa owego łańcucha, ujawniając skąd się wzięła teza i materiał dowodowy niniejszej strony.

1. Formalny dowód naukowy na istnienie Boga. Dowód ten zainicjował wszelkie dociekania. Wykazał on bowiem że wszystko co istnieje we wszechświecie zostało stworzone przez Boga, a także że absolutnie NIC się nie dzieje na Ziemi ani w naszym życiu, bez wiedzy, bez zgody, oraz bez nadzoru nadrzędnej istoty wszechświata przez ludzi nazywanej Bogiem. To zaś oznacza, że ów Bóg doskonale zna warunki jakie stworzył na poszczególnych kontynentach i ziemiach, a stąd wie gdzie warunki te są sprzyjające osadnictwu ludzi, a gdzie warunki te działają wyniszczająco na ludzi. Oczywiście, z powodów opisanych na stronie will_pl.htm, Bóg dał nam tzw. "wolną wolę" w tym co zdecydujemy się uczynić. Chociaż więc Bóg wie że każdy kto zwiąże swoją przyszłość z Antypodami ulegnie w końcu zagładzie, Bóg nie może "uszcześliwiać ludzi na siłę" i uniemożliwiać ludziom osiedlanie się na Antypodach - jeśli ci uprą się aby wytrwać przy opcji własnej zagłady.

2. Przygotowanie Ziemi na przyjęcie człowieka. Jak to zilustrowałem m.in. na stronie [fruit_pl.htm](#), tam gdzie Bóg chciał widzieć osadnictwo ludzi, odpowiednio przygotował On naturalne środowisko zanim stworzył tam i osadził człowieka. Przykładowo Bóg rozplenił tam jadalne owoce i stworzył warunki dogodne dla rozwoju cywilizacyjnego ludzi.

3. "Zasada Dwubiegunowości". Zasada ta opisana jest w podrozdziale I4.1.1 z tomu 5 monografii [1/5]. Zgodnie z nią Bóg nigdy nie tworzy tylko jednego bieguna dla czegokolwiek, a zawsze tworzy dwa przeciwstawne bieguny. Jako przykłady rozważ dwa bieguny pola magnetycznego i pola elektrycznego, albo rozważ dobro i zło. Innymi słowy, aby zagwarantować warunki sprzyjające rozwojowi cywilizacji ludzkiej, Bóg musiał gdzieś stworzyć "pozytywny biegun cywilizacyjny". Na biegunie tym Bóg tak musiał podbierać działanie najróżniejszych praw, pól, oraz warunków, aby osiadła tam cywilizacja ludzka mogła się rozwijać fizycznie, duchowo, technicznie i społecznie, dorabiać, żyć w relatywnym dobrobycie, rosnąć, itd., itp. Z kolei skoro Bóg stworzył już na półkuli północnej Ziemi obszar który sprzyja owemu dobrobytowi i rozwojowi cywilizacyjnemu ludzkości, z owej "Zasady Dwubiegunowości" wynika że Bóg zmuszony był również stworzyć dokładnie odwrotny obszar na Ziemi w którym panują wrogie ludziom warunki jakie spowodują że ludzie będą tam zameczani zaś ich rozwój cywilizacyjny będzie tam blokowany. Ponieważ obszar sprzyjający dobrobytowi, postępowi i rozwojowi cywilizacyjnemu ludzkości rozmieszczony jest koncentrycznie wokół miejsca w którym kiedyś zlokalizowana była mityczna Atlantyda, wszystko wskazuje na to że ów przeciwstawny obszar wrogi osadnictwu ludzkiemu powinien być położony po przeciwnej stronie Ziemi - czyli na Antypodach. Jedyne więc co trzeba uczynić aby potwierdzić jego istnienie, to sprawdzić czy faktycznie na Antypodach Bóg stworzył wrogie ludziom warunki.

4. Zidentyfikowanie materiału dowodowego na wrogie trwałemu osadnictwu ludzkiemu warunki Antypodów. Od wielu już lat, bowiem praktycznie od 10 października 2003 roku, prowadzę totalistyczną stronę internetową [newzealand_pl.htm](#) - o tajemnicach i ciekawostkach Nowej Zelandii. Na stronie owej systematycznie spisuję i ilustruję zdjęciami wszystko to co niezwykłego lub tajemniczego napotkałem w trakcie moich dotychczasowych "hobbystycznych" badań owego kraju. Nic też dziwnego, że w miarę upływu lat objętość tamtej strony stopniowo rosła. Około czasu moich urodzin w maju 2008 roku, objętość ta przekroczyła 300 kB. To zaś praktycznie oznaczało, że strony owej NIE byłem już w stanie wystawić na kilku darmowych serwerach z których usług korzystałem. (Serwery te mają bowiem limit objętości stron wynoszący właśnie 300 kB.) Dlatego w lipcu 2008 roku postanowiłem tamtą stronę [newzealand_pl.htm](#) - o tajemnicach i ciekawostkach Nowej Zelandii rozbić na dwie mniejsze strony. Pod jej uprzednią nazwą pozostawiłem wszystko co dotyczy natury Nowej Zelandii. Natomiast do nowej (niniejszej) strony postanowiłem przenieść wszystko co dotyczy ludzi zamieszkujących Nową Zelandię. W chwili kiedy dokonywałem wyboru i przemieszczania na niniejszą stronę materiału opisowego dotyczącego ludzi zamieszkujących Nową Zelandię, uderzyły mnie dziwne regularności. Mianowicie wszystko co dotyczy natury Nowej Zelandii może być przedmiotem dumy. Jednak wszystkim co dotyczy ludzi zamieszkujących Nową Zelandię nie tylko że trudno się chwalić, ale czasami wręcz trzeba się za to rumienić. Wygląda to tak jakby Bóg miał o coś wielki żal do ludzi osiadłych w Nowej Zelandii. Owe dziwne regularności zaczęły mi uświadamiać, że warunki panujące w Nowej Zelandii faktycznie są zgodne z tym czego należy się spodziewać iż panowało to będzie na owym "negatywnym biegunie" warunków osadnictwa ludzkiego na Ziemi wynikającym z "Zasady Dwubiegunowości". Co ciekawsze, okazuje się że niesprzyjające ludziom warunki które panują w Nowej Zelandii, panują również na całej reszcie Antypodów - chociaż np. w Australii powody dla których warunki te są niesprzyjające czasami są całkowicie odmienne. Chociaż więc owe ustalenia nie należą do optymistycznych, a także chociaż wielokrotnie odnotowałem jak mieszkańcy Antypodów reagują na wszystko co nie reprezentuje prawienia im komplementów, ciągle uważam że mam naukowy obowiązek udostępnić te ustalenia tym co zechcą się z nimi zapoznać. Reszta tej strony poświęcona jest więc ich prezentacji.

#M3. Podsumowanie tej strony:

W treści niniejszej strony zaprezentowałem tezę, że Bóg najwyraźniej NIE życzy sobie trwałego osiedlania się na Antypodach ludzi stworzonych do życia na północnej półkuli Ziemi. Z kolei ludzi którzy mimo wszystko osiedlą się na Antypodach i zwiążą na stałe losy swoich potomków z tymi ziemiami, Bóg najwyraźniej traktuje w "specjalny" sposób zarezerwowany dla "królików doświadczalnych" i dla tych co sprzeciwiają się Jego woli. Przytoczyłem tu też nieco materiału dowodowego który podpira prawdę tej tezy. Oczywiście materiału dowodowego na poprawność tej tezy jest znacznie więcej niż tylko ten opisany na tej stronie.

Niestety, zarówno teza tej strony, jak i dowody na jej podparcie, dla wielu mieszkańców Antypodów mogą okazać się raczej drażliwe. Bardzo więc trudno je dyskutować naukowo bez wystawienia się na ryzyko niepotrzebnego wzbudzenia czyichś emocji. Dlatego tylko niektóre (te najmniej drażliwe) ze znanych mi dowodów uważałem za stosowne tutaj przedstawić. Mam przy tym nadzieję, że dowody których relatywnie niewielka drażliwość pozwala na odwagę ich zaprezentowania tutaj, już wystarczą do wskazania najważniejszych trendów jakie odróżniają Antypody od reszty świata. Na ich podstawie zainteresowani czytelnicy powinni być w stanie znaleźć dalszy odnośny materiał dowodowy już we własnym zakresie - jeśli zechcą zgłębiać ten temat. Ja ze swojej strony obiecuję dodać w przyszłości do tej strony nieco więcej materiału dowodowego jeśli tylko natrafie na taką jego postać która nie zapowiada wzbudzania zbyt wielkich emocji.

Oczywiście, źródłem sytuacji opisanej na tej stronie jest sam Bóg. Ja jestem jedynie "posłańcem" czy "nosicielem wiadomości" - czyli osobą która powtarza co na ten temat powinno samo rzucić się wszystkim w oczy (jeśli ktoś celowo nie zamyka swoich oczu). Wcale też NIE usiłuję przekonywać nikogo aby uwierzył w to co tutaj opisałem. Uważam jedynie za swój naukowy obowiązek uczynić te informacje dostępne do zainteresowanych osób, zaś wnioski jakie z owych informacji osoby te wyciągną są już ich prywatną sprawą.

Część #N: Informacje końcowe tej strony:

#N1. Wiadomość przekazywana za pośrednictwem tej strony:

Ateistyczna nauka która w ostatnich czasach staje się rodzajem wyrzekającej się Boga nowej religii na Ziemi, wmawia nam że istnieje tylko "jedna prawda" którą owa nauka właśnie upowszechnia wśród ludzi. Owa też "jedyna prawda" ma jakoby być w sposób oczywisty wskazywana przez naukowo badane fakty i materiał dowodowy. Jednak kryminologia oraz postępowanie dzisiejszych prawników i polityków uczą nas, że owa ateistyczna nauka jest w całkowitym błędzie. (Ową szokującą błędność ateistycznej nauki potwierdza zresztą również wszystko czemu tylko dokładniej obecnie się przyglądnijemy, np. naturalne środowisko, klimat, ekonomia, nauka, manifestacje UFO, duchy, cuda, itp.) Mianowicie kryminologia, prawnicy i politycy ilustrują nam wymownie że kiedy ma się do czynienia z istotą rozumną, wówczas owa "jedna prawda" może zostać celowo zakamuflowana, zaś fakty i materiał dowodowy mogą tak być zaprezentowane aby przestały wskazywać co jest tą prawdą. Wszakże rozum i najróżniejsze ukryte cele takiej inteligentnej istoty pozwalają jej "fabrykować" i "przeinterpretowywać" fakty i materiał dowodowy, tak aby wskazywały one na coś zupełnie odmiennego niż na ową "jedyną prawdę".

Jeśli przyjąć wysoce niebezpieczne założenie iż wszechświat pozbawiony jest inteligentnego Boga - czyli przyjąć założenie na jakim opiera się dzisiejsza ateistyczna nauka, wówczas ową "jedyną prawdę" możnaby odtwarzać z faktów i z istniejącego materiału dowodowego. Niestety, owo odtwarzanie prawdy z faktów i z materiału dowodowego staje się zawodne jeśli uznać coraz szerszy materiał dowodowy który potwierdza że nieskończenie inteligentny Bóg faktycznie istnieje. Wszakże jeśli taki inteligentny Bóg istnieje, wówczas jego intencje i plany stają się dla nas nieznanne. Z kolei w

możliwościach takiego ogromnie inteligentnego Boga stoi, że kiedy stwarzał on świat fizyczny i człowieka, wówczas był w stanie stworzyć również i fakty oraz materiał dowodowy które wcale NIE muszą pokrywać się z ową naukową "jedyną prawdą", za to które mogą podierać owe narazie ciągle ukryte przed nami cele Boga. Innymi słowy, fakty i istniejący materiał dowodowy mogą być celowo "fabrykowane" przez Boga, lub celowo "przeinterpretowane" przez przysłane na Ziemię "cielesne reprezentacje Boga". Dzięki temu owe "sfabrykowane" lub "przeinterpretowane" fakty i materiał dowodowy unikają popieranie lenistwa oraz przestają wynagradzać "leżenie do góry brzuchem", bowiem uniemożliwiają one poznanie "jedyną prawdą" bez włożenia w to wysiłku solidnych badań. Wszakże nawet w modlitwach chrześcijan zawarta jest prośba "i nie wódź nas na pokuszenie" - która przypomina że Bóg czasami stwarza sytuacje jakie mogą kogoś "wieść na pokuszenie" (jest zaś wiadomym że trudno byłoby kogoś "zwozić" jeśli nie "sfabrykowałoby" się jakichś faktów czy "materiału dowodowego"). Dlatego, aby znaleźć to co jest ową "jedyną prawdą" dla ludzkości, NIE wolno ograniczać swoich poszukiwań do tylko jednej drogi (tej której używa dzisiejsza nauka), ale musi też się eksplorować i inne drogi poznania. Jedną z takich odmiennych dróg poznania wskazuje nam totalizm - który nie tylko jest filozofią moralnego postępowania w naszym życiu, ale również alternatywną odmianą nauki jaka stara się ponaprawić błędy popełnione przez dzisiejszą ateistyczną naukę.

Teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji ujawniła nam cały szereg dowodów naukowych że inteligentny Bóg jednak istnieje i że to on stworzył świat fizyczny i człowieka. Niektóre z owych dowodów są wskazywane i dyskutowane na stronach [god_proof_pl.htm](#), [soul_proof_pl.htm](#), czy [immortality_pl.htm](#) (na tej ostatniej stronie patrz punkt #D5). W świetle owych dowodów nowego znaczenia nabiera totalistyczne eksplorowanie odmiennych dróg poznania zaprezentowanych właśnie na niniejszej stronie.

#N2. Jak dzięki stronie "[skorowidz.htm](#)" daje się znaleźć totalistyczne opisy interesujących nas tematów:

Cały szereg tematów równie interesujących jak te z niniejszej strony, też omówionych zostało pod kątem unikalnym dla filozofii totalizmu. Wszystkie owe pokrewne tematy można odnaleźć i wywoływać za pośrednictwem skorowidza specjalnie przygotowanego aby ułatwiać ich odnajdowanie. Nazwa "skorowidz" oznacza wykaz, zwykle podawany na końcu książek, który pozwala na szybkie odnalezienie interesującego nas opisu czy tematu. Moje strony internetowe też mają taki właśnie "skorowidz" - tyle że dodatkowo zaopatrzone w zielone linki które po kliknięciu na nie myślą natychmiast otwierają stronę z tematem jaki kogoś interesuje. Skorowidz ten znajduje się na stronie o nazwie [skorowidz.htm](#). Można go też wywołać z "organizującej" części "Menu 1" każdej totalistycznej strony. Radzę aby do niego zaglądnąć i zacząć z niego systematycznie korzystać - wszakże przybliży on setki totalistycznych tematów które mogą zainteresować każdego.

#N3. Dane kontaktowe autora tej strony:

Aktualne adresy emailowe autora tej strony, tj. dra inż. Jana Pająka (a przez okres 2007 roku - Prof. dra inż. Jana Pająka), pod jakie można wysyłać ewentualne uwagi lub zapytania, podane są na stronie: o mnie (dr inż. Jan Pajak). Tam również dostępne są adres pocztowy i numery telefonu autora.

#N4. Copyrights, disclaimer, itp.:

Informacje copyright. Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak. Wszelkie prawa zastrzeżone. Przeważająca większość tekstów i fotografii pokazanych na totalistycznych stronach internetowych pochodzi z monografii posiadacza copyright do niniejszej strony. Stąd prawa copyright z owych monografii odnoszą się także do nich.

Odnotuj jednak że każda fotografia jaka podiera tutaj którąś z konkluzji moich badań, jednak która NIE pochodzi z moich własnych zbiorów, posiada nosiciela praw copyrights wyszczególnionego pod nią.

* * *

Disclaimer. Poglądy wyrażone na totalizacyjnych stronach NIE zawsze są podzielane przez właścicieli innych niż moje fotografii pokazanych na owych stronach, nawet jeśli właściciele owych fotografii zgodzili się abym zreprodukowałem ich zdjęcia. Choć fotografie reprezentują najbardziej obiektywny materiał dowodowy, ciągłe sytuacje jakie one uchwyciły przez innych ludzi mogą być interpretowane na kilka odmiennych sposobów.

* * *

Niniejsza strona należy do większego łańcucha totalizacyjnych stron internetowych poświęconych wcześniej ignorowanym przez naukowców tematom, tajemnicom i ciekawostkom (oferując m.in. nieodpłatne monografie na ich tematy). Łańcuch ten obejmuje wszystkie totalizacyjne strony zestawione w "Menu 2".

* * *

If you prefer to read English,
click on the flag
(jeśli preferujesz angielski,
kliknij na poniższą flagę)

Data zapoczątkowania budowy tej strony internetowej: 7 lipca 2008 roku.
Data najnowszego aktualizowania tej strony: 25 maja 2011 roku.
(Sprawdź pod adresami z "Menu 3" czy już istnieje nawet nowsza aktualizacja!)

Podrozdział D3:

Tajemnicza, fascynująca, moralna, postępową Korea

Motto: "Natura wszędzie jest piękna chociaż nie każdy kraj odbieramy jako piękny. Tym bardziej więc należy cenić spotkanie pięknych ludzi."

Przez ogromnie dla mnie szczęśliwy zbieg okoliczności dane mi było poznać kraj o wyjątkowo pięknych mieszkańcach. Jest nim Korea Południowa. Na tej stronie dzielę się z czytelnikiem swoimi wrażeniami z tego kraju pięknych ludzi.

Prof. dr inż. Jan Pająk

26 maja 2007 roku

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Kiedy i co zamotyowało mnie do przygotowania tej strony:

Kiedy tuż przed 1 marca 2007 roku wyruszałem do Korei, aby na zaproszenie tamtejszego programu rządowego podjąć profesurę na jednym z koreańskich uniwersytetów, wiedziałem wówczas o Korei tylko tyle co tendencyjne publikatory przekazują ludziom w swojej propagandzie. Na dodatek, moje nastawienie do tego kraju pogłębiały trudne okoliczności w których wówczas się znajdowałem, a które opisuję w początkowej części #A1 strony o mnie (Prof. dr inż. Jan Pająk), oraz w części #K4 totalizycznej strony [wszewilki_jutra.htm](#). Tymczasem po przybyciu do Korei doznałem rodzaju miłego szoku. Okazało się że mieszkańcy Korei należą do jednych z najbardziej miłych w obcowaniu ludzi na świecie. Z kolei sama Korea jest jednym z najbardziej fascynujących i postępowych krajów na świecie. Niniejsza strona stara się zilustrować chociaż tą niewielką liczbę jej interesujących aspektów, które mi rzuciły się w oczy podczas krótkiego - bo tylko 10-miesięcznego w niej pobytu, oraz które udało mi się fotograficznie udokumentować.

#A2. Jakie są cele tej strony:

Głównym celem niniejszej strony internetowej oraz materiału ilustracyjnego który zaprezentowałem tutaj czytelnikowi, jest opublikowanie moich udokumentowanych na zdjęciach, osobistych wrażeń z pobytu w niezwykłym kraju zwanym Korea. Dodatkowym zaś jej celem jest zwrócenie uwagi czytelnika na te pozytywne i moralne aspekty Korei, o których reszta świata typowo niemal nic nie wie.

Część #B: Dlaczego Koreańczycy wyglądają tak zdrowo, szczupłe i kształtnie:

#B1. "Kimchi" ("kim-chi"), czyli sekret zdrowia, szczupłości i pięknego wyglądu Koreańczyków:

Pierwszą rzeczą która uderza każdego przybysza do Korei, jest zdrowy, szczupły, smukły, kształtny i wysportowany wygląd mieszkańców tego pięknego kraju. Na ulicach Korei Południowej niemal nie spotyka się ludzi zniekształconych otyłością. Jeśli zaś się już spotka kogoś otyłego, po bliższym sprawdzeniu zwykle się okazuje, że jest to albo turysta, albo też emigrant z jakiegoś innego kraju. Sporą zasługę na ten zdrowy i szczupły wygląd mieszkańców Korei ma jedna potrawa zjadana tam codziennie przez każdego mieszkańca. Potrawa ta typowo nazywana jest "kimchi". (Zauważ jednak, że zgodnie z zasadami koreańskiej transliteracji, powinna ona być pisana jako "kim-chi".)

Owo kimchi (kim-chi) zjadane jest zwykle w formie surowej sałatki podawanej w Korei w niewielkich ilościach jako dodatek do niemal każdego posiłku. Ja osobiście zjadałem je tylko jeden raz dziennie - przy okazji "lunchów" w stołówce z miejsca pracy, i to

tylko w dni powszednie, bo w soboty i niedziele zwykle wcale nie jadałem tam lunchów. Zaraz po tym jak podjąłem swoją profesurę od 1 marca 2007 roku, miejscowy uczynny Koreańczyk przysiadł się do mnie podczas obiadu i mi wytłumaczył, że owo "kim-chi" posiada składniki jakie powodują spalanie tłuszczu międzykankowego. Ja mu zbytnio nie wierzyłem, bo największe autorytety wszędzie obwieszczają, że nie jest jeszcze znana taka dieta która by efektywnie spalała tłuszcz międzykankowy. (Podobno gdyby była znana, jej autor stałby się milionerem.) Jednak tak na wszelki wypadek zawsze zjadałem swoje "kim-chi" które mi podawali z posiłkami. Na początku lipca się zważyłem - schudłem 5 kilo od daty swego przybycia do Korei 4 miesiące wcześniej. I to w sytuacji że zawsze byłem tam najedzony i że wcale tam nie jadłem ani mniej, ani mniej tłustych, potraw niż jadam w Nowej Zelandii, a przez spory czas (tj. po przybyciu do Korei również mojej żony), jadałem tam niemal dokładnie to samo co w Nowej Zelandii - jednak plus owo kim-chi. Najwyraźniej więc owo "kim-chi" faktycznie uczyniło na mnie swój cud. Odnotowałem też, że w Korei nie ma ludzi otyłych (poza turystami) - czyli że coś jednak utrzymuje przy szczupłości wszystkich miejscowych. (Niemał też z całą pewnością jest to właśnie owo "kim-chi", którym miejscowi bez przerwy się objadają. W Korei nawet się żartuje, że "Koreańczycy lubią swoje kimchi bardziej niż swoje żony".) Jak na lekarstwo, owo "kimchi" smakuje całkiem znośnie - mi trochę przypomina w smaku surową polską kiszoną kapustę - tyle że jest nieco mniej kwaśne a za to bardziej pieprzne, bo zawiera m.in. gorącą czerwoną paprykę (chili). Miejscowi Koreańczycy zjadają go na surowo około 100 gram jako dodatek do praktycznie każdego posiłku. Rezultat jest taki, że Koreańczycy (a przynajmniej ci z południa) jedzą bardzo dobrze (jedzenia mają w bród - zaś w ichniej kulturze leży objadanie się niemal bez przerwy), jednak nie ma wśród nich otyłych ludzi. Ja już zapowiedziałem mojej żonie, że po powrocie do Nowej Zelandii chcę aby zaczęła mi systematycznie robić "kim-chi" i podawać do jedzenia. Zdobyliśmy też z żoną i precyzyjnie pospisywaliśmy autentyczną recepturę ludową na wykonywanie kim-chi, a ponadto uczestniczyliśmy w wykonywaniu tej potrawy aby dokładnie poznać wszelkie niuanse jej autentycznego sporządzania. Czy jednak kim-chi wykonane w Nowej Zelandii przez nie-Koreańczyków utrzyma swoje zdolności lecznicze (oraz moją szczuplejszą figurę), to narazie nie jest mi wiadome (aczkolwiek staram się to osobiście sprawdzać).

Jak robić kim-chi jest to opisane na wielu stronach internetowych. (Według owych opisów wygląda to nieco podobnie jak w Polsce wygląda kiszanie kapusty - tyle że składniki są trochę inne.) Przykładowo, w lipcu 2007 roku o tym jak sporządzić "kimchi" można było sobie poczytać na stronach treelight.com/health/nutrition/UltimateKimchi.html oraz fabulousfoods.com/recipes/appetizers/pickles/kimchee.html (ta ostatnia strona informowała nawet jakie są składniki "kim-chi"). Problem jednak w tym, że kiedy zasięgałem opinii miejscowych Koreańczyków, ich opisy wykonania kim-chi znacząco się różniły od tych podawanych w internecie. Z kolei aby kim-chi utrzymała swoje zdolności lecznicze (np. zdolności do spalania tłuszczu międzykankowego), musi ona być sporządzona zgodnie z autentyczną Koreańską recepturą. Niestety, receptura ta jest bardzo długa, mozolna i szczegółowa. (Jako taka nie nadaje się więc ona do opublikowania na niniejszej stronie internetowej. Jej skrótowe opisy można znaleźć między innymi w "National Folklore Museum", Gyeongbokgung, Seoul, Korea Południowa.)

Z kolei dlaczego kim-chi jest takie dobre dla ludzkiego zdrowia starają się to wyjaśnić inne strony internetowe. Przykładowo, w lipcu 2007 roku wyszukiwarki najpierw wskazywały dwie takie strony o adresach treelight.com/health/nutrition/KimchiHealthy.html, czy davidtinney.net/korean-kimchi-recipe.html. Chociaż tak naprawdę, to sama nazwa "kim-chi" już nam ujawnia że dzisiejsza oficjalna nauka ludzka wcale nie wie dlaczego "kimchi" działa tak jak działa. Odnotuj bowiem, że składnikiem nazwy tej potrawy jest słowo "chi" - jakim w sąsiadujących z Koreą Chinach oznacza się rodzaj bardzo istotnej dla życia, inteligentnej energii. (W owych dawnych czasach kiedy powstawała receptura na kim-chi, znaczna część obszaru który obecnie należy do Chin należało wówczas do Korei.) Tymczasem czym jest owa energia "chi" to dopiero obecnie zaczyna wyjaśniać teoria naukowa zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji - tyle jednak, że oficjalna nauka ziemską nie chce uznać zasadności ustaleń tejże teorii. Więcej informacji na temat czym zgodnie z

owym Konceptem Dipolarnej Grawitacji jest ta inteligentna energia "chi", można znaleźć m.in. na totalizacyjnych stronach internetowych o Konceptcie Dipolarnej Grawitacji, oraz o ewolucji. Z kolei przykłady wykorzystywania działania owej energii "chi" w różnych dziedzinach życia opisane są m.in. na stronach o Wrocławiu, Wszewilkach jutra, tajemnicach miasta Malborka, a także o seismografie Zhang Henga działającym na "chi".

Fot. #1ab: Oto ilustracja wykonania niezwyklej potrawy koreańskiej zwanej "kim-chi" która m.in. utrzymuje przy szczupłości i zdrowiu całą populację Korei. Pod nazwą "kimchi", albo "kim-chi", kryje się sfermentowana mieszanina płatków-wiórków z ostrej papryki popularnie zwanej "chili", z chińską kapustą (lokalnie zwaną "Napa") oraz z kilkoma innymi dodatkami zdrowotnymi i smakowymi. Smakuje ona podobnie do polskiej kiszzonej kapusty. Tyle że jest nieco mniej kwaśna ale za to bardziej pieprzna (a raczej "paprykowata"). Owa sfermentowana kim-chi gromadzi w sobie energię "chi" oraz generuje najróżniejsze enzymy, które okazują się niezwykle zdrowe dla ludzkiego przewodu pokarmowego i organizmu jako całości. Przykładowo, zgodnie z najróżniejszymi stronami internetowymi o zdrowotnych następstwach jedzenia kimchi, takimi jak strony wskazywane powyżej w punkcie #B1, systematyczne zjadanie kimchi daje cały szereg korzyści zdrowotnych, które obejmują m.in.: przyspieszanie u jedzącego spalania międzykankowego tłuszczu, uodparnianie jedzącego na bakterie i wirusy (to zapewne dlatego nikt nigdy nie słyszał o jakiejś koreańskiej grypie), dopomaganie w eliminowaniu niekorzystnego cholesterolu, zwalczanie alergii, regulowanie poziomu cukru, wzmacnianie wyściółki żołądka ("stomach lining"), ożywanie i utrzymywanie wymaganej dla zdrowia flory bakteryjnej jelit, itp., itd.

Fot. #6a (lewa): Scena z grupowego wykonywania "kim-chi" przez koreańskie gospodynie. Scena ta jest wystawiona (wraz z autentyczną recepturą na wykonanie kim-chi), w "National Folklore Museum", Gyeongbokgung, Seoul, Korea Południowa.

Powyższa scenka wykonywania kim-chi pokazana jest w Narodowym Muzeum Folkloru z Seoulu - stolicy Południowej Korei. W muzeum tym udostępniona jest też zwiedzającym autentyczna koreańska receptura na wykonanie kim-chi. Należy bowiem pamiętać, że aby uzyskać zdrowotne działanie tego kim-chi, a także aby wypuklić jego walory smakowe, w skład kim-chi typowo wchodzi też aż cała lista najróżniejszych składników pokazanych na następnym zdjęciu. Z kolei autentyczna receptura ludowa na wykonywanie tej potrawy jest wysoce złożona. Receptura ta ma też wiele wariacji, nie każda z których to wariacji wykazuje te same walory zdrowotne.

Fot. #1b (prawa): Oto ilustracyjny wykaz składników używanych do wyrobu kim-chi według autentycznej ludowej receptury z Korei. Ilustracja ta NIE zachowuje proporcji wagowych ani ilościowych używanych przy wykonaniu kim-chi, bowiem stara się ona głównie pokazać wygląd, kosystencję i opakowanie poszczególnych składników. Pokazane na zdjęciu są następujące składniki: (górny rząd - licząc od lewej ku prawej) (1) płatki-wiórki czerwonej pieprznej papryki koreańskiej (popularnie zwanej także "chili") - warto odnotować że ta sama ostra papryka, ale nabyta w stanie sproszkowanym (zamiast płatków-wiórków) niestety nie nadaje się do wyrobu kim-chi (dla kim-chi musi ona być rozbijana w młynku na wiórki czyli płatki o średnicy około 3 mm); (2) dwie główki chińskiej kapusty - w Korei zwanej "Napa" (w języku chińskim-kantoniskim nazywana jest ona "Wong Nga Pak") - odnotuj że aby utrzymać wszystkie swoje własności lecznicze, kim-chi nie może być wykonane ze zwykłej kapusty europejskiej; (3) korzeń rzepki (buraka, rzodkwi), po angielsku zwanej "radish"; (4) czosnek pokruszony do ziaren o wielkości ziarenek ryżu; (dolny rząd - też licząc od lewej ku prawej) (1) koreański "sos rybny" albo "przyprawa rybna" (po angielsku "Fish Sauce") - czyli sfermentowana ryba w płynie (z braku oryginalnego koreańskiego sosu można też używać rybnego sosu tajlandzkiego lub nieco gorszego rybnego sosu wietnamskiego - które są fermentowane z ryb według niemal tej samej receptury i mają niemal te same składniki); (2) sól mineralna (gruboziarnista, nie rafinowana); (3) sproszkowany lepki ryż (tj. rodzaj krochmalu ryżowego) po angielsku zwany "glutinous rice powder"; (4) cebula; (5) słodkie jabłko; (6) świeży imbir ("ginger"); (7) dwa żdźbła świeżego szczypiorku (tj. młodej cebulki - tej samej którą w Polsce używa się

do serka ze szczypiorkiem), po angielsku zwanego "spring onion" - nie pokazanego na tym zdjęciu (bo go nie miałem w chwili fotografowania).

Proszę odnotować z powyższego zdjęcia, że pokazana na nim chińska kapusta (po koreańsku nazywana "Napa") używana do wyrobu kim-chi różni się nieco od europejskiej kapusty. Jej liście są pomarszczone i wyglądają podobnie do naszej salaty niż do kapusty, chociaż też formuje ona ubite główki - podobnie jak europejska kapusta, tyle że jej główki mają kształt eliptyczny a nie okrągły. Aby wytworzyć korzystne dla ludzkiego przewodu pokramowego energie, enzymy, oraz flory bakteryjne, to właśnie tą kapustę trzeba mieszać z płatkami-wiórkami koreańskiej pieprznej papryki czerwonej (tzw. "chili"), oraz sfermentować. Kim-chi wykonane z normalnej kapusty europejskiej nie będzie wykazywało wszystkich wymaganych cech leczniczych. Dlatego jeśli czytelnik nosi się z zamiarem przygotowania dla siebie kim-chi i wypróbowania na sobie samemu metody odchudzania opisanej w punkcie #B2 poniżej, wówczas proponuję najpierw sprawdzić czy czytelnik będzie w stanie zdobyć ową kapustę (aby zobaczyć fotografię tej kapusty wykonaną w zbliżeniu czytelnik powinien kliknąć na niniejszy zielony napis). Potem proponuję też sprawdzić czy czytelnik będzie w stanie zdobyć pozostałe składniki z powyższego zdjęcia "Fot. #1b". (Gwarantowanie autentyczną, szczegółową koreańską recepturę jak dokładnie wykonuje się kim-chi, ja mogę gratisowo przesłać na życzenie - tak jak to opisane w punkcie #B2 poniżej.)

* * *

Zauważ że można zobaczyć powiększenie każdej fotografii z niniejszej strony internetowej, poprzez zwykłe kliknięcie na tą fotografię. Ponadto większość wyszukiwarek jakie obecnie są w użyciu, włączając w to także popularny "Internet Explorer", pozwala również na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją redukować lub powiększać, a także drukować, za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

#B1.1. Sfermentowane potrawy najwyraźniej kryją klucz do zdrowia:

Niezależnie od koreańskiej "kimchi", podobnie niemal cudowne właściwości zdrowotne ma też japońska zupa zwana "miso". Owa "miso" jest sporządzana poprzez odpowiednie sfermentowanie masy sojowej. Oglądałem kiedyś w telewizji film dokumentarny na temat tej szczególnej zupy. Zawarte w nim były twierdzenia Japończyków, że zupa owa posiada zdolność do leczenia nawet lekkiej tzw. "choroby popromiennej" - tej od naświetlenia radioaktywnością.

Coraz też więcej badań na świecie ujawnia, że zwykłe czerwone wino (typu wina sakralnego) - powstałe poprzez sfermentowanie czerwonych winogron, również odznacza się dosyć szczególnymi zdolnościami zdrowotnymi - jako przykład patrz artykuł "Red wine compound toasts cancer cells" (tj. "składnik czerwonego wina wypieka komórki rakowe" - referujący do substancji "resveratrol" zawartej w czerwonym winie), ze stony B3 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie datowane w środę (Wednesday), April 16, 2008 (artykuł ten dyskutowany jest także w punkcie #F2 (14) totalizycznej strony internetowej o nazwie god_proof_pl.htm.)

W Nowej Zelandii rośnie rodzaj rodzimych krzewów zwanych "manuka". Ich kwiaty mają jakiś składnik który powoduje że "miód z manuka" sam z siebie i w normalnym stężeniu przechodzi rodzaj naturalnej fermentacji w wyniku której nabywa najróżniejszych właściwości leczniczych - po szczegóły patrz artykuł "Honey gives up healthy secret" ze strony A13 nowozelandzkiej gazety Weekend Herald, wydanie datowane w sobotę (Saturday), April 18, 2009 (owa gazeta np. antibakteryjne cechy "miodu z manuka" przypisuje substancji zwanej methylglyoxol). Odnotuj że owa naturalna fermentacja w pełnym stężeniu "miodu z manuka" wcale NIE jest tożsama z fermentacją dokonywaną w "miodach pitnych", w których dla zainicjowania fermentacji konieczne jest ich rozwodnienie i dodanie drożdży. Zabawnym choć sarkastycznym aspektem wysoce leczniczego "miodu z manuka" jest, że z uwagi na jego opłacalność nowozelandzcy Maorysi chcą mieć na niego monopol. Ponieważ zaś w Anglii ktoś hoduje krzewy manuka aby produkować z nich ów wysoce leczniczy miód, Maorysi usiłowali legalnie odebrać temu komuś jego krzewy

manuka - twierdząc że jego przodek "ukradł" te krzewy z Nowej Zelandii - np. patrz artykuł "Manuka honey stings at \$144" ze strony A4 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie datowane w środę (Wednesday), May 20, 2009. Na to ów Anglik odpowiedział w wywiadzie z telewizji że chętnie odda Maorysom owe krzewy manuka, jeśli jednak Maorysi oddadzą mu europejskie pszczoły które produkują ów miód z manuka a które jego przodkowie przywieźli do Nowej Zelandii. Chodzi bowiem o to, że przed przybyciem Europejczyków do Nowej Zelandii nie istniały tam pszczoły produkujące miód. (Beżładłowe pszczoły rodzime Nowej Zelandii są rodzajem much które wprawdzie zlizują nektar z kwiatów i je zapylają, jednak żyją i rozmnażają się pojedynczo jak muchy i nie produkują miodu.) Owa odpowiedź Anglika doskonale demaskująca wrodzoną paserność kryjącą się za owymi próbami pozbawienia go krzewów manuka ucięła dalsze próby Maorysów aby odebrać mu te krzewy i w ten sposób mieć światowy monopol na wysoce leczniczy i ogromnie poszukiwany w świecie sfermentowany "miód z manuka".

Wygląda więc na to, że sfermentowane potrawy ukrywają w sobie jakiś tajemniczy klucz do zdrowia ludzkiego. Szkoda że Polacy tak się ociągają z dokonaniem gruntownych badań zdrowotnych zalet rodzimej polskiej sfermentowanej "kiszzonej kapusty", po staropolsku ukiszonych ogórków, czy zakiszonych gałąbków z polskiej kapusty i kaszy. Zapewne również odkryliby wówczas wiele niezwykłych cech tych potraw tradycyjnie kiedyś kiszonych w Polsce. Wszakże w staropolskim folklorze także używane one były w celach leczniczych. Przykładowo, ja sam do dzisiaj pamiętam że w okresie swego dzieciństwa, kiedy się przeziębilem, rodzice leczyli mnie m.in. poprzez dawanie mi do picia soku z "kiszzonej kapusty" lub dawanie do zjedzenia kilku "kiszonych ogórków". Pamiętam również że zarówno moja matka, jak i moja babcia, z nabożnością przestrzegały znanych im pradawnych receptur przy sporządzaniu swoich potraw, ponieważ twierdziły iż w przypadku jeśli receptury te się pozmienia, wówczas wytworzona żywność utraci swoje święte cechy oraz swe zalety zdrowotne (więcej na ten temat wyjaśniłem w punkcie #B3 totalizycznej strony fruit_pl.htm).

Staropolską żywnością której zdrowotne działanie powinno nas najbardziej intrygować, był dawny święty chleb powszedni typowo wypiekany w domu według bardzo dawnych receptur. W owym "świętym chlebie" ciasto "rosło" przez poddanie go procesowi fermentacji (popularnie wówczas zwanej "kiszaniem"), nie zaś przez nasycenie go bąbelkami gazu z pomocą gazotwórczych chemikaliów - tak jak dzisiejsi piekarze czynią to z obecnym pieczywem. Tylko taki sfermentowany chleb był kiedyś uważany za "święty" - co wyjaśniam dokładniej w punkcie #F2 (14a) totalizycznej strony internetowej o nazwie god_proof_pl.htm. Tylko też ów czarny jak gleba (lub jak niemiecki "pumpernickel") sfermentowany staropolski "święty chleb powszedni" był ogromnie zdrowy i smaczny. Faktycznie to ludzie którzy zjadali ten święty chleb typowo w całym swym życiu nie potrzebowali widzieć lekarza.

#B2. Bezbólowe "odchudzanie się bazowane na kimchi" - czyli jak się odchudzić w kontrolowany przez nas sposób bez potrzeby zmiany naszych nawyków stołowych ani naszego stylu życia:

Motto: Totalizm naucza że "każdy cel jaki jest możliwy do pomyślenia jest też możliwy do osiągnięcia" - nawet bezbolesne odchudzenie się. Trzeba jedynie znaleźć sposób jak go osiągnąć.

Moje doświadczenia stołowe z Korei są wysoce zastanawiające. Zanim bowiem przybyłem do owego kraju, jako typowy "mol książkowy" miałem problemy z nadwagą. Faktycznie to mój brzuch wyglądał tak jak ów na obrazach Napoleona. Brzucha tego nie byłem też w stanie w żaden sposób się pozbyć, na przekór podejmowania najróżniejszych bolesnych diet i głodówek które Chińczycy opisują dosadnym określeniem "dog pooh diets" (tj. "diety psiego gówna") - owa nazwa wynika z faktu, że według żartobliwego powiedzenia Chińczyków diety te czynią odchudzającego się aż tak głodnym, że nawet gdy zobaczy on psie gówno - też ciągle ma ochotę aby je podnieść i zjeść. Tymczasem po przybyciu do Korei nagle odkryłem, że mogę bez trudu tracić aż ponad 1 kilogram wagi (tłuszczu) na miesiąc, tylko dlatego że codziennie przy okazji najważniejszego posiłku (tj. odpowienika

naszego "obiadu") zjadam tam około 50 do 100 gram surowego "kim-chi" jako dodatkowe danie boczne do tego co na dany posiłek jest mi podane. Co ciekawsze, aby chudnąć tą metodą, wcale też nie muszę zmieniać swoich upodobań smakowych, mogę jeść tyle ile zechcę, nie muszę stosować żadnych szczególnych diet czy ćwiczeń, ani nie muszę zmieniać swego stylu życia. Kim-chi okazała się więc dla mnie tą "cudowną dietą odchudzającą" która zupełnie bezboleśnie dała mi to co inne diety jedynie mi obiecywały, jednak na przekór bólu ich podejmowania - nigdy mi tego nie dostarczyły.

Skoro owa "bazująca na kimchi ludowa dieta koreańska" zadziałała dla mnie, oraz skoro tak efektywnie utrzymuje ona przy szczupłości całe niemal 50 milionów mieszkańców Korei Południowej, istnieje dosyć spora szansa, że działała ona też będzie z równym sukcesem i dla czytelnika. Ponieważ nic nie kosztuje jej spróbowanie, gorąco tutaj czytelnikowi ją polecam. Aby ją urzeczywistnić i sprawdzić czy dla niego też jest efektywna, jedyne co czytelnik musi uczynić to przygotować sobie samemu kim-chi z dwóch główek kapusty według autentycznej receptury ludowej z Korei. Nie radzę jednak kupować w tym celu gotowego kim-chi, ani przygotowywać go według receptury podawanej w internecie, bowiem owa kim-chi sprzedawana poza Koreą, a także sporo internetowych receptur jakie ja dokładnie przeanalizowałem, oferują jedynie smakowy substytut prawdziwego kim-chi. Ten smakowy substytut wprawdzie smakuje dosyć podobnie, jednak nie posiada on walorów zdrowotnych autentycznego kim-chi. Dlatego najlepiej dla celów diety wykonać swoje kim-chi osobiście i to własnymi rękami. Wszakże istnieje przysłowie "jeśli chcesz coś mieć dobrze zrobione, to zrób to sam", a także powiedzenie "Wacek, trzymaj ścianę a ja lecę po wypłatę". (Z dwóch główek kapusty wychodzi około 2 kilogramy kim-chi, które wystarczą na co najmniej jakieś 20 dni. Potem trzeba będzie powtórzyć wykonanie bo świeża kim-chi smakuje lepiej niż stara, znaczy jest mniej kwaśna i bardziej przyjemna w jedzeniu.) Po przygotowaniu zaś sobie owej kim-chi, wystarczy przy głównym posiłku każdego dnia zjadać na surowo około 50 do 100 gram owej kim-chi. Zjadanie to wcale też nie jest przykre ani problemowe. Ja je znalazłem tak jakbym do każdego głównego posiłku zjadał około 50 do 100 gram dobrze popieprzonej surowej polskiej kiszzonej kapusty. Jeśli przed i po miesiącu takiego systematycznego dojadania kim-chi dokona się dokładnego ważenia, nasza waga powinna być o co najmniej 1 kilo niższa (zaś pasek o co najmniej 1 dziurkę luźniejszy). Tak też będzie się działo, aż się uzyska wagę która jest optymalna dla naszej struktury. (Owa optymalna waga przestanie już się zmieniać.)

Z osobistym wykonaniem kim-chi wiążą się dwa problemy, mianowicie (1) zdobycie składników oraz (2) zdobycie receptury. Dlatego jeśli czytelnik zechce spróbować niniejszej "koreańskiej ludowej diety odchudzającej" najpierw, proponuję mu sprawdzić czy zdoła dla siebie zdobyć najważniejszy składnik - tj. chińską kapustę, potem zaś sprawdzić też dostępność pozostałych składników - jak te pokazane na "Fot. #1b". Kolejny problem to zdobycie autentycznej receptury koreańskiej na kim-chi. Jeśli ktoś nie wybiera się osobiście do Korei, mogą z tym być problemy. Po tym bowiem kiedy ja sam szczegółowo poznałem autentyczną recepturę ludową z Korei na wykonanie kim-chi, posprawdzałem kilka takich receptur wystawionych w internecie. Odkryłem przy tym, że te szczegóły autentycznej receptury, które według mojej opinii są najbardziej istotne dla nabycia przez kim-chi jego walorów zdrowotnych i odchudzających, przez jakiś dziwny zbieg okoliczności nie są obecne w owych internetowych recepturach. Nie wiem czy jest to aż szereg "zbiegów okoliczności", czy też systematyczne i celowe działanie owego "serpenta Pająka" opisanego w punkcie #D2.2 strony internetowej o koncepcie Dipolarnej Grawitacji. Bez względu jednak na powód dla którego te zdrowotnie najistotniejsze szczegóły są nieobecne w wielu recepturach internetowych, fakt pozostaje faktem że jeśli ktoś użyje takiej nieautentycznej (albo uproszczonej) receptury z internetu, może wylądować wykonując dla siebie mozolnie jedynie smakowy substytut dla kim-chi, który jednak nie będzie wykazywał zdrowotnych ani odchudzających cech autentycznego kim-chi.

Wyniki naukowych badań czynią Koreańczyków ogromnie dumnych ze swojej "kimchi". Wszakże nie istnieje na świecie potrawa która by przynosiła jeźdzącym aż tyle korzyści co kimchi. Stąd na temat "kimchi" napisano w Korei wiele doktoratów i jeszcze więcej książek. Niestety, rzadko są one czytane w innych krajach z powodu braku ich

tłumaczeń oraz z powodu unikalności koreańskiego alfabetu. Jedyńą naukowo i zawartościowo cenną książkę koreańską o "kimchi" która w całości przetłumaczona została na język angielski i którą udało mi się zdobyć, była książka pióra Dr Sook-ja Yoon, o tytule Good Morning Kimchi, Hollym Publishers, Seoul, South Korea 2006, ISBN 1-56591-216-0, 128 stron, miękka oprawa. Książkę tą uzupełnia też własna strona internetowa jej autorki, o adresie kfr.or.kr/ (niestety, niemal wyłącznie po koreańsku, stąd Europejczykom pozwala ona tylko pooglądać sobie obrazki).

Oczywiście, ja osobiście przygotowałem dla siebie precyzyjny opis autentycznej koreańskiej receptury ludowej na wykonanie kim-chi. Temu swojemu opisowi jestem też w stanie dać gwarancje, że nie pomija on żadnego z owych zdrowotnie istotnych działań szczegółowych przy sporządzaniu tej wysoce leczniczej potrawy. Opis ten jestem też w stanie przesłać nieodpłatnie każdemu czytelnikowi który o niego do mnie się zwróci. Jednak przesyłając ów opis chciałbym być pewien, że dany czytelnik zasługuje na podzielenie się z nim owocami ciężkiego i żmudnego procesu zdobywania i precyzyjnego spisywania tej trudnej i skomplikowanej receptury. Dlatego opis ten jestem gotowy wysłać zupełnie nieodpłatnie tylko tym czytelnikom, którzy w P.S. do swojego emaila odpowiedzą mi na następujące trzy pytania: (1) Jaki naukowo niepodważalny materiał dowodowy opisany na moich stronach o koncepcie Dipolarnej Grawitacji oraz o ewolucji jednoznacznie wskazuje na istnienie Boga? (2) Dlaczego owego wskazywanego tam materiału dowodowego na istnienie Boga nie da się podważyć w sposób naukowy? (3) Jakie płyny i zjawiska opisywane przez Koncept Dipolarnej Grawitacji składają się na to co starożytni Chińczycy i Koreańczycy nazywali kiedyś inteligentną energią "chi" (Chińczycy nadal nazywają to energią "chi" nawet i obecnie), zaś dzisiejsi Koreańczycy nazywają to energią "Ge"? Oczywiście, odpowiedzi na powyższe pytania są rodzajem egzaminu sprawdzającego czy dany czytelnik dokładnie zapoznał się z totalizycznymi stronami internetowymi o koncepcie Dipolarnej Grawitacji, ewolucji, oraz Bogu. Jeśli ja będę miał jakieś wątpliwości czy dany czytelnik faktycznie zdał ów egzamin, wówczas rezerwuję sobie prawo do emailowego zadania dodatkowych pytań. Jeśli zaś z emaila wyniknie, że dany czytelnik prawdopodobnie wogóle nie przeczytał uważnie wszystkich trzech powyższych stron (albo jeśli email nie będzie zawierał odpowiedzi na zadane tu pytania), wówczas rezerwuję sobie prawo aby wogóle na niego nie odpowiadać. Przesyłając mi odpowiedzi na owe pytania proszę też dodać w jakim formacie chce się otrzymać owe opisy autentycznej receptury koreańskiej na wykonanie "kim-chi". (Ja mogę je bowiem wysłać albo w formacie Word'a "doc", albo w formacie Adobe "pdf", albo też w formacie tekstowym "txt".) Muszę też tutaj podkreślić, że ponieważ ja daję osobistą gwarancję iż moja procedura dokładnie odzwierciedla autentyczną koreańską recepturę ludową, na moje opisy tej procedury będzie nałożony "copyright" - znaczy będzie w niej zastrzeżone aby ani jej dalej nie przekazywać innym, ani też dalej jej nie publikować bez uprzedniego uzyskania mojej zgody na piśmie. (Tj. każdy kto zechce ją uzyskać powinien ją uzyskiwać bezpośrednio odemnie.)

W rzeczywistym świecie w jakim żyjemy, wszystko ma swoje własne zasady działania i wynikające z nich wady. Te zaś nie zawsze pokrywają się z tym co my byśmy sobie życzyli. Dlatego na zakończenie tego punktu wyjaśnię jakie wady opisywanej tutaj cudownej metody odchudzania za pomocą kim-chi udało mi się odnotować w moim eksperymentalnym stosowaniu owej metody. Pierwsza z tych wad polega na tym, że jeśli nasze odchudzanie polega wyłącznie na dodatkowym jedzeniu kim-chi z posiłkami, jednak bez zmiany naszego trybu życia ani bez zmiany rodzaju potraw którymi się opychamy, wówczas wielkość schudnięcia ma swoje granice. Owe granice wynikają przy tym z zasady działania kim-chi, a nie z ilości tłuszczu jaką nagromadziliśmy. Innymi słowy, kim-chi zmniejsza naszą wagę tylko o określony procent, poczym ustala nawy punkt balansu naszej wagi który jest kilka kilo niższy od wagi jaką mieliśmy przez rozpoczęciem jedzenia kimchi. Ja szacuję po swoich wynikach, że kimchi zmniejsza wagę o około 10% naszej wagi jaką mieliśmy przed rozpoczęciem jedzenia tej surówki. Potem owa niższa waga przestaje się już zmniejszać na przekór że nadal jemy kimchi i że nadal mamy spore rezerwy tłuszczu do pozbycia się. Drugą wadą metody odchudzania się poprzez jedzenie kim-chi jest jej działanie tylko przez okres kiedy nieprzerwanie jemy tą surówkę. Znaczą tak długo jak

systematycznie zjadamy kim-chi każdego dnia, nasza waga pozostaje na owym niższym poziomie. Kiedy jednak zaprzestaniemy jedzenia tej surówki, zaś nadal utrzymujemy te same nawyki stołowe i ten sam tryb życia, wówczas nasza waga natychmiast ponownie zacznie się podnosić, aż osiągnie poziom jaki mieliśmy przed rozpoczęciem jedzenia kim-chi. Owo przybieranie na wadze jest przy tym niemal 3 razy szybsze niż tracenie wagi po rozpoczęciu jedzenia kim-chi. W moim przypadku na początku okresu kiedy zjadałem kimchi na dodatek do moich nawykowych posiłków traciłem na wadze niecałe 2 kg na miesiąc. Kiedy zaś zaprzestałem zjadania kimchi, w pierwszym miesiącu przytyłem niemal 5 kg na miesiąc. Na szczęście, owo tycie po zaprzestaniu jedzenia kim-chi ma swoją granicę równą dokładnie tej samej wadze którą mieliśmy przed rozpoczęciem odchudzania się za pomocą kim-chi. (Po każdej zresztą diecie jaką w życiu próbowałem, waga wraca do przedietowego poziomu wkrótce po tym jak dietujący powraca do swoich typowych nawyków stołowych i przeddietowego stylu życia.) Innymi słowy, opisywana tutaj metoda kontrolowanego przez nas samych odchudzenia się bez zmiany naszych nawyków stołowych ani naszego trybu życia, jest użyteczna dla przypadków kiedy dla jakichś powodów (np. ślubu, wyjazdu, nowej pracy, itp.) chcemy przez ściśle zdefiniowany okres czasu zmniejszyć naszą wagę o około 10% naszej NORMALNEJ wagi.

#B3. "Poczwarki jedwabników" - czyli moralniejszy substytut dla "embrionalnych komórek macierzystych" używany od bardzo dawna w folklorystycznym leczeniu Korei:

Dzisiejsza medycyna zachłystuje się opisami co to da się kiedyś w przyszłości uzyskać dzięki badaniom tzw. "embrionalnych komórek macierzystych" (po angielsku "stem cells"). Owymi obietnicami stara się też zagłuszyć kaca moralnego wynikającego z używania komórek pochodzących z płodu ludzkiego. Wszakże w niektórych przypadkach owych badań, aby móc je prowadzić może stawać się konieczne odebranie jakiemuś potencjalnemu człowiekowi prawa do życia. Jest zaś wysoce niemoralnym uśmiercanie potencjalnych ludzi tylko po to aby uzdrawiać już urodzonych ludzi. Nic więc dziwnego że badania nad "embrionalnymi komórkami macierzystymi" ludzkiego pochodzenia mają sporo przeciwników. Na dodatek wyniki tych badań będą w stanie zacząć pomagać ludziom jedynie w dalekiej przyszłości.

Doskonałe ujęcie celów badań nad "embrionalnymi komórkami macierzystymi", najważniejszych chorób które te komórki będą leczyć, oraz natury obiekcji moralnych jakie ich badania najczęściej wywołują, zawiera artykuł zatytułowany "Latest stem cell 'achievement' gets cold reception" (tj. "Ostatnie 'osiągnięcie' w embrionalnych komórkach macierzystych otrzymuje chłodne przyjęcie") który ukazał się na stronie A2 nowozelandzkiej gazety Weekend Herald, wydanie datowane w sobotę (Saturday), January 19, 2008. Oto krótki wyjątek z tego artykułu w moim luźnym tłumaczeniu "Naukowcy twierdzą że embrionalne komórki macierzyste z klonowanych embriów mogą okazać się cennym narzędziem przy studiowaniu dolegliwości, sprawdzaniu lekarstw i być może pewnego dnia tworzeniu przeszczepialnego materiału do leczenia chorób takich jak cukrzyca oraz choroba Parkinson'a. Jednak niektórzy krytycy twierdzą że procedura ta sprowadza się do tworzenia życia ludzkiego w laboratorium oraz następnego jego niszczenia aby uzyskać embrionalne komórki macierzyste. Inni wyrażają obawę o zagrożeniach zdrowia i o eksploatacji, jeśli duża liczba kobiet będzie zmuszana aby dostarczać jajeczka dla szeroko upowszechniającego się klonowania." (w oryginale angielskojęzycznym: "Scientists say stem cells from cloned embryos could be a valuable tool for studying diseases, screening drugs and perhaps someday creating transplant material to treat conditions such as diabetes and Parkinson's disease. But some critics say the procedure amounts to creating a human life in a lab and then destroying it to harvest the stem cells. Others raise concerns about health risks and exploitation if large number of women are asked to provide eggs for widespread cloning.")

Szokującym jednak faktem jest, że leczenie komórkami o działaniu bardzo podobnym do przewidywanego działania owych "embrionalnych komórek macierzystych", folklor ludowy Korei stosuje już z powodzeniem przez wieki, jeśli nie przez całe tysiąclecia. I to bez potrzeby odczuwania jakiegokolwiek "kaca moralnego". Powodem jest, że owe

koreańskie substytuty dla komórek macierzystych pochodzą od owadów, a nie od ludzi. W folklorze Korei komórki te uzyskuje się poprzez zwykłe zjedanie "poczwerek jedwabnika" (po angielsku "silkworm pupa") pokazanych na zdjęciu poniżej. Owe poczwarki mają bowiem w sobie składniki które po zjedzeniu wyzwalają w jedzących mechanizm który powoduje że dowolne komórki z ciała jedzących zachowują się tak jakby były one komórkami macierzystymi - tj. dowolne komórki z ciała jedzących transformują się w, czy też generują, komórki jakich danemu choremu brakuje. W rezultacie w Korei aż roi się od opisów niesłychanie ciężkich chorób, które zostały wyleczone właśnie poprzez zwykłe zjedanie owych "poczwerek jedwabnikowych". Nie będę tutaj owych opowieści przytaczał, bowiem ktoś może mnie oskarżyć o upowszechnianie medycznej herezji. Jednak obraz który wyłania się z opisów ludzi z którymi rozmawiałem na ten temat, jest bliski tego co dzisiejsza medycyna stwierdza że kiedyś będzie można to uzyskać właśnie dzięki embrionalnym komórkom macierzystym. Przykładowo, folklor koreański na początku swego wykazu chorób które już od wieków leczone są za pomocą poczwerek jedwabnika, wskazuje dokładnie te same kluczowe choroby które naukowcy mają nadzieję leczyć w dalekiej przyszłości za pomocą embrionalnych komórek macierzystych. Jednocześnie leczenie poczwarkami jedwabnika następuje tanio, natychmiast - bez prowadzenia wieloletnich badań medycznych, oraz bez nabawiania się "kaca moralnego" z powodu zużywania embrionów które aby nas mogły uzdrowić najpierw musiały być niemoralnie zrabowane jakiemuś innemu człowiekowi.

Nie trudno się domyślić dlaczego mechanizm leczniczy który wyzwala jest przez zjedanie poczwerek jedwabnikowych jest niemal identyczny do działania owych "embrionalnych komórek macierzystych". Jak bowiem wiemy, w poczwarkach występują jakieś procesy, które całkowicie przebudowują strukturę tkankową gąsienicy w strukturę tkankową gotowego motyla. Cokolwiek wyzwala owe procesy, w chwili zjedania poczwerek jedwabnikowych dostaje się do krwioobiegu w organizmie zjadającego. Z krwioobiegami tym trafia to do miejsc które zdewastowała dana choroba. Tam zaś wyzwala procesy podobne do tych jakie mają miejsce w poczwarkach. Mianowicie przebudowuje tam strukturę komórek które znajdują się w miejscu zdewastowanym przez chorobę, w strukturę zdrowych komórek które powinny tam być obecne. W ten sposób następstwa niszczycielskiej choroby są stopniowo eliminowane. Poczwarki jedwabnikowe wnoszą więc sobą potencjał do leczenia nawet tych najbardziej paskudnych chorób bez powodowania niekorzystnych następstw ubocznych. (Np. nigdy nie słyszałem aby komukolwiek kto zjadł te poczwarki wyrosły po wyzdrowieniu jakieś motyle skrzydła.)

Gdzie zaś owe poczwarki jedwabnika można w Korei nabyć. Ano wcale nie w aptece, a na zwykłym targowisku - patrz zdjęcie poniżej. Muszę jednak przyznać iż kiedy na nie patrzyłem wówczas byłem pewien, że z moimi europejskimi nawykami kulinarnymi musiałbym naprawdę być w krytycznej sytuacji zdrowotnej aby się zmusić do zjedzenia tego cudownego lekarstwa. (Zapewne musiałbym przy tym też sobie wyobrazić że jestem ptakiem.) Konserwy z już ugotowanymi poczwarkami jedwabnika mogą też być nabywane w supermarketach, jako że są tam uważane za przysmak.

W folklorze Korei poczwarki jedwabnikowe zjadane są w trzech odmiennych formach. Najbardziej zadedykowani ich smakosze zjadają je na surowo (ususzone), tak jak je widać na poniższym zdjęciu. Ja po ponad pół roku chodzenia wokół nich jak przysłowiowy "pies chodzi wokół jeża", w końcu dla dobra nauki i tej strony zmusiłem się aby spróbować jak one smakują na surowo. Jak się okazało, w pierwszej chwili po włożeniu takiej jedzonej na surowo poczwarki jedwabnikowej do ust, ma się odczucie jakby włożyło się do ust dużą miękką rodzynekę. Jednak od skóry tej niby rodzynki przechodzi do śliny silny smak i zapach jakby starej "zatechłej piwnicy", czy starych wilgotnych podziemnych lochów. Ten zatechły smak znika jednak kiedy poczwarkę się przegryzie i rozgniecie zębami. Wówczas nabiera ona dosyć przyjemnego smaku i kruchości jakby młodego orzecha włoskiego. Znaczący smaku tylko około jednej trzeciej tak silnego jak smak dojrzałego orzecha włoskiego. (Ten słaby smak orzechowy mają młode orzechy włoskie, które zjada się kiedy ciągle mają one zieloną łuskę i które po rozłupaniu obierze się z owej brązowej skórki jaka po dojrzaniu nie daje się już obrać i jaka ich jądra nadaje właśnie

owego silnego smaku orzechowego.) Ten przyjemny orzechowy smak tych poczwarek powoduje, że w Korei mają one dosyć sporo amatorów, każdy z których zjada około połowy szklanki tego przysmaku (i lekarstwa) na jedno posiedzenie.

Niezależnie od jedzenia na surowo wysuszone poczwarki jedwabnikowe zjada się w Korei również po ugotowaniu i po upieczeniu. W przypadku ich gotowania, gotowane są one w posolonej wodzie i jedzone natychmiast po ugotowaniu - ciągle gorące. Na jarmarkach można w Korei spotkać stoiska w których je gotują zaś po ugotowaniu - sprzedają przechodniom (w cenie około 1 US\$ za połowę ćwierć-litrowej szklankę tego przysmaku i lekarstwa). Wokoło stoiska na którym je gotują roznosi się w powietrzu ten sam nieprzyjemny zapach "zatechłej piwnicy", który opisałem w poprzednim paragrafie. Najbardziej podobno smaczne są te poczwarki kiedy się je smaży. Smaży się je w oleju, po dodaniu do nich dla poprawy smaku niemal równej ilości ząbków czosnku.

Przy leczniczym jedzeniu suszonych poczwarek jedwabnikowych, zjadane są zwykle dwie porcje w odstępach co 12 godzin (tj. jedna porcja rano i druga porcja wieczorem). W każdej z tych porcji jedzone są zwykle około dwie łyżki stołowe tych poczwarek - co daje dzienne zjedanie około połowy ich szklanki. Typowo przed jedzeniem są one najpierw bardzo starannie i długo płukane w wodzie - i to aż trzy razy. Owo ich płukanie mi bardziej przypomina jakiś rytuał niż faktyczne ich mycie. Potem są one gotowane w wodzie z solą (czasami do wody dodawane są przyprawy dla poprawy smaku). Leczniczo zjadane są nie tylko owe ugotowane poczwarki, ale wypijany jest także "rosół" powstały podczas ich gotowania. Chora osoba zwykle zjada owe poczwarki przez okres co najmniej dwóch miesięcy aby uzyskać odnotowywalne uzdrowienie.

Teoretycznie rzecz biorąc ten sam efekt leczniczy co dla poczwarek jedwabnikowych powinien być też uzyskiwany podczas zjedania dowolnych poczwarek - jeśli tylko ich gąsiennice nie zawierają jakichś chemikaliów niekorzystnych dla ludzkiego zdrowia. Ponieważ jednak dla wyzdrowienia trzeba nazjadać dosyć sporą ilość tych poczwarek (liczoną na kilogramy), poza jedwabnikami trudno zapewne byłoby znaleźć ich wymagane zaopatrzenie. Ponadto eksperymentalnie jest już potwierdzonym, że gąsiennice jedwabnika nie zawierają ani wytwarzają żadnych chemikaliów które byłyby niekorzystne dla ludzkiego zdrowia. Natomiast inne poczwarki ciągle mogą mieć takie chemikalia.

W Polsce także są hodowane i przetwarzane poczwarki jedwabników. Wszakże dla produkcji jedwabiu odwija się jedynie i zużywa kokony w które poczwarki te się owijają, same zaś poczwarki się wyrzuca. Kiedy pisałem ten paragraf aż cały szereg adresów polskich przetwórci jedwabników i wytwórci jedwabiu dało się znaleźć w internecie. Stąd prawdopodobnie wszystkie fabryki które przetwarzają jedwabniki mają całą masę tych poczwarek z jakimi nie bardzo wiedzą co czynić. Zapewne wyrzucają je potem na śmieci albo też sprzedają jako paszę dla świń - nie zważając na fakt, że poczwarki te wykazują cechy cudownego (i prostego w użyciu) lekarstwa ludowego o charakterystyce "embrionalnych komórek macierzystych". Dlatego tym z czytelników którzy mają kogoś bliskiego i kochanego w sytuacji zdrowotnej na tyle desperackiej, że dla wyzdrowienia owa osoba byłaby gotowa zjadać poczwarki jedwabnika na kilogramy, oraz jeśli choroba tego kogoś należy do rodzaju który obiecują w przyszłości uzdrawiać dzisiejsi badacze "embrionalnych komórek macierzystych" (tj. "stem cells"), wówczas nic nie stoi na przeszkodzie aby spróbować tejże ludowej koreańskiej remedy. (Szczególnie spróbować warto, jeśli jest to rodzaj choroby na wyleczenie jakiej nadzieję stwarzałby jakiś mechanizm uzdrawiającego działania "embrionalnych komórek macierzystych", który to mechanizm jest postulowany już obecnie przez badaczy, jednak którego dopracowanie i wdrożenie w życie obiecywane jest dopiero w odległej przyszłości.) Wszakże jeśli poczwarki te nie pomogą, z całą pewnością nie powinny też i zaszkodzić. Ich zjedanie można przecież porównać do pojedenia sobie odmiany małych chrupiących raczków. Jeśli więc ktoś nie ma uczulenia na raki, zaś zjada te poczwarki kiedy ciągle są świeże, nie powinien z tego powodu mieć żadnych problemów. Jedyna trudność (poza przełamaniem się w sobie samym) z użyciem tej ludowej remedy polega na (1) zdobyciu wymaganego (sporego) zapasu świeżych poczwarek (proponuję w tym celu wybrać się do najbliższej fabryki jedwabiu), oraz (2) wysuszeniu posiadanego ich zapasu aby uniemożliwić ich popsucie się - w Korei głównie

jedzone są właśnie takie uprzednio wysuszone poczwarki (jak te pokazane na poniższym zdjęciu "Fot. #2"), (3) odpowiednim przygotowaniu tych poczwarek do leczniczego zjedzenia. Jak zaś przygotować te poczwarki do leczniczego zjedzenia, chętnie to opiszę każdemu nieodpłatnie, jeśli tylko w P.S. do swego emaila ktoś ten przyśle mi emailiem odpowiedź na następujące pytanie: co to takiego "pole moralne" oraz jak ustalić że w danym działaniu ktoś porusza się pod górę owego pola moralnego? Odpowiedzi na to pytanie należy poszukać na stronach internetowych o totalizmie, pasożytnictwie, oraz moralności. Moje reakcje na te nadchodzące odpowiedzi będą takie same jak te opisane na końcu punktu #B2 powyżej.

Z powodów które wyjaśniłem dokładniej na innych stronach internetowych, np. na stronach memoriał czy zło, na Ziemi usilnie forsowane są badania nad leczniczym wykorzystaniem ludzkich "embrionalnych komórek macierzystych" i to na przekór że w wielu przypadkach badania te budzą najróżniejsze zastrzeżenia moralne. Tymczasem poczwarki jedwabnikowe kryją w sobie mechanizmy działania które pozwalają uzyskiwać bez "kaca moralnego" oraz prawie natychmiast niemal wszystkie te same efekty lecznicze które niemoralnie obiecują ludziom badacze owych "embrionalnych komórek macierzystych". Jednak badań nad leczniczymi mechanizmami poczwarek jedwabnikowych narazie nikt nie chce prowadzić. W tym miejscu mam więc apel do czytelników, aby gdzie tylko mogą, zamiast popierać niemoralne badania embrionalne, raczej zaczęli domagać się podjęcia niepomiernie moralniejszych badań nad mechanizmami leczniczymi kryjącymi się w owych niepozornych poczwarkach jedwabnikowych. Nasza cywilizacja na tym tylko skorzysta, nie wspominając już o moralnych torturach tych chorych przyszłości którzy będą świadomi że aby uzyskać własne zdrowie musieli będą odmówić prawa do życia jakiemuś innemu człowiekowi.

Fot. #2: Oto wysuszone poczwarki jedwabnika (po angielsku zwane "silkworm pupa"). Używane są one w folklorystycznym leczeniu Korei przez wieki a może nawet przez tysiąclecia. Mają one cechy podobne do dopiero obecnie badanych przez ziemską medycynę "embrionalnych komórek macierzystych" (po angielsku "stem cells"). Znaczą one w stanie regenerować uszkodzone lub zniszczone przez chorobę komórki i tkanki. Nieoficjalny folklor ludowy Korei stwierdza że leczą one całą gamę ciężkich chorób. Aczkolwiek patrząc na to cudowne lekarstwo trudno sobie wyobrazić siebie samego zjadającego je z zapalem na kilogramy, moim zdaniem każdy kto jest w krytycznej sytuacji zdrowotnej z powodu choroby jakiej uleczenie obiecują badania "embrionalnych komórek macierzystych" i komu nic innego nie daje już nadziei, powinien rozważyć jego spróbowanie. Wszakże jeśli ono nie pomoże, również i nie powinno zaszkodzić, a jest łatwo dostępne, niewiele kosztuje, jest używane w Korei już przez wieki - a może nawet przez tysiąclecia, oraz teoretycznie rzecz biorąc nie powinno powodować żadnych skutków ubocznych. (Zaś praktycznie rzecz biorąc - nie jest mi wiadomo aby ktokolwiek prowadził kiedykolwiek nad tym cudownym lekarstwem jakieś oficjalne badania.)

Część #C: Moralne, zdyscyplinowane, zdeterminowane, oraz ukierunkowane życie społeczne:

#C1. Dyscyplina i determinacja Koreańczyków:

Kolejną rzeczą która mnie miło zaskoczyła, jeśli nie zaszokowała w Korei, to ochotnicze zdyscyplinowanie społeczeństwa. Jeśli uczynienie tam czegoś leży w interesie społecznym, Koreańczycy to czynią bez wahania. Przykładem na jakim jestem w stanie zilustrować ową dyscyplinę społeczną fotograficznie, jest poniższe zdjęcie zmęczonych uczniów jakiejś szkoły, którym oprowadzający ich wycieczkę nauczyciel pozwolił dla odpoczynku przykucnąć na chwilę. Chociaż uczę przez całe zawodowe życie, w żadnym innym kraju nie widziałem tak zdyscyplinowanych uczniów, którzy dla odpoczynku przykucnęliby posłusznie czwórkami bez rozchodzenia się z szeregów i bez żadnego

szemrania. (Ba, w innych krajach nie widziałem nawet uczni, którzy posłusznie maszerują przy swoich nauczycielach czwórkami, równie zdyscyplinowani jak żołnierze.)

Fot. #3: Przykład kolumny zmęczonych uczniów koreańskich, którym prowadzący ich nauczyciel pozwolił przykucnąć na chwilę dla odpoczynku. Jak łatwo odnotować, odpoczywają oni zdyscyplinowanie w czwórkach, bez rozchodzenia się po mieście, bez szemrania, bez mieszania szyku i swoich pozycji w kolumnie marszowej, w każdej chwili gotowi na sygnał nauczyciela powstać i zdyscyplinowanie kontynuować wycieczkę na jaką ich zabrano.

Ja muszę przyznać, że uczę całe swoje życie, jednak tak zdyscyplinowanych uczniów nie widziałem w żadnym innym kraju oprócz Korei. Wręcz przeciwnie, z powodu braku dyscypliny uczniowskiej w sporej liczbie krajów w których uczyłem zabranie uczniów na wycieczkę jest rodzajem zmory i tortury dla wykonania której wielu nauczycieli musi zostać siłą zmuszeni przez swoich przełożonych. Na dodatek, w niektórych krajach tak duża grupa uczni według miejscowego prawa wymagałaby zapewne nadzoru i opieki co najmniej czterech dorosłych (np. czterech nauczycieli i/lub ochotniczych rodziców). W Korei wystarczy zaś tylko jeden nauczyciel który całkowicie panuje nad sytuacją.

#C2. Kiedy Koreańczycy już coś czynią, oddają się temu "na całego":

My to dobrze znamy z naszego życia codziennego. Ktoś np. pracuje w jednym zawodzie, jednak klnie na niego, bowiem zawód ten podjął przez pomyłkę i właściwie to chciałby czynić w życiu coś zupełnie innego. W ten sposób nasze europejskie społeczeństwa są pełne naukowców, którzy właściwie to chcieliby zostać malarzami, malarzy, którzy tak naprawdę to marzą o karierach polityków, polityków, którzy właściwie to chcieliby zostać bankierami - tyle że Bozia nie dała im kapitału, itd., itp. Wynikiem jest, że w takim społeczeństwie niemal nikt na poważnie nie bierze swojego zawodu lub działalności, zaś jeśli już coś czyni, dokonuje to z łaski i zupełnie bez przekonania.

Sytuacja wygląda jednak zupełnie inaczej w Korei. Jeśli Koreańczycy coś już czynią, wówczas wkładają w to całego siebie. W rezultacie, kiedy oni pracują, to praca aż im się "pali w rękach". Kiedy strajkują, wówczas czynią to z przekonaniem i staczają prawdziwe bitwy z policją. Kiedy idą do kościoła, wówczas modlą się z takim żarem i przekonaniem, oraz przykładają tak wiele uwagi do drobnych szczegółów, że nawet ja - twórca totalizmu oraz pierwszy naukowiec na Ziemi który formalnie udowodnił istnienie Boga, chylę z uznaniem przed nimi czoła.

Fot. #3b: Oto "białogłowy" w koreańskim kościele katolickim. (Kliknij na to zdjęcie aby zobaczyć je w powiększeniu.) Zdjęcie to wykonane było w sierpniu 2007 roku. W dawnej Polsce słowem "białogłowy" określano kobiety - ponieważ w kościele zakładały one białe chustki na głowę. Jak jednak dobrze pamiętam, owa chrześcijańska tradycja zaniknęła w Polsce w czasach mojego dzieciństwa. Kiedy byłem jeszcze malutkim chłopcem (tj. w latach 1950-tych), moja matka i babcia zabierając mnie do kościoła ciągle zakładały na głowę właśnie takie białe chustki - podobne do chustek które na powyższym zdjęciu widać na głowach wszystkich koreańskich kobiet modlących się w kościele. Natomiast kiedy nieco podrosłem, kobiety uczestniczące w nabożeństwach z polskich kościołów katolickich przestały już zakładać owe białe chustki. (Dlatego zapewne obecnie nie nazywa się ich już "białogłowami".) Jednak w Korei kobiety ochotniczo czynią to aż do dzisiaj - jak to ujawnia powyższe zdjęcie. Kiedy bowiem w Korei ludzie się modlą, czynią to naprawdę z żarem i oddaniem, dopilnowując poprawności każdego szczegółu. Tak też i czynią w każdej innej sprawie jakiej się oddają.

W Polsce się uważa, że Polacy przodują w świecie w swoim oddaniu wierze w Boga i kościołowi katolickiemu. Tymczasem według mojej powierzchownej opinii, Koreańczycy już dawno temu prześcignęli Polaków w sumienności i żarliwości z jakimi służą oni Bogu.

Oczywiście, Bóg nie pozostaje obojętny na takie wyrazy oddania. Wynagradza więc Koreę na wiele różnorodnych sposobów. Przykładowo, w chwili obecnej Korea posiada jeden z najwyższych standardów życia. Przeszłości bazujące na niemoralności niemal w niej już nie istnieją. Ludzie w większości są tam prawdomówni i postępują moralnie (za wyjątkiem niektórych polityków). My Polacy możemy im tylko pozazdrościć. Wszakże za moralnym postępowaniem całego społeczeństwa podąża też szczęście, pokój, zasobność i osobiste bezpieczeństwo jego poszczególnych obywateli.

Część #D: Historia:

#D1. Koreańczycy czerpią swą siłę moralną ze swojej historii:

Koreańczycy są dumni ze swojej historii. A w historii tej stoi, że wywodzą się oni od "Hana". (W języku koreańskim "han" znaczy "jeden" oraz "zjednoczony".) Jeśli dobrze pamiętam to któryś z polskich poetów napisał, że Polacy kiedyś dyskutowali czy wywodzą się od "Ormiana" czy też od "Hana".

Fot. #4: Oto zdjęcie "prototypu" dla jednej z najbardziej nowoczesnych rodzajów dzisiejszej broni raketowej - czyli tzw. "katuszy". Wystawiony jest on w pałacu królewskim "Deoksugung" w Seoulu. Jedyna rzecz jaka w prototypie tym może nas nieco zastanawiać, to że pokazana na tym zdjęciu, jego "udoskonalona" wersja zbudowana została w Korei w 1448 roku, zaś jej wynalazca, niejaki Choe Museon żył kilka wieków wcześniej w czasach Goryeo Dynastii. Teraz więc staje się wiadome, skąd Rosjanie wzięli pomysł dla swoich katuszy, oraz jaki to rodzaj broni straszył konie polskiej husarii w czasach średniowiecznych wojen z mongołami.

Faktycznie to niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, że tak "nowoczesna" broń jak "katusze", faktycznie jest już około tysiąca lat stara, oraz że na długo zanim weszła ona w użycie w Europie była w powszechnym użyciu na Dalekim Wschodzie.

#D2. Martyrstwo narodu koreańskiego:

Z jakichś dziwnych powodów Korea miała historię podobną jak Polska. Nieustanne najazdy, rozbór, okupacje, krwawe wojny, itp. Aż smutno patrzeć jak wiele ów naród ucierpiał. Jeden z przykładów potraktowania jakiego doświadczyło wielu niewinnych Koreańczyków pokazany jest na zdjęciu z "Fot. #5" ze strony internetowej [bitwa_o_milicz.htm](#) - na temat bitwy o Milicz (kliknij na niniejszy "zielony" napis aby zobaczyć to zdjęcie).

Część #E: Technika:

#E1. Koreańczycy należą do technicznie najbardziej uzdolnionych narodów naszej planety:

W Korei zaskakuje codzienne użycie techniki. Fatycznie to narazie nie spotkałem jeszcze narodu którego życie codzienne byłoby naładowane taką liczbą urządzeń technicznych, jak życie typowego Koreańczyka. Oczywiście, nie mieszkałem jeszcze w każdym kraju świata, np. nie mieszkałem jeszcze w Japonii, być więc może że istnieją narody jeszcze bardziej "utechnicznione" niż Koreańczycy. Jednak Koreańczycy są nieporównanie większymi konsumentami najnowszej techniki niż wszystkie narody jakie ja znam (tj. niż Polacy, Niemcy, Szwajcarzy, Nowozelandczycy, Australijczycy, Malezyjczycy, Singaporianie, Cypryjczycy, a także sąsiedzi tych relatywnie dobrze znanych mi narodów). Jak też odnotowałem, moi koreańscy studenci pod względem praktycznej fachowości "zjedli by na śniadanie" studentów z innych krajów w jakich kiedykolwiek wykładałem.

Fot. #5: Najstarszy i największy zegar wodny świata, a ściślej to co z niego przetrwało do

dzisiaj. Wystawiony on jest w pałacu królewskim "Deoksugung" w Seoulu. Zegar ten automatycznie i płynnie wskazywał aktualne godziny i minuty z precyzją bliską dzisiejszym szwajcarskim zegarom.

Ów zegar różni od precyzyjnych zegarów szwajcarskich data jego zbudowania. Pokazany tu model zegara wodnego zbudowany został bowiem w 1536 roku. Był on jednak wierną kopią wcześniejszego zegara zbudowanego w 1434 roku przez niejakiego Jang Jeongsil. Tamten zaś budowniczy zegara ciągle bazował na jeszcze wcześniejszych modelach.

#E2. "Lewitujący kran":

W jedno sierpniowe popołudnie 2007 roku spacerowałem sobie wzdłuż ozdobnego strumienia przebiegającego w poprzek starówki Seoulu w Korei Południowej. Strumień ten nazywa się "Cheonggyecheon Stream". Przy jego północno-zachodnim brzegu zlokalizowany jest długi rząd niewielkich warsztatów najróżniejszego kalibru. Obszar ten nazywają "Industrial Tool Arcade". Większość owych warsztatów jest do siebie podobna. Mijałem je więc bez większego zainteresowania. Nagle jednak jeden z nich przykuł moją uwagę. Przy jego wejściu stała bowiem niewielka jakby "fontanna". Tyle że w przeciwieństwie do zwykłej fontanny, woda w niej sikała od góry do dołu. Woda ta buchała z dużego, ciężkiego, mosiężnego kranu który najwyraźniej "lewitował w powietrzu". Pierwsze wrażenie po zobaczeniu tego kranu było dla mnie niemal szokiem. Zatrzymałem się jak zahipnotyzowany i dla sprawdzenia czy dobrze widzę odruchowo obwiodłem dłonią naokoło tego kranu aby sprawdzić czy nie jest on zawieszony na jakichś źle widocznych drutach czy ukrytych magnesach, albo czy nie zawiera przypadkiem jakichś ukrytych lusterek dla wzrokowego zwodzenia widzów. Kran wisiał jednak w pustym powietrzu. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Nawet z moim technicznym umysłem zajęło mi to trochę czasu zanim wypracowałem sobie jak on działa. Sprawdziłem też zaraz tą zasadę - z aktywną pomocą właściciela warsztatu, który dla jej uwidocznienia "wyłączył lewitowanie kranu". Jak też się okazało jego zasada działania jest bardzo prosta. A mimo tego czyni ona aż tak piorunujące wrażenie na widzach i ma aż tak wysoki impakt reklamowy. Oczywiście, natychmiast też obfotografowałem ten "lewitujący kran" ze wszystkich możliwych stron, zaś jego zdjęcia przytaczam poniżej (patrz "Fot. #6abc"). Niniejszym też zapewniam, że zdjęcia te wcale nie są jakimś fotomontażem, albo "trickiem".

Ciekawi mnie czy czytelnik potrafi sam sobie wypracować jak ów "lewitujący kran" działa, a także jak długo czytelnikowi zajmie osobiste wypracowanie zasady działania tego "lewitującego kranu". Dodam, że zasada jego działania jest bardzo prosta i wcale NIE bazuje na jakimś "nadprzyrodzonym" działaniu. Niemniej ciągle trzeba na nią "wpaść". Aby jednak NIE torpedować tu twórczego myślenia, NIE opublikuję tutaj jaka to jest zasada.

Kiedy w sierpniu 2007 roku opublikowałem powyższe opisy, kultywujące kulturę obrzydzenia polskie grupy internetowe zaczęły się zachłystywać od wrzasków jakichś anonimowych indywidualistów skomlących ileż to lat wcześniej widzieli już w Polsce taki sam kran. Jednak żaden z tych skomlących ani nie pokazał zdjęcia polskiego odpowiednika takiego "lewitującego kranu", ani nie opublikował rysunku technicznego ilustrującego jak kran taki zbudować, ani też nie wskazał sklepu czy fabryki w Polsce w której możnaby kran taki sobie zakupić. A fe, rodacy. Jeśli chcecie już małostkowo poniżać osiągnięcia kogoś innego, wówczas zwykła zacność wymaga aby jakoś udokumentować że samemu doszło się do choćby w przybliżeniu podobnego osiągnięcia! Samo zaś plucie na innych bez jednoznacznego udokumentowania swoich własnych osiągnięć brzmi jak skomlenie wiadomo kogo ...

Fot. #6abc: Koreańczycy to geniusze techniczni. Przykładowo powyżej pokazuję zdjęcie "kranu który lewituje" i który sika sobie wodą sam wisząc w pustym powietrzu. Kran ten jest użyty jako reklama dla umiejętności właściciela niewielkiego warsztatu na wejściu do którego został on wystawiony. Jego działanie hipnotyzuje bowiem przechodniów, przyciągając do warsztatu wielu nowych klientów. Ja nie mogłem się oprzeć aby go

sfotografować i nie odszedłem od tego warsztatu przez tak długo aż nie wypracowałem na jakiej zasadzie on działa i "lewituje".

Fot. #6a (lewa): Oto zdjęcie tego "lewitującego kranu" pokazanego od strony chodnika. Faktycznie kran ten wygląda jak mała fontanna, tyle że sika wodą z góry w dół, zamiast - jak fontanna, od dołu ku górze. Na drugim planie widać właściciela warsztatu który używa ten kran jako doskonałą reklamę swoich umiejętności technicznych. Zbliżone zdjęcie tego samego "lewitującego kranu" można zobaczyć klikając na niniejszy "zielony" napis.

Fot. #6b (środkowa): Oto zdjęcie tego samego kranu wykonane od strony warsztatu ku ulicy. Zdjęcie to wyraźnie pokazuje, że kran faktycznie "lewituje", oraz że nie istnieją żadne ukryte druty czy magnesy które by go podtrzymywały w powietrzu, ani że jego zawis w powietrzu wcale nie jest symulowany jakimiś ukrytymi lustrami.

Fot. #6c (prawa): Oto dumny właściciel warsztatu który wykonał sobie reklamę w postaci owego "lewitującego kranu". Jak widać, śmieje się on od ucha do ucha. Wszakże ów kran przyciąga mu wielu klientów. Ma więc pełne ręce roboty i pełny portfel. Czy Ty czytelniku potrafiłbyś wymyślić podobie intrygującą reklamę dla swojego warsztatu? A może potrafiłbyś wymyślić jak taki kran sobie zbudować aby on działał tak jak pokazano na powyższych zdjęciach?

Część #F: Poczucie humoru:

#F1. Zabawne aspekty Korei:

Koreańczycy mają bardzo wyrafinowane poczucie humoru. Poniżej przytaczam kilka próbek fotograficznych.

Fot. #7abc: Fotografie które dokumentują zabawne aspekty Korei.

Fot. #7a (lewa): My ich nazywamy "półgłówkami". Nasz kraj jest nimi przepełniony. Jednak w Korei widać są oni aż takim rarytasem, że najwyraźniej stawia im się tam pomniki (a może rzeźbiarze nie mają tam w zwyczaju dokupywać cementu jeśli im się ten skończy przed zakończeniem danej rzeźby).

Fot. #7b (środkowa): Oto reklama informująca, że jest to sklep z butami. Na powyższym przykładzie pokazano reklamę eleganckich butów wyjściowych. Jeśli jednak dany sklep sprzedaje buty sportowe, wówczas ich "reklama" wygląda jak następuje (kliknij na niniejszy "zielony" napis aby zobaczyć zdjęcie koreańskiej reklamy sklepu sportowych butów). Oczywiście w podobny sposób reklamują się też inne sklepy. Oto przykładowo reklama warsztatu oprawiającego w ramki różne oficjalne (tj. "opieczątowane") dokumenty (też kliknij na niniejszy "zielony" napis aby zobaczyć zdjęcie reklamy owego warsztatu).

Fot. #7c (prawa): Oto maszynownia windy w budynku zaprojektowana jak ludzka głowa.

Część #G: Natura i przyroda Korei:

#G1. Flora Korei:

Fot. #8abc: Fotografie które pokazują co bardziej niezwykłą florę Korei.

Fot. #8a (lewa): Oto ilustracja jak dziwna może być flora Korei. Przykładowo, niemal każdy wie, że w Korei rośnie niezwykły korzeń zwany "żeń-szeń", którego kształt z grubsza przypomina figurę człowieka. Korzeń ten ma bowiem człony których umiejscowienie i wygląd przypominają tułowie, głowę, ręce, oraz nogi człowieka. Zaskakująco, ów korzeń "żeń-szeń" wykazuje też silne cechy lecznicze. Jednak tylko niewielu wie, że w Korei rośnie też niezwykły grzyb, utrwalony na powyższym zdjęciu,

kórego wielkość i wygląd też nam przypomina coś ludzkiego. Interesująco, powyższego grzyba sfotografowałem w parku królewskiego pałacu "Changgyeonggung" w Seoulu. Zobaczyłem bowiem w tym parku grupkę naukowców, którzy z wielkim zainteresowaniem studiowali coś na ziemi. Kiedy podszedłem do nich aby sprawdzić co to takiego, zobaczyłem powyższego grzyba. Podobno jest on niezwykle rzadkością. Studiujący go naukowcy podali mi nawet jego naukową nazwę, jednak ją zapomniałem. Wiem, że w Polsce istnieje bardzo podobny grzyb, widywałem go bowiem relatywnie często podczas grzybobrania. Nazwa tego polskiego grzyba brzmi "sromotnik bezwstydnny" (*Phailus impudicus* L. ex PERS), czasami będąc też nazywany innymi nazwami, np. "śmierdziel", "sromnik", "jajczak", itp. Charakteryzuje się on bardzo nieprzyjemnym smrodem padliny. Jednak powyższy koreański grzyb wcale nie śmierdział kiedy go oglądałem.

Fot. #8c (prawa): Oto jeden przykład z ogromnej kolekcji unikalnego rodzaju roślin ozdobnych, które są rodzime dla Wschodniej Azji, w tym Korei. Rośliny te nazywają się "hosta". Pokazany powyżej przykład "hosta" nosi żartobliwą nazwę "Big Daddy" (tj. "Duży Tatuś"). Największy ogród botaniczny Korei, noszący nazwę the "Hantaek Botanical Garden" zgromadził moim zdaniem największą na świecie kolekcję owej hosta. Cały album z przykładami zdjęć co ciekawszych przykładów hosta z tego ogrodu botanicznego pokazałem na odrębnej stronie w całości poświęconej jego kolekcji hosta.

#G2. Korzeń "żeń-szeń":

W Korei istnieje niezwykle korzeń zwany "żeń-szeń". Ponieważ posiada on własności lecznicze, Korea jest pełna straganów z tym właśnie korzeniem.

Fot. #9: Typowy wygląd straganu sprzedającego korzeń "żeń-szeń". Na straganie tym daje się kupic ten korzeń we wszystkich możliwych formach, np. suszony, surowy, w nalewce, w płatkach, w proszku, itp. Odnotuj że zamiast sprzedawcy na zdjęciu widać mnie (tj. prof. dr inż. Jana Pajaka). Takich straganów z korzeniem "żeń-szeń" jest w Korei całe zatrzęsienie.

#G3. Fauna Korei:

Ciekawe, że fauna Korei sprawia wyraźnie odmienne wrażenie niż fauna np. Europy, na przekór że składa się z niemal tych samych gatunków co fauna w Europie. Przykładowo, najpopularniejszym ptakiem Korei jest - sroka. Sroki są w Korei równie wszędobylskie jak wróble w Europie czy kaczki w Nowej Zelandii. Z kolei najpopularniejsze owady Korei to - ważka i cykada. Ważki widać wszędzie. Jest ich tak pełno w powietrzu jak much w Australii, komarów w Nowej Zelandii, mrówek w Malezji, czy kleszczy w Polsce. Z kolei cykady w Korei są wielkości polskich wróbli. W letnie dni powodują one tak głośny hałas, że aż dzwoni w uszach.

Fot. #10abc: Fauna Korei.

Fot. #10a (lewa): Oto najpopularniejszy ptak Korei czyli - sroka. Jednak sroki koreańskie wyglądają nieco inaczej niż sroki europejskie. Niby mają ten sam kształt, wielkość, wygląd i zachowanie, jednak ich piórka błyszczą metalicznie wspaniałymi kolorami. (Sroki np. w Polsce są tylko czarno-białe.)

Fot. #10b (środek): Oto najgłośniejszy owad Korei czyli - cykada. W Korei hałasuje aż kilka gatunków cykady - jednak ta pokazana na powyższym zdjęciu jest z nich najgłośniejsza. Skrzypi ona tak głośno, że aż w uszach dzwoni. Hałas jaki przy tym wytwarza mi trochę przypomina odgłos skrzywienia wydawany przy rytmicznym wkręcaniu dużej śruby w suche drewno (lub rytmicznym obracaniu suchego korka w ciasnej szyjce pustej butelki). Cykada ta jest też ogromna - mniej więcej wielkości europejskiego wróbla. Aby ocenić jej wielkość wystarczy sobie uświadomić, że średnica pnia drzewa na jakim ją sfotografowałem według mojej oceny przekraczała 20 cm.

Latem 2007 roku Korea Południowa przeżywała też nalot jeszcze innej niezbyt przyjemnej cykady. Ta nowa cykada naleciała Koreę od północy, oryginalnie wywodząc się

z południowych Chin, oraz systematycznie przemieszczając się przez Północną Koreę ku południu. W sierpniu 2007 roku dotarła już do północnych przedmieść Seoulu. Nazywa się "lycorma delictula white", wygląda jak centkowana ćma i ma 5 cm długości. W Korei nie ma ona naturalnych wrogów, będzie więc dużym problemem. Artykuł na jej temat, o tytule "Foreign Cicadas Irritate Residents" ukazał się na stronie 3 gazety The Korea Times, wydanie ze soboty (Saturday/Sunday), August 18-19, 2007.

Do Suwon owa nowa cykada "lycorma delictula white" dotarła już w dniu 25 sierpnia 2007 rok, kiedy to jedną z nich usłyszałem i zobaczyłem tam po raz pierwszy w życiu. Przechodziłem wtedy przez mały park tuż przed zmiernym, kiedy usłyszałem głos nowej, wcześniej nie słyszanej cykady. Brzmiał on jak równomierny terkot karabinu maszynowego, w którym każdy pojedynczy strzał brzmiał jak silny trzask dużej iskry z maszyny elektrostatycznej. Faktycznie też ów terkot był bardzo nieprzyjemny dla uszu i wysoce irytujący. Poszukałem co go wydziela aby sprawdzić czy faktycznie jest to owa nowa cykada i wówczas ją zobaczyłem po raz pierwszy - dokładnie taką jak ją pokazywano na zdjęciach w gazetach, czyli dużą i wyglądającą nieco upiornie. Jednak było już zbyt ciemno abym mógł też wykonać jej zdjęcie.

Fot. #10c (prawa): Oto najpopularniejszy owad Korei czyli - ważka. W tym przypadku ważka ta siedzi na linie przed bramą pałacu królewskiego. Jednak latające ważki widać w Korei dosłownie na każdym kroku.

Część #H: Tajemnicze aspekty Korei:

W Korei istnieje wiele tajemniczych zjawisk i obiektów. Poniżej zaprezentuję te do których zdołałem tam dotrzeć i je sfotografować.

#H1. Jaskinia wylamana telekinetycznie przez wehikuł UFO:

Ja od dawna zajmuję się badaniem jaskiń (a ściślej podziemnych tuneli) wykonanych na Ziemi przez UFO. Owe podziemne tunele i komory wytopione plazmą lub telekinetycznie wylamywane przez wehikuły UFO używane są przez UFOonautów do ukrywania w nich wehikułów UFO, oraz do zakładania tam podziemnych baz UFOonautów. Zdjęcia niektórych z takich tuneli-jaskiń prezentowałem już na kilku totalizacyjnych stronach internetowych, przykładowo w punktach #22 i #23 strony o magnokrafce, czy też w punkcie #F1 strony o Nowej Zelandii. Z kolei dokładny opis tych tuneli podany został w traktacie [4b].

Zaraz po tym jak przybyłem do Korei moją uwagę zwrócił więc kolejny "tunel" wylamany telekinetycznie przez wehikuł UFO. Jest on zwany "Jin Cave". Znajduje się on na terenach Seonunsan Provincial Park z południowo-zachodniej części Korei, a ściślej jest częścią dużego kompleksu świątyni buddyjskich które zawarte są w obrębie tego parku. Oczywiście, na przekór że jaskinia ta położona jest wiele godzin jazdy od miejsca gdzie mieszkałem, zorganizowałem do niej wyprawę. Wyprawa ta potwierdziła, że Jin Cave faktycznie uformowana została technicznie przez wehikuł UFO. Jakie fakty to potwierdzają - wyjaśniam to i ilustruję poniżej. Jednak podczas owej wyprawy UFOnauci złamali mi palec jako karę za "zbytnią dociekliwość".

Odnotuj że na temat koreańskiego tunelu UFO zwanego "Jin Cave" piszę także na stronie o tajemnicach zamku w Malborku.

Fot. #11 (D3 z [10]): Tylko nieliczni ludzie zostali ukarani złamaniem ich palca za fakt że mieli odwagę coś obfotografowywać. Ja należę do owych nielicznych. Kiedy w dniu 26 maja 2007 roku obfotografowałem tajemniczą "Jin Cave" pokazaną na powyższej fotografii "Fot. #11", jakieś niewidzialne dla ludzkich oczu stwory wpadły w taką wściekłość, że podczas wykonywania jednej z fotografii niemal otwarcie podcięły mi nogi kiedy właśnie naciskałem spust migawki, oraz tak pokierowały moim upadkiem abym złamał sobie palec. W trakcie tego dziwnego zdarzenia czułem na swoim ciele uderzenia i pchnięcia jakby czyichś niewidzialnych rąk, zaś w swoim umyśle usłyszałem jakby telepatycznie

przekazany mi czyjś szyderczy rechot. (Ja doskonale znam ten rechot - słyszałem go bowiem już raz kiedy UFOnauci, zapewne dla zabawy, złali mnie i mój garnitur zimnym prysznicem - co opisałem dokładnie w podrozdziale W6 z tomu 18 swej starszej monografii [1/4], patrz tam punkt "Ad. F".) Opisy owego niezwykłego złamania mi palca przytaczam w punkcie #A4.1 najnowszej aktualizacji strony o nazwie wszewilki_jutra.htm. "Fot. #11" powyżej pokazuje właśnie jedno ze zdjęć które wówczas zdołałem wykonać tuż przed tym zanim mój palec został złamany. Ujmuje ona wejście do jaskini, która według moich ustaleń jest byłym wejściem do jednego z systemów podziemnych tuneli jakie UFOnauci wykonali pod powierzchnią naszej planety aby w nich ukrywać swoje wehikuły UFO przed wzrokiem ludzkim. Wśród miejscowych ludzi powyższa jaskinia nazywa się Jin Cave - co na polskie tłumaczy się jako "jaskinia dżynów". (Dżyny to jeszcze jedna nazwa którą w kulturach Wschodu nadawano kiedyś UFOautom. Dżyny miały takie same moce jak "diabły" - tyle że kiedyś uważano je za nie aż tak złośliwe jak diabły. W naszej kulturze dżyny znamy głównie z bajki o "Lampie Alladyna" w której podobno mieszkał jeden z owych potężnych stworów.) Pokazana powyżej "Jin Cave" omawiana jest także na stronie o tajemnicach zamku w Malborku. Średnica pokazanego powyżej tunelu mierzona w poziomie wynosi 4.7 metrów, zaś jego wysokość wynosi 5.10 metrów. Ten cylindrycznie ukształtowany i równiutki tunel został wycięty jakby ogromnym wiertłem. Biegnie on w kierunku od południowego-wschodu (jego wejście) ku północnemu zachodowi (głęb góry). Tunel ten wycięty był więc przez dyskoidalny wehikuł UFO typu K3 lecący poziomo z podstawą zwróconą prostopadle do lokalnego przebiegu linii sił pola magnetycznego. Średnica zewnętrzna wehikułu UFO typu K3 wynosi $D = 4.39$ metrów. Wykonanie tego tunelu nastąpiło poprzez nacisk telekinetyczny, a nie poprzez wytapianie plazmą. Wehikuł UFO który go wykonał był więc wehikułem UFO drugiej, lub nawet trzeciej, generacji.

Niezwykłością tego tunelu UFO jest, że był on znany przez wiele wieków, zaś miejscowi ludzie traktują go z nabożnością niemal jak święte miejsce. Dlatego UFOnauci nie mogli go skrycie zawalić lub usunąć - tak jak to uczynili z wejściami do wielu innych swoich tuneli. Aby jednak nie ujawnić że wiedzie on do podziemnych baz UFO, jakiś czas temu UFOnauci wytopili w nim pionową ścianę przegrodową, widoczną poniżej na zdjęciu "Fot. #11c", która go zamyka już około 10 metrów od wejścia. Co najciekawsze, owa pionowa ściana zagrządzająca wejście do reszty tego tunelu uformowana została poprzez wytopienie rodzimej skały gorącą plazmą. Tymczasem sam tunel wykonany został poprzez wyrwanie skały naporem telekinetycznym - co wyraźnie widać na zdjęciu "Fot. #11b" poniżej. (Jin Cave jest więc tunelem wyłomowym - a nie wytopionym.) Takie wymieszanie dwóch zupełnie odmiennych sposobów ukształtowania struktury tego tunelu, oba z których to sposobów są unikalne i charakterystyczne dla możliwości napędu UFO, dodatkowo silnie potwierdza technologiczne pochodzenie tego tunelu uformowanego przez wehikuł UFO.

Wejście do podobnego tunelu UFO znajdowało się też w Polsce na Babiej Górze - pozostając tam otwarte aż do około 1920 roku. (Potem UFOnauci ukryli to wejście.) Podobne wejście opisane jest w słynnej niemieckiej legendzie o Pied Piper of Hamelin. Opis tej legendy znajduje się nawet w niektórych encyklopediach, np. w prestiżowej "Encyclopedia Britannica", 1959 rok - patrz tam hasło "Hameln". Zgodnie z tą legendą, w 1284 roku miasteczko Hamelin z Dolnej Saksonii (koło Hanoweru), leżące na zbiegu rzek Weser i Hamel, nawiedzone zostało przez plagę szczurów. Wtedy pojawił się ów szczurołap (zapewne UFOnauta posiadający urządzenie do zdalnego hipnotyzowania zwierząt i ludzi), który po otrzymaniu oferty sowitego wynagrodzenia wyprowadził szczury z miasteczka i potopił je w rzece Weser. Jednakże po wypełnieniu jego strony umowy, mieszkańcy Hamelin'a oskarżyli go o oszustwo i odmówili wypłaty wynagrodzenia. Wtedy, dokładnie dnia 23 lipca 1284 roku, zagrał on znowu na swojej fujarce. W odpowiedzi wszystkie dzieci Hamelin'u opuściły swe domy i podążyły zahipnotyzowane w ślad za nim. Po ich dotarciu do zbocza pobliskiego wzgórza Koppelberg, otwarto się w nim ogromne wrota. Szczurołap, a za nim wszystkie dzieci - za wyjątkiem jednego kulawego, zniknęli na zawsze we wnętrzu tego wzgórza, zaś wrota zatrzęsnęły się po ich przejściu. (Najwyraźniej kulawe dziecko było bez wartości jako niewolnik na planecie UFOautów.) Ciekawostką powyższej legendy z Niemiec jest, że jej wersja mówiona jaką też miałem okazję usłyszeć,

opisuje szklisty tunel wiodący do wnętrza Ziemi, który krył się za wrotami w zboczu wzgórza Koppelberg. Tunelem tym odmaszerowały zahipnotyzowane dzieci. Jego opis zbiega się więc ze szklistym tunelem przysłoniętym wrotami wyglądającymi jak zwykła skałka, który opisany jest w legendzie z Polski na temat Babiej Góry (tą legendę z Polski przytoczyłem w traktacie [4B] i w podrozdziale G2.1 monografii [5/3], zaś wzmiankuję ją w podrozdziale V5.3.2 najnowszej monografii [1/5]).

W tym miejscu powinienem też wyjaśnić, że UFOnauci w swoich działaniach wśród ludzi pedantycznie wypełniają zasadę aby nie ujawniać ludziom swojej nieustannej obecności na Ziemi. Tą główną zasadę postępowania UFOonautów wyjaśniłem dokładniej na stronie internetowej evil_pl.htm - o pochodzeniu zła na Ziemi. Aby więc mieć miejsca na Ziemi gdzie UFOnauci mogą skrycie parkować swoje wehikuly UFO, przygotowali oni dla siebie cały system podziemnych tuneli i komór. Wejścia do niektórych z owych tuneli przetrwały do dzisiaj w co bardziej niedostępnych częściach globu. Powyższy tunel UFO jest tylko jednym z wielu wejść do takich tuneli UFO jakie przetrwały do dzisiaj (niestety przejście do dalszej części tego tunelu zostało celowo zatopione skałą). Wygląd oraz zasady technicznego formowania owych tuneli UFO opisane są na całym szeregu totalizacyjnych stron internetowych, przykładowo na stronach newzealand_pl.htm - o tajemnicach Nowej Zelandii, czy magnocraft_pl.htm - o statkach kosmicznych z napędem magnetycznym. Najdokładniej jednak zasady te opisują podrozdziały G10.1.1 i V5.3 z tomów odpowiednio 3 i 17 mojej najnowszej monografii [1/5]. Z kolei materiał dowodowy na nieustanne używanie owych podziemnych tuneli przez UFOonautów nawet i dzisiaj, zaprezentowany został na stronach o Malborku i Wrocławiu.

Fot. #11bc: Dwie fotografie które dokumentują dwa odmienne sposoby formowania "Jin Cave" pokazanej i omówionej dokładnie na poprzedniej fotografii "Fot. #11".

Fot. #11b (lewa): Fotografia ścian bocznych "Jin Cave" pokazana w zbliżeniu. Ujawnia ona że owa jaskinia-tunel uformowana została poprzez precyzyjne wykruszenie (wyłamanie) skały rodzimej za pomocą naporu telekinetycznego.

Fot. #11c (prawa): Fragment "ściany zaporowej" zamykającej dostęp do dalszych części "Jin Cave". W przeciwieństwie do wyłomowego formowania ścian bocznych wyraźnie widocznego na zdjęciach z lewej części "Fot. #11b", owa "ściana zaporowa" uformowana została poprzez stopienie skały rodzimej gorącą plazmą wehikulu UFO pracującego w trybie wiru magnetycznego. W końcowej części tej jaskini było dosyć ciemno kiedy fotografowałem ową "ścianę zaporową". Ścianę tą widać tuż poza ołtarzem z buddyjskimi akcesoriami, przez który nie chciałem się wspinać aby ścianę tą lepiej sfotografować, gdyż mogłoby to być uznane za świętokradztwo. Niemniej dosyć wyraźnie widać że powstała ona poprzez stopienie skały rodzimej wirującą plazmą. Wyraźnie nawet daje się wyróżnić obszar w środku owej ściany, w którym zawisał wytapiający ją wehikul UFO dyskoidalnego kształtu, zanim po wycofaniu się tego wehikulu z dużej kropli stopionej przez niego skały, owa ciekła ściana całkowicie się zamknęła odzwierciedlając jednak sobą zarysy wehikulu który ją wytopił.

Część #I: Co więc w Korei ciągle może zostać udoskonalone:

#I1. Wprowadzenie łańciskiego alfabetu:

Aczkolwiek niemal wszystko w Korei wygląda prawie doskonale w porównaniu z innymi krajami w jakich miałem okazję mieszkać, ciągle żyjemy w niedokonałym świecie. W każdej więc rzeczywistej sprawie i w każdym rzeczywistym kraju zawsze jest miejsce na udoskonalanie. W przypadku Korei moim zdaniem najpilniejsze jest wprowadzenie łańciskiego alfabetu i zastąpienie nim lokalnych "krzaczków". Będąc wszakże położoną pomiędzy Chinami i Japonią, Korea ma alfabet który jest bardzo podobny do alfabetów jej sąsiadów. Mi jej alfabet przypomina "krzaczkę". Sami Koreańczycy przeznają, że ich alfabet jest podobno "drugim najtrudniejszym w świecie" - zaraz po alfabecie arabskim który uważa

się za "pierwszy najtrudniejszy w świecie". Dla przybysza z innego kraju ów alfabet Korei czyni podróżowanie ogromnie trudnym. Faktycznie to właśnie z powodu niego każdy kto podróżuje po Korei i nie zna tego alfabetu czuje się tam trochę jak "ślepa mysz".

Ja miałem okazję mieszkać przez jakiś czas w aż dwóch krajach które kiedyś używały alfabetu arabskiego, jednak jakiś czas temu zmieniły go na alfabet łaciński. Były to: Turcja (a ściślej Północny Cypr) oraz Malezja. Chociaż też poziom znajomości angielskiego tzw. "ludzi z ulicy" w obu tych krajach jest podobny do poziomu angielskiego ludzi z Korei, podróżuje się w nich bez żadnych większych problemów właśnie z powodu używania przez nie alfabetu łacińskiego. Z powodu owego alfabetu przybysz wszystko w nich bowiem łatwo może sam sobie poczytać. Na dodatek historia tamtych krajów wskazuje, że po zmianie alfabetu uzyskały one całe morze innych korzyści - np. wzrost czytelnictwa, spadek analfabetyzmu, itd., itp. Dlatego moim zdaniem przyjęcie przez Koreę alfabetu łacińskiego byłoby jednym z najpilniejszych, najważniejszych, oraz najkorzystniejszych posunięć strategicznych oczekujących wdrożenia w owym kraju.

Część #J: Podsumowanie, oraz informacje końcowe tej strony:

#J1. Podsumowanie tej strony:

Korea jest ogromnie fascynującym krajem z wyjątkowo zaradnym narodem. Być może powinniśmy zacząć się nią pilniej interesować, oraz czerpać wzorce z niektórych co bardziej konstruktywnych osiągnięć jej mieszkańców.

#J2. Jak dzięki stronie "skorowidz.htm" daje się znaleźć totalizyczne opisy interesujących nas tematów:

Cały szereg tematów równie interesujących jak te z niniejszej strony, też omówionych zostało pod kątem unikalnym dla filozofii totalizmu. Wszystkie owe pokrewne tematy można odnaleźć i wywoływać za pośrednictwem skorowidza specjalnie przygotowanego aby ułatwiać ich odnajdowanie. Nazwa "skorowidz" oznacza wykaz, zwykle podawany na końcu książek, który pozwala na szybkie odnalezienie interesującego nas opisu czy tematu. Moje strony internetowe też mają taki właśnie "skorowidz" - tyle że dodatkowo zaopatrzone w zielone linki które po kliknięciu na nie myślą natychmiast otwierają stronę z tematem jaki kogoś interesuje. Skorowidz ten znajduje się na stronie o nazwie skorowidz.htm. Można go też wywołać z "organizującej" części "Menu 1" każdej totalizycznej strony. Radzę aby do niego zaglądnąć i zacząć z niego systematycznie korzystać - wszakże przybliży on setki totalizycznych tematów które mogą zainteresować każdego.

#J3. Dane kontaktowe autora tej strony:

Aktualne adresy emailowe autora tej strony, tj. dra inż. Jana Pająka (a przez okres 2007 roku - Prof. dra inż. Jana Pająka), pod jakie można wysłać ewentualne uwagi, zapytania, lub odpowiedzi na zadane tu pytania, podane są na stronie internetowej o mnie (dr inż. Jan Pajak). Tam również dostępne są adres pocztowy i numery telefonu autora.

Proszę też odnotować, że z powodu mojego chronicznego deficytu czasu, ja bardzo niechętnie odpowiadam na emaile, które zawierają TYLKO wykonawczo czasochłonne prośby, jednocześnie zaś dokumentują zupełną ignorancję ich autora w tematyce którą ja badam. Dlatego jeśli ktoś wysłał mi jakąś prośbę, proponuję aby w P.S. do swego emaila udokumentował że faktycznie zadał sobie trud przeczytania moich stron internetowych. Efekt takiego udokumentowania można uzyskać poprzez zdanie "egzaminu" ze znajomości niektórych moich stron, znaczy albo przez odpowiedzenie na pytania przywiązane do konkretnych rodzajów prośb (np. zadane w punktach #B2 i #B3 tej strony), albo też poprzez odpowiedzenie chociaż na jedno z następujących generalnych pytań (proszę sobie wybrać pytanie zależnie od własnych zainteresowań). (1) Jak teoria zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji nazywa owe trzy składowe Boga które przez chrześcijaństwo nazywane są "Bogiem Ojcem" albo "Przedwiecznym", "Duchem Świętym" i

"Synem Bożym", oraz która z owych składowych Boga zgodnie z tą teorią istnieje od nieskończenia dawnych czasów? (2) Czym, zgodnie z opisami na stronach o wehikułach czasu oraz o Bogu różni się tzw. "wieczyste potępienie" od tzw. "wiecznej szczęśliwości"?

#J4. Copyrights © 2011 by Dr Jan Pająk:

Copyrights © 2011 by Dr Jan Pająk. Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza strona stanowi raport z wyników badań jej autora - tyle że napisany jest on popularnym językiem (aby mógł być zrozumiany również przez czytelników o nienaukowej orientacji). Idee zaprezentowane na tej stronie są unikalne dla badań autora i dlatego w tym samym ujęciu co na tej stronie (oraz co w innych opracowaniach autora) idee te uprzednio NIE były jeszcze publikowane przez żadnego innego badacza. Jako taka, strona ta prezentuje idee które stanowią intelektualną własność jej autora. Dlatego jej treść podlega tym samym prawom intelektualnej własności jak każde inne opracowanie naukowe. Szczególnie jej autor zastrzega dla siebie intelektualną własność odkryć naukowych i wynalazków opisanych na tej stronie. Zastrzega więc sobie, aby podczas powtarzania w innych opracowaniach jakiegokolwiek idei zaprezentowanej na niniejszej stronie (tj. jakiegokolwiek teorii, zasady, dedukcji, interpretacji, urządzenia, dowodu, itp.), powtarzająca osoba oddała pełny kredyt autorowi tej strony, poprzez wyraźne wyjaśnienie iż autorem danej idei i/lub badań jest Dr Jan Pająk, poprzez wskazanie internetowego adresu niniejszej strony pod którym idea ta i strona oryginalnie były opublikowane, oraz poprzez podanie daty najnowszego aktualizowania tej strony (tj. daty wskazywanej poniżej).

* * *

If you prefer to read in English click on the flag below
(Jeśli preferujesz czytanie w języku angielskim
kliknij na poniższą flagę)

Data pierwszego opracowania niniejszej strony: 1 marca 2007 roku.

Data najnowszego jej aktualizowania: 25 maja 2011 roku.

(Sprawdź pod adresami z "Menu 3" czy już istnieje nawet nowsza aktualizacja!)

Podrozdział D4:

Kolekcja roślin ozdobnych "Hosta"

Około 150 km na południe z Seoulu, w pobliżu małego miasteczka Yongin, znajduje się największy ogród botaniczny Korei. Nazywa się on "Hantaek Botanical Garden". W broszurce jaka go opisuje stwierdzono, że od 1979 roku Fundacja która prowadzi ten ogród zgromadziła około 7.2 miliony roślin z około 8000 gatunków, włączając w to rzadkie, zagrożone, rodzime, oraz importowane rośliny. To zaś czyni go największym ogrodem botanicznym Korei. Z całą pewnością jest to jeden z największych ogrodów botanicznych które ja odwiedzałem - a ja odwiedzałem naprawdę sporo z nich. Dwie perełki tego Hantaek Botanical Garden są ich kolekcja roślin zwanych "hosta", a także kolekcja lotusów. W mojej opinii każda z tych dwóch kolekcji należy do grupy największych na świecie (jeśli nie jest największą na świecie). Na niniejszej stronie-albumie pokazuję co bardziej interesujące z roślin hosta wyeksponowanych w Hantaek Hosta Collections.

#A1. "Hosta" to nazwa roślin ozdobnych (kwitnących) które są rodzime dla Korei:

Nazwa "hosta" jest przyporządkowana do "rhizomatous perennials" które rosną głównie w chłodnym klimacie. Hosta należy do rodziny "Liliaceae" liczącej około 70 gatunków, będąc skarbami "herbaceous perennials" z powodu ich wspaniałych liści które przyjmują całą gamę kolorów - żółte, odmienne odcienie zieleni, niebiesko-zielone, oraz najróżniejsze kombinacje zielonego i białego, zielonego i żółtego lub złotego. Ich okwiecenie białych lub mauve, dzwonko-kształtnych kwiatów rodzi się w kaskadach. Hosta lubią chłodny, ocieniony obszar z wilgotną ale dobrze odwodnioną urodzajną glebą i nie tolerują suszy. Są one rodzime do Dalekiego Wschodu oraz Wschodniej Rosji. Nie rosną naturalnie w Europie ani w Amerykach. Jednak zostały upowszechnione po całym świecie jako ulubione rośliny ornamentalne utrzymywane przez ludzi w mieszkaniach. Ponieważ hosta jest także rodzima dla Korei, "the Hantaek Botanical Garden" posiada ogromną kolekcję tych rślin - jak ja wierzę prawdopodobnie jedną z największych w świecie (jeśli nie największą).

Proszę odnotować, że ostatnia fotografia poniżej oznaczona "Fot. 15", pokazuje kwiat lotusa na pierwszym planie, oraz jeden ze stawów lotusowych owego ogrodu na drugim planie. Niezależnie bowiem od kolekcji roślin "hosta", "the Hantaek Botanical Garden" posiada także ogromną kolekcję kwiatów i roślin lotusa. W mojej opinii ta jego kolekcja roślin lotusa też należy do jednej z największych w świecie. Jedyne miejsce jakie dałby się porównać do stawów lotusowych w "the Hantaek Botanical Garden" byłoby jezioro zwane "Lake Chini" w Malezji, które kiedyś było jednym z największych obszarów porostu lotusa w świecie. Niefortunnie, Malezjczycy lekkomyślnie zniszczyli całkowicie porosty lotusa w owym "Lake Chini", w ten sposób pozbywając się swojej wiodącej w świecie roli.

Więcej interesujących faktów oraz fotografii na temat Korei Południowej, w tym ciekawe opisy życia w Korei, są zaprezentowane na odrębnej stronie o Korei, zwanej [korea_pl.htm](#).

#A1.1. Moje fotografie najbardziej interesujących przykładów "hosta" z kolekcji ogrodu Hantaek (kliknij na wybrane zdjęcie aby je powiększyć):

Fot. 1
Fot. 2
Fot. 3

Fot. 4
Fot. 5

Fot. 6

Fot. 7

Fot. 8

Fot. 9

Fot. 10

Fot. 11

Fot. 12

Fot. 13

Fot. 14

Fot. 15

#A2. Linki do dalszych opisów i zdjęć zawiera skorowidz/wykaz tematów zaprezentowanych na totaliztycznych stronach:

Nazwa "skorowidz" oznacza wykaz zwykle podawany na końcu książek, jaki pozwala na szybkie odnalezienie interesującego nas opisu. Moje strony internetowe też mają taki "skorowidz" - tyle że zaopatrzone w zielone linki które po kliknięciu na nie myślą natychmiast otwierają stronę z tematem jaki kogoś interesuje. Skorowidz ten znajduje się na stronie o nazwie skorowidz.htm. Można go też wywołać z "organizującej" części "Menu 1" każdej totaliztycznej strony. Radzę aby do niego zaglądnąć i zacząć z niego systematycznie korzystać - wszakże przybliży on setki totaliztycznych tematów które mogą zainteresować każdego.

Temat egzotycznej Korei i jej ciekawostek, jest omówiony na stronie o nazwie korea_pl.htm (kliknij myszą na ten zielony link aby się do niej przenieść). Owe ciekawostki Korei obejmują m.in. apetyczne "kim-chi" o odchudzających zdolnościach, a także smakujące jak młode orzechy "poczwaraki jedwabnika" o których folklor ludowy Korei twierdzi że jakoby reprezentują one naturalny odpowiednik dla "embrionalnych komórek macierzystych" zdolnych do wyleczenia wielu chorób, w tym podobno nawet i "cukrzycy". Z kolei zdjęcie kształtnej koreańskiej "diablicy" przytoczone jest na "Fot. #4" ze strony nazywanej sw_andrzej_bobola.htm a traktującej o kościołach miasta Milicza.

#A3. Dane kontaktowe autora tej strony:

Aktualne adresy emailowe autora tej strony, tj. dra inż. Jana Pająka (a przez okres 2007 roku - Prof. dra inż. Jana Pająka), pod jakie można wysyłać ewentualne uwagi, zapytania, lub odpowiedzi na zadane tu pytania, podane są na stronie internetowej o mnie (dr inż. Jan Pająk). Tam również dostępne są adres pocztowy i numery telefonu autora.

#A4. Copyrights © 2011 by Dr Jan Pająk:

Copyrights © 2011 by Dr Jan Pająk. Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza strona stanowi raport z wyników badań jej autora - tyle że napisany jest on popularnym językiem (aby mógł być zrozumiany również przez czytelników o nienaukowej orientacji). Idee zaprezentowane na tej stronie są unikalne dla badań autora i dlatego w tym samym ujęciu co na tej stronie (oraz co w innych opracowaniach autora) idee te uprzednio NIE były jeszcze publikowane przez żadnego innego badacza. Jako taka, strona ta prezentuje idee które stanowią intelektualną własność jej autora. Dlatego jej treść podlega tym samym prawom intelektualnej własności jak każde inne opracowanie naukowe. Szczególnie jej autor zastrzega dla siebie intelektualną własność odkryć naukowych i wynalazków opisanych na tej stronie. Zastrzega więc sobie, aby podczas powtarzania w innych opracowaniach jakiegokolwiek idei zaprezentowanej na niniejszej stronie (tj. jakiegokolwiek teorii, zasady, dedukcji, interpretacji, urządzenia, dowodu, itp.), powtarzająca osoba oddała pełny kredyt autorowi tej strony, poprzez wyraźne wyjaśnienie iż autorem danej idei i/lub badań jest Dr Jan Pająk, poprzez wskazanie internetowego adresu niniejszej strony pod którym idea ta i strona oryginalnie były opublikowane, oraz poprzez podanie daty

661-D4-(hosta_pl.htm)

najnowszego aktualizowania tej strony (tj. daty wskazywanej poniżej).

* * *

Data pierwszego opracowania niniejszej strony: 3 sierpnia 2007 roku.

Data najnowszego jej aktualizowania: 11 lutego 2011 roku.

(Sprawdź pod adresami z "Menu 3" czy już istnieje nawet nowsza aktualizacja!)

Rozdział E:

CIEKAWOSTKI POZNANE NA ŚWIECIE

Niniejszy rozdział E omawia najciekawsze tematy które rzuciły mi się w oczy i wzbudziły moje zainteresowanie w trakcie moich podróży po świecie "za chlebem".

Podrozdział E1:

Tropikalne owoce strefy Pacyfiku i filozofia ich spożywania

Witam na stronie o tropikalnych owocach strefy Pacyfiku i o ich niezwykłych cechach.

Wszyscy znamy nasze typowe owoce, takie jak jabłka, gruszki, śliwki, pomidory, ogórki, itp. Wiemy też, że niektóre z nich niezależnie od swego wspaniałego smaku, wartości odżywczych i rozlicznych witamin, posiadają również najróżniejsze inne cechy, zdolności i wpływy zdrowotne. Przykładowo, gruszki mają tendencję do wyzwalania bólów brzucha i powodowania rozwolnienia. Jednak zbijają też w dół temperaturę i uspokajają. Jagody leśne powstrzymują biegunkę i ustalają kupę. Ogórki łagodzą i zaniżają ból gardła. Itd., itp. Czas więc poznać także najbardziej podstawowe rodzaje tropikalnych owoców, ich najważniejsze właściwości zdrowotne, oraz filozofie ich spożywania.

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Jakie są cele tej strony:

Najważniejszym celem tej strony jest opisanie kluczowych cech tropikalnych owoców ze strefy Pacyfiku. Szczególnie uwypuklone przy tym zostały ich cechy wpływające na nasze zdrowie. Ponadto strona ta stawia sobie za cel ujawnienie też raczej mało znanej filozofii zjadania owych owoców.

#A2. Co zamotywowało mnie do przygotowania tej strony:

Nasza planeta posiada trzy strefy tropikalne, mianowicie strefę amerykańską, afrykańską, oraz strefę Pacyfiku. Aczkolwiek ludzie sadzą w tych strefach wiele podobnych owoców tropikalnych, przykładowo banany czy pomarańcze, ciągle strefy te posiadają także wiele innych owoców - które są unikalne tylko dla nich. Przykładowo w strefie Pacyfiku unikalnym jest owoc nazywany "durian", którego nie sadzi się w strefie amerykańskiej ani w Afryce. Co jednak najważniejsze, w strefach tych kultura, tradycja i filozofia jedzenia poszczególnych owoców tropikalnych jest drastycznie odmienna. Na niniejszej stronie internetowej prezentuję owoce tropikalne występujące i jedzone w strefie Pacyfiku. Moje doświadczenia z nimi wywodzą się głównie z tropikalnej Malezji, aczkolwiek niemal wszystko co rośnie w Malezji, rośnie również w innych krajach strefy Pacyfiku, np. w Tajlandii, Wietnamie, Borneo, Indonezji, itp. Tyle, że może tam być znane pod nieco innymi nazwami, oraz jedzone w nieco odmiennej formie. Informacje o tropikalnych owocach strefy Pacyfiku spisane na tej stronie, są również charakterystyczne głównie dla kultury, tradycji i filozofii jedzenia tych owoców w strefie Pacyfiku.

Część #B: Filozofia i kultura zjadania owoców w strefie Pacyfiku:

#B1. Wpływy starożytnych Chińczyków:

Starożytni Chińczycy wcale NIE zamykali się w obrębie swoich "murów chińskich". Ich eksploracyjne flotylle podróżowały do najróżniejszych części świata, zaś ich kupcy zwozili do Chin wszystko co dobrego ówczesny świat miał im do zaoferowania. Jak to wyjaśniłem w punkcie #E1 strony [newzealand_visit_pl.htm](#) - o wiadomości od Boga zawartej w nieprzygotowaniu Antypodów do zaludnienia, w starożytności flotylle eksploracyjne Chińczyków dotarły aż tak daleko jak Nowa Zelandia. Najwyraźniej jednak ostrzeżenia poznane przez Chińczyków dzięki ich znajomości tzw. "feng shui", a także

zupełny brak jadalnych owoców na Antypodach, spowodował, że poza kilkoma przybyciami eksploracyjnymi, starożytni Chińczycy NIE utrzymywali kontaktów z Nową Zelandią, zupełnie zaś z daleka omijali oni Australię. Niemniej Chińczycy od tysiącleci doskonale wiedzieli że Nowa Zelandia istnieje, oraz znali jej dokładne położenie, odnotowując w swoich kronikach każde istotne zdarzenie geologiczne Nowej Zelandii (np. odnotowali oni tam potężną eksplozję wulkaniczną która uformowała obecne jezioro Taupo). Ich filozofia zresztą była taka, że jeśli dany obszar NIE miał im nic użytecznego do sprzedania, zaś znajomość "feng shui" ostrzegała ich przed osiedleniem się na tym obszarze, wówczas starożytni Chińczycy przestawali obszar ten odwiedzać. W tym względzie Chińczycy różnili się drastycznie od barbarzyńskich Rzymian, którzy podbijali każdą ziemię która NIE była w stanie im się oprzeć - nawet choćby tylko dla samej przyjemności jej posiadania i zarządzania.

Chińczycy oczywiście byli bardzo zainteresowani w utrzymywaniu stałych kontaktów z krajami produkującymi m.in. smaczne tropikalne owoce. Dlatego kultura, filozofia i tradycja jedzenia owoców tropikalnych w strefie Pacyfiku jest silnie ukierunkowywana przez wpływy, wierzenia, filozofię, oraz wiedzę starożytnych Chińczyków. Musimy bowiem pamiętać, że Chińczycy od najdawniejszych już czasów odwiedzali te obszary, handlowali z miejscowymi ludźmi, wyznaczali zapotrzebowanie na owe owoce, oraz uczyli miejscową ludność jak owoce te należy poprawnie spożywać.

#B2. Filozofia jedzenia owoców i innej żywności upowszechniona po świecie przez starożytnych Chińczyków:

Starożytna wiedza Chińska kwalifikuje wszystkie owoce do kilku odmiennych kategorii zależnie od tego jaki rodzaj energii w nich dominuje. Czyni ona tak zresztą ze wszelkimi innymi rodzajami potraw, a także organizmów żywych. Zgodnie z nią istnieją dwa podstawowe rodzaje energii jakie mogą być obecne w owocach, żywności, ludziach, zwierzętach, roślinach, itp. Są to: energia "yang" oraz energia "yin". Energia "yang" jest to energia "męska", która w odniesieniu do owoców oraz potraw często nazywana jest także energią "rozpalającą". Z kolei energia "yin" jest to energia "żeńska", w odniesieniu do owoców i potraw często nazywana także energią "chłodzącą". Wyniki swoich badań nad obu tymi energiami opisałem w podrozdziale H2 z tomu 4 mojej monografii [1/4] o danych bibliograficznych: dr Jan Pajak, "Zaawansowane urządzenia magnetyczne". (Monografia [1/4] ma już obecnie swoją nowszą wersję, oznaczaną symbolem [1/5]. Egzemplarze owych monografii [1/4] i [1/5] upowszechniane są gratisowo poprzez niniejszą stronę internetową za pośrednictwem jej "Menu 1" i "Menu 4".) Podsumowując je tutaj w jednym zdaniu, owa męska energia "yang" jest starożytnym chińskim odpowiednikiem dla wszelkich form energii dynamicznej znanych przez dzisiejszą naukę, czyli np. dla pól dipolarnych, dla energii przepływu, dla energii przyspieszenia, itp. Z kolei żeńska energia "yin" jest starożytnym Chińskim odpowiednikiem dla wszelkich form energii statycznej znanych przez dzisiejszą naukę, czyli np. dla pól monopolarnych, dla energii ciśnienia, dla energii potencjału, itp.

(1) Jeśli dany owoc (a także osoba, roślina, zwierzę, itp.) zawiera w sobie więcej męskiej energii "yang" niż żeńskiej energii "yin", wówczas Chińczycy twierdzą, że jest on typu "yang" czyli "męskiego" lub "rozpalającego". Stąd owoce typu "yang" (a także wszelka inna żywność, ludzie, zwierzęta i rośliny typu "yang") przepelnione są nadwyżką energii "męskiej", która często nazywana jest także energią "rozpalającą". Starożytna wiedza chińska zaleca, aby owoce i potrawy typu męskiego "yang" jeść w umiarkowaniu, szczególnie jeśli samemu przynależy się do kategorii "yang" (np. jeśli samemu jest się mężczyzną - chociaż należy być ostrożnym w kategoryzowaniu jedynie na podstawie płci, bowiem istnieją kobiety u których też może dominować owa męska energia "yang"). Kiedy zaś już w nich się rozsmakujemy i zechcemy zjeść dużą ich ilość, wówczas Chińczycy zalecają aby zaraz po nich zjeść równoważną energetycznie ilość owoców lub potraw typu żeńskiego "yin".

Przykładami owoców męskiego typu "yang", czyli "rozpalających", są, m.in.: durian, persimon, ginger, lychee, langsat, longan berry, nasiona lotusa (lotus seed), oraz kilka innych.

(2) Jeśli jednak dany owoc (a także osoba, roślina, zwierzę, itp.) zawiera w sobie więcej żeńskiej energii "yin" niż męskiej energii "yang", wówczas Chińczycy twierdzą, że jest on typu "yin". Stąd owoce typu "yin" (a także wszelka inna żywność, ludzie, zwierzęta i rośliny typu "yin") przepelnione są nadwyżką energii "żeńskiej", która często nazywana jest także energią "chłodzącą". Starożytna wiedza chińska zalecała, aby również owoce i potrawy typu żeńskiego "yin" jeść w umiarkowaniu, szczególnie jeśli samemu przynależy się do kategorii "yin" (tj. jeśli samemu jest się kobietą - chociaż należy być ostrożnym w kategoryzowaniu jedynie na podstawie płci, bowiem istnieją mężczyźni u których dominująca jest właśnie żeńska energia "yin"). Kiedy zaś już ktoś w nich się rozsmakuje i zechce zjeść ich dużą ilość, wówczas dawni Chińczycy zalecali aby zaraz po nich zjeść energetycznie równoważną ilość owoców lub potraw typu męskiego "yang". Jednak w dzisiejszych czasach zalecenie to wcale nie musi być już tak pedantycznie przestrzegane. Powodem jest, że w dzisiejszych czasach większość pożywienia zjadanego codziennie przez ludzi należy do opisywanych tutaj kategorii "rozpalającego" lub "mokra-rozpalającego" (np. "rozpalające" jest wszystko co pieczone, a także wszelkie napoje chłodzące typu "coca-cola", "lemoniada", itp.). Dlatego w dzisiejszych czasach, w naszej diecie codziennej typowo brakuje pożywienia z kategorii "chłodzącej", zaś występuje nadmiar pożywienia z kategorii "rozpalającej". Stąd codzienne spożywanie takiego "chłodzącego" pożywienia dla zbalansowania niemal wszystkiego innego co także codziennie zjadamy lub pijemy, powinno stawać się naszym priorytetem. Jeśli zaś jemy już coś "chłodzącego", wówczas nie musimy tego celowo kompensować zjedzeniem również czegoś "rozpalającego". Wszakże owo "chłodzące" pożywienie samo służy właśnie jako balans do tego co zjedliśmy już wcześniej.

Przykładami owoców żeńskiego typu "yin", czyli "chłodzących", są, m.in. (w kolejności ich mocy chłodzącej): mangosteen, ogórki, gruszki, tapioka, pomidory, kokosy, morskie kokosy, zielone banany (np. ekwadorskie), cytryny, ananasy (pinapple), starfruit, arbuzy, kasztany wodne, oraz kilka innych. (Interesującym w tym wykazie jest nasz zwykły "Europejski" ogórek, który posiada zdolności silnie "chłodzące". Na jego temat istnieje nawet powiedzenie "as cool as a cucumber" - tj. "tak chłodny jak ogórek".) Wśród napojów, "chłodzącymi" są m.in. piwo i herbata (jednak tylko ta herbata która jest pita po "chińsku" lub po "japońsku", czyli bez cukru i bez żadnych innych dodatków).

(3) Oczywiście fakt że jakiś owoc jest typu "yang" wcale nie oznacza, że nie zawiera on w sobie wogóle energii "yin", oraz wice versa. Typ bowiem do którego dany owoc należy decydowany jest przez panującą w nim nadwyżkę danej energii. W ten sposób np. durian posiada w sobie zarówno energię "yang", jak i energię "yin". Tyle że energii "yang" jest w nim wielokrotnie więcej niż energii "yin". Jeśli dany owoc zawiera w sobie tyle samo energii "yang" co energii "yin", wówczas energie te nawzajem się w nim balansują. W takim przypadku mówi się że dany owoc jest typu "neutralnego". Owoce oraz wszelkie inne potrawy typu neutralnego są najzdrowsze i najbardziej zalecane do jedzenia. Chińczycy twierdzą, że jeśli ktoś może i lubi, powinien w zasadzie jeść wyłącznie potrawy i owoce energetycznie neutralne. Owoców i potraw typu neutralnego można też jeść tak dużo ile się tylko zechce. Ich zjedzenia NIE trzeba też potem balansować zjedzeniem również odpowiedniej ilości owoców odwrotnego typu.

Przykładami owoców neutralnych są m.in.: papaya, żółte banany (tj. małe banany o żółtym miąższu, rosnące głównie na wyspach Pacyfiku), pomarańcze, guava, dragon fruit, pomelo, soursop, chiku, oraz niemal wszystkie owoce europejskie rosnące na drzewach (np. jabłka, gruszki, śliwki, itp.).

(4) Starożytna wiedza Chińska wyróżnia jeszcze jedną kategorię owoców i potraw, które nazywane są przez nich "mokra-rozpalające" (po angielsku "wet-heating"). Zawarty jest w nich szczególnie "leпки" rodzaj męskiej energii "yang", która po wejściu do naszego systemu zatyka nasze kanały przepływu energii i nie chce już potem z nas wyjść. Stąd energia ta "rozpala" nas potem niezdrowo przez długi okres czasu, często prowadząc do niemal natychmiastowej choroby. Ponadto "leпка" natura ich energii i składników powoduje, że owoce te są wysoko tuczające. Przykładowo w okresie dojrzewania owoców "mango" w Indiach, niemal cała populacja Indii przybiera na wadze. Chińczycy zalecają aby

szczególnie wystrzegać się jedzenia tych owoców i potraw, zaś jeśli już je zjadamy, aby jeść je w dużym umiarkowaniu. Wszakże jeśli zje ich się zbyt dużo, wówczas wywołają one w nas chorobę (nie wspominając już o podtuczeniu). Należy też przestrzegać zasady, aby po zjedzeniu czegoś "mokro-rozpalającego" natychmiast balansować to zjedzeniem lub wypiciem czegoś "chłodzącego" (tj. czegoś z dominacją energii "yin").

Przykładami owoców z owej kategorii "mokro-rozpalającej" są m.in.: mango, mandarynki, winogrona, rambutan, chempedak, jack fruit, oraz kilka innych. Z kolei do kategorii potraw "mokro-rozpalających" należy wszystko co jest smażone w wysokiej temperaturze i w tłuszczu (np. "frytki", smażone kurczaki, itp.).

* * *

Według starożytnej wiedzy Chińskiej, cała sztuka i filozofia jedzenia, w tym jedzenia owoców, a także cała filozofia i sztuka utrzymywania swego ciała przy zdrowiu, polega na takim spożywaniu owoców i potraw, aby obie energie "yang" and "yin" nawzajem się w nas zbilansowały. (Wszakże nawet dzisiejsze angielskojęzyczne powiedzenie stwierdza, że "jestesmy tym co zjadamy" - po angielsku "we are what we eat".) Wyrażając to innymi słowami, aby być zdrowym, energie naszego ciała muszą być utrzymywane w stanie nieustannego balansu. Jeśli bowiem którakolwiek z owych dwóch podstawowych rodzajów energii zacznie znacząco dominować w nas ponad tą drugą energią, wówczas ciało zapada na chorobę. Dlatego najlepiej zjadać owoce i potrawy "neutralne". Jeśli zaś zje już się dużą ilość czegoś "rozpalającego", np. duriana, wówczas zaraz po tym powinno się także zjeść energetycznie podobną ilość czegoś "chłodzącego", np. po durianie objętościowo tyle samo mangosteen, albo dwukrotnie więcej gruszek - które chłodzą nieco mniej niż mangosteen, albo też trzykrotnie więcej słabo chłodzącego arbuza, itp. W przeciwnym wypadku, rozpalająca energia zjedzonej potrawy, w tym przykładzie duriana, u mężczyzn w których naturalnie dominuje energia "yang" może wywołać np. nocny ból gardła. Podobnie zresztą taki nocny ból gardła u tych mężczyzn spowoduje też niczym nie zbalansowana "mokro-rozpalająca" energia dużej porcji smażonych kurczaków, czy dużej porcji smażonych "frytek".

#B3. Wpływy wiedzy starożytnych Chińczyków na tradycje jedzenia w Polsce:

Powyższe warto uzupełnić informacją, że w staropolskim folklorze kucharskim również praktycznie stosowane były zasady energetycznego komponowania potraw - bardzo podobne do omówionych powyżej zasad chińskich (być może że dawna Polska odtrzymywała jakieś wpływy Chińczyków za pośrednictwem Tatarów i Mongołów). Moja matka wywodziła się po kądzieli z wielopokoleniowej rodziny zawodowych kucharek. Przykładowo jej matka, a moja babcia, była dosyć sławną kucharką która pracowała w wielu pałacach jej czasów. Także matka mojej babci była dosyć sławną kucharką pracującą w wielu kuchniach pałacowych jej czasów. Moja matka zawsze też nam powtarzała jakich potraw lub składników pokarmowych nie wolno jeść lub mieszać z jakimi innymi, jakie zaś zawsze powinny być jedzone lub mieszane razem. W głupocie i beztroście lat młodszych ani ja, ani żadne z mojego rodzeństwa, nie pospisywało sobie tych zasad. Ich tajemnicę matka zabrała więc ze sobą do grobu. Teraz zaś ogromnie "pluję sobie w brodę" z tego powodu. Jedyną lekcję jaką wyniosłem z tamtych napomnień matki, to aby unikać jedzenia potraw zaprojektowanych przez dzisiejszych "nowoczesnych" kucharzy, a głównie nastawiać się na jedzenie tradycyjnych potraw jakie znane są nam już od dawna. Powodem jest że dzisiejsi "nowocześni" kucharze komponują swoje potrawy całkowicie ignorując ową wypracowaną przez wieki empiryczną wiedzę na temat ich kompozycji energetycznej (nic dziwnego że twórczość dzisiejszych kucharzy po angielsku często nazywana jest teraz "junk food" - co można tłumaczyć jako "jadalne śmieci"). Zjedanie produktów wypocin dzisiejszych "nowoczesnych" kucharzy zwykle czyni nas tylko coraz bardziej chorymi. Natomiast stare tradycyjne potrawy były kiedyś w Polsce komponowane właśnie zgodnie z zasadami owej istotnej wiedzy empirycznej. Ich zjedanie podtrzymuje więc w nas zdrowie. Wspominając obecnie liczne napomnienia mojej własnej matki na temat co, jak i kiedy należy jeść lub też nie jeść, to co piszę na niniejszej stronie internetowej na temat kultury i filozofii jedzenia wywodzącej się od starożytnych

Chińczyków, jest jedynie odświeżeniem i sformalizowaniem wiedzy która w dzieciństwie serwowana mi była w moim własnym domu rodzinnym.

#B4. Podobna do chińskiej filozofia jedzenia zdefiniowana przez starożytnych Indyjczyków:

Niezależnie od opisanej powyżej tradycji chińskiej, oraz powtarzającej niektóre jej elementy tradycji staropolskiej, podobne tradycje istnienia podstawowych rodzajów energii zawartej w owocach i żywności stosuje również w praktyce kuchnia staroindyjska. Indyjczycy używają jednak nieco odmiennych terminów i definicji które bazują na stwierdzeniach filozofii verdyjskiej. Według nich, energia zawarta w żywności może posiadać jedną z trzech form, które Indyjczycy nazywają: sattva (co oznacza "neutralne", "czyste", albo "stężone"), tamas (co oznacza "inercyjne", "męczące", "osłabiające"), oraz rajas (co oznacza "energetyzujące", "gorące", "aktywne"). Formy te dosyć zgrubnie odpowiadają rodzajom energii zawartych w żywności, które starożytni Chińczycy nazywali "neutralna", "yin", oraz "yang".

Część #C: Generalne cechy tropikalnych owoców oraz ich odmienność od owoców z innych stref klimatycznych:

#C1. Owoce to nie tylko pożywienie, ale także naturalne lekarstwo, źródło najróżniejszych dobrodziejstw, styl życia, oraz dar od Boga:

Wszyscy zapewne znamy angielskie przysłowie, "jedno jabłko dziennie trzyma lekarzy z daleka, jedna cebula dziennie trzyma wszystkich z daleka, jeden czosnek dziennie trzyma nawet wampira Drakulę z daleka" (w oryginale angielskojęzycznym "one apple a day keeps doctor away, one onion a day keeps everyone away, one garlic a day keeps even Dracula away"). Przysłowie to posiada zaszyfrowane w sobie aż dwie istotne informacje, mianowicie (1) że jedzenie owoców kształtuje nasze zdrowie i samopoczucie, oraz (2) że podczas spożywania owoców wysoce pomocna okazuje się znajomość wszystkich ich własności i cech - a nie jedynie ich zdolności do zaspokajania naszych własnych upodobań smakowych. Niniejsza strona internetowa stara się nie tylko dokonać przeglądu najważniejszych owoców tropikalnych ze strefy Pacyfiku, ale również dla każdego z owych owoców dostarczyć te dwie istotne informacje.

Ogromnie interesujące są wyniki analizy owoców jako daru od Boga. Jak bowiem się okazuje, sporo owoców jest nośnikiem raczej nadprzyrodzonych cech. Przykładowo, kokosy nigdy nie spadają na głowy ludzi, czyli mają one jakby "ludzkie oczy" (po szczegóły patrz opisy z punktu #D1 poniżej). W tropiku w obiegu znajduje się też powiedzenie, że "dla każdej istniejącej choroby Bóg stworzył jakiś owoc który chorobę tą leczy".

#C2. Generalne cechy owoców tropiku:

Tropikalne owoce wykazują kilka generalnych cech, które są relatywnie odmienne od cech owoców z innych stref klimatycznych. Wymieńmy tutaj choćby najważniejsze z owych cech:

1. Uzależnienie smaku od miejsca wyrośnięcia. Większość europejskich owoców smakuje niemal tak samo niezależnie od tego gdzie one wyrosły. Przykładowo jabłko wyrosłe w Polsce smakuje niemal identycznie jak jabłko z Nowej Zelandii czy Japonii. Tymczasem smak tropikalnych owoców zmienia się drastycznie z miejscem ich wyrośnięcia. Przykładowo "durian" z Malezji jest najsmaczniejszym owocem świata. Jednak "durian" z sąsiedniej Tajlandii daje się przełknąć tylko z wielką trudnością, zaś durian z Australii jest wprost NIE do zjedzenia. Dlatego jedząc tropikalne owoce dobrze jest wiedzieć gdzie one wyrosły. Ich smak jest bowiem bardzo silnie zależny od miejsca wyrośnięcia. Dla każdego też tropikalnego owocu istnieje jakiś obszar na Ziemi w którym rośnie najsmaczniejsza odmiana tego owocu (np. najsmaczniejszy "durian" wyrasta w Malezji, najsmaczniejszy "pomelo" wyrasta w Ipoh, najsmaczniejsze "mandarynki" wyrastają w Chinach, najsmaczniejszy "persimon" wyrasta w Izraelu, itp.).

2. Silny aromat. Większość tropikalnych owoców ma bardzo silny aromat

(zapach). Siłę tego aromatu każdy z nas może docenić porównując jak nieznacznie pachną np. jabłka lub śliwki, z siłą zapachu np. pomarańczy czy cytryn. Niestety, zapach ten NIE zawsze i nie do każdego jest przyjemny. Przykładowo "durian" (omawiany w punkcie #G1 poniżej) słynie NIE tylko dlatego że oficjalnie jest on najsmaczniejszym owocem świata, ale także ponieważ jest on najbardziej śmierdzącym owocem świata. W krajach w których durian wyrasta, wiele co droższych hoteli, restauracji, dalekosiężnych linii autobusowych, a także wszystkie linie lotnicze, zabraniają wnoszenia do nich duriana, a nawet karzą grzywnami jeśli ktoś usiłuje wnieść do nich ten nieprzyjemnie śmierdzący owoc.

3. Znaczący wpływ na zdrowie i samopoczucie jedzącego. W Europie tylko niektóre owoce wpływają silnie na zdrowie i samopoczucie jedzącego. Tymczasem każdy tropikalny owoc ma bardzo silny taki wpływ. Także każdy owoc tropikalny posiada zdolność do wyleczenia co najmniej jednej ciężkiej choroby. (Na niniejszej mojej hobbystycznej stronie internetowej opisałem tą zdolność leczniczą tylko dla niektórych chorób i tylko dla niektórych owoców jakie leczą owe choroby. Nie uczyniłem tego dla wszystkich owoców i dla wszystkich chorób, bowiem to wymagałoby zbyt wielu poszukiwań na które moje hobbystyczne badania NIE otrzymują ani funduszy ani oficjalnego poparcia.) Stąd jedząc owe tropikalne owoce dobrze jest wiedzieć jaki wpływ i na co one wywierają. Faktycznie też sporo tradycyjnych metod leczenia bazuje na wykorzystaniu owego wpływu owoców tropikalnych na zdrowie i samopoczucie jedzącego - po szczegóły patrz strona [healing_pl.htm](#) - o folklorystycznych metodach przywracania zdrowia.

4. Wykazywanie nadprzyrodzonych i paranormalnych własności. W poprzednim punkcie #C1 podkreślałem, że wiele owoców tropiku wykazuje się posiadaniem cech które potwierdzają iż są one rodzajem daru od Boga. Niektóre z nich cechują bowiem niemal nadprzyrodzone własności (np. rozważ cechę "kokosów" że nigdy nie upadają one na głowę człowieka, czy cechę owoców "salak" że wymownie ilustrują one biblijną historię o Ewie i wężu). Inne zaś wykazują paranormalnie cechy (np. drzewo bananowe posiada wysoce rozwiniętego "ducha" który może imitować ducha ludzkiego - po szczegóły patrz punkt #D3 poniżej). Dlatego w przeciwieństwie do owoców z innych stref klimatycznych, tropikalne owoce lub tropikalne drzewa owocowe często są używane do uprawiania najróżniejszych form "magii".

Odnotuj z opisów zawartych na stronie o teorii wszystkiego zwanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji, że "magia to po prostu jedna z wielu form wykorzystania praw rządzących przeciw-światem dla wywierania wpływu na zdarzenia z naszego świata". Jeszcze innym podobnym wykorzystaniem przeciw-świata są nadprzyrodzone zjawiska. Przykładami nadprzyrodzonego wpływania na świat fizyczny za pośrednictwem mechanizmów działania przeciw-świata - które każdy czytelnik sam może sobie urzeczywistnić, są eksperymenty dowodzące istnienia duszy ludzkiej polegające na wyperswadowaniu tej duszy aby nadprzyrodzenie zwiększyła lub zmniejszyła ona wagę ciała w którym rezyduje. Eksperymenty te opisane są dokładnie w punktach #E7.1 i #E7.2 strony [soul_proof_pl.htm](#) - o naukowych dowodach, zdjęciach i eksperymentach, które dowodzą istnienia nieśmiertelnej duszy.

#C3. Cechy które są omawiane na tej stronie:

Czytając pospisywane na tej stronie informacje i folklorystyczne ciekawostki o tropikalnych owocach ze strefy Pacyfiku, w oczy zapewne rzuca się fakt, że z całego oceanu ciekawostek możliwych do zaprezentowania, ja opisuje tylko te, które wnoszą soba najwyższy potencjał moralny i nauczający.

Część #D: Opisy tych owoców strefy Pacyfiku które wykazują najróżniejsze nadprzyrodzone cechy:

#D1. Kokosy:

W wielu tropikalnych krajach palma kokosowa jest uważana za święte drzewo które zostało specjalnie zaprojektowane przez Boga aby zaspokajało ono wszelkie

podstawowe potrzeby człowieka. (Odnótuj że "świętość kokosów" jest tam praktykowana podobnie jak kiedyś w Europie praktykowana była świętość "chleba powszedniego" - gdzie dawni Europejczycy przeprasali kromkę chleba jeśli przypadkowo upuścili ją na podłogę, gdzie nigdy nie wyrzucali do śmieci nawet najmniejszych okruszków chleba, a także gdzie dla wyrażenia swego szacunku do chleba mężczyźni zawsze zdejmowali czapkę na czas jedzenia. Takie właśnie manifestacje poszanowania dla "chleba powszedniego" ja ciągle pamiętam z Polski lat mojego dzieciństwa, czyli z lat 1950-tych. Sprawa świętości chleba powszedniego, a także świętości orzechów kokosowych, jest też poruszona w punkcie #F2 strony internetowej biblia.htm - o autoryzowaniu Biblii przez samego Boga, oraz w punkcie #F2 strony internetowej god_proof_pl.htm - o dowodach naukowych na istnienie Boga.) Świętość palmy kokosowej wyraża się przez to, że na małych wyspach oceanicznych na których nie rośnie nic innego poza ową palmą, faktycznie jest ona dostawcą wszystkiego. Aby zrozumieć jak ogromnie ważną funkcję palma kokosowa tam wypełnia, wystarczy przypomnieć sobie, że owe piaszczyste wyspy koralowe na których rośnie palma kokosowa otoczone są niezdatną do picia bo słoną wodą oceaniczną i typowo NIE mają one praktycznie żadnego źródła wody pitnej. Palma kokosowa jest więc tam nawet dostarczycielem wody do picia. Z kolei aby zrozumieć jak w nawet najdrobniejszych szczegółach Bóg tak zaprojektował kokosy aby możliwie najlepiej służyły one człowiekowi, wystarczy przyglądnąć się dokładniej "ergonomii" orzecha kokosowego (czym jest owa "ergonomia", opisuje to dokładniej punkt #D3.1 z dalszej części tej strony). Przykładowo skorupka tego orzecha jest tak twarda, że na wyspach koralowych gdzie brak jest gliny i metalu na garnki, to właśnie tej skorupki miejscowi używają do gotowania nad ogniem. Trzeba więc bardzo dużej siły i doskonałego narzędzia aby skorupkę tą rozłupać. (Mi rozłupanie mojego pierwszego orzecha kokosowego, dokonywane bez skonsultowania się z miejscowymi, zajęło aż parę dni dorywczej ciężkiej pracy.) Ponieważ jednak osoba w potrzebie może NIE mieć owej siły i narzędzi, w tejże super-twardej i wytrzymałej skorupce Bóg zaprojektował trzy niewielkie miękkie otworki o średnicy typowej słomki. Ci więc co wiedzą o owych miękkich otworkach, mogą wsunąć słomkę do orzecha kokosowego prawie bez żadnego wysiłku i wypić jego zawartość bez potrzeby użycia niemal żadnego narzędzia. Co jeszcze ciekawsze, wielkość orzecha kokosowego została ergonomicznie tak zaprojektowana przez Boga, że jeden kokos zawiera w sobie dokładną ilość "wody kokosowej" jaka jest potrzebna aby zaspokoić pragnienie jednej osoby. Gdyby kokos był chociaż trochę większy, jedna osoba NIE byłaby w stanie wypić całej jego zawartości - jego cenna woda by się więc marnowała. Gdyby zaś kokos był chociaż nieco mniejszy, jeden owoc NIE wystarczałby aby zaspokoić pragnienie jednej osoby - ponownie więc te cenne owoce by się marnowały. Dlatego owoce kokosa są precyzyjnie tak duże, jakie być powinny aby usatysfakcjonować pojedynczego człowieka.

Nic więc dziwnego że w niektórych religiach, np. w hinduiźmie, bogom składa się nawet ofiary właśnie z orzechów palmy kokosowej. Biblia stwierdza że gałęzie palmy były kładzione na ziemi przed krocącym Jezusem. Owa boskość palmy kokosowej jest tam też źródłem głębokiego wierzenia panującego w krajach w których palma ta rośnie, mianowicie że orzech kokosowy nigdy nie upada na głowę człowieka. Faktycznie we wielu krajach tropikalnych, np. w Malezji, miejscowi ludzie powiadają, że "palmy kokosowe mają oczy" - dlatego nigdy nie upuszczają swoich orzechów na głowy ludzi. Ja osobiście zostałem bardzo zaintrygowany tym wierzeniem. Kiedykolwiek więc miałem okazję pobytu w miejscach gdzie palma ta rośnie, wypytywałem tam miejscowych czy znają przypadek aby orzech kokosowy upadł na czyjąś głowę. Muszę też tutaj potwierdzić, że pomimo szerokiego i wieloletniego wypytywania ja nigdy nie natknąłem się na przypadek aby ktoś znał kogoś na czyją głowę upadł orzech kokosowy. Taki przypadek byłby zaś dosyć głośny, bowiem z powodu dużej wagi tych orzechów, a także dużej wysokości palm kokosowych, upadek kokosa na czyjąś głowę zakończyłby się zapewne zabiciem danego pechowca. Oczywiście, ów fakt braku upadku kokosów na głowy ludzkie jest czymś niezwykłym i nadprzyrodzonym. Powinno się więc go tłumaczyć właśnie "świętością" owej palmy. Wszakże inne drzewa upuszczają swoje owoce zupełnie przypadkowo, w tym na głowy ludzi. Ja sam dobrze pamiętam przypadek kiedy upadające jabłko uderzyło mnie w głowę -

na szczęście było dojrzałe i miękkie. W Malezji rośnie smaczny owoc właśnie o wielkości kokosów - nazywa się "durian" (opisywany poniżej w punkcie #G1). Jest też tam powszechnie wiadomym, że w okresie dojrzewania durianów ludzie albo powinni się trzymać z daleka od tych drzew, albo też zakładać na głowę kaski ochronne. Ciężkie owoce duriana spadają bowiem "statystycznie", w tym na głowy ludzkie. Nie jest więc niczym niezwykłym usłyszeć tam o przypadku oberwania w głowę upadającym owocem duriana.

Najwyraźniej jednak ktoś nie mógł przetrwać owej wyjątkowości "świętej palmy" i zdecydował się objąć "naukowym ateizmem" również owe święte orzechy kokosowe. Ów ktoś zaczął więc upowszechniać kłamliwe pogłoski w imieniu nauki, że jakoby rocznie aż 150 ludzi umiera na świecie od upadków kokosów. Owe fałszywe pogłoski uczyniły upadki kokosów hipotetycznie nawet bardziej niebezpieczne od ataków rekinów. Pogłoski te były też szerzone w tak zorganizowany sposób, że na ich podstawie nawet niektóre firmy ubezpieczeniowe zaczęły opracowywać swoje "kokosowe polisy". Na szczęście dla prawdy, jacyś naukowcy postanowili dotrzeć do "badań" które dostarczyły naukowych podstaw tych twierdzeń o morderczej pladze upadających kokosów. Wyniki ich badań były potem streszczone m.in. w artykule "Lies, damn lies, and 150 coconut deaths" (tj. "Kłamstwa, wierutne kłamstwa, oraz 150 umierających od kokosów") ze strony B9 nowozelandzkiej gazety Weekend Herald, wydanie datowane w sobotę (Saturday), April 12, 2008. Poszukiwania tych naukowców wykazały, że owe kłamliwe pogłoski puszczono w obieg w Australii w 2002 roku. (W świetle tego co wyjaśnione na stronie newzealand_visit_pl.htm - o wiadomości od Boga zawartej w nieprzygotowaniu Antypodów do zaludnienia, nie powinny nas dziwić że to Antypodanie starają się przodować w wypaczaniu prawdy.) Dopiero potem były one upowszechnione po świecie przez artykuł w Daily Telegraph. Na początku referowały do publikacji jakiegoś Kanadyjskiego profesora, w której faktycznie NIE podawano żadnych danych ilościowych na ten temat, podczas gdy sam professor zaprzeczył iż kiedykolwiek zgromadził takie dane. Na przekór więc kłamstw szerzonych na ten temat pod podszywką oficjalnej nauki, faktycznie orzechy kokosowe nigdy nie spadają na głowy ludzi.

Na temat świętości palmy kokosowej wynikającej z jej celowego zaprojektowania przez Boga dla służenia ludziom, stara legenda z wysp Pacyfiku stwierdza co następuje: "W czasach kiedy Bóg ciągle rozmawiał z ludźmi, mieszkańcy wysp koralowych poprosili Go jak następuje. Boże, ludziom mieszkającym na dużych kontynentach dałeś rozległe lasy pełne zwierzyny i różnych drzew, rzeki z pitną wodą, pola do uprawy, łąki, zboża, owoce, zwierzęta domowe, oraz metale na narzędzia i na garnki. Nam zaś dałeś puste wyspy na których oprócz piasku niczego nie ma. Daj więc nam coś, co zastąpi wszystkie te dobra które otrzymali ludzie z dużych kontynentów. Bóg dał więc wyspiarzom palmę kokosową. Ta jedna palma zastąpiła sobą wszystkie inne dobra które otrzymali ludzie z dużych kontynentów."

Faktycznie też palmy kokosowe są najbardziej użytecznymi roślinami na Ziemi. Rosną one na piaszczystych wyspach otoczonych słonym oceanem i nie posiadających ani rzek ani jezior ze słodką wodą. Ich korzenie potrafią bowiem pobierać wodę nawet jeśli wokoło istnieje tylko słona woda oceanu. Praktycznie też każdy ich fragment posiada aż cały szereg odrębnych zastosowań. Przykładowo, pnie drewna palmowego (tzw. "trunks") używane są do budowy mostów i budynków. Liście tej palmy stosuje się do wyplatania mat i koszyków, zaś wyciągi z owych liści stosuje się w lecznictwie i gotowaniu. Sok odciągany z pnia palmy, po wygotowaniu dostarcza doskonałego "cukru palmowego" (po angielsku "palm sugar"). Z kolei sok spływający po nacięciu kwiatów palmy kokosowej stanowi natychmiast gotowy do picia słodki napój alkoholowy nazywany "toddy" - o smaku przypominającym nasz miód pitny wysokiej jakości. Z kolei ogromne jak głowy ludzkie orzechy kokosowe dostarczają cały szereg użytecznych produktów. Zewnętrzna, włóknowata osłona owych orzechów, po angielsku nazywana "husk" służy do plecienia silnych lin oraz do produkowania szczotek. Twarda skorupa zawarta pod tą osłoną (tzw. "shell") używana jest do produkcji najróżniejszych pojemników i naczyń. Jest ona tak twarda, że na wyspach nie mających gliny ani metali używana jest ona do gotowania nad ogniem. Pod skorupą tą znajduje się biała, jadalna warstwa orzecha kokosowego, tzw.

"kernel". Ten kernel można jeść na surowo lub po ugotowaniu. Po roztopieniu na ogniu zamienia się on w olej jadalny z jakiego kiedyś produkowano margarynę. Można z niego też wyciskać gęstą, smaczną, "śmietankę kokosową" (po angielsku "coconut cream"), z jakiej po rozwodzeniu produkowane jest "mleczko kokosowe" ("coconut milk"). Po wysuszeniu ów biały kernel zamienia się w tzw. "copra" z której obecnie produkowanych jest aż kilkaset najróżniejszych wyrobów kosmetycznych, farmaceutycznych i chemicznych. W końcu wolna przestrzeń zawarta w środku "kernela" kokosowego wypełniona jest smaczną "wodą kokosową" która zawiera w sobie wszystkie składniki potrzebne ludziom do życia.

Jedną z najczęstszych form pod jakimi turyści spotykają kokosy w krajach tropikalnych jest tzw. "woda kokosowa". Woda ta jest wypijana z całych, ciągle niedojrzałych, oraz otwartych tuż przed piciem, orzechów kokosowych. Folklor ludowy tropiku twierdzi, że woda ta ma wiele korzystnych walorów. Przykładowo, oczyszcza ona i wzmacnia organizm. Uzupełnia brakujące mikroelementy i minerały. Podnosi odporność na choroby. Przyspiesza samoleczenie chorób. Itd., itp. Pod względem energetycznym woda ta jest "chłodząca". Jej picie zalecane jest więc też w przypadkach zjedzenia czegoś rozpalającego (np. smażonych potraw), a ponadto przy wielu chorobach gorączkowych. Zgodnie z artykułem [1#D1] "Coconut water therapy can work wonders" (tj. "Leczenie wodą kokosową może czynić cuda") ze strony 14 malezyjskiej gazety New Straits Times, wydanie z poniedziałku (Monday), August 18, 2008, woda kokosowa dopomaga ludziom w szybszym wyzdrowieniu z najróżniejszych chorób, szczególnie wirusowych - takich jak słynna "chikungunya" opisana w punkcie #B1 strony plague_pl.htm - o morderczej zarazie przygotowywanej ludzkości. Powodem leczniczych zdolności wody kokosowej jest obecność w niej najróżniejszych istotnych minerałów które są pomocne w obronie naszego organizmu przed wirusami. Ponadto woda ta podobno pomaga usuwać nieczystości z wątroby - tj. organu który kontroluje temperaturę naszego ciała i który jest atakowany przez sporo wirusów - włączając ów śmiertelny wirus "chikungunya". Niektórzy zalecają również ową wodę pacjentom po terapii chemicznej używanej w leczeniu raka, jako że po owej terapii organizm bardzo potrzebuje minerałów zawartych w owej wodzie. Wodę kokosową pije się "słomką" wprost z otwartego, ciągle niedojrzałego, a stąd zielonego lub żółtego, orzecha kokosowego. Zalecane jest picie wody z co najmniej jednego kokosa dziennie.

Powinienem tutaj nadmienić, że ja osobiście spróbowałem metody przyspieszania wyzdrowienia przez picie "kokosowej wody" - tak jak to opisuje powyższy artykuł [1#D1]. Podczas wakacji w Malezji w 2008 roku jak zwykle przedobrzyłem ze spaniem przy włączonym "air-conditioner", a także przedobrzyłem z napojami silnie wychłodzonymi w lodówce. M.in. przedobrzyłem z piciem "wody kokosowej" którą bardzo lubię, a którą dla poprawy smaku silnie wychładzałem w lodówce. Niestety, "woda kokosowa" ma wysokie ciepło właściwe, a stąd po silnym wychłodzeniu jej chłód aż sprawia ból podczas picia. W rezultacie już w pierwszym tygodniu wakacji zapadłem na jakieś wirusowe przeziębienie gardła. Wprawdzie lekarz szybko wyleczył je antybiotykiem "Zithromax", jednak ciągle pozostał mi po nim paskudny, suchy, jakby chroniczny, kaszel. Przez następny miesiąc kaszlu tego nie byłem w stanie ani się pozbyć, ani chociaż go pomniejszyć. Ten kaszel spowodował też że zaprzestałem picia kokosowej wody, jako że zimno owej wody było powodem dla którego dostałem ów kaszel w pierwszym rzędzie. Kiedy więc wpadł mi w ręce powyższy artykuł [1#D1] zdecydowałem się powrócić do regularnego picia wody kokosowej z młodych i niedojrzałych, żółtych kokosów. Tym jednak razem wodę tą piłem ciepłą - tj. prosto po zakupieniu i otwarciu kokosów na ulicznym straganie. Taka ciepła woda wcale już nie smakuje aż tak dobrze jak woda wychłodzona, ale za to jej temperatura przestaje być niebezpieczna dla zdrowia. To właśnie poprzednie picie tej wody po jej silnym wychłodzeniu w lodówce było jednym z powodów zapadnięcia najpierw na zapalenie gardła, potem zaś tego upartego kaszlu. Wypijałem po dwa kokosy dziennie. Na czwarty dzień takiego picia dało się już wyraźnie odnotować że mój chroniczny kaszel rozpoczął stopniowe zanikanie.

Podsumowując powyższe, faktycznie nie istnieje na Ziemi żadna inna roślina która dla ludzi miałaby równie wiele użytecznych zastosowań jak palma kokosowa. Nic dziwnego, że palma ta uznawana jest za święte drzewo podobnie jak w Europie kiedyś

uznawano świętość chleba powszedniego.

Fot. #D1a: Malezyjska palma kokosowa z widocznymi kokosami.

* * *

Zauważ że można zobaczyć powiększenie każdej fotografii z niniejszej strony internetowej. W tym celu wystarczy zwykle kliknąć na tą fotografię. Ponadto większość tzw. browserów które obecnie są w użyciu, włączając w to popularny "Internet Explorer", pozwala na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększyć, a także gdzie ją można wydrukować za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

Fot. #D1b: Kluster młodych, żółtych orzechów kokosowych na malezyjskiej palmie kokosowej. Zdjęcie wykonane w styczniu 2004 roku w Kuala Lumpur, Malezja. Każdy z tych orzechów jest wielkości głowy ludzkiej. Są one ciągle niedojrzałe i w trakcie wzrostu. W pokazanym tu stanie jedynie zawarta w nich "woda kokosowa" nadaje się do picia. Po dojrzeniu ich pomarańczowa lub zielona wierzchnia warstwa zamieni się w ciemno-brązowy włóknisty kokon, tzw. "husk", w środku którego znajduje się pełnowartościowy orzech kokosowy, z zawartością opisaną nieco dalej.

W wielu tropikalnych krajach palmy kokosowe są traktowane z tym samym respektem z jakim w Europie w dawnych czasach ludzie zwykli manifestować swoje uznanie dla świętości "chleba powszedniego". Oczywiście, istnieją ważne powody dla takiego potraktowania tych palm. Faktycznie bowiem niezwykle atrybuty palm kokosowych dostarczają nam jeszcze jednego przykładu materiału dowodowego z obszaru nauk biologicznych (na dodatek do obszernego takiego materiału już zidentyfikowanego i już opisanego w punkcie #F2 strony internetowej biblia.htm - o autoryzowaniu Biblii przez samego Boga, oraz w punkcie #F2 strony internetowej god_proof_pl.htm - o dowodach naukowych na istnienie Boga), który to materiał dowodzi istnienia Boga.

Atrybuty godne "świętego drzewa" wykazuje również woda kokosowa. Woda ta posiada bowiem aż kilka bezcennych cech. Przykładowo jest sterylna, zawiera wszelkie składniki niezbędne do życia, oraz jest ogromnie smaczna. Stąd w drastycznych przypadkach używana jest przez lekarzy jako zastępcza "kroplówka" dozowana z orzecha kokosowego bezpośrednio do żył osób które potrzebują pomocy lub kroplówkowego dożywienia. Woda ta jest także bardzo smaczna do bezpośredniego picia (ja uwielbiam jej smak). W Malezji nazywają ją "lions' drink" (znaczy "napój lwów") ponieważ wzmacnia ona i odżywia ciało oraz powoduje iż jej konsument czuje się jak "młody lew". Osobiście zalecam każdemu kto przebywa w krajach tropikalnych: jeśli boisz się picia w tropiku czegokolwiek miejscowego aby nie dostać zatrucia, zamiast pić tam butelkowaną coca-colę która może powodować pogarszenie się Twojego zdrowia, raczej pij sterylną, przesmaczną, oraz wyjątkowo zdrową "kokosową wodę" która pochodzi z owoców praktycznie świętego kokosa. Bacz jedynie aby kokos ten był otwarty w Twojej obecności, oraz aby pozwolono Ci go pić przez słomkę wprost z orzecha - co Ci zagwarantuje że jego woda ciągle jest sterylna i świeża.

Po raz pierwszy w życiu skorupkę z orzecha kokosowego widziałem w niewielkim chociaż intrygująco dobrze zaopatrzonym muzeum jakie kiedyś znajdowało się w szklanych gablotach na korytarzach Szkoły Podstawowej nr 1 w Miliczu. (Muzeum to opisałem w punkcie #9 strony internetowej o Miliczu.) W czasach bowiem gdy ja chodziłem do szkoły podstawowej, kokosa w Polsce to nikt nawet na lekarstwo nie uświadczył. Opowiadania więc oraz dowody, że gdzieś w dalekim świecie istnieje orzech wyglądający niemal jak laskowy, jednak mający wielkość głowy ludzkiej, potrafiły naprawdę pobudzić dziecięcą wyobraźnię. Skorupka ta zainspirowała u mnie marzenia o czasach kiedy będę podróżował po dalekich tropikalnych wyspach, gdzie takie kokosy rosną, objadając się nimi do woli. (Wyobrażałem sobie wówczas, że orzechy kokosowe są jedynie większą wersją dobrze mi znanych orzechów laskowych, oraz że utrzymują one doskonały smak rodzimej leszczyny.)

Jak wszystkie silne marzenia z Wszewilek, marzenie to potem się wypełniło. (Wszakże Wszewilki to miejsce w którym marzenia się wypalniają.) Faktycznie też obecnie relatywnie często podróżuję po tropikalnych wyspach gdzie rosną kokosy. Często też pijam się wodą z młodych orzechów kokosowych, którą zresztą bardzo lubię. Jednak nie jem mięszo kokosowego, bo jakoś mi nie smakuje. (Wolę raczej objadać się naszymi orzeszkami laskowymi, lub owocem malezyjskiego "duriana" pokazanego na zdjęciach "Fot. #G1a" i "Fot. #G1b" - który to "durian" jest oficjalnie uważany za najsmaczniejszy owoc świata.)

* * *

Po wzgędem zawartej w sobie energii, orzechy kokosowe należą do owoców lekko "chłodzących". W dawnych czasach Chińczycy zalecali umiarkowanie w ich jedzeniu. Zalecali także, aby ich zjedzenie neutralizować zjedzeniem czegoś lekko "rozpalającego" - szczególnie jeśli jedząca osoba jest kobietą o zdecydowanej dominacji energii "yin". Jednak w dzisiejszych czasach zalecenie to wcale nie musi być już tak pedantycznie przestrzegane, wszakże i tak obecnie zjadamy zbyt dużo "rozpalających" potraw - jak to już wyjaśniłem w punkcie #B2 tej strony.

* * *

Tak nawiasem mówiąc, to w ostatnich czasach pojawiła się jakaś tajemnicza choroba która w tropiku uśmierca drzewa palmowe w podobny sposób jak w Europie coś uśmierca drzewa wiązowe (po angielsku zwane "elm trees"). Z jej powodu palmy znikają ostatnio w zastraszającym tempie. Opis owej tajemniczej choroby zawarty jest m.in. w artykule "What's killing the palm trees?" autorstwa Randolph'a E. McCoy, opublikowanym w czasopiśmie National Geographic, wydanie z July 1988.

#D2. Orzeszki palmy olejowej:

Począwszy od około lat 1970-tych, w Malezji palmy olejowe stopniowo eliminują palmy kokosowe pokazane na zdjęciu "Fot. #D1". Wartość bowiem odżywcza małych orzeszków palmy olejowej, pokazanych na zdjęciu "Fot. #D2b", jest jeszcze korzystniejsza niż wartość odżywcza orzechów kokosowych. Praktycznie też obecnie niemal cała produkcja oleju palmowego oraz margaryny palmowej na świecie następuje już z owej palmy olejowej, a nie (jak kiedyś) z orzechów kokosowych.

Pojedynczy orzeszek palmowy ma wielkość naszej (tj. europejskiej) niebieskiej śliwki. Jego zewnętrzna warstwa to bezużyteczna masa nieco podobna do tej z mięszo naszych "rajskich jabłek". W środku, pod tą warstwą, mieści się "shell" tego orzecha. Owa "shell" ma wielkość naszego orzecha laskowego. Jej łupina jest jednak aż tak twarda, że ja miałem trudności z jej rozbiciem młotkiem. (Nie ma szansy że ktoś mógłby ją rozłupać własnymi zębami, tak jak w Polsce czynimy to z orzeszkami laskowymi.) Wewnątrz owej łupiny mieści się "kernel" orzecha. Kernel ten ma wielkość i przybliżony smak naszych orzechów laskowych. To właśnie z niego wyrabia się wszystkie te wspaniałości jakie produkowane są z palm olejowych. Obecnie obejmuje to już aż kilkaset najróżniejszych produktów dla spożycia, kosmetyki, farmaceutyki, chemii, itp. Oczywiście, najważniejszym z owych produktów jest "olej palmowy", który my potem spożywamy w formie zdrowej, wysoce odżywczej, oraz smakowitej "margaryny palmowej". Jeśli więc czytelnik jada czasami margarynę palmową, jest niemal pewnym, że pochodzi ona właśnie z kiści tropikalnych orzeszków palmowych, podobnych to tych pokazanych poniżej na zdjęciu z "Fot. #D2b".

Wiele gatunków palm objawia posiadanie kilku nadprzyrodzonych cech. Zapewne to dlatego w starożytności palmy uważano za "święte" rośliny, zaś Katolicy do dzisiaj celebrują tzw. "palmową niedzielę". Jednym z częstszych przykładów tej palmowej nadprzyrodzoności jest umieranie w wysoce "zesynchronizowany sposób". Mianowicie sporo gatunków palm, umiera zaraz po przekwitnięciu i po wydaniu owoców. Co ciekawsze, niektóre z tych palm, np. słynna "talipot palm" z Indii - opisana i pokazana w punkcie #F3 totalizycznej strony god_proof_pl.htm, precyzyjnie synchronizują ze sobą na obszarze całego świata i dla wszystkich drzew owej palmy, dokładną datę swego zaowocowania i umierania. Także opisywana tutaj "palma olejowa" synchronizuje swoje umieranie. Mianowicie, wszystkie palmy wyrosłe z nasion urodzonych tego samego roku umierają

równocześnie i w doskonałej synchronizacji ze sobą. Ich równoczesna śmierć następuje zwykle kiedy palmy te liczą około 27 do 30 lat. W rezultacie np. w Malezji można czasami zobaczyć obszary plantacji owej palmy olejowej na których wszystkie palmy będąc posadzone w tym samym czasie, również owocują i umierają w tym samym czasie. Aby tu zobaczyć zdjęcie fragmentu takiego synchronicznie wymarłego lasu palmowego kliknij na następujący guzik:

(szerszy opis zdjęcia jakie po tym kliknięciu tu się ukazuje znajduje się pod "Fot. #F2" ze strony [god_proof_pl.htm](#)). Owa synchronizacja umierania stwarza "nadprzyrodzony składnik" w życiu palm olejowych. Ponieważ ów "nadprzyrodzony składnik" jest jedną z owych fascynujących tajemnic natury, które pośrednio potwierdzają istnienie Boga a jednocześnie których NIE jest w stanie racjonalnie uzasadnić ani wyjaśnić dzisiejsza ateistyczna nauka, ja ów nadprzyrodzony składnik życia palm opisuję dodatkowo aż na kilku totalizacyjnych stronach - np. patrz punkt #F4.4 ze strony [stawczyk.htm](#) - o niezwykłościach wsi Stawczyk, czy też punkcie #F3 ze strony [god_proof_pl.htm](#) - o dowodach naukowych na faktyczne istnienie Boga.

Warto tu dodać, że istnieją także inne tropikalne rośliny, które także synchronizują ze sobą umieranie. Ich przykładem może być jedna z odmian bambusa.

Fot. #D2a: Ja (tj. dr Jan Pająk) sfotografowany na skraju plantacji palm olejowych. Począwszy od około lat 1970-tych, w Malezji można jechać całymi kilometrami przez lasy złożone wyłącznie z owej palmy olejowej. Faktycznie lasy takich plantacji palmy olejowej są w Malezji równie powszechne i równie rozległe, jak lasy sosnowe są w Polsce. Tyle tylko, że palmy olejowe wykazują się posiadaniem rodzaju nadprzyrodzonej cechy polegającej na umieraniu w sposób wysoce zesynchronizowany, natomiast europejskie sosny prowadzą banalnie zwykle życie.

Jak doskonale to zapewne pamiętamy z obrządków Katolików, kiedyś palmy uważano za "święte drzewa". Stąd las palmowy widoczny za moimi plecami jest też rodzajem "świętego lasu". Można więc zadawać sobie pytanie, czy palmowa margaryna jest aż tak zdrowa ponieważ pochodzi z takiego "świętego lasu".

Fot. #D2b: Odcięty z drzewa palmowego i opadły na ziemię cały kiść dojrzałych owoców palmy olejowej. Jak widać to z powyższego zdjęcia, wygląda on nieco podobnie jak nasz kiść winogronowy. Kiść taki waży kilkanaście kilo oraz zwykle jest długi na ponad pół metra. Składają się na niego dosłownie setki małych orzeszków palmowych. Każdy pojedynczy taki orzeszek palmowy z owego kiścia jest wielkości i koloru naszej niebieskiej śliwki (takiej jeszcze niezupełnie dojrzałej i częściowo czerwonej).

#D3. Banany:

Niemal każdy z nas zna banany. W krajach tropikalnych są one jednym z najbardziej podstawowych owoców. Należą one też do grupy kilku "świętych owoców" które Bóg zaopatrzył w szczególne cechy - np. patrz punkt #D3.1 poniżej. Przykładowo, wszystkie owe "święte owoce" zawierają w sobie wszelkie składniki jakie człowiekowi potrzebne są do życia w warunkach klimatycznych dla których owoce te są stworzone. Każdy z nich daje się spożywać na wiele odmiennych form i sposobów. Każdy posiada własności lecznicze. Każdy jest dostosowany dla wielu odmiennych użyć - nie zaś tylko do jedzenia. Każdy też z nich przygotowany został do rodzenia w odmiennych warunkach klimatycznych. Oprócz bananów, do grupy owych "świętych owoców" należą również kokosy, daktyle, oraz soja.

W strefie Pacyfiku rosną i zjadane są najróżniejsze odmiany bananów, nie zaś tylko jedna odmiana "ekwadorska" którą kupić można w sklepach Europy i Polski. Każda z owych odmian bananów smakuje inaczej. Każdą z nich też je się w odmienny sposób i w innych okolicznościach. Najszerzej znany sposób jedzenia bananów jest tym jaki często

pokazują na starych filmach. Polega on na jedzeniu bananów na surowo - jedynie po obraniu ich ze skórki. (Odnótuj, że na owych starych filmach skórka z banana porzucana jest na chodniku, tak aby filmowy "czarny charakter" mógł się potem na niej poślizgnąć.) W krajach tropikalnych z rejonu Pacyfiku w taki sposób "na surowo" zjada się tylko dwie odmiany bananów. Odmiany te to: (1) średniej wielkości (tzw. "zielone") banany ekwadorskie, jakie typowo kupić sobie można w sklepach Europy i Polski, a także (2) miniaturowe (tzw. "żółte") banany miejscowe z wysp Pacyfiku. "Zielone" banany ekwadorskie mają miąższ biały i są raczej pozbawione smaku. Z kolei owe "żółte" miniaturowe banany wysp Pacyfiku mają miąższ żółto-pomarańczowy, są bardzo słodkie, oraz posiadają silny, chociaż przyjemny smak bananowy (tj. ich smak jest kilka razy silniejszy niż smak bananów ekwadorskich). Pozostałe odmiany bananów, a jest ich aż cały szereg, zjada się głównie po upieczeniu lub po ugotowaniu.

Niezależnie od jedzenia bananów na surowo, te ogromnie popularne owoce jedzone są w wielu innych postaciach. Ja osobiście najbardziej lubię dwie z nich, mianowicie "banana milk shake" (tj. koktail bananowy), oraz "banana fritters" (tj. fryty bananowe). "Banana milk shake" to ogromnie smaczny koktail bananowy, otrzymany po rozdrobnieniu w mikserze kuchennym jednego owocu bananowego razem z około pół litra mleka dosłodzonego do smaku (tj. z dodanymi ok. 2 łyżkami stołowymi cukru). Z kolei "fryty bananowe" to rodzaj deseru bardzo popularnego w ekskluzywnych tropikalnych restauracjach. Wykonywany jest on poprzez zanurzenie obranego ze skórki owocu bananowego w rzadkim cieście identycznym do tego które w Polsce używane jest do pieczenia naleśników, oraz następnym wrzuceniem tego oblepionego ciastem banana do gotującego się oleju. Z oleju wyjmuje się go natychmiast po tym gdy wierzchnia warstwa ciasta nabierze złocistego koloru - takiego jak mają nasze dobrze upieczone "frytki" ziemniaczane. Fryty bananowe je się na gorąco wraz z lodami waniliowymi (jedna porcja lodów na każdą frytę). Przed jedzeniem fryty te polewa się dodatkowo płynnym syropem karmelowym. Smakują wspaniale - radzę spróbować.

Mieszkańcy tropikalnych krajów stwierdzają jednak, że bananów nie powinno się jeść jeśli ma się kaszel lub katar. Intensyfikują one bowiem wytwarzanie "śluzu" w gardle, oraz nasilają kaszel lub kichanie. W bardzo podobny zresztą sposób działają "pomarańcze", których również nie powinno się jeść w przypadku posiadania kaszlu lub kataru. Irytują one bowiem płuca, oskrzela i nos, a stąd pobudzają kaszel i kichanie.

Wszystkie odmiany bananów mają cechę regulowania i rozwalniania produktów układu trawiennego. Działają więc podobnie do owowców "kiwi", a zupełnie odwrotnie do owoców "persimon" opisanych w punkcie #I1 poniżej (wszakże "persimony" powodują zestalenie się kupy). Banany są przy tym łagodniejsze i bezpieczniejsze od nowoczesnych medykamentów. Na dodatek są one "naturalnym" środkiem rozmiękczającym kupę. Odwrotnie więc niż nowoczesne medykamenty, nie powodują one żadnych niepożądanych skutków ubocznych. Stąd do dzisiaj często używane są one przez niektóre matki, jeśli ich dziecko dostaje zatwardzenia. W przeszłości, jeśli ktoś dostawał zatwardzenia, wówczas zwykle objadał się bananami. (Ja osobiście wolę w tym celu używać owoców zwanych "kiwi" a opisanych poniżej w punkcie #E2, które mają większą moc niż banany, a stąd które u dorosłych stabilizują kupę znacznie szybciej i efektywniej.)

W tropikalnej Malezji dostępnych jest zresztą wiele więcej owoców, które podobnie do bananów posiadają zdolność rozmiękczenia kupy i przeczyszczania ludzkiego ustroju. Kolejnymi przykładami takich owoców (po bananach) jest "mango" opisane w punkcie #H1 poniżej, a także dostępny w niemal każdym kraju i relatywnie tani owoc "kiwi". Najbardziej jednak efektywnymi z owych przeczyszczających owoców są: (1) dziki owoc z malezyjskiej dżungli, w Malezji zwany "jering", oraz (2) jeszcze jeden dziki owoc z malezyjskiej dżungli, zwany "petai" - opisany w punkcie #F5 tej strony. Oba one mają tę cechę, że jeśli zje się któryś z nich na surowo, wówczas dodatkowo przeczyszcza on również pęcherz moczowy. Jeśli jednak zje się je oba naraz, wówczas ich połączone działanie jest tak potężne, że całkowicie blokują one oddawanie moczu. Dlatego folklor ludowy Malezji zabrania jedzenie ich obu naraz.

Owoce bananowe są również podstawą do podobno "bezwyrzeceniowej i

bezsresowej diety odchudzającej". Dieta ta opisana była m.in. w artykule "Japanese go bananas over new diet" (tj. "Japończycy wariują za bananową dietą odchudzającą"), ze strony B2 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z czwartku (Thursday), October 23, 2008. Ta bananowa dieta odchudzająca powoduje chudnięcie w wyniku niemal bezbolesnego i bezwyrzeceniewego rozpoczynania każdego dnia od zjedzenia, natychmiast po wstaniu z łóżka, jednego surowego banana popitego szklanką ciepłej wody (o temperaturze pokojowej). Potem zaś przez całą resztę dnia można już jeść i pić co się tylko zechce - pod warunkiem jednak że nie zostało to posłodzone cukrem. Znaczą, że dieta ta wcale NIE wymaga jedzenia tego czego wcale się NIE lubi, ani nie wymaga głodowania. Jedynym jej wymogiem jest zjedzenie owego banana rano oraz potem powstrzymanie się od słodzenia tego co się zjada i pije - dieta ta zabrania bowiem spożywania cukru. A ciągle powoduje ona chudnięcie. Jest więc nieco podobna do koreańskiej diety odchudzającej na bazie "kim-chi", opisanej w punkcie #B2 strony korea_pl.htm - o tajemniczej, fascynującej, moralnej, postępowej Korei.

Mleczkowaty sok z drzewa bananowego (nie należy jednak mylić drzewa z owocami) jest silną trucizną o działaniu podobnym do słynnej "kurary" - patrz jego opisy pod "Fot. #D3". W przeciwieństwie jednak do morderczej trucizny z nowozelandzkiego drzewka "tutu", opisanej w punkcie #K1 strony newzealand_pl.htm - o tajemnicach i ciekawostkach Nowej Zelandii, która zabija natychmiast bez względu na to jak się nią kogoś potraktuje, mleczkowaty sok drzew bananowych zabija tylko jeśli dostaje się do krwioobiegu. Natomiast po zjedzeniu jest on zupełnie nieszkodliwy. Zupełnie nieszkodliwe są też owoce bananów i sok z owoców banana.

Pod względem energii "yang" i "yin", banany zależnie od swej odmiany przynależą aż do kilku kategorii. Przykładowo, żółte banany Pacyfiku reprezentują rzadki rodzaj owocu "neutralnego", tj. takiego który nie jest ani "yang" ani też "yin". Można go więc jeść bez przeszkód w dowolnych ilościach i nie trzeba martwić się jak potem zbalansować jego energię. W obszarze Pacyfiku nazywają je żółtymi bananami, ponieważ ich mięsz jest żółtego koloru. Z kolei zielone banany (ekwadorskie) są kategorii "yin" czyli "chłodzącej". W obszarze Pacyfiku ludzie nazywają je "zielonymi bananami", ponieważ przed dojrzaniem ich wierzchnia skórka jest zielonego koloru (po dojrzaniu, skórka ta staje się niemal tak samo żółta jak skórka miniaturowych (żółtych) bananów Pacyfiku).

Fot. #D3: Drzewo bananowe. Powyższe zdjęcie nie tylko pokazuje jak wygląda pień i ogromne gładkie liście owego drzewa, ale pokazuje również jak wygląda kwiat bananowy (patrz ów fioletowy jakby stożek), a także jak wyglądają pierścienie maleńkich bananów które stopniowo wyrastają tuż za owym kwiatem w miarę jak ten stożkowaty kwiat się wydłuża, pierścieniowo kwitnie, oraz jest zapylany. (Odnótuj, że każde drzewo bananowe kwitnie tylko jeden raz w życiu. Pokazany tutaj kwiat bananowy NIE jest więc łatwy do zobaczenia w tropiku, bowiem na każdym drzewie bananowym pojawi się tylko jeden raz w okresie całego życia owego drzewa - zwykle gdy drzewo to ciągle jest relatywnie młode.)

Wiele składowych drzewa bananowego używanych jest przez ludzi żyjących w tropiku. Oczywiście najszerzej używane są tam smakowite, słodkie, oraz wysoce pożywne banany, czyli owoce tego drzewa. Czasami ludzie ścinają także kwiat tego drzewa i jedzą ten kwiat jak rodzaj chrupkiego warzywa (po przyprawieniu robią z niego rodzaj sałatek). Ogromne i gładkie liście bananowe używane są w tropiku zamiast talerzy. Do dzisiaj w Malezji można zjeść w niektórych restauracjach, czasami nawet wysoce ekskluzywnych, różne dania podawane na owych liściach bananowych. Trzeba wówczas jednak pamiętać, że dania te je się palcami. Jak ja bowiem kiedyś przykro się przekonałem, jeśli ktoś użyje dla tych dań noża lub widelca, ostrza tych stojadeł przebiją cienki liść bananowy. W rezultacie egzotyczne sosy jakimi nasycone są te dania spływają na spodnie owego niedoświadczzonego, psując potem cały wieczór (a czasami i całe ubranie).

W dawnych czasach wykorzystywano także soki jakie krążą w pniu bananowym. Soki te są bowiem piorunująco trujące. W krajach więc gdzie rosną banany używane są one w takiej samej funkcji, jak słynna "kurara" z Amazonii. Znaczą nasączone są nimi

zatrute strzały, które po wystrzeleniu w zwierzęta lub we wrogów natychmiast je zabijają. Aby było ciekawiej, owe soki bananowe są trujące tylko jeśli dostają się do obiegu krwionośnego. Jeśli zaś się je zje, soki żołądkowe je rozpuszczają i nie czynią one żadnej szkody zjadającemu. Dlatego kiedyś były one używane do zatruwania strzał używanych w polowaniu. Zabijały one zwierzęta, które następnie mogły być bezpiecznie zjadane. Na temat piorunującego efektu trującego bananowego soku, moi znajomi z "Universiti Malaya" (School of Medicine) w Kuala Lumpur wykonali kiedyś badania medyczne. Wyniki tych badań zostały opublikowane w następującym artykule naukowym: S.K. Lee, L.L. Ng, S.I. Lee: "Experiments with Banana Trunk Juice as a neuromuscular blocker", The Australian Journal of Experimental Biology and Medical Science, Vol. 58, 1980, pp. 591-594.

Wspominając tutaj o kurarze z Amazonii, powinienem także wyjaśnić, że w Malezji rośnie drzewo, którego soki po wygotowaniu produkują truciznę pokrewną owej słynnej kurarze. Owa Malezyjska wersja kurary jest równie śmiertelna jak oryginalna kurara pochodząca z dżungli tropikalnej Amazonii. Produkowana jest ona z soków drzewa, które rośnie w dżunglach Malezji i nazywa się "drzewo Ipoh" (odnotuj że nazwa "Ipoh" jest również nazwą sporego miasta w Malezji - miasto to nazwano zostało właśnie po owym drzewie, którego przy mieście Ipoh rosły kiedyś duże ilości). Podobnie jak to czynili krajowcy z Amazonii z oryginalną kurarą, również lokalni myśliwi z dżungli Malezyjskiej nasycali kurarą z "drzewa Ipoh" maleńkie strzały wystrzelwane z dmuchawek. Jeśli zaś taka zatruta strzała choćby drasnęła polowane zwierzę, zwierzę to natychmiast padało jakby uderzone zostało piorunem. Jednak mięso takiego zwierzęcia zabitego kurarą jest jadalne i NIE wyrządza jedzącym żadnej szkody. Zdjęcia tropikalnego drzewa Ipoh, a także dalsze informacje o truciznie "kurara", zaprezentowane zostały w punkcie #F1 strony internetowej healing_pl.htm - o remediach, uzdrawianiu, oraz niezwykłych cechach roślin. Z kolei zdjęcie użycia "dmuchawek" z których wystrzelwane są zatrute strzały z kurarą pokazane jest na kilku stronach internetowych, np. na stronach pajak.6te.net, czy pajak.20m.com.

W krajach tropikalnych drzewa bananowe używane są także dla całego szeregu okultystycznych celów oraz do magii. Zgodnie bowiem z wierzeniami, mają one ogromnie silnego ducha, który porównywany jest do ducha ludzkiego. Zgodnie też z owymi wierzeniami, duch drzew bananowych może podobno straszyć równie efektywnie jak duch ludzki. Dlatego w tropiku zwykle wycina się te drzewa natychmiast po tym jak zakończą one owocować - a owocują one tylko jeden raz w życiu. Chodzi bowiem o to aby ich duchy nie czyniły ludziom problemów. Z popularnych zastosowań okultystycznych, takie przeowocowane drzewa bananowe, obok drzew zwanych "peepal tree", zwykle używane są w starożytnych (magicznych) ceremoniach hinduistycznych zwanych "mock weddings". (Owe "mock weddings" to rytualne śluby w których jednemu ze współmałżonków horoskopy naznaczyły śmierć wkrótce po ślubie. Dlatego podczas takiego rytualnego małżeństwa, owa śmierć jest magicznie przenoszona na drzewo. W rezultacie drzewo umiera zamiast współmałżonka, podczas gdy współmałżonek jest w stanie żyć aż do wieku starczego.) Opis owych "mock weddings" zawarłem w podrozdziale 14.4 z tomu 5 mojej najnowszej monografii [1/5]. Z kolei przykład prasowego potraktowania znanej indyjskiej aktorki filmowej i byłej Miss Świata, niejkiej Aishwarya Rai, która właśnie "wyszła za drzewo", opisany został w artykule "With this ring, I tree wed" (tj. "Z pomocą tego pierścienia zawieram małżeństwo z drzewem"), ze strony B3 nowozelandzkiej gazety The New Zealand Herald, wydanie datowane w piątek (Friday), February 2, 2007. Jednym z zagadnień jakie w owym artykule poruszono chociaż nie wyjaśniono tam dlaczego, było oskarżenie wysunięte przez jakieś stowarzyszenie ochrony przyrody, że drzewo owo poddano niezasłużonemu prześladowaniu.

#D3.1. Dlaczego niektórzy wskazują banany jako jeszcze jeden naturalny dowód na istnienie Boga:

Zjadając kolejny owoc banana warto też zwrócić uwagę na te jego cechy, za które spora grupa ludzi uważa ten właśnie owoc za jeden z bardziej oczywistych naturalnych dowodów na istnienie Boga. W kilku słowach wyjaśnię więc tutaj skąd się

bierze ów pogląd.

Zdaniem wielu ludzi silnie wierzących w Boga, owoce mają takie same znaczenie w udokumentowaniu istnienia Boga, jak np. obrazy mają w udokumentowaniu istnienia malarzy którzy z jakichś istotnych powodów nie mogą osobiście uściśnąć nam ręki. Ludzie ci wierzą bowiem w stwierdzenia Biblii, że owoce zostały celowo tak zaprojektowane przez Boga aby możliwie najlepiej służyły ludziom. To właśnie dlatego ludzie ci wskazują sporą liczbę cech użytkowych wykazywanych przez poszczególne owoce, które zdają się istnieć tylko dlatego aby ułatwiać życie ludziom, a stąd istnienia których to cech nie daje się wyjaśnić czystym przypadkiem czy tzw. "ewolucją". Na niniejszej stronie wskazuję aż kilka z takich cech poszczególnych owoców których istnienie daje się wyjaśnić jedynie inteligentnym zaprojektowaniem tych owoców przez Boga. Przykładem takich cech mogą być owe trzy miękkie dziurki w twardej skorupie orzecha kokosowego, opisane w punkcie #D1 tej strony, przez które ludzie mogą wypijać wodę kokosową bez potrzeby rozbijania twardej skorupy tego orzecha. Innym przykładem jest wysoce symboliczny wygląd i użycie owocu "salak" opisywanego w punkcie #D4 tej strony.

W owocach banana wskazuje się cały szereg owych cech dowodzących ich inteligentnego zaprojektowania przez Boga. Ich przykładami mogą być już wzmiankowane w punkcie #D3 powyżej ich smakowitość i szczególne wartości odżywcze, ich zdolności lecznicze, a także ich przydatność do jedzenia w całym szeregu postaci - np. na surowo, po ususzeniu, po ugotowaniu lub upieczeniu, jako frytki, z lodami, w koktailach, itp. Wyraźnie celowo zaprojektowana specjalnie na użytek ludzi została także "ergonomia" bananów. Nazwa "ergonomia" jest przyporządkowana do bardzo nowoczesnej dyscypliny naukowej, rozwijanej przez naukę ludzką dopiero ostatnio. Dyscyplina ta bada jak należy projektować obiekty używane przez ludzi aby obiekty te w możliwie najdoskonalszy sposób służyły człowiekowi. Jak też się okazuje, zaprojektowanie owoców banana jest szczytem ergonomicznej doskonałości. Przykładowo, opakowanie banana - czyli jego skórka, jest zaprojektowane podobnie jak najbardziej nowoczesna puszka konserwowa. Skórka ta bowiem nie tylko doskonale konserwuje zawartość (tj. miążs owocu banana), ale także - jak nowoczesna puszka konserwowa, jest doskonale dostosowana do jej łatwego "otwarcia" przez ludzi. Przykładowo, specjalnie pogrubiony i łatwy do uchwycenia ogonek banana wypełnia tę samą rolę jaką w nowoczesnych puszkach konserwowych wypełnia pierścień do otwierania tych puszek. Skórka ta ogromnie też łatwo obiera się wzdłuż owocu banana, higienicznie odsłaniając jedzącemu zawartość w miarę zjadania. A trzeba pamiętać że naturalna ewolucja powinna utrudnić, zamiast ułatwić, owo obieranie - aby chronić przed zniszczeniem nasiona zawarte w środku. W dojrzałych bananach u podstawy ogonka naturalnie formuje się poprzeczne pęknięcie które ułatwia zainicjowanie obierania skórki - podobnie jak w dzisiejszych puszkach konserwowych producenci dokonują celowych nacięć na wieczku aby ułatwić otwieranie tych puszek. Średnica banana jest dokładnie dostosowana do wymiarów otwartych ust ludzkich, aby ułatwiać jego odgryzanie kęsami. Ponadto nawet łukowaty kształt banana został celowo zaprojektowany aby ułatwić jego trzymanie ręką i wsuwanie do ust podczas jedzenia.

#D4. Owoce "salak" jako "zachcianki" ciężarnych kobiet, oraz ich niemal nadprzyrodzony związek z bibilijnym wężem kuszącym Ewę w Raju:

Istnieje jeden owoc, którego nadprzyrodzone cechy wprost rzucają się w oczy. Jego nadprzyrodzoność manifestuje się poprzez wysoce symboliczne zachowania ciężarnych kobiet. Mianowicie, istnieje niezwykle dziwny związek tropikalnego owocu zwanego "salak", z bibilijnym opowiadaniem o kuszeniu Ewy przez węża. Opiszmy jednak tu wszystko po kolei.

Jak jest to powszechnie wiadomym, podczas stanu ciężarnego kobiety czasami miewają słynne tzw. "zachcianki" (po angielsku "cravings"). Interesującym dla owych "zachcianek" zdaje się być, że takim ciężarnym kobietom zawsze się "zachciewa" coś do zjedzenia, co jest niby proste czy banalne, jednak w danym momencie czy sytuacji było ogromnie trudne do zdobycia, oraz co w danej sytuacji wprowadza jakieś inspirujące jakości. Przykładowo, typową zachcianką polskich kobiet zwykł być niepokonalny smak w

środku zimy na zjedzenie świeżych poziomek w śmietanie. (To doprowadziło do rozwoju "zimowych" odmian poziomek i technik ich cieplarnianego produkowania.) Z kolei typowym "crawing" kobiet z Nowej Zelandii, zwykło być zjedzenie śledzia. ("Śledzie", na przekór swojej rzekomej pospolitości, są rybą która żyje w morzach północnych. Stąd kiedyś była ona ogromnie trudna do zdobycia w Nowej Zelandii położonej na południowym krańcu świata. Owe "zachcianki" kobiet z Antypodów inspirowały więc żywsze kontakty kolonistów z ich byłą ojczyzną.)

Niezwykłym, jeśli nie wręcz nadprzyrodzonym zjawiskiem jest, że typową "zachcianką" ciężarnych kobiet z tropikalnych krajów okolic Malezji są niezwykle owoce lokalnie nazywane "salak". (Kliknij tutaj aby zobaczyć jak wyglądają owe owoce "salak".) Oprócz bycia trudnymi do zdobycia, owoce te posiadają niemal nadprzyrodzoną symboliczną wymowę. Mianowicie, w taki sam sposób jak każda komunia w kościele katolickim przypomina Ostatnią Wieczerzę Jezusa, również każda "zachcianka" zjedzenia owych owoców "salak" ogromnie wymownie ilustruje sobą i przypominają ludziom historjkę z Biblii na temat kuszenia Ewy przez węża. Z tego powodu ja osobiście gorąco radzę każdemu przebywającemu w tropiku aby sobie zakupił kilka owoców "salak" i osobiście się przekonał co czasami Bóg czyni aby nam podsunąć dyskretne potwierdzenie że Biblia zawiera prawdę i faktycznie jest autoryzowana przez samego Boga. Wrażenia bowiem jakie się przeżywa w chwili spróbowania owoców "salak" oraz w wyniku uświadomienia sobie ich symbolicznej i nadprzyrodzonej wymowy, są NIE do zapomnienia.

Najbardziej niezwykłą cechą owoców "salak" jest, że wszystko na ich temat służy przypomnieniu nam owej bibilijnej historii Ewy i węża. Przykładowo, z wyglądu owoce te dokładnie przypominają głowę węża. Ich skórka ma konsystencję skóry węża i w dotyku czuje się dokładnie jak skóra węża. Podczas obierania owocu ze skóry, ich skórka oddiera się od mięszu tak jak skóra węża. Po obdarciu skórka ta oglądana z osobna wygląda dokładnie jak skóra węża. Sam mięsz owocu "salak" podzielony jest na dwie połówki które po obraniu przypominają górną część oraz dolną szczękę głowy węża. Kolor mięszu tego owocu jest różowawy - dokładnie taki jak surowe mięso węża. W każdej połówce owocu salak zawarta jest duża zielonawa pestka czyniąc mięsz owego owocu niemal równie niewarty jedzenia jak mięso węża. Zapach mięszu tego owocu przypomina sobą zapach nieco nadpsutego, niemytego ciała - podobny jest więc do zapachu mięsa węża. Na dodatek owoce "salak" wcale NIE mają ani interesującego smaku ani niczego co logicznie by je kwalifikowało jako "zachcianki". Faktycznie są one słodko-kwaśne, mi swoim smakiem nieco przypominając europejskie pożeczki. Ponadto, po zjedzeniu pozostawiają one w ustach dosyć nieprzyjemny posmak jakby kory. Owoce te wcale też nie mają ani cennych wartości odżywczych ani cech. Na dodatek ich wygląd i cechy są naprawdę odpychające. Jak się więc okazuje, jedyne co "salak" mają do siebie stając się "zachciankami" ciężarnych kobiet, to że wszystko w nich służy przypomnieniu bibilijnej historii węża kuszącego Ewę w Raju, a także że są one bardzo trudne do zdobycia i inspirujące - podobnie jak "zachcianki" kobiet z wszystkich innych regionów świata.

Fot. #D4: Niezwykły owoc ze strefy Pacyfiku zwany "salak". Jego nadprzyrodzoną cechą jest, że został on jakby specjalnie zaprojektowany aby ilustracyjnie przypominał ludziom bibilijną historię o Ewie i wężu - po szczegóły patrz opisy z powyższego punktu #D4. (Kliknij na powyższe zdjęcie aby zobaczyć je w powiększeniu.)

Powyższe zdjęcie pokazuje cztery całe owoce "salak" ustawione w górnej części talerza. Należy odnotować, że wyglądają one jak głowy węży. Pod nimi pokazano jak wyglądają segmenty tego owocu po ich obraniu z "węzowej skórki" (fragment samej ich skórki też pokazano). Zdjęcie uwidacznia też wygląd niejadalnych pestek owego owocu, oraz fragment segmentów owocu w których ciągle tkwią owe pestki.

#D5. Jak sprawdzić wierzenie że "intelekty które celowo marnują owoce lub inną żywność, będą kiedyś pozbawione tego co marnują":

W dawnej Polsce uznawano świętość wszelkiej żywności, w tym owoców.

Podobna świętość wszelkiej żywności i jadalnych owoców była też uznawana w folklorach ludowych wielu innych krajów. W Polsce nawet powtarzano sobie kiedyś wierzenie, że ludzie którzy marnują jakąkolwiek żywność, będą potem pozbawieni tego co zmarnowali. Wierzenie owo opisane zostało dokładniej w punkcie #12 strony internetowej przepowiednie.htm. Odnosi się ono zarówno do indywidualnych osób, jak również do tzw. "intelektów zbiorowych" - przykładowo do całych instytucji. Niestety, jak dotychczas nikt NIE sprawdził empirycznie ani naukowo, czy wierzenie to faktycznie spełnia się w życiu z żelazną konsekwencją. A jego sprawdzenie warte byłoby zachodu, bowiem weryfikowałoby naukowo działanie w praktyce tzw. praw moralnych. Istnieją wszakże liczne przesłanki teoretyczne, opisane przykładowo na stronie soul_proof_pl.htm, jakie sugerują że powyższe wierzenie powinno się wypełniać w rzeczywistym życiu. Ponadto, w dzisiejszych czasach telewizji i internetu mamy już techniczną możliwość aby je sprawdzić. Wszakże od czasu do czasu świat dowiaduje się o przypadkach, że ktoś celowo marnuje owoce lub żywność. Wystarczy więc potem obserwować losy tego kogoś przez szereg następnych lat i sprawdzić czy owo wierzenie faktycznie na nim się wypełni. Znaczy, czy faktycznie ów ktoś, kto celowo marnował jakiś rodzaj owoców lub żywności, z upływem lat faktycznie zazna braku tego co kiedyś marnował. Przykładowo, jeśli ów ktoś jest całą instytucją (intelektem zbiorowym) żyjącą powiedzmy z eksportu owoców, to czy owa instytucja kiedyś "zbankrutuje" ponieważ odcięta zostanie w jakiś sposób od dostępu do owoców które uprzednio marnowała.

W niniejszym punkcie opiszę jeden znany mi z takich przypadków marnowania żywności, a ściślej marnowania owoców zwanych "kiwi" - tj. owoców których pożywność i własności lecznicze opisane są w punkcie #12 tej strony. Owo marnowanie z całą pewnością objęte jest działaniem tzw. praw moralnych. Wszakże miało ono miejsce w połowie 2009 roku - czyli w czasach kiedy to na świecie szalało bezrobocie i depresja ekonomiczna, zaś nasza planeta roiła się od niedożywionych ludzi. Marnowanie tych owoców miało też miejsce w samej Nowej Zelandii - gdzie żywność jest szczególnie droga w porównaniu do zarobków normalnych ludzi i gdzie przez sporą część roku jeden kilogram owoców "kiwi" kosztuje niemal tyle samo co najniższy zarabiający robotnicy otrzymują tam za godzinę ciężkiej pracy fizycznej. Ponadto opisane tutaj artykuły ukazały się w czasach kiedy z powodu depresji ekonomicznej oraz narastającej drożyzny, spora liczba bezrobotnych Nowozelandczyków, do kategorii których ja sam też się zaliczam, tylko z wielką trudnością mogła sobie pozwolić na zakup jakichkolwiek owoców. Oto owe przykłady artykułów z nowozelandzkich gazet, które omawiają właśnie celowe niszczenie owoców "kiwi".

Pierwszy z artykułów który chciałbym tutaj zarekomendować do przeczytania, to "Kiwifruit dumped to pop up price" (tj. "Owoce kiwi porzucane aby podwyższyć cenę") ze strony C1 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z czwartku (Thursday), April 9, 2009. Pozwolę sobie zacytować tutaj trzy zdania z tego dosyć sporego artykułu: "Ogrodnicy owoców kiwi, uderzeni przez światowy spadek w zapotrzebowaniu, zmuszani są do zniszczenia miliona skrzynek, lub 3.6 milionów kilogramów zielonego owocu eksportowego. Szczegóły tego niszczenia są wyjaśnione w liście od Zespri - markietera eksporterów tego przemysłu, do 3000 nowozelandzkich ogrodników późno tego miesiąca, wyznaczając im liczby jakie mają być zniszczone. ... Zespri naczelny dyrektor stwierdził w swoim liście, że alternatywą byłoby zmniejszenie wartości o około 20 centów za skrzynkę." (W oryginale angielskojęzycznym: "Kiwifruit growers, hit hard by a global slump in demand, have to destroy a million trays, or 3.6 million kilograms of green export fruit. Details of the dumping are outlined in a letter from the industry's export marketer Zespri, to 3000 New Zealand growers late last month allocating them their quota to be destroyed. ... Zespri chief executive said in the letter that the alternative would be a reduction in value of about 20c a tray.")

Drugi z owych artykułów który też chciałbym tutaj zarekomendować do przeczytania, to "Zespri's 'dump fruit' bid angers growers" (tj. "Zamiar 'niszczenia owoców' przez Zespri wzbudza gniew ogrodników") ze strony C3 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z soboty (Saturday), April 11, 2009. Tutaj też pozwolę sobie

zacytować dwa zdania z tego dosyć sporego artykułu: "Decyzja dyrekcji Kiwifruit jest protekcyjnym nonsensem. ... importer z zachodniego USA który potrzebuje nasze owoce musi teraz sprowadzać owoc kiwi z Chile, podczas gdy nasze owoce gniją na poroślu - to nie ma sensu." (W oryginale angielskojęzycznym: "The Kiwifruit Board's decision is protectionist nonsense. ... western US importer wanting our fruit will now have to take kiwifruit from Chile while our fruit rots on vines - this does not make sense.")

* * *

Nie wiem jak jest to z czytelnikiem, jednak ja osobiście nawykłem do sytuacji, że jeśli Bóg podejmuje jakieś działanie, wówczas zwykle czyni to po bardzo długim namyśle i przygotowaniach. Powolność działań Boga utrwalona jest zresztą nawet w znanym powiedzeniu "Bóg nierychliwy ale sprawiedliwy". Było więc dla mnie dużym zaskoczeniem kiedy w zaledwie około miesiąc po wydaniu nakazu o niszczeniu owoców kiwi w Nowej Zelandii, na temat firmy która wydała ów nakaz pojawił się artykuł o tytule "Zespri drops \$80m as euro, yen strengthen" (tj. "Zespri straciło 80 milionów dolarów po wzmocnieniu euro i jena") ze strony C3 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z wtorku (Tuesday), May 5, 2009. W artykule tym można było m.in. doczytać się, cytując: "Californijscy ogrodnicy wystąpili do sądu o odszkodowanie z Zespri i z HortResearch, domagając się odszkodowania za ich plon złotego owocu kiwi, który hodowali na licencji z Zespri. W Chile, choroba verticillium zdewastowała połowę chilijskiej produkcji złotego owocu kiwi dla Zespri, zaś bakteria uszkodziła 25 procent porośli Zespri'sowego złotego owocu kiwi we Włoszech." (W oryginale angielskojęzycznym: "Californian growers have filled a damages claim in court against Zespri and HortResearch, seeking damages for the failure of its gold kiwifruit crop, grown under licence for Zespri. In Chile, verticillium disease has savaged half of Zespri's Chilean gold kiwifruit production this year and bacteria has affected 25 per cent of Zespri's gold kiwifruit vines in Italy.")

We wtorek, dnia 12 maja 2009 roku firma Zespri ponownie przykuła uwagę publikatorów. Mianowicie dziennik wieczorny z programu 3 telewizji nowozelandzkiej około godziny 18:30 raportował o niszczycielskim gradobiciu które zniszczyło sporą część owoców kiwi na plantacjach z obszaru Nowej Zelandii nazywanego "Bay of Plenty" (który to obszar jest rodzajem "zagłębia owocu kiwi"). Gradobicie to było też raportowane w artykule "Zespri sees good year ahead for gold fruit" ze strony C4 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z soboty (Saturday), May 23, 2009. Artykuł ten stwierdza, m.in., cytując: "... strategia zniszczenia 1.5 miliona skrzynek eksportowego zielonego owocu kiwi aby podtrzymać wysokie ceny nie byłaby już dłużej potrzebna po tym jak gradobicie z Bay of Plenty uszkodziło co najmniej 2.26 miliona skrzynek owoców kiwi." (W oryginale angielskojęzycznym: "... the strategy of dumping 1.5 million trays of export green kiwifruit to hold prices up would no longer be needed after hail in the Bay of Plenty damaged at least 2.26 million trays of kiwifruit.")

Kolejną publikacją na temat Zespri która przykuła moją uwagę był artykuł "Attack on Zespri monopoly" (tj. "Atak na monopol Zespri") ze strony C1 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z piątku (Friday), June 5, 2009. W artykule tym opisywano jak innej nowozelandzkiej firmie o nazwie "Turners and Growers" rząd już trzykrotnie uniemożliwił przełamanie monopolu Zespri na eksport owoców Kiwi.

Problem monopolu Zespri stopniowo zaczął indukować obawy również i na międzynarodowej arenie. Przykładowo artykuł o tytule "Zespri defensive salvo sends fur flying" ze strony B2 gazety The New Zealand Herald, wydanie ze środy (Wednesday), November 25, 2009, opisuje jak w sprawie monopolu Zespri rząd USA zwrócił się do Nowej Zelandii za pośrednictwem "World Trade Organisation" z życzeniem "proszę wyjaśnić". (W tym samym dniu temat międzynarodowego niepokoju i zainteresowania monoplem nowozelandzkiej Zespri omawiany był także w gazecie Otago Daily Times.)

#D6. Zwierzęta, rośliny, owoce, itp., wykazują znacznie więcej nadprzyrodzonych cech, jednak ta strona tylko przypomina o ich istnieniu, zostawiając ich omówienie "części #F" strony stawczyk.htm:

Niniejsza strona jest o wszelkich mniej znanych aspektach tropikalnych owoców.

Ponieważ zaś "nadprzyrodzoność" jest jednym z owych aspektów, strona ta omawia go skrótowo w niniejszej części. Szczególnie, że jednym z tematów moich badań naukowych są właśnie tzw. "nadprzyrodzone zjawiska". Stąd sporo ze stron internetowych jakie opublikowałem niemal w całości poświęconych jest omawianiu "nadprzyrodzoności". Tam też odsyłam czytelników zainteresowanych owym tematem. Przykładowo, cała "część #F" odrębnej strony o nazwie stawczyk.htm poświęcona jest omówieniu nadprzyrodzonych cech dzikich zwierząt (np. węży, rekinów, czy niedźwiedzi), domowych zwierząt, oraz niektórych roślin (np. palm, bambusów, czy drzew gumowych). Z kolei w punkcie #D1 strony o nazwie newzealand_pl.htm opisane są kamienie które w nadprzyrodzony sposób same czasami wychodzą sobie na spacer.

Do nadprzyrodzonych zjawisk należą również m.in. niewyjaśnione zdolności szczególnych drzew i kamieni z Malezji, znanych tam pod generalną nazwą "Datuk" - po ich opisy patrz punkt #D1 strony malbork.htm lub punkt #G9 strony ufo_pl.htm. Nadprzyrodzoność wykazują także posągi, słupy totemowe, czy strażnicy jakich opisy zawarte są w punktach #D2 i #D3 strony malbork.htm.

Nadprzyrodzony charakter mogą mieć też niektóre wybryki natury, szczególnie te opisywane w punktach #I3 do #I5 strony day26_pl.htm, czy w punktach #B2 i #B7 strony seismograph_pl.htm.

Część #E: Opisy "neutralnych" owoców strefy Pacyfiku - czyli owoców najbardziej rekomendowanych do zjadania zgodnie z chińską filozofią ich jedzenia:

#E1. Papaya:

Owoc w Malezji nazywany "papaya" (gdzie indziej zwany też "paw-paw") jest jednym z najczęściej jedzonych tam owoców. Jest on też praktycznie najtańszym owocem. Zwykle ma on kształt i wygląd zewnętrzny przejrzałego europejskiego ogórka (tj. ogórka trzymanego na polu aż do jesieni na nasiona). Typowo jednak papaya jest znacznie większa od ogórka. Najmniejsze owoce papaya są zwykle tak duże jak największe europejskie ogórki.

Ciekawostką owoców papaya są owe czarne nasiona znajdujące się w środku, jakie wyglądają jak nasiona polskiej czeremchy. Normalnie nasion tych się nie zjada, a starannie je się usuwa z owocu tuż przed jedzeniem. (Nabawiają one bowiem jedzącego dosyć nieprzyjemnych sensacji żołądkowych.) Jeśli jednak tropikalna dziewczyna przypadkowo zaszła kiedyś w niechcianą ciążę, wówczas opychała się właśnie owymi czarnymi nasionami z papaya. Nasiona te zawierają bowiem w sobie jakieś składniki, które sprawiają że po ich zjedzeniu ciężarne kobiety muszą poronić swoją ciążę. W dawnych czasach owoce papaya zastępowały więc dzisiejsze "skrobanki" i medyczne przerywanie ciąży. Obecnie jednak coraz rzadziej używane są owe "ludowe remedie", zaś kobiety w tropiku przerywają ciążę w taki sam sposób jak kobiety Europejskie, czyli poprzez udanie się do odpowiedniego szpitala.

Jeden z lekarzy Malezyjskich z jakim dyskutowałem ową zdolność nasion papaya do przerywania ciąży, twierdził że nasiona te zawierają związki chemiczne z grupy po angielsku nazywanej "prostaglandins". Związki te używane są w medycynie właśnie do powodowania skurczów womb'a (uterus'a). Stąd są one w stanie spowodować poronienie.

Powyższe warto uzupełnić informacją, że zdolność do powodowania porzucania ciąży posiadają także niedojrzałe i bardzo kwaśne ananasy. Dlatego kobiety chcące przerwać niechcianą ciążę w przeszłości czasami objadały się także zielonymi i kwaśnymi ananasami.

Wysoce poszukiwane zdolności lecznicze posiada jednak NIE sam owoc papaya, a liście krzewu rodzącego te owoce. Jest tak ponieważ w liściach krzewu papaya zawarte są jakieś składniki które w ludzkim organizmie powodują raptowną produkcję białych ciałek krwi. Stąd osoby które mają deficyt białych ciałek krwi, np. ponieważ właśnie przeszły przez po-rakową tzw. "chemoterapię", zwykle wzmacniają swój organizm poprzez dwukrotne wypicie jednej łyżki stołowej soku z liści papaya w odstępach 3 dni od siebie (przy bowiem

większych dozach tego soku, np. jednej łyżki stołowej wypitej każdego dnia, jego działanie byłoby zbyt trudne do wytrzymania przez organizm ludzki). Takie wypicie dwóch łyżek stołowych tego soku podobno wystarcza aby u ludzi właśnie leczących raka przygotować ich białe ciała krwi do następnej sesji wyniszczającej je "chemoterapii". Przygotowanie owej jednej łyżki stołowej soku z liści papaya dokonywane też musi być w ściśle określony sposób. W tym celu zrywa się kilka zdrowych liści z krzewu papaya. Potem je się starannie myje w czystej wodzie. Po wytarciu z wody tłucze się je w moździerzu. Potem wkłada się ich potłuczoną masę w jakieś czyste płótno i wyciska z niego łyżkę soku. Sok ten smakuje i śmierdzi okropnie - jest bowiem wyjątkowo gorzki i jakby zatęchły. Wypicie więc nawet tylko jednej jego łyżki stołowej stanowi nie lada wyczyn. Niemniej osoby w potrzebie dla własnego dobra pokonują opory i niechęć swoich ust i wypijają ten sok.

Fot. #E1: Przecięty na połowę i ułożony na talerzu tropikalny owoc w Malezji nazywany "papaya", w innych zaś regionach świata zwany "paw-paw". (Odnótuj że słowo "paw" w języku angielskim zwykle oznacza szponiastą "łapkę" - szczególnie taką jaką mają koty. Z powodu owej dwuznaczności słowa "paw", istnieje nawet angielskojęzyczny dowcip dla dzieci na temat owocu "paw-paw". Dowcip ten zapytuje: "what is a paw-paw" - tj. "czym jest paw-paw"? Odpowiedź powinna być: "the end of a leg-leg in a cat-cat" - tj. "koniec nogi-nogi u kota-kota".)

Papaya jest faktycznie najtańszym owocem tropikalnych krajów, chociaż jednocześnie jest bardzo smaczna. Jej taniłość wynika z faktu, że w przeciwieństwie do innych owoców, faktycznie jest ona owocem z rodzaju jakby gigantycznego warzywa a nie z drzewa. Je się w niej ów czerwony mięsz pod jej twardą skórą. Smak owoców papaya nieco przypomina mi smak naszej słodkiej marchewki upieczonej na otwartym ogniu.

* * *

Sok z owoców papaya używany jest także w celach kosmetycznych. Wykazuje on bowiem zdolności do wybielania skóry. Stąd tropikalne piękności które pomimo częstego wystawiania się na działanie silnego słońca pragną posiadać białą skórę, zmywają się właśnie sokiem z papaya, lub używają mydła zawierającego sok owocu papaya.

Po względem zawartej w sobie energii, "papaya" należy do owoców "neutralnych". Chińczycy twierdzą, że można zjadać dowolne jej ilości i to bez żadnych niekorzystnych następstw.

#E2. Pomelo:

Pomelo jest to ogromny owoc. Jego wielkość przekracza wielkość głowy ludzkiej. (Kliknij tutaj aby zobaczyć jak wygląda stragan z owocami "pomelo".) Owoc ten należy do tej samej rodziny co "grapefruit". Jest jednak od niego słodszy. W środku wygląda on nieco podobnie do gigantycznej cytryny, w której błony pomiędzy poszczególnymi segmentami są grube jak pasek i nie dają się przegryźć. Przed jedzeniem trzeba owoc ten najpierw poobierać ze skóry i błon międzysegmentowych. Pozostająca ziarnista struktura jest jadalna, o słodko-gorzkiemu smaku. W środku zawiera ona gorzkie pestki podobne do gigantycznych pestek cytryny - które nie nadają się do jedzenia. Jak każdy inny owoc tropikalny, także smak "pomelo" drastycznie zależy od miejsca w jakim on wyrósł. Najsmaczniejsze "pomelo" rosną w okolicach malezyjskiego miasta Ipoh. (Tj. tego samego "Ipoh" które zostało tak nazwane po drzewie "Ipoh" z którego produkowana jest odmiana trucizny "kurara" używana w regionie Pacyfiku.) Jeśli więc ktoś będzie w Malezji, zalecam aby po raz pierwszy w życiu spróbował właśnie "pomelo" z Ipoh. Tylko bowiem tamtejsze owoce smakują naprawdę wyśmienicie. Dopiero kiedy wie już się jak naprawdę powinny one smakować, można je też spróbować z innych okolic.

Po względem zawartej w sobie energii, "pomelo" należy do owoców "neutralnych". Chińczycy twierdzą, że można zjadać dowolne jego ilości i to też żadnych niekorzystnych następstw.

#E3. Soursop:

Owoc "soursop" oryginalnie pochodzi z Brazylii, z drzewa nazywanego tam "Graviola". Dlatego w Brazylii owoc ten nazywany jest "Graviola", zaś po hiszpańsku - "Guanabana". Nazwa "soursop" jest jego nazwą angielską. "Soursop" wygląda jak gigantyczny, zielony, niejadalny kasztan europejski. (Kliknij tutaj aby zobaczyć jak wygląda pojedynczy owoc "soursop".) Średnica typowego owocu "soursop" wynosi około 20 cm.

Jeśli jedzony jest na surowo, owoc ten ma kwaśno-słodki smak. Ja osobiście szczególnie go lubię, ponieważ dla mnie jest zbyt kwaśny. Jednak mój brat, który lubi kwaśne owoce, zawsze się nim zachwyca. Na szczęście, słodkość "soursop'u" kompensuje jego poczucie kwaśności, tak że ja także jestem w stanie go jeść, chociaż za nim nie przepadam. Jada się go po pokrojeniu na grube listki, wyjadając łyżeczką papkowatą, wodnistą zawartość wypełniającą jego wnętrze. Jadalna jest cała zawartość w środku, za wyjątkiem zielonej skórki. Zawartość ta ma konsystencję białego budyniu, tyle że budyń nigdy nie jest kwaśno-słodki, zaś ów owoc jest - i to mocno.

Owoc "soursop" jest też używany do sporządzania najróżniejszych soków którymi w tropiku mogą się delectować co odważniejsi wizytujący. Soki te typowo są dosładzane, stąd wcale nie smakują aż tak kwaśno. Jeśli ktoś sporządza je samemu, we własnym domu i ze świeżych owoców (co dla Europejczyków jest rekomendowane z powodów higienicznych), wówczas smakują one najlepiej jeśli dosładzane są miodem z dzikich tropikalnych pszczoł. (Soki kupowane na ulicach dosładzane są cukrem.) Najsmaczniejsze są soki sporządzane z mieszaniny owoców "soursop" oraz owoców "guava".

W 2009 roku wpadł mi w ręce jeden z owych "listów obiegowych" cyrkulowanych w internecie. List ten powołuje się na badania podobno opublikowane w "Journal of Natural Products" oraz na sprawdzenia przeprowadzone w "Catholic University of South Korea". Zgodnie z nimi, chemikalia zawarte w owocach "soursop" mają podobno zabijać komórki raka grubego jelita około 10,000 silniej niż powszechnie używany w chemoterapii lek zwany "Adriamycin". Tekst owego listu obiegowego zawiera więc zachętę "Kiedy następnym razem masz smak na jakiś sok, napij się soku z 'soursop' ". Oczywiście, ja NIE jestem medykiem ani NIE mam warunków aby zweryfikować stwierdzenia z temtego listu obiegowego. (Kopię tego listu mam jednak w swoim komputerze i chętnie udostępnię ją na życzenie.) Dlatego NIE je jestem w stanie potwierdzić ani zaprzeczyć, czy jego stwierdzenia opisują naukowe fakty, czy też są np. jedynie sprytną reklamą jakiegoś plantatora owoców "soursop". Wiem jednak że sok z owoców "soursop" smakuje przepysznie (szczególnie jeśli posłodzony jest miodem i zmieszany z sokiem z guava), choćby więc tylko z tego powodu rekomenduję aby nim się zapijać kiedykolwiek czytelnik ma ku temu okazję.

Po względem zawartej w sobie energii, "soursop" należy do owoców "neutralnych". Chińczycy twierdzą, że można objadać się nim do woli.

Fot. #E3: Stragan z tropikalnym owocem zwanym "soursop". Owoc ten jest ulubionym owocem tropikalnym mojego brata. Brat go wprost uwielbia zjadać na surowo. Ma on bardzo silny kwaśno-słodki smak. Ja zaś nie bardzo za nim przepadam, chociaż nie mam nic przeciwko jego jedzeniu na surowo. Jednak uwielbiam posłodzony miodem sok z "soursop" - szczególnie jeśli sok ten jest zmieszany z sokiem z "guava".

* * *

Swoją drogą jest ogromnie ciekawe dlaczego dwaj bracia (tj. ja i mój brat), którzy powinni mieć taką samą kompozycję genetyczną, oraz którzy oboje wychowani zostali w tych samych warunkach środowiskowych i na tych samych potrawach swojej matki, mają tak odmienne preferencje smakowe. Wszakże zgodnie z wszelkimi teoriami dzisiejszej nauki, oboje z bratem powinniśmy albo lubieć, albo też oboje nie lubieć, ten kwaśny owoc.

#E4. Ciku (chiku):

Owoc "ciku" (dawniejsza pisownia jego nazwy brzmiała "chiku") jest wielkości wszystkim zapewne znanego owocu "kiwi", albo średniej wielkości gruszki. Jest on ogromnie słodki. Jego słodkość jest aż tak silna, że ja osobiście nie jestem w stanie go jeść - dla mnie jest on bowiem zbyt słodki. Faktycznie podczas jedzenia jego słodkość aż

szczypie w ustach - w podobny sposób jak szypie też w ustach nadmierna słodkość niektórych odmian tureckich słodczy. Jednak miejscowi ludzie, którzy od dzieciństwa są nawykli do tej nieopisanej słodkości, uwielbiają jego smak. Ma on też dosyć silny smak jakby dzikiego owocu. Do smaku tego trzeba więc przywyknąć aby zacząć owoc ten lubieć.

Oglądana z zewnątrz skrzynka owoców ciku leżąca na targowisku mi przypomina wygląd skrzynki pełnej niemytych, zabłoconych ziemniaków o dosyć regularnych wymiarach i kształcie. (Kliknij tutaj aby zobaczyć jak wygląda skrzynka pełna owoców "ciku".) Tyle że ich jakby "zabłocony" wygląd wynika z naturalnej (maskującej) koloratury skórek tych owoców.

Pod względem zawartej w sobie energii, "chiku" należy do rzakich owoców "neutralnych". Chińczycy twierdzą, że można zjadać dowolne jego ilości i to bez żadnych niekorzystnych następstw. Ta jego neutralność energetyczna, w połączeniu z wyjątkowo silną słodkością powoduje, że miejscowi ludzie którzy go lubią zwykle objadają się nim do woli.

Fot. #E4: Nieopisanie słodki owoc tropikalny obecnie nazywany "ciku", zaś dawniej pisany "chiku". W górze zdjęcia pokazano jeden cały owoc, zaś poniżej owoc przecięty wzdłużnie na połowę z jedną połówką przeciętą poprzecznie. Owoc ten jest nieco podłużny jak miniaturowa piłka do rugby. Jego wielkość jest zbliżona do owocu "kiwi", owocu "passion fruit", lub do średniej wielkości gruszki (tzw. "ulegałki"). Zawarty w środku miążs jest soczysty o brązowym kolorze, wyglądając jak syrop lub miód. Klei się też od słodkości. Owoc zawiera też czarne, podłużne, twarde, niejadalne pestki (jedna z nich widoczna na zdjęciu) wyglądające jak czarne pestki z dyni.

#E5. Guava:

Guava jest to rodzaj jakby okrągłej tropikalnej gruszki. Jej powierzchnia jest jednak niemal zawsze nierówna i poślizgowana jak ta lewa na zdjęciu. Jeśli zaś już urodzi się gładka guava, taka jak ta pokazana po prawej stronie zdjęcia z "Fot. #E5", wówczas miejscowi niechętnie ją kupują, bo gładka powierzchnia u niej oznacza mniej ciekawy smak. Guava ma nie tylko wielkość dużej, okrągłej gruszki, ale również i dosyć silny smak jakby niedojrzałej choć aromatycznej gruszki. Przy jedzeniu jest twarda i wysoce aromatyczna. Sama jednak nie bardzo nadaje się do zjedzenia. Dlatego jada się ją zawsze po obraniu ze skóry i pocięciu na plasterki oraz po posypaniu każdego plasterka dosyć grubą warstwą utartej kwaśno-słodkiej wysuszonej śliwki Chińskiej. Owa utarta śliwka nadaje owocom guava bardzo interesującego smaku. Podobnie jak smak większości owoców tropikalnych, smak guava jest trudny do opisanie. W regionie Pacyfiku ludzie jedzą dosyć sporo guava z powodu jej aromatyczności, niskiej ceny, a także ponieważ jest ona owocem energetycznie "neutralnym".

Po względem zawartej w sobie energii, "guava" należy do owoców "neutralnych". Chińczycy twierdzą, że można zjadać dowolne jego ilości i to bez żadnych niekorzystnych następstw.

Fot. #E5: Interesujący owoc nazywany "guava". Pokazane zostały dwa owoce leżące w tylnej części talerza. Sam ten owoc nie jest przyjemny w jedzeniu. Jednak nabiera on ciekawego smaku jeśli posypie się go utartą śliwką. W dolnej części talerza widoczne są cztery ocukrzone suszone śliwki z Chin. Po utarciu tych sliwek na tarce, zwykle posypuje się nimi zjadane kawałki obranego owocu guava. Same te śliwki zresztą też są doskonałe w smaku i Chińczycy czasami częstują nimi gości. Mają one kwaśno-słodki, wysoko aromatyczny smak. Po ususzeniu ich powierzchnia staje się ocukrzona. Cukier ten jednak jest skryształizowanym cukrem zawartym w samych śliwkach, a nie przypadkiem cukrem dodawanym do nich podczas suszenia.

#E6. Dragon fruit:

Mi osobiście "dragon fruit" wyglądem przypomina jedną z odmian polskiego buraka pastewnego, w jakiej liście wyrastają z jakby rodzaju główki. Jest on też wielkości przeciętnego takiego buraka, chociaż ma kształt bardziej zaokrąglony niż stożkowaty. Po obraniu z niejadalnej skóry jest on biały z jakby czarną makowatą zawiesiną w środku swego mięszu. Posiada bardzo nikły smak, stąd trzeba się do niego przyzwyczaić aby zacząć doszukiwać się smaczności w jego zjedaniu. Przy pierwszym jedzeniu zwykle wydaje się że wogóle nie ma on żadnego smaku.

"Dragon fruit" jest również sadzony w tropikalnej Ameryce, szczególnie zaś w Meksyku. Jest on tam znany pod odmienną nazwą "Indian fig" (tj. "figa indyjska").

Po wzgędem zawartej w sobie energii, "dragon fruit" należy do owoców "neutralnych". Chińczycy twierdzą, że można zjadać dowolne jego ilości i to też żadnych niekorzystnych następstw.

Fot. #E6a: Ulubiony owoc Wietnamczyków zwany "dragon fruit".

Fot. #E6b: Oto wygląd owocu "dragon fruit" po obraniu ze skóry i przygotowaniu do jedzenia. Z wyglądu w środku przypomina mi on watę obsypaną ziarenkami maku. Faktycznie też w jedzeniu smakuje nieco jak "mokra, miękka wata" pozbawiona jakiegokolwiek smaku.

Część #F: Opisy "chłodzących" owoców strefy Pacyfiku - czyli owoców neutralizujących następstwa dzisiejszych smażonych potraw:

#F1. Mangosteen:

Tropikalne owoce "mangosteen" mają bardzo ciekawy smak i interesujące własności. (Kliknij tutaj aby zobaczyć jak wyglądają owoce "mangosteen".) Są one jednymi z tych tropikalnych owoców których spróbowania każdemu bym gorąco rekomendował.

Owoce mangosteen z zewnątrz wyglądają jak dzikie jagody z polskich lasów powiększone do wielkości typowego europejskiego jabłka. Jednak widoczna na zdjęciu ich fioletowo-brązowa skorupka zewnętrzna jest gruba na jakieś 5 mm (czyli jak gruba skórka pomarańczowa). Po obraniu z tej grubej skorupki pozostaje z nich białe jądro wielkości gołębiego jajka. Jądro to jest jadalne. Składa się ono z małych segmencików, podobnie jak owoc mandarynki. Każdy segmencik zawiera w środku zielone, miękkie, niejadalne ziarenko wielkości grochu, które po rozgryzieniu daje dosyć nieprzyjemny smak niedojrzałej fasoli. Owoce ten trzeba więc jeść ostrożnie, aby nie rozgryźć owych zielonych ziarenek. Mangosteen ma cierpko-słodki smak, nieco podobny do smaku mandarynek, chociaż znacznie przyjemniejszy i bardziej orzeźwiający. Smakuje wyśmienicie. Jeśli ktoś wybiera się do tropikalnych krajów, gorąco polecam spróbowanie również i tego owocu. Pamiętaj jednak należy aby kupić go dużo, bowiem z jednego kilograma tych owoców, po obraniu ich z grubej skóry zostaje nam do jedzenia zaledwie garść ich jadalnych jąderek.

Podczas obierania i jedzenia mangosteen trzeba pamiętać o jednej ich nieprzyjemnej cesze. Mianowicie ich sok. Na przekór że jest on biały, po spryskaniu na odzież posiada on zdolności trwałego brązowego barwnika. Niczym go też potem nie daje się już zmyć ani wywabić. Dlatego owoc ten trzeba obierać i jeść bardzo ostrożnie, aby nie poplamieć sobie ubrania jego sokiem. Plamy te zostaną bowiem już na zawsze.

W folklorze tropikalnych krajów wysuszona i sproszkowana skóra owoców "mangosteen" jest uważana za lekarstwo dobre na praktycznie każdą chorobę. Skórka ta ma więc cechy podobne do owej słynnej przed 2-gą wojną światową polskiej medycyny na wszystkie choroby, zwanej "kuramina". Ja osobiście nigdy nie sprawdzałem na sobie leczniczych własności skórki z mangosteen, z prostej przyczyny że NIE miałem dostępu do wysuszonej i sproszkowanej jej wersji, ani podczas wakacji nigdy NIE miałem warunków aby skórkę tą samemu sobie wysuszyć i sproszkować. Słyszałem jednak opisy jak w

ogromnie prosty sposób skórkę tą przygotować do medycznych zastosowań. Mianowicie, przed zjedzeniem właśnie zakupionych owoców "mangosteen" należy poobcinać nożem ich grube, zielone ogonki i grube przyogonkowe liście, tak że pozostają nam wyłącznie całe owoce w owej niebieskiej skórcie. Następnie owe całe owoce należy dokładnie wymyć (aż kilka razy) - typowo bowiem ich skóra jest relatywnie brudna na zewnątrz. Po wymyciu należy obierać owoce ze skórki, zjadając ich białą, jadalną część, zaś pozostałą po tym pustą skórkę rozdrabniając na możliwie małe fragmenty aby ułatwić ich wysuszenie. Fragmenty te następnie należy wysuszyć. Po wysuszeniu trzeba je albo zmielić na proszek, albo też rozbić na proszek w moździerzu. Proszek ten daje się potem przechowywać przez długie okresy czasu w celu użycia jako lekarstwo w razie potrzeby. Po załapaniu jakiejś choroby niektórzy zjadają łyżkę owego proszku dziennie w stanie suchym. Na sucho jest on jednak gorzki w smaku i nieprzyjemny do przełknięcia. Dlatego aby poprawić ten smak wielu ludzi miesza go z dowolnym rodzajem soku jaki właśnie mają pod ręką i wypija z owym sokiem. W soku jest on bowiem znośniejszy do przełknięcia.

Fot. #F1: Dwa owoce "mangosteen" pokazane w zbliżeniu. Owoce te w sensie zawartości energetycznej reprezentują przeciwieństwo "duriana" (tj. durian zawiera męską energię "yang", podczas gdy mangosteen zawierają żeńską energię "yin". Dlatego jeśli ktoś po zjedzeniu duriana ciągle chce spać w nocy, musi zneutralizować męską energię duriana poprzez zjedzenie podobnej ilości owoców mangosteen. Mangosteen są także rekomendowane do jedzenia w celu zbanasowania codziennego poboru męskiej energii "yang" która zawarta jest w dużych ilościach w większości potraw i napojów, jakie w dzisiejszych czasach są typowo zjadane przez nas na codzień.

Odnótuj że owoce "mangosteen" pokazane są również na zdjęciu "Fot. #11".

* * *

Po względem zawartej w sobie energii, "mangosteen" należą do owoców silnie "chłodzących" ("yin"). W dawnych czasach Chińczycy zalecali umiarkowanie w ich jedzeniu. Zalecali także, aby ich zjedzenie neutralizować zjedzeniem czegoś "rozpalającego" - szczególnie jeśli jedząca osoba jest kobietą. Jednak w dzisiejszych czasach nadmiernego objadania się przez ludzi jadłodajniową żywnością o "rozpalającym" charakterze, to stare zalecenie wcale nie musi być już tak pedantycznie przestrzegane - jak to wyjaśniłem we wstępie do tej strony.

#F2. Custard apple (Malaysian name "buah nona"):

Jest to dosyć niezwykły owoc. Faktycznie jego konsystencja w środku jest podobna do budyniu. Budyń zaś po angielsku nazywa się "custard" - stąd nierze się angielska nazwa tego owocu "custard apple", co można tłumaczyć jako "jabłko budyniowe". Natomiast w języku Bahasa Malaysia owoc ten nazywa się "buah nona" (jego nazwę wymawia się jak jeden wyraz "błanona") - co można tłumaczyć jako "żeński owoc".

"Custard apple" posiada dwie wersje, "dziką" i "udomowioną". Jego wersja udomowiona pokazana jest na "Fot. #F2a", zaś "dzika" wersja malezyjska na "Fot. #F2b". Ovoc ten ma wielkość typowego jabłka. Obie wersje są przy tym podobnej wielkości. Jednak powierzchnia tego owocu wygląda jak powierzchnia owocu "dzikiej jeżyny" powiększonego do wielkości jabłka. Odmiana "udomowiona" ma przy tym bardziej gładką skórkę i występuje tylko w zielonym kolorze. "Dzika" wersja malezyjska jest bardziej podobna do jeżyny, oraz może występować także w niebieskim kolorze. Ma też mniej mięsca w środku i więcej czarnych pestek. Smak tego owocu jest słodki z cierpkim odcieniem kwaskowatości. Jest on bardzo przyjemny i smakowity w jedzeniu.

Fot. #F2a: Interesujący owoc nazywany "custard apple". Powyżej pokazana jest "udomowiona" odmiana hodowana obecnie w tropikalnej części Australii. Owa udomowiona odmiana "custard apple" ma więcej mięsca i mniej pestek niż "dzika" odmiana hodowana w Malezji. Jednak smak obu odmian jest w przybliżeniu taki sam.

Fot. #F2b: Oto "dzika" malezyjska odmiana "custard apple", pokrewnego temu pokazanemu na "Fot. #F2a". Jak ze zdjęcia tego widać, w Malezji dostępne są aż dwa rodzaje tego owocu. Różnią się one kolorem. Jeden rodzaj po dojrzeniu ma kolor niebieski, inny zaś rodzaj po dojrzeniu ciągle ma kolor zielony. Oba te rodzaje smakują niemal identycznie i bardzo podobnie do odmiany australijskiej pokazanej na zdjęciu "Fot. #F2a".

#F3. Starfruit:

Starfruit jest kwaskowaty. Posiada on też bardzo silny smak "zieleniny". Ja osobiście go nie lubię jako owocu jedzonego na surowo. Lubię jednak sok z niego - jeśli sok ten zostaje dosłodzony. Sok ten ma bowiem dosyć orzeźwiający aromat i jest bardzo przyjemny podczas picia, chociaż pozostawia potem w ustach ów posmak "zieleniny".

Starfruit jest słynny ze swojej zdolności do obniżania ciśnienia krwi. Dlatego jest ulubionym owocem ludzi z nadciśnieniem.

Po względem zawartej w sobie energii, "starfruit" należy do owoców "chłodzących". W dawnych czasach Chińczycy zalecali umiarkowanie w ich jedzeniu. Zalecali także, aby ich zjedzenie neutralizować zjedzeniem czegoś "rozpalającego" - szczególnie jeśli jedząca osoba jest kobietą. Jednak w dzisiejszych czasach zalecenie to wcale nie musi być już tak pedantycznie przestrzegane - jak to wyjaśniłem we wstępie do tej strony.

Fot. #F3: "Starfruit". (Nazwę "starfruit" daje się tłumaczyć na polski jako "gwiazdzisty owoc".) Nazwa tego owocu wywodzi się z jego kształtu. Szczególnie jeśli pokroi się go w plasterki w kierunku prostopadłym do jego osi centralnej. Owe plasterki wyglądają wówczas jak złociste gwiazdki o średnicy plasterka z naszego jabłka. Ich kolor jest również bardzo piękny, bo jakby złocisty - podobny nieco do koloru typowego miodu. Z uwagi na piękny gwiazdzisty kształt i kolor tych plasterków, w restauracjach krajów tropikalnych plasterki tego owocu często używane są do ozdabiania innych potraw. Oczywiście, oprócz wnoszenia wartości zdobniczej, są one także jadalne.

#F4. Air jambu:

Air jambu z zewnątrz wyglądem przypomina czerwoną odmianę niewielkich stożkowatych jabłek. (Kliknij tutaj aby zobaczyć jak owoce "air jambu" wyglądają.) Jednak po rozkrojeniu okazuje się że poza grubą solidną skórką jego cała reszta jest wypełniona jakby białą, luźną watą. Najbliższe co moim zdaniem opisywałoby jego smak to polskie kwaśne wiśnie - tyle że podczas jedzenia ma się wrażenie jakby gryzło się jadalną watę o smaku kwaśnych wiśni. Ja osobiście NIE przepadam za tym owocem, chociaż wiem że istnieją koneserzy którzy go uwielbiają.

Pod względem ceny, air jambu należy do grupy przeciętnie kosztujących owoców. (Tj. na przekór jego niezbyt interesującego smaku, wcale NIE jest on tani.)

Po względem zawartej w sobie energii, owoc "air jambu" należy do owoców "yin" czyli "chłodzących". Ponieważ w dzisiejszych czasach ludzie typowo zjadają nadmierne ilości niczym nie zbalansowanej żywności "rozpalającej" (tj. "yang"), częste jedzenie owoców "chłodzących", do których "air jambu" należy, jest zdrowe i wysoce rekomendowane.

#F5. Petai:

Nazwa "petai" przyporządkowana jest do rodzaju zielonych owoców rosnących w bardzo długich zielonych strąkach które mi przypominają strąki z drzewa akacji. (Kliknij tutaj aby zobaczyć jak wygląda skrzynka pełna strąków "petai".) W owych strąkach znajdują się zielone owoce o kształcie eliptycznych dysków, lub typowych pigulek aptecznych. (Kliknij tutaj aby zobaczyć jak wyglądają indywidualne fasolki ze strąków "petai".) Owoce ten można jeść na surowo - jednak większość ludzi preferuje go po ugotowaniu. Mi jego smak

przypomina rodzaj dużej fasoli która w Polsce znana jest pod nazwą "bobu". Owoc ów należy do grupy silnie śmierdzących, tyle że w przeciwieństwie np. do owocu "duriana", smród "petai" zaczyna się odczuwać dopiero po jego rozgryzieniu. (Tj. świeży owoc jako taki zdaje się NIE śmierdzieć, aż do czasu gdy go się rozgryzie lub zacznie gotować.) Smrodem tego owocu potem przenika kał i mocz jedzącego. Dlatego wejście do toalety w której ktoś kto uprzednio zjadł "petai" oddał właśnie mocz lub kał staje się niemal niemożliwe. Owoc ten powoduje także bardzo silne zabarwienie moczu. To zapewne z tych powodów folklor ludowy twierdzi, że owoc "petai" oczyszcza dokumentnie wnętrze ciała jedzącego.

Owoc "petai" jedzony jest bardziej z powodów medycznych, niż dlatego że ktoś go naprawdę lubi. Przyczyny jego nagminnego zjadania dla zdrowia wyjaśniono w doskonałym artykule [1#F5] na temat tego owocu. Artykuł ten nosi tytuł "Petai power" (tj. "Moc owocu petai"). Ukazał się on na stronach U6 i U7 w dodatku "Streets" do malezyjskiej gazety New Straits Times, wydanie z soboty (Saturday) July 26, 2008. Zgodnie z owym artykułem [1#F5], owoc petai ma całą masę składników które są ogromnie korzystne dla ludzkiego zdrowia. Przykładowo, owoc ten zawiera aż trzy rodzaje cukrów generujących energię, tj. sucrose, fructose i glucose. Jest więc doskonały np. dla sportowców. Ponadto, jeśli porównać go np. z jabłkiem, owoc petai ma 4 razy więcej protein, 2 razy więcej carbohydrates, 3 razy więcej fosforu, 5 razy więcej witaminy A i żelaza, oraz 2 razy więcej innych witamin i minerałów.

Zgodnie z powyższym artykułem [1#F5], prawdziwa moc owego owocu leży jednak w jego zdolności do leczenia licznych chorób. Pokażny wykaz chorób, które według owego artykułu ów owoc albo leczy albo też załagadza, obejmuje m.in.: (1) depresja (w której on pomaga ponieważ zawiera m.in. "tryptophan" - rodzaj proteiny którą nasze ciało przemienia w "serotonin" jaka pomaga nam się odprężyć, poprawia nasze samopoczucie, oraz indukuje poczucie szczęścia), (2) PMS (pre-menstrual tension) - witamina B6 zawarta w tym owocu reguluje poziom glukozy w krwi, co poprawia samopoczucie, (3) anemia - jego bogactwo żelaza stymuluje produkcję hemoglobiny, (4) ciśnienie krwi - wysoka zawartość potasu przy niskim poziomie soli powoduje zbijanie ciśnienia krwi, (5) koncentracja uwagi - potas tego owocu zwiększa też skoncentrowanie uwagi i ułatwia naukę, (6) zatwardzenie - korzystna dla jelit włóknista struktura tego owocu eliminuje konstypację, (7) kac - koktail "petai-mleko-miód" eliminuje kaca, (8) zgaga - petai eliminuje kwasy żołądkowe, (9) poranne wymioty - jedzenie petai też je eliminuje, (10) nerwowość - jego witamina B uspokaja system nerwowy, (11) nadwaga - wysoka zawartość petai w carbohydrate zapobiega nadwadze, (12) wrzody - jego miękka konsystencja łagodzi i ten problem, (13) SAD (Seasonal Affective Disorder) - petai pomaga ponieważ zawiera tryptophan - tj. naturalny poprawiacz samopoczucia, (14) napięcia - potas z petai normalizuje bicie serca a więc obniża poczucie napięcia, (15) wylew krwi (stroke) - podobno badania wykazały że regularne jedzenie petai eliminuje ryzyko wylewu krwi o 40%, (16) ukąszenia komarów - pocieranie miejsca ukąszenia wewnętrzną częścią skórki tego owocu eliminuje opuchliznę i irytację, (17) kurczaki - wystarczy przykleić owoc petai plastrem do kurczaka aby ją zniszczyć. Jak powyższe sugeruje, petai jest rodzajem ludowego lekarstwa pomocnego niemal na wszystko.

Po względem zawartej w sobie energii, owoc "petai" należy do owoców "yin" czyli "chłodzących". Znaczący jest on w stanie odniżyć zarówno fizyczną, jak emocjonalną temperaturę np. kobiet w ciąży. Podobno w Holandii kobiety w ciąży zjadają petai aby ich dzieci rodziły się z niską temperaturą.

Część #G: Opisy "rozpalających" owoców strefy Pacyfiku - czyli owoców co do których zalecane jest umiarkowane jedzenie:

#G1. Durian - czyli oficjalnie najsmaczniejszy owoc świata (a jednocześnie "najbardziej śmierdzący owoc świata"):

Malezyjski "durian" jest oficjalnie uznawany za "najsmaczniejszy owoc świata". W

Malezji nazywają go także królem owoców.

Durian jest owocem wielkości głowy ludzkiej. Jego wygląd zewnętrzny przypomina z grubsza widok zielonej, kolczastej łuski naszego niedojrzałego kasztana. Podobnie też jak łuska kasztana daje się rozszczepić na dwa czy trzy segmenty, również skorupa duriana rozszczepia się na trzy do sześciu segmentów. W każdym takim segmencie zawarty jest jakby nasz kasztan, otoczony papkowatą żółtawą substancją, o konsystencji podobnej do naszych lodów jadalnych. Je się właśnie ową papkowatą substancją. Ma ona wspaniały, słodkawy, niebiański smak. Jednak smaku tego nie daje się opisać, z prostej przyczyny że nie istnieje już nic innego co miałoby podobny smak, a stąd do czego smak duriana dałoby się porównać.

Oprócz wprost niebiańskiego smaku, durian ma także to do siebie, że okropnie on śmierdzi. Jego smród jest tak silny, że większość hoteli i linii lotniczych z krajów tropikalnych zabrania wnoszenia tego owocu na ich teren. Dla nienawykłych do niego ludzi, smród duriana jest tak okropny, że zwykle nie mogą się zmusić aby włożyć go do ust. Jeśli jednak ktoś się przełamie w sobie i spróbuje tego niebiańskiego owocu, jego smak jest tak doskonały, że potem smród ten przestaje przeszkadzać. Faktycznie też z czasem człowiek się do niego przyzwyczaja. Smród ten nie jest zresztą wcale taki nieprzyjemny - podobnie zresztą jak wcale nie jest nieprzyjemny smród naszego czosnku. Tyle tylko, że jest on okropnie silny. Właśnie z powodu tego silnego smrodu, różni pisarze przyrównują zjedanie duriana do "delektowania się najsmaczniejszym kremem świata w publicznej toalecie". Inni zaś opisują odczucia przy jedzeniu duriana jako podobne do zjedania lodów czosnkowych (rozumianego w sensie intensywności doznań zapachowych, a nie smakowych, jako że smak duriana nie ma nic wspólnego ze smakiem czosnku, podobnie zresztą zapach duriana nie ma nic wspólnego z zapachem czosnku). Ja uwielbiam jedzenie tego owocu. Osobiście też wiem że żadne opisy nie są w stanie oddać wrażeń doznawanych podczas jego jedzenia. Duriana trzeba po prostu samemu spróbować.

Ze sprawą smrodu duriana wiąże się także dosyć ciekawe zjawisko wygaszania tego smrodu. Jak się okazuje, aby silny zapach duriana nie roznosił się po dżungli i nie przyciągał do niego zbyt wielu zwierząt, skorupka duriana wytwarza jakiś enzym który chemicznie eliminuje całkowicie ten zapach. Po objedzeniu się więc durianem, wystarczy potem napić się wody jaką uprzednio trzeba wlać na chwilkę do skorupki tego owocu i zamieszać. (Wodę tą pije się wprost ze skorupki duriana.) Natychmiast po jej wypiciu durian przestaje w nas śmierdzieć. Możemy tylko pomarzyć aby podobnie było z zapachem czosnku, tj. aby wystarczyło się napić wody ze skorupki czosnkowej by spowodować że zapach czosnku całkowicie w nas zaniknął.

Po wzgędem zawartej w sobie energii, "durian" należy do owoców silnie "rozpalających". Chińczycy zalecają umiarkowanie w jego jedzeniu. Należy też zadbać aby zjedzenie owoców duriana zaraz potem zneutralizować zjedzeniem czegoś silnie "chłodzącego", np. równej ilości owoców "mangosteen".

Fot. #G1a: Stragan z oficjalnie najsmaczniejszymi owocami świata, czyli malezyjskim "durianem". Zdjęcie ze stycznia 2004 roku. Durian często zwany jest też "królem owoców". Faktycznie nie istnieje inny owoc na świecie, którego smak byłby tak samo sławny, jak ów powyższego duriana z Malezji. Pamiętać jednak należy, że oprócz Malezji, owoce duriana rosną także w kilku innych lokacjach, np. w Tajlandii czy w Australii. Pechowo jednak tak jakoś się składa, że w przeciwieństwie do owoców z Polski, wszystkie owoce tropikalne drastycznie zmieniają smak jeśli tylko wyrosną w innych okolicach. Dlatego inne niż malezyjskie odmiany duriana nie są już tak smaczne jak słynny durian malezyjski (niektóre z nich mogą nawet smakować wręcz okropnie). Przykładowo ja osobiście tak rozczarowałem się do smaku odmiany tajlandzkiej duriana, że po kilku próbach obecnie całkowicie zaprzestałem kupowania tej odmiany - uważam jej zakup za wyrzucanie pieniędzy. Dlatego jeśli ktoś zdecyduje się spróbować smaku duriana, gorąco zalecam aby przy pierwszej próbie był to obowiązkowo durian właśnie z Malezji - pokazany powyżej oraz na zdjęciu "Fot. #G1b". Osobiście gwarantuję, że jego smak nikogo nie rozczaruje. Inne zaś

odmiany duriana, np. tajlandzką lub australijską, można próbować dopiero po tym jak już się wie jak durian powinien smakować.

Fot. #G1b: Oto jak ja (tj. dr Jan Pajak) wyglądam kiedy opycham się owocami malezyjskiego "duriana", czyli oficjalnie najsmaczniejszego owocu świata. Oczywiście, gdybym samemu zjadł tyle duriana jak to widoczne z liczby skorupki pokazanych na powyższym zdjęciu, prawdopodobnie nie mógłbym spać przez całą noc, zaś energia tego owocu wynosiłaby mnie na dachy pobliskich budynków.

#G1.1. Cechy owoców duriana:

Owoc duriana posiada ogromnie dużo męskiej energii "yang". Po jego zjedzeniu energia ta dosłownie rozsadza jedzącego. Energia ta ma już tak utartą opinię wśród miejscowych, że jeśli filigranowe i ogromnie kształtne kobietki malezyjskie zobaczą jakiegoś mężczyznę objadającego się durianem, wówczas zaczynają otwarcie chichotać, wyobrażając sobie zapewne co się stanie wkrótce potem.

Owoc duriana jest afrodyzjakiem. Działa on bardzo podobnie jak pigułki "viagra". W Malezji na jego temat panuje nawet rodzaj ludowego przekonania, że jeśli kobieta zacznie karmić owocem duriana swojego mężczyznę, wówczas ma ona coś frywolnego na myśli. Owoc ten posiada w sobie tak dużo energii, że po zjedzeniu kilku jego segmentów trzeba zapomnieć o spaniu - po prostu ich energia roznosiła nas będzie przez całą noc. Chyba że męską energię "yang" duriana, zneutralizuje się zjedzeniem równej ilości żeńskiej energii "yin" zawartej np. w owocu "mangosteen".

Durian zwiększa zagrożenie bólem gardła. Dlatego nie powinno się go zjadać jeśli ktoś nie czuje się dobrze - szczególnie jeśli go już boli gardło.

Durian jest również słynny ze swojego braku tolerancji dla alkoholików. Jeśli bowiem zje się duriana, nie wolno pić żadnego alkoholu, oraz wice wersa. W przypadku gdy ktoś nie wykaże respektu dla antyalkoholowej skłonności tego owocu i np. po zjedzeniu duriana napije się piwa, lub np. po wypiciu wódki zje duriana, wówczas ma gwarancję pełnej przygód najbliższej przyszłości. W najmniej bowiem intensywnym przypadku durian spowoduje u niego silne wymioty jakie niemal wyrzucą jego wnętrzności podszewską na wierzch i odwodnią mu organizm. W silnych zaś przypadkach, po wymiotach pojawi się ból gardła podobny do tego jaki ludzie o nadwyżce rozpalającej energii "yang" w ich organizmach doznają po zjedzeniu smażonych potraw (czyli potraw także przesyconych rozpalającą energią "yang").

Czy istnieje związek pomiędzy durianem a moją rodzinną wioską zwaną Wszewilki - której strona internetowa jest dostępna poprzez "Menu 2"? Tak istnieje! Kiedy jako młody chłopiec biegałem kiedyś po Wszewilkach, marzyłem wówczas że gdy dorosnę polecę do dalekich krajów aby objadać się tam takimi egzotycznymi owocami jak właśnie durian. Tajemnicza moc zawarta we Wszewilkach i w położonym koło tej wioski "czakramie ziemi", spowodowała też że tak jak wszystkie inne silne marzenia z Wszewilek, również i to zostało urzeczywistnione. Objadam się więc teraz nie tylko durianem, ale i wieloma innymi egzotycznymi owocami tropikalnymi, jakie ilustruję i opisuję na niniejszej stronie internetowej. (Tak na marginesie, to proponuję odnotować z opisów Wszewilek, że owa wieś, czy też zlokalizowany w jej pobliżu czakram energetyczny Ziemi, posiada jakąś tajemniczą moc urzeczywistniania wszystkich silnych marzeń. Wszewilki urzeczywistniły bowiem nie tylko moje marzenia, ale również silne marzenia wszystkich tych którzy na jakimś etapie swojego życia mieszkali w owej wsi, lub którzy chociaż odwiedzili Wszewilki aby wyzwoić w owej niezwykłej wsi zrealizowanie jakichś swoich silnych marzeń.)

#G1.2. Kompedium najważniejszych informacji o malezyjskiej wersji owoców duriana:

W Malezji durian owocuje zwykle pomiędzy czerwcem (June) oraz sierpniem (August). Dobry urodzaj na owoce malezyjskiego duriana pojawia się w latach kiedy w marcu i kwietniu, czyli w czasach gdy ów owoc zakwita, panuje słoneczna pogoda i NIE ma tam deszczu. Jeśli danego roku jest dobry urodzaj, ceny duriana mogą być aż tak niskie jak

1 Ringgit za nierasowy owoc, czyli za tzw. "kampung durian". ("Kampung durian" to nazwa dla dzikiej odmiany tego owocu.) Przy kiepskim urodzaju jeden owoc może kosztować około 20 Ringgit. (Odnótuj że jeden malezyjski Ringgit jest w przybliżeniu równy jednemu polskiemu złotemu.) Typowo jednak płaci się około 10 Ringgit za jeden owoc. Dla jego pierwszego spróbowania wystarczy kupić tylko jeden owoc. Jeśli jednak się okaże że go polubimy, wówczas jedna osoba zjada zwykle dwa do trzech owoców na jedno posiedzenie. Jeden owoc duriana waży typowo pomiędzy 600 gram a 3 kilogramy, jednak zawiera on tylko pomiędzy około 60 do 300 gram jadalnej masy. Owoce duriana kupuje się nierozłupane, kiedy nadal są one zawarte w ichnich kolczastych skorupkach. Dlatego ich kupowanie można porównywać do kupowania "kota w worku" - co się kupiło kupujący dopiero się dowiaduje kiedy rozłupie zakupiony owoc i zacznie go zjadać. Wybranie więc smacznego owocu z całej ich sterty oferowanej na straganie typowo jest wielką sztuką w jakiej Europejczycy są zawsze beznadziejni. Dlatego najlepiej poprosić kogoś miejscowego (np. straganiarza) aby dla nas wybrał najsmaczniejszy owoc dostępny na danym straganie. Ponadto trzeba też poprosić straganiarza aby nam "otwarł" tasakiem (zwanym "parang" po miejscowemu) zakupiony owoc, bo w przeciwnym wypadku sami połamiemy sobie aż kilka noży zanim zdołamy go otworzyć.

W punkcie #C2 powyżej wyjaśniam, że smak praktycznie wszystkich tropikalnych owoców jest silnie zależny od miejsca gdzie owoce te wyrosły. Ponieważ zaś Malezja jest dużym krajem, zależnie gdzie dany durian wyrósł, jego smak będzie nieco odmienny. Z tego powodu wśród owoców duriana które można kupić w Malezji, wyróżnia się cały szereg tzw. "varieties" (tj. "odmian"). Malezyjskie ministerstwo rolnictwa (Malaysian Department of Agriculture) posiada nawet specjalne biuro, w którym poszczególni plantatorzy duriana mogą rejestrować swoje owoce - jeśli te wykazują wyraźnie odmienny smak od innych durianów już zarejestrowanych tam uprzednio. Od 1934 roku, kiedy biuro to ustanowiono, aż do 2008 roku, zarejestrowano tam już ponad 190 odmian duriana. Każda noworejestrowana odmiana tego owocu otrzymuje "oficjalną nazwę" na którą się składa właśnie numer kolejny z owego krajowego rejestru durianów, poprzedzony literą D. Stąd "oficjalne nazwy" malezyjskiego duriana brzmią D1, D2, D3, ..., D190, itd. Oprócz takiej "oficjalnej" nazwy, niektóre owoce mają też lokalne "ludowe" nazwy opisowe. Dlatego jeśli kupuje się duriana, typowo ma się do wyboru pomiędzy kilkoma jego odmianami sprzedawanymi na danym straganie. Jedną z owych odmian będzie oczywiście ów najtańszy tzw. (0) Kampung durian - czyli odmiana smakowo jeszcze niezarejestrowana ("kampung durian" znaczy "wsiowy durian"). Po rozłupaniu ta odmiana może się okazać posiadaniem dowolnego smaku. Natomiast z odmian smakowo już zarejestrowanych, najpowszechniej znane są jak następuje: (1) D13 o kolorze przypalonego pomarańcza, którego smak jest słodki oraz niezbyt silny (dlatego nadaje się on dobrze do spróbowania duriana po raz pierwszy), (2) D101 o kolorze pomarańczowym, relatywnie słodki i kremowy, (3) D1 o kolorze jaskrawo żółto-zielonym i o mlecznym smaku, (4) D24 (zwany też "Sułtan") o kolorze jasno żółtym i o nieco gorzkawym choć kremowym smaku, (5) XO o żółto-zielonym kolorze i o gorzkawym choć delikatnym smaku jakby naalkoholizowanym, (6) Mao Shan Wang o jasno-żółtym kolorze i o gorzko-słodkim smaku z lepką kremową konsystencją, (7) Red Prawn o pomarańczowo-czerwonym kolorze i o lepkiem, słodkim smaku. Oczywiście, powyższe to tylko niektóre ze znanych odmian duriana. Jak to bowiem wyjaśniłem powyżej, w Malezji zarejestrowanych jest już ponad 190 odmian smakowych tego owocu.

Doskonały artykuł obszernie opisujący owoce duriana ukazał się pod sugestywnym tytułem "Get thorny" (tj. "Stań się kolczasty") na stronach 4 i 5 dodatku "LifeStyle" do singapurskiej gazety The Sunday Times (by Singapore Press Holdings Limited Co.), wydanie z niedzieli, July 13, 2008. Ów tytuł za pomocą "gry słów" subtelnie referuje do afrodyzjakowych zdolności duriana, chociaż bezpośrednio opisuje on jedynie wysoce kolczastą skorupę tego owocu. Wszakże języku angielskim wyrażenie "get horny" (tj. "stać się rogatym"), używane jest dla opisanie kogoś kto właśnie nabawił się silnego "seksualnego pociągu" do przeciwstawnej płci. (Singapur importuje ogromne ilości duriana z Malezji. Przykładowo, w 2004 roku Singapur zaimportował 26300 ton duriana, zaś w 2007 roku - 17360 ton.)

#G1.3. "Mutton bird" - czyli jeszcze jeden okropnie śmierdzący smakołyk (tym razem z Nowej Zelandii):

W Nowej Zelandii istnieje rodzaj smacznego ptaka morskiego wielkości małej kury, nazywanego tam "mutton bird" (czyli "ptak owca" - podobno wytwarza on w locie rodzaj "beczenia" jak owca). Zapach owego ptaka jest równie silny jak zapach duriana, tyle że ptak ten śmierdzi rybami, zaś zapachu duriana nie daje się do niczego przyrównać. Zapach owego "mutton bird" jest tak silny, że miejscowi żartują iż wokół niego ze smrodu nawet muchy zdychają w locie. Ptaka tego można nabyć (już ugotowanego) w sklepach rybnych w południowej części Nowej Zelandii, głównie zaś w mieście Invercargill (gdzie ja mieszkałem w latach 1983 do 1988). Kiedy wyemigrowałem do Nowej Zelandii nie wiedziałem jednak, że ptak ten śmierdzi aż tak okropnie. Kiedyś kupiłem więc go sobie aby spróbować jak smakuje i przyniosłem do swojego mieszkania aby tam go zjeść. Chociaż zjadłem go natychmiast (w sklepach rybnych z Invercargill sprzedają go ugotowanego, gorącego, razem z frytkami, tak że jest on gotowy do jedzenia) w przeciągu około 10 minut jakie mi to jedzenie zajęło, moje mieszkanie tak przesiąknęło jego ciężkim zapachem rybnym, że potem przez wiele miesięcy nie byłem w stanie zapachu tego się pozbyć. Ów "mutton bird" także smakuje wyśmienicie. Ponadto, zawarta w nim szeroka gama minerałów jakich nasz organizm desperacko potrzebuje, powoduje że kiedy raz go się spróbuje, nasz organizm domaga się aby zjeść go ponownie (tj. po pierwszym spróbowaniu jego zjedanie staje się wówczas niemal nałogiem). Kiedykolwiek więc miałem ku temu okazję, np. kiedykolwiek przejeżdżałem przez Invercargill, zawsze kupowałem sobie tam jednego takiego ptaka do zjedzenia. Tyle że już potem zawsze jadłem go w parku na ławce. (Niestety, w stanie ugotowanym i gotowym do zjedzenia nie można go dostać na północy Nowej Zelandii, gdzie obecnie mieszkam, zaś z powodu jego smrodu ugotowanie go samemu we własnym domu NIE wchodzi nawet w rachubę.) Tak więc tam nawykłem do jedzenia wysoce śmierdzących smakołyków, że kiedy w Malezji po raz pierwszy próbowałem duriana, jego zapach nie robił na mnie już niemal żadnego wrażenia.

Ów "mutton bird" jest też opisany w punktach #K3 i #K4 odrębnej strony internetowej newzealand_visit_pl.htm - o wiadomości od Boga zawartej w nieprzygotowaniu Antypodów do zaludnienia. Razem z szeregiem innych już mi znanych "śmierdzących smakołyków świata", jest on tam omówiony jako rodzaj "turystycznej atrakcji" Nowej Zelandii.

#G2. Langsat:

Langsat rośnie w pęczkach jak nasze winogrona. Właściwie to zdjęcie "Fot. #G2" pokazuje kilka luźnych owoców (odpadniętych z kiścią) na pierwszym planie, oraz cały jakby "kiść winogronowy" tych owoców ułożony w tylnej części talerza. Każde grono tego owocu jest wielkości dużej śliwki. Po obraniu z cienkiej, białawej skórki, w środku znajduje się jakby segmenciki podobne do tych z małych mandarynek, wykonane jednak z bezbarwnej i jakby wysuszonej galarety. W środku owych jadalnych bezbarwnych segmencików zawarte są zielone jakby pestki wielkości naszego grochu, jakich nie powinno się rozgryzać bowiem mają gorzki smak. Podczas jedzenia jadalna część tego owocu jest słodka, chociaż jednocześnie lekko kwaskowata. Smakuje wyśmienicie i orzeźwiająco w gorącym klimacie tropiku.

Po względem zawartej w sobie energii "langsat" należą do owoców "rozpalających". Chińczycy zalecają umiarkowanie w ich jedzeniu. Należy też zadbać aby ich zjedzenie neutralizować natychmiastowym zjedzeniem czegoś "chłodzącego".

Fot. #G2: Bardzo smakowity owoc malezyjski zwany "langsat".

* * *

Langsat jest tylko jednym z kilku odmiennych tropikalnych owoców dostępnych w Malezji, które wyglądają bardzo podobnie do siebie, jednak smakują nieco odmiennie. Owoce te obejmują, m.in.:

1. Langsat - opisany powyżej w punkcie #G2. Ma on białawą, bardzo cienką, skórę. Jego smak jest bardzo przyjemny, słodko-kwaśny.

2. Duku - opisany w punkcie #G3 poniżej. Wygląda również bardzo podobnie do "langsat", chociaż ma on lekko różowawą oraz relatywnie grubą, skórę. Jego smak jest bardzo słodki - znacznie słodszy od "langsat".

3. Longan berry - opisany w punkcie #G4. Przez Chińczyków nazywany jest on "dragon eye" (nie wolno przy tym mylić białego, grono-podobnego "dragon eye" (tj. "smoczego oka") z czerwonym, burako-podobnym "dragon fruit" (tj. "owocem smoka") pokazanym na zdjęciu #E6). Longan berry jest o połowę mniejszy od Langsat. Jego skórka jest bardzo cienka i krucha. Ma on też w środku dużą, czarną pestkę o gładkiej, szklistej powierzchni, oraz o wielkości pestki z europejskich czereśni.

4. Lychee - opisany w punkcie #G5 poniżej. Te owoce są nieco większe niż wszystkie opisane poprzednio (tj. większe niż langsat", "duku", czy "longan berry"), są niemal idealnie okrągłe, zaś ich skorupkowata skórka też wygląda nieco inaczej. Już więc nawet swoim wyglądem pokazują one że należą do zupełnie innej rodziny.

5. Rambai - opisany w punkcie #H5 tej strony. (Kliknij tutaj aby zobaczyć jak wyglądają owoce "rambai".) Ma on słodko-kwaśny smak, jak europejskie czerwone pończuszki. W przeciwieństwie też do wszystkich bardzo podobnych do siebie owoców opisanych poprzednio (tj. w przeciwieństwie do "langsat", "duku", "longan berry", czy "lychee"), które można jeść na kilogramy i nic odmiennego potem się NIE odczuwa, owoce "rambai" zawierają substancje i minerały które wywierają wyraźnie odnotowalny wpływ na ludzkie ciało. Wpływ ten opisuję częściowo w punkcie #H5 poniżej.

#G3. Duku, dukong, duku-langsat:

Istnieje cała rodzina podobnych do siebie owoców, każdy z których ma jednak nieco odmienny smak. Do owej rodziny należą owoce "duku", "dukong", oraz "duku-langsat".

Owoc "duku" wygląda niemal identycznie do "langsat". (Kliknij tutaj aby zobaczyć jak wyglądają owoce "duku".) Jest jednak bardziej słodki, chociaż ma bardzo grubą skórę.

Owoc "dukong" jest z kolei podobny do "duku", a stąd i do "langsat". (Kliknij tutaj aby zobaczyć jak wyglądają owoce "dukong".) Wszystkie one należą wszakże do tej samej rodziny. Dla mnie osobiście "dukong" i "langsat" zewnętrznie wyglądają nieodróżnialnie podobnie. Ja odróżniam je dopiero po ich nieregularnych pestkach wyglądających jak podeformowane ziarna niedojrzałego (zielonego) grochu. Pestki "langsat" są zielone i gorzkie w smaku (a więc nieprzyjemne po rozgryzieniu i niemożliwe do przełknięcia), pestki zaś "dukong" są żółte i kwaśne (a więc tolerowalne po rozgryzieniu i nawet możliwe do przełknięcia). "Dukong" ma jednak bardziej kwaskowaty i orzeźwiający smak niż "duku", oraz zawiera w sobie znacznie więcej soku.

Powinienem dodać, że istnieje również hybryd zwany "duku-langsat". Jest to owoc powstały poprzez skrzyżowanie "langsat" z "duku". Ma on nieco grubszą skórę niż "langsat" (choć cieńszą niż "duku"), za to jest słodszy od "langsat" (choć kwaśniejszy niż "duku").

#G4. Dragon eye albo "longan berry":

Też rośnie on w kiściach jak nasze winogrona. Należy do tej samej grupy tropikalnych owoców "jagodowych" co pokazany poprzednio "langsat". Jest jednak nieco mniejszy od owocu "langsat". Ma bowiem wielkość typowej europejskiej wiśni. Jego skórka jest twarda niemal jak skorupka jajka. Z lewej strony talerza widać kilka kawałków takich skórek pozostających po jego obraniu. W środku, pod ową skórą, posiada galaretowaty, bardzo słodki miąższ z czarną okrągłą pestką w swym środku. Pestka ta ma wielkość pestki z wiśni lub czereśni. Z uwagi na jej doskonale czarny kolor i gładkość powierzchni, w dawnych czasach pestka ta była używana dla symulowania oczu w imitacji smoka używanego w tradycyjnym chińskim tańcu nazywanym "dragon dance". Właśnie z powodu takiego użycia pestek tego owocu, sam owoc nazywa się "dragon eye" czyli "smocze oko".

Dragon eye (tj. "smocze oko") jest bardzo smacznym owocem. Jest on bardzo

słodki, kruchy i soczysty. Jego jedzenie jest przyjemnością. Obiera się też bardzo łatwo z kruchej skórki pękającej pod naciskiem palców jak skorupka cienkiego jajka.

Po względem zawartej w sobie energii, "dragon eye" należą do owoców typu "yang", czyli "rozpalających". Chińczycy zalecają umiarkowanie w ich jedzeniu. Należy też zadbać aby ich zjedzenie neutralizować natychmiastowym zjedzeniem czegoś "chłodzącego".

Fot. #G4: Bardzo smakowity owoc malezyjski zwany "dragon eye" albo "longan berry". Tj. "dragon eye" jest on nazywany przez Chińczyków (nie wolno przy tym mylić białego, grono-podobnego "dragon eye" (tj. "smoczego oka") z czerwonym, burako-podobnym "dragon fruit" (tj. "owocem smoka") pokazanym na zdjęciu 18 poniżej). Longan berry jest o połowę mniejszy od Langsat. Jego skórka jest bardzo cienka i krucha. Ma on też w środku dużą, czarną pestkę o gładkiej, szklistej powierzchni, oraz o wielkości pestki z europejskich czereśni lub wiśni.

Powyższe zdjęcie pokazuje wygląd całych owoców "smocze oko", jak również wygląd wszystkich składników tego owocu. I tak na górze zdjęcia widać całe owoce. Mają one zwykle kolor jasno-brązowy z jakby brązowszymi prążkami. Ich wielkość jest podobna do naszej wiśni. Poniżej widać: (po lewej) skórki obrane z tych owoców, (w środku) owe owoce już bez skórki - najwyższy z nich przekrojony poziomo aby pokazać jego pestkę, (po prawej) dwie czarne pestki wyjęte z owych owoców. Ich pestki są niejadalne.

#G5. Lychee:

Jest to rodzaj tropikalnych owoców który świat zna najlepiej z ich wersji w puszkach. Są one bardzo słodkie i doskonale nadają się do przemysłowego puszkowania.

Pod względem energetycznym lychee należy do owoców silnie rozpalających. Znawcy przedmiotu twierdzą, że jego moc rozpalająca odniesiona do jednostki wagi jest nawet większa niż u duriana.

Część #H: Opisy "mokro-rozpalających" owoców strefy Pacyfiku - czyli owoców których nadmierne zjedzenie może spowodować chorobę:

#H1. Mango:

Mango jest dużym owocem podobnym do ogromnej żółtej śliwki. Posiada ono bardzo dużą pestkę otoczoną twardymi włóknami. Jego skóra jest też niejadalna. Dlatego przed spożyciem na surowo trzeba je obrać ze skóry oraz usunąć ową włóknistą pestkę. Cokolwiek wówczas nam zostanie, jest do zjedzenia.

Mango jest bardzo słodkie i szeroko znane ze swojej zdolności do szybkiego tuczenia ludzi. Ponieważ ja uwielbiam jego smak, zwykle podczas wakacji w tropiku to właśnie ono jest głównym powodem mojego przytycia. Jest smaczne jedzone na świeżo. Jeszcze zaś smaczniejsze (i bardziej tuczące) podane po polaniu słodką śmietaną.

Mieszkańcy tropiku twierdzą, że jedzenie owoców mango powoduje rozwolnienie u jedzącego. Dlatego zwykle mango jest celowo zjadane jako rodzaj łagodnego lekarstwa - jeśli ktoś ma zatwardzenie. Oczywiście, je się je również w przypadku normalnej sytuacji. Natomiast unika się jego jedzenia, jeśli ktoś ma już rozwolnienie - wszakże wówczas zmieni ono rozwolnienie w biegunkę.

Owocu mango NIE trzeba ilustrować. Każdy bowiem zna wygląd żółtej europejskiej śliwki. Jeśli zaś śliwkę taką powiększy się w myślach do wielkości największego znanego nam pomidora, wówczas otrzyma się właśnie wygląd owocu mango.

Po względem zawartej w sobie energii "mango" należy do owoców "mokro-rozpalających". Chińczycy zalecają umiarkowanie w jego jedzeniu. Należy też zadbać aby ich zjedzenie neutralizować natychmiastowym zjedzeniem czegoś "chłodzącego".

#H2. Chempedak:

Owoc "chempedak" należy do grupy najsmaczniejszych owoców tropikalnych. Gorąco zalecam jego spróbowanie.

Owoc ten jest relatywnie duży. Faktycznie to owoc pokazany na poniższym zdjęciu jest jednym z najmniejszych jakie dotychczas spotkałem, a ciągle wystaje on poza granice dużego talerza na owoce. W normalnym przypadku owoc ten ma długość ponad pół metra, zaś jego średnica może przekraczać 30 cm. Po otwarciu wygląda w środku jak duża kiszka wypchana mokrymi wiórkami, w których to wiórkach co jakiś czas pochowane są jadalne "kasztań". Każdy taki jadalny owoc faktycznie wygląda jak brunatny niedojrzały kasztan, tyle że na zewnątrz otoczony jest jadalnym, włóknistym mięszem brązowego koloru. Ową miękką, jadalną część obgryza się od owego niby kasztana, zaś sam kasztan typowo wyrzuca. (Kasztan ten jednak też jest jadalny, tyle że NIE na surowo.) Smak owocu jest unikalny i nie daje się porównać do niczego innego. Jest on słodki i egzotyczny. Smakuje wyśmienicie i dosłownie rozplywa się w ustach. Smakuje tak doskonale, że kiedy ja zaczynam go jeść, wówczas bez względu na to jak dużo by go nie było, nie jestem w stanie zakończyć jedzenia aż cały zostanie zjedzony. Owoc ten jest niemal bezwonny, z jedynie lekkim aromatem o słodkawym zapachu unikalnym dla niego i trudnym do opisanie.

Po zjedzeniu owocu chempedak na surowo, pozostaje po nim cała kupa kasztanów. Kasztany te także są jadalne, tyle że NIE na surowo. Aby je zjeść trzeba je albo prażyć w gorących węglach - tak jak praży się europejskie jadalne kasztany, albo też je ugotować - tak jak gotuje się mieszanki niektórych warzyw, np. kalafiorów, kapusty, marchwi, itp. To zaś wiąże się z określonym kłopotem - dlatego w większości przypadków ludzie kasztany te po prostu wyrzucają. Jeśli jednak ktoś podejmie trud prażenia owych kasztanów, wówczas są one nawet smaczniejsze, zaś ich zapach nawet aromatniejszy, od europejskich słodkich kasztanów. Z kolei jeśli się je ugotuje jak warzywa, wówczas smakują one jak pyszne grzyby o twardej konsystencji. Gotowanie tych kasztanów jest jednak trudniejsze od prażenia, bo trzeba je gotować w aż dwóch fazach. Najpierw gotuje się je w wodzie całe, w formie w jakiej pozostają po zjedzeniu owocu chempedak. Po ugotowaniu trzeba je obrać z twardej skórki i pokroić na plasterki. Potem trzeba je ponownie "dusić" (gotować) na patelni z jakimiś surowymi warzywami (np. kalafiorami, kapustą, marchwią, itp.) w sporej ilości wody. Dopiero po owym duszeniu z mieszanką surowych warzyw i przypraw nadają się one do jedzenia w formie mieszanki warzywowej. Smakują wówczas jak pyszne grzyby.

Po względem zawartej w sobie energii "chempedak" należy do owoców "mokro-rozpalających". Chińczycy zalecają umiarkowanie w jego jedzeniu, które faktycznie warto przestrzegać. Należy też zadbać aby ich zjedzenie neutralizować natychmiastowym zjedzeniem czegoś "chłodzącego".

Fot. #H2a: Tropikalny owoc zwany "chempedak". Podobnie jak w przypadku duriana, oraz innych owoców tropikalnych, smak tego owocu silnie zależy od miejsca gdzie on wyrasta. Najsmaczniejsze "chempedak" rosną w Malezji w okolicach "Genting Highland" i "Malacca". Jednak owe najsmaczniejsze są ogromnie trudne do zdobycia i trzeba mieć dobre znajomości aby móc kupić sobie jeden z nich. Jednak ich smak jest warty zachodu, bowiem dosłownie rozplywają się one w ustach. Niestety, te same owoce ale wyrosłe w innych regionach mają już przeciętny smak i nie dają się nawet porównać do tych najsmaczniejszych.

Fot. #H2b: Owoc tropikalnego owocu zwanego "chempedak" już po otwarciu. Widoczne są jego jadalne części (owoce) zawarte w środku.

Fot. #H2c: Owoce tropikalnego drzewa "chempedak" już po wyjęciu z owocnika i podane na talerzu w formie gotowej do jedzenia.

#H3. Jackfruit albo "nangka":

Owoce "jackfruit" lokalnie zwane "nangka" są bardzo podobne do owoców "chempedak". (Kliknij tutaj aby zobaczyć jak wygląda owoc "jackfruit".) Są jednak od nich mniej smaczne, chociaż tańsze i bardziej pospolite. W Malezji można je kupić praktycznie wszędzie, tj. na targowiskach, w supermarketach, a także już usmażone na przydrożnych straganach. Miąższ "jackfruit" jest pomarańczowy (podczas gdy miąższ "chempedak" jest brązowy).

Owoce "nangka" albo "jackfruit" mają przeciętny smak, chociaż dosyć przyjemny i ja osobiście je lubię zjadać. Smakują one jednak zupełnie odmiennie niż "chempedak" (tj. nieporównanie mniej ciekawie). Ich cechą jest też, że są bardzo ciężko-strawne, zaś po zjedzeniu zalegają w żołądku całymi dniami jakby ktoś najadł się cegieł. W Malezji można je dostać praktycznie na każdym straganie, nie ma więc trudności w ich spróbowaniu. Trzeba jednak uważać aby jeść je natychmiast po wyjęciu z kokona, bowiem potem szybko się psują - dla Europejczyka zaś zjedzenie takiego zepsutego-starego owocu zwykle oznacza zatrucie pokarmowe oraz konieczność spędzenia reszty wakacji w ubikacji (jak to opisałem w punkcie #J1 poniżej).

Z poza-kulinarnych właściwości "nangka" albo "jackfruit" na uwagę zasługuje ich zdolność do leczenia przewlekłego kaszlu. Niewielu bowiem ludzi wie o tej ich zdolności. Tymczasem folklor Malejów twierdzi, że nic tak dobrze nie leczy przewlekłego kaszlu, jak zjedzenie dużej porcji tych owoców. Osoba z Malezji która mnie poinformowała o tym folklorystycznym twierdzeniu zapewniała mnie również, że miała kiedyś przewlekły (chroniczny) kaszel, który opierał się wszelkim medykamentom i wszelkim jej wysiłkom aby go uleczyć, jednak który zdołała wyleczyć właśnie poprzez zjedzenie w przeciągu dwóch dni dwóch 100 gramowych porcji tych owoców - zaraz potem jak przypadkowo dowiedziała się od kogoś o ich leczniczych właściwościach. Podobno wymogiem zachowania ich kaszel-leczących cech jest, że owoce "nangka" ("jackfruit") zjada się na surowo natychmiast po ich wyjęciu z kokona, oraz że NIE są one myte przed zjedzeniem (normalnie bowiem wiele osób po zakupie najpierw owoce te myje ze względów higienicznych, a dopiero potem je zjada).

Z tego co pamiętam, to typowo w Europie bardzo rzadko zjadamy owoce w formie innej niż na surowo. Oprócz używania ich do sporządzania zup, kompotów, marmolad i dżemów, oraz jako wypełnienia do najróżniejszych ciast, tylko jabłka czasami zjada się po uprzednim ich upieczeniu w rodzaju jakby naleśnika. Czasami też harcerze pieką sobie marchew nad ogniskiem. Tymczasem w krajach tropikalnych, niezależnie od jedzenia opisanych tu owoców na surowo, oraz niezależnie od ich używania do takich samych celów jak w Europie, niemal wszystkie owoce zjada się tam także po uprzednim ugotowaniu lub pieczeniu. Jednym z takich owoców często zjadanych po upieczeniu, jest opisywany tutaj "jackfruit" - jadany tam w wielu najróżniejszych formach. W Malezji można go np. kupić na straganach obtoczony w mące i upieczony w oleju jak nasze frytki. Smakuje wówczas wyśmienicie. Podobnie obtoczone w mące i upieczone jak frytki sprzedawane są tam owoce "chempedak" opisane w poprzednim punkcie, najróżniejsze odmiany bananów, a także kilku innych opisanych na tej stronie owoców.

Po zjedzeniu owoców "jackfruit" pozostaje po nich cała kupa kasztanów. Kasztany te też są jadalne, tyle że NIE na surowo. Gotuje się je i praży w dokładnie taki sam sposób jak kasztany pozostałe po zjedzeniu owoców "chempedak" opisanych w poprzednim punkcie. Po ugotowaniu lub prażeniu smakują one też niemal dokładnie tak samo jak kasztany owocu "chempedak".

Fot. #H3: Przydrożne stoisko z Malezji sprzedające tropikalne owoce zwane "nangka" albo "jackfruit". ("Nangka" jest nazwą tego owocu w języku Malejów, natomiast "jackfruit" jest angielską nazwą tego samego owocu.) Właściwie to owoce "nangka" zwane też "jackfruit", są bardzo podobne do tropikalnych owoców zwanych "chempedak" - pokazanych na "Rys. #H2". Oba te rodzaje owoców są tak do siebie podobne zarówno zewnątrz i wewnątrz, że normalny Europejczyk zwykle nie potrafi ich od siebie odróżnić. Różnice

są jednak odnotowalne. Np. owe zielone kokony owoców "nangka" są niemal dwa razy większe niż kokony u "chempedak", bo około pół metra (50 cm) długie, oraz około 20 cm średnicy. Kokony "chempedak" mają też jakby niewielkie, tępe kolce na zewnętrznej skórze, natomiast "nangka" albo "jackfruit" mają skórę gładką bez kolców, chociaż też wyglądająca jak skóra węża. Z kolei mięsz "chempedak" jest brązowawy, podczas gdy mięsz "nangka" - pomarańczowy. "Chempedak" mają silny zapach - którego NIE wszyscy lubią, zaś "nangka" są niemal bez zapachu. (Kliknij na powyższe zdjęcie aby oglądać je w powiększeniu, albo też kliknij tutaj aby zobaczyć jak inne stoisko z owocem "jackfruit" wygląda w zbliżeniu.)

Odnótuj że oprócz kształtnej malezyjskiej sprzedawczynie oraz typowej ulicy Kuala Lumpur, po lewej stronie powyższego zdjęcia stoiska przydrożnego są widoczne dwie połówki właśnie sprzedawanego dużego owocnika "nangka". Po prawej stronie stoiska widać niejadalną skórę i bezużyteczne pozostałości owocników pozostałe po wyjęciu z nich smakowitych owoców. Natomiast w górnej części stoiska widać rząderek plastikowych torebek z już powyjmowanymi, gotowymi do zjedzenia owocami nangka. (Cena takiej jednej torobki o wadze około 100 gram, w 2008 roku wynosiła 2 Ringgit.)

Po otwarciu owoce "jackfruit" wyglądają niemal identycznie jak owoce "chempedak" pokazane na zdjęciach "Fot. #H2b" i "Fot. #H2c". Jedyna różnica w wyglądzie to ich pomarańczowy kolor. Jednak różnica w smaku jest zasadnicza.

* * *

Po względem zawartej w sobie energii "jackfruit" należą do owoców "mokro-rozpalających". Chińczycy zalecają umiarkowanie w ich jedzeniu. Należy też zadbać aby ich zjedzenie neutralizować natychmiastowym zjedzeniem czegoś "chłodzącego".

#H4. Rambutan i "pulasan":

"Rambutan" rośnie w kolczastych osłonach podobnych do osłon w jakich rosną nasze kasztany. Ma on też przybliżoną wielkość małego kasztana w kolczastej osłonie. Tyle że osłony rambutana po dojrzewaniu zmieniają kolor z zielonego na ciemno-czerwony. Po obraniu z owej czerwonej osłony, w środku znajduje się galaretowaty, przezroczysty owoc o wielkości jajka gołębiego. W środku owocu zawarta jest podłużna pestka, dosyć podobna do pestki z daktyla. Pestka ta jest chrupka i jadalna. Można ją jeść w całości. Niektórzy lubią jej zjedanie, chociaż przez większość koneserów tego owocu jest ona po prostu wyrzucana. Jedzony jest przez nich tylko galaretowaty, przezroczysty owoc.

Rambutan posiada bardzo do siebie podobnego krawniaka w postaci malezyjskiego owocu zwanego "pulasan". Słowo "pulasan" w języku malezyjskim oznacza "ukręcać". Wywodzi się ono z faktu, że aby dostać się do owocu zawartego w jakby kolczastej osłonie, osłonę tą trzeba "ukręcać" oboma rękami. Przy takim "ukręcaniu" osłona ta pęka, otwierając dostęp do jadalnego owocu zawartego w jej środku. Osłonę owocu "pulasan" można odróżnić od osłony owocu "rambutan" po tym, że ma ona grubsze jakby "igły". U rambutana "igły" te są tak cienkie jak włosy. Jednak "igły" u obu tych owoców są miękkie i nie ranią rąk podczas otwierania. Smak obu tych owoców (tj. rambutan i pulasan) jest niemal identyczny i dla Europejczyka pozostaje on nieodróżnialny od siebie. Miejscowi twierdzą jednak, że "pulasan" jest słodszy i dorodniejszy. Dlatego też zwykle jest droższy.

Po względem zawartej w sobie energii, "rambutan" oraz "pulasan" oboje należą do owoców "mokro-rozpalających". Chińczycy zalecają więc umiarkowanie w ich jedzeniu. Należy też zadbać aby ich zjedzenie neutralizować natychmiastowym zjedzeniem czegoś "chłodzącego".

Fot. #H4: Tropikalny owoc malezyjski nazywany "pulasan". Należy on do tej samej rodziny co "rambutan". Faktycznie dla Europejczyka jego wygląd i smak jest nieodróżnialny od owocu "rambutan". W środku talerza widoczne są 3 całe owoce. W dole pokazane są 2 owoce po obraniu ich z kolczastej osłony (podobnej do osłony naszego kasztana). W górnej części zdjęcia widać dwie puste takie osłonki pozostałe po wyjęciu z nich owocu.

Pokazany na tym zdjęciu owoc "pulasan" jest ogromnie podobny do owocu

zwanego "rambutan". Tyle że "kolce" na jego osłonie są nieco grubsze niż w rambutanie. Rambutan zaś jest jednym z bardziej popularnych owoców tropikalnych.

Rambutan i pulasan są owocami sezonowymi. (Podobnie jak truskawki w Polsce.) To zaś oznacza, że NIE można ich kupić w każdym dniu roku, a jedynie w czasie kiedy właśnie jest na nie sezon. Jeśli jest się w tropiku w ich sezonie, warto sobie ich pojeść. Mają one bowiem doskonały, dość unikalny, słodko-kwaskowaty, orzeźwiający smak. Można też je zakupić na niemal każdym straganie.

#H5. "Rambai":

"Buah rambai" jest to ogromnie rzadki i trudny do zdobycia owoc tropikalny. (Kliknij tutaj aby zobaczyć jak wyglądają owoce "buah rambai".) Miejscowi w Malezji nazywają go "buah rambai", ponieważ słowo "buah" znaczy "owoc" - stąd "buah rambai" dosłownie znaczy "owoc rambai". Muszę się tutaj przyznać, że chociaż na niego "polowałem" przez wiele lat, po raz pierwszy udało mi się go spróbować dopiero w sierpniu 2008 roku. Jego smak mi osobiście przypominał smak bardzo słodkich polskich czerwonych porzeczek - tj. jest słodko-kwaskowaty z owym charakterystycznym przyjemnym w jedzeniu posmakiem porzeczkowym. Niestety, w owocu tym jest niewiele do jedzenia. Niemal całe jego wnętrze wypełnione jest bowiem przez dwie duże, płaskie pestki podobne do pestek dyni, pokryte jedynie odrobiną jadalnej, mlecznej galarety. Stąd miejscowi koneserzy zjadają go z owymi pestkami. Pestki te mają jednak po dwa ostre czubki, które wcale NIE zachęcają do ich połykania. Dlatego osoby takie jak ja, które zechcą spróbować jego smaku, jednak NIE mają odwagi połykać jego ostrych pestek, muszą nastawić się że raczej można go sobie tylko polizać, a NIE pojeść. Na dodatek owa jadalna galareta jest jakby poprząszczywana do pestek jakąś włóknistą substancją. Jeśli więc się NIE chce połykać jej razem z pestkami, wówczas jest sporo uciechy w obdzieraniu pestek z owych jadalnych włókien i galarety.

Swoim wyglądem zewnętrznym mi osobiście "rambai" przypomina brudne, podstarzałe winogrona - w środku których zawarta jest jakby mleczna galareta z dwoma dużymi płaskimi pestkami. Zewnętrznym wyglądem jest on więc dość podobny do "langsai". (Kliknij tutaj aby zobaczyć jak wyglądają owoce "rambai".)

Jak to wyjaśniam w punkcie #G2 tej strony, w tropiku istnieje wiele innych owoców o wyglądzie bardzo podobnym do "rambai". Poza "rambai", wszystkie owe inne owoce można jeść na kilogramy, zaś nasze ciało niemal NIE odczuwa żadnej różnicy. Jednak "rambai" jest inny. Zawiera on substancje i minerały, które wywierają wyraźnie odnotowalny wpływ na nasze ciało. Ja wpływu tego NIE nazwałbym negatywnym. Przykładowo, folklor twierdzi że jednym z jego objawów jest odprężający sen. Podobno "rambai" jest jakby naturalną "tabletką nasenną". Ja osobiście wkładam wiele wysiłku umysłowego w moją twórczą pracę. Wynik tego jest taki że mój sen NIE należy do najlepszych. Spróbowałem więc działania "rambai" jako owej naturalnej "tabletki nasennej". Jak się okazało, owoc ten wcale NIE zwałił mnie z nóg ani NIE spowodował natychmiastowego zaśnięcia. Faktycznie po jego zjedzeniu miałem trudności z zaśnięciem takie jak zwykle. Jak zwykle też aż kilka razy budziłem się w nocy. Jednak na przekór tego następnego dnia czułem się bardziej wypoczęty niż zwykle, zaś mój umysł pracował lepiej. Coś więc jednak jest w owym "rambai".

Ja osobiście rekomendowałbym ostrożne spróbowanie "buah rambai" z uwagi na jego dziwny wpływ na układ trawienny. Wpływ ten najlepiej jest oddany przez Chińczyków którzy mają zwyczaj nazywania wszystkiego po imieniu i to w raczej dosadny sposób. Chińczycy kolokwialnie owoc ten nazywają "osi son" - co dyplomatycznie się wyrażając oznacza "kwaśna kupa". Otóż po najedzeniu się tego owocu ma się właśnie wrażenie że nasza kupa jest "kwaśna". I to wcale w tym celu NIE trzeba nazjadać się jego twardych pestek. Dziwnie, bowiem owoc ten ani NIE utwardza ani też NIE rozmiękcza naszej kupy. Wcale też NIE powoduje np. dodatkowego biegania do ubikacji. Jednak po wyjściu do toalety faktycznie ma się wrażenie jakby kupa ta stała się "kwaśna". Choćby więc tylko po to aby doświadczyć owego dziwnego wrażenia, warto spróbować ów nietypowy owoc. Wszakże jest on potem źródłem wielu sensacji i uciechy raczej niezwykłego rodzaju.

Część #I: Owoce ciepłych krajów (niekoniecznie "tropikalne") których cechy też warto poznać:

#I1. Persimon:

Owoce "persimon" nie przez każdego są lubiane. Powodem jest, że sporo z nich posiada niezbyt unikalny smak - szczególnie jeśli wyrastają one bez wystarczającej ilości słońca (np. w Nowej Zelandii). Takie niedosłonecznione persimonki faktycznie też smakują trochę podobnie jak europejska czerwona marchewka upieczona w ogniu harcerskiego obozu. Jeśli jednak wyrastają one w dobrze nasłonecznionym obszarze, np. w Izraelu, ich smak zaczyna być doskonały.

Owoce "persimon" rosną w krajach strefy umiarkowanej, nie zaś tropikalnej. Przykładowo rosną one w Chinach, Tajwanie, Korei, Nowej Zelandii, Izraelu, USA, Włoch, oraz całym szeregu innych krajów. Jednak kraje tropikalne ze strefy Pacyfiku importują duże ich ilości ponieważ zostały one tam rozpragowane przez Chińczyków którzy zjadają je często w celach leczniczych.

Owoce "persimon" mają wysoce przydatną cechę regulowania (zagęszczania) produktów układu trawienego i czynienia tych produktów bardziej stałymi i solidniejszymi. Ich niezwykłość polega przy tym na tym, że utwardzając nieco kupę nigdy nie powodują one zatwardzenia. Działają więc nieco odwrotnie do owoców bananowych i do mango. Jeśli więc w przeszłości ktoś miał rozstrojony żołądek i nieregularną lub zbyt rzadką kupę, wówczas zwykle objadał się suszonymi "persimonami". (Powodem dla jakiego objadał się suszonymi persimonami, a nie świeżymi, jest że suszone są dostępne o każdej porze roku, podczas gdy świeże można zakupić jedynie w ich sezonie.)

Po względem zawartej w sobie energii, "persimon" należą do owoców "yang" czyli "rozpalających". Chińczycy zalecają umiarkowanie w jego jedzeniu. Należy też zadbać aby ich zjedzenie neutralizować zjedzeniem czegoś "chłodzącego".

Fot. #I1: Mieszanina trzech rodzajów tropikalnych owoców. Obejmuje ona (od lewej): (1) wielkie jak głowa ludzka "pomelo" o zielonkawym kolorze ("pomelo" pokazane jest także na zdjęciu "Fot. #E2"), (2) okrągłe "mangosteen" wielkości średniego jabłka (te poniżej, wyglądające jak europejskie jagody, ale o wielkości jabłka), oraz (3) owoce "persimon" (te wyżej, po prawej, o wyglądzie i kolorze małych dyni wielkości naszego typowego jabłka). Jedna z najsmaczniejszych wersji owoców "persimon", importowana z Izraela, zwana jest też "shanon fruit".

#I2. Owoc "kiwi" (tj. "kiwi fruit" - zwany także "Chinese gooseberry"):

Faktycznie "kiwi fruit" nazywa się "Chinese gooseberry" - co znaczy "chiński agrest". Oryginalnie wywodzi się on bowiem z Chin. Jednak nie mając własnych owoców jadalnych - tak jak to wyjaśnia punkt #C1 na stronie o nazwie newzealand_visit_pl.htm, Nowozelandczycy tylko "podebrali" ów "chiński agrest" na swój własny owoc i przemianowali jego nazwę na owoc "kiwi". Obecnie pretendują, że jest on ich "rodzimy" owocem. Podobnie jak "persimon" z punktu #I1 powyżej, także "kiwi" jest owocem krajów umiarkowanych, np. Chin, Nowej Zelandii, Włoch, itp.

Podobnie jak europejski "agrest", w naturze owoc "kiwi" też występuje w dwóch zasadniczych odmianach "naturalnych", mianowicie w odmianie "żółtej" (taż nazywanej "złotą") - która jest bardzo słodka, oraz w odmianie "zielonej" - która typowo jest znacznie kwaśniejsza. Niestety, jest on też podatny na formowanie licznych mutacji z pomocą tzw. "inżynierii genetycznej". Stąd w Nowej Zelandii za pośrednictwem owej inżynierii genetycznej ostatnio zaczęto mnożyć również liczne jego "nienaturalne" odmiany - np. odmianę "niebieską". Plantacje owocu "kiwi" typowo dają bardzo obfite plony. Dlatego w krajach gdzie jest on produkowany należy on do najtańszych owoców. Przykładowo w Nowej Zelandii w jego "sezonie" można tam kupić kilogram "zielonej" odmiany (tj. tej

kwaśniejszej) owoców "kiwi" w cenie poniżej jednego miejscowego dolara. (Jednak poza sezonem owoc ten jest raczej drogi.) Odmiana "żółta" - ta słodsza, zwykle kosztuje co najmniej dwa razy więcej od odmiany "zielonej".

Owoc "kiwi" jest naprawdę doskonały do regulacji (rozmiękczenia) naszej kupy. Żaden inny owoc NIE jest aż tak efektywny jak "kiwi" jeśli ktoś ma zaparcie. Ponadto podczas eliminowania zaparc NIE wprowadza on sobą żadnych niepożądanych skutków ubocznych. To dlatego jego działanie już raz wspominałem w punkcie #D3 o bananach. Jeśli więc ma się częste zatwardzenia, nic tak szybko, efektywnie, oraz naturalnie ich nie eliminuje jak właśnie zjedanie sporej ilości owocu "kiwi". "Kiwi" jest też dosłownie upakowany witaminą C oraz różnymi ważnymi dla zdrowia mikroelementami. To zaś w zestawieniu z jego niezbyt wysoką ceną powoduje że warto się nim objadać kiedy ma się taką możliwość. W przypadku zaś potrzeby zdrowotnej w czasie gdy brak nam tego owocu, zamiast niego użyć też możemy europejskiego agrestu który pobudza bardzo podobne następstwa.

Po względem zawartej w sobie energii, owoc "kiwi" należy do owoców "yin" czyli "chłodzących". Ponieważ w dzisiejszych czasach ludzie typowo zjadają nadmierne ilości niczym nie zbalansowanej żywności "rozpalającej" (tj. "yang"), częste jedzenie tanich owoców "chłodzących", takich jak "kiwi", jest zdrowe i wysoce rekomendowane.

Część #J: Inne niezwykle owoce i korzenie tropikalne których niezwykle cechy warto poznać:

#J1. Życiodajna tapioca:

Tapioca (czytaj "tapioka") faktycznie wcale nie jest owocem. Jest ona rodzajem jadalnego korzenia, czyli jakby tropikalną odmianą naszego buraka czy marchwi pastewnej. (Kliknij tutaj aby zobaczyć jak taki korzeń tapioka wygląda.) Niemal jedyne co ją łączy z tropikalnymi owocami, to fakt że na targowiskach z tropikalnych krajów owa "tapioca" sprzedawana jest zwykle na tych samych straganach na których sprzedają tam pokazane poprzednio owoce. Tropikalny korzeń "tapioca" ma jednak jedną zasadniczą zaletę, która zadecydowała że go tak dokładnie opisuję na niniejszej stronie. Mianowicie tapioca jest w stanie zaoszczędzić nam wielu cierpień. W sposób niemal natychmiastowy leczy ona bowiem nawet najsilniejszą biegunkę. Biegunka zaś w krajach tropikalnych jest jednym z nazaciekleszych wrogów Europejczyków. Można ją tam dostać praktycznie od wszystkiego, np. od wypicia nieprzeżegotowanej wody, od użycia miejscowego lodu, od nalania wypijanego napoju do szklanki umytej przez miejscowych, a nawet od zjedzenia owocu który został rozkrojony kilka godzin wcześniej (dlatego Europejczycy nie powinni jeść w tropiku owoców, które nie zostały rozkrojone w ich obecności, znaczy tuż przed zjedzeniem). W tropiku zaś mikroorganizmy które powodują biegunkę są ogromnie złośliwe. Kiedyś potrafiły one nawet uśmiercić nieostrożnego przybysza z Europy. Jeśli więc dostanie się tam biegunki, wówczas niemal wrywa ona z nas wnętrzności. Dokumentnie też psuje nasz pobyt w tropiku. Wszakże po jej dostaniu, praktycznie całą resztę swoich wakacji, a także całą drogę powrotną w samolocie, zwykle spędza się później w toalecie. Wobec tropikalnej biegunki, europejskie nowoczesne medykamenty są też niemal zupełnie bezradne. Nie są jej w stanie wyleczyć. Ale tapioca może. Ja osobiście zawdzięczam korzeniowi tapioca wiele zaoszczędzonych cierpień, jeśli nie wiele pobytów w szpitalu, a być może nawet ocalone życie. Sporo bowiem razy podczas moich profesur w tropiku miałem paskudne zatrucia pokarmowe i okropnie silne biegunki. W jednym przypadku rozważałem już nawet napisanie testamentu. Jednak tapioca zawsze w końcu je leczyła i to w mgnieniu oka. Dlatego piszę tutaj o tym życiodajnym korzeniu. Warto bowiem aby wszyscy poznali jej życiodajne własności.

Jeśli ja sam w tropiku dostaję biegunki, wówczas natychmiast staram się uczynić co następuje. Najpierw udaję się na najbliższe targowisko z owocami i warzywami oraz zakupuję tam sobie jeden korzeń tapioca o średniej wielkości (tj. około 1 kg). Po powrocie do miejsca zamieszkania obieram tapioca z zabrudzonej glebą skóry - tak jak normalnie

czynię to z ziemniakami, kroję ją na mniejsze części - tak jak to czynię z ziemniakami przed gotowaniem, a następnie wkładam ją do garnka z wodą (też tak jak to czynię przy gotowaniu ziemniaków) oraz solę do smaku. Potem tapiokę tą gotuję w wodzie aż się rozgotuje w rodzaj płynnej, gęstej, galaretowatej zupy. (W dawnych czasach polscy kucharze ten rodzaj zupy nazywali "polewka". Po dodaniu do niej kilku przypraw i odrobiny śmietany, zupa ta może nabrac naprawdę doskonałego smaku. Oczywiście, dla wyleczenia biegunki, wcale nie trzeba jej czynić aż tak smakowitą, a wystarczy że do korzenia tapioca doda się jedynie wody i soli.) Po sprawdzeniu że "polewka" ta jest dosolona do smaku (jeśli nie, wówczas ją dodatkowo dosalam), wypijam ją jak supę, wyjadając równocześnie nierozgotowane resztki tapioca które zostały się po ugotowaniu. (Normalnie owa polewka i nierozgotowana reszta tapioki okazują się mieć bardzo przyjemny smak - chyba że ją albo przesoliłem, albo zapomniałem posolić.) Aby skutecznie wyleczyć biegunkę potrzebuję wypić i zjeść około pół litra tej gęstej polewki z kawałkami tapioca, czyli skosztować jej objętościowy odpowiednik dla jednego typowo jedzonego przez siebie posiłku. W krótkim czasie po tym wypiciu polewki i zjedzeniu stałej tapioki, moja biegunka zanika "jakby ktoś ją ręką odjął". Dla upewnienia się że wyleczenie jest trwałe, po kilku godzinach - kiedy ponownie zgłodnieję, powtarzam zabieg jedzenia i picia podobnej ilości polewki i kawałków tapioca.

Oczywiście, Anglicy mają powiedzenie "prevention is better than cure" (tj. "zapobieganie jest lepsze od leczenia"). W tropiku lepiej więc zapobiegać zatruciu pokarmowemu, niż je potem leczyć. Zapobiegać zaś mu można poprzez pozostawanie bardzo ostrożnym co się tam je i pije. Przykładowo, na przekór że każdego roku spędzam swoje wakacje właśnie w tropiku, oraz że objadam się tam i zapijam miejscowymi łakociami do woli, ja osobiście nie miałem już tam zatrucia pokarmowego ani biegunki od czasu gdy przyjąłem zasadę że jem tam i piję tylko to o czym logika mi podpowiada że jest to sterylne. Znaczą: (1) jem tam tylko to co wiem że zostało zagotowane lub upieczone tuż przed podaniem mi do zjedzenia, (2) upewniam się aby jeść tylko owoce które zostały otwarte lub rozkrojone tuż przed jedzeniem - najlepiej w mojej obecności, (3) nie spożywam miejscowej zimnej wody ani lodu, (4) z lokalnie przygotowanych napoi piję tylko gorące, niedawno zagotowane napoje, napoje butelkowane lub "can'owane", lub też wodę z właśnie otwartych kokosów (której sterylność opisuję w punkcie #D1 tej strony). Owe proste zasady, połączone z pedantycznym utrzymywaniem higieny i czystości poprzez np. dokładne mycie rąk przed jedzeniem, mycie zjadanych owoców, wyparzenie czy choćby tylko wycieranie serwetką naczyń i stojadeł przed użyciem, skutecznie chronią przed zatruciem i kłopotami żołądkowymi.

Proszę odnotować, że lecznicze własności korzeni tapioka opisane są również na stronie internetowej healing_pl.htm - o folklorystycznych metodach naturalnego uzdrawiania, na której pokazane jest także zdjęcie kilku owych korzeni. Krótko wspomniane są one też na stronie plague_pl.htm.

Fot. #J1: Nie, to wcale nie jest "tapioca". Korzenie tapioki pokazane są na zdjęciu "Fot. #B1" z odrębnej strony internetowej o uzdrawianiu (kliknij tutaj aby zobaczyć taki korzeń tapioka). Powyższe zaś zdjęcie pokazuje "persimony". Trzy z nich są świeże, czyli są to te same owoce które również w stanie świeżym pokazane były na zdjęciu "Fot. #I1" powyżej. Z kolei dalsze dwa persimony z powyższego zdjęcia są pokazane już po suszeniu. (Jak widać po wysuszeniu zamieniają się one w białe, okrągłe "placki", ocukrzone swoim własnym naturalnym cukrem.) W takim wysuszonym stanie można je zakupić w sklepach spożywczych tropikalnych krajów. Są one tam powszechnie dostępne, ponieważ suszone persimony przez Chińczyków używane są w celach leczniczych. Mianowicie regulują one i utwardzają kupę. Działają więc nieco podobnie jak tapioca, tyle że ich działanie jest znacznie łagodniejsze od działania tapioca.

Ja od dłuższego już czasu staram się sfotografować tapioca i pokazać jej wygląd na swoich stronach internetowych. Pechowo jednak zawsze z jakichś powodów mi się to nie udaje. Dlatego tutaj tylko opiszę jej wygląd. Z wyglądu tapioca przypomina

europijskiego buraka cukrowego, albo oblepioną błotem ogromną marchew pastewną. Ma ona kształt stożkowy z grubsza przypominający ogromną marchew. Rośnie wszakże pod ziemią tak jak nasza marchew lub buraki. Jest jednak od typowej marchwi znacznie większa. W najszerszym miejscu jej średnica może bowiem przekraczać 10 cm. Jej powierzchnia jest też ciemno-szara tak jak błoto. Pokryta jest bardzo chropowatą ciemno-szarą skórą i zwykle cała oblepiona cieniutkimi korzonkami oraz resztkami gleby w której rośla.

Chińska nazwa dla tapioca brzmi "mook si", co tłumaczy się jako "drewno". Ponieważ tapioca rośnie w glebie jak nasze buraki, dla Chińczyków symbolizuje ona "zakopane drewno" czyli czyjaś "trumnę". Z tego powodu w okolicach ważnych świąt, takich jak np. Chiński Nowy Rok, Chińczycy nie lubią widoku "tapioka". Jej widok traktują wówczas jako "zły omen" sugerujący czyjaś śmierć. W okolicach Chińskiego Nowego Roku, Chińczycy nie sprzedają więc tapioca na swoich straganach. Ponieważ zaś są oni jedynymi którzy sprzedają tą roślinę, zaś ja ostatnio przebywam w tropiku zawsze właśnie w okolicach Chińskiego Nowego Roku, to wyjaśnia dlaczego nie jestem tu w stanie pokazać jej zdjęcia.

Tapioca jest rośliną tropikalną. W Polsce zapewne nie można jej zakupić w stanie świeżym, aby skorzystać z jej doskonałych własności wyciszania biegunki. Na szczęście wysuszona i sproszkowana tapioca eksportowana jest z krajów tropikalnych do wielu krajów świata (np. do Nowej Zelandii). Tyle że znana jest tam pod nieco inną nazwą. Nazywa się ją tam "krochmalem z tapioki" (po angielsku "tapioca starch"). W Nowej Zelandii taką wysuszoną i sproszkowaną wersję tapioca importowaną z Tajlandii zdołałem zakupić pod nazwą "Tapioca Starch" - co na język polski tłumaczy się właśnie jako "krochmal z tapioki". Uczyniłem to kiedy po powrocie z wakacji w tropiku, podczas których zdołałem uchronić się od nawet najłżejszego zatrucia pokarmowego, niespodziewanie dostałem zatrucia i paskudnej biegunki już w Nowej Zelandii po zjedzeniu czegoś w restauracji "Mac Donald". Aby więc po kilku dniach spędzonych w toalecie wyleczyć tą paskudną biegunkę właśnie za pomocą tapioca sprawdzonej już wielokrotnie w działaniu, zacząłem w sklepach nowozelandzkich desperacko poszukiwać tej życiodajnej rośliny. Znalazłem ją w formie "krochmalu z tapioki" (tj. "tapioca starch"). Natychmiast zagotowałem kilka jej łyżek rozpuszczonych w wodzie otrzymując rodzaj galaretowatej zupy, niemal identycznej do owej "polewki" którą otrzymuje się z rozgotowania świeżego korzenia tapioca - jak to wyjaśniłem w prawej kolumnie od tego miejsca. Po wypiciu około pół litra tej "polewki" ponownie biegunka zniknęła "jakby ręką odją". Czyli ów "tapioca starch" (tj. "krochmal z tapioki") okazał się równie efektywny w leczeniu biegunek jak świeża tapioca. Warto więc wiedzieć o owej życiodajnej cesze korzeni tapioca i krochmalu tapiokowego. Może to bowiem zaoszczędzić nam wielu cierpień i kłopotów.

Tapioka posiada cały szereg zalet nad metodami leczenia biegunki przez dzisiejszą (oficjalną) medycynę ortodoksyjną. Przykładowo, jej efekty są natychmiastowe i piorunujące. Praktycznie nie znam żadnego innego lekarstwa które leczyłoby biegunkę tak szybko i tak skutecznie jak ona. Jest lekarstwem "naturalnym", dla którego nie odnotowałem aby pozostawiało po sobie jakikolwiek efekt uboczny. (Dla porównania, np. o węglu wiadomo, że posiada cechy rakotwórcze. Jednak ów węgiel jest jednocześnie jednym z "lekarstw" które na biegunkę oferuje nam medycyna ortodoksyjna.) Tapioka wcale też nie smakuje jak lekarstwo, a jak przyjemna "polewka" którą jest w stanie tolerować nawet najwybredniejsze podniebienie.

Pod względem zawartości energetycznej, "tapioca" należy do pożywienia silnie "chłodzącego" ("yin"). W dawnych czasach Chińczycy zalecali umiarkowanie w jego zjedzeniu. Zalecali także, aby jego zjedzenie neutralizować zjedzeniem czegoś "rozpalającego" - szczególnie jeśli jedząca osoba jest kobietą. Jednak w dzisiejszych czasach nadmiernego objadania się przez ludzi jadłodajniową żywnością o "rozpalającym" charakterze, to stare zalecenie wcale nie musi być już tak pedantycznie przestrzegane - jak to wyjaśniłem we wstępie do tej strony.

#J2. Niezwykły afrykański "cudowny owoc" który kwaśne zamienia na słodkie:

W zachodniej Afryce rośnie niezwykle owoc. Popularnie nazywany jest on "miracle fruit" czyli "cudowny owoc". Jeśli się go zje, wówczas zmienia on w naszych ustach smak wszystkiego co kwaśne na słodkie. Po jego zjedzeniu można więc pić ocet litrami mając uczucie że pije się słodkie wino, lub objadać się cytrynami mając uczucie że się zjada słodkie mandarynki. Ów niezwykle owoc oficjalnie nazywa się *synsepalum dulcificum*. Można go sobie zamówić z pomocą internetu, za pośrednictwem którego sprzedaje się coraz większe jego ilości. Ja jego opis znalazłem w artykule "Miracle fruit can sweeten lemons" (tj. "cudowny owoc może osłodzić cytryny"), ze strony A18 nowozelandzkiej gazety "Weekend Herald", wydanie datowane w sobotę (Saturday), June 7, 2008.

Opisywany tutaj "cudowny owoc" ma kształt i wielkość małego żółędzia europejskiego. Znaczący, ma kształt małej, wydłużonej elipsoidy o jaskrawym kolorze (kliknij tutaj aby zobaczyć na zdjęciu jak on wygląda). Jak mały on jest, czytelnik może to ocenić poprzez porównanie jego wielkości do wielkości dłoni mojej znajomej która go sfotografowała na swoim własnym ręku. "Cudowny owoc" pokazany na powyższej fotografii wyrósł w malazyjskim "Agricultural Park" - jaki otwarty jest dla wizytujących w odległości około 10 km od miasta "Kota Kinabalu" - czyli od stolicy malezyjskiej prowincji Sabah na tropikalnej wyspie Borneo.

Warto odnotować że zjedzenie dużych ilości kwaśnych potraw jest bardzo dobre dla zdrowia. Istnieje nawet wiele wysoce efektywnych "diet" odchudzających które bazują na jedzeniu dużych ilości jakiejś kwaśnej (zwykle fermentowanej) potrawy. Jedną z takich diet odchudzających opisana jest w punkcie #B2 strony [korea_pl.htm](#) - o tajemniczej, fascynującej, moralnej i postępowej Korei. Inna taka dieta odchudzająca polega na picu każdego dnia określonej ilości octu lub soku z cytryny. Jest jednak poważny problem z owymi dietami. Wszakże nasze poczucie smaku NIE znosi wszystkiego co silnie kwaśne. Dlatego taki owoc który zmienia kwaśne na słodkie ma wartość złota w dzisiejszym świecie pełnym grubasów którzy by chętnie stosowali "kwaśną dietę" - jednak nie znoszą smaku kwaśnego.

Część #K: Podsumowanie, oraz informacje końcowe tej strony:

#K1. Podsumowanie tej strony:

W Europejskiej kulturze przywykliśmy, że jeśli zachorujemy wówczas idziemy do lekarza który szprycuje nas antybiotykami. Jeśli zaś owe antybiotyki nie pomogą, wówczas albo spędzamy resztę życia pokaszlując, kwękając, lub nieustannie używając inhalatorów, albo też odchodzimy na rentę inwalidzką i przeprowadzamy się do szpitala. Tymczasem w tropikalnych kulturach model życia wcale tak nie wygląda. Zresztą nawet takim być tam nie może, bowiem ludzie nie mają tam pieniędzy na lekarzy, antybiotyki, ani szpitale. Dlatego w większości przypadków ludzie zważają tam na to co i jak jedzą. Wszakże większość chorób się wywodzi właśnie z jedzenia. Jak też się okazuje, są oni znacznie zdrowsi oraz znacznie szczęśliwsi od Europejczyków. Być więc może warto zacząć się dokładniej przyglądać ich filozofii jedzenia oraz ich metodom leczenia się poprzez jedzenie. Wszakże angielskie powiedzenie stwierdza coś w rodzaju "to co zjadamy czyni nas tym czym jesteśmy" (w oryginale "we are what we eat"). Niniejsza strona internetowa dostarczyła podstawowych informacji na temat filozoficznych fundamentów i ciekawostek ich jedzenia.

#K2. Polskie literki:

W tekście tej strony starałem się używać polskich literek. Szybko jednak odnotowałem, że nie każdy serwer poprawnie koduje i przesyła owe litery. Ponadto komputery zdają się wyświetlać poprawnie polskie literki tylko jeśli albo używają systemu operacyjnego "Windows XP", lub jeśli ich Internet Explorer został na nie ustawiony. (Aby ustawić swoją przeglądarkę "Internet Explorer" na poprawne odczytywanie polskich liter, trzeba kliknąć na pozycję w jej menu oznaczoną "Widok" (po angielsku "View"), zaś potem na opcję oznaczoną "Kodowanie" (po angielsku "Encoding"). Kiedy zaś otworzy się submenu "Dalsze" ("More") z odmiennymi alfabetami, wybrać trzeba i włączyć kliknięciem

alfabet oznaczony "Srodkowoeuropejski (Windows)" (po angielsku "Central European (Windows)").) Gdyby jednak i takie ustawianie nie pomogło, wówczas na wszelki wypadek informuję, że jeśli u kogoś w miejscu literek na ekranie pojawiają się jakieś dziwne znaczki, to zapewne oznacza, że jego komputer nie wyświetla prawidłowo polskich literek. W takim przypadku dobrze jest wiedzieć, że wyświetlane znaczki oznaczają co następuje:

"ą" = "a" z ogonkiem, "Ą" = "A" z ogonkiem,
 "ć" = "c" z kreską, "Ć" = "C" z kreską,
 "ę" = "e" z ogonkiem, "Ę" = "E" z ogonkiem,
 "ł" = "l" przekreślone, "Ł" = "L" przekreślone,
 "ń" = "n" z kreską, "Ń" = "N" z kreską,
 "ó" = "o" z kreską, "Ó" = "O" z kreską,
 "ś" = "s" z kreską, "Ś" = "S" z kreską,
 "ź" = "z" z kreską, "Ź" = "Z" z kreską,
 "ż" = "z" z kropką, "Ż" = "Z" z kropką.

Oto wykaz polskich literek jakie mogą wystąpić w moich tekstach:

ą ć ę ł ń ó ś ź ż (małe polskie literki)

a c e l n o s z z (łacińskie i angielskie odpowiedniki małych polskich literek)

Ą Ć Ę Ł Ń Ó Ś Ź Ż (duże polskie litery)

A C E L N O S X Z (łacińskie i angielskie odpowiedniki dużych polskich liter).

Powinienem tutaj dodać, że po odnotowaniu mizernych efektów moich eksperymentów z użyciem polskich literek, wcale teraz się nie spieszę z przeredagowaniem na polskie literki tej części stron totalizmu które oryginalnie pisane były alfabetem angielskim (łacińskim).

#K3. Jak zreplikować tą stronę w swoim własnym komputerze:

Dla niektórych czytelników zainteresowanych zagadnieniami poruszonymi na niniejszej stronie internetowej, korzystne może się okazać posiadanie we własnym komputerze repliki niniejszej strony internetowej wraz z wszelkimi używanymi na niej ilustracjami, tekstami, linkami, itp., oraz późniejsze przeglądanie tej strony bezpośrednio z własnego komputera, a nie z internetu. Wszakże w przypadku posiadania takiej własnej repliki, nie jest się już zależnym od dostępu do internetu w przypadku każdej chęci ponownego zaglądnienia do tej strony lub oglądnięcia czy wydrukowania którejś z użytych tutaj ilustracji. Czekanie na otwarcie się niniejszej strony jest także wówczas nieporównanie krótsze niż czekanie na jej otwarcie się z internetu. Nie jest też wtedy już konieczne znoszenie owego potopu najróżniejszych subtelnych przeszkod, które zdają się prześladować moje strony internetowe niemal tak jakby strony te były celowo sabotażowane przez jakichś złośliwych "małych pozieleniałych UFOonautów". Dla tych więc czytelników którzy zechcą sporządzić sobie replikę niniejszej strony internetowej w swoim własnym komputerze, niniejszym opisuję krok po kroku, jak tego dokonać. Opis ten wyjaśnia dokładnie jak się przygotowuje tzw. "źródłowy" duplikat niniejszej strony, czyli duplikat wykonany w języku programowania zwanym "HTML", w którym strona ta oryginalnie została zaprogramowana. Taki "źródłowy" duplikat jest na tyle użyteczny, że może on zostać potem spożytkowany dla nauczania się jak programować i zakładać własne strony internetowe na dowolnym serwerze. (Wiadomo bowiem, że browsery, w tym "Internet Explorer", pozwalają także na relatywnie łatwe sporządzanie "obrazowych" kopii dowolnych stron. Jednak owe kopie obrazowe nie mogą być użyte dla zainstalowania na innych serwerach. Ponadto nie nadają się one do stopniowego uzupełniania ich zawartości o dalsze strony, ilustracje czy linki zreplikowane z innych stron internetowych.) Nauczenie się więc z poniższej instrukcji jak sporządzać takie dokładne kopie "źródłowe", jest pierwszym krokiem w kierunku nauczania się jak programować, zakładać, oraz przeglądać własne strony internetowe. Oto owa instrukcja postępowania:

#0. Gotowa replika źródłowa? (i to bez banerów). Jedna mała informacja, zanim w punktach #1 do #9 poniżej przytoczę dokładną procedurę sporządzania sobie samemu źródłowej repliki niniejszej strony. Mianowicie, pod niektórymi adresami podanymi w "Menu 3", taka źródłowa replika niniejszej strony, wraz z wszystkimi jej folderami, plikami,

ilustracjami, itp., a na dodatek pozbawiona banerów reklamowych, czeka w formacie ZIP, gotowa do załadowania do Twojego własnego komputera. Wszystko co musisz uczynić aby ją sobie załadować, to w "Menu 1" kliknąć na pozycję "źródłowa replika tej strony". Spróbuj to uczynić, bowiem taka źródłowa replika być może jest nawet dostępna pod niniejszym adresem. Kiedy zaś taka replika w ZIP załaduje się już do Twojego komputera, jedyne co należy uczynić to UNZIPować ją na Twój dysk twardy. Po UNZIPowaniu uformuje ona odrębny folder, w którym znajdziesz nowy folder o nazwie "a_pajak", zaś w owym nowym folderze będą zawarte gotowe do użycia wszystkie pliki, podfoldery i ilustracje, wymagane dla uruchamiania i oglądania niniejszej strony. (W przypadku jeśli masz już na swoim dysku twardym folder zwany "c:\a_pajak" z innymi moimi stronami źródłowymi, wystarczy abyś z owego nowego foldera "a_pajak" poprzeczował wszystkie pliki i podfoldery do posiadanego już wcześniej foldera "c:\a_pajak".) Po tej informacji, wróćmy teraz do owej procedury przygotowania przez Ciebie samego źródłowej repliki niniejszej strony. Oto ona:

#1. Stworzyć nowy folder (zbiór/directory) o nazwie a_pajak (lub "archive_pajak") na dysku twardym "c:\\" swojego komputera. Folder ten będzie zawierał niniejszą stronę internetową wraz z używanymi przez nią ilustracjami, a ewentualnie także dowolne inne moje strony wraz z ich ilustracjami. W tym celu wystarczy uruchomić "Windows Explorer", oraz stworzyć nim folder nazywany "a_pajak" na swoim dysku twardym. Folder ten będzie później używany do przechowywania wszystkich tych moich stron internetowych oraz używanych przez nie ilustracji, które ktoś zechce zawsze mieć pod ręką.

#2. Stworzyć nowe pod-foldery (podzbiory/subdirectories) we wnętrzu foldera "a_pajak". Owe pod-foldery będą zawierały poszczególne rodzaje tekstów i ilustracji ukazywanych za pośrednictwem niniejszej strony internetowej. Oto wykaz nazw pod-folderów (podzbiorów) wykorzystywanych przez niniejszą stronę internetową:

flags - zawiera on sześć plików o nazwach de_flag.gif, es_flag.gif, fr_flag.gif, it_flag.gif, pl_flag.gif, uk_flag.gif w których zawarte są flagi Niemiec, Hiszpanii, Francji, Włoch, Polski i Anglii używane przez niniejszą stronę internetową oraz strony do niej pokrewne. Pliki te najłatwiej uzyskać poprzez zdobycie dowolnych obrazów owych flag zapisanych w formacie *.gif, oraz następane przemianowanie nazw tych plików na nazwy wskazane powyżej.

fruit - zawiera on ilustracje tropikalnych owoców.

images - zawiera on tylko dwa zdjęcia tej strony, tj. 2 i 4(b) (są to moje własne zdjęcia wykonane w różnych zakątkach świata).

W celu stworzenia tych pod-folderów wystarczy uruchomić "Windows Explorer", oraz wygenerować nim owe podfoldery we wnętrzu foldera "a_pajak", nadając im wskazane powyżej nazwy.

#3. Zachować kod źródłowy tej strony w swoim folderze "a_pajak". W tym celu trzeba "kliknąć prawym przyciskiem" swojej myszy kiedy się wskazuje na jakikolwiek obszar zadrukowany tej strony (np. wskazuje tutaj). Małe menu powinno się pojawić, które ma pozycję "View Source" (tj. "pokaż źródło"). Kliknij na tą pozycję, tak że kod źródłowy tej strony pojawi się w edytorze tekstu nazywanym "Notepad". Kliknij na "File" menu w tym "Notepad" i wybierz opcję "Save As..." (tj. "zachowaj jako"). Zachowaj kod źródłowy ze swojego "Notepad" używając nazwy pliku "fruit_pl.htm" jako "File name" tego kodu dla niniejszej strony, zaś podając foldera "c:\a_pajak" jako "Save in" miejsce dla zachowania tego kodu. Odnotuj że strony wywoływane z tej strony należy zachwywać pod nieco innymi nazwami, np.: "fruit.htm" dla angielskojęzycznej wersji tej strony, "oscillatory_chamber.htm" dla strony o komorze oscylacyjnej, itp.

#4. Zachować ilustracje. Kliknij prawym przyciskiem myszy na każdą ilustrację z tej strony lub ze stron z nią związanych, potem wybierz opcje "Save Picture As". Wszystkie ilustracje owoców unikalne dla tej strony zachowaj w subfolderze "fruit". Fotografie 2 i 4(b) zachowaj w subfolderze "images". (Odnotuj że każda ilustracja wskazuje u dołu ekranu browsera subfolder w jakim musi być zachowana.)

#5. Wyświetlić tą stronę w swoim komputerze. Po zachowaniu tej strony, daje się ona wyświetlić w dowolnej chwili we własnym komputerze, poprzez zwykłe wycelowanie na plik "fruit_pl.htm" (tj. wycelowanie na kod źródłowy tej strony) używając w tym celu "Windows

Explorer", oraz następane podwójne kliknięcie na owym pliku. (Można też ją wyświetlić poprzez wycelowanie na nią "Windows Explorer" i przyciśnięcie klawisza "Enter".) Strony związane z niniejszą hyperlinkami, można wyświetlać albo poprzez kliknięcie na owe hyperlinki kiedy ta strona jest pokazana na ekranie komputera, albo też poprzez kliknięcie z "Windows Explorer" odpowiednio na "magnocraft.htm", "oscillatory_chamber.htm", itp.

#6. Ustawić kody polskich literek. Trzecia linia źródłowego programu HTML niniejszej strony oryginalnie jest zaprogramowana na kod polskich literek w moim własnym komputerze i WINDOWS XP. Stąd ma ona postać:

```
META HTTP-EQUIV="Content-type" CONTENT="text/html; charset=CP-1250"
```

Jednak nie w każdym komputerze i nie dla każdej wyszukiwarki linia ta spowoduje poprawne wyświetlanie polskich literek. Dlatego jeśli u Ciebie czytelniku zamiast polskich literek wyświetlane są jakieś "krzaczk", zapewne to oznacza że w kodzie źródłowym tej strony powinieneś sobie zmienić ostatni człon owej linii na odpowiedni dla Twojego komputera i/lub Twojej wyszukiwarki. Dlatego spróbuj w linii tej symbol CP-1250 zmienić np. na symbol iso-8859-1 lub na symbol iso-8859-2 sprawdzając czy kod ten spowoduje poprawne wyświetlenie polskich literek (w celu tego sprawdzenia kliknij w "Internet Explorer" na: Widok/Kodowanie/Dalsze/Srodkowoeuropejski(Windows) albo na: View/Encoding/More/CentralEuropean(Windows) - tak jak to opisane w punkcie "polskie literki").

#7. (Warunkowo) pusuwać banery. Darmowe serwery z jakich ja zwykle korzystam, typowo wprowadzają kody banerów reklamowych do kodu źródłowego stron jakie na nich są wystawiane (często kody tych banerów reklamowych zawierają też dokuczliwe błędy celowo powprowadzane przez UFOonautów jakie starają się utrudniać oglądanie moich stron). Jeśli benery te, lub zawarte w nich błędy, kogoś wyraźnie irytują, wówczas w kodzie źródłowym zachowanym we własnym komputerze daje się je pusuwać. Aby powycinać te bannery, należy najpierw otworzyć "kod źródłowy" tej strony używając np. edytpora tekstu zwanego "Notepad" jaki znajduje się praktycznie w niemal każdym dzisiejszym komputerze. Potem w programie źródłowym danej strony należy zidentyfikować kody tych banerów (albo przez znalezienie adresu danego banera referowanego w owym kodzie źródłowym i zaczynającego się od "http://...", albo też poprzez wypatrzenie komentarza oznakowującego początek i koniec banera i zwykle zaczynającego się od słów "banner insertion ..."). Po zidentyfikowaniu który fragment kodu strony ukrywa w sobie dany baner, kod ten należy zwyczajnie wydeletować. Warto tutaj zaznaczyć, że jeśli ktoś zdoła się nauczyć jak znajdować i wycinać takie banery reklamowe, faktycznie nauczy się również jak przeprogramowywać istniejące strony internetowe, czyli jak sporządzać "kody źródłowe" własnych stron.

#8. (Warunkowo) aktualizować swoją replikę tej strony. Jeśli kogoś szczególnie interesują opisy zawarte na niniejszej stronie internetowej, wówczas co jakiś czas (np. co kilka miesięcy) warto sprawdzać w internecie, czy opisy te nie zostały dodatkowo udoskonalone. Jeśli zaś się odkryje, że internetowa wersja tej strony została wyraźnie udoskonalona, wówczas tą udoskonaloną wersją można z łatwością zastąpić posiadaną przez siebie nieco starszą replikę. W tym celu wystarczy nazwę swojej starej repliki poprzedzić np. słowem "stara_", a następnie na jej miejsce skopiować i zachować nową wersję tej strony pod oryginalną nazwą jaką nosi ona w internecie, a jaką wskazałem w punkcie #3 powyżej.

#9. W przypadku jakichkolwiek wątpliwości w owym replikowaniu, warto zaglądnąć na odrębną stronę w całości poświęconą dokładnemu wyjaśnieniu powyższej procedury replikowania moich witryn internetowych we własnym komputerze. Owa dodatkowa strona uruchamiana jest z Menu 2" gdzie występuje pod nazwą Replicate".

#K4. Jak dzięki stronie "skorowidz.htm" daje się znaleźć totalizyczne opisy interesujących nas tematów:

Cały szereg tematów równie interesujących jak te z niniejszej strony, też omówionych zostało pod kątem unikalnym dla filozofii totalizmu. Wszystkie owe pokrewne tematy można odnaleźć i wywoływać za pośrednictwem skorowidza specjalnie

przygotowanego aby ułatwiać ich odnajdowanie. Nazwa "skorowidz" oznacza wykaz, zwykle podawany na końcu książek, który pozwala na szybkie odnalezienie interesującego nas opisu czy tematu. Moje strony internetowe też mają taki właśnie "skorowidz" - tyle że dodatkowo zaopatrzone w zielone linki które po kliknięciu na nie myślą natychmiast otwierają stronę z tematem jaki kogoś interesuje. Skorowidz ten znajduje się na stronie o nazwie skorowidz.htm. Można go też wywołać z "organizującej" części "Menu 1" każdej totalizycznej strony. Radzę aby do niego zaglądnąć i zacząć z niego systematycznie korzystać - wszakże przybliży on setki totalizycznych tematów które mogą zainteresować każdego.

#K5. Emaille i dane kontaktowe autora tej strony:

Aktualne adresy emailowe autora tej strony, tj. dra inż. Jana Pajaka (a przez okres 2007 roku - Prof. dra inż. Jana Pajaka), pod jakie można wysyłać ewentualne uwagi, zapytania, lub odpowiedzi na zadane tu pytania, podane są na stronie internetowej o mnie (Dr Jan Pajak). Tam również dostępne są adres pocztowy i numery telefonu autora.

Proszę też odnotować, że z powodu mojego chronicznego deficytu czasu, ja bardzo niechętnie odpowiadam na emaille, które zawierają TYLKO wykonawczo czasochłonne prośby, jednocześnie zaś dokumentują zupełną ignorancję ich autora w tematyce którą ja badam.

#K6. Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak:

Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak. Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza strona stanowi raport z wyników badań jej autora - tyle że napisany jest on popularnym językiem (aby mógł być zrozumiany również przez czytelników o nienaukowej orientacji). Niektóre idee zaprezentowane na tej stronie są unikalne dla badań autora i dlatego w tym samym ujęciu co na tej stronie (oraz co w innych opracowaniach autora) idee te uprzednio NIE były jeszcze publikowane przez żadnego innego badacza. Jako taka, strona ta prezentuje idee które stanowią intelektualną własność jej autora. Dlatego jej treść podlega tym samym prawom intelektualnej własności jak każde inne opracowanie naukowe.

Zdjęcia tropikalnych owoców jakie tutaj prezentuję, a także opisy ich smaku, wielkości, wyglądu i składu, są mojego autorstwa. Ja sam (tj. dr inż. Jan Pajak) jestem więc nośnikiem praw copyright do tych fotografii i opisów. Oczywiście, ja nie miałbym nic przeciwko temu gdyby któryś z czytelników zreprodukował wybrane z owych zdjęć czy opisów w jakimś swoim opracowaniu upowszechnianym pod swoim własnym nazwiskiem - pod warunkiem jednakże że w takim przypadku przytoczyłby on przy owej reprodukcji jakiś grzecznościowy zwrot potwierdzający mój wkład do rozpracowania tego tematu, np. zwrot w rodzaju "kurtezji dr inż. Jana Pajak" (albo po angielsku "courtesy of Dr Jan Pajak"). Podobnie autor zastrzega sobie, aby podczas powtarzania w innych opracowaniach jakiegokolwiek idei zaprezentowanej na niniejszej stronie (np. że 7-dniowy tydzień jest używany w oryginalnych kalendarzach i folklorach każdego narodu świata), powtarzająca osoba oddała pełny kredyt autorowi tej strony, poprzez wyraźne wyjaśnienie iż idea ta jest powtórzona ze strony dra inż. Jana Pajaka, poprzez wskazanie internetowego adresu niniejszej strony pod którym idea ta i strona oryginalnie były opublikowane, oraz poprzez podanie daty najnowszego aktualizowania tej strony (tj. daty wskazywanej poniżej).

Mniej znane ludziom cechy i filozoficzne aspekty jedzenia owoców tropikalnych opisuję tu na podstawie ludowych opowieści na ich temat zasłyszanych w tropikalnych krajach gdzie owoce te rosną i gdzie spożywa się je na codzień. Większość tych cech i filozoficznych aspektów poznałem podczas moich profesur w Malezji i na tropikalnej wyspie Borneo w latach 1993 do 1998. Przytaczając te ludowe opowieści ja NIE staram się tu weryfikować na ile są one prawdziwe, chociaż jeśli znany jest mi materiał dowodowy potwierdzający poprawność określonych stwierdzeń, wówczas materiał ten wskazuję.

* * *

If you prefer to read in English
click on the flag

(Jeśli preferujesz język angielski
kliknij na poniższą flagę)

Data założenia niniejszej strony: 26 grudnia 2004 roku.

Data najnowszego jej aktualizowania: 25 maja 2011 roku.

(Sprawdź pod adresami z "Menu 3" czy już istnieje nawet nowsza aktualizacja!)

Podrozdział E2:

Ludowe remedy, uzdrawianie, lecznicze rośliny

Jeśli rozglądniemy się dookoła wówczas odnotujemy, że coraz więcej ludzi zaczyna dostrzegać istnienie całego szeregu odmiennych zasad leczenia chorób. Tylko jedna z nich to owe wszystkim znane tzw. "ortodoksyjne" metody leczenia stosowane przez dzisiejszych medycznie wyedukowanych lekarzy. Inne obejmują "naturalne" sposoby przywracania zdrowia stosowane przez naszych przodków, ponadto tzw. "medycyny alternatywne", leczenie wiarą, leczenie ziołami, itp. Powodów dla tego dryftowania zainteresowania ku poza-ortodoksyjnym metodom leczenia prawdopodobnie jest aż wiele. Aby wymienić tutaj kilka, to zapewne należą do nich wzrost kosztów wizyt u lekarza i kosztów lekarstw, wzrost liczby przypadków nastawienia lekarzy raczej na zysk niż na dobro pacjentów, generalne rozczarowanie społeczeństwa do długoterminowych następstw nowoczesnych medykamentów (np. pojawienia się "super-bugs" odpornych na antybiotyki), celowo "nałogowe" ukierunkowywanie nowoczesnych lekarstw - tj. zamiast być nastawione na wyleczenie choroby nowoczesne medykamenty mają na celu zmuszenie chorych do brania owych lekarstw przez całą resztę życia, stopniowy spadek poziomu akademickiego oraz eliminowanie nauczania etyki i moralności na uczelniach kształcących lekarzy, sztywność poglądów większości lekarzy i ich brak gotowości do badania alternatywnych metod leczenia, fakt że jeśli naturalne metody leczenia nie pomogą w danej sprawie, wówczas zwykle także i nie zaszkodzą (podczas gdy większość nowoczesnych metod leczenia zwykle posiada swoje niekorzystne następstwa uboczne), oraz wiele więcej. Wychodząc więc naprzeciw tym tendencjom, niniejszym opisuję tutaj cały szereg co ciekawszych metod naturalnego leczenia z jakimi zetknąłem się dotychczas w swoich podróżach po świecie "za chlebem". Ja osobiście nie dokonywałem badań skuteczności owych metod, nie wypowiadam się więc na temat owej skuteczności. Niemniej niniejsza strona wcale NIE jest zamierzona jako podręcznik medycyny ani jako poradnik na temat metod uzdrawiania, a jedynie jako zestaw folklorystycznych ciekawostek przeznaczonych do poczytania przez tych co się nimi interesują i zechcą się dowiedzieć na czym one polegają.

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Jakie są cele tej strony:

Na niniejszej stronie chciałbym zaprezentować naturalne metody leczenia najbardziej pospolitych dolegliwości. Metody te zaczerpnięte są w folkloru najróżniejszych narodów.

#A2. Uzasadnienie dostarczane przez "naukę totaliztyczną" dla powodów istnienia i dla efektywności aż tak dużej różnorodności skutecznych metod przywracania zdrowia:

Na całym szeregu totaliztycznych stron internetowych opisywana jest nowa tzw. "nauka totaliztyczna" - po przykłady tamtych opisów patrz punkt #B1 strony tornado_pl.htm czy punkt #C1 strony o nazwie telekinetyka.htm. Nauka ta bada otaczającą nas rzeczywistość z tzw. podejścia "a priori" - które jest odwrotne do podejścia "a posteriori" stosowanego przez dotychczasową tzw. "ateistyczną naukę ortodoksyjną" (tj. przez ową oficjalną naukę której uczymy się w szkołach i na uczelniach i która ciągle dzierży ów wysoce szkodliwy dla ludzkości "monopol na wiedzę"). W takim podejściu "a priori", otaczająca nas rzeczywistość jest badana "od przyczyny do skutków", czyli "od Boga stanowiącego nadrzędną przyczynę wszystkiego, do tego co wokoło siebie widzimy a co reprezentuje skutki działań Boga". Dzięki takiemu podejściu do badań, owa nowa

"totaliztyczna nauka" znajduje liczne nieznanne wcześniej wyjaśnienia, regularności i metody postępowania, które uprzednio wymykały się uwadze tamtej starej "ateistycznej nauki ortodoksyjnej". Jednym zaś z obszarów w których owa nowa "nauka totaliztyczna" dostarcza nieznannych wcześniej wyjaśnień, regularności i metod, jest nasze zdrowie. Przykładowo, nowa "totaliztyczna nauka" wskazuje nam rewelacyjną metodę przyszłości dla bezmedykamentowego przywracania zdrowia - opisaną w punkcie #G2 tej strony. Nauka ta wyjaśnia nam też czym dokładnie jest "depresja" i jak należy ją efektywnie leczyć - po szczegóły patrz punkty #E1 i #E2 na stronie [parasitism_pl.htm](#) oraz punkt #D10 na stronie [totalizm_pl.htm](#). Nauka ta również dostarcza nam uzasadnienia dla powodów i dla potrzeby istnienia na Ziemi aż tak dużej różnorodności niemal równorzędnie skutecznych metod przywracania zdrowia. Poniżej streściłem w skrócie owe powody - wszakże niniejsza strona reprezentuje ducha "totaliztycznej nauki" i jeden z przykładów jej wkładu do wiedzy.

Zgodnie z ustaleniami tej nowej "nauki totaliztycznej", Bóg stworzył ludzkość w bardzo istotnym celu. Owym celem dla którego Bóg stworzył ludzi jest "przysparzanie wiedzy". Aby jednak ludzie mogli "przysparzać wiedzę", na Ziemi muszą być spełnione określone warunki, np. ludzie muszą być nieustannie zmuszani do poszukiwania prawdy, inspirowani do dyskusji i do wymiany poglądów, nakłaniani do formowania u siebie odmiennych poglądów na te same sprawy, itd., itp. Jednym zaś ze sposobów z pomocą którego Bóg stwarza takie warunki, jest iż w praktycznie każdym swoim działaniu Bóg zaszyfrowuje jednocześnie aż kilka odmiennych zbiorów cech, każdy z których to zbiorów inspirowanie ludzi do wyjaśniania sobie tegoż działania Boga na zupełnie inny sposób. W rezultacie, wszystko co Bóg dokonuje, wykazuje się istnieniem cech, które umożliwiają wyjaśnienie tego na co najmniej aż trzy odmiennie sposoby, opisywane dokładniej np. w punkcie #C2 strony o nazwie [tornado_pl.htm](#). Oczywiście, ludzkie zdrowie - którym wszakże żywo się interesuje praktycznie każdy mieszkaniec Ziemi, także należy do takich działań Boga, jakie dla pobudzenia u ludzi procesu "przysparzania wiedzy" są przez Boga celowo zaopatrywane w cechy które pozwalają na ich wyjaśnianie aż na cały szereg odmiennych sposobów. Aby zaś zdrowie ludzi dawało się wyjaśniać na owe odmiennie sposoby, przywracanie zdrowia też musi dawać się dokonywać aż na cały szereg odmiennych sposobów. To właśnie z tego powodu nowa "nauka totaliztyczna" wyjaśnia, że Bóg celowo przywraca ludziom zdrowie niemal za każdym razem kiedy poprawnie zrealizują oni którąś z procedur leczenia popieraną przez Boga dla danego przypadku zachorowania, ponieważ w ten sposób Bóg inspirowanie tych ludzi do twórczego "przysparzania wiedzy" poprzez poszukiwanie prawdy, wymianę i udoskonalanie poglądów, itp. Innymi słowy, dla Boga gotowość każdego z nas aby w imię poprawy swego zdrowia uczynić wszystko co tylko w jego mocy, jest tylko jednym z całego szeregu narzędzi z pomocą których Bóg napędza postęp ludzkiej wiedzy, zmiany praktykowanej filozofii, poprawę moralności, itp. Aby zaś owa determinacja poprawy swego zdrowia mogła stawać się takim narzędziem "przysparzania wiedzy" oraz zmiany filozofii, moralności i poglądów, dla każdego indywidualnego przypadku zachorowania Bóg wybiera taki sposób na który owo zachorowanie da się wyleczyć, jaki zmaksymalizuje "przysparzanie wiedzy" i korzystne zmiany mentalności u wszystkich zainteresowanych danym przypadkiem choroby.

Więcej informacji na temat nowej "nauki totaliztycznej" - ilustracją dorobku której jest m.in. niniejsza strona, oferuje punkt #G2.1 poniżej na niniejszej stronie, a także np. punkt #C1 odrębnej strony o nazwie [telekinetyka.htm](#) czy punkt #A2.6 odrębnej strony o nazwie [totalizm_pl.htm](#).

#A3. Ustalenie "totaliztycznej nauki", że dla każdego zachorowania Bóg popiera tylko taką zasadę jego wyleczenia która maksymalnie "przysparza wiedzę" u wszystkich zainteresowanych, oznacza że będąc chorym NIE wolno "dawać za wygraną", a trzeba zmieniać zasady leczenia aż do odzyskania zdrowia:

Jak wyjaśnił to poprzedni punkt #A2, dla każdego indywidualnego przypadku zachorowania Bóg wybiera jaka procedura będzie mogła je wyleczyć. Kryterium zaś dla owego wyboru jest właśnie zmaksymalizowanie "przysparzania wiedzy" i osiągania postępowych zmian mentalności u wszystkich ludzi zainteresowanych danym przypadkiem.

Z tego powodu, w każdym przypadku zachorowania, chora osoba, lub jej rodzina, powinna poszukiwać owej wybranej przez Boga procedury leczenia która okaże się skuteczna na daną chorobę. Jeśli więc okazuje się że jedna zasada leczenia NIE jest skuteczna na ową chorobę, należy próbować innej zasady lub procedury leczenia, oraz czynić tak aż do skutku. Nie wolno przy tym "dawać za wygraną" i np. twierdzić "jeśli ów sławny lekarz i te drogie zagraniczne lekarstwa mi NIE pomogły, wówczas to oznacza że owa choroba jest NIE do uleczenia". Bóg chce abyśmy próbowali aż do skutku, chce też abyśmy poprzez owe próby powiększali swoją wiedzę oraz zmieniali swoje wierzenia, filozofię, moralność, itp. - tak jak to wyjaśnia szerzej punkt #A2.2 na stronie o nazwie totalizm_pl.htm. Aby więc ujawnić tutaj czytelnikom, że istnieje znacznie więcej zasad i procedur leczenia, niż tylko te które obecnie są nam oferowane przez tzw. "ortodoksyjną medycynę" (tj. przez ową oficjalną medycynę praktykowaną w dzisiejszych szpitalach i nabywalną w aptekach), poniżej wskażę kilka przykładów odmiennych zasad przywracania zdrowia z którymi się zetknąłem w swoich podróżach po świecie "za chlebem", lub które ja sam wypracowałem i zastosowałem z sukcesem.

Osobiście wysoce polecam czytelnikowi metodę "samouzdrawiania" poprzez "odwracanie wierzeń" - którą opisuję dokładniej w punkcie #G2 tej strony. Metoda ta jest bowiem tania - NIE wymaga żadnych medykamentów ani wizyt u lekarza, NIE powoduje tzw. "skutków ubocznych", jest zawsze dostępna - można więc ją stosować w każdej sytuacji, w każdym miejscu, oraz w każdym momencie swego życia, łatwa w użyciu - wystarczy jedynie "zmienić swoje przekonania lub wierzenia", zaś w moim własnym przypadku już się sprawdziła jako wysoce skuteczna. Jej odmiany zdają się też pomagać w zupełnie niespodziewanych sprawach, np. ochrony przed zajściem w ciążę, przywracania płodności, czy nawet ochrony przed kataklizmami.

Część #B: Owoce jako naturalne remedy używane przez różne narody:

#B1. Polewka z tapioki na biegunkę:

Tapioca (czytaj "tapioka") wcale nie jest owocem. Jest ona rodzajem jadalnego korzenia, czyli jakby tropikalną odmianą naszego buraka czy marchwi pastewnej. Niemal jedyne co ją łączy z tropikalnymi owocami, to fakt że na targowiskach z tropikalnych krajów owa "tapioca" sprzedawana jest zwykle na tych samych straganach na których sprzedają tam owoce. Tropikalny korzeń "tapioca" ma jednak jedną zasadniczą zaletę, która zdecydowała że go tak dokładnie opisuję na niniejszej stronie. Mianowicie tapioca jest w stanie zaoszczędzić nam wielu cierpień. W sposób niemal natychmiastowy leczy ona bowiem nawet najsilniejszą biegunkę. Biegunka zaś w krajach tropikalnych jest jednym z nazaciekleszych wrogów Europejczyków. Można ją tam dostać praktycznie od wszystkiego, np. od wypicia nieprzeżegotowanej wody, od użycia miejscowego lodu, od nalania wypijanego napoju do szklanki umytej przez miejscowych, a nawet od zjedzenia owocu który został rozkrojony kilka godzin wcześniej (dlatego Europejczycy nie powinni jeść w tropiku owoców, które nie zostały rozkrojone w ich obecności, znaczy tuż przed zjedzeniem). W tropiku zaś mikroorganizmy które powodują biegunkę są ogromnie złośliwe. Kiedyś potrafiły one nawet uśmiercić nieostrożnego przybysza z Europy. Jeśli więc dostanie się tam biegunki, wówczas niemal wrywa ona z nas wnętrzości. Dokumentnie też psuje nasz pobyt w tropiku. Wszakże po jej dostaniu, praktycznie całą resztę swoich wakacji, a także całą drogę powrotną w samolocie, zwykle spędza się później w toalecie. Wobec tropikalnej biegunki, europejskie nowoczesne medykamenty są też niemal zupełnie bezradne. Nie są jej w stanie wyleczyć. Ale tapioca może. Ja osobiście zawdzięczam korzeniowi tapioca wiele zaoszczędzonych cierpień, jeśli nie wiele pobytów w szpitalu, a być może nawet ocalone życie. Sporo bowiem razy podczas mich profesur w tropiku miałem paskudne zatrucia pokarmowe i okropnie silne biegunki. W jednym przypadku rozważałem już nawet napisanie testamentu. Jednak tapioca zawsze w końcu je leczyła i to w mgnieniu oka. Dlatego piszę tutaj o tym życiodajnym korzeniu. Warto bowiem aby wszyscy poznali jej życiodajne własności.

Jeśli ja sam w tropiku dostaję biegunki, wówczas natychmiast staram się uczynić co następuje. Najpierw udaję się na najbliższe targowisko z owocami i warzywami oraz zakupuję tam sobie jeden korzeń tapioca o średniej wielkości (tj. około 1 kg). Po powrocie do miejsca zamieszkania obieram tapioca z zabrudzonej glebą skóry - tak jak normalnie czynię to z ziemniakami, kroję ją na mniejsze części - tak jak to czynię z ziemniakami przed gotowaniem, a następnie wkładam ją do garnka z wodą (też tak jak to czynię przy gotowaniu ziemniaków) oraz solę do smaku. Potem tapiokę tą gotuję w wodzie aż się rozgotuje w rodzaj płynnej, gęstej, galaretowatej zupy. (W dawnych czasach polscy kucharze ten rodzaj zupy nazywali "polewka". Po dodaniu do niej kilku przypraw i odrobiny śmietany, zupa ta może nabrac naprawdę doskonałego smaku. Oczywiście, dla wyleczenia biegunki, wcale nie trzeba jej czynić aż tak smakowitą, a wystarczy że do korzenia tapioca doda się jedynie wody i soli.) Po sprawdzeniu że "polewka" ta jest dosolona do smaku (jeśli nie, wówczas ją dodatkowo dosalam), wypijam ją jak zupę, wyjadając równocześnie nierozgotowane resztki tapioca które zostały się po ugotowaniu. (Normalnie owa polewka i nierozgotowana reszta tapioki okazują się mieć bardzo przyjemny smak - chyba że ją albo przesoliłem, albo zapomniałem posolić.) Aby skutecznie wyleczyć biegunkę potrzebuję wypić i zjeść około pół litra tej gęstej polewki z kawałkami tapioca, czyli skosztować jej objętościowy odpowiednik dla jednego typowo jedzonego przez siebie posiłku. W krótkim czasie po tym wypiciu polewki i zjedzeniu stałej tapioki, moja biegunka zanika "jakby ktoś ją ręką odjął". Dla upewnienia się że wyleczenie jest trwałe, po kilku godzinach - kiedy ponownie zgłodnieję, powtarzam zabieg jedzenia i picia podobnej ilości polewki i kawałków tapioca.

Oczywiście, Anglicy mają powiedzenie "prevention is better than cure" (tj. "zapobieganie jest lepsze od leczenia"). W tropiku lepiej więc zapobiegać zatruciu pokarmowemu, niż je potem leczyć. Zapobiegać zaś mu można poprzez pozostawanie bardzo ostrożnym co się tam je i pije. Przykładowo, na przekór że każdego roku spędzam swoje wakacje właśnie w tropiku, oraz że objadam się tam i zapijam miejscowymi łakociami do woli, ja osobiście nie miałem już tam zatrucia pokarmowego ani biegunki od czasu gdy przyjąłem zasadę że jem tam i piję tylko to o czym logika mi podpowiada że jest to sterylne. Znaczą: (1) jem tam tylko to co wiem że zostało zagotowane lub upieczone tuż przed podaniem mi do zjedzenia, (2) upewniam się aby jeść tylko owoce które zostały otwarte lub rozkrojone tuż przed jedzeniem - najlepiej w mojej obecności, (3) nie spożywam miejscowej zimnej wody ani lodu, (4) z lokalnie przygotowanych napoi piję tylko gorące, niedawno zagotowane napoje, napoje butelkowane lub "can'owane", lub też wodę z właśnie otwartych kokosów (o której sterylność zadbała natura - po szczegóły patrz punkt #D1 strony owoce tropiku). Owe proste zasady, połączone z pedantycznym utrzymywaniem higieny i czystości poprzez np. dokładne mycie rąk przed jedzeniem, mycie zjadanych owoców, wyparzenie czy choćby tylko wycieranie serwetką naczyń i stojadeł przed użyciem, skutecznie chronią przed zatruciem i kłopotami żołądkowymi.

* * *

Ja od dłuższego już czasu staram się sfotografować tapioca i pokazać jej wygląd na swoich stronach internetowych. Pechowo jednak zawsze z jakichś powodów mi się to nie udaje. Dlatego tutaj tylko opiszę jej wygląd. Z wyglądu tapioca przypomina europejskiego buraka cukrowego, albo oblepioną błotem ogromną marchew pastewną. Ma ona kształt stożkowy z grubsza przypominający ogromną marchew. Rośnie wszakże pod ziemią tak jak nasza marchew lub buraki. Jest jednak od typowej marchwi znacznie większa. W najszerszym miejscu jej średnica może bowiem przekraczać 10 cm. Jej powierzchnia jest też ciemno-szara tak jak błoto. Pokryta jest bardzo chropowatą ciemno-szarą skórą i zwykle cała oblepiona cieniutkimi korzonkami oraz resztkami gleby w której rośla.

Chińska nazwa dla tapioca brzmi "mook si", co tłumaczy się jako "kawałek drewna", albo "drewniana belka". Ponieważ tapioca rośnie w glebie jak nasze buraki, dla Chińczyków symbolizuje ona "zakopane drewno" czyli czyjaś "trumnę". Z tego powodu w okolicach ważnych świąt, takich jak np. Chiński Nowy Rok, Chińczycy nie lubią widoku "tapioka". Jej widok traktują wówczas jako "zły omen" sugerujący czyjaś śmierć. W

okolicach Chińskiego Nowego Roku, Chińczycy nie sprzedają więc tapioca na swoich straganach. Ponieważ zaś są oni jedynymi którzy sprzedają tą roślinę, zaś ja ostatnio przebywam w tropiku zawsze właśnie w okolicach Chińskiego Nowego Roku, to wyjaśnia dlaczego nie jestem tu w stanie pokazać jej zdjęcia.

Tapioca jest rośliną tropikalną. W Polsce zapewne nie można jej kupić w stanie świeżym, aby skorzystać z jej doskonałych własności wyciszania biegunki. Na szczęście wysuszona i sproszkowana tapioca eksportowana jest z krajów tropikalnych do wielu krajów świata (np. do Nowej Zelandii). Tyle że znana jest tam pod nieco inną nazwą. Nazywa się ją tam "krochmalem z tapioki" (po angielsku "tapioca starch"). W Nowej Zelandii taką wysuszoną i sproszkowaną wersję tapioca importowaną z Tajlandii zdołałem kupić pod nazwą "Tapioca Starch" - co na język polski tłumaczy się właśnie jako "krochmal z tapioki". Uczyniłem to kiedy po powrocie z wakacji w tropiku, podczas których zdołałem uchronić się od nawet najłżejszego zatrucia pokarmowego, niespodziewanie dostałem zatrucia i paskudnej biegunki już w Nowej Zelandii po zjedzeniu czegoś w restauracji "Mac Donald". Aby więc po kilku dniach spędzonych w toalecie wyleczyć tą paskudną biegunkę właśnie za pomocą tapioca sprawdzonej już wielokrotnie w działaniu, zacząłem w sklepach nowozelandzkich desperacko poszukiwać tej życiodajnej rośliny. Znalazłem ją w formie "krochmalu z tapioki" (tj. "tapioca starch"). Natychmiast zagotowałem kilka jej łyżek rozpuszczonych w wodzie otrzymując rodzaj galaretowatej zupy, niemal identycznej do owej "polewki" którą otrzymuje się z rozgotowania świeżego korzenia tapioca - jak to wyjaśniłem nieco powyżej w poprzednich opisach. Po wypiciu około pół litra tej "polewki" ponownie biegunka zniknęła "jakby ręką odjął". Czyli ów "tapioca starch" (tj. "krochmal z tapioki") okazał się równie efektywny w leczeniu biegunek jak świeża tapioca. Warto więc wiedzieć o owej życiodajnej cesze korzeni tapioca i krochmalu tapiokowego. Może to bowiem zaoszczędzić nam wielu cierpień i kłopotów.

Tapioka posiada cały szereg zalet nad metodami leczenia biegunki przez dzisiejszą (oficjalną) medycynę ortodoksyjną. Przykładowo, jej efekty są natychmiastowe i piorunujące. Praktycznie nie znam żadnego innego lekarstwa które leczyłoby biegunkę tak szybko i tak skutecznie jak ona. Jest lekarstwem "naturalnym", dla którego nie odnotowałem aby pozostawiało po sobie jakikolwiek efekt uboczny. (Dla porównania, np. o węglu wiadomo, że posiada cechy rakotwórcze. Jednak ów węgiel jest jednocześnie jednym z "lekarstw" które na biegunkę oferuje nam medycyna ortodoksyjna.) Tapioka wcale też nie smakuje jak lekarstwo, a jak przyjemna "polewka" którą jest w stanie tolerować nawet najwybredniejsze podniebienie.

Po względem zawartości energetycznej, "tapioca" należy do pożywienia silnie "chłodzącego" ("yin"). W dawnych czasach Chińczycy zalecali umiarkowanie w jego jedzeniu. Zalecali także, aby jego zjedzenie neutralizować zjedzeniem czegoś "rozpalającego" - szczególnie jeśli jedząca osoba jest kobietą. Jednak w dzisiejszych czasach nadmiernego objadania się przez ludzi jadłodajniową żywnością o "rozpalającym" (yang) charakterze, to stare zalecenie wcale nie musi być już tak pedantycznie przestrzegane. Wszakże zwykle nasz organizm otrzymuje właśnie nadmiar potraw typu "yang".

Proszę odnotować że lecznicze własności tapioka opisane są również na stronie internetowej owoce tropiku, oraz krótko wspomniane na stronie o wsi Wszewilki.

Fot. #B1a: Przykład pojedynczego korzenia tapioka. Po chińsku korzeń ten jest nazywany "mook si", co dosłownie można tłumaczyć jako "drewniana belka" albo "kawałek drewna". Z kolei Malejowie nazywają go "ubi kayu" co dosłownie można tłumaczyć jako "drewniany ziemniak". Polewka ugotowana z owego korzenia jest doskonałym lekarstwem wstrzymującym biegunki (najlepszym z dotychczas mi znanych takich lekarstw). Zmielony i wysuszony miąższ tego korzenia stanowi doskonałą "mączkę krochmalową z tapioki", po angielsku zwaną "Tapioca Starch".

Fot. #B1b: Przykłady całego szeregu korzeni tapioka. Takie stosy korzeni tapioka można znaleźć na targowiskach z tropikalnych krajów, np. w Malesji.

#B2. Leczenie przewlekłego kaszlu tropikalnymi owocami "nangka" ("jackfruit"):

W punkcie #F3 strony o nazwie malbork.htm, oraz w punkcie #H3 strony o nazwie fruit_pl.htm - o owocach tropiku, opisane jest ludowe wierzenie z Malesji, że jedzenie surowych i niemytych tropikalnych owoców lokalnie tam zwanych "nangka" (po angielsku zaś zwanych "jackfruit") leczy chroniczne i przewlekłe kaszle. Osobiście faktycznie w 2010 roku uleczyłem swój okropny i przewlekły kaszel poprzez jedzenie tego właśnie owocu.

Część #C: Naturalne remedy używane na choroby typu grypa, przeziębienie, ból gardła, katar, itp.:

Warto odnotować, że większość naturalnych sposobów leczenia opisanych poniżej w tej części strony, opisana została także na stronie internetowej "plaga".

#C1. Nacieranie jajkiem:

Nacieranie jajkiem, po angielsku: "rubbing eggs", jest to sposób zbijania wysokiej gorączki w dół oraz leczenia ciężkich chorób, używany w dawnych Chinach i poznany przeze mnie z folkloru staro-chińskiego. Ma on działać poprzez przejmowanie przez ugotowane jajko szkodliwej energii danej choroby. Jego zasada działania jest więc podobna do zasady działania akupunktury, tyle że każdy może go zrealizować (nawet chory sam na sobie), bowiem nie potrzeba mieć dla niego wiedzy ani ekwipunku akupunkturysty, a ponadto nie dokonuje się w nim nakłuwania które zwykle zraża ludzi do prawdziwej akupunktury. (Dlatego ten sposób leczenia możnaby nazwać "akupunkturą dla nieprzeszkolonych", albo "tarciovą odmianą akupunktury".) Polega on na tym, że piersi chorego, a czasami także i jego plecy, naciera się na gołą skórę dwa razy dziennie świeżo ugotowanym na twardo, ciągle gorącym i specjalnie przygotowanym jajkiem kurzym. Aby jajko przygotować do tego zabiegu, najpierw trzeba je ugotować na twardo i natychmiast po ugotowaniu obrać ze skorupki (kiedy ciągle jest bardzo gorące - im jajko jest gorętsze podczas nacierania tym lepiej). Następnie trzeba szybko wybrać z niego żółtko (nacierania dokonuje się tylko białkiem jajka). W końcu, dla lepszego odbierania energii danej choroby, w miejsce żółtka wstawia się monetę. Chińczycy zalecają że moneta ta ma być srebrna albo miedziana, bowiem te metale najlepiej oddziałują z energią choroby. Aby jajko się nie rozpadło podczas owego nacierania, owija się je w pojedynczą warstwę cienkiej tkaniny z naturalnego włókna, np. w pieluchę, cienką chustkę do nosa, lub w cienką gazę. Wszystkie te czynności należy wykonywać tak szybko jak się da, aby jajko jak najmniej ostygło. Następnie trzymając za ów materiał w jaki jajko jest zawinięte, naciera się jajkiem piersi chorego. Nacieranie to się kontynuuje aż do momentu kiedy jajko ostygnie. Co mnie w owej metodzie szokuje najbardziej, to że przejmowana energia choroby powoduje w jajku użytym do nacierania trwałe zmiany strukturalne. Przykładowo energia choroby przejęta przez owo jajko od zwykłej gorączki, powoduje że nowa miedziana moneta może całkowicie zostać skorodowana. Z kolei energia groźnej choroby przejęta przez to jajko np. od tyfusu (duru brzuszego) powoduje, że w jajku tym pojawiają się włókna podobne do ptasiego puchu (w przypadku tyfusu owe zmaterializowane w jajku włókna są czarne, inne zaś choroby generują białe włókna).

Najbardziej niezwykle w nacieraniu jajkiem jest, że posiada ono wpisany w siebie wskaźnik ujawniający, czy metoda ta jest pomocna na daną dolegliwość. Mianowicie po pierwszym nacieraniu dla danej choroby przeglądamy zawartość jajka. Jeśli w białku znajdziemy jakiś rodzaj puchu, oznacza to że metoda ta leczy którąś z chorób jakie właśnie buszują w naszym ciele i dlatego nacieranie to powinniśmy kontynuować. (Każdy zaś z nas wie jak ugotowane jajko powinno wyglądać, bez trudu odkryje więc w nim puch - jeśli ten tam istnieje.) Jeśli zaś białko po nacieraniu nie zawiera żadnego puchu, wówczas to oznacza że jajko nie przejmuje szkodliwej energii choroby na jaką chcieliśmy go użyć i dlatego nie ma sensu nacierania tego kontynuować dalej dla danej choroby.

#C2. Natarcie i okład z mąki:

Natarcie i okład z mąki jest również bardzo starym sposobem Chińskim dla eliminowania gorączki i choroby. Polega on na tym, że garść specjalnej mąki zawija się w cienką tkaninę - podobnie jak to czyni się z ugotowanym jajkiem w opisanym powyżej (3a) nacieraniu jajkiem (tyle że mąki się NIE podgrzewa). Następnie owym zawiniątkiem z mąką naciera się gołą pierś gorączkującej osoby. Po natarciu piersi, zawiniątko z ową mąką pozostawia się na środku piersi aby leżało tam przez około 15 minut. Podobnie też jak przy nacieraniu jajkiem, owa mąka absorbuje do siebie szkodliwą energię choroby. W następstwie tego przejścia energii choroby, w mące pojawia się jakby delikatny puch ptasi - przy niektórych chorobach (np. tyfusie) czarnego koloru (dla normalnej gorączki puch ten jest biały). Zauważ, że obecność lub brak owego puchu, podobnie jak przy nacieraniu jajkiem, też jest tutaj wskaźnikiem czy ta metoda leczenia jest pomocna na daną chorobę. Najskuteczniejsza dla tego zabiegu jest specjalnie w tym celu spreparowana mąka zakupiona w sklepach z tradycyjnymi remediami chińskiej medycyny ludowej (sklepy takie istnieją tylko w krajach o dużej proporcji Chińczyków, np. Chinach, Hong Kongu, Singapore, czy Malezji). Niemniej z jej braku użyć można mąki z tapioca, dokładniej opisanej na stronie internetowej owoce tropiku, oraz krótko wspomnianej również na stronie o wsi Wszewilki.

#C3. Kompot z cebuli:

Kompot z cebuli jest to staropolski sposób uzdrawiania stosowany w przypadku niektórych chorób, np. kataru. W sposobie tym gotuje się kompot z cebuli. Znaczą kilka cebul pokrojonych na plasterki gotuje się w ponad litrze wody aż cebula staje się miękka. W końcowym etapie gotowania dodaje się cukru do smaku - tak aby ugotowana cebula i woda smakowały jak kompot. Ten przyjemny w smaku kompot zjada się w dużych ilościach - ok. 1 litra przez jednego chorego, kiedy ciągle jeszcze jest gorący. Następnie chorego zawija się w pościel "aby się wypocił". W dawnej Polsce wierzono, że "choroba wychodzi z chorego wraz z potem". (Chińczycy by to wyrazili, że szkodliwa energia choroby usuwana jest z organizmu wraz z potem.)

#C4. Sauna:

Medycyna ludowa niektórych krajów, np. Finlandii, zaleca gorącą saunę w chwili kiedy zaczyna nas brać choroba. Gorąca sauna powoduje bowiem u nas wypocenie się. Z kolei z potem wychodzi z nas również i choroba. Ja muszę się przyznać, że raz w życiu skorzystałem z tego sposobu kiedy właśnie ostro brała mnie grypa. (Przy fabryce zapalek w Bystrzycy istniała kiedyś tzw. "sucha sauna" - tj. sauna która dla spowodowania pocenia się używa bardzo gorącego powietrza, a nie pary wodnej.) Po około godzinie spędzonej w owej saunie moja grypa zniknęła "jakby ręką ujął". Niestety, w przypadku plagi byłoby trudno skorzystać z sauny, chyba że mamy prywatną saunę w swoim domu. Niemniej "kompot z cebuli" opisany powyżej w #C3 powoduje niemal ten sam skutek co sauna - tj. indukuje on wypocenie się w naszym własnym łóżku.

#C5. Stawianie baniek:

Jest to również bardzo stary sposób pozbywania się choroby stosowany w medycynie ludowej całego szeregu krajów, w tym Polski i Chin. Przez nazwę "bańka" rozumie się w nim dowolny hermetyczny przedmiot ukształtowany jak szklanka. W wielu przypadkach do roli owej używa się właśnie szklanek, chociaż widziałem również jak używane były w tym celu stare (puste) "cans" po piwie (tj. metalowe puszki w których wielu producentów piwa i innych napojów rozprowadza obecnie owe napoje). W dawnych czasach istniały również fabrycznie wykonane bańki. Miały one kształt jakby szklanek z zaokrąglonymi dniami (dla łatwiejszego mycia) oraz specjalnie poszerzonymi płaskimi obrzeżami. Owo szerokie płaskie obrzeże zapobiegało przed ich zbyt silnym "wpijaniem" się w skórę, co powodowałoby niepotrzebny ból.

Aby "postawić bańkę" najpierw zwilżało się wodą jej obrzeże. Potem patyk z nawiniętym na niego kłębkim waty maczało się w denaturacie i następnie podpalało.

Takim zaś palącym się wacikiem (który niemal ociekał denaturatem) obcierało się naokoło wnętrze bańki. Następnie bańkę tą przykładano się do skóry pacjenta jego obrzeżem i podtrzymywało ręką aż sama zassała się ona do skóry. Zawarte w bańce gorące powietrze szybko ostygło, zmniejszając swoją objętość. To zaś powodowało przyssanie się bańki do skóry i wysysanie przez nią nierzowniejszych fluidów z chorego ciała.

Zasada na jakiej owe bańki uzdrawiały, tłumaczona jest dawnym twierdzeniem, że każda choroba to rodzaj szkodliwej energii który opanowuje ciało chorego. Energię tą można więc wysać siłą z chorego ciała, m.in. poprzez przystawienie baniek. W przeważającej większości przypadków bańki stawia się na plecach chorego niezależnie od umiejscowienia choroby. Jednak eksperci w tej sprawie mają swoje obszary stawiania baniek które posiadają związek z rodzajem choroby jaka jest leczona (tj. używają oni baniek jako rodzaju bezigłowej akupunktury).

#C6. Skrobanie porcelanową łyżką:

Jest to staro-chiński sposób na zbijanie w dół wysokiej temperatury. Z jego opisu jasno wynika, że NIE nadaje się on dla dzisiejszych ludzi i to wcale nie ponieważ np. "panadol" jest efektywniejszy, a ponieważ owo "skrobacie porcelanową łyżką" zdaje się być tylko dla masochistów i sadystów. Opisuję go tutaj wyłącznie jako ciekawostkę, jednocześnie zaś upominam aby w żadnym wypadku przypadkiem go NIE próbować, bowiem nasze dzisiejsze ciała nie są już dla niego odpowiednie. Generalnie polegało ono na tym, że w dawnych czasach plecy gorączkującej osoby najpierw nacierało się grubą warstwą oleju aby nadać im wymaganą śliskości. (Zwykle używało się do tego celu jakiegoś pachnącego olejku, np. eukaliptusowego, aby przy okazji namaścić skórę przyjemnym zapachem. Jednak sama zasada działania tego skrobania działała również nawet jeśli użyty został do tego najzwyczajniejszy olej jadalny.) Następnie plecy te skrobało się albo zaokrągloną krawędzią porcelanowej łyżki (jest to specjalna łyżka przez Chińczyków używana do jedzenia zupy i płynów), albo też zaokrąglonym obrzeżem porcelanowej szklanki. Skrobania przy tym dokonywano długimi równoległymi pociągnięciami przez plecy zawsze poczynając od góry pleców w kierunku ku dołowi (tj. nigdy na boki ani pod górę pleców). Skrobania dokonywano przez tak długo aż całe plecy były zaczerwienione (tj. aż wyglądały niemal jak po postawieniu "baniek" opisanych w poprzednim punkcie). Skrobana w ten sposób osoba w końcowym stadium doznawała dosyć sporego bólu.

Zasada działania tej metody jest podobna do zasady działania "baniek" opisanych powyżej. Tyle że zamiast usuwać z ciała energię choroby poprzez jej wysysanie bańkami, przy owym skrobaniu tą szkodliwą energię usuwa się poprzez jej wyskrobywanie. Dodatkowym efektem jaki skrobanie to powodowało, było dostarczanie choremu dokładnego masażu pleców. Czyli działało ono jak rodzaj "aku-pressure", tyle że skierowanej na plecy chorego, a nie na stopy.

Część #D: Naturalne remedy na uciszanie najróżniejszego rodzaju bóli:

#D1. Indyjski "tumeric" używany do eliminowania bólu mięśni:

Niemal wszyscy znamy to doskonale. Jednego dnia biegamy po turystycznych atrakcjach nowego kraju, aż nasze nawykłe jedynie do siedzenia w fotelu mięśnie odmówią nam posłuszeństwa. Drugiego zaś dnia nie możemy się ruszyć, zaś każdemu naszemu poruszeniu towarzyszy okropny ból mięśni.

Na szczęście w krajach tropikalnych istnieje doskonała remedy na ów przesileniowy ból mięśni. Przyjmuje on formę sproszkowanej przyprawy szeroko używanej w Indiach (choć można ją kupić praktycznie w każdym kraju tropikalnym ze strefy Pacyfiku). Przyprawa ta nazywa się "tumeric". Należy ona do tej samej rodziny co "ginger" ("ginger" to angielskojęzyczna nazwa dla przyprawy po polsku zwanej "imbir"). Jeśli bolą nas mięśnie, wówczas stary Indyjski przepis ludowy nakazuje, aby około pół łyżeczki owego sproszkowanego "tumeric" rozpuścić w szklance mleka, poczym wypić. W jakiś czas potem ból minie jak ręką odjął. Wprawdzie ci którzy osobiście próbowali tego lekarstwa stwierdzali

że nie bardzo wiedzą co jest gorsze, ból mięśni, czy owo lekarstwo, jednak podobno gwarantuje ono szybką poprawę (ja osobiście jeszcze go nie próbowałem). Jak bowiem ci próbujący stwierdzają, owo lekarstwo (tj. pół łyżeczki sproszkowanego "tumeric" rozpuszczone w szklance mleka) podobno smakuje okropnie i konieczne jest istne bohaterstwo aby zmusić się do jego wypicia.

Wtajemniczeni twierdzą, że owo lekarstwo podobno jest doskonale również na wszelkie inne rodzaje bóli, np. na bóle reumatyczne.

#D2. Płukanie gardła stężonym roztworem soli dla wyeliminowania bólu gardła:

W dawnych czasach ludzie rzadko chodzili do lekarza. Dlatego na wszelkie typowe choroby używali domowych lekarstw. Jednym z nich było płukanie gardła stężonym roztworem soli. Roztwór taki przygotowywało się poprzez rozpuszczenie czubatej łyżki stołowej soli kuchennej w około połowie szklanki gotującej się wody. O tym, że jest on wystarczająco stężony, świadczyło że po rozpuszczeniu owej ilości soli woda robiła się jakby gęstsza, zaś szklanka wydawała głuchy dźwięk kiedy mieszająca tą sól łyżka opukiwała jej ścianki. Po rozpuszczeniu soli w szklance gotującej się wody, należało odczekać aż woda ta ostygnie na tyle aby już dawała się wziąć do ust bez powodowania poparzenia, jednak ciągle była gorąca. Poczym płukało się nią gardło. Płukanie to polegało na braniu do ust kolejnego łyka owego roztworu, przechylaniu ust do góry tak aby roztwór spłynął do gardła, oraz równoczesnym wydawaniu dźwięków typu "gargling". Ja osobiście znalazłem tą metodę eliminowania bólu gardła zaznacznie efektywniejszą i szybszą w działaniu od wszelkich środków do płukania gardła przepisywanych przez dzisiejszą medycynę ortodoksyjną.

Część #E: Folklorystyczne metody zapobiegania chorobom:

#E1. Unikanie przeziębienia kiedy dopadnie nas deszcz (tj. bio-akupunktura):

Akupunktura może być realizowana nie tylko za pomocą metalowych igieł, ale także za pomocą jakichkolwiek obiektów, które mają własności intensyfikujące przepływ energii, np. które mogą dostarczać impulsów energii jakie stymulują nasze meridiany, lub które odpompowują tą energię poprawiając jej przepływ. Dla przykładu, w Malezji istnieje ludowe wierzenie, jakie faktycznie działa w praktyce (próbowałem je), a jakie stwierdza, że jeśli ktoś złapany zostaje w deszczu i życzy sobie uniknięcia zachorowania od tego powodu, powinien urwać najbliższe źdźbło świeżej trawy i zatknąć to źdźbło za jedno ze swoich uszu. Chociaż owo ludowe wierzenie nie wyjaśnia jak to źdźbło działa, łatwo jest wydedukować, że po umieszczeniu za uchem źdźbło to emituje swoją własną energię życiową, jaka oddziałuje z energią życiową wydostającą się z punktów akupunkturowych za naszym uchem. Ponieważ każde ucho zawiera punkty akupunkturowe dla niemal wszystkich istotnych organów w ludzkim ciele, owo oddziaływanie energii ze źdźbła trawy wystarcza dla zapobiegnięcia jakiegokolwiek chorobie mogącej stanowić wynik danego deszczu.

Inne wierzenie jakie posiada związek z akupunkturą, wywodzi się z folkloru Polski. Stwierdza ono, że to pierwsze krople każdego nowego deszczu, jakie spadają aż do chwili, kiedy ziemia jest całkowicie mokra, czynią ludzi chorymi. Dlatego, zgodnie z tym folklorem, możliwe jest zostanie przemoczone deszczem do nitki i ciągle pozostanie zdrowym, tak długo jak zdołamy uniknąć kropel które spadają, kiedy ziemia jest ciągle niekompletnie mokra. Aby wyjaśnić jak to wierzenie działa, musimy pamiętać że pierwsze krople deszczu jakie spadają, kiedy gleba ciągle jest sucha, niezależnie od uczynienia gleby mokrą zmywają także sobą wszelkie nieczystości zawarte w powietrzu (w tym izotopy radioaktywne w rodzaju tych powyrzucanych w powietrze po eksplozjach w Czernobylu i Fukushima - tak jak opisane to jest w punkcie #M1 strony o nazwie telekinetyka.htm). Dlatego krople tego pierwszego deszczu są wysoko naładowane jonami zanieczyszczeń jakie normalnie zawieszono są w powietrzu. Kiedy ów deszcz spada na naszą skórę, energia z jonów zanieczyszczeń blokuje przepływ energii życiowej przez naszą skórę,

powodując chorobę. Stąd takie pierwsze krople deszczu działają jak rodzaj antyakupunktury, która blokuje nasze meridiany energetyczne.

Jeszcze inny sposób zapobiegania chorobie kiedy ludzie złapani zostali przez deszcz, stosowany był przez wojsko polskie w czasach mojej młodości. W owych czasach, każdemu żołnierzowi z oddziału wojska który podczas marszu został złapany przez deszcz, natychmiast po powrocie do koszar dawano do wypicia kubek gorącej (gotującej się) kawy zbożowej.

Więcej informacji na temat zasady na jakiej działają opisane tutaj metody akupunkturowego zapobiegania chorobie spowodowanej zostaniem złapanym przez pierwsze krople deszczu, zaprezentowanych zostało w podrozdziałach I5.6 oraz I5.5 z tomu 5 mojej najnowszej monografii [1/5]. Z kolei sama zasada działania akupunktury wyjaśniona została na odrębnej stronie internetowej o koncepcie Dipolarnej Grawitacji.

Część #F: Niezwykłe rośliny i substancje oraz ich lecznicze cechy:

#F1. Kurara z tropikalnego drzewa Ipoh:

Prawdopodobnie NIE istnieje inna roślina która miałaby równie silny wpływ na życie oraz na wyobraźnię ludzi, jak owo tropikalne drzewo które produkuje piorunującą truciznę zwaną kurara. Trucizna ta bowiem działa piorunująco na ofiary które zostały choćby zadraśnięte czymś co ją przenosi, jednocześnie zaś mięso zwierząt rażonych tą trucizną może być jedzone bez przeszkód i nikomu NIE szkodzi. Więcej na temat "kurary" wyjaśnione zostało w punkcie #D3 totalizycznej strony fruit_pl.htm - o owocach tropiku ze strefy Pacyfiku i o filozofii ich jedzenia.

Aczkolwiek "kurara" typowo uważana jest za truciznę, a NIE za lekarstwo, istnieje aż kilka powodów dla których umieściłem o niej informację na niniejszej stronie poświęconej ludowemu leczeniu i lekarstwom. Pierwszy z tych powodów to że czysta forma kurary faktycznie używana jest czasami w anaestezji (znieczulanie do operacji) dla odprężania mięśni - w małych dawkach jest więc lekarstwem. Ponadto jeśli głód i brak jedzenia uważać za rodzaj dolegliwości, zaś upolowanie jakiegoś stworzenia i najedzenie się do syta - za wyleczenie owej dolegliwości, wówczas kurara też jest rodzajem lekarstwa. Używana jest ona bowiem głównie przez myśliwych z dżungli dla powiększenia efektywności ich polowań. Kurara jest też rodzajem narkotyku dla upolowanego zwierzęcia. Paraliżuje ona bowiem m.in. mózg owego zwierzęcia, tak że zwierzę nie czuje potem bólu kiedy myśliwy podrzyna mu gardło. Nadaje więc ona polowaniom bardziej humanitarny charakter, zaoszczędzając cierpień upolowanemu zwierzęciu.

Kurara wytwarzana jest z soku tropikalnego drzewa zwanego "Ipoh" - pokazanego na "Fot. #F1" poniżej. Sok ten jest gromadzony poprzez nacinanie kory na pniu tego drzewa. Następnie jest on mieszany z jeszcze dwoma innymi składnikami które stabilizują jego gęstość i podwyższają jego żywotność, przykładowo z włoskami owocnika palmy zwanej "Betram Palm". W końcu kurarą tą nasycane są miniaturowe strzałki wystrzeliwane do ofiar z dmuchawek.

Fot. #F1abc: Fotografie które ilustrują najważniejsze szczegóły wyglądu słynnego drzewa Ipoh. To właśnie z soku takiego drzewa Ipoh produkowana jest piorunująca trucizna "kurara". Drzewo to wcale jednak nie jest takie popularne w tropikalnych dżunglach. Aby je znaleźć trzeba dosyć sporo poszukiwać i wysiłku. Powyższy jego egzemplarz znalazłem i sfotografowałem w rodzaju dobrze utrzymanego parku który zapewniał doskonałą widoczność, a stąd i dobre warunki do fotografowania. Park ten znajduje się w "Forest Research Institute Malaysia (FRIM)", 52109 Kepong, Selangor Darul Ehsan, Malaysia; frim.gov.my. (Kliknij na daną fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.)

Fot. #F1a (lewa): Ja, czyli dr inż. Jan Pająk, przy pniu tropikalnego drzewa Ipoh. Fotografia wykonana w dniu 12 sierpnia 2008 roku. Jak widać drzewo to jest ogromnych rozmiarów i wygląda typowo - tj. niemal jak każde inne tropikalne drzewo. Aby

wyprodukować kurarę, krajowcy nacinali korę na takim właśnie pniu, poczym zbierali trujący sok jak wypływał spod kory. Tuż nad moim prawym uchem widać tabliczkę inwentarzową z opisem tego drzewa, której zbliżenie pokazuje fotografia z części (b) tej ilustracji. Odnótuj także czystość, zadbanie i dobrą widoczność parku w którym powyżej pokazane drzewo rośnie. Tylko dzięki owej dobrej widoczności było możliwe sfotografowanie tego drzewa. Typowa tropikalna dżungla wcale bowiem tak nie wygląda. Dżungla normalnie jest tak gęsta że drzewa zaczynają w niej być widoczne dopiero kiedy można je już dotknąć ręką - czyli kiedy ktoś do nich się zbliży na odległość mniejszą od jednego metra. Oczywiście, w takiej naturalnej dżungli NIE ma mowy o sfotografowaniu i pokazaniu wszystkich szczegółów owego drzewa, np. jego korony, tak jak tego dokonują powyższe fotografie.

Fot. #F1b (środek-góra): Zbliżenie pnia tego drzewa pokazujące wygląd jego kory a także wygląd tabliczki inwentarzowej z napisem identyfikującym owo drzewo, przybitej do jego pnia. Napis ten stwierdza, cytuję:

URTICACEAE

ANTIARIS TOXICARIA LESCIA

IPOH

MALAY PENINSULAR, MALAY ISLANDS

INDIA, CEYLON

Pod ową tabliczkę wsunąłem liść drzewa Ipoh. Następną tabliczka zawiera numer inwentarzowy drzewa: E1 441.

Fot. #F1c (środek-dół): Wygląd liścia drzewa Ipoh. Dla sfotografowania liść ten położyłem na długim korzeniu owego drzewa.

Fot. #F1d (prawa): Wygląd korony drzewa Ipoh, sfotografowany z ziemi.

#F2. Korzeń "żeń szeń":

Kolejną rośliną szeroko znaną z jej niezwykłych cech jest korzeń zwany "żeń szeń". Już jego wygląd zapowiada nadprzyrodzone własności. Często bowiem korzeń ten przyjmuje kształt człowieka - znaczy ma głowę, tułów, ręce, nogi - tak jak człowiek. Najwyraźniej już sam wygląd owego korzenia został celowo tak zaprojektowany przez Boga aby zwrócić uwagę ludzi na jego niezwykle cechy lecznicze. Zdolności lecznicze tego korzenia są tak szerokie, że są one bliskie hipotetycznemu lekarstwu jakie od tysięcy lat stanowi marzenie ludzkości, a jakie najczęściej nazywamy "lekarstwem na wszystko". Zdjęcie i dalsze informacje na temat owego niezwykłego korzenia zawiera punkt #G2 na totalizycznej stronie korea_pl.htm - o tajemniczej, fascynującej, moralnej, postępowej Korei.

#F2.1. Energetyzujący rosół z kurczaka i korzenia "żeń szeń":

Korzeń "żeń-szeń" zażywany jest leczniczo na setki sposobów. Poniżej przytoczę przepis na jeden z tych sposobów który jest łatwy do przygotowania oraz zarówno przyjemny jak i krzepiący. Przyjmuje on formę smakowitego rosółu z kurczaka i korzenia "żeń-szeń". Rosół ten działa wzmacniająco i energetyzująco jeśli się go pije kiedy ciągle jest gorący. Używany jest on szeroko jako środek silnie wzmacniający i energetyzujący wśród Chińczyków z Prowincji Sarawak na tropikalnej wyspie Borneo. Oto przepis na ten smakowity rosół:

Składniki:

- 1 kurczak (mała kura),
- wysuszony żeń-szeń (około 50 gram),
- 2 szklanki (lub więcej) gorącej wody.

Przyrządzenie:

Zamocz żeń-szeń przez jedną godzinę w ciepłej wodzie. Obierz kurczaka ze skóry. Warunkowo (jeśli zechcesz) potnij kurczaka na małe kawałki o wielkości na jedno ugryzienie każdy. W przeciwnym przypadku gotuj kurczaka w całości. Umieść kurczaka w elektrycznym wolno-gotującym naczyniu (po angielsku w tzw. "slow cooker"). Wlej co

najmniej 2 szklanki gorącej wody do tego naczynia (tj. tyle wody ile rosół zamierza się wypić w jednym zażyciu). Wrzuć żeń-szeń do środka, Gotuj wolno przez 6 godzin. Przez pierwsze 0.5 godziny nastaw wolno-gotujące naczynie na "wolno" (po angielsku "slow"), resztę zaś czasu na "automatycznie" (po angielsku "auto"). Nie dodaje się soli, ani NIE wolno dodawać soli.

Zażywanie:

Wypijać rosół kiedy ciągle gorący. Z żeń-szeniem nie wolno stosować (mieszać) żadnego innego pożywienia które zwielokrotnia naszą energię.

Po pierwszym zażyciu do pozostałości dodaj jeszcze raz wody i gotuj ponownie po raz drugi. To drugie gotowanie ponownie rewitalizuje rosół - tak jak jego pierwsze gotowanie.

#F3. Energetyzująca zupa z gniazd jaskółczych:

W niektórych krajach południowo-wschodniej Azji żyje odmiana jaskółek jakich ślina ma silne własności energetyzujące i wzmacniające. Ślina ta zaś zawarta jest w gniazdach owych jaskółek. Dlatego w tamtych krajach gniazda jaskółcze są zbierane, zaś po wymyciu z nich błota są one sprzedawane jako dosyć kosztowny rodzaj przysmaku i potrawy wzmacniającej. W wymytej z błota formie wyglądają one jak rodzaj gęstej siatki wykonanej z białego plastyku i ukształtowanej w formę gniazda. Ich działanie jako potrawy jest dosyć podobne do działania rosółu z korzenia "żeń-szeń" opisanego powyżej w punkcie #F2.1. Oto przepis na tą smakowitą i kosztowną zupę z gniazd jaskółczych (przepis ten również wywodzi się od Chińczyków zamieszkujących Prowincję Sarawak na tropikalnej wyspie Borneo):

Składniki:

- 1 gniazdo jaskółcze,
- 1 kawałek/kryształ chińskiego białego cukru (około 9 cm sześciennych),
- 2 szklanki (lub więcej) gorącej wody.

Przyrządzanie:

Wlać gotującą się wodę do elektrycznego wolno-gotującego naczynia (po angielsku zwanego "slow cooker"). Włożyć gniazdo jaskółcze. Wolno gotować przez 4 godziny. Wyłączyć wolno-gotujące naczynie. Dodać cukier.

Zażywanie:

Wypijać zupę w dowolny sposób na jaki nam smakuje.

#F4. Rośliny zapobiegające niechcianym ciążom:

W dawnych czasach ludzie też umieli zapobiegać niechcianym ciążom. Wiedza ludowa praktycznie każdego kraju, w tym Polski, zna miejscowe zioła i sposoby na uniknięcie ciąży. Jeden z tych sposobów opisałem w punkcie #E1 odmienniej strony internetowej fruit_pl.htm - o tropikalnych owocach strefy Pacyfiku i o filozofii ich spożywania. O innym sposobie zapobiegania ciąży stosowanym kiedyś przez Maoryski z Nowej Zelandii można sobie poczytać w artykule "Grant to research birth-control plant" (tj. "Pieniądze na badania rośliny do kontroli narodzin") ze strony A3 gazety The New Zealand Herald, wydanie z czwartku (Thursday), February 26, 2009. Artykuł ten opisuje roślinę zwaną "poroporo plant" (*solanum aviculare*) która jest rodzima dla Nowej Zelandii, Australii i Nowej Gwinei. Liście tej rośliny są gotowane zaś woda po ich ugotowaniu jest pita na jakiś tydzień przed menstruacją. Działa ona jako kontraseptyw - znaczy na krótki okres czasu czyni kobietę bezpłodną. Woda ta również leczy problemy ze skórą (np. enzymę czy świerzb) oraz eliminuje wszelkie bóle.

#F5. Leczenie cukrzycy?

W poniedziałek dnia 11 maja 2009 roku, na kanale 3 telewizji nowozelandzkiej, w

godzinach 19:30 do 20:30, nadany był kolejny odcinek cotygodniowego programu o nazwie "60 Minutes". Ciekawostką tego odcinka było, że prezentował on m.in. napój o którym jego użytkownicy twierdzili że daje im on ulgę w cukrzycy oraz zmniejsza zapotrzebowanie na zastrzyki insuliny. Napój ten narazie NIE był jednak formalnie przebadany. Stąd jego własności lecznicze ciągle mają wartość plotki czy subiektywnej opinii indywidulanych użytkowników - a nie obiektywnie potwierdzonego faktu. W sensie składu, napój ten stanowi wywar z liści rodzimego dla Nowej Zelandii drzewka o nazwie kawakawa. Owa "kawakawa" jest lokalnym krewniakiem "drzewka pieprzu" - chociaż z niezrozumiałych dla mnie powodów mi ona przypomina miniaturkę polskiej "olszyny". Wywar z "kawakawa" jest dodatkowo posłodzony aktywnym miodem z innego leczniczego krzewu Nowej Zelandii nazywanego "manuka". (Sam czysty wywar z liści "kawakawa" jest podobno tak gorzki, że nie daje się go przełknąć.)

W tym miejscu powinienem dodać, że podobne subiektywne opinie (niepotwierdzone przez żadne oficjalne badania) o rzekomej zdolności do leczenia cukrzycy słyszałem też w Korei na temat "poczwerek jedwabnika". Ludowe opinie Koreańczyków o rzekomych leczących cukrzycę zdolnościach "poczwerek jedwabnika", razem ze zdjęciem tych poczwerek, przytoczyłem w punkcie #B3 strony internetowej korea_pl.htm - o tajemniczej, fascynującej, moralnej i postępowej Korei.

Część #G: "Samouzdrawianie" postulowane ustaleniami filozofii totalizmu i "totaliztycznej nauki", które zamiast "medykamentów" używa "odwracanie własnych wierzeń":

#G1. Nowa "totaliztyczna nauka" wskazuje przyszłościowe zasady odzyskiwania zdrowia: Motto: 'Nigdy NIE wierz temu co stara "ateistyczna nauka ortodoksyjna" twierdzi na temat Boga - jeśli bowiem dokładnie poznasz Boga w zgodzie z podejściem "a priori" nowej "totaliztycznej nauki" wówczas otworzą się przed tobą perspektywy o jakich nawet przysłowiowym "filozofom się nie śniło".'

W punkcie #A2.2 strony o nazwie totalizm_pl.htm oraz w podrozdziale A16 mojej najnowszej monografii [1/5] wyjaśnione zostało odkrycie nowej "totaliztycznej nauki" dokonane dzięki ustaleniom filozofii totalizmu, które ujawnia, że w swoich oddziaływaniach na ludzi Bóg przyjął i konsekwentnie stosuje "zasadę potwierdzania każdego silnego wierzenia". Zasada ta powoduje, iż każdy intelekt (np. każda indywidualna osoba, każda społeczność, każda dyscyplina naukowa, itp.) zawsze otrzymuje od Boga unikalne dla swych wierzeń potwierdzenia następstw tego w co głęboko wierzy i na bazie czego podejmuje swoje działania. Zasada ta m.in. powoduje, że ludzie którzy zaczynają wierzyć iż na coś są chorzy lub że jakiś ich organ uległ zdegenerowaniu, faktycznie otrzymują od Boga potwierdzenie dla tych swoich wierzeń i faktycznie zapadają na ową chorobę lub faktycznie ów organ u nich zaczyna nawalać. Filozofia totalizmu posuwa jednak dalej swoje dedukcje i stwierdza również, że owa zasada potwierdzania naszych silnych wierzeń działa też i po jej odwróceniu. Mianowicie, zgodnie z twierdzeniami totalizmu jeśli na przekór iż kogoś już atakuje jakaś choroba, ów ktoś zaczyna silnie wierzyć (i działać na bazie tego wierzenia) że wcale NIE jest to choroba, a tylko "iluzja choroby" która wynika z faktu iż "Bóg właśnie sprawdza rodzaj i siłę jego własnych wierzeń", wówczas choroba ta ustępuje i sama się leczy. Na owym totaliztycznym "odwracaniu wierzeń" oparte są zasady "samouzdrawiania" i "samodeterminacji" opisywane w niniejszej "części #G" tej strony. Zasady te NIE wymagają medykamentów ani kosztownych interwencji fachowców. Nie pozostawiają więc żadnych "skutków ubocznych", są całkowicie "za darmo", każdy może je stosować we wszystkich okolicznościach, miejscach, sytuacjach i momentach czasowych w których się znajdzie, a na dodatek są już sprawdzone w praktyce jako wysoce skuteczne. Tyle że prawdopodobnie wymagają aby ten co je wobec siebie wdraża aktywnie praktykował tzw. formalną wersję totalizmu która umożliwi mu obejmowanie kontroli nad treścią własnych wierzeń. Osobiście mam bowiem przesłanki aby twierdzić, że osoby które NIE praktykują owej zaawansowanej formy totalizmu, NIE są w stanie efektywnie "odwracać swoich wierzeń". (Powodem dla którego posądzam, że dla użycia owej zasady

samouzdrawiania konieczne jest uprzednie praktykowanie "totalizmu formalnego", jest że narazie ja sam jestem jedynym kogo znam iż z powodzeniem zaczął na sobie stosować praktycznie ową zasadę samouzdrawiania - jak zaś jest to oczywiste, jako twórca tej filozofii ja sam praktykuję ową zaawansowaną wersję totalizmu formalnego.) Niemniej byłbym ogromnie zainteresowany otrzymaniem informacji, czy ktoś kto praktykuje np. filozofię pasożytnictwa byłby w stanie efektywnie "odwrócić swoje wierzenia", zaś Bóg też pozwoliłby mu się samowyleczyć z użyciem tej samej zasady - której praktyczne użycie opisuję poniżej.

#G2. Zasada "samouzdrawiania" osiąganego poprzez "odwracanie swoich wierzeń" zgodne z ustaleniami "totalistycznej nauki":

Kiedy opuściłem Polskę z jej murowanymi, ciepłymi, suchymi i zdrowymi mieszkaniami o łatwych do mycia, czystych, drewnianych podłogach, zmuszony byłem mieszkać w zimnych, przesiąkniętych wilgocią i pleśniami nowozelandzkich "domach z dykty" o tekturowych ścianach i podłogach powykładanych wełnianymi karpętami które gromadzą kurze i mikroorganizmy oraz okazują się niemożliwe do umycia a stąd nieustannie emitują do mieszkań najróżniejsze alergenty, chemikalia, smrody, pyły, prątki, mikroorganizmy, itp. Ceną zaś za taką zmianę warunków mieszkaniowych było, że po emigracji niemal bez przerwy zaczęły mnie gnębić najróżniejsze dolegliwości zdrowotne w rodzaju reumatyzmu, przeziębień, korzonków, bólów mięśni, kaszłów, bólów gardła, alergii, wrzodów, itd., itp. . Niemal nieustannie coś mnie bolało, gnębił mnie kaszel i kichanie, itp. Kiedy też jedną dolegliwość zdołałem jakoś wyleczyć, zawsze natychmiast napadała mnie następna. Czasami to nawet bywałem gnębiony aż przez kilka różnych dolegliwości naraz. Co najmniej też aż dwa razy w roku (jesienią i wiosną) załapywałem też jakąś "infekcję" odmiany grypy, bólów gardła, niemal chronicznego kaszlu, eksplozyjnego kataru, itd. Co nawet gorsze, w Nowej Zelandii wizyty u lekarzy należą do jednych z najdroższych na świecie, a na dodatek bez przerwy traciłem tam pracę, odmawiano mi zasiłku dla bezrobotnych, itp. - tak jak to wyjaśniam w punkcie #K1 ze swej autobiograficznej strony o nazwie pajak_jan.htm. Aby było jeszcze gorzej, kiedykolwiek w końcu zdecydowałem się udać do lekarzy z którymś z tych moich niemal chronicznych kaszłów czy bólów gardła, zawsze się okazywało że lekarze NIE tylko iż mi nie byli w stanie pomóc, ale nawet antybiotyki jakie standardowo mi zapisywali zwykle tylko pogarszały stan mojego zdrowia. W rezultacie owego nieustannego tracenia pracy, niepewności jutra, konieczności liczenia się z wydaniem każdego dolara, oraz doświadczenia niskiej skuteczności "ortodoksyjnej medycyny", zacząłem unikać chodzenia do drogich nowozelandzkich lekarzy, zaś niemal wszystkie te swoje liczne dolegliwości starałem się leczyć "domowymi sposobami". Często mijalo też aż wiele miesięcy zanim takim "kuchennym sposobem" pozbywałem się swego dorocznego wiosennego lub jesiennego kaszlu, kataru, czy bólu w stawach. Zawsze też dla ich pozbycia się zmuszany byłem używać jakichś nietypowych środków i sposobów, w rodzaju zjadania tropikalnych owoców aby pozbyć się chronicznego kaszlu - tak jak opisuje to punkt #B2 powyżej na tej stronie, czy połykania chińskiego syropu "mother and son" (opisywanego w (d) z punktu #E1 strony o nazwie plague_pl.htm) - aby zapobiec rozwinięciu się przeziębienia, bólu gardła, lub grypy.

Opisana powyżej sytuacja trwała aż do czasu kiedy w połowie 2010 roku odkryłem opisywaną we wstępie do tej "części #G" (oraz w punkcie #A2.2 odrębnej strony totalizm_pl.htm) zasadę Boga o "dostarczaniu każdemu potwierdzeń dla prawdy jego aktualnych wierzeń". Natychmiast bowiem po odkryciu owej zasady, zamiast leczyć swe dolegliwości wyłącznie lekami, lub zamiast odczekiwać aż same one ustąpią, do procesu swego samoleczenia włączyłem także celowe "odwracanie swoich wierzeń". Jak się też okazało, owo "odwracanie wierzeń" zwiększyło wydatnie efektywność i szybkość ustępowania dolegliwości. Wprawdzie narazie wypróbowałem je głównie dla przypadków napadów najróżniejszych bólów (np. reumatycznych bólów stawów, bólów kręgosłupa - popularnie zwanych "korzonkami", bólów mięśni, czy odbicia którejś pięty), jednak mogę już obecnie stwierdzić, że dla owych przypadków owa metoda daje efekty równie szybkie i definitywne jak użycie jakichś najlepszych madykamentów które znam.

Procedura samoleczenia bólu z użyciem opisywanej tu zasady "odracania swoich wierzeń" jest dosyć prosta. Mianowicie, kiedy coś zaczyna mnie boleć (np. jakiś staw, "korzonki", mięśnie, czy któraś odbita pięta), wówczas po każdym napadzie silniejszego bólu w myślach adresuję do Boga stwierdzenie w rodzaju "Ojczy, ja wiem że ten ból jest Twoim testem sprawdzającym moje wierzenia, a NIE faktycznym bólem chorej części mojego ciała - dlatego odmawiam zaakceptowania iż to co mnie boli jest naprawdę chore, zakazuję swemu ciału traktowania tego jako jego faktycznej choroby, oraz wierzę iż ów ból jest jedynie przejściową "iluzją" która wkrótce sama ustąpi". (Dokładne słowa którymi tą myśl się wypowiada NIE są istotne, istotna jest bowiem tylko idea w słowach tych zawarta.) Oczywiście, powtórzenie w myśli tej wiadomości byłoby łatwe - gdyby sprowadzała się ona jedynie do słów, a nie do wierzeń. Chodzi bowiem o to, że kiedy coś nas silnie boli, wówczas cała nasza świadomość aż "krzyczy" że wierzymy iż to nasze ciało boli - bo jest chore. Tymczasem w opisywanej tutaj metodzie, musimy przełamać w sobie to wierzenie nieposłusznej świadomości iż to nasze ciało jest chore, oraz zmusić tą świadomość do faktycznego uwierzenia, iż ból jaki odczuwamy wcale NIE jest faktycznym odczuciem, a jedynie jakby chwilową "iluzją" zadaną nam przez Boga dla przetestowania naszych wierzeń, która to "iluzja" sama zaniknie jeśli faktycznie uwierzymy iż NIE była on rzeczywistością. (Odnotuj, jak wysoce zgodne jest to zadawane sobie wierzenie, z tym co "nauka totaliztyczna" stwierdza o budowie i działaniu otaczającej nas rzeczywistości i naszego ciała.) Innymi słowy, w metodzie tej najistotniejszym składnikiem jest "odwrócenie naszych wierzeń" z wmawianego nam przez nieposłuszną świadomość wierzenia o faktyczności odczuć naszego ciała, w ustalone rozumowo nowe wierzenie wynikające z twierzeń "totaliztycznej nauki", że nasz ból jest jedynie "iluzją" której powodem i źródłem są posunięcia Boga które właśnie sondują nasze wierzenia. Owo "odwrócenie wierzeń" jest najtrudniejszą składową opisywanej tutaj metody, zaś od sukcesu jego prawidłowego zrealizowania zależy czy nasze "samouzdrawienie" będzie faktycznie miało miejsce. Ponieważ ja mam podstawy dla posądzania, iż aby móc tak "odwrócić swoje wierzenia" trzeba przez jakiś już czas aktywnie praktykować filozofię totalizmu formalnego, osobiście wierzę, że tylko "aktywny totalista" jest w stanie stosować na sobie opisywaną tutaj metodę "samouzdrawiania" poprzez "odwracanie swoich wierzeń". (A szkoda, bo metoda ta ma aż tyle zalet i możliwości.) Po takim "odwróceniu wierzeń" zaindukowanych danym napadem bólu, na przekór że ból ten nadal się odczuwa, ja zawsze się zachowuję tak jakby nic mnie NIE bolało - znaczy poruszam się i czynię wszystko w normalny, codzienny sposób, pokonując w sobie ból i zmuszając się do postępowania tak jakbym go NIE odczuwał. Odnotowałem też, że w wyniku takiego zachowania i "odwrócenia swych wierzeń", cokolwiek by mnie NIE bolało, zwykle - zależnie od zaawansowania danej bolesnej iluzyjnej "choroby", zaprzestaje to boleć po upływie od dwóch dni do co najwyżej jednego tygodnia - czyli po typowym czasie wymaganym aby mechanizm zajścia owego "samouzdrawienia" dawało się także racjonalnie tłumaczyć i na kilka innych sposobów niż tłumaczy to "nauka totaliztyczna". (Chodzi bowiem o to, że wszystko co Bóg czyni, w tym nawet tzw. "cuda", zawsze dokonywane jest w sposób który spełnia tzw. "kanon niejednoznaczności" opisywany m.in. w punkcie #C2 strony o nazwie will_pl.htm, dlatego również i owo "samouzdrawienie" musi dawać się też wytłumaczyć aż na kilka dalszych sposobów zgodnych z zasadami opisanymi w punkcie #C2 strony o nazwie tornado_pl.htm - np. dawać się też wytłumaczyć, że nasze chore tkanki będące źródłem danego bólu zdołały same się zregenerować.) Tymczasem zanim zacząłem stosować opisaną tu metodę samouzdrawiania, niektóre takie bóle potrafiły prześladować mnie przez wiele tygodni, a czasami nawet i wiele miesięcy.

Powyższą metodę samouzdrawiania stosuję również w przypadkach infekcji - tj. kiedy czuję że załapałem już początek grypy lub bólu gardła. Tyle, że NIE chcę wówczas ryzykować sprawdzenia czy metoda ta okazałaby się również skuteczna bez użycia jakichkolwiek medykamentów, dlatego dotychczas użyłem ją kilka razy tylko jako uzupełnienie i dodatek do lekarstw co do których wiem że są skuteczne w przypadku takich infekcji (tj. jako uzupełnienie i dodatek do chińskiego syropu "mother and son" oraz do tabletek do ssania z ziołem zwanym "Echinacea" - które zawsze używam kiedy odnotuję

objawy początku infekcji grypą, bólem gardła, lub katarą). Jak też narazie, od połowy 2010 roku NIE załapałem jeszcze dorocznego wiosennego ani jesiennego kataru ani grypy - wygląda więc na to iż metoda ta zwiększa także odporność ciała na "infekcje". (Wszakże uprzednio też używałem tych samych medykamentów, a ciągle łapałem takie "infekcje".) Oczywiście, swoje testy tej metody samouzdrawiania będę kontynuował, zaś ich wyniki opiszę tu w przyszłości.

Jak narazie metody tej NIE miałem okazji wypróbować dla przypadków kiedy potrzebna jest jakaś forma operacyjnej interwencji, np. dla wrzodów, pryszczycy, zainfektowanych skaleczeń, bólów zęba, itp. Nie mogę się więc wypowiadać o jej skuteczności w takich przypadkach. Posądzam jednak, że jej wykorzystanie do takich przypadków będzie wymagało jakiegoś dodatkowego poszerzenia tej metody - którego na obecnym etapie NIE potrafię jeszcze zdefiniować. Wszakże także "ortodoksyjna medycyna" NIE potrafi leczyć takich przypadków wyłącznie medykamentami, a musi odwoływać się do najróżniejszych intrusywnych zabiegów i operacji.

Odchudzanie się jest jeszcze jednym obszarem co do którego jestem absolutnie pewien, że opisywana tutaj metoda okaże się wysoce efektywna, jednak w tym przypadku ja NIE mam zamiaru sprawdzać jej efektywności. Wszakże zasada działania opisywanej tu metody jest taka, że potrafiłaby ona szybko zmniejszyć apetyt na jedzenie i spowodować spadek wagi. Mi jednak NIE zależy na wygładzie i przystojności, zaś smaczne jedzenie jest jednym z niewielu przyjemności które mi ciągle pozostały aby nimi się cieszyć. Dlatego ja NIE będę nawet próbował się odchudzać z użyciem tej wysoce efektywnej metody. Nie powinno to jednak powstrzymywać czytelników którym zależy na przystojności i na wygładzie, aby metodę tą używali również dla efektywnego odchudzenia swoich ciał.

Na dodatek do sprawdzenia opisywanej tu metody w działaniu poprzez "samouzdrawianie" swoich własnych delegliwości, w międzyczasie rozglądam się również za odmiennym materiałem dowodowym który też potwierdzałby skuteczność tej metody. Jak narazie znalazłem jeden przykład takiego materiału dowodowego. Była nim wypowiedź jakiegoś Araba z miasta Dubai, który wystąpił w angielskim filmie dokumentarym o tytule "Piers Morgan On Dubai" nadawanym w godzinach 20:30 do 21:30 pm, na kanale "Prime" telewizji nowozelandzkiej, w piątek (Friday), 13 maja, 2011 roku. Mianowicie, ów Arab stwierdził, że jego rodacy wierzą iż nie wolno głośno mówić o możliwości zachorowania na jakąś konkretnie nazwaną chorobę, np. na raka, bowiem to co się głośno wymówi i nazwie, faktycznie potem może się stać. Interpretując to ludowe wierzenie Arabów z Dubai z pomocą uprzednio opisywanego ustalenia filozofii totalizmu, jeśli ktoś głośno rozważa zapadanie na jakąś chorobę nazwaną po imieniu, wówczas może zacząć wierzyć iż z czasem na nią zachoruje. Z kolei po zainicjowaniu u siebie takiego wierzenia, ten ktoś faktycznie otrzymuje od Boga potwierdzenie poprawności swoich wierzeń - w tym przypadku właśnie przyjmującego formę faktycznego zapadnięcia na tą właśnie chorobę.

#G2.1. Dlaczego odmiennosc dwóch interpretacji działania opisywanej tu zasady "samouzdrawiania" demaskuje największą słabość starej "ateistycznej nauki ortodoksyjnej" którą jest jej niezdolność do poznania "całej prawdy":

Gdyby działanie opisywanej tutaj zasady "samouzdrawiania" wyjaśnić z podejścia "a priori" nowej "nauki totalizycznej", wówczas działanie to dałoby się zdefiniować słowami: "samouzdrawianie" osiągnięte poprzez "odwracanie swoich wierzeń" sprowadza się do korzystania z poznanej przez "naukę totalizyczną" jednej z zasad działania Boga w celu odzyskiwania zdrowia w przypadkach i sytuacjach objętych ową zasadą". Innymi słowy, "nauka totalizyczna" wyjaśnia że opisana tu metoda "samouzdrawiania" wykorzystuje do odzyskiwania zdrowia jedną z poznanych przez siebie zasad postępowania Boga - którą to zasadę owa nauka najpierw poznała i dokładnie opisała, a dopiero potem zaczęła używać w praktyce. W ten sposób metoda "odwracania swoich wierzeń" jest doskonałym odzwierciedleniem wyjaśnionego w punkcie #B1 strony o nazwie tornado_pl.htm celu jaki postawiła sobie "nauka totalizyczna" - a jaki sprowadza się do "naukowego powiększania naszej szczegółowej wiedzy o Bogu oraz do korzystania z tej wiedzy w celu podnoszenia jakości zarówno obecnego życia fizycznego ludzi jak i ich późniejszego życia

pozadoczesnego".

Gdyby jednak opisywaną tutaj zasadę próbował wyjaśnić któryś z "ortodoksyjnych lekarzy" stosujących wyłącznie "a posteriori" podejście poznawcze, wówczas najprawdopodobniej opisałby ją słowami, że "samouzdrawianie" osiągnane poprzez "odwracanie swoich wierzeń" sprowadza się do "samowyzwalania efektu placebo". Innymi słowy, taki "ortodoksyjny lekarz" wprawdzie podałby naukową nazwę dla zasady działania opisywanej tutaj metody, jednak NIE byłby w stanie wyjaśnić "jak" metoda ta działa, ani "jakich mechanizmów" ona używa do przywracania zdrowia. Na dodatek, podając takie wyjaśnienie zaprzeczałby on dotychczas obowiązującej w nauce wiedzy na temat wyzwalania "placebo". Wszakże ortodoksyjna medycyna dotychczas wiedziała tylko jak "placebo" można wywołać u kogoś innego, jednak NIE potrafiła wskazać sposobu na wyzwolenie efektu "placebo" u siebie samego.

Powyższe porównania dwóch wyjaśnień dla działania opisywanej tu metody demaskuje największą słabość dotychczasowej oficjalnej nauki ziemskiej zwanej także "ateistyczną nauką ortodoksyjną". Słabością tą jest fakt, że ta stara "ateistyczna nauka ortodoksyjna" jest w stanie poznać co najwyżej połowę prawdy na temat otaczającej nas rzeczywistości - tak jak to wyjaśniono dokładniej w punkcie #C1 strony o nazwie telekinetyka.htm oraz w punkcie #A2.6 strony o nazwie totalizm_pl.htm. Dlatego potrafi ona tylko nadać jakąś "mądrą nazwę" dla zjawisk które wokół widzimy, np. dla "placebo", "El Nino", UFO, telepatii, itp., jednak NIE jest w stanie wyjaśnić jak zjawiska te naprawdę działają. Aby wyjaśnić działanie tych zjawisk, oraz aby korzystać z dobrodziejstw które zjawiska te są w stanie przynieść naszej cywilizacji, konieczne jest obalenie "monopolu na wiedzę" owej starej nauki poprzez oficjalne ustanowienie na Ziemi nowej, konkurencyjnej "nauki totaliztycznej" do której osiągnięć referuje m.in. niniejszy punkt oraz punkt #A2 tej strony.

#G3. Użycie zasady "odwracania swoich wierzeń" do zapobiegania ciąży, do powodowania zajścia w ciążę, oraz do płodzenia potomków o pożądanej przez rodziców płci:

W podrozdziale UB1 z tomu 16 najnowszej monografii [1/5] przytoczony został raport Nowozelandki o pseudonimie "Miss Nosbocaj" ze swego uprowadzenia do "symulacji wehikułu UFO". Podczas tego uprowadzenia, "symulacja lekarza UFO nauty" nauczala Miss Nosbocaj jak ta ma unikać zajścia w ciążę wyłącznie poprzez odpowiednie "odwrócenie swoich wierzeń" - oraz bez użycia medykamentów. Jak też się okazuje, zasada tego unikania zajścia w ciążę też sprowadza się do "odwrócenia swoich wierzeń" - bardzo podobnego jak owo odwracanie które ja używam w "bezmedykamentowym samouzdrawianiu" które opisałem w poprzednim punkcie #G1 tej strony.

Co ciekawsze, wyjaśniony na wstępie tej "części #G" sposób na jaki filozofia totalizmu wydedukowała odwracalność opisywanych tutaj zasad, gwarantuje że dokładnie ta sama metoda "odwracania wierzeń" może być też używana do zaindukowania "zajścia w ciążę" przez pary małżeńskie wierzące iż mają problemy z płodnością. Dlatego osobiście bym radził tym parom które wierzą iż mają problemy ze spółdzeniem potomstwa, aby zanim zdecydują się na wysoce kosztowne "ortodoksyjne" leczenie bezpłodności, najpierw spróbowały opisywanej tutaj "darmowej" i "bezmedykamentowej" metody zaindukowania ciąży poprzez "odwrócenie swoich wierzeń". Wszakże zachodzenie w ciążę też wcale NIE jest procesem wyłącznie biologicznym, a rządzone jest wierzeniami danej pary i dokonuje się za pośrednictwem uczuć które te wierzenia indukują. Dowodem na to jest, iż spostrzegawczy mężczyzna zawsze potrafi odnotować kiedy zapłodnienie miało miejsce, bowiem zawsze mu towarzyszy unikalny wyłącznie dla zapłodnienia "błysk" odczucia "doskonałego zespolenia" - który jest relatywnie łatwy zarówno do rozpoznania, jak i do celowego wygenerowania z pomocą opisywanej tu metody.

Jeśli ktoś przeanalizuje do czego sprowadza się esencja dawnych ludowych receptur na spółdzenie dziecka o określonej płci, wówczas się okazuje że także polega ona na opisywanym tutaj "odwracaniu wierzeń". Wszakże przykładowo jedna z owych receptur, stwierdzająca że "aby spółdzić chłopca należy się kochać na kozuchu kiedy mężczyzna ciągle ma ubrane buty z ostrogami", faktycznie powoduje u kochającej się pary

uformowanie silnego wierzenia iż wówczas "spłodzony będzie właśnie chłopiec".

#G4. Opisywana tu zasada "odwracania swoich wierzeń" najprawdopodobniej pozwala też na powstrzymanie nadejścia kataklizmów:

W punkcie #I3 totalizycznej strony o nazwie day26_pl.htm przytoczyłem materiał dowodowy który ilustruje że przedmieście zwane "Petone" w którym ja mieszkam omijane jest przez kataklizmy jakie dotyczą czasami nawet już sąsiednie miejscowości. Jeśli się przeanalizuje "dlaczego" owe kataklizmy przechodzą obok Petone bez szkody, chociaż niszczą one już sąsiednie miejscowości, wówczas jednym z powodów które się rzucają w oczy, jest moje silne wierzenie iż Petone jest chronione przed kataklizmami ponieważ w jego pobliżu mieszka tzw. "10 sprawiedliwych". To silne wierzenie trwa u mnie ponieważ ja osobiście policzyłem ilu owych "sprawiedliwych" mieszka w pobliżu Petone, oraz ponieważ wiem że z całą pewnością jest ich tam co najmniej 10-ciu. Na bazie jednak tego co wyjaśnia niniejsza "część #G" tej strony, jest też możliwe, iż gdybym albo ja (albo też większość mieszkańców danego miasta czy miejsca rezydencji) otrzymał podstawy do równie silnego uwierzenia że np. sama moja obecność w miejscowości zagrożonej jakimś kataklizmem (np. zagrożonej tornadem, trzęsieniem ziemi, tsunami, powodzią, itp.) z jakichś powodów by wystarczyła aby powstrzymać tam nadejście kataklizmu (np. ponieważ inni totalizci by "delegowali" czyli "wysłali" mi swoje moralne poparcie), wówczas jestem gotowy się założyć, że ową miejscowość lub miejsce rezydencji też kataklizmy by obchodziły z daleka. To właśnie dlatego zaochotniczyłem kiedyś aby przetestować taką możliwość poprzez publiczne zaproponowanie w punkcie #C5.1 strony o nazwie seismograph_pl.htm nowozelandzkiemu miastu Christchurch że powstrzymam jego dalsze trzęsienia ziemi - jeśli miasto to zaprosi mnie abym w nim zamieszkał na jego własny koszt (miasto to zdecydowało jednak aby raczej zostać zniszczonym następnym trzęsieniem ziemi niż skorzystać z mojej oferty). To także dlatego ogromnie załużę że żadne z miast już wybranych przez Boga do zniszczenia - i już ostrzeganych o zbliżającym się kataklizmie w sposób opisywany w punktach #B5 do #B7.3 strony o nazwie seismograph_pl.htm, ani żaden z ludzi którym Bóg wkrótce zamierza odebrać ich zamożność lub życie i też ich jakoś subtelnie o tym ostrzega, NIE mają jednak odwagi aby dopomóc sobie samym, mi, oraz całej ludzkości, poprzez sfinansowanie wytestowania możliwości opisywanej w punkcie #I3.1 ze strony o nazwie day26_pl.htm, a sugerującej, że zdolność do ochrony przed kataklizmami mogłaby być "oddelegowana" do wybranego "aktywnego totalizty" - wszakże zdolność ta też opiera się na opisywanych w tej "części #G" zasadach dopuszczających takie jej "oddelegowanie".

Część #H: Medykamenty przyszłości, czyli jak "pogoń za zyskiem kosztem ludzkiego dobra" zaistniała w farmacji nakłania aby "wehikuły czasu" stały się "lekarstwem na wszystko":

#H1. Zdefiniujmy sobie pojęcie "lekarstwo na wszystko":

Zaraz po drugiej wojnie światowej, czyli w latach 1950-tych, ludzkość dokonała ogromnych postępów w swej wojnie z chorobami. To wówczas opracowane zostały najważniejsze antybiotyki oraz szeroko upowszechniono szczepienia ochronne. Na całym świecie odwieczne choroby ludzi nagle zaczęły zanikać. Ludzi ogarnęła wiara w nieorganiczone możliwości medycyny. Cały szereg badaczy podjął też wówczas pierwsze praktyczne prace nad "kuraminą", znaczy nad hipotetycznym lekarstwem które samo jedno miało leczyć wszystkie choroby. W powszechnym języku codziennym owo hipotetyczne lekarstwo leczące wszystkie choroby typowo jest nazywane "lekarstwem na wszystko".

Więści o pracach nad wynalezieniem "kuraminy" oczywiście przeniknęły także i do folkloru. Ja ciągle pamiętam do dzisiaj fragmenty długiego na kilka stron żartobliwego poematu o tytule "Kuramina", upowszechnianego anonimowo w latach 1950-tych, który zabawnie ilustrował jak będzie wyglądało życie kiedy "kuramina" stanie się faktem. Ludzie wówczas recytowali sobie nawzajem z pamięci fragmenty tego zabawnego poematu, jako

rodzaj "poradnika" podpowiadającego innym co mają czynić kiedy zaczynają narzekać z powodu jakichs kłopotów zdrowotnych. Przykładowo, w przypadku gdy ktoś narzekał że bolą go zęby, następujący fragment poematu "kuramina" był mu przez kogoś recytowany aby "chłopską logiką" mu podpowiedzieć co ma uczynić: "...

Jeśli bolą was zęby
i nie możecie nic włożyć do gęby,
wówczas trzy krople kuraminy na watę polejecie,
do zęba wetkniecie,
zęba wyrwać dacie
i z nim wieczny spokój macie. ..."

(Gdyby któryś z czytelników miał gdzieś zapisany ów zabawny poemat ludowy "Kuramina", lub ciągle pamiętał jego fragmenty, wtedy bardzo prosiłbym o dostanie mi tego co dało się z niego zachować do dzisiaj. (Mój adres jest wskazany w punkcie #J5 poniżej.) Chętnie opublikuję go tu w całości. Poemat ten wykazywał bowiem unikalne cechy które były wysoce charakterystyczne dla Polski zaraz po wojnie, pozwalając Polakom przetrwać tamte ciężkie czasy. Iskrzył się bowiem humorem, będąc zarówno zabawny jak i wysoce zaradny, życiowy i racjonalny - zgodnie z tzw. "chłopskim rozumem". Dotychczas otrzymałem już jedną całą wersję tego poematu, pochodzącą ze Śląska. Zawiera ona nawet przepis jak sporządzić kuraminę. Czytelnicy mogą go sobie poczytać jeśli klikną na następujący guzik:

Pamiętam jednak że w latach 1950-tych po Polsce krążyły również inne wersje tego zabawnego wiersza ludowego. Jeśli więc ktoś zna jakieś inne jego wersje, lub choćby pojedyncze zwrotki czy fragmenty innych wersji, wówczas też proszę i ich dostanie.)

Na przekór że folklor żartował sobie z "lekarstwa na wszystko", faktycznie idei znalezienia takiego medykamentu zaraz po drugiej wojnie światowej poświęcali swe życie liczni badacze. Niestety, już wkrótce pojawiły się "wyższe powody" dla których owe poszukiwania musiały zostać zarzucone.

Odnotuj tu jednak, że analizy dokonane przez filozofię totalizmu ujawniły iż "lekarstwo na wszystko" faktycznie istnieje. Jest nim "praktykowanie wysoce moralnego życia" - tak jak opisuje to np. punkt #P1 na stronie o nazwie changelings_pl.htm. Oczywiście, ludzie od dawna wiedzą o związku pomiędzy moralnością i zdrowiem. Ową wiedzę potwierdza np. komentarz z Trzeciego Wydania tzw. "Biblii Tysiąclecia" dodany tam do wersetu 6:3 z "Księgi Rodzaju" - cytuję tutaj ów komentarz: "Wraz z postępującym zepsuciem moralnym zmniejsza się witalność ludzi." A więc ludzkość już od dawna wie że "prowadzenie moralnego życia" powiększa zdrowie. Tyle że dopiero filozofia totalizmu wykazała i podkreśliła ten fakt analizami materiału dowodowego oraz skompletowaniem odpowiednich dedukcji logicznych.

#H2. Ludowe "lekarstwa na wszystko", w rodzaju koreańskich "poczwarek jedwabnika":

Największy postęp w znalezieniu "lekarstwa na wszystko" uzyskało ludowe leczenie z krajów "dalekiego wschodu", znaczy Korei, Japonii i Chin. To w owych krajach ludowa medycyna zna medykamenty które nie tylko naprawdę leczą, ale również kiedy to samo "lekarstwo" (czy pożywienie) eliminuje cały szereg chorób. Jeden z przykładów takiego "lekarstwa na niemal wszystko", mianowicie niezwyklej korzeń zwany "żeń szeń", wskazywałem już powyżej w punkcie #F2 tej strony. Do innych podobnych ludowych lekarstw należą zupa zwana "miso" z Japonii - która podobno ma nawet leczyć chorobę popromienną, czy rodzaj sfermentowanej kapusty zwanej "kim-chi" z Korei - która utrzymuje przy szczupłości i przy zdrowiu większość z około 50-milionowej populacji Korei Południowej (owo "kim-chi" omawiam w punkcie #B1 strony korea_pl.htm - o tajemniczej, fascynującej, moralnej, postępowej Korei). Jednak prawdopodobnie najbardziej bliskie faktycznego "lekarstwa na wszystko" są "poczwarki jedwabnika" używane jako rodzaj ludowego lekarstwa w Korei Południowej. Nadal nieznanie naszej nauce chemikalia i substancje zawarte w poczwarkach jedwabnikowych mają działanie bardzo podobnie do owych "embrionalnych komórek macierzystych" - które tak inzynsownie bada dzisiejsza medycyna ludzka. (Znaczy, owe substance i chemikalia podobno mają zdolność do

odbudowania komórek i tkanek zniszczonych przez chorobę - podobnie jak czynią one kiedy transformują gąsiennicę w motyla.) Tyle tylko że poczwarki jedwabnika są już obecnie wypróbowane w działaniu, że narazie można je nabywać bez większych trudności, oraz że zażywa się je poprzez zwykłe zjedanie. Więcej informacji na temat działania "poczwerek jedwabnikowych" jako rodzaju "lekarstwa na wszystko" zaprezentowanych zostało w punkcie #B3 strony korea_pl.htm - o tajemniczej, fascynującej, moralnej, postępowej Korei.

#H3. "Wehikuły czasu" które pokonają śmierć i uleczą każdą chorobę, czyli które okażą się prawdziwym "lekarstwem na wszystko":

Nawykliśmy aby uważać, że droga do zdrowia, do pokonania śmierci, oraz do wieczystego życia wiedzie poprzez postępy medycyny. Jednak najnowsze badania zrealizowane zgodnie z zasadami najmoralniejszej filozofii świata zwanej totalizmem ujawniły, że postępy w medycynie NIE są jedyną drogą do zdrowia i do pokonania śmierci. Istnieje bowiem nawet znacznie moralniejsza i szybsza od medycznej droga do zdrowia i do wieczystego życia. Wiedzie ona poprzez postępy w technice, a ściślej poprzez budowę tzw. wehikułów czasu. Owe wehikuły czasu są bowiem w stanie cofać ludzi do tyłu w czasie. Dlatego m.in. wehikuły czasu są także w stanie leczyć choroby nawet znacznie efektywniej od dzisiejszych lekarstw. Ponadto pozwalają one na pokonanie śmierci i na życie bez końca. Wszakże przykładowo jeśli ktoś źle się ubierze w chłodny dzień i np. złapie z tego powodu powiedzmy katar, wtedy mając wehikuł czasu może on cofnąć swój czas do tyłu, zaś w nowym przebiegu czasu już ubrać się właściwiej i uniknąć złapania kataru. Uniknięcie zaś złapania dowolnej choroby jest znacznie korzystniejsze i przyjemniejsze od jej leczenia. Na podobnej zasadzie daje się "wyleczyć" wehikułami czasu praktycznie każdą inną chorobę. Każda bowiem choroba ma swoje przyczyny. Przykładowo, niemal każda choroba układu pokarmowego wynika ze zjedzenia czegoś niewłaściwego (rozważ biegunkę czy bóle żołądka). Mając więc wehikuł czasu można ją łatwo wyeliminować poprzez cofnięcie się w czasie do tyłu oraz w nowym upływie czasu uniknięcie zjedzenia tego co spowodowało naszą chorobę. Z kolei np. rak płuc może być spowodowany wdychaniem pyłu azbestowego - stąd też można go odwrócić jeśli cofnie się czas do tyłu i uniknie wdychania tego pyłu. Praktycznie każdą też chorobę daje się wyeliminować jeśli możemy cofać swój czas do tyłu. W podobny sposób, mając wehikuły czasu, możemy uniknąć śmierci. Wszakże kiedy śmierć się przybliży, możemy wówczas cofnąć się w czasie do lat młodości i zacząć nasze życie od samego początku. Reasumując powyższe, zbudowanie wehikułów czasu wyeliminuje choroby i śmierć oraz okaże się być owym "lekarstwem na wszystko" o jakim ludzkość marzy już od tysiącleci.

Jak czytelnik doczyta się tego na moich stronach internetowych o teorii wszystkiego zwanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji oraz o sposobach osiągania już obecnie dostępu do nieśmiertelności i do życia bez końca, ja właśnie jestem tym naukowcem który (1) odkrył jak czas działa, który (2) wskazał prosty dowód wizualny jaki jest łatwo sprawdzalny przez każdego oraz jaki potwierdza poprawność moich odkryć na temat działania czasu, który (3) opracował zasady na jakich daje się cofać czas do tyłu, oraz który (4) wynalazł konstrukcję wehikułów czasu. Osądzając po moich dotychczasowych osiągnięciach, jest pewnym że ja również bym zbudował moje wehikuły czasu - gdybym otrzymał pomoc jakiej potrzebowałem. (Wszakże tak zaawansowane maszyny jak "wehikuły czasu" NIE mogą być zbudowane pod moim stołem kuchennym, a wymagają dostępu do odpowiednich laboratoriów badawczych oraz do prototypowni - którego to dostępu dotychczas byłem pozbawiany.)

Niestety, aby osiąść "wehikuły czasu" ludzie najpierw muszą zacząć wierzyć że wehikuły te faktycznie daje się zbudować. Tymczasem obecnie niemal nikt z ludzi NIE wierzy w ich możliwość. Z kolei bez wiary w wehikuły czasu niemal nikt mi NIE pomaga w ich zbudowaniu. Wszystko zaś to na przekór że prawda jest całkowicie odwrotna. W rzeczywistości bowiem do dzisiaj ja sam byłbym w stanie zbudować wehikuły czasu - co dokładniej uzasadniam w punkcie #A1 oraz #K1 do #K4 strony immortality_pl.htm - o tym jak nieśmiertelność i życie bez końca są już dziś osiągalne. Oczywiście, zbudowałbym je do dzisiaj gdybym otrzymał wymaganą pomoc już od 1985 roku - czyli od roku w którym

odkryłem jak czas działa, oraz w którym zrozumiałem że droga do cofania czasu do tyłu wiedzie poprzez zbudowanie urządzenia zwanego komorą oscylacyjną trzeciej generacji. (Wygląd ogólny takich "komór oscylacyjnych" jest pokazany na wideo pod adresami www.youtube.com/watch?v=svbVqGFnkQQ, www.youtube.com/watch?v=KrhRNTbpuE, lub <http://video.google.it/videoplay?docid=-6524822319379322289&hl=it>. Z kolei jak owa "komora oscylacyjna" cofa czas do tyłu - wyjaśniłem to m.in. w punkcie #I1 totalizycznej strony evolution_pl.htm - o ewolucji.) Gdyby już w owym 1985 roku pozwolono mi podjąć budowę wehikułów czasu, zaraz po tym jak wypracowałem możliwość i drogę do ich zbudowania, wówczas do dzisiaj, czyli po upływie około ćwierć wieku, wehikuly te z całą pewnością by już działały. Niestety, wielu ludzi wprost "przegina się do tyłu" aby mi przeszkodzić w podjęciu tej budowy. Co ciekawsze, ludzie ci uniemożliwiają mi podjęcie budowy wehikułów czasu na przekór że wskazałem wszystkim łatwo sprawdzalny wizualnie przez każdego, empiryczny dowód na fakt, że czas rzeczywiście jest zjawiskiem softwarowym i że faktycznie czas upływa małymi skokami - dokładnie tak jak działanie czasu wyjaśnia teoria wszystkiego zwana Konceptem Dipolarnej Grawitacji. Ów empiryczny dowód wizualny na skokowy upływ softwarowego czasu opisałem dokładnie w punkcie #D1 totalizycznej strony immortality_pl.htm - o tym jak nieśmiertelność i życie bez końca są już dziś osiągalne, a także w punkcie #D2 strony god_proof_pl.htm - z przeglądem naukowych dowodów na istnienie Boga. Niestety, jak narazie niemal nikt NIE zważa na istnienie tego dowodu, ani na perspektywę jakie otwiera on dla ludzi.

W taki oto sposób, mój produktywny czas na Ziemi z wolna dobiega końca zaś ludzie tracą szansę na uzyskanie nieśmiertelności, życia bez końca, oraz "lekarstwa na wszystko" przyjmującego postać "wehikułów czasu".

#H4. Jeśli więc czytelniku masz już dosyć lekarstw które "uzależniają" zamiast "wyleczyć", wówczas zacznij popierać budowę "wehikułów czasu":

W coraz intensywniejszej "pogoni za zyskiem" nasza cywilizacja stopniowo traci z widoku "dobro ludzi". Jednym z objawów tego tracenia jest m.in., że przykładowo zamiast opracowywać lekarstwa które "leczą" choroby, dzisiejsze koncerny farmaceutyczne promują lekarstwa które "uzależniają" od siebie i zadowolają się łagodzeniem symptomów - tak jak to wyjaśnia szerzej punkt #I1 poniżej. Jeśli więc ktoś raz zacznie używać owych lekarstw, jest przez nie zniewalany już do końca życia. Wielu ludzi o tym NIE wie. Wszakże takich informacji oficjalnie się nie ujawnia. Cierpią więc w milczeniu ponieważ NIE mają pojęcia że istnieje lepsze rozwiązanie. Czas więc aby owi ludzie się ocknęli i zaczęli naprawianie tej wypaczonej sytuacji. Wprawdzie w dzisiejszych systemach ideologicznych ludzkości nastawionych na maksymalizację zysków, nawyków owych koncernów farmaceutycznych NIE daje się już zmienić. Jednak istnieje inny sposób naprawienia sytuacji poprzez odebranie im mocy nad ludźmi na drodze zbudowania "wehikułów czasu". Niniejszym więc mam propozycję do czytelnika. Zamiast "siedzieć na rękach" i pasywnie akceptować zło jakie się wokół dzieje, czyż nie lepiej byłoby totalizycznie zacząć mi aktywnie dopomagać w moich wysiłkach podjęcia budowy "wehikułów czasu". Wszakże udzielenie mi takiej pomocy wcale NIE wymaga ani funduszy ani znacznego wysiłku. Wszystko co mi potrzebne to dostęp do laboratoriów i do prototypowni które już istnieją na licznych uczelniach, finansowane tam przez podatników. Z kolei aby otworzyć dla mnie ów (dotychczas dla mnie zamknięty) dostęp, na obecnym etapie wystarczy ograniczyć swą pomoc do promowania samej idei wehikułów czasu. (Jak najprościej udzielić mi owej pomocy - wyjaśniłem to w punktach #K1 do #K4 strony immortality_pl.htm - o tym jak nieśmiertelność i życie bez końca są już dziś osiągalne.)

Część #I: Przygrana moralnych zasad leczenia w konfrontacji z ludzką zachłannością:

#I1. Koniec "lekarstw które faktycznie leczą" w epoce "przekładania dochodu ponad wyleczeniem":

Motto: "Jest czystą głupotą cierpieć z powodu łakomstwa i prywaty innych."

Przez pechowy zbieg okoliczności, równocześnie z rozwojem medykamentów rosły też dochody i wpływy karteli farmaceutycznych. Kartele te wkrótce też odkryły, że lekarstwa które efektywnie i do końca leczą choroby, zamiast być źródłem dochodów dla owych karteli, stają się powodem utraconych możliwości zwiększania zarobków. Wszakże każdy całkowicie uleczony człowiek zaprzestaje kupowania lekarstw. Wkrótce też decydenci owych karteli zmienili zasady swojego postępowania. Przykładowo, coraz usilniej ograniczali finansowanie badań nad lekarstwami które całkowicie leczą chorych, oraz rozpoczęli stopniowe zawężanie produkcji takich lekarstw. Za to entuzjastycznie popierali oni rozwój, produkcję, oraz użycie lekarstw które dają ulgę w symptomach chorób, jednak które pozostawiają nieuleczonymi same choroby. Szczególne poparcie owych karteli uzyskały lekarstwa indukujące "ukryte uzależnianie" - czyli takie które raz użyte, zmuszają swoje ludzkie ofiary do brania danych lekarstw aż do końca życia. W najlepszy sposób owa "stawiająca zysk ponad wyleczeniem" polityka karteli farmaceutycznych opisana została w książce pióra Jacky Law o tytule "Big Pharma" (Constable, London 2006, ISBN 1-84529-139-5). Pozwolę sobie tutaj zacytować fragment z tylnej okładki owej książki: "Obok wszystkich tych korzyści które przynoszą, największe kampanie przemysłu farmaceutycznego z Pfizer, Merck, Sanofi-Aventis i GlaxoSmithKline na czele, coraz częściej konfrontują konflikt pomiędzy celami ich bogactwa korporacyjnego, oraz zdrowiem ludności. W szerokiej i niezależnej analizie nowoczesnego lecznictwa Jacky Law opisuje jak kilka korporacji zaczęło manipulować celami badań. Ujawnia ona system w którym nieustanny pościg za zyskiem powoduje zagłuszanie dobra publicznego." (W oryginale angielskojęzycznym: "For all benefits they bring, the pharmaceutical industry's biggest companies headed by Pfizer, Merck, Sanofi-Aventis and GlaxoSmithKline increasingly face a conflict between the goals of corporate wealth and public health. In a broad and independent analysis of modern healthcare Jacky Law shows how a small number of corporations have come to dominate the research agenda. She reveals a system in which the relentless pursuit of profit is crowding out the public good.")

Oczywiście, wkrótce się okazało, że korporacje farmaceutyczne wcale NIE są jedynymi wpływowymi instytucjami w których interesach leży zastąpienie "lekarstw które leczą", przez "lekarstwa które łagodzą symptomy ale nie eliminują choroby i są źródłem ukrytego uzależnienia". Przykładowo, takie zastąpienie leży też w interesie "drug administrations" z najróżniejszych krajów - czyli instytucji które decydują w danych krajach jakie lekarstwa będą tam dopuszczone do sprzedaży. Chodzi bowiem o to, że "lekarstwa które faktycznie leczą" eliminują potrzebę istnienia takich instytucji oraz zapotrzebowanie na "usługi" tychże instytucji, a stąd eliminują też źródło zarobku dla ich doskonale opłacanych zarządów. Wszakże na temat lekarstw które leczą, żadni "fachowcy" nie muszą podejmować decyzji - lekarstwa te przemawiają same za siebie. Natomiast w sprawie "lekarstw które jedynie eliminują symptomy, jednak nie leczą choroby a powodują ukryte uzależnienie" potrzebne są duże panele ekspertów którzy pomiędzy nimi wybierają i decydują jakie z tych lekarstw mają być dopuszczone na dany rynek. Stąd decydenci owych instytucji wkrótce też zrozumieli "gdzie leży ich chleb" i też zaczęli promować owe "lekarstwa łagodzące symptomy" zaś dyskryminować i prześladować "lekarstwa które faktycznie leczą".

Na dodatek do tego okazało się również że upowszechnianie owych "lekarstw jedynie łagodzących symptomy" leży też w interesie rządów i polityków. Wszakże w demokratycznych ideologiach aby utrzymać się przy władzy i być ponownie wybranym, rządy i politycy muszą być w stanie wykazać ludności jak bardzo starają się o dobro publiczne, ile wydają na służbę zdrowia, jak ogromne problemy muszą pokonywać, itp. Muszą też być w stanie planować na przyszłość, przewidywać wydatki, itp. Tylko zaś "lekarstwa które wcale nie leczą" umożliwiają im osiągnięcie tego wszystkiego. Wszakże "lekarstwa które faktycznie leczą" są trudne do zaplanowania, uniemożliwiają "wykazywanie się" i są potrzebne tylko losowo zależnie od tego ilu ludzi właśnie zachoruje na daną chorobę. Jako zaś takie całkowicie dezorganizują one działania rządów i plany polityków, demaskując ich niekompetencję.

W taki oto sposób nasza cywilizacja doszła więc do dzisiejszej sytuacji, kiedy to

podstawowym wymogiem nowoczesnych medykamentów jest aby tylko łagodziły one symptomy chorób powodujących ludzkie cierpienie, jednak w żadnym przypadku NIE wyleczyły owych chorób - czyniąc w ten sposób ludzi dożywotnymi niewolnikami karteli farmaceutycznych. Jeśli więc obecnie rozglądnijemy się dookoła, odnotujemy rzesze ludzi których życie zawsze w dokładnie taki sam sposób jest uzależnione od dożywotnio pobieranych lekarstw, niezależnie od tego jaka choroba ich gnębi. Dzisiaj aż żal ściska serce kiedy się widzi że ofiary najróżniejszych niemal nieistotnych chorób, w rodzaju nadciśnienia, alergii, przykrości żołądka, itp., aby załagodzić swoje cierpienia są zmuszeni do dożywotniego wydawania swoich ostatnich groszy w tak samo bezwzględny sposób jak ludzie zapadli na najcięższe choroby w rodzaju aids, cukrzyca, czy raka. Wszakże przy celach karteli farmaceutycznych nastawionych na nasilanie zysków, nikt już oficjalnie nie prowadzi poszukiwań "lekarstw na wszystko" ani nawet poszukiwań "lekarstw które naprawdę leczą".

Na szczęście, ciągle istnieją tzw. "alternatywne medycyny" oraz tzw. "ludowe medykamenty". Te zaś nadal leczą. Wcale też nie zarzuciły one swoich odwiecznych marzeń o znalezieniu "lekarstwa na wszystko". Na dodatek do tego, prace badawcze nad tzw. wehikulami czasu ujawniły perspektywy leczenia urządzeniami technicznymi zamiast leczenia medykamentami. Mianowicie, okazuje się że wyniki w walce ze śmiercią i z chorobami, które są znacznie efektywniejsze i moralniejsze od postępów nauk medycznych i farmaceutycznych, przyniesie ludzkości zbudowanie urządzenia technicznego jakie będzie w stanie cofać ludzi do tyłu w czasie. (Urządzenie to opisuję w punkcie #H3 powyżej.)

Filozofia totalizmu naucza, że aby poprawić sytuację w tej sprawie, ludzie powinni zacząć wprowadzać w życie "samoregulujące się mechanizmy moralne" opisywane w punkcie #B3.1 totalizycznej strony mozajski.htm. Przykładowo, powinny być ustanowione prawa, że lekarze (a także szpitale) otrzymują wynagrodzenie (tj. są płacone) tylko jeśli faktycznie wyleczą daną chorobę. W takiej bowiem sytuacji zaczęliby oni być żywotnie zainteresowani w "wyleczeniu", a NIE jak obecnie w "uzależnianiu" swoich pacjentów.

#12. Kampania "likwidowania konkurencji" prowadzona w imieniu koncernów farmaceutycznych, która uniemożliwia naszej cywilizacji znalezienie i upowszechnienie lekarstw jakie naprawdę leczą:

Lekarstwa mają to do siebie, że czasami są one wynajdowane przez indywidualnych ludzi, albo przez małe przedsiębiorstwa. To zaś wprowadza poważne zagrożenie dla dużych koncernów farmaceutycznych. Wszakże grozi ono że taki pojedynczy wynalazca, czy małe przedsiębiorstwo, przypadkowo odkryją lekarstwo, które rzeczywiście będzie leczyło jakąś poważną chorobę - a tym samym które zmniejszy zyski owych koncernów. Dlatego koncerny farmaceutyczne oraz instytucje rządowe działające w ich imieniu sekretnie wypowiedziały dobrze ukrytą, jednak bezwzględną wojnę wszystkim indywidualnym badaczom i małym przedsiębiorstwom usiłującym wynaleźć lub upowszechnić jakiegokolwiek nowe lekarstwo które leczy - jednak które nie pochodzi ze znanego koncernu. Ludzi takich (i przedsiębiorstwa) bezwzględnie się tępi, wodzi po sądach, surowo karze, itp. Wielu z nas zapewne też czytało w literaturze o istnieniu takiej sekretnej wojny w dawnych "barbarzyńskich" czasach. Przykładowo, to jej druzgocząca siła została kiedyś skierowana na staruszkę i genialnego wynalazcę szeroko obecnie znanego na całym świecie pod nazwiskiem Nikola Tesla (1856-1943). (Odnótuj że jego nazwisko pisane w serbskiej cyrylicy faktycznie brzmiało Никола Тесла.) Niewielu ludzi jest jednak świadomym, że owa sekretna wojna pod różnymi pozorami jest prowadzona również i dzisiaj. Przykładowo, w artykule "Couple fined for cure claims" (tj. "Para ukarana grzywną za twierdzenie leczenia") ze strony A4 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post, wydanie z piątku (Friday), January 16, 2009, opisany jest przypadek werdyktu sądowego wydanego parze mieszkańców Tauranga upowszechniającej lekarstwo homeopatyczne. Para ta została ukarana sumą 23400 dolarów ponieważ twierdziła że ich lekarstwo leczy, jednak w sądzie nie była w stanie przedstawić przekonujących ów sąd dowodów na swoje twierdzenia. Aczkolwiek krótki artykuł opisujący ów przypadek zapewne musiał pomijać wiele istotnych szczegółów, z jego treści wynikało że dobrą analogią i ilustracją

ukarania tamtej pary byłaby sytuacja kiedy oskarżeni twierdzili że NIE zabili niejakiego Kowalskiego, jednak sąd ciągle ich skazał ponieważ owi oskarżeni NIE byli w stanie udowodnić że faktycznie to ów Kowalski ciągle żyje i biega sobie radośnie po ziemi. Inymi słowy, z owego artykułu wynikało że tamta para została skazana w myśl filozoficznej zasady "winny aż udowodni swoją niewinność". Obecnie jednak jest wiadomo, że zasada ta była wprawdzie stosowana w czasach Inkwizycji i Rewolucji Francuskiej, jednak NIE powinna być już w użyciu w dzisiejszych czasach. Wszakże dzisiejsze sądy mają już technologię i możliwości aby swoje werdykty opierać na sprawiedliwszej zasadzie, mianowicie że "niewinny aż udowodni mu się winę". Taką też sprawiedliwszą zasadę sądy stosują w niemal wszystkich sprawach kryminalnych i w morderstwach - jednak, jak powyższy artykuł to ujawnia, najwyraźniej NIE w odniesieniu do wynalazców i twórców np. lekarstw. Co ciekawsze, na przekór że werdykt w sprawie wynalazczości nowych lekarstw powinien bazować na naukowych ocenach i metodach i stąd różnić się od sądenia np. morderców czy rabusiów, w omawianym tu przypadku wcale NIE uwzględniono tej odmienności. Przykładowo, z treści powyższego artykułu wcale nie wynika że spiesząc z wydaniem werdyktu skazującego sąd uprzednio wskazał oskarżonym przepisy, dokumenty prawne, oraz wytyczne, które wyraźnie i jednoznacznie by definiowały co faktycznie dla owego sądu stanowiłoby "konkluzywny dowód że dane lekarstwo leczy" - który to dowód wystarczałby dla przekonania owego sądu. Z artykułu wcale też nie wynika że oskarżeni otrzymali od sądu szansę oraz czas aby przygotować taki "konkluzywny dowód" zdefiniowany przez ów sąd i dopiero potem być osądzonymi - chociaż jest oczywistym że uzyskanie dowodu wymagałoby uprzedniego zdefiniowania przez sąd jaką formę dowód ten ma przyjąć, a dopiero potem mógł on być przygotowany przez oskarżonych. Z artykułu też NIE wynika iż sąd uwzględnił w swoim werdykcie sprawę nieistnienia jednoznacznych wytycznych jak dokładnie owi twórcy nowych lekarstw powinni informować społeczeństwo o zdolnościach leczniczych swoich nowych leków - tak aby ich informacja z jednej strony informowała rzetelnie o tym co twórcy owi ustalili, a jednocześnie nie była przedmiotem czyichś ataków legalnych. W końcu w swoim werdykcie sąd ów najwyraźniej nie zaadresował sprawy kosztów uzyskania owego "konkluzywnego dowodu" który byłby wystarczający aby sąd ów przekonać że lekarstwo faktycznie leczy. Tymczasem nie jest wiadomym aby istniał jakiś fundusz na dofinansowywanie wysiłków indywidualnych wynalazców lekarstw czy małych instytucji farmaceutycznych, tak aby te mogły uzyskiwać ogromnie kosztowne "konkluzywne dowody że dane lekarstwo leczy", które byłyby przekonujące w oczach dzisiejszych sądów.

Opisane powyżej prześladowania wynalazców nowych lekarstw są tylko jednym małym przykładem owych licznych blokad ponakładanych przez koncerny farmaceutyczne na rozwój "medykamentów które faktycznie by leczyły". Z faktu istnienia całego szeregu takich blokad wyłania się bardzo pesymistyczna perspektywa na przyszłość ludzkości. Wszakże obecna ideologia kapitalizmu pozwala aby jedne grupy ludzi legalnie czerpały zyski z krzywdy i cierpienia innych grup ludzi. Jeśli więc ludzkość nie zamieni kapitalizmu na jakąś ideologię która faktycznie zacznie dbać o dobro i szczęście normalnych ludzi (np. na totalizm), wówczas jestem gotów się założyć że ludzkość nigdy NIE uzyska powszechnie dostępnych lekarstw które będą faktycznie leczyły ciężkie choroby - takie jak rak, aids, cukrzyca, itp. Jedyne co moim zdaniem koncerny farmaceutyczne pozwolą upowszechnić, będą rodzaje medykamentów które będą tylko łagodziły następstwa tych chorób, pozwalając chorym przedłużać swoje życie w zamian za dożywotnie kupowanie owych medykamentów. Innymi słowy, w przyszłości zwykli ludzie coraz częściej będą konfrontowali dobrze ukryty szantaż stwierdzający "pieniądze albo życie" (a ściślej "jeśli kogoś nie stać, wówczas musi umierać").

Część #J: Podsumowanie, oraz informacje końcowe tej strony:

#J1. Podsumowanie tej strony:

Aż w kilku odmiennych krajach świata spotykałem się z twierdzeniem, że

faktycznie nasze choroby leczy Bóg a NIE lekarstwa czy lekarze. My jedynie musimy podjąć jakieś działania lecznicze które są wystarczająco zdeterminowane aby przekonać Boga, że nam naprawdę zależy na odzyskaniu zdrowia, oraz które zawierają w sobie wystarczający ładunek wiedzy aby przekonać Boga że zasłużyliśmy sobie na odzyskanie zdrowia. Jeśli zaś się przegładnie wykaz niezwykłych metod uzdrawiania i leczenia opisywanych na tej stronie, wówczas wygląda na to że powyższe twierdzenie faktycznie pokrywa się z prawdą.

#J2. Jak dzięki stronie "skorowidz.htm" daje się znaleźć totalizyczne opisy interesujących nas tematów:

Cały szereg tematów równie interesujących jak te z niniejszej strony, też omówionych zostało pod kątem unikalnym dla filozofii totalizmu. Wszystkie owe pokrewne tematy można odnaleźć i wywoływać za pośrednictwem skorowidza specjalnie przygotowanego aby ułatwiać ich odnajdowanie. Nazwa "skorowidz" oznacza wykaz, zwykle podawany na końcu książek, który pozwala na szybkie odnalezienie interesującego nas opisu czy tematu. Moje strony internetowe też mają taki właśnie "skorowidz" - tyle że dodatkowo zaopatrzone w zielone linki które po kliknięciu na nie myślą natychmiast otwierają stronę z tematem jaki kogoś interesuje. Skorowidz ten znajduje się na stronie o nazwie skorowidz.htm. Można go też wywołać z "organizującej" części "Menu 1" każdej totalizycznej strony. Radzę aby do niego zaglądnąć i zacząć z niego systematycznie korzystać - wszakże przybliża on setki totalizycznych tematów które mogą zainteresować każdego.

#J3. Proponuję okresowo powracać na niniejszą stronę po opisy dalszych metod folklorystycznego leczenia:

W celu poznawania dalszych metod leczenia i uzdrawiania używanych przez różne narody warto okresowo powracać do niniejszej strony. Z definicji strona ta będzie bowiem podlegała dalszemu udoskonalaniu i poszerzeniom, w miarę jak ja będę poznawał następne metody leczenia stosowane przez folklor ludowych krajów które będę odwiedzał.

Warto także okresowo sprawdzać blog totalizmu o adresach totalizm.blox.pl/html oraz totalizm.wordpress.com. Na blogu tym bowiem wiele zdarzeń omawianych na tej stronie naświetlane jest dodatkowymi informacjami spisowanymi w miarę jak zdarzenia te się rozwijają przed naszymi oczami.

#J4. Dane kontaktowe autora tej strony:

Aktualne adresy emailowe autora tej strony, tj. dra inż. Jana Pająka (a przez okres 2007 roku - Prof. dra inż. Jana Pająka), pod jakie można wysyłać ewentualne uwagi, zapytania, lub odpowiedzi na zadane tu pytania, podane są na stronie internetowej o mnie (dr inż. Jan Pajak - autobiografia). Tam również dostępne są adres pocztowy i numery telefonu autora.

Proszę też odnotować, że z powodu mojego chronicznego deficytu czasu, ja bardzo niechętnie odpowiadam na emaile, które zawierają TYLKO wykonawczo czasochłonne prośby, jednocześnie zaś dokumentują zupełną ignorancję ich autora w tematyce którą ja badam. Dlatego jeśli ktoś wysyła mi jakąś prośbę, proponuję aby jakoś udokumentował w swoim emailu że faktycznie zadał sobie trud przeczytania którejs z moich stron internetowych.

#J5. Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak:

Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak. Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza strona stanowi raport z wyników badań jej autora - tyle że napisany jest on popularnym językiem (aby mógł być zrozumiany również przez czytelników o nienaukowej orientacji). Idee zaprezentowane na tej stronie są unikalne dla badań autora i dlatego w tym samym ujęciu co na tej stronie (oraz co w innych opracowaniach autora) idee te uprzednio NIE były jeszcze publikowane przez żadnego innego badacza. Jako taka, strona ta prezentuje idee które stanowią intelektualną własność jej autora. Dlatego jej treść podlega tym samym

prawom intelektualnej własności jak każde inne opracowanie naukowe. Szczególnie jej autor zastrzega dla siebie intelektualną własność odkryć naukowych i wynalazków opisanych na tej stronie. Zastrzega więc sobie, aby podczas powtarzania w innych opracowaniach jakiegokolwiek idei zaprezentowanej na niniejszej stronie (tj. jakiegokolwiek teorii, zasady, dedukcji, interpretacji, urządzenia, dowodu, itp.), powtarzająca osoba oddała pełny kredyt autorowi tej strony, poprzez wyraźne wyjaśnienie iż autorem danej idei jest Dr Jan Pająk, poprzez wskazanie internetowego adresu niniejszej strony pod którym idea ta i strona oryginalnie były opublikowane, oraz poprzez podanie daty najnowszego aktualizowania tej strony (tj. daty wskazywanej poniżej).

* * *

If you prefer to read in English
click on the flag
(Jeśli preferujesz język angielski
kliknij na poniższą flagę)

Data założenia tej strony internetowej: 15 listopada 2005 roku.
Data jej najnowszego aktualizowania: 25 maja 2011 roku.
(Sprawdź pod adresami z "Menu 3" czy już istnieje nawet nowsza aktualizacja!)

Rozdział F:

PRACA ZAWODOWA AUTORA

Niniejszy rozdział F prezentuje strony która emawiają najróżniejsze aspekty poracy zawodowej autora. Jedyne problem z owymi stronami polega na tym, że prawie wszystkie one są dostępne jedynie w angielskojęzycznej wersji językowej. Dlatego w niniejszym polskojęzycznym opracowaniu NIE są one prezentowane. Jest jednak jedna strona która ma także wersję polskojęzyczną. Oto więc ona:

Podrozdział F1:

Upadek mojej nadziei na lepszą przyszłość, przełom techniczny, podróże międzygwiazdne, zmianę światopoglądu ludzi, itp.

Nasza cywilizacja coraz lekkomyślniej marnotrawi ostatnio potencjał twórczy, fachowość, oraz entuzjazm działania swoich obywateli. Rezultatem tego marnotrawienia jest, że zamiast podnoszenia poziomu ludzkiego życia, w ostatnich latach nasza marnotrawna cywilizacja zaczęła wyraźnie poziom ten obniżać. Na niniejszej stronie staram się zilustrować na przykładzie który znam najlepiej (tj. swoim własnym) na czym polega owo marnotrawstwo potencjału twórczego ludzi, osiągnięcia jakich celów ono uniemożliwia, do czego ono wiedzie naszą cywilizację, oraz jak powinniśmy z nim walczyć.

Część #A: Informacje wprowadzające tej strony:

#A1. Jakie są cele tej strony:

Cel niniejszej strony jest bardzo prosty. Mianowicie na przykładzie rzeczywistości istniejącej osoby której życie i twórczość jest mi najlepiej znana (tj. mnie samego), staram się zilustrować jak marnotrawne są procedury postępowania naszej cywilizacji, co wszyscy tracimy poprzez upieranie się przy owych procedurach, oraz w jaki sposób powinniśmy się zabrać za eliminowanie tego marnotrawstwa.

#A2. Historia tej strony:

Niniejszą stronę zacząłem opracowywać w dniu 22 lipca 2005 roku. Zdarzeniem które zainspirowało jej przygotowanie był fakt, że właśnie w owym dniu zostałem oficjalnie poinformowany przez mojego dziewiątego już z kolei pracodawcę, czyli przez dyrekcję Wellington Institute of Technology z Nowej Zelandii, że zmuszony jest wypowiedzieć mi pracę. Pracodawca ów dokonał owego zwolnienia podobno aby uchronić się przed eskalowaniem deficytu finansowego w obliczu dużego spadku liczby studentów. Jednak w jakieś dwa tygodnie po zakomunikowaniu mi owego faktu zwalniania mnie z pracy okazało się że ów pracodawca otrzymał od rządu wiele milionów dolarów właśnie na utrzymanie istniejącej kadry i na zabezpieczenie kontynuacji nauczania. Jednak nie spowodowało to już zmiany uprzednich decyzji w sprawie mojego zwolnienia ani zwolnienia z pracy kilku innych moich kolegów. Z powodu owej utraty pracy stanąłem wówczas przed ogromnie trudnym dla siebie zadaniem znalezienia następnego zatrudnienia. Jednym ze sposobów za pomocą jakiego zdecydowałem się wspierać swoje wysiłki znalezienia następnej stałej pracy, było przygotowanie pierwszej wersji niniejszej strony. Tamta pierwsza wersja niniejszej strony została zaprojektowana jako rodzaj jakby ogłoszenia umieszczonego w internecie, a stwierdzającego że szukam właśnie pracy, jestem w stanie dołożyć swój wkład twórczy w takim to a takim zakresie, jeśli ktoś potrzebuje tego rodzaju specjalisty proszę się ze mną skontaktować.

Niestety, lata mijały, a mi nie udało się już znaleźć jakiegokolwiek stałego zatrudnienia. Jedyne co w międzyczasie chwilowo przerwało moje długotrwałe bezrobocie odbywane bez otrzymywania zasiłku dla bezrobotnych (tj. bez pobierania nawet "doli"), to zaoferowane mi w 2007 roku krótkotrwałe, bo zaledwie 10-miesięczne, zaproszenie na profesurę uniwersytecką w przepięknej Korei Południowej. (O zaproszeniu tym piszę szerzej na stronie o mnie (dr inż. Jan Pająk).) Dzięki oszczędnościom które przezornie poczyniłem w czasach kiedy miałem jeszcze pracę, zdołałem jakoś przebiedować aż do

początku 2008 roku - zgodnie bowiem z miejscowym prawem NIE należał mi się nawet zasiłek dla bezrobotnych. Rok 2008 był przełomowy, bowiem okazało się wówczas, że cała planeta Ziemia, w tym kraj w którym ja mieszkam, wchodzi właśnie w jeszcze potężniejszy niż dotychczas kryzys ekonomiczny. Ogłoszenia prac o jakie mógłbym się ubiegać nagle powysychały. Wraz z nimi zniknęła też wszelka nadzieja że znajdę jakąkolwiek pracę przed odejściem na emeryturę. Pechowo też dla mnie, jakiś czas temu w ramach oszczędności kraj w którym mieszkam podniósł wiek odchodzenia na emeryturę z uprzednich 60 do obecnych 65 lat. (Od sporego też już czasu jej urzędasy nieustannie usiłują przeforsować prawo aby ponownie podwyższyć wiek nabywania tam prawa do otrzymywania emerytury, gdyby mogli to zapewne nawet do 70 lat - np. patrz punkt #C3 na stronie faq_pl.htm czy punkt #A4 na stronie god_proof_pl.htm.) Nie istnieje też w niej możliwość wcześniejszego odejścia na emeryturę - tak jak na to pozwala wiele innych krajów, np. Malezja. Zgodnie więc z jej prawem, aby mógł zacząć otrzymywać emeryturę i w ten sposób przestać w końcu żyć z oszczędności, zmuszony jestem odczekiwać aż do 2011 roku. Kiedy więc w maju 2008 roku zaczęły się zbliżać moje 62 urodziny, dotarło w końcu do mojej świadomości, że praktycznie nie ma już szans abym kiedykolwiek znalazł już jakąś następną stałą pracę. Zaniknął więc również powód aby utrzymywać poprzednią funkcję tej strony jako ogłoszenia internetowego informującego że "poszukuję pracy". Znacznie racjonalniejsze stawało się przeredagowanie tej strony w społecznie użyteczniejszą ilustrację następstw obecnego stanu rzeczy na Ziemi. W ten sposób powstała druga (niniejsza) wersja tej strony, której upowszechnianie w internecie zacząłem w maju 2008 roku. Wersję tą możnaby opisać słowami uświadomijmy sobie ile nasza cywilizacja marnotrawi poprzez uparte odmawianie prawa do pracy entuzjastycznym wynalazcom i odkrywcom z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem naukowym oraz z doskonale udokumentowanym, oryginalnym dorobkiem twórczym.

Część #B: Zdefiniujmy sobie co dokładnie nasza cywilizacja marnotrawi tylko w jednym (moim) przypadku - potem zaś pomnożmy to przez tysiące innych podobnych do mnie twórców którym dzisiejsza ludzkość też odmawia prawa do pracy oraz prawa do powiększania ich dorobku twórczego:

#B1. Urządzenia techniczne które ja kiedyś zamierzałem zbudować w swoim życiu i co do których wierzę że we właściwych warunkach byłbym w stanie je urzeczywistnić praktycznie:

Wszyscy chcemy wieść szczęśliwe, dostatnie, pokojowe, oraz spełnione życie. Jednak życia takiego nie osiągniemy tak długo, aż spełnione zostaną odpowiednie warunki. Przykładowo, nam samym jest ogromnie trudno podnosić poziom naszej własnej szczęśliwości, jeśli wokół nas wszyscy są nieszczęśliwi. Nie mamy też wielkiej szansy aby żyć w spokoju, jeśli wokół nas inni ludzie są mordowani. Będzie rzadkością wiedzenie dostatniego życia, jeśli surowce naszej planety ulegną wyczerpaniu. Nie zobaczymy wielu pięknych miejsc naszej planety, jeśli aby np. napełnić bak naszego samochodu wydać będziemy musieli całą pensję.

Jeśli ktoś przyglądnie się mojej działalności naukowej, wówczas odkryje, że wszystko w niej służy właśnie stworzeniu na Ziemi warunków dla prowadzenia szczęśliwego, dostatniego, pokojowego, oraz spełnionego życia przez każdego z nas. To przecież te moje bezkompromisowe wysiłki aby poprawić generalną sytuację na Ziemi, postawiły mnie w kolizji z owymi symbolicznymi "diabłami" i siłami zła, które spowodowały że od 2005 roku pozostaję bezzasiłkowo bezrobotny i zamiast pracować twórczo raczej zmuszony jestem wkładać całą swoją energię w poszukiwanie następnej stałej pracy.

Oczywiście, jak każdy inny mieszkaniec Ziemi, również i ty czytelniku chciałbyś wieść takie szczęśliwe, dostatnie, pokojowe, oraz spełnione życie. W twoim żywotnym interesie leży więc aby kontynuować realizowanie moralnej misji którą ja zacząłem urzeczywistniać na Ziemi. Częstką zaś twojej pomocy może być właśnie dopomożenie w przyszłości ludziom którzy podobnie jak ja starają się urzeczywistnić swoją pracą osiągnięcie przez ludzkość celów które podniosą poziom szczęśliwości i dobrobytu mieszkańców

naszej planety. Wszakże jeśli czytelniku natkniesz się w swoim życiu na takich ludzi i dopomożesz im w realizacji ich celów, wówczas ich sukces będzie przecież i twoim własnym sukcesem. Wszakże wszystko co oni uczynią służyło będzie, między innymi, również i tobie, twoim potomkom, oraz wszystkim tym których kochasz. Postarajmy się więc razem poprawiać sytuację w jakiej wszyscy się znajdujemy.

Aby dać tutaj jakieś wyobrażenie co do rodzaju poprawy naszej wspólnej sytuacji którą moglibyśmy wszyscy uzyskać poprzez zwykłe dopomaganie twórczym ludziom z naszego otoczenia, rozważmy tutaj jakie korzyści ludzkość by uzyskała gdyby stworzyła warunki które tylko w jednym moim przypadku by pozwoliły zrealizować którekolwiek z urządzeń technicznych jakie ja osobiście wynalazłem i rozpracowałem. Proszę przy tym odnotować że używam tutaj swojego przykładu tylko ponieważ jest mi on najlepiej znany, a stąd najłatwiejszy do opisanie zgodnego z prawdą. Jednak podobne korzyści ludzkość by uzyskała poprzez wspieranie twórczej pracy praktycznie dowolnego wynalazcy czy odkrywcy. Wszakże dotychczasowe procedury działania ludzkości, przykładowo jej tendencje do uwalniania z uwięzi tzw. przekleństwa wynalazców opisanego w punkcie #D1 strony internetowej boiler_pl.htm - o historii rewolucyjnej grzałki która bije wszelkie rekordy, zmuszają co bardziej twórczych mieszkańców Ziemi aby tracili swe siły i energię głównie na poszukiwanie pracy i źródła utrzymania, zamiast na realizację swoich zamierzeń. Z kolei owo tracenie sił i energii skutecznie uniemożliwia im praktyczną realizację któregokolwiek ze swoich wynalazków, odkryć, czy urządzeń technicznych. Przeglądnijmy więc teraz razem najważniejsze z urządzeń technicznych które ja albo sam wynalazłem, albo też dla kogoś rozpracowałem, a których urzeczywistnienie byłoby możliwe gdyby społeczeństwo zamiast zmuszać mnie do nieustannego poszukiwania pracy, raczej stworzyło mi warunki abym w spokoju i w konstruktywnej atmosferze mógł realizować owe urządzenia w ramach posiadanej pracy zawodowej:

1. Komora oscylacyjna. Jest to najbardziej istotne urządzenie jakie osobiście wynalazłem. Jest to też jedno z owych dwóch kluczowych urządzeń, zbudowanie których stawiałem sobie jako cel mojego życia i każdej mojej następnej pracy - kiedykolwiek zostawałem zmuszany aby szukać nowej pracy. Ewentualne stwarzanie wymaganych warunków dla badań i rozwoju owej komory oscylacyjnej zawsze było też pierwszym posunięciem i sprawdzeniem jakie dokonywałem w każdym swoim nowym miejscu pracy. Niestety, na przekór że w swoim życiu pracowałem aż w 10 odmiennych uczelniach, w żadnej z nich NIE zaistniały warunki w których mógłbym podjąć badania nad ową komorą. Komora oscylacyjna jest jednocześnie urządzeniem mojego wynalazku, którego dopracowanie, zbudowanie i upowszechnianie powstrzymywane jest najusilniej i najbardziej przez owo przekleństwo wynalazców opisywane na szeregu moich stron oraz wspomniane już wcześniej na tej stronie. Komora oscylacyjna opisana jest dokładnie w rozdziale F z tomu 2 mojej najnowszej monografii [1/5]. W podrozdziale F9 z owego tomu 2 monografii [1/5] udokumentowany też został niewypowiedziany ogromny wpływ jaki zbudowanie tego urządzenia wywrze na naszą cywilizację. Krótkie zaprezentowanie tej komory zawarte jest też na kilku totalizacyjnych stronach internetowych, np. na: oscillator_chamber_pl.htm - o budowie, działaniu i zastosowaniach komory oscylacyjnej, magnocraft_pl.htm - o statku kosmicznym napędzanym polem magnetycznym z komory oscylacyjnej, czy na propulsion_pl.htm - o magnetycznych urządzeniach napędowych bazujących na komorze oscylacyjnej. Podsumujmy teraz w ogromnym skrócie czym właściwie jest owa komora oscylacyjna. Najłatwiej dałoby się ją opisać jako akumulator energii o nieograniczonej wielkiej pojemności, a jednocześnie magnetyczne urządzenie napędowe. Jedną z jej funkcji jest bowiem, iż na nasze życzenie jest ona w stanie wytwarzać tak potężne pole magnetyczne, że po jej odpychającym zorientowaniu względem pola magnetycznego Ziemi, komora ta jest w stanie ulecieć w przestrzeń. Jako taka jest ona w stanie reprezentować napęd dla magnetycznych wehikułów latających o konstrukcji tzw. "magnokraftu" opisanego poniżej. Z kolei zdolność owej komory do akumulowania teoretycznie nieograniczonych ilości energii, oznacza że w przyszłości będzie ona w stanie całkowicie wyeliminować dzisiejsze elektryczne linie przesyłowe (wszakże energia będzie wówczas transportowana po upakowaniu w owe komory

oscylacyjne), transformatory, silniki spalinowe, akumulatory energii, benzynę, tankowce, spaliny, zapylenie powietrza, itp. Jakże lepszy i piękniejszy świat będzie bez nich!

Wielu badaczy podejmowało już próby budowy komory oscylacyjnej. Przykład jednej z tych prób udokumentowany został w internecie pod adresem <http://video.google.it/videoplay?docid=-6524822319379322289&hl=it>. W podrozdziale S5 z tomu 15 monografii [1/5] opisałem też przesłanki, że w przeszłości była ona już zbudowana na Ziemi co najmniej jeden raz (rozważ działanie biblijnej "Arki Przymierza"). Jednak aby doprowadzić jej budowę do pełnego sukcesu i masowego wdrożenia, konieczne jest głębokie zrozumienie wszystkich jej niuansów (które ja już osiągnąłem). Niestety, w poprzednich przypadkach jej budowy, zamin inni budowniczości osiągnęli ten wymagany poziom jej zrozumienia, zwykle dawali za wygraną.

2. Bateria telekinetyczna. Jest to również urządzenie mojego wynalazku. Dokładnie opisałem je w podrozdziale LA2.4 z tomu 10 monografii [1/5], oraz na stronach internetowych [free_energy_pl.htm](#) - o telekinetycznych generatorach darmowej energii, [fe_cell_pl.htm](#) - o ogniwie telekinetycznym i [boiler_pl.htm](#) - o szokującej historii rewolucyjnej grzałki która bije wszelkie rekordy. (Odnotuj że zarówno monografia [1/5], jak i strony [free_energy_pl.htm](#), [fe_cell_pl.htm](#) i [boiler_pl.htm](#), dostępne są z tej strony za pośrednictwem "Menu 2" oraz "Menu 4".) Urządzenie to jest owym drugim kluczowym urządzeniem które chciałem budować na każdym swoim następnym miejscu pracy, niestety dla budowania i badań którego nigdy NIE dane mi było znaleźć wymaganych warunków. Zasada działania baterii telekinetycznej opiera się na wykorzystaniu zjawiska telekinezy, reprezentującego dokładną odwrotność zjawiska tarcia (tj. podobnie jak tarcie pochłania ruch i wyzwala ciepło, telekineza pochłania ciepło a wyzwala ruch). Urządzenia działające na tej zasadzie zostały już zbudowane na Ziemi. Ich przykładami są słynne urządzenia nazywane "Testatica", oraz Thesta-Distatica, kiedyś szeroko demonstrowane przez szwajcarską komunę religijną o nazwie "Methernitha". Niestety, mroczne moce w których szponach Ziemia się znajduje, zdołały zablokować ich upowszechnianie. Tymczasem gdyby udało się doprowadzić do seryjnej produkcji tych urządzeń, wówczas nasza matka Ziemia uwolniona zostałaby od praktycznie wszelkich obecnie trapiących ją plag, a więc od zapylenia, wyczerpujących się zasobów naturalnych, drożyzny, ograniczeń, itp.

3. Magnokraft. Magnokraft jest to statek kosmiczny z napędem magnetycznym (też mojego wynalazku). Magnokraft NIE był włączony do listy owych dwóch kluczowych urządzeń których budowę oceniałem za całkowicie realną jeszcze w tym swoim życiu. Jednak gdybym zdołał zbudować komorę oscylacyjną, która stanowi właśnie "pędnik" dla magnokraftu, wówczas sam ten statek mógłby potem zostać już łatwo zbudowany przez innych ludzi. Magnokraft dokładnie opisany został w rozdziale G z tomu 3 monografii [1/5]. Bardzo skrótowa prezentacja owego statku zawarta jest także na kilku totalizacyjnych stronach internetowych, np. na [magnocraft_pl.htm](#) - o statku kosmicznym napędzanym polem magnetycznym z komory oscylacyjnej, [propulsion_pl.htm](#) - o magnetycznych urządzeniach napędowych bazujących na komorze oscylacyjnej, czy na [oscillatory_chamber_pl.htm](#) - o budowie, działaniu i zastosowaniach komory oscylacyjnej. Po tym jak zbudowana zostanie komora oscylacyjna, zbudowanie magnokraftu stanie się już tylko kwestią czasu. Z kolei po jego zbudowaniu dla Ziemi otwarte zostaną nielimitowane zasoby kosmosu. Ciekawostką magnokraftu jest, że może on zostać zbudowany bez nawet jednej ruchomej części. W ten sposób będzie to najprawdopodobniej najtańszy statek kosmiczny na Ziemi, na którego zbudowanie stać będzie nawet małe państwa takie jak Polska.

4. Nadajnik i odbiornik telepatyczny. Są to urządzenia które umożliwiają komunikowanie się za pośrednictwem zupełnie odmiennego nośnika informacji niż fale elektromagnetyczne. Ich opis zawarty jest na totalizycznej stronie [telepathy_pl.htm](#) - o telepatii i urządzeniach telepatycznych. Nośnik ten jest używany przez nasze umysły m.in. do telepatycznego (nieświadomego) komunikowania się między sobą. Stąd jednym z następstw zbudowania nadajników i odbiorników telepatycznych będzie, że ludzie m.in. nauczą się jak na odległość odczytywać cudze myśli, włączając w to również myśli zwierząt. Będą też wówczas w stanie "wkładać" określone myśli do umysłów innych ludzi i

zwierząt. Aczkolwiek zbudowanie takiego nadajnika i odbiornika telepatycznego celowo wyłączyłem już ze swoich własnych planów działania, po zbudowaniu baterii telekinetycznej droga do ich budowy zostanie otwarta dla innych badaczy. Wszakże nadajnik i odbiornik telepatyczny, w podrozdziale K2 z tomu 9 monografii [1/5] opisany pod nazwą "piramida telepatyczne", zawiera w sobie właśnie baterię telekinetyczną jako swój główny i najważniejszy podzespół. Kiedy więc zdołamy zbudować tą baterię i poznamy jak ona działa, jednocześnie dowiemy się jak zbudować i spowodować zadziałanie owej piramidy telepatycznej. W takim więc przypadku, prawdopodobnie szybko znajdzie się jakiś inny badacz, który piramidę tą urzeczywistni praktycznie. Z kolei po jej urzeczywistnieniu, dla ludzkości otworzy się dostęp do wszystkich tych niezliczonych korzyści z opanowania owej nowej technologii myślowego komunikowania się pomiędzy sobą, jakie wyjaśniłem w podrozdziałach K2.7 do K7 z tomu 9 monografii [1/5].

5. Teleskop telepatyczny. Jest to teleskop umożliwiający obserwację obiektów dowolnej wielkości na dowolną odległość i to bez względu na to gdzie owe obiekty by się nie schowały. Stąd teleskopy telepatyczne umożliwiają np. obserwowanie górników pod ziemią, czy nawet ludzi z odwrotnej półkuli Ziemi. Więcej informacji na ich temat zawarte jest w podrozdziale K5.1 z tomu 9 mojej najnowszej monografii [1/5] - "Zaawansowane urządzenia magnetyczne".

6. Sejsmograf Zhang Henga. Jest to niezwykle urządzenie zbudowane na Ziemi niemal 2000 lat temu. Umożliwia ono zdalne wykrywanie nadchodzących trzęsień ziemi. Uprzednio jednak nasi naukowcy nie mieli pojęcia jak ono działa. Z tego powodu wielokrotnie powtarzane próby aby je zrekonstruować na zasadzie mechanicznej zakończyły się porażkami. Dopiero moje badania pozwoliły na wyjaśnienie jego hydraulicznej zasady działania. Gdyby udało się je zbudować, ów zdalny wykrywacz trzęsień ziemi posiada moc uratowania niezliczonych istnień ludzkich oraz ogromnych ilości mienia. Jego relatywnie dobry opis zawarty jest na stronach internetowych seismograph_pl.htm - o sejsmografie Zhang Henga, oraz artefact_pl.htm - o tajemniczym artefakcie przypominającym sejsmograf Zhang Henga. Ja nie sądzę abym kiedykolwiek miał realistyczną szansę osobistego podjęcia budowy tego urządzenia. Do jego zbudowania nawołuję wszakże bezskutecznie już od wielu lat. Niemniej wierzę, że jeśli zdołam zbudować wskazane poprzednio dwa kluczowe urządzenia, czyli "komorę oscylacyjną" oraz "baterię telekinetyczną", wówczas zachęci to innych badaczy do zawierzenia owej hydraulicznej zasadzie działania którą ja im wskazuję i do zbudowania również owego Sejsmografu Zhang Henga.

7. Wehikuł czasu. Podobnie jak Magnokraft, także wehikuł czasu NIE jest włączony do wykazu urządzeń które zamierzałem zrealizować w swoim życiu. Faktycznie jednak, gdybym znajdował się w innych warunkach i miał możliwości realizacyjne takie jakimi dysponuje wielu innych badaczy, wówczas prawdopodobnie byłbym w stanie urzeczywistnić także i ten wehikuł w przeciągu jednego życia. Wehikuł czasu opisany jest dokładniej na totaliztycznej stronie timevehicle_pl.htm - o działaniu czasu, podróżowaniu przez czas, oraz o wehikułach czasu.

* * *

Powiniem tutaj dodać, że przeglądy mojego dorobku twórczego podobne do niniejszego, tyle że dokonywane z nieco odmiennych niż tutaj punktów widzenia, pozostawiane są także w kilku innych moich opracowaniach. Najbardziej wyczerpujący z takich przeglądów dorobku zawarty został w podrozdziale W4 z tomu 18 mojej najnowszej monografii [1/5] - "Zaawansowane urządzenia magnetyczne". Dalsze skrótove przeglądy dorobku zaprezentowane zostały w punktach od #D2 do #H2 ze strony pajak_jan.htm - z moją autobiografią (dr inż. Jan Pajak), a także w punkcie #F1 strony humanity_pl.htm - zawierającej totaliztyczne receptury na udoskonalanie świata.

#B2. Moje teoretyczne osiągnięcia badawcze i naukowe które kiedyś zamierzałem powdrażać do codziennego życia i co do których wierzę że spełniają one wszelkie wymogi aby w warunkach kiedy nikt ich nie blokuje dały się one powdrażać przynosząc ogromne korzyści dla całej ludzkości:

Warto tutaj też odnotować, że urządzenia techniczne opisane w poprzednim punkcie wcale nie reprezentują wszystkiego co twórczo wypracowałem i nad czym prowadziłem badania naukowe, oraz nad czym zamierzam prowadzić "hobbystyczne" badania praktycznie aż do końca swego życia. Wszkże ja rozwinąłem i przebadalem również wiele teoretycznych konceptów i idei. Dokonajmy tutaj krótkiego przeglądu chociaż najważniejszych z nich (w kolejności ich istotności dla naszej cywilizacji):

1. Koncept Dipolarnej Grawitacji. Jest on zupełnie nową (wysoce twórczą) teorią naukową którą rozwinąłem i którą będę udoskonaliał praktycznie aż do końca swoich dni. Opis tego konceptu zawarty jest na stronie [dipolar_gravity_pl.htm](#) - o Konceptie Dipolarnej Grawitacji. Koncept Dipolarnej Grawitacji jest faktycznie ową od dawna poszukiwaną teorią wszystkiego, czyli rodzajem szlaku dedukcyjnego który pozwala wypracować wyjaśnienie dla praktycznie każdego uprzednio niewyjaśnionego zjawiska. Przykładowo, teoria ta dostarcza wyjaśnień dla telekinezy, telepatii, natury czasu, energii, grawitacji, pogody, klimatu, istnienia Boga, budowy człowieka, struktury materii, pochodzenia wszechświata, itd., itp.

2. Totalizm. Filozofia totalizmu jest najlepszym przykładem nowych, twórczych idei które ja rozwinąłem (i nadal rozwijam). Celem totalizmu jest dostarczenie prostych receptur na życie, które umożliwiają uczynienie szczęśliwszymi wszystkich ludzi którzy filozofię tą praktykują. Opisowi tej filozofii poświęcone są m.in. tomy 6 do 8 monografii [1/5], a ponadto specjalna strona internetowa [totalizm_pl.htm](#) - o totalizmie czyli o najmoralniejszej filozofii na Ziemi.

3. Naukowe dowody na istnienie Boga, nieśmiertelnej duszy ludzkiej, innego świata, stworzenia ludzi przez Boga, itp. Jak podkreślam to też w następnym punkcie, dzisiejsza oficjalna nauka ziemską NIE posiada metod dla badania inteligencji innych niż inteligencja ludzi. Głównym powodem jest, że praktycznie wszelkie metody dzisiejszych naukowców bazują na powtarzalności, przewidywalności zachowań, możliwości dokonywania eksperymentów, podatności na testy, itp. Tymczasem owe inne inteligencje nie wykazują tendencji do kooperowania z naukowcami którzy usiłują je badać w sposób podobnie uległy i powtarzalny jak z naukowcami tymi kooperuje martwa natura. Stąd istnieniu owym innych inteligencji, w tym istnieniu Boga, nauka ta jedynie potrafi zaprzeczać. Z tego zapewne powodu jestem pierwszym i nadal jedynym naukowcem na Ziemi, który opracował całą serię naukowych dowodów sporządzonych metodami logiki matematycznej, na istnienie tego czego istnieniu nauka dotychczas autorytatywnie zaprzeczała, tj. Boga, nieśmiertelnej duszy ludzkiej, innego świata, stworzenia ludzi przez Boga, itp. Dowody te opublikowałem zarówno w mojej naukowej monografii [1/5], jak i na totaliztycznych stronach w Internecie. Oto gdzie zainteresowani czytelnicy są w stanie je znaleźć: (a) formalny dowód naukowy na istnienie Boga – zaprezentowany w podrozdziale I3.3.4 z tomu 5 monografii [1/5], a także w punkcie #B3 odrębnej strony internetowej [god_pl.htm](#) - poświęconej świeckiemu i naukowemu zrozumieniu Boga; (b) formalny dowód naukowy na istnienie tzw. "przeciw-świata" (nazwa "przeciw-świat" to naukowa nazwa dla świata popularnie zwanego "tamnym światem" lub "zaświatem", tj. świata w którym mieszka Bóg i do którego po śmierci przechodzą nasze dusze) - który to dowód zaprezentowany został w podrozdziale H1.1.4 z tomu 4 monografii [1/5], a także w punkcie #D3 odrębnej strony internetowej poświęconej omówieniu relatywnie nowej teorii naukowej nazywanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji; (c) formalny dowód naukowy że ludzie posiadają wiecznie istniejącą duszę - zaprezentowany też w podrozdziale I5.2.1 z tomu 5 monografii [1/5]. a także w punkcie #C1.1 strony internetowej [nirvana_pl.htm](#) - o niezwykłym zjawisku "totaliztycznej nirwany" które jest w stanie zastąpić dzisiejsze wynagradzanie pracy pieniędzmi; oraz (d) formalny dowód naukowy że pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta stworzeni zostali przez Boga (a NIE powstałi w wyniku czysto przypadkowej tzw. "naturalnej ewolucji") - zaprezentowany on został w podrozdziale I1.4.2 z tomu 5 monografii [1/5], a także w punkcie #B6.2 odrębnej strony internetowej poświęconej omówieniu [evolution_pl.htm](#) - o udziale Boga w procesie ewolucji. Na dodatek do powyższych dowodów formalnych, w punktach #F1 do #F3 strony internetowej [biblia.htm](#) - o autoryzowaniu Biblii przez samego Boga, zaprezentowany jest obszerny naukowy materiał

dowodowy dotychczas przeaczany lub ukrywany przez oficjalną naukę, który bezpośrednio dokumentuje istnienie Boga, duszy, innego świata, itp.

4. Formalny dowód naukowy na istnienie UFO. Dotychczasowa oficjalna nauka ziemską NIE wypracowała sobie jeszcze metod pozwalających na badanie inteligencji innych niż inteligencja ludzka. Jedyne co nauka ta narazie potrafi badać, to martwa natura która zachowuje się w sposób bezmyślny, łatwy do przewidzenia, oraz wysoce powtarzalny. Jeśli jednak nauka ta zostaje skonfrontowana z kimś inteligentnym, czyich reakcji NIE potrafi przewidzieć ani zaplanować, czyich technologii nie rozumie, oraz czyje motywacje różnią się od ślepej powtarzalności martwej natury, jedyne co dzisiejsza nauka potrafi zrobić, to zaprzeczać istnieniu takiej inteligencji. Dlatego formalne dowiedzenie istnienia UFO wymagało najpierw adoptowania odmiennych metod dowodzenia, niż metody używane dotychczas w nauce. Dowód na istnienie UFO opracowany więc został za pomocą metody "dopasowywania atrybutów" która na Ziemi używana jest głównie w dowodzeniu zmyślnych przestępstw, w wywiadzie militarnym, oraz przez myśliwych tropiących inteligentnie zachowującą się zwierzynę. W całej swej rozciągłości dowód ten publikowany jest w podrozdziale P2 z tomu 14 mojej najnowszej monografii [1/5]. Jego omówienie zawiera także kilka totaliztycznych stron internetowych, np. patrz cała strona [ufo_proof_pl.htm](#). Podpiera go też materiał dowodowy zaprezentowany np. na totaliztycznych stronach [evil_pl.htm](#), [aliens_pl.htm](#), [memorial_pl.htm](#), czy [evidence_pl.htm](#). W końcu fotograficzny materiał dowodowy oraz metoda dowodzenia użyte w owym formalnym dowodzie na istnienie UFO skrótkowo zaprezentowane są na stronie [ufo_proof_pl.htm](#) - o formalnym dowodzie naukowym na istnienie UFO.

5. Idea nowego systemu ideologicznego nastawionego na maksymalizację szczęścia wszystkich obywateli. Ten nowy system ideologiczny opisany został bardziej szczegółowo na totaliztycznej stronie [partia_totalizmu.htm](#) - o drodze do wiecznej szczęśliwości wszystkich ludzi. W systemie tym wynagradzanie za pracę na rzecz społeczeństwa dokonywane byłoby NIE (jak dzisiaj) w jednostkach monetarnych, a w jednostkach tzw. energii moralnej która ludziom umożliwia utrzymywanie się z stanie tzw. nirwany.

6. "Zorientowany obiektowo" system prawny. System taki pozwalałby na zmniejszenie liczby praw oraz przywrócenie ludzkiej kontroli nad eskalującymi się prawami. Idea tego systemu opisana jest w punkcie #D2 strony [humanity_pl.htm](#) - dyskutującej totaliztyczne receptury na udoskonalanie ludzkości.

7. "Energetyczny model ekonomii". W modelu tym pieniądze (waluty) wpływające na nasz dobrobyt i na naszą sytuację ekonomiczną traktuje się jako rodzaje "mediów" które są w stanie absorbować, przenosić, oraz uwalniać odpowiednie energie. Stąd w owym "modelu energetycznym ekonomii" pieniądze (tj. waluty odmiennych krajów) są po prostu rodzajami "mediów" które gromadzą lub uwalniają określone energie (np. pracę ludzką, siłę nabywczą, dewaluację, itp.). Wyjaśniając to poglądowo, w owym "modelu energetycznym" pieniądze spełniają dokładnie te same funkcje w mechanizmach ekonomicznych dowolnego kraju, co różne "media robocze" wypełniają w odmiennych urządzeniach napędowych (co np. "para wodna" wypełnia w mechanizmach lokomotywy, zaś np. "gorące spaliny" wypełniają w silnikach naszych samochodów). Z kolei taki "model energetyczny ekonomii" pozwala na wyciąganie najróżniejszych wniosków na temat jak szybko i efektywnie poprawić dobrobyt narodu, co źle służy ekonomii, itp. Szersze opisy owego modelu, włączając w to opisy najważniejszych rekomendacji które z niego wynikają, zawarte są w punkcie #D4 strony internetowej [partia_totalizmu.htm](#) - o drodze do wiecznej szczęśliwości wszystkich ludzi.

8. Zasada cykliczności w rozwoju napędów. Jestem też jej autorem. Zasada ta, m.in. wskazuje nam jak budować napędy które ciągle jeszcze NIE istnieją na Ziemi (m.in. wskazała ona jak zbudować magnokraft). Jej opis zawarty jest m.in. w "części #B" ze strony [propulsion_pl.htm](#) - o magnetycznych urządzeniach napędowych bazujących na komorze oscylacyjnej.

9. Telekinetyczne rolnictwo. Pozwala ono na uzyskiwanie około 12-krotnie

większego i szybszego wzrostu roślin. Aczkolwiek rolnictwo to jest wiedzą typu praktycznego (uprawa roślin), a nie teoretycznego, ja sam nie byłem w stanie go urzeczywistnić z prostej przyczyny że nigdy nie byłem właścicielem jakiegokolwiek ogródka, ani nie pracowałem w swoim życiu na jakiegokolwiek uczelni o rolniczym zorientowaniu. Znam jednak efekty wzrostu roślin w natelekinetyzowanej glebie ze swoich badań miejsc w których wylądowały telekinetyczne wehikuły UFO (jedno z takich miejsc jest pokazane na "I3" ze strony newzealand_pl.htm). Ponadto, z moich badań miejsca eksplozji wehikułu UFO koło miejscowości Tapanui w 1178 roku, która to eksplozja skaziła telekinetycznie cały obszar Nowej Zelandii, jest mi wiadomo że np. drzewa do dzisiaj rosną w Nowej Zelandii około 5 razy szybciej niż rosną one w Europie. Stąd porosty lasów w Nowej Zelandii faktycznie w nieuświadomiany przez ludzi sposób wykorzystują zasady i zalety "telekinetycznego rolnictwa". Dzięki temu mała Nowa Zelandia jest jednym z większych producentów i eksporterów drewna na świecie. Telekinetyczne rolnictwo opisane jest w podrozdziale KB2 z tomu 9 monografii [1/5] - "Zaawansowane urządzenia magnetyczne".

10. Idea programowania "wszystko w jednym". Tuż przed zwolnieniem mnie z pracy na Wellington Institute of Technology, czyli począwszy od 21 maja 2005 roku, zająłem się rozwojem zupełnie nowej idei komputeryzacji, którą nazywam "wszystko w jednym". Chociaż rozpracowywanie owej idei zostało raptownie przerwane zwolnieniem mnie z pracy już w dwa miesiące później, ciągle do 22 lipca 2005 roku (w którym to właśnie dniu zostałem zwolniony z pracy) zdołałem zaprogramować już drugi prototyp tzw. "totalizycznej klawiatury" która reprezentuje praktyczne wdrożenie owej idei. Ową totalizyczną klawiaturę, w jej stanie rozwoju z dnia 22 lipca 2005 roku, daje się znaleźć na całym szeregu totalizycznych stron internetowych noszących nazwę keyboard_ru.htm.

* * *

Na przekór że wszystkie powyższe teorie, idee, oraz koncepty zostały już dopracowane w praktycznie każdym szczególe, jakieś mroczne moce usilnie chociaż sekretnie blokują ich upowszechnienie i wdrożenie do codziennego życia. Objawem owego usilnego choć sekretnego blokowania mojego dorobku jest że NIE jestem w stanie niemal nigdzie opublikować tego dorobku, że nie wolno mi było nad nim oficjalnie porać na uczelniach na których byłem zatrudniony, oraz że kiedykolwiek gdzieś ukaże się wzmianka na temat tego dorobku, wzmianka owa jest usilnie sabotażowana, ukrywana i oczerniana przez jakieś anonimowe indywidua. Wynik tych skrytych prześladowań owego twórczego dorobku teoretycznego jest, że na przekór iż mój dorobek naukowy jest dopracowany do końca i że czynię wszystko co w mojej mocy aby go szeroko upowszechnić, ludziom którym dorobek ten byłby w stanie dopomóc celowo odbierana jest przez jakieś zamaskowane indywidua wszelka szansa na zapoznanie się z tym dorobkiem i na łatwy dostęp do jego rzeczowych opisów. W rezultacie, gdziekolwiek poruszane są tematy które ja już przebadałem, w omówieniach owych tematów starannie unikane jest choćby nawet wzmiankowanie wyników moich badań i wniosków do jakich ja doszedłem.

#B3. Przykład jaki wielki postęp wniosłoby wdrożenie w życiu choćby najmniej istotnego z moich pracowań teoretycznych, tj. idei komputeryzacji zwanej "wszystko w jednym":

Gdybym więc zdołał znaleźć miejsce pracy które umożliwiłoby mi zbudowanie owych dwóch kluczowych urządzeń technicznych które wskazałem poprzednio, owo miejsce pracy pozwoliłoby zapewne również na kontynuowanie upowszechniania i aktualizowania owych teoretycznych konceptów i idei których jestem autorem, a które tak potrzebne są dzisiejszym ludziom.

Aby dokładniej tu zilustrować, jak duży postęp wniosłoby praktyczne wdrożenie w życiu również któregośkolwiek z tych moich teoretycznych konceptów i idei, przyglądnijmy się dokładniej owej nowej idei komputeryzacji, którą wypracowałem najbardziej ostatnio. Ideę tą nazywam "wszystko w jednym", zaś narzędzie softwarowe które ją praktycznie realizuje nazywam "klawiaturą totalizyczną". Wyjaśnijmy więc sobie teraz w skrócie, co to takiego owa nowa idea komputeryzacji zwana "wszystko w jednym". Ci czytelnicy, którzy czasami programują komputery, zapewne już się zorientowali, że wszystkie komputeryzowane prace (np. obliczenia) daje się podzielić na dwie zasadnicze kategorie,

mianowicie na (a) prace powtarzane wielokrotnie (np. sporządzanie bilansu przez banki), oraz (b) prace wykonywane tylko jednorazowo (np. przeliczanie w domu towarowym który z oferowanych tam właśnie produktów posiada najkorzystniejszy dla nas stosunek ceny do wagi). Prace powtarzane wielokrotnie warto jest komputeryzować poprzez sporządzanie dla nich programów. Wszakże duży nakład czasu i wysiłku na wykonanie tych programów zwróci się potem z nawiązką kiedy programy te są użytkowane. Jednak prace wykonywane tylko jednorazowo nie nadają się do zaprogramowania. Wszakże duży nakład czasu i wysiłku na wykonanie dla nich programów nigdy by się nie zwrócił. Stąd np. prace obliczeniowe wykonywane jednorazowo albo realizujemy przy użyciu kalkulatorów, albo też nadal ręcznie. Potężna moc obliczeniowa dzisiejszych komputerów wogóle nie jest do nich angażowana. Jest to godna pożałowania sytuacja, bowiem tracimy przez nią spory potencjał oferowany nam przez najnowszą technikę.

Kiedy w 21 maja 2005 roku zacząłem sporządzać rodzaj uniwersalnej klawiatury wirtualnej, nagle sobie uświadomiłem, że owa klawiatura daje się uczynić nieskończenie uniwersalna, oraz że jej jednej można nadać całą tą potężną moc obliczeniową jaką dysponuje dany komputer. W rezultacie, taka niewielka klawiatura może otrzymać wszystkie te możliwości obliczeniowe, które dzisiaj posiadają tylko najbardziej rozwinięte języki programowania. Jednak ciągle utrzyma ona przy tym swoją prostotę i ciągle da się ją używać tak jak zwykły kalkulator - czyli dla jednorazowych prac obliczeniowych. W ten właśnie sposób powstała owa nowa idea komputeryzacji "wszystko w jednym". Idea ta polega na tym, aby w jednej prostej klawiaturze zawrzeć wszystkie te możliwości przetwarzania danych, które normalnie dostępne są użytkownikom jedynie w postaci ogromnie skomplikowanych języków programowania. W takim bowiem przypadku, owe potężne możliwości obliczeniowe zostaną udostępnione ludziom do wykonywania jednorazowych prac obliczeniowych. Natychmiast po wpadnięciu na ową ideę zacząłem budować prototypową klawiaturę, która wdraża praktycznie ową ideę "wszystko w jednym". Niestety, właśnie wówczas moje wysiłki zostały raptownie przerwane zwolnieniem mnie z pracy. Do chwili owego zwolnienia, w opracowywaną przez siebie klawiaturę zdołałem włożyć jedynie około dwóch miesięcy dorywczego programowania i przemyśleń. Tymczasem, aby tak potężne narzędzie obliczeniowe dopracować do końca, moim zdaniem konieczne byłoby włożenie w jego przemyślenie, badanie, testowanie, oraz dopracowywanie programowe, nie mniej niż jeden cały rok pracy pojedynczego badacza.

Całe szczęście, że do czasu utraty pracy zdołałem już zaprogramować drugi z kolei prototyp owej totalizacyjnej klawiatury urzeczywistniającej ideę "wszystko w jednym". Aczkolwiek ów prototyp ciągle pozostawia dużo do życzenia w zakresie ergonomii, przyjacielskości wobec użytkownika, oraz mocy obliczeniowej jaka mu została już nadana, ciągle doskonale ilustruje on na czym owa idea "wszystko w jednym" ma polegać. Po sprawdzeniu więc jak on działa, czytelnik uzyska dosyć dobre wyobrażenie jak ta nowa idea komputeryzacji "wszystko w jednym" jest w stanie ułatwić oraz wesprzeć wszelkie jednorazowe prace obliczeniowe. Wszakże czytelnik już sam może sobie dopowiedzieć, że w dalszych prototypach tego potężnego narzędzia softwarowego oba okienka owej klawiatury dawałyby się dowolnie powiększać i pomniejszać, że oba jej alfabety literowe (tj. obecny rosyjski i obecny polski) można uczynić wymienne, tak że użytkownik mógłby sobie dowolnie wybrać praktycznie każdy z obecnie istniejących na świecie alfabetów niełacińskich, oraz dowolny alfabet bazujący na literach łacińskich jaki tylko istnieje na świecie, że jej możliwości edycyjne można zwiększać aż dorównają one tym z WORDa, czy WORD-PERFECTa, że liczbę funkcji matematycznych i przeliczeń jednostek fizycznych daje się zwiększać w sposób praktycznie niczym nielimitowany, że wykonywane obliczenia można dalej uprościć i ułatwić poprzez nadanie klawiaturze możliwości "wyluskiwania" z tekstu wartości poddawanych przeliczeniom, oraz wpisywania wyników w dowolnie wskazane miejsce, że do jej mocy przerobowej można dodawać grafikę, animacje, itd., itp. Praktycznie, po pełnym zrealizowaniu, owa nowa idea "wszystko w jednym" faktycznie pozwalałaby użytkownikom na ogromnie proste i łatwe używanie za pomocą tylko tej jednej klawiatury wszystkiego co tylko dzisiejsze komputery mają do zaoferowania. A jest tego już naprawdę dużo. Zresztą, nawet już w swojej obecnej, dalekiej od doskonałości postaci,

klawiatura ta może być z powodzeniem użytkowana dla ułatwienia nam całego szeregu prac obliczeniowych, językowych, transliteracyjnych, edytorskich i konwersyjnych, jakie wykonujemy. Ponadto dostarcza ona nam idei (pomysłu) którą daje się teraz rozwijać np. poprzez opieranie na niej prac dyplomowych i doktoratów z nauk komputerowych. Z kolei, po jej rozwinięciu do praktycznie użytecznego poziomu, będzie ona w stanie ułatwić życie ogromnej liczbie ludzi którzy potrzebują skomputeryzować jakieś wykonywane przez siebie jednorazowo działania.

Oczywiście, ogromny potencjał owej nowej idei komputeryzacji "wszystko w jednym" wcale się nie kończy po jego zaprogramowaniu na komputer i udostępnieniu od dawna oczekującym na niego zwykłym użytkownikom. Wszakże jego zaprogramowanie na komputery otworzy jednocześnie możliwość jego zastosowania w innych obszarach. Przykładowo, relatywnie łatwo koncept ten daje się przerzucić na telefony komórkowe. Po takim przerzuceniu, każdy telefon komórkowy działałby praktycznie jak totaliztyczna klawiatura "wszystko w jednym" podłączona do sieci komputerowej o dużej mocy obliczeniowej. Nie trzeba zaś już wyjaśniać jak nasze życie zostanie ułatwione, kiedy użytkownicy każdego telefonu komórkowego nagle otrzymają do ręki moc przeliczeniową najpotężniejszego języka programowania i komputera, wyzwalaną z prostotą operowania zwykłego kalkulatora.

#B4. Cały mój dorobek jest udokumentowany, stąd pozwala na klarowne oszacowanie co nasza cywilizacja marnotrawi poprzez utrzymywanie mnie na bezrobociu i uniemożliwianie mi urzeczywistnienia choćby części tego dorobku:

Ja osobiście znalazłem się w szczęśliwej sytuacji. Wszakże końcowa część mojego życia przypadała w czasach kiedy internet ciągle się rozwijał nie NIE miał jeszcze ponakładanych na siebie owych licznych ograniczeń które od dawna mają już wdrożone wszelkie tradycyjne sposoby publikowania dorobku naukowego. Moja więc dobra znajomość internetu umożliwiła mi jego wykorzystywanie do opublikowania tej części swojego dorobku naukowego, którego opublikowanie w tradycyjny sposób było usilnie sabotowane przez najróżniejsze mroczne moce. Dzięki temu, na przekór licznych przeszkód i utrudnień stwarzanych na mojej drodze, ciągle wszystko co wynalazłem, odkryłem, lub wypracowałem, byłem jednak w stanie opisać i internetowo przekazać do wiadomości innych. Stąd w przypadku mojej twórczości jest możliwe oszacowanie ile nasza cywilizacja traci poprzez uniemożliwienie mi zrealizowania moich twórczych idei. Niestety, nigdy się NIE dowiemy, jak wielu innych ludzi również wynalazło, odkryło, lub wypracowało coś ogromnie cennego, co w przypadku urzeczywistnienia podniosłoby niepomiernie poziom naszej cywilizacji. Tyle że w przeciwieństwie do mnie, ci inni nigdy nie znaleźli się w sytuacji aby mogli poinformować ludzkość o swoich wynalazkach czy odkryciach. Albo bowiem ich społeczeństwo NIE dało im szansy na zdobycie wymaganego wykształcenia i możliwości publikacyjnych, albo też przykładowo wylądowali na jednej z rozlicznych wojen które nasi nieodpowiedzialni przywódcy bez przerwy rozpętują na świecie, oraz zostali na owej wojnie zabici. Jest przerażające jak bardzo nasza cywilizacja jest marnotrawna w tym co ma najcenniejszego, oraz jak wiele pieniędzy i ludzkiego wysiłku wkłada ona właśnie w eskalowanie owego marnotrawstwa ludzkiej twórczości.

Część #C: Co było wymagane dla urzeczywistnienia moich wynalazków, odkryć, ustaleń i teorii:

#C1. Które moje cechy umożliwiałyby osiągnięcie powyższych celów życiowych:

Aczkolwiek instytucje, szczególnie państwowe, zdają się działać niezależnie od tego kto w nich pracuje, faktycznie czyni dla nich dużą różnicę jeśli zatrudniają ludzi właściwego kalibru. Przykładowo jeśli któryś z ich pracowników jest szeroko znany, również sama instytucja staje się znaną. Jeśli któryś z jej pracowników odniesie sukces, jest to także sukcesem danej instytucji, itp. Dlatego, przynajmniej w teorii, wszystkim instytucjom zdaje się głośno zależeć aby przyciągać do siebie możliwie najlepszych pracowników.

Niestety, łatwo odnotować, że obecni pracodawcy zwykle NIE wiedzą jakie atrybuty powinny być demonstrowane przez "najlepszego pracownika". Dlatego gdyby, dla przykładu, sam Jezus żył dzisiaj wśród nas i poszukiwał pracy, najprawdopodobniej też miałby poważne kłopoty z praktycznie niemal każdym dzisiejszym pracodawcą. Ponadto, zapewne, większość dzisiejszych kolegów zawodowych wcale nie zaoszczędziłaby mu typowych przykrości, plotek, oraz zawodowej rywalizacji. Przez powyższe staram się powiedzieć, że ponieważ dzisiejsi pracodawcy NIE mają klarownego obrazu czego poszukują w swoich pracownikach, praktycznie żaden pracownik, nawet ten którego cały świat uważa za najlepszego, w oczach tychże pracodawców nie jest dla nich wystarczająco dobry.

W przypadku jednak opisywanym na tej stronie, tj. kiedy jest doskonale wiadomym jakie cele dany pracownik powinien starać się osiągnąć, można też łatwo zdefiniować jakie cechy ów pracownik powinien wykazywać. Poniżej dokonamy razem przeglądu owych cech. Warto tutaj przy tym odnotować, że ja wykazałem się już posiadaniem każdej z nich. Stąd dla urzeczywistnienia celów wyszczególnionych powyżej byłem właściwym kandydatem. Tym bardziej więc szkoda że społeczeństwo tak zmarnotrawiło moje możliwości wykonawcze i potencjał twórczy. Oto wykaz najważniejszych walorów, które powinien wnosić hipotetyczny pracownik obarczony zadaniem urzeczywistnienia wynalazków, teorii, oraz idei, opisanych poprzednio:

1. Wielodyscyplinarne doświadczenie zawodowe. Wszakże każdy z wynalazków, odkryć i teorii opisywanych poprzednio akumuluje w sobie wiedzę z całego szeregu dyscyplin. W moim przypadku wypełniałem ten warunek. Wszakże jestem zawodowym naukowcem od 1970 roku (czyli nieustannie przez 35 lat). Na przekór też że w tym długim okresie czasami byłem bezrobotnym (np. w latach 1990 do 1992, oraz następnie począwszy od roku 2005 aż do dzisiaj), nadal prowadziłem wówczas prace badawcze nad opisanymi wcześniej wynalazkami, odkryciami, teoriami, ideami, itp. W pozostałym czasie zawsze miałem pracę na jakiejś uczelni. Podczas swojej dotychczasowej kariery zawodowej wykładałem na uczelniach w 5 krajach, tj. w Polsce (przez 12 lat), w Nowej Zelandii (przez około 15 lat), na Cyprze (przez 1 rok), w Malezji (przez 3 lata), na tropikalnej wyspie Borneo (przez 2 lata), oraz w Korei Południowej (przez 10 miesięcy). Zajmowałem stanowiska od najniższego (np. ostatnie, tj. to które straciłem w 2005 roku, było na poziomie "Academic Staff Member" - co jest najniższym stanowiskiem na owej uczelni), aż do stanowiska pełnego Profesora (na które byłem zaproszony do Korei na okres 10 miesięcy). Wykładałem też i prowadziłem badania w kilku zupełnie odmiennych dyscyplinach naukowych. Przykładowo, niezależnie od całej masy zawodowych przedmiotów wykładanych w naukach komputerowych oraz w inżynierii mechanicznej, wykładałem także (na wstępnym poziomie uniwersyteckim) elektryczność, elektronikę, mechanikę, oraz dyskretną matematykę.

2. Biegłość w języku angielskim. Nowe wynalazki, odkrycia, teorie, oraz idee które opisywane są na tej stronie wymagają propagowania po świecie w języku angielskim. Ja zaś spełniam ten wymóg. Wszakże począwszy od 1982 roku, czyli przez ostatnie 23 lata, na uczelniach na jakich pracuję bez przerwy prowadzę wykładanie wyłącznie w języku angielskim. Językiem angielskim - i to w jego najtrudniejszej, bo technicznej wersji, posługuję się więc płynnie zarówno w mowie jak i w piśmie. Faktycznie też ja wykładałem po angielsku na wielu nie-angielskojęzycznych uczelniach na świecie, wszakże wszędzie wprowadza się tam ostatnio po kilka wykładów, w których językiem wykładania jest właśnie angielski. Szczególny nacisk kładzie się tam także na to, aby po angielsku wykładany był jakiś przedmiot zawodowy leżący w specjalizacji danych studentów, przykładowo coś z inżynierii mechanicznej dla mechaników, coś z komputeryzacji dla informatyków, coś z fizyki lub mechaniki dla nauczycieli, itp. Chodzi bowiem o to, aby studenci każdego nie-angielskojęzycznego kraju poznali praktycznie terminologię swojej dyscypliny w języku angielskim, oraz praktycznie opanowali umiejętność korzystania z angielskojęzycznej literatury fachowej. Wszakże w chwili obecnej, literatury angielskojęzycznej jest na świecie znacznie więcej niż literatury w języku dowolnego innego kraju. Nie wiem, czy takie wykładanie przedmiotów zawodowych w języku angielskim praktykowane jest już obecnie

w Polsce. Jeśli nie - ja usilnie rekomenduję aby jak najszybciej je tam zainicjować. Jeśli zaś tak, ja je z całego serca pochwalam.

3. Znaczący i konkretny dorobek naukowy. Wszakże osoba pracująca nad nowymi wynalazkami, odkryciami, teoriami i ideami musi być w stanie dokumentować, opisywać, oraz udostępniać swój dorobek innym do wglądu. Ja ponownie wypełniam i ten wymóg. Przykładowo, w części #B powyżej wyszczególniłem tylko swoje najbardziej znane wynalazki techniczne i osiągnięcia naukowe. Na dodatek do nich istnieje jednak także inny ogromny dorobek jaki osiągnąłem. Przykładowo, w zakresie publikacji, jestem autorem:

16 referatów na konferencje naukowe,

15 artykułów w czasopismach naukowych (tj. artykułów zatwierdzonych przez referentów naukowych),

16 artykułów w czasopismach popularno-naukowych,

1 dysertacji doktorskiej,

22 monografii naukowych,

2 skryptów uczelnianych,

2 opublikowanych książek,

6 raportów dla przemysłu (z zakończonych projektów badawczych).

Z kolei użytkownicy internetu znają mnie zapewne z moich stron internetowych. W chwili pisania niniejszej informacji miałem ich około 90-ciu w stanie czynnym. W pierwszej połowie 2005 roku ich liczniki wskazywały w sumie około 1000 nowych tzw. "hits" (odwiedzin) na dzień.

4. Biegłość w komputeryzacji i informatyce. Nowe wynalazki i odkrycia wymagają licznych sprawdzeń, symulacji, wyliczeń, itp., które powinny być dokonywane z użyciem komputerów. Ponadto, biegłość w komputeryzacji jest szczególnie przydatna na badaniach pozaformatycznych, w których jednak prowadzący je ludzie typowo pozostają nieco w tyle za rozwojem informatyki na świecie. Tymczasem w każdej dyscyplinie, szczególnie zaś w tych które dotyczą lub sprowadzają się do dokonywania badań eksperymentalnych, uzyskane wyniki należy popularyzować w internecie, prezentować zainteresowanym, upowszechniać, udostępniać, itp. Ja ponownie spełniam i to wymaganie. Wszakże, jak to się mówi, "zęby zjadłem" w takich właśnie działaniach. Moje zdolności informatyczne dosyć łatwo udokumentować. Wystarczy np. w wyszukiwarce "google.com" wpisać moje nazwisko i zobaczyć ile stron internetowych referuje do badań jakie prowadzę. Innym sposobem udokumentowania moich zdolności informatycznych, jest zademonstrowanie niektórych z potężnych możliwości "totalizycznej klawiatury" którą osobiście opracowałem i zaprogramowałem w celu praktycznego wdrożenia zupełnie nowej idei komputeryzacji jaką opisałem powyżej pod nazwą "wszystko w jednym". Klawiaturę tą daje się znaleźć na całym szeregu totalizycznych stron internetowych, poprzez uruchomienie tam strony [all_in_one.htm](#).

5. Nawyk do ciężkiej pracy i brak narowów. Aby wypracować i zgromadzić unikalny dorobek naukowy opisany w części #B tej strony, niestety konieczne jest pracowanie każdego dnia po kilkanaście godzin. Ja osobiście taką ciężką i zorientowaną na efekty pracę obecnie mam już we krwi. Stała się ona moją drugą naturą. Ten nawyk do efektywnej i wydajnej pracy prawdopodobnie wywodzi się z mojej moralnej filozofii osobistej nazywanej totalizmem. Wszakże totalizm może właśnie się poszczycić, że jest on najbardziej moralną, pokojową, konstruktywną, satysfakcjonującą oraz pobudzającą do pracy filozofią w świecie. Ci co wyznają totalizm nie mają w zwyczaju wymyślać komuś bezpodstawnie, pokazywać fochy lub zawiść, plotkować, poniżać, itp. W każdej sytuacji starają się oni być obiektywni i "fair". Ponadto, totalizm czyni ludzi relatywnie szczęśliwymi i spełnionymi. Dzięki jego praktykowaniu totaliści wcale nie są jednymi z tych gburnych, zgorzkniałych, nieużytych i sarkastycznych twardogłowców, z którymi trudno współżyć. Typowy totalista zawsze jest uśmiechnięty, uprzejmy, grzeczny, z poczuciem humoru, oraz gotowy do pośmiania się z czyichś dowcipów. Oczywiście, w obliczu odpowiedzialności jaka spoczywa, na jakimś totaliście, a także ze względu na naturę prowadzonych prac, każdy totalista zwykle przez większość czasu docenia wartość powagi i skupienia. Jednak wiadomym jest także że każdy człowiek na Ziemi nie we wszystkim co czyni, ani nie

wszystkim w co wierzy, będzie w 100% odpowiadał wszystkim innym ludziom. (Wszakże znane przysłowie stwierdza, "jeszcze się taki nie urodził, co by wszystkim dogodził".) Przykładowo, totalizm nie pozwala aby dawać się komuś atakować bezkarnie. Obronę, tyle że dokonywaną moralnymi metodami, a także mówienie prawdy, nazywanie rzeczy po imieniu, oraz usuwanie powodów panoszącego się zła, totalizm podnosi do rangi naszego moralnego obowiązku. Dlatego na każdy atak totaliści starają się odpowiadać moralną obroną. Starają się też demaskować zło i niesprawiedliwość nawet jeśli nie mają osobistego interesu w ujawnieniu danych ich manifestacji. Ponadto starają się mówić to co wierzą że w danej sprawie reprezentuje prawdę, nawet jeśli jest to bolesne lub niepopularne u innych ludzi.

6. Sława. Wdrożenia wynalazków i odkryć opisanych w części #B tej strony jest w stanie dokonać jedynie "osoba substancji", znaczy ktoś kto jest już szeroko znany ze swoich dokonań. W moim własnym przypadku ponownie spełniam i ten wymóg - faktycznie gdybym miał odpowiednie warunki byłbym w stani wdrożyć to co wcześniej opisałem. Wszakże na przekór że filozofia totalizmu którą praktykuję w swoim życiu codziennym nie nakłania do szukania sławy czy zysku, już sam fakt że ja jestem twórcą totalizmu, twórcą teorii wszystkiego zwaną "Konceptem Dipolarnej Grawitacji", oraz wynalazcą całego szeregu zaawansowanych urządzeń technicznych, sławę to samorzutnie generuje. Niezależnie więc jakie by nie były poglądy poszczególnych ludzi na to co badam i czynię, fakt pozostaje faktem, że są one poznawane przez nieustannie wzrastającą liczbę ludzi. Z kolei taka wrastająca znajomość mojego dorobku świadczy, że chociaż zwolna oraz z oporami wynikającymi z konieczności przełamywania licznych blokad nałożonych przez wrogów moralności i postępu, ciągle to co szynię i upowszechniam zaczyna zdobywać coraz większą sławę i uznanie. Jaka więc szkoda że owa sława i uznanie nie osiągnęły jednak poziomu przy którym pozwolono by mi zrealizować to co wynalazłem, odryłem, oraz wypracowałem.

#C2. Wszystko więc co było wymagane abym był w stanie urzeczywistnić swoje wynalazki, odkrycia i opracowania, to pozwolić mi rozwijać to co jest moją pasją, zamiast zmuszać mnie do badania tego co moi przełożeni i koledzy uważali za modne i potrzebne:

Jak ujawniły to wyjaśnienia z poprzedniego punktu, realizacja moich wynalazków, odkryć i ustaleń byłaby prosta. Po prostu wystarczyłoby mi pozwolić pracować w warunkach które już istnieją na większości uczelni, oraz pozwolić mi tam zajmować się tym co stanowi moją pasję, a nie tym co stanowiło pasję moich przełożonych. Faktycznie też powyższe jest prawdą w przypadku większości twórczych wynalazców i odkrywców - po prostu zamiast im przeszkadzać, wystarczy im pozwolić czynić to co stanowi ich pasję.

#C3. Jeśli danego wynalazku czy odkrycia nie pozwoli się urzeczywistnić jego oryginalnemu twórcy, wówczas jego wdrożenie będzie wymagało nakładów większych o dziesiątki razy:

Wszelkie prace ludzkie daje się podzielić na dwie kategorie, tj. prace powtarzalne - np. rolnictwo czy produkcja w fabryce, oraz na prace twórcze - np. formowanie wynalazków czy odkryć. W owych "pracach powtarzalnych" wydajność poszczególnych ludzi jest w przybliżeniu tego samego rzędu. Przykładowo, najlepsza maszynistka jest w stanie przepisać dany tekst na klawiaturze co najwyżej dwa razy tak szybko jak przeciętna maszynistka. Jednak w "pracach twórczych" wydajność poszczególnych ludzi zaczyna się różnić o rzędy wielu dziesiątków razy. Przykładowo, w dyscyplinie naukowej zwanej "inżynieria softwarowa" (po angielsku "Software Engineering") dokonywano badań porównawczych pomiędzy wydajnością najlepszych programistów oraz przeciętnych programistów. Jak zaś wiadomo, produkt pracy programistów jest właśnie produktem twórczym. Jak też się okazało, najlepsi programiści mogą być około 60 razy aż tak wydajni jak przeciętni programiści. Wyrażając to innym słowami, jeśli ktoś zatrudni u siebie takiego twórczego super-programistę z kategorii owych "najlepszych", wówczas ów jeden programista wykona pracę około 60 innych programistów. Czyli faktycznie wkład produkcyjny tego jednego pracownika zastępuje wkłady całej sporej fabryki pełnej

przeciętnych programistów.

Wynalazki i odkrycia które ja osiągnąłem w swojej twórczej działalności i które prezentuję na tej stronie, należą właśnie do kategorii "wysoce twórczych". Praktycznie to oznacza, że gdyby ktoś usiłował je uzyskać poprzez zatrudnienie przeciętnych naukowców, musiałby ich pozatrudniać całe dziesiątki dla tego samego efektu. A wcale to nie uwzględnia faktu, że tacy przeciętni naukowcy praktycznie nigdy mogliby nie wpaść na pomysły i idee które stoją u podstaw moich osiągnięć. Pamiętać też trzeba, że aby podnieść innych naukowców na ten sam co ja poziom znajomości tematyki w której ja tworzę, musieliby oni spędzać wiele lat na praktycznie bezproduktywnym tylko podnoszeniu swojej wiedzy. Podsumowując powyższe innymi słowami, odmówienie mi prawa do urzeczywistnienia moich wynalazków praktycznie oznacza, że kiedy ludzkość w końcu dojrzeje do podjęcia ich realizowania, będzie to kosztowało dziesiątki a może nawet setki razy więcej niż koszt tych samych osiągnięć w przypadku gdyby mi pozwolone je wprowadzić w życie. Czyż nie jest to ogromne marnotrawstwo potencjału i możliwości twórczych? Czy społeczeństwo które utrzymuje mnie na bezzasiłkowym bezrobociu faktycznie na tym tylko oszczędza? Czy nie byłoby korzystniej dać mi pracę w wymaganych warunkach i pozwolić mi urzeczywistnić to co urzeczywistnić jestem faktycznie w stanie?

Część #D: Zilustrujmy (na moim przykładzie) w jakich warunkach społeczeństwo nie marnowało by entuzjazmu i talentów indywidualnych ludzi, oraz co w warunkach takich dałoby się osiągnąć:

#D1. Zdefiniujmy jaki "idealny rodzaj pracy" pozwalałby na osiągnięcie celów które opisałem w części #B tej strony:

Jak być może czytelnik się orientuje, moja sytuacja jest raczej szczególna, jeśli nie wyjątkowa. Niemniej prawdopodobnie doskonale odzwierciedla ona sytuację każdego wysoce twórczego człowieka, a stąd warto się jej dokładniej przyglądnąć. W moim przypadku, z jednej strony niemal całe swoje życie produktywnego naukowca i wynalazcy poświęciłem jednemu celowi ogromnie ważnemu dla naszej cywilizacji. Mianowicie rozwojowi nowego rodzaju urządzeń, teorii i idei, które po urzeczywistnieniu kompletnie zrewolucjonizują ludzkość i życie na Ziemi. Jakie są to rodzaje urządzeń, teorii i idei, wyjaśniam skrótowo w części #B powyżej. Z drugiej zaś strony, w chwili oryginalnego pisania niniejszego punktu miałem już 59 lat (w 2005 roku), zaś kiedy aktualizowałem ten punkt ponownie w 2008 roku miałem już 62 lata. Praktycznie więc pozostało mi bardzo niewiele czasu aby chociaż najważniejsze z owych urządzeń, faktycznie zbudować, upowszechnić i wdrożyć do masowej produkcji. Oczywiście, aby takie zrealizowanie stało się możliwe, niezbędne byłoby zaistnienie dosyć szczególnych warunków. Opiszmy więc obecnie owe warunki, bowiem może się zdarzyć, że i czytelnik tej strony znajdzie się kiedyś w mojej sytuacji. Będzie wówczas wiedział jakich warunków powinien od początku poszukiwać. Aby zilustrować te warunki, w niniejszym punkcie poświęconym owej "idealnej pracy" która umożliwiłaby zrealizowanie urządzeń, odryć i idei opisanych uprzednio postaram się wyjaśnić dokładnie nie tylko "co" czy "gdzie", ale także "jak" i "dlaczego". Chodzi bowiem o to, aby czytelnik był w stanie lepiej zrozumieć jakie warunki w mojej opinii musiałyby zostać spełnione aby umożliwiły one doprowadzenie np. do zbudowania owych ogromnie ważnych urządzeń - i to na przekór, że od początku ich istnienia wszyscy diabli i całe piekło jakby przeciwko nim się sprzysięgło.

Teoretycznie rzecz biorąc, na zbudowanie zupełnie nowych urządzeń pozwolić powinna niemal każda praca badawcza która gwarantuje dostęp do laboratorium badawczego oraz do prototypowni. Jak jednak dotychczasowa historia owych urządzeń nas poucza, nie każda praca pozwala na ich upowszechnienie i wdrożenie do masowej produkcji. Wszakże urządzenia te posiadają potencjał do generowania ogromnych zysków. Dają one również ich posiadaczom niespotykaną wcześniej władzę nad innymi ludźmi. Z ich przeszłości więc nam wiadomo, że np. gdy zostają zbudowane w jakimś laboratorium prywatnym, lub w laboratorium jakiejś generującej zysk instytucji czy grupy, w owym

laboratorium natychmiast znajduje się ktoś kto posiada władzę lub legalną przewagę nad budowniczym owych urządzeń, poczym ów ktoś właśnie z powodów owego zysku i władzy "zamyka" prototypy tych urządzeń i uniemożliwia ich wyjście na świat. W ten właśnie sposób zmarnowane zostały dla ludzkości wszystkie uprzednie prototypy odpowiedników "baterii telekinetycznej" (tj. prototypy urządzeń znanych w świecie pod nazwą "Testatica" oraz "Thesta-Distatica"). W taki również sposób zmarnowany został dla ludzkości jedyny prototyp "komory oscylacyjnej" o jakiego istnieniu jest mi wiadomo. Wniosek jaki z tego wynika dla pracy i posady która powinna zabezpieczyć właściwe warunki zbudowania opisywanych tu urządzeń, to że praca owa, a także wymagane dla niej laboratorium, nie mogą być finansowane ani przez prywatną osobę, ani też przez instytucję czy grupę nastawioną na generowanie zysku czy zainteresowaną w przejęciu władzy nad kimś. Praktycznie to oznacza, że praca owa musi być na jakiejś państwowej uczelni lub w państwowej instytucji badawczej, w której pracownicy badawczy mają przyporządkowane tytuły naukowe, a stąd którzy w swoją pozycję mają wpisany obowiązek publikowania i upowszechniania wyników badań jakie prowadzą. (Znaczy, nie mają powodów ani tradycji utajniania wyników tych badań, ani zamieniania ich w zyski.) Na bazie mojej znajomości uczelni uważam, że najlepszym do tego celu byłaby praca w charakterze pracownika naukowo-dydaktycznego lub badawczego, w sporej liczbie specjalizacji z obszaru Inżynierii Mechanicznej (wykluczając jednak metaloznawstwo, inżynierię materiałową, odlewnictwo, obróbkę plastyczną, oraz pokrewne im specjalizacje) lub Fizyki, z jakiegokolwiek uczelni technicznej. Przykładowo, praca w jakimkolwiek instytucie budowy maszyn, mechaniczno-energetycznym, konstrukcji i eksploatacji maszyn, itp., na dowolnej politechnice lub w dowolnej wyższej szkole inżynierskiej z Polski spełniłaby te wymogi. Ponadto praca w specjalizacjach poza inżynierskich, np. fizyki, magnetyzmu, mechaniki, maszyn elektrycznych, a nawet informatyki - jeśli owa informatyka byłaby przyporządkowana do jakiegoś wydziału lub specjalizacji szeroko używającego laboratorium i dysponującego możliwością budowy propotypów badanych urządzeń.

Równie istotna jak miejsce pracy, jest też pozycja na jakiej owe badania byłyby prowadzone. Chodzi bowiem o to, że z moich własnych (raczej przykrych) doświadczeń wynika, że jeśli owa pozycja jest zbyt niska, wówczas jakaś osoba na wyższej pozycji - od której będzie ona uzależniona, zawsze znajdzie sposób aby uniemożliwić badania które zamierza się prowadzić. Dlatego faktycznie pozycja ta powinna być na poziomie co najmniej profesora nadzwyczajnego (po angielsku "Associate Professor"). Tylko bowiem od jej poziomu wzwyż, nosiciel tej pozycji otrzymuje wystarczającą niezależność naukową i badawczą aby mógł prowadzić badania nad tematem który sobie sam wybierze. Ponadto, tylko wówczas nikt nie będzie mu w stanie zakazać publikowania uzyskanych wyników czy zakazać wdrażania do masowej produkcji urządzeń jakie wypracuje.

W tym miejscu śpieszę dodać, że jestem w pełni świadom, że polskie uczelnie upierają się przy tradycji, iż każdy profesor nadzwyczajny powinien być posiadaczem naukowego stopnia doktora habilitowanego (na przekór że istniejące przepisy zezwalają na wyjątki od owej tradycji). Tymczasem jeśli ktoś pracuje na uczelniach Zachodnich które nie uznają tego stopnia, nie ma okazji aby go zdobyć. Na szczęście jestem również świadomy że ustawa o uczelniach wyższych zezwala na wyjątki od owej reguły. Z kolei niemal każda osoba twórcza spełnia wszelkie warunki takiego wyjątku. Faktycznie bowiem osoba taka będzie posiadała skompletowane badania jakie wystarczają na uzyskanie stopnia doktora habilitowanego - jeśli będzie to wymagane. Przykładowo w moim własnym przypadku badania takie mają formę "Teorii Magnokraftu", czyli teorii zaawansowanego wehikułu latającego z napędem magnetycznym. Teoria ta już w obecnej formie jest ukończona i praktycznie gotowa do sformułowania jej w rozprawę habilitacyjną. Na dodatek całkowicie bazuje ona na już istniejącej, konwencjonalnej wiedzy naukowej z zakresu inżynierii, mechaniki, fizyki, oraz informatyki. Stąd nawet najbardziej konserwatywni naukowcy, czy najbardziej tradycjonalistyczne instytucje naukowe, nie mieliby jej nic do zarzucenia. W moim własnym więc przypadku wszystko co mi by pozostało aby uzyskać tytuł doktora habilitacyjnego, to przepisać tą teorię w formę która spełni warunki rozprawy habilitacyjnej, oraz następnie ją obronić jako pracę habilitacyjną. To zaś ja sam byłbym w stanie dokonać

w przeciągu nie więcej niż około trzech lat.

Podsumowując powyższe wyjaśnienia, w Polsce najbardziej idealną pozycją dla urzeczywistnienia urzędzeń opisywanych na tej stronie byłoby znalezienie państwowej uczelni lub państwowego instytutu badawczego, który właśnie ogłasza konkurs na pozycję profesora nadzwyczajnego w jakiegokolwiek specjalizacji dającej dostęp do laboratorium badawczego i do możliwości wykonywania prototypów badanych urzędzeń, w którego obszarze zainteresowań naukowych leżałyby owe urzędzenia które dany twórca chciałby zbudować zanim zakończy swoją karierę naukową.

Część #E: Jak wyeliminować obecne marnotrawstwo ludzkiego potencjału twórczego:

#E1. Jak naprawić obecną sytuację:

Rozwiązanie jest proste. Wystarczy zacząć wdrażać w życie ustalenia filozofii totalizmu. Niestety, wdrożenia tego nie jest w stanie dokonać pojedyncza osoba. Dlatego działania w owym kierunku powinny zostać zainicjowane stworzeniem odpowiedniej organizacji - tak jak to opisałem na stronie [partia_totalizmu.htm](#) - o drodze do wiecznej szczęśliwości wszystkich ludzi.

* * *

Zauważ, że można zobaczyć powiększenie każdej fotografii z niniejszej strony internetowej. W tym celu wystarczy zwyczajnie kliknąć na tą fotografię. Ponadto większość tzw. browser'ów które obecnie są w użyciu, włączając w to popularny "Internet Explorer", pozwala na załadowanie każdej ilustracji do swojego własnego komputera, gdzie można jej się do woli przyglądać, gdzie daje się ją zredukować lub powiększyć, a także gdzie ją można wydrukować za pomocą posiadanego przez siebie software graficznego.

Fot. #E1ab (A1 z [1/5]): Oto przykłady bitew staczanych przez ludzi od zarania dziejów. Bitwy i wojny reprezentują sobą jeden z najbardziej powszechnych, a zarazem najbardziej bezmyślnych i zezwierzęconych, sposobów marnowania twórczości i dorobku ludzi. Wszakże sprowadzają się one do niszczenia i mordowania wszystkiego co walczącym stronom staje na drodze. Ich koszta też są praktycznie nieobliczalne. W ich wyniku ludzkość marnotrawi szanse zwiększania dorobku i szczęśliwości życia indywidualnych ludzi, udoskonalania techniki, wiedzy i kultury ludzkiej, a także wdrożenia w naszej cywilizacji moralności i doskonalszych metod międzyludzkiego współzycia. Czyż nie jest już najwyższy czas aby zacząć eliminować takie marnotrawstwo ludzkie z naszej cywilizacji. (Kliknij na wybraną fotografię aby zobaczyć ją w powiększeniu.)

Odnotuj że oba obrazy pół bitewnych pokazane powyżej, tj. zarówno Fot. #E1a (lewy), jak i Fot. #E1b (prawy) wystawione są w ramach ogromnej kolekcji militarnych dzieł sztuki zgromadzonych przez tzw. "War Memorial" z Seoulu w Korei Południowej.

Część #F: Podsumowanie, oraz informacje końcowe tej strony:

#F1. Podsumowanie tej strony:

Coś ogromnie niesprawiedliwego dzieje się na naszych oczach. Począwszy od czasów Jezusa aż praktycznie do dzisiaj, wszyscy wynalazcy i wszyscy ludzie którzy wypracowują cokolwiek twórczego dla dobra naszej cywilizacji, nieustannie poddawani są mniej lub bardziej jawnym prześladowaniom. Jeden z najbardziej oczywistych przykładów tego prześladowania z którym dotychczas się zetknąłem opisany jest na stronie [boiler_pl.htm](#) - o szokującej historii rewolucyjnej grzałki która bije wszelkie rekordy.

Jeśli też przeanalizuje się życie któregokolwiek z nich, wówczas wygląda ono jakby całe piekło się sprzysięgło aby NIE pozwolić im na dokonanie tego co dokonali. Nawet zresztą już po dokonaniu owych niemożliwości, owo szatańskie prześladowanie nie

ustaje. I tak np. to nie oni są tymi, którym potem społeczeństwo pozwala na zebranie jakichkolwiek korzyści z ich własnych wynalazków czy idei. Faktycznie bowiem, na ich trudzie i pracy zwykle wypasają się potem ci którzy wcześniej najbardziej im przeszkadzali. Z kolei oni sami zazwyczaj umierają w biedzie, pogardzie, zaniedbaniu, chorobie i powszechnym zapomnieniu. Niestety, taki właśnie los zdaje się prześladować również i mnie. Na przekór że wypracowałem cały szereg wynalazków i twórczych idei o ogromnym znaczeniu dla naszej cywilizacji, bez przerwy np. tracę pracę. Jednocześnie jakaś szatańska moc bez przerwy uniemożliwia mi znalezienie właściwych warunków do badań, w których mógłbym tworzyć i budować w atmosferze zrozumienia i szacunku, oraz bez konieczności ukrywania przed pracodawcą i kolegami tego co wypracowuję i co staram się dokonać. Właśnie zgodnie z tym szatańskim schematem nieustannego prześladowania twórczych umysłów, w dniu 22 lipca 2005 roku, mój dziewiąty już z kolei pracodawca, czyli Wellington Institute of Technology z Nowej Zelandii, oficjalnie wypowiedział mi pracę. Uczynił to podobno aby uchronić się przed eskalowaniem deficytu w obliczu dużego spadku liczby studentów - chociaż w jakieś dwa tygodnie po usunięciu mnie z pracy otrzymał od rządu wiele milionów dolarów właśnie na utrzymanie istniejącej kadry i na zabezpieczenie kontynuacji nauczania. Z powodu tamtej utraty pracy do dzisiaj stoję przed ogromnie trudnym dla mnie zadaniem poszukiwania dla siebie następnego stałego zatrudnienia. Znalezienie to jest tym trudniejsze, że ogromnie pragnę aby ewentualna następna praca mogła też dopomóc mi w urzeczywistnieniu badań i rozwoju owych niezwykłych urządzeń technicznych podjęcie budowy których zawsze uniemożliwiały mi wszystkie prace jakie dotychczas miałem. Wszakże przez całe swoje życie bezskutecznie usiłowałem znaleźć laboratorium i pracę zawodową, w którym byłbym w stanie zbudować choćby jedno z urządzeń technicznych własnego wynalazku opisanych krótko m.in. i na tej stronie. Urządzenia te są przecież w stanie zmienić losy naszej cywilizacji (po szczegóły patrz punkt #B1 tej strony). Ponieważ nawet gdybym znalazł następną pracę, byłaby ona zapewne już moją ostatnią pracą w życiu, w idealnych warunkach dobrze byłoby oprócz stania się źródłem mojego utrzymania, umożliwiła mi też ona zbudowanie w końcu owych desperacko nam potrzebnych urządzeń technicznych. Wszakże budowy tych urządzeń, na przekór usilnych starań, nie udało mi się podjąć w żadnej innej dotychczasowej pracy.

Powyżej przeanalizowaliśmy razem za pośrednictwem tej strony internetowej, co osobiście ty czytelniku, a także co cała nasza cywilizacja, marnotrawi poprzez utrzymywanie na Ziemi sytuacji że twórczy ludzie nie są w stanie znaleźć owej wymaganej pracy i warunków w których mogliby urzeczywistniać swoje zamierzenia twórcze. Aczkolwiek strona ta ilustruje owo marnotrawstwo wyłącznie na moim własnym przykładzie (ów przykład wszakże jest mi najlepiej znany, a stąd najłatwiejszy do opisanego), faktycznie wszystko co tutaj zilustrowano odnosi się praktycznie do każdego twórczego badacza i do każdego wynalazcy. Wszakże pomaganie takim twórczym ludziom w realizacji ich zamierzeń, pozwalałoby aby efektywnie dopomóc ukoronować ich pracowite i twórcze życie dołożeniem ich altruistycznego wkładu dla dobra całej naszej cywilizacji.

#F2. Jak dzięki stronie "skorowidz.htm" daje się znaleźć totalizyczne opisy interesujących nas tematów:

Cały szereg tematów równie interesujących jak te z niniejszej strony, też omówionych zostało pod kątem unikalnym dla filozofii totalizmu. Wszystkie owe pokrewne tematy można odnaleźć i wywoływać za pośrednictwem skorowidza specjalnie przygotowanego aby ułatwiać ich odnajdowanie. Nazwa "skorowidz" oznacza wykaz, zwykle podawany na końcu książek, który pozwala na szybkie odnalezienie interesującego nas opisu czy tematu. Moje strony internetowe też mają taki właśnie "skorowidz" - tyle że dodatkowo zaopatrzone w zielone linki które po kliknięciu na nie myślą natychmiast otwierają stronę z tematem jaki kogoś interesuje. Skorowidz ten znajduje się na stronie o nazwie skorowidz.htm. Można go też wywołać z "organizującej" części "Menu 1" każdej totalizycznej strony. Radzę aby do niego zaglądnąć i zacząć z niego systematycznie korzystać - wszakże przybliży on setki totalizycznych tematów które mogą zainteresować każdego.

#F3. Email i dane kontaktowe autora tej strony:

Aktualne adresy emailowe autora tej strony, tj. dra inż. Jana Pajaka (a przez okres 2007 roku - Prof. dra inż. Jana Pajaka), pod jakie można wysłać ewentualne uwagi, zapytania, lub odpowiedzi na zadane tu pytania, podane są na stronie internetowej o mnie (Dr Jan Pajak). Tam również dostępne są adres pocztowy i numery telefonu autora.

#F4. Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak:

Copyrights © 2011 by Dr Jan Pajak. Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza strona stanowi raport z wyników badań jej autora - tyle że napisany jest on popularnym językiem (aby mógł być zrozumiany również przez czytelników o nienaukowej orientacji). Idee zaprezentowane na tej stronie są unikalne dla badań autora i dlatego w tym samym ujęciu co na tej stronie (oraz co w innych opracowaniach autora) idee te uprzednio NIE były jeszcze publikowane przez żadnego innego badacza. Jako taka, strona ta prezentuje idee które stanowią intelektualną własność jej autora. Dlatego jej treść podlega tym samym prawom intelektualnej własności jak każde inne opracowanie naukowe. Szczególnie jej autor zastrzega dla siebie intelektualną własność odkryć naukowych i wynalazków opisanych na tej stronie. Zastrzega więc sobie, aby podczas powtarzania w innych opracowaniach jakiegokolwiek idei zaprezentowanej na niniejszej stronie (tj. jakiegokolwiek teorii, zasady, dedukcji, interpretacji, urządzenia, dowodu, itp.), powtarzająca osoba oddała pełny kredyt autorowi tej strony, poprzez wyraźne wyjaśnienie iż autorem danej idei i/lub badań jest Dr Jan Pajak, poprzez wskazanie internetowego adresu niniejszej strony pod którym idea ta i strona oryginalnie były opublikowane, oraz poprzez podanie daty najnowszego aktualizowania tej strony (tj. daty wskazywanej poniżej).

* * *

If you prefer to read in English

click on the flag

(Jeśli preferujesz język angielski

kliknij na poniższą flagę)

Data założenia tej strony internetowej: 22 lipca 2005 roku.

Data jej najnowszego aktualizowania: 25 maja 2011 roku.

(Sprawdź pod adresami z "Menu 3" czy już istnieje nawet nowsza aktualizacja!)